ORYA LITERATURY POLSKIEJ

KSIĄŻKA DLA MŁODZIEŻY
(Z WYPISAMI)

PRZEZ

IGN. CHRZANOWSKIEGO

CZĘŚĆ PIERWSZA

LITERATURA NIEPODLEGŁEJ POLSKI

Zeszyt III (dokończenie)

Cena części pierwszej (578 stron) r...

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

Wydawnictwo Gebethnera i Wolffa.

BIBLIOTECZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH.

		Kop.
1.	onopnicka Marya. Dym . . .	6
2.	" " Banasiowa.	6
3.	" " Nasza szkapa	10
4.	" " Niemczaki .	6
5.	eromski Stefan. Siłaczka.—Na pokładzie	8
6.	rus Bolesław. Antek. . . .	8
7.	" " Na wakacyach.—Katarynka	8
8.	)rzeszkowa Eliza. Siteczko. — Czy pamiętasz?	8
9.	)rzeszkowa Eliza. Babunia . .	8
10.	" " Ogniwa . .	8
11.	" " Panna Antonina	8
12.	)rzeszkowa Eliza. A... B... C...	8
13.	Sienkiewicz Henryk. Janko Muzykant. — Latarnik . .	6
14.	Sienkiewicz Henryk. Wspomnienie z Maripozy.—Jamioł.—Organista z Ponikły . . .	8
15.	Sienkiewicz Henryk. Bartek zwycięzca	12
16.	Galle Henryk. Czytanki polskie I	30
17.	" " Czytanki polskie II	30
18.	Reymont Władysław. Sąd. . .	6
19.	" " W porębie. — Przy robocie . . .	8
20.	Reymont Władysł. Tomek Baran	12
21.	" " Pewnego dnia	8
22.	Junosza Klemens. Froim.-Zając	8
23.	Kraszewski J. I. Łoktek na łożu śmierci. — Tatarzy na eselu	6
24.	ra zewski J. I. Upiór . . .	10
25.	" " Z dziennika starego dziada	10
26.	Kraszewski J. I. Profesor Milczek. — Rejent Wątróbka .	6
27.	Kraszewski J. I. W oknie. — Nauczyciele sieroty . . .	8
28.	Rzewuski Henryk. Kazanie konfederackie. — Ksiądz Marek	6
29.	Rzewuski Henryk. Tadeusz Reyten (z Pam. Soplicy) . . .	6
30.	Rzewuski Henryk. Sawa.—Pan Borowski (z Pam. Soplicy).	10
31.	Sienkiewicz Henryk. Pieszo przez [illegible] ryki) I	10
32.	Sienkiewicz Henryk. [illegible] przez [illegible] Afry- [illegible] .	

		Kop.
33.	Sienkiewicz Henryk. Na Oceanie Atlantyckim (Listy z podróży)	
34.	Sienkiewicz Henryk. Z puszczy amerykańskiej (Listy z podróży)	
35.	Prus Bolesław. Kamizelka. — Michałko	
36.	Dygasiński Ad. W puszczy . .	1
37.	" " Wilk, psy i ludzie	
38.	Junosza Klemens. Wilki.—Wesołego	
39.	Tetmajer Kaz. Ksiądz Piotr .	
40.	Gomulicki W. Chałat	
41.	Żeromski Stef. Zmierzch.—Cokolwiek się zdarzy. . . .	
42.	Skarbek F. Łukasz Stempel .	
43.	" " Mundur.—Jaszczułt	
44.	" " Dwie siostry.—Przewoźnik	
45.	Wilkoński A. Moja mówka pogrzebowa. — Przypadek . .	
46.	Wilkoński A. Gorzkie wspomnienia słodkiej nadziei. .	
47.	Wilkoński A. Wspomnienia szkolne. — Pomyłka. — Ułamek	
48.	Żmichowska N. Prządki. Ze wspomnień dziecinnego wieku	
49.	Sienkiewicz H. Z puszczy Białowieskiej	
50.	Sienkiewicz H. Niewola tatarska	
51.	Sienkiewicz H. Pójdźmy za Nim!	
52.	Łętowski Jul. Wawrzyńcowie .	
53.	Sienkiewicz H. Za chlebem. .	
54.	" " Z pamiętnika nauczyciela poznańskiego .	
55.	Sienkiewicz H. Sielanka.—Legenda żeglarska.	
56.	Siemieński L. Portret króla Jana. — Posłowie siewierscy .	
57.	Siemieński L. Wieczór u gen. Kopcia. Wiązanka konwalii	
58.	Sienkiewicz H. Orso.—Sachem.	
59.	Gomulicki W. Oracz.—Filemon i Baucis.—[illegible]any sen pani Mucl[illegible]jowej. . . .	

Warsztat dla ...
54 bursa akademickiej

wzglądy

~~HISTORYA LITERATURY POLSKIEJ~~



HISTORYA LITERATURY POLSKIEJ

KSIĄŻKA DLA MŁODZIEŻY
(Z WYPISAMI)

PRZEZ

IGN. CHRZANOWSKIEGO

A jeśli komu droga otwarta do nieba, —
Tym, co służą ojczyźnie...
(J. Kochanowski).

Literatura każdego narodu jest jego moralnym bytem, bezpieczną w swoich granicach, żadnemu zniszczeniu niepodległą.
(K. Brodziński).

CZĘŚĆ PIERWSZA

LITERATURA NIEPODLEGŁEJ POLSKI

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1906

Drukarnia Rubieszewskiego i Wrotnowskiego w Warszawie.

LITERATURA ŚREDNIOWIECZNA.

ROZDZIAŁ I.

Od przyjęcia chrześcijaństwa aż do wieku XV.

Początki literatury.

§ 1. W wiekach średnich istniały w Europie dwa wielkie ogniska cywilizacyi: na wschodzie — Bizancyum, które karmiło się resztkami kultury starożytnych Greków, a na zachodzie — Rzym, który odziedziczył cywilizacyę po starożytnych Rzymianach. Dwa te ogniska, początkowo połączone jednością Kościoła, z biegiem czasu coraz to więcej oddalały się od siebie, kiedy zaś w połowie XI wieku nastąpiło zerwanie jedności kościelnej, odosobniły się niemal zupełnie. A stąd i cała Europa rozpadła się na dwa światy, bizantyjski i rzymski, wschodni i zachodni; w pierwszym cywilizacya rozwijała się bardzo powoli, drugi kroczył szybko naprzód pod każdym względem; w pierwszym największą potęgą była władza świecka (cesarza bizantyjskiego), w drugim — władza duchowna (papieża rzymskiego).

Z narodów słowiańskich Bulgarya, Serbia i Ruś przyjęły wiarę chrześcijańską od Kościoła wschodniego i tym sposobem wzrastały pod wpływem cywilizacyi bizantyjskiej. Polska tymczasem, podobnie jak Czechy, przyjęła wiarę chrześcijańską od Kościoła zachodniego i tym sposobem dostała się pod wpływ wielkiej cywilizacyi rzymskiej, to jest narodów germańskich i romańskich, mianowicie Niemców, Włochów i Francuzów, którzy przez długie wieki byli naszymi nauczycielami. Ten zaś wpływ narodów zachodnich na Polskę zaczyna się od chwili przyjęcia przez Mieszka I wiary chrześcijańskiej, ta bowiem dopiero ucywilizowała i oświeciła nasz naród.

Źródłem oświaty były szkoły, które zakładano przy kościołach katedralnych (*szkoły katedralne*) i po klasztorach (*szkoły klasztorne*).

Uczono w nich tak zwanych „siedmiu sztuk wyzwolonych“, a mianowicie: 1) gramatyki łacińskiej, 2) dyalektyki (t. j. nauki rozumowania i umiejętności rozmowy o przedmiotach naukowych), 3) retoryki (t. j. umiejętności pisania listów i wygłaszania mów). Te trzy nauki stanowiły kurs niższy, zwany *trivium*[1]. Na kurs wyższy, zwany *quadrivium*[2], składały się cztery dalsze „sztuki wyzwolone“, a mianowicie: 4) muzyka (t. j. głównie nauka śpiewu kościelnego), 5) arytmetyka, 6) geometrya (t. j. właściwie geografia, kosmografia i historya naturalna) i 7) astronomia (t. j. głównie nauka o kalendarzu). Dopiero po ukończeniu *trivium* i *quadrivium* uczeń przystępował do najważniejszej w wiekach średnich nauki, do „królowej nauk“ —teologii. Nauka szkolna polegała na bezmyślnem uczeniu się na pamięć, zwykle z podręczników wierszowanych. Językiem wykładowym był język łaciński. Kto nic nie umiał i nie rozumiał po łacinie, wstępując do szkoły, ten musiał naprzód nauczyć się na pamięć pacierza i kilku psalmów, a potem uczono go pisać, czytać i śpiewać po łacinie: na tem kończyła się w wiekach średnich nauka elementarna, dla której, począwszy od wieku XIII, zakładano osobne szkoły niższe, czyli t. zw. *parafialne*.

Nauczycielami w szkołach średniowiecznych byli wyłącznie księża, z początku cudzoziemcy, z biegiem czasu—Polacy. Ponieważ *jedynym celem szkół było przygotowanie ucznia do stanu duchownego*, więc uczyli się w nich prawie wyłącznie ci, którzy mieli zamiar zostać księżmi. Tym sposobem ludźmi wykształconymi w Polsce pierwotnej byli tylko księża, oni więc jedynie mogli stworzyć literaturę.

Wprawdzie już w epoce przedchrześcijańskiej posiadał niewątpliwie naród polski swoją rodzimą poezyę ludową pod postacią podań i pieśni, przysłów i zagadek; ale była to literatura ustna (bo sztuki pisania nie znano u nas przed przyjęciem chrześcijaństwa) i, nie utrwalona za pomocą pisma, zaginęła, tem więcej, że duchowieństwo tępiło ją, jako zabytek pogaństwa, a natomiast stworzyło inną literaturę — pisaną, nie świecką, ale kościelną, nie polską, ale łacińską, język bowiem polski nie był jeszcze dostatecznie wyrobiony. Wogóle trzeba wiedzieć, że w całej Europie średniowiecznej posługiwano się w literaturze językiem łacińskim, jako językiem Kościoła katolickiego: po łacinie pisano i dzieła historyczne i naukowe i wiersze, a językami narodowymi przez długi czas gardzono. Otóż tak samo było i w Polsce: *literatura nasza rozpo-*

[1] Dosłownie: trzydroże (*tres* — trzy; *via* — droga). [2] Dosłownie: czterodroże (*quattuor* — cztery; *via* — droga).

czyna się od literatury łacińskiej, która ze względu na to, że autorami są Polacy, nazywa się polsko-łacińską. Ma ona charakter kościelny, ponieważ autorami byli wyłącznie księża; przed wiekiem XV jest bardzo uboga, ponieważ oświata rozwijała się i rozpowszechniała bardzo powoli: ciągłe wojny, zaburzenia wewnętrzne (zwłaszcza po śmierci Bolesława Chrobrego), rozbicie Polski na księstwa udzielne (po śmierci Bolesława Krzywoustego), napady Tatarów (począwszy od wieku XIII)—wszystko to utrudniało rozwój oświaty, a zatem i literatury. Nadto krzewicielami oświaty byli u nas początkowo głównie cudzoziemcy: pierwszy uczony Polak (Wincenty Kadłubek) ukazuje się dopiero przy końcu wieku XII; w wieku XIII wprawdzie nie brakło już oświeconych księży-Polaków, ale w temże stuleciu rozpoczęła się, jak wiadomo, na wielką skalę kolonizacya niemiecka, która sprawiła, że miasta polskie stawały się niemieckiemi do tego stopnia, że nawet na ulicach Krakowa prawie nie było słychać mowy polskiej; niemczyzna wtargnęła do kościołów miejskich, gdzie kazania wygłaszano po niemiecku, i do szkół, w których nauczycielami byli Niemcy. I w wieku XIV jeszcze, pomimo że Polska, dzięki Łokietkowi i Kazimierzowi Wielkiemu, stawała się coraz potężniejsza, germanizacya miast polskich nie ustawała; poczucie narodowe obudziło się dopiero w wieku XV, dzięki świetnemu zwycięstwu nad Niemcami — pod Grunwaldem; teraz dopiero zniemczałe miasta polskie staja się szybko napowrót polskiemi. Ale wpływu niemieckiego już nic nie zdołało zatrzeć: do dziś dnia w języku polskim są liczne wyrazy niemieckie, np. *wójt*, *sołtys*, *burmistrz*, *hebel*, *waga*, *szacunek*, *kierunek* i t. d.

§ 2. Początki literatury łacińskiej w Polsce przypadają już na koniec X wieku; są to tak zwane *roczniki*, to jest krótkie i luźne notatki o wypadkach historycznych, zapisywane na kartach pargaminowych przez księży, zwłaszcza przez zakonników, np. „965. Dobrawka przybywa do Mieszka. 966. Mieszko, książę polski, chrzci się“. Lecz najdawniejsze roczniki zaginęły; a zresztą autorami ich byli z początku nie Polacy, ale cudzoziemcy.

Cudzoziemcowi także zawdzięcza Polska pierwszą swoją kronikę. Jej autorem jest nieznany nam z imienia ani nazwiska zakonnik. Włoch czy też Francuz, tak zwany *Gallus*, który w końcu XI czy też na początku XII wieku przywędrował do Polski i z czasem został, jak się zdaje, kanclerzem księcia Bolesława Krzywoustego. Otóż, nie chcąc, jak się pięknie wyraził, „darmo pożywać chleba polskiego“, napisał kronikę, w której króciutko opowiedział dzieje swej przybranej ojczyzny od Popiela aż do końca panowania Władysława Hermana, bardzo szczegółowo za to opisał życie i rządy Bolesława Krzywoustego aż do roku 1113, najwięcej uwagi poświęcając znakomitym wojnom tego walecznego księcia, któ-

rego nazywa „synem Marsa“. Ponieważ Gallus był człowiekiem prawdomównym i posiadał niemałą odwagę cywilną, więc jego kronika jest prawdziwym skarbem, jako wiarogodne źródło do dziejów starożytnej Polski, ale do literatury polskiej, jako pisana przez cudzoziemca, nie należy.

Pierwszym autorem Polakiem, i to autorem znakomitym, jest **Wincenty Kadłubek,** który urodził się w ziemi sandomierskiej w drugiej połowie XII wieku, a który w XIII, za panowania Leszka Białego, był biskupem krakowskim, pięć zaś ostatnich lat swego życia przepędził w klasztorze (umarł w r. 1223). Był to człowiek wielce uczony (kształcił się we Francyi), to też Kazimierz Sprawiedliwy, bardzo dbały o oświatę i wychowanie młodzieży, polecił mu napisać historyę Polski, o czem świadczy sam Kadłubek w tych słowach: „Najdzielniejszy z królów, ... chcąc przodków zacność zostawić potomności w spuściźnie, włożył na mnie, piszącego kruchem, jak trzcina, piórem, na moje barki karłowate ciężar olbrzymi, w tem zapewne przekonaniu, że połysk złota i blask drogich kamieni tak samo nie blednieją od niewprawnych rąk rzemieślnika, jak nie czernieją gwiazdy, chociaż Etyopi wskazują je strasznie czarnymi palcami“. Z tego polecenia jednak wywiązał się Kadłubek dopiero w lat kilkanaście po śmierci Kazimierza Sprawiedliwego, już w zaciszu klasztornem.

Kronika Kadłubka, która opowiada dzieje Polski od najdawniejszych czasów aż do początków XIII wieku, składa się z czterech ksiąg, z których tylko czwarta, poświęcona dziejom, współczesnym autorowi, jest opowiadaniem ciągłem, trzy zaś pierwsze, o dziejach dawniejszych, mają postać rozmowy pomiędzy Janem, arcybiskupem gnieźnieńskim, a Mateuszem, biskupem krakowskim. Nie zapomniał o tem Kadłubek, że Kazimierz Sprawiedliwy polecił mu przekazać potomności „zacność przodków“: opowiada więc, że ci przodkowie założyli państwo polskie jeszcze przed Narodzeniem Chrystusa i wówczas już wsławili się cnotą i dzielnością, że prowadzili wojny z Aleksandrem Macedońskim, że jeden z książąt polskich poślubił siostrę Juliusza Cezara i t. d. Już to dzieje bajeczne wykłada Kadłubek bardzo szczegółowo, biorąc je nie tylko z podań ludowych, ale i z własnej wyobraźni oraz z historyi narodów obcych. I wogóle jego kronika nie jest tak wiarogodna, jak kronika Gallusa. Ale bo też *Kadłubkowi chodziło nie tyle o prawdę historyczną, ile o naukę młodzieży*, którą chciał uczyć mądrości i zachęcać do cnoty: dlatego ciągle przerywa opowiadanie o dziejach polskich pouczającymi przykładami z historyi narodów obcych, bajkami, krótkiemi sentencyami, a nawet dłuższemi rozprawami moralnemi, tak dalece, że czasem jego kronika wygląda na podręcznik do nauki nie historyi, tylko moralności. A ponieważ Kadłubek był głęboko przekonany, że ten tylko może być moralnym, kto we wszystkiem słucha Kościoła ka-

tolickiego, więc zachęca czytelników do posłuszeństwa władzy kościelnej, twierdząc, że nawet panujący książę winien nie tylko szanować, ale i słuchać biskupów; przez to jego kronika jest doskonałym wyrazem tych czasów, kiedy w Polsce i w całej Europie zachodniej władza i powaga duchowieństwa szybko wzrastały i miały większe znaczenie, niż władza świecka. To przywiązanie Kadłubka do Kościoła i uznanie dla jego władzy najlepiej uwydatniają się w opowiadaniu o zatargu Bolesława Śmiałego z biskupem krakowskim, Stanisławem Szczepanowskim: Gallus, który żył w czasach, kiedy władza Kościoła nie była jeszcze tak silna, przyznaje, że Bolesław, zabijając biskupa, popełnił „grzech", ale go nie potępia, owszem biskupa nazywa bez ogródki „zdrajcą", kiedy tymczasem Kadłubek poczytuje Bolesława za potwora z piekła rodem, a biskupa za świętego męczennika

Kronika Kadłubka była w wiekach średnich dziełem bardzo poczytnem, używano jej bowiem, jako podręcznika szkolnego do nauki nie tylko historyi i moralności, ale także wymowy i pięknego stylu. Bo Kadłubek był pisarzem bardzo wymownym i pisał w sposób tak kwiecisty i sztuczny, że dzisiaj jego styl wydaje się nam nienaturalnym, a czasem nawet niejasnym; ale w wiekach średnich taka kwiecistość uchodziła za szczyt pięknego pisania, to też ani jeden pisarz nie cieszył się u nas w wiekach średnich takim rozgłosem, jak Kadłubek.

Zabójstwo świętego Stanisława. Świątobliwy biskup krakowski, Stanisław — opowiada Mateusz — gdy nie zdołał Bolesława od okrucieństwa odwieść, zagroził mu naprzód upadkiem kraju, nareszcie dotknął go mieczem klątwy. Lecz on, jak raz wszedł na złą drogę, już ciągle w coraz to okropniejsze wpadał szaleństwo: boć łatwiej drzewo pogięte złamać, niż wyprostować. I oto od ołtarza, wśród nabożeństwa, nie bacząc ani na stan, ani na miejsce, ani na czas, rozkazuje porwać kapłana. Lecz ilekroć dzicy halabardnicy probują wtargnąć, tylekroć skruszeni, tylekroć obaleni na ziemię, łagodnieją. Tyran, lżąc ich niegodnie, sam ręce świętokradzkie nań nakłada, sam oblubieńca odrywa z łona oblubienicy, pasterza — od owczarni, sam morduje ojca w uściskach córki, jakby syna we wnętrznościach matki. Co za żałosne, co za przeokropne widowisko śmierci! Człowieka świętego świecki, zbożnego bezbożny, biskupa świętokradca, niewinnego okrutnik na kawałki rozszarpał, poszczególne członki na najdrobniejsze rozsiekując cząstki!... Całym zdrętwiał, całym zmartwiał, włosy mi dęba stanęły; zaledwie myślą objąć, cóż dopiero językiem, cóż dopiero piórem wyrazić cuda, jakich Zbawiciel nad świętym dokonał!... Oto widziano, jak z czterech stron świata przyleciały cztery orły, które, krążąc w powietrzu nad miejscem męczeństwa, odganiały sępy i inne żądne krwi ptaki od zwłok męczennika i pilnowały ich

ze czcią, czuwając dzień i noc. Zresztą czyż ta noc była nocą? Nazwałbym ją raczej dniem, niż nocą. Była to bowiem ta niezwykła noc, o której mówi Pismo święte: „A noc, jako dzień, będzie oświecona“. Tyle bowiem na różnych miejscach zajaśniało świateł boskich, cudownie błyszczących, na ile cząstek rozprysło się święte ciało; samo niebo zdawało się zazdrościć ziemi jej krasy, jej chwały... Niektórzy ojcowie, ożywieni tym cudem niespodzianym i zapaleni żarliwą pobożnością, porwą się, by zebrać rozproszone szczątki członków, lecz zbliżają się powolutku, patrzą, a ciało całe, bez najmniejszego śladu blizn; więc podnoszą je z ziemi, zabierają, namaszczają wonnymi olejkami i składają w mniejszej bazylice ś. Michała... Po tem zdarzeniu ów okrutnik, spłoszony, znienawidzony zarówno przez ojczyznę, jak przez ojców, uszedł do Węgier,... a wkrótce potem, zdjęty niesłychaną niemocą, śmierć sobie zadał. I syn jego jedyny, Mieszko, w pierwszym kwiecie wieku, zwiądł od trucizny. A tak cały ród Bolesława poniósł karę za świętego Stanisława, jak bowiem żadna cnota nie pozostaje bez nagrody, tak żadna zbrodnia bez kary.

Sentencye moralne. Szlachcicem jest ten tylko, kogo uszlachciła własna cnota. — Dobra doczesne nie są nasze: te jedynie klejnoty poczytuję za swoje własnę, które rodzą się w skarbcu serca.— Nic niema w człowieku doskonalszego nad niedoskonałość. — Co się z miłości ku ojczyźnie podejmie, miłością jest, nie szałem, walecznością, nie zuchwalstwem; mocną bowiem, jak śmierć, jest miłość, która, im trwożliwsza (o przedmiot ukochania), tem jest odważniejsza. Nic bowiem obywateli śmielej pod broń nie wzywa, jak obawa domowego niebezpieczeństwa. Dla tego to Solon tak zachęcał do boju Ateńczyków: „Chciałbym, abyście byli równie bojaźliwi, jak odważni; bojaźń bowiem dodaje ostrożności, a ostrożność rodzi ufność, ufność zaś rodzi odwagę, która sprawia, że człowiek popełnia czyny śmielsze, niż on sam“. Cóż skłoniło Machabeusza, który miał tylko 800 żołnierzy przeciwko 22000 Bachida, że, o sobie zapomniawszy, o swem rycerstwie raczej pamiętał, niż o własnem życiu? Miłość ojczyzny. Co dało taką odwagę synowi Saula, że na małej przestrzeni półmorgowej, utraciwszy dwudziestu mężów, uderzył w towarzystwie jednego jedynego giermka na tyle legionów filistyńskich i zmieszał ich szyki? skąd taki duch wstąpił w Eleazara, że, kiedy inni ratowali się ucieczką, on wołał, by słoń, strzałą przeszyty, przywalił go swem cielskiem? Cóż zagrzało 600 Spartańczyków, że poszli do obozu Kserksesa, nie lękając się 500 000 nieprzyjaciół? Miłość ojczyzny. Cóż, jeżeli nie miłość ojczyzny, dało tylu innym taką gotowość do śmierci?

Bajka o medrcu. Pewien mędrzec, otrzymawszy wiadomość, że mu się syn urodził, rzekł: „Miły to dar i dobrodziejstwo natury, lecz rozkazuję, by syn mój nigdy innego nie ssał mleka, tylko

z piersi najdzikszego zwierzęcia". Zapytano go: „Więc może wilczycy poszukać?" „Bynajmniej", odpowiedział. „To może lwicy?" „Nie!" „Tygrysicy?" „Niech Bóg broni!" „Smoka?" „Nigdy w świecie!" „Któreż więc zwierzę jest najdziksze?" Odrzekł: „To samo, które jest najłagodniejsze: kobieta". Albowiem wszelka łagodność kobieca jest okrutniejsza nad wszelką srogość, srozsza nad wszelką okrutność.

3. W wieku XIII szybko wzrastały w Polsce potęga Kościoła i życie religijne; wiara chrześcijańska w tem dopiero stuleciu zapuściła głębokie korzenie w społeczeństwie polskiem, które stawało się coraz to bardziej religijnem, szukając w religii pociechy na te liczne nieszczęścia, jakie spadały na kraj, rozczłonkowany pomiędzy poszczególnych książąt i szarpany przez dzikie hordy tatarskie. W ścisłym związku z tem rozbudzeniem życia religijnego rozwijała się łacińska literatura religijna, jakoto legendy i żywoty świętych.

Lecz ogół społeczeństwa nie rozumiał przecie po łacinie; zasady wiary chrześcijańskiej trzeba było wpajać w prostaczków w języku ojczystym — za pomocą nauk moralnych i kazań, trzeba było także nauczyć ich modlić się po polsku: tym to sposobem *wnet po wprowadzeniu chrześcijaństwa do Polski musiała powstać literatura religijna w języku narodowym: kazania polskie i modlitwy polskie, a z czasem pobożne pieśni polskie.*

Otóż najstarszym znanym nam dzisiaj zabytkiem tej literatury jest **Pieśń Bogurodzica**, która powstała w drugiej połowie XIII wieku. Istnieje przypuszczenie, że napisał ją jakiś zakonnik na prośbę Kingi, żony Bolesława Wstydliwego, która po śmierci męża osiadła w klasztorze franciszkańskim w Sączu, a chcąc chwalić Pana Boga po polsku, kazała nie tylko tłumaczyć psalmy na język polski, ale i układać pieśni polskie na cześć Matki Boskiej, którą cały naród polski otaczał coraz to większą czcią. Jedną z tych pieśni jest właśnie pieśń Bogurodzica, składająca się z dwu zwrotek, a będąca modlitwą błagalną do Jezusa Chrystusa, aby, za przyczyną Najświętszej Panny i świętego Jana Chrzciciela, raczył dać swoim wyznawcom pobożne życie na ziemi i wiekuiste szczęście w niebie.

Bogurodzica dziewica,
Bogiem sławiena Maryja!
Twego Syna Gospodzina,
Matko zwolena Maryja,
Zyszczy nam, spuści nam! Kyrie elejson!
    Twego dziela[1] Krzciciela, Bożyce,[2]
    Usłysz głosy, napełń myśli człowiecze!

[1] = dla. [2] przypadek 5 od *Bożyc* — Syn Boga.

Słysz modlitwę, jąż [1] nosimy,
To dać racz, jegoż prosimy:
A na świecie zbożny pobyt,
Po żywocie rajski przebyt! Kyrie elejson [2].

Oto najdawniejszy pomnik naszej poezyi, oto początek naszej literatury narodowej. W przekładzie na dzisiejszy język pieśń ta brzmiałaby tak: „Bogarodzico dziewico, przez Boga wsławiona Maryo! Matko (przez Boga) wybrana, Maryo! Pczyskaj nam, spuść nam (z nieba na ziemię) Twego Syna Pana! Kyrie elejson! Dla (za przyczyną) Twego Chrzciciela, Synu Boży, usłysz głosy, napełń myśli człowiecze! Wysłuchaj modlitwy, którą (do Ciebie) zanosimy, to dać racz, o co prosimy, a mianowicie: na świecie zbożne życie, po życiu (ziemskiem) żywot niebieski. Kyrie elejson!“

Pieśń Bogurodzica rozpowszechniła się po całej Polsce; początkowo była pieśnią kościelną: śpiewał ją pobożny lud w kościele podczas nabożeństwa, później zaś, nie przestając być pieśnią kościelną, stała się nadto pieśnią bojową: śpiewało ją rycerstwo przed bitwą dla wybłagania u Pana Boga zwycięstwa nad wrogiem; kiedy w r. 1410 stanęło rycerstwo polskie pod Grunwaldem, aby krwią swoją okupić potęgę i szczęście Polski, uderzył w niebo głos potężny, wydobyty z kilkudziesięciu tysięcy piersi polskich: „Bogurodzica, dziewica!“ W wieku XVI Bogurodzica przestaje być pieśnią bojową; w XVII usiłowano wznowić zwyczaj śpiewania jej przed bitwą, ale zwyczaj ten już się nie utrwalił; w XVIII zaś stuleciu władza duchowna wydała rozkaz, aby duchowieństwo katedry gnieźnieńskiej odśpiewywało pieśń starożytną co niedziela, przy trumnie świętego Wojciecha, i ten rozkaz jest spełniany do dziś dnia.

§ 4. Na początku wieku XIV królem polskim jest Czech, Wacław. Od czasów jego panowania wpływ cywilizacyi czeskiej na polską, który zaczął się już od chwili poślubienia Dąbrówki przez Mieszka, wzmógł się potężnie; ślady tego wpływu do dziś dnia nosi na sobie język polski (np. w wyrazie *obywatel*). Czesi w wiekach średnich byli narodem, bez porównania więcej oświeconym od Polaków, i posiadali bogatą literaturę, która też przez czas długi oddziaływała na polską: tłumaczono lub przerabiano z języ-

---

[1] iże, jaże, jeże = który, która, które. [2] Chociaż Pieśń Bogurodzica powstała w wieku XIII, najstarszy jej, znany nam dzisiaj, rękopism pochodzi dopiero z początku wieku XV· Bogw rodzica dzewicza bogem slawena maria. W twego syna gospodzina matlıko swolena maria Szyszczi nam spwsczi nam kyrieleyson. Twego dzela krzcziczela bozicze Vslisz glossy napelni misli czlovecze Slisz modlithwa yanz noszymi oddacz radzy yegosz prosimi anaswecze sboszni pobith poszywocze rayski przebith kyrieleyson.

ka czeskiego na polski modlitwy i pieśni religijne. Nie dosyć na tem. Już przy końcu drugiej połowy XIV wieku założono w Pradze uniwersytet, który jest pierwszym uniwersytetem, założonym na ziemiach słowiańskich. Uczyli się w nim i Polacy, którzy zresztą już w wiekach średnich jeździli się kształcić i do innych uniwersytetów zagranicznych. Dopiero Kazimierz Wielki, pragnąc, aby Polacy mogli pobierać wyższe wykształcenie we własnym kraju, i nadewszystko potrzebując uczonych prawników, założył, za przykładem Czechów, w r. 1364 uniwersytet w Krakowie, zwany „szkołą główną", o trzech wydziałach: prawnym, lekarskim i sztuk wyzwolonych (na otworzenie wydziału teologicznego nie pozwolił papież). Ale szkoła Kazimierza nie rozwijała się pomyślnie i upadła po śmierci swego założyciela.

Wogóle naród polski, chociaż stawał się w wieku XIV coraz to bogatszym i potężniejszym, nie garnął się jeszcze do wyższej oświaty tak chętnie, jak później. Dla tego to i literatura tego stulecia jest wciąż jeszcze bardzo uboga, a rozwija się po dawnemu prawie wyłącznie w języku łacińskim.

Najznakomitszym pisarzem XIV wieku jest Wielkopolanin **Janko z Czarnkowa**, archidyakon gnieźnieński, który za panowania Kazimierza Wielkiego był podkanclerzym. Jest on autorem kroniki łacińskiej, w której opowiedział krótko i zwięźle panowanie Kazimierza Wielkiego, a bardzo szczegółowo — rządy Ludwika Węgierskiego. Kronika ta jest zupełnie inna, jak kronika Kadłubka: kiedy Kadłubek ma na celu przedewszystkiem naukę cnoty i mądrości, Janko z Czarnkowa nie bawi się w moralizowanie czytelnika i opowiada mu wyłącznie wypadki dziejowe, które znał doskonale, jako naoczny świadek, i w których po części sam brał udział; to zaś opowiadanie jest bardzo ciekawe i bardzo żywe, mianowicie *ożywione własnem uczuciem autora*, który nie chciał i nie umiał ukrywać swych uczuć względem ludzi, nie tając np. swej miłości względem Kazimierza Wielkiego, swej niechęci do króla Ludwika, jako Węgra, a nadewszystko swego gniewu i silnej nienawiści względem osobistych wrogów, tych zwłaszcza, którzy po śmierci Kazimierza posądzili go, że przywłaszczył sobie część skarbów królewskich. Otóż ze względu na to, że Janko z Czarnkowa opowiada wyłącznie dzieje współczesne, nie zapominając i o sobie samym, *kronikę jego można nazwać pamiętnikami*, pierwszymi w naszej literaturze.

Śmierć Kazimierza Wielkiego (w skróceniu). Roku Pańskiego 1370, dnia 8 Września, to jest w samo święto Narodzenia Najświętszej Panny Maryi, najjaśniejszy król Kazimierz bawił na swym dworze w Przedborzu[1] i wybierał się na polowanie na je-

[1] W województwie Sieradzkiem, nad Pilicą.

lenia. Pojazd królewski już czekał, już król miał wsiadać, gdy kilku wiernych dworzan jęło mu przekładać, że nie przystoi polować w dzień świąteczny. Król przyznawał im słuszność i już zamierzał zostać w domu, kiedy wtem jakiś niecnota szepnął mu o jakiejś uciesze (która go czeka na polowaniu); i oto król, już głuchy na rady ludzi mądrych, wsiadł do pojazdu i popędził do lasu na łowy Nazajutrz konno ścigał jelenia, lecz stępak[1] przewrócił się, a król spadł i zranił sobie ciężko lewą goleń. Uderzenie przyprawiło go o gorączkę, która jednak rychło go opuściła. Ale, ponieważ, wbrew zakazowi lekarzy, nie zachował umiarkowania i żarłocznie zajadał różne potrawy, a zwłaszcza świeże owoce, orzechy laskowe i inne, oraz smarze,[2] nadewszystko zaś ponieważ nie odmówił sobie łaźni, na którą nie pozwalał mu jego lekarz nadworny, mistrz Henryk z Kolonii, — więc zapadł w cięższą jeszcze gorączkę. Nazajutrz, o brzasku, wyruszył do Krakowa i o milę za Sandomierzem, ciągle trawiony nadmierną gorączką, napił się zimnej wody, wskutek czego gorączka jeszcze go więcej paliła i silniej dręczyła; lekarz i wszyscy dworzanie zwątpili o jego życiu. Lecz nazajutrz, dzięki zabiegom lekarza, gorączka opadła, więc wierni dworzanie, z głęboką litością patrzący na osłabionego króla, wprzęgli się do jakiegoś wozu i, ciągnąc go powolutku, zawieźli króla do klasztoru Cystersów w Koprzywnicy. Tutaj wypoczywał całe ósiem dni; tutaj też ślubował Bogu i ś. Zygmuntowi, że odbuduje w ruinach leżącą świątynię płocką, w której ze czcią przechowywano relikwie Zygmunta, króla i męczennika. Rano kazał mnie zawołać do siebie i oznajmił o uczynionym ślubie mnie i innym obecnym, poczem zaraz doznał ulgi w gorączce. Zawieziono go potem do Osieka, i tutaj jakiś lekarz, mistrz Mateusz, wbrew zakazowi mistrza Henryka i nas wszystkich, pozwolił mu w zbytniej pobłażliwości napić się miodu; i znów go schwyciła gorączka. Ale później, w Nowem mieście, znakomicie odzyskał siły: bez cudzej pomocy siadł na wóz i wysiadł dopiero w Opatowcu. Wreszcie przedostatniego Października przywieziono go na zamek krakowski, a pierwszego Listopada kazał mi zapytać lekarzy, otaczających jego łoże, czy już jest w Krakowie. Gdym ich zapytał, czy król pan jest w Krakowie, wspomniany mistrz Mateusz rzekł: „Czy on majaczy, czy dostał pomieszania zmysłów, że pyta, czy król jest w Krakowie?“ A ja na to: „Król wie, że jest w Krakowie, ale się dziwi, że nie przepisujecie mu lekarstw łagodzących, których w podróży mieć nie mogliście; i zdaje mu się teraz, że nawet nie myślicie o tem“. Na to mistrz Mateusz, jak piorunem rażony, odpowiedział, że wraz z kolegami, w miarę sił swoich, dokładać będzie jak najusilniejszych starań. Niebawem kazał mi król zapytać lekarzy, czy spostrzegają

[1] = jednochodnik, t. j. koń, lekko pod siodłem chodzący. [2] rodzaj grzybów.

w nim jakie znaki śmierci; jeżeli spostrzegają, to, na Boga, niech mu to wyjawią, aby mógł zawczasu pomyśleć o zbawieniu duszy i zarządzić domem. Oni zaś, jak to lekarze, obiecywali mu i wróżyli długie życie. Ale król, wątpiąc, czy zdrowie odzyska, dnia trzeciego tegoż miesiąca Listopada, rano, o wschodzie słońca, sporządził testament; a we wtorek, dnia piątego Listopada, rano, o wschodzie słońca, w przytomności wielu szlachty i duchowieństwa odszedł szczęśliwie do Chrystusa.

§ 5. *Utwory literatury XIV wieku, pisane w języku ojczystym, posiadają charakter wyłącznie religijny.* Jak w wieku XIII święta Kinga, tak w XIV świątobliwa królowa Jadwiga ukochała mowę ojczystą: w jej bibliotece nie brakło pism pobożnych, przetłumaczonych z języka łacińskiego na polski, a więc modlitw, kazań, żywotów świętych, rozmyślań i t. p. Na nieszczęście, biblioteka ta zaginęła. Znamy za to inne pisma polskie tego stulecia, a mianowicie: Kazania świętokrzyskie, Kazania gnieźnieńskie, Psałterz floryański oraz kilka pieśni religijnych.

Kazania świętokrzyskie *to najdawniejszy znany nam dzisiaj zabytek prozy polskiej, pochodzący z połowy wieku XIV;* świętokrzyskiemi nazywają się dlatego, że napisał je prawdopodobnie jakiś zakonnik z klasztoru świętokrzyskiego (na Łysej górze); do czasów naszych dochowały się tylko szczątki sześciu kazań; rękopis (na pargaminie) znajduje się w bibliotece publicznej w Petersburgu. Są to kazania bardzo krótkie, zwięzłe i treściwe.

Urywek z kazania na święto Trzech Króli. Mowi ewangelista święty pod obrazem trzy królew pogańskich: Gdzie jest ten, jenże [1] się narodził król żydowski? Bo Pismo tego królewica, dziewicą porodzonego, w trojakiem mieście pisania nazywa królem ludu żydowskiego: w jego dziwnem narodzeni, w jego uciesznem wielikich cud czynieni a w jego trudnem umęczeni. I pokazuje ewangelista, iże tento król i królewic niebieski w trojakiej rzeczy znamienitej ine wszytki króle zmija, a to w tem, iż jest miłościwiejszy, iż jest szczedrzejszy.... Tento król jest miłościwiejszy, a to w rzeczy trojakiej: w miłem wabieni, iżbychom [2] pokutę wiernie czynili; w długiem czekani, iżbychom się k niemu żądnie pośpieszyli, w rychłem odpuszczeni, iżbychom w jego miłości nie rozpaczyli.

[1] = który. [2] = iżbyśmy.

Kazania gnieźnieńskie, których przechowało się dziesięć, pochodzą z końca XIV wieku; różnią się od świętokrzyskich tem, że są o wiele dłuższe i nie zwięzłe, ale rozwlekłe, a nadto bez porównania przystępniejsze, popularniejsze: słuchaczami kazań świętokrzyskich byli zapewne uczeni zakonnicy, gnieźnieńskich — prości ludzie.

Urywek z kazania o ś. Bartłomieju. Dziatki miłe! Nasz Krystus miły jest On swe święte apostoły temuto nauczał był, kakoćby[1] na tymto świecie miedzy krześcijany bydlić[2] mieli. A przetoć On rzekł jest był k nim, rzekąc tako: *Estote prudentes*, bądźcie tako mądrzy, jakoć są wężewie mądrzy, iżci, napirwsze, wąż tęto mądrość ma, iż, gdyż ji[3] chcą zabić, tedyć wąż on swą głowę kryje, a o całość on nic nie dba; a takież ci święci apostoli sąć oni to byli czynili. Alеć nawięce[4] święty Bartłomiej jest on to był czynił, iżeć on swe głowy, toć jest miłego Krystusa, jest był szonował. Wtóreć przyrodzenie jest to wężewe, iże, gdyż się on chce odmłodzić, tedyć więc on je gorzkie korzenie, a potem więc on wlezie w dziurę ciasną, a tako więc on tamo z siebie starą skórę sejmie[5]. A takież my zrzućmy z siebie starą skórę, toć jest stare grzechy, a jedzmy teże gorzkie korzenie, toć jest, iżbychom na temto świecie niektórą mękę prze miłego Krystusa cirpieli na naszem ciele. A toć święty Bartłomiej jest on to był uczynił, iżci on skórę swego ciała prze miłego Krystusa dał jest był obłupić... Gdyż jest on króla teto ziemie Indye[6] jest był okrzcił,... tedy więc biskupowie teto iste[7] ziemie się byli zjachali, a świętego Bartłomieja się oni byli jęli, a do brata tego istego króla są go oni byli przywiedli; tedy więc tento isty król... świętego Bartłomieja kazał jest był na pręgę[8] zawiesić a miotłami ji bić i z jego ji skóry żywo obłupić... A przetoć on skórę swego ciała jest był zrzucił, iżbyć on koronę królestwa niebieskiego był zasłużył.[9]

Nad obydwoma tymi zbiorkami kazań góruje znacznie rozmiarami **Psałterz floryański,** *który też można nazwać pierwszą księgą polską.* Napisano ją w końcu XIV wieku. Jest to przekład 150 psalmów króla Dawida, dokonany przez nieznanego tłumacza z łaciny, przy pomocy przekładu czeskiego. Psałterz był w wiekach średnich w całym świecie chrześcijańskim najpoczytniejszą książką,

---

[1] jakoćby. [2] przebywać, żyć. [3] go. [4] najwięcej. [5] zdejmie. [6] przyp. 2 od „tato ziemia Indya“. [7] ten isty = ten sam. [8] słup. [9] W pisowni XIV wieku początek tego urywku wygląda tak: Dzathky mile nasz xt mily gest on swe swφthe appli temutho nauczal byl kakoczby na theto svecze medzy xpiany bydlicz mely. Apstocz on rzecl gest byl k nm rzekφcz tako: Estote pdentes bφczdcze tako mφdrzy gakocz szφ vφszeue mφdrzy.

na której najchętniej modlili się pobożni; to też nie ulega wątpliwości, że i u nas bardzo wcześnie przekładano psalmy, ale przekłady te zaginęły, i najstarszym znanym nam dzisiaj psałterzem polskim jest właśnie psałterz floryański, który nazywa się tak dla tego, że rękopism jego znajduje się dzisiaj w bibliotece opactwa ś. Floryana (w górnej Austryi); możliwą jest rzeczą, że na tym psałterzu modliła się królowa Jadwiga. Znaczenie psałterza floryańskiego polega na tem, że jest to największy zabytek języka staropolskiego przed wiekiem XV, że więc jest nieocenionem źródłem do poznania naszej dawnej mowy i jej gramatyki.

Psalm 90. Jenże[1] przebywa w pomocy Najwyższego, w zaszczyceniu[2] Boga nieba przebędzie. Rzecze Gospodnu: Przyjemca[3] mój jeś[4] Ty i utoka[5] moja, Bóg mój; pwać[6] będę weń. Bo On zbawił mie z sidła łowców i od słowa przykrego. Plecoma swoima zasłoni ciebie i pod piórmi Jego pwać będziesz. Szczytem[8] ogarnie ciebie prawda Jego; nie będziesz sie bać od strachu nocnego, od strzały, latającej we dnie, od potrzebizny[8], chodząc we ćmach, od biegu[9] i dyabła przepołudniego[10]. Upadną od boku twego tysiąc, i dziesięć tysięcy od prawic[11] twoich ku tobie zaprawdę nie przybliży sie. Zaprawdę wszako oczyma twyma uznamionasz[12] i odpłatę grzesznych uźrzysz. Bo Ty jeś, Boże, nadzieja moja, wysoki położył jeś utok[13] mój. Nie przystąpi k tobie złe, a bicz nie przybliży sie przybytkowi twemu. Bo angiełom swoim Bóg kazał o tobie, bychą[14] strzegli ciebie we wszech drogach twoich. W ręku nosić będą ciebie, aby nie uraził o kamień nogi twojej. Na żmii i na bazyliszku chodzić będziesz i podepczesz lwa i smoku. Bo w Mię pwał, zbawię ji, zaszczycę ji, bo poznał imię Moje. Wołał ku Mnie i wysłuszam ji; z nim jeśm w zamątce[15], wyjmę i sławić będę ji. Długość dni napełnię ji i pokażę jemu zbawienie Moje.

Jestto ten sam psalm, który we wspaniałej przeróbce Kochanowskiego zaczyna się od słów: „Kto się w opiekę poda Panu swemu“.

Z Pieśni religijnych XIV wieku dochowały się pieśni o Zmartwychwstaniu Pańskiem. Najstarsza, tłumaczona z łaciny, jest bardzo krótka, czterowierszowa:

---

[1] który. [2] zaszczycać = bronić. [3] obrońca. [4] jesteś. [5] ucieczka. [6] ufać. [7] szczyt = tarcza. [8] potrzebizna = potrzeba, przygoda. [9] bieg = = nabieg, najazd (nieprzyjaciela). [10] przepołudni = południowy. [11] z prawej strony. [12] będziesz oglądał. [13] ucieczka. [14] bychą — 3 osoba l. m. czasu przeszłego dokonanego (aorystu) od czasownika *być*. Czas ten odmieniał się w języku staropolskim tak. L. pojed: bych, by, by. L. podwójna: bychwa, byśta, byśta L. mnoga: bychom, byście, bychą. [15] zamątek = smutek.

Chrystus z martwych wstał je,
Ludu przykład dał je,
Eż [1] nam z martwych wstaci,
Z Bogiem królewaci. Kyrie.

Dłuższą jest inna pieśń wielkanocna, której treść stanowi przypomnienie wiernym o Męce Chrystusa, o Zmartwychwstaniu, o zstąpieniu do otchłani i o Wniebowstąpieniu; przy końcu pieśń zachęca wiernych do pokuty i zwraca się do Zbawiciela z błaganiem, aby nas uchował od wszystkiego złego. Składa się ta pieśń z dwunastu zwrotek.

1. Nas dla wstał z martwych Syn Boży;
Wierzyż [2] w to, człowiecze [zbożny,
Iż przez trud [3] Bóg swój lud
Odjął dyablej strożej [4].

2. Przydał nam zdrowia wiecz- [nego,
Starostę skował pkielnego [5];
Śmierć podjął, wspomionął
Człowieka pirwego [6];

3. Jenże trudy cirzpiał [7] bez- [mierne,
Jeszcze był nie prześpiał za- [wierne,
Aliż sam Bóg zmartwych- [wstał [8].

4. Adamie! Ty, Boży kmieciu!
Ty siedzisz u Boga w wiecu,
Domieściż nas, swe dzieci,
Gdzież królują angieli.

5. Była radość, była miłość,
Było widzenie Twórca
Angielskie bez końca.
Tuć się nam zwidziało [9]
Dyable potępienie.

6. Ni srebrem, ni złotem
Nas dyabłu odkupił,
Swą mocą zastąpił [10].

7. Ciebie dla, człowiecze,
Dał Bóg przekłuć sobie
Ręce, nodze obie;
Kry [11] święta szła z Boga
Na zbawienie tobie.

8. Wierzyż w to, człowiecze,
Iż Jezu Kryst prawy
Cirpiał za nas rany,
Swą świętą krew przelał
Za nas, krześcijany.

---

[1] iż, że. [2] wierzy — tryb rozkazujący od *wierzyć*; wierzyż = wierz-że. [3] męka. [4] stroża = straż, władza. [5] pkielny = piekielny; starosta pkielny = Lucyper. [6] pirwy = pierwszy; człowiek pirwy = Adam. [7] cirzpieć = cierpieć. [8] prześpieć = dojść do szczęścia. Zawierne = zaprawdę. Te dwa wiersze tak trzeba rozumieć: zaprawdę, Adam nie doszedł jeszcze do szczęścia (t. j. wciąż jeszcze męczył się w otchłani), kiedy sam Bóg zmartwychwstał. [9] zwidzieć się = okazać się. [10] zastąpić = obronić. [11] krew.

9. O duszy, o grzesznej
Sam Bóg pieczą ima[1],
Dyabłu ję odima[2];
Gdzie to sam króluje,
K sobie ję przyima.

10. Już nam czas, godzina
Grzechów się kajaci,[3]
Bogu chwałę daci,
Ze wszemi siłami
Boga miłowaci.

11. Maryja dziewice!
Prośmy Synka Twego,
Króla Niebieskiego,
Aza[4] nas uchowa
Ote[5] wszego złego.

12. Amen. Tako Bóg daj,
Bychom szli wszyćcy w raj.

W rękopisach średniowiecznych pieśń ta znajduje się tuż po pieśni Bogurodzica: przepisywano obydwie pieśni zawsze razem, a stąd dwie początkowo odrębne pieśni, jedna z XIII, druga z XIV wieku, zrosły się z sobą w jedną całość pod jedną wspólną nazwą pieśni Bogurodzica.

[1] imieć=mieć. [2] odimać=odejmować, odbierać. [2] kajać się czego=żałować czego, pokutować za co. [4] aza = czy nie, aby. [5] ot, ote = od, ode.

ROZDZIAŁ II.

Wiek XV.

Rozkwit Akademii Krakowskiej. Początki humanizmu.

§ 6. Wiek XV to epoka wielkiej potęgi państwa polskiego. Ślub Jagiełły z Jadwigą i ślub Litwy z Polską, zawarty przy końcu wieku XIV, teraz dopiero wydał owoce: dnia 15 Lipca r. 1410 na polach Grunwaldu i Tannenberga połączone wojska polskie i litewskie zadały straszliwą klęskę śmiertelnemu wrogowi Polski i Litwy, Zakonowi krzyżackiemu. Za panowania Kazimierza Jagiellończyka wybuchła nowa wojna z Krzyżakami; w roku 1466 stanął pokój toruński, mocą którego Polska posiadła ujście Wisły i brzegi morza Baltyckiego. Od tej chwili staje się Polska jednem z najpotężniejszych państw na świecie. Kraje sąsiednie ubiegają się o jej łaskę i przyjaźń, miasta niemieckie same błagają króla polskiego, by przyjął je w swoje poddaństwo; dynastya Jagiellonów, opromieniona bohaterską śmiercią króla Władysława pod Warną, zasiada na tronach czeskim i węgierskim; rozkwita gospodarstwo i handel zbożem (dzięki posiadaniu brzegów morza Baltyckiego), mnożą się bogactwa, wzrasta dobrobyt.

Jednocześnie zachodzą w wieku XV bardzo ważne zmiany w ustroju państwa polskiego. Niegdyś w Polsce książę miał władzę nieograniczoną, a później wielki wpływ na rządy wywierało duchowieństwo; teraz i stan świecki domaga się udziału w rządach. Już w XIV stuleciu, za panowania Ludwika Węgierskiego, szlachta wywalczyła sobie ważne przywileje (układ koszycki z r. 1374); po śmierci Ludwika możni panowie, korzystając z bezkrólewia, zaczęli sami rządzić państwem, a za panowania Władysława Jagiełły ich udział w rządach ciągle się wzmagał. Otóż za przykładem możnowładców poszła i szlachta, która, mając coraz to większą świadomość swojej potęgi, domagała się od Kazimierza Jagiellończyka wciąż nowych przywilejów; król musiał spełniać jej żądania, bo wiedział, że inaczej szlachta nie pójdzie na wojnę z Krzyżaka-

i. Tym sposobem Polska staje się w wieku XV państwem pa-
mentarnem: szlachta wybiera na sejmikach posłów i wysyła ich
a sejm walny, który zaczyna rządzić państwem, z coraz to więk-
szym uszczerbkiem władzy królewskiej.

Wraz z rosnącą potęgą Polski i ze wzmagającym się udziałem szlachty w życiu publicznem rozwija się oświata: *dawniej ludźmi wykształconymi byli tylko duchowni, teraz, w wieku XV, garną się do oświaty i świeccy, zwłaszcza mieszczanie i możni panowie.* Dlatego też literatura w wieku XV jest o wiele bogatsza, niż dawniej; po dawnemu posiada charakter jeszcze przeważnie kościelny, ale zdobywa się już na pierwsze utwory świeckie; obok najznakomitszego pisarza tego stulecia, księdza Jana Długosza, ukazuje się pierwszy znakomity pisarz świecki, magnat wielkopolski, Jan Ostroróg. Obydwaj piszą po łacinie, bo język łaciński ma ciągle jeszcze przewagę nad polskim, ale i utworów polskich jest w wieku XV bez porównania więcej, niż dawniej. Słowem, literatura rozwija się wcale pomyślnie.

§ 7. Głównem źródłem oświaty była w wieku XV akademia krakowska. Widzieliśmy (§ 4), że założona przez Kazimierza Wielkiego Szkoła główna w Krakowie upadła po śmierci swego założyciela; dopiero królowa Jadwiga pomyślała o jej wznowieniu, przeznaczając na nią własne klejnoty. Tym usiłowaniom zawdzięcza Polska swój przesławny uniwersytet: *w rok po śmierci świętej królowej, dnia 22 Lipca roku 1400, wydał Jagiełło ustawę, mocą której powstała w Krakowie „akademia“* (przy ulicy ś. Anny). Był to już uniwersytet zupełny (bo i na otworzenie wydziału teologicznego zezwolił papież), to jest składający się z czterech wydziałów: każdy, wstępujący do akademii, musiał naprzód zapisać się na wydział sztuk wyzwolonych (filozoficzny) i dopiero po jego ukończeniu obierał sobie jeden z trzech innych wydziałów: albo teologiczny, albo medyczny, albo prawny. Akademią zarządzała władza kościelna (kanclerzem, t. j. głównym zwierzchnikiem, był biskup krakowski); profesorami byli księża; uczniowie mieszkali razem, w tak zwanych bursach (pensyonatach), będących pod ścisłym dozorem zwierzchności.

Akademia szerzyła światło wiedzy po całej Polsce, nie tylko bowiem dawała wyższe wykształcenie, ale nadto zakładała w całym kraju szkoły średnie (tak zwane *kolonie akademickie*) i zarządzała niemi.

W wieku XV akademia krakowska rozwijała się świetnie; uczyli się w niej nie tylko Polacy, ale i cudzoziemcy: Niemcy, Czesi, Węgrzy, Szwajcarzy. Oddana nadewszystko nauce, nie zapominała jednak akademia o innych ważnych sprawach: profesorowie jej brali udział w obradach soborów powszechnych w Kon-

...azylei, gdzie zwrócili na siebie powszechną uwagę ...ością; na soborze w Konstancyi rektor akademii, Paweł ...kowic, bronił wymownie i skutecznie spraw polskich przeciw podłym intrygom Krzyżaków, którzy po dawnemu rościli ... prawo do nawracania Litwy. Posługując się, jak wszystkie ... średniowieczne, językiem łacińskim zarówno w wykładach ... i w pismach, troszczyła się akademia o język ojczysty, i jeden z rektorów, Jakub Parkosz, napisał rozprawę łacińską i wiersz polski o ortografii polskiej, którą usiłował ujednostajnić. Na cały świat cywilizowany zasłynęła akademia znakomitymi teologami (Mateusz z Krakowa, Jakub z Paradyża, ś. Jan Kanty), ... tykami, astronomami, z których najznakomitszym był Wojciech z Brudzewa: na jego to wykłady uczęszczał przy końcu XV wieku Mikołaj Kopernik. *Najgorliwiej jednak uprawiała akademia krakowska tak zwaną scholastykę.*

Scholastyką nazywa się nauka średniowieczna, której głównem zadaniem było uzasadnić prawdę dogmatów religijnych i wogóle nauki Kościoła za pomocą rozumowania. Nic nowego nauka ta nie odkryła i odkryć nie mogła: od dogmatów i wogóle od Pisma świętego nie wolno jej było odstępować ani na jeden krok, chodziło tylko o to, aby wszystko, czego uczył Kościół katolicki, uzasadnić rozumowo: stąd uczeni średniowieczni wysilali się na wyszukiwanie dowodów i tym sposobem rozwijali sprawność i bystrość swojej myśli. Myśleć zaś rozumować i dowodzić uczono się z pism największego uczonego starożytnej Grecyi, Arystotelesa, który uchodził w wiekach średnich za najwyższą powagę naukową i w którego naukę o świecie (nieruchoma ziemia jest środkiem wszechświata) ślepo wierzono. Najznakomitszym scholastykiem był uczony włoski, ś. Tomasz z Akwinu (w wieku XIII), który, zdaniem współczesnych, spełnił w zupełności to, co było zadaniem scholastyki, to jest drogą rozumowania dowiódł prawdy całej nauki Kościoła o Bogu, świecie i człowieku: tym sposobem skończyła się właściwa scholastyka i odtąd coraz to więcej traciła charakter naukowy, rozstrząsając zagadnienia, już nic wspólnego z nauką nie mające, siląc się np. na to, aby odpowiadać na tak bezsensowne pytania: czy Jezus Chrystus mógłby zbawić świat, gdyby się był urodził nie człowiekiem, lecz osłem? ile aniołów może się zmieścić na końcu szpilki? i t. p.

Kiedy więc powstała akademia krakowska, scholastyka w Europie zachodniej była już w upadku. Otóż profesorowie krakowscy podjęli na nowo badania scholastyczne, to jest na nowo badali naukę Kościoła katolickiego i uzasadniali ją za pomocą rozumowania; nauki wykłady scholastyki nie wzbogaciły, ale dla umysłowości polskiej XV-go wieku były niezmiernie pożyteczne: scholastyka uczyła młode głowy polskie myśleć, rozumować, badać, zastanawiać się nad Bogiem, światem i człowiekiem

jednem słowem, *scholastyka była u nas w wieku XV pożyteczną gimnastyką umysłową.* (Z pośród scholastyków krakowskich wsławił się swemi pismami Jan z Głogowy).

§ 8. *Największą chlubą akademii krakowskiej w wieku XV jest jej uczeń, najznakomitszy pisarz polski tego stulecia i jeden z najznakomitszych w całej ówczesnej Europie, pierwszy nasz historyk, kanonik krakowski,* **Jan Długosz** (1415—1480), wierny sługa i przyjaciel Zbigniewa Oleśnickiego, nauczyciel i wychowawca synów Kazimierza Jagiellończyka, pod koniec życia mianowany arcybiskupem lwowskim. Z akademii krakowskiej wyniósł serdeczne przywiązanie do Kościoła katolickiego i głęboki szacunek dla jego potęgi i władzy; a pod wpływem potężnego biskupa krakowskiego, Zbigniewa Oleśnickiego, którego był sekretarzem i którego olbrzymimi majątkami zarządzał, nabrał przekonania, że wszyscy ludzie, najmniejsi i najwięksi, nie wyjmując króla, powinni być pokornymi sługami Kościoła. Oprócz religijności znamionowała go rzadka w wiekach średnich, bardzo żywa i mocna miłość ojczyzny, i ona to sprawiła, że, kiedy Oleśnicki namawiał go do napisania dziejów Polski, Długosz z niesłychanym zapałem i nadzwyczajną pilnością zabrał się do pracy i, jak sam powiada, „postanowił spisać kronikę dziejów Polski i innych narodów, z Polską graniczących, i wyłuszczyć sprawy, dokonane w pokoju i wojnie, aby cnych ludzi pamięć z martwych i długowieczną pomroką okrytych wydobyć popiołów, a wszystkim czytelnikom i słuchaczom dzieje ich obwieścić". Owocem tej ciężkiej, niemal nadludzkiej pracy, do której wykonania autor szukał sił i pomocy w modlitwie, jest olbrzymia, na dwanaście ksiąg podzielona, *Kronika Polski*: opowiedział w niej Długosz szeroko i szczegółowo dzieje swej ukochanej ojczyzny od najdawniejszych czasów aż do roku swej śmierci, to jest do roku 1480, a poprzedził je geografią kraju ojczystego. Do wykonania tego pomnikowego dzieła zgromadził Długosz wszystkie możliwe źródła: zbadał nie tylko dawne roczniki i kroniki polskie, ruskie i niemieckie, ale nadto, jak mówi, „wszystko, co po kościołach, składach pism i różnych miejscach było rozproszone, starał się pozbierać i, jakkolwiek związawszy, wciągnąć" do swego dzieła; *nikt w całej Europie średniowiecznej nie dorównał mu w pilnem gromadzeniu źródeł.* Te zaś źródła starał się Długosz zużytkować *krytycznie*, to jest sprawdzać ich wiarogodność; „usuwał więc na bok i odrzucał niektóre podania... które zdają się trącić baśniami i podobniejsze są do marzeń poetyckich, niż do historycznych powieści". Rozumie się, że ten krytycyzm jest jeszcze bardzo słaby; Długosz, jak wszyscy ludzie średniowieczni, jest łatwowierny: więc nie odrzucił wielu podań, trącących baśniami, np. o Popielu, Krakusie, Wandzie i t. d.; wierzył, że planety wywierają wpływ na życie człowieka i narodu, że ko-

mety są zapowiedzią nieszczęść; wierzył, że za panowania Bolesława Wstydliwego „w okolicy Krakowa zjawił się dziw rozgłośny, nad którym się wielu zdumiewało: nowonarodzone dziecię płci męskiej już w chwili przyjścia na świat miało zęby i mówiło dobrze i wyraźnie, co oboje, t. j. zęby i mowa, zostały mu aż do chrztu; ale, kiedy tylko je ochrzczono, zaraz utraciło zęby i postradało mowę“, i t. p. Wogóle nie zawsze umiał Długosz odróżnić prawdy od nieprawdy, podania lub pogłoski od faktu; dlatego też nie brak w jego kronice opowiadań, z prawdą niezgodnych, jak np., że Władysław Warneńczyk złamał przysięgę, idąc na bój z Turkami (nie złamał, bo jej nie składał). Czasem znów nie mówi Długosz prawdy *naumyślnie*, przemilczając różne zdarzenia, o których dobrze wiedział, a nawet przekręcając je: tłumaczy się to wielką miłością Kościoła katolickiego i Polski; tak np., o tem, że na Litwie już przed rokiem 1386 krzewiono chrześcijaństwo według obrządku wschodniego, że Olgierd był już chrześcijaninem, Długosz dobrze wiedział, a jednak milczy o tem w kronice,—w tym celu, aby cała zasługa zaprowadzenia wiary chrześcijańskiej na Litwie przypadła w udziale Kościołowi katolickiemu i Polsce. Często również powodował się osobistą miłością albo niechęcią względem poszczególnych ludzi: wynosi np. pod niebiosa Zbigniewa Oleśnickiego, bo kochał go całem sercem, a o Kazimierzu Jagiellończyku wydaje często sąd zbyt surowy, bo nie darował mu tego, że nie chciał być pokornym sługą Kościoła; ale, kiedy Kazimierz Jagiellończyk zwyciężył Krzyżaków, nie szczędzi mu pochwał, ciesząc się serdecznie, że jego ukochana ojczyzna nową pokryła się chwałą: „I ja, piszący te kroniki, czuję niemałą pociechę z ukończenia wojny pruskiej, z odzyskania krajów, zdawna od Królestwa polskiego odpadłych, i przyłączenia Prus do Polski; bolało mnie to bowiem, że Królestwo polskie szarpane było dotąd i rozrywane przez rozmaite ludy i narody; teraz szczęśliwym mienię i siebie i swoich spółczesnych, że oczy nasze oglądają połączenie się krajów ojczystych w jedną całość; a szczęśliwszym byłbym jeszcze, gdybym doczekał, za łaską Bożą, odzyskania i zjednoczenia z Polską Śląska, ziemi lubuskiej i słupskiej: z radością zstępowałbym do grobu i słodszy miałbym w nim odpoczynek“. *Wogóle Długosz jest pisarzem stronniczym* (*tendencyjnym*). Pomimo to wszystko, jak na wiek XV, jego kronika jest krytyczną, i to właśnie pozwala nazwać ją historyą, pierwszą *historyą* Polski.

Na nazwę historyka zasługuje Długosz i z tego jeszcze powodu, że stara się wykryć przyczyny i skutki wypadków; innemi słowy, *dzieło jego posiada już pewien pragmatyzm.* Będąc człowiekiem głęboko religijnym, ślepo wierzącym w Boga, jako sprawiedliwego sędziego, który za grzech karze, a za cnotę nagradza, Długosz za przyczynę nieszczęść narodu poczytuje zbrodnie i grzechy, a szczęście poczytuje za skutek cnót i zasług, i z takiego to stano-

wiska zapatruje się na całe dzieje swej ojczyzny: „Mężobójca-Popiel, wraz z synami swymi zjedzony od myszy, z woli Boga słusznej uległ zatracie.... Piast za cnotę ludzkości i gościnności otrzymał tę łaskę, że go odwiedzili aniołowie, a potomstwo jego na tronie Polski szczęśliwie zasiadło.... Bolesław Chrobry, rzadki, nawet u panujących, wzór cnoty, przez koronacyę wywyższony, został nad wszystkich książąt słowiańskiego rodu.... Bolesław Śmiały, kiedy.... targnie się zuchwale na męża Bożego i, dopełniwszy na nim morderstwa, śmie nadto usprawiedliwiać swą zbrodnię, wtedy okazuje się drugim dla Polaków Popielem i, cokolwiek Polska za dawniejszych królów i książąt pozyskała chwały i zaszczytu, to wszystko niweczy.... Od czasu dokonania zabójstwa na mężu świętym, Stanisławie, biskupie krakowskim, ręką niezbożną Bolesława, króla polskiego, i jego rycerstwa, straciła Polska godność królewską, a rozdrobniona na mnogie dzielnice,.... przestaje być ciałem jednem i potężnem, zszedłszy do stanu niedoli i podległości.... Przeróżne klęski spadają na Polskę, ale najgorszą z nich — napad Tatarów w r. 1241.... Przez długi czas zaniedbana kanonizacya ś. Stanisława przyszła nareszcie do skutku w r. 1253.... I oto łaskawość Baranka Niebieskiego, który w niezbadanych wyrokach Opatrzności swojej nad wszystkiem czuwa i wszystkiem rozumem swym rządzi, ulitowała się nad wielorakiem poszarpaniem Królestwa polskiego, dała się przebłagać za zbrodnię.... i postanowiła potargane ciało Królestwa polskiego.... zjednoczyć na nowo i wrócić mu dawną chwałę i świetność: wlał Bóg ducha w męża dzielnego, Przemysława, który ku temu wszystkie swoje starania zwrócił i zabiegi, aby ocalić szczątki ojczyzny swojej, nazbyt utrapionej i nieszczęśliwej, podnieść ją do godności królestwa i w jedno połączyć państwo.... Za przyczyną ś. Stanisława odnosi Łokietek walne zwycięstwo pod Płowcami nad Zakonem krzyżackim.... Kazimierz Wielki za zbrodnię gwałtu, popełnioną, kiedy jeszcze bawił na dworze węgierskim, ulega karze: świetnymi były jego rządy, ale potomstwo jego pomsta Boża wygubiła.... Później zaś inny postępek nieprawy, z obrazą religii chrześcijańskiej popełniony przez panów polskich, którzy katolickiego wyznawcę, Wilhelma, księcia Austryi, odepchnąwszy sromotnie od prawej małżonki, mimo jej opór i wzbraniania się, połączyli ją z Jagiełłą, człowiekiem dzikim i w pogaństwie wychowanym,—karał potem Bóg sprawiedliwy Polaków niezdarnym rządem i królami, więcej Litwinom, niż Polsce, sprzyjającymi“.

Kronika Długosza jest dziełem olbrzymiej wartości i wielkiego znaczenia: przez obszerność swoją i szczegółowość jest najcenniejszem i najbogatszem źródłem znajomości średniowiecznej historyi ojczystej; a przez obfitość nagromadzonych i zużytkowanych źródeł i przez dążenie autora do krytycyzmu i pragmatyzmu jest kronika Długosza dziełem, przerastającem poziom kronik średnio-

wiecznych i zbliżającem się do poziomu historyi; pisana jest nadto bardzo zajmująco, niekiedy nawet bardzo żywo i pięknie, językiem łacińskim, bez porównania poprawniejszym, niż kroniki dawniejsze. Dopiero w wieku XVIII miała Polska historyka (Adama Naruszewicza), który dorównał Długoszowi pracowitością i zasługą.

Bitwa pod Grunwaldem (w skróceniu). We wtorek, w dzień Rozesłania Apostołów, 15 Lipca, król Władysław postanowił przed świtem wysłuchać mszy św.; ale dla silnego i gwałtownie wiejącego wiatru nie można było tak śpiesznie, jak nakazano, zatknąć i rozwinąć namiotu, w którym zwykle odprawiano nabożeństwo, bo, co rozwinięto płótna, to je wiatr zrywał. Już wreszcie i dzień nastał, a wiatr począł się wzmagać gwałtowny. Gdy więc dla ciągłej zawiei niepodobna było kaplicy królewskiej mocno ustawić, za radą wielkiego książęcia Aleksandra ruszył król obozem; a uszedłszy przestrzeń dwumilową, w której widzieć można było płonące do koła włości nieprzyjaciół, stanął na polach wsi Rudy i Grunwaldu, mających się wsławić przyszłą w dniu tym bitwą, i pomiędzy gajami i gąszczami, które zewsząd to miejsce zakrywały, kazał rozbić namioty, a kaplicę obozową ponad jeziorem Lubnem na wyniosłym ustawić pagórku, aby przez ten czas, gdy wojsko rozmieszczać się miało na swoich stanowiskach, mógł wysłuchać nabożeństwa. Już mistrz pruski, Ulrych Jungingen, ściągnął do wsi Grunwaldu, którą miał swoją upamiętnić klęską, i zblizka stanął ze swojem wojskiem, a czaty królewskie jeszcze go nie dostrzegły. Po rozwinięciu więc kaplicy obozowej, kiedy król śpieszył do niej na nabożeństwo, przybiegł Hanek, szlachcic ziemi chełmskiej, herbu Ostoja, z oznajmieniem, że nieprzyjaciela widział już o kilkanaście kroków od obozu. A gdy król zapytał, jak liczne było jego wojsko, Hanek odpowiedział, że jedną tylko ujrzał chorągiew i natychmiast z doniesieniem o niej pośpieszył. Ledwo te słowa domawiał, kiedy przybył Dersław Włostowski, szlachcic herbu Oksza i oznajmił, że widział nadchodzące chorągwie nieprzyjaciół. Jeszcze i ten mówić nie skończył, a już nadbiegł trzeci, po nim czwarty, piąty i szósty, którzy zgodnie powtarzali, że nieprzyjaciel tuż pod obozem stał w gotowości do boju. Król Władysław, tak nagłem i niespodziewanem nadejściem nieprzyjaciela niezmieszany, za najważniejszą rzecz osądził, aby wprzódy oddać powinność Bogu, nimby do wojny przystąpił. Zarazem, udawszy się do kaplicy obozowej, wysłuchał z wielkiem nabożeństwem dwuch mszy, a prosząc Boga o pomoc, z większą, niż zwykle, modlił się gorącością ducha, i żadne prośby i zaklęcia nie zdołały oderwać króla od nabożeństwa, póki go do ostatka nie skończył...

Wreszcie król skończył modlitwy, a przywdziawszy zbroję, świetnym od głowy aż do nóg okrył się rynsztunkiem. A chociaż

rycerstwo, uszykowane w porządne hufce, wystąpiło już do boju i nieprzyjaciel z przeciwnej strony stał w gotowości i z orężem w ręku, tak, iż oba wojska zaledwo na rzut strzały były od siebie oddalone, i już nawet pojedyncze między niemi zagrały harce: uważano przecież za rzecz przyzwoitą, aby czekać, aż król sam wyda hasło do spotkania. Zaczem król Władysław w pełnej zbroi, siadłszy na konia, a wszystkie oznaki królewskie zostawiwszy na boku, dla obaczenia nieprzyjaciela podjechał na wyniosłe wzgórze i stanął na pagórku, między dwoma gajami szeroko rozłożonym, skąd łatwy i dokładny podawał się widok na wojska nieprzyjacielskie. Napatrzywszy się do woli zastępom nieprzyjaciół, zjechał na równinę i wielu z towarzyszów pasem rycerskim ozdobił; dla dodania zaś swoim serca krótką, ale silną, zagrzał ich przemową, a sam z konia tak, jak na nim ubrany siedział, ponowił jeszcze spowiedź. Gdy wytrąbiono hasło bojowe, wszystko wojsko królewskie zaśpiewało pieśń ojczystą „Bogurodzica“, a potem z podniesionemi kopiami pobiegło do bitwy. W tej samej chwili obadwa wojska z głośnym, jak zwykle przed walką, okrzykiem zwarły się z sobą w nizinie, która je przedzielała. Krzyżacy, dwakroć uderzywszy z dział, silnem natarciem napróżno usiłowali przełamać i zmieszać swych przeciwników szyki, lubo wojsko pruskie z głośniejszym krzykiem i z wyższego pagórka ruszyło do walki. Było w miejscu spotkania sześć wysokich dębów, na które powłaziło wiele ludzi, czy królewskich, czy krzyżackich, dla przypatrzenia się z góry pierwszemu na siebie nieprzyjaciół natarciu i obu wojsk powodzeniu. Tak straszny za ich spotkaniem z wzajemnego uderzenia kopii, chrzęstu ścierających się zbroi i szczęku mieczów powstał huk i łomot, że go na kilka mil w okolicy słychać było. Mąż na męża napierał, kruszyły się z trzaskiem oręże, godziły w twarz wymierzone wzajem groty. W tem zamieszaniu i zgiełku trudno rozróżnić było dzielniejszych od niewieściuchów; wszyscy bowiem jakby w jednym zawiśli tłumie. I nie cofali się wcale z miejsca, ani jeden drugiemu ustępował pola, aż gdy nieprzyjaciel, zwalony z konia albo zabity, rum [1] otwierał zwycięzcy. Gdy nakoniec połamano kopie, zwarły się z sobą tak silnie obu stron szyki i oręże, że już tylko topory i groty, na drzewcach ponasadzane, tłukąc o siebie, przeraźliwy wydawały łoskot, jakby bijące w kuźniach młoty. Jeźdźcy, ściśnieni w natłoku, szablą tylko nacierali na siebie, i sama już wtedy siła, sama dzielność osobista przeważała...

W czasie toczącej się z zaciętością z obu stron bitwy stał Władysław, król polski, zblizka i przypatrywał się dzielnym czynom swoich rycerzy, a położywszy zupełną ufność w Bogu, oczekiwał spokojnie ostatecznego pogromu i ucieczki nieprzyjaciół, których widział na wielu miejscach złamanych i pierzchających.

---

[1] wolne miejsce.

Tymczasem wystąpiło do boju szesnaście pod tyluż znakami hufców nieprzyjacielskich, świeżych i nietkniętych, które jeszcze nie doświadczyły oręża; a część ich, zwróciwszy się ku tej stronie, gdzie król polski stał z przyboczną tylko strażą, pędziły z wymierzonemi włóczniami, jakby prosto ku niemu. Wrzał gorącą chęcią boju król Władysław i, spinając konia ostrogami, chciał rzucić się na najgęstsze szyki nieprzyjacielskie; ledwo drużyna przybocznej straży zdołała go wstrzymać w zapędzie. Jakoż jeden z drużyny, Zoława, Czech, chwycił sam konia królewskiego za wędzidło, aby nie mógł dalej postąpić, aż król zniecierpliwiony uderzył go z lekka końcem swej rohatyny[1], wołając, aby go puścił, a nie bronił mu wyruszyć do walki. Dopiero, gdy wszyscy rycerze straży królewskiej oświadczyli, że wolą raczej na wszystko się odważyć, niżli tego dopuścić, zezwolił na ich prośbę i dał się powstrzymać. A wtem dobiega rycerz z obozu Prusaków, Niemiec, nazwiskiem Dypold Kikierzyc, złotym pasem opięty, w białej podbitej kiecce niemieckiego kroju, którą u nas jupką albo kaftanem zowią, i cały okryty zbroją, towarzysz ze znaku większej chorągwi pruskiej, do owych szesnastu należącej, i rozpędzony na koniu bułanym dociera aż do miejsca, kędy król stał, a wywijając włócznią, godzi prosto na króla wobec całego wojska nieprzyjacielskiego. Gdy więc król Władysław, podn.'słszy także włócznię, czekał jego spotkania, Zbigniew z Oleśnicy, pisarz królewski, prawie bezbronny, bo w ręku miał jedno drzewce wpół złamane, uprzedził cios królewski, a ugodziwszy w bok owego Niemca, zwalił go z konia na ziemię. Padł struchlały, a drżącego z bojaźni król Władysław uderzywszy włócznią w czoło, które z opadnięciem przyłbicy odsłoniło się rycerzowi, zostawił go wreszcie nietkniętym. Ale rycerze, trzymający straż przy królu, ubili go na miejscu, a piesze żołdaki zdarły z zabitego odzież i zbroję.

Wojsko krzyżackie, szesnaście owych chorągwi składające, spostrzegłszy, że pomieniony rycerz trupem poległ, zaraz zaczęło się cofać na hasło jednego z Krzyżaków, dowódcy chorągwi, który, siedząc na białym koniu, kopią dawał znak do odwrotu i wołał po niemiecku: *herum*, *herum!* Zwróciwszy się potem, ruszył na prawo, kędy stała wielka chorągiew królewska, już po zadanej klęsce nieprzyjaciołom, wraz z innemi chorągwiami polskiemi. Rycerze królewscy, ujrzawszy te szesnaście chorągwi, jedni, poznawszy w nich nieprzyjaciół, jak rzeczywiście było, drudzy, wziąwszy je za wojsko litewskie, a to z przyczyny lekkich i rzutnych włóczni, zwanych sulice, których w wojsku krzyżackiem wielka była liczba,—nie zaraz uderzyli na Krzyżaków; spierali się bowiem z sobą i długo byli w niepewności; wreszcie, wyprowadzeni z błędu, nie wątpiąc już o nieprzyjacielu, w kilkanaście chorągwi

[1] włócznia

rzucili się na owe szesnaście znaków, do których przyłączyły się i inne, i krwawą z nimi stoczyli bitwę. A lubo Krzyżacy przez jakiś czas wytrzymali natarcie, w końcu jednak, przeważną liczbą wojsk królewskich zewsząd otoczeni, pobici zostali na głowę. Prawie wszystko rycerstwo, walczące pod owymi szesnastu znakami, legło na placu lub dostało się do niewoli. Po zniesieniu zatem i rozbiciu całej potęgi nieprzyjacielskiej, przyczem także Wielki Mistrz pruski, Ulryk, marszałkowie, komturowie, rycerze wszyscy i najznakomitsi w wojsku pruskiem panowie poginęli, reszta nieprzyjaciół poszła w rozsypkę, a raz tył podawszy, pierzchała ciągle w popłochu.

Władysław, król polski, nierychłe wprawdzie i ciężkim okupione trudem, zupełne jednak nad mistrzem i Krzyżakami odniósł zwycięstwo. Obozy nieprzyjacielskie, zasobne w wielkie bogactwa i zapasy, wozy i wszystek sprzęt wojenny Mistrza i rycerstwa pruskiego, polski żołnierz opanował i złupił. Znaleziono zaś w obozie krzyżackim kilka wozów, naładowanych samemi dybami i okowami, które Krzyżacy, z pewnością rokując sobie zwycięstwo, więcej przyszłym tryumfem, niżeli bitwą, zajęci, do pętania Polaków przygotowali. Były i inne wozy, pełne łuczywa smolnego, a oblanego łojem i smołą, kiścieni, także smołą i tłustością wysmarowanych, którymi Polaków pobitych i uciekających gnać mieli przed sobą. Zawcześnie cieszyli się zwycięstwem, z pychą zaufani w siebie i niepomni, że zwycięstwo jest w ręku samego Boga.

Legło w tej bitwie 50,000 nieprzyjaciela, a 40,000 wzięto do niewoli.

Życie, obyczaje i ułomności Władysława Jagiełły (w skróceniu). Był on synem Olgierda, księcia litewskiego, nazwiskiem Jagiełło; zrodzony z Maryi, córki księcia twerskiego, który był wyznawcą Kościoła greckiego.... Za łaską i miłosierdziem Boga, który go w poczet prawowiernych chrześcijan policzyć raczył, przez prałatów i panów polskich z ciemnoty pogańskiej do światła wiary nawrócony, przyjął chrzest i otrzymał imię Władysław. Po chrzcie świętym połączył się ślubem małżeńskim z Jadwigą, królową węgierską i polską, córką Ludwika, króla węgierskiego; a po jej śmierci miał jeszcze trzy żony: Annę, Elżbietę i Zofię, z żadną jednak nie żył w szczerej i prawdziwej miłości małżeńskiej. Wzrostu był miernego, twarzy ściągłej, chudej, u brody nieco zwężonej. Głowę miał małą, podłużną, prawie całkiem łysą;... oczy czarne i małe, niestatecznego wejrzenia, ciągle latające; uszy duże, głos gruby, mowę prędką, kibić kształtną, lecz szczupłą, szyję długą. Na trudy, zimna, zawieje i kurzawy dziwnie był cierpliwy.... Sypiać i wczasować się lubił aż do południa, to też mszy świętej rzadko o właściwym czasie słuchał. W prowadzeniu wojen niedbały i ciężki, wszystko staranie na wodzów i zastępców składał. Łaźni za-

zwyczaj co trzeci dzień, a niekiedy częściej, używał. Do rozlewu krwi ludzkiej tak był nieskory, że często największym nawet winowajcom karę odpuszczał. Dla poddanych i zwyciężonych okazywał się dziwnie łaskawym i wspaniałym; tylko tym, którzy mu na łowach i w innych rozrywkach zawinili, nigdy nie mógł przebaczyć. W ludziach umiał dostrzegać cnoty i, nie zawiścią, ale przychylnością, mierząc czyny i zasługi swego rycerstwa, każdą sprawę chwalebną, czy to w wojnie, czy w pokoju spełnioną, hojnie i wspaniale nagradzał: małą rzeczą ludzi czynił odważnymi, odważnych bohaterami, gotowymi do największych dzieł i poświęceń... Nierozważną szczodrością i rozrzutnością więcej krajowi czynił uszczerbku, niż inni chciwością i łakomstwem. W myślistwie był tak bardzo zamiłowany, że zaniedbywał sprawy państwa, czem słuszne na siebie ściągał zarzuty. Lubił patrzeć na bujającą w jego oczach huśtawkę. Co tydzień, w Piątek, z wielką wstrzemięźliwością pościł, poprzestając na chlebie i wodzie. Zawsze trzeźwy, wina ani piwa nie pijał. Jabłek i ich zapachu nie cierpiał, jadał za to pokryjomu smaczne i słodkie gruszki. Do spełniania obrządków i obowiązków chrześcijańskich częstemi pobudzany przestrogami królowej Jadwigi, w święta Wielkanocy, Zesłania Ducha ś., Wniebowzięcia N. Maryi Panny i Narodzenia Pańskiego przystępował do ś. sakramentów pokuty i ołtarza; ale po jej śmierci obyczaj ten ograniczył do samych świąt Narodzenia Pańskiego i Wielkanocy... Corocznie, w Wielki Piątek, dwunastu ubogim w swojej komnacie, w obecności kilku tylko sekretarzy, nogi umywał, a potem każdemu z nich dawał po 12 groszy, tudzież sukno i płótno na przyodziewek.... Posty, wigilie i inne nabożeństwa tak żarliwie wypełniał, że więcej zwycięstw modlitwami swemi u Boga wyprosił, niżli orężem wywalczył. Szczery i prostoduszny, nie miał w sobie żadnej obłudy.... Ozdób powierzchownych i szat wytwornych nie lubił; chodził zwykle w baranim kożuchu, suknem pokrytym; rzadko brał na siebie strój wykwintniejszy, np. płaszcz z szarego aksamitu, bez ozdób i bez złotogłowu, i to tylko na większe uroczystości. W inne dni nosił odzież prostą, żółtawej barwy; nie cierpiał soboli, kun, lisów i innych miękkich a kosztownych futer: przez całe życie używał tylko zwyczajnych baranków, nawet w najostrzejszej porze zimowej.... Miał niektóre zwyczaje zabobonne: wyrywał włosy z brody i, powplatawszy je między palce, wodą ręce obmywał; zawsze, nim z domu wyszedł, trzy razy obrócił się w koło, złamał słomkę na trzy części i ciskał je na ziemię. Nauczyła go tego wszystkiego matka, greckiego wyznania; ale dlaczego i w jakim celu to czynił, nigdy w życiu nikomu nie powiedział, ani też to łatwo zgadnąć. Powiadają, że często powtarzał, niby przysłowie, to zdanie: „Słówko z ust wyleci ptaszkiem, ale, jeśli było niedorzeczne i chcesz je cofnąć, wróci wołem“. Miał także zwyczaj upominać żartem rycerzy, żeby w boju

nie stawali nigdy na przodzie, ani w ostatnim szeregu, ale też nie chowali się do środka. Po jedzeniu kładł się zwykle i wypoczywał; spał długo, a wstawszy z łóżka, szedł prosto do ustępu, gdzie, także długo wysiadując, wiele czynności układał i załatwiał, a nigdy nie był przystępniejszym i łatwiejszym, jak wtedy: to też wszyscy korzystali zwykle z takiej pory, aby wyjednać sobie u niego to, czego pożądali.

§ 9. Pomimo że akademia krakowska uprawiała nadewszystko dwie główne nauki średniowieczne: scholastykę i teologię, już w pierwszej połowie XV stulecia przedostawały się do niej z Zachodu, mianowicie z Włoch, nowe prądy nauki i nowe prądy życia, które znane są w historyi pod nazwą *humanizmu*.

Człowiek średniowieczny posiadał bardzo małą wolność czynów i myśli: jego czyny krępował Kościół, który rozkazywał zarówno zwyczajnym ludziom, jak panującym, a i myśl nie miała swobody: każdy musiał myśleć tak, jak kazał Kościół, w badaniach naukowych nie wolno było dochodzić do wyników, niezgodnych z nauką Kościoła. Otóż przyszedł czas, że człowiek zaczął się buntować przeciwko tej niewoli i powoli zrzucać z siebie krępujące go pęta; ten zwrot w życiu i umysłowości Europy zachodniej rozpoczął się we Włoszech jeszcze w wieku XIV, a dokonał się dzięki odrodzeniu literatury starożytnych Rzymian, a później i Greków. *Humanizmem więc nazywa się prąd życia i umysłowości, który powstał dzięki odrodzeniu literatury starożytnej, a którego główną cechą jest dążność do wolności czynów i wolności myśli.*

W wiekach średnich prawie zupełnie nie znano w Europie zachodniej autorów greckich (do wyjątków należał Arystoteles, w lichych przekładach łacińskich); autorów rzymskich wprawdzie znano, ale, po pierwsze, nie wszystkich, a po drugie, nie odczuwano piękności literatury rzymskiej, szukając w niej wyłącznie mądrości. Dopiero poeci i uczeni włoscy XIV, a zwłaszcza XV wieku, zaczęli ją nie tylko badać, ale kochać i uwielbiać, żywo odczuwając jej piękność: tym sposobem odradzała się literatura rzymska. W wieku XV, kiedy po zdobyciu Konstantynopola przez Turków uczeni greccy zaczęli wędrować na Zachód, niosąc z sobą rękopismy autorów greckich, odrodziła się i literatura grecka. Olśnieni pięknością autorów starożytnych, pisarze włoscy zaczęli ich naśladować, posługując się prawie wyłącznie językiem łacińskim, tylko już nie zepsutym średniowiecznym, ale poprawnym „klasycznym“, t. j. takim, jakim pisywali znakomici autorowie rzymscy.

Podziwiano w pisarzach starożytnych nie tylko mądrość i piękność, ale także ich swobodę twórczości i myśli badawczej, której żadne pęta nie krępowały. Ta zaś miłość pogańskiej literatury

Greków i Rzymian i przejęcie się jej duchem nie dały się naturalnie pogodzić z chrześcijańską nauką kościelną; to też humaniści (t. j. znawcy i wielbiciele literatury starożytnej) wypowiedzieli walkę i nauce średniowiecznej i wogóle życiu średniowiecznemu, wyszydzając tych, którzy się bali lub nie pragnęli wolności myśli, a więc nadewszystko mnichów i zwolenników scholastyki. Wogóle humaniści zaczęli krytykować wszelkiego rodzaju powagi, czy to życiowe (Kościół i państwo), czy naukowe (teologia i scholalastyka).

Lecz humanizm nie tylko burzył i niszczył, ale wznosił i budował: rozwijał w ludziach poczucie piękna, a co najważniejsza, pobudził umysł ludzki do samodzielnych badań nad człowiekiem (jego ciałem i duszą), nad czynami ludzkimi (np. nad państwem i jego rządami) oraz nad światem, nad naturą; innemi słowy, humaniści stworzyli nowe podstawy dla nauki o człowieku i nauk przyrodniczych, które się w wiekach średnich bardzo słabo rozwijały.

Ale miał humanizm i cechy ujemne. Humaniści burzyli często nie tylko naukę Kościoła średniowiecznego, ale i moralność chrześcijańską: przejęci duchem literatury pogańskiej, podziwiając wolność myśli Greków i Rzymian, posunęli się zbyt daleko w dążeniu do osobistej wolności, rozumiejąc ją fałszywie i przewrotnie, jako możność postępowania tak, jak się każdemu podoba, i nie krępowali się zasadami moralności. Dlatego to świetnemu rozkwitowi życia umysłowego we Włoszech w XV i XVI wieku towarzyszył upadek moralności.

Z Włoch rozpowszechniały się te nowe prądy życia po całej Europie zachodniej i dotarły do Polski. Po raz pierwszy poznali je ci Polacy, którzy byli obecni na soborze powszechnym w Konstancyi (1414 — 1418), to jest uczeni, i oni to przywieźli z sobą do kraju wiadomości o nowem życiu. Od tej chwili rodzi się powoli i w Krakowie zapał dla autorów rzymskich i chęć pisania i mówienia tak pięknym językiem łacińskim, jak oni. Na dworze Zbigniewa Oleśnickiego nie brakło już humanistów. A i w akademii krakowskiej ukazał się nauczyciel, uchodzący za pierwszego naszego humanistę: *Grzegorz z Sanoka* (zmarły arcybiskupem lwowskim w roku 1477), który już w pierwszej połowie XV stulecia wykładał z wielkim zapałem sielanki Wirgiliusza, uwydatniając ich piękno, i te wykłady cieszyły się podobno wielkiem powodzeniem. Scholastyki Grzegorz z Sanoka nie cierpiał, nie wierzył ślepo w powagi średniowieczne (ośmielał się np. krytykować Kadłubka), życie prowadził zbyt wesołe, rozumiał wartość nauk przyrodniczych, a nadewszystko kochał literaturę rzymską i sam pisywał wiersze łacińskie, naśladując poetów rzymskich. Ale poezyi tych prawie zupełnie nie znamy, te zaś, które znamy, bynajmniej nie dowodzą wybitniejszego talentu ich autora: wogóle

wszystko prawie, co wiemy o Grzegorzu z Sanoka, zawdzięczamy opowiadaniu jego przyjaciela, a był nim humanista włoski, *Filip Buonacorsi*, zwany *Kallimachem* [1], który, wygnany z Rzymu za wolnomyślność, długo tułał się po świecie, aż nakoniec przywędrował do Polski i, doznawszy gościnności od Grzegorza z Sanoka, osiadł we Lwowie, później zaś dostał się na dwór królewski i był nauczycielem synów Kazimierza Jagiellończyka, a po jego śmierci—doradcą króla Olbrachta. Otóż Kallimach, który w Polsce niejedno napisał dzieło (pomiędzy innemi, życiorys Grzegorza Sanoka i historyę Władysława Warneńczyka), niemało przyczynił się do tego, że królewicze i dworzanie królewscy przejęli się zamiłowaniem literatury starożytnej; innemi słowy, Kallimach krzewił w Polsce humanizm. Krzewili go i inni cudzoziemcy-humaniści, np. poeta niemiecki, *Konrad Celtes*, oraz różni uczeni i poeci ze Śląska. Pomimo to wszystko *humanizm rozwijał się u nas w wieku XV bardzo powoli i bardzo słabo: przejęły się nim jedynie najwyższe warstwy społeczeństwa.* Wobec tego i na literaturę XV wieku humanizm wywarł wpływ bardzo niewielki: byli wprawdzie poeci, którzy pisywali wiersze łacińskie, ale nic pięknego nie napisali.

§ 10. Za to proza polsko-łacińska XV stulecia posiada dziełło, krótkie, ale wybitne, które powstało już pod bardzo wyraźnym wpływem humanizmu, ożywione w znacznej części duchem już nie średniowiecznym, ale nowożytnym. Dziełko to, napisane za panowania Kazimierza Jagiellończyka, ma tytuł: „Memoryał w sprawie uporządkowania Rzeczypospolitej“ (*Monumentum pro Reipublicae ordinatione*); jego autorem jest *pierwszy nasz znakomity pisarz świecki, magnat wielkopolski*, **Jan Ostroróg** (zmarły w r. 1501, jako wojewoda poznański). W piśmie tem po raz pierwszy w literaturze polskiej uwydatnia się silnie znamienna cecha humanizmu: walka z powagami, a mianowicie krytyka państwa i krytyka Kościoła.

Dopatrując się wielu wad i niewłaściwości w państwie polskiem, Ostroróg pragnie je przekształcić, doradza więc, by zreformować skarb, wojsko, a zwłaszcza sądy i prawodawstwo. Mówi Ostroróg: „Niech będzie j e d n o prawo, wszystkich obowiązujące, bez żadnej osób różnicy;... jednem i tem samem prawem zarówno wszyscy mieszkańcy kraju mogą i powinniby się rządzić“; nie znaczy to, żeby Ostroróg domagał się równouprawnienia, skoro, jego zdaniem, kara za zabójstwo powinna być, jak dawniej, inna dla chłopów, a inna dla uprzywilejowanej szlachty; on żądał tylko, aby wszyscy bez wyjątku podlegali prawom krajowym, a tego właśnie nie było w Polsce, mieszczanie bowiem rządzili się prawem

[1] Kallimach—poeta grecki; humaniści lubili przybierać sobie imiona pisarzów starożytnych.

niemieckiem. Za najlepsze zaś prawo dla kraju poczytywał Ostroróg, który, jako humanista, był zapalonym wielbicielem literatury i nauki rzymskiej, prawo nie polskie, ale rzymskie, nie rozumiejąc, że, co było dobre dla Rzymu, to może być złe dla Polski.

Ale więcej jeszcze raził go średniowieczny stosunek państwa polskiego do Kościoła, oparty na posłuszeństwie panującego względem władzy kościelnej. Zresztą Kazimierz Jagiellończyk nie był już wcale pokornym sługą Kościoła, nad czem Długosz ubolewał, a z czego Ostroróg się cieszył, jego bowiem zdaniem, król polski, nie powinien znać nad sobą żadnej zwierzchności, prócz Boga, (i znów uwydatnia się tutaj znamienna cecha humanizmu: dążenie do wolności). Wogóle Polska, zdaniem Ostroroga, chociaż powinna zostać posłuszną papieżowi w rzeczach wiary, może i powinna sama rządzić swoim Kościołem katolickim, a więc np. wszelkiego rodzaju opłaty, które Polska wysyła do Rzymu, powinny być zniesione, Polska bowiem nie ma pieniędzy na wyrzucenie; biskupów powinien mianować nie papież, ale król polski, duchowieństwo nie powinno mieć osobnych przywilejów i t. d.

Te wszystkie i inne żądania wypowiada Ostroróg z nieznaną dawniej w Polsce pewnością siebie, z prawdziwie młodzieńczym zapałem i z wielką dumą narodową. Zdając sobie już jasno sprawę, że Polska to naród wielki i potężny, Ostroróg szczyci się tem, że jest Polakiem, i odzywa się z niechęcią o cudzoziemcach (pomimo że wykształcenie swoje zawdzięczał podróżom za granicę), zwłaszcza o Niemcach, osiadłych w Polsce. Ta duma narodowa stanowi wybitną cechę jego pisma.

Dziełko Ostroroga jest utworem bardzo ważnym: jest mianowicie pierwszym silnym głosem, żądającym dokonania różnych zmian w państwie polskiem, innemi słowy, jest początkiem naszej literatury politycznej.

O powinszowaniu papieżowi nowoobranemu. Odwiedzić nowego papieża, powinszować mu tego wyniesienia, napomnieć i zachęcać, aby sprawiedliwie i świątobliwie Kościołem Chrystusa rządził. także oświadczyć i wyznać, że król z całem królestwem wiarę katolicką zachowuje: w tem wszystkiem nie widzę nic złego; ale, żeby roztropną było rzeczą obiecywać posłuszeństwo we wszystkiem (jak to zwykle papieżowi obiecują), — na to żadną miarą nie przystanę. Sprzecznością bowiem jest co innego mówić, a co innego czynić. Twierdzi król polski (i słusznie, bo nikomu nie ulega!), że, prócz Boga, nie zna nad sobą żadnej zwierzchności: jakże to pogodzić z prawdą, jeśli mówić będziemy do papieża tak, jakeśmy dotychczas, winszując mu, mówili? Niech sobie nadal pozostaną odwiedziny, ale pod imieniem uszanowania, nie posłuszeństwa, bo to absurd, uwłaczający wolności króla polskiego!

O praw rozmaitości. Taka rozmaitość praw nie jest wcale dobra, że innem szlachta, innem plebejusze się sądzą, że jedno polskiem, drugie niemieckiem się zowie, a i to znowu jeszcze jest różnorodne, a tak zacięcie je u nas zachowują, jak gdyby Niemcy sami wyłącznie rozum wszelki posiedli. Taka mieszanina w jednem państwie nie zgadza się z rozumem. Niech więc będzie jedno prawo, wszystkich obowiązujące, bez żadnej osób różnicy: na rany i zabójstwa kara pieniężna i kryminalna niech zostanie ta sama, jaką przekazał dawny zwyczaj. Jeżeliby zaś uznano za potrzebne stosować, ze względu na różność stanów, inne prawo do plebejuszów, a inne do szlachty, — niechże i tamto nazywa się cywilnem, a nie niemieckiem; chociaż zdaje mi się, że jednem i tem samem prawem zarówno wszyscy mieszkańcy kraju mogą i powinniby się rządzić.

O dochodzeniu sprawiedliwości w Magdeburgu. Co za ogłupienie, co za niedbalstwo, co za wstyd i hańba i sromota! Jakaż potrzeba (czyli raczej głupota!) zniewala nas do tego, żeby w tem sławnem i wolnem królestwie trwał tak długo — ku wzgardzie króla, ku poniewierce możnych panów i ku niesławie całej wogóle społeczności szlacheckiej — zwyczaj szukania sprawiedliwości w Magdeburgu, i to u kogo? u brudnych i plugawych rzemieślników, u ludzi najniższej warstwy, którym, jak mniemam, tak daleko od stanu uczonych, że należy pogardzać nimi, jak najgorszemi szumowinami. Jak gdyby w całem naszem królestwie nie znalazł się ani jeden sprawiedliwy i biegły sędzia! Jak gdyby nam brakowało mężów mądrych, roztropnych i wykształconych! Ocućcie się raz przecie, waleczni mężowie! Zrzućcie z siebie tę hańbę sprośną i nie kalajcie się dłużej jej brudem, wstydźcie się — zaklinam was — takiej małoduszności, którąście się wszędzie wobec cudzoziemców osławili!

O kazaniach w jezyku niemieckim. O! co za ujma i osława dla wszystkich Polaków! Po wielu miejscach w świątyniach naszych odbywają się kazania po niemiecku, i to w miejscu wyniosłem i okazałem; słuchają ich jedna lub dwie baby, a tłumy Polaków duszą się gdzieś tam w kąciku ze swym kaznodzieją. Ponieważ zaś pomiędzy tymi dwoma językami (jak i pod innym jeszcze względem) samo przyrodzenie zaszczepiło wieczną niezgodę i nienawiść, napominam, aby w tym języku nie kazywano. Niech się uczy mówić po polsku ten, kto chce w Polsce mieszkać! Chyba, że takie z nas półgłówki, że zapominamy, iż Niemcy z naszym językiem podobnie obchodzą się u siebie. Jeżeli zaś potrzeba takich kazań dla przybyszów, niechże się one odbywają gdzieś na ustroniach bez ujmy dla godności Polaków!

§ 11. Kiedy proza polsko-łacińska XV wieku szczyci się tak znakomitem dziełem, jak kronika Długosza, i tak wybitnem, jak traktat Ostroroga, na prozę polską składają się prawie wyłącznie przekłady różnych pism religijnych, dokonane z języka łacińskiego, najczęściej przy pomocy przekładów czeskich. Są to więc, właściwie mówiąc, pomniki nie literatury, ale języka polskiego.

Tłumaczono modlitwy i pobożne rozmyślania, z których powstawały modlitewniki czyli książki do nabożeństwa, jak np. *Modlitewnik siostry Konstancyi*, *Modlitwy ubogiego Wacława*, *Modlitewnik Nawojki*, *Powieść o papieżu Urbanie* i t. d. Tłumaczono także legendy o świętych (np. *Żywot ś. Błażeja*). Psałterz floryański przepisano w wieku XV na nowo, zamieniając przestarzałe formy i wyrazy nowymi: jest to tak zwany *Psałterz puławski*, rękopism jego bowiem był niegdyś własnością biblioteki książąt Czartoryskich w Puławach (obecnie znajduje się w Muzeum Czartoryskich w Krakowie).

Najważniejszym zabytkiem języka polskiego XV wieku jest **Biblia królowej Zofii** czyli *Biblia Szarospatacka*—przekład Pisma świętego, dokonany dla czwartej żony Władysława Jagiełły, Zofii; do naszych czasów przechowała się tylko część rękopismu, która dziś znajduje się w bibliotece szkolnej w Szarospatak na Węgrzech. Początek tego zabytku, bardzo ważnego pod względem językowym, brzmi, jak następuje:

Na początce Bóg stworzył niebo i ziemię, ale ziemia była nieużyteczna a próżna, a ćmy były na twarzy przepaści[1], a Duch Boży na świecie nad wodami. I rzekł Bóg: bądź światło, i stworzono światłość. A użrzał Bóg światłość, iże jest dobra, i rozdzielił światłość dniem, a ćmy nocą i uczynił wieczór, a z jutra dzień jeden. Lepak[2] rzecze Bóg: bądź stworzenie wpośrzód wód, a rozdzielił wody od wód. I uczynił Bóg stworzenie i rozdzielił wody, jeżto[3] były pod stworzenim, od tych, jeż były nad stworzenim. I stało sie jest tako. I nazwał Bóg stworzenie niebem, i stał sie wieczór, a z jutra dzień drugi. Weżrzał lepak Bóg i rzekł: zgromadźcie sie wody, jeż to pod niebem są, w miasto jedno, a ukaż się suchość. I stało sie jest tako[4].

Lecz pobożnym ludziom średniowiecznym nie wystarczały dla zaspokojenia uczucia religijnego ani psałterze, ani modlitwy,

---

[1] = a ciemności były nad przepaściami. [2] zaś, lecz. [3] które-to.
[4] W pisowni XV wieku: Na poczϕtcze bog stworzyl nyebo y szemyϕ, alye szemya byla nyevszyteczna a proszna, a czmi bili na twarzy przepaszczy, a dvch boszy na szweczye nad wodamy. Y rzekl bog: bϕdz szwyatlo, y stworzono szwyatloszcz. A vszrzal bog szwyatloszcz, ysze gest dobra, y roszdzelyl szwyatloszcz dnyem, a czmi noczϕ y vczynyl wyeczor a z yu-

ani żywoty świętych, ani nawet Ewangelia: pragnęli oni poznać życie Jezusa Chrystusa i Matki Boskiej w najdrobniejszych szczegółach, a nie znajdując ich w Piśmie świętem, znajdowali je — we własnej fantazyi; w ten sposób powstało w Europie średniowiecznej mnóstwo t. zw. *apokryfów*, to jest *powieści religijnych*, których treścią jest właśnie życie Zbawiciela i Maryi, opowiedziane tylko w małej cząstce na podstawie Pisma świętego, głównie zaś wysnute z bujnej fantazyi. Apokryfy pisywano pierwotnie po łacinie, a z łaciny tłumaczono je na różne języki narodowe. Otóż i w Polsce tłumaczono powieści religijne, a najobszerniejszą z nich i najciekawszą jest **Rozmyślanie o żywocie Pana Jezusa**, będące połączeniem w jedną całość kilku apokryfów łacińskich. Treścią jest życie Joachima i Anny (rodziców Najświętszej Panny) i Pana Jezusa od dzieciństwa aż do męki krzyżowej. Większa część zawartych tu szczegółów nie ma nic wspólnego z Ewangelią. Dowiadujemy się np., że, kiedy się Pan Jezus urodził, cesarz August ujrzał na niebie dziewicę z dzieciątkiem, na ziemię spadł miód, i rzeki stanęły na całe trzy godziny; że podczas ucieczki do Egiptu ś. Józefowi i Maryi wskazywały drogę różne zwierzęta, jakoto „łosiowie, lwowie, niedźwiedziowie, zząbrowie [1], łanie, jelenie, turowie, wsłoniowie, sarny, liszki, małpy, gronostaje, rysiowie, leśne i polne zwierzęta"; że już od małego dziecka Jezus czynił rozmaite cuda, np.

O wodzie, któraż nosił Matce swej, a jako dzbany rozbite czynił cało. Studnia była blizko Nazareta, k niejże chodzili są często, a nosił wodę swej Matce. Takoż jednego dnia szedł, nosząc dzban w ręku, gdzież silną dziwną rzecz pokazał. Bo, ten istny dzban, co w ręku nosił, rozbiwszy, i naczyrpał wody w podołek swego odzienia i nosił, jako wiedrze, i niedna [3] kropia [4] nie ukanęła [5]. Uźrzawszy to, ine dzieci rozbiły swoje dzbany i jęły czyrpać wodę podołki, ale woda, podług swego przyrodzenia, przeszedszy przez chusty, i wyciekła dziurami przez chusty. Tako ony, lęknąwszy sie wrócić do domu, ale płakały, siedząc pospołu u studnie. Tedy Jezus kazał im, aby zebrały swoje dzbany. Tako dzieci, zebrawszy ty istne skorupy, i położyły przed nogi Jezu Krystusowemi.

tra dzen geden. Lepak rzecze bog: bφφdz stworzenye w poszrzod wod a rozdzelyl wodi od wod. Y vczynil bog stworzenye y rozdzelyl wodi, gesto bili pod stworzenym, ot tich, gesz bili nad stworzenym. Y stalo sze gest tako. Y nazwal bog stworzenye nyebem i stal sze wyeczor a z yutra dzen drugi. Weszrzal lepak bog y rzekl: zgromaczczye sze wodi, geszto pod nyebem sφ w myasto gedno, a vkasz szφ svchoszcz, a stalo szφ gest tako.

[1] ząbr = tygrys. [2] ten sam. [3] ani jedna. [4] kropla. [5] kanąć = kapnąć.

Tako Jezus, ony skorupy przeżegnawszy, i kazał im,.... aby każde złomienie natychmiast aby sie wróciło i przyłączało sie swemu stawu. Tako nagle ony skorupy nagle sie samy zlepiły, a takoż ty istne sądy[1] złomiony były potem całe, i dzbany, które sie w małe skorupy złamały, były całe natychmiast, jako przedtem. Tako to uźrzały dzieci, wielikiem weselem wezmą swoje wiadra i naczyrpały je wody i wróciły sie do domu z wieliką radością, dziwiąc sie temu dziwu wielikiemu.

Czcienie[2] o tem, jako słali Jezusa po ogień Marya i Józef. Kiedy miły Jezus swej Matce posługował, wezwawszy, i posłała po ogień. Tedy On, wziąwszy węgla w łono swej suknie, poniósł. Chcąc takież ine dzieci uczynić, i zeżgły sobie suknie, a nie śmiały do domu, ale stały na ulicy, płacząc, a rzekąc, iże sam czarownik nam szkodę czyni; a przydąc do domu, skarżyły macioram, iże on czarownik kazał nam, bychmy brali ogień w suknie, i zeżgliśmy suknie sobie. Bieżawszy ony, i skarżyły Józefowi i Maryej. A miły Jezus kazał im suknie zwlec i uczynił im zasie całe, jako pirwej.

O tem, jako miły Jezus zawieszał dzban na promieniu słonecznym. Kiedy miły Jezus nosił wodę swej miłej Matce, którąż Ona chciała pić, tako, zawiesiwszy sąd na promieniu słonecznym, i ciągnął za sobą słońce, jako powróz, z tem wiadrem.

Tłumaczono z łaciny i *powieści świeckie*, napoły historyczne, napoły fantastyczne. Najulubieńszą była **Historya Aleksandra Macedońskiego;** część pierwsza, osnuta na tle historycznem, opowiada o wojnach największego wojownika starożytności; druga, nie mająca już z prawdą dziejową nic wspólnego, mówi o podróżach Aleksandra po różnych krainach fantastycznych, zamieszkanych przez dziwożony, olbrzymie mrówki, wielkoludów, psiogłowców i t. d. Kończy się powieść nauką moralną o znikomości człowieka i spraw jego (bo ludzie średniowieczni ze wszystkiego wyciągali sens moralny, nawet z opowiadań bezsensownych i niemoralnych).

Jako gdy Aleksander prosił wiedzieć głębokość morską. Potem weszło Aleksandrowi w serce, iżeby szukał głębokości morskiej, iżeby sie też badał o wszelkich rodzajach ryb. A natychmiast kazał k sobie wezwać szklarze i przykazał im, aby uczynili kadź szklaną jasną, aby wszytki rzeczy mogły być widziany przez ono szkło. I stało sie jest tak. Potem kazał onę kadź łańcuchy żelaznymi uwiązać i kazał dzierżeć co namocniejszym rycerzem. A on, wszedszy w onę kadź szklaną, i kazał dziurę zalać smołą warzoną i wpuścił sie w głębokość morską. I widział tamo roz-

[1] sąd = naczynie. [2] czytanie.

maite wyobrażenie ryb i rozmaite farby, mając na sobie wyobrażenie źwierząt ziemie; a chodząc po ziemi na dnie w morzu, ony źwierzęta deptały owoce nogami drzew, które się rodziły w morzu. A ony to morskie dziwy przychodziły blizko jego, a zasie uciekały. I widział też wiele inszych dziwów, których nie chciał żadnemu człowieku objawić dlatego, iżeby się ludziem widziały być niedowierzające. Czas jego mieszkania w wodzie, który powiedział rycerzom swoim Aleksander, przyszedł był, i wyciągnęli go na górę z wody.

Potem, ruszywszy zastępu [1], i szedł jest na brzegi morza Czerwonego i stanowił sie [2] na miescu, gdzie naleźli źwierzęta, które miały na głowach kości, jakoby piły żelazne, a ostre, jako miecz, któremi biły rycerze Aleksandrowy i ich pawęże [3] przebijały, a zwano je, ony źwierzęta, jenorożce. A wszekoż ich pobili ośm tysiąc i pięćset i pięćdziesiąt. Potem, ruszywszy zastępu, i przyszli na miesce puste na morzu Czerwonem i do Arabiej, na którychto miescach było wężów bardzo wiele, a były tamo ony węże dziwnej wielkości, mając na głowie rogi, jakoby skopowie, którymi zabijali rycerze Aleksandrowy, a wszekoż ony rycerze pobili wielkość onych wężów.

§ 12. *Poezya polska XV wieku jest o wiele oryginalniejsza od prozy. Najbogatszy jej dział stanowią pieśni religijne.* Układano je dla tych nadewszystko, co po łacinie nie umieli, a więc dla kobiet i prostaczków; nie silono się na sztukę: w sposób najprostszy, często bardzo naiwny, ale szczery i serdeczny, wypowiadano swoje uczucia religijne, zwłaszcza głęboką cześć ku Najświętszej Pannie: pieśni o Matce Boskiej czyli *pieśni maryjne* są najliczniejsze. Ich „składacze" (t. j. autorowie) są po większej części nieznani; dochowały się np. tak zwane *pieśni łysogórskie*, których jednym ze składaczów był podobno jakiś Słopuchowski, ale życia jego zupełnie nie znamy.

Wśród tych pieśni łysogórskich jedna chwyta za serce prostotą i rzewnością; jej treścią jest żałosna **Skarga Matki Boskiej pod Krzyżem.**

Zamąt czaszki dostał sie mnie, ubogiej żenie,
Widząc rozkrwawione me miłe narodzenie.
Czaszka moja miała krwawą godzinę,
Widząc niewiernego Żydowina,
Iż on bije, męczy mego miłego Syna.
    Synku miły i wybrany,
    Rozdziel z matką swoje rany!
    A wszakom Cię, Synku miły, w swem sercu nosiła,
    A takież Tobie wiernie służyła...
    Przemów k Matce, bych sie ucieszyła,
    Bo już idziesz ode mnie, moja nadzieja miła!

[1] zastęp = wojska. [2] rozłożył się obozem. [3] pawęża, pawęż = tarcza.

Synku! Bych Cię nizko miała,
Niecoć bych Cię wspomagała,
Twoja główka krzywo wisa,—tęćbych ja podparła.
Krew po Tobie płynie,—tęć bych ja utarła.
Picia wołasz,—piciać bych Ci dała,
Ale nielża dosiądz Twego świętego ciała!...
O, Angiele Gabryjele,
Gdzie jest ono Twe wesele,
Cożeś mi go obiecował tako bardzo wiele,
A ja pełna smutku i żałości!
Spróchniało we mnie ciało i moje wszytki kości...

Wyrazem uwielbienia względem Maryi jest **Pieśń o Zwiastowaniu**, napisana przez jakiegoś Macieja z Raciąża. We wstępie autor napomina słuchaczów, by uważnie posłuchali pieśni:

Mocne Boskie tajemności
O Maryjej wielebności,
Krześcijaństwo, wierze wierne,
I nabożne, a i śmierne [1].
Racz tego posłuchać!

Następuje krótkie opowiadanie o tem, że Pan Bóg przeznaczył Maryę na Matkę Zbawiciela, i o ś. Annie. Najświętsza Panna

Z skarbu Boskiej głębokości
Wyszła krasą swej cudności.
Miedzy kapłany w świątości,
Miedzy pannami we cności
Rosła ku obrzędu.
Panna, będąc wielmi [2] młoda,
Już prosiła o to Boga,
By też sama matką była,
Coby Krysta porodziła
I panną została.

Kiedy przyszedł Archanioł, zwiastując Jej, że będzie matką Zbawiciela, „Maryja, dzieweczna śmierna, stała, jak róża czyrwiona". Po opisaniu Zwiastowania autor wypowiada swój zachwyt względem Maryi:

Ani lilija białością,
Czyrwona róża krasnością,
Ani nardus swą wonnością,
Zamorski kwiat swą drogością
Maryjej sie równa.
Maryja miedzy kwiaty kwiat:
Służbę Jej dawa wszystek świat;
Z Jej wielkiej wielebności
Szukajmy u Niej miłości.
Wszelki wierny sługa!

. . . .

Mistrz Maciej o Tobie pisze
Wszemu ludu ku uciesze,
By sie k Tobie uciekali,
Swoje krzywdy powiadali,
Boś Ty ich rzecznica [3].
Tego domu racz być stróża,
Ty jeś, Panno, rajska róża,
Panno miłościwa!
A kto Tobie służbę dawa,
Swoim grzechom odpust ima
I wieczną koronę.
O Maryja, Panno czysta,
Raczy nam być miłościwa
Ku swemu Synu rzecznica

[1] śmierny = pokorny, cichy. [2] bardzo. [3] orędowniczka.

O wiele mniej, niż pieśni maryjnych, dochowało się **kolend** z XV wieku. Najstarsza, zapisana w pierwszej połowie tego stulecia, brzmi tak:

Chrystus sie nam narodził,
Jenż dawno powieszczon był,
W Betleem, żydowskiem mieście,
Z Panny Maryjej czyście.
Hallelujah!

Gdy pasterze w nocy paśli,
Stanął przy nich anioł spaśny [1],
Którzy, widząc jasność Boską,
Bali sie bojaźnią cieżką.
Hallelujah!

Rzekł im anioł: „Nie bójcie sie,
„Ale owszem weselcie sie:
„Narodził sie Zbawiciel wam,
„Który rzeczon Krystus Pan“.
Hallelujah!

Teraz wszyscy śpiewajmy,
A Panu Krystusowi dziękujmy,
Bo przysłusza śpiewać z anioły [w radości:
Chwała Tobie na wysokości!
Hallelujah!

Najwięcej zasług około pisania i rozpowszechniania pieśni polskich położyli Bernardyni, wśród których wyróżnił się błogosławiony **Ładysław z Gielniowa,** znakomity kaznodzieja, a jednocześnie poeta — *pierwszy poeta polski, którego znamy już nie tylko z imienia, ale i z czynów*: z kazań i pobożności. Ułożył on, pomiędzy innemi, obszerną pieśń o Męce Pańskiej, pieśń, która przez długi czas była bardzo popularna; jest to właściwie poemacik epiczny, pisany wierszem trzynastozgłoskowym, a składający się z 27 zwrotek czterowierszowych. Oto kilka zwrotek.

Jezusa Judasz przedał za pieniądze nędzne:
Bóg Ociec Syna wydał na zbawienie duszne;
Jezus, kiedy wieczerzał, swe Ciało rozdawał,
Apostoły swe smutne swoją Krwią napawał.

Jezus w ogrodziec wstąpił z swymi miłośniki,
Trzykroć sie Ojcu modlił za wszytki grzeszniki;
Krwawy pot przezeń płynął dla boja wielkiego.
Duszo miła, oglądaj miłośnika swego!

Żydowie za Nim biegli do ogrojca Jego
Z świecami, z pochodniami, z kijmi i z włóczniami,
Jakoby na onego złodzieja wielkiego,
Nie dbając, iż Bóg Ociec zesłał Syna swego.

. . . .

Jezus z miasta wywiedzion, krzyżem uciążony,
Ku łotrom jest przyłączon, jak robak wzgardzony.
Matka mu zabieżała, chciała ji oglądać,
A kiedy go ujrzała, jęła rzewno płakać...

Jezus z krzyżem podniesion—patrzcie, krześcijany!
Miedzy łotry postawion, drogą krwią oblany.
Od Żydów jest naśmiewan, gdy na krzyżu wisał.
Jezus, miłosierny Pan, wszytko skromnie cierpiał.

[1] jasny, błyszczący.

Jezus, miłościwy Pan, gdy na krzyżu wisiał,
Żółcią z octem napawan, jak prorok powiadał.
Jezus, gdy już umierał, wielkim głosem wołał:
„Heli, heli, Ojcze mój, czemuś mię opuścił?“...

Jezusa umarłego stworzenie płakało,
Pana swego miłego barzo żałowało;
Słońce sie jest zaćmiło, ziemia barzo drżała,
Opoki sie padały, groby otwarzały....

O Jezu Nazarański, o królu żydowski,
Obroń lud krześcijański od mocy pogańskiej,
Dla Twej miłej Matuchny odpuść nasze złości,
Daj po naszem skonaniu niebieskie radości!

Najlepszym utworem naszej średniowiecznej poezyi religijnej jest **Hymn o Duchu świętym,** napisany przez nieznanego autora w końcu XV wieku; treścią jest uwielbienie Ducha ś., jako hojnego szafarza łask niebieskich, i prośba o żywot wieczny. Wiersz tego hymnu jest już wcale gładki, a niektóre wyrażenia już wcale piękne, co dowodzi rozwoju i postępu poezyi religijnej.

Pomóż mi, Święty Dusze, Twoję chwałę mnożyć,
Bych mógł nieco dobrego ku Twojej czci złożyć:
Przez Ciebie nic dobrego nie mogę wyłożyć;
Ku rządnemu składaniu raczyż mię sposobić [1]!

Pisze Paweł apostoł w epistole [2] jawnie,
Iż rozdawasz, komu chcesz, swoje dary pewnie:
Dawasz zdrowie rozkoszne, komu jedno raczysz.
I rozumu przymnażasz, kiedy Ty czas baczysz.

Ty rozdawasz wykłady Pisma głębokiego [3],
By ludzie nie błądzili do wieku wiecznego;
Kogokoli nauczysz po swej woli chodzić,
Na wiek wiekom nie może ku złemu ugodzić.

Nie przebierasz w personach, jek ludzie mnimają,
Którzy tylko wielmożnym cześć, chwałę dawają;
Kłamają-ć sie [4] częstokroć ludzie na postawie,
Jedno Ty wszystko widzisz, coć jest w sercu, prawie [5].

Masz okrasy niebieskie, w nich często przebywasz,
A i w sercach pokornych często odpoczywasz;
Gdziekoli Ty nawiedzisz, tu wypędzisz grzechy,
A po sobie zostawisz niebieskie uciechy.

---

[1] racz pomódz mi do dobrego ułożenia tego wiersza. [2] epistoła = list. [3] pomagasz do zrozumienia tajemnic Pisma ś. [4] oszukują się. [5] prawdziwie.

Ucieszmy Towarzyszu niebieskiego rządu,
Uchowaj nas żałości koniecznego [1] sądu,
Nie daj złemu pociechy nad swojem stworzeniem,
Ale racz nas darować niebieskiem bydleniem [2]!
Gdy przydzie ta godzina, miły Święty Dusze,
Przykaż swoim aniołom zabrać nasze dusze!

Pieśni religijne to jedyny utwór naszej poezyi średniowiecznej, który przetrwał całe wieki; drukowano je później po t. zw. kancyonałach (śpiewnikach), a niektóre, np. „Chrystus sie nam narodził“, i dziś jeszcze śpiewają pobożni.

§ 13. Z wieku XV dochowały się najstarsze *legendy wierszowane*, z których najlepiej opracowaną jest **legenda o ś. Aleksym** (nieznanego autora). Podobnie, jak Hymn o Duchu ś., zaczyna się od t. zw. inwokacyi: autor prosi Boga o pomoc do napisania wiersza.

Ach! Królu wieliki nasz,
Coż Ci dzieją [3] Mesyjasz!
Przydaj rozumu k mej rzeczy,
Me serce Bóstwem obleczy [4],
Raczy mię mych grzechów zbawić,
Bych mógł o Twych Świętych prawić!
Żywot jednego Świętego,
Coż miłował Boga swego,
Cztę [5] w jednych księgach o nim:
Kto chce czytać, ja powiem.

W Rzymie jedno panię było,
Coż Bogu rado służyło.
A miał barzo wielki dwór:
Prócz panosz [6] trzysta rycerzów....
Chował sieroty i wdowy,
Dał im osobne trzy stoły.
Za czwartym pielgrzymi jedli;
Ci ji do Boga przywiedli.
Eufamijan jemu dziano
Wielkiemu temu panu,
A żenie dziano Aglijas;
Ta była ubóstwu w czas [7].

Byli wysokiego rodu;
Nie mieli po sobie płodu:
Więc-ci jęli Boga prosić,
Aby zaś je tem darował,
Aby jedno plemię dał.
Bóg tych prośby wysłuchał.
A gdy mu sie syn narodził,
Ten się w lepsze przygodził;
Więc mu zdziano Aleksy,
Ten był oćca barzo lepszy.

W dwudziestym czwartym roku życia Aleksy z rozkazu ojca ożenił się; lecz tuż po ślubie, za zgodą żony, opuścił ją i poszedł w świat:

Nabrał sobie złota dosyć,
Co go mógł piechotą nosić;
Więc sie na morze wezbrał,
A ociec w żałości ostał....
Więc to święte plemię
Przyszło w jednę ziemię.
Rozdał swe rucho [8] żebrakom,
Srebro, złoto popom, żakom.
Więc sam pod kościołem siedział,
A o księstwie nikt nie wiedział....
Ano z wirzchu szła przygoda:
Niegdy mróz, niegdy woda.

---

[1] konieczny=ostateczny. [2] bydlić=mieszkać, przebywać. [3] dziać = nazywać. [4] tryb rozkazujący od *oblec*. [5] cześć = czytać. [6] panosza = młody rycerz, giermek. [7] wspierała ubogich. [8] ruchomości.

Eż[1] sie stało w jeden czas:
Wstał Matki Bożej obraz,
Szedł do tego człowieka,
Jen sie kluczem opieka,
I rzekł jest tako do niego:
„Wstani, puści człeka tego,
„Odemkni mu kościół Boży,
„Ać[2] na tym mrozie nie leży“.
Żak sie tego barzo lęknął,
Wstawszy, kościół odemknął.
To sie nie jedną[3] dziejało,
Ale sie często dziejało.
Więc żak powiedał każdemu —
I staremu i młodemu.
A gdyż to po nim uznali,
Wieliką mu fałę[4] dali:
Za świętego ji trzymano,
Wiele mu prze Bóg[5] dawano.
Steskszy sobie[6], ociec jego
Prze swego syna jedynego,
Rozsłał po wszym ziemiam lud
I zadał im wielki trud;
Strawili wieliki pieniądz,
Swego księdza[7] szukając.

Znaleźli go wreszcie w „Jelidoczni“ (w Laodycei w Azyi Mniejszej), lecz Aleksy nie chciał jeszcze wracać i nadal tułał się po świecie; wreszcie powrócił do Rzymu:

Na żórawiu[8] oćca swego
Potkał i jął prosić jego:
„U imię Syna Bożego
„I dla syna Aleksego,
„A racz mi swą jełmużnę dać,
„Bych mógł ty odrobiny brać,
„Co będą z twego stoła padać“.
Jego ociec to usłyszał,
Iż synowo imię wspomniał,
Tu silno rzewno zapłakał;
Więc ji Boga dla chował.
Gdy usłyszał taką mowę,
Zawił sobie płaszczem głowę;
Tu sie był weń zamęt wkradł,
Mało eże z mostu nie spadł.
Podał mu szafarza swego,
Ten mu czynił wiele złego.
Tu pod wschodem leżał,
Każdy nań pomyje, złą wodę lał.

Nie poznany przez nikogo, szesnaście lat mieszkał Aleksy w domu ojcowskim; czując, że się śmierć zbliża, spisał swe życie na kartce i, zacisnąwszy ją mocno w dłoni, umarł.

Tu sie wielki dziw zstał:
Samy zwony zwoniły
Wszytki, co w Rzymie były.
Więc sie po nim pytano,
Po wszytkich domach szukano.
Nie mogli go nigdziej najić[9],
A wżdy nie chcieli przestać.
Jedno młode dziecię było,
To im więc wzjawiło:
„Aza[10] wy nie wiecie o tem,
„Kto to umarł? Jać wam powiem:
„U Eufamijana leży,
„O jimże[11] ta fała bieży:
„Pod wschodem ji najidziecie,
„Ać go jedno szukać chcecie!“

Więc tu papież z kardynały,
Cesarz ze swymi kapłany
Szli są k niemu z chorągwiami,
A zwony wżdy zwoniły samy...
Chcieli mu list[12] z ręki wziąć,
Nie mogli go mu wziąć:
Ani cesarz, ani papież,
Ani wsztko kapłańs-wo takież....
Jedno przyszła żona jego
A ściągła rękę do niego,

[1] eż, eże = aż. [2] niech. [3] jedną = jeden raz. [4] fała = chwała. [5] w imię Boga. [6] stęskniwszy się. [7] ksiądz = książę. [8] na moście. [9] ić = iść; najić = najść, znaleźć. [10] azali. [11] o którym. [12] karta.

Eż jej w rękę wpadł list....
A gdy ten list oglądano,
Natemiesce uznano,
Iż był syn Eufamijanów.

Ze wszystkich utworów naszej średniowiecznej poezyi ta legenda jest najlepszym wyrazem ideału średniowiecznego, którym było życie nie rodzinne, ale samotne, ascetyczne, pełne dobrowolnych upokorzeń i utrapień.

§ 11. Osobny dział poezyi religijnej XV wieku stanowią *wiersze religijno-dydaktyczne*, mające na celu zachęcić człowieka do pobożności, zohydzić mu grzech, wpoić w jego serce bojaźń przed śmiercią bez pokuty. Tu należy np. **Skarga umierającego**, *pierwsza elegia polska*. Na łożu śmierci leży człowiek i jęczy:

Ach! mój smętku, ma żałości!
Nie mogę się dowiedzieci,
Gdzie mam pirwej nocleg mieci,
Gdy dusza z ciała wyleci;

żal mu się rozstawać z majątkiem i dziećmi, ale nadewszystko trapi go niepokój o zbawienie duszy, na które nie pracował, bo zbyt lubił uciechy światowe i pieniądze, których marność teraz dopiero poznaje:

Gdzie ma siła? ma robota?
Głupiem robił po ty lata.
Pięć miar płótna, ośm stóp w grobie
Tylkom sam urobił sobie.

Halerzem łakomo zbierał,
Swój żywot rozpustnie chował:
Prze ta dwa bogi przeklęta [1]
Nie czciłem żadnego święta.

Jałmużnym nędznym nie dawał,
Ofierym Bogu nie czynił,
Ni z pirwiny [2], ni z nowiny [3]
Bogum nie dał dziesięciny.

Kędy to mój rozum głupi!
Sobiem był szczodr, Bogu skąpy:
Com kiedy Bogu poślubił,
Tegom nigdy nie uczynił.

Leży ciało, barzo stęka,
Duszyca się barzo lęka,
Bóg się z liczby upomina,
Dyabeł na grzechy wspomina.

Młotem moje pirsi biją,
Dusza nie śmie wynić szyją:
Widzi niebo zatworzone,
Widzi piekło otworzone.

Lecz jest niezawodny środek do uspokojenia tych wyrzutów sumienia i zażegnania tego niepokoju: skrucha, spowiedź i św. sakramenty,—oto sens moralny tego wiersza:

Kwap się rychło do spowiedzi,
Kapłana w swój dom przywiedzi,
Płacz za grzechy, przyjmi świętość:
Boże ciało, święty olej!...

Najdłuższym, najciekawszym i najudatniejszym wierszem poezyi religijno-dydaktycznej i wogóle całej polskiej poezyi śred-

---

[1] liczba podwójna. [2] pirwina = pierwociny, t. j. pierwsze owoce, pierwsze zboże i t. d. [2] nowina = pole, pierwszy raz zorane po wykarczowaniu lasu.

niowiecznej, jest **Rozmowa mistrza ze Śmiercią.** Po inwokacyi do Boga i po przestrodze ludziom, że każdy prędzej czy później umrzeć musi, zaczyna się opowiadanie tej treści. Pewien mądry mistrz, Polikarp, prosił Boga, by mu pozwolił ujrzeć Śmierć we własnej osobie; czekał niedługo: kiedy raz po nabożeństwie ludzie już wyszli z kościoła, a on sam pozostał, nagle

Uźrzał człowieka nagiego
Przyrodzenia niewieściego,
Wzraza [1] wielmi szkaradego,
Łoktuszą [2] przepasanego.
Chuda, blada, żółte lice,
Leści się [3], jako miednica;
Upadł-ci jej koniec nosa,
Z oczu płynie krwawa rosa.
Przewiązała głowę chustą,
Jak samojedź, krzywousta.
Nie było warg u jej gęby,
Poziewając, skrzyta zęby.
Miece [4] oczy, zawracając,
Głośną [5] kosę w ręku mając.

Mistrz zemdlał ze strachu, „padł na ziemię, eże stęknął“, a kiedy odzyskał przytomność, zaczyna się rozmowa. Śmierć chełpi się swoją potęgą: ona ścina wszystkim głowy, bogatym i biednym, starym i młodym, mędrcom i głupcom, świeckim i duchownym. Na uwagę mistrza, że są przecie lekarze na to, aby przedłużali życie, Śmierć odpowiada: „Otoć każdy lekarz faści [6], nie pomogą jego maści“; a na zapytanie, czy się można przed nią ukryć, brzmi odpowiedź:

Nikt się przede mną nie skryje.
Wszytkiem żywem utnę szyję.
Sama w lisie jamy lazę,
Wszytki liszki w zdrowiu każę [7],
Za kunami lazę w dzienie [8],
Łupieże [9] dam na odzienie.
Ja dawię i gronostaje,
I wiewiórkam się dostaje,
Jać też kosą siekę wilki,
Sarny łapam drugiej filki [10]
I przez płoty gonię chłopie
Żórawie, takież i dropie.

Szczególniej jednak zawzina się Śmierć na stronniczych sędziów i rozpustnych zakonników:

Morzę sędzie i podsędki,
Zadam im wielikie smętki;
Gdy swoją rodzinę sądzą,
Często na skazaniu błądzą.
Ale, gdy przydzie sąd Boży,
Sędzia w miech piszczeli włoży [11]....
Jednako morzę złe mnichy,
Którzy mają zakon lichy,
Co z klasztora uciekają,
A swej wolej pożywają.
Gdy mnich pocznie dziwy stroić,
Nikt go nie może ukoić.
Kto chce czynić co na świecie,
Zły mnich we wszytko się miecie.
Jestli wsiędzie na szkapicę,
Wetknie za nadra [12] kapicę [13];

---

[1] wzraz = postać [2] łoktusza = płachta. [3] leścić się = lśnić się. [4] mieść = miotać; mieść oczami = strzelać oczami. [5] głośny = brzęczący. [6] faścić = zwodzić, oszukiwać. [7] kazić = psuć, niszczyć. [8] dzienie = dziupla w drzewie. [9] łupież, łubież = skóra, zdarta ze zwierzęcia. [10] fila = chwila. [11] piszczel = narzędzie do piskania; w miech piszczeli włożyć (przysłowie staropolskie) = spuścić nosa na kwintę, stropić się. [12] nadro, nadra = pazucha. [13] kapica = habit; kaptur.

Zawodem na koniu wraca,
Często kozielce przewraca.
Kiedy mnich na koniu skacze,
Nie weźrzałby na kołacze.
Umaże się, jako wiła[1],
Wżdy mu ta rzecz barzo miła.
Gdy piechotą imie biegać,
Muszę mu naprzód zabiegać.
Azaż czy ji czarci niosą!
Jedwo[2] ji poganiam z kosą....
A wżdy za nim biegać muszę.
Aż z niego wypędzę duszę.
Mówię to przez kłamu, wierę[3].
Dam go czartu na ofierę.

Tylko dobremu człowiekowi Śmierć nic złego uczynić nie może: „Acz umrze, nic nie straci: pozbędzie świeckiej żałości, pójdzie w niebieskie radości"; zły natomiast pójdzie do piekła: to sens moralny całego wiersza, który i z tego jeszcze względu jest znamienny, że zawiera w sobie satyrę — *pierwszą polską satyrę* — na lekarzów, sędziów i zakonników, którzy później, w wieku XVI, będą ulubionym przedmiotem naszej poezyi satyrycznej.

§ 15. O istnieniu *poezyi świeckiej* w wiekach średnich posiadamy wprawdzie dużo świadectw, ale mało jej zabytków. Wiemy np., że lud polski śpiewał pieśni obrzędowe, ale ich nie znamy; kiedy Kazimierz Odnowiciel wjeżdżał do Krakowa, witano go pieśnią: „A witajże nam, witaj, miły gospodynie"[4], ale i tej pieśni nie znamy. Dopiero z wieku XV posiadamy kilka zabytków poezyi świeckiej, ale nie ludowej, tylko sztucznej.

Najstarszym zabytkiem polskiej poezyi świeckiej jest **wiersz jakiegoś Złoty** (z początku XV w.); jest to wiersz dydaktyczny, uczący mianowicie, jak się należy zachowywać przy stole i jak szanować kobiety.

Gospodnie[4]! Daj mi to wiedzieć,
Bych mógł o tem coś powiedzieć,
O chlebowem stole!

Zgarnie na się wszytko pole:
Co w stodole i w tobole[5],
Cole[6] się na niwie zwięże,
To wszytko na stole lęże.
Przetoć stół wieliki świeboda[7]:
Stanie na nim piwo i woda
I ktemu mięso i chleb
I wiele inych potrzeb,—
Podług dostatka tego,
Ktole może dostać czego.

Zjutra wiesiół nikt nie będzie,
Aliż[8], gdy za stołem siędzie,
Toż wszego myślenia zbędzie.
A ma z pokojem sieść,
A przytem się ma najeść.

A mnogi idzie za stół,
Siędzie za nim, jako wół,
Jakoby w ziemię wetknął kół!
Nie ma talerza karmieniu swemu,
Eżby ji ukroił drugiemu,
A grabi się w misę przód,

[1] błazen, szaleniec. [2] ledwo. [3] wierę = zaiste. [4] gospodyń, gospodzin = pan, władca; Pan Bóg. [5] tobołа = torba. [6] ktole, cole = ktokolwiek, cokolwiek. [7] świeboda = swoboda, wolność; wolny pan, wielki pan. [8] ali, aliż = aliści.

Iż mu miedźwno[1], jako miód[2].
Bogdaj mu zaległ usta wrzód!...

A je z mnogą twarzą cudną[3],
A będzie mieć rękę brudną!
Ana[4] też ma k niemu rzecz[5] obłud- [ną.
A pełną misę nadrobi,
Jako on, co motyką robi;
Sięga w misę prze drugiego,
Szukaję[6] kęsa lubego:
Niedostojen nic dobrego!

. . . .

Panny! Na to się trzymajcie:
Małe kęsy przedsię krajcie!
Ukrawaj często a mało,
A jedz, byleć się jedno chciało!

Lecz rycerz albo panosza
Czci żeńską twarz: toć przysłusza![7]
Co masz na stole lepszego przed [sobą,
Czci[8] ję, iżby żyła z tobą...
Boć jest korona cna pani:
Przepaśćby mu, kto ję gani!
Ot Matki Boże tę moc mają,
Iż przeciw im książęta wstają
I wielką im chwałę dają.
Ja was chwalę, panny, panie,
Iż przed wami nic lepszego nie[9]!....

Ktokoli czci żeńską twarz,
Matko Boża, ji tem odarz:
Przyjmi ji za sługę swego,
Schowaj grzecha śmiertnego
I też skończenia nagłego!
Boć paniami stoi wiesiele,
Jego jest na świecie wiele;
I ot nich wszytkę dobroć mamy,
Jedno na to sami dbajmy.
I toć są źli, co im szkodzą,
Bo nas ku wszej czci przywodzą.

Kto nie wie, przeczby[10] to było,
Ja mu powiem, acz[11] mu miło:
Ktokoli cną matkę ma,
Z niej wszytkę cześć otrzyma;
Prze nię mu nikt nie nagani;
Tęć ma moc każda cna pani.
Przetoż je nam chwalić słusza,
W kim jeść[12] koli dobra dusza.

Przyjmicie to powiedanie,
Prze waszę cześć, panny, panie!

Też, miły Gospodnie mój,
Złota, grzeszny sługa Twój,
Prosi za to Twej Miłości,
Udziel nam wszem swej radości.
Amen.

Wiersz ten, prócz tego, że jest najstarszym wierszem polskim treści świeckiej (chociaż, jak cała literatura średniowieczna, przesiąkniętym duchem religijnym), z tego jeszcze względu zasługuje na uwagę, że zawiera w sobie niektóre rysy obyczajowe, wzięte wprost z życia: autor nieraz zapewne widział na własne oczy, jak się Polacy przy stole zachowują.

Charakter obyczajowy posiada także **Satyra na chłopów** (z drugiej połowy XV w.), w której nieznany autor, szlachcic, wyrzuca im lenistwo i brak życzliwości względem panów:

---

[1] miodowo, słodko. [2] znaczenie czterech ostatnich wierszy jest takie: kto nie dostał talerza do jedzenia, ten tak się niecierpliwi, że ażby rad ściągnąć talerz drugiemu (sąsiadowi), a „grabi się" (pakuje się, t. j. pakuje widelec albo palce) w misę wprzód (t. j. nie czekając kolei), bo mu słodko (t. j. bo mu ślinki idą). [3] twarz cudna = płeć piękna. [4] a on (kobieta). [5] rzecz = mowa. [6] pierwotna forma imiesłowu. [7] godzi się, należy się. [8] poczęstuj. [9] nie = niema. [10] przecz = dlaczego? [11] jeżel [12] jest-ci.

Chytrze bydlą [1] z pany kmiecie,
Wiele się w ich siercu plecie.
Gdy dzień panu robić mają,
Częstokroć odpoczywają.
A robią silno obłudnie:
Ledwo wyńdą pod południe,
A na drodze postawają,
Rzkomo [2] pługi oprawiają;
Żelazną wić doma złożą,
A drzewianą na pług włożą.
Wprzągają chory dobytek,
Chcąc zlichmanić [3] ten dzień wszytek:
Bo umyślnie na to godzi,
Iż się panu źle urodzi.
Gdy pan przydzie, dobrze orze:
Gdy odydzie, jako gorze [4].
Stoi na roli, w lemiesz [5] klekce [6]:
Rzekomo-ć mu orać nie chce.
Namysłem potraci kliny,
Bieży do chrósta po iny.
Szedw [7] do chrósta za krzew, leży,
Nie rychło zasię wybieży.
Mnima-ć każdy człowiek prawie [8],
By był prostak na postawie [9],
Boć się zda, jako prawy wołek:
Aleć jest chytry pachołek.

Układano także już w wiekach średnich *pieśni historyczne*, to jest pieśni o ważnych zdarzeniach dziejowych; pieśni takie odgrywały wówczas podobną rolę, jaką dziś odgrywają gazety: obiegały cały kraj i roznosiły wiadomości o doniosłych wypadkach. Były np. pieśni polskie o bitwie pod Grunwaldem, ale, niestety, nie przechowały się do naszych czasów. Jedyną znaną nam dzisiaj pieśnią historyczną z XV w. jest **Pieśń o zamordowaniu Jędrzeja Tęczyńskiego** przez mieszczan krakowskich. W r. 1461, podczas wojny z Krzyżakami, Jędrzej Tęczyński, znakomity rycerz, wybierając się na wojnę, oddał płatnerzowi krakowskiemu, Klemensowi, zbroję do naprawy; Klemens nie naprawił jej na czas, za co Tęczyński wymierzył mu policzek; wszczęła się bójka pomiędzy szlachtą a mieszczanami, która skończyła się smutno: Tęczyński schronił się do kościoła Franciszkanów, i tutaj to zamordowali go mieszczanie, za co ich później surowo ukarano. O tym to wypadku opowiada nieznany autor pieśni, szlachcic, nie kryjąc się ze swem oburzeniem przeciwko zuchwałym mieszczanom, że się na szlachcica targnąć ośmielili:

A jacy to źli ludzie mieszczanie Krakowianie,
Żeby pana swego, wielkiego chorągiewnego,
Zabiliście, chłopy, Andrzeja Tęczyńskiego!
Boże, się go pożałuj, człowieka dobrego,
Iże tako marnie sczedł [10] od nierównia [11] swojego!
Chciał-ci królowi służyci, swą chorągiew mieci,
A chłopi pogańbieli [12] dali ji zabici, —

[1] postępują. [2] rzkomo = rzekomo, niby to. [3] strwonić, przepróżnować. [4] gorzej = jak najgorzej. [5] nóż poziomy u pługa. [6] klektać=klekotać, pukać, stukać. [7] imiesłów. [8] prawdziwie. [9] na postawie = pozornie. [10] *sczedł* (szczedł) — czas przeszły od czasownika sczeznąć = zniknąć, umrzeć, poledz; właściwie, czas przeszły od *sczeznąć* brzmi *sczezł*: forma *sczedł* powstała pod wpływem *zszedł* od *zejść* (ze świata). [11] nierówień = człowiek nie równy (komu). [12] gańba = hańba; pogańbieli — imiesłów od *pogańbieć* = zhańbieć; chłopi pogańbieli=chłopi pohańbiali, zhańbiali, podli.

W kościele-ci zabili: na tem Boga nie znali,
Świętości nizacz[1] nie mieli, kapłany poranili.
Zabiwszy, rynną[2] go wlekli, na wschód nogi włożyli[3],
Z tego mu gańbę czynili.
Do Wrocławianów posłali — do takich, jako i sami —
A skarżąc na ziemiany, by im gwałty działali.
Wrocławianie im odpowiedzieli, żeście to źle udziałali,
Żeście się ukwapili, człowieka zabili.
Kłamacie, chłopy, jako psy, byście tacy byli:
Nie stoicie wszytcy za jeden palec jego!
Mnimaliście, chłopy, by tego nie pomszczono?
Już-ci ich sześć sieczono[4]; jeszcze na tem mało!
A ten Waltko[5] radźca, ten niewierny zdradźca,
Z Greglarem[6] się radzili, jakoby ji zabić mieli.
Pan krakowski[7], jego miłość, z swoimi przyjacioły —
Boże, je racz uzdrowić, że tego pomścili!
Jaki to syn szlachetny[8] Andrzeja Tęczyńskiego,
Żeć on mści gorąco oćca swego.
Boże, ji racz pozdrowić ode wszego złego! Amen.

Obydwa te wiersze — o leniwych chłopach i o Tęczyńskim — są bardzo znamienne, jako wyraz wzrastającej w szlachcie XV w. niechęci ku chłopom i mieszczanom; szlachta już w wieku XV staje się warstwą panującą i myśli o pognębieniu chłopów i mieszczan: w wieku XVI zamiary swoje urzeczywistniła.

[1] za nic. [2] rynna = kanał. Długosz opowiada: „Pastwił się lud jeszcze nad ciałem zabitego, wlokąc je z kościoła aż do ratusza kanałem ulicznym;... przez dwa dni potem leżało w ratuszu“. [3] ciągnęli ciało po schodach kościelnych. [4] ścięto. [5] Walter Kesling. [6] Mikołaj Kridlar. [7] kasztelan krakowski, Jan Tęczyński, brat zabitego Jędrzeja. [8] Jan Tęczyński, starosta rabsztyński.

LITERATURA WIEKU XVI.

ROZDZIAŁ III.

Od początku wieku XVI aż do roku 1543.

Poezya polsko-łacińska. Pierwsze drukowane książki polskie.

§ 16. Przy końcu wieku XV, za panowania Olbrachta, zaszły w Polsce bardzo ważne wypadki. Szlachta, mając coraz to większą świadomość swojej potęgi politycznej i dążąc ciągle do pomnożenia majątków i bogactw, zazdrosnem okiem patrzyła na bogatych mieszczan, a z chłopów pragnęła uczynić narzędzie do pracy rolniczej. Otóż za Olbrachta spełniły się jej pragnienia: mieszczanom zakazano nabywania majątków ziemskich (i, co zatem poszło, piastowania urzędów świeckich), a chłopów pozbawiono wolności, przykuwając ich do ziemi: nie wolno było chłopu przesiedlać się bez pozwolenia pana. Odtąd szlachta nie potrzebowała już obawiać się ani współzawodnictwa z mieszczanami, ani braku sił roboczych; rolnictwo i handel zbożem, jako środek do zdobywania bogactw, stały się głównem i ulubionem zajęciem szlachty, która *traci swój dawny charakter rycerski, stając się ze społeczeństwa rycerskiego społeczeństwem ziemiańskiem.*

Nie dosyć na tem. Szlachta dążyła do ograniczenia władzy królewskiej i do osłabienia potęgi możnowładców (zarówno świeckich, jak duchownych), którzy nie chcieli się wyrzekać swego uprzywilejowanego stanowiska. Zaczyna się więc walka szlachty z królem i możnowładztwem, walka, z której szlachta wychodzi zwycięsko. Za panowania Aleksandra, na sejmie radomskim roku 1505, zapadła uchwała, mocą której królowi nie wolno było nadal postanawiać n i c n o w e g o (*nihil novi*) bez wspólnej zgody senatu i izby poselskiej; uchwałą tą zadano, rozumie się, silny cios władzy królewskiej.

Co do możnowładców, to główną podstawą ich potęgi były wielkie posiadłości ziemskie, rozdawane zbyt hojnie szczodrą ręką Jagiellonów; rozumiała to dobrze szlachta, to też już na sejmie r. 1504 dobiła się uchwały, że odtąd nie wolno królowi bez zgody sejmu ani rozdarowywać, ani dawać w zastaw t. zw. królewszczyzn, t. j. dóbr koronnych. Kiedy zaś Zygmunt Stary, wbrew tej uchwale sejmowej, nie przestał obdarzać magnatów majątkami ziemskimi, szlachta postanowiła położyć temu tamę i zażądała t. zw. egzekucyi dóbr koronnych, t. j. odebrania możnowładcom tych dóbr, które posiedli po roku 1504. Król przyrzekł spełnić to żądanie, ale kiedy chciał dokonać egzekucyi nie tak, jak sobie tego życzyła szlachta, wówczas na sejmie piotrkowskim r. 1537, zwołanym głównie w celu obmyślenia środków do walki z hospodarem mołdawskim, zerwała się straszna burza, i podatku na wojnę odmówiono. A wkrótce potem, w tym samym roku 1537, powstał pod Lwowem bunt przeciwko królowi, znany pod nazwą wojny kokoszej. Król ustąpił żądaniom szlachty: *powaga władzy królewskiej i majestatu była już złamana.*

Odtąd to utrwalała się w Polsce „złota wolność“, która złotą była tylko dla szlachty, bo dla mieszczan i chłopów była niewolą; zaczęły się w „Rzeczypospolitej“ polskiej rządy (a raczej nierządy) szlacheckie, które Polskę wiodą wprost do upadku. Ale szlachta tego nie widziała; miłość „złotej wolności“, obawa o jej utratę i chciwość bogactw zaślepiały szlachtę i zabijały w niej prawdziwą miłość ojczyzny, która ustąpiła miejsca „prywacie“, to jest samolubstwu, wyłącznym zabiegom około własnych spraw i majątków — ze szkodą ojczyzny.

Na razie jednak owoce „złotej wolności“ były słodkie: rosła Polska szlachecka nie tylko w bogactwa, ale i w oświatę i cywilizacyę.

Humanizm, który w wieku XV krzewił się bardzo powoli, teraz, już w pierwszej połowie XVI wieku, rozwija się szybko. Coraz to częściej bowiem przyjeżdżają do Polski uczeni humaniści, Włosi i Niemcy, którzy osiadają w Krakowie, jako nauczyciele, i budzą miłość i zapał ku literaturze starożytnej; napływ humanistów włoskich do Polski wzmógł się zwłaszcza od czasu małżeństwa Zygmunta Starego z księżniczką włoską, Boną (1518). A z drugiej strony młodzież polska coraz to tłumniej kształci się w akademiach zagranicznych, stroniąc od uniwersytetu własnego, który nie mógł zaspokoić jej pragnień. *Akademia krakowska bowiem, która tak świetnie rozwijała się w wieku XV, teraz upada:* przerażona duchem pogańskim humanizmu, cofa się, zamiast iść naprzód, i powraca do średniowiecznej scholastyki; a ponieważ młodzież chciała iść naprzód, pragnęła nowej, nie zaś starej, wiedzy, więc do akademii uczęszczali przeważnie tylko ci, którzy nie mieli za co

kształcić się zagranicą: zubożeli mieszczanie, chłopi i niezamożna szlachta; możniejsi spieszyli zagranicę — najczęściej do Włoch (zwłaszcza do Bononii i Padwy). We Włoszech zaś już dawno zapomniano o scholastyce, humanizm był już w pełnym rozkwicie: więc młodzież polska powracała z Włoch do kraju ze znajomością języka łacińskiego i z miłością literatury rzymskiej. Tym sposobem już w pierwszej połowie XVI wieku miała Polska wielu humanistów, którzy pisali wyłącznie po łacinie, usiłując dorównać poprawnością i pięknością języka pisarzom rzymskim: więc nie była to już łacina zepsuta, średniowieczna, którą np. pisał Kadłubek, ale łacina poprawna, zbliżona do klasycznej.

Rozmiłowani w mowie Rzymian, patrzyli humaniści na mowę ojczystą z lekceważeniem i pogardą, w przekonaniu, że jedynym językiem, godnym literatury, jest język łaciński. Pisywali więc do siebie listy po łacinie, gniewali się o listy polskie, wygłaszali w zamku królewskim oraz po dworach możnych panów i biskupów długie i kwieciste mowy łacińskie, naśladując najznakomitszego mówcę rzymskiego, Cycerona; jednem słowem, *w pierwszej połowie XVI stulecia*, podobnie jak w wiekach średnich, *język łaciński posiada w literaturze ciągle jeszcze stanowczą przewagę nad ojczystym; rozwijały się obok siebie dwie literatury: jedna po łacinie — dla ludzi wykształconych, pomiatających językiem ojczystym, druga po polsku—dla prostaczków, nie rozumiejących po łacinie*; na pierwszą składają się dzieła poważne, naukowe, oraz sztuczne wiersze, na drugą — książki popularne.

O tem, aby po polsku pisać dzieła ściśle naukowe, nikt jeszcze nawet nie pomyślał w pierwszej połowie XVI wieku. To też nie po polsku, ale po łacinie ukazało się w roku 1543 genialne dzieło **Mikołaja Kopernika** „O obrotach ciał niebieskich" (*De revolutionibus orbium coelestium)*, będące największą chlubą naszej nauki. Po łacinie również ukazał się *pierwszy drukowany podręcznik historyi ojczystej*: „Kronika Polaków" (1519) *Macieja Miechowity*, uczonego lekarza Zygmunta Starego i profesora akademii krakowskiej; jest to bardzo sumienne streszczenie kroniki Długosza, uzupełnione własną opowieścią autora o czasach późniejszych aż do końca panowania króla Aleksandra.

§ 17. Poezya łacińska, gorliwie uprawiana przez humanistów, posiada wogóle małą wartość: brak jej i fantazyi, i uczucia, i szczerości, a przedewszystkiem — oryginalności: bo humanistom chodziło głównie o to, aby dorównać pięknością wiersza i wysłowienia poetom rzymskim, więc naśladowali ich pilnie, czasem niewolniczo, biorąc od nich żywcem nie tylko całe zwroty, ale nawet całe obrazy i pomysły. Upo-

dobali sobie zwłaszcza mitologię, ani się spostrzegając, że wpadają w śmieszność i nienaturalność. Kiedy znakomity poeta rzymski Wirgiliusz, autor „Eneidy", opowiada, że podczas bitwy Mars zstępuje z nieba na ziemię, aby pomagać śmiertelnym ludziom, jest to zupełnie naturalne, Rzymianie bowiem wierzyli w istnienie Marsa. Ale, kiedy *Jan z Wiślicy*, autor poematu „Wojna pruska", opowiada, że w bitwie pod Grunwaldem „ryczał Mars natężonem z całej siły gardłem", to pomysł taki nie ma sensu, chrześcijańscy bowiem Polacy, walczący z Krzyżakami, nie wierzyli w Marsa, i razi nas tem więcej, że obok Marsa bierze udział w walce i... ś. Stanisław. Otóż to *pomieszanie pierwiastków mitologicznych z chrześcijańskimi i wogóle pojęć starożytnych z nowoczesnemi jest znamienną cechą poezyi polsko-łacińskiej*. Jan z Wiślicy nie powie: „zboże", tylko: „plony zbożorodnej Cerery"; nie powie: „wybuchła wojna", tylko: „srogi Mars powstał"; o natchnienie będzie się modlił raz do Najświętszej Panny, drugi raz do „dziewic aońskich" (t. j. do Muz), i t. p.

Jako przykład sztuczności i nienaturalności naszej poezyi łacińskiej, może służyć wiersz *Andrzeja Krzyckiego*, napisany na uroczystość zaślubin króla Zygmunta z Boną. Opowiada poeta, że przybył raz do Kozienic, miasta rodzinnego Zygmunta, i rozpamiętywał tryumfy oręża polskiego, zamierzając uwiecznić je w poezyi, gdy wtem dolatują jego uszu jakieś wdzięczne pieśni. Zdumiony poeta idzie w kierunku, skąd słychać śpiew, i oczom swoim nie wierzy: oto widzi Nimfy i Muzy, pląsające wesoło, a nieco dalej widzi Bachusa, Feba, Pana z Faunami i Satyrami, Dyanę z Nereidami, wreszcie Wenerę z synkiem Kupidynkiem i Minerwą. Zbliża się poeta do jednej z Muz i pyta:

„Mów, Erato, co znaczy ta wasza wesołość?
„Jakiż los, jaki powód was do nas sprowadził?"
Ta, stanąwszy: „Czcicielu nasz drogi — powiada —
„Lutnię teraz na lepszy ton nastrój i, pienia
„Lejąc, winszuj ojczyźnie i sobie zaszczytu:
„Ot, ponętną Auzonię i słodki Helikon
„Opuściwszy, na północ waszą na wyścigi
„Zdążamy wszyscy. Dosyć Grekom już daliśmy
„I Włochom; teraz losy z kolei ozdobić
„To królestwo darami naszymi kazały.
„Lecz przyczyny i całą rzecz porządkiem tobie,
„Gdy wola, i bóstwa skryte zamiary odsłonię.

Opowiada dalej Erato, że Jowisz długo same nieszczęścia zsyłał na Zygmunta; aż ulitowały się nad biednym królem trzy boginie: Junona, Minerwa i Wenera, i nuż prosić Jowisza, aby spełnił przecie daną niegdyś obietnicę, że da królowi polskiemu za żonę księżniczkę z latyńskiego rodu; tą księżniczką jest Bona Sforcya, uczennica Apollona, Klio i Ateny, koleżanka Muz. Wzruszył się Jowisz tak bardzo, że Minerwę pogłaskał

po twarzy, a Junonę czule uściskał; i rozkazał boginiom przygotować wszystko do ślubu. Wenera wędruje więc do Włoch, wchodzi do komnaty Bony i przyczynia jej krasy i wdzięków; Minerwa pędzi do Neapolu, aby skłonić rodziców Bony do oddania jej za żonę królowi polskiemu, Junona mknie do Zygmunta, aby go do małżeństwa namówić. Przylatuje do króla i poseł złotousty z tak pięknym wizerunkiem Bony, że król rozgorzał miłością i wyprawił do Włoch posłów po księżniczkę, a kiedy ta wybrała się do Polski, pospieszyli za nią bogowie z boginiami. Tak kończy swą opowieść Erato i znika. Teraz zaczyna śpiewać poeta: kiedy Bona w Polsce osiędzie, ostry klimat z pewnością złagodnieje, wiatry będą cieplejsze, zazielenią się łąki i lasy; gotujcie się na przyjazd królowej, wieńczcie domy kwiatami i zielenią, wytaczajcie z piwnic beczki z co najlepszem winem, bierzcie pochodnie do rąk i wzywajcie Hymena! Dziewice polskie niech idą w pląsy na cześć Bony, a młódź rycerska wraz z dziewicami niech ją wita pieśnią ślubną! Odetchnie nakoniec Zygmunt, król nad królami, i nieba pobłogosławią parze królewskiej!..

Obok nienaturalności, wiersz ten Krzyckiego posiada inną jeszcze cechę, właściwą poezyi łacińskiej humanistów, mianowicie *panegiryzm*, t. j. niesmaczne pochlebstwo: poeci-dworacy, pragnąc sobie zaskarbić łaski króla, możnych panów, biskupów, pisywali na ich cześć wierszydła okolicznościowe, jako to: elegie, opiewające pogrzeby, *epithalamia* (pieśni weselne), *epitaphia* (napisy na grobowce) i wogóle epigramaty, sławiące cnotę, męstwo, mądrość i t. d.; rozpowszechniły się zwłaszcza epigramaty herbowe, t. j. wierszyki na herby szlacheckie.

Ale nie tylko w panegirycznej poezyi dworskiej ćwiczyli się humaniści: opiewali wierszem łacińskim wypadki historyczne, wojny i bitwy (np. bitwę pod Orszą), polowanie (np. na żubra); opisywali żywoty świętych i układali modlitwy; pisywali wiersze miłosne, choćby nawet zakochani nie byli, naśladując poetów rzymskich, i t. d.

Są jednak wśród tej powodzi wierszydeł, pisanych dla wprawy lub dla zysku, utwory poważne. Ten sam np. Andrzej Krzycki, który pochlebiał parze królewskiej, giętki i sprytny dworak, umiejący z równą łatwością uniżać się przed jednymi, jak szydzić złośliwie z innych, chciwy i niemoralny biskup, który, obok pieśni pobożnych i satyr na Lutra, pisał wstrętne i swawolne wierszyki, — jest autorem poważnej satyry p. t. „Skarga Religii i Rzeczypospolitej“. Uosobiona Rzeczpospolita skarży się na swe dzieci wyrodne, że, myśląc jedynie o sobie, zapominają o matce-ojczyźnie i swą prywatą w przepaść ją wtrącają, z której jedna chyba tylko Religia wyrwać ją może. Lecz oto ukazuje się Religia, i wnet nadzieja stroskanej Rzeczypospolitej gaśnie: bo i Religia płacze, że Polacy już jej nie szanują, że porzucają prawdziwą wiarę i szukają innej, przez co Polska ku pewnej zgubie idzie; wobec tego zapowiada zrozpaczona Religia, że zamierza opuścić niewdzięczną Polskę. Rzeczpospolita błaga ją, by się zmiłowała i nie opuszczała ojczyzny, by przeczekała chwilę obłędu: kiedyś może opamiętają się jej dzieci, „chmury przejdą, i znów światło ukaże się ja-

sne", bo „Chrystus tylko doświadcza swe dzieci, ale ich nie opuści". Ten utwór Krzyckiego, pisany nie dla zysku ani dla rozrywki, lecz z miłości ojczyzny, jest pierwszą w literaturze naszej satyrą na prywatę i zarazem pierwszem smutnem przeczuciem nieszczęść narodowych. Im dalej w czas, tem częstsze będą w literaturze XVI wieku te skargi i przeczucia.

§ 18. *Najznakomitszym poetą polsko-łacińskim za Zygmunta Starego i zarazem pierwszym utalentowanym naszym poeta jest* **Klemens Janicki** (1516—1543), *chłop wielkopolski*. Ukończywszy z pomocą bogatych panów szkoły w Poznaniu, chciwy wiedzy, wyjechał na studya do Padwy, gdzie otrzymał stopień doktora filozofii i tak głośno zasłynął pięknemi poezyami łacińskiemi, że papież obdarzył go wieńcem poetyckim, który okrył sławą nie tylko poetę, ale poniekąd całą Polskę, jej cywilizacyę i literaturę. Jakoż posiadał Janicki niepospolity talent; nieszczęściem jednak, trawiony puchliną wodną, zgasł przedwcześnie — w dwudziestej siódmej wiośnie życia.

Był to talent wybitnie liryczny: do najpiękniejszych jego utworów należą *elegie*, w których mówi o sobie i o swojem życiu, spowiada się ze swych myśli, uczuć, upodobań i marzeń. Bije z tych wyznań przymiot, bardzo rzadki w poezyi humanistów: miła *szczerość*, a uroku dodaje im *smutek*, płynący z przeczucia rychłej śmierci, smutek, nigdy nie przechodzący w rozpacz, ale łagodny, cichy, spokojny, pełny wiary w Boga i Jego miłosierdzie. Najpiękniej przemówił ten smutek w *elegii do Najświętszej Panny*. Skarży się poeta, że jego choroba jest nieuleczalna, że mu ludzie już nie pomogą, więc woła żałośnie do Matki Boskiej:

. . . . Zlituj się nade mną,
Spuść dobre oko! Patrz, w jakiej pokorze
Błaga Cię sługa w swych cierpień godzinie,
Który, że żyje, że modlić się umie,
Że dychać może, winien Ci jedynie.
Winien Ci, Pani, i te reszty siły,
Co jeszcze ducha w mym szkielecie wloką;

nawet Prometeusz był od niego szczęśliwszy, bo „łatwiej sępów gromadę żarłoczną, niżli chorobę, odegnać od człeka"; ale trudno,— trzeba się zgodzić z wolą Bożą, ukorzyć się przed Bogiem i wyznać swoje grzechy:

O, siłam, Ojcze, zawinił się Tobie,
Winienem kary i sroższej i prędszej:
Jam Cię znieważał wszelkimi sposoby,
Jak syn niebaczny, jak wróg najzawziętszy.

Jam tyle winien!... O, dzięki Ci, Ojcze,
Za litościwe Twojej dłoni cięcie....
Błagam Cię, Panie,—o, karaj mię srożej,
Popraw mię, przebacz, — niech Twoim zostanę!

Po tym akcie skruchy raz jeszcze zwraca się poeta do Najświętszej Panny, ale nie prosi już o zdrowie, tylko o siły do zniesienia cierpień. A to zupełne zdanie się na wolę Boga daje mu spokój, a nawet radość—na myśl, że niebawem przestanie cierpieć już na wieki:

A kiedy skrytym posłana rozkazem
Śmierć niespodziana stanie w oczy moje,
Niechaj ją przyjmę bez trwogi, z uśmiechem;
Bo pocóż trwoga? wszak grobową deską
Śmierć nas rozdzieli z plamami i grzechem
I ducha wzniesie w ojczyznę niebieską....
Ach! obym prędzej obaczyć był godny
Rzeczy niebieskie własnemi oczyma
I widzieć Pana w oblicze obliczem
I Ciebie, Panno, w towarzystwie świętych!...

Oprócz głębokiej religijności, miłym rysem poezyi Janickiego jest serdeczna wdzięczność względem ludzi, ale nadewszystko gorąca miłość ojczyzny. W pięknej elegii, napisanej z powodu zaślubin królewicza Zygmunta Augusta z Elżbietą, księżniczką austryacką, z radosną dumą opowiada poeta o zwycięstwach oręża polskiego; w satyrze p. t. *Rozmowa o niestałej rozmaitości odzieży u Polaków* ubolewa, że wraz ze zmianą stroju w Polsce zanika i dawna waleczność. W jednej elegii unosi się nad pięknością i kulturą ziemi włoskiej:

Ja wzrok i słuch mój upajam zachwytem
Na tej łacińskiej starożytnej stronie.
Patrzę na niebo,—o! pod tym błękitem
Powietrze czasów Saturnowych wionie!
Niebo pod jasnem lazuru ubraniem,
A żadna chmurka nie błąka się na niem;
Żaden mróz tęgi ani wiatr wydęty,
Ni żadne grady, ni żadne zamiecie:
Nie wiedzą ludzie o zimowej porze:
Kąpie ci oczy jakiś wietrzyk święty.
Wkoło zieloność i nadobne kwiecie.
Cały rok pytasz: „Wiosnaż to na dworze?...“
    Patrzę na ludzi: co za widok miły!
Trudno o słodsze w ludziach obyczaje:
Tu butna próżność przewagi nie bierze,

Nie słychać górnej, świegotliwej mowy;
Uprzejmą przyjaźń—nie wiem, czyli szczerze—
Każdy ci tutaj okazać gotowy....

Ale nad włoską krainę przekłada poeta własną, polską, ziemię:

Świat ten szeroki, i pięknie na świecie,
Lecz niema ziemi nad moją ziemicę.
Dziwię się Włochom,—Polskę wielbię szczerze,
Tutaj podziwem,—tam miłością stoję;
Do mojej Polski prawnie przynależę,
Tu mam gościnę,—a tam bogi moje.

Poezye Janickiego przełożył wierszem Syrokomla. Do najpiękniejszych należy elegia **O sobie samym do potomności** (1540).

Jeśli ktokolwiek, gdy będę w grobie,
Zapragnie o nas zasięgnąć wieści,
Niech przejrzy kartę, com sam o sobie
Napisał w chwilach ciężkiej boleści.
Za żnińskiem bagnem [1] jest wieś przejezdna.
Co się Janusza imieniem zowie [2];
Tamtędy niegdyś polscy królowie
Jeździli w pruską ziemię od Gniezna.
I tam mój ojciec, mieszkaniec wioski,
Orał poczciwie grunt pradziadowski.
Tam, gdy mu dziatwa morem pomarła,
Co nasze strony wyniszczał srodze,
Łza się z ojcowskich źrenic otarła,
Gdy na świat boży k'niemu przychodzę.

Dla mnie czwartego dnia listopada
Błysnęło światło jasności dniowej,
W tym samym roku, kiedy śmierć blada
Przerwała życie polskiej królowej [3],
Onej Zapolskiej, dobrej Barbary,
Którą opłakał lud cały społem.
Zaledwo piąte lato zacząłem,
Gdym już naukom dawał ofiary.
Bo ojciec, czujny o dni dziecięce,
Nie chciał mnie trudom poświęcać wcale,
Nie dał mi sochy w niewprawne ręce
Ani pozwolił schnąć na upale.
Potem (o! dzięki dobroci pańskiej!)
Umysł, od miejskich mistrzów przetarty,
Wniosłem do szkoły, którą Lubrański

[1] w dzisiejszem W. Ks. Poznańskiem. [2] Januszkowo (w powiecie szubińskim), wieś rodzinna Janickiego. [3] r. 1515.

Świeżo założył na brzegach Warty[1].
Mąż znakomity[2], co w owym czasie
Greckie i rzymskie objaśniał rzeczy,
Kształcenie moje przyjmując na się,
W starownej zawsze trzymał mię pieczy.
Tam-em usłyszał imię Wergila
I Nazonowe[3] imię mistrzowskie;
Tam-em poetów wielbił do tyla,
Żem dla nich cześci oddawał boskie.
Ilem tam pracy ze łzami spolił!
Ilem wzniósł modłów do Apollina,
Aby mię przyjął za swego syna
I w swoim chórze śpiewać pozwolił!
Skinął, — przyzwolił; i lirę wziąłem;
On sam mą ręką w struny kołace;
O! pomnę, pomnę, z jakim mozołem
I dni i noce dałem za prace!
Za nic mi praca! cóż ona znaczy
Przed młodocianym moim zapałem?
Pomnę, gdy pierwszy trud mój czytałem
W sali popisów, w gronie słuchaczy, —
W cześć Lubrańskiego złożyłem pieśnię,
Bom mu był winien pierwszą ofiarę —
Lud mię z oklaskiem przyjął nad miarę,
Dobrze o dziecku wróżąc zawcześnie.
Odtąd, przodkując nad uczniów trzodką,
Skarbiłem serce mistrza nieznacznie
I rosłem w chlubę — o! jak to słodko,
Kiedy, bywało, chwalić kto zacznie!
Lubiłem sławę, pragnąłem sławy,
Badałem drogi, co do niej wiodą....
Przebóg! ubóstwo, los niełaskawy
Ciężką mym chęciom bywał przeszkodą.
Ubogi ojciec swoje ostatki
Wywlókł je dla mnie z rolniczej chatki;
Ślubować muzom nie było za czem,
Miałem już żegnać wolą-niewolą:
Gdy wielki Krzycki[4], tknięty mym płaczem,
Czule pomyślał nad moją dolą:
Dom swój otworzył, sercem łaskawem
Przyrzekł mym Muzom bywać pomocą;
Spełnił, co przyrzekł, — lecz zmarł niebawem,

[1] biskup Lubrański założył w Poznaniu szkołę, jedną z najlepszych w Polsce XVI w. [2] Tomasz Bedermann, rektor szkoły. [3] Publiusz Owidyusz Nazon—poeta rzymski. [4] arcybiskup poznański, zob. § 17.

Nie słychać górnej, świegotliwej mowy;
Uprzejmą przyjaźń—nie wiem, czyli szczerze—
Każdy ci tutaj okazać gotowy....

Ale nad włoską krainę przekłada poeta własną, polską, ziemię:

Świat ten szeroki, i pięknie na świecie,
Lecz niema ziemi nad moją ziemicę.
Dziwię się Włochom,—Polskę wielbię szczerze,
Tutaj podziwem,—tam miłością stoję;
Do mojej Polski prawnie przynależę,
Tu mam gościnę,—a tam bogi moje.

Poezye Janickiego przełożył wierszem Syrokomla. Do najpiękniejszych należy elegia **O sobie samym do potomności** (1540).

Jeśli ktokolwiek, gdy będę w grobie,
Zapragnie o nas zasięgnąć wieści,
Niech przejrzy kartę, com sam o sobie
Napisał w chwilach ciężkiej boleści.
Za żnińskiem bagnem [1] jest wieś przejezdna,
Co się Janusza imieniem zowie [2];
Tamtędy niegdyś polscy królowie
Jeździli w pruską ziemię od Gniezna,
I tam mój ojciec, mieszkaniec wioski,
Orał poczciwie grunt pradziadowski.
Tam, gdy mu dziatwa morem pomarła,
Co nasze strony wyniszczał srodze,
Łza się z ojcowskich źrenic otarła,
Gdy na świat boży k'niemu przychodzę.
Dla mnie czwartego dnia listopada
Błysnęło światło jasności dniowej,
W tym samym roku, kiedy śmierć blada
Przerwała życie polskiej królowej [3],
Onej Zapolskiej, dobrej Barbary,
Którą opłakał lud cały społem.
Zaledwo piąte lato zacząłem,
Gdym już naukom dawał ofiary.
Bo ojciec, czujny o dni dziecięce,
Nie chciał mnie trudom poświęcać wcale,
Nie dał mi sochy w niewprawne ręce
Ani pozwolił schnąć na upale.
Potem (o! dzięki dobroci pańskiej!)
Umysł, od miejskich mistrzów przetarty,
Wniosłem do szkoły, którą Lubrański

[1] w dzisiejszem W. Ks. Poznańskiem. [2] Januszkowo (w powiecie szubińskim), wieś rodzinna Janickiego. [3] r. 1515.

Świeżo założył na brzegach Warty[1].
Mąż znakomity[2], co w owym czasie
Greckie i rzymskie objaśniał rzeczy,
Kształcenie moje przyjmując na się,
W starownej zawsze trzymał mię pieczy.
Tam-em usłyszał imię Wergila
I Nazonowe[3] imię mistrzowskie;
Tam-em poetów wielbił do tyla,
Żem dla nich cześci oddawał boskie.
Ilem tam pracy ze łzami spolił!
Ilem wzniósł modłów do Apollina,
Aby mię przyjął za swego syna
I w swoim chórze śpiewać pozwolił!
Skinął, — przyzwolił; i lirę wziąłem;
On sam mą ręką w struny kołace;
O! pomnę, pomnę, z jakim mozołem
I dni i noce dałem za prace!
Za nic mi praca! cóż ona znaczy
Przed młodocianym moim zapałem?
Pomnę, gdy pierwszy trud mój czytałem
W sali popisów, w gronie słuchaczy, —
W cześć Lubrańskiego złożyłem pieśnię,
Bom mu był winien pierwszą ofiarę —
Lud mię z oklaskiem przyjął nad miarę,
Dobrze o dziecku wróżąc zawcześnie.
Odtąd, przodkując nad uczniów trzodką,
Skarbiłem serce mistrza nieznacznie
I rosłem w chlubę — o! jak to słodko,
Kiedy, bywało, chwalić kto zacznie!
Lubiłem sławę, pragnąłem sławy,
Badałem drogi, co do niej wiodą....
Przebóg! ubóstwo, los niełaskawy
Ciężką mym chęciom bywał przeszkodą.

Ubogi ojciec swoje ostatki
Wywlókł je dla mnie z rolniczej chatki;
Ślubować muzom nie było za czem,
Miałem już żegnać wolą-niewolą:
Gdy wielki Krzycki[4], tknięty mym płaczem,
Czule pomyślał nad moją dolą:
Dom swój otworzył, sercem łaskawem
Przyrzekł mym Muzom bywać pomocą;
Spełnił, co przyrzekł, — lecz zmarł niebawem,

---

[1] biskup Lubrański założył w Poznaniu szkołę, jedną z najlepszych w Polsce XVI w. [2] Tomasz Bedermann, rektor szkoły. [3] Publiusz Owidyusz Nazon—poeta rzymski. [4] arcybiskup poznański, zob. § 17.

I znów widziałem przyszłość sierocą.
Lecz dobre losy mego żywota
Były wrócone prawicą Boską:
Przyjął mię Kmita[1]; nie szczędząc złota,
Słał mię po światło na ziemię włoską.
Spełnione chęci! Lecę ochoczy
Zanieść Palladzie serce i głowę;
Lecz los mię zdradza: choroba tłoczy
I zmusza wracać w progi domowe
Prędzej, niż chciałem, niż Kmita życzy.
Lecz cóż się z wolą przeciwić Bożą?
Doma więc umrę, — to mam w zdobyczy,
Że nie w obczyźnie kości me złożą.
Czuję przyjaciół żale najszczersze;
Słabe mam siły, zwątlone zdrowie,
I lada praca już mię unuży.
Jednak oblicze weselem kwitnie,
Płonę rumieńcem, jako niewiasta;
Słowa mi idą łacno, dobitnie,
A postać słusznej miary dorasta.
Skory do gniewu, żywy w zapale,
Nieraz dni kilka w złościm się zaciął:
Wielum otwartych miał nieprzyjaciół,
Co mi szkodzili zapamiętale.
Lecz wiernych druhów gromadkę całą
Umiałem cenić, jak drogie złoto;
Gdyby mi w taszce[2] lepiej świtało,
Słynąłbym, myślę, wielką szczodrotą.
Jam zawsze cześcią prawdziwą pałał
Na słowa Tyta pamiętne wiecznie:
„Nikomum dzisiaj dobra nie zdziałał,
Dzień to stracony bezużytecznie".
Mięknę, gdy we łzach obaczę oczy;
Me sarnie serce, lęka się, trwoży,
I kląłem wojny, gdy bój się toczy,
Bom nosił w sercu wszystek lud Boży.
W życiu narowy miałem niewieście:
Lubiłem stroje, miękkość, wygody;
Lecz, nimem skończył wiosen dwadzieście,
Nic nie pijałem, krom czystej wody.
(Z niej to mych chorób wynikły stopnie,
Z niej moje płuca puchną boleśnie).

---

[1] Piotr Kmita, magnat, słynny warchoł i słynny mecenas. [2] kaleta, sakiewka.

Miłość w mem sercu wrzała pochopnie,
W młodzieńczej piersi czułem ją wcześnie.
Pod ton miłosny i lutnię stroję
I siłam pieśni miłosnych sklecił.
„A gdzież (spytacie) te pisma moje?“
O! dawnom niemi komin podniecił.
Pienie dziecinne, wątłe i blade,
Niegodne życia, ogniem spłonęło.
Dziś, kończąc piątą olimpiadę,
Mógłbym na większe zdobyć się dzieło:
Lecz ginę wcześnie... O! jakem żądał
Ciebie, ojczyzno, opiewać czule!
Twe stare dzieje, twe zacne króle,
Czasy i ludzi, com ich oglądał,
Gody Augusta, — w dobrej otusze
Króla z cesarzem związki, nadzieje!
Ale, ojczyzno, żegnać cię muszę,
Niech cię szczęśliwszy śpiewak opieje!..
Żegnam was, druhy, którym jedynie
Dałem me serce jawnym dowodem!
O, Antoninie! o, Antoninie [1],
Bywaj mi zdrowy z całym twym rodem!
Biada mi, biada! nie miałem pory
Całych mych uczuć wykazać tobie
Ani zawdzięczyć duchem pokory,
Żeś mię tak często dźwigał w chorobie.
Lecz, kiedy przyjdę na świętych łono,
Będę się chlubił dawniejszem zdrowiem
I twoją dobroć nieocenioną
Z błogosławieństwem w niebie opowiem.
Kiedy mię przodki moje spytają,
Czemu z tak wątłym cielesnym pyłem
I tylu chorób obarczon zgrają
Nad zamierzoną porę przeżyłem, —
Powiem: „Na ziemi jest lekarz dzielny,
On sztuką wspierał me słabe siły,
On mię z pościeli dźwignął śmiertelnej
I codzień prawie wskrzeszał z mogiły;
Krzepił zdrętwiałą siłę człowieczą,
Bóle cielesne jego się trwożą:
Dzisiaj nie wskrzesił, bo jego rzeczą
Walczyć z chorobą, nie z wolą bożą.
Ciało schorzałe, zbrzękłe, wodniste
Chrystusby jeno wyleczyć zdołał!...

[1] Jan Antoninus, lekarz nadworny Zygmunta I.

Lecz ze mnie jadu nic nie wywierci,
Ni ziemskie środki, ni ludzkie czyny;
We krwi nosiłem zaród mej śmierci,
Bo i mój rodzic zmarł od puchliny.
Nie dziw, że, hydrze nie starłszy głowy,
I dzielny lekarz opuścił ręce!"
O, Antoninie! Takiemi słowy
Za grobem pamięć twoją uświęcę!
Sam to usłyszysz: gdy na twem czole
Późnego wieku osiądzie zima,
Ty przyjdziesz do nas, bo w tym padole
Wiecznej dziedziny nikomu niema.

§ 19. Zarówno proza, jak poezya polsko-łacińska, uprawiana przez humanistów, służyła za pokarm duchowy jedynie dla najukształceńszej części społeczeństwa. Ogół tymczasem — nie tylko mieszczaństwo, ale i przeciętna szlachta, nadewszystko zaś kobiety, które łaciny nie znały — nie miał z humanizmem nic wspólnego i odczuwał potrzebę zupełnie innej literatury, odpowiedniej ich niższemu wykształceniu, nie sztucznej, lecz prostej, powszechnie zrozumiałej, a więc polskiej, nie łacińskiej. Ciekawym objawem odczuwania tej potrzeby jest skarga szlachty, wyrażona na jednym z sejmików: „Tu też nam się wielka krzywda widzi od księży, albowiem każdy naród ma swym językiem pisma, a nam księża każą głupimi być". Skarga ta była słuszna, księża bowiem stali mocno przy uprzedzeniu średniowiecznem, że tylko język łaciński może być językiem literackim, i na tych, którzy domagali się literatury narodowej, niechętnem patrzyli okiem, bojąc się, że z czasem ludzie będą żądali, aby i Pismo święte było dla wszystkich dostępne w języku narodowym. Pomimo jednak tych uprzedzeń, pragnienia ogółu ziszczały się, chociaż bardzo powoli: w pierwszych latach XVI wieku wzrasta ilość rękopismów polskich z powieściami średniowiecznemi, legendami, modlitewnikami i t. d., a niebawem *ukazują się w Krakowie pierwsze drukowane książki polskie.*

Z utworów literatury rękopiśmiennej w pierwszych latach XVI wieku zasługują na uwagę tak zwane **Pamiętniki Janczara**. Za panowania Jana Olbrachta przybył do Polski Serb, Michał Konstantynowicz, który, w młodym wieku wzięty przez Turków do niewoli, służył, jako janczar, w wojsku tureckiem, skąd udało mu się uciec po dziesięciu latach. Otóż po przybyciu do Polski spisał „słowiańską literą", t. j. w języku cerkiewno-słowiańskim, pamiętniki, które przetłumaczono na język polski. Właściwie mówiąc, nie są to pamiętniki, autor bowiem bardzo mało mówi o sobie, opowiada za to z wielką prostotą o zwyczajach Turków, o ich religii i wojsku, osobliwie zaś o potędze ich państwa, a więc o wojnach zwycięskich: o bitwie z Serbami na polu Kosowskiem (1389), o klęsce Pola-

ków pod Warną (1444), o zdobyciu Konstantynopola (1453) i t. d. „Pamiętniki“ dyszą nienawiścią przeciwko „psu“-sułtanowi i jego plemieniu. „Tureckie rozmnożenie — mówi Janczar — podobne jest morzu, którego nigdy nie przybywa ani ubywa;.... zawżdy sie cholebie[1], abociem[2], aczkolwiek sie w jednej krainie uciszy, a wszakoż sie w drugiej o brzegi tłucze... Turcyć też to podobieństwo mają: nigdy w pokoju nie są, zawżdy walki wiodą, rok od roku, z jednych ziem do drugich; a wżdy gdzie przymierze uczynią, toć prze swój pożytek, a w drugich krainach wszytko źle czynią, lud biorą, zajmują, a co nie może chodzić, zabijają;.... kilkonaście tysięcy przypędzają chrześcijanów miedzy pogaństwo, a zmieszawszy wszyscy sie skażą, jako i wody rzeczne w morzu; abociem, opuściwszy wiarę swą, pogańską przyjmują“. To też ostrzega Janczar chrześcijan przed tem strasznem niebezpieczeństwem i ubolewa, że królowie chrześcijańscy śpią, zamiast sie na Turka zbroić. *„Pamiętniki“ Janczara to pierwszy w literaturze polskiej głos ostrzeżenia przeciwko Turkom, pierwsza pobudka do wojny z Księżycem.*

O Mahomecie i Alim, pomocniku jego. Miał-ci Mahomet siostrę jednę, której zwano Fatyna, a tę był dał Alemu, pomocnikowi swemu, za żonę, wtenczas gdy swą wiarę rozmnażał i tym obyczajem uczył i kazał, jakoby był umyślił ku potępieniu wiary Chrystowej; abowiem on składał swą wiarę podług świata, bacząc, iż ludzie przychylniejszy są ku rzeczam świeckim, niżli ku rzeczam bożym. A tako, którzykolwiek podług jego drogi szli i nauki jego naśladowali, tych chwalił a za dobre ludzi miał, a którzy sie mu przeciwiali, ony Ali rozmaitymi obyczajmi kłopotał. Tego Alego pogaństwo za proroka ma, jako i Mahometa, powiedając, jako mocny a stały był mąż. A miał, pry[3], szablę, którą zwał Difaltari, dziwnej ostrości a takiej twardości, jako oni powiedają, iż, naczkolwiek Ali ją uderzył, bądź na żelazo, abo na stal, wszytko przed nią było, jako pajęczyna. A drugie, powiedają, iżby żona jego, Fatyna, była wielką czarownicą, a tą swą nauką przyprawiała takową ostrość tej szable. Trwał-ci Mahomet w swej złości 45 lat, wiarę swoję rozmnażając. Potem, na śmiertelnej pościeli leżąc, zawołał wszego zboru swego i przykazał jest im, „abyście mi pogrzeb uczynili, a przy mnie gotowi byli, aż zmartwychwstanę; a dzierżcie mocno moje przykazanie, nie dajcie sie zwodzić, boćem was prawej wiary nauczył; bądźcie wybrani boży, nie Izrael: a mój pogrzeb przyprawcie w Medynie; Alego mego słuchajcie, boć ja w sądny dzień wstanę a powiodę was tam, gdzie sie wszyscy będziem radować; bądźcież na sie łaskawi, jeden drugiemu sprawiedliwość czyńcie, niewolnikom abyście lat odpuszczali, bo nie jesteście bogowie, abyście je do śmierci w niewoli chowali; a tem sie będziecie mnożyć, abowiem, widząc sprawiedliwość waszę, będzie sie was każdy trzymał a nauki waszej naśladował“. Po Mahometowej śmierci Ali z wielką teskliwością jechał do gór miedzy skały, chcąc szablę swą skazić prawą tesknością, i uderzył

[1] cholebać się = kolebać się, kołysać się. [2] bowiem. [3] pry = mówi, mówią.

w skałę, aż sie wszytka w skale zakryła. Ujrzawszy Ali takowy dziw, czego pierwej do swej szable nie wiedział, tako do onej przemówił: „Difaltari, przestań, aby to przeciw Bogu nie było". A potem był żyw po śmierci Mahometowej dziewięć lat. Ostatniego roku, na śmiertelnej pościeli leżąc, zebrawszy wszytek zbór pogański, napominał, aby Mahometowe przykazanie mocno trzymali, bo wiara jego jest nade wszytkie wiary ine, „a przeto Gaury trapcie, gdzie możecie, aby oni was nie trapili, a patrzajcie ich w domiech ich: lepiej-ci, niżli ich w domiech swoich czekać". A kiedy baczył, iż mu godzina przychodziła, kazał swą szablę wziąć, a w głębokość wrzucić morską. I powiedają pogani, gdy onę szablę wrzucono, trzy dni na onem miejscu sie morze burzyło a kręciło, żałując Alego. A przeto pogani miewają książki małe, za świątość ich przy sobie chowając, które zową Bamarli, a zawsze miewają na wojnie, jako u nas ewangelią, nosząc je pod pachą, a przy nich szabla Difaltari jest namalowana; powiedają, iż im jest barzo pomocna na walce, a komukolwiek na te książki przysięgają, to mocno strzymają każdemu. Ale są książki ine, fałeczne [1], które przyprawiają z kęsa mydła weneckiego: kogo chcą o gardło przyprawić, tych na ono mydło przyprawione, podobne ku prawym książkam, przysięgają; komu tak uczynią, nie trzeba w zdrowiu mieć nadzieje, jako sie było stało królowi boseńskiemu.

W rękopiśmie także przechowała się **Pieśń o pruskiej porażce**, (napisana w r. 1510 przez nieznanego autora),—opowiadanie wierszowane o bitwie pod Grunwaldem, nie kunsztowne, ale pełne prostoty oraz wiary w sprawiedliwość Boga, który pysznych poniża, a pokornych wywyższa. Oto urywek z tej pieśni.

Wtem dwa posłowie przysłani
Byli od króla słuchani:
„Mistrz pruski dał ci powiedzieć,
„Iż mu to tak dano wiedzieć,
„Iż ci serca nie dostawa:
„Dlatego-ć dwa miecza dawa,
„Abyś i te miał na pomoc:
„Wszak poznasz, co jest niemiecka [moc;
„A rozdziel się z nimi z bratem,
„A potykać się każ zatem.
„A jeślić pola nie dostawa
„Do szyku, oto-ć je dawa,
„Abyś nie miał żadnej obmowy [2],
„Oto już masz plac gotowy"....
Król przyjął miecze z pokorą
I dał im odpowiedź skorą,
Która za proroctwo stała,
Bo się im pycha znać dała.
„W mem wojsku acz dosyć broni,—
„Pozna ten, kogo mój zgoni, —
„A wszakże i za te dziękuję:
„Wygrać sobie obiecuję;...
„Bo się zwyciężonym czuje,
„Kto komu broń ofiaruje.
„Zna Pan Bóg, żem ciągnął na zgo- [dę
„I wami tego dowiodę;
„Ale, gdyście krwie niesyci,
„Da Pan Bóg, że w niej będziecie [zmyci.
„Pan Bóg długo zwykł folgować,
„Kogo chce wiecznie zepsować,
„Aby cięższą znał odmianę,
„Gdy nieszczęście zada ranę".

[1] fałszywe. [2] wymówka.

Potem król, swe napomniawszy,
Na prośby ich odjachawszy, —
Bo Polacy zwyczaj mają,
Iż za pana gardła dają, —
Rozkazał dać znak potkania....
Zaczęła się bitwa sroga:
Krew, śmierć, dusza wnet niedroga,
A mąż się do męża kwapił,
Czem kto mógł, swego połapił;
Tak, że się we krwi mieszały
Zbroja, trupy, co spadały,
Miecze, tarcze, kordy, łuki,
Już mdłe konie a drzew [1] stuki.
Na godzinę nie znać było,
Gdzie się zwycięstwo chyliło,
Aż Niemcy wzięli tę radę —
Z prawem skrzydłem zacząć zwadę.
Potem się na Litwę puścieli,
Na pomieszane trafili;
Ich pędu strzymać nie mogli:
Tak Pan Bóg chciał, iż je zmogli.
Wtenczas Wrocimowskiemu,
Chorążemu krakowskiemu,
Chorągiew, na dół strącona,
Ze krwią naszych jest wrócona.
Tam po tej przygodzie skoro,
Poczęło się naszym szczęścić sporo,
Bo się Niemcy pomieszali,
A Polacy docierali.
Chełmieńskie wojsko zostało,
Chorągiew szesnaście miało;
Wtem mistrz z krzyżowniki jął stro-
[nić,
Chcąc Polaków w sak [2] nagonić.
Król tam stał blizko w obronie,
Chciał bieżeć tam k tej stronie,
Tak, iż go ledwie strzymali
Ci, którzy mu wiarę dali.
A wtem jakiś rycerz zbrojny
Chciał skosztować z królem wojny;
Ale mu się nie powiodła,
Bo wnet zaraz wypadł z siodła.
Chciał króla drzewem dojachać,
A król go też nie chciał zaniechać;
Oleśnicki weń zawadzieł,
Bo go mężnie z konia zsadzieł.
Hełm mu dobyt został goło,
A król go ugodził w czoło;
Ci, co króla pilni byli,
Tam go do końca dobieli.
Ostatnie wojsko zostało,
Ale i to za swe miało,
W którem był mistrz z krzyżowniki,
Pomylono wszystkim szyki.
Owa wszyscy tył podali,
Ci pirwej bardzie kazali,
I w obozie się nie skryli:
Jak bydło, Polacy bieli.
Pięćdziesiąt tysiąc na placu
Zostało ich nie bez płaczu,
A czterdzieści poimano,
A tak, jako trzodę, gnano.
Mistrz z kuntory [3], wszyscy zbici,
Miecze, co przynieśli — i ci:
Pokora sama wygrała,
Bo u Boga miejsce miała.
Obóz, działa, wszystko wzięto:
Tak Niemcom pychę odjęto!
Łańcuchy, co zgotowali,
Tymi je naszy wiązali.
Po tej bitwie stał się koniec.
Wtem do Polski posłan goniec,
Iż król wygrał, a mistrz stracieł
I gardłem tego przypłacieł.
Tak-ci Pan Bóg hardość traci.
A pokorę hojnie płaci;
Sprawiedliwość w bitwie może:
Daj tak zawżdy wygrać, Boże!

§ 20. Mowa polska dostała się po raz pierwszy do druku już w wieku XV: w wydanej r. 1475 we Wrocławiu łacińskiej księ-

[1] drzewo = drzewce, włócznia. [2] zasadzka. [3] z komturami.

dze kościelnej wydrukowano po polsku Ojcze nasz[1], Zdrowaś i Wierzę. W wieku XVI arcybiskup gnieźnieński, Jan Łaski, wydając w roku 1506 w Krakowie zbiór praw polskich, wydrukował na ich czele pieśń Bogurodzica. A w roku 1514 w łacińskiej księdze kościelnej wydrukowano średniowieczną „Powieść o papieżu Urbanie". Te są trzy najstarsze druki polskie. *W drugiem dziesięcioleciu XVI wieku przyszła wreszcie kolej na całe książki polskie. Wydawali je księgarze krakowscy, z pochodzenia Niemcy, ale spolszczeni*, którzy, doskonale rozumiejąc potrzeby ogółu, pragnącego czytać po polsku, zamiawiali u bakałarzy akademii krakowskiej przekłady polskie różnorodnych pism łacińskich (powieści, modlitewników i t. d.) i drukowali je, szerząc tym sposobem wśród społeczeństwa czytelnictwo w języku ojczystym i torując drogę literaturze narodowej. Bardzo ciekawe są przedmowy księgarzy krakowskich do tych książek, świadczą bowiem, jak trudno było pokonać uprzedzenia Polaków względem mowy rodzinnej. Oto np., co pisał księgarz Hieronim Wietor: „Będąc ja wmieszkanym, a nie urodzonym Polakiem, nie mogę sie temu wydziwić, gdyż wszelki inny naród język swój miłuje, szyrzy, krasi i poleruje, czemu sam polski naród swym gardzi i brząka, który mógłby iście, jako ja słyszę, obfitością i krasomową z każdym innym porównać; ile ja rozumieć mogę z ludzi, z którymi czasem o tem mawiam, nie jest inna przyczyna tego, jedno przyrodzenie polskie, które ku obcym a postronnym obyczajom, sprawom, ludziom i językom skłonniejsze jest, niżli ku swym własnym". Otóż nieśmiertelna zasługa bakałarzy krakowskich, którzy książki polskie pisali, i księgarzy krakowskich, którzy je wydawali, polega na tem, że zwalczali uprzedzenia przeciwko językowi polskiemu, jako literackiemu, i wpajali w społeczeństwo przekonanie, że nie tylko po łacinie, ale i po polsku literatura rozwijać się może. Jedni i drudzy, zarówno bakałarze, jak księgarze, byli mieszczanami: *nie szlachcie więc, tylko mieszczanom krakowskim zawdzięczamy pierwsze książki polskie.*

Jaka była pierwsza książka polska, w którym roku wyszła, kto ją napisał, kto wydrukował, — tego nie wiemy, bo pierwsze druki polskie nie przechowały się do naszych czasów: współcześni zaczytali je ze szczętem! Wiemy tylko, że zaczęto drukować książki polskie już około roku 1515.

Pierwsza znana nam dzisiaj książka polska ukazała się w Krakowie w roku 1521 z drukarni Hieronima Wietora. Tytuł jej brzmi: „Rozmowy, ktore myał Krol Salomon mądry z marchołtem grubym a sprosnym, a wssákoż, iako o ńyem powyedáią

[1] Otcze nasz genz gsi nauyebesach oswyentcze gmye twe budz twa wuola, yako na nebi tako na zemy. Chleb nass wssedny day nam dissa odpusscz nam nasse wynny yako my odpusstiame nassim wynowatczom. Ee newodyz nas napokuschenya ale zbaw nas od zleho Amen.

bárzo zwymownym zfigurámi y zgadkámi smyessnymi". *Przetłumaczył tę małą książeczkę z języka łacińskiego bakałarz krakowski, Jan z Koszyczek.* Treścią jest rozmowa Salomona z wieśniakiem Marchołtem, który, choć nie uczony, w kozi róg zapędza uczonego Salomona, tak, że pokazuje się, iż prosty chłopski rozsądek jest lepszy od rozumu, nabytego drogą wykształcenia.

Gdy Salomon był na stolcu ojca swego, Dawida, pełen mądrości i bogactw, uźrzał niektórego człowieka, imieniem Marchołta, przychodzącego od wschodu słońca, na obliczu żadnego[1] i grubego, ale barzo wymownego... A wzrost Marchołtów był krótki, mały a miąższy[2], głowę miał wielką, czoło szyrokie, czyrwone a zmarszczone, uszy kosmate a zwieszone do półlica, oczy miąższe a płynące,... brodę smrodliwą a kosmatą, jakby u kozła, ręce, jakoby klocki, palce krótkie a miąższe, nogi okrągłe, nos miąższy a garbaty, wargi wielkie a miąższe, oblicze, jakoby u osła, włosy, jakoby na koźle; obów nóg jego była chłopska a barzo gruba, skóra jego kosmata a błotna, suknia jego krótka—telko do lędźwi, nogawice jego fałdowne, odzienie jego farby barzo grubej.... Salomon rzekł. Słyszałem, iżeś wielomówny a chytry, aczkolwieś chłop a gruby, przeto gadajwa sie: ja ciebie będę pytał, a ty mi odpowiedaj.—Marchołt odpowiedział. Ten-ci pirwej rad poczyna, który żadnie i źle śpiewa. Salomon odpowiedział. Jeśli mi na wszytko będziesz odpowiedał, tedy cie wielkiemi bogactwy ubogacę, a będziesz znamienity w mojem królestwie.—Marchołt. Obiecuje zdrowie lekarz, gdyż nie ma mocy, a w tem jest łgarz.—Salomon. Dobrzeć-em rozsądził miedzy dwiema swowolnemi niewiastoma, które w jednym domu udawiły dziecię.—Marchołt. Gdzie są sprawy, tam bywa słuchanie; gdzie są niewiasty, tam bywa swarzenie.... Salomon. Kiedy mocniejszy zwycięża mdlejszego, tedy bierze wszytko imienie jego.—Marchołt. Z tym kot rad mieszka we zgodzie, kto mu sie da lizać po brodzie...... Salomon. Każdy człowiek ma być miłowan dla Boga.—Marchołt. Jeśli tego miłujesz, kto cie nie miłuje, ty swą miłość tracisz, a on z ciebie błaznuje.... Salomon. Jużemem sie teraz umęczył, odpoczniemy.—Marchołt. Jać jeszcze przez długi czas nie odpuszczę gadania, aza[3] u ciebie nabędę imienia[4].—Salomon. Jać już teraz dalej nie mogę. — Marchołt. Jeśli, królu, sie nie możesz już ze mną rozgadać, tedyś już zwyciężon, a coś ty mi obiecał, toż daj.

W roku następnym, 1522, wyszła w Krakowie druga książka: „Zywot pana Jezu krista, stworzyciela ij zbawiciela rodzaiu ludzkiego". Jest to już nie dosłowne tłumaczenie, ale przeróbka, dokonana z pierwowzoru łacińskiego przez *Baltazara Opecia.* Treść książki stanowią obszerne i szczegółowe opowiadanie o życiu Zbawiciela, pełne prostoty i serdeczności, oraz pobożne rozmyślania.

[1] żadny = brzydki. [2] gruby, ciężki. [3] a może też. [4] imienie = mienie, majątek.

Ucieczka z Egiptu. Anioł Boży ukazał się we spaniu Józefowi, rzekąc: „Wstań, a weźmi Dziecię i Matkę Jego, a wydzi do Egiptu, a bądź tam, dokąd nie powim tobie: bo ma być, aby Herod szukał Dziecięcia ku zagubieniu Jego“.... Józef, powstawszy, hnetki[1] objawił to Pannie. O! ciężko się Jej serce zasmuciło z te nowiny, a przeto, chcąc zachować żywot namilejszego Synaczka swego, natychmiast chciała ić[2] i poszła z Józefem. Któryż, powstawszy, wziął jest Dziecię i Matkę Jego, a odszedł do Egiptu.... Tu rozmyślaj, z jaką żałością Dzieciątko budzi śpiące, a polutuj[3] Matki i Syna i Józefa świętego... Uciekał tedy Król Niebieski przed sługą, Matuchna też, panna młodziutka, nosiła Go na swych rączkach, Józef też stary prowadził Ją przez puszcze, lasy, bory i też kamieniste góry; gdzieby odpoczywali, nie mieli, bo domów tam nie było, a tak często na noc w puszczy, w boru, w lesie, w polu odpoczywali. Pożałujże onego rozkosznego i ślicznego Dzieciątka młodego, bo, skoro dwa miesiąca miało, a już za nas prześladowanie cirpiało!..

Oprócz opowiadania o życiu Jezusa i pobożnych rozmyślań, znajdują się w dziele Opecia modlitwy i pieśni, nie wyszukane, ale rozbrajające swą naiwnością dziecięcą, jak np. te słowa, zwrócone do Dziecięcia:

Nic nigdy tak słodkiego jestem ukusił,
Nic też tak rozkosznego jestem pożywał:
Usta Twe namilsze, nad cukier słodczejsze,
Nad cynamon i nad miód są wielmi[4] smaczniejsze...

Czemu leżysz tu, w chlemie, niebieska perełko,
Na tak grubem łożysku czemu odpoczywasz?
O, maluśki nadobny kwiatku wielmi śliczny,
O dzieciątko szlachetne, róży podobne.

Wydawano i inne książki ku zbudowaniu pobożnych, jako to żywoty świętych, t. zw. „ogródki duszne“ (modlitewniki), psałterze i t. d. Wielką poczytnością cieszyły się i przekłady starych powieści średniowiecznych, jak np. „Historya o żywocie i znamienitych sprawach Aleksandra Wielkiego, króla macedońskiego, która w sobie wiele cudnych przykładów zamyka“; „Historya piękna i ucieszna o Poncyanie, cesarzu rzymskim, jako syna swego, Dyoklecyana, dał w naukę i ku wychowaniu siedmiu mędrcom“ (zbiór opowiadań o chytrości niewieściej); „Historya barzo piękna i ucieszna o zburzeniu a zniszczeniu onego sławnego a znamienitego miasta i państwa trojańskiego, które dla jednej białej głowy, Heleny, którą był Aleksander, syn Pryamusa, króla trojańskiego, uniósł, Grekowie naonczas z wielkiem krwie z obu stron rozlaniem uczynili“, i t. d.

Wszystkie te książki i książeczki, zarówno pisma budujące, jak powieści świeckie, cieszyły się niesłychaną poczytnością, a po części cieszą się nią do dziś dnia: „Żywot“ Opecia ukazuje się cią-

[1] wnet. [2] iść. [3] lutować = litować się. [4] bardzo, o wiele.

gle w nowych wydaniach, a historyę o siedmiu mędrcach i inne stare powieści do dziś dnia sprzedają po jarmarkach i odpustach.

§ 21. Z utworów wierszowanych wyróżniają się *bajki* uczonego lekarza, **Biernata z Lublina**. Bajki greckie, przypisywane Ezopowi, obiegły w przekładach łacińskich Europę średniowieczną; znano je i u nas już w wiekach średnich, ale dopiero Biernat z Lublina opracował je wierszem polskim; *jest więc pierwszym bajkopisarzem naszym.* Wartości poetyckiej jego bajki nie posiadają, ale odznaczają się czystym, szczeropolskim językiem; każda bajka kończy się nauką moralną.

Kto miłuje księgi, nie miewa teskności.

Rataj, mając pana swego
Męża w czytaniu pilnego,
Tam do jego książnice wszedł,
Gdzie on zawżdy swe księgi czedł [1].

A gdy uźrzał go samego,
Nad księgami leżącego,
Jął ty słowa k niemu mówić:
„Jakoż możesz sam tuta zbyć?“

On mu rzekł: „Nigdy ja nie sam:
„Zawżdy częstą biesiadę mam;
„Terazć-em oto sam został,
„Gdym ciebie przed sobą uźrzał“.

Którzy-ciem [2] siedzą z księgami,
Nie mogą być nigdy sami;
Aże, kiedy w ciżbie sięda,
Tam dopiero sami będą.

W nadzieję wiela mała nie opuszczaj.

Słowik, iż ten obyczaj ma:
Siedząc w gaju, słodko śpiewa,—
Więc go krogulec ułapił,
Bo tam w gaju z nim społem był.

Rzekł mu słowik: „Miły panie!
„Małe ze mnie masz śniadanie:
„Patrz sobie ptaka więtszego,
„A mnie puść, tako małego!“

Rzekł krogulec temi słowy:
„Lepszyć ty mnie tu gotowy,
„Niżli ini, co latają,
„Chocia więcej mięsa mają“.

Bo, kto traci, co w ręku ma,
A niepewne rzeczy duma,
Takiemuć zmysłu nie zstawa:
Pewne za niepewne dawa.

Bajki Biernata z Lublina mają to jeszcze znaczenie w historyi literatury, że *są pierwszym zbiorem przysłów polskich*; przytacza je autor bądź to w tytule, bądź też w samym toku bajek, np. „Szkoda krasy, gdzie rozumu niemasz“; „Kto rad szczebiece, wszytko wymiece“; „Zięciem być lwowi źle myszurowi“; „Kędy chcesz, tu sie wierć, wżdy ciebie najdzie śmierć“; „Kto dobrze broi, śmierci sie nie boi“; i t. d.

---

[1] czedł — czas przeszły od *czyść* = czytać. [2] ciem = ci, bowiem.

ROZDZIAŁ IV.

Od roku 1543 do końca XVI wieku.

Wiek złoty: mądrość i piękno literatury staropolskiej.

§ 22. Rok 1543 stanowi epokę w dziejach literatury naszej, nie przeto, że jest datą śmierci Janickiego i datą wydania wiekopomnego dzieła Kopernika, ale dla tego, że w roku tym ukazała się „Krótka rozprawa“ Reja, pierwszy po polsku napisany utwór nawskroś oryginalny, nawskroś narodowy, bo wzięty wprost z życia narodu. A w tym samym roku zaczynają pisać jeszcze dwaj inni znakomici pisarze: Modrzewski i Orzechowski. To początek najwspanialszego rozkwitu literatury staropolskiej, jej wieku złotego, który unieśmiertelniły trzy zwłaszcza nazwiska: Reja, jako ojca naszej literatury narodowej, Kochanowskiego, jako największego poety niepodległej Polski, i Skargi, jako największego ze wszystkich kaznodziejów, jakich kiedykolwiek wydała Polska. Epoka ta trwa aż do końca XVI wieku, t. j. obejmuje ostatnie lata Zygmunta Starego, panowanie Zygmunta Augusta, Henryka Walezyusza i pierwsze lata Zygmunta III.

Oświeconem musiało być społeczeństwo, które wydało tak mądrą i piękną literaturę. Jakoż było niem rzeczywiście; źródłem jednak oświaty nie były szkoły krajowe, które nie zaspokajały wymagań spragnionego wiedzy społeczeństwa. Akademia krakowska upadała coraz to więcej: zamiast humanizmu uprawiała scholastykę, a za główne swoje zadanie poczytywała nie naukę, lecz dochowanie wierności Kościołowi katolickiemu wobec szerzącej się reformacyi. Wystąpiła akademia do walki z reformacyą, ale była to walka raczej bierna, niż czynna, głównie bowiem polegała na tem, że nie przyjmowano ani do akademii, ani do podwładnych jej szkół (kolonii akademickich) innowierców. Ci zakładali własne szkoły, które wprawdzie pod niejednym względem były lepsze od katolickich, ale i one nie odpowiadały bynajmniej wysokim zadaniom szkoły, i one bowiem miały charakter nie naukowy, lecz wyznaniowy.

Oprócz akademii krakowskiej powstały w XVI wieku jeszcze dwie inne, w Wilnie (1578) i Zamościu (1595); ale pierwsza, będąca w rękach jezuitów, uprawiała, podobnie jak akademia krakowska, prawie wyłącznie scholastykę i teologię i walczyła z innowiercami, a druga rozwijała się pomyślnie tylko dopóty, póki żył jej założyciel, Jan Zamojski († 1605).

Nie szkołom więc krajowym zawdzięcza Polska XVI wieku swą wysoką oświatę, ale, po pierwsze, samemu życiu (mianowicie ruchowi politycznemu i religijnemu) i, po drugie, szerzącemu się coraz to więcej wpływowi cywilizacyi włoskiej (humanizmowi).

Ruch polityczny był niesłychanie żywy. Szlachta, pragnąc do reszty skruszyć potęgę możnowładców, domaga się podawnemu egzekucyi i zwycięża: na sejmie egzekucyjnym piotrkowskim (1562—3) uchwalono egzekucyę dóbr, rozdarowanych po roku 1504 (ob. § 16). Nie dosyć na tem. Szlachta dążyła do zreformowania państwa wogóle (do tak zwanej naprawy Rzeczypospolitej), pragnąc utrwalić i uprawnić swoją złotą wolność. I znów odniosła zwycięstwo. Po bezpotomnej śmierci Zygmunta Augusta (1572) złota wolność stała się prawem: odtąd króla obierali nie przedstawiciele narodu, ale cała szlachta (*viritim*), nowoobrany zaś król musiał przysięgać, że wykona warunki, podyktowane mu przez szlachtę (*pacta conventa*). Jedno i drugie, zarówno elekcya *viritim*, jak *pacta conventa*, ukoronowało złotą wolność, ale zarazem podkopało potęgę państwa. Odtąd szlachcic z dumą mówił sobie: „Urodziłem się wolnym szlachcicem, nie boję się nikogo, i króla samego"; pysznił się, że ma prawo obierać sobie króla i że sam może nim zostać; rozumował, że, skoro jest wolny, więc może postępować tak, jak mu się żywnie podoba; lekceważył prawa, nie szanował króla i urzędu; uwierzył w mądrość przeklętej zasady: „Nierządem Polska stoi". Silna ręka Batorego umiała wprawdzie utrzymać w Polsce porządek, a jego wielka głowa umiała zapalić szlachtę do zgodnych i wielkich czynów: do wojny moskiewskiej, w której oręż polski nieśmiertelną okrył się chwałą; potężną więc jeszcze była Polska za króla Stefana, ale, gdy jego nie stało, gdy na tron powołano Zygmunta Wazę, złota wolność wydawać zaczęła owoce: rozpanoszył się nierząd straliwy, król tracił nie tylko władzę, ale i powagę, niewola chłopów stawała się coraz cięższą, miasta szybko upadały, zachwiała się i powaga sejmu walnego, bo sejmiki coraz to odbierały mu władzę; słowem, państwo staczało się powoli w przepaść, w którą stoczyło się wreszcie w końcu XVIII stulecia.

Tak więc ruch polityczny szlachty w wieku XVI był dla państwa w skutkach swoich zgubny, ale na oświatę wywarł wpływ niezmiernie dodatni: już to jedno, że szlachta brała tak żywy udział w życiu publicznem, rozwijało ją i oświecało, kształciło i pobudzało do zastanawiania się nad sprawami państwa.

Olbrzymi wpływ na oświatę społeczeństwa wywarł również

ruch religijny, mianowicie reformacya. Już za Zygmunta Starego szerzyła się nauka Lutra w ziemiach, graniczących z Niemcami, z całą siłą jednak wybuchła reformacya dopiero za Zygmunta Augusta. Z początku poprzestawano na ostrej krytyce duchowieństwa, któremu słusznie zarzucano życie niemoralne i nadmierną chciwość grosza; domagano się Kościoła narodowego, t. j. niezależnego od Rzymu; na sejmach wołano, aby słowo Boże było głoszone „w czystej postaci" (mniemano bowiem, że Kościół katolicki wypaczył je i zepsuł); aż wreszcie szlachta, chcąc wyłamać się z pod władzy Kościoła, zaczęła tłumnie z nim zrywać, tak dalece, że zdawało się, iż Polska szlachecka na zawsze przestanie być katolicką. Tymczasem stało się inaczej. Reformacyę w Polsce wywołały nie przyczyny religijne, ale społeczne i polityczne: nie o istotę religii chodziło szlachcie, ale głównie o to, aby złamać władzę i przywileje duchowieństwa: aby nie płacić dziesięcin, nadewszystko zaś, aby nie podlegać sądom biskupów (t. zw. jurysdykcyi duchownej), którzy mieli prawo sądzić i żądać od urzędów świeckich, by karały tych, którzy łamią przepisy kościelne. Otóż, kiedy na sejmie egzekucyjnym zapadła uchwała, że urzędy świeckie nie będą wykonywały wyroków sądów biskupich, upadła tem samem jedna z najważniejszych pobudek do zrywania z Kościołem katolickim. To jedno. Po drugie, większość szlachty, choć zmieniła wyznanie, w głębi serca tęskniła do okazałości i przepychu nabożeństwa katolickiego, żal jej było wyrzekać się kultu Najświętszej Panny i nabożeństwa do świętych: ukradli szlachcicowi konia, jakże nie pomodlić się do ś. Lenarta? zginął wieprz, jak nie błagać ś. Antoniego, by się znalazł? Po trzecie, w łonie samej reformacyi nie było zgody: ponieważ tak wielkiej wolności sumienia, jak w Polsce, nie było na całym świecie, więc nigdzie nie powstało tyle, co u nas, sekt religijnych, które, pomimo licznych usiłowań, nie mogły dojść z sobą do zgody. Najtrudniej było o zgodę pomiędzy ewangelikami a aryanami. Aryanie czyli antytrynitaryusze to najskrajniejsza sekta XVI w.: odrzucali dogmat bóstwa Jezusa Chrystusa (a zatem dogmat Trójcy ś.), chociaż przejęli się głęboko moralnością chrześcijańską; nienawidzono ich powszechnie; zarówno katolicy, jak ewangelicy, miotali na nich oszczerstwa, a oni twardo stali przy swej nauce, co jeszcze bardziej wzmagało zawziętość ich nieprzyjaciół. Otóż ta niezgoda podkopywała siłę reformacyi w Polsce, tem więcej, że Kościół katolicki, dzięki reformom, dokonanym na soborze powszechnym w Trydencie, wzrastał w siłę i powagę. Upadała więc reformacya szybko już w ostatnich latach panowania Zygmunta Augusta; nie ocaliła jej bezprzykładna na całym świecie tolerancya religijna, która po śmierci Zygmunta Augusta stała się prawem państwowem mocą tej samej konfederacyi warszawskiej, która zapewniła szlachcie wolność polityczną. Katolicyzm zwyciężał, bez środków gwał-

townych, jak gdzie indziej; przyczynili się do jego tryumfu jezuici, których sprowadził do Polski Hozyusz.

Cały ten ruch religijny miał nieobliczone następstwa dla oświaty. On to rozbudził życie umysłowe w większym jeszcze stopniu, niż ruch polityczny, a nie tylko rozbudził, ale i rozszerzył: jak Polska długa i szeroka, wszędzie sprawa religijna budziła w umysłach mieszczan i szlachty tak wielkie zajęcie, jak nigdy przedtem i nigdy potem; dostarczała obficie pokarmu umysłowego, pobudzając do myślenia; każdy jako tako wykształcony człowiek, duchowny, czy świecki, nie tylko politykował, lecz nadto rozprawiał o religii i Kościele; rozwijał się więc umysł, budził się zmysł krytyczny. Dawniej jedynem niemal środowiskiem życia umysłowego był Kraków, teraz powstawały ogniska nowe: Pińczów, Raków, Lublin, Wilno, Brześć Litewski i in.

Potężną dźwignią oświaty w XVI w. był wreszcie *humanizm*. Zniechęcona do akademii krakowskiej, młodzież coraz to tłumniej jeździła po naukę zagranicę, zwłaszcza do Włoch, które całej Europie przodowały oświatą, ogładą obyczajów, literaturą i wogóle cywilizacyą. Roiło się po uniwersytetach włoskich od młodzieży polskiej, która nie traciła czasu, pilnie przykładała się do nauki, a za powrotem do ojczyzny szerzyła nabytą wiedzę i cywilizacyę po całym kraju. To też humanizm rozwinął się w Polsce wspaniale. Znajomość języka greckiego była wprawdzie rzadka (znali go tylko ludzie najukształceńsi), ale za to znajomość łaciny była tak powszechną, że, jak świadczy współczesny historyk, Marcin Kromer, w samych Włoszech trudno było znaleźć tylu mówiących po łacinie, co w Polsce. Chełpiono się tem i popisywano, i już w wieku XVI utrwalił się zwyczaj, że w mowach, do których wygłaszania tak skorzy byli dawni Polacy, i w listach sypano, jak zza rękawa, nie tylko wyrazami, ale całemi zdaniami łacińskiemi. Powszechna znajomość łaciny umożliwiła powszechną znajomość literatury rzymskiej: z zapałem rozczytywali się Polacy w pismach autorów rzymskich, podziwiali ich piękność i mądrość i tym sposobem przyswoili sobie całe mnóstwo pojęć, poglądów i zasad starożytnych i często ślepo wierzyli w ich słuszność. Miało to ujemną stronę, bo przecie nie wszystko, co wymyśliła starożytność, jest dobre i mądre, ale miało i stronę dodatnią, rozszerzało bowiem widnokręgi umysłowe.

§ 23. Trzy więc były główne źródła, z których płynęła oświata Polski XVI wieku: ruch polityczny szlachty, reformacya i humanizm. A była to oświata rzetelna i wysoka, i literatura zatem rozwinęła się wspaniale.

Teraz dopiero runęło do szczętu uprzedzenie średniowieczne, że językiem literackim może być tylko łacina, teraz dopiero *język ojczysty otrzymuje w literaturze przewagę nad obcym, łacińskim.*

Wpłynął na to po części humanizm: we Włoszech, gdzie się tyle młodzieży polskiej kształciło, minęły już czasy ślepego uwielbienia i naśladownictwa literatury rzymskiej, kiedy to głównem staraniem humanistów było dorównać pięknością języka łacińskiego autorom rzymskim; teraz humaniści włoscy już zrozumieli, że największa sztuka polega nie na tem, żeby pisać pięknie po łacinie, ale na tem, żeby pisać po włosku równie pięknie, jak Rzymianie pisali po łacinie; tym sposobem rozwinęła się w XVI w. we Włoszech bogata literatura narodowa. Otóż za przykładem Włochów poszli Polacy: i oni zrozumieli nakoniec tę prawdę, że językiem literackim powinien być język ojczysty. *Główną jednak przyczyną zwycięstwa języka polskiego w literaturze była reformacya*, jej zwolennicy bowiem, chcąc mieć posłuch w jaknajszerszych masach społeczeństwa, musieli się posługiwać zarówno w mowie, jak w piśmie, językiem powszechnie zrozumiałym, a więc ojczystym; musieli przedewszystkiem postarać się o to, aby Pismo święte było dla wszystkich dostępne: stąd pierwszy drukowany przekład polski ewangelii zawdzięcza literatura nasza nie katolikom, lecz protestantom, mianowicie kaznodziei królewieckiemu, *Janowi Seklucyanowi*; musieli dalej postarać się o pieśni religijne w języku narodowym, i stąd powstają t. zw. kancyonały (t. j. śpiewniki) polskie. Wówczas to i duchowieństwo katolickie, chociaż niechętnie patrzyło na spolszczanie się literatury religijnej, zrozumiało, że, jeśli chce skutecznie walczyć z reformacyą, musi koniecznie posługiwać się językiem ojczystym; rozwinęło się więc wspaniale piśmiennictwo religijne, które stanowi najbogatszą gałąź literatury polskiej XVI wieku, a na które, prócz przekładów Pisma ś. [1] i pieśni religijnych, złożyły się kazania, dzieła teologiczne, a nadewszystko bogata, niezmiernie żywa i gwałtowna polemika religijna (t. j. pisma, w których zwolennicy jednego wyznania walczyli z przedstawicielami innego). Otóż to wywołane przez reformacyę piśmiennictwo religijne z jednej strony przyczyniło się w najwyższym stopniu do wyrobienia języka polskiego, a z drugiej do utrwalenia w literaturze języka ojczystego, innemi słowy, *reformacya była potężnym czynnikiem unarodowienia literatury*.

---

[1] Cztery ewangelie w przekładzie Seklucyana ukazały się w Królewcu w r. 1551; w roku następnym wydał Seklucyan cały Nowy Testament; w przedmowie do króla, któremu przekład swój poświęcił, pięk' 'e powiada, że przekład Pisma ś. na język ojczysty więcej znaczy, niż gdyby król całe kraje do swego królestwa przyłączył. W r. 1561 drukarz krakowski Szarffenberg wydał całe Pismo ś w tłumaczeniu księdza katolickiego, Jana Leopolity; jest to t. zw. biblia Szarffenberga czyli Leopolity. W r. 1563 wyszła w Brześciu Litewskim, nakładem gorliwego kalwina, Mikołaja Radziwiłła Czarnego, biblia dla kalwinów (biblia brzeska czyli radziwiłłowska). W r. 1572 w Nieświeżu wydano biblię dla aryanów w przekładzie Szymona Budnego (biblia nieświeska czyli Budnego). W r. 1593 wyszedł Nowy Testament, a w r. 1599 całkowite Pismo ś. w przekładzie jezuity, Jakuba Wujka (biblia Wujka).

I humanizmowi zawdzięcza literatura polska wiele dobrego. Znajomość znakomitych historyków, polityków, mówców i poetów starożytnych przyczyniła się do rozwoju literatury historycznej, politycznej, wymowy i poezyi. Historycy usiłują pisać tak pięknie, jak słynny dziejopis rzymski, Liwiusz; politycy szukają mądrości w pismach Platona, Arystotelesa i Cycerona; mówcy budują równie piękne i kształtne okresy, jak Cyceron; poeci naśladują poetów rzymskich, zwłaszcza Horacego. Naśladownictwo to sięgało czasem za daleko: składni polskiej nadawano tok łaciński, w poezyi posługiwano się mitologią, w prozie do znudzenia przytaczano różne przykłady z dziejów starożytnych i t. d.; ale, z drugiej strony, rozczytywanie się w literaturze starożytnej przyniosło piszącym tę wielką korzyść, że rozwinęło i udoskonaliło w nich poczucie estetyczne, t. j. zmysł piękna, że nauczyło ich sztuki dobrego pisania; *piękność swoją—piękność języka, stylu i wogóle piękność formy—zawdzięcza literatura nasza XVI stulecia głównie humanizmowi.*

A jak piękną jest forma literatury wieku złotego, tak szlachetną i mądrą jej treść. Żywy ruch religijny, wywołany przez reformacyę, był obfitym pokarmem nie tylko dla umysłów, ale i dla serc: pobudzając bowiem ludzi do zastanawiania się nad sprawami religii i moralności, do zgłębiania nauki Jezusa Chrystusa, budził w ich duszach uczucia szlachetne; to też pełna podniosłych uczuć jest literatura, pełna miłości Boga i człowieka, nawskroś przesiąknięta zasadami moralności chrześcijańskiej. Najpiękniejsze pisma XVI wieku: *O naprawie Rzeczypospolitej* Modrzewskiego, *Treny* i *Psałterz* Kochanowskiego, *Kazania sejmowe* Skargi — należą zarazem do najpodnioślejszych utworów w całej naszej literaturze. Najznakomitsi pisarze są jednocześnie najszlachetniejszymi nauczycielami swego narodu, bo, sami ducha chrześcijańskiego pełni, pragną przelać go w serca czytelników, pragną prowadzić swój naród drogą cnoty, drogą moralności chrześcijańskiej. *A oprócz moralności ogólnej, oprócz miłości Boga i człowieka, uczą go moralności patryotycznej i miłości ojczyzny.* Ogół szlachty, rozkochany w złotej wolności, zapominał o obowiązkach względem ojczyzny: literatura przypominała mu o nich; uciskał chłopów: ona stawała w ich obronie; unikał rzemiosła wojskowego, woląc siedzieć spokojnie na wsi: ona przestrzegała, że bez wyćwiczonego żołnierza państwo potężnem być nie może; uwierzył w zasadę: „Polska nierządem stoi“: ona uczyła, że zasada to głupia i potworna. Słowem: *duch obywatelski, mądry i szlachetny patryotyzm znamionuje literaturę XVI wieku, jest jedną z najwybitniejszych i najpiękniejszych jej cech.*

Niestety, ogół nie chciał słuchać swoich mądrych i zacnych nauczycieli, i to napełniało ich serca smutkiem głębokim, niepokojem gryzącym i trwogą bolesną: to też w pismach XVI wieku dźwięczą silnie przeczucia smutnej przyszłości, raz w raz rozlegają się prze-

powiedniе upadku Polski. *Te proroctwa to także wybitne znamię literatury XVI stulecia.*

§ 24. Szereg znakomitych pisarzów wieku złotego otwiera **Mikołaj Rej** (1505—1569).

Urodził się w Żórawnie pod Haliczem. Ojciec jego (jak opowiada przyjaciel i biograf Reja, uczony humanista, Andrzej Trzecieski) „o wychowanie tego syna mało dbał, bo jednegoż miał, tak, że ji przy sobie chował aż do niemałych lat, że go byli potem ledwe namówili, iż go był dał do Skarmierza do szkoły.... Tamże był dwie lecie i, nic sie nie nauczywszy, wziął go był zasię do domu i potem go był dał do Lwowa; i tam sie też nic nie nauczył, bawiąc sie miedzy przyjacioły, bo już był podrosły, a był tam dwie lecie". Przez kilka miesięcy chodził Rej do akademii krakowskiej, ale i to „mu mało albo nic nie pomogło, bo już rozumiał, co to jest dobre towarzystwo". „I zdało sie ojcu, iż już był nauczony człowiek, a on przedsię, jako dawno, nic nie umiał; wziął go zasię do domu, do onego Żórawna. Tamże, z rucznicą a z wędką biegając około Niestru, aż do ośmnaście sie lat ćwiczył, bąki strzelając; a gdy przyniósł pełne zanadra [1] płocic, laskowych i wodnych orzechów, a kaczora albo gołębia abo wiewiórkę za pasem, to go z onej koszule z płoskonek [2] roztrząsali, rozpasawszy: ano wszytkiego dobrego dosyć. To sie tu w nim kochali, mówiąc: «Nic nasz Mikołaj, nic! ba, nie zależy-ć ten na starość gruszki w popiele!» Ano prawdę mówili: bo było prawie [3] ze wszytkiego nic. Potem go posłali do Topolej, do stryja, aby go był wyprawił gdzie na służbę, i kupili mu kitajki na kabat [4] na wyprawę; a on sie jął brogiem [5] wron łowić, a nim mu uszyto sukniej, tym onę kitajkę wykrawał na proporczyki, a czyniąc drzewca, z onymi proporczyki przywięzował wronam do szyje a do ogona pod skrzydło a żywo je puszczał, tak, że, z onymi proporczyki latając, wygnały ine wrony i kawki precz, że szkody w gumniech nie czyniły". Takie to życie pędził Rej aż do lat dwudziestu. Ale nastąpił zwrot: ojciec oddał go na dwór wojewody sandomierskiego, Andrzeja Tenczyńskiego, i tutaj to, w otoczeniu ludzi wykształconych, zaczął się Rej wstydzić swego nieuctwa. „Tam potem będąc, począł go pan w listy polskie wprawować, bo łacińskiego języka barzo mało abo nic nie umiał; tamże potem z listów, z rozmów miedzy pisarzmi, z czytania, a snadź więcej z natury jął sie już był przegryzować potrosze i łacińskiego pisma czytać, a Bóg a natura ostatka dodał, iż był przyszedł potem *ad iudicium* [6], iż wżdy już rozumiał, co czarno, a co biało, jedno, iż mu to wiele przekażało, iż był zawżdy zabawion towarzystwem a muzyką, tak z natury, że rzadkiej której nie umiał. Teksty dziwne a wirsze rozmaite, tak nic sie nie rozmyślając, czynił. A był pan barzo ciekawy zmłodu, że nigdy na jednem miejscu długo posiedzieć nie mógł, a myśliwstwo mu też wiele

---

[1] pazucha. [2] płoskon, płoskonka = konopie. [3] naprawdę. [4] suknia, surdut. [5] bróg = sieć. [6] do rozsądku, do rozeznania.

przekazało". Po śmierci ojca wziął się Rej do gospodarstwa, a miał na czem gospodarować, bo i po ojcu odziedziczył niemałą fortunę i za żoną wziął duży majątek. Życie płynęło mu wesoło wśród biesiad i polowań w gronie „dobrych towarzyszów", którzy przepadali za jego humorem i wesołością, a i mądrą radę jego wysoko sobie cenili; w dzień hulał, po nocach pisał; zjeździł całą Polskę, ale zagranicą ani razu nie był. Gdy reformacya zaczęła się szerzyć w Polsce, odstąpił Kościoła katolickiego i zwalczał go słowem i piórem, jako jeden z najgorliwszych zwolenników nowej nauki. „Żadnego sejmu, zjazdu ani żadnej koronnej sprawy nie zamieszkał", ale, pomimo że cieszył się względami obu Zygmuntów, „urzędem żadnym ziemskim nigdy sie nie chciał parać[1]: powiedał, że w zatrudnionym żywocie dwa co naślachetniejsze klenoty ociążone być muszą: wolność i sumnienie, które powiedał, iż w zabawionym żywocie nigdy bezpieczne być nie może". Nie uchylał sie zato od godności posła i niejednokrotnie zabierał głos na sejmach w sprawach państwa i religii.

Zasługi Reja są nieśmiertelne, a polegają, krótko mówiąc, na tem, że *on stworzył literaturę narodową*, po pierwsze, dla tego, że on dopiero zaczął pisać po polsku dzieła oryginalne, w których odbiło się współczesne życie narodu, i, po drugie, dla tego, że on był pierwszym autorem świeckim, piszącym nie dla kobiet i nie dla ciemnych prostaczków, ale dla całego narodu szlacheckiego; on pierwszy dowiódł, że literatura może rozwijać się w języku narodowym, on najwięcej przyczynił się do zwycięstwa języka ojczystego nad łacińskim. Tę zaś olbrzymią zasługę położył Rej zupełnie świadomie: przywiązany gorąco do swej narodowości i ojczyzny, Polak duszą i ciałem, cierpiał i wstydził się, że, kiedy, jak powiada, „każdy naród język swój i sprawy swe zdobić sie stara, jako nalepiej może i pisząc czasem też leda co i wiele nikczemnych a niepotrzebnych rzeczy", Polacy tylko gardzą swym językiem i nie mają literatury narodowej, „aż sie inszy narodowie czasem pytali, jeśli Polska jest miasto, albo też jaka kraina". Oto co bolało Reja! Jego szlachetna duma narodowa nie mogła pozwolić na to, by Polska, kraj tak wielki i potężny, nie miała własnej literatury. Więc, kiedy widział, że o jej stworzeniu nie myślą jakoś ludzie uczeni, którzy uniwersytety włoskie pokończyli, porwał się do czynu on, prostak i nieuk, i zaczął pisać pod przepięknem hasłem:

A niechaj narodowie wżdy postronni znają,
Iż Polacy nie gęsi, iż swój język mają.

Łatwość pisania miał ogromną, zarówno prozą, jak wierszem; pisał językiem dosadnym, obrazowym, wziętym z żywej mowy współczesnej szlachty, czasem rubasznym, ale często pięknym, nawet bardzo pięknym, chociaż sztuki pisania, jako nieuk, nie po-

[1] zajmować się.

siadał. *Humanistą nie był ani trochę*: poetów rzymskich nie znał, w książkach szukał mądrości, nie piękności, w tem przekonaniu, że nie to jest człowiekowi potrzebne, co bawi, lecz to tylko, co uczy. Więc też i sam pisał dla tego, aby uczyć swoich czytelników, i tylko jeden napisał utwór, który bawi, nie uczy: *Figliki albo rozlicznych ludzi przypadki dworskie, które sobie po zatrudnionych myślach dla krotofile, wolny będąc, czytać możesz;* jest to zbiór dykteryjek, zwykle rubasznych, często plugawych, będących doskonałym wyrazem niewybrednego humoru przeciętnej szlachty XVI wieku.

Błazen szczukę zastawił.

Jeden prze towarzysze[1] w rybny dzień[2] fest[3] sprawił;
Posłał naprzód zuchwalca, by szczukę *zastawił.*
On wziąwszy, w kilku groszy zastawił Żydowi.
Pan siadł z gośćmi: „Niech szczukę naprzód dają", powie.
Ten rzekł: „A wszakeście ją kazali *zastawić!*"
Pan powiedział: „Tem rychlej miała gotowa być!"
Ten rzekł: „Jam mnimał, by to zastawić Żydowi"!....
Goście w śmiech, a panu wstyd: a cóż rzec łotrowi?

Baba, co w pasyą płakała.

Gdy ksiądz śpiewał pasyją, więc baba płakała;
Umie-li po łacinie, druga ją pytała:
„Płaczesz, a to wiem pewnie, nie rozumiesz, czemu,
„I ten płacz podobien bardzo k szalonemu".
Rzekła baba, iż-ci „ja płaczę nie dla tego,
„Lecz wspominam na swego osiełka miłego,
„Co mi zdechł: prosto takim, by ksiądz, głosem ryczał
„I takież na ostatku czasem cicho kwiczał"...

Pozatem *Rej występuje głównie, jako nauczyciel narodu polskiego.* Będąc sam człowiekiem głęboko religijnym, pragnął serca swoich czytelników zwrócić ku Bogu i w tym celu pisywał pieśni pobożne, tłumaczył psalmy, a jako gorliwy kalwin i nieprzejednany wróg Kościoła katolickiego, wystąpił z nim do walki, szydząc z księży i ośmieszając nabożeństwo katolickie; pragnąc szerzyć w Polsce znajomość Pisma świętego. które było jego umiłowaną księgą, napisał olbrzymie dzieło p. t. *Postylla* (t. j. objaśnienie ewangelii), w którem wyłożył prostym ludziom zasady moralności chrześcijańskiej; niema tu nauki, ale jest ujmująca prostota myśli i stylu oraz miłość serdeczna ku Bogu i człowiekowi, przemawiająca niekiedy bardzo pięknie:

„Słyszałeś też od Pana swego, iż-ci i ptaszki i lilie polne podawa na przykład, jako są w dziwnej Opatrzności Boga, Ócca swego niebieskiego, a opowiadając ci, iżeś ty jest w nierówniejszej wadze u Niego. Słyszysz, żeć tu nie wspomina, jedno ptaszki niewin-

[1] dla towarzyszów. [2] post. [3] uczta.

ne swoje? słyszysz, żeć tu nie wspomina łopianu, ani pokrzywy, jedno lilie polne? Uczyńże sie też ty, jako niewinny ptaszek w myśli i w sercu swojem przed oblicznością Jego, a proś, aby cie w tem podpomogło święte Bóstwo Jego wedle obietnic Jego. Przywdziejże sie farbą onej pięknej liliej, którą-ć tu sam wspominać raczy, która stoi w białości przed oblicznością Jego, a wdzięczną wonność podawa światu temu, a na lekarstwo i na pomoc ludzką wydawa ziarnka i korzonki swoje".

A i w pismach świeckich Rej uczy czytelników, jak spełniać obowiązki względem Boga, ojczyzny i człowieka, i zachęca ich wogóle do cnoty, którą poczytywał za główny cel życia ludzkiego.

Ale Rej jest nie tylko nauczycielem szlachty polskiej, lecz jednocześnie malarzem jej życia i obyczajów oraz niepospolitym satyrykiem: pełno w jego pismach obrazków obyczajowych, żywcem wziętych z rzeczywistości, obrazków świetnych, bo Rej posiadał wysoce rozwinięty zmysł spostrzegawczy, a że najtrafniej dostrzegał ujemnych i śmiesznych stron życia, stąd obrazki te są zarazem satyrą na społeczeństwo. Jako nauczyciel, Rej często powtarza to tylko, czego się z książek dowiedział, ale, jako malarz obyczajów polskich i satyryk, jest samodzielnym i nawskroś narodowym; inni przewyższali go wiedzą, sztuką pisania, zmysłem piękna, którego on niewiele posiadał, ale ani jeden z pisarzów XVI wieku nie dorównał mu, jako malarzowi współczesnego życia; *pisma Reja są doskonałem odzwierciedleniem obyczajów szlachty polskiej:* i to właśnie nadaje im wielką i trwałą wartość. Największą posiadają trzy utwory: *Krótka rozprawa*, *Wizerunk* i *Zwierciadło.*

§ 25. *Krótka rozprawa miedzy trzemi osobami: panem, wójtem a plebanem* (1543) to najlepsza satyra polska XVI wieku. Trzy rozmawiające z sobą osoby: pan, wójt i pleban, są jakby przedstawicielami trzech warstw społecznych: szlachty, chłopów i duchowieństwa. Pan i wójt sarkają na próżniactwo, a zwłaszcza na chciwość księży, obdzierających parafian; pleban broni się, jak może, poczem, płacąc pięknem za nadobne, suchej nitki nie pozostawia na szlachcie, bez ogródki wytykając sędziom i urzędnikom zdzierstwo i łapownictwo, posłom i senatorom — prywatę, wszystkim — chciwość bogactwa. Wójt skarży się na marny los chłopa, którego wszystko, co żyje w Polsce, zdziera i uciska tak bardzo, że nie żal mu umierać! Skarży się i pan, że i jemu ciężko na świecie, bo rujnują go sądy przedajne i służba wojskowa. Wreszcie pan na spółkę z wójtem narzekają na zbytki szlachty, która tyle pieniędzy trwoni na wymyślne potrawy, trunki i stroje, która hula i poluje, zamiast gospodarstwa pilnować, i t. d. Jednem słowem, *Krótka rozprawa* to satyra na księży i szlachtę.

PAN.

Miły wójcie, cóż sie dzieje!
Aboć sie ten ksiądz z nas śmieje?
Mało śpiewa, wszytko[1] dzwoni,
Msza nie bywa, jako łoni;[2]
Na naszym dobrym nieszporze
Już więc tam swą każdy porze:[3]
Jeden wrzeszczy, drugi śpiewa;
A też jednak rzadko bywa.
Jutrzniej—tej nigdy nie słychać:
Podobno musi zasypiać;
Odśpiewa ją czasem sowa,
Bo więc księdzu cięży głowa.
A wżdy przedsię jednak łają,
Chocia mało nauczają.
Ano wie Bóg, za tą sprawą
Obrócim-li sie na prawą:
Bychmy jedno na lewicy
I z księdzem nie byli wszytcy![4]

WÓJT.

Miły panie, my, prostacy,
A cóż wiemy, nieboracy?
To mamy za wszytko zdrowie,
Co on nam w kazanie powie:
Iż, gdy wydam dziesięcinę,
Bych był nagorszy, nie zginę;
A dam-li dobrą kolędę,
Że z nogami w niebie będę.
Abo, gdy w obiad przybieży,
A kukla[5] na stole leży,
To ją wnet z stołu ogoli,
A mnie kęs posypie soli...
Potem mie pokropi wodą, —
To już z Bogiem idę zgodą...

PAN.

Bo sie już więc tam łomi chróst,
Kiedy sie zejdą na odpust:
Ksiądz w kościele woła, wrzeszczy,
Na cmyntarzu beczka trzeszczy:
Jeden potrząsa kobiałką,
Drugi bębnem a piszczałką.
Trzeci, wyciągając szyje,
Woła, do kantora pije;
Kury wrzeszczą, świnie kwiczą,
Na ołtarzu jajca liczą.
Wieręśmy[6] odpust zyskali,
Iżechmy sie napiskali.

PLEBAN.

A tkniż[7] jedno świeckich urzędów:
Jeśli tam nie więcej błędów?...
A ze sta was jeden siędzie
Takim kształtem na urzędzie,
Aby jedno prawdę mnożył,
A swe pożytki odłożył....
Ale, gdyby nie pamiętne,[8]
I sędzi-ć też nic nie chętne;
Ale więc nie szkoda pracej,
Kiedy już kto pewien płacej.
Bo uźrzysz ony proroki,
Kiedy już odsądzą roki, —
Sporo im więc młyny mielą,[9]
Kiedy sie pamiętnem dzielą.
A to barzo łowne pole[10]:
Sporzej młócić, niż w stodole!
Choć sieć lada jako stanie,
Jednak co przypadnie na nie:
Sarna, zając, soból, liszka
I kuna jej towarzyszka, —
Chocia żadny pies nie goni,
Przedsię jej być jednak w toni[11].

. . . .

Wierę, snadź z sejmu naszego
Nie słychamy nic dobrego:
Już to kielka niedziel bają,

---

[1] ciągle. [2] łońskiego (t. j. przeszłego) roku, dawniej. [3] = już tam każdy wrzeszczy (śpiewa) na swoją nutę. [4] t. j.: Bóg wie, czy dostaniemy się do nieba: abyśmy się czasem wraz z księdzem do piekła nie dostali! [5] kukla, kukła, kukiełka = bochenek chleba, kołacz. [6] wierę = zaprawdę, zaiste. [7] = tknij-że. [8] płaca sędziów, czesne, podarunek na pamiątkę. [9] sporo komu młyny mielą — przysłowie: powodzi się komu. [10] A to barzo łowne pole — przenośnia: sędzia obłowi się porządnie. [11] przenośnia: aby wygrać sprawę, trzeba podarować sędziemu to sarnę, to zająca, to skórkę na futro — sobolową, lisią albo kunią.

A w niwczem sie nie zgadzają.
Podobno, jako i łoni,
Każdy na swe skrzydło goni [1]:
Pewnie pospolitej rzeczy
Żadny tam nie ma na pieczy;
Boć i owi z pustą głową,
Co je rzkomo [2] posły zową,
Więcej też sobie folgują,
A to, co jem [3] trzeba, kują.

WÓJT.

Ksiądz pana wini, pan — księdza,
A nam, prostym, zewsząd nędza!...
Urzędnik [4], wójt, sołtys, pleban —
Z tych każdy chce być nad nim pan;
Temu daj gęś, temu kokosz!
Zać [5] więc z nimi mała rozkosz?
A przedsię na tłokę [6] robić, —
Czasem proszą, czasem chcą bić.
Sprawnie ją nazwali tłoką:
Bo tam czasem i grzbiet stłuką!

. . . .

Bo znowu nastanie nędza,
Kiedy czas przydzie na księdza,
Gdy, chodząc, snopki przewraca,
A co tłustszej kopy maca....
Wnet masz urzędnika z niego,
Choć tobie nie trzeba tego!
Natknie-ć wieszką, kopie w rogu: [7]
„Nie mnie to dasz, synku, — Bogu!“
Acz nie wiem, wie-li Bóg o tem,
Aż to zrozumiemy potem;
To wiem, iż żyta nie jada,
Bo w stodole nierad siada.
Więc ci jeszcze będzie grozić,
Że mu dusznie [8] musisz zwozić:
Mało jeszcze, iż nań robią:
Muszą wieźć, a w łeb sie skrobią.
Małom sie panu nawoził?
Bo ten jeszcze barziej groził!...
A tak ten swój ubogi stan
Tak rad noszę, jako i pan,
I w tym doczesnym żywocie
Snadź o mniejszym wiem kłopocie.
Siedzę, jako człowiek prawy,
Nie bodą mie cudze sprawy.
Acz mnie trochę nędza gniecie,
To też odcierpię na świecie,
A gdy sie każą prowadzić, [9]
A co mi więc ma zawadzić?
Mało mi żal z tej pociechy:
Wylecę, jako wróbl z strzechy!...

§ 26. Najobszerniejszym utworem wierszowanym Reja jest poemat dydaktyczny, obejmujący przeszło 12000 wierszy, *Wizerunk własny* [10] *żywota człowieka poczciwego* (1558). Krótka treść jest następująca. Mędrzec grecki, Hipokrates, nauczał, że człowiek, jeżeli chce być poczciwym, musi starać się nadewszystko o nabycie cnoty. Nauka ta przypadła wielce do serca jakiemuś młodzieńcowi, który, chcąc jeszcze mocniej upewnić się w jej prawdzie, powędrował w świat i, chodząc od mędrca do mędrca, pilnie słuchał ich nauk; po drodze doświadczył różnych przygód, poznał różne okolice, widział nawet piekło i niebo, aż wreszcie przekonał się jasno, że bez cnoty człowiek nie jest człowiekiem.

Pomysł tego utworu zapożyczył Rej z łacińskiego poematu Włocha Palingeniusza: wiele ustępów wziął stamtąd żywcem, ale niejedno opuścił, niejedno dodał, a na wszystkiem wycisnął piętno

[1] przysłowie: każdy dba tylko o siebie. [2] rzkomo, rzekomo=nibyto. [3] im. [4] ekonom. [5] azaż, czyż. [6] tłoka = dobrowolna pomoc, niesiona przez całą gromadę sąsiadowi. [7] ksiądz wetknie wiechę w róg kopy, którą sobie wybrał na dziesięcinę. [8] duszkiem, szybko. [9] a gdy będę umierał. [10] dokładny.

własnej oryginalności i wszystkiemu nadał cechę polską; młodzień ca uczą wprawdzie mędrcy starożytni: Dyogenes, Epikur, Anaksagoras, Sokrates, Platon, Arystoteles i t. d., ale wszyscy dziwnie jakoś przypominają Polaków, znają doskonale życie szlachty polskiej, piorunują na jej wady, mówią o herbach szlacheckich, o księżach katolickich i t. d. Zabawnie wygląda np. Dyogenes, kiedy szczegółowo wylicza potrawy polskie! Humaniści śmieli się trochę z Reja, ale przeciętna szlachta zaczytywała się w *Wizerunku*, bo też dowiadywała się mnóstwa ciekawych rzeczy — o Bogu, naturze i człowieku.

Bóg — uczy Rej — jest istotą najwyższą, najdoskonalszą i tak potężną, że człowiek wobec Niego jest, jak mucha wobec wielbłąda, a komar wobec wołu; wielkości Jego nie wypowie „żadna gęba". Bóg rządzi wszechwładnie światem, bez Jego woli nic się nie dzieje: „Namniejszy ptaszek, źwirzątko, drzewko, ziółko, nadrobniejszy krzaczek, — wszytko to w Jego dziwnej Opatrzności chodzi", a cóż dopiero człowiek, który jest „wdzięczne źwirzę u Boga"! Czasem jednak Bóg odstępuje część swej władzy innym stworzeniom: złymi ludzi np. rządzą dyabli, a drapieżnemi zwierzętami — „planety", „bo cóż to byłby za Bóg, by miał sie tem parać, jako sądzić niedźwiedzia albo wilka karać"? Wogóle poglądy Reja na Boga są naiwne, ale zato uczucie miłości ku Niemu jest szczere i głębokie:

. . . . Wszechmogący Boże nieskończonej mocy,
Gdyż sie nic zstać nie może bez Twojej pomocy.
Gdyżeś Ty jest początek i koniec wszytkiego,
A trwać długo nie może nic bez Bóstwa Twego!
Tyś jest Bóg nieskończony, a w Twojej opiece
Każda sprawa zależy tu, na wszytkim świecie.
Tyś prawda nieskończona, dobroć, żywot, zdrowie!
A o Twym majestacie a kto właśnie powie?
Ziemię, niebo i gwiazdy w dziwnej sprawie mając,
A co jeszcze dziwniejsza, myśl każdego znając
Na niebie, na powietrzu, w morzu i na ziemi,
A w Twoich sie rozprawach dziwnie wszytko mi[illegible]i!
Tyś jest król wszytkich królów. Tobie upadają
Mocy ziemskie, niebieskie i cześć wieczną dają,
Wyznawając Twe bóstwo a majestat dziwny,
Naszemu rozumowi na wszytkiem przeciwny.
Do Ciebie sie uciekam tak, jako do Tego,
Którego rozumiemy tak miłosiernego!

Cała nauka Reja o naturze jest czysto średniowieczna: o odkryciu Kopernika — ani słowa! Słońce i planety obracają się około ziemi; wogóle wszystko na świecie się rusza, „jedno przeklęta ziemia, — ta w swojej ciężkości używa ustawicznie tej swej marnej

mdłości, iż sie nigdy nie rusza: jako kamień, leży". Nad ziemią jest powietrze, którego wprawdzie nie widzimy, ale które czujemy, kiedy wiatr; wiatry bywają zimne i gorące, są też i zaraźliwe — z łaski dyabłów; wicher, który poczciwemu szlachcicowi wywraca stodołę, to także sprawka dyabelska. Nad powietrzem unosi się woda pod postacią mgły, nad wodą — ogień, nad ogniem — planety, nad planetami — niebo, gdzie mieszka Bóg; musi tam być ślicznie, jeżeli bowiem marną ziemię zdobią góry, morza, rośliny, zwierzęta i ludzie, to cóż dopiero powiedzieć o niebie?

Piękności natury odczuwał Rej wcale żywo, to też są w *Wizerunku* opisy natury — pierwsze w poezyi polskiej, np. opis poranku i wieczora: młodzieniec

Rano sie potem porwał, ano pięknie świta,
Już sie jeden o drugim ptaszek w lesie pyta,
Już skowronek na górze pięknie przepieruje [1],
Słowiczek we krzu [2] krzyczy, gżegżołeczka [3] kuje.
Poźrzy wzgórę: skały już jasno sie błyskają,
A promienie słoneczne ziemię rozświecają.
Zarza [4] wzgórę wychodzi różanej piękności,
Na obłokoch sie broją jasne odmienności.

. . . .

Gdy już było k wieczoru, słońce zachadzało,
Jasne nazad promienie po górach puszczało.
Ciemność od wschodu słońca ziemię pokrywała,
A mgła szara po górach też sie podnaszała.
Obaczywszy młodzieniec, iż już noc przychodzi,
A iż każde źwirzątko już na pokój godzi,
Przyszedł nad piękną rzeczkę, cichuczko płynącą,
Wodę w sobie, by kryształ, nadobną mającą;
Rybki, sie po niej miecąc, na brzegoch igrają,
Ziółka, trawkę, robaczki, biegając, chwytają.
Oliwne drzewka wszędy przy brzegoch zielone
Stoją pięknym porządkiem, jako rozsadzone.
Zabawił sie, dziwując, aż go ciemność zaszła,
I owa zarza śliczna już mu była zgasła.

Nie brak i opisów fantastycznych, np. piekła: jest to głęboka dolina, zaludniona przez potępieńców i dyabłów, których wygląd Rej szczegółowo opisuje:

Król rozterków Warchoł.

Łeb, jako u niedźwiedzia, a baranie rogi,
Zęby, jako u wieprza, a u szkapy nogi;
Ręce, jako u żaby, skrzydła z jakiejś błony,
Jako u niedoperza, czarnem przesadzone.

---

[1] przepierować = szczebiotać, ćwierkać. [2] kierz = krzak. [3] kukułeczka. [4] zorza.

Goły po pas, a na dół, by niedźwiedź, kosmaty,
Kiedy go psi oskubą, wiszą po nim płaty.
Miecz goły dzierży w ręce, a w drugiej buławę,
A z swojemi panięty ma jakąś rozprawę,
Którzy około niego wszędy hufy [1] stoją,
A drudzy po powietrzu rozlicznie sie broją,
Z mieczmi, z łuki, w kaftaniech, drudzy z arkabuzy [2],
Przyprawując nędzny świat w rozmaite guzy.

Król łakomstwa a zazdrości.

Poźrzał potem na zachód młodzieniec ubogi,
Uźrzał zasię rozliczne zamieszane trwogi:
Ano jeden drugiemu worki wydzierają,
Srebro, złoto, kamienie dziwno sie mieszają.
Miedzy nimi pan siedzi: psia głowa u niego,
A kędy sie obeźrzy, warczy na każdego.
Na łańcuchu przybity do mocnego stołka.
Tak sie jedno obraca, by cielę u kołka,
Pogłądając tu na świat, jakoby wilk, marnie,
A czego gdzie dosięże, to do siebie garnie.
Łapy, by u niedźwiedzia, z paznogty ostremi,
A co w którą zachwyci, już mu nie wydrzemy!

Ale najszczegółowej wykłada Rej czytelnikom naukę o człowieku. Dobry Bóg dał człowiekowi nie tylko rozum, ale i wolną wolę; wprawdzie jest tam na świecie jakieś *fatum* (przeznaczenie), lecz podlegają mu tylko ludzie źli: póki człowiek pełni przykazania boże, póty ma wolną wolę, ale niechno się tylko odwróci od Boga, wnet „ono *fatum* jego już go wiedzie, by osła, do wszytkiego złego, tak, iż albo sie stłucze, albo marnie zginie: a tym kształtem schodzimy, jako ine świnie!“ Człowiek ma prawo dążyć do szczęścia, ale na czemże ono polega? Nie na bogactwie: wprawdzie rozumny człowiek stał się panem stworzenia i nagromadził mnóstwo skarbów, ale nie wolno mu poczytywać ich za swoją własność: on jest tylko szafarzem darów bożych, z których po śmierci zda Bogu rachunek. Zresztą, kto bogaty, ten nigdy spokoju nie zazna, bo się lęka złodzieja; bogactwo to „tajemny jad“; wogóle życie ludzkie jest marne: nawet w nocy człowiek cierpi, bo go kąsają pchły i muchy. Wartość życiu nadaje jedynie tylko c n o t a: ona jest g ł ó w n e m szczęściem człowieka, najdroższym jego skarbem, droższym nad srebro i złoto, dyamenty i brylanty; wobec niej niczem są bogactwa, uroda, sława, niczem nauka. A stąd głównem zadaniem wychowania jest wpoić w dziecko zasady moralności; nauką męczyć go nie trzeba, bo większość nauk sprawia tylko zamęt w młodych główkach, a i w poetach starożytnych niczego poczciwego do-

[1] przyp. 6 l. m. od *huf* = hufiec. [2] arkabuz = hakownica, strzelba bez bagneta.

czytać się nie można; wogóle „pismo — niepotrzebna zabawa", chyba, że uczy cnoty:

A tak oni mędrkowie, co wypisowali
Rozliczne świeckie burdy i jako pływali
Po morzu i gdzie Scilla i Karybdis bywa
I jakich strachów każdy, tam będąc, używa,
Jakie ryby i dziwy tam sie okazują
I jako marynarze z okręty harcują,
Jako Wenus błaźniła prostaki na świecie,
Jako Kupido strzelał tu swe głupie kmiecie,
Jako broił Herkules, kiedy zabił Hydrę,
(Ano dziś i prosty chłop też zabije wydrę!), —
Owa [1] niebo i ziemię pismy pokryślali,
Okazując rozumy, dziwy wymyślali,
A zbiegali na świecie omylności wszytki,
Szukając, aby z tego rosły im pożytki:
Ano żaden pożytek więtszy być nie może,
Byś sie nabarziej wspinał z rozumem, nieboże,
Jedno co cnoty uczy a wdzięcznej skromności.

Nie odczuwał więc Rej piękności starożytnych podań mitologicznych, a nie rozumiejąc, że każda nauka, kształcąc umysł, uszlachetnia człowieka, poczytywał kształcenie umysłu jedynie za dodatek do wychowania moralnego: „cnota zacniejsza, nauką ozdobiona", podobnie jak „koń — cudne źwirzę, kiedy bystro kroczy, ale, gdy w pięknej uździe, jeszcze bujniej skoczy; albo i białogłowa, gdy brwi zafarbuje, już więc sobie w taneczku bujniej poskakuje".

Z poglądu, że jedynie cnota stanowi o wartości człowieka, płynie *pogląd Reja na szlachectwo.* Ludzie mają „omylne rozsądki o szlachectwie", mniemając, że ten szlachcic, kto się sławnymi przodkami szczyci; Rej był innego zdania, bo wiedział, że często ludzie odradzają się od przodków: „P r z o d e k, nie wiem, jaki był, lecz potomka prawie mógłby właśnie z a d k i e m zwać na każdej rozprawie". I ci się mylą, którzy pokładają szlachectwo w bogactwie albo w herbach, prawdziwe bowiem szlachectwo dają jedynie o s o b i s t e zasługi, w ł a s n a cnota:

Jedni, gdy łańcuch ujrzą, wnet mu sie kłaniają,
Już nie pana, lecz złoto, za ślachcica mają;
Snadź na sprosnego osła gdyby ji włożono,
I temuby poczciwość zdaleka czyniono...
Albo, gdy gęsty worek u kogo poczują,
By też był, jako świnia, wszyscy mu dudkują; [2]
Albo, gdy sie za którym chłopów wlecze rota,
To już mają w powadze nawiętszego kota;

---

[1] otóż, jednem słowem. [2] dudkować = nadskakiwać, pochlebiać

Już sie nań przypuszczają o każdą rzecz zgoła:
A onby nie rozsądził ledwe z krową woła...
Wystrój sie ty, jako chcesz, ale, jeśliś świnia,
Nie ozdobi cie szata iście ni rodzina...
I wilkby tak był ślachcic, by mu herby dano,
Leczby go przedsię zawżdy za niecnotę miano:
Gdyż herby nie pomogą do złych obyczajów,
By ich też snadź dostawał i z dalekich krajów...
Boć i kamień i drewno, gdy je pozłocimy,
Pospolicie ślachetnem każde nazowiemy;
Ale różne przezwisko, a różna istota,
Gdyż tu jedno kęs zwirzchu błyszczy sie ta cnota:
Także i ty, chceszli być ślachcic prawy, czysty,
Nie bądźże, jako kamień zwirzchu pozłocisty,
Ale bądź wszytek złotem a prawym szafirem,
Wadź sie wszędy z niecnotą, a z cnotą idź mirem.

Lecz nie tylko moralistą jest Rej w *Wizerunku*, ale i satyrykiem: jak w *Krótkiej rozprawie*, tak i tutaj piętnuje ujemne strony życia szlachty polskiej, oburzając się na huczne biesiady i pijatyki, na przepych w strojach i urządzeniu domów, wogóle na zbytki; ubolewa nad tem, że w Polsce niema sprawiedliwych sądów, że bogatszy zawsze sprawę wygra z krzywdą ubogiego, że szlachta, obojętna względem ojczyzny, nie strzeże jej granic; wyrzuca duchowieństwu niemoralność i chciwość, drwi z Kościoła katolickiego i t. d. A te obrazki satyryczne, od których aż się roi w *Wizerunku*, tryskają życiem i prawdą. Do najlepszych należą: wesoła satyra na kłopoty życia rodzinnego oraz opis uczt i pijatyk szlacheckich, od których nie stronił sam autor, chociaż zalecał zawsze życie „pomierne".

Trudności żonatego.

Zaż takich nie widamy, co sie oženiają,
Jako gęsi na wiosnę, tak sie odmieniają?
Chodzi, by podskubiony, opuściwszy skrzydła,
Już sie nie po szwu porze, już nie golą szydła [1].
We łbie i na kołnierzu pierza pełno wszędy,
Buty spuścił do kostek prawie we trzy rzędy [2].
Rzepa w dole pogniła, grochu nie dostaje,
Słucha, gdzie kokosz gdacze, aby znalazł jaje.
Bo, co sie pirwej musiał jedno o się starać,
Teraz, nędznik [3], ani wie, czem sie pirwej parać;
Bo dom, dzieci a żona — nienatkane piekło [4],
Już tam odkrój, skoro sie by namniej przypiekło!

[1] przysłowia: już mu się nie powodzi. [2] t. j. cholewy od butów opdają, marszcząc się w trzy rzędy. [3] biedak. [4] piekło=piekiełko, t. j. prz piecek; dom, dzieci a żona — nienatkane piekło = nie nastarczy wydatkó na utrzymanie domu, dzieci, żony.

Bo, chocia, i z siebie drąc, tam wszytko podaje,
Przedsię wszytkiego mało, zawżdy niedostaje:
Kupisz jej dziś koszulkę, jutro chce rańtuszka, [1]
A na święta pstrej sukniej, ze smalcem [2] łańcuszka.

Trudność około wychowania dzieci

Więc sie Jasiek urodzi, gotujże mu mamkę,
A skoro pocznie chodzić, wnet piestunkę Hankę!
Sprawże mu pstry kożuszek, więc czyrwoną myckę,
A mamkę też z piestunką przystrój miłośniczkę,
Coby sobie na hajtuś z panięciem chodziła!
Dajże jej jeść, gdy raczy, by go nie zgłodziła!...
Więc, gdy Jasiek doroście, a k temu Hanuśka,
To wełnę, by z barana, drą z pana tatuśka...

Niepomierne biesiady.

. . Jeśli to rozkoszą kto ma przezwać właśnie,
Gdy brzmi bęben za uchem, a kozi róg wrzaśnie,
Pomorty a puzany [3], co wszytki zagłuszą,
Albo skakać od kąta do kąta z Maruszą?
Już który kąt zastąpisz, już siedź, jako drewno,
Bo, jako sie podniesiesz, odepchną cie pewno.
Już, jako głuch [4], na drugie musisz palcem kiwać,
Bo już tam trudno słusznej rozmowy używać,
Abowiem już tam każdy, chociaj ledwe ziewa,
Wrzeszczy, sapie, markoce, a mnima, iż śpiewa.
A drugi, za nim stojąc, jako cielę, ryczy,
A zda mu sie, iż wesół, a iż pięknie krzyczy.
Śklenice w kąt latają, na stole, by w łaźni:
Tak więc Bachus, on rycerz, swe kochanki błaźni;
Iż, kiedy, rano wstawszy, wieczór wspominają,
„Alboć-em był oszalał?“—sami sobie łają.
Ano sie we łbie kręci, pan, siedząc, szczka [6], spluwa.
Pierza ma pełno we łbie, opak sie obuwa...
Suknia śmierdzi drożdżami, czapka gdzieś na ławie.
Patrzajże krotochwile w takiej miłej sprawie!

Muzyka wszeteczna

. . . . Wrzeszczą wszyscy,
A drudzy marnie wyją, jako w lesie wilcy,
A kozi róg za uchem, jako świnia, wrzeszczy,
W bęben tłuką, by w pudło, aż więc we łbie trzeszczy;
Stół uleją i ławy, siedzą, jako w łaźni,
A sami poszaleją, jako ini błąźni.
Więc kreglów [7] nastawiają wkoło podle ściany:
Dybie, jako kot na mysz, z gałką chłop pijany,

---

[1] rańtuch = chusta duża do pokrycia głowy lub pleców. [2] smalc, szmalc, szmelc = emalia [3] pomort, puzan — instrumenty dęte. [4] głuch = głuszec, t j. człowiek głuchy. [5] błaźnić = na błazna wystrychać, durzyć. [6] szczkać=mieć czkawkę. [7] kregiel=kręgiel.

Puknie w ścianę, a drudzy: „Zyskał! Zyskał!“—krzyczą,
A drudzy, płacąc piwo, jako krowy, ryczą.
A więc to krotochwila? a więc to biesiada?
Oszaleje więc z takiej głowa barzo rada!

§ 27. Pod koniec życia Rej, pragnąc zostawić po sobie pamiątkę „poczciwym ludziom stanu rycerskiego“ (t. j. szlachcie), napisał obszerne dzieło p. t. *Zwierciadło* (1568), które się składa z kilku utworów, pisanych prozą i wierszem. Najobszerniejszą i najciekawszą częścią jest *Żywot człowieka poczciwego.*

Żywot składa się z trzech ksiąg; pierwsza mówi o młodości szlachcica (bo przez „człowieka poczciwego“ Rej rozumie jedynie szlachcica, i to zamożnego). Bóg stworzył człowieka na to, żeby Mu wiernie służył, t. j. żeby był cnotliwym; „Bóg nie chce, aby kto złym był“, i człowiek może spełnić tę wolę boską: wprawdzie przynosi z sobą na świat to lub inne usposobienie (temperament), ale jest środek skierowania wrodzonego temperamentu ku dobremu, a środkiem tym jest wychowanie. Otóż nad wychowaniem szlachcica szczegółowo rozwodzi się Rej.

Dziecko powinno jadać potrawy proste, ubierać się skromnie; od najmłodszych lat należy czuwać nad obyczajami dziecka, strzegąc je od złego przykładu i ucząc moralności; dlatego też „preceptor“ powinien być „cnotliwy, stateczny, trzeźwy a pomierny“. Głównym celem wychowania jest, „aby dzieciątko, które już ku lepszemu rozumowi będzie przychodziło, uczyło sie rozumieć, co jest Bóg, a co jest wola Jego“. „A gdy sie już tego dzieciątko potrosze nauczy,... to już potem i do inych nauk będzie snadniejszy przystęp miało. Niechże go z młodu nie bawią owemi gramatykami, logikami, arytmetykami..., albo owemi zawikłanemi poeckiemi fabułami: bo a co mu potem, jako Circes ludziom głowy odmieniała, albo jako Ulixes pływał, albo co Helenka broiła, abo co Penelope czyniła? Acz to potem, powoli, gdy sie już czego inszego poduczy, nie wadzi sobie dla krotofile czytać. Ale niech czyta historye onych zacnych pirwszych ludzi, jako sie onymi dziwnymi rozumy sprawowali, jako niczegoj inszego nie patrzali, jedno sławy, cnoty a poczciwości... A nie czynić gwałtu zbytniego w przyrodzeniu, bo więc widamy drugie, iż sie tak zacztą [1] albo zamyślą, że i od pamięci odchodzą a omdlewają, co to napotem onej młodej fantazyej wiele zaszkodzić może“. „A wszakoż nie tylko czytania, ale i rozmowy poczciwe mogą niemało ćwiczenia do rozumu podawać,... abowiem tak dawno powiadają, iż *lepszy jest zawżdy żywy głos, niż zdechła skóra*, co ją na pargamin wyprawują“. Baczną uwagę radzi Rej zwracać na ćwiczenia i rozrywki: „Potem, gdy już też ona młodość podrastać będzie, nie wadzi mu też, poczedszy [2] sobie, czego potrze-

[1] czyść = czytać; zacztą sie = zaczytają się. [2] poczytawszy.

ba, nauczyć sie i konika osieść i jako sobie na nim poigrać, a jakoby ji też czasu potrzeby obrócić; a jeśliby mógł i drzeweczko [1] znieść [2], tedy i to nie wadzi z niem sobie poigrać, ręką uważać do pierścionka albo do czapeczki przymierzyć;... też mu nie wadzi czasem z poczciwem, a nie z opiłem, towarzystwem posiedzieć, pożartować;... nie wadzi mu też czasem pouczyć sie i poszyrmować i poskakać i na lutence pograć: wszystko to są poczciwe zabawki. Azażby lepiej leżał, jako wieprz w barłogu, a marnie czas tracił, co jest drogi klenot?“

I to już wszystko, to już całe wychowanie; o szkołach publicznych, o uniwersytecie — ani jednego słowa! Poduczy się panicz w domu, — niech sobie pojedzie zagranicę, aby tam „przypatrować sie onym pięknym, poważnym a statecznym sprawam ludzkim, a czasu przedsię darmo nie tracić, a bawić sie poczciwemi sprawami ludzkiemi a naukami potrzebnemi, aby wżdy sobie nadaremne pracej nie zadawał, tłukąc się po górach, po skałach i po inych miejscach niebezpiecznych... Abowiem małoćby pomogło, choćbyś widział Etnę pałającą, rzeki bystrze ciekące, morza ony srodze burzliwe, wieloryby, po nich pływające, syreny śpiewające, kokodryły albo smoki latające, miasta, zamki i pałace, rozmaicie sie błyszczące, jeśli toż do domu w obyczajoch z sobą przyniesiemy, cochmy byli z sobą wzięli; trzeba tam będzie czego inszego pilnować więcej, niżli tylko tego, czemby sie oczy napasły: pilniejsza daleko, czemby sie umysł napasł, nacieszył a w nadobnej sprawie a w uczciwych postępkoch aby sie sprawił i postanowił“. Po powrocie do domu młody szlachcic powinien odbyć praktykę: albo na dworze wielkopańskim, albo, co lepiej, w wojsku. A kiedy odbędzie praktykę, wraca do siebie na wieś i jest już skończonym człowiekiem (chociaż, właściwie, nic nie umie!) i obywatelem Rzeczypospolitej.

Księgę drugą poświęca Rej „śrzedniemu wiekowi żywota człowieka poczciwego“. Osiadłszy na roli, młody pan najlepiej postąpi, jeśli się ożeni — nie z bogatszą od siebie i nie z biedniejszą, ale z „równą“ majątkiem i stanem. Lecz wśród szczęścia rodzinnego i pracy około roli nie powinien szlachcic zapominać, „co też powinowat Rzeczypospolitej i ojczyźnie swej“: „starajże sie też zasię, abyś sie nie nazbyt domem obarłożył, abyś nie był tylko, jako wieprz w karmniku albo jako suchy pień na roli, co sie oń pługi zawadzają!“ Najpiękniej zaś służy ojczyźnie ten, kto piastuje godność posła ziemskiego, byleby tylko godnie pełnił swe obowiązki, co nie jest rzeczą tak łatwą, „bo już taki człowiek miałby właśnie być, jako anioł boży: abowiem, jeśli każdy cnotliwy a baczny człowiek powinien staniczek swój tak opatrować, tak zdobić, tak uważać, jakoby ji każdemu z osobna dobrym, cnotliwym, a na

[1] mała włócznia, kopijka. [2] utrzymać.

wszem nadobnie ozdobnym ukazał, — a jeśli to powinien z jednej ooby swojej, cóż rozumiesz, gdy ony wszytki poważne a zacne osoby weźmie na pracą a na opiekę swoję, którzy sie cnocie jego zwierzyli klenotów swoich, to jest: praw, wolności, gardł i majętności swoich!" Innych urzędów nie radzi Rej piastować: „Nuż jeślićby sie też przytrefiło, iżbyś na jaki urząd ziemski albo na jakikolwiek inszy... był powołan a potrzebowan, — jeślibyś mógł bez tego sie obejść, tedyćby mało[1] nie lepiej,... bo już tam co naprzedniejsze klenoty człowieka poczciwego zaprzedane być muszą: naprzód wolny żywot,... potem też i sumnienie". Tego, że dla ojczyzny warto chyba „wolny żywot" poświęcić, a przytem sumienia nie zbrukać, Rej nie rozumiał! O jednym tylko urzędzie rozwodzi się szeroko, mianowicie o senatorze, któremu każe nie tylko być doradcą króla, ale i czuwać nad jego moralnością, zachęcać go do cnoty, a odwodzić od występku.

Od senatora powraca Rej do szlachcica i uczy go, na czem polega prawdziwe szlachectwo, rozwijając szczegółowo myśl, wypowiedzianą już w *Wizerunku*, że ten tylko szlachcic, kto cnotliwy. Nadewszystko powinna zdobić szlachcica „święta prawda", a „gdzie prawda zawije gniazdo swe, już i sprawiedliwość, już i stałość, już i pomierność, już i roztropność i insze wszytki cnoty nielza jedno[2] sie przy niej osadzić muszą". Najszpetniejszą zaś plamą prawdziwego szlachcica jest „sprosne łakomstwo" (t. j. chciwość grosza i wogóle mienia), ono bowiem jest „źródłem a studnią innych grzechów", zwłaszcza niesprawiedliwości i zdzierstwa: bo szlachcic łakomy nie pyta, jaką drogą majątek zdobyć: „gdzie wziąć, tu wziąć, dobrze-li, nie dobrze-li, kiloby[3] sie dobrze kurzyło". Główną zaś przyczyną chciwości grosza jest nadmierna chęć użycia, zamiłowanie do wystawności i zbytków: szlachcic musi mieć pieniądze, aby opędzić wydatki na „dziwne ubiory", na „pojazdy kosztowne", na „potrawy wymyślne", na „niepomierne pijaństwo". Wszystkim tym objawom zbytku dużo miejsca poświęca Rej, oburzając się zwłaszcza na pijaństwo i szczegółowo opisując „nadobne sprawki i postawki" pijaka, który „chrapi, jako świnia, kiedy sie drożdży opije, a on sobie pluje na brzuch, a śliny mu sie, jako zgrzebi[4], z gęby wloką; oczy sie, jako u szczurka, kiedy z mąki wylezie, błyszcz sukanisko popluskał, a czasem je za sobą po błotu wlecze, pierzą we łbie pełno, więc mruczy, sam nie wie co, wszytkim łaje, wszytkim przymawia; więc, byś go chciał poczciwemi słowy albo hamować a co wżdy z nim mówić, a cóż po tem, kiedy mu nie rozumieć, a on klekce, jako bocian, krząka, jako kiernoz[5]; więc mu sie tu zachce śpiewać, aliści, jako cielę, ryczy; więc mu sie zachce w tanek, aliści sie śliza, jako kozieł na ledzie; więc mu sie zachce

---

[1] bodaj czy nie. [2] nielza jedno=koniecznie. [3] byleby. [4] włókna konopne. [5] wieprz.

miłować, aliści drzemie albo uśnie na stole; a we wszytkich sprawach swoich podobniejszy ku jakiej bestyej niemej, aniżli ku człowiekowi". Z łakomstwa płynie także „szara pycha": bogaty szlachcic pyszni się swem bogactwem, „nadyma nos", „podnosi gębe", patrzy z góry na uboższych, którzy „w oczy pochlebują, a odszedszy, wszyscy sie śmieją, wszyscy o tobie szepcą, wszyscy tobą, choć nie w oczy, gardzą, a ty nie dbasz, kiloby kilko węsatych chłopów z lisimi kołnierzmi przed tobą stało, a iż ci by czterzej ręcznik dzierżeli, a ty abyś jedno chrapał, spluwał, na stronę poglądał, z postawą[1] mówił, a ludzie aby-ć sie jedno dziwowali, a ośmiawszy, aby cie szli szacować[2] z onych sprosnych obyczajów twoich". Nakoniec i gniew (popędliwość) jest brzydką plamą na szlachectwie, bo on „wszytki grzechy śmiertelne w sobie zamyka". Kto chce być prawdziwym szlachcicem, ten powinien zwalczać wszystkie złe namiętności a pielęgnować cnoty, do czego niemałą pomocą będzie przyjaźń, zawarta z dobrym i rozumnym człowiekiem, nie mówiąc już o tem, że dobry przyjaciel jest ozdobą i osłodą życia. A jeżeli nadto szlachcic będzie myślał nie tylko o sobie, jeżeli będzie innym dobrodziejstwa świadczył, wówczas nie minie go największa na ziemi nagroda: dobra sława. Kończy się druga księga szczegółowym opisem szczęśliwego, spokojnego życia „człowieka poczciwego" na wsi, na łonie rodziny, wśród zajęć gospodarskich i rozrywek; obrazki te, najlepsze w całym *Żywocie*, są doskonałym wyrazem rozmiłowania się szlachty polskiej XVI wieku w gospodarstwie i urokach życia wiejskiego.

Księga trzecia — o starości szlachcica — jest najmniej ciekawa, gdyż obrazków obyczajowych prawie wcale nie posiada; są tu rozprawy moralne o powadze starości, o błogosławieństwach bożych, o cnotach, o śmierci; myślą przewodnią tej księgi jest, że starość nie jest nieszczęściem, bo i ona ma swoje powaby, i że człowiek cnotliwy nie potrzebuje lękać się śmierci.

Ubiory jakie mają być dziecinne i ćwiczenie obyczajów młodych. Nie więżyż[3] mu nazbyt zmłodu knefliczków[4], bryżyczków[5], pstrych sukienek, jako prosięciu, bo, jako sie tego zmłodu nauczy, tak mu sie to w pamięć wbije i tak sie tego na potem zawżdy będzie chciało, a stąd mu i swawola napotem i wszeteczeństwo snadnie rość będzie mogło.. Potem, gdy już będzie podrastało, nie trzeba go też nazbyt w grozie chować, bo ona młodość jego, gdyż jeszcze zmysły słabe we mdłem ciele być muszą, tedy zbytnią grozą a frasunkiem snadnie może być zgwałcona, iż potem zawżdy straszliwa[6], tępa a głupia być musi. Ale bez zbytniej grozy a bez frasunku, nadobnem napominaniem przedsię mu potroszę trzeba ujmować obroków[7], aby nie rosło, jako wirzba, którą jako nachyli, tak-

[1] z pyszną miną. [2] ganić. [3] nie wiąż-że. [4] knefliczek = guziczek. [5] bryżyczek=hafcik. [6] straszliwy = strachliwy. [7] ująć komu obroków — przysłowie: poskromić kogo.

że też rość będzie. Także go też już będzie trzeba strzedz od głupich a od plugawych chłopiąt, od zbytniej czeladzi, bo, co zmłodu widzi, słyszy, to mu sie snadnie wbije w onę młodą pamięć jego i także z nim będzie rosło. Bo i od starszych to słychamy, iż lepiej to więc pamiętają, co sie zmłodu około nich działo, niżli co przed małym czasem czynili. Boć może dzieciątko czyście [1] sie, igrając, i paciorka i łacińskich słów wiele nauczyć i *a*, *b*. *c*, *d*, barzo mu sie to snadnie, igrając, w pamięć wbić może. Nie dajże mu też wiele leda czego szczebiotać, jako to ini barzo radzi widzą, a zową to szpaczkiem, bo, jako mu to w obyczaj wnidzie, tedy potem z tego wszeteczeństwo uroście, którego go potem trudno oduczyć będzie. Także też i panie matki około dzieweczek swych powinny takież pilność mieć, gdyż to jest naród mdły, a na wszytko snadnie nałomny [2]. Abowim wierz mi, iż młode wychowanie roztropne siła potem obyczajów dobrych na starość każdemu umnożyć może.

Stan rycerski jaki jest. A jeśliby cie też w stan rycerski albo ten żołnierski myśl wiodła, wierz mi, i tambyś sie nie prawie [3] źle udał: bo tam znajdziesz i dworstwo [4] i towarzystwo i ćwiczenie, a śnadź mało nie [5] potrzebniejsze, niżli u dwora; bo sie tam nauczysz gospodarstwa, bo sie już swym stanem tam nie inaczej, jako we wsi gospodarstwem, musisz opiekać; już sie tam nauczysz pomiernego szafarstwa, boć tego będzie potrzeba, bo tam trudno, jako doma, do spiżarniej. Nauczysz sie cirpliwości, nauczysz sie spraw rycerskich, nauczysz sie około koni, około sług i około inych potrzebnych rzeczy sprawy a opatrzności, a snadź mało nie rychlej, niżli w onej dworskiej zgrai, darmo leżącej. Bo, jeśli-ć sie trefi być w ciągnieniu [6], tedy już tam wielka rozkosz patrzyć na ludzi, patrzyć na sprawy, patrzyć na hufy, pięknym porządkiem postępując [7], nasłuchać sie onych wzdzięcznych trębaczów, bębnów, pokrzyków, aż ziemia drży, a serce sie od radości trzęsie.

Przydziesz do stanu [8], nie trzeba-ć już będzie oliwek, limonii [9] ani kaparów dla przysmaków, jako onemu doma leżącemu a rozpieszczonemu brzuchowi: bo powiadają, iż to nawdzięczniejszy przysmak żołądkowi — przegłodzenie. Boć stanie za limonią i za kapary ona wdzięczna przejeżdżka z miłem towarzystwem, że-ć tam smaczniejsza będzie wędzonka a kasza, niżli gdybyś leżał za piecem, na ścianę nogi wzniósł, a w kobzę grając, czekając, rychło-li obiad dowre, niżli-ćby przyniesiono bijankę [10] z marcepanem...

Patrzajże zasię, gdy już potrzeby [11] nie będzie, a rozłożą je [12] po leżach, jakiej tam dopiro rozkoszy i ćwiczenia używać będą. Azaż tam nie rozkosz mają, gdy sie do jednej gospody z potrawecz-

[1] dobrze, pięknie. [2] dający się nałamać, skłonny. [3] na prawdę nie. [4] obyczaje dworskie. [5] bodaj czy nie. [6] w pochodzie. [7] postępujące. [8] stan = stacya, postój wojska. [9] limonia = cytryna. [10] bijanka = bita śmietana. [11] potrzeba = wojna. [12] t. j. ludzi rycerskich.

kami nadobnemi znoszą? Azaż tam nie będą wdzięczne rozmowy a ony poczciwe żarty, że więc, jako ono powiedają, i gęba sie dobrze[1] nie zakrzywi od śmiechu? Acz też tam i kofel i żołędny tuz wielkie zachowanie miewają, ale, gdy tak, jakoś słyszał, zachowasz na wszem stateczną pomiarę w sobie, nic to tobie wszytko szkodzić nie będzie; bo trudno tego, powiedają, do tańca ciągnąć, kto nierad skacze...

A to zawżdy miej na pieczy: gdy tam ujrzysz, ano drapią, biorą a szarpają niewinne ludzie a ich majętności (bo to jest stary zwyczaj wojenny), chociaj sie łzy leją, chociaj głosy aż pod niebo o pomstę krzyczą: ale-ć ja radzę, byś miał przemrzeć i ze szkapami, kędy możesz, ostrzegaj sie tego, a byś miał i jednę suknię przedać, a w drugiej sie do domu wrócić, tedy-ć to lepiej będzie, niżli głos niewinny a przeklęctwo na się puścić. Bo wierz mi, iż Pan Bóg na wielkiej pieczy ma, a jaśnie powieda: „Gdy zawoła do Mnie ubożuchny o krzywdę swoję, Ja muszę pomścicielem jego być“. Bo wierz mi, iż sie to sowicie[2] oddać musi: albo szkapy pochromieją, abo-ć potem i z gospodą zgorają, abo cie okradną. Owa ani obaczysz, jako to Bóg sowito zawetuje a pomści sie krzywdy onego niewinnego; a przedsię to i onemu sowito nagrodzi, bo to jest święte przyrodzenie Jego.

Równemu z równym ożenienie nalepsze. Jeśli jużeś tak na tem swą myśl postanowił, iż w tym poczciwym stanie chcesz żywot swój postanowić, a staniku swego pomiernego, poważnego, statecznego i bogobojnego użyć, szukajże sobie żonki staniku sobie równego, wychowania a ćwiczenia roztropnego, obyczajów nadobnych a wstydliwych, a pomocy[3] wżdy jakiej, jaka może być, bo powiedają, iż to są przysmaki do dobrego ożenienia: uroda, obyczaje, przyjaciele a pomoc. A nie zawódźże sie na wielkie trudności, na wielkie zgraje, na wielkie koszty, bo-ć mało po tem, iż bęben przed tobą kołace, a surma[4] wrzeszczy, a chłopi sie po płociech wieszają, ukazując sobie, gdzie tu pan młody jedzie. Bo znajdziesz u drugiego, co na tę przejeżdżkę a na przynosiny posagu mu nic nie zostanie i będzie długo sypiał, aż do południa, bo go kurek żadny nie obudzi. Ale ty, nie rozmyślając sie ani na żadne zbytnie miłości, ani na żadne powagi, ani na żadne spadki albo wielkie pomocy, gdy-ć sie już w obyczajoch i w urodzie i w poczciwych przyjaciołoch upodobała poczciwa dzieweczka, miejże ty Pana Boga dziewosłębem, a anioły Jego swaty, a bez wszech wielkich zalotów uczyń powinności swej krześcijańskiej dosyć, wziąwszy z sobą przyjaciela albo dwu, a to, cobyś miał na bębny, na surmy albo na opierzone swaty utracić, lepiej, iż tem sobie podmożesz gospodarstwa swego. A tam ci już Pan Bóg pozdarzy wedle obietnic swoich, że z onym miłym a wdzięcznym, a sobie równym towarzyszem swoim

---

[1] prawie. [2] sowicie = podwójnie, wdwójnasób. [3] pomoc = posag. [4] trąba turecka.

używiesz długo rozkosznego żywota swego, i wszystko-ć sie sporzyć i mnożyć będzie około ciebie, jako ono powiadają, jako wianki wił.

Stroje. By dziesięć krojów na każdy tydzień wymyślił, tedy każdy chwalą. Będzie jedna[1] z długim kołnierzem aż do pasa, to powiedają, iż tak czyście: chłop ozdobny, od wiatru sie zasłoni, kiedy trzeba, i kijem we grzbiet nie tak barzo puknie. Będzie zasię druga, co kołnierza nie będzie u niej i na palcu, a przedsię też tak czyście: wolno mi się obejrzeć, kędy chcę i jako chcę, a przedsię mie kołnierz w szyję nie kąsa. Będzie druga z długimi rękawy, a czasem i ze trzemi, też tak, powiedają, czyście: chłop znaczny na koniu, kiedy rękawy około niego trzpiatają. Będzie druga, co jedno rękawiki do łokcia, a też tak przedsię czyście: wolniejszym tak, i snadniej mi na koń wsieść. Więc będzie druga aż do samej ziemie, to też tak czyście: chłop sie zda urodziwy i pieszo i na koniu, i przedsię mi wiatr około goleni nie tak harcuje. Druga zasię będzie mało niżej za pas, a przedsię tak czyście: i lżejszy człowiek i pieszo i na koniu, i niczem sie nie zabawi. Więc będą ostrogi na pół łokcia, to też tak czyście: ozdobny chłop na koniu i konia sie mocno imie, i wszytko czyście. Będą drugie, ledwe je przy piętach znać, a przedsię czyście: lżej mi tak i, Boże uchowaj, konia odbyć, tedy mi w trawie nie zawadzą, a przedsię wszytko czyście. Ja wierzę, by kto, pozłociwszy, rogi na łeb włożył, tedy nie wiem, by nie powiedali, iż to tak czyście, bo wszystko czyście, by sie jedno co dziś pojawiło, czegochmy wczora nie widzieli. A co na to „czyście“ wynidzie, to już tam mieszek niechaj responduje[2].

Rok na czterzy części rozdzielon. Iż różne są czasy w roku, też są i różne przypadki i w gospodarstwie i w każdej sprawie człowieka poczciwego, gdyż rok jest na czworo rozdzielon: naprzód wiosna, więc lato, potem jesień, więc zima. A w każdym z tych czasów i potrzebnego a różnego gospodarstwa i rozkosznych czasów i krotofil swych w swoim onym pomiernym a w spokojnym żywocie poczciwy człowiek może snadnie użyć. Bo, gdy przypadnie wiosna, azaż owo nie rozkosz z żonką, z czeladką po sadkoch, po ogródkoch sobie chodzić, szczepków naszczepić, drobne drzewka rozsadzić, niepotrzebne gałązki obcinać, mszyce pozbierać, krzaczki okopać, trzaskowiskiem[3] osypać, bo tego trzeba, aby około młodego drzewka chwast nie rósł. Też, gdy młode drzewka rozsadzasz, niepotrzebne gałązki precz obrzeż i wirzch, jeśliby sie wyniósł wysoko; bo nowo wsadzony korzeń, gdy jeszcze w sobie wilgotności nie ma, gdzie wiele gałęzi na górze, nie może ich używić. Też, gdy szczepisz a pniaczek rozbijesz, tedy nożykiem nadobnie gniazdeczka[4], gdzie masz gałązkę wsadzić, wybierz; tedy i gałązka

---

[1] t. j. suknia. [2] respondować = odpowiadać. [3] trzaskowisko = trociny, popiół z trocin. [4] dziura do spojenia drewien, klisz.

pięknie przystanie, i pniaczek jej nie ściśnie a nie zmorzy, i wnet ją snadniej sok obleje, iż sie prędko przyjmie.

Też sobie i wineczka i różyczek możesz przysadzić, bo sie to barzo łacno wszytko a za barzo małą pracą przyjmie. Dostawszy gałęzi winnych, ukopawszy dołek, nasypawszy gnoju drobnego a trzaskowiska, położywszy dwie gałązce nakrzyż, środek onych gałązek wtłoczywszy w on dołek, nadobnie onąż ziemią przyłożysz, a końce ku górze wypuścisz: tedy sie to barzo snadnie przyjmie. Także też tam chwastu strzeż, boć ten każdą rzecz zagłuszy. Potem, kiedy sie rozroście, niepotrzebne gałązki i liście [1], gdzie go wiele, obrzynaj, bo także też to wilgotność wyciąga, która miała gronka urościć [2], — jako i chwast około szczepów. Więc też sobie pójdziesz potem do ogródeczków, do wirydarzyków [3], grządki nadobnie każesz pokopać; nie czyńże ich owak kołpakiem [4] nazbyt wysoko, bo i woda snadnie z nich spłynie i w głębokiej bróżdzie nic nigdy nie będzie. To sobie z oną rozkoszą nasiejesz ziółek potrzebnych, rzodkiewek, sałatek, rzeżuszek; nasadzisz maluneczków, ogóreczków; i majoranik i szałwijka i ine ziółka — wszytko to nic nie wadzi; więc włoskich grochów, więc wysokich koprów, więc i inych wiele rzeczy, co sie to wszytko przygodzi. Bo to zasię, kiedy wzejdzie, tedy to i panienki albo ty ine domowe dzieweczki mogą wypleć i ochędożyć. Więc nie wadzi brzoskwiniową, morelową, marunkową [5] kosteczkę [6] wsadzić albo też włoski orzeszek, bo to wszytko prędko uroście, a przedsię i pożytek uczynić może... Azaż lepiej, iż ci łopian pod okny śmierdzi, a pokrzywa cie parzy, niżlibyś co inego na to miejsce posadził? Bo by-ć też to i pożytku żadnego pieniężnego nie uczyniło, tedy azaż mały pożytek potrzeba domowa? Bo z jabłuszka możesz sobie kilka potrawek uczynić: dobre warzone, dobre smażone, dobre pieczone i dobrze gęś nadziać, dobra kasza z nich, przetarłszy przez durszlak, dobrze je ususzyć i w pudle na cały rok chować, nie wszytko głąby [7] gryźć, jako świnia...

Pczoły, owce niemały pożytek uczynić mogą, także ine rzeczy. Nuż też, jeśli masz pczółki, tedy je też wczas podchędożyć, chorym miodu podstawić, także też chwastów i niepotrzebnego plugastwa miedzy niemi nie dopuszczać... Nuż też owieczki! Azaż też ty mały pożytek uczynić mogą? A niemasz-li ich czem chować, więc ich na wiosnę kupić, a na jesień przedać. Dasz za parę pół grzywny, a weźmiesz zasię, gdy jagniątko uroście, w jesieni za onęż parę swoje pół grzywny... Nuż też pani łaskawa domowa azaż też z drugiej strony nie może bez wielkiej pracej a napoły z krotofilą nadobnych pożyteczków naczynić, gdy sie zabawi około ogródków, około nabiałów, około lnów, około konopi? Wszytko a wszytko

[1] liście — rzeczownik zbiorowy rodz. nijakiego. [2] wydać. [3] ogródek zielony. [4] czubiasto [5] marunka—gatunek śliwki. [6] pestka. [7] na surowo.

może sie to sowicie opłacić i domek sie napełnić. Bo to zimie zasię z dzieweczkami poprzędzie, płócienek nasprawuje, może i uprzedać, może i potrzebę domową zawżdy poczciwą mieć. Nuż też i gąska niezła, bo i piórka i miąsko wżdy też darmo nie wynidzie, a mały to koszt — trawki nasiekać, ukropkiem gorącym ją odmiękczyć, otrąbkami posypać, to sie tak tem dobrze pan młody gęś uchowa, jako owsem, bo mu to snadniej i połknąć i przechować [1]. Nuż też kurczątko, nuż też kaczątko, nuż też i gołębiątko — wszytko to nic nie wadzi, bo to bez trudności, a napoły z krotofilą, wszytko być może.

Lato gdy przydzie, co z niem czynić. Nuż też, gdy przydzie ono gorące lato, azaż nie rozkosz, gdy ono wszytko, coś na wiosnę robił, kopał, nadobnie-ć dożrzeje a poroście? ano-ć niosą jabłuszka, gruszeczki, wiśneczki, śliweczki z pirwszego szczepienia twego; więc z ogródków ogóreczki, maluneczki, ogrodne ony ine rozkoszy! Ano młode masłka, syreczki nastaną, jajka świeże; ano kurki gmerzą, ano gąski gęgają, ano jagniątka wrzeszczą, ano prosiątka biegają, ano rybki skaczą; tylko sobie mówić: „Używaj, miła duszo, masz wszytkiego dobrego dosyć!“ — a wszakoż z bojaźnią bożą a z wiernem dziękowaniem Jemu. Pojedziesz zasię sobie z krogulaszkiem [2] do żniwa: ano nadobnie żną, dzieweczki sobie śpiewają, drudzy pokrzykawają, snopki w kopy znowu układają; ano im i milej i sporzej robić, kiedy pana widzą, — a wszakoż nie owego, co sie z nimi po polu z maczugą goni albo biczem po grzbiecie kołace. Tamże sobie i przepióreczkę ugonić możesz, ale nie owak, aby proso abo insze zboże ubogim ludkom łamać miał: abowiem on, patrząc na to, nie może bez żałości być, a mówi po cichu: „Bodajż w niej zjadł złego ducha!“ Też nie owak, aby wszyscy stali, dziwując sie, a wołali: „Owo padła, panie, padła!“ A pan sie przed nimi pyszni, iż chróściela ugonił, a oni stoją, dziwując sie, sirpy porzuciwszy. Abowiem w każdej rzeczy trzeba czasu i miary zawżdy używać.

Jesienne rozkoszy i gospodarstwa. Przydzie jesień, azaż nie rozkosz do siana sie przejeździć? ano nadobnie uorano, nadobnie sieją, włóczą, śpiewają; ano serce roście, ano sie nadzieją cieszy, iż z tego, da-li Pan Bóg doczekać, na drugi rok pożytek uroście! A wszakoż tego dożrzeć, aby było dobrze uorano, aby urzechy [3] nie było, aby tylko trawy nie pruto... Też trzeba pilnować, aby sie dobrze zawlokło, aby brył, jeśli może być, niewiele było, a wczas, a co naraniej, bo, im sie zboże napiękniej uściele na zimę, tem mu sporzej będzie rość na wiosnę... Tamże możesz sobie kazać i pieski, jeśli je masz, wywrzeć [4], tamże sobie wnet rozkoszną krotofilę uczynić; ano rozliczne głosy, jako fletniczki z puzany, krzyczą; ano

---

[1] strawić. [2] mały krogulec (z rodziny sokołów myśliwskich). [3] urzecha = miejsce, pominięte przy oraniu. [4] wypuścić.

myśliwiec wrzeszczy, trąbi, dojeżdżając za nimi. Wypadnie zajączek, azaż go nie rozkosz poszczwać, za nim sobie pobiegać, a jeszcze lepsza do łęku go przywięzać i do domu przynieść: ano chuć i dobra myśl roście, ano sie krew dobra mnoży, ano wszytko zdrowo, wszytko miło. A wszakoż, jako na każdą rzecz, tak też i na tę trzeba czasu patrzeć: nie wonczas, kiedy jeszcze zboża stoją albo drugie dorastają, bo już tam musisz bez rozmysłu bieżeć, gdzie pan zając obóz swój zatoczy, ano jedno psi połamią, drugie szkapy podepcą, ano grzech, przekleństwo a niewdzięczność darów bożych! Przyjedziesz do domu, ano sie jeść chce, ano już wszytko nadobnie gotowo; ano grzybków, rydzyków nanoszono, ano ptaszków nałapano. Bo i to niemała krotofila, i pan sobie czasem w budzie barzo rad posiedzi: ujrzy po chwili, ano miody podbierają, ano owieczki strzygą, ano owoce znoszą, zakrywają, a drugie suszą; ano rzepy, kapusty do dołów chowają, układają, drugie też suszą; ano wszytko miło, wszytko sie śmieje, wszytkiego dosyć; jedno trzeba tego dojrzeć, aby to wszytko było porządnie opatrzono... Jednoby też trzeba, kiedy czemu czas przypadnie, jako karwowi [1], darmo nie leżeć, a nadobnie sie i z żoną i z czeladką do wszystkiego przyczynić. Bo, im więtszy dostatek w domu będzie, tem sie też będą wszyscy lepiej mieć, bo to i pożytek i rozkosz i krotofila. A co to jest za trudność, już kapusty, rzepy, pasternaki, piotruszki i ine rzeczy dobrze opatrzywszy, kapustki nadobnej osobno obrawszy, fasę jednę na to obróciwszy, napoły główki przekrawając, nadobnie ją ułożyć, ćwikiełką przekładać, koprzyku do niej nakłaść? Tedy będzie smaczna i czyrwona, także i rosołek z niej będzie nadobny i onemi ziółki pięknie pachnący... Albo też kopru włoskiego, póki jeszcze zielony, także z gałązkami narzezać i jakoby każdą gałązkę warkoczkiem przepleść, także w faseczkę ułożyć, ocetkiem przekropić, a solą potroszę przetrząsnąć, a kamieniem przyłożyć, także też to przysmak i osobny i długo trwający może być. Albo też rydzyków nasolić, grzybków nasuszyć — a cóż to za praca? a długoż to zamieszka [2]? Ale leniwemu niedbalcowi wszytko sie trudno widzi...

Zima co za pożytki czyni i co za rozkoszy w sobie ma. Przydzie zima, azaż mała rozkosz, kto ma lasy albo łowiska, z rozmaitym się źwirzem nagonić, a jeśli sie poszczęści, więc go nabić i przyjacielom sie zachować [3] i sobie pożytek może sie z tego uczynić. Kto też ma jeziora, stawy, wielkie niewody, azaż nie rozkosz po głębokich wodach sie nachodzić albo najeździć, niewody zapuścić, ryb rozlicznych nałowić?... A jeśli nie ma lasów albo wód wielkich, azaż też zła sarna albo wilczek, z siatkami go poszukawszy?.. Azaż nie rozkosz z charty sie przejeździć, na cietrzewka sieć zastawić, kuropatwiczkę rozsiadem [4] przykryć? a przejeździwszy sie a obłowiwszy sie, do domu przyjechać? Ano izba ciepła, ano w ko-

---

[1] karw=wół karmny (opasowy). [2] dużoż to czasu zabierze? [3] przysłużyć się. [4] rozsiad = sieć.

minie gore, ano potraweczek nadobnych nagotowano, ano grzaneczki w czaszy w rozkosznem piwie miasto karasków pływają. Po obiedzie sie do gumienka przechodzić, dopatrzyć sie, jeśli dobrze wymłacają, jeśli kłoć[1] wytrząsają, jeśli słomę dobrze układają, plewki, zgoninki chędogo pochowają... Nuż, nachodziwszy sie po swem pobożnem gospodarstwie, już też sobie w ciepłej izbie usiędziesz albo sam, albo z przyjacielem. A jeśli-ć jeszcze Pan Bóg dziatki dał, toć już, jako błazenkowie, kuglują[2], żonka z panienkami szyje, też sie z tobą rozmawia albo też co powieda, pieczenia sie wieprzowa dopieka, cietrzew w rosołku, a kapłun tłusty z kluskami dowiera[3], więc rzepka, więc ine potrawki. A czegoż ci więcej trzeba? czegoż ci nie dostawa ku poczciwemu wychowaniu twemu? byś jedno sam chciał a sam tego i nabyć i użyć umiał, tedy-ć Pan Bóg wszytkiego dosyć dał.

Żywot człowieka poczciwego to najlepszy utwór Reja, bo i najlepiej opracowany i skupiający w jedną całość wszystkie jego nauki moralne i zawierający w sobie mnóstwo rysów obyczajowych. Wprawdzie, nauki moralne nie są własnością Reja: czerpał je on to z Pisma Świętego, to z autorów starożytnych (Cycerona i Seneki), to z nowoczesnych, ale rysy obyczajowe brał nie z książek, lecz wprost z życia, i ze wszystkich jego pism *Żywot jest najdokładniejszym obrazem życia zamożniejszej szlachty polskiej XVI wieku.* Niedosyć na tem. *Żywot jest doskonałym wyrazem poglądów poczciwego, ale przeciętnego szlachcica na życie*: mało się uczyć, prowadzić żywot spokojny i pogodny na wsi, cieszyć się zamożnością i szczęściem rodzinnem, a *służby publicznej*—z wyjątkiem godności poselskiej—*o ile możności, unikać,* bo ona odbiera „żywot wolny“! Takie to poglądy na życie miał niejeden szlachcic XVI wieku, takie poglądy miał i Rej, człowiek dobry i poczciwy, ale, jako nieuk, nie mający szerokiego poglądu na świat; kochał on ojczyznę głęboko, ale dobrze nie wiedział, jak jej służyć. Bo, że Rej kochał Polskę, tego dowodem jest jego piękny utwór, mieszczący się również w *Zwierciadle*, p. t. *Spólne narzekanie wszej Korony na porządną niedbałość naszę.* Unosi się tutaj Rej nad Polską, nad jej wielkością i potęgą, dostatkami i bogactwem, odwagą i męstwem narodu, ale gorzkiemi łzami płacze nad nierządem i brakiem sprawiedliwości i przepowiada smutną przyszłość, jako karę bożą za grzechy: „Patrzaj, które jest tak zacne a tak sławne królestwo, jakie jest... nasze królestwo polskie, w którem nas tu, Polaki, Pan nasz z łaski swej posadzić a rozszyrzyć raczył? Albo które jest królestwo okoliczne, aby od niego albo jakiej pomocy, albo jakiej żywności nigdy nie potrzebowało? A wiele krain i królestw, co na nie robią, jako za dzień kmiotkowie, a tu wszytki swe prace podawają, a stąd pożytków swych, żywności swych i inych rzeczy, szukając, nabywają! A my,

[1] słoma wymłócona. [2] dokazują. [3] dopieka się.

Polacy, za małą pracą a za małem staraniem, ich kosztownej pracy a ich robót z rozkoszami sobie używamy! Czego ja wyliczać nie chcę: snadnie sie temu, kto jedno chce, każdy przypatrzyć może. Bo, acz w inych stronach jest więcej złota, srebra, korzenia, jedwabiów i inych rzeczy, a wszakże nam tu przedsię od nich mało nie darmo przychodzi. Ale takich ludzi, takich cnót, takich obyczajów, takiego męstwa, — a który w tem naród porównał z narodem tym? a które wojsko kiedy polskiemu wojsku wytrwać mogło?... A szczęśliwem to wojskiem zową, gdzie Polaki widają; a straszny huf każdemu nieprzyjacielowi bywa, gdzie Polak swe jasne a niezakryte czoło ukaże!"

„Pożrzyż[1] zasię, przewróciwszy kartę, na drugą stronę, jeśliże jest nędzniejsze, zeszlejsze a niedbalsze państwo..., jako jest to sławne a tak zacne królestwo polskie nasze? Żaden naród, żadna horda, a snadź i cygańska, nie jest w takiej niedbałości, a snadź jest w lepszem opatrzeniu, niżli to tak sławne a zacne to państwo nasze! Azaż my mamy postanowienie jakie pewne, oprócz tych marnych a niepobożnych wici? gdyby na nas jaki prędki nieprzyjaciel przypadł, cobyśmy z nim czynić mieli?... Stoją zamki, stoją mury puste, wilcy a świnie dzikie sie w nich lągną, a ni nacz ich podobno nie chowamy, jedno na baszty nieprzyjacielom swoim, aby oni to, powoli pobrawszy sobie, osadzili, a stąd nas bezpieczniej wojowali a posiadali. A jakoż tu nieprzyjaciel serca nie ma brać? a jakoż sie tu nie ma, jako dyabeł z niedbałej dusze, rozkochać, wiedząc o tak zacnem, sławnem a bogatem królestwie, wiedząc o takich sławnych, zacnych a bojowych ludziach i wielkości ich, a wiedząc też o takiej niedbałości i o takiej sprawie ich?..."

„Przypatrz sie jeno pilnie sprawam a sprawiedliwościam naszym, jako sie łzy leją ludzi uciśnionych, jakie głosy krzyczą przed Majestatem Pańskim na upadek nasz, jako ludzie niewinni narzekają, pragnąc a łaknąc, biegając a szukając sprawiedliwości swojej!... Jako stoją oni mizerni Łazarzowie u drzwi bogaczów onych, którzy wyssali mleko ich a odarli wełnę ich, a jeszcze je czasem kijem biją, odganiając a powiadając: niemasz teraz czasu!... Gdyż *sprawiedliwość naszę zową pajęczą siecią, którą bąk przebije, a nędzna mucha, uplótłszy sie, uwikławszy sie, utraciwszy wszytko, nie doczekawszy sie żadnej pociechy w upadku swoim, idzie z kijem, bęcząc, do domu, ręce załomiwszy!* Obaczże, jaki tam płacz, a jakie tam narzekanie, przyszedłszy do domu swego, uczynić musi z żonką a z dziatkami swemi, nawołując o pomstę do Pana swego! A Pan sie obiecał stać nieomylnie przy krzywdzie jego a mścić sie onego mizernego upadku jego!"...

„A jakoż tu Pan, prosze cie, ma podnieść oczy swoje na wspomożenie nasze? Ano, jako sam powiedać raczy, iż wołacie do

[1] spojrzyj-że.

Mnie a narzekacie, iż was nie chcę wysłuchać, a ręce wasze, które podnosicie do Mnie, pomazane niesprawiedliwością!... Już trudno mamy dufać jakim nadziejam albo jakim godnościam swoim do znalezienia łaski u Pana tego, jedno czekać mizernego upadku jakiego!... Gdyż to jawnie obiecać raczył każdemu narodowi takiemu, iż dla złości a niesprawiedliwości ludzkich przeniosę królestwa na ine królestwa, a narody w insze narody odmienić muszę! Obaczże sie, smaczno-li-ćby to było, kiedybyś ujrzał, ano postronny człowiek rozkazuje w domu twoim, a urzędnika-ć odmienił, a ty zdaleka z cirnia wyglądasz, co sie dzieje: ano już iny urzędnik, albo cie w łykach przy koniu wodzą!... Pomyśl sobie jedno, jeśliby do tego kiedy przyszło (jakoż nieomylnie przyść musi, nie będzie-li uznania twego a miłosierdzia Pana twego), gdyby obcy a srogi człowiek przyszedł nocą do domu twego, posiadł albo rozproszył wszytkę majętność twoję, zapalił srogim ogniem dom twój i wszytki rozkoszy twoje, posiekałby głowy dziatkam twoim przed oczyma twemi, zelżyłby małżonkę i naród twój, a ciebieby, jako psa, wodził na łańcuchu, przy koniu swoim, tłukąc głowę twoję: jakoby tam żałosna była dusza twoja i serce twoje!“

§ 28. Zasługi około utrwalenia języka ojczystego w literaturze dzieli z Rejem ziemianin i rycerz, szlachcic sieradzki, **Marcin Bielski** (1495—1575). Nie posiadał on, wprawdzie, ani wybitnego talentu, ani tej łatwości pisania, co Rej, ale, przepadając za książkami, usilną pracą nabył więcej wiadomości i wyrobił sobie głębszy pogląd na życie: Rej głosił, że „pismo niepotrzebna zabawa“, że człowiek powinien dążyć jedynie do cnoty, Bielski uczył, że „ludzie bez pisma na świecie żyli nie inaczej, jedno jako niemy dobytek, co jedno brzuchowi folguje“; rozumiał, że człowiek nieoświecony nie może być cnotliwym, bo nie będzie wiedział, jak dążyć do cnoty, że nauka to jeden z największych skarbów na świecie, bo, rozwijając i wzbogacając umysł, uczy człowieka, jak ma żyć, daje mu nie tylko cnotę, ale dobrą sławę i szczęście. Otóż to przekonanie usiłował wpoić w swoich czytelników, *pragnął oświecać i kształcić społeczeństwo polskie* i jeszcze na lat kilka przed wystąpieniem Reja przełożył z języka czeskiego książkę o życiu, nauce i cnocie starożytnych mędrców (Talesa, Solona, Likurga, Cycerona, Seneki i innych), p. t. *Żywoty filozofów* (1535)—w tym celu, aby, z jednej strony, przyczynić się do „rozmnożenia języka polskiego“, którym „przedtem dla trudności jego niewiele pisano“, a z drugiej, aby pokazać czytelnikom, że *od nauki „nie może być wymyślono więtsze dobrodziejstwo“*.

Za najszlachetniejszą zaś i najpożyteczniejszą ze wszystkich nauk poczytywał historyę: „Historye są nauką żywota, jako obrazy albo świece, sprawam ludzkim w umyśle świecąc, ostrzegając nas od przygód złych, a ku dobrym przykładnie wiodąc, aby tem każdy ostrożniejszy był, karząc sie [1] ludzką przygodą, abowiem snadniej sie każdemu obaczyć z kogo ine-

[1] karać się czem = brać sobie przestrogę z czego.

go, niżli sam siebie". Tymczasem literatura polska nie posiadała książki o dziejach powszechnych, więc Bielski, pragnąc, jak mówi, „braciej swej miłej uszy ich, żądościwe[1] dziejów zacnych rozmaitych, czytaniem tem napełnić", postanowił ją napisać; wziął się gorliwie do pracy, przeczytał całe mnóstwo podręczników i pism historycznych, napisanych po łacinie przez uczonych Niemców i Włochów, oraz kilka książek czeskich i skleił z nich obszerną *Kronikę wszytkiego świata* (1551), którą czytano tak chciwie, że w krótkim czasie trzeba ją było wydać po raz drugi i trzeci (1564). Bo też było co czytać: opowiedział tu Bielski historyę narodów starożytnych od początku świata, a więc Żydów, Asyryjczyków, Babilończyków, Persów, Greków i Rzymian; historyę średniowieczną, zarówno kościelną, jak świecką; dzieje nowsze Europy zachodniej w epoce roformacyi, której Bielski był gorliwym zwolennikiem; nie dosyć na tem: osobne rozdziały poświęcił historyi Turcyi, Czech, Węgier, Rusi; wyłożył „kosmografię" (t. j. geografię) powszechną, opisując szczegółowo rozmaite osobliwości świata, a jeszcze obszerniej opowiedział „o wyspach morskich, nowo nalezionych, które mogą być rzeczone świat nowy", t. j. o odkryciu Ameryki.

Wartości naukowej *Kronika świata* nie ma: przecie Bielski, chociaż ciągle czytał i czytał, nie był uczonym i nie posiadał umysłu krytycznego, nie umiał odróżnić prawdy od nieprawdy: zdawało mu się, że wszystko, co wydrukowane, jest prawdą, w najlepszej więc wierze powtarza za innymi, że, naprzykład, Aleksander Macedoński „wpuszczał sie w morze w szklanej skrzyni, chcąc widzieć morską głębokość" (ob. § 11); że „Jowisz pięćkroć razów świat obszedł i umarł na wyspie Krecie"; że w Arabii mieszka ptak feniks, „który, gdy przydzie ku sześciset i sześcidziesiąt lat, starzeje sie, uczyni sobie gniazdo z mirry, kadzidła, różdżek, położy sie na tem i obumrze"; ale potem „ożywie, jako chrobaczek będzie napirwej, potem jako gołąbek", a potem „jako orzeł"; są też — opowiada Bielski — różne dziwne narody, np.: „Satyry, ludzie leśni, w górach albo niewielkich lesiech bywają, nago chodzą, z zwierzem żyją, kosmaci, mowy żadnej nie mają, tylko, jako małpy, krzykają;... Astromi w Indyej są, nie mając żadnych ust, nie jedzą ani piją, tylko przez nos dychaniem żywą;... Neury (u Tatarów) na czas pewien w wilki sie zamieniają" i t. p. Nie umiał też Bielski rozróżniać wypadków ważnych od nieważnych i często daleko więcej miejsca poświęca anegdotom, niż ważnym faktom historycznym. A pomimo to wszystko jego *Kronika świata* była w swoim czasie dziełem wielce pożytecznem, jako *pierwszy obszerny podręcznik historyi powszechnej, napisany po polsku*, z którego więc o tem, co się działo na szerokim świecie, mogli się dowiedzieć ci nawet, którzy nie umieli po łacinie.

Osobną część *Kroniki świata* poświęcił Bielski historyi Polski, która, jak pięknie powiada, „nas wszech, Polaki, w swej ziemi chowa, żywi, ćwiczy". I tutaj nie jest historykiem samodzielnym: głównem źródłem jego mądrości jest kronika Miechowity (ob. § 16); samodzielnie opo-

[1] żądościwy = chciwy, spragniony.

wiedział tylko o kilku wypadkach z ostatnich lat panowania Zygmunta Starego, np. o bitwie z Wołochami pod Obertynem w roku 1531 (w którym sam walczył w szeregach hetmana Tarnowskiego), oraz opisał szczegółowo pogrzeb królewski. Pomimo to i kronika Polski jest dziełem ważnem, jako *pierwsza historya ojczysta, napisana w ojczystym języku.*

O Cyganiech tułaczach. Lata od Narodzenia Pańskiego 1417 napierwej sie rodzaj cygański u nas i w Niemczech ukazał, lud próżnujący, chytry, tajemny, plugawy, dziki, czarny, wiary ani postanowienia nie mając: gdzie sie przywloką, tam wiarę trzymają, aby im dawano; mowę sobie zmyślili ku kradzieży godną, aby im nikt nie rozumiał, jedno sami sobie; stądże są misterni złodzieje, zwłaszcza żony ich, z których kradzieży mężowie żywą; aby k temu lepszy przystęp miały, praktykują[1] białym głowam prostym, leda co mówiąc, i, gdy sie nabarziej zapatrzy na nię, wtenczas lekką ręką wybierze, cokolwiek najdzie w mieszku, jedną ręką, a drugą kryślą po ręku; przeto w płachowiskach[2] chodzą, aby pod nie snadniej ręce kryła, gdy sie jej co trafi ukraść. Sami też mężowie rozmaitem szyderstwem sie obchodzą[3]: końmi frymarczą, miedź pozłociwszy, żelazo pośrebrzywszy, przedają, mynicę[4] kują, wytrychy złodziejom czynią i rozmaite igrzyska wymyślają, aby tem prace uszli a nic nigdy nie robili ani służyli; z dziećmi swemi włóczą się od miast do miast, od wsi do wsi po wszytkich krainach świata, niedługo na miejscu trwając, aby sie kradzieżą barzo jednym nie oprzykrzeli, a zasię w rok na ty miejsca swoje rozdzielne z rotami swemi przychodzą, bo oni cudze królestwa miedzy się rozdzielili, mieniąc to swoje być, a gdzieby jedna rota drugą najechała, czynią o to z sobą i porażają sie okrutnie sami o to. W cudzych ziemiach katy bywają, jako w Turcech i indziej, i na szpiegi jeżdżą do nieprzyjacielskich krain. Powiadają ci matacze u nas, aby to pokutowali, włócząc sie po rozmaitych krainach, iż byli odstąpili wiary krześcijańskiej, a na mahometowę przystali; a w Turcech takież, iż sie byli obrócili na krześcijańską wiarę. Powiadają też u nas, że im Turcy zamknęli drogę do ich krainy, to jest do małego Egiptu, iż ich wiary nie trzymamy; a gdy go spyta, gdzie jest Egipt mały, będzie plótł, sam nie wie co, jako ten, który tam, jako żyw, nie był, ani wie, skąd sie wziął; bo sie tu porodziło to łotrostwo, u nas, i jest naszych dosyć miedzy imi łotrów, co też chronią sie robót, aby sie im tak zdało poczciwiej kraść, którzy sobie twarzy poczernili i włosy tym obyczajem: nabrawszy śnieci jęczmiennej, zbije ją z żółcią wołową, przyczyniwszy trochę oliwy, a tem sie mażą na każdy miesiąc, a temże gryzienia od wszy i płech uchodzi; a na iną nędzę nie dba, kiedyby[5] nie robił. Do której krainy przydą, pilnie sie mowy uczą dla pożywienia. Wyszli oni napierwej z przodków swych z Afryki przed głodem, z krainy Cyrenajki; przeto mają być wezwani Cyrani, a nie Cygani. Z tej Cyreny był on Symon, co za Panem Jezusem niósł krzyż przed

[1] wróżą. [2] w płachtach z grubego płótna. [3] rozmaite popełnia oszustwa [4] mynica, myńca = pieniądz, moneta. [5] byleby.

Jeruzalem na górę Kalwaryą. Mają listy niektórzy z nich cesarza Zygmunta, aby byli wolni w krainach krześcijańskich; ale, jako mówią, niczemny król niczemnym ludziom wolność daje ku skazie rzeczy pospolitej, bo oni inszą sie rzeczą nie żywią, jedno kradzieżą. I jest to z podziwieniem każdego mądrego człowieka, czemu ty łotry wpuszczają do ziemie na granicach, czegoby mieli pilnie starostowie doględać, bo ci łotrowie wiele dobrych ludzi zamordowali potajemnie, łupiąc i wydzierając ludzkie prace, tak w nocy, jako we dnie, swowolnie, bez żadnej pomsty, gdzie wiele ubogich ludzi, prostych kmieci, przez nie wzięło wielką szkodę i, strzegąc sie ich każdej godziny, nieprzezpieczni są w nocy na gardlech i na statkach swoich, gdy je w ziemi czują.

O fałszywym Chrystusie. Na początku panowania króla Zygmunta (Starego) niektórzy ziemianie i mieszczanie, jako Piotr Zatorski z Krakowa i Jakub Mielsztyński, wójt z Brzezin, i drudzy, których było w liczbie trzynaście, wybrali miedzy sobą Krystusa i dwunastu apostołów, chodzili po wsiach, każąc, i cuda czynili kuglarskim obyczajem, to jest skrzysali umarłe na zmowie, ryby łowili w kałuży na rozkazanie Krystusowo, wsadziwszy je tam pierwej, takież i chleby w piec miotali, a zasię w imię Krystusa wybierali [1], z podziwienim ludzi, których za nimi wiele chodziło. Gdy do Śląska szli, wstąpili do Częstochowej... Nie znano ich jeszcze. Uczynili Judasza opsesem [2], który nakładł sobie w zanadrze kamyczków za koszulę od gołego ciała, a zwierzchu miał z sukniej lankę [3] dwoistą, do której mógł włożyć, co trzeba, jako do kalety [4]. Wiedli tedy drudzy onego opsesa do ołtarza, aby sie ofiarował, a potem miał z niego mnich czarta wyganiać. Opierał sie opses rzekomo, nie chciał do obraza, a gdy go gwałtem przywiedli, rzucił sie na ofiarę, wydarłszy sie im z ręki, brał na ołtarzu pieniądze, a kładł do sowitej [5] suknie, ostatek zrzucił z ołtarza. Mnich, co miał mszą, uciekł od ołtarza, dał wiedzenie drugim mnichom, którzy, gdy przyszli, odpasali go, mając za to [6], aby w zanadra kładł pieniądze. Wypadły tedy ony kamyczki, których był za koszulę nakładł, a pieniądze zostały miedzy sukniami. Mniszy, zasmuceni, mając za to, aby to czart przemienił z pieniędzy kamienie, mówili długo modlitwy i egzorcyzmy nad kamyczki, aby sie zstały pieniądzmi, jako pierwej były. Gdy sie kamyczki nie chciały odmienić, uderzył mnich agendę [7] o ziemię, rzekł: „Jeszcze na nas tak chytry czart nie przychodził, jako ten; pódźcie z nim ku wszytkim czartom, aby go osiedli: życzylibyśmy mu tego za swoją szkodą". Wyszli precz z kościoła z pieniądzmi. Chodził opses po gospodach, gdzie mięso ujrzał, tedy je brał, zrywał pieczenie z rożnów, a ciskał na swoje apostoły, a oni jedli a żegnali sie z drugimi ludźmi. A tak sie żywili, gdyż swojej kuchniej nie mieli. Gdy było w Śląsku, przyszli do jednej ziemianki na wsi, rzekli jej: „Pani szlachetna! Nawiedza cie Krystus z apostoły swymi, ofiaruj sie im". Rzekła: „Nie mam męża doma,

---

[1] wybierać = wyjmować. [2] opses = opętany. [3] lanka = lnianka. [4] kaleta = sakwy, sakiewka, torba skórzana. [5] sowity = podwójny. [6] mniemając. [7] agenda = księga kościelna.

przeto mi sie nie godzi samej". Rzekli: „Masz jakie obrusy albo prześcieradła ku poświęceniu"? Rzekła: „Mam". A gdy ukazała jedno, wyjąwszy je z skrzynie, rzekli: „To my z sobą weźmiemy, aby-ć sie przędziwo rodziło; ukaż drugie". Rzekła: „Nie dam go wam, bo nie śmiem przed mężem". A tak oni zawinęli żagwie [1] kęs z ogniem w ono prześcieradło, dali jej zasię. Włożyła w skrzynię. Gdy to tam tlało, zapaliła sie skrzynia, a od skrzynie dom. Mąż przyjechał, dom zgorzał. Powiedziała przyczynę, „iżem niewdzięcznie przyjęła Krystusa z apostołami jego, przeto na mię tę plagę przepuścił". Rzekł mąż: „Łotr-ci to jakiś był, a nie Krystus". Pytał drugich sąsiad: „Gdzie sie obrócili?" Powiedzieli: „Ku Polszcze [2]". Zebrali sie wszyscy, szli po nich. Obaczył Krystus, rzekł swoim: „Pietrze, już sie moja męka przybliża". Piotr rzekł: „I moja też z tobą, Panie"! Rzekł Krystus: „Pietrze, nielżać mnie, jedno oknem [3]". Rzekł Piotr: „Panie, ja ciebie nie zstanę [4], pókim żyw". A gdy je chłopi oskoczyli w jednym domu, dotłukli im kijem w okniech. Wrócili sie z guzy do domów, dalej nie chcieli chodzić po tej świąci, mówiąc: „Trudno nam wytrzymać Krystusową mękę i apostolskie przygody". Klął je biskup o to, ale mu powiedzieli, iż już za to ciężką pokutę przyjęli, gdy im kijem doprano: „przeto prosim o rozgrzeszenie". I byli rozgrzeszeni a polepszyli sie. Tego-ć w żadnych kronikach niemasz, tylkom to słychał od ojca swego, który wszytki dobrze znał i widał, co czynili. Ale-ć tego więcej było, niżli tu piszę: zdawna frantowie na świecie.

Śmierć i pogrzeb Zygmunta Starego. Lata 1547 Zygmunt, król polski, sjem [5] walny w Piotrkowie na pany i rycerstwo Korony polskiej przez listy, jako jest obyczaj, na ś. Marcin położył, na którym, postanowiwszy Rzeczypospolitej sprawy wszelakie około praw, obrony i inych rzeczy, których potrzebuje zawżdy rzecz pospolita w Koronie tej, będąc w zeszłych leciech żywota swego, wpadł w ciężką chorobę, w której, już napoły martwy będąc, przywiezion z Piotrkowa do Krakowa, miesiąca lutego lata Pańskiego 1548, przyjąwszy Pańskie Świątości, jako prawy krześcijański człowiek, w święto chwalebne wielkonocne Zmartwychstania Pańskiego z światem sie rozdzielił, z wielką skruchą a pokorą na zamku krakowskim. Aczbym tu wypisał jego zachowanie albo obyczaje żywota jego prawie świętego, którymi sie sprawował, będąc na stolcu królewskim, zda mi sie, iż nie trzeba, gdyż sie samy jawnie w kronice jego żywota dobre okazują; nadto jeszcze dosyć dobrze i szeroce wypisali je uczeni ludzie w swoich oracyach albo kazaniu i wydali pospolitemu człowiekowi jawne, zwłaszcza Stanisław Orzechowski, który go prawie do nieba pisanim swem postronnym ludziom wystawił; dlaczego jego śmierć nie tylko nas, obywatele tej ziemie, ale i postronne ludzi krześcijańskie zasmuciła. Miał wieku swego lat 81, miesięcy 2, dni 7. Pogrzeb jego był znamienicie sprawowan, jako jest u nas obyczaj królom działać. Każdy z swej ziemie chorąży z swoją chorągwią pod ziemskim herbem na koniu zbrojnym był,

[1] żagiew = rzecz palna, np. próchno, hubka. [2] Polska = Wielkopolska. [3] nie mogę inaczej uciec, tylko oknem. [4] nie opuszczę. [5] sejm.

których było sto trzydzieści, także wiele i mar pod przykryciem rozmaitych farb złotogłowów. Szły za marami napierwej trzydzieści koni królewskich pod przykryciem kitajek rozmaitej farby z herby królewskimi; po nich chorążowie ziemscy, każdy z swej ziemie, w kirysiech w żałobie, mając na chorągwiach herby rozmaite ziemskie...

Przed marami, na których ciało było królewskie, jechał Jan Tarło w zupełnym kirysie, który był Maksymilian cesarz królowi dał, gdy byli społu w Wiedniu, mając w ręku miecz goły, takież chłopiec z drzewem [1]. Przed marami szli posłowie ziemscy. Niesiono też przed marami królewskie sceptra [2]: niósł miecz Zygmunt Wolski, jabłko — Tęczyński, marszałek nadworny, sceptrum [3] — Piotr Kmita z Wiśnicza, wojewoda i starosta krakowski, koronę — Jan z Tarnowa, kasztelan krakowski. Ciało za nimi nieśli dworzanie z wielkością świec lanych. Za ciałem szedł król miedzy posły cesarskim i króla rzymskiego, Ferdynanda; za nim szła królowa, matka jego, miedzy książęty pruskim a margrabicem. Przyprowadzili ciało do kaplice i składziono sceptra na marach; złożywszy ciało nadół pod kaplicę, tąże zasię sprawą [4] odeszli na zamek.

Nazajutrz w piątek ci wszyscy obchody w mieście czynili w sześci kościelech ze wszytkiemi procesyami, położywszy sceptra królewskie na marach, naprzód u Wszech Świętych, gdzie miał mszą biskup kamieniecki, wtóra u ś. Franciszka, gdzie śpiewał mszą biskup chełmski, trzecia u ś. Anny, tam śpiewał mszą biskup przemyski, czwarta u ś. Szczepana, śpiewał mszą biskup płocki, piąta w rynku u Panny Maryej, tam śpiewał mszą biskup poznański, szóstą u ś. Trójce śpiewał mszą sufragan.

W sobotę zasię na zamku arcybiskup gnieźnieński mszą miał; służyli mu biskupi i opaci wszyscy, po ewangeliej biskup krakowski, Samuel Maciejowski, dosyć dobre i długie kazanie uczynił o jego świętobliwym żywocie. A gdy pacierz śpiewano we mszy, Jan Tarło we zbroi i chłopiec, który drzewo nosił, do kościoła wjechali, obtykawszy hełm i iną zbroję świeczkami. Gdy śpiewano *Agnus* [5], panowie mianowani sceptra albo ornamenta (który co nosił) na ołtarzu spokładali; król Augustus niósł hełm, książę — tarczą, margrabic — miecz, cieszyńskie książę — drzewo: to przed wielkim ołtarzem o ziemię uderzyli i drzewo łamali. Wtenczas też kiryśnik z konia spadł przy marach; kanclerz i podkanclerzy pieczęci króla umarłego potłukli, a insze im na to miejsce dano od króla młodego. Po wykonaniu tych spraw wyszli z kościoła takowąż sprawą. Nazajutrz też w niedzielę mieszczanie krakowscy u Panny Maryej w rynku znowu swoje obchody czynili dosyć żałobliwe i nabożne przy mszy, w której biskup przemyski Panu Bogu służył. Był ten pogrzeb nazajutrz po ś. Jakubie we czwartek, lata od Narodzenia Pańskiego 1548, dnia 26, miesiąca lipca.

Uzupełnieniem *Kroniki świata* jest poniekąd *Sprawa rycerska* (1569), dzieło, w którem Bielski opowiada o sztuce wojskowej u starożytnych Greków i Rzymian, w Turcyi i w Moskwie, u Tatarów i Wołochów,

---

[1] drzewo = włócznia. [2] sceptra = oznaki. [3] sceptrum = berło. [4] tąże sprawą = w tym samym porządku. [5] Agnus Dei = Baranek Boży.

wreszcie — w Polsce. Napisał to dzieło w tym celu, aby przekonać szlachtę, rozkochaną w zacisznem życiu na wsi i stroniącą od rzemiosła rycerskiego, że to tylko państwo może być spokojne i potężne, które ma dzielne i dobrze wyćwiczone wojsko; że naród, w którym duch rycerski zamiera, prędzej czy później zginąć musi: a ponieważ w społeczeństwie polskiem zamierał właśnie, dzięki długiemu pokojowi za Zygmunta Augusta, duch rycerski, więc Bielski pragnął go wskrzesić i, drżąc o przyszłość ojczyzny, zaklina szlachtę, żeby nie zaniedbywała rzemiosła rycerskiego, żeby nie ufała zbytecznie pokojowi, żeby pamiętała, iż samych wrogów ma naokoło siebie: „Temu każdy może rozumieć, iż my, w tych krainach będąc prawie w pośrodku [1] wielkich monarchów świata, w pokoju być długo nie możem; bo ci mocarze na tem zawżdy są, aby przyczyniali swoich dzierżaw, a nigdy nie umniejszali. uchodzisz-li [2] jednego, rozgniewasz drugiego; uchodzisz-li wszytki, najdzie lada przyczynę złamania przymierza... Cóż tedy mamy czynić?... Opuściwszy wczesności domowe i gospodarstwa zbytnie i swary o wiarę niepotrzebne, obronę taką stanowić, którąby była pożyteczna Rzeczypospolitej, pamiętając na to, iż lepiej poczciwie umrzeć, broniący gardła swego, żon, dzieci i wszytkiej majętności, niżliby miał doma czekać haniebnej a mizernej śmierci“.

Ten sam niepokój o przyszłość Polski widnieje i w *satyrach* (1566 — 1569). Bielski, który sam za młodu walczył za ojczyznę, z bólem serca patrzył na jakąś dziwną obojętność szlachty względem własnego kraju:

Smoleńsk wzięto, a wżdy ich to namniej nie ruszy,
Śląsko dawno odpadło, a wżdy na to głuszy;
Tatarzyn ruskie ziemie częstokroć plondruje,
A przedsię przeciwko im nikt sie nie gotuje.

Nadto wyrzuca Bielski szlachcie niezgodę, łakomstwo, zbytki, ucisk ludu wiejskiego, słowem, powstaje na to samo, co Rej. Nie zapomniał i o mieszczanach: mieszkając przez dłuższy czas w Krakowie, poznał on doskonale życie miejskie, widział na własne oczy nadużycia cechów rzemieślniczych, zdzierstwo kupców i przekupniów — i wszystko to opisał w jednej ze swych satyr. Oto np. obrazek rynku krakowskiego.

Pójdziesz-li też do owej pięknej Sukiennice,
Tam też prędko wywrócą twój mieszek na nice...
Bo najdzie w Sukiennicach takowego nogcia [3]:
Mierząc, sukno wyciąga, — zginą go dwa łokcia.
Pójdziesz-li też przez owy i tam i sam Krzyże [4],
Ali woła kramarka: „Kupcie, panie, bryże [5]!...
„Mam też pytel do młyna, mam prawe galery [6],
„Które inaczej nie dam, — po cztery talery!“

---

[1] prawie w pośrodku = w samym środku. [2] uchodzić = ułagodzić. [3] nogieć = łotr. [4] Krzyże = kramy w Sukiennicach, podtrzymywane z łokciemi na krzyż drzewkami. [5] bryż, bryże = ozdoby do sukni kobiecej: hafty, koronki i t. p. [6] galer = kapelusz włoski.

Ale ja wam powiadam, słuchajcie mie, dziatki,
Na wasze to pieniądze zastawiono siatki!...
Owy zaś Smatruzianki [1], co wlazły wysoko,
Jako łupią lada zacz [2], widzimy na oko:
Zamsz [3] sprzedają skopowy, cośmy leszem zwali,
Za trzy grosze takową skórkę pierwej brali,
A dzisia za piętnaście takowej nie pytaj,
Jedno, jako ona chce, za mieszek sie chwytaj.
Skóry z cielców wyprawią, a rzeką: „Jelenie"!
Nie dbają nic na Boga, o duszne zbawienie.
Nuż zasię ony baby, co siedzą na trecie [4],
Jeśli z niemi targujesz, zabają-ć kalecie [5]!
Bo nic nigdy nie robi, nad węglem sie piecze,
To sie baba czerwieni, dobrze [6] sie nie wściecze.
Takież i owy szwaczki, co nam szyją wzorki,
Umieją też wypróżnić młodym ludziom worki.
. . . . Idź do paniej Marty:
Nie da, jedno pięć groszy złego wina kwarty...
Pójdziesz-li też pod Wieniec gdzie do paniej Haski,
Zjesz wątróbkę cielęcą, przypłacisz małmazki [7]:
Po siedmi groszy kwartę sobie ustawili,
Którą pierwej w Mynicy [8] po dwu groszu pili...
Gdzie sie kolwiek obrócisz, chcesz poczynać hojnie,
Pójdziesz ze czczą kaletą, jakoby po wojnie.

Te i tym podobne szczegóły z życia miejskiego należą do wyjątków w literaturze XVI wieku, która odzwierciedla prawie wyłącznie życie szlachty, nie troszcząc się o mieszczan. Ogół szlachty nie lubił miast i gardził mieszczanami; Bielski — inaczej: on życie miejskie wolał od wiejskiego, z niejednym mieszczaninem żył w przyjaźni, a widząc, że szlachta zanadto się zasklepia w gospodarstwie wiejskiem i odwyka od służby publicznej, mądrze doradzał, aby miast nie unikała. Wogóle Bielski, chociaż wyższego wykształcenia nie posiadał, był jednak człowiekiem rozumnym, wznoszącym się nad poziom przeciętnej szlachty, a w historyi literatury zasłużył na wdzięczną pamięć, jako autor pierwszej, po polsku napisanej, kroniki i jako ten, co, jak sam powiada, „jeszcze od swoich młodych lat pisał wszem polskie rzecz rad; on sie na to pirwej obrał, drogę impresorom podał pisma polskie imprymować [9]".

§ 29. *Kronika świata* Bielskiego, zawierająca w sobie i kronikę Polski, umożliwiła ogółowi społeczeństwa poznanie przeszłości własnego

---

[1] Smatruz był to rozległy gmach murowany nad Sukiennicami, w którym przekupki (Smatruzianki) sprzedawały rozmaite towary. [2] jak zdzierają za byle co. [3] zamsz, lesz=skórka miękko wyprawiona. [4] tret = deptak; rynek. [5] zaśpiewają twojej sakiewce. [6] o mało. [7] małmazya, małmazka = słodkie wino greckie lub włoskie. [8] Mynica = restauracya około mennicy. [9] impresor = drukarz; imprymować = drukować.

kraju; ludziom, średnio wykształconym, wystarczała zupełnie, ale humanistów raziła zarówno swoją krótkością, jak naiwnością i prostotą. Obszernej i znakomitej kroniki Długosza (§ 8), nie ogłoszonej drukiem, nie czytał prawie nikt; kronika Miechowity (§ 16) odstręczała lichym językiem łacińskim i wogóle brakiem pięknej formy. Za panowania Zygmunta Starego jeden z humanistów, kanonik krakowski, *Bernard Wapowski*, napisał wprawdzie poprawną łaciną kronikę polską, lecz umarł, nie ogłosiwszy jej drukiem. Tymczasem oświecone warstwy społeczeństwa pragnęły koniecznie mieć książkę, którąby nie tylko była dokładnym obrazem przeszłości narodowej, ale którąby odznaczała się powabem i wdziękiem opowiadania; nie dosyć na tem: marzyły o tem, aby i cudzoziemcy raz się przecie dowiedzieli, jak wielką i sławną jest przeszłość Polski; rozumie się, że taką książkę trzeba było napisać po łacinie, inaczej bowiem czytaliby ją tylko Polacy. Otóż to marzenie humanistów polskich spełnił *mieszczanin* z Biecza (na podgórzu karpackiem), **Marcin Kromer** (1512—1589), człowiek rozległej wiedzy, którą zawdzięczał głównie uniwersytetom włoskim, znakomity humanista, posiadający obydwa języki starożytne, mąż stanu, któremu Zygmunt August niejednokrotnie powierzał ważne sprawy państwowe. Był to gorliwy katolik, który reformacyę poczytywał za najgorszą plagę dla Polski i całego świata, to też zwalczał naukę Lutra w czterech śliczną polszczyzną napisanych *Rozmowach dworzanina z mnichem* i w całym szeregu uczonych pism łacińskich. Poczytując stan kapłański za święty, dumny był, że sam jest księdzem, ale też z bólem serca patrzył na zepsucie księży katolickich, podrywające powagę Kościoła, i, jak mógł, tak walczył z niemoralnością duchowieństwa nie tylko słowami i piórem, ale, jako biskup warmiński, i czynem. A jak w historyi Kościoła polskiego, tak i w dziejach literatury i oświaty wsławił Kromer swe imię: jego księga *O pochodzeniu i czynach Polaków* (1555), doprowadzająca historyę Polski do śmierci Aleksandra, to wprawdzie tylko przeróbka Długosza i Wapowskiego, ale *jest pierwszą u nas kroniką, napisaną pięknym językiem łacińskim, stylem ozdobnym i powabnym, poważnym i wymownym, i zarazem książką, z której całe pokolenia uczyły się historyi ojczystej.* (Na początku XVII w. przetłumaczył ją na polski Marcin Błażowski).

Prawda, że nie wszyscy byli zadowoleni z tej kroniki. Duchowieństwo uwielbiało ją, bo Kromer na każdym kroku bronił stanu kapłańskiego i jego niezależności od władzy świeckiej. A i możnych panów chwycił autor za serce, bo, gdzie tylko mógł, tam dowodził, że senat (z możnowładców złożony) najwięcej się przyczynił do szczęścia i potęgi Polski. Ale szlachta krzywiła się trochę na Kromera, że zaraz na początku kroniki zbijał bystro i przenikliwie pogląd dawnych kronikarzy, iż Słowianie pochodzą od mężnych Wandalów. Ale nadewszystko sarkała szlachta, że Kromer powiedział jej w swej kronice niejedną gorzką prawdę, oskarżając ją, że nie szanuje władzy ani królewskiej, ani kościelnej, że wszczyna walkę z Kościołem, że się targa na uświęcone wiekami jego prawa i przywileje, że wogóle „lekceważy boskie i ludzkie prawa“ i wtrąca kraj w odmęt anarchii; posłów ziemskich nazywa Kromer „nadętemi dudami“ słowem, występuje wrogo przeciwko rządom szlacheckim.

„Urząd poselski... tak dalece za czasem wzwyczaił się, że krom [1] tych posłów ziemskich (tak ich abowiem zowią) ani żadnego sejmu sprawiedliwegoby nie było, ani też pobór uchwalać, a zgoła ani prawo żadne stanowićby się nie mogło; przyrosło tedy, ba, i jeszcze przyrasta liczby ich. Władza zasię urzędów onych nakształt władze trybunarzów [2] albo eforarzów [3] lacedemońskich usposabiać się poczęła. Abowiem tak wiele oni czasów naszych przywłaszczać sobie zaczęli, że też to żadnej rzeczy walnej krom pozwolenia swego ustanawiać ani królowi, ani senatowi nieradziby dopuścili i nadto króla samego we wszytkiem poprawiać poważną jakąś gorliwością chcieliby. A naostatek, im dalej, barziej przyrastywają w chciwości, też i o wierze krześcijańskiej, o obrzędach i ceremoniach kościelnych przeswarzać się, a zgoła nieustanowione przyjmować, ale wymyślone prawa na kościelne dostojeństwo stanowić i wnosić rzucili się. Odżywiali tedy i tak wielką znienagła wykochali w nich śmiałość częścią królowie pierwszy, wiele im dopuszczając, lub to dla podratowania wypróżnionego skarbu swego, lub też pokojowi swemu i wczesności [4] zabiegając, a częścią zaś potężniejszy niektórzy i niespokojni senatorowie bez przestanku ich sobie zniewalać, bankietami i tajnym datkiem na swą stronę zaciągać i, kędy się im jeno upodobywało, nawodzić, a zgoła właściwie jakoby dudki jakie (gdyż tak z nich niektórzy przeszydzać zwykli) nadymać ich poczęli, — a to względem tego, żeby abo przysłużyć się, abo też zaszkadzać mogli królowi, abo też więc dlatego, żeby abo potęgę swą zmocnili, przeciwniki przekonywali lub nad nimi zemścili się, abo, naostatek, żeby, podnaprawiwszy ich, wszystkiego dokazali, o co jawnie sami przez się pokuszać się nie śmieli, abo więc dowieść nie mogli. Zdrowa-ć to zaprawdę i zbawienna rzecz jest w królestwie czułym być stróżem pospolitej wolności, a wszakże pilnie a pilnie przestrzegać tego potrzeba, aby, co dla pożytku zdrowego Rzeczypospolitej dozorny porządek wynalazł, tego bezprawne używanie w zagubę koronną nie przewierzgnęło. Zaczem obawiać się potrzeba, aby niepomierna władza ona i na rozpustę zanosząca się wolność, nie tak dalece zdrowia pospolitego przestrzegając, jako podobno jednej osoby jakiej prywacie lub też kilku pożądliwej chciwości, abo więc, naostatek, pospolitej chlubie [5] nasługując i barziej sama władać, aniżeli władze [6] przestrzegać pragnąc, podeptawszy i z gruntu wywróciwszy dostojną zwierzchność królewską i zaraz [7] powagę senatorską, — wielkiego Rzeczypospolitej zamieszania nie wewlokła... abo też więc uciążliwem i okrutnem tyraństwem nie skończyła się. Co oboje [8] tem się snadź bliżej nadmyka, im ludzi młodszych i niebiegłejszych, a jeszcze barziej śmielszych, na taki urząd powoływają, abo sie też weń dobrowolnie sami wdzierają, widząc zwłaszcza, że się to niewstydowi i płochości ich zyść [9] może prze dopuszczanie niedbałe [10] ludzi godniejszych, powagą wspaniałą, k temu biegłością

---

[1] bez. [2] trybunarz = trybun (rzymski). [3] eforarz = efor. [4] wczesność = wolny czas, wczas. [5] pospolita chluba = popularność. [6] przyp. 2 liczby pojed. [7] zarazem, jednocześnie. [8] t. j. zamieszanie (anarchia) i niewola. [9] zyść = zejść, ujść. [10] prze dopuszczanie niedbale = wskutek niedbalstwa, wskutek zbytniej pobłażliwości.

w rzeczach i dostałą mądrością nad insze przodkujących. Co daj Boże, aby i w radach koronnych nie toż właśnie wzwyczaiło się, iż częstokroć nie to przemaga, co ludziom poważnym abo wielom, ale świegotliwym, wrzaskliwym i groźnym upodobało się... Tak właśnie Rzeczpospolita rzymska, znamienita niekiedy[1] i w ozdobie kwitnąca, wyuzdaną żarliwością trybunarzów tłuczona, naprzód w nieznośną rozpustę pospólstwa swowolnego wywarła się była, a potem rozerwaniem i wojną domową nadkołatana, gdy pod władzą kilku osób i wnet zatem pod jednego tyrańskie panowanie napadła, natychmiast szlachtę wygubiwszy, zwierzchność senatorską zrzuciwszy, a wolność pospolitą zatłumiwszy, wszelakimi kłopotami domowymi równie, jak i postronnymi, utrektana[2], aż naostatek, nawałnością srogich poganów z gruntu obwalona, upadła".

Mądre te słowa, świadczące o niemałej przenikliwości umysłu Kromera, nie podobały się szlachcie, raz dlatego, że prawda w oczy kole, a drugi raz, że, dumna ze swoich posłów, ani nawet przeczuwała, że Kromer ma słuszność, że jego smutne przewidywania się sprawdzą. Co jeszcze gniewało szlachtę, to, że Kromer, którego matka była wprawdzie szlachcianką, ale ojciec mieszczaninem, odzywa się w swej kronice ze współczuciem, czasem nawet z uznaniem, o mieszczanach i chłopach, których szlachta corazto silniej dusiła.

Nie szczędzono więc Kromerowi przycinków, a jednak czytano go chciwie: mogła się szlachta nie wiedzieć jak oburzać na Kromera, ale za jedno musiała mu być i rzeczywiście była szczerze wdzięczna: oto ten mieszczanin, wróg rządów szlacheckich, napisał dzieło, które czytali i cudzoziemcy (przetłumaczono je nawet na język niemiecki), a to schlebiało dumie narodowej szlachty. Kromer — mówi współczesny mu Stanisław Orzechowski — „objawił nas światu; co za lud jesteśmy, ludziom obcym ukazał: mniemali przedtem postronni ludzie, aby Polonia było miasto jakieś, tak jako jest Bolonia we Włoszech miasto jedno... Oświecił nas Pan Bóg Kromerowem piórem, zalecił nas obcym krajom, tak, że nas dziś ludzie nie mają za sprosne i niewyćwiczone, jako przedtem nas mieli, ale nas kładą miedzy ludźmi, wybornymi rozumy, obyczajmi i naukami w Kościele Bożym". A wyrazem wdzięczności za te zasługi było publiczne podziękowanie, wyrażone Kromerowi (za powodem króla Stefana) przez cały sejm, t. j. nie tylko przez możnowładców, ale przez posłów szlacheckich: zapomniano o wszystkiem, to tylko mając we wdzięcznej pamięci, że kronika jego szerzyła po świecie sławę imienia i państwa polskiego.

Uzupełnieniem kroniki, „kluczem do pełniejszego i trafniejszego zrozumienia historyi" (jak mówi Kromer), jest *Polska czyli o położeniu, narodach, obyczajach, urzędach i rzeczy pospolitej Królestwa Polskiego* (1575). Dziełko to, równie jak kronika, napisane po łacinie, jest niezmiernie cenne i ciekawe: ziemia polska i jej natura (klimat, zwierzęta, rośliny, bogactwa kopalne), mieszkańcy wsi i miast, ich zajęcia, obyczaje, cywiliza-

---

[1] niegdyś. [2] trektać = karać, dręczyć.

cya, charakter; ustrój Rzeczypospolitej: król, senat, urzędy koronne, ziemskie i nadworne; sądownictwo, podatki i wojsko, sejmy, duchowieństwo, — oto przedmiot tej krótkiej encyklopedyi wiadomości, niezbędnej dla każdego, kto chciał wyrobić sobie pojęcie o ziemi polskiej i o państwie polskiem XVI w. Zwłaszcza cudzoziemcy, rzeczy polskich nieświadomi, wiele się z tej książki nauczyć mogli: to też, kiedy wjeżdżał do Polski Henryk Walezyusz, wręczono mu — na prośbę Kromera — rękopis *Polski*. A dowodem zaciekawienia się tą książką są jej przekłady na języki niemiecki i hiszpański [1].

Polowanie na żubra. Warto wiedzieć, jak to u nas polują na żubry, kiedy, odłączywszy się od stada, bujają samopas po równinach Podola. Konni myśliwcy, zbrojni w łuki i strzały, ustawią się w koło; jeden po drugim podjeżdża do zwierza, wypuści z łuku strzałę i, co koń wyskoczy, umyka, a za nim pędzi oszalały z bólu, ranny żubr. Tymczasem strzela drugi. Żubr porzuca pierwszego, pędzi za drugim, i tak ciągle, dopóki zwierz nie padnie od znużenia i ran. W puszczach polują z naganką: chłopi całe stado spędzą na upatrzone miejsce, zrobią zasiek, i oto żubry są ogrodzone, niby płotem, — żywa noga nie ujdzie. Już zawczasu wzniesiono z balów rusztowanie i narzucano na wierzch tarcic, aby król ze świtą i z paniami mógł się bezpiecznie z wysokiego miejsca przypatrywać łowom. Myśliwi z oszczepami rozchodzą się na stanowiska. Po chwili rozlega się szczekanie psów i tętent koni: żubr, wypłoszony z zarośli, pędzi na środek ostępu, a tam za drzewami czają się myśliwi; zza drzewa wypada oszczep i rani zwierza; zwierz rozjuszony rzuca się z rogami na drzewo, a jeśli drzewo jest za cienkie na to, by obydwa rogi uderzyły, wali łbem, prze całem cielskiem, a rogi groźnie wystają. Tego tylko czekał myśliwiec: przypada, chwyta za oszczep, tkwiący w ciele żubra, i z całej siły wbija go aż w jelita; żubr targa się, tańczy naokoło drzewa, a wraz z nim tańczy w kółko i myśliwy, wciąż za oszczep trzymając; psy, co większe, gryzą, aż wreszcie żubr, zdyszany i zziajany, pada bez ducha. Biada myśliwcowi, jeśli źle trafi albo zgoła chybi: zwierz porwie go na rogi, rzuci o ziemię i nuż tratować; lecz sąsiad, co najbliższy, pędzi na pomoc, machając płachtą czerwoną, co we wściekłość wprawia żubra: porzuca więc tamtego i pędzi za tym, a ten umyka, dopada do swego drzewa, razi i dobija.

Charakter, obyczaje, wychowanie i oświata Polaków. Otwarty i czysty charakter ma Polak, — łatwiej ty go oszukasz, niżli on ciebie; drażliwy nie jest: przejednać go nietrudno; a już zaciętości albo uporu nie ma nic, owszem, łatwo go uchodzić, byleby tylko zabrać się do niego zgrabnie i łagodnie; zwłaszcza przykładami łatwo umysł Polaka wzruszyć; królowi i władzy jest umiarkowanie posłuszny; do uczynności, do ludzkości bardzo skory, a dobrotliwy i gościnny tak, że nieznajomych i cudzoziemców nie tylko rad w swym domu gości, ale nawet ich do siebie zaprasza i gotów im świadczyć wszelkie usługi; wogóle w pożyciu łatwy, do jaźni jedyny, a do trybu życia i obyczajów tych, z którymi żyje, oso-

[1] Na język polski przełożył „Polskę“ Syrokomla, ale bardzo niedokładnie.

bliwie cudzoziemców, nagina się z łatwością. Wychowanie młodzieży jest za mało systematyczne i nieco zaniedbane, ale to nic, bo zdolności duże. Zresztą chętnie posyłają Polacy chłopców do szkół i mistrzów, aby się od najmłodszych lat uczyli łaciny, a ćwiczą się w niej wszyscy, zarówno ubodzy, jak bogaci, zarówno szlachta, jak pospólstwo, zwłaszcza miejskie; niejeden trzyma nauczyciela domowego; to też nawet we Włoszech nie znajdzie tylu, co tutaj, ludzi z gminu, z którymi się po łacinie rozmówić można. Nawet dziewczęta, czy szlachcianki, czy mieszczanki, czy to w domu, czy w klasztorze, uczą się czytać i pisać nie tylko po polsku, ale i po łacinie. Dziewczęta dorastające zaprawiają się nadto do gospodarstwa: uczą się gotować, chodzą około bydła, przędą wełnę i len, tkają, haftują. Młodzieńcy zaś poświęcają się rolnictwu albo rzemiosłu, albo handlowi, albo też, w pogoni za karyerą, odbywają służbę na dworach dostojników, możnych panów lub zamożniejszych duchownych; lecz wielu też siedzi z rodzicami w domu i pomaga im do gospodarstwa, a po ich śmierci obejmują dziedzictwo i sami już gospodarują. Wielu też chętnie wyjeżdża zagranicę, nieczuli na uszczuplenie majątku, znosząc nawet niedostatki i inne niewygody, jakie pociągają za sobą podróże, bo przekładają to, co cudze, nad to, co swoje. Uczą się więc chciwie i łatwo języków tych narodów, u których goszczą; nie dosyć na tem: przejmują zagranicą różne nowomodne zwyczaje, czy to w jedzeniu, czy w stroju, i za powrotem szukają chluby z tej swojej wytworności; ta zaś pochopność do wszelkich nowinek rozciągnęła się nawet na poglądy religijne. *A mają Polacy umysły pojętne i dające sobie radę ze wszystkiem, czego się tylko tkną, tylko że wolą przyswajać sobie cudze wynalazki, niż samemu coś wymyślić i zasłynąć jakiemś nowem odkryciem*; a płynie to czy stąd, że się niechętnie poświęcają jednej jakiejś specyalności, lecz pragną umieć wiele, czy też stąd, że nie umieją przezwyciężyć swej opieszałości, lenistwa i właściwego sobie pod wielu względami lęku do systematycznej pracy,... czy wreszcie stąd, że bogatsi wolą używać wczasów i oddawać się rozkoszom, pozostawiając biedniejszym kształcenie umysłu i przemyślności.

§ 30. Żywy ruch religijny, jaki ogarnął Polskę XVI wieku, przyczynił się nie tylko do rozwoju umysłowego wielu jednostek, ale i do uszlachetnienia ich uczuć, do przejęcia się zasadami moralności chrześcijańskiej (ob. § 23). Jednym z najlepszych i najpiękniejszych tego objawów to znakomite pismo *O naprawie Rzeczypospolitej*, którego autorem jest **Andrzej Frycz Modrzewski** z Wolborza (1503—1572), głęboki umysł i serce gorące, najgorliwszy u nas w XVI wieku rzecznik sprawiedliwości chrześcijańskiej, najżarliwszy obrońca chłopów i mieszczan, zaszczyt i chluba myśli polskiej XVI wieku i jeden z najszlachetniejszych pisarzów w całej ówczesnej Europie. Swoją szeroką wiedzę zawdzięczał długoletnim studyom naprzód w akademii krakowskiej, a później w Niemczech (w Witemberdze i Norymberdze), gdzie, prócz literatury starożytnej, studyował filozofię i teologię. Pomimo uwielbienia dla

mądrości starożytnej nie przejął się Modrzewski duchem pogaństwa: przez całe swoje życie był gorliwym wyznawcą Jezusa Chrystusa, którego naukę poczytywał za najwyższą mądrość i za największe szczęście dla ludzkości. A pomimo to posądzali go niektórzy, np. Hozyusz, że „zaparł się Chrystusa". Tłumaczy to się tem, że Modrzewski, zatopiony w badaniach teologicznych, pragnął przekształcić nie tylko Kościół katolicki, ale i jego naukę, że, dążąc zawsze do pokoju i zgody, usiłował w pismach swoich pogodzić katolicyzm z protestantyzmem i że z biegiem czasu coraz to więcej oddalał się od katolicyzmu. Otóż to wywołało w duchowieństwie niechęć ku Modrzewskiemu, ściągnęło nań nawet prześladowania, tak dalece, że pod koniec życia musiał się tułać po ludziach i szukać u nich bezpiecznego schronienia. A nie tylko od duchowieństwa, ale i od szlachty miał Modrzewski za swoje: posądzano go o brak miłości ku ojczyźnie, pomimo że on kochał ojczyznę tak gorąco i tak rozumnie, jak mało kto w XVI wieku; na jego mądrości i szlachetności poznały się tylko wybitne jednostki (jak np. Zygmunt Stary, Zygmunt August, hetman Tarnowski), ogół zaś nie mógł mu darować, że śmiał uczyć, iż szlachta jest ulepiona z tej samej gliny, co mieszczanie i chłopi.

Jego pierwszym występem literackim jest broszura łacińska *O prawie mężobójstwa* (1543). Za króla Olbrachta stanęło prawo: kto zabije szlachcica, ten płaci 120 grzywien kary i siedzi w więzieniu rok i sześć tygodni; kto zabije chłopa, płaci kary 10 grzywien, a od więzienia jest wolny, ponieważ zaś chłop najczęściej nie był w stanie zapłacić 120 grzywien, więc za zabójstwo szlachcica płacił dożywotniem więzieniem albo gardłem. Przeciwko temu to nieludzkiemu prawu wystąpił Modrzewski, błagając naprzód królewicza Zygmunta Augusta, a potem, w dalszych broszurach, senatorów, szlachtę, duchowieństwo, wreszcie cały naród polski, by zniesiono to prawo okrutne, by za mężobójstwo karano śmiercią bez względu na osobę zabójcy i zabitego. Ale był to głos wołającego na puszczy, tylko nieliczne jednostki bowiem przyznawały Modrzewskiemu słuszność.

Głosem na puszczy była również broszura, w której Modrzewski występował przeciwko prawu, zakazującemu mieszczanom nabywać majątki ziemskie. I to prawo poczytuje Modrzewski za nieludzkie i okrutne: przecie i szlachta i chłopi i mieszczanie są krajowi zarówno pożyteczni, więc podobne prawo jest pozbawione wszelkiej podstawy i sprzeciwia się wszystkim prawom boskim i ludzkim; lepiej już obdarzyć wszystkich mieszczan szlachectwem, niż pozwalać na taką tyranię!

Tak więc już w pierwszych pismach Modrzewskiego uwydatnia się jego zacność i szlachetność, jego poczucie sprawiedliwości i miłości chrześcijańskiej. Ale jeszcze wyraźniej i piękniej zajaśniała jego wspaniała dusza w znakomitem piśmie *O naprawie*

Rzeczypospolitej (1551), składającem się z trzech ksiąg: o obyczajach, o prawach, o wojnie; do wydań późniejszych (1554, 1559) dodał Modrzewski jeszcze dwie księgi: o Kościele i o szkołach. Napisał to dzieło po łacinie, aby i cudzoziemcy mogli je czytać; i nie zawiódł się: czytali je uczeni europejscy i podziwiali mądrość i szlachetność Polaka. I nie dziw, bo w literaturze całego świata mało jest dzieł tak pięknych, tak szlachetnych, tak nawskroś ducha chrześcijańskiego pełnych. *Głęboka miłość Boga, ojczyzny i człowieka — to trzy główne uczucia, ożywiające to pismo.*

Uczy Modrzewski, że święta nauka Jezusa Chrystusa, rozkazująca kochać nadewszystko Boga, a bliźniego swego, jak siebie samego, obowiązuje nie tylko jednostki, ale i całe społeczeństwa, całe państwa, całe narody; że jedynym celem państwa jest zapewnić wszystkim bez wyjątku mieszkańcom warunki, potrzebne do osiągnięcia szczęścia, a ponieważ niema i nie może być szczęścia bez moralności chrześcijańskiej, więc głównem zadaniem państwa jest krzewienie i utrwalanie w społeczeństwie moralności, dobrych obyczajów. Gdyby się ludzie rządzili cnotą, gdyby wśród nich zakwitły dobre obyczaje, ziściłyby się słowa modlitwy, której nauczył nas Jezus Chrystus: „Przyjdź Królestwo Twoje!“ Dobre zaś obyczaje zakwitną wtedy dopiero, kiedy ludzie uwierzą mocno i głęboko, że jedna jest tylko prawda moralna na świecie: Jezus Chrystus, to jest miłość Boga i człowieka. Otóż *gorące pragnienie, aby Polacy w tę prawdę uwierzyli, aby Polska była państwem chrześcijańskiem nie tylko z wiary, ale i z czynów, aby przyszło do niej Królestwo Boże, — oto co jest myślą przewodnią i zarazem najwyższą pięknością dzieła Modrzewskiego.*

Rozumiejąc, że podstawą moralności jest dobre wychowanie młodzieży, — „bo nic się do serca ludzkiego mocniej nie wlepi, jako to, do czego kto zmłodu przywyknie“, — szeroko rozwodzi się nad niem Modrzewski. Wychowanie powinno być chrześcijańskie: „Trzeba pacholęta uczyć, jako się przeciw drugim zachować mają, co winne rodzicom, co sąsiadom, co Rzeczypospolitej; którym sposobem towarzystwo z ludźmi i zgodę w całości zatrzymać, jako się mają przeciw zacniejszym stawić, jako przeciw podlejszym, przeciw sobie równym, przeciw towarzyszom, przyjaciołom, krewnym i powinowatym, przeciwko zwierzchności urzędowej, przeciwko panom, sługam i przeciwko nieprzyjaciołom, tak w swoich własnych, jako też i w pospolitych albo wszytkim spólnych potrzebach. A najwięcej wszytkim to należy, aby dziatki małe ćwiczyli w nabożeństwie a w prawdziwej ku Panu Bogu wierze, co Chrystus ukazuje słowy..., gdy każe dzieciam do siebie przyść a im błogosławi. *Trzeba tedy Chrystusa ukazować dzieciam* a znajomość bożą w nie znienagła cedzić, aby wiedziały, od kogo się wszelakiego dobra spodziewać mają, za czyją się wolą wszytko dzieje, kto karze złości, a kto za dobre sprawy odpłatę dawa; a przetoż trzeba je wodzi.

zborów[1] świętych na kazania, aby poznawały sposób chwały bożej i ceremonie święte, aby sakramenta miały w uczciwości, modlitwami się bawiły i do tych się rzeczy chętnie miały, któremiby i Najwyższego Boga łaski dostąpiły i ludziom się upodobały".

Ale kształcenie charakteru nie wystarcza: prawdziwie moralnym może być tylko człowiek rozumny, a rozum daje nauka; stąd dobre wychowanie umysłowe jest równie ważne, jak moralne: Rej nie rozumiał tego, Modrzewski rozumie doskonale. Rej nie uznawał innych nauk, prócz nauki moralności i, co najwyżej, historyi: Modrzewski oburza się na to, że „naszym dworzanom nie tylko ręczne rzemiosła, ale i wolne nauki umieć zda się być rzecz barzo chłopska, a stądże też żywą w lenistwie i niczemności, za którą idą szachy, kostki, truneczne biesiady, gamracye[2] i insze dworne zarazy". Rej ani nawet słowem nie wspomina o szkołach: Modrzewski poświęca im całą księgę, rozumiejąc, że „szkolny stan jest nacudniejszy i rzeczam ludzkim najpożyteczniejszy"; zachęca więc społeczeństwo do ofiarności na zakładanie dobrych szkół, a o nauczycielach tak mówi: „Nigdy okrom[3] osobliwego gryzienia na ten nieporządek patrzyć nie mogę, gdy widzę, ano mistrze szkolne prawie za nic mają, któreby jednak w tej uczciwości winni mieć, jako lekarze, pracowniki i insze Rzeczypospolitej dobrze zasłużone: nie mniejszą-ć pracę ma nauczyciel szkolny, niżli który z tych, pożytek z nich równy—albo większy; a jeśli bez tych Rzeczpospolita nie może być, a jakoż bez onych będzie, którzy staranie mają o pomnażanie nauk, z których wiele barzo wielkich pożytków do Rzeczypospolitej i do Zboru przychodzi?" Rej myślał w swej naiwności, że mądrym i krajowi pożytecznym można się stać ot tak sobie, „igrając", ucząc się piąte przez dziesiąte: Modrzewski rozumiał potrzebę nauki porządnej i systematycznej: „Wszytcy młodzieńcy, a zwłaszcza ci, którzy czasu swego mają być sługami Rzeczypospolitej, mają się o to pilnie starać, aby jeszcze zarazem zmłodu przejmowali a w pamięć sobie brali sposób postępku w rzeczach, a ćwiczyli się w naukach potrzebnych do spraw..., a niechaj nie mają za to[4], aby prędkością a niejaką przyrodzoną ostrością mogła się każda sprawa odprawić, boć do sprawy... trzeba nauki".

A jak na wychowanie, tak i na obowiązki obywatela poglądy Modrzewskiego są bez porównania szersze od poglądów Reja. Rej niby to zachęca szlachcica do służby publicznej, ale, prócz godności posła, innych urzędów piastować nie radzi, bo one odbierają człowiekowi „żywot wolny": Modrzewski uczy, że nie wolno nikomu usuwać się od służby publicznej, bo, *„ponieważ wszytkie wszytkich ludzi miłości jedna ojczyzna w sobie zamyka, tedyć onę nad wszytko trzeba przekładać i wszytkie prace dla niej mężnie i śmiele podejmować"; człowiek „się nie sobie urodził, ale przyjaciołom, ojczyźnie*

---

[1] zbór = kościół. [2] rozpusta. [3] bez. [4] mieć za to = mniemać.

nabożeństwu albo wierze ku Bogu". Więc, kiedy Rej mówi tylko o powinnościach posła i senatora, Modrzewski wykłada obowiązki wszystkich dostojności i urzędów: zaczyna od króla, który dla wszystkich powinien być wzorem prawego chrześcijanina, potem zaś mówi szczegółowo o obowiązkach i przymiotach senatora, posła, sędziego, starosty, hetmana i t. d., a prócz urzędów, już istniejących w Polsce, pragnąłby ustanowić jeszcze kilka nowych, np. dozorców ubogich ludzi, stróżów moralności i t. p., których głównem zadaniem byłoby czuwanie nad dobrymi obyczajami społeczeństwa i karanie ludzi niemoralnych, zwłaszcza próżniaków: bo, póki ludzie nie są jeszcze zdolni sami czuwać nad sobą, dopóty ktoś czuwać nad nimi musi, strzegąc ich obyczajów i zmuszając ich do dobrego zapomocą kar, ustanowionych przez *prawa*. „Gdyby stateczne wychowanie, wstyd, dobroć, cnotliwe a święte obyczaje w której Rzeczypospolitej moc miały, tedyby tam... praw nie trzeba: bo ustaw nie piszą ludziom dobrym, którzy z skromności i z obyczaju, nie z bojaźni, posłuszni są poczciwości"; ponieważ jednak ludzie są jeszcze źli, więc prawa są konieczne. A to wszystko, co Modrzewski mówi o prawach, stanowi najważniejszy pomysł i zarazem najwspanialszą ozdobę jego dzieła.

Piękną jest myśl, że *bez praw nie może być prawdziwej wolności*. Na czem bowiem polega prawdziwa wolność? Ogół szlachty mniemał, że na tem, aby każdy szlachcic mógł postępować tak, jak mu się podoba, bez względu na to, czy się to zgadza z prawami czy nie. Modrzewski tymczasem uczył, że prawdziwa wolność polega na „pohamowaniu ślepych a upornych i skwapliwych popędliwości serdecznych", t. j. namiętności, popychających do złego; namiętności bowiem trzymają człowieka w najcięższej niewoli; otóż prawa są właśnie na to, aby je poskramiać, to jest, wyzwalają człowieka z niewoli. Ślicznie mówi Modrzewski: „Niech żaden nie mniema, aby Bóg nie miał w sobie wolności przeto, iż nie może grzeszyć: tak też żaden się niechaj nie mnima dlatego być niewolnym, iż prawa i karania srogość odejmuje mu swowoleństwo grzeszenia".

Lecz najpiękniejszą ze wszystkich myśli Modrzewskiego jest *myśl o równouprawnieniu wszystkich warstw społecznych*, myśl, płynąca zarówno z poczucia miłości i sprawiedliwości chrześcijańskiej, jak z głębokiego przekonania, że takie tylko prawa są pożyteczne dla Rzeczypospolitej, które przynoszą pożytek wszystkim jej mieszkańcom; bo przecie wszyscy mieszkańcy przynoszą pożytek Rzeczypospolitej, która „samą tylko ślachtą kwitnąć nie może, bo a któż będzie dodawał żywności i nam i bydłu, jeśli żadnego oracza nie będzie? któż nam dodawać będzie odzienia i ubioru, jeśli nie będzie rzemieśników? któż rzeczy potrzebne będzie przywoził, jeśli żadnego kupca nie będzie? któż, naostatek, będzie ślachcicem, jeśli żadnego chłopa nie będzie?" A jeżeli tak, jeżeli mieszczanie i chłopi są Rzeczypospolitej równie pożyteczni, jak

szlachta, to Rzeczpospolita powinna dać równą opiekę mieszczanom i chłopom, jaką daje szlachcie".

Nie znaczy to, żeby Modrzewski domagał się zupełnego równouprawnienia mieszczan i chłopów ze szlachtą: przeciwnie, był zdania, że rządzić Polską może tylko szlachta, to jest, że chłop nie może, naprzykład, być posłem albo senatorem (chyba że przedtem, w uznaniu osobistych zasług i dobrych obyczajów, zostanie szlachcicem); pod tym względem Modrzewski, syn szlacheckiej Polski, nie wzniósł się nad przesądy swego wieku. Ale jest wyższym od ogółu swego społeczeństwa, kiedy domaga się równouprawnienia wszystkich warstw społecznych pod innymi względami, a przedewszystkiem *równouprawnienia wobec sądu*, którego brak poczytywał za zbrodnię, wołającą o pomstę do Boga. „Trafiło się w niektórym powiecie, iż dwa człowieki, jeden prostego stanu, a drugi ślacheckiego, oba bogaci i rolej mieli dosyć, ci srodze zranili jednego człowieka, acz nie tak bogatego, jako sami, ale przedsię ślachcica. Onego ranionego wzięto do balwierza[1], ale, iż niektóre rany były w nim śmiertelne, przeto w miesiąc abo we dwa umarł. Ci, którzy go z strony powinności przyjacielskiej nawiedzali, abo też i ci, którzy na oglądanie ran od urzędu przysłani byli, pytali, któremuby z onych dwu, co go bili, więtszą w tem winę dawał. Odpowiedział, że ślachcic swaru i bitwy początkiem był, ale, bijąc, oba mu zarówno byli ciężcy, iż zgoła nie wiedział, od którego z nich szkodliwsze rany podjął. Tedy oni, pytając, do[illegible]czali, mówiąc, iż o rany oba oni, co bili, mają być karani, ale jeśliby z tych ran śmierć przyszła, tedy jeden z nich tylko o głowę ma być obwinion; bo dwa o jedno zamordowanie wedle naszych praw nie mogą być na gardle karani. Na to on raniony odpowiedział, że o swem zdrowiu zwątpił, ale na sumnieniu swem, który wrychle ma sądu bożego doznać, nie może tego u siebie pewnie postanowić, na któregoby wina o morderstwo kładziona być miała, gdyż od tych ran, które oba jednako zadali, schodzi z tego świata. Skoro tedy on ranny umarł, wnet poczęto szukać onego prostego stanu człowieka, a gdy postawion przed sędzią, winę mu dano, a potem ji ścięto; bo statut jest, iż człowiek prostego stanu, jeśliby ślachcica (któryby przyczyny z siebie naścia[2] nie dał) zabił albo ochromił[3], albo srodze zranił, da gardło. To tedy jest karan, który prostego stanu mężobójca za występek już podjął; lecz on ślachcic jeszcze żyw i mieszka miedzy ludźmi!... *Izali, dla Boga, ta sprawa nie jest takowa, która dwu rzeczypospolitych potrzebuje dla tych dwojga rodzajów ludzi*, a tak daleko od siebie oddalonych, iż z jednej do drugiej przystęp żadny nie może być, że też jedna od drugiej pomocy nie potrzebuje, że się ich obywatele miedzy so-

[1] balwierz = cyrulik. [2] naście = najście, napad. [3] ochromić = okulawić, okaleczyć.

bą ani pojmują, ani się znają; naostatek, że im ani wody, ani powietrza, ani słońca nie ma wspólnego.

Oto co bolało Modrzewskiego! Jego serce, które ukochało *cały* naród, krwawiło się na widok tej krzyczącej niesprawiedliwości, jaka się w jego ukochanej ojczyźnie działa mieszczanom i chłopom, zaklinał więc szlachtę w imię miłości Boga i ojczyzny, by się opamiętała, i usiłował wpoić w nią tę śliczną prawdę, że *„prawa są, jakoby lekarstwo, w którego dawaniu żaden biegły lekarz na osoby nie ma baczenia; dosyć jemu jest poznać niemoc, która chorego trapi, ale na to baczenia nie ma, jeśliże pan, czyli chłop, jeśli ślachcic, czyli nieślachcic jest ten, który leczenia potrzebuje: tymże sposobem prawa niech się w sobie mają, aby występki winnych jednakim obyczajem karały, a iżby jednako o pożytku, o pokoju i o zdrowiu wszytkich radziły"*. A więc za jedno i to samo przestępstwo powinna być jedna i ta sama kara, bez względu na to, kto się go dopuścił, szlachcic, czy nieszlachcic, „a jeśliżeby jaką różność karania stanowić miano, tedyby cięźej ci mieli być karani, którzy są na wysokich urzędziech, niż podlejszego stanu ludzie; srożej bogaci, niżli ubodzy, srożej ślachcicy, niżli miejskiego abo chłopskiego stanu, srożej ci, co są na urzędziech, niżli ci, co bez urzędu: bo oni, będąc i rozumem i bogactwy od Boga lepiej obdarzeni, więcej przyczyn mają, które je od występków odwodzą, a przeto ich występek cięższy jest". *Za zbrodnię mężobójstwa powinna być dla wszystkich jedna kara: śmierć*, bo tak sam Bóg przez Mojżesza rozkazał.

Z tego, że wszystkie warstwy społeczeństwa powinny być równouprawnione wobec sądu, wynika dalsze żądanie Modrzewskiego, aby zniesiono sądy patrymonialne, t. j. aby odebrano panom prawo sądzenia podległych im chłopów: „To też trzeba postanowić, aby żaden rzeczy swej sędzią być nie śmiał; bo na każdem sądzie trzy osoby mają być: powodowa strona, obżałowany i sędzia. Barzo tedy niesprawiedliwie czynią, którzy o swą rzecz ludzi, swemu panowaniu poddane, sądzą. Nie jest to ona wolność, która jest w uściech u każdego, ani umiarkowanie prawa, przez które stoją dobrze postanowione Rzeczypospolite, ale jest okrutne niewolstwo, że pan przywłaszcza sobie moc nad żywotem i śmiercią sługi swego... Wszytcy ludzie mają się z jakiejkolwiej wolności weselić, ponieważ wszytcy na wyobrażenie boże stworzeni są... Jeśliże tedy odejmujemy kmieciom wolność pozywania panów do sędziego, odejmujemy im wszytkę wolność; jeśli panom dawamy moc sędzić je o rzecz swą, niszczymy wszytek sposób sprawiedliwego sądu, który, iż trzech osób potrzebuje, nie będzie sprawiedliwy, gdzie tenże będzie sędzią, który powodową stroną; a przeto i kmiecie i wszytcy poddani od takiego tyraństwa mieliby być wyswobodzeni".

Lecz na tem Modrzewski nie poprzestaje: domaga się równouprawnienia chłopów ze szlachtą nie tylko wobec sądu, ale i w za-

kresie prawa prywatnego, t. j. *domaga się, aby chłop miał swój własny kawałek ziemi, swoje własne gospodarstwo, aby był nie niewolnikiem, ale sąsiadem pana, i, co za tem idzie, aby pan nie miał prawa ani pozbawiać chłopa roli, ani też przykuwać go do niej na wieczne czasy.* „Powiedał jednego czasu u stołu on wielce możny a sławny mąż, Jan Tarnowski, hetman polski: gdy jednego czasu jechał do Włoch przez baworską [1] ziemię, chciał zstąpić do domu niektórego ślachcica, aby tam, w drodze się spracowawszy (bo już noc nadchodziła), sobie odpoczynął". Ale owemu szlachcicowi chorowała żona, więc „prosił hetmana, aby do domu niektórego jego poddanego zstąpił, chcąc mu tam wszytkiego, coby w domu miał, dostatek dać, a gdy na to Tarnowski przyzwolił, szedł on ślachcic do kmiecia swego, a dla uczciwości zdjąwszy czapkę, prosił o nocleg hetmanowi. Było natenczas około hetmana ślachciców polskich niemało, którzy, chcąc oglądać, jeśliby w tej gospodzie wczasność [2] mogli mieć, szli byli za onym baworskim ślachcicem, a tak gniewali się i szemrali, powiedając to być rzecz niesłuszną, aby kmieć miał tak być od pana w uczciwości mian albo proszon, któryby raczej miał być z domu wyrzucon, jeśliby czego panu, gdyby mu rozkazował, odmówił. To pan Tarnowski z rzeczy [3] powiedział, gdy była zmianka o podatku, który naonczas nie na każdy rok na kmiecie wkładano, i o tych ciężarach, które wielkie a rozmaite na nie wkładano; a potem, pochwaliwszy onę baworskiego ślachcica ku swemu kmieciowi łaskawą skłonność, rzekł, że *nie inaczej mają być rozumiani kmiecie, gdy powinności swej dosyć uczynią i czynsz zapłacą, jedno jako sąsiedzi. O, słowa mądrego hetmana godne!...*" „Pan na swej części ma przestawać, swoje role ma orać, a cudzych nie nachodzić ani posiadać; bo a czemuby oni, którzy rolą na swą część oddzieloną robią, nie mieli bezpiecznie rzec, że ich *własna* jest?... I to niedobrze, iż panowie chcą, aby im to wolno było, kiedy się im spodoba, odjąć kmieciowi rolą, a tego nie chcą, żeby też kmieciowi wolno, gdy mu się spodoba, puścić rolą a iść z niej precz"...

Oto najważniejsze i najpiękniejsze myśli Modrzewskiego, jednego z najmędrszych i najszlachetniejszych nauczycieli, jakich kiedykolwiek miał naród polski. Na nieszczęście, uczniowie nie odczuli piękności tych myśli i nie zrozumieli ich mądrości: ogół szlachty nie wzniósł się do uznania tej prawdy, która dzisiaj, dla nas, jest tak jasna, jak słońce, ale która dawniej wcale jasną nie była, że chłop i szlachcic są ulepieni z tej samej gliny: „I kmiecie i insze nieślacheckiego stanu ludzie pospolicie ślachta ma za psy; stądże one nieczystych ludzi mowy: «Ktoby wieśniaka albo chłopa zabił (bo tak każdego nieślachcica zową, choćby daleko ode wsi był), jakoby też psa zabił». *To głos wyrzazania języka godny!*" Więc modlił się Modrzewski do Boga, aby zmiękczył serca Polaków i oświecił ich umysły: „Panie Boże!... Racz wszytkiemu ślacheckiemu stanowi

[1] Baworya=Bawarya. [2] wczasność, wczesność=wygoda. [3] rzecz = wątek opowiadania.

takie serce dać, aby oni, odrzuciwszy na stronę miłość samych siebie, *wszytkę* Rzeczpospolitą, to jest, wszytkie ludzi, w tem społecznego życia towarzystwie z nami mieszkające, miłowali, o wszytkie się starali, wszytkich gardła, pożytków i zacności bronili!“

Ale, znając swoje społeczeństwo, wątpił Modrzewski, czy Bóg tej modlitwy wysłucha, wiedział, że głos jego będzie głosem wołającego na puszczy. I ta świadomość go przerażała, drżał o przyszłość swojej ukochanej ojczyzny, bo rozumiał, że na nic wszelkie reformy, póki równouprawnienia nie będzie. „Lecz to wszytko się mówi, jakoby groch na ścianę miotał; nic nie dbamy na tak częste uskarżania, żywiemy w wielkiem bezpieczeństwie [1], nic nas nie rusza utrapienie pospolitego człowieka,... nic nas nie rusza krew ludzi, niesłusznie pobitych, która zawżdy woła do nieba, a płaczem niewypowiedzianym prosi pomsty i na mężobójce i na te, którzy tego prawa bronią, które podawa miecz mężobójcam za pieniądze w ręce. Dlaczego więc trzeba się obawać [2] nagłego jakiego gwałtu z nieba, aby jaka gwałtowna burza nie spadła z nieba, a naszych wszytkich i domów i narodów, a naostatek i samego imienia polskiego z gruntu nie wywróciła i nie potarła. Ja-ć to mówię, jakoby wątpiąc o polepszeniu, wszakże przedsię nie już dlatego ustanę w powinności mojej... Zaiste, trzeba się tego obawać, aby wkrótce nie przyszedł czas, gdyby nas także wzajem sam Bóg wzgardził, a karanie za dawną krew sprawiedliwe a ciężkie przepuścił... Bo, co przedtem Bóg Izraelczykom mówił, to rozumiejmy, że do nas teraz mówi: «Nie będę przy was, Polacy, jeśliże z pośrodku was przeklęctwa nie wyrzucicie. Woła krew braciej waszej z ziemie do Mnie. Wołają dusze zabitych, abych się mścił krwie ich nad obywatelmi ziemie.» A jako i to przeklęctwo odciąć i gniew boży ubłagać mamy, uczy nas tenże sam Bóg, mówiąc: «Nie plugawcie ziemie, na której mieszkacie, na której i Ja mieszkam. Przelaniem krwie plugawi się ziemia, a nie może być krew, na niej przelana, okrom krwie tego, kto ją przelał, oczyściona!»“

Z wyjątkiem Skargi, nikt w XVI wieku nie zdobył się na słowa silniejsze i groźniejsze.

Dzieło *O naprawie Rzeczypospolitej*, z wyjątkiem księgi o Kościele, przełożył dokładnie i ślicznym językiem polskim mieszczanin sieradzki, Cypryan Bazylik (1577). Do najpiękniejszych rozdziałów należą końcowe rozdziały księgi pierwszej, o obyczajach.

O dozorcach ludzi ubogich. Jako ludzie, którzy się do roboty godzą, od żebraniny mają być odpądzani, tak zasię którzy są prawdziwie ubogimi, a schodzi [3] im i na siłach i na żywności, mają być opatrzeni, aby i domy pospolite były im postanowione, i wszelkie potrzeby, do żywności należące, aby im dawano. Są lepak [4] niektórzy ubodzy, co w szpitalach mieszkają, tam się żywią, i tam je opa-

---

[1] bezpieczeństwo=nietroszczenie się o nic, gnuśność. [2] obawać się=obawiać się. [3] zbywa. [4] jednak.

trują; a drudzy, po ulicach się przechodząc, żebrzą; drudzy są, którzy, w chałupkach swoich mieszkając, swoje i domowników swych potrzeby, jako mogą, opatrują. Na ty wszytki urząd ma pilne baczenie i dozór mieć, żeby ludzi nie oszukawali, zmyśliwszy sobie jaką niemoc albo ubóstwo. Lecz które obaczą być do roboty godne, niech je przymuszają robić; jeśliby nie chcieli, niechby z miasta byli wygnani. co i o cudzych żebrakach ma być rozumiano, żeby i oni do swoich miast byli odsyłani. Abowiem godzi się, żeby każde zgromadzenie[1] o tych staranie miało, którzy abo się w niem urodzili, abo długo mieszkali, żeby dla niedostatku żywności albo których inszych rzeczy nie pomarli. Bo trzeba wiedzieć każdego ubóstwa sposób abo przyczynę. Bo ci, którzy za złą sprawą swą majętność stracili, acz mają być cierpiani miedzy ubogimi i trzeba o nich myślić, żeby od głodu nie pomarli, ale i żywność skromniej im ma być dawana, i pracami trzeba im dokuczać, żeby i na przykład byli drugim i sami się wystrzegali, aby w więtsze występki zasię nie wpadli. Którzy dla niemocy abo inszej nędze abo jakiejkolwiek przygody w ubóstwo wpadli, na ty trzeba mieć więtsze baczenie. A tym, którzy w chałupach swych żywią się, opatrzając, jako mogą, swoje i domowników swych potrzeby, mają być abo pola niedrogo najęte, abo takowe rzeczy poruczone, którymby sprostali, abo jakie insze drogi do zysku mają być podane... Owi żebracy hultajowie, nie wiem, jeśliby mieli być cierpiani, bo zwykli pod zasłoną żebractwa wiele złego broić, dopuszczając się złodziejstwa, mężobójstwa i inszych sprosnych występków; lepiejby, żeby je dano do szpitalów, gdyby jedno tacy byli, żeby robić nie mogli.

Są mało nie w każdem mieście dochody roczne, naznaczone ubogim, które jeśliby były mniejsze, niżliby wszytko ubóstwo wychować mogły, tedy ich trzeba tym sposobem przyczynić. Naprzód, gdyby każdy ujął nieco swych nakładów, a zwłaszcza tych, które się do zbytku, do pychy i nadętości skłaniają: zaprawdęć chce tego po nas Chrystus, żebyśmy sobie czynili przyjacioły z bogactw nieprawości, którzyby nas przyjęli do namiotów swych; mamy przeto udzielać rzeczy doczesnych tym, którzy nas do wiecznych domów przyjąć mają. Co, zaprawdę, najwięcej przystoi czynić tym, którzy z tego świata przechodzą do onych domów, aby i oni zostawowali niejaką cząstkę majętności swej tym przyjaciołom swoim. Są ci, którzy na okazały pogrzeb wielki koszt i nakład każą czynić: aleć, zaprawdę, ci, którzy na ostatecznym stopniu żywota swego są, ci chwały i sławy od Boga czekać mają, nie od ludzi; potomkom też przystoi, aby onych, którzy z tego świata schodzą, prowadzili nie okazałością bogactw abo pychy, ale uczynkami, z miłości pochodzącymi, przez które przychodzą ludzie do Królestwa Niebieskiego. Ktemu też i biskupów majętności starodawni ludzie tak dzielili, że czwartą część dawali na ubogie: niechby ich przeto w tem urząd

[1] społeczeństwo.

napomionął. Zaprawdę, ci, którzy nie dawają i nie czynią, co powinni, Boga będą mieli mścicielem. Jest obyczaj, że abo w kościelech, albo na onych miejscach, gdzie się często ludzie zbierają, stawiają skrzynki dla ubogich ludzi: a tak niechby do nich każdy kładł, ileby mu jego pobożna chęć poradziła. Rozmnoży Pan Bóg takowe jałmużny: i dawającym, że im zawżdy będzie dostawało, skądby dawali, i biorącym, jeśli będą skromnie prosić, pobożnie brać, a miernie tego używać; bo to są boże dary, który[1] gdy rękę otworzy, bywa napełniona wszelka rzecz błogosławieństwem. Lecz to po nas chce mieć, aby ci, którzy dawają, ochotnie to czynili, którzy biorą, aby uznawali dobrodziejstwa boże, dziękowali a ustawicznie sie modlili tak za się, jako też i za dobrodzieje swe. A takowych ubogich żywność niech nie będzie ani rozkoszna, żeby stąd nie przyzwyczaili się źle czynić, ani też tak skąpa, któraby ledwie połowicę głodu odjąć mogła; bo chorzeje i wątleje tak ciało, jako i myśl, od niedostatku pokarmu.

To też trzeba pilnie opatrzyć, aby od próżnowania nie zniknczemnieli ubodzy, ale każdyby niech robił to, co może i ile może; niech się zabawią jaką uczciwą robotą, a owocu roboty swej niech drugim udzielą; a któryby już ubogi ciało na się wziął i ku siłam zasię przyszedł, ten do roboty niech będzie posłan, żeby, jako trąd, cudzego potu nie pożywał. Zaś którymby na rozumie albo na siłach cielesnych schodziło, iż nie mogą o sobie radzić, o tych urząd niech staranie ma. Wszytcy jesteśmy bracia, jednego Ojca Niebieskiego synowie; a żaden od przygód, na ludzi przychodzących, nie jest wolen. Co jeśli[2] na człowieka należy, aby onemu, komu idzie o gardło, dał ratunek, żeby albo od ognia, albo od wody, albo od nieprzyjaciela, albo od jakiej inszej nędze był wyzwolon: tedyć naprawdę łacznym[3], pragnącym, nagim, ziębnącym słuszna rzecz jest dać ratunek, żeby z niedostatku rzeczy potrzebnych nie pomarli. A przetoż trzeba abo jakikolwiek podatek składać, abo je jakim inszym obyczajem opatrzyć; co nalepiej sprawić mogą królowie, biskupi, wielcy panowie, zgromadzenia księżej[4], miasta i ci, którzy w bogactwach obfitują.

A toć jest własna i prawdziwa szczodrobliwość uczynić dobrze temu, kto tego żadnym sposobem nie może nagrodzić. Wszakże nie omyli nas w zapłacie on najłaskawszy Niebieski Ociec, który i czaszę wody zimnej, w imię swoje daną, obiecał nagrodzić. Napomina Paweł apostoł Rzymiany i Koryntyany, aby majętności swych udzielali ubogim, którzy byli w Jeruzalemie: o, jako daleko słuszniejsza rzecz, abychmy pobożnem a miłosiernem składaniem dawali ratunek tym, którzy z nami są, którzy miedzy nami staro-

---

[1] t. j. Bóg. [2] co jeśli = jeśli więc. [3] łaczny = łaknący. [4] księża — rzeczownik zbiorowy rodz. żeńskiego (podobnież: szlachta).

ścią, niemocą albo jakim inszym upadkiem znędzeni, a od wszelakiej nadzieje opuszczeni są!

Niech tedy będzie na to wysadzony urząd, któryby miał staranie o ubogich, a tem dobrze szafował, co będzie na ich potrzeby naznaczono.

O jednaniu (w skróceniu). Dałżeby to Pan Bóg, żeby i to w obyczaje weszło, aby ludzie, którzy chcą jednanie miedzy sobą mieć, szczyrze powiedali, każdy z strony swej, czem obraził bliźnego swego! Starali się Piotr i Paweł z pilnością, aby się byli pojednali o krzywdy, które byli sobie uczynili; a do tego używali wiela ludzi zacnych. Powieda pirwej Piotr, jako wielką krzywdę wziął od Pawła, i wkłada winę nań; zasię przeciwko temu Paweł powieda, iż nie mniejszą także od Piotra krzywdę wziął, i nań wszytkę winę zgania; jeden na drugiego winę wkładał swoję abo ją jednak obmawiał [1], jeden drugiego winnym chciał uczynić. Cóż tedy, Pietrze, i ty, Pawle, cóż czynicie? chcecie, aby miedzy wami nieprzyjaźni ustały, a źrzódeł i przyczyn prawdziwie ukazać nie chcecie? Któreż tedy lekarstwo, a jako będzie przyłożone na ten wrzód, którego oba taita? Jakub, jerozolimski biskup, rozkazuje, abyśmy jeden przed drugim grzechy nasze wyznawali a spólnie się Bogu modlili za sobą, abyśmy byli uzdrowieni; a ta-ć jest prawdziwie ona chrześcijańska spowiedź grzechu, gdy się nie tylko przed Bogiem do grzechów swych, ale i przed bratem szczerze wyznawamy, w czemeśmy go obrazili, a jeden się za drugiego Bogu modlimy, aby nam odpuścił, a słuszne od nas karanie oddalił. Łacniej i Boga i ludzi ubłagamy tym obyczajem, niżli co inszego na to miejsce zmyślając abo rzkomo tego nie bacząc. A przetoż sam Chrystus nam rozkazuje, jeśli chcemy jaki dar ofiarować Bogu, a wspomnielibyśmy brata być od nas obrażonego, abychmy, położywszy na czas on dar, Bogu nagotowany, szli pirwej do brata, a przejednali go. Co jeśli grzeszą ci, którzy zmyślają, czego niemasz, abo którzy ochylają [2], co jest, cóż [3] oni, którzy fałszywie winę swoję na drugiego wkładają, grzech do grzechu przymnażając! co sie jednak o jednym ze dwu rozumieć musi, gdy przeciwne powieści przeciwko sobie twierdzą. A ty, Pietrze, i ty, Pawle, chcecie, aby was za dobre ludzie miano, a przedsię przeciwne rzeczy śmiecie twierdzić, a nie boicie się myśli jednaczów [4], na któreście się zdali? Cóż tedy wam dobrego wiek wasz przyniósł abo długie rzeczy doświadczenie, jeśli w tak małej rzeczy sercu waszemu rozkazać nie możecie, abyście wżdy prawdy używali, jeden przeciwko drugiemu szukając jednania? O, nędzny wasz wiek! o, zwyczaj w rzeczach daleko nędzniejszy, który was na złe mądrymi czyni, a na dobre nikczemnymi a gnuśnymi! Próżno wam dobre obyczaje przed oczy kładą, próżno dobrych ludzi rozsądki powiedają, próżno Jakubowe i chrze-

[1] obmawiać = usprawiedliwiać. [2] ochylać = omawiać, obwijać w bawełnę. [3] = cóż dopiero. [4] jednacz = pojednawca.

ścijańskie nauki oznajmują! Gniew, waśń a chęć szkodzenia wtrąciły was w to szaleństwo i serdeczną ślepotę, czego jeśli nie zbędziecie, tedyć więtsze złości za sobą pociągną.

Lecz są niektórzy, co nie tak dalece dla siebie, jako dla Rzeczypospolitej, nie zgadzając się z kim, zarazem od niego i chęć przyjacielską odwracają. A aczkolwiek nam nic nad Rzeczpospolitą milszego niema być, dla której i nieprzyjaźni i nędze abo trudności, naostatek i śmierci żaden dobry nie będzie się zbraniał: wszakże gniewać się albo waśń brać na tego, który tak rozumie, że jego rozsądkiem ma być rządzona, nie jest rzecz dobra ani samej Rzeczypospolitej pożyteczna. Bo, naprzód, kto inaczej rozumie, może to być, że lepiej rozumie, niż ty; druga [1], chociaby się i omylił, wszakże, jeśli z szczerego serca mówi to, co Rzeczypospolitej rozumie być pożytecznego, ono jego omylenie godniejsze jest odpuszczenia, niż gniewu. Tak wielka bywa czasem rozmaitość i różność tak w rzeczach, jako i w czasiech, iż nie dziw, że o nich tak wiele czasem bywa rozumów (jako jest w przypowieści), ile głów. Gdy niektóry filozof mocnie sie spierał, iż mądry nie może sie omylić, tedy mu podrzucono ptaka nie tego, którego on chciał, a gdy go jadł, nie będąc tego mniemania, żeby mu co podrzucono, dano mu winę w onem jego omyleniu. Częstokroć się takie podrzucone ptaszki miasto prawdziwych do serc ludzkich nawijają. Lecz, jako to jest rzecz podobna, że i ty sam możesz się omylić, tak zasię jest rzecz przyjacielska, a własnej [2] ludzkości pełna żałować czyjego omylenia; ale nienawidzić a nieprzyjacielskie nacierać na tego, który się zda, jakoby zbłądził, jest rzecz człowieka srodze jadowitego, a krewkości ludzkiej mało znającego. Tak wielu występkom i wadam poddan jest żywot człowieczy, iż, jeślibyśmy wiele rzeczy nie przebaczali, a występków sobie zobopólnie nie odpuszczali, niedługoby to towarzystwo a złączenie ludzkie trwało.

Lecz też i to w niektórych obaczono, iż nie tak cudza omyłka, czem oni rzecz swą farbują, ale zazdrość dawa im do rozterków drogę. Ciężkie to zaprawdę obruszenie, a nie każdemu człowiekowi służące i przystojne. A jako czerw nie w każdem się drzewie rodzi, ale tylko w słodkiem, tak też zazdrość przyzwoitsza bywa tym, którzy są barzo wysokiego serca a sławy pragnącego. Która zazdrość, jeśli rozumem będzie rządzona, będzie jakoby pobudka do cnoty i do uczciwych spraw wiodąca z przykładów, przed oczy położonych; lecz, jeśli się z prawdziwym rozumem będzie mijać, będzie barzo zła, a jako Cicero powieda, barzo podobna owej, która miedzy dwiema jednę białą głowę miłującymi bywa. Bo a co jest gorszego, jedno że się trapisz a gryziesz sam w sobie z cudzego dobra, którego tobie abo przyrodzenie, abo lenistwo nie dało? A za tem gryzieniem chodzi zazdrość, z której roście waśń, a potem by-

[1] druga = druga rzecz, podrugie. [2] własny = prawdziwy.

wa wedle dawnej Hezyodowej przypowieści, iż garncarz garncarza nie najrzy[1], a ponieważ z nim równać abo go przechodzić nie może, przeto w nim wszytko gani, pośmiewa się z niego, źle go na wszem, gdzie może, wykłada[2], a źle o nim mówi. Przeto takowe wady i znać i strzedz się ich trzeba, nikomu nie zajrzeć, dary, od Boga drugim dane, w przystojnej uczciwości mieć, waśni tak dla naszej, jako dla Rzeczypospolitej, na stronę odłożyć, a każdy występek drugim łaskawie odpuścić, a w szukaniu jednania tak się zachować, aby to było szczerze a niepokrycie.

Bo są niektórzy do obrażenia drugich barzo prędcy, a do jednania abo leniwi, abo zgoła niedbali. Jeśli jaka potrzeba przymusza je do jednania, wszakże mają to sobie za sprosną rzecz jawnie to po sobie dawać znać: wolą cicho wleźć do zgody, niż jawnie wniść, a dlategoż i tajemnie i jakoby nieumyślnie chcą to sprawować; a ponieważ się do tego, co czynią, przyznać nie chcą, cóż inszego czynią, jedno szydzą i z tego, kogo obrazili, i z ludzkich spraw, które mają być jawne, gdy i obrażenie było jawne? Prawdziwie ono poeta napisał: *Qui simulat verbis, nec corde est fidus amicus*, to jest:

Kto słowy przędzionemi[3] przyjaźń pokazuje,
Nie wierz mu nigdy, bo cię sercem nie miłuje.

A przetoż takie tajemne jednania o rzeczy, jawnie obrażające, nierady długo trwają, a pospolicie się w zamieszania i rozruchy obracają. Niech przeto pirwszy stopień cnoty będzie nikogo nie obrażać; wtóry — tego, kogoś z przygody obraził, przejednać. Kto się na pirwszym stopniu nie zostoi, niech się stara, aby się na drugim został, a to twarzą, postawą i mową dawał znać, że onego uczynku żałuje i do tego się garnie, że z onym obrażonym zasię w miłości mieszkać pragnie. Bo z tego wtórego stopnia żaden nie może zstąpić, żeby nie musiał ciężko upaść; gdyż i gniew przeciwko onemu, któregoś nie przejednał, uroście i chęć źle czynienia. A tak to złe, czem dalej, tem się więcej będzie szyrzyło, a iskierka, z przodku niezagaszona, urodzi wielki pożar, gdy będzie do tego materyej dostawać. Przeto człowiek chrystyański ma się o to pilnie starać, aby z każdym żył w łasce[4], obrażenie szczerze odpuszczał, za swe występki szczerze a pokornie odpuszczenia prosił. Bo nie może mieć przystępu do Ojca niebieskiego ten, który się inszym stawi abo pysznym ku przejednaniu, abo trudnym i nieuproszonym ku odpuszczeniu ich występku.

Ale jest ich wiele takiego przyrodzenia, którzy z maluczkiej rzeczy łacno biorą wielkie obrażenia; z leda słóweczka, którem mnimają się być dotknionymi (chociaby on, kto je mówił, chciałby daleko inaczej rozumieć), z świstania, chrapania, zębów ściskania,

---

[1] najrzeć = nawidzić, lubić. [2] źle kogo wykładać = wystawiać kogoś w złem świetle. [3] przędziony = jedwabny. [4] łaska = miłość.

paznogcia gryzienia, z otworzenia ust, zakrzywienia, marszczenia, z pilnego zapatrzania, oczu zamrużania, z niedbałości abo w zdejmowaniu czapki, abo w rozmowie, abo w dawaniu ręki, naostatek, każdego kiwania, mrugania abo inszej postawy, o której tak rozumieją, żeby ich wzgardę znaczyła. Ale przez takie domyślania każdy swoje przyrodzenie wydaje, jakie jest, z którego obyczaje drugich sądzi; bo tak pospolicie bywa, iż, jaki kto sam jest, za takie ma i drugie; którym a czego więcej trzeba użyć, jedno aby mieli myśl zdrową w ciele zdrowem? Boć, zaprawdę, serdeczne niemocy niebezpieczniejsze są, niżli cielesne, a częstokroć one bywają przyczynami tych. Niech przeto każdy zleczy myśl swą, a miasto rzeczy niech się nie boi cieniów ani snów, a obyczajem sofistów niech tego nie czynią przyczyną, co nie jest przyczyną. Tacy jesteśmy mało nie wszytcy, iż w wielu rzeczach bywamy ślepi, błądzimy, upadamy; a gdyby drudzy ostremi oczami na nasze upadki chcieli pojrzeć, nie leda [1] jakoby się jeden nalazł, któryby z nami w przyjaźni na wieki zmieszkał. A jeśli to mamy za słuszną rzecz, aby nam występki nasze odpuszczano, czemu my też sami nie przebaczamy cudzych występków? Czemu maluczkiego obrażenia nie mamy skromnie znosić, gdyż sami wielekroć drugie obrażamy? acz-ci nie wiem, jakobyśmy to właściwie obrażeniem nazwać mogli, co podczas [2] z niejakiego serdecznego obłądzenia my sami zmyślamy. Ale, chociaby i tak było, tedy przedsię na chrystyańskiego człowieka należy drugim odpuszczać, jeśli też i on chce, aby mu Ociec Niebieski odpuścił...

Każdy..., ile może, albo namową, albo rzeczą, albo radą, albo zwierzchnością, albo prośbami, albo mocą panowania, niech się o to stara, żeby niezgodne do zgody przywodził. Co gdyż każdemu czynić przystoi, tedy, nie wiem, komuby więcej, jako ludziom, w wielkiej uczciwości u inszych będącym: którzyby częstokroć mogli samem tylko skinieniem wiela ludzi niezgody uspokoić a zgodę postanowić. Ale wiele ich jest, którzy albo z lenistwa, albo iż się stąd żadnego pożytku nie spodziewają, abo też dla jakiej inszej złej przyczyny pogodę [3] dobrze czynienia upuszczają: takowi są siebie tylko miłujący, a wszelakiej poczciwości nie godni. Bo *prawdziwe wyrządzanie poczciwości nie bywa, chyba [4] dla cnoty a dla zasług przeciwko narodowi ludzkiemu.* Niech się przeto każdy dobrze zasługuje narodowi ludzkiemu, a niech z swej strony, jako może, leczy chorujące: waśni ludzkie niech wyniszcza, w łaskę je przywodzi, a niechaj się tego nie dopuszcza, aby, gdy dom bliźnego jakoby gorzeć poczyna, on w próżnowaniu leniał, by zaś, jeśliby sie wielki ogień zawziął domu twego (a ty próżnujesz), ogień nie doszedł. Co jeśli się sam o siebie nie boisz, tedy przedsię będącym

---

[1] nie leda = ledwie. [2] niekiedy. [3] pogoda = sposobność. [4] chyba = tylko.

w niebezpieczeństwie ratunku, gdy możesz, nie dać, w wodzie tonących na morzu nie ratować, nędzami ludzkiemi oczy swe paść — nie jest rzecz człowieka; zasię, przeciwko temu[1], różnice[2] ugadzać, przyjaźni stanowić, serca ludzkie do miłości a sprzyjaznej chęci przywodzić i uczyć, od waśni i złej woli odwodzić, — aza to nie nawięcej ludzkości jednego ku drugiemu przystoi? Której ludzkości jakośmy wiele powinni, przyrodzenie wszytkich spólne nas tego uczy, gdybyśmy w to pilnie wglądali; uczy nas i on szczerej prawdy mistrz, Chrystus Jezus, powiedając, że oni są błogosławieni, którzy pokój czynią, to jest, którzy, sami miłując pokój, i miedzy drugimi starają się o pokój.

Wiele rzeczy jest, które ludzi do pokoju, zgody i ku łacnemu ubłaganiu przywodzą: Ociec Niebieski jeden, wszytkich przyrodzenie jedno, społeczność[3] wiary, spólne używanie praw, handlów abo towarów i Rzeczypospolitej, a zwłaszcza omyłki wszytkim pospolite, które zobopólnie sobie odpuszczać jest rzecz barzo ludzka...

Lecz jeśliże te rzeczy mało kogo pobudzają do ubłaganości, miłości i zgody, niechże słucha Jezusa Chrystusa, niebieskiej mądrości mistrza, temi słowy rozkazującego: „Miłujcie nieprzyjacioły wasze, dobrze czyńcie tym, którzy was nienawidzą, módlcie się za tymi, którzy was obrażają i prześladują, abyście byli synmi Ojca waszego, który rozkazuje i światłu świecić i dżdżowi iść na wszytkie, tak na dobre, jako na złe. Bo, jeśli tylko miłujące was miłować będziecie, a cóż zacnego uczynicie? azaż i mytnicy tak nie czynią?“ Bo to jest nasnadniejsza droga, którą łacniutko przyść możemy do odpuszczenia grzechów naszych: odpuszczać winowajcom winy ich, jeśli chcemy, aby nam nasze były odpuszczone. Cóż tedy na to rzeczemy, chrześcijanie, którzy pod chorągwiami Syna Bożego żołnierską[4] służymy. Żadna rzecz nie jest, któraby nas nie wiodła do miłości i łacnego ubłagania: i prawo przyrodzone i nasz pożytek i Ojca onego przykład, którego nam pierworodny Syn Jego, Zbawiciel nasz, przed oczy kładzie. Nędzna to jest rzecz, zaprawdę, że my, wodziwszy się w szkole Chrystusowej, będąc wychowani i wyćwiczeni w niej, nie chcemy uznać nauki naszej. Na każdy dzień się modlimy, aby Królestwo Boże do nas przyszło, a któreż to insze jest królestwo, jedno sprawiedliwości, pokoju, zgody a spólnej miłości? Sam Chrystus, mistrz nasz, z tego świata do Ojca odchodząc, hasło lub cechę zgody i miłości spólnej zostawił nam: Wieczerzą swoję, aby, jako spólnem używaniem Ciała i Krwie Jego bywamy sobie równi, takbyśmy też spólną a równą i przeciwko[5] nam samym i tudzież przeciwko Sprawcy tej świętej Uczty chęć i wolą mieli. Nadto jeszcze jasnym głosem pokój i miłość, jakoby na testamencie, nam dał: „Pokój—pry[6]—mój dawam wam,

---

[1] przeciwnie. [2] kłótnie. [3] wspólność. [4] t. j. żołnierską służbę. [5] względem. [6] prawi, mówi.

pokój mój zostawuję wam; stąd poznają wszytcy, iż uczniowie moi jesteście, jeśli miłość będziecie mieć miedzy sobą spólną". Zaś do łacnego ubłagania i łaskawej skłonności temi słowy nas napomina: „Jeśli odpuścicie ludziom występki ich, odpuści i wam Ociec wasz Niebieski; a jeśli nie odpuścicie ludziom upadków ich, tedy i Ociec wasz Niebieski nie odpuści wam występków waszych". Kogóż tedy inszego początkiem i mistrzem mieć możemy, któryby nas więcej pobudzał do odpuszczenia, do zgody, miłości spólnej, jedno Tego, który nam na każdy dzień sam odpuszcza, który nas osobliwie miłuje, który nie po czem inszem ucznie swoje więcej poznawa, jedno po spólnej miłości? A przetoż wszytcy, którzy uczniami Chrystusowymi chcą być, mają się o to pilnie starać, aby się zwad, nieprzyjaźni i waśni wystrzegali, a pokój i zgodę ze wszytkimi w całości zachowali, forytowali a, jako mogąc, pomnażali. Czego każdy barzo łacno dokaże, jeśli się swego żalu mścić nie będzie. A jeśli sobie krzywdę od kogo mieć mnimasz, tedy abo do urzędu się uciecz, który Bóg postanowił i dla karania złości i dla nagradzania dobrych uczynków wyrządzaniem poczciwości; abo, odpuściwszy onę twoję krzywdę, zwycięż złość przeciwnika twego dobrocią twoją!

Ale pospolity człowiek wedle złego rozsądku swego tych, którzy się krzywd swoich mszczą, wielce waży i mężnymi je a wielkiego serca ludźmi nazywa; a zasię cierpliwe lekce waży a bojaźliwymi i nieśmiałymi je być osądza. Lecz my, którzyśmy się niebieskiego nabożeństwa nauczyli, więcej mamy sobie ważyć on rozsądek najsprawiedliwszego sędziego — Boga, który złorzeczącym każe dobrorzeczyć, a źle czyniącym dobrze czynić, który cierpliwość tak wielce sobie waży, iż powieda, że w niej otrzymamy dusze nasze. Tej cnoty przykład i sam w sobie Chrystus Jezus dziwnie okazał i w wielu ludziach, którym On kazał na tęż drogę następować, którą On pirwej przed nimi szedł. Nad to jeszcze, jeśli się w tem filozofów dołożymy [1], wiele od nich usłyszymy o hamowaniu gniewu a o łaskawem, cierpliwem znoszeniu krzywd. Bo a cóż inszego jest mścić się krzywdy, jedno naśladować złości tego, który pirwej obraził? A złej rzeczy naśladować cóż inszego jest, jedno od dobrzeczynienia odstąpić? Nie godzi się tobie chorować przeto, że choruje przeciwnik twój, ani szaleć, iż on szaleje! Bo a jakoż niemoc twoja uzdrowi jego niemoc? jako myśl twoja niezdrowa do zdrowia ji przywiedzie? Zaprawdę, on lekarz jest wielki prostak, który nie chce inaczej chorego uleczyć, jedno ażby też sam chorował.

Zgromadzenie wszytkich nauk a zamknienie pirwszych ksiąg o obyczajach. Swarom przeto, waśniam i nienawiściam bynamniej nie trzeba przywykać, lecz cichości, pokoju a zgody pilnować. Każde-

[1] dołożyć się kogo = poradzić się kogo.

mu jego cześć ma być wyrządzana, — nie trzeba tak rozumieć, żeby on miał słownym zostać dlatego, że drugimi gardzi. Bo wszytcy miłują i wielce ważą ony, które widzą, że też i oni drugie wielce ważą, ale ci, co drugimi gardzą, pospolicie bywają u wszech w nienawiści. Każdy też w sprawach swoich ma pilnie patrzeć na ten sposób żywota, w którym mieszka: ma ji, powinności swej dosyć czyniąc, zalecać i zdobić, a w cudze się urzędy nie wtrącać; bo stąd roście pomieszanie stanów, gdy się ludzie wdawają w sprawy, sobie nie należące; stądże też i własne powinności swe opuścić muszą albo je wżdy niedbale sprawują, mając dla cudzych spraw myśl roztargnioną. I sama Rzeczpospolita nie dobrze się ma, gdy każdy, nie przestawając na swym urzędzie, miesza cudze chciwością górności, nie inaczei, jedno jako i ciało byłoby roztargnione, gdyby członki, miejsca swe opuściwszy, przeniosły się na drugich członków miejsce a w ichby się urząd wdały. A przetoż ludzie dobrzy i pragnienia górności wystrzegać się mają i miłość samego siebie zbytnią z serca swego wykorzeniać. Czego każdy tem łacniej dokaże, czem skromniej o sobie będzie rozumiał, a dary, którymi był obdarzon, częstoby obaczał, a nadtoby i ono uważał, że mu więcej do doskonałości żywota nie dostawa, niż dostawa. A przetoż też nikogo sobie lekce ważyć nie trzeba, ale siłami i majętnościami naszemi ludziom, ile możemy, usługować.

Nie godzi się nam, którzy się za bracią liczymy, sobie tylko gwoli żyć, ale raczej dobrodziejstw Ojca naszego miedzy się udzielać, które On różne różnym dał, aby tą różnością i spólnem udzielaniem powinowactwo braterstwa miedzy nami zachowano było. Kto tedy jest bogaty, niech się szczodrobliwością ukazuje być ubogiego bratem; kto jest rozumem i mądrością obdarzon, niech nauki swej i rady użycza potrzebnym; kto ślachectwem abo możnością wiele może, niech zwierzchność i możność swą obraca na bronienie niewinnych a pokornych. Bo się zda, jakoby wszelaką ludzkość zwlekli z siebie i prawo braterstwa porzucili oni, którzy, bogatymi będąc, sobie tylko bogaci są; którzy uczeni i mądrzy, sobie tylko nauką i mądrością swoją obmyślają; bo prawdziwa ludzkość i braterstwo udzielaniem wszech rzeczy ludziom zawiera się albo na rozpominaniu i użaleniu tych przygód, którym wszytcy poddani jesteśmy. Zaprawdę, nie jest godzien w przygodzie swej miłosierdzia drugich, który nad nędznymi nie ma zmiłowania, niegodzien jest pomocy ludzkiej, kto w niebezpieczeństwie będącym ratunku nie dawa, kto zamyka uszy przed proszącym, a drzwi przed potrzebnymi. A tak ustawicznie trzeba się o to starać, abychmy, ile możemy, drugim dobrze czynili, abyśmy się ludźmi nie brzydzili ani nimi gardzili, abyśmy składali nadętość, a nic pyszno nie czynili, nic hardzie, nic okrutnie. Bo, te wady z siebie wygnawszy, choć różne są majętności ludzkie, przedsię równość umysłów będzie zachowana, która jest napotrzebniejsza do zachowania pokoju i zgody. Któ-

rzy tej równości zachować nie chcą, naprzód jawnie dawają znać, że nie chcą mieć spólnego Ojca z tymi, których za bracią mieć nie chcą; bo to być nie może, aby ten w powinności braterskiej nie miał chcieć zostać z tym, z którym się do jednego Ojca przyznawa; potem też sami sobie zstawają się proroki, że k temu przyjdzie, iż, którzy nie chcą być z drugimi równo, ci bywają poniżeni. Bo to wyrokiem Syna Bożego jest postanowiono. aby, kto się powyższa, był uniżon, a kto się uniża, był powyższon. To mamy dobrze znać i głęboko do serca pokładać, a jako boskie rozkazanie, rozpominać i do tego wszytkie nasze sprawy obracać. A przeto nikim gardzić nie mamy, każdego dobrą chęcią i powinnościami[1] zawżdy naszemi uszanować, szczęśliwe i przeciwne rzeczy skromnie znaszać, rady uczciwej a z cnotą złączonej, zawżdy się trzymać, a powodzenia od Boga wszechmocnego prosić i czekać, przed którego stolicą stanąć a Jemu liczbę ze wszytkich naszych spraw, mów i myśli dać pewnie musimy.

§ 31. Żywy i czynny udział społeczeństwa polskiego w życiu publicznem stworzył nową, prawie zupełnie nieznaną w wiekach średnich, gałąź literatury, mianowicie *publicystykę*; prasy peryodycznej nie było jeszcze w Polsce XVI wieku, ale ukazywało się za to całe mnóstwo pisemek ulotnych i broszur, których autorowie udzielali przeróżnych rad społeczeństwu, wypowiadali swoje poglądy na współczesne wypadki, na sprawy państwa i Kościoła, kłócili się z sobą o zasady i t. p. Najznakomitszym publicystą polskim XVI stulecia jest *ksiądz żonaty*, **Stanisław Orzechowski** (1513 — 1566), z Rusi Czerwonej.

Rodzice przeznaczyli go już w dzieciństwie na księdza i nie szczędzili kosztów na jego wychowanie: gdy ukończył szkoły w Przemyślu, wysłali go w czternastym roku życia do Wiednia, „nie tyle zresztą dla nauki — jak opowiada Orzechowski w swojej autobiografii łacińskiej — ile dla nabrania ogłady“. Z Wiednia pojechał do Witembergi i tam dostał się pod wpływ Lutra i Melanchtona, których z czasem nazwie najokrutniejszymi, okrutniejszymi od Turków, wrogami wiary chrześcijańskiej, ale którym na razie wierzył ślepo, poczytując ich za ludzi, powołanych przez samego Boga do reformy Kościoła; pod ich to wpływem, mówi Orzechowski, „jak dzikie zwierzę, wypuszczone z klatki i rozdrażnione głodem, rzucałem się chciwie na wszelką swawolę, ważyłem się na wszystko, nie bałem się nikogo“; „nie było żadnej rzeczy, boskiej, czy ludzkiej, o którejby nam, smarkaczom, nie wolno było pleść trzy po trzy“; słowem, pod wpływem nauk Lutra i Melanchtona stracił Orzechowski, jak sam świadczy, „wszelką cnotę oraz religię ojców i dziadów“. Lecz dowiedział się o tem wszystkiem ojciec i kazał synalkowi wynosić się z Witembergi

[1] powinność = usługa powinna.

i jechać do Padwy. W Padwie słuchał Orzechowski znakomitych profesorów, a z wykładów ich to nadewszystko przypadało mu do serca, co go utwierdzało w nauce Lutra. Z Padwy udał się na studya do Bononii, gdzie przebywał lat osiem, a później do Rzymu, i tutaj dopiero nastąpił zwrot w jego przekonaniach i uczuciach religijnych: odzyskał dawną wiarę, stał się nawet fanatycznym katolikiem, ale nie porzucił już myśli, że Kościół katolicki potrzebuje reformy i że jednym z jej środków powinno być zniesienie bezżeństwa księży.

Po szesnastoletnim pobycie zagranicą powrócił wreszcie Orzechowski do Polski (1543). Rodzice nalegali, by się wyświęcił na księdza; on się wzbraniał, aż rodzice powiedzieli mu stanowczo: „No, jak ci się podoba, lecz albo nie mów, że jesteś naszem dzieckiem, albo zwróć nam co do grosza koszty“ (któreśmy na twą naukę łożyli), „albo ruszaj na księdza.“ Orzechowski uległ — wyświęcił się na księdza i... rozpoczął walkę z Kościołem: wydał broszurę łacińską „O prawie bezżeństwa“, w której dowodził, że „prawo to jest bezprawiem“. Wówczas biskup przemyski pozwał go do sądu, zagroził klątwą i odebraniem probostwa; Orzechowski zmiękł i odwołał wszystko, co napisał. Ale wkrótce znów zaczął broić: ożenił się był w tych czasach pewien ksiądz (Walenty z Chrzczonowa), Orzechowski wystąpił w jego obronie; niedosyć na tem: sam wyswatał i dał ślub innemu księdzu, Marcinowi Krowickiemu, a niebawem na sejmiku w Sądowej Wiszni, głośno oświadczył, że się sam lada dzień ożeni. Biskup ponowił groźbę, ale Orzechowski już się nie uląkł: już bowiem miał za sobą całe tłumy szlachty, którą umiał był sobie ująć swemi pismami i która z naprężoną uwagą śledziła jego zatarg ze znienawidzoną władzą biskupią. Sprawa oparła się o sejm piotrkowski (1550), na którym posłowie i senatorowie świeccy stanęli w jego obronie; biskupi zlękli się, poniechali kary, wzięli tylko od Orzechowskiego przyrzeczenie, że się bez dyspensy papieża nie ożeni. Ale Orzechowski złamał słowo i ożenił się (z Magdaleną Chełmską). Biskup spełnił groźbę: skazał go na utratę czci i dóbr oraz wygnanie, ogłosił go za odstępcę od Kościoła i wyklął. Król zatwierdził wyrok, lecz na sejmie piotrkowskim r. 1552 szlachta znów stanęła w obronie swego ulubieńca i — wygrała sprawę: na sejmie uchwalono, że urzędy świeckie przez cały rok nie będą wykonywały wyroków biskupich (w rzeczywistości odtąd już na raz na zawsze ustała jurysdykcya biskupów). Ale to nie wystarczało Orzechowskiemu, który pragnął, aby Kościół uprawnił jego małżeństwo, bo zrywać z Kościołem, jak to uczyniło wielu innych księży (np. ów Marcin Krowicki) nie chciał, zaczął się więc starać u papieża o dyspensę. Lecz nie wskórał nic, otrzymywał tylko rok rocznie rozgrzeszenie od biskupów polskich, a kiedy prymas je cofnął, znów zaczął szturmować do Rzymu, i znów bezskutecznie; to jedynie sprawił, że papież orzekł, iż Orzechowski jest winien nie „herezyi“, tylko złamania karności kościelnej, wskutek czego i biskupi musieli uznać jego prawowierność, tem więcej, że Orzechowski stawał się coraz to fanatyczniejszym obrońcą Kościoła katolickiego, gorliwie i namiętnie walcząc w swych pismach z jego nieprzyjaciółmi i obrzucając ich obel-

gami, a często bez ogródki szkalując. Pomimo tej gorliwości wyższego dostojeństwa w Kościele nie otrzymał, bo o rozwodzie ani myślał: czekał i czekał na dyspensę z Rzymu, póki mu żona nie umarła; a w rok później on sam życia dokonał, upominając w testamencie swoje dzieci, by, wstępując w ślady ojca, dochowały wierności Kościołowi katolickiemu...

Był to człowiek i bardzo wykształcony (humanista niepospolity) i nadzwyczajnie zdolny, zdolniejszy od Modrzewskiego i wyższy od niego talentem, ale bez porównania niższy i siłą rozumu i szlachetnością uczucia i dobrą wolą. Kiedy Modrzewski uczył, że prawdziwa wolność polega na posłuszeństwie prawom i że dla miłości religii i ojczyzny człowiek powinien ponosić choćby najcięższe ofiary, Orzechowski lekceważył sobie prawa, za wolność poczytywał samowolę, a ofiary nie chciał ponosić dla nikogo i dla niczego. Kochał on wprawdzie niewątpliwie ojczyznę, do Kościoła katolickiego, pomimo wszystko, był fanatycznie przywiązany, czego dowodzi już to jedno, że na protestantyzm nie przeszedł, jak przeszło tylu innych księży, pragnących wyzwolić się z pod władzy kościelnej: ale nadewszystko kochał samego siebie i, ilekroć wygórowana miłość własna była w zatargu z miłością czy ojczyzny, czy Kościoła, czy bliźniego, tylekroć nie ona, ale miłość własna zwyciężała; najwyższem prawem dla Orzechowskiego był egoizm, własna korzyść; wyrzucał np. innym, że nie kochają ojczyzny, kierując się prywatą, ubolewał nad tem, że szlachta na sejmach wichrzy: a sam się prywatą kierował i wichrzył na sejmach, robiąc ze sprawy swojego małżeństwa, a więc ze sprawy osobistej, sprawę publiczną; dowodził w swem fanatycznem zaślepieniu, że najwyższą władzę w państwie powinien mieć kapłan, że nawet król powinien go słuchać: ale sam władzy kościelnej słuchać nie chciał; a i względem ludzi nie kierował się miłością bliźniego, szarpiąc ich dobrą sławę, lżąc i szkalując tych, którzy zadrasnęli jego miłość własną albo ośmielali się głosić inne poglądy, jak on. Bo zdawało się Orzechowskiemu, że on jest najmędrszym ze wszystkich ludzi w Polsce, że wszyscy jego słuchać powinni, że się cała Polska około niego obraca; Polska — to ja: oto zasada, którą się najczęściej w życiu kierował. *Orzechowski to jeden z największych warchołów, jakich miała Polska.*

Talent pisarski posiadał olbrzymi: nikt w XVI wieku nie pisał tak żywo, z takiem zacięciem, z takim temperamentem i z taką pewnością siebie (często z bezczelnością i blagą), jak on. Większego jednak i poważniejszego dzieła nie napisał: chciwy rozgłosu, ciekawy nowości i wrażliwy na nie, chwytał pióro i pisał krótkie broszury o wszystkiem, co tylko zajmowało ówczesne społeństwo. W całej Europie dużo mówiono o potrzebie wojny z Turkami: Orzechowski puszcza w świat pisemka ulotne, w których zachęca Polaków do walki, zapewniając ich, że zwyciężyć muszą, bo przecie szlach-

cic zawsze zwycięży nieszlachcica...; oburzała się szlachta na małżeństwo Zygmunta Augusta z Barbarą Radziwiłłówną: Orzechowski podsyca jeszcze to oburzenie, pisząc na królową najwstrętniejsze paszkwile; umarł wielki rycerz, hetman Jan Tarnowski (1561): Orzechowski pisze jego życiorys; cała szlachta zajmowała się żywo sprawą egzekucyi: Orzechowski wnet omawia tę sprawę w swych broszurach i t. d. Słowem, *był to publicysta, najznakomitszy w XVI wieku i jeden z najznakomitszych w całej naszej dawnej literaturze.*

Popularność wśród szlachty miał Orzechowski ogromną, ale bo też umiał jej schlebiać tak, jak nikt za jego czasów. Jak nie miała się szlachta zachwycać pisarzem, który ją zapewniał, że ze wszystkich narodów polski jest najlepszy, najszlachetniejszy i że pochodzi... od Greków, „taż bowiem jest wrodzona obojga pokolenia dobroć, taż sama dowcipność, taż sama rozumu bystrość"! Jak nie miała szlachta kochać autora, który uczył, że cała historya Polski to jeden nieprzerwany łańcuch cnót, zasług i tryumfów; że „policya" (t. j. ustrój państwa) „nasza polska zewsząd doskonała jest, tak, iż jej nic przydać ani ująć nikt nie może"; że wolność polska jest najświętszym skarbem, że jedynemi zajęciami, godnemi człowieka wolnego, są służba rycerska i gospodarstwo wiejskie, wszystkie zaś rzemiosła „sprośne a smrodliwe są"; że Polska jest tylko dla szlachty, a „kupiec, rzemieślnik, oracz nie są dziedzicami Królestwa polskiego, ale są słudzy jego" i t. d. Słowem *w pismach Orzechowskiego znajduje się apoteoza szlachty polskiej, rządów szlacheckich i złotej wolności: i dlatego to Orzechowski (inaczej, jak Modrzewski) był pisarzem szkodliwym, był złym nauczycielem swego narodu;* nie brak wprawdzie w jego pismach szlachetnych uczuć patryotycznych i rozsądnych myśli, ale, jak to często bywa. chwytano z nich nadewszystko myśli złe, niemądre, czasem nawet potwornie głupie, ale schlebiające próżności narodowej.

Z pism Orzechowskiego zasługują zwłaszcza na uwagę *dwie broszury o egzekucyi* (1563): *Rozmowa albo dyalog około egzekucyej polskiej Korony* i *Quincunx, to jest wzór Korony polskiej, na cynku wystawiony.* Pierwszą napisał Orzechowski przed sejmem egzekucyjnym (ob. § 22), pragnąc oddziałać na obrady sejmowe, drugą— po sejmie, z którego uchwały, dotyczącej egzekucyi dóbr koronnych, nie był zadowolony.

Broszury mają postać rozmowy pomiędzy trzema osobami: ewangelikiem, papieżnikiem (katolikiem) i gospodarzem (Orzechowskim). Rozmowa toczy się żywo, a jej przedmiotem są sprawy Kościoła i państwa; gospodarz popisuje się swą uczonością, którą podziwia biedny ewangelik, zapominający często języka w ustach; gospodarz i papieżnik nawracają go na wiarę katolicką, i to z powodzeniem: ewangelik wyrzeka się „herezyi". Swoje własne poglądy wypowiada Orzechowski przez usta papieżnika i go-

spodarza, którzy, ilekroć ewangelik ośmiela się wygłaszać inne od nich zdanie, zapędzają go w kozi róg.

Dowodzi Orzechowski, że egzekucya jest niemoralna i szkodliwa: niemoralna, bo te majątki, które król rozdał panom, są już własnością panów, a więc król nie ma prawa żądać ich zwrotu; szkodliwa, bo przecie te majątki są nagrodą za cnotę i zasługi, położone dla ojczyzny, a ojczyzna powinna płacić tym, którzy ją kochają i jej służą, inaczej bowiem nie będzie miała Polska ludzi cnotliwych i kochających ojczyznę!!!

Ale przez egzekucyę Orzechowski rozumie nie tylko egzekucyę dóbr koronnych, lecz wogóle naprawę państwa polskiego, której ono na gwałt potrzebuje, bo wszystko się w niem rozsprzęgło: „Ukaż mi jednę rzecz namniejszą..., któraby nam pewnego upadku nie obiecowała! Sprawiedliwości nie mamy, obrony nie mamy, z sejmów też nic inego nie odnosimy, jedno reces [1] a limitacyą [2]... Z sejmu walnego nic inego nie bywa, jedno hańba u postronnych ludzi a waśń domowa: rozjeżdżamy sie, naganiwszy króla a zhańbiwszy rady, odpowiedając jeden drugiemu, ewanielikowie o papistach, papistowie o ewanielikoch radząc..., skąd ten pożytek mamy, że Korona każdemu obcemu otworem stoi... Nie możemy do jedności przyjść, zaślepiła nas złość nasza, ku zgodzie drogi naleźć nie możemy, bo nas zaklął jawnie Pan Bóg prze kacerstwa ty wszeteczne nasze“. Za największe nieszczęście dla Polski, za hańbę narodu i za główną przyczynę niezgody i wogóle wszystkiego złego poczytuje Orzechowski odstępstwo od katolicyzmu; jeżeli Polska nie powróci do Kościoła katolickiego, zginie, jak Bóg w niebie; jeżeli powróci, wszystko pójdzie, jak z płatka; innowierców najlepiej wygnać z Polski, gadać z nimi niema co, bo „*powroza na kacerza trzeba, nie pisma*“!

Najwyższą władzę w Polsce, zdaniem Orzechowskiego, powinien mieć nie król, ale kapłan: „Król polski jest sługa kapłański, postawiony przeto w Polszcze ręką kapłańską, aby polskie królestwo najwyższego kapłana posłuszne było, ażeby żaden nie śmiał przeciwko zwierzchności kapłańskiej hardego pyska swego podnosić;... tak bez kapłana ludzie są niesmaczni, jako mięso bez soli;... cesarzowie, królowie i wszyscy panowie świata tego są podnóżkiem stanu kapłańskiego;... owca parszywa król jest każdy bez kapłana“. W Polsce najwyższym kapłanem jest prymas, on więc powinien mieć najwyższą władzę. A dowodzi tego Orzechowski tak: Polska jest królestwem, a zatem musi mieć króla; jeżeli ma króla, to ma i koronę, bo król niekoronowany nie jest królem; a któż daje królowi koronę? prymas: a zatem prymas jest wyższym od króla! Jest i inne rozumowanie, jeszcze głupsze. Państwo polskie, mówi Orze-

[1] Reces = odłożenie jakiejś sprawy do następnego sejmu. [2] limitacya sejmu = zawieszenie obrad sejmowych.

chowski, jest zbudowane na kształt piramidy o podstawie kwadratowej. (Piramida taka powstanie, jeżeli w figurze, zwanej po łacinie *quincunx*, a po polsku *cynek*:



punkt *A* podniesiemy do góry: stąd tytuł drugiej broszury). Otóż cztery boki tej piramidy, bredzi Orzechowski, stanowią: wiara, kapłan, ołtarz i król, a wierzchołkiem jest Kościół; stąd wniosek oczywisty, że król jest sługą Kościoła i że kapłan ma nad nim zwierzchność!! Dlaczego Polska ma być piramidą, a nie np. kotem, tego Orzechowski nie wyjaśnił. To przekonanie jednak o wyższości władzy kapłańskiej nad królewską nie przeszkadza mu mniemać, że król polski może i powinien... znieść bezżeństwo księży; dlaczego? oczywiście dlatego, że jemu, Stanisławowi Orzechowskiemu, było to potrzebne!...

Obok tych i tym podobnych bredni, dyalogi Orzechowskiego zawierają w sobie apoteozę Polski: ze wszystkich państw na bożym świecie Polska jest najlepszem; w Polsce tylko, jako w królestwie, gdzie król podlega kapłanowi, przed którym zaprzysięga wierność prawom, panuje prawdziwa wolność; wszelkie księstwo jest niewolą, a ponieważ księstwem jest Litwa, w której książę jest nie obieralny, jak król polski, ale dziedziczny, więc Litwini to podli niewolnicy, którzy się nawet równać z Polakami nie mogą, którym Polacy czynią łaskę, chcąc z nimi zawrzeć unię!! Wogóle *był Orzechowski szowinistą*, z góry spoglądał na obce narody, a *Polaków poczytywał za naród, przez Boga wybrany* do wykorzenienia na świecie „kacerstwa, odszczepieństwa i pogaństwa“.

Lecz są w dyalogach Orzechowskiego i zdrowe myśli. Jest np. surowa, ale sprawiedliwa krytyka sejmów, na których, jak mówi, panowie umyślnie mącą wodę, by sobie węgorza wyłowić, t. j. umyślnie wszczynają nieporządki, aby je na własną korzyść wyzyskać. Jest także prawdziwe, gorące uczucie miłości ojczyzny i niepokój o jej przyszłość, wywołany widokiem prywaty, niezgody i zbliżającej się bezpotomnej śmierci Zygmunta Augusta:

„*Byś serce moje rozkroił, nie nalazłbyś w niem nic innego, jedno to słowo: Z g i n i e m y*! Nie żałuję tego, żem sie ożenił, przeto iż mi dał Pan Bóg żonę, rodem, urodą, posagiem i cnotą zacną, a przytem szlachetne z żony tej, a mnie miłe, dziatki: ale tego ja żałuję, iż nie sam, ale samosiódm z żoną i z dziećmi zginąć mam albo w roztyrku domowym, albo w więzieniu nieprzyjacielskiem. Na jednym śmiertelnym człowieku wszystka Polska zawisła! Przepuści-li Pan Bóg, nie opatrzywszy nas inak, na dzisiejszego pana

naszego śmierć, tysiąc królów miasto jednego zarazem Polska mieć będzie... Będziemy mieć króla w duchownych rzeczach sędziego, ale nie tego, którego nam w Polszcze przedtem przez kapłana rzymskiego Bóg dawał, ale tego, którego nam Bóg przez Turka albo przez roztyrk nasz domowy da! Panie Boże! Dajże mi śmierć przed śmiercią króla dzisiejszego, a nie dawaj doczekać onych złych dniów, które nastaną po śmierci króla tego; bowiem śmierć jego śmiercią pewną królestwa polskiego jest!"

Jedyny ratunek dla Polski upatrywał Orzechowski w powrocie na łono Kościoła katolickiego i wpajał w szlachtę to fałszywe przekonanie, że, byleby tylko wykorzeniła z pośród siebie różnowierstwo, może spokojnie, z założonemi rękami, czekać zmiłowania Bożego.

Przedmowa do Quincunxa. Panowie a bracia, mnie miłościwie łaskawi! Trudno milczeć, gdy boli, trudno nie wołać w złej toni, trudno też nie wzdychać w niewoli. W jednej łodzi siedzimy, wiatry przeciwne mamy, wełny[1] biją, maszty łomią, żagle drą, morscy rajtarzy na łódź szturmują, nas dobywają, ognie miecą, łódź palą, na patrona[2] godzą: żeglarze śpią. Ja, ginąc, na was: „Rata!"[3] wołam, których wszytkich — pomoc wielka, zosobna kożdego — mała moc w tej łodzi jest. „Cóż wołasz?" rzeczecie. To: wszyscy do styru bieżcie, masztu strzeżcie, żagle na tramontanę[4] naciągajcie, na lewo ku Niemcom nie uchodźcie, wiatrów zachodnych sie bójcie, polskimi pływajcie, ku portu styr dzierżcie, oręża na rajtary dobywajcie, patrona brońcie, żeglarza ze snu obudźcie! Inak wszyscy jedną plagą ze mną zginiecie. „Skąd to masz?" rzecze kto. Od Boga przez ludzi, co wam też za kolędę posyłam, gdyż tak po skarbie zakopanym, jako po studni zamknionej, ludziom korzyści niemasz żadnej. „Ktoś ty jest?" spytacie. Brat jeden z Rusi wasz, niczem innem, jedno miłością wszech was znakomity na świecie. „Cóż to jest, co nam ślesz?" Quincunx. „Co Quincunx jest?" Kompas. „Co kompas każe?" Drogi morskie, gwiazdy niebieskie, wiatry słuszne, porty pewne na tem burzliwem morzu ukazuje polskiej Koronie. Od czego jeśli odstąpicie, portu chybicie, a rychlej w Kalikucie[5], aniżeli doma, będziecie. A iż to tak jest, słuchajcie, co Quincunx nasz o was w rozprawie swej z papieżnikiem, ewanielikiem, z Orzechowskim, bezpiecznie[6] mówi przed wami.

Królestwo a ksiestwo. Wolność polska a niewola litewska. Bohaterstwo polskie. Król nad królmi, Pan Krystus, nazwał swoje państwo królestwem, a dyabelskie, sobie przeciwne, państwo księstwem, nie prze co inego, jedno że własność[7] królestwa wolność jest, na którą urodziliśmy sie zpierwu[8] byli, którąchmy potem grzechem

[1] wełna = bałwan. [2] patron = opiekun (kapitan statku). [3] rata! rety! = gwałtu! [4] tramontana = wiatr północny. [5] Kalikut = Kalkuta. [6] śmiało. [7] właściwość. [8] najpierw, początkowo.

byli stracili i z królestwa w księstwo byliśmy wpadli; z którego księstwa przeniósł nas Pan Krystus śmiercią swą zasie do królestwa, którego własność wolność jest, tak jako księstwa własność jest niewola — rzecz, człowieczej naturze przeciwna. Przeto Pan Krystus królem wiernych swych tak przez anioła, jako sam przez się, jest mianowany, a dyabeł ludzi niewiernych, mizernych i też nędznych—od tegoż Syna Bożego—książęciem wezwany jest.

Łotr też na krzyżu, podla[1] boku Pańskiego wisząc, nie mówił ku Panu tak: „Pomni mię, Panie, w *księstwie* Twem“, — ale, Duchem św. natchniony, tak mówił: „Pomni mię, Panie, w *królestwie* Twem!“ Czemu? Przeto, iż sie był ten święty łotr urodził w księstwie, to jest w niewoli dyabelskiej, z której pragnął wybawionym być do swobody bożej, której nigdzie indzie nie widział, jedno w królestwie, Panu Krystusowi poddanem...

Azaż w ewanielii jawnie nie widzicie, jako on marnotrawca, z królestwa, od ojca, w obcą krainę, to jest w księstwo, wpadłszy, wszystkę ozdobę poczciwości swej szlacheckiej był utracił, świnie pasł, młóto[2] z niemi jadał, prawą świnią w księstwie był; a gdy zasię szpatność[3] swą i księstwa onego był obaczył, wrócił sie nawstecz do swojego ojca królestwa. Patrzajże, jako go tu ociec wita! Kazał nan naprzód wdziać szatę przedniejszą, znak wolności królewskiej .. Potem dał mu pierścień, którego za wieku starego żaden nie nosił, jedno poczciwy szlachcic... Otóż masz, jako ten marnotrawca w księstwie pierścień, to jest szlachectwo swe, był utracił, którego nie pierwej zasie nabył, aż był od ojca w królestwo przyjęty. I tenże ociec, dawszy pierścień, to jest szlachectwo, znowu synowi, zabił przeń[4] wołu tłustego; wół a żona są przedniejsze rzeczy w gospodarstwie statecznego człowieka... Tym tedy wołem tłustym uczynił syna swego, w księstwie upadłego, uczestnikiem domu swego wszystkiego... Mało na tem, ale jeszcze tenże ociec śpiewać i tańcować rozkazał, czyniąc dobrą myśl[5] synowi...

Otóż macie z Pisma św. królestwo i księstwo, równajcież je teraz z sobą! Patrzajcie na hardego wolnością a świetnego swobodą na świecie Polaka: szatę nosi Polak znamienitą, to jest równą z swym królem wolność; ktemu nosi Polak świetny pierścień złoty, to jest szlachectwo, którem najwyższy niższemu równy w Polszcze jest; ma wołu spólnego z królem panem swym, to jest prawo pospolite, które tak jemu, jako i królowi jego w Polszcze, jako wół, równo służy. Takowym będąc, Polak zawsze wesołym w królestwie swem jest, śpiewa, tańcuje swobodnie, nie mając na sobie niewolnego obowiązka żadnego, nie będąc nic królowi, panu swemu zwierzchniemu, inego winien, jedno to: tytuł na pozwie, dwa grosza z łanu, a pospolitą wojnę; czwartego nie ma Polak nic, coby jemu

[1] podle, wedle [2] słodziny, łupiny. [3] szpetność. [4] dla niego, na jego cześć. [5] dobra myśl = wesołość.

w królestwie myśl dobrą kaziło... Niech to Litwa weźmie przed się, iż urodzony Polak czterzy rzeczy własne ma, któremi hardym i wspaniłym człowiekiem między najprzedniejszymi ludźmi na świecie jest: naprzód matką, którą statutem srogim *de turpiloquio*[1] obwarował sobie Polak, pilnie strzegąc niepokalanego narodzenia swego; potem staradawnem szlachectwem, które z Czechem a z Lechem z Charwat do Polski z sobą przyniósł Polak; wie Polak, co szlachectwo umie, a jakich obyczajów i zachowania potrzebuje; trzecia też przy Polaku rzecz jest, którą Polak świetnym na świecie jest: całą przeciwko królowi swemu wiarą, którą tak umiłował Polak, iż od wieka polskiego to sie nigdy nie najdzie, ażeby kiedy Polska zdrajcę przeciwko królowi swemu polskiemu urodziła; nakoniec, równością Polak wszystkie ine królestwa przesiągł; niemasz w Polszcze kniaziów, grofów, ani książąt żadnych; tem jednem słowem: SZLACHTA wszystek naród i gmin polskiego rycerstwa sie zamyka. Chce-li tedy Litwa temi czterzoma rzeczoma, to jest: matką, szlachectwem, wiarą, równością Polszcze być równą, niechajże ona co rychlej księstwo swoje w królestwo, a księdza[2] litewskiego w króla polskiego, a niewolą w swobodę, hańbę w cześć, głupość w mądrość, a hrubość swą w ćwiczoną naturę polską co rychlej odmieni, gdy po temu czas mają, a gdy ich polska korona pod płaszcz wolności swej, w towarzystwo swe dobrowolnie wzywa, a gdy im też tego król nasz polski, a ksiądz wielki ich, miłościwie życzy i tego im dozwala i do tego ich wiedzie.

A jeśliże tę szczodrobliwość króla swego precz od siebie Litwa odrzuci, niechaj to wie, że ona ani Koronie polskiej, ani Litwin żaden, by też był najzacniejszy i najprzedniejszy, naniższemu Polakowi w niczem równym być nie może: abowiem, jeśliże królestwo wszelaką zacnością przewyższa kożde księstwo, tedy też kożdy człowiek w królestwie wszelaką zacnością przewyższa w księstwie kożdego człowieka... Nie ujmuję tu ani przydaję nikomu nic, tylko o rzeczach mówię tak, jako same w sobie postanowione od Boga są, wedle którego postanowienia może Polak bezpiecznie do sąsiada swego, Litwina, wzywając go do wolności i do zacności swej polskiej, w miłości tak mówić, życząc jemu tejże wolności, którą sam Polak w królestwie swem polskiem nad kożdego w księstwie człowieka błogosławionym jest:

„O niewolny Litwinie, mnie wolnego słuchaj Polaka! Wzy„wam cię do siebie, wolności swej przyrodzonej i błogosławieństwa „swego szczodrobliwie i wiernie użyczam tobie! Nie dla siebie, ale „dla samego ciebie, w społeczność swą cię biorą! Z niewolnika wol„nym wolnością swą cię czynię, jakom też niewolnego przed laty „Rusina wolnym i swobodnym panem i równym we wszem sobie „uczynił, z którym w ziemi jego mieszkam i gruntu jednego z nim

[1] o uwłaczaniu czci. [2] ksiądz = książę.

„używam, wszystkiego napoły z nim mam, nie jako z sąsiadem, „ale jako z swym własnym bratem!... Takoweż dobrodziejstwo ja „dobrowolnie tobie, niewolny Litwinie, ofiaruję; które dobrodziej- „stwo ażebyś tem wdzięczniej ode mnie przyjął, obacz niedostatki „swoje, a wielkie dostatki moje! Tobie się pan rodził, mnie się „nie rodził: tego ty pana masz, któregoś mieć musiał,—ja, Polak, „tego króla mam, któregom mieć chciał! Nie masz ty żadnej obro- „ny przeciwko zwierzchności książęcia swego, a ja mam obronę „przeciwko królowi swemu: przysięgę jego, uczynioną pod zwierz- „chnością stanu kapłańskiego! W jarzmie ty, Litwinie, jako wół, „chodzisz, albo, jakoby zniewolona monsztukiem szkapa, pana „przyrodzonego na grzbiecie swoim nosisz; a ja, Polak, jako orzeł „bez pętlic, na swej przyrodzonej pod królem swym bujam swo- „bodzie!“

To tak naród polski śmiele do Litwy mówić może. A co mówię o Litwie, toż rozumiej i o Moskwie i o Wołoszech, o Turcech i o inych mocarstwach. Ilko ty widzisz z księstwa ludzi, tylko widzisz niewolników, a ilko widzisz Polaków, tylko widzisz swobodnych panów, którym kożdy inszy z księstwa niewolnik zawżdy z harcu tak ustępować musi, jako lwowi ustępują sarny, kozy albo dzicy jelenie... Zajęczego jest serca niewola: pierwej-ci ona ucieka, aniżli ją swoboda płosza; niechaj niewola w kamchach [1] albo w złotogłowach, na bedewiach [2] albo i na dzianetach [3] hardzie jeździ, niech sobie tytułów zdobywa a imi się ozdabia; nakoniec. niech sie ta sowa zjastrząbia, jako chce, przedsie sowa sową będzie, z orłem nigdy nie zrówna: dnia, to jest Polaka, chronić sie i nocy swej patrzyć musi; z tym orłem w słońce ta sowa nigdy równo patrzyć nie będzie!...

Pytajcie tych, którzy w sokalskiej bitwie [4] byli, — ci wam powiedzą, co dzielna wolność polska umie. Mikołaj Fierlej, Mikołaja Fierleja, kasztelana krakowskiego a hetmana wielkiego i mądrego (mogę tak rzec Fabiusza Cunctatora polskiego), syn..., przebiwszy sie przez wszystko tatarskie wojsko na zad wojska tatarskiego, zamordowany po bitwie nalezion jest. A cóż tego Fierleja inego przez wojsko tatarskie przeniosło było, jedno nie wolność a króla swego miłość?

W tejże bitwie Frydrych Herbort z Fulsztyna, gdy był cało z bitwy wyjachał, obróciwszy sie, postawszy mało nad bitwą, zarząsnąwszy wzgórę ręką, a ono rycerskie hasło zakrzyknąwszy: „O bezecna poczciwości [5], toć mnie dla ciebie dzisia gardło dać“! — ochynął sie [6] w ony ufy tatarskie i z wielką tatarską szkodą w kupie mężnych Kozaków, którzy z nim skupili sie byli, odbywszy [7] koni, z łuki, pieszki [8], ordę wszystkę tatarską na sobie dzierżawszy,

---

[1] kamcha = adamaszek. [2] bedew = koń arabski. [3] dzianet = rumak. [4] w roku 1519. [5] o, honorze szlachecki, z czci wyzuty. [6] ochynąć się = zanurzyć się. [7] odbyć = pozbyć się. [8] piechotą.

tam został i gardło swe między drużyną wierną swą mężnie dał, okupując cześć króla swego, poczciwość swą, a wolność królestwa polskiego krwią i śmiercią swą. O mężna polska cnoto, toć u ciebie nic podlejszego[1] nad śmierć nie jest! Chwalą Leonidę swego Grekowie, ktory tylko ze trzemisty ludzi, dzierżąc na sobie wszytki persyańskie wojska Xerxa króla, w ciasnych Termopilach tako upominał drużynę miłą swoję: *Pergite animo forti, o Lacedaemonii, hodie apud inferos fortasse coenabimus*[2]. Toż-ci też uczynił ten Herbort sławny nasz, który ku zmordowanej już bitwą drużynie tak wołał krzykliwie: „Tu, o wierna drużyno, gardło dajmy, cześć panu swemu po sobie zostawmy; miejsca lepszego nie będzie ku temu napotem, by cnota zapłatę swą w Polszcze miała". I nie był-liby był ten Herbort z Fulsztyna z drużyną swą onego pogrzebnego u Polaków napisu godzien, który Leonidas on zacny u Spartanów z Lacedemona miał?

Dic, hospes, Spartae, nos te hic vidisse iacentes,
Dum sanctis patriae legibus obsequimur!

Jak w broszurach politycznych, tak i w *pismach historycznych* wykazał Orzechowski niezwykły talent pisarski. Opowiedział on bardzo pięknie *Żywot i śmierć Jana Tarnowskiego*, a w skreślonych po łacinie *Rocznikach* (1554) niezmiernie żywo i zajmująco wyłożył współczesne dzieje Polski w ciągu lat 1548—1552. Do najżywszych ustępów należą te, w których prawi o własnych przygodach, o swych zatargach z władzą kościelną i o małżeństwie; jeszcze ciekawsze są ustępy, poświęcone burzliwym sejmom, zwłaszcza sejmowi z r. 1548, na którym zerwała się burza z powodu małżeństwa Zygmunta Augusta z Radziwiłłówną. Smutne wrażenie sprawiają te opowiadania Orzechowskiego, bo odzwierciedlają się w nich doskonale nierozum i prywata szlachty, która wciąż wołała: „Giniemy!", a która sama nie pozwalała na dokonanie pożytecznych reform, bojąc się, jak ognia, by nie utracić swej złotej wolności Ale jeszcze smutniejsze wrażenie sprawia rocznik dodatkowy, o wojnie kokoszej (1537), kiedy to szlachta, zamiast iść na wojnę z Wołochami, targowała się z królem i senatorami o swoje wolności i sposób egzekucyi. A Orzechowski, chociaż doskonale rozumie, że prywata wzięła górę nad dobrem ojczyzny, chwali jednak tę kłótliwą i warcholską szlachtę, nie szczędząc zresztą słów uznania stronnictwu przeciwnemu — senatorom. A tak zawsze i wszędzie palił i Bogu świeczkę i dyabłu kaganiec.

§ 32. Młodzież polska, kształcąca się we Włoszech, przywoziła z sobą do Polski nie tylko wiedzę, zwłaszcza znajomość literatury starożytnej, ale i obyczaje, ogładę towarzyską i wogóle cy-

---

[1] nic łatwiejszego. [2] idźcie śmiało naprzód, Lacedemończycy, dziś może siądziemy do uczty u bogów podziemnych! [3] Powiedz, wędrowcze, Sparcie, żeś nas tu widział poległych, posłusznych świętym prawom ojczyzny!

wilizacyę włoską, którą starała się potem krzewić we własnym kraju. Otóż jednym z jej najgorliwszych wielbicieli i krzewicieli był *uszlachcony mieszczanin* z Oświęcimia, **Łukasz Górnicki** (1527—1603), sprytny i giętki dworak, cieszący się względami Zygmunta Augusta i Stefana Batorego, *niepospolity stylista*, który, przy całem swojem uwielbieniu dla literatury i języków starożytnych, *pisał wyłącznie po polsku*, a władał mową ojczystą tak biegle, jak mało kto w XVI wieku: jego język nie ma wprawdzie tej żywości i siły, co język Orzechowskiego, ale posiada za to prawdziwy wdzięk i jakąś nieznaną przedtem w literaturze polskiej szlachetność. *Tej właśnie piękności i szlachetności języka zawdzięcza Górnicki swoje wysokie stanowisko w piśmiennnictwie wieku złotego*; przed Skargą ani jeden z prozaików naszych nie umiał budować równie pięknych, przejrzystych, choć czasem przydługich, okresów.

Nie był to umysł ani głęboki, ani samodzielny, ale, jako człowiek bardzo rozsądny i wykształcony, rozumiał doskonale, jakiem dobrodziejstwem jest dla narodu nauka i cywilizacya, a jaką szkodą nieuctwo i barbarzyństwo: „Iż *z głupstwa wszytki nieprawości rostą*, jeśli pirwej nie wypurguje[1] człowiek oczu umysłu swego, a nie będzie widział tej dobrej drogi, którą iść ma, nie jest rzecz można[2], aby kiedy sam z siebie przystojnie żyć mógł". Otóż postanowił Górnicki oświecać Polaków, dając im do czytania książki, pełne mądrości, w tem głębokiem przekonaniu, że bez mądrości człowiek nigdy nie będzie prawdziwie cnotliwym. A ponieważ za najwyższą mądrość poczytywał tę, którą stworzyli starożytni oraz Włosi, więc z jednej strony przyswajał literaturze ojczystej pisma starożytnych Rzymian (a mianowicie tragedyę *Troas* Seneki-poety i rozprawę *O dobrodziejstwach* Seneki-filozofa), a z drugiej — pisma Włochów. Mieszkając przez czas dłuższy we Włoszech, polubił tamtejsze wykwintne obyczaje w życiu towarzyskiem; to też podobała mu się niezmiernie piękna książka pisarza włoskiego Castiglione'go, p. t. *Dworzanin*, poświęcona właśnie pełnemu taktu i ogładzie życiu dworskiemu, i postanowił ją spolszczyć, aby i Polacy, których ogromna większość nie posiadała ogłady towarzyskiej, mogli się w niej rozmiłować. I oto wcześniej jeszcze, aniżeli *Żywot człowieka poczciwego* Reja, ukazał się *Dworzanin polski* Górnickiego (1566), jedna z najpiękniejszych książek polskich XVI wieku, będąca po części przekładem, a po części przeróbką *Dworzanina* włoskiego. Z zadania swojego wywiązał się Górnicki świetnie: jeżeli tłumaczy Castiglione'go, to tłumaczy doskonale, a jeśli go przerabia, to przerabia bardzo zręcznie, zawsze pamiętając o tem, że pisze dla Polaków. W oryginale włoskim rzecz dzieje się w Urbino, na dworze książęcym, w przeróbce polskiej — pod Krakowem, nad rzeczką Prądnik, w willi Samuela Maciejowskiego, biskupa krakowskiego

[1] wypurgować = wyczyścić. [2] niepodobna.

i kanclerza koronnego; tutaj to schodzą się wykwintni dworzanie, przyjaciele biskupa (Kostka, Derśniak, Bojanowski i inni), i rozmawiają o przymiotach i zachowaniu się prawdziwego dworzanina. W *Dworzaninie* włoskim udział w rozmowie biorą i kobiety, w *Dworzaninie polskim* — sami mężczyźni, bo, jak mówi Górnicki, „ani nasze Polki są tak uczone, jako Włoszki, ani drugie rzeczy, które owdzie są, cierpiećby ich uszy nie mogły“. Wogóle, pomijał Górnicki wszystko, co poczytywał dla Polaków za nieodpowiednie, a więc opuścił np. rozprawy o sztukach, z uwagi, że ogół Polaków jeszcze w nich nie zasmakował; opuścił też niektóre anegdoty, mianowicie nieskromne, bo te, jak mówi, mogłyby „poczciwe uszy obrazić“, i t. d.

Dworzanin polski składa się z czterech ksiąg. W pierwszej rozmowa toczy się na temat, jakie przymioty zdobić winny prawdziwego dworzanina. Dworzanin powinien być z urodzenia szlachcicem (bo tacy to już ludzie, że zawsze cenią wyżej szlachcica od nieszlachcica), z powołania rycerzem, pełnym męstwa i szlachetności, a nadto człowiekiem wykształconym, któryby znał dobrze języki obce, starożytne i nowożytne, któryby chętnie czytywał znakomitych poetów, mówców i historyków, umiał pisać dobrze listy, a nawet wiersze; któryby wreszcie odczuwał piękność muzyki. Ale to nie wystarcza: idealny dworzanin powinien być fizycznie zdrowym (w myśl zasady starożytnej: „Zdrowa dusza w zdrowem ciele“), biegłym we wszystkich ćwiczeniach rycerskich, a co najważniejsza, powinien mieć „przystałość“, t. j. *gracyę*, która polega na doskonałej naturalności, na zupełnej swobodzie, na braku wszelkiego „wydwarzania“ (t. j. przesady) zarówno w ruchach, jak i w mowie. To pojęcie gracyi, jako jednego z najpiękniejszych przymiotów człowieka cywilizowanego, było zupełną nowością w literaturze polskiej (nie ma go np. zupełnie w *Żywocie człowieka poczciwego* Reja): owoc to kultury obcej, włoskiej.

W księdze drugiej mowa o tem, jak ma dworzanin używać tych wszystkich swoich przymiotów, t. j. mowa o *takcie* towarzyskim, co znów było nowością w naszej literaturze. Jakie są ogólne przepisy zachowania taktu, tego Górnicki nie mówi — i słusznie, bo nauczyć się taktu niepodobna: jedynie dobre wychowanie i jakiś wrodzony instynkt mogą człowieka uczynić taktownym; mówi więc tylko Górnicki, że taktowny dworzanin ze wszystkich swoich przymiotów „uczyni jednę masę, tak, iżby każda sprawa jego pachnęła *wszystkiemi* cnotami“, a potem udziela różnych drobnych wskazówek, jak się ma dworzanin zachowywać wobec kobiet, wobec przyjaciół, przy grze, jak się ma ubierać i t. p. Do taktu towarzyskiego należy umiejętność rozweselania towarzystwa zapomocą *żartów*, a więc zapomocą bądź ucieszných i wesołych opowiadań (dykteryjek) i dowcipów, bądź psot i figlów (byleby nie bolesnych i nie szkodliwych); tym to żartom poświęca Górnicki większą

część księgi drugiej i przytacza za autorem włoskim całe mnóstwo dykteryjek, *uzupełniając je dykteryjkami własnemi, polskiemi.*

W księdze trzeciej toczy się kłótnia o kobietę: jedni uczestnicy rozmowy poczytują kobietę za najgorsze stworzenie pod słońcem, inni — za najlepsze i najszlachetniejsze; obrońcy kobiety zbijają zwycięsko poglądy swych przeciwników i kreślą idealny obraz „dwornej pani“: jak dworzanina, tak i „dworną panią“ powinny zdobić liczne przymioty, cnoty i nauki: „szlachcianką sie urodzić, strzedz sie wydwarzania, mieć wdzięczność we wszystkiem, co pocznie, mieć dobre obyczaje, umieć niemało rzeczy, mieć dowcip wielki, dobre baczenie, nie być hardą, zawistną, kłótliwą, swarliwą, kłamliwą, sprosną, ni o kim źle nie mówić“; z tem wszystkiem jednak powinna być inną, jak dworzanin: nie wolno jej utracać swej *kobiecości*, „bo, jako mężczyzna ma to w każdej sprawie pokazować, iż jest jako dąb, tak zasię w białejgłowie ma być coś pieszczonego, w miarę przystojnego żeńskiej niedużości, aby w staniu, w chodzeniu, w mowie i cokolwiek pocznie, nie było w niej znać nic mężczyńskiego“; słowem, powinna mieć kobieta swoją osobną gracyę i swój osobny takt — „mądrą powagę“, która nie pozwoli jej nic niestosownego powiedzieć, ani uczynić. O względy takiej kobiety dworzanin powinien się ubiegać ze wszystkich sił swoich.

Księga czwarta powraca od dwornej pani do dworzanina; jej główną treść stanowi rozmowa o celach, do jakich dążyć powinien dworzanin; nie wolno mu chować dla siebie wszystkich swoich przymiotów: dworzanin jest najbliższym towarzyszem swego pana (króla) i jego to powinien uszlachetniać, bo tym sposobem przyczyni się do szczęścia całego państwa, które zawsze „szczęśliwsze jest, gdzie król c n o t l i w y rozkazuje“. Nie dosyć na tem: prawdziwy dworzanin powinien nadewszystko ukochać najwyższe ideały ducha ludzkiego, a więc dobro i piękno, a ta miłość ideałów doprowadzi go do doskonałej miłości i poznania Boga, który jest najwyższą doskonałością i źródłem tych ideałów, do których dąży szlachetny i rozumny człowiek.

Oto ideał dworzanina polskiego, oto główne myśli, jakie Górnicki pragnął zaszczepić w swojem społeczeństwie. Ponieważ *Dworzanin polski* jest, z wyjątkiem kilku ustępów, przekładem lub przeróbką z włoskiego, więc za źródło do poznania obyczajów polskich uchodzić nie może: pod tym względem *Żywot człowieka poczciwego* Reja o wiele większą posiada wartość, bo pełno w nim rysów obyczajowych, wziętych wprost z życia szlachcica polskiego; te zaś rysy właśnie świadczą, że ogół szlachty nie miał nawet pojęcia o takiem życiu, jakie mu zalecał Górnicki: nie uganiał się za tak wysokiem wykształceniem, nie dbał o gracyę ani subtelny takt towarzyski, a rozmiłowany w gospodarstwie, nie miał zbyt wysokich dążeń duchowych. Żyć tak wykwintnie i szlachetnie, jak dwo-

rzanin Górnickiego, pragnęły, co najwyżej, najmędrsze i najszlachetniejsze jednostki. To też *Dworzanin polski* nie był wcale książką poczytną, co jednak nie przeszkadza, że *w historyi literatury naszej zajmuje stanowisko ważne, jako świadectwo dążności najukształceńszych ludzi XVI wieku do wysokiej kultury, a nadewszystko, jako piękność i wdzięk języka polskiego.*

Wstep (w skróceniu). Tuż u Krakowa jest rzeczka Prądnik. nad którą Samuel Maciejowski, krakowski biskup i kanclerz koronny, włoskim kształtem dom piękny zmurować kazał, jako dla wiela inych dobrych przyczyn, tak też dlatego, aby w tak osobnym [1] kraju, jaki jest około Krakowa, miał miejsce, gdzieby postronne ludzi a wielkich królów posły czcić mógł. Abowiem, mając on na sobie wielkie sprawy, dla których w jego domu u wszytkich gmachów drzwi zawżdy otworem stały, snadniej mógł na stronie, niż w mieście, uczynić temu dosyć. A w tem nie szukał ani rozkoszy żadnej, ani swej własnej chłuby [2], którą sie przyrodzenie jego hydziło [3], ale, pomniąc sie być mało nie pirwszym senatorem w Polszcze, pomniąc sie być urzędnikiem koronnym, ustawicznie to omyślał [4], skądby Król J. M. cześć, a naród polski sławę u postronnych miał ludzi. Które chwalebne jego staranie iżby tem łatwiej szło ku zamierzonemu kresu, natura macochą jemu nie była, ale taką matką, iż. co sobie człowiek jeden od niej żędać [5] może, to wszytko jemu była dała hojną ręką. Miał urodę prawie [6] pańską, twarz wdzięczną, z której niceś inego sędzić [7] nie mógł, jedno szczyry umysł a dobre serce; rozum ostry, nauki wiele, biegłości w rzeczach, dzielności w sprawach dosyć; czem wszytkiem dobrze szafować umiał, bo w szczęściu nadętości [8], a w nieszczęściu upadłej myśli znać nie było... [9]

Ten tedy taki biskup, Sokrates drugi, miał zawżdy około siebie zacne, uczone i dzielne ludzi; na co kosztu ani starania nie litował, garnąc takie ku sobie i wielkimi jurgielty [10] wzywając, tak, iż dwór jego był jedną osobną szkołą rycerskich ludzi, z którymi żył nie jako pan z sługami, ale jako ociec z syny... A iż ustawicznie mieszkał u dworu, cisnął sie do tego celniejszy z dworzan każdy, aby był w domu księdza Maciejowskiego nie gościem, gdzie i było zawżdy czego słuchać i miał plac człowiek pokazać to, co miał, w gromadzie onych osobnych ludzi, jakich tam pełno było...

Rychło tedy potem, kiedy Król J. M. po śmierci króla Zygmunta, świętej pamięci ojca swego, na regiment królestwa polskiego wstąpił i do Krakowa przyjechał, ksiądz Maciejowski, prze niebarzo sposobne zdrowie na Prądnik odjechawszy, siedm albo ośm

---

[1] Osobny = osobliwy, nadzwyczajny, piękny. [2] chłuba = chluba. [3] hydzić się = brzydzić się. [4] omyślać = obmyślać. [5] żędać — żądać. życzyć. [6] prawdziwie. [7] sędzić = sądzić. [8] nadętość = pycha. [9] upadła myśl = przygnębienie. [10] jurgielt (Jahrgeld) = pensya roczna.

dni tam mieszkał. A gdy do niego często dworzanie: pan Kryski, pan Wapowski, pan Aleksander Myszkowski, pan Derśniak, pan Bojanowski i ini zacni przyjeżdżali, trefiło sie raz, iż ksiądz biskup, po obiedzie u stołu siedząc (gdzie też był i J. M. pan Stanisław Maciejowski, kasztelan lubelski), gdy ktoś karty wspomniał, powiedział: „Azaby sie nie mogła naleźć jaka ina krotochwila, nie ta ustawiczna— karty? Czemuby też kto nie wniósł owego obyczaju do nas, który jest we Włoszech, iż ślachta zacna, polerując rozumy swoje, wynajduje na biesiedzie gry rozumne i tych używa, w których sie nierówno więtsza pociecha i pożytek najduje, aniżli w karciech? Zaprawdę W. Mciomby to przystało, którzy świeżo z Włoch przyjeżdżacie, nie zaniechywać tych dobrych zwyczajów, ale owszem do tego wieść drugie, żeby sie ich imowali. Panie Kryski, ku W. Mci ja mówię, któryś podobno lepiej, niż kto iny, włoskiej ziemie świadom: pokuś W. M. tego... Niechajby sie takowe gry od W. M. poczęły! Masz oto W. M. równe towarzystwo: pana Wapowskiego, pana Myszkowskiego, pana Derśniaka, którzy tego W. Mci radzi pomogą; i Kostka mój, chocia młody, jednak w tej mierze może sie popisać nie grubie“[1].

Na to pan Kryski tak odpowiedział: „Jako wiele inych obyczajów dobrych jest we Włoszech, Miłościwy księże, tak też ten, który ja barzo chwalę, iż ludzie zacniejszy mają tę zabawę pożyteczną ku obostrzeniu rozumu: gry rozmowne, i barzobym ja temu rad, aby sie ich też u nas ludzie niesprośni[2] jęli. Ale do wynalezienia i podania rzeczy ludziom trzeba człowieka wziętego, iżby to, co powie, szło w posłuch... A ja przed W. M. panem swym nie chciałbym sie źle popisać: bo ledajako mówić zeszłoby sie[3] gdzieindziej, mnie zwłaszcza, który mądrze mówić nie umiem, ale przed W. M. żadną miarą“...

Natenczas pan Andrzej Kostka tak powiedział: „Puścisz-li to W. M., Miłościwy księże, na one same, nie rychło sie na to zgodzą, kto będzie miał z nich te gry począć; aleby lepiej, żebyś to W. M. jednemu rozkazał, bo, kiedy to będzie, już sie żaden nie wymówi“...

Powiedział zasię ksiądz biskup. „Dobrze, Kostka, gdyś tego sam podał, trudniej tobie będzie, niż komu inemu z tego sie zedrzeć[4]. Tobie to rozkazuję, abyś począł, a swoję grę wynalazł“...

Zatem pan Kostka rzekł: „Nagła to na mię[5], M. Księże; nielza, jedno mi[6] sie do cudzej pomocy uciec, bo tak dobrej gry w swojej głowie nie najdę, jakąm raz we Włoszech słyszał.“

Ledwe tego domówił pan Kostka, kiedy przyszło pacholę, dając znać, iż komornik[7] z listy od króla J. M. przyjechał; które listy gdy ksiądz biskup wziął i przeczedł, iż sie wielkie rzeczy... w

[1] Nie bylejak. [2] wykształceni. [3] uszłoby. [4] wymówić się. [5] nagła (rzecz) to na mię = nie jestem do tego przygotowany. [6] nielza, jedno mi = muszę. [7] szambelan.

nich zamykały, zaraz wstać a dla odprawy ich do komnaty (bo ta rozmowa na sali była) iść musiał, zostawiwszy na miejscu swem J. M. pana Lubelskiego i przykazawszy, aby każdy był rozkazania jego posłuszen.

Po odeściu księdza biskupa rozkazał pan Lubelski, aby pan Kostka, jako począł, mówił; który w te słowa powiedział: „...Jabym chciał, aby ta nasza gra była, iżby każdy powiedział, którąby osobliwie cnotą chciał mieć ozdobionego tego człowieka, któregoby miłował...“

Pan Lubelski... tak powiedział: „Mnieby sie ta gra barzo podobała, ale mi idzie o to, żeście W. Mciowie jeszcze nie wszyscy wyprawili[1]... Pan Kryski nie powiedział gry swojej. A jeśli ja dobrze znam postawę[2] jego, widzi mi sie, że miał nam coś osobnego... powiedzieć. Weźmiesz to W. M. na się, panie Kryski, opisać i wymalować słowy doskonałego dworzanina; co tem ochotniej W. M. uczynisz, im to lepiej, niż kto iny, rozumiesz, jako wiele na posłuszeństwie należy, gdzie ma być porządek. A komu sie co inaczej, niż W. M. powiesz, będzie zdało, temu niech będzie wolno przeciwko W. M. mówić.

O gracyi w mówieniu i pisaniu. Pan Kryski rzekł: „...Mój dworzanin... będzie miał we wszytkiem gracyą, a zwłaszcza w mowie, jeśli sie strzedz będzie wydwarzania[3], której wady pełno wszędzie, a podobno u nas, w Polszcze, więcej, niż gdzieindziej; abowiem nasz Polak, by jedno kęs z domu wyjechał, wnet nie chce inaczej mówić, jedno tym językiem, gdzie troszkę zmieszkał: jeśli był we Włoszech, to za każdem słowem *signor*, jeśli we Francyej, to *par ma foi*, jeśli w Hiszpaniej, to *nos otros cavaglieros*; a czasem drugi, chocia nie będzie w Czechach, jedno iż granicę śląską przejedzie, to już inaczej nie będzie chciał mówić, jedno po czesku, a czeszczyzna, wie to Bóg, jaka będzie! a jeśli mu rzeczesz, żeby swym językiem mówił, to powieda, iż zapomniał abo że mu sie przyrodzony język prawdziwie gruby widzi, czego dowodząc, wyrwie jakie staropolskie z Bogarodzice słowo, a z czeskiem jakiem gładkiem słówkiem na sztych je wysadzi[4], aby swego języka grubość, a obcego piękność pokazał; nakoniec i z tem na plac wyjedzie[5], że niemal każdy w polskim języku wymówca[6] czeskich słów miasto polskich używa, jakoby to było naschwał[7] dobrze.“

Tu pan Aleksander Myszkowski powiedział: „Tedy sie to W. M. nie podoba, kiedy Polak bierze w polszczyznę czeskie słowa?“

Odpowiedział pan Kryski: „Niema sie co podobać, kiedy kto,

---

[1] wyprawić = powiedzieć swoje zdanie. [2] postawa = mina. [3] wydwarzanie = nienaturalność, wymuszoność. [4] na sztych wysadzić = porównać. [5] na plac z czem wyjechać = przytoczyć co jako dowód. [6] mówca. [7] nadzwyczajnie.

mając swe własne polskie słowo, zarzuciwszy ono, pożycza na jego miejsce z cudzego języka... Prawda jest, gdzieby słowa polskiego nie było na tę rzecz, którąby Polak okrzcić miał, abo w przetłumaczeniu z jednego języka na drugi potrzebowałby cudzego słowa, nie telko tego nie ganię, kiedy z tak podobnego naszej mowie języka, jaki jest czeski, weźmie słowo, ale też i z łacińskiego, zwłaszcza, jeśliby łatwie ku wyrozumieniu abo już nieco utarte słowo było, wziąć mu dozwalam. Takżeć podobno naszy wymówce polscy sławni czynili, czego nie rozumiejąc dzisiejszy, z onegoż wydwarzania, które tak barzo człowiekowi nie przystoi, przyszło im to, że jęli niewstydliwie w swój język kłaść dziwne słowa cudzoziemskie, a miasto słów wybornych polskich stawiać czeskie dobrze[1], niż nasze, podlejsze; za tem to idzie, iż tych nowych Cyceronów mało rozumiemy, a tego prosto nic, co nam kiedy na piśmie podadzą. I mnimają oni, by to był największy rozum tak mówić abo tak pisać, jakoby abo mało ludzi, abo żaden nie rozumiał, w czem jako błądzą, znacie to W. M. dobrze sami.“

Natenczas pan Myszkowski tak powiedział: „Dzierżę o tem, iż, ktoby tak mówił, iżby go trudno wyrozumieć, byłaby to silna wada, ale pismu, widzi mi sie, że to przynosi powagę jakąś, kiedy kto węzłowacie[2], a nie tak zbytnie łatwie, pisze“.

Powiedział zaś pan Kryski: „Nie wiem, czemuby inaksze pisanie być miało, niż mowa, gdyż pisanie nic inego nie jest, jedno jakiś kształt a wyobrażenie mowy, które zostaje, chociaż już człowiek wypowiedział, jakoby wizerunkiem tego, co sie rzekło; a prosto jest pisanie ta rzecz, która daje żywot słowom. Otóż ona trudność, która z słów cudzoziemskich roście, rychlejby sie jeszcze zeszła w mowie, niż w pisaniu, bo, gdy mówimy, ci, którzy nas słuchają, mogą spytać, jako sie co rozumieć ma, ale, kiedy ja cudze pisanie czytam, tam, gdyż niemasz tego, kto pisał, trudno mam wiedzieć, co to jest, czego wyrozumieć nie mogę.

O żartach (w skróceniu). Każda rzecz, która ku śmiechu pobudza, uwesela nas i daje sercu ochłodę, a ktemu nie dopuszcza, aby człowiek natenczas pomniał na owe frasunki a doległości teskliwe[3], któremi opływa nasz żywot. A przeto każdemu jest śmiech luby, i ten pochwały godzien, kto go na czas i dobrym kształtem wskrzesić umie... Otóż jakiego kształtu dworzanin w trefnowaniu[4] i po który kres używać go ma, tyle, ile mi pokaże moje błahe baczenie, postaram sie, abych tu na tem miejscu W. M. powiedział, bo ustawicznie trefnować nie przystoi dworzaninowi, ani też tym kształtem, jako szaleni, abo pijanice, abo błaznowie... Też około z uszczknieniem[5] trefnowania trzeba być barzo ostrożnym, aby człowiek wiedział, kogo dojechać ma...; z takimi telko kunsztować[6]

[1] Daleko. [2] zawile [3] dolegliwości przykre. [4] trefnować = żartować, dowcipkować. [5] uszczknienie = przymówka. [6] żartować.

i ich niedostatki strofować mamy, którzy ani są tak nędzni, żeby ku ulitowaniu serce poruszali, ani tak barzo niecnotliwi, żeby powroza byli godni, ani tak wieldzy, iżby najmniejszy ich gniew mógł nam uczynić wielgą szkodę...

Żart abo kunsztowna posługa nic inego nie jest, jedno jakieś oszukanie przyjacielskie w rzeczy ani szkodliwej, ani obraźliwej, a jeśli co, tedy nie barzo. Otóż, jako w trefnych powieściach [1], gdy kto co nad pomysł a mnimanie ludzkie wyrzecze, tak tu, gdy sie co komu nad nadzieję zstanie, hnet [2] sie temu ludzie śmieją. Ale te żarty najbarziej chwalą, w których jest najmniej sprosności i obrazy, a najwięcej misterstwa; i tychże dworzanin używać ma, bo ze szkodliwych żartów nieprzyjaźni i wielkie zaścia bywają. Żart tedy abo kunsztowna posługa dwojaka jest...: jedna jest, kiedy kto pięknym kształtem a misternie podejdzie kogo i zbłaźni [3]; druga jest, kiedy kto, nagotowawszy sidło, przynętą przywiedzie k niemu, iż sie sam człowiek ułowi... Pierwszej posługi przykład ten niechaj będzie.

Pan Giżycki stary, mając mieć jednego wielkiego pana, a snadź nieboszczyka pana krakowskiego [4], Szydłowskiego, (z którym pospołu z Prus po dokończeniu wojny jechał)u siebie w domu, powiedział mu miedzy inemi rzeczami, o które go w drodze, jadąc, pytał, jako ma żonę, która barzo nie słyszy, „tak iż muszę—prawi— okrutnie na nię wołać, niż które słowo zrozumie; a przeto nie radbych, abyś ją W. M. widział, a przeto miał ten niewczas [5] — wołać na nię, by na wilka“. Pan krakowski, onego żałując a rozpytywujac, z tem-li sie urodziła, czy jej to niedawno kiedy przyszło, żadną miarą inaczej nie chciał, jedno ją widzieć. Owa dla tej przyczyny samej, powiedając Giżycki, iż, „jeśli ja sam naprzód nie pojadę, tedy W. M. żony mej widzieć nic będziesz mógł“, dozwolił mu pan krakowski z ostatniego noclegu trzema godzinoma przed sobą wyjechać. Co gdy sie stało, przyjechawszy do domu Giżycki, powiedział takież żenie, iż pan krakowski barzo mało co słyszy, „a dlatego musisz—prawi—dobrze wołać, chcesz-li, aby cie zrozumiał“. Przyjechał zatem pan krakowski i przywitał silnym głosem panią, a pani też, rozumiejąc, iż pan krakowski nie słyszy, dobrze mu głośno podziękowała i szyrokiemi słowy opowiedziała radość swoję. Gdy potem do siedzenia za stół przyszło, pan krakowski, aby ludzkość [6] swą pokazał, ktemu, że pan Giżycki u stołu nie siedział, ale to tam, to sam, goście czestując, chodził, ustawicznie z panią Giżycką chciał mówić, a pani, będąc wielkiemu panu w domu swym rada, ochotnie mu odpowiedała, iż we wszytkiej izbie nikogo barziej nie było słyszeć, jako ich dwoje. Owa tego cały obiad było. Po

[1] trefna powieść = dowcipna anegdota. [2] wnet. [3] zbłaźnić = wystrychnąć na dudka. [4] pan krakowski=kasztelan krakowski. [5] niewczas= niewygoda. [6] grzeczność.

obiedzie pachołcy pana Giżyckiego, chocia mieli srogie zakazanie od pana, a wszakoż, gdy sobie to ten, to ów podraził[1], jęli pytać sług pana krakowskiego, dawno-li to J. M. przyszło, iż nie słyszy. Odpowiedzieli służebnicy pana krakowskiego: „Pan nasz dobrze słyszy, ale wy głuszkę panią macie!“ A gdy ci śmiać sie poczęli, obaczyli hnet służebnicy pana krakowskiego, iż pan Giżycki z pana dworuje[2], i hnet pana ostrzegli, tak, że pan krakowski z przodku sie gniewał, ale potem barzo sie śmiać musiał...

Co sie zasię wtórego żartu abo kunsztownej posługi dotycze, gdzie człowiek sam ułowić sie ma, nie wiem, jaki może być lepszy przykład..., jako jeden dworzanin króla starego[3], znając w towarzyszu swym ten defekt rozumu, iż miał wielką chęć ku czarnoksięstwu i siła o niem dzierżał, zmówił sie z babą, która pod zamkiem krakowskim... garce iłżeckie[4] przedawała, i zapłacił jej wszytki, aby je do jednego, kij wziąwszy, potłukła wtenczas, kiedyby on na zamku, w oknie stojąc, znak pewny uczynił. I ukazał jej okno, w którem stać chciał, a znak ten miał być—chustka, rozpostrzona i wisająca z ręki. Gdy to tedy sprawił, szedł na zamek i chodził sobie po wielkiej sieni, czyhając już na tego swego towarzysza, który rychło potem przyszedł, tak, że, skoro po daniu dobrego dnia jeden drugiemu począł pytać ten, co później przyszedł, czemuby on tak chodził, a do izby wniść nie chciał, a ten mu odpowiedział: „niemasz—prawi—po co, bo król J. M. jeszcze w komnacie ani tak prędko z niej wynidzie; ale oto chodźmy tu sobie radniej[5] abo pódźmy do okna,“ — i zaraz szedł w ono naznaczone okno; a towarzysz też, widząc, iż nie miał co w izbie sam czynić, szedł z nim pospołu, tak, że, mówiąc to to, to owo, przyszli w rozmowie do czarnoksięstwa; i jął ów, komu to czarnoksięstwo tak barzo smakowało, wychwalać tę naukę, powiedając, iż na świecie niemasz nad nię, a żałując tego, że sie natenczas nie urodził, kiedy jej w krakowskich szkołach jawnie uczono. A ten, słuchając, powiedział: „Cobyś dał, kiedyby sie kto obrał, a chciał cie jej nauczyć?“ A ów zasię rzekł: „Dałbych — prawi—sto i drugie złotych, ba, i dalejby mię wyciągnął!“ Odpowiedział ten: „Kiedybyś to ziścić chciał, a był tajemnym, powiedziałbych ja tobie o jednym, który sie u Twardowskiego uczył i tak wiele, jako on umiał, umie; i jest go z to[6], że cie nauczyć może.“ Hnet ów na Bóg żywy przysiągł i dał rękę, obiecując poczciwem słowem nikomu na świecie o tem nie powiedzieć ani tego człowieka wydać. „A to ja – prawi — uczeń Twardowskiego: więcej, niż mnimasz, nauczyć cie mogę, jedno mi zdzierż słowo, jakoś obiecał.“ „A umiesz ty — odpowiedział zatem ów — zabitą śmierć[7]: nie takbyś sie ty miał, gdybyś co rozumiał w tej

[1] Podrazić sobie = podchmielić sobie. [2] dworować = żartować. [3] t. j. Zygmunta Starego. [4] Iłża—miasteczko niedaleko Sandomierza, sławne z wyrobów garncarskich i sukna. [5] raczej. [6] stać go na to. [7] umieć zabitą śmierć — przysłowie: nic nie umieć.

nauce!“ Rzecze ten zasię: „Nie trzeba wiele[1], hnet sie to pokaże, jeśli co umiesz; atoli rozkaż mi co dziwnego uczynić, — uźrzysz, prawdę-li mówię, abo kłamam; a chcesz-li, uczynię to: widzisz onę niewiastę, co garce przedaje? (i ukazał ją z góry); ta, gdy ja kilka koniuracyi[2] zmówię, potłucze hnet te wszytki garki kijem“. Począł ów dopiero tem więcej bić na to[3] i spór dzierżeć, powiedając, żeby tego nigdy dowieść nie miał. Owa sie założyli i sadzili[4] po 30 czerwonych złotych. Zatem ten, obróciwszy sie kilkakroć w koło, pocznie mruczeć w rzeczy[5] koniuracye, a i tedy i owedy słowo jakie niezwykłe głośniej wyrzecze, aby ów mnimał, że dyabłów wzywa. Aż dobył kartki jakiejś pergaminowej, na której kilka liter, potwornie wymalowanych, było, a raz w tę, jako w tęczę, drugi raz w ziemię pilniuchno patrząc, rzekł tak: „Patrzże teraz!“ I spuścił z ręki onę chustkę nieznacznie, aby wisiała. A baba, widząc znak, zaraz kij porwała i poczęła tłuc ony garce, tak, iż je do jednego potłukła. Zdumiał sie ów, co na to patrzał, a nic nie żałując przegranych pieniędzy, uczniem jego być i dać, co namienił, obiecał. Tegoż dnia królowi ten, co wygrał, wszytkę rzecz powiedział. Nazajutrz król uczynił sobie rzecz[6] o czarnoksięstwie z onym dworzaninem, który zakładu przegrał, i dał mu to znać, iżby rad miał takiego człowieka, któryby sie z tem rozumiał. Wnet dobry pan, zapomniawszy przysięgi swej, rozumiejąc, że sie miał tem królowi barzo przysłużyć, na onego dworzanina, towarzysza swego, jako jest osobny w tej nauce, i onę wszytkę o garcach historyą wypowiedział. Król hnet onego do siebie kazał zawołać i rzekł mu, w oknie stojąc, a na onę babę patrząc, która sie znowu na garki była zdobyła: „Słysz! A kiedyby[7] znowu co takiego trefnego z czarnoksięskiej nauki uczynić, a chociaż to, aby ta baba zasię garki potłukła?“ A ten odpowiedział: „Miłościwy królu, musiałbych sie znowu z nią zmówić!“ Słysząc to ów, który przegrał, i rozumiejąc po śmiechu, iż król wie o wszytkiem, barzo sie sromać musiał, a od tych czasów czarnoksięstwu dał pokój, bojąc sie, aby co gorszego nań nie przyszło.

O piękności (w skróceniu). Z Boga piękność sie rodzi, a jest nieoddzielona od dobroci, jako gorącość od ognia. Cudność tedy zwierzchnia[8] prawdziwy znak jest a piątno wnętrznej dobroci, jako piękny kwiat na drzewie znakiem jest dobrego owocu; a my przez to, co widzimy, dochodzimy tego, czego widzieć nie możemy, to jest umysłu—przez ciało; skądże to jest, iż owi fizyognomowie z twarzy a z położenia członków nie telko obyczaje, ale i myśli czasem człowiecze wiedzą. I myśliwiec, pożrzawszy na psa, na ptaka,

---

[1] Niedługo czekać. [2] koniuracya= zaklęcie. [3] bić na co=uporczywie domagać się czego. [4] sadzić=stawić (w zakładzie). [5] niby to. [6] uczynić sobie rzecz=wdać się w rozmowę. [7] a gdyby tak. [8] piękność fizyczna.

już hnet wie, co w nim wre, jeśli rączy, jeśli łuczny[1], jeśli łowny abo gniewliwy, bo duch każdego źwirzęcia na ciele swem wyraża, jako najbarziej może, siebie. Patrzmy na lwa, na konia, na orła, jako w oczu jednego znać gniew, w drugiego oczu bystrość, w trzeciego nadętość jaką; pódźmyż zaś do owce, do gołębia: tam szczyrą a prostą widzimy niewinność, a w liszce, w wilku złość pokrytą. I tak niemal we wszytkich źwirzętach: co żadne[2], to i złe, a co piękne, to i dobre...

Owa, kto sie temu chce przypatrzyć, tedy tak najdzie, iż cokolwiek jest dobrego a użytecznego, to każda rzecz ta ma i piękność w sobie. A to nad świat ten, tę tak wielką machinę, którą Pan Bóg ku pożytku a zachowaniu w dobrej mierze wszytkich rzeczy stworzył, i możeż być co cudniejszego? Niebo okrągłe, ozdobione tak wielem jasnych pochodni; w pośrodku ziemia, żywioły ogarniona i niczem nie podparta, stoi; słońce, które, obchodząc ten krąg, wszytko oświeca, zimie do najniższego na niebie znaku schodzi, a zaś znienagła odchodzi, a przychodzi lecie[3] ku najwyższemu znakowi. Nuż miesiąc! Ten bierze od słońca światłość, podług tego, jako blizko od niego abo daleko chodzi, i drugie pięć gwiazd, z których każda, inaczej a inaczej postępując, tenże bieg w krąg nieba odprawuje: to te wszytki rzeczy, jako z swej zamierzonej miary nigdy nie wychodzą (bo gdzieby sie co namniej odmieniło, nie telkoby dobre nasze zginęło, ale świat bez pochyby[4] upaśćby musiał), tak też zasię mają taką piękność w sobie i ozdobę, iż rozum człowieczy nic piękniejszego wymyślić sobie nie może.

Pódźmyż do wyobrażenia naszego, bo człowiek może być nazwan małym światem! Cokolwiek ma w sobie, wszytko w nim jest mądrze uczyniono, a pewnie nie przygodnie tak sam stanął; abowiem... najcieńsza żyłka, najliższa[5] kosteczka jest mu potrzebna; a ten kształt wszytek człowieczy przedsię jest barzo piękny, i nie wiem, jeśli pożytek więtszy czyli ozdoba ciału jest ze wszytkich tych członków, których używamy. To sie też o inych zwierzętach powiedzieć może. Owo pierze u ptaków, liście i rószczki na drzewie, co natura dała obojgu temu[6] ku potrzebie i zachowaniu swojej istności, a wdy[7] i to ma wielką cudność w sobie.

Ale nie patrzmy na przyrodzenie, patrzmy na to, co człowiek rozumem i ręką urobi! W okręcie a co jest potrzebniejszego, jako maszty, jako żagle, jako powrozy, co to trzymają? a wdy te rzeczy mają tyle ozdoby w sobie, iż, kto na to patrzy, mnima, aby nie tak wiele dla pożytku, jako dla napasienia oczu to było uczyniono. Filary kształtowne trzymają na sobie w kościelech wysokie sklepy, i nie mniejsza z tego jest oczom uciecha, niż pożytek kościołowi... A tak piękność wszędzie tam ma miejsce, gdzie ma być co dobre-

[1] Mający dobre oko. [2] żadny = szpetny. [3] lecie (miejscownik) = w lecie. [4] niechybnie. [5] najliższy = najlichszy. [6] t. j. ptakom i drzewu. [7] wdy = wżdy, przecie.

go; i dlatego odtąd[1] więc zawdy chwalić poczynamy, mówiąc: piękny dzień, piękne niebo, piękna ziemia, piękna rzeka, piękny kraj, piękny las, piękna łąka, piękny sad, piękne drzewo, piękne miasto, piękny kościół, piękny dom, piękny poczet, piękne wojsko i dalej. Owa sie każda rzecz pięknością zdobi i jest, jakom pirwej powiedział, nieoddzieloną od dobroci, zwłaszcza w człowieczem ciele; bo takowej cudności ina przyczyna nie jest, jedno piękność duszna, a taż jest istotną dobrocią; bo dusza, mając cząstkę jednę prawdziwej cudności, to jest tej, która od Boga płynie, rozświeca i czyni każdą rzecz piękną, której sie jedno dotknie, zwłaszcza, jeśli ciało to, w którem mieszka, nie jest z tak grubej a podłej materyej, iżby dusza na niem wyrazić swego wzoru nie mogła. Przeto cudność jest znak zwycięstwa dusznego, jako owa chorągiew, co ją wytkną z wieże po wzięciu miasta: bo przez takową cudność, jako przez chorągiew, już dusza daje znać, że opanowała ciało, a swoją światłością jasne uczyniła cielesne ciemności...

Jeśli tedy ta piękność, którą oczyma śmiertelnemi tu, na ludziech, widamy,... zapala serca nasze i przynosi taką uciechę, iż więc drugi nic nad to milszego nie ma, cóż tamta niebieska, na którą patrząc, aniołowie są błogosławieni?... Wiem pewnie, jako tej piękności żaden rozum ogarnąć, żaden język wysłowić nie może, tak też ani rozkoszy, którą te szczęśliwe dusze mają, co ku widzeniu onej do nieba przyszły, nikt wypowiedzieć nie umie. Abowiem ta piękność początkiem jest i studnią, z której wszytcy czerpają, a jej przedsię ani ubywa, ani przybywa, ale, w swej mierze ustawicznie stojąc, wszytkim na świecie pięknym rzeczam swej piękności użycza, bo przez się piękności miećby nie mogły, jako ta niebieska piękność przez się sama i od siebie piękność ma nieprzyrównaną, wieczną, szczyrą a nieodmienną. Taż to jest piękność od najwyższej dobroci nieoddzielona, która swą światłością wzywa i ciągnie ku sobie wszytki rzeczy.

Obróćmyż tedy myśli wszytki i siły duszne nasze ku tej najświętszej światłości, która nam drogę do nieba pokazuje, a z tą (zwlekłszy z siebie żądze i chciwości cielesne, w któreśmy sie tu, na ziemi, oblekli) po tej drabinie, która na spodnim szczeblu ma cień jakiś piękności, idźmy aż do onego najwyższego gmachu, gdzie niebieska, pożądana a istotna piękność mieszka, która w tajemnem zamknieniu u Boga najwyższego jest dlatego, iżby telko święte oczy patrzeć na nię mogły. A tu dopiero ostatni i błogosławiony kres i koniec najdziem naszym żądościam[2]; tu odpoczynie każdy z prac ziemskich; tu wytchnie z nędz, w których opływa człowieczy żywot; tu sie uleczą cielesne choroby; tu będzie najpewniejszy port nam wszytkim, którzy na świecie, jako na rozgniewanem a niebezpiecznem morzu, mieszkamy. Ale któż może miłość niebieską tę,

[1] Od piękności. [2] żądość = pożądanie, dążenie.

która z piękności, z dobroci, z mądrości boskiej sie wznieca, doskonale chwalić! Ona wszytki części świata spaja; ona przyczyną jest, iż niebieska zwierzchność ziemską sprawuje; ona odwraca umysły ludzkie od bezeceństwa, a przywraca je Bogu, jako tej studni, z której wyszły; ona żywioły jednoczy, naturę spasabia k temu, iż wypuszcza wszytko z siebie i zachowuje każdy rodzaj w istności swojej; ona rzeczy rozproszone zgromadza; niedoskonałym doskonałość, ziemi owoc, morzu uspokojenie, niebu światłość ożywiającą daje; z niesprzyjaźliwych sobie rzeczy sprzyjaźliwe, a z niepodobnych do siebie podobne czyni; ona jest matką rozkoszy, pokoju, cichości, dobrotliwości, a wielkim nieprzyjacielem nieludzkości i obrzydłej gnuśności; owa[1] jest i początkiem i końcem wszytkiego dobrego.

§ 33. Z Włoch przywiózł z sobą Górnicki do Polski nie tylko ogładę towarzyską, ale i to mądre przekonanie, że takie tylko państwo może być szczęśliwe i potężne, które, obok praw sprawiedliwych, posiada nadto silny rząd, czuwający nad wypełnianiem praw. Takie szczęśliwe państwo oglądał Górnicki we Włoszech — mianowicie Wenecyę, a kiedy porównywał z nią Polskę, widział jasno, że jego ojczyzna nie posiada ani praw sprawiedliwych, ani silnego rządu. Zresztą o złem prawodawstwie wiedział już Modrzewski, ale żądanie, aby wzmocnić rząd, aby rozszerzyć władzę królewską, wypowiedział dopiero Górnicki. Przyczyną zaś słabości rządu była złota wolność, a raczej swawola i samowola szlachecka. Wprawdzie Batory umiał ją trzymać na wodzy, ale po jego śmierci odrazu się pokazało, jakie to owoce wydaje złota wolność: część szlachty obrała na króla Zygmunta szwedzkiego, a część Maksymiliana austryackiego; na polu elekcyjnem pod Warszawą dobyto broni, a żeby osadzić na tronie Zygmunta, musiał Zamojski toczyć wojnę z Maksymilianem i jego stronnikami. Otóż pod wrażeniem tej elekcyi napisał Górnicki *Rozmowę Polaka z Włochem* (1588).

Polak i Włoch rozmawiają o Polsce. Polak jest tego zdania, że w Polsce jest tak dobrze, jak nie może być lepiej: „Cóż ty mówisz, Włochu? a prawda, że nigdziej takiej wolności niemasz, jako w Polszcze? Oto wolnie obieramy sobie pana: nie rodzi się nam pan, jako we Włoszech, w Iszpaniej, we Francyej! Do elekcyej każdy tu należy, a waży głos najuboższego szlachcica tak, jako najwiętszego pana. Powiedzże mi, gdzie taka na świecie wolność?... Niemasz u nas nic, z łaski bożej, czegoby nie chwalić: i wolność dobra... i prawo tak dobre, jakiego nie ma żadne królestwo!“ Na pytanie Włocha, co pojmuje przez wolność, Polak odpowiada: „Wolność to jest módz żyć, jako kto chce“; a głównymi warunkami tej „prawdziwej“ wolności są, zdaniem Polaka, elekcya *viritim* oraz słynne prawo *Neminem captivabimus* (Nikogo nie będziemy więzić, póki nie przekonamy go prawem). Włoch bardzo mądrze zwalcza to wszystko, co

[1] Słowem.

mówi Polak, dowodzi mu, że elekcya *viritim* jest zgubna, że prawa polskie są niesprawiedliwe, skoro szlachcie tylko folgują, a chłopów i mieszczan krzywdzą; że sądy polskie są złe, skoro tak łatwo się krzywoprzysięstwem od zasłużonej kary wykręcić; że granice polskie stoją nieprzyjacielowi otworem, skoro niema fortec ani zamków obronnych, — słowem, Włoch surowo krytykuje rządy szlacheckie: anarchię i złotą wolność. Al Polak nie da się zbić z tropu i na każdy zarzut Włocha ma zawsze odp wiedź w kieszeni, a jedna od drugiej głupsza. Tak np., kiedy Wło skarży się na niewolę chłopów, Polak odpowiada: „Tak jest, iż *plebs* u nas nie zażywa wolności, ale też jej chłopstwu nie trzeba, bo wolnoś byłaby ku ich skazie [2]: kto dusze swej używać nie umie, temu lepiej, żeby tej nie miał, a był umarłym, niż żywym, a jeśli tego potrzeba, iżby taki człowiek był żyw, tedy lepiej, żeby był niewolnikiem, niż wolnym człowiekiem. I dziecięciu wolności nie dajemy, bo go chciwości [3] sprawują, nie rozum; także też wolności ten nie godzien, kogo ciało, a nie dusza sprawuje“. Kiedy Włoch dowodzi, że prawo *Neminem captivabimus* jest złe, Polak odpowiada: „Włochu, Włochu, jużbyśmy naszej wolności zadzwonić ku pogrzebowi mogli, gdyby szlachcica było poimać wolno“. Na zarzut, że niema twierdz na granicach, Polak daje odpowiedź: „Co nam po tych miastach abo po murach? Lacedemonianie mieć ich nie chcieli, ukazując na ludzi, na których męstwie a sile, nie w murach zdrowie każdej rzeczypospolitej i każdego królestwa zawisło; więtszą skazę przynoszą miasta, niż naprawę... I Tatarowie tem mocni są, i nikt ich nie zwalczył, iż miast nie budują“. A kiedy Włoch łapie Polaka za słowa, pytając, czemuż więc własną piersią granic ojczyzny nie broni, ten odpowiada: „Byłaby to wielka niewola, żeby mię kto z mej ojczyzny zegnać miał i kazał mi, jako na kraj świata, pod Tatary“ i t. d.

Wogóle odpowiedzi Polaka są tak nierozsądne, że czasem zdaje się iż Górnicki wpada w przesadę; na nieszczęście, żadnej przesady tu niema takich Polaków, jak ten, który z Włochem rozmawia, było wielu, bardz wielu; ogół szlachty nie rozumiał albo też nie chciał słuchać i rozumieć głosu ludzi mądrych, którzy rozumieli, że złota wolność prowadzi Polskę do upadku. Otóż *Rozmowa* Górnickiego jest wybornem odzwierciedleniem opinii publicznej dwu stronnictw, które istniały w Polsce aż do samego jej upadku: nierozsądnej większości, zadowolonej ze wszystkiego, co jest, nie pragnącej żadnych reform, wierzącej w potworną zasadę: „P o l s k a n i e r z ą d e m s t o i“, — i mądrej mniejszości, domagającej się reformy. Przedstawicielem tej większości jest Polak, a mniejszości — Włoch. W jego to usta wkłada Górnicki smutną przepowiednię: „Podobno ani ja, ani ty nie doczekamy tego, żeby Polacy kiedy o radzie pomyślić chcieli. Sądy boże pędzą was, jako wiatry na morzu okręt, a co wiedzieć, jeśli ku portowi, czy ku zginieniu? W czem sami sobie będziecie winni. Dobrze mówią ludzie oni dawni mądrzy: ani księstwa, ani królestwa, ani monarchiej nieprzyjaciel nie skazi, ale samo to siebie każde, gdy czas skazy

---

[1] gmin, pospólstwo. [2] skaza = szkoda. [3] popędy.

przyjdzie, zepsuje. A czas skazy wtenczas przychodzi, gdy Rzeczpospolita abo królestwo tak wiele popełni grzechów, iż Pan Bóg ich dalej cierpieć nie może: *abowiem nie jednoć te tylko są grzechy, które człowiek każdy zosobna popełni; ale są i te grzechy, a daleko cięższe, które popełni Rzeczpospolita*".

Ale wiedział Górnicki, że głos jego nie będzie wysłuchany, albo też bał się narazić opinii publicznej (która za Zygmunta III stawała się coraz to drażliwszą): więc dzieła swojego drukiem nie ogłosił; wydali je dopiero po jego śmierci synowie, już w XVII wieku (1616).

Jedno jeszcze dzieło Górnickiego, napisane w ostatniem dziesięcioleciu XVI w., zasługuje na uwagę: *Dzieje w Koronie polskiej* — opowiadanie o wypadkach za panowania Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta. Są to raczej pamiętniki, aniżeli dzieje, autor bowiem to tylko opowiada, co sam na własne oczy widział albo co sam słyszał; pomija więc często rzeczy ważne, a długo i szeroko rozpisuje się o wypadkach, może bardzo ciekawych (zwłaszcza, że opowiedzianych niezmiernie zajmująco), ale nie najważniejszych, jak np. o przygodach nieszczęśliwej Halszki Ostrogskiej, wydanej przemocą za mąż za Dymitra Sanguszkę, a po jego śmierci za Łukasza Górkę. Jako źródło historyczne, *Roczniki* Orzechowskiego mają wyższość nad *Dziejami* Górnickiego, ale, jako utwór literatury pięknej, posiadają *Dzieje* wartość niepospolitą przez prostotę i wdzięk opowiadania.

§ 34. Dzięki Rejowi, Orzechowskiemu, Górnickiemu i innym jeszcze pisarzom proza polska już za panowania Zygmunta Augusta osiągnęła wysoki stopień doskonałości; lecz do zupełnego rozkwitu literatury brakowało jeszcze poezyi: na rymach wprawdzie nie zbywało już za Zygmunta Starego, był i utalentowany poeta, Janicki, ale ten uprawiał poezyę tylko po łacinie, — poezyi polskiej nie było. Tę stworzył dopiero **Jan Kochanowski,** pierwszy natchniony poeta nie tylko w Polsce, ale w całej Słowiańszczyźnie, który pieśnią swoją zasłynął już za Zygmunta Augusta, lecz którego najwspanialsze dzieła przypadają dopiero na czasy króla Stefana.

O życiu Kochanowskiego posiadamy bardzo szczupłe wiadomości. Urodził się w r. 1530 w Sycynie (w ziemi radomskiej). Pierwsze nauki zawdzięcza dobrej i rozumnej matce; gdzie chodził do szkół, niewiadomo. W czternastym roku życia wstąpił do akademii krakowskiej i, prawdopodobnie, już w Krakowie, z jednej strony, pod wpływem rozczytywania się w poetach starożytnych, zaczął probować sił swoich w pisaniu wierszy łacińskich, a z drugiej, pod wpływem rozbudzonego przez reformacyę żywego ruchu religijnego, tworzył w języku ojczystym pieśni religijne. Jak długo był uczniem akademii i gdzie przebywał po jej opuszczeniu, tego znów nie wiemy. W dziewiętnastym czy w dwudziestym roku życia, spragniony nauki i wiedzy, wyjechał na studya do Włoch; najdłużej bawił na najsłynniejszym wówczas w Europie uniwersytecie — w Padwie.

Ukochanym przedmiotem jego studyów były języki starożytne: we Włoszech to wyrósł Kochanowski na jednego z najznakomitszych na całym świecie humanistów, na głębokiego znawcę autorów starożytnych, i to zarówno łacińskich, jak greckich; z zapałem ćwiczył się w poezyi łacińskiej, mianowicie w pisaniu elegii miłosnych: miłość, jak mówi, nauczyła go „słodkie składać wiersze“. Ale składał je nie tylko po łacinie: we Włoszech minął już był czas ślepego uwielbienia dla poetów starożytnych; już nastąpił bujny rozkwit poezyi włoskiej, narodowej, i jeszcze na lat kilkanaście przed urodzeniem Kochanowskiego wyśpiewał Ariosto swój wspaniały poemat p. t. „Orland szalony“. Otóż Kochanowski wziął się pilnie do czytania poetów włoskich, poznał Ariosta, z dawniejszych poetów — Petrarkę, zapewne i Dantego, i dzięki temu coraz utrwalał się w przekonaniu, że poezya może i powinna rozwijać się w języku narodowym: to też za pobytu we Włoszech powstawały, obok łacińskich, „słodkie wiersze“ polskie.

Z Włoch udał się Kochanowski do Francyi i tu ujrzał w literaturze to samo zjawisko, co we Włoszech: rozwój poezyi w języku narodowym — pod przewodem Ronsarda, który pięknemu hołdował poglądowi, że „zbrodnią jest pomiatać żywym językiem ojczystym, a odgrzebywać Bóg wie jakie popioły“. Więc we Francyi silniej jeszcze rozwinęło się w Kochanowskim poczucie obowiązku tworzenia w języku narodowym; i tutaj to, *w Paryżu, powstała (jak wieść niesie), pierwsza natchniona pieśń polska, wzniosły hymn do Boga: „Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary?“* Jak jaskółka, zwiastująca wiosnę, przyleciała ta pieśń z Paryża do Polski, która dowiedziała się, że ma nakoniec natchnionego poetę: czytano ją podobno w ziemi sandomierskiej na jakimś zjeździe szlachty (w r. 1556), na który, pomiędzy innymi, przybył i Rej; otóż, jak mówi podanie, Rej poznał się na piękności hymnu i głośno oświadczył, że uznaje się za zwyciężonego przez młodego poetę:

Temu w nauce dank przed sobą dawam [1]
I pieśń bogini słowieńskiej [2] oddawam.

A tymczasem młody poeta wciąż jeszcze bawił we Francyi i uczył się. Dopiero w roku 1557 śmierć matki (ojca stracił o dziesięć lat wcześniej) zniewoliła go do powrotu do kraju dla załatwienia interesów spadkowych. Po długich zatargach z rodzeństwem otrzymał Kochanowski na własność połowę wsi Czarnolasu. Lecz nie odrazu osiedlił się tu na stałe: przez długi czas był dworzaninem to możnych panów, to Zygmunta Augusta, który mianował go swoim sekretarzem w uznaniu wielkich zasług, położonych dla piśmiennictwa ojczystego: bo teraz dopiero zasłynął Kochanowski już w całej Polsce, jako autor pięknych pieśni, dowcipnych fraszek i większych utworów poetycznych, jakoto: *Satyr*, *Szachy* i inne. Natomiast w życiu politycznem nie odegrał wybitniejszej roli; do stanu duchownego nie czuł powołania, to też nie chciał wyświęcić się na księdza,

---

[1] Dawać dank = oddawać pierwszeństwo. [2] pieśń bogini słowieńskiej = poezya polska.

pomimo że namawiał go do tego jeden z licznych jego przyjaciół i wielbicieli, biskup i podkanclerzy, Piotr Myszkowski, który mu nawet ofiarował probostwo w Poznaniu i w Zwoleniu; nie nęciła go i służba rycerska, chociaż w roku 1568 brał udział w wyprawie Zygmunta Augusta na Moskwę, w wyprawie, która jednak zakończyła się bez wojny; a życie dworskie, pomimo że wesoło spędzał czas w gronie przyjaciół, sprzykrzyło mu się nakoniec. Więc w roku 1571 usunął się od gwarnego i hulaszczego życia w Krakowie i zamieszkał na wsi, w Czarnolesie; po pewnym czasie ożenił się z Dorotą Podlodowską i odtąd, jak sam powiada, „wiodłem swój żywot tak skromnie, że ledwie kto wiedział o mnie". Szczęście rodzinne zdruzgotała jednak śmierć ukochanej córeczki, Orszulki, za którą poszła wkrótce starsza siostra, Hanna. Odtąd więcej jeszcze unikał zgiełku światowego, chociaż to, co się działo w Polsce, obchodziło go zawsze bardzo żywo. Jan Zamojski ofiarował mu kasztelanię, — on jej nie przyjął, mówiąc, że boi się w dom swój wprowadzać kasztelana, bo ten zjadłby to, co zapracuje Kochanowski; piastował tylko dany mu przez Stefana Batorego urząd wojskiego sandomierskiego. W Czarnolesie, w zaciszu wiejskiem, napisał najznakomitsze swoje utwory: *Pieśń świętojańską o Sobótce*, *Odprawę posłów greckich*, *Psałterz* i *Treny*, oraz przygotowywał do druku utwory drobniejsze; ale zdążył wydać tylko *Fraszki*: w roku 1584, podczas pobytu w Lublinie, padł, rażony apopleksyą, i dopiero w rok po śmierci ukazały się w druku jego pisma zbiorowe pod tytułem *Jan Kochanowski.*

Był to poeta z bożej łaski, który tworzył nie dla zysku i nie dlatego, aby innych uczyć czy to mądrości, czy cnoty, ale głównie dla miłości samej poezyi, która była mu potrzebą serca, była mu tem samem, czem śpiew dla ptaka; o sławę chodziło mu bardzo, ale nie o sławę doczesną, nie o rozgłos za życia, ale o sławę po śmierci, o nieśmiertelną chwałę:

> *Sobie śpiewam a Muzom!* Bo kto jest na ziemi,
> Coby serce ucieszyć chciał pieśniami memi?
> Kto nie woli tym czasem zysku mieć na pieczy,
> Łapając grosza zewsząd, a podobno k rzeczy [1]:
> Bo z rymów co za korzyść krom próżnego dźwięku?
> Ale, kto ma pieniądze, ten ma wszytko w ręku:
> Jego władza, jego są prawa i urzędy,
> On gładki [2], on wymowny, on ma przodek wszędy...
> Nie dziw tedy, że ludzie cisną sie za złotem,
> A poeta, słuchaczów próżny [3], gra za płotem,
> Przeciwiając sie świerczom, które nad łąkami
> Ciepłe lato witają głośnemi pieśniami.

---

[1] k rzeczy = słusznie. [2] piękny. [3] próżny czego = pozbawiony czego.

Jednak mam tę nadzieję, że przedsię za laty[1]
Nie będą moje czułe nocy[2] *bez zapłaty,*
A co mi za żywota ujmie czas dzisiejszy,
To po śmierci nagrodzi z lichwą czas późniejszy!
I opatrzył to dawno syn pięknej Latony[3],
Że moich kości popiół nie będzie wzgardzony!

W nadziejach swoich nie zawiódł się Kochanowski: potomność orzekła, że on jest największym poetą niepodległej Polski, że nie było u nas większego poety przed Mickiewiczem. *Poetą genialnym nie był: wyobraźnię miał żywą, ale niezbyt bujną; uczucie szczere, szlachetne, serdeczne, ale nie płomienne; umysł rozległy, bardzo wysoko ukształcony, ale nie wyjątkowo głęboki. Lecz talent miał niepospolity (zwłaszcza liryczny) i posiadał przymiot bardzo jeszcze w owoczesnej Polsce rzadki: poczucie artystyczne, to jest zmysł piękna, w tak wysokim stopniu, jak ani jeden z poetów polskich przed Mickiewiczem; a stąd wszystko, co napisał, ma w sobie prawdziwy i wielki wdzięk.*

Kochanowski urodził się poetą: talent i zmysł piękna przyniósł z sobą na świat; ale jedno i drugie rozwinął w sobie i uszlachetnił drogą usilnej pracy, mianowicie drogą pilnych studyów nad poezyą: poczęści włoską, ale przedewszystkiem starożytną, w której się rozmiłował i którą poczytywał za największe piękno; to też tłumaczył na język polski poetów starożytnych (pomiędzy innemi przełożył obszerny ustęp z Iliady Homera), a we własnych poezyach, polskich zarówno, jak łacińskich, często ich naśladował, niejednokrotnie zapożyczał od nich myśli, chętnie posługiwał się mitologią, pomysły swoje przyoblekał w formy, stworzone przez Greków i Rzymian (jako to: elegie, ody i pieśni, epigramaty i fraszki, tragedya). Wogóle literatura starożytna wywarła olbrzymi wpływ na jego umysłowość i twórczość: *Kochanowski to poeta-humanista, poeta-klasyk.* Ale, ponieważ posiadał talent i samodzielny umysł, więc ślepym naśladowcą starożytnych nie był: jego najznakomitsze utwory przypominają piękną formą utwory poezyi starożytnej, ale pod względem treści i ducha są nowoczesne, bo *polskie i chrześcijańskie.*

Treść poezyi Kochanowskiego jest bardzo bogata. Przed Kochanowskim poezya polska miała cel prawie wyłącznie praktyczny: świecka uczyła czytelników moralności albo wprost (np. *Wizerunk* Reja), albo zapomocą satyry (np. *Krótka rozprawa),* a religijna uczyła ich, jak służyć Bogu. Otóż Kochanowski pierwszy rozszerzył ten ciasny zakres: wprawdzie i on uprawiał niekiedy poezyę dydaktyczną i satyryczną, pragnąc uczyć swoje społeczeństwo; ale w najznakomitszych swych utworach nie miał na widoku korzyści praktycznej, — „sobie śpiewał a Muzom“: jeżeli śpiewał pieśni na

[1] Po latach. [2] czułe nocy = noce, spędzone na tworzeniu poezyi.
[3] Apollon.

cześć Boga, to wcale nie dlatego, by pouczyć czytelników, jak mają służyć Bogu, ale jedynie dlatego, że chciał wypowiedzieć to, co jego własne serce względem Boga czuje; jeżeli w *Trenach* opłakiwał zgon Orszulki, to tylko dlatego, że własne serce domagało się przelania ciężkiego smutku w poezyę. Wogóle najchętniej Kochanowski wypowiada w poezyi własne uczucia: miłość Boga, pięknej natury, ojczyzny, umiłowanej kobiety, ukochanego dziecka; mówi o własnych smutkach i radościach, o własnym bólu i weselu, o własnych niepokojach i nadziejach, pragnieniach i rozczarowaniach. Słowem, *poezya Kochanowskiego jest dokładnem odbiciem jego własnej osobistości (indywidualności), i przez to właśnie rozszerzył on niepomiernie zakres poezyi polskiej: wprowadził do niej świat duszy ludzkiej, świat niewidzialny, ale równie bogaty, jak widzialny.* I to jest pierwsza wielka zasługa Kochanowskiego.

A druga polega na tem, że *on dopiero dał poezyi ojczystej to, bez czego niema poezyi, mianowicie poetyczny język i wogóle piękną formę.* Rej w *Wizerunku*, żeby wyrazić wielkość Boga, mówi, że człowiek jest tem w stosunku do Stwórcy, czem mucha do wielbłąda, a komar do wołu: wyrażenie to obrazowe, ale nie poetyczne, nie piękne; Kochanowski, żeby wyrazić wielkość Boga, mówi:

> Tyś pan wszytkiego świata, Tyś niebo zbudował
> I złotemi gwiazdami ślicznieś uhaftował...
> Za Twojem rozkazaniem w brzegach morze stoi,
> A zamierzonych granic przekroczyć sie boi.

Tutaj jest już nie tylko obrazowość, ale i piękność, jest *piękna przenośnia* (metafora), bez której niema stylu poetycznego, a którą Kochanowski dopiero stworzył zapomocą umiejętnego łączenia wyrazów, np.: „srebrna rzeka“, „złota strzała miłości“, „serce me zbiegło do Hanny“, „w cnotę własną sie ogarnę“ i t. d. Nowych wyrazów (neologizmów) utworzył niewiele, tylko z istniejącego już słownika wydobył nieznane przedtem piękności. Nie dosyć na tem. Styl Kochanowskiego jest zawsze *właściwy*, zawsze odpowiadający treści: inaczej mówi poeta o Bogu, inaczej o ojczyźnie, inaczej o sobie; a poprzednicy jego na polu poezyi polskiej nie potrafili tej sztuki: Rej np. w *Wizerunku* mówi o przedmiotach poważnych zwykle w sposób zbyt pospolity, niekiedy rubaszny. A jak styl, tak i wiersz Kochanowskiego zawsze jest właściwy: raz krótszy, drugi raz dłuższy, o rytmie to żywym, to powolnym, — zawsze doskonale dobrany do opiewanego przedmiotu i do uczucia poety. Słowem, *pomiędzy treścią a formą poezyi Kochanowskiego panuje doskonała zgoda (harmonia).*

Oto główne zasługi Kochanowskiego: rozszerzenie treści poezyi polskiej i stworzenie pięknej formy; a ponieważ bez pięknej formy niema prawdziwej poezyi (mogą być tylko wiersze)

Kochanowski jest twórcą poezyi polskiej, i słusznie powiada sam o sobie,

> . . . . żem sie rymy swymi
> Ważył zetrzeć z poety co znakomitszymi
> I wdarłem sie na skałę pięknej Kallijopy,
> Gdzie dotychmiast nie było śladu polskiej stopy!

Ślicznie powiedział Mickiewicz, że, jak Stefan Batory chciał uczynić Polskę państwem europejskiem, tak Kochanowski pragnął sztukę polską uczynić europejską; tylko, że Batory zbyt krótko żył na to, aby cel swój urzeczywistnić, a Kochanowski wykończył swoje dzieło: podniósł poezyę polską do godności europejskiej. I jak o Kazimierzu Wielkim słusznie powiedziano, że zastał Polskę drewnianą, a pozostawił po sobie murowaną, tak i o Kochanowskim powiedzieć można, że zastał w Polsce tylko wiersze, a pozostawił po sobie poezyę.

§ 35. Jako zapalony humanista, rozkochany w literaturze starożytnej, Kochanowski posługiwał się często w poezyi językiem łacińskim, naśladując poetów rzymskich. Podczas pobytu zagranicą, pisał za przykładem Tibullusa i Propercyusza *elegie miłosne*, w których opiewał swą miłość ku jakiejś Lidyi i smutki, o jakie go ta miłość przyprawiła. Prawdziwego, szczerego uczucia w tych elegiach niema; prawdopodobnie owa Lidya zupełnie nie istniała: poeta pisał elegie jedynie dla wprawy w wierszu łacińskim.

I po powrocie do kraju nie zaniechał poezyi łacińskiej, tylko że ona staje się coraz to poważniejszą i doskonalszą; oprócz elegii miłosnych pisze *elegie różnej treści*; w jednej np. opisuje bohaterski czyn Wandy, co nie chciała Niemca i rzuciła się w nurty Wisły, w innej opiewa spokojne życie na wsi i t. d. Pisze i *ody pochwalne*, zwłaszcza na cześć wielkiego króla Stefana, oraz *wiersze okolicznościowe*, np. na cześć Zamojskiego.

Ale na szczególną uwagę zasługuje utwór p. t. *Gallo crocitanti* (Kogutowi [1] gdakającemu); tym kogutem jest poeta francuski Desportes, który po ucieczce Henryka Walezyusza napisał obrzydliwy paszkwil na polskę p. t. „Adieu à la Pologne". Kochanowski, obrażony w swem uczuciu miłości ojczyzny, dowcipnie i złośliwie odpowiedział Francuzowi, zwracając ostrze zarzutów, czynionych Polsce, ku Francyi: wyrzucasz nam niegościnność, — daj pokój! to Francuzi są tak gościnni, że się czasem ich gość nie obudzi, bo snem wiecznym zaśnie (jest to bolesny, ale zasłużony, przytyk do nocy św. Bartłomieja); wyrzucasz nam ubóstwo, — rozumiem: chcieliście kraść w Polsce, nie udało się; i t. d. W taki to sposób broni poeta polski czci narodowej, którą nadaremnie chciał opluć płochy dworak króla Henryka.

---

[1] [illegible]

Zabawną formę ma wiersz p. t. *Carmen macaronicum* (Wiersz makaroniczny): wyrazy łacińskie plączą się tu z wyrazami polskimi o końcówkach łacińskich; takie wiersze nazywają się właśnie makaronicznymi albo makaronami; obfituje w nie dawna literatura polska, a wiersz Kochanowskiego jest w niej pierwszym makaronem:

Est prope *wysokum* celeberrima silva *Krakovum*,
Quercubus insignis, multo miranda *żołędzio*
Istuleam spectans *wodam Gdańskumque gościńcum*;
Dąbie nomen habet, *Dąbie* dixere priores.
Hanc ego, cum *suchos* torreret Syrius agros
Et *rozganiaret* non mądra Canicula *żakos*,
Ingredior, multum de conditione *żywota*
Deque statu vitae mecum *myślando* futurae;

to znaczy: „Jest blizko wysokiego Krakowa las bardzo słynny, znamienity dębami, zadziwiający mnogością żołędzi, spoglądający na wodę wiślaną i gościniec gdański; Dąbie ma na imię, Dąbiem nazwali go przodkowie. Otóż raz, gdy Syryusz palił suche pola i niemądra kanikuła rozganiała żaków, poszedłem do tego lasu, rozmyślając wiele o wyborze żywota i o rodzaju przyszłego życia“; tutaj, to opowiada dalej poeta, spotkał mnicha, księdza świeckiego, dworzanina i ziemianina, z których każdy zachwalał mu swój żywot; po wysłuchaniu wszystkich poeta nie odpowiada nic, ale łatwo się domyślić, że żywot ziemiański najbardziej mu do serca przypada (co też stwierdził czynem, osiedlając się w zaciszu wiejskiem). Zabawny formą, jest to utwór poważny treścią, zawiera w sobie mianowicie satyrę na duchowieństwo i dworaków oraz pochwałę „wolnego żywota“ na wsi.

W poezyi łacińskiej miał Kochanowski niejednego poprzednika, z których jeden, Janicki, był nawet prawdziwym poetą; lecz pięknością formy prześcignął ich wszystkich. Początkowo pisywał wiersze łacińskie dla wprawy albo dla własnej przyjemności, ale później odzywał się do innych, i to nie tylko do polskich humanistów (np. Myszkowskiego i Zamojskiego), aby im sprawić przyjemność umiłowaną przez nich mową Rzymian, ale i do obcych, aby, jak np. w odach na tryumfy wojenne króla Stefana, roznieść po całym świecie sławę imienia polskiego.

§ 36. Do najwcześniejszych polskich utworów Kochanowskiego należy, jak się zdaje, poemacik *Szachy*. Poniekąd jest to naśladowanie poematu łacińskiego (p. t. „Gra w szachy“), którego autorem poeta włoski, Marek Vida; ale nie brak tu własnych, samodzielnych pomysłów: obydwaj poeci szczegółowo opisują grę w szachy, ale, kiedy w poemacie włoskim grają z sobą bogowie, Apollo i Merkury, w polskim — śmiertelni ludzi, dwaj książęta; w poemacie włoskim nagrodą za zwycięstwo jest rószczka czarnoksięska, w polskim — ręka uroczej królewny.

Tarses, król duński, miał dziewkę nadobną,
We wszytkich sprawach swoich tak osobną[1],
Że jej natenczas równia[2] mieć nie chciano;
Przeto z dalekich krain przyjeżdżano,
Chcąc sie przypatrzyć jej zbytniej gładkości,
A uczestnikiem być takiej miłości.
Pełen dwór zawżdy bywał cudzoziemców:
Czechów, Polaków, Francuzów i Niemców;
Ale dwa jednak przed wszytkimi byli,
Którzy na dworze czas długi służyli:
Fiedor i Borzuj, wielkich domów oba,
Co sama mogła pokazać osoba.
Ci dwa przed sobą często sie skradali,
A o królewnę króla nalegali;
Nakoniec oba taką chuć k niej mieli,
Że sie bić o nię pojedynkiem chcieli.

Ale król nie dopuścił do pojedynku i orzekł, że ten otrzyma rękę królewny, kto wygra z drugim partyę szachów. Fiedor i Borzuj chętnie na to przystają, przez całe dwa tygodnie pilnie ślęczą nad kartą, na której z rozkazu króla spisano szczegółowo prawidła gry, „a dla ćwiczenia zawżdy szachy grali“. Po dwu tygodniach stawili się na dworze królewskim i po obiedzie zasiedli z biciem serca do gry, przy której szachrują i kłócą się.

Borzuj już dawno na draba[3] przymierza,
Jeno że jeszcze nieprawie[4] dowierza;
Ledwe tknął palcem, a ten, jako z kusze[5],
Porwał królową wnet za federpusze[6].
„Stój! — rzecze Borzuj — gorącoś kąpany!
„Nie tak-ci grają, bracie, między pany;
„Wróć mi sam[7] babę: czekaj, aż ja pójdę,
„Bo pewnie z tobą tak rządu[8] nie dojdę!“
Więc Fiedor: „Bychwa poprawiać sie miała[9],
„Do sądnego dnia graby trwać musiała!
„Jużeś sie dotknął; a w tej grze, kto ruszy,
„Wymówki niemasz: z tym sie na plac kłuszy!“[10]
Odpowie Borzuj: „Tego na wymowie
„Nie było[11], — niechaj powiedzą panowie!“
— „Takby przystało i tak ma być słusznie:
„Czego kto dotknie, temby miał iść dusznie“[12]. —

[1] Osobny = osobliwy, niezwykły. [2] rówień (rzeczownik) = równy (komu). [3] drab = pionek. [4] niezupełnie. [5] kusza = rodzaj łuku; z kusze = szybko, jak z procy. [6] federpusz = pióropusz. [7] sam = tu. [8] dojść rządu = dojść do ładu. [9] bychwa sie miała (liczba podwójna) = gdybyśmy się mieli. [10] kłuszy — tryb rozkazujący od *kłusać* = kłusować. [11] tegośmy sobie nie wymówili. [12] koniecznie.

Lecz, iż nie było żadnej o tem wzmianki,
Kazano zasię puścić babę w szranki.

Walka zaciekła trwa długo, aż wreszcie zdaje się rzeczą pewną, że Fiedor przegra. Tymczasem zapada noc, i dalszy ciąg gry odłożony do jutra. Podano wieczerzę: „Trochę je Fiedor, pije barzo mało: wszytko mu serce u szachów zostało; cieszą go drudzy, drudzy k niemu piją, a jemu prawie psi za uchem wyją“... Lecz zaniepokoiła się i Anna, „że dotąd nie wie, czyja ma być pewnie“; zdejmuje ją ciekawość zobaczyć pole walki: idzie więc do sali, w której odbywała się gra, i, spojrzawszy na szachownicę, widzi, że sprawa Fiedora, któremu widocznie w cichości serca sprzyjała, stoi bardzo źle; ale po namyśle spostrzega, że Fiedor może jeszcze wygrać, więc głośno wypowiada jakąś tajemniczą radę wobec stróżów, pilnujących szachownicy, a nadto „obróci rochu[1] na króla rogami, sama wynidzie, zalawszy sie łzami“. Nazajutrz powracają zapaśnicy do gry; Fiedor pyta, kto obrócił wieżę; stróże odpowiadają, że królewna, i powtarzają ową radę tajemniczą; Borzuj nie zrozumiał jej, ale Fiedor po namyśle zrozumiał i za trzeciem posunięciem daje mata Borzujowi.

To było tej gry sławnej dokonanie,
Prawie nad wszytkich ludzi domniemanie!
Tamże zarazem po pannę posłano,
Którą za żonę Fiedorowi dano;
A Borzuj nie chciał być proszon na gody,
Ani żegnawszy, jechał precz z gospody.

Szachy — to pierwsza nowella nasza, pierwszy utwór po polskiej, mający za treść dzieje ludzkich serc, i zarazem jeden z najładniejszych utworów naszej dawnej literatury, pełny wdzięku i niewymuszonej swobody, żywości i szczerego humoru.

§ 37. Temi samemi zaletami odznacza się również znaczna część *Fraszek*, t. j. krótkich wierszyków ulotnych (po dwa do trzydziestu wierszy) najróżnorodniejszej treści. Ten rodzaj poezyi znany był już w starożytności, a w epoce odrodzenia należał do najulubieńszych; przepadał za nim i Kochanowski, to też, wzorując się głównie na poetach greckich i rzymskich, sypał, jak z rękawa fraszkami, które niezmiernie się podobały współczesnym i w licznych odpisach obiegały całą Polskę: bo drukiem ogłosił je poeta dopiero w ostatnim roku swojego życia (1584).

Większa część *Fraszek* powstała w Krakowie, kiedy to Kochanowski był dworzaninem Zygmunta Augusta. Hucznie ...
... dworskie życie: ... dworz...

wali i biesiadowali, weselili się muzyką i śpiewem, kochali się i pili na zabój, płatali sobie figle wesołe, opowiadali ucieszne, a czasem bardzo swawolne dykteryjki, podrwiwali sobie z księży, prawili „dwornym paniom“ komplementy, nie szczędząc im zresztą i uszczypliwych docinków. Otóż i Kochanowski, rwący się do życia i do użycia, dobry i do tańca i do różańca, hulał wesoło w gronie „dobrych towarzyszów“, kochał się i szalał, nie stroniąc bynajmniej od uczt i pijatyk, od figlów i pustych śmiechów,—i to wszystko odbiło się we *Fraszkach*: „Nie dbają moje papiery o przeważne bohatery: nic u nich Mars, chocia srogi, i Achilles prędkonogi; ale śmiechy, ale żarty zwykły zbierać moje karty; pieśni, tańce i biesiady schadzają sie w nich do rady“. „Ja inaczej nie piszę, jeno jako żyję: pijane moje rymy, bo i sam rad piję...“ Tak więc *Fraszki są z jednej strony doskonałem odzwierciedleniem wesołego życia dworskiego* i przeto stanowią bogate, nieocenione źródło do poznania owczesnych obyczajów dworskich; *a z drugiej — są odzwierciedleniem życia i duszy samego poety*, są jakby jego pamiętnikiem, w którym dorywczo zapisywał swoje najróżnorodniejsze przygody i, czasem otwarcie, ale częściej pod obsłonkami, spowiadał się z najróżnorodniejszych uczuć i myśli, stałych i przelotnych. A prowadził ten śliczny pamiętnik i po wyprowadzeniu się z Krakowa, w Czarnolesie: tylko, że te późniejsze fraszki to już rymy nie „pijane“, ale poważne, pełne uczuć pięknych i szlachetnych. Wogóle treść *Fraszek* jest niesłychanie rozmaita, i w tem tylko są wszystkie do siebie podobne, że posiadają piękną, wykwintną formę, która dowodzi niepospolitego talentu i wielkiego mistrzostwa we władaniu poetyczną mową ojczystą.

Do Fraszek.

Fraszki nieprzepłacone! wdzięczne fraszki moje,
W które ja wszytki kładę tajemnice swoje,
Bądź łaskawie fortuna ze mną postępuje,
Bądź inaczej (czego snadź więcej sie najduje)!
Obrał-li by sie[1] kiedy kto tak pracowity,
Żeby z was chciał wyczerpać umysł mój zakryty,
Powiedzcie mu, niech próżno nie frasuje głowy,
Bo sie w dziwny Labirynt i błąd wda takowy,
Skąd żadna Aryjadna, żadne kłębki tylne
Wywieść go módz nie będą: tak tam ścieżki mylne!

Do Mikołaja Firleja.

Jeśliby w moich książkach co takiego było,
Czegoby sie przed panną czytać nie godziło:
Odpuść, mój Mikołaju! Bo ma być stateczny
Sam poeta, — rym czasem ujdzie i wszeteczny.

[1] Gdyby sie kto [illegible]

O Koźle.

Kozieł [1], kto go zna, piwszy do północy,
Nie mógł do domu trafić o swej mocy.
Ujźrzawszy kogoś: „Słuchaj, panie młody!
„Proszę cię, nie wiesz ty mojej gospody?"
A ten: „Niech cię znam, tedy się dowiewa."
„Jam — pry [2] — jest Kozieł." — „Idź-że spać do chlewa!"

O doktorze Hiszpanie.

Nasz dobry doktór spać sie od nas bierze,
Ani chce z nami doczekać wieczerze.
„Dajcie mu pokój! najdziem go w pościeli,
„A sami przedsię bywajmy weseli!"
Już po wieczerzy. „Pódźmy do Hiszpana!"
„Ba, wierę [3], pódźmy, ale nie bez dzbana!"
„Puszczaj, doktorze, towarzyszu miły!"
Doktor nie puścił, ale drzwi puściły.
„Jedna [4] nie wadzi: daj ci, Boże, zdrowie!"
„By jeno jedna!" doktór na to powie.
Od jednej przyszło aż więc do dziewiąci,
A doktorowi mózg sie we łbie mąci.
„Trudno — powiada — mój rząd z tymi pany:
„Szedłem spać trzeźwo, a wstanę pijany."

Na Konrata.

Milczycie w obiad, mój panie Konracie:
Czy tylko na chleb gębę swą chowacie?

Na nabożną.

Jeśli nie grzeszysz, jako mi powiadasz,
Czego sie, miła, tak często spowiadasz?

O kapelanie.

Królowa do mszej chciała, ale kapelana
Doma nie naleziono, bo pilnował dzbana.
Przyjdzie potem nierychło w czerwonym ornacie,
A królowa: „Ksze [5] miły! długo to sypiacie!"
A mój dobry kapelan na ono łajanie:
„Jeszczem-ci sie dziś nie kładł! co za długie spanie?"

O Hannie.

Tu góra drzewy natkniona,
A pod nią łąka zielona;
Tu zdrój przeźrzoczystej wody
Podróżnemu dla ochłody;
Tu zachodny wiatr powiewa,
Tu słowik przyjemnie śpiewa:
Ale to wszytko za jaje [6],
Kiedy Hanny nie dostaje.

Do Hanny.

Na palcu masz dyjament, w sercu — twardy krzemień,
Pierścień mi, Hanno, dajesz: już i serce przemień!

---

[1] Nazwisko pewnego ziemianina lubelskiego. [2] pry = prawi, mówi. [3] wierę = zaprawdę. [4] t. j. jedna czasza. [5] księże. [6] ale to wszystko tyle warte, co jedno jajko, t. j. niewiele warto.

Na dom w Czarnolesie.

Panie! To moja praca, a zdarzenie Twoje!
Raczyż[1] błogosławieństwo dać do końca swoje!
Inszy niechaj pałace marmorowe mają
I szczerym złotogłowem ściany obijają:
Ja, Panie, niechaj mieszkam w tem gniaździe ojczystem,
A Ty mię zdrowiem opatrz i sumnieniem czystem,
Pożywieniem uczciwem, ludzką życzliwością,
Obyczajmi znośnymi, nieprzykrą starością.

Na lipę.

Gościu! Siądź pod mym cieniem a odpoczni sobie;
Nie dojdzie cię tu słońce — przyrzekam ja tobie:
Choć sie nawyższej wzbije, a prosto promienie
Ściągną pod swoje drzewa rozstrzelane cienie,
Tu zawżdy chłodne wiatry z pola zawiewają,
Tu słowicy, tu szpacy wdzięcznie narzekają.
Z mego wonnego kwiatu pracowite pszczoły
Biorą miód, który potem szlachci pańskie stoły;
A ja swym cichym szeptem sprawić umiem snadnie,
Że człowiekowi łacno słodki sen przypadnie.
Jabłek wprawdzie nie rodzę, lecz mię pan[2] tak kładzie,
Jako szczep napłodniejszy w Hesperyskim sadzie[3].

Modlitwa o deszcz.

Wszego dobrego dawca i szafarzu wieczny!
Tobie ziemia, spalona przez ogień słoneczny,
Modli sie dżdża[4] i smętne zioła pochylone
I nadzieja oraczów — zboża upragnione.
Ściśni wilgotne chmury świętą ręką swoją,
A one suchą ziemię i drzewa napoją,
Ogniem zjęte! O, który z suchej skały zdroje
Niesłychane pobudzasz, okaż dary swoje!
Ty nocną rosę spuszczasz, Ty dostatkiem hojnym
Żywej wody dodawasz rzekom niespokojnym,
Ty przepaści nasycasz i łakome morze;
Stąd gwiazdy żywność mają i ogniste zorze.
Kiedy Ty chcesz, wszytek świat powodzią zatonie,
A kiedy chcesz, od ognia, jako pióro, wspłonie.

Na zdrowie.

Szlachetne zdrowie!
Nikt sie nie dowie,
Jako smakujesz,
Aż sie zepsujesz.
Tam[5] człowiek prawie
Widzi na jawie
I sam to powie,
Że nic nad zdrowie
Ani lepszego
Ani droższego;
Bo dobre mienie,
Perły, kamienie.
Także wiek młody
I dar urody,
Miejsca wysokie,

---

[1] raczyż = racz-że. [2] t. j. Kochanowski. [3] według podania greckiego rosły tam złote jabłka. [4] modli się o deszcz. [5] t. j. kiedy utraci zdrowie.

Władze szerokie, Gdzie niemasz siły, Mój dom ubogi,
Dobre są, ale, I świat nie miły. Oddany tobie,
Gdy zdrowie w cale; Klejnocie drogi! Ulubuj sobie!

§. 38. Lecz wesołe i puste fraszki nie wyczerpują twórczości poetyckiej Kochanowskiego podczas jego pobytu na dworze królewskim: nie tylko w gronie „dobrych towarzyszów“ obracał się poeta, ale przestawał z ludźmi poważnymi i mądrymi, którym na sercu leżały nadewszystko sprawy publiczne. Do takich ludzi należeli, pomiędzy innymi, dwaj biskupi i podkanclerzowie koronni, Filip Padniewski i Piotr Myszkowski, światli humaniści i mężowie stanu; pod ich to wpływem Kochanowski zainteresował się żywo sprawami publicznemi i zrozumiał, że, gdzie dobro ojczyzny tego wymaga, tam poeta powinien śpiewać nie tylko „sobie a Muzom“, ale i współbraciom, budząc w nich miłość ojczyzny. Otóż temu obowiązkowi nie sprzeniewierzył się Kochanowski i *zaczął pisać utwory poetyckie, tchnące zacnym i szlachetnym duchem obywatelskim.* Takim utworem jest, pomiędzy innymi, satyra p. t. *Satyr albo dziki mąż*, napisana podczas obrad sejmowych w końcu roku 1563, w której poeta wyrzuca swym współbraciom ciężkie grzechy względem ojczyzny.

Odrazu poznać, że satyrę tę pisał humanista, rozmiłowany w literaturze starożytnej: przemawia tutaj nie wójt, ani pleban, jak w *Krótkiej rozprawie* Reja, ale półbożek grecki, „Satyr albo dziki mąż“, który niby to od wieków zamieszkał w gęstych borach polskich, ale teraz, wystraszony łoskotem toporów, wyrębujących stare drzewa, wybiega z lasu i głośno skarży się na Polaków, którzy są tak niepodobni do swoich przodków.

Tak, jako mię widzicie, choć mam na łbie rogi
I twarz nieprawie cudną i kosmate nogi,
Przedsiem uszedł za boga w one dawne czasy;
A to mój dom był zawżdy, gdzie nagęstsze lasy.
Aleście je tak długo tu, w Polszcze, kopali,
Żeście z nich ubogiego Satyra wygnali.
Gdzie pojźrzę, wszędy rąbią: albo buk do huty,
Albo sośnią na smołę, ąbo dąb na szkuty [1];
I muszę ja podobno, prze ludzi łakome
Opuściwszy jaskinie i góry świadome [2],
Szukać sobie na starość inszego mieszkania,
Gdzieby w ludziech nie było takiego starania
O te biedne pieniądze; wszak i drew po chwili

[1] Szkuta = statek do przewożenia zboża. [2] góra świadoma = góra, z której szczytu widać rozległą przestrzeń.

Nie najdą, żeby sobie izbę upalili.
Próżna to, niech mi, wierę, jako kto chce, łaje,
Niemasz dziś w Polszcze — jedno kupcy a rataje [1].
To nawiętsze misterstwo [2], kto do Brzegu [3] z woły,
A do Gdańska wie drogę z żytem a z popioły.
Na Podolu go nie patrz, bo miedzy Tatary
Szabla więcej popłaca, niż leśne towary.
Z czasem wszytko sie mieni; pomnię ja, przed laty
Że w Polszcze żaden nie był w pieniądze bogaty:
Kmieca to rzecz naonczas patrzać rolej była,
A szlachta sie rycerskiem rzemięsłem bawiła.
Nic to nie było siedm lat walczyć, nie przestając,
Mróz i gorąco cierpiąc, głodu przymierając;
A to wszytko bogactwo, kto sie sławy dobił:
Lepiej sie tem, niż złotym łańcuchem, ozdobił.
A jeśli ku pokoju kiedy myśl skłonili,
Nie już swoich żołnierskich zabaw odstąpili...
Tem-ci Polska urosła, a granice swoje
Rozciągnęła szeroko między morza dwoje;
Stąd prawa, stąd wolności, stąd Rzeczpospolitą
Macie, moi Polacy, na świat znakomitą,
Lecz tego snadź nie wiecie, iż, jako dostają,
Tymże równie sposobem królestw ostrzegają.
Dalekoście sie od swych przodków odstrzelili,
A prawieście na nice Polskę wywrócili.
Skowaliście ojcowskie granaty [4] na pługi,
A z drugiego już dawno w kuchni rożen długi.
W przyłbicach kwoczki siedzą albo owies mierzą,
Kiedy obrok woźnice na noc koniom bierzą [5].
Kotczy [6] — to nadzieżny [7] koń, a poczet zaś — woły,
Które stoją i w stajni i w tyle stodoły.
To już rotmistrz, co fuka na chłopy u pługa,
A jego przedniejsza broń — toczona maczuga.
Prawdę mówię, czyli nie, — uznajcie to sami.
Ale sie tam ozywa jeden miedzy wami,
Mieniąc, iż gospodarstwo Polskę zbogaciło,
A jako żywo, złota więcej w niej nie było.
Prawda, że złota waszy przodkowie nie mieli,
A małobych tak nie rzekł [8], że go ani chcieli:
Jednak za swojem męstwem wielkie państwa brali
I bogatym książętom prawa ustawiali...
Ukażcież wy, pieniężni, coście tak znacznego

[1] Rataj — oracz, rolnik. [2] sztuka. [3] Brzeg — miasto na Śląsku (nad Odrą). [4] granat — rodzaj broni ręcznej (obuch z puginałem w środku). [5] biorą. [6] powozowy. [7] pewny, najlepszy. [8] mógłbym niemal powiedzieć.

Uczynili; nie chcę nic wspominać dawnego.
W kilku lat Tatarowie pięć kroć was wybrali[1],
Bracią waszę w niewolą Turkom zaprzedali...
Moskiewski wziął Połocko . . . . . .
Co dalej? Szwedowie was przez morze sięgają,
A Iflanty wam prawie z garści wydzierają...
Toć owoc waszych bogactw, i toście wygrali,
Żeście przy pługu raczej, niż szabli, zostali!

Tak to przez usta Satyra wyrzuca Kochanowski szlachcie, że zatraciła ducha rycerskiego, jaki zdobił jej przodków, że nie kocha już ojczyzny, skoro, zamiast jej bronić przed chciwymi sąsiadami, myśli tylko o gospodarstwie, jako o źródle bogactw, które trwoni na same zbytki; a potem gorzko wymawia Polakom niezgodę religijną i mędrkowanie w rzeczach wiary i wyrzeka na upadek akademii krakowskiej wskutek obojętności społeczeństwa, które woli „do Włoch albo do Niemiec słać syny, mając swe szkoły doma“. Wszystkie te poglądy Kochanowskiego nie są oryginalne: *Satyr* jest tylko poetycznym wyrazem tych myśli, które wypowiedział podkanclerzy Myszkowski w mowie, wygłoszonej w imieniu króla przy otwarciu sejmu. Kochanowski bowiem, chociaż był poetą z bożej łaski, ale głębokim politykiem bynajmniej nie był: wiedział i widział, że się w Polsce coś zepsuło, ale, jak temu zaradzić, nie wiedział. Pomimo to *Satyr* nie jest utworem bez znaczenia, raz, jako *pierwsza piękna satyra polska*, a drugi raz, jako piękne świadectwo patryotyzmu poety.

Bo Kochanowski żywo i gorąco kochał ojczyznę, to też ze smutkiem patrzał na szerzące się w Polsce prywatę i nierząd, w którym, jak mówi, „chudzi“ (t. j. chłopi) „u pana w niewoli“, a widząc, że szlachta, głucha na upomnienia i przestrogi mądrych ludzi, jakoś nie myśli o poprawie, lękał się i niepokoił o przyszłość Polski. Natomiast z dumą i radością rozpamiętywał pełną blasku i chwały jej przeszłość, która mu się wydawała jakimś wiekiem złotym, kiedy to i Polska była szczęśliwsza i Polacy lepsi, bo umiarkowańsi, mężniejsi i goręcej kochający ojczyznę. Wyobraźnię jego nęciła bitwa pod Grunwaldem, w której „Polacy na głowę Niemce porazili“, i bohaterska śmierć Władysława Warneńczyka, którego

Kości nie są w ojczystym grobie położone:
Grób jego jest Europa, słup — śnieżne Bałkany,
Napis — wieczna pamiątka między krześcijany;

ale nie tylko Warneńczyka, —wszystkich królów polskich wielbił Kochanowski i wierzył, że Bóg nagrodził ich zasługi, dla Polski położone,

[1] Wielu z was wzięli do niewoli.

wiekuistem szczęściem w niebie, — w krainie, gdzie „ani ciemne mgły dochodzą, ani śnieg, ani zimne grady szkodzą; wieczna pogoda, dzień na wszystki strony trwa nieskończony“. I oto pragnął poeta-patryota wyśpiewać przeszłość swej ukochanej ojczyzny:

Gdzież to [1] piękne boginie tak łaskawe były,
Żebych ja, ile chęci, tyle miał i siły
Służyć ojczyźnie miłej, a jej sprawom sławnym
Nie dopuszczał zamierzknąć [2] w ciemnym wieku dawnym!
Gdzie pojźrzę, wszędy widzę polskiej siły znaki:
Tu do Czarnego morza jeszcze świeże szlaki [3],
Tu droga znakomita przez śnieżne Bałkany,
Tu Psie pola, a sam [4] brzeg pruski zwojowany!
A ktoby oczy podał w jeszcze głębsze lata,
Przodkom naszym większa część hołdowała świata:
Bo od Zmarzłego morza po brzeg Adryjański
Wszytko był opanował cny naród słowiański!

Ale „piękne boginie“ (Muzy) nie były na Kochanowskiego łaskawe: nie zbywało mu na chęciach do wyśpiewania przeszłości, ale sił po temu brakło, bo *talentu epicznego nie posiadał*; miłość przeszłości wypowiedział wprawdzie w kilku drobnych utworach, ale większego poematu historycznego nie stworzył.

39. Patryotyzm Kochanowskiego najpiękniej przemówił w tragedyi p. t. *Odprawa posłów greckich.*

Jan Zamojski zaręczył się w roku 1577 z Krystyną Radziwiłłówną, a pragnąc uświetnić wesele (na które miał przybyć sam król Stefan) przedstawieniem teatralnem, zwrócił się do Kochanowskiego z prośbą o napisanie dramatu. Kochanowski nie odmówił prośbie przyjaciela, wziął się do pracy, i w krótkim czasie dramat był gotowy:

ODPRAWA POSŁÓW GRECKICH,

podana na Theatrum przed Królem Jego M. i Królową Jej M. w Jazdowie nad Warszawą, dnia 12 stycznia, Roku Pańskiego 1578.

Na Feście [5] u Jego Mści Pana Jana Zamojskiego, naonczas podkanclerzego, a teraz kanclerza i hetmana wielkiego koronnego.

Persony: Antenor. — Aleksander, którego i Parysem zowią. — Helena. — Pani stara [6]. — Poseł Parysów. — Ulisses, Menelaus—posłowie greccy.—Priamus, król trojański.—Kassandra.— Rotmistrz. — Więzień. — Chorus [7] z panien trojańskich.

---

[1] Gdybyż to! [2] zamierzchnąć, pójść w niepamięć. [3] w r. 1484 Turcy zagarnęli brzegi morza Czarnego, które należały do hołdującej Polsce Mołdawii. [4] tam. [5] fest = uroczystość. [6] ochmistrzyni. [7] chór.

Sprawa w Trojej.

Antenor.

Com dawno tuszył i w głos opowiadał,
Że obelżenia i krzywdy tak znacznej
Cierpieć nie mieli waleczni Grekowie,—
Teraz już posły ich u siebie mamy,
Którzy sie tego u nas domagają,
Aby Helena była im wydana,
Którą w tych czasiech przeszłych Aleksander,
Będąc w Grecyjej, gość nieprawie [1] wierny,
Uniósł od męża i przez bystre morze
Do trojańskiego miasta przyprowadził.
Tę jeśli wrócim i mężowi w ręce
Oddamy, możem siedzieć za pokojem [2];
Lecz, jeśli z niczem posłowie odjadą,
Tegoż dnia nowin słuchajmy, że Greczyn
Z morza wysiada i ziemię wojuje.
Czuje o sobie [3], widzę, Aleksander:
Praktyki [4] czyni, towarzystwa zbiera,
Śle upominki, aż i mnie nie minął;
A mnie i dom mój i co mam z swych przodków
Nie jest przedajno; a miałbych swą wiarę [5]
Na targ wynosić? Uchowa mię tego
Bóg mój! Nie ufa swej sprawiedliwości,
Kto złotu mówić od siebie rzecz każe;
Lecz i to człowiek małego baczenia,
Który na zgubę Rzeczypospolitej
Podarki bierze, jakoby sam tylko
W cale [6] miał zostać, kiedy wszytko zginie.
Ale mnie czas do rady, bo dziś król chce posły
Odprawować. Snadź [7] widzę Aleksandra? Ten jest!

Aleksander. Antenor.

Al. Jako mi niemal wszyscy obiecali,
Cny Antenorze, proszę, i ty sprawie
Mej bądź przychylnym przeciw posłom greckim!

Ant. A ja z chęcią rad, zacny królewicze [8],
Cokolwiek będzie sprawiedliwość niosła
I dobre Rzeczypospolitej naszej.

Al. Wymówki niemasz, gdy przyjaciel prosi.

---

[1] Niezupełnie. [2] w spokoju. [3] czuć o sobie = poczuwać się do winy. [4] konszachty, spiski, intrygi. [5] wiara = uczciwość. [6] w cale = w całości. [7] podobno. [8] przyp. 5 od *królewic*.

Ant. Przyzwalam, kiedy o słuszną rzecz prosi.

Al. Obcemu więcej życzyć, niżli swemu, —
Coś niedaleko zda sie od zazdrości.

Ant. Przyjacielowi więcej, niżli prawdzie,
Chcieć służyć, — zda sie przeciw przystojności.

Al. Ręka umywa rękę, noga nogi
Wspiera: przyjaciel — port przyjacielowi.

Ant. Wielki przyjaciel — przystojność; tą sobie
Rozkazać służyć — nie jest przyjacielska [1].

Al. W potrzebie, mówią, doznać [2] przyjaciela.

Ant. I to-ć potrzeba, gdzie sumnienie płaci.

Al. Piękne sumnienie — stać przy przyjacielu.

Ant. Jeszcze piękniejsze — zostawać przy prawdzie.

Al. Grekom pomagać to u ciebie prawda?

Ant. Grek u mnie każdy, kto ma sprawiedliwą!

Al. Widzę, żebyś mię ty prędko osądził.

Ant. Swoje sumnienie każdego ma sądzić.

Al. Znać, że u ciebie gospodą posłowie!

Ant. Wszytkim uczciwym dom mój otworzony.

Al. A zwłaszcza, kto nie z próżnemi rękoma!

Ant. Trzeba mi bowiem sędziom na podarki,
Bom cudzą żonę wziął, o którą czynią [3].

Al. Nie wiem o żonę, ale dary bierzesz,
Od Greków zwłaszcza: moje na cię małe.

Ant. I żon i cudzych darów nierad biorę.
Ty, jako żywiesz, tak, widzę, i mówisz
Niepowściągliwie; nie mam z tobą sprawy!

Al. I mnie żal, żem cię o co kiedy prosił.
Ufam swym bogom, że i krom [4] twej łaski
Najdę, kto rzeczy mych podpierać będzie.

Ant. Taki, jakiś sam!

---

[1] Przyjacielska = przyjacielska rzecz. [2] doświadczyć, poznać. [3] czynić o co = wieść spór o co, mieć sprawę o co. [4] bez.

ll. Da Bóg, człek poczciwy.

Chorus.

By rozum był przy młodości,
Nigdy takiej obfitości
Pereł morze i ziemia złota nie urodzi,
Żeby tego nie mieli tem dostawać młodzi [1].
Mniejby na świecie trosk było,
By sie to dwoje łączyło:
I oniby rozkoszy trwalszych używali,
Siebie ani powinnych [2] w żalby nie wdawali.
Teraz, na rozum nie dbając,
A żądzom tylko zgadzając [3],
Zdrowie i sławę tracą, tracą majętności
I ojczyznę zawodzą w ostatnie trudności.
O Boże na wielkiem niebie!
Drogo to, widzę, u ciebie,
Dać młodość i baczenie zaraz [4]; jedno płacić
Drugiem trzeba: to dobre, ale tego żal stracić.
Ale oto Helenę widzę. Co też teraz
Nieboga myśli, wiedząc, że dziś o niej w radzie
Ostateczne namowy, ma-li w Troi zostać,
Czyli Grecyją znowu i Spartę nawiedzić?

Helena.

Wszytkom ja to widziała, jako we zwierciedle,
Że z korzyści swej nie miał długo sie weselić
Bezecny Aleksander: ale mu wczas mieli
I dobrą myśl przekazić [5] przeważni [6] Grekowie.
Więc on, jako drapieżny wilk, rozbiwszy stado,
Co nadalej uciekał, a oni zaś, jako
Pasterze ze psy, za nim. I ledwie do tego
Nie przydzie, że wilk owce naostatek musi
Porzucić, a sam gdzie w las sromotnie uciecze.
Niestety! jakież moje będą przenosiny?
Podobno w tył okrętu łańcuchem za szyję
Uwiązana pośrzodkiem greckich naw [7] popłynę.
Z jakąż ja twarzą bracią swą miłą przywitam?
Jakoż ja, niewstydliwa, przed oczy twe naprzód,
Mężu mój miły, przyjdę i sprawę o sobie
Dawać będę? a będęż w twarz ci wejźrzeć śmiała?

---

[1] Żeby młodzi nie mieli dostawać (nabywać) rozumu kosztem (utra-ą) młodości. [2] powinni = powinowaci, swoi. [3] zgadzać = dogadzać. [4] je-nocześnie. [5] zepsucie. [6] przeważny = odważny, dzielny. [7] nawa = okręt.

Bodajżeś ty był nigdy Sparty nie nawiedził,
Nieszczęsny Pryjamida[1]! — bo czegóż mnie więcej
Nie dostawało? Zacnych książąt córką będąc,
Szłam w książęcy dom zacny; dał był Bóg urodę,
Dał potomstwo, dał dobrą, nadewszytko, sławę:
Tom wszytko prze człowieka złego utraciła.
Ojczyzna gdzieś daleko, przyjaciół nie widzę,
Dziatki, nie wiem, żywe-li? jam sama coś mało
Od niewolnice różna, przymówkom dotkliwym
I złej sławie podległa; a co jeszcze ze mną
Szczęście myśli poczynać, ty sam wiesz, mój Panie[2]!

Pani stara. Helena.

Pani Nie frasuj mi sie, moje dziecię miłe!
Tak-ci na świecie być musi: raz radość,
Drugi raz smutek; z tego dwojga żywot
Nasz upleciony i rozkoszy-ć nasze
Niepewne. ale i troski ustąpić
Muszą, gdy Bóg chce, a czasy przyniosą.

Hel. O matko moja! nierównoż to tego
Wieńca pleciono: więcejże daleko
Człowiek frasunków czuje, niż radości!

Pani Barziej do serca to, co boli, człowiek
Przypuszcza, niżli, co k myśli[3] sie dzieje;
I stądże sie zda, że tego jest więcej,
Co trapi, niżli co człowieka cieszy.

Hel. Przebóg! więcej-ci złego na tym świecie,
Niżli dobrego. Patrzaj naprzód, jako
Jedenże tylko sposób człowiekowi
Jest urodzić sie; a zginąć — tak wiele
Dróg jest, że tego niepodobno zgadnąć
Także i zdrowie: nie ma, jeno jedno,
Człowiek śmiertelny; a przeciwko temu
Niezliczna liczba chorób rozmaitych.
Ale i ona, która wszytkiem włada,
Która ma wszytko w ręku, wszytkiem rządzi —
Fortuna, za mną świadczy, że daleko
Mniej dóbr na świecie, niżli tego, co złem
Ludzie mianują; bo, ubogaciwszy
Pewną część ludzi, patrzaj, co ich ciężkiem
Ubóstwem trapi. A iż tego żadnej

[1] Synu Pryjama. [2] t. j. mój Boże. [3] po myśli.

Zazdrości gwoli ani skępstwu swemu
Nie czyni, ale niedostatkiem tylko
Ściśniona: znak jest, że i dziś, gdy komu
Chce co czynić dobrze, pospolicie
Jednemu pierwej weźmie, toż dopiero
Drugiemu daje: skąd sie da rozumieć —
Co już powtarzam nieraz — że na świecie
Mniej dóbr daleko, niżli złych przypadków.

Pani Mniej, albo więcej, równa-li też liczba
Obojga, korzyść niewielka to wiedzieć.
O toby Boga prosić, żeby człowiek
Co namniej szczęścia przeciwnego[1] doznał;
Bo, żeby zgoła nic, to nie człowiecza!
Ale że z rady tak długo nikogo
Nie słychać! Wiem, że da bez omieszkania[2]
Znać Aleksander, skoro sie tam rzeczy
Przetoczą; a nam, białymgłowom, jakoś
Przystojniej w domu zawżdy, niż przed sienią.

Chorus.

Wy, którzy pospolitą rzeczą władacie,
A ludzką sprawiedliwość w ręku trzymacie,
Wy, mówię, którym ludzi paść poruczono
I zwierzchności nad stadem bożem zwierzono!
Miejcie to przed oczyma zawżdy swojemi,
Żeście miejsce zasiedli boże na ziemi,
Z którego macie nie tak swe własne rzeczy,
Jako wszytek ludzki mieć rodzaj na pieczy.
A wam więc nad mniejszymi zwierzchność jest dana;
Ale i sami macie nad sobą Pana,
Któremu kiedyżkolwiek z spraw swych uczynić
Poczet[3] macie: trudnoż tam krzywemu[4] wynić[5].
Nie bierze ten Pan darów ani sie pyta,
Jeśli kto chłop, czyli sie grofem[6] poczyta;
W siermiędze-li go widzi, w złotych-li głowach[7]:
Jeśli namniej przewinił, być mu w okowach.
Więc ja podobno z mniejszem niebezpieczeństwem
Grzeszę, bo sam się tracę swem wszeteczeństwem;
Przełożonych występy miasta zgubiły
I szerokie do gruntu carstwa zniszczyły[8].

---

[1] Szczęście przeciwne=nieszczęście. [2] omieszkanie=zwłoka. [3] uczynić poczet = zdać rachunek. [4] krzywy = winny. [5] wynić = wyjść, ujść kary. [6] grof = graf, hrabia. [7] złote głowy = złotogłowy, materya jedwabna, przetykana złotem. [8] mój grzech (jako jednostki) jest mniejszy, bo gubi tylko mnie jednego, kiedy tymczasem grzechy przełożonych (rządzących) gubią całe państwa.

Poseł, Helena.

Pos. Dobrą nowinę paniej swojej niosę:
Rozumiem temu[1], że już dawno tego
Poselstwa czeka, serce swe troskami
I płaczem trapiąc; ale oto prawie[2]
Na czas[3] wychodzi z domu. O królowa!
Wdzięcznej nowiny posła masz przed sobą.

Hel. Daj, Boże, byś co przyniósł pociesznego!

Pos. Posłowie twoi, jako przyjechali,
Tak odjeżdżają, a ty przedsię z nami.

Hel. Byłeś sam w radzie, czyś słyszał od kogo?

Pos. Byłem przy wszytkiem, i prosto mi stamtąd
Iść Aleksander do ciebie rozkazał.

Hel. Jeszcze-ć nie widzę, z czegobych sie prawie
Ucieszyć miała. Wszakże powiedz przedsię,
Jako co było.

Pos. Powiem, jedno słuchaj!
Skoro w radzie zasiedli panowie, król naprzód
Tę rzecz do nich uczynił: „Nie zwykłem nic nigdy
„Bez rady waszej czynić; a bych też zwykł kiedy,
„(Czego w pamięci nie mam), w tej sprawie koniecznie
„Syna swegobych nie chciał, aby mię ojcowska
„Miłość przeciw synowi jako nie uwiodła.
„Bo, acz-ci to podobno niedarmo rzeczono:
„Krew nie woda, lecz u mnie pospolitej rzeczy
„Powinowactwo[4] więtsze. A tak, co sie kolwiek
„Wam wszytkim będzie zdało, toż i ja pochwalę.
„Syn mój w Grecyjej żony dostał (nie wiem, jako):
„Tej sie upominają od Greków posłowie;
„Wydać, albo nie wydać? W tem rozmysłu trzeba!“
Zatem wstał Aleksander i tak mówić począł:
„Przy pierwszej posłów skardze dałem dostateczną
„Sprawę o sobie; teraz nie chcę uszu waszych
„Słowy próżnemi bawić; ale, maluczko co
„Powiedziawszy, ostatek na Boga przypuszczę[5]
„I na łaskę ojcowską i was wszytkich zdanie.
„Wszytkim wam jest świadomo, jakim ja był żywot
„Wziął przed się: żeć-em nigdy tych burkowych[6] biesiad
„Patrzeć nie chciał; wolałem po gęstych dąbrowach

---

[1] Rozumieć czemu = rozumieć co. [2] właśnie. [3] w sam czas. [4] obowiązek. [5] przypuścić = zdać. [6] burkowy = brukowy, pospolity, hałaśliwy.

„Prędkie jelenie gonić albo dzikie świnie.
„Anim ja tego sobie za niewczas[1] poczytał,—
„W budzie leśnej sie przespać i nad stady chodzić.
„Nie myśliłem ja wtenczas namniej o Helenie,
„Ani to imię przedtem w uszu mych postało.
„Wenus, kiedy mię naprzód trzy boginie sobie
„Za sędziego obrały, Wenus mi ją sama
„Napierwej zaleciła i za żonę dała.
„Ludzie, widzę, u Boga szczęścia sobie proszą,
„A ja, kiedy mię z chęci swej tem potykali,
„Miałem gardzić? Przyjąłem i przyjąłem wdzięcznie;
„I mam pewną nadzieję, że tenże Bóg, który
„Uczcił mię naprzód, będzie i do końca szczęścił
„I, co mi dał, nie da mi leda jako wydrzeć.
„A bych też był żony swej ludzkim obyczajem
„Dostawał, nie wiem, czemu onym się zyść[2] miało
„Medeą[3] z domu wykraść od przyjaciół naszych,
„A mnie zaś ich fortelu takimże fortelem
„Oddać sie nie godziło?
„Jeślim co tedy winien, toż i oni winni;
„Chcą-li nagrody[4], niech ją sami pierwej czynią,
„Jako ci, którzy krzywdę naprzód czynili.
„A tam[5], ojcze, nie tylko żonę moję, ale
„I mnie samego wydaj, niechaj pokutuję!
„Gdzieby[6] też o sobie tak rozumieć chcieli,
„Że im każdy, a oni nie winni nikomu
„Sprawiedliwości czynić? Tego, da Bóg, nigdy
„Nad nami nie przewiodą, ani ich z to będzie[7].
„Nie tuszę-ć ja, żebyś ty, ojcze mój łaskawy,
„Nie pomniał jeszcze krzywdy i szkód starodawnych,
„Któreś wziął od tych panów, i to państwo sławne:
„Jeszcze-ć mury na ziemi leżą powalone
„I pola do tej doby pustyniami stoją,—
„Znaki miecza greckiego i okrutnej ręki.
„A byś też tego dobrze nie chciał sam pamiętać,
„Hezyjona pamiętać musi, siostra twoja,
„Ojcze, a moja ciotka, która do tej doby
„U nich w niewoli żywie, jeśli jeszcze żywie.
„Tej nam krzywdy, o królu, jedna nie nagrodzi
„Helena, ani jeden Parys powetuje".
Tu przestał Aleksander, a szept między ludźmi
Rozlegał sie po sali; jako więc ku latu

[1] Niewczas = niewygoda. [2] ujść na sucho. [3] Medea — córka Aetosa, króla Kolchów, którą Jazon, wódz Argonautów, uprowadził z sobą do Grecyi. [4] nagroda = zadosyćuczynienie. [5] a wtedy. [6] czyżby. [7] ani nie podołają temu.

Robotne pszczoły w ulu szemrzą, kiedy wodza
Nowego oglądały, a chęć nastąpiła
Od macior sie wynosić i nowe zaczynać
Gospodarstwo, szmer w ulu i rozruch kryjomy:
Taki dźwięk tam natenczas wstał był między ludźmi,
Który skoro ucichnął, Antenor jął mówić:
„Wprawdzie, długich wywodów, królu, nie potrzeba.
„Aleksander, w Grecyjej gościem w domu będąc
„Człowieka przedniejszego, na gościnne prawa
„Nie pomnąc, żonę mu wziął i przywłaszczył sobie.
„By mu był niewolnicę naliższą[1] przemówił[2],
„Winienby mu był został; cóż, kiedy wziął żonę,
„Której ani zaniedbać, ani też dochodzić
„Dobry, uczciwy człowiek bez wstydu nie może!
„Winien mu niepomału. On, chocia ze wstydem,
„Żony sie upomina, a ja wrócić radzę,
„Abychmy ku zelżeniu niesprawiedliwości
„Nie przydali; oboje to przez się nieznośne:
„Cóż pospołu złożone! to też niewątpliwa,
„Że Grekowie Heleny nie tylko przez posły,
„Ale nawet i przez miecz domagać sie będą.
„Niechże sie Aleksander tak drogo nie żeni,
„Żeby małżeństwo swoje upadkiem ojczyzny
„I krwią naszą miał płacić. Jeśli w łaskę dufa
„Bogini[3] swej, niech na to miejsce dwu[4] sie boi,
„Które dla niej rozgniewał i sądem swym zganił.
„Medeą nie za naszych czasów uniesiono,
„I nie wiem, jeśli nam co do tego. To widzę,
„Że tej krzywdy u Greków nikt sie do tej doby
„Nie domagał; milczeli tego, którym było
„Przystojniej o to mówić. Nie wiem, jako słusznie
„Swój własny występ[5] krzywdą cudzą barwić chcemy.
„To sie nas barziej tycze, że za przodków naszych
„Grekowie w tem królestwie mieczem wojowali;
„Lecz i natenczas, królu, (prawda sie znać musi)
„Nasza niesprawiedliwość do tego upadku
„Nas przywiodła, że sie też i dziś lękać muszę,
„Aby to sąd tajemny jakiś boży nie był,—
„Nam prze niesprawiedliwość zawżdy pomstę odnieść
„Od Greków; czego tobie przestrzegać sie godzi,
„O królu, a tem barziej, że i w pierwszej klęsce
„Mało małym nie zginął, pokutując za grzech
„Ojcowski i postępek mało sprawiedliwy.“

---

[1] Naliższy = najlichszy. [2] przemówić = odmówić. [3] t. j. Wene
[4] t. j. Junony i

To powiedziawszy, milczał. Toż Eneas mówił,
Toż Pantes i Tymetes; zgadzał sie i Lampon
I Ukalegon z nimi; ale Iketaon
Coś inszego rozumiał i w te słowa mówił:
„Owa, jako nam kolwiek Grekowie zagrają,
„Tak my już skakać musim? bać sie nam ich każą:
„A ja owszem sie lękam. Teraz nam Helenę
„Wydać każą, po chwili naszych sie żon będą
„I dzieci upominać. Nigdy w swojej mierze
„Chciwość władze nie stoi: zawżdy, jako powódź,
„Pomyka swoich granic nieznacznie, aż potem
„Wszytki pola zaleje. Za czasu, panowie,
„Umykać rogów [1] trzeba, bo wonczas już próżno
„Miotać sie, kiedy jarzmo na szyję założą.
„Sprawiedliwości proszą, a grożą nam wojną;
„Daj, chcesz-li, albo wydrę: taka to jest prosto [2].
„Winienem sprawiedliwość, ale nie z swą hańbą;
„Kto ją na mnie wyciska [3], sowitej nagrody
„Ze mnie chce i korzyści i zelżenia mego.
„Dawny-ć to grecki tytuł pany sie mianować,
„A nas *barbaros* [4], sługi. Ale nie to-ć jest pan,
„Co sie w Peloponezie albo w Trojej rodził:
„Szabla ostra przy boku — to pan; ta rozstrzygnie,
„Kto komu czołem bić ma. Do tego tam czasu
„Równi sobie być musim; ani tego Greczyn
„O sobie niechaj dzierży, żeby tak był groźny,
„Jako sie sobie sam zda. Jeśli tedy krzywdę
„W tem sie mieć rozumieją, że Helenę uniósł
„Aleksander: niechajże okażą na sobie
„Sami naprzód, jako ten gwałt winien nagradzać
„Aleksander, ponieważ sami okazali,
„Jako taki gwałt czynić; acz-ci Aleksander
„Brata przy siestrze nie wziął, jako oni wzięli
„Medeą i Absyrta.
„Bo, co Antenor mówi, że nam nic do tego:
„Ba, i barzo do tego! Za jednego krzywdę
„Oni sie wszyscy wzięli [5], a nas pojedynkiem
„Zbierać mają? nie tuszę; tożci sąsiadowi
„Sąsiad w Azyjej winien, co u nich w Europie [6].
„Mówiono zawżdy o to, i do końca będą.
„Co sie siostry królewskiej i szkód dawnych tycze,
„Więtsza to zasię u mnie, niżby się tu miała

---

[1] przycierać rogów. [2] = tak poprostu mówią Grecy. [3] wyciskać= wymuszać. [4] *Barbari* =barbarzyńcy. [5] wziąć się = ująć się. [6] to jest: w Azyi czy w Europie sąsiedzi winni pomagać sąsiadom.

„Przypomnieć, abo na ten sztych kłaść[1]; dzierżę o cnej
„Krwi trojańskiej, że tego mścić sie jeszcze będzie.
„Teraz zgoła nie radzę Heleny wydawać,
„Aż się też oni z nami o Medeą zgodzą.“
To jego słowa były. Potem sie już żaden
Długą rzeczą nie bawił, jeden głos był wszytkich:
„Tak, jako Iketaon!“ I tych, co siedzieli,
I tych, co za stołkami stali, głos był jeden:
„Tak, jako Iketaon!“ Kilkakroć powstawał
Ukalegon, chcąc mówić, lecz przed hukiem nie mógł.
Marszałkowie, laskami w ziemię coraz bijąc:
„Posłuchajcie, panowie! Ukalegon mówi!“
Nie pomogły nic laski, a nasz Ukalegon
Ukalegontom[2] mówił, bo nań nic nie dbali.
Tymczasem ktoś zawołał głosem prawie głośnym:
„Co po tych krasnych mowach? rozstąpmy sie oto;
„Ujźrzemy, gdzie nas więcej!“ Ledwie wyrzekł, a już
Wszyscy na nogach stali i swe miejsca brali.
Kiedy sie rozstąpili, nie było co równać:
Wszyscy przy Aleksandrze, a tam ich garść była.
Prosili potem króla, aby wedle prawa
Postąpił, a za więtszą częścią wyrok podał.
Król, niewiele mieszkając[3]: „Radbych był — powiada —
„Na zgodę waszę patrzał, lecz, iż być nie mogła,
„Mnie nie lza, jeno więtszej części naśladować.
„A tak, co z dobrem niechaj będzie pospolitem,
„Helena niechaj w Trojej zostanie, aż też nam
„Grekowie za Medeą nagrodę uczynią“.
Skoro po tym dekrecie po posły posłano,
A mnie też Aleksander do ciebie wyprawił
Z tem wszytkiem, coś słyszała, tuszę, że odprawę
Do tej doby już wzięli posłowie, i twój mąż
W domu cię dawno czeka. A tak nie mieszkajmy!

Hel. Dobrze mówisz; idź ty wprzód, ja za tobą w tropy.

Chorus.

Tej podobno ta powieść k myśli; mnie — bynajmniej!
I onej, nie wiem, na co ta radość wynidzie.
Posłowie, widzę, idą, nosy powiesiwszy:
Znać, że nie po swej myśli odprawę odnoszą.

---

[1] Porównywać. [2] jest to gra słów: Ukalegon — imię własne, ale jednocześnie *uk alegon* znaczy po grecku: nie troszczący się, nie chcący nawet słyszeć, a więc „Ukalegon ukalegontom mówił“ = Ukalegon mówił do nie chcących go słuchać. [3] mieszkać = zwlekać.

Ulisses.

O nierządne królestwo i zginienia blizkie,
Gdzie ani prawa ważą, ani sprawiedliwość
Ma miejsca, ale wszytko złotem kupić trzeba!
Jeden to marnotrawca umiał spraktykować,
Że jego wszeteczeństwa i łotrowskiej sprawy
Od małych aż do wielkich wszyscy jawnie bronią,
Nizacz prawdy nie mając ani końca patrząc,
Do którego rzeczy przyść za ich radą muszą.
Nie rozumieją ludzie ani sie w tem czują,
Jaki to wrzód szkodliwy w Rzeczypospolitej —
Młódź wszeteczna: ci cnocie i wstydowi cenę
Ustawili; przed tymi trudno człowiekiem być
Dobrym; ci domy niszczą, ci państwa ubożą,
A rzekę, że i gubią. (Troja [1], poznasz potem!)
A przykładem zaś swoim jako wielką liczbę
Drugich przy sobie psują! Patrz, jakie orszaki
Darmojadów za nimi, którzy ustawicznem
Próżnowaniem a zbytkiem, jako wieprze, tyją!
Z tego stada, mniemacie, że sie który przyda
Do posługi ojczyzny? Jako ten we zbroi
Wytrwa, któremu czasem i w jedwabiu ciężko?
Jako straż będzie trzymał, a on i w południe
Przesypiać sie nauczył? jako stos [2] wytrzymać
Ma nieprzyjacielowi, który ustawicznem
Pijaństwem zdrowie stracił? Takimi sie czując,
A podobno nie czując, na wojnę wołają:
Boże! daj mi z takimi mężmi zawżdy czynić [3]!

Menelaus.

Wieczne światło niebieskie i ty, płodna ziemi [4],
I ty, morze szerokie, wy, wszyscy bogowie,
I wysocy i nizcy! Świadki mi dziś bądźcie,
Żem rzeczy sprawiedliwej od Trojanów żądał,
Abych był krzywdy wielkiej i zelżenia swego
Nagrodę jaką wziąć mógł: nicem nie otrzymał,
Jeno śmiech ludzki, a żal serdeczny tem więtszy.
Na was tedy krzywdę swą i żałość niezmierną
Kładę, możni bogowie! Jeśli sercem czystem
Tę prośbę do was czynię, pomścicie zelżenia
I mej krzywdy tak jasnej; dajcie mi na gardle
Usieść Aleksandrowem i miecz krwią napoić

[1] Przypadek 5. [2] z niemieckiego (der Stoss)—pchnięcie;, wytrzymać komu stos = podołać komu. [3] walczyć. [4] przyp. 5 od ziem (ziemia).

Człowieka bezecnego! ponieważ i on mej
Zelżywości dawno syt i dziś sie ją karmi.

Chorus.

O białoskrzydła, morska pławaczko [1],
Wychowanico Idy wysokiej [2],
Łodzi bukowa, któraś gładkiej
Twarzy pasterza Pryjamczyka [3]
Mokremi słonych wód [4] ścieżkami
Do przeźrzoczystych Eurotowych
Brodów [5] nosiła!
Coś to zołwicom [6] za bratową,
Córom szlachetnym Pryjamowym,
Cnej Poliksenie i Kassandrze
Wieszczej, przyniosła?
Za którą oto w tropy prosto,
Jako za zbiegłą niewolnicą,
Prędka pogonia przybieżała.
To-li on sławny upominek
Albo pamiętne [7], którem luby
Sędziemu [8] wyrok ze wszech Wenus
Bogini piękniejsza zapłaciła,
Kiedy na Idzie stokorodnej [9]
Śmierci podległy nieśmiertelne
Uznawca [10] twarzy [11] rozeznawał?
Swar był początkiem i niezgoda
Twego małżeństwa, Pryjamicze!
Nie śmiem źle tuszyć, nie śmiem; ale
Ledwie nie takiż koniec będzie [12].
Niechajże sie ja, można Cypry [13],
Ninacz cudzego nie zapatrzam!...
Oczy łakome siła ludzi
Zawiodły; lecz kto w krygi żądzą
Mógł ująć [14], w długiem niebezpieczeństwie
Dni swych używie. Przydą, przydą

---

[1] białoskrzydła pławaczka = okręt z białymi żaglami, na którym Parys uprowadził Helenę. [2] Ida — góra trojańska, obfita w drzewa jodłowe, z których budowano okręty. [3] Pryjamczyk = syn Pryjama: Parys. [4] słone wody = morze. [5] Eurotowe brody = brzegi rzeki Eurotas w Lakonii, gdzie panował Menelaus. [6] zołwica, zełwica = siostra męża: siostry Parysa były dla Heleny zołwicami. [7] dar pamiątkowy. [8] t. j. Parysowi. [9] stokorodny = obfity w strumienie, w źródła rzek. [10] śmierci podległy uznawca = śmiertelny znawca, t. j. Parys. [11] nieśmiertelne twarzy (= twarze) — boginie. [12] t. j. małżeństwo skończy się swarem i niezgodą (wojną Trojan z Grekami). [13] przypadek 5 od *Cyprys* = Wenera, która na Cyprze miała świątynię. [14] w krygi żądzą ująć = ująć żądzę w karby.

Niedawno[1] czasy, że rozbójcę
Rozbójca znidzie[2]; ten mu słodki
Sen z oczu zetrze i bezpieczne
Serce zatrwoży, kiedy trąby
Ogromne zagrzmią, a pod mury
Nieprzyjacielskie staną szańce.

Antenor, Priamus.

Ant. Iż moja wierna rada u ciebie, o wielki
Królu, ważna nie była, żebyś był Helenę
Grekom wydać rozkazał, a tę niewątpliwą
Wielkiej wojny pochodnią co naprędzej zgasił:
Teraz, co po tem idzie, w czas[3] cię upominam,
Abyś czuł o potrzebie i o pewnej wojnie,
Tak pewnie, jako mię tu dziś przed sobą widzisz.
Słyszałeś, jako cię dziś posłowie żegnali
I nas wszytkich przy tobie; pograniczni piszą
Starostowie, że greckie wojska sie ściągają
Do Aulidy[4]; w tem wętpić[5] nie potrzeba, że ci
Do nas pójdą: inaczej aniby tu byli
Posłów swych posyłali, ani tak surowie
O swą krzywdę mówili. A tak, nie mieszkając,
Póki brzegu morskiego ostatka nie stracim,
Porty naprzód i zamki pograniczne spiżą[6]
I ludźmi dobrze opatrz; hołdownym książętom
Rozkaż być w pogotowiu; żołnierzom przypowiedz
Służbę; szpiegi roześli; straż miej i na morzu
I na ziemi, aby cię łacni[7] niegotowym
Grekowie nie zastali! To jest rada moja.

Priam. Jakobyś już na oko, dobry Antenorze,
Nieprzyjaciela widział, tak sie, widzę, boisz!

Ant. O królu, teraz sie bać lepiej: bo za taką
Bojaźnią i opatrzność i gotowość roście.
W on czas już próżny rozmysł, bo już albo sie bić,
Albo uciekać trzeba: trzeciego nic niemasz!

Priam. A ja owszem na dobrej pieczy wszytko mieć chcę,
Aby nam do tak nagłych ucieczek nie przyszło.

Ant. Daj to Boże! A to zaś co za białagłowa,
Z włosy roztarganymi i twarzy tak bladej?
Drżą na niej wszytkie członki, piersiami pracuje,

---

[1] niebawem. [2] zniść = zdybać, napaść. [3] zawczasu. [4] Aulida — port w Beocyi. [5] wątpić. [6] Spiża (niem. speise) = zapasy żywności. [7] łacny = łatwy, skory (do bitwy).

Oczy wywraca, głową kręci: to chce mówić,
To zamilknie.

Priam. Moja to nieszczęśliwa córa
Kassandra; widzę, że ją duch Apollinowy
Zwykły nagarnął: nielza, jeno jej posłuchać.

Kassandra.

Poco mię próżno, srogi Apollo, trapisz?
Który, wieszczego ducha dawszy, nie dałeś
Wagi w słowiech [1]; ale me wszytki proroctwa
Na wiatr idą, nie mając u ludzi więcej
Wiary nad baśni próżne i sny znikome!
Komu serce spętane albo pamięci
Zguba mojej pomoże? komu z ust moich
Duch nie mój [2] pożyteczen i zmysły wszytki
Ciężkim, nieznośnym gościem opanowane [3]?
Próżno sie odejmuję [4], gwałt mi sie dzieje,
Nie władnę dalej sobą, nie jestem swoja!
Ale gdzieżem prze Boga? Światła nie widzę,
Noc mi jakaś przed oczy nagła upadła!
Owóż mamy dwie słońcy [5], owóż dwie Troi,
Owóż i łani [6] morzem głębokiem płynie, —
Nieszczęśliwa to łani, złej wróżki [7] łani!
Brońcie brzegów, pasterze, nie dopuszczajcie
Tej niezdarzonej goście [8] nigdzie do ziemie!
Nieszczęśliwa to ziemia i brzeg nieszczęsny,
Gdzie ta łani wypłynie! Nieszczęsna knieja,
Gdzie wnidzie i gdzie gładki swój bok położy!
Wszytki stopy, wszytki jej łożyska muszą
Krwią opłynąć! Upadek, pożogę, pustki
Z sobą niesie! O, wdzięczna ojczyzno moja!
O, mury, nieśmiertelnych ręku roboto [9],
Jaki koniec was czeka? Ciebie, mój bracie,
Stróżu ojczyzny, domu zacna podporo!
W koło murów trojańskich tesalskie konie
Włóczyć grożą [10]; a twoje oziębłe ciało
Będzie-li chciał nieszczęsny ojciec pochować,
Musi je u rozbójce złotem kupować!

---

[1] Dałeś mi ar proroczy, a nie dałeś posłuchu u ludzi. [2] duch nie mój = natchnienie, które zawdzięczam nie sobie, tylko Apollonowi. [3] opanowane przez nieznośnego gościa, t. j. przez Apollona. [4] odejmować się = opierać się. [5] liczba podwójna. [6] łania, sarenka, t. j. Helena. [7] wróżka = wróżba. [8] niezdarzona gościa = niewczesny (nieszczęsny) gość. [9] mury trojańskie pobudowali Pozejdon (Neptun) i Apollon. [10] Kassandra prorokuje, że król tesalski, Achilles, zam uje jej brata, Hektora.

Nieprzepłacony duchu! z tobą pospołu
I ojczyzna umarła: jednaż mogiła
Oboje was przykryje! Lecz i ty, srogi
Trupokupcze [1], niedawno i sam polężesz,
Strzałą niemężnej ręki [2] prędko objeżdżon!
Cóż potem? Kłoda leży, a ze pnia przedsię
Nowa rózga wyrosła i nad nadzieję
Prędko ku górze idzie [3]! A to co za koń
Tak wielki na poboju sam jeden stoi?
Nie wodźcie go do stajni, radzę, nie wodźcie!
Bije ten koń i kąsze; spalcie go raczej,
Jeśli sami od niego zgorzeć nie chcecie!
Czujcie, stróże! noc idzie, noc podejrzana!
Wielki ogień ma powstać, tak wielki ogień,
Że wszytko, jako w biały dzień, widać będzie, —
Ale nazajutrz zaś nic widać nie będzie!
W ten czas, ojcze, ani już bogom swym dufaj,
Ani sie poświęconych ołtarzów łapaj:
Okrutnego lwa szczenię [4] za tobą bieży,
Które cię paznoktami przejmie ostrymi
I krwią twoją swe gardło głodne nasyci!
Syny wszytki pobiją, dziewki w niewolą
Zabiorą, drugie kwoli trupom umarłym
Na ich grobiech bić będą! Matko! ty dziatek
Swoich płakać nie będziesz, ale wyć będziesz!

Chorus.

Rzućmy sie co naprędzej, a na pokój gdzie
Wyprowadźmy tę pannę upracowaną!

Antenor, Priamus.

Ant. Te słowa, królu, nie są ku wyrozumieniu
Nazbyt trudne, a zgoła tobie i ojczyźnie
Upad opowiadają; prze cię Boga proszę,
Nie waż ich sobie lekce, ani miej za baśni!

Priam. Jeszcze tego nie prawie ta przeciwna [5] wiedma
W mię wmówiła, żebych sie miał bać; ale przedsię
Postraszyła mię nieco, zwłaszcza, że mi przysze
Sen na pamięć żony mej, że, miasto dziecięcia,
Pochodnią urodziła.

---

[1] Trupokupiec (kupczący trupami) = Achilles, który trupa Hektora nie oddał darmo Pryjamowi. [2] Achilles poległ z ręki tchórza Parysa. [3] t. j. poległ Achilles, ale pozostawił po sobie młodego syna (Neoptolema), który mordował Trojańczyków. [4] syn Achillesa. [5] przeciwny = wstrętny.

Ant. I jam też to, królu,
Jeszcze natenczas wiedział i pomnię, jako to
Wieszczkowie wykładali, że to dziecię miało
Upad ojczyźnie przynieść; czego, widzę, blizko!

Priam. Dobrze to pomnisz, ale i jam był rozkazał
Grzechu[1] tego nie żywić: dawno to na puszczy
Wilcy mieli rozdrapać, a kości nieszczęsne
Po pustych górach roznieść.

Ant. A lepiej było, niżli nam wszytkim przeń[2] zginąć!
Co za więźnia to mamy? ubiór to jest grecki!

Rotmistrz, więzień.

Rot. Takci, panowie! wy tu radzicie, a w polu
Grekowie nas wojują! Wczora o południu
Pięć galer ich przypadło na trojańskie brzegi.
Ludzi wprawdzie nie brali, ani też palili,
Ale, cokolwiek było w polu bydła, wzięli.
Jako nas tam niewielki natenczas był poczet,
Kusiwszy sie kilkakroć o nie, musielichmy
Na ostatek dać pokój; kilka głów jest przedsię
Zabitych, ten sam jeden tylko poimany;
Na próbie[3] to powiedział, że greckiego wojska
Tysiąc galer na kotwicach pogotowiu stoi
W Aulidzie, którzy tylko na posły czekają.
A ci, jeśli Heleny nazad nie przyniosą,
(Jakoż widzę, że bez niej tak na morze wsiedli)
Wszytko sie wojsko tedyż ma ruszyć i prosto
Ku Troi żagle podać! Wszak tak?

Więz. Niepochybnie[4]!

Rot. Hetmanem Agamemnon?

Więz. Ten, brat Menelaów.

Priam. Każ więźnia tego schować i opatrzyć dobrze!
To więc już, Antenorze, insza, niż proroctwa
Abo sny białogłowskie; ale wszyscy przedsię
W jeden cel biją. Jutro co naraniej
W radę wnidźmy, a stamtąd już ani wychodźmy,
Aż obronę uradzimy!

---

[1] t. j. Parysa. [2] prze (przez) niego. [3] próba = tortury. [4] niezawodnie.

Ant. Baczę, że jej trzeba,
Acz mi to słowa przykre i coś nie bez wróżki.
Na każdy rok nam każą radzić o obronie:
Ba, radźmy też o wojnie, nie wszytko sie brońmy!
Radźmy, jako kogo bić: lepiej, niż go czekać!

Miłość świata starożytnego i znajomość literatury starożytnej oraz miłość własnej ojczyzny i niepokój o jej przyszłość natchnęły Kochanowskiemu *Odprawę posłów greckich*, która pomimo formy i treści starożytnej jest utworem narodowym i patryotycznym.

Pod względem formy *Odprawa* jest tragedyą *klasyczną*, napisaną na wzór tragików greckich, Sofoklesa i Eurypidesa: wiersz jest nie rymowany, lecz biały (rytmiczny); na scenie przez cały czas trwania akcyi znajduje się chór (złożony z „panien trojańskich“), który jednak czynnego udziału w akcyi nie bierze i jest tylko jej świadkiem, wypowiadając od czasu do czasu swoje własne poglądy lub uczucia; scena przez cały ciąg sztuki nie zmienia się ani razu: wszystko odbywa się w jednem miejscu, w domu Aleksandra, a o przebiegu rady trojańskiej, która się odbyła w innem miejscu, widzowie dowiadują się z długiego opowiadania posła: układ wreszcie (budowa) tragedyi jest taki sam, jak w tragedyach starożytnych [1]. A jak forma, tak i treść *Odprawy* jest starożytna. Główny pomysł wziął Kochanowski z Homera, który w trzeciej księdze *Iliady* (w tej samej księdze, którą poeta przełożył na język ojczysty) wspomina, że Ulisses i Menelaus przybyli w poselstwie do Troi, aby się upomnieć o porwaną przez Aleksandra (Parysa) Helenę, i zamieszkali w gościnnym domu Antenora; ale nie wskórali nic i powrócili do domu bez Heleny. Kilka drobnych szczegółów zapożyczył nadto Kochanowski z Sofoklesa, z Eurypidesa, z Owidyusza, z Seneki i in. Pomimo to wszystko *Odprawa posłów greckich* jest utworem oryginalnym — nie tylko dla tego, że wiele szczegółów wymyślił Kochanowski sam, a szczegóły zapożyczone rozwinął i uzupełnił własną fantazyą, ale nadewszystko dla tego, że zbudował z nich jednolitą całość, ta zaś stanowi jego niezaprzeczoną własność.

Nie dosyć na tem. Własnością Kochanowskiego jest myśl przewodnia utworu, myśl piękna i szlachetna, oraz równie piękne i szlachetne uczucie, ożywiające tragedyę. Cóż jest myślą przewodnią *Odprawy?* Parys, porywając Helenę, popełnił zbrodnię, bo pogwałcił świętość domowego ogniska, podeptał prawa boskie i ludzkie, a nadto naraził ojczyznę swą na niebezpieczeństwo wojny z Grekami; można jeszcze temu niebezpieczeństwu zapobiedz,

[1] Zaczyna się tragedya od prologu, po którym następuje pierwsza pieśń chóru; dalej—epeisodion pierwsze, druga pieśń chóru, epeisodion drugie, trzecia pieśń chóru i wreszcie — exodos (rozwiązanie).

oddając Helenę posłom greckim, lecz Parys, kierując się egoizmem, nie zaś miłością ojczyzny, nie tylko uczynić tego nie chce (i w ten sposób popełnia nową zbrodnię), ale nadto wciąga do niej innych, mianowicie większość panów z rady trojańskiej, których zapomocą przekupstwa ująć sobie potrafił i którzy też głosują, żeby Heleny nie oddawać; nic nie sprawiły rozum, szlachetność i miłość ojczyzny Antenora i nielicznych patryotów trojańskich, — zwyciężyły głupota, nikczemność i prywata Parysa i jego stronników; posłowie greccy dostają odprawę, a skutkiem tego wybucha wojna, która ziściła straszną przepowiednię Kassandry: potężna Troja legła w gruzach i popiołach. Otóż *Kochanowski chciał pokazać, że państwo, w którem większość rządzi się nie miłością ojczyzny, tylko prywatą, musi zginąć;* i to właśnie stanowi myśl przewodnią tragedyi. A miał tu poeta na widoku swoją własną ojczyznę, w której już za jego życia nie brakło, na nieszczęście, Parysów (np. Zborowscy!), Antenorów zaś było niewielu; ponieważ nadto widział, że w Polsce „ani prawa ważą, ani sprawiedliwość ma miejsca“, że zanika dawny duch rycerski, więc nie rokował szczęścia ojczyźnie i swój lęk o jej przyszłość wypowiedział przez usta Ulissesa („O, nierządne królestwo i zginienia blizkie!“) i Kassandry („Po co mię próżno, srogi Apollo, trapisz?“). Wogóle pełno w *Odprawie posłów greckich* napomknień o sprawach nie greckich i nie trojańskich, tylko polskich: a więc np. opowiadanie posła o kłótliwem i wrzaskliwem posiedzeniu rady trojańskiej jest wcale dokładnym i dosadnym obrazem posiedzeń sejmu polskiego; Iketaon, umiejący rozbudzić uczucia patryotyczne słuchaczów, aby je wyzyskać na rzecz sprawy prywatnej, to przepyszny typ warchoła sejmowego; król Pryjam, odkładający wszystko do jutra, przypomina trochę Zygmunta Augusta, którego już współcześni nazywali dojutrkiem, i t. d.

Ale to jeszcze nie wszystko. Przy pisaniu tragedyi przyświecał Kochanowskiemu pewien wyraźny cel polityczny: pragnął mianowicie poeta rozbudzić w szlachcie ducha rycerskiego i, w myśl wielkich zamiarów króla Stefana i Zamojskiego, zachęcić ją do wojny zaczepnej z Moskwą; cel ten przebija się najwyraźniej w zakończeniu tragedyi w słowach Antenora: „Na każdy rok nam każą radzić o obronie: ba, *radźmy też o wojnie, nie wszytko się brońmy; radźmy, jako kogo bić: lepiej, niż go czekać!*“ Słowa te dźwięczały, w uszach widzów, jak pobudka wojenna; jakoż pustym dźwiękiem nie były: wkrótce po odegraniu tragedyi Kochanowskiego wobec posłów i senatorów, których Zamojski na „fest“ zaprosił, sejm uchwalił podatek na wojnę zaczepną z Moskwą! Otóż przez tę pobudkę wojenną, przez liczne napomknienia o sprawach polskich, przez uczucie niepokoju o przyszłość ojczyzny jest *Odprawa posłów greckich* utworem narodowym i patryotycznym. A tak Kochanowski potrafił połączyć w jedną piękną całość formę i treść starożytną z życiem narodowem.

Arcydziełem *Odprawa* nie jest: jej największą wadę stanowi brak żywej akcyi. Lecz niezwykła powaga i doniosłość przedmiotu, którym są losy nie jednostki, ale całego państwa, klasyczna piękność języka, jasność i prostota układu, szlachetność myśli i uczuć, prawdziwie tragiczna groza, jaką ma w sobie nadewszystko wspaniały monolog Kassandry, o którym słusznie powiedział Mickiewicz, że należy do najpiękniejszych utworów poezyi słowiańskiej, — wszystkie te zalety nadają tragedyi wartość bardzo wysoką i zapewniają jej wybitne stanowisko w literaturze nietylko polskiej, ale i powszechnej. W literaturze powszechnej XVI wieku *Odprawa posłów* jest jedną z najudatniejszych prób tragedyi klasycznej, a w literaturze staropolskiej jest tragedyą nie tylko pierwszą, ale jedyną piękną i jedyną godną tego imienia.

§ 40. Nie tak wspaniałym, jak *Odprawa posłów greckich*, ale nie mniej szczerym wyrazem patryotyzmu Kochanowskiego są niektóre z jego *Pieśni*.

Pieśni, które poeta pisał w różnych chwilach swego życia, a których znaczna większość ukazała się w druku dopiero po jego śmierci (mianowicie w r. 1585), są, podobnie jak fraszki, odzwierciedleniem jego własnej duszy, tylko że, kiedy większa część fraszek jest żartobliwa, pieśni są poważne. Nie wszyskie są pieśniami we właściwem znaczeniu tego wyrazu, bo nie wszystkie przeznaczał Kochanowski do śpiewu; są to wogóle utwory liryczne o treści różnorodnej, a tę wspólną posiadające cechę, że składają się ze strof (najczęściej czterowierszowych). Wypowiada w nich poeta swe uczucia i myśli. Uczuciami temi to głównie miłość Boga, ojczyzny i kobiety, a myślami — poglądy na życie ludzkie; tak więc są *pieśni religijne, patryotyczne i miłosne* (erotyczne) oraz *refleksyjne* (rozważające).

Miłość Boga, jako dobrego ojca, sypiącego hojną ręką dobrodziejstwa swym dzieciom, i podziw dla Boga, jako wszechmocnego stworzyciela i wszechmądrego rządcy świata, który swą cudowną pięknością i niewzruszonym ładem najlepiej świadczy o wiekuistej Mądrości, — przemówiły wspaniale w natchnionym, majestatycznym *Hymnie* („Czego chcesz od nas, Panie, za twe hojne dary?“).

Swą miłość ojczyzny najpiękniej i najsilniej wypowiedział poeta w pieśni „Wieczna sromota“, napisanej w czasie bezkrólewia po ucieczce Henryka, kiedy to Tatarzy wtargnęli na Podole i uprowadzili kilkadziesiąt tysięcy jeńców; bije z tej pieśni smutek głęboki i wstyd bolesny, wstyd za własną ojczyznę, a raczej za jej niedobre dzieci, które wśród biesiad i rozkoszy zapominają o swej matce i nie bronią jej przed napastnikami. Jedna to z najpiękniejszych pieśni w całej poezyi staropolskiej. A obok niej godna stanąć pieśń inna, którą również do patryotycznych zaliczyć można, *pieśń o dobrej sławie*, będąca jakby *Odą do młodości* Kochanowskie-

go: jak Mickiewicz nawołuje młodzież, aby, wykorzeniwszy z siebie samolubstwo, przejęła się zasadą, że „w szczęściu wszystkiego są wszystkich cele“, i że „ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu, jeżeli poległem ciałem dał innym szczebel do sławy grodu“, — tak i Kochanowski woła: „Jako kto może, niech ku pożytku dobra spólnego pomoże!... Nie przegra, kto frymarczy na sławę żywotem“; a jak Mickiewicz mocno wierzy, że, kto ma zapał, ten wszystko sprawi, bo „zapał tworzy cudy“,—tak i Kochanowski, nawołując rodaków, by piersią własną ojczyznę swą od pogan bronili, woła: „Prostak to, który wojsko z wielkości szacuje: *zwycięstwo liczby nie chce, — męstwa potrzebuje*“!

W pieśniach miłosnych Kochanowski z początku wielbi nadewszystko zewnętrzną piękność kobiety, naśladując poetów starożytnych. Później, za przykładem poety włoskiego Petrarki, wypowiada swe uczucie w sposób nieco czułostkowy (sentymentalny) i przesadny, nazywając np. kobietę „aniołem“, mówiąc, że nawet natura odczuwa jej piękność i t. d., np.:

Kto mi wiary dać nie chce, daj ją oku swemu,
A przypatrz sie stworzeniu pilnie tak pięknemu:
Taka jeszcze nie była za dawnego wieku,
Aniołowi podobna barziej, niż człowieku!
　　Raj tam, gdzie ona siedzi, a którędy mija,
　　Za jej stopami róża wstawa i lelija;
　　Jej gwoli piękne drzewa dają cień sowity,
　　Nie chcąc, aby ją letni żegł ogień obfity!...

Jeszcze później poezya miłosna Kochanowskiego staje się bogatszą i, co ważniejsza, szlachetniejszą: już nie tylko miłość umie wypowiedzieć poeta, ale i te różne uczucia, które płyną z miłości kobiety, zwłaszcza smutek i tęsknotę w rozłączeniu, a oprócz piękności ciała wielbi piękność duszy, „święte obyczaje“ swojej ukochanej, np. w najpiękniejszej swej pieśni miłosnej — do Hanny, którą wzywa do Czarnolasu.

Treść pieśni refleksyjnych stanowią rozmyślania, mianowicie poglądy na życie ludzkie, poglądy, które Kochanowski po większej części przejął od myślicieli i poetów starożytnych, zwłaszcza od Horacego: człowiek dąży do szczęścia, ale głupi ten, kto pokłada szczęście w bogactwie, w zaszczytach, w ciągłej pogoni za rozkoszą; lecz i ten głupi, kto unika rozkoszy i przyjemności życiowych: *najlepiej trzymać się złotego środka;* nadto człowiek rozumny winien pamiętać o tem, że fortuna kołem się toczy, że zarówno szczęście, jak nieszczęście, jest nietrwałe, że więc nie trzeba brać zbyt mocno do serca ani szczęścia, ani nieszczęścia; prawdziwy mędrzec w złej, czy dobrej doli powinien zachować *równowagę duchową*; powinien wreszcie pamiętać, że na świecie obok rozkoszy znikomych

są i nieznikome, mianowicie *cnota, czyste sumienie i dobra sława.* Nie jedną zdrową myśl wypowiedział w tych pieśniach poeta, np.; „Wszystko sie dziwnie plecie na tym tu biednym świecie, a ktoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić, i zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić"; „A nigdy nie zabłądzi, kto tak umysł narządzi, jakoby umiał szczęście i nieszczęście znosić, temu mężnie wytrzymać, w owem sie nie wznosić"; „Nie porzucaj nadzieje, jako-ć sie kolwiek dzieje: bo nie już słońce ostatnie zachodzi, a po złej chwili piękny dzień przychodzi"; i t. d.

Hymn.

Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary?
Czego za dobrodziejstwa, którym niemasz miary?
Kościół Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie:
I w otchłaniach i w morzu, na ziemi, na niebie.
Złota też, wiem, nie pragniesz: bo to wszytko Twoje,
Cokolwiek na tym świecie człowiek mieni swoje.
Wdzięcznem Cię tedy sercem, Panie, wyznawamy,
Bo nad Cię przystojniejszej ofiary nie mamy.
Tyś pan wszytkiego świata, Tyś niebo zbudował
I złotemi gwiazdami ślicznieś uhaftował;
Tyś fundament założył nieobeszłej [1] ziemi
I przykryłeś jej nagość zioły rozlicznemi.
Za Twojem rozkazaniem w brzegach morze stoi,
A zamierzonych granic przeskoczyć sie boi.
Rzeki wód nieprzebranych wielką hojność mają,
Biały dzień a noc ciemna swoje czasy znają.
Tobie kwoli rozliczne kwiatki wiosna rodzi,
Tobie kwoli w kłosianym wieńcu lato chodzi;
Wino jesień i jabłka rozmaite dawa,
Potem do gotowego gnuśna zima wstawa.
Z Twej łaski nocna rosa na mdłe zioła padnie,
A zagorzałe zboża deszcz ożywia snadnie;
Z Twoich rąk wszelkie źwierzę patrza swej żywności,
A Ty każdego żywisz z Twej szczodrobliwości.
Bądź na wieki pochwalon, nieśmiertelny Panie!
Twoja łaska, Twa dobroć nigdy nie ustanie!
Chowaj nas, póki raczysz, na tej nizkiej ziemi,
Jedno zawżdy niech będziem pod skrzydłami Twemi!

Pieśń o spustoszeniu Podola przez Tatarów.

Wieczna sromota i nienagrodzona
Szkoda, Polaku! Ziemia spustoszona
Podolska leży, a pohaniec sprosny,
Nad Niestrem siedząc, dzieli łup żałosny.
Niewierny Turczyn psy zapuścił swoje,
Którzy zagnali piękne łanie twoje

[1] Nie dający się obejść, niezmierzony.

Z dziećmi pospołu; a niemasz nadzieje,
By kiedy miały nawiedzić swe knieje.
Jedny za Dunaj Turkom zaprzedano,
Drugie do Hordy dalekiej zagnano;
Córy szlacheckie (żal sie, mocny Boże!)
Psom bisurmańskim brzydkie ścielą łoże!
Zbójce, niestety, zbójce nas wojują,
Którzy ani miast, ani wsi budują:
Pod kotarzami [1] tylko w polach siedzą,
A nas, nierządne, ach! nierządne, jedzą.
Tak odbieżałe [2] stado więc drapają
Rozbójce-wilcy, gdy po woli mają,
Że ani pasterz nad owcami chodzi,
Ani ostrożnych psów za sobą wodzi.
Jakiego serca Turkowi dodamy,
Jeśli tak lekkim [3] ludziom nie zdołamy?
Ledwie-ć nam i tak króla nie podawa [4]:
Kto sie przypatrzy, mała nie dostawa!
Zetrzy sen z oczu, a czuj wczas o sobie,
Cny Lachu! Kto wie, jemu, czyli tobie
Szczęście chce służyć? A dokąd wyroku
Mars nie uczyni, nie ustępuj kroku!
A teraz k temu obróć myśli swoje,
Jakoby-ć szkody nieprzyjaciel twoje
Krwią swą nagrodził i omył tę zmazę,
Którą dziś niesiesz prze swej ziemie skazę.
Wsiadamy. Czy nas półmiski trzymają?
Biedne półmiski, — czego te czekają?
To pan i jadać na śrzebrze godniejszy,
Komu żelazny Mars będzie chętniejszy!
Skujmy talerze na talery, skujmy,
A żołnierzowi pieniądze gotujmy!
Inszy to darmo po drogach miotali:
A my nie damy, bychmy w cale trwali?
Dajmy, a naprzód dajmy! Sami siebie
Ku gwałtowniejszej chowajmy potrzebie:
Tarczej, niż piersi, pierwej nastawiają,
Późno puklerza przebici macają!
Cieszy mię ten rym [5]: „Polak mądr po szkodzie“;
Lecz, jeśli prawda i z tego nas zbodzie [6],

---

[1] Kotarza, kotarha = namiot tatarski. [2] odbieżały = odbieżany, opuszczony (przez pasterzy — jak Polska, opuszczona przez Henryka Walezyusza). [3] lekki = nikczemny. [4] podawać = narzucać. [5] przysłowie. [6] jeśli rzeczywistość i temu kłam zada.

Nową przypowieść Polak sobie kupi,
Że i przed szkodą i po szkodzie głupi!...

Pieśń o dobrej sławie.

Jest kto, coby, wzgardziwszy te doczesne rzeczy,
Chciał ze mną dobrą tylko sławę mieć na pieczy,
A starać sie, (ponieważ musi zniszczeć ciało)
Aby imię przynamniej po nas tu zostało?
I szkoda zwać człowiekiem, kto bydlęce żyje,
Tkając, lejąc w się wszytko, póki zstawa szyje;
Nie chciał nas Bóg położyć równo z bestyjami:
Dał nam rozum, dał mowę, a nikomu z nami!
Przeto chciejmy wziąć przed się myśli, godne siebie,
Myśli, ważne na ziemi, myśli, ważne w niebie:
Służmy poczciwej sławie, a jako kto może,
Niech ku pożytku dobra spólnego pomoże!
Komu dowcipu równo z wymową dostaje,
Niech szczepi między ludźmi dobre obyczaje,
Niechaj czyni porządek, rozterkom zabiega,
Praw ojczystych i pięknej swobody przestrzega!
A ty, co-ć Bóg dał siłę i serce po temu,
Uderz sie z poganinem, jako słusze[1] cnemu!
Prostak to, który wojsko z wielkości szacuje:
Zwycięstwo liczby nie chce, — męstwa potrzebuje!
Śmiałemu wszędy równo, a o wolność miłą
Godzi sie oprzeć, by więc i ostatnią siłą.
Nie przegra, kto frymarczy[2] na sławę żywotem:
Azaby go lepiej dał w cieniu darmo potem?..[3]

Rozstanie z ukochaną.

Trudna rada w tej mierze! Przyjdzie sie rozjechać,
A przez ten czas wesela i lutnie zaniechać.
Wszystka moja dobra myśl z tobą precz odchodzi,
A z tego mię więzienia nikt nie wyswobodzi,
Dokąd cię zaś nie ujźrzę, pani wszech piękniejsza,
Co ich kolwiek przyniosła chwila teraźniejsza.
Już mi z myśli wypadły te obecne twarzy!
Twoje nadobne lice jest podobne zarzy[4],
Która nad wielkiem morzem rano sie czerwieni,
A znienagła ciemności nocne w światłość mieni;
Przed nią gwiazdy drobniejsze po jednej znikają
I tak już przyszłej nocy nieznacznie czekają.
Takaś ty w oczu moich! Szczęśliwa to droga,
Po której chodzić będzie tak udatna noga!

---

[1] Przystoi. [2] frymarzyć = kupczyć; frymarczyć na sławę żywotem = oddawać życie za sławę. [3] czyżby lepiej było, gdyby, zamiast poledz na polu bitwy, darmo oddał życie w ukryciu? [4] zarza = zorza.

Zajźrzę [1] wam, gęste lasy i wysokie skały,
Że przede mną będziecie taką rozkosz miały:
Usłyszycie wdzięczny głos i przyjemne słowa,
Po których sobie teskni biedna moja głowa!
Lubeż moje wesele, lubeż me biesiady!
Mnie podobno już próżno szukać inszej rady,
Jeno smutnego serca podpierać nadzieją:
W nadzieję ludzie orzą i w nadzieję sieją!
A ty tak srogą nie bądź ani mię tem karzy,
Bych długo nie miał widzieć twojej pięknej twarzy!

Wezwanie Hanny do Czarnolasu.

Nie dbam, aby ziemne skały
Po mem graniu tańcowały;
Niech mię wilcy nie słuchają,
Lasy za mną nie biegają! [2]
Hanno! Tobie kwoli śpiewam,
Skąd jeśli twą łaskę miewam,
Przeszedłem już Amfijona
I lutnistę Aryjona [3].
Mnie sama twarz nie uwiedzie:
I, choć druga na plac jedzie [4]
Z herby domów starożytnych,
Zacnę plemię dziadów bitnych, —
Ja chce sie podobać w mowie
Nauczonej białej głowie:
Ty mię pochwal, moja pani, —
Nie dbam, choć kto inszy gani!
Cnocie zajźrzą, jako żywo:
Bujne drzewo wiatrom krzywo;
Ale ty chciej pomódz sama, —
Nie ugrozi zazdrość nama [5].
A jeśli me nizkie progi
Będą godne twojej nogi,
Nogi pięknej, nie potrzeba, [6] —
Dosięgę już głową nieba!
Samy cię ściany wołają
I z dobrą myślą czekają;
Lipa, stojąc wpośród dworu,
Wygląda cię co raz z boru.
Każ bystre konie zakładać,
A sama sie gotuj wsiadać!
Teraz naweselsze czasy:
Zielenią sie pięknie lasy,
Łąki kwitną rozmaicie,
Zająca już nie znać w życie;
Przy nadziei oracz ścisły, [7]
Że będzie miał z czem do Wisły;
Stada igrają przy wodzie,
A sam pasterz, siedząc w chłodzie,
Gra w piszczałkę proste pieśni,
A Faunowie skaczą leśni.
Kwap sie, póki jasne zorze
Nie zapadną w bystre morze:
Po chwili ćmy [8] czarne wstaną,
Co noc noszą nienaspaną [9].

Powrót wiosny a czyste sumienie.

Serce rośde, patrząc na te czasy!
Mało przedtem gołe były lasy,
Śnieg na ziemi wyższej łokcia leżał,
A po rzekach wóz nacięższy zbieżał;
Teraz drzewa liście na się wzięły,
Polne łąki pięknie zakwitnęły,

---

[1] Zajźrzeć = zazdrościć. [2] według podania starożytnego, Orfeusz muzyk swoją poruszał skały i oswajał dzikie zwierzęta. [3] Amfion i Aryon — mitycz muzycy i śpiewacy greccy. [4] jechać z czem na plac = popisywać się czem. [5] tr ci przyp. liczby podwójnej od *my*. [6] nie potrzeba = to więcej niczego już nie p gnę. [7] oszczędny. [8] cier ści. [9] noc nienaspana = noc, której przespać nie mo na, wlokąca się bez końca.

Lody zeszły, a po czystej wodzie
Idą statki i ciosane łodzie.
Teraz prawie [1] świat sie wszystek śmieje,
Zboża wstały, wiatr zachodny wieje,
Ptacy sobie gniazda omyślają,
A przede dniem śpiewać poczynają.
Ale to grunt wesela prawego,
Kiedy człowiek sumnienia całego,
Ani czuje w sercu żadnej wady,
Przeczby [2] sie miał wstydać swojej rady [3].
Temu wina nie trzeba przylewać
Ani grać na lutni, ani śpiewać:
Będzie wesół, byś chciał, i o wodzie,
Bo sie czuje prawie na swobodzie.
Ale, kogo gryzie mól zakryty [4],
Nie idzie mu w smak obiad obfity;
Żadna go pieśń, żadny głos nie ruszy,
Wszytko idzie na wiatr mimo uszy.
Dobra myśli, krórej nie przywabi,
Choć kto ściany drogo ujedwabi!
Nie gardź moim chłodnikiem [5] chróścianym,
A bądź ze mną, z trzeźwym i z pijanym!...

Pieśń o cnocie.

Niemasz i, po drugi raz, niemasz wątpliwości,
Żeby cnota miała być kiedyś bez zazdrości:
Jako cień nieodstępny ciała naśladuje [6],
Tak za cnotą w też tropy zazdrość postępuje.
Nie może jej blasku znieść ani pojźrzeć w oczy,
Boleje, że kto przed nią kiedy wyższej skoczy;
A iż baczy po sobie, że sie wspinać próżno,
Tego ludziom uwłóczy, w czem jest od nich różno. [7]
Ale człowiek, który swe pospolitej rzeczy
Służby oddał, tej krzywdy nie ma mieć na pieczy:
Dosyć na tem, kiedy praw [8] ani niesie wady,—
Niechaj drugi boleje, niech sie spuka jady! [9]
Cnota (tak jest bogata!) nie może wziąć szkody,
Ani sie też ogląda na ludzkie nagrody:
Sama ona nagrodą i płacą jest sobie
I krom [10] nabytych przypraw świetna w swej ozdobie!
A jeśli komu droga otwarta do nieba,
Tym, co służą ojczyźnie! Wątpić nie potrzeba,
Że, co im zazdrość ujmie, Bóg nagradzać będzie,
A cnota kiedykolwiek [11] miejsce swe osiędzie!

---

[1] Prawdziwie. [2] dlaczegoby. [3] rada=my[illegible] postępki. [4] ukryty. [5] chłodnik=altana. [6] naśladować kogo=iść za k[illegible] [7] tego ludziom odmawia, czego sama nie posiada. [8] kiedy ma słuszność. [9] niech pęknie od jadów zazdrości. [10] bez. [11] prędzej czy później.

§ 41. Odrębne stanowisko wśród pieśni zajmuje *Pieśń Świętojańska o Sobótce.* Jestto sielanka (*pierwsza sielanka polska*), treść jej bowiem stanowi zabawa wiejska, polegająca na paleniu stosów w noc świętojańską (t. j. w noc z d. 23 na 24 Czerwca), na skakaniu przez ogień i tańczeniu przy odgłosie muzyki i śpiewu. Do dziś dnia jeszcze zwyczaj ten, będący niewątpliwie spuścizną po obrządku pogańskim na cześć słońca, dochował się tu i owdzie wśród ludu wiejskiego, a w wieku XVI był jeszcze powszechnym, przyczem w uroczystości brał udział zapewne nie tylko lud, ale i szlachta. Poeta bywał bez wątpienia nie tylko naocznym świadkiem, ale i uczestnikiem Sobótki i, uderzony malowniczością obrzędu, wziął go za przedmiot utworu poetycznego, — tem chętniej, że i jego ukochani poeci rzymscy opiewali podobną uroczystość (na cześć bogini Pales, opiekunki trzód i pasterzy). Sam jednak opis obrzędu zbył Kochanowski w kilku wierszach:

Gdy słońce Raka zagrzewa, [1]
A słowik więcej nie śpiewa,
Sobótkę, jako czas niesie, [2]
Zapalono w Czarnym lesie.
Tam goście, tam i domowi
Sypali sie ku ogniowi;
Bąki [3] zaraz [4] troje grały,
A sady sie sprzeciwiały. [5]
Siedli wszyscy na murawie,
Potem wstało sześć par prawie [6]
Dziewek, jednako ubranych
I belicą [7] przepasanych.
Wszytki śpiewać nauczone,
W tańcu także niezganione,
Więc koleją zaczynały,
A pierwszej tak począć dały.

Poczem następuje dwanaście pieśni: każda panna śpiewa po kolei, stając w środku koła, utworzonego przez pozostałe panny, trzymające się za ręce. Te pieśni to bodaj czy najpiękniejsze ze wszystkich pieśni Kochanowskiego; a dokazał w nich poeta niemałej sztuki, — dowiódł, że *umie się wczuwać w cudze dusze i cudze wypowiadać uczucia.* A są to uczucia bardzo różnorodne. Oto np. jedna panna nie ma żadnej troski na sercu, radaby więc wciąż tańczyć i tańczyć; innej także wesoło, śmieje się ciągle, czy jest, czy niema z czego, i żartuje sobie ze wszystkich; inna znów zamyśla się i niepokoi, bo kocha, a wzajemności niezupełnie pewna; inną trapi ciężki smutek, bo ukochany poszedł na wojnę i nie wraca. Nie mniej piękne są pieśni, śpiewane na cześć gorącego lata, łąk zielonych i chłodnych zdrojów i wogóle na cześć „wsi spokojnej, wsi wesołej"; wypowiada tu Kochanowski już nie cudze, ale swoje własne uczucia: przywiązanie do zacisznego życia na wsi, wspólne całej wogóle szlachcie XVI wieku, i miłość przyrody polskiej.

[1] Gdy słońce wstępuje w znak Raka, t. j. w drugiej połowie czerwca. [2] we właściwym czasie, według dorocznego zwyczaju. [3] dudy. [4] naraz, jednocześnie. [5] echo rozlegało się po sadach. [6] prawie=nie mniej ani więcej. [7] belica=bylica.

Panna 2.

To moja nawiętsza wada,
Że tańcuję barzo rada!
Powiedzcież mi, me sąsiady:
Jest tu która bez tej wady?
Wszytki mi sie uśmiechacie:
Podobno ze mną trzymacie...
Postępujmyż tedy krokiem,
Aleć niemasz, jako skokiem!
Skokiem taniec naprzedniejszy,
A tem jeszcze pochodniejszy [1],
Kiedy w bęben przybijają:
Samy nogi prawie drgają!
Teraz masz czas, umiesz-li co [2],
Mój nadobny bębennico! [3]
Wszytka tu wieś siedzi w koło,
A w pośrzodku samo czoło [4].

Żeby [5] też tu ta nie była,
Która twemu sercu miła?
Każesz-li, wierzyć będziemy,
Aleć insze [6] rozumiemy.
Pomóż oto dobrej rzeczy,
A nasz taniec miej na pieczy;
Owa [7] najdziesz i w tym rzędzie,
Co-ć za wszytki płatna będzie! [8]
Ja sie nie umiem frasować,
Toż radzę drugim zachować:
Bo w trosce człowiek zgrzybieje
Pierwej, niż sie sam spodzieje.
Ale, gdzie dobra myśl płuży [9],
Tam i zdrowie lepiej służy;
A choć drugi zajdzie w lata,
I tak on ujdzie za swata [10].

Za mną, za mną, piękne koło,
Opiewając [11] mi wesoło!
A ty sie czuj, czyja kolej,
Nie masz-li mię wydać [12] wolej.

Panna 10.

Owa u ciebie, mój miły,
Me prośby ważne nie były:
Próżnom ja łzy wylewała
I żałośnie narzekała.
Przedsięś ty w swą drogę jachał,
A mnieś, nieszczęsnej, zaniechał
W ciężkim żalu, w którym muszę
Wiecznie trapić moję duszę.
Bodaj wszytkich mąk skosztował,
Kto naprzód wojsko szykował
I wynalazł swoją drogą
Strzelbę srogą piorunową!

Jakie ludzkie głupie sprawy,—
Szukać śmierci przez bój krwawy'
A ona i tak człowieczy
Upad [13] ma na dobrej pieczy.
Przynamniej, by mi w potrzebie
Wolno stanąć wedla ciebie:
Przywykłabych i ja zbroi!
Bodaj przepadł, kto sie boi,—
Jednak ty tak chciej być śmiałym,
Jakoby sie wrócił całym;
A nie daj umrzeć mnie, smutnej,
W płaczu i w trosce okrutnej!

A wiarę, coś mi ślubował,
Pomni, abyś przytem chował!
Tę mi przynieś a sam siebie:
Dalej nie chcę nic od ciebie!

Panna 12.

Wsi spokojna, wsi wesoła!
Który głos twej chwale zdoła?
Kto twe wczasy, kto pożytki
Może wspomnieć zaraz wszytki?

Człowiek w twej pieczy uczciwie,
Bez wszelakiej lichwy żywie:
Pobożne jego staranie
I bezpieczne nabywanie.

---

[1] Pochodny=posuwisty, raźny. [2] teraz masz pole do popisu. [3] bębennica=bębnista, bębennik. [4] czoło=wybór (towarzystwa), starsi. [5] czyżby. [6] inaczej. [7] otóż. [8] być płatnym komu=odpłacić się, odwdzięczyć się. [9] płużyć = sprzyjać. [10] ujść za swata=być czerstwym. [11] opiewać komu=wtórować. [12] wydać=wydać na śmiech, zawstydzić. [13] upadek, zaguba.

Inszy sie ciągną przy dworze [1]
Albo żeglują przez morze,
Gdzie człowieka wicher pędzi,
A śmierć bliżej, niż na piędzi.
Najdziesz, kto w płat język dawa,
A radę na funt przedawa [2];
Krwią drudzy zysk oblewają,
Gardła [3] na to odważają.
Oracz pługiem zarżnie w ziemię,
Stąd i siebie i swe plemię,
Stąd roczną czeladź i wszytek
Opatruje swój dobytek [4].
Jemu sady obradzają,
Jemu pszczoły miód dawają,
Nań przychodzi z owiec wełna
I zagroda, jagniąt pełna.
On łąki, on pola kosi,
A do gumna wszytko nosi;
Skoro też siew odprawiemy,
Komin w koło obsiędziemy.
Tam już pieśni rozmaite,
Tam będą gadki pokryte [5],
Tam trefne plęsy [6] z ukłony,
Tam cenar, tam i goniony [7].

A gospodarz, wziąwszy siatk
Idzie mrokiem na zasadkę [8]
Albo sidła stawia w lesie:
Jednak zawżdy co przyniesie.
W rzece ma gęste więcierze,
Czasem wędą ryby bierze.
A rozliczni ptacy wkoło
Ozywają sie wesoło.
Stada igrają przy wodzie,
A sam pasterz, siedząc w chłodzi
Gra w piszczałkę proste pieśni,
A Faunowie skaczą leśni.
Zatem sprzętna [9] gospodyni
O wieczerzej pilność czyni,
Mając doma ten dostatek,
Że sie obejdzie bez jatek.
Ona sama bydło liczy,
Kiedy, z pola idąc, ryczy,
Ona i spuszczać [10] pomoże:
Męża wzmaga, jako może.
A niedorośli wnukowie,
Chyląc sie ku starszej głowie,
Wykną przestawać na male,
Wstyd i cnotę chować w cale.

Dzień tu; ale jasne zorze
Zapadłyby znowu w morze,
Niżby mój głos wyrzekł wszytki
Wieśne wczasy i pożytki.

§ 42. Najwyżej wzniósł się talent Kochanowskiego w *Psałterzu Dawidowym* (1579) i w *Trenach* (1580).

Już w wiekach średnich psałterz był najulubieńszą książką do nabożeństwa w całym chrześcijańskim świecie, ale dopiero w wieku XVI poznano się na niezwykłej piękności psalmów: wprawdzie ogół szukał w nich podawnemu jedynie pokarmu dla swych uczuć religijnych, ale jednostki, obdarzone zmysłem piękna, rozumiały już, że psałterz to nie tylko zbiór modlitw, podnoszących duszę człowieka ku Bogu i krzepiących ją w ciężkim smutku, ale zarazem wspaniały utwór poezyi lirycznej, jeden z najbardziej natchnionych w poezyi wszechludzkiej. Otóż do tych jednostek należał, naturalnie, i Kochanowski: z jednej strony, jako człowiek

---

[1] Wysługują się po dworach pańskich. [2] znajdziesz i takiego, który wynajmuje swój język i każe sobie płacić za poradę; mowa tu o „prokuratorach" t. j. obrońcach. [3] gardło=życie. [4] bydło. [5] gadka pokryta=zagadka. [6] trefne plęsy = wesołe tańce. [7] cenar, goniony—rodzaje tańców. [8] zasadka=zasadz[...] [9] sprzętny=skrzętny. [10] t. j. z powroza, z łańcucha.

głębokiej i żywej wiary, szukał w psałterzu środka do uszlachetnienia swej duszy i pociechy w przeciwnościach życiowych, a z drugiej, jako poeta z bożej łaski, odczuwał żywo całą jego wspaniałą piękność i potrafił dać ją swemu przekładowi. Tłumaczono u nas psalmy już przed Kochanowskim, zarówno w wiekach średnich (ob. § 5 i 11), jak i w wieku XVI: prozą przekładali je, pomiędzy innymi, Walenty Wróbel i Mikołaj Rej, a wierszem — Jakub Lubelczyk. I zagranicą nie brakło bądź to przekładów, bądź wierszowanych przeróbek, z których wyróżnia się przeróbka łacińska poety szkockiego, Buchanana. Kochanowski znał tych swoich poprzedników, korzystał z nich nawet, ale wszystkich o całe niebo przewyższył, bo też ze wszystkich tłumaczów psałterza on jeden jedyny był natchnionym poetą.

O dosłownym przekładzie z tekstu łacińskiego (oryginału Kochanowski nie znał, bo po hebrajsku nie umiał) nie mogło być nawet mowy, nie tylko dlatego, że prozy na wiersz rymowany dosłownie przełożyć niepodobna, ale dlatego nadewszystko, że Kochanowski *nie chciał* dosłownie tłumaczyć: jego serce chciało własnemi słowami rozmawiać z Bogiem i wielbić Jego potęgę; czasem więc poeta bierze z psalmów Dawida jedynie myśl zasadniczą, a tę już wypowiada po swojemu, idąc tu za przykładem Buchanana, który również nie tłumaczył dosłownie; innemi słowy *Psałterz Dawidów Kochanowskiego to nie przekład, tylko poetyczna przeróbka, nie tłumaczenie, tylko samodzielna twórczość.*

W historyi poezyi staropolskiej *Psałterz* jest dziełem ogromnego znaczenia. Nikt przed Mickiewiczem nie umiał tak, jak Kochanowski, wyrazić najróżnorodniejszych uczuć duszy ludzkiej, radości i smutku, wesela i żałości, pogody ducha i zniechęcenia do ludzi i świata, ufnej nadziei w Bogu i rozpaczy, żalu do ludzi i uwiebienia względem Boga, dumy względem ludzi i skruchy względem Boga. A wszystkie te uczucia wypowiedziane są językiem, pełnym prawdziwej poezyi; Kochanowski jest, jak mówi Mickiewicz, „w swoim przekładzie psalmów natchniony, ma styl szlachetny, jasny i przezroczysty, ton poetycki śmiały, poruszenia swobodne i wspaniałe, wszędzie jakąś powagę sędziwą i uroczystość kapłańską". *Dopiero od Psałterza Kochanowskiego język polski stał się zdolnym do poetycznego wyrazu potężnych uczuć, wstrząsających duszą człowieka: pod tym względem stanowi on w dziejach języka poetycznego epokę. Epoką jest również w historyi polskiego wiersza i strofy*, Kochanowski bowiem, znów idąc za przykładem Buchanana, posługuje się w *Psałterzu* wierszem różnorodnym, to krótszym, to dłuższym, od siedmiozgłoskowego do czternastozgłoskowego, i różnemi strofami, od dwuwierszowej do ośmiowierszowej: takiego bogactwa wiersza i strofy nie znała jeszcze poezya polska. Nie znała także tej *muzykalności i melodyjności*, jakiemi odznacza się wiersz *Psałterza*; poznali się na tem już współcześni: zarówno

katolicy, jak protestanci śpiewali psalmy Kochanowskiego, a sławny kompozytor współczesny polski, Mikołaj Gomółka, dorobił muzykę do wszystkich 150 psalmów.

Kochanowski sam miał zupełną świadomość, że tworzy arcydzieło, i nie gdzie indziej, tylko właśnie w przedmowie do *Psałterza*, wypowiedział owe słowa dumne, ale prawdziwe: „I wdarłem sie na skałę pięknej Kallijopy, gdzie dotychmiast nie było śladu polskiej stopy!“. Arcydzieło zaś to, jak każda wielka poezya, jest niespożyte; minęło przeszło trzy wieki od śmierci Kochanowskiego, a jego *Psałterz* nie stracił dla nas nic ze swej piękności i majestatu; wielu poetów naszych tłumaczyło psalmy po Kochanowskim (np. Maciej Rybiński, Franciszek Karpiński, Wincenty Pol), ale ani jeden nie tylko mu nie dorównał, ale się nawet do niego nie zbliżył.

Psalm 7.

W Tobie ja samym, Panie, człowiek smutny,
Nadzieję kładę: Ty racz o mnie radzić!
Nieprzyjaciel mój, jako lew okrutny,
Szuka mej dusze, aby ją mógł zgładzić;
Z jego paszczęki jeśli mię, mój Boże,
Ty sam nie wyrwiesz, nikt mię nie wspomoże.
Jeśli mię, Panie, słusznie oszacował[1]
Zły człowiek, a ma do mnie jaką winę[2];
Jeślim przyjaźni nieszczyrze zachował,
A do złej chęci dał z siebie przyczynę:
Niech nieprzyjaciel górę ma nade mną,
Niech mię w proch zetrze i moję cześć ze mną!
Powstań, o Panie wieczny, w gniewie Twoim
Przeciw złych ludzi niepobożnej radzie,
A powstań z pomstą, jakąś prawem swojem
Opisał! Oto lud w wielkiej gromadzie
Wyroku Twego czeka, jeśli złemu,
Czy upaść przed Twym sądem cnotliwemu.
Przeto, o Sędzia, Sędzia wiekuisty,
Chciej na wysokiej sieść stolicy swojej,
A jeślim jest praw i przed Tobą czysty,
Osądź mnie wedla niewinności mojej!
Złego złość zniszczy, a człowiek cnotliwy
Jest w opiece Twej, Boże sprawiedliwy!
Boże, przed którym tajne być nie mogą
Myśli człowiecze! W Twej stojąc obronie,
Przed żadną nigdy nie uciekę trwogą.
Bo szczyre serce w Twojej jest zasłonie,
O sprawiedliwy Sędzia! Ty każdego
Sprawnie[3] oddzielasz wedla zasług jego.

---

[1] Oszacować=osławić. [2] mieć winę=winować. [3] sprawiedliwie.

Jeśli sie człowiek zły nie pohamuje,
Pan swój miecz ostrzy, Pan łuk nałożony
Na ręku trzyma i strzały gotuje
Śmiertelne: zapadł w zazdrość człowiek płony[1],
Niesprawiedliwość nosi, kłam urodzi,
Dół pod kim kopa, a sam weń ugodzi.
Sam sie upęta w chytrem sidle swojem,
Nań sie obalą wszystki jego złości,
A ja, podparty miłosierdzim Twojem,
Prożen i troski i niebezpieczności,
Sąd sprawiedliwy i Twe imię, Panie,
Wyznawać będę, póki dusze stanie.

Psalm 74. Także nas już na wieki, Boże nasz, opuścisz
I srogim wilkom drapać stado Twe dopuścisz?
Wspomni na swe dziedzictwo i na swój lud wierny,
Z któregoś Ty zdjął jarzmo w jego czas mizerny!
Wspomni na piękną skałę, poświęconą Tobie
Syjońską, gdzieś Ty obrał był mieszkanie sobie;
Powstań kiedy, a rozgrom swe nieprzyjaciele,
Od których tak wiele szkód widzisz w swym kościele!
Pełne Twoje bóżnice huku, pełne zbroje,
Wpośród placu chorągwie roztoczyli swoje:
Ozdobę domu Twego, kosztowne roboty,
Obuchami potłukli i twardymi młoty;
Sciany padną, ziemia grzmi, jako kiedy walą
W lesie surowe dęby twardą, ostrą stalą;
Świątnica Twoja gore, namiot roztargany
Leży w prochu, szkaradzie[2] nogami wdeptany;
Całego nic zostawić nie chcą; ogień srogi
Wszytki w popiół obrócił Pańskie synagogi.
Co gorsza, znaków żadnych, żadnego nie znamy
Proroka, żeby widzieć, póki w tem trwać mamy.
Długoż sie pastwić będą ci sprosni poganie
Nad nami? długoż mają Ciebie bluźnić, Panie?
Czemu tak długo kurczysz możną rękę swoję?
Podnieś wżdam[3] kiedy wzgórę, podnieś prawą Twoję!
O Panie! Jeszcze z wieku znaczna zawżdy była
Twoja łaska nad nami, znaczna Twoja siła:
Tyś wpośrzód morza drogę szyroką osuszył,
A srogim smokom w wodzie harde głowy skruszył.
Skruszyłeś i samemu łeb wielorybowi
I dałeś go na pastwę górnemu sępowi:

[1] Płonny, próżny. [2] szkaradnie. [3] wżdam=wżdy, przecie, nakoniec.

Na Twoje rozkazanie zdrój wyskoczył z skały,
A rzeki nieprzebyte wody ostradały [1].
Twój dzień jest i noc Twoja; światło niezgaszone
Słońca górolotnego przez Cię jest stworzone;
Tyś morze z ziemią spoił i mocnie ustawił,
Tyś lato swym dowcipem i zimę naprawił!
Pomni swe urąganie, pomni, wieczny Panie,
Jako imię Twe lżyli nieszczęsni poganie!
Synogarlice swojej bestyjom nie dawaj,
Stada swego w niepamięć wieczną nie podawaj!
Wejźrzy na swe przymierze! Nie mamy, ubodzy,
Głów gdzie skłonić: posiedli wszytko ludzie srodzy;
Nie daj, aby upadły wstyd odniósł na sobie,
Owszem mógł za Twą łaskę podziękować Tobie.
Wstań, Panie, a weźmi sie za swą krzywdę; pomni,
Jako Cię lżą każdy dzień bluźnierce nieskromni,
Nie zamilczaj przegróżek i wszetecznej mowy,
Na co Twój nieprzyjaciel zawżdy jest gotowy!

Psalm 91.

Kto sie w opiekę poda Panu swemu,
A całem prawie sercem ufa Jemu,
Śmiele rzec może: „Mam obrońcę Boga,
„Nie będzie u mnie straszna żadna trwoga!“
Ciebie on z łowczych [2] obierzy [3] wyzuje
I w zaraźliwem powietrzu ratuje,
W cieniu swych skrzydeł zachowa cię wiecznie,
Pod Jego pióry ulężesz bezpiecznie.
Stateczność Jego — tarcz i puklerz mocny,
Za którym stojąc, na żaden strach nocny,
Na żadną trwogę, ani dbaj na strzały,
Któremi sieje przygoda w dzień biały.
Stąd wedla ciebie tysiąc głów polęże,
Stąd drugi tysiąc: ciebie nie dosięże
Miecz nieuchronny; a ty przedsię swemi
Oczyma ujźrzysz pomstę nad grzesznymi.
Iżeś rzekł Panu: „Tyś nadzieja moja“,
Iż Bóg nawyższy jest ucieczka twoja, —
Nie dostąpi cię żadna zła przygoda,
Ani sie najdzie w domu twoim szkoda.
Aniołom swoim każe cię pilnować,
Gdziekolwiek stąpisz, którzy cię piastować
Na ręku będą, abyś, idąc drogą,
Na ostry krzemień nie ugodził nogą.

---

[1] Ostradać=postradać. [2] łowczy=łowiący, czyhający. [3] obierz=sieć, sidło.

Będziesz po żmijach bezpiecznie gniewliwych
I po padalcach deptał niecierpliwych,
Na lwa srogiego bez obrazy wsiędziesz
I na ogromnym smoku jeździć będziesz.
Słuchaj, co mówi Pan: „Iż mię miłuje,
„A przeciwko mnie szczyrze postępuje,
„Ja go też także w jego każdą trwogę
„Nie zapamiętam, i owszem — wspomogę.
„Głos jego u mnie nie będzie wzgardzony,
„Ja z nim w przygodzie, ode mnie obrony
„Niech pewien będzie, pewien i zacności
„I lat szedziwych[1] i mej życzliwości“.

Psalm 104. Duszo, śpiewaj Panu pieśń! O nieogarniony
Nieba i ziemie sprawco, wielceś uwielbiony!
Ciebie obeszła[2] wkoło cześć i świetna chwała,
Ciebie jasność, jako płaszcz ozdobny, odziała.
Tyś niebo, jako namiot, rozbił ręką swoją,
Nad niem wody za Twojem rozrządzeniem stoją.
Chmury — Twój wóz; Twe konie — wiatry nieścignione,
Duchy — posłańcy; słudzy — gromy zapalone.
Twym rozumem tak miernie[3] ziemia usadzona,
Że na wieki nie będzie nigdy poruszona.
Na tej, jako powłoka, przepaści leżały,
A góry niezmierzone wody zakrywały;
Ale, skoroś rzekł słowo, a niebo zagrzmiało,
Wody spadły, a morze na dół uciekało;
Skały ku górze poszły, pola rozciągnione
Opanowały miejsca, przez Cię naznaczone.
Zamierzyłeś kres pewny morzu, że wiecznymi
Czasy wezbrać nie może ani szkodzić ziemi.
Ty w skale ukazujesz drogę zdrojom nowym,
Które posiłek niosą rzekom kryształowym.
Tu sie wszelki źwierz chłodzi, który w polu żyje,
Tu łoś, mieszkaniec leśny, upragniony pije.
Tamże ptacy mieszkają, a w krzakach zielonych
Nie przestają powtarzać pieśni ulubionych.
Ty z pałaców swych świętych, Ojcze uwielbiony,
Spuszczasz na nizką ziemię deszcz nieprzepłacony;
A ona, nieprzebranej łaski Twojej syta,
Wszytkiego wszytkim statczy[4]: stąd trawa obfita
Bydłu ku pożywieniu; stąd zioła ogrodne
I wszelki rodzaj zboża; stąd wino łagodne,

[1] Szedziwy = siwy. [2] obejść=otoczyć. [3] celnie, doskonale. [4] statczyć=starczyć.

Dobrej myśli naczynie; stąd chleb, który snadnie
Siłę twierdzi; stąd olej, po którym twarz gładnie.
Taż wilgotność i lasy żywi niezmierzone
I cedry na Libanie, Twą ręką szczepione;
Tam wróble gniazda noszą; jodła — bocianowi,
Sarnom góra mieszkanie, skała — królikowi.
Tyś na znak czasów sprawił błędną [1] twarz miesięczną,
Ty niepoścignionego słońca lampę wdzięczną
Prowadzisz do zachodu; wtem nocne ćmy wstają:
Wtenczas leśne bestyje wszytki sie ruszają;
Lwięta ryczą, pokarmu żądając od Ciebie.
Skoro zaś jasna zorza zakwitnie na niebie,
Zwierz do jaskiń uchodzi, ludzie następują
Na roboty, gdzie także do mroku pracują.
Zacne są Twoje sprawy i wielkie mądrości!
Pełna jest wszytka ziemia Twej szczodrobliwości,
Pełne, Panie, i wody: kto wyliczyć może
Wszytki rybie rodzaje, które żywi morze?
Tam żaglem rozpuszczonym okręty biegają,
Tam swe igrzyska srodzy wielorybi mają.
Wszytko to, co jest w morzu, wszytko, co na ziemi
I co siecze powietrze pióry pirzchliwemi,
Oczy ku Tobie wznosi, który siedzisz w niebie,
I oczekiwa zwykłej żywności od Ciebie.
Kiedy rękę otworzysz, wszyscy nasyceni,
A kiedy twarz odwrócisz, wszyscy zasmuceni;
Jeśli im ducha weźmiesz, w proch sie wnet obrócą,
Jeśli im ducha natchniesz, na świat sie zaś wrócą.
Wieczna jest Pańska chwała, a On z tak mądrego
Nie przestanie sie kochać nigdy czynu swego.
Pan, który kiedy pojźrzy, ziemia drży, Pan, który
Kiedy ręką gór dotknie, dymem pójdą góry.
Dokąd mi tedy mego żywota dostanie,
Głos mój Panu i lutnia śpiewać nie przestanie.
Tylko Jemu niech wdzięczne będą pieśni moje,
Bom ja wszytko położył w Nim wesele swoje.
Bodaj wszyscy złośliwi zagubieni byli,
Tak, żeby sie na wieki już nie poprawili.
A ty, o duszo moja, daj cześć Panu swemu,
Dajcie wszytki narody winną chwałę Jemu!

§ 43. W *Trenach* wyraził Kochanowski z przedziwną pięknością cały ogrom bólu ojcowskiego po śmierci ukochanej có-

[1] błędny = błądzący (zmienny).

reczki, Urszulki. Nie brak w nich ani jednego odcienia boleści rodzicielskiej—od smutku do zwątpienia i rozpaczy, a od rozpaczy do ukojenia.

Wszystkich trenów jest dziewiętnaście, a *stanowią one jedną piękną całość, jeden rozdzierający poemat bólu.*

Dwa pierwsze to jakby *wstęp.* W pierwszym woła poeta, że chciałby skupić w swem sercu bóle i łzy całego świata, aby módz godnie wypowiedzieć to, co się w jego sercu dzieje; a w drugim mówi, że wolałby śpiewać pieśni dla mamek, kołyszących dzieci, aniżeli „płakać nad grobem mej wdzięcznej dziewczyny“.

Treny od trzeciego do ósmego włącznie są poetycznym wyrazem rozdzierającego *smutku,* ale jeszcze nie rozpaczy. Nieszczęśliwy ojciec wspomina z żałością „słowa, zabawy i wdzięczne ukłony“ ukochanego dziecka, i zdaje mu się, że jedna mu tylko pozostała pociecha — iść za niem. Smutek potęguje się jeszcze na myśl, że Urszulka zgasła tak młodo: gdyby żyła dłużej, mogłaby „siła pociech przymnożyć oczom moim“; nie spostrzega się w swym smutku Kochanowski, że, gdyby Urszulka umarła później, ból ojcowski byłby jeszcze silniejszy,—nie spostrzega się, bo, kto bardzo cierpi, ten nie rozumuje na chłodno, serce skrwawione nie pozwala myśli skupić,—i znów płacze poeta, że Urszulka, „mało od ziemie sie co wzniósłszy,... rodzicom troskliwym u nóg martwa upadła“, podobnie jak młoda oliwka pada pod nożem ogrodnika. Lecz nie sam zgon przedwczesny potęguje ból ojcowski: Urszulka była nie tylko najmilszem dzieckiem, ale i „śpiewaczką ucieszną“, odziedziczyła po ojcu zdolności poetyckie; nie dziw, że wspomnienie to powiększa smutek w sercu ojca-poety, któremu żywo staje w pamięci rozrzewniające pożegnanie konającego dziecka z matką:

Już ja tobie, moja matko, służyć nie będę,
Ani za twym stołem miejsca zasiędę:
Przyjdzie mi klucze położyć, samej precz jechać,
Domu rodziców swych miłych wiecznie zaniechać!

Wszystko jedno, czy to pożegnanie jest prawdą, czy tylko zmyśleniem poetyckiem, — wiersze te, jako niezrównana rzewność, należą do największych piękności naszej poezyi. Widok pozostałego po dziecku ubrania i straszliwych pustek w domu, po którym tak niedawno jeszcze rozlegał się szczebiot dziecięcy, to nowy powód wzmagania się smutku.

Aż wreszcie smutek przeradza się w *rozpacz i zwątpienie* — w trenach dziewiątym, dziesiątym i jedenastym. W dziewiątym z bolesną ironią zwraca się poeta do mądrości, do tej mądrości starożytnej, którą w *Pieśniach* tak wychwalał, a która uczyła, że człowiek powinien być obojętnym względem dobrej zarówno, jak złej doli: kiedy zła dola przyszła, cała ta mądrość prysła, jak bańka mydlana, i z piersi zbolałej wydziera się krzyk: „Nieszczęśliwy ja

człowiek, którym lata swoje na tem strawił, żebych był ujźrzał progi twoje!“ A nietylko o mądrości starożytnej zwątpił poeta: on, chrześcijanin, nie wie, dokąd poszła dusza Urszulki; co więcej, nie jest pewny, czy jej dusza wogóle jeszcze żyje: „Gdzieśkolwiek jest, jeśliś jest, lituj mej żałości!“ Słowem zwątpił o nieśmiertelności duszy!... Zwątpił wreszcie o wartości cnoty i on, który niegdyś wołał: „Cnota — skarb wieczny, cnota — klenot drogi“, teraz woła: „Fraszka cnota!... Kogo kiedy pobożność jego ratowała, kogo dobroć przypadku złego uchowała?“ nie warto być cnotliwym, skoro się za to nagrody niema!

Ale po tych wybuchach *rozpacz cichnie*: w trenach dwunastym i trzynastym jest wprawdzie jeszcze rozdzierający smutek— na wspomnienie przymiotów duszy Urszulki, które pozwalały ojcu tak śliczne rokować nadzieje, — ale rozpaczy już niema; to już nie krzyk, tylko jęk.

W dalszych zaś trenach *poeta szuka już ukojenia*. On, humanista, szuka go naprzód tam, dokąd z takiem upodobaniem leciały jego myśli: w autorach starożytnych, od których dowiedział się, że i w starożytności biły w ludzi straszne nieszczęścia rodzinne: oto Orfeusz po stracie ukochanej żony, Eurydyki, aż do piekła poszedł, aby surowego Plutona o litość błagać; a nieszczęsna Niobe jednego dnia straciła nie jedno, ale czternaścioro dzieci, i skamieniała z rozpaczy. Świadomość jednak, że i dawniej było nieszczęście, to mała pociecha! Wie o tem poeta, to też szuka pociechy innej: „Czasie, pożądnej[1] ojcze niepamięci, zgój smutne serce!“ A potem ów mędrzec, który mniemał niegdyś, że łzy nie przystoją mądremu człowiekowi, nie chce już walczyć z naturą ludzką i... płacze. Łzy dają mu pewne ukojenie, ale dusza wciąż się jeszcze buntuje przeciwko nieszczęściu, póki nakoniec nie znajduje go *w Bogu*, przed którym korzy się ojciec i którego błaga o litość. Bóg jej nie odmawia, i w ostatnim trenie, będącym *zakończeniem* poematu, zjawia się poecie podczas snu nieboszczka matka z Urszulką na ręku i koi jego serce wiadomością, że Urszulka cieszy się wiekuistem szczęściem u Boga, że przez wczesną śmierć uniknęła cierpień ziemskich.

Oto co przecierpiał i przemyślał Kochanowski po stracie Urszulki, oto główne uczucia i myśli, wypowiedziane w *Trenach*, z których jasno widać, że poeta wyrzekł się mądrości pogańskiej i powrócił do mądrości chrześcijańskiej, która uczy, że największym skarbem i najskuteczniejszą pociechą w nieszczęściu jest korna wiara w miłosierdzie boże, że w tem życiu niema trwałego szczęścia, że ono jest udziałem jedynie życia wiekuistego, że ku niemu powinien człowiek zwracać myśl swoją. A tak nie tylko znakomitego poetę, ale i szlachetnego, chrześcijańskiego myśliciela poznajemy w *Trenach*. Są one naj-

[1] Pożądny = pożądany, upragniony.

piękniejszem zwierciadłem jego duszy, która uszlachetniała się w cierpieniach; są koroną jego mądrości i zarazem koroną jego poezyi, a zatem koroną całej poezyi niepodległej Polski. Jak we wszystkich utworach (z wyjątkiem *Psałterza*), tak i w *Trenach* jest Kochanowski poetą-klasykiem: niejeden pomysł i niejedną myśl zawdzięcza on poetom i myślicielom starożytnym (Homer, Lukrecyusz, Horacy, Cyceron, Seneka, Kwintylian i in.), ale uczucie bólu rodzicielskiego i *prawdę tego uczucia, która jest główną tajemnicą piękności i niespożytej wartości Trenów*, znalazł tylko i tylko we własnem sercu. Jest w poezyi polskiej inny wspaniały pomnik bólu rodzicielskiego — *Ojciec zadżumionych*; ten przewyższa może *Treny* sztuką, ale mu prawdą uczucia nie dorównywa.

Tren 5.

Jako oliwka mała pod wysokim sadem [1]
Idzie z ziemie ku górze macierzyńskim śladem,
Jeszcze ani gałązek, ani listków rodząc,
Sama tylko dopiro szczupłym prątkiem wschodząc;
Tę jeśli, ostre ciernie lub rodne [2] pokrzywy
Uprzątając, sadownik podciął ukwapliwy [3],
Mdleje zaraz, a zbywszy siły przyrodzonej,
Upada przed nogami matki ulubionej:
Tak-ci sie mej namilszej Orszuli dostało:
Przed oczyma rodziców swoich rostąc, mało
Od ziemie sie co wzniósłszy, duchem zaraźliwym
Srogiej śmierci otchniona, rodzicom troskliwym [4]
U nóg martwa upadła. O, zła Persefono!
Mogłażeś tak wielu łzam dać upłynąć płono [5]?

Tren 6.

Ucieszna moja śpiewaczko, Safo [6] słowieńska,
Na którą nie tylko moja cząstka ziemieńska,
Ale i lutnia dziedzicznem prawem spaść miała!
Tęś nadzieję już po sobie okazowała,
Nowe piosnki sobie tworząc, nie zamykając
Ustek nigdy, ale cały dzień prześpiewając,
Jako więc lichy słowiczek w krzaku zielonym
Całą noc prześpiewa gardłkiem swem ucieszonem [7].
Prędkoś mi nazbyt umilkła: nagle cię sroga
Śmierć spłoszyła, moja wdzięczna szczebiotko droga!
Nie nasyciłaś mych uszu swemi piosnkami,
I tę trochę teraz płacę sowicie łzami.
A tyś ani umierając śpiewać przestała,

[1] Pod wysokim sadem = w cieniu starych drzew owocowych. [2] rodny=obficie rozradzający się. [3] śpieszący się, nieostrożny. [4] troskliwy= stroskany. [5] próżno, daremnie. [6] Safo, Safona — słynna poetka grecka. [7] ucieszony = radosny.

Lecz, matkę ucałowawszy, takeś żegnała:
„Już ja tobie, moja matko, służyć nie będę
„Ani za twym wdzięcznym stołem zasiędę:
„Przyjdzie mi klucze położyć, samej precz jechać,
„Domu rodziców swych miłych wiecznie zaniechać!“
To i czego żal ojcowski nie da serdeczny
Przypominać więcej, — był jej głos ostateczny!
A matce, słysząc żegnanie tak żałościwe,
Dobre [1] serce, że od żalu zostało żywe!

Tren 8. Wielkieś mi uczyniła pustki w domu moim,
Moja droga Orszulo, tem zniknieniem swojem!
Pełno nas, a jakoby nikogo nie było:
Jedną maluczką duszą tak wiele ubyło!
Tyś za wszytki mówiła, za wszytki śpiewała,
Wszytkiś w domu kąciki zawżdy pobiegała;
Nie dopuściłaś nigdy matce sie frasować
Ani ojcu myśleniem zbytniem głowy psować,
To tego, to owego wdzięcznie obłapiając
I onym swym uciesznym śmiechem zabawiając.
Teraz wszytko umilkło, szczere pustki w domu,
Niemasz zabawki, niemasz rozśmiać sie nikomu;
Z każdego kąta żałość człowieka ujmuje,
A serce swej pociechy darmo upatruje!

Tren 9. Kupićby cię, mądrości, za drogie pieniądze,
Która (jeśli prawdziwie mienią) wszytki żądze,
Wszytki ludzkie frasunki umiesz wykorzenić,
A człowieka tylko nie [2] w anioła odmienić,
Który nie wie, co boleść, frasunku nie czuje,
Złym przygodam nie podległ, strachom nie hołduje!
Ty wszytki rzeczy ludzkie masz za fraszkę sobie,
Jednaką myśl tak w szczęściu, jako i w żałobie,
Zawżdy niesiesz, ty śmierci namniej sie nie boisz,
Bezpieczną, nieodmienną, niepożytą stoisz.
Ty bogactwa nie złotem, nie skarby wielkimi,
Ale dosytem [3] mierzysz i przyrodzonemi
Potrzebami! Ty okiem swem nieuchronionem [4]
Nędznika upatrujesz pod dachem złoconym,
A uboższym nie zajźrzysz szczęśliwego mienia,
Ktoby jeno chciał słuchać twego upomnienia!
Nieszczęśliwy ja człowiek, którym lata swoje

---

[1] Dobre serce = silne serce (że nie pękło z bólu). [2] tylko nie = ledwie nie. [3] dosyt = dostatek. [4] oko nieuchronione = oko, przed którem nic się nie skryje.

Na tem strawił, żebych był ujźrzał progi twoje!
Terazem nagle z stopniów ostatnich zrzucony
I miedzy insze jeden z wiela policzony!...

Tren 10. Orszulo moja wdzięczna! Gdzieś mi sie podziała?
W którą stronę, w którąś sie krainę udała?
Czyś ty nad wszytki nieba wysoko wniesiona
I tam w liczbę aniołków małych policzona?
Czyliś do raju wzięta? Czyliś na szczęśliwe
Wyspy zaprowadzona? Czy cię przez teskliwe[1]
Charon jeziora wiedzie i napawa zdrojem
Niepomnym[2], że ty nie wiesz nic o płaczu mo' ?
Czy, człowieka zrzuciwszy i myśli dziewicze,
Wzięłaś na się postawę i piórka słowicze?
Czyli sie w czyścu czyścisz, jeśli z strony ciała
Jakakolwiek zmazeczka na tobie została?
Czyś po śmierci tam poszła, kędyś pierwej była,
Niżeś sie na mą ciężką żałość urodziła?
Gdzieśkolwiek jest, jeśliś jest, lituj mej żałości!
A nie możesz-li w onej dawnej swej całości,
Pociesz mię, jako możesz, a staw sie przede mną
Lubo snem, lubo cieniem, lub marą nikczemną!

Tren 11. „Fraszka cnota!“ powiedział Brutus porażony[3].
Fraszka, kto sie przypatrzy, fraszka z każdej strony:
Kogo kiedy pobożność jego ratowała?
Kogo dobroć przypadku złego uchowała?
Nieznajomy wróg jakiś miesza ludzkie rzeczy,
Nie mając ani dobrych, ani złych na pieczy;
Kędy jego duch wienie[4], żaden nie ulęże[5]:
Praw-li, krzyw-li, bez braku[6] każdego dosięże.
A my rozumy swoje przedsię udać chcemy,
Hardzi miedzy prostaki, że nic nie umiemy[7].
Wspinamy sie do nieba, boże tajemnice
Upatrując; ale wzrok śmiertelnej źrzenice
Tępy na to: sny lekkie, sny płoche nas bawią,
Które sie nam podobno nigdy nie wyjawią.
Żałości, co mi czynisz? owa już oboje
Mam stracić: i pociechę i baczenie swoje?

Tren 12. Żaden ociec podobno barziej nie miłował
Dziecięcia, żaden barziej nad mię nie żałował!

---

[1] Teskliwy = smutny. [2] zdrój niepomny = zdrój, odbierający pamięć doczesnego życia (rzeka Leta). [3] w bitwie pod Filippi (w r. 42 przed Chrystusem). [4] wionie. [5] nie ostoi się. [6] bez wyjątku. [7] a my, choć nic nie umiemy, udajemy, że mamy rozum.

A też ledwe sie kiedy dziecię urodziło,
Coby łaski rodziców swych tak godne było:
Ochędożne[1], posłuszne, karne, niepieszczone,
Śpiewać, mówić, rymować, jako co uczone;
Każdego ukłon trafić, wyrazić postawę,
Obyczaje panieńskie umieć i zabawę:
Roztropne, obyczajne, ludzkie, nie rzewniwe[2].
Dobrowolne[3], układne, skromne i wstydliwe.
Nigdy ona poranu karmie nie wspomniała,
Aż pierwej Bogu swoje modlitwy oddała;
…żła spać, aż pierwej matkę pozdrowiła
ola …wie rodziców swych Bogu poruczyła.
Zawżdy przeciwko ojcu wszytki przebyć progi,
Zawżdy sie uradować i przywitać z drogi;
Każdej roboty pomódz, do każdej posługi
Uprzedzić było wszytki rodziców swych sługi.
A to tak w małym wieku sobie poczynała,
Że więcej nad trzydzieści miesięcy nie miała.
Tak wiele cnót jej miłość i takich dzielności
Nie mogła znieść: upadła od swojej bujności,
Żniwa nie doczekawszy. Kłosie mój jedyny!
Jeszcześ mi sie był nie zstał[4], a ja, twej godziny
Nie czekając, znowu cię w smutną ziemię sieję;
Ale pospołu z tobą grzebę i nadzieję!
Bo już nigdy nie wznidziesz, ani przed mojema
Wiekom wiecznie zakwitniesz smutnemi oczema!

Tren 18.

My, nieposłuszne, Panie, dzieci Twoje,
W szczęśliwe czasy swoje
Rzadko Cię wspominamy,
Tylko rozkoszy zwykłych używamy.
Nie baczym, że to z Twej łaski nam płynie,
A także prędko minie,
Kiedy po nas wdzięczności
Nie uznasz, Panie, za Twe życzliwości.
Miej nas na wodzy! Niech nas nie rozpycha
Doczesna rozkosz licha!
Niechaj na Cię pomniemy
Przynamniej w kaźni[5], gdy w łasce nie chcemy!
Ale ojcowskim nas karz obyczajem,
Boć przed Twym gniewem stajem[6],
Tak jako śnieg niszczeje,
Kiedy mu słońce niebieskie dogrzeje.

---

[1] Ochędożny = porządny. [2] rzewniwy = zazdrosny. [3] dobrowolny = powolny, posłuszny, [4] zstać się=dojrzeć. [5] kaźń=kara. [6] od czasownika *stajać* (roztopić się).

Zgubisz nas prędko, wiekuisty Panie,
Jeśli nad nami stanie
Twa ciężka Boska ręka;
Sama niełaska jest nam sroga męka.
Ale od wieku Twoja lutość słynie,
A pierwej świat zaginie,
Niż Ty wzgardzisz pokornym,
Chocia był długo przeciw Tobie spornym.
Wielkie przed Tobą są występy moje,
Lecz miłosierdzie Twoje
Przewyższa wszytki złości:
Użyj dziś, Panie, nade mną litości!

Te są główne utwory Jana z Czarnolasu; wytknęły one poezyi polskiej nowe drogi, po których kroczyła przez dwa wieki: *Satyr*, *Fraszki* i *Pieśni*, *Psałterz* i *Treny* wywołały cały szereg naśladowań, ale mistrzowi nie dorównał ani jeden z jego uczniów. W wieku XIX poezya nasza zajaśniała nowym blaskiem, ukazali się poeci genialni, a jednak pieśń Kochanowskiego nie straciła swego uroku ani prawdy: do dziś dnia hymn o dobrodziejstwach bożych żywo przemawia do tych, co odczuwają wielkość i piękność stworzenia; dusza, zbolała śmiercią ukochanej istoty, i dziś, jak przed wiekami, pozna w *Trenach* swój własny ból; a niejeden pobożny i dziś jeszcze, w chwilach niepokoju, krzepi swe serca słowami psalmu: „Kto się w opiekę poda Panu swemu“.

§ 44. Poezya Kochanowskiego już za jego życia pobudziła do twórczości niemało poetów, a wśród nich najbardziej utalentowanym i już przez współczesnych wysoko cenionym był **Mikołaj Sęp Szarzyński** z Czerwonej Rusi, zmarły przedwcześnie, bo w trzydziestym, mniej więcej, roku życia (1581). Mówi on o sobie w swej skromności, że „uczonej mało pił wody“: w istocie jednak naukę posiadał (kształcił się w uniwersytecie lipskim), znał dobrze poezyę nie tylko starożytną, ale i włoską, a co najważniejsza, miał talent—prawdziwy *talent liryczny*, któremu jednak wczesna śmierć nie pozwoliła rozwinąć się wszechstronnie.

Zaczął, jak Kochanowski, od *pieśni miłosnych*; nie znać w nich wprawdzie głębszego uczucia, ale odznaczają się gładkim wierszem, a nadto mają prawdziwy wdzięk przez bijącą z nich *pogodę młodzieńczą*; prawda, że poeta ubolewa często nad brakiem wzajemności, czasem tęskni i płacze, skarży się, że „niewymowne trapienie cierpi serce“ jego, zaręcza, że „ginie w tej ciężkości“: ale w tych trapieniach i ciężkościach znajduje się jakoś miejsce i na wesołość i na żartobliwość i na figlarność (np. we „Fraszce o Kasi i o Anusi“).

Później jednak poezya Szarzyńskiego zmienia się do niepoznania. Czy nieszczęśliwa miłość ku pięknej chorążance, Jadwidze Tarłów-

nie, odebrała mu pogodę młodzieńczą, czy nawiedziło go inne nieszczęście, czy może choroba nieuleczalna zatruła mu życie, — dosyć, że *jego poezya staje się bardzo poważną, bardzo smutną, pełną głębokiej zadumy nad życiem ludzkiem i tęsknoty do lepszego życia.* Taki charakter, wyjątkowy w poezyi naszej XVI wieku, mają jego *Rytmy abo wiersze polskie*, których biedny poeta nie zdążył już wydać, a które drukiem ogłosił brat jego dopiero na początku XVII stulecia (1601). Jest to niewielka garstka utworów lirycznych, wśród których, oprócz pieśni i psalmów, pisanych za przykładem Kochanowskiego, jest i kilka *sonetów*. Nie Szarzyński wprowadził tę formę (stworzoną przez poetów włoskich) do poezyi polskiej, już bowiem dwie fraszki Kochanowskiego mają postać sonetów; ale Szarzyński napisał ich więcej, a co większa, wzorując się na poetach włoskich, udoskonalił tę piękną, ale trudną formę, wtłaczając w szczupłą, ściśle określoną ilość wierszy bogatą treść. I właśnie w sonetach najpiękniej przemówiła smutna dusza poety, który, rozmyślając o życiu ludzkiem i rozczytując się w Piśmie świętem, doszedł do przeświadczenia, że dla człowieka niema i być nie może prawdziwego szczęścia na tym świecie: bo i cóż mogłoby mu je zapewnić? jeden tylko spokój, a spokoju człowiek nigdy nie zazna: życie ludzkie to ciągłe bojowanie, to ustawiczna walka duszy z szatanem, kuszącym ją do grzechu, i z własnem ciałem, które nie chce uznać nad sobą zwierzchnictwa duszy i pożąda rozkoszy doczesnych; te zaś rozkosze są równie znikome, jak bogactwo, sława, władza, za któremi się człowiek tak ugania; nadto życie ludzkie jest krótkie, — śmierć zewsząd czyha na człowieka i, prędzej czy później, odbierze mu wszystko.

Lecz głęboki smutek poety, płynący z przekonania o marności tego życia, ani jednego razu nie przechodzi w rozpacz: nie rozpaczać, ale walczyć powinien człowiek, — walczyć z szatanem i z ciałem, a więc nie dbać o rzeczy ziemskie, ale o wiekuiste, nie przywiązywać się do znikomych rozkoszy i zaszczytów, ale ukochać jedynie „wieczną i prawą piękność“, to jest Boga, i spełniać Jego przykazanie; a Bóg to nietylko wiekuista mądrość, ale i miłość nieprzebrana: On nie opuści człowieka, doda mu sił do walki, i z owego rozdwojenia pomiędzy duszą a ciałem nie ciało, tylko dusza wyjdzie zwycięsko i otrzyma wiekuistą nagrodę w niebie. Więc w pieśniach i psalmach modli się Szarzyński do Boga, ze skruchą spowiada się przed Nim ze swych grzechów, błaga Go o przebaczenie i o siły do walki, podziwia piękność Jego stworzenia i wielbi Opatrzność. Dawniej, pod wpływem mędrców starożytnych, myślał, że ludźmi ślepy los rządzi, teraz woła w pieśni *O Bożej Opatrzności*:

Nie trafunek przygodny ludzkie sprawy rządzi:
I Fortunę szaloną, choć upornie błądzi,
Chełzna[1] twardym munsztukiem Twego moc zrządzenia,
O Mądrości, wszystkiego żywocie stworzenia!

---

[1] Chełznać = kiełznać.

Oprócz tej głębokiej *religijności*, która stanowi wybitną cechę poezyi Szarzyńskiego, dźwięczy w niej inna jeszcze struna—*uczucie patryotyczne*. Słychać ją np. w pieśni na cześć króla Stefana, ale nadewszystko w dwu *dumach rycerskich* na cześć dwu bohaterów, poległych w walce za ojczyznę: Jakuba Strusa, który zginął w bitwie z Tatarami nad Rastawicą w województwie kijowskiem (1520), i Fryderyka Herborta (Frydrusza), którego bohaterską śmierć w bitwie pod Sokalem nad Bugiem (1519) opisuje Marcin Bielski (§ 28) w tych słowach: „Poległo tam wiele rycerstwa polskiego, prawie czoło wszytko, okrom tych trochę, którzy mogli na Sokal zameczek ubieżeć; Fredrusz, bacząc upadek naszych, jako był człowiek serca wielkiego, żywota nizacz nie ważąc, rzekł: „Boże! tego nie daj, abych przy mej miłej braciej gardła nie dał!" Rozpuściwszy koń ze wszego skoku, dobrowolnie, jako jeden Kurcyusz rzymski, skoczył miedzy nie z drzewem [1] swojem, bił sie z nimi, póki mógł sobą władać; tam miedzy Tatary rozsiekan z krzykiem a z żałością więźniów, których natenczas dosyć nabrali". Opowiadanie to uzupełnił Szarzyński własną fantazyą i napisał pieśń, będącą pięknem zwierciadłem zarówno bohaterskiej duszy rycerza, jak szlachetnej duszy poety, który żywo i silnie odczuwał piękność bohaterskich czynów patryotycznych.

„By był doszedł lat swych,— mówi o Szarzyńskim kronikarz współczesny—byłby z niego poeta znamienity polski"; ale i tak, pomimo szczupłej spuścizny, jest to poeta znamienity, który w poezyi polskiej wieku złotego wybitne zajmuje stanowisko, nadewszystko jako *poeta cichego smutku*.

Fraszka o Kasi i o Anusi.

Kasia z Anusią, wdzięcznych i pięknych oboje,
Jednakimi płomieńmi trapią serce moje;
Obyczaje, w obudwu godne pochwalenia,
Też wielką są przyczyną mego udręczenia.
A gdy czasem pospołu wedla siebie siedzą,
Na którą pilniej patrzać, oczy me nie wiedzą:
Anusia zda mi się być piekniejszą nad Kasię,
Kasia zda się piekniejszą nad Anusię zasię;
Tamta nad tę, a ta też nad tamtę wdzięczniejsza;
W rozmowie, ja nie wiem, która przyjemniejsza.
To jedno wiem, że obie bez miary miłuję:
Jak to może być, nie wiem, ale miłość czuję!

O wojnie naszej, którą wiedziemy z szatanem, światem i ciałem (sonet).

Pokój — szczęśliwość; ale bojowanie —
Byt nasz podniebny: on srogi ciemności
Hetman i świata łakome marności
O nasze pilno czynią zepsowanie [2].
Nie dosyć na tem, o nasz możny Panie!
Ten nasz dom — ciało, dla zbiegłych lubości [3]

[1] Drzewo=włócznia. [2] zepsowanie=zguba. [3] zbiegle lubości=doczesne rozkosze.

Niebacznie zajźrząc [1] duchowi zwierzchności,
Upaść na wieki żądać nie przestanie.
Cóż będę czynił w tak straszliwym boju,
Wątły, niebaczny, rozdwojony w sobie?
Królu powszechny, prawdziwy pokoju
Zbawienia mego, jest nadzieja w Tobie!
Ty mnie przy sobie postaw, a prześpiecznie
Będę wojował i wygram statecznie!

O nietrwałej miłości rzeczy świata tego.

I nie miłować ciężko, i miłować
Nędzna pociecha, gdy żądzą zwiedzione
Myśli cukrują [2] nazbyt rzeczy one,
Które i mienić i muszą się psować.
Komu tak będzie dostatkiem smakować
Złoto, sceptr, sława, rozkosz i stworzone
Piękne oblicze, by tem nasycone
I mógł mieć serce i trwóg się warować?
Miłość jest własny [3] bieg bycia naszego;
Ale z żywiołów utworzone ciało,
To chwaląc, co zna początku równego,
Zawodzi duszę, której wszystko mało,
Gdy Ciebie, wiecznej i prawej piękności
Samej nie widzi, celu swej miłości.

Pieśń o Frydruszu, który pod Sokalem zabit od Tatarów roku Pańskiego 1519.

Umysł stateczny i w cnotach gruntowny
Kto ma od Boga, żywie świętym równy;
Nietylko wytrwa gniew szczęścia surowy,
Ale i łaską wzgardzić jest gotowy.
Tysiąc przykładów! Ale dostateczny
Słów moich świadek — sam Frydrusz serdeczny [4],
Który to sprawił, że sie mniej wstydamy
Blizny, prze upór co nieszczęścia mamy [5].
Na Sokal wojska gdy już płaczliwego
Ostatek uwiódł, od rąk okrutnego
Pohańca wolny, serce nielękliwe
Odkrył, te słowa mówiąc pamiętliwe:
„Farbę Bugowej, widziałem, krew wody
„Nasza zmieniła prócz [6] pohańskiej szkody.
„Skryły się pola pod zacnemi ciały,
„A mnie, niestetyż, kto w te zagnał wały?
„Bojaźń wyrodna w serce me nie wchodzi,
„Lecz, mogąc pomódz, żywiąc [7], — umrzeć szkodzi,

---

[1] Zajźrzeć=zazdrościć. [2] cukrować=posypywać cukrem; przenośnie wystawiać w pięknem świetle, zalecać. [3] właściwy. [4] mężny. [5] t. j. bo baterska śmieć Frydrusza przynajmniej w części okupiła wstyd, jakim okryła nas poniesiona klęska. [6] bez. [7] żyjąc.

„Choć miejsce wzywa, i dusza uczciwa
„Krwią, ciałem, zbroją, sławę kupić chciwa.
„Ale jeszcze trwa ten targ[1]! Otwórz bronę[2],
„Otwórz, już mię wstyd mur mieć za obronę!
„Niechaj przypłaci pohaniec zdradliwy,
„Że tył mój widział, gdym zbrojny i żywy!"
To rzekłszy, jako z działa śmiertelnego
Kamień, płomienia gwałtem siarczystego
Z hukiem wyparty, jako przez wiatr rzadki
Leci przez ciała, dając im upadki:
Tak mężny Frydrusz, gniewy ślachetnymi
Zapalon, z zamku z krzyki rycerskimi
Wypadł i przeszedł zastęp niezliczony,
Swą i tatarską prawie krwią zjuszony.
Tam zaś, by tygrys, gdy swe baczy dzieci
Miedzy myśliwcy, choć tysiąc strzał leci,
Wpada w pośrodek, nie o ratunk dbając,
Ale o pomstę, szkodzi, i konając:
Taki był on mąż, widząc swój lud zbity,
Drugi związany; aż go znamienity
Duch ze krwią odbiegł; padł; krzyknął bezbożny
Zastęp i więźnie; lecz był okrzyk różny!...
O, cny rycerzu! nietylko szczęśliwie
Duch twój z wielkimi bohatyry żywie:
I tu, dokąd Bug cichy wody swoje
Niesie do Wisły, dotąd imię twoje
Trwać będzie w ustach ludu rycerskiego,
I rzecze człowiek serca wspaniałego:
„Z lepszem ojczyzny szczęściem, wieczny Panie,
„Racz mi naznaczyć tak prędkie skonanie!"

§ 45. Odrębne stanowisko wśród poetów ostatniej ćwierci XVI w. zajmuje **Sebastyan Klonowicz** (urodzony około r. 1550, zmarły 1602), *mieszczanin wielkopolski* (z kaliskiego), który w młodym wieku osiadł na Rusi Czerwonej we Lwowie, a później zamieszkał w Lublinie, gdzie, piastując kolejno różne urzędy miejskie, dosłużył się godności burmistrza; przez pewien czas pełnił obowiązki nauczyciela w szkole zamojskiej. Był to człowiek wykształcony, a nawet uczony; znał nie tylko łacinę, ale i język grecki; w autorach starożytnych i w Piśmie świętem niezwykle oczytany; znał prawo krajowe i rzymskie; miał zmysł spostrzegawczy, umysł bardzo ciekawy, wrażliwość na piękno przyrody, dużo dobrej woli i poczciwe serce, które gorzko płakało na widok wciąż wzmagają-

---

[1] T. j. waham się jeszcze (targuję się z sobą), czy obrać życie, czy śmierć. [2] brona = brama.

cego się ucisku ludu i upośledzenia mieszczaństwa. Posiadał nadto dużą ambicyę, i ona to właśnie pobudziła go do działalności literackiej: widząc, jak szlachta z góry patrzy na mieszczan, postanowił jej pokazać, że i mieszczanin może piórem dzielnie władać, co więcej, że i mieszczanin może być poetą. Ale cóż, kiedy *nie miał wyższego talentu poetycznego*; to też, z wyjątkiem poszczególnych pięknych ustępów, jego poezya to wierszowana proza, często rozwlekła i przeciążona przykładami z mitologii i historyi starożytnej oraz przytoczeniami z autorów greckich i rzymskich, których znajomością popisuje się Klonowicz na każdym kroku, aby czytelnik ani na chwilę nie wątpił o jego uczoności. Wogóle *nie piękność jego poezyi zepewnia mu stanowisko w literaturze wieku XVI, ale po pierwsze, ciekawa treść, a po drugie, szlachetna myśl jego utworów*. Co do treści, to mieszczanin Klonowicz opiewał takie przedmioty, jakich możeby nawet nie tknął, gdyby był szlachcicem, mianowicie *życie mieszczan i życie ludu*; a co do myśli szlachetnej, to Klonowicz walczył z uprzedzeniami swojego wieku, *dowodził, że niema szlachectwa bez osobistych zasług, i ujmował się gorąco za ludem wiejskim, którego niedolę opisywał tak wymownie, jak mało kto w XVI stuleciu*. Ta *odwaga cywilna* to najpiękniejsza cecha charakteru i działalności literackiej Klonowicza. Miał też on za swoje: i od szlachty, która się krzywem okiem patrzała, że jakiś tam mieszczanin z pod ciemnej gwiazdy śmie ją uczyć rozumu i piętnować jej zdrożności, i od jezuitów, którzy nie mogli mu darować, że gromił wady duchowieństwa, a nadewszystko, że kumał się z protestantami i że nawet jednemu z nich pomagał do napisania ostrej napaści na zakon.

Cztery są główne utwory wierszowane Klonowicza: dwa łacińskie (*Roxolania* i *Victoria deorum*) i dwa polskie (*Flis* i *Worek Judaszów*); z tych *Roxolania* i *Flis* są poematami opisowymi, a *Victoria Deorum* i *Worek Judaszów* — satyryczno-dydaktycznymi.

Roxolania, t. j. *Ruś Czerwona*, (1584) to nie tylko najlepszy utwór Klonowicza, ale najciekawszy ze wszystkich utworów naszej poezyi łacińskiej. Treść stanowi opis przyrody, miast i ludzi Rusi Czerwonej. Po inwokacyi (wezwaniu) do Muz, które na prośbę poety opuszczają Parnas i odbywają wraz z poetą wędrówkę po Rusi Czerwonej, opisuje Klonowicz naprzód jej granice i gęste lasy, potem zajęcia Rusinów, jako to: wyroby z drzewa, hodowlę bydła, łapanie ptaków na lep, oswajanie niedźwiedzi, bartnictwo, handel skórami i t. d., raz w raz przerywając opowiadanie to wyrazem własnego współczucia względem ludu, to pochwałą miodu, a naganą wódki, to różnemi powiastkami, o tem np., jak Rusin wpadł w głęboką barć i jak się z niej wydostał, łapiąc za nogę niedźwiedzia, który się także na miód ułakomił. To wszystko wypełnia część pierwszą. W drugiej autor opisuje miasta, najszczegółowiej Lwów, Zamość, Kijów i Kamieniec. Lecz najciekawszą jest trzecia, opi-

sująca zwyczaje i obyczaje Rusinów, ich wiarę w czary, różne sztuczki chytrych czarownic, chrzciny i zabawy dziecięce, śmierć i pogrzeb gospodarza Iwana, po którym płacze wynajęta płaczka i któremu pop kudłaty wkłada do trumny list polecający do św. Piotra i pieniądz, „by Rusin miał czem zapłacić przewoźne, płynąc przez Styks do bogów i gaju elizejskiego“. Nawet o piosenkach ludowych nie zapomniał poeta: „Przestań płakać, malutki, bo wrzucę do wody, oddam rybom i potworom wodnym; milcz, radzę, jeśliś mądry! Cicho, dziecino, poniechaj smętnej skargi, bo cię, maleńki, wilki żarłoczne zjedzą! Czy cię czarownica wzrokiem piekielnym urzekła? czy ci członeczki duchem zaraźliwym otchnęła? — bodaj sama przepadła ze swojem przeklętem, obrzydliwem, zezowatem okiem!“ Przed Klonowiczem ani jeden z poetów naszych tak szczegółowo życia ludowego nie opisywał. Jaka szkoda, że *Roxolania* pisana po łacinie! Przełożył ją wprawdzie wierszem Syrokomla, ale wielce niedokładnie.

Śmierć Rusina (w skróceniu). Gdy martwemi ustami ostatnie uleci tchnienie i ciepło życiowe zimne opuści członki, wnet zjawia się baba, która za pieniądze powtarza wyuczone lamenty i na zawołanie opłakuje śmierć nie swojego męża; łzy przedażne wyciska z oczów, którym się nie chce płakać, i jęki żałosne zmyśla frasobliwa baba...: „Ach, umarłeś, mężu, umarłeś, najwierniejszy mężu! pójdziesz na wieczne pokoje, aby nigdy nie wrócić! Kto rządzić będzie domem owdowiałym? kto dziatkom moim rozkazywać? kto pola tłuste po twej śmierci orać? kto bydło paść? kto miód podbierać? kto koszyki pleść na sereczki moje? Dziw, że umarłeś, szaleńcze! czy ci brakowało czego? czy ci za życia przykry głód doskwierał? Toć ogród rodzi, toć rodzi obficie i rola, toć i komora pełna! W oborze stoi siedem par ciołków, godnych już do roboty, pięćdziesięcioro cieląt, nie tkniętych jeszcze jarzmem; dwadzieścia krów wieczorem i w południe powraca z pastwiska do udoju!.... Ach, umarłeś, mężu, umarłeś, najwierniejszy mężu! pójdziesz na wieczne pokoje, aby nigdy nie wrócić! Któż mnie teraz, sierotę, pieścić, kto ściskać będzie? Zaprawdę, tylko mi już zawsze płakać po tobie: bez ciebie, mężu, żadnej mi słodyczy nie zaznać!“... Tymczasem gromadzą się przyjaciele nieboszczyka (zwłaszcza gdy człek był bogaty) i wołają kudłatego popa, by albo list napisał albo pieśń w tych słowach odśpiewał: „Pietrze! Tobie Chrystus wszechmogący dał klucze od Olimpu, klucznikiem niebieskim cię mianował; ty zamykasz i otwierasz wnętrze niebieskie, ty strzeżesz podwojów i świętych chramów bożych! Oto nasz Iwan, wykreślony z rejestru żyjących, już do was wybrał się w drogę: człeczysko dobre, ojców swoich cześć dla cerkwi święcie zachował, wiary greckiej się nie zaparł. Wiedz-że, Pietrze, że to on właśnie przychodzi, przyjmij go do nieba, racz mu otworzyć w swej sprawiedliwo-

ści! Teraz, gdy leci do bogów, mknąc drogą napowietrzną, niechże z łaski twojej, Pietrze, szczęśliwie się do nieba dostanie! Ześlij Iwanowi na drogę wiatry pomyślne, wesprzyj go, Pietrze, swoją opieką! Za życia bowiem, Pietrże, on czcił cię wielce i zawsze łaskę twą skarbił: na cześć twoją, Pietrze, pobożnie długie obchodził posty, nigdy zakazanych potraw nie tykając; więc, gdy przyjdzie Iwan i zapuka do bram Olimpu, gdy nowy gość przybędzie do waszych podwojów, gdy się nieśmiałym głosem odezwie, nie bądź trwożliwemu srogim odźwiernym, spytaj go łagodnie o imię i wysłuchaj łaskawie jego odpowiedzi; nie był-ci on mówcą, tylko pracowitym rolnikiem, więc nie bądź surowym sędzią jego słów drżących; toć i ty, Pietrze, nie byłeś mówcą, tylko sieci w fale miotałeś...; więc pokochaj, rybaku, rolnika! łączą was dwa węzły wspólne: prostota i sam Chrystus!“... Nadto kapłan daje zmarłemu Rusinowi pieniążek, by mógł lepiej przebyć tak długą drogę i miał czem zapłacić przewoźne, płynąc przez Styks do bogów i gaju elizejskiego...

Apostrofa do panów i urzędników (ekonomów).

A wy, ojcowie ludu, którym naród cały
Posłuszny wielkich fortun pomnaża dostatki,
Rzekomo z niebios woli i dla boskiej chwały
Niesie mienia i pracy poddańczej ostatki:
Wy, ze starych szpargałów wyroki nieprawne
Wywłócząc, nową krzywdą przewyższacie dawne!
Z waszej łaski urzędnik, o sercu z kamienia,
Gorzej pjawki się przypiął do chłopskiego mienia
I do kropli ostatniej, co jeszcze dziś płynie,
Wysysa krew biedaka!.... Jako lew zgłodniały
W wściekłym gniewie, wypadłszy z libijskiej pustyni,
Szarpie jagnię bezbronne, tak ten tłum zdziczały
Nad wieśniakiem się pastwi aż do szpiku kości,
Depcąc prawa przepisy, nie znając litości.
Nie wzruszysz go, byś płakał i łzami krwawemi:
Skóręby zdarł z wieśniaka, co schodzi z tej ziemi;
Tak zajeździwszy konia właściciel lub osła,
Łupi skórę, która go tyle razy niosła!....
Nie baczy twardy dziedzic na boleść głęboką,
Na chłopskiej widną twarzy; nie baczy, że skóra,
Skurczona głodem, kości jedyną powłoką,
Że to szkielet, nie człowiek, i śmierci figura,
Której dawno odbiegły i siła i życie!....
Napróżno z jego oczu płyną łzy gorące,
Po licach gorzkie krople toczą się obficie,
I próżne te westchnienia, pierś rozrywające:

Pyszna dusza, własnymi zbytkami zajęta,
Nie pojmie, co to prośba, ni co litość święta![1]

O wiele mniejszą wartość od łacińskiej *Roxolanii* posiada polski poemat opisowo-dydaktyczny: *Flis, to jest spuszczanie statków Wisłą* (1598), przewodnik i poradnik dla kupców, spławiających z flisakami zboże do Gdańska. Klonowicz nie lubił żeglugi, myślał sobie bowiem, że Pan Bóg, zaprowadzając ład wśród pierwotnego chaosu, po to dał człowiekowi na mieszkanie ziemię, a nie wodę, żeby się nie włóczył, licho wie na co, po wodach, ale żeby poprzestawał na ziemi, której owoców starczy na jego wyżywienie; zwłaszcza Polak powinienby o tem pamiętać, bo „miła Polska na żyznym zagonie zasiadła, jako u Boga na łonie; może nie wiedzieć Polak, co to morze, gdy pilnie orze"; cóż z tego, kiedy Polak jest chciwy i lubi żeglować, by sprzedać zboże i nakupić sobie różnych towarów zamorskich w Gdańsku (któryby raczej „Chłańskiem" nazwać trzeba, bo pochłania majątki Polaków). Postanowił więc Klonowicz nauczyć Polaka, jak ma do Gdańska płynąć, a nadto chciał, jak mówi, „poczciwość wyrządzić rzece ojczystej, a matce wszystkich wód sarmackich, Wiśle"; i w tym celu napisał poemat, w który wpakował wszystko, co tylko wiedział o żegludze bądź z autorów starożytnych, bądź *z własnego doświadczenia*, on sam bowiem odbył raz podróż z flisakami do Gdańska.

Poezyi niewiele się znajdzie we *Flisie*, ale jego treść jest wcale ciekawa. Wprawdzie Klonowicz, chcąc się pochwalić swą uczonością przed czytelnikiem, najniepotrzebniej w świecie wykłada mu całą historyę żeglugi od Noego i Argonautów aż do odkrycia Ameryki; przytacza mu podania mitologiczne, np. o Ikarze; zanudza go morałami, suchym opisem Wisły i jej brzegów od „warszawskiego aż do Zielonego mostu gdańskiego", wyliczaniem nadbrzeżnych miast i wsi oraz kęp, tam, dopływów: ale za to ciekawe są wiadomości o obyczajach i o gwarze flisaków (którzy np. mgłę nazywają mamką, wiatr — stryjem, wronę — ciotuchną, bociana — księdzem Wojciechem), o budowie tratew, promów i szkut, o chytrych kupcach w Gdańsku, o tem, jak zabawnie Niemcy gdańscy trzepią po łacinie („aż mi grzmi we łbie ta łacina skoczna!") i t. d. Są także i „żarty", które, jak zapewnia autor, „osłodzą" czytelnikowi poważną treść, np. bajka Ezopa o tem, jak, wybierając się razem w podróż, nietoperz wziął pożyczone pieniądze, nurek (ptak) — pożyczone klejnoty, a krzak jeżynowy nabrał sukna na kredyt; ale okręt się rozbił, i cały towar poszedł na dno: dlatego to nietoperz, bojąc się wierzycieli, pokazuje się tylko w nocy, nurek, szukając klejnotów, nie opuszcza wody, a krzak jeżynowy, „wetując swej straty, hamuje ludzi, chwyta ich za szaty". Ale ciekawszym, a nad-

[1] Przekład Kanteckiego.

to swojskim, jest inny „żart“, — *podanie flisackie*, wyjaśniające poetycznie, dla czego koryto Wisły rozdwaja się pod Gniewem (na Pomorzu):

Dwa bracia z siostrą w drogę się wybrali:
Z Litwy—Niemen, Bug—z Wołynia zuchwały
I Narew bystra, jako siostra starsza,
Przyszła z Podlasza;
Wziąwszy przymierze bez gniewu i trwogi,
Zażyła sobie przyjacielskiej drogi
W małym orszaku, co więc nie nowina:
Zgodna rodzina!
Potem lepszego bytu chcieli użyć:
Zachciało się im u królowej służyć,
Co do niej płyną ze wszech stron poprzeki [1]
Sarmackie rzeki.
Przystali tedy do Nowegodworu
Narew i z bracią, puściwszy się toru,
I tak służyli Wandzie Krakusowej,
Jako królowej.
Czując do siebie Narew śliczną gładkość,
Czując też w braci siłę i też wartkość,
Chciała być równa w rodzaju, w urodzie
Wandalskiej wodzie.
Pani, ślicznością i domem chwalebna,
Nie chcąc być tańszą, niż panna służebna,
Wyzwała Narew, chcąc ją wywieść z błądu,
Pozwem do sądu,
Na którym zasiadł strumień nieujęty [2],
Do tego wolnie z obu stron przyjęty, —
Ów, co u Gniewu swemi wroty wpada,
Wisłę rozbada.
Sędzia roztropny puścił przed się strony
I zagaił sąd tuż u samej brony [3].
Szła para panien, każda z nich osobna [4],
Gwiaździe podobna.
I długo myślił, niż wszytkie przymioty
Wybaczył w obu i wrodzone cnoty;
Chwilę tak okiem poglądał na obie
Czujnem osobie [5].
Upatrzył sędzia, iż nad księżnę owa
Osobliwszego coś miała królowa,

[1] Poprzeki = poprzek. [2] nieprzekupiony; jestto strumień Wierzyca. [3] brona = brama. [4] osobny = śliczny. [5] obie osobie — liczba podwójna.

Jako nad leśne Nimfy ma Dyjana,
Złotem ubrana.
A także zatem wnet uczynił wyrok,
Jako sumienie świadczyło i też wzrok:
Skazał, iż gładsza królowa, rzecz ista [1],
Niżli służbista.
Narew i ż bracią wnet się rozgniewała,
A inszą drogą płynąć się wezbrała:
Więc miejsce sądu na brzegu na lewym
Nazwano Gniewem.

§ 46. Poematy satyryczno-dydaktyczne Klonowicza wypłynęły z jego zacnej chęci umoralniania społeczeństwa, osobliwie zaś młodzieży, której wychowanie żywo go obchodziło, dla której tłumaczył z łaciny wierszyki moralne i ułożył krótki wierszowany podręcznik historyi ojczystej. Otóż, pragnąc pouczyć rodziców, w jakim duchu dzieci wychowywać należy, napisał olbrzymi, składający się blizko z 20 000 wierszy, poemat, nad którym długie lata pracował, p. t. *Victoria deorum*, t. j. *Zwycięstwo bogów* (1587). Właściwie mówiąc, to nie poemat, tylko traktat naukowy, w który Klonowicz wtłoczył niezliczone mnóstwo wiadomości w zakresie historyi starożytnej i mitologii, nauki wychowania i moralności, medycyny i nauk przyrodniczych, gospodarstwa i sztuki kulinarnej i t. d., — słowem całą niemal swą rozległą wiedzę. Jeden z czterdziestu czterech długich rozdziałów poematu opisuje walkę gigantów z bogami, która skończyła się zwycięstwem bogów: stąd tytuł utworu. Lecz nie o gigantów i nie o bogów chodziło Klonowiczowi, ale zupełnie o co innego: myślą przewodnią całego poematu jest, że prawdziwe *szlachectwo polega* nie na „szlachetnem urodzeniu“, nie na bogactwie, nie na potędze, nie na piękności, ale *wyłącznie na cnocie; „szlachectwo niczem innem nie jest, tylko służbą cnocie“*; cnota jest „matką szlachectwa nowego i wskrzesicielką utraconego“; *głównymi środkami do nabycia cnoty, a zatem szlachectwa, są nauka i praca;* najpiękniejszą ozdobą szlachectwa jest niewątpliwie służba rycerska, ale i *uczciwe rzemiosło nie hańbi człowieka.* Oto czego uczy Klonowicz, pragnąc, aby w tym właśnie duchu rodzice wychowywali synów, jeżeli chcą, żeby wyrośli na prawdziwych „bohaterów“. Jego poemat jest rozwlekły, przeładowany wiedzą, poszczególne części nie trzymają się kupy, — to prawda: ale myśl przewodnia jest piękna, słuszna i chlubnie świadczy o zacności i odwadze cywilnej autora, który, chociaż doskonale wiedział, że narazi się szlachcie, rozkochanej w herbach, gardzącej mieszczaninem i chłopem, nie wahał się jednak otwarcie swych poglądów na szlachectwo wypowiedzieć. Nie on pierw-

[1] isty = pewny, prawdziwy.

szy w Polsce uczył, że szlachectwo polega wyłącznie na cnocie: głosił to już Kadłubek (§ 2), a w wieku XVI głosili i Rej i Modrzewski i Kochanowski; ale on pierwszy poświęcił uzasadnieniu tej myśli całą książkę, i to obszerną książkę, w której nagromadził wszelkie możliwe dowody i rozumowania, swoje i cudze, oraz niezliczony szereg przykładów historycznych; nikt w XVI wieku nie napracował się nad tym przedmiotem tyle, co on. I to jego piękna zasługa.

Nie dosyć na tem. *Zwycięstwo bogów* obfituje w całe mnóstwo wycieczek satyrycznych. Zarzuca Klonowicz duchowieństwu niemoralność, szlachcie prywatę, swawolę, zbytki, ale szczególniej ucisk ludu. Rzewną i wymowną jest skarga, jaką wkłada autor w usta chłopa, uciskanego przez pana: „Jeżeliś jest moim bratem; jeśli wraz ze mną przystępujesz do Stołu Pańskiego; jeśliś mnie nie wziął na wojnie w niewolę; jeśliś mnie nie kupił; jeśli tu, na tej ziemi, żyli moi przodkowie; jeślim i ja tutaj ujrzał światło dzienne; jeślim tu po raz pierwszy odetchnął powietrzem: to czemu mnie dręczysz i męczysz?“... „Ty wszystkich, Jezu Chryste, wzywasz ku sobie, którzy pracują, którzy, jęcząc, uginają się pod brzemieniem trudów!“... „Biedny chłop zawsze w nędzy, w udręczeniu, ciężko dyszy, drży, pragnie, łaknie, cierpi, potnieje, dźwiga brzemię ciężkie, skarży się, pracuje dzień i noc, — a wszystko to dla niewdzięcznego pana: jego to zyski mając na celu, ogłupia swój własny umysł, piecze się na upale i dygoce podczas wichrów zimowych i śniegów, moknie na deszczu, zamęcza pachołków i bydlęta, wczasowi sen kradnie“... Cała literatura XVI wieku niewiele posiada skarg równie wymownych!

Jak *Zwycięstwo bogów*, tak i *Worek Judaszów* (1600) pisał Klonowicz z myślą o „poprawie obyczajów ludzkich, a zwłaszcza ludzi młodych“, aby, „oprzykrzywszy sobie sprawy i chytrości judaszowskie, udali się do sprawiedliwych i uczciwych dróg i obyczajów szukania żywności“. W tym celu nie szczędzi autor czytelnikowi długich nauk i morałów, obrzydza mu próżniactwo, jako źródło wszystkiego złego, a pragnąc go odstraszyć od oszustwa i kradzieży, poucza, jak srogiej karze podlegał złodziej w starożytności i jak surowo karze go prawo polskie, jak okropnie męczy się złodziej na torturach, jak czasem ludzie spełniają nad nim sądy doraźne. Ale główną treścią poematu jest szczegółowy opis „spraw i chytrości judaszowskich“, charakterystyka różnego rodzaju złodziejów i oszustów, z którymi Klonowicz, jako sędzia miejski i burmistrz, miał często do czynienia i których różnorodne zbrodnie i sztuczki znał dokładnie.

Tytuł poematu pochodzi stąd, że, według jakiegoś podania, Judasz miał worek, zszyty z czterech skór: wilczej, lisiej, rysiej i lwiej; a ponieważ Judasz był największym łotrem i złodziejem, jakiego ziemia nosiła, więc ów jego worek to symbol wszystkich

wogóle złodziejstw. Poemat więc składa się z czterech części. W pierwszej, t. j. w *skórze wilczej*, opisuje Klonowicz zwykłych złodziejów i rabusiów, którzy, jak wilk, kradną cudze mienie, jako to: świętokradców, „pszczołołupców“, złodziejów bydła nad Dniestrem, Cyganów, Tatarów, złodziejów dobra pospolitego i łapowników, „Martahuzów“, t. j. wyrodków, zaprzedających ludzi w niewolę turecką, i t. d. W części drugiej (*skóra lisia*) mieszczą się ci, którzy przywłaszczają sobie cudze mienie „prośbą, pochlebstwem abo też zmyślonem nabożeństwem“, a więc wogóle oszuści i wydrwigrosze, wyłudzający np. od prostych ludzi pieniądze pod płaszczykiem składek dobroczynnych albo pielgrzymek pobożnych. *W skórę rysią* (część trzecia) zaszył Klonowicz tych oszustów, co to usiłują swoim postępkom nadać pozory prawa, jak np. podstępnych kupców, którzy używają fałszywych wag i miar, a tłumaczą się, że przecie oni nie zmuszają nikogo, by u nich kupował; graczów, ogrywających roznamiętnionego przeciwnika; lichwiarzów, którzy usprawiedliwiają swe haniebne rzemiosło tem, że przecie i rolnicy biorą lichwę od ziemi, która „daje za trochę ziarn posianych gumna, jako gaje“. Część czwarta nakoniec (*skóra lwia*) składa się zaledwie z kilku wierszy; zamierzał w niej Klonowicz napiętnować jawne rozboje i gwałty, jakich się dopuszczali możnowładcy, ale, powiada, „strach o tej skórze pisać,... bym się zaś nie uprzykrzył Judaszom zębatym“: bał się widocznie zemsty magnatów.

Wartość i znaczenie *Worka Judaszowego* polega na tem, że sporo w nim obrazków i wizerunków, wziętych wprost z życia miast i wsi polskich; jest tu np. obraz kłopotów burmistrza, dobrze Klonowiczowi znanych; jest jaskrawy opis tortur w sądach miejskich; ale nadewszystko, jest dosadna charakterystyka oszustów, złodziejów i wogóle wszelkiego rodzaju *mętów społecznych*, w jakie za czasów Klonowicza obfitowały szczególniej ziemie ruskie; wreszcie i tutaj nie zapomniał autor o tem, co mu zawsze najbardziej na sercu leżało, — poskarżyć się na ucisk ludu wiejskiego.

Oszust i wyzyskiwacz ludu.

Przędzie sobie postawę [1], żebrze płaskim głosem,
Włóczy się po jarmarkach z judaszowym trzosem;
Nosi puszkę żelazną, dzwonek mosiądzowy,
Prosi rzkomo na szpital i na kościół nowy;
Prosi, chytry nieborak, na jakiego świątka,
Chocia z tamtej jałmużny nie da mu i szczątka.
Czasem zmyśli na błoniu i w boru zjawienie
I ślubuje prostakom za pewne zbawienie:
„Widziałem — pry [2] — pod lasem miłą Matkę Bożą!
(A baby się, słuchając onych baśni, trwożą)
„Wielka światłość wynikła w choinowym borku,

[1] Prząść postawę = robić minę (nieszczęśliwą). [2] prawi, mówi.

„Na pieńku nowociętym, na cudnym pagórku!“
Więc on niezbedny [1] oszust twierdzi za rzecz istą,
Że widział własnem okiem Dziewicę Przeczystą,
Która mu rozkazała chwałę bożą mnożyć
I tam, na onem miejscu, kościołek założyć.
Więc plecie, bredzi, mata i na on kościołek
Nawyłudza powałek [2], pieniędzy, gomołek.
I dobrze mu wychodzi matanina ona:
Idzie mu chleb w kobiałkę, i w puszkę mamona.
Więc też chudzi kleszkowie i książkowie [3] prości,
Widząc, że tak przybywa do zjawienia gości,
Opuszczają więc podczas i [4] kościół swój stary:
Przenoszą się na odpust do lasa od fary;
Udają się za chlebem, za ofiarą głupią:
Kury, jajca, szelągi, kukle [5], świeczki łupią.
Pomagają prostakom postaremu błądzić,
Nie umieją ubogich ludków dobrze rządzić,
Ślepi wodzowie ślepych, i wpadną pospołu
Mistrzowie i uczniowie do jednego dołu....
Odbieży białagłowa krosien i kądziele,
Nie opatrzy dobytka, marchwie nie wypiele,
Tak, nieboga, samopas puści gospodarstwo:
Już jej zawsze na myśli będzie ono łgarstwo.
Wlecze się do zjawienia, tuszy: „Będę w niebie,
„Jeśli pójdę do boru o żebranym chlebie“.
Więc, coby jałmużnę dać swoję, żebrze cudzej.
Jej przykładem prostacy czynią to i drudzy;
Więc też za nią gospodarz wlecze się i sługa,
Odbieżawszy koników i wołków i pługa;
Bez pozwolenia starszych po świecie się krążą,
Boże męki na polach powrósłami wiążą,
Kładą kije na kupę, głaze [6] na kamionki [7],
Wiją kiczki [8] z brzeziny mężowie i żonki.
Idą — nikt im nie kazał — na niepoświącane
Miejsce i które nie jest przywilejowane,
A on isty bałamut ze dzwonkiem i z puszką
Żywie na tę łeż [9] dobrze i z swą panią duszką [10];
Więc się w onej świątyni kościelnym obierze,
Wierutny łotr, co gmerze w onej tam ofierze,
Co w kazanie potrząsa po kościele owym
Na kiju zawieszonym workiem judaszowym

---

[1] Wstrętny. [2] powałka=bochenek. [3] książek=księżyna. [4] podczas i=czasem nawet. [5] kukla=bochenek, kołacz. [6] głaza=głaz. [7] kamionka=kupa kamieni. [8] kiczka=powrósło (z gałązek). [9] łeż=kłamstwo. [10] pani duszka=żonka.

I mówi: „Wspomagajcie na nowy dom boży,
„Pan Bóg mu to zapłaci, kto w mieszek co włoży“!...
Dopieroż się do moszen[1] prostaczkowie mają:
Na kościelny budynek hojną ręką dają.
I tak wiele pieniędzy bierze on chorąży,
Że każdemu „Bóg zapłać!“ mówić nie nadąży.
Wszedłszy do sakrystyjej, rachuje się z onym,
Co nań prosił, nowego kościoła patronem:
„Odpuść mi, święty miły, miej lutość nade mną!
„Staszek robił, Staszek je, — nie brząkałeś ze mną!“
Mykże do swej kalety z tą świętą zdobyczą!
A tak chłop liczy grosze, mili święci milczą.

Dola kmieca.

...Kmiotaszek ubogi ustawnie do dwora
Robi sobą i bydłem aże do wieczora,
Karmi się ustawiczną biedą i kłopotem,
Zimnem i upaleniem, łzami, dymem, potem;
Cierpi kuny[2], biskupy[3], korbacze[4], gąsiory[5],
Osoczniki[6], pochlebce, podatki, pobory
I pany furyjaty, opiłe tyrany,
Pyszne, chciwe, wszeteczne, gorsze, niż pogany.
Ach! biednaż jego lichwa[7]: dobrze to zapienia[8],
Co mu Bóg da z wiecznego swego opatrzenia!
Chocia się Bóg rozgniewa na pieszczone pany,
Musi ten gniew odnosić na sobie poddany.
Przyjmie wszytko za dobre, co przyniesie rola,
Mówi z pokorą: „Niech się dzieje boża wola!“
Chocia grady potłuką, choć susza zaszkodzi,
Chocia zboże wymoknie dla długiej powodzi,
Chocia spasie zły sąsiad, ostatek ukradnie, —
Wszytkiego tego oracz ożałuje[9] snadnie.
Kiedy chybią ogrody, więc do lasu na gier[10],
Jeśli pola szwankują, do dąbrowy na żer.
Nie szemrze, nie swarzy się i z ziemią i z Bogiem,
Żywi się, nieboraczek, bardzo nizkim brogiem[11].
Więc musi czekać lata i słusznego żniwa,
Bo zimie[12] nie będzie żął: zamarza mu niwa.
Z tej też lichwy daje księdzu dziesięcinę,

---

[1] moszna=sakiewka. [2] kuna, kunica=słup z kółkiem żelaznem, które wkładano na rękę lub na szyję winowajcom, — pręgierz. [3] biskup — jakiś rodzaj kary. [4] korbacz = bicz rzemienny. [5] gąsior = dyby. [6] osocznik = oskarżyciel; Klonowicz ma tu na myśli ekonomów, którzy chłopów przed panem skarżą. [7] lichwa=procent, zysk (z gospodarstwa). [8] zapieniać = w pocie czoła zarabiać. [9] ożałować=odżałować, przeboleć. [10] gier, girz = ziele leśne. [11] t. j. bróg chłopa jest niziutki, nie wypchany zbożem wysoko. [12] *miejscownik*=w zimie.

Snopki, meszne[1] i pobór, czynsze, pańską winę[2],
Stądże suknią, konika kupić, krówkę, wołku,
Stąd jałmużnę dziadowi, obuwie pachołku.

§ 47. Świetne czasy Stefana Batorego, unieśmiertelnione w historyi politycznej narodu polskiego szeregiem tryumfów wojennych nad Moskwą, a w dziejach literatury — najpiękniejszymi utworami Jana z Czarnolasu, znalazły godnego siebie historyka w osobie **Reinholda Heidensteina** (1556 — 1620). Pochodził on ze znakomitej rodziny frankońskiej, osiadłej w Polsce jeszcze za Kazimierza Jagiellończyka. Posiadał i wiedzę rozległą, nabytą w Niemczech, Francyi i Włoszech, i umysł bystry i rozum niepospolity i trzeźwy pogląd na świat i mrówczą pracowitość i odwagę cywilną; nadto, jako sekretarz, powiernik i przyjaciel dwu największych ludzi w owoczesnej Polsce: wielkiego króla, Stefana Batorego, i wielkiego hetmana i kanclerza, Jana Zamojskiego, był dokładnie wtajemniczony w sprawy państwa; wreszcie posiadał talent pisarski, uszlachetniony i wyćwiczony na historykach rzymskich, zwłaszcza na Juliuszu Cezarze. Słowem miał niemało warunków po temu, aby się stać znakomitym historykiem. Jakoż *jestto najznakomitszy historyk polski XVI wieku, a raczej jedyny w tem stuleciu, godny tego imienia.*

Najlepszem i najpiękniejszem jego dziełem, napisanem (po łacinie) z polecenia i *pod osobistą kontrolą Batorego*, są *Pamiętniki o wojnie moskiewskiej* (1584), — szczegółowy, prawdziwy i bezstronny obraz zwycięskiej wojny z Iwanem Groźnym. Z czasem wcielił je Heidenstein do innego dzieła, nad którem pracował w ostatnich latach swego życia, a które w druku ukazało się dopiero w lat kilkadziesiąt po jego śmierci, p. t. *Rzeczy polskich ksiąg dwanaście* (1672); opowiedział tutaj dzieje Polski od śmierci Zygmunta Augusta aż do początku XVII wieku (1572 — 1602).

Obydwa te dzieła stanowią wspaniałą ozdobę literatury łacińskiej w Polsce. Heidenstein to nie pamiętnikarz, jak Górnicki (§ 33), który opowiada to tylko, na co się patrzał lub co go osobiście obchodziło; Heidensteina obchodzi wszystko, co daje prawdziwy obraz społeczeństwa, co składa się na historyę państwa polskiego, i to zarówno zewnętrzną, jak wewnętrzną: on nie poprzestaje na szczegółowem opowiadaniu o wojnach, ale równie szczegółowo kreśli obraz sejmów, zjazdów, elekcyi, zmian, dokonanych w ustawodawstwie i sądownictwie, i t. d. W tej zaś szczegółowości umie zazwyczaj należytą zachować miarę: on wie dobrze, że jeden wypadek zasługuje na opowieść szczegółową, a inny tylko na krótką wzmiankę,—wie, bo rozumie, jak ani jeden z naszych dawnych kronikarzy, jakie wypadki są ważne, a jakie mniej ważne; on pierwszy np. zrozumiał, że bezkrólewie po śmierci Zygmunta Augusta to wypadek przełomowy w dziejach polskich, i dla tego to opowiada o niem nie mniej szczegółowo, jak o wojnie moskiewskiej. Otóż *szczegółowość opowiada-*

---

[1] Meszne = opłata za mszę. [2] wina = kara pieniężna.

nia i umiejętna ocena zdarzeń historycznych należą do najwybitniejszych cech historyi Heidensteina.

Miłość prawdy to inna jej wielka zaleta. Ani jeden z naszych historyków XVI wieku nie jest tak wiarogodnym i *bezstronnym*, jak on. Wszystko, o czem opowiada, poznał dokładnie, zużytkował całe mnóstwo źródeł historycznych, nie gardząc nawet ulotnemi pisemkami, i wszystko starał się przedstawić w prawdziwem świetle. Nie pochlebia nikomu: jeżeli chwali króla Stefana i Zamojskiego, to dla tego, że nie chwalić mężów tej miary nie mógł; jeżeli potępia Zborowskich, to znów dla tego, że nie mógł nie potępiać takich warchołów i zdrajców; zresztą zarówno w pochwałach, jak naganach, jest nadzwyczajnie wstrzemięźliwy. Wogóle swoje osobiste sądy i poglądy wypowiada nietylko ostrożnie, ale nawet zbyt oszczędnie. a osobistych uczuć nie wypowiada prawie zupełnie; i stąd z kart jego historyi, z tych nawet, które wypełnia opowiadanie o świetnych tryumfach oręża polskiego, wieje jakiś chłód. Ale za to wieje z nich zawsze prawda, czasem słodka i pochlebna, czasem gorzka i przykra. Serce rośnie, kiedy się czyta opowiadanie o mądrości Batorego, o tym zapale wojennym, jaki król umiał w społeczeństwie rozbudzić, o szturmach zwycięskich do Połocka albo do Wielkich Łuków, o bitwie pod Byczyną, o czynach i zasługach Zamojskiego; ale boli serce, kiedy się czyta o tem, co się działo u nas podczas bezkrólewi; jak się strasznie z sobą kłócono; jak wielką była bezmyślność tłumów szlacheckich, które na elekcyach „szły za tymi, którzy je karmili, zdatniejsze do wrzasków, niż do rady", a po obiorze króla „dobrodusznie myślały, że to im król winien królestwo"; jak sejmy spełzały na niczem; jakie plotki i potwarze na siebie miotano; jak szarpano dobrą sławę Batorego i Zamojskiego, któremu nawet uczoność poczytywano za winę; jak podejrzewano ich o złe zamiary (a „podejrzenia nigdzie tak łatwo, jak w Polsce nie rosną"); jak wymawiano się od obrony granic Rzeczypospolitej, ciągle szarpanej przez Tatarów i t. d., i t. d.: o tem wszystkiem opowiada Heidenstein z całą otwartością i z tym samym, co zawsze, chłodnym spokojem. Krótko mówiąc, historya jego jest prawdziwym i wyjątkowo bezstronnym obrazem trzydziestu lat dziejów naszych, skreślonym ze znajomością nie tylko wypadków, ale i charakterów polskich, z sądem trzeźwym, a spokojnym.

Zdobycie Połocka (1579). Gdy się tak trudności zewnątrz piętrzyły, król zwołał radę wojenną, aby rozstrzygnąć, co dalej robić. Prawie wszyscy przemawiali za tem, ażeby (o czem już przedtem powszechnie mówiono) ze wszech stron wszystkiemi siłami przypuścić szturm. Król nie zgadzał się na to, z uwagi, że, gdyby się szturm nie udał, w którym wszyscy całą nadzieję pokładali, to po straceniu jej niemal zupełnem nicby już nie pozostawało, tylko odwrót. Należało więc pierwej, jego zdaniem, wszystkie środki wyczerpać. Zachęca przeto Węgrów obietnicą wielkich nagród, ażeby raz jeszcze skoczyli pod mury; jeźdźców zaś wzywa, aby, kto tylko ma silną rękę, zsiadł z konia i razem z piechotą szedł do szturmu; poucza, że przedewszystkiem na to baczyć należy, żeby nie pierwej (jak to przed-

tem bywało) od ścian odbiegali, aż ogień na dobre się zajmie; a wreszcie lepiej jest raczej zginąć pod murami od kul nieprzyjacielskich, ratując sławę narodową i honor wojskowy, aniżeli, nic nie wskórawszy, odstąpić od oblężenia i okryć się hańbą. Więc żołnierstwo z wielkim zapałem drapie się znów ku zamkowi, niosąc w ręku łuczywo i inne palne materyały, poprzednio na ten cel przygotowane. Na szczęście deszcz nieco ustał, a ogień, od którego się zajęła ściana od dołu, ogarnął wkrótce całą połać parkanu; objąwszy następnie znaczną przestrzeń, cały dzień szalał, nie dając się ugasić. Było to 29 Sierpnia. Wzniecony pożar rzucał daleko łunę; król, obawiając się przeto, że nieprzyjaciel, zwabiony ogniem z miejsc najbliższych, zwłaszcza z Sokoła (gdzie, jak się wyżej rzekło, stał wybór wojska, zebranego przez kniazia w Pskowie), może pospieszyć na ratunek zamkowi i swoim, a równocześnie załoga zamkowa zrobić wycieczkę, — wyprowadził z obozu całe wojsko i w polu pod chorągwiami ustawił; w obozie została tylko silna załoga. Następnie, otoczony jazdą nadworną, ażeby lepiej na wszystkie strony czuwać, przeprawił się przez Połotę, gdyż i droga do Sokoła tamtędy prowadziła, i wycieczki, gdyby nastąpiła, z tej strony najprędzej spodziewać się należało. Już przerażona Moskwa poczęła myśleć o poddaniu, a nawet dziesięciu ludzi z załogi, skoczywszy z murów, zbiega do naszych. Bekiesz kazał ich do króla odprowadzić; w drodze jednak wymordowali ich Węgrzy, ażeby przez to innych od poddania odstraszyć, a siebie nie pozbawić chwały zdobycia zamku, owoców zwycięstwa i wszelkiej wogóle nagrody za poniesione trudy. Pominąwszy bowiem inne pobudki, wieść o tym słynnym zamku, a osobliwie o cerkwi ś. Zofii, znajdującej się w obrębie murów zamkowych, i o odwiecznych skarbach, srebrnych posągach i bogatych darach, ofiarowanych przez dawnych książąt ruskich, obiecywała żołnierzom ogromną zdobycz, i w tej to nadziei, że się dobrze obłowią, znosili oni najochotniej wszystkie uciążliwości. Ponieważ się już ściemniać poczynało, osądzono przeto za rzecz i trudną i niebezpieczną drapać się w górę po tak spadzistym stoku i przedzierać się przez płomienie; nie ustał bowiem jeszcze pożar, a przystęp do zamku jedynie tamtędy był możliwy. Z tego powodu postanowiono szturm odłożyć do jutra. W czasie jednak, gdy król do obozu już wracał, zmawia się kilkudziesięciu Węgrów; przeszedłszy most, o którym była mowa, drapią się kupą do góry i przez ogień, jeszcze nie ugaszony, wdzierają się osmoleni do zamku. Przykładem porwana, przyłącza się do nich w znacznej liczbie polska piechota. Lecz naprzeciw tego miejsca, gdzie pożar wzniecono, wykopała Moskwa naprędce rów i, ustawiwszy nad nim hakownice, obwarowała się na wszelki wypadek. Nie tylko więc odparła naszych i zmusiła do odwrotu tą samą drogą przez płomienie, którą niebacznie przybyli, ale nawet, rozzuchwalona powodzeniem, puściła się dalej za nimi w pogoń, rażąc z tyłu strzałami. Tymczasem jednak owych 200 Zamojskiego piechoty, którzy, jak się powiedziało, strzegli mostu pod zamkową górą, spostrzega gonitwę, przybywa naszym na pomoc i Moskwę zmusza do odwrotu. Król, mało co ku obozowi ujechawszy, zobaczył wdzierających się do zamku ochotników; zarządził więc odpo-

wiednie środki do obrony szańców, na drogę zwłaszcza ku Sokołowi baczną zwracając uwagę. To samo czyni Mielecki; zsiadł z konia i ze znaczną liczbą szlachty, którzy to samo uczynili, biegnie na obronę szańców i armat. Nie siedział też bezczynnie wtenczas nieprzyjaciel i z wyższych baszt średniego zamku zwłaszcza, który panował nad całą okolicą, strzelał raz wraz na wszystkie strony. Z tego powodu nawet król i Zamojski, rozmawiający z sobą, znaleźli się obaj w niemałem niebezpieczeństwie. Bo, gdy właśnie Zamojski z miejsca rozmowy oddalił się na bok dla zmiany konia, poległ tuż przy samym królu od kuli jakiś jeździec, który niebacznie w jego miejsce pojechał. Noc wreszcie uciszyła ten zgiełk wojenny...

Nazajutrz nakazał król nowy szturm. Moskale ustąpili, jako się rzekło, dnia poprzedniego z baszty, która zgorzała. Położenie jej było takie, że zajmowała wierzchołek kąta, utworzonego przez dwie ściany, które przez to niejako zabezpieczała. Otóż Moskwa opuściła cały ów kąt, leżący pomiędzy dwiema najbliższemi, a przez ogień dotąd jeszcze nietkniętemi, basztami, a natomiast połączyła baszty z sobą przekątnią. Teraz jednak, upatrzywszy stosowną porę na odzyskanie owego kąta, zaczęła go na nowo obsadzać. Uwiadomiony o tem król, nie chcąc dać czasu nieprzyjacielowi na obwarowanie owego miejsca, rozkazuje wojsku wedrzeć się na wał i, spędziwszy nieprzyjaciela, miejsce opanować. Węgrzy szybkim napadem tę część wzgórza zajmują. Stąd, stosownie do rozkazu, przykopują się pod najbliższą ścianę i... pod najbliższą basztę, do której się dostali, podkładają ogień. Powstał pożar, który przetrwał noc całą; nasi też, ustawiwszy od czoła kilka hakownic, któremi nieprzyjaciela razili, pracowali noc całą i przykopy tak daleko posunęli, że o świcie byli już całkiem blizko szańców nieprzyjacielskich, dotykając niemal niższego kąta, gdzie się kończył okop, przez nieprzyjaciela dzień przedtem usypany; boki zaś nieprzyjaciela były już tak odsłonione, że nawet w obrębie swych warowni bezpiecznie ostać się nie mógł. Pozbawieni w ten sposób wszelkiej nadziei, oblężeńcy powracają do myśli poddania się. W imieniu bojarów i żołnierzy przybywają posłowie, ażeby załodze zamkowej wyjednać zachowanie przy życiu. Pozwolono im w jednem odzieniu oddalić się swobodnie, gdzie się komu podoba. Przeciwni poddaniu byli jedynie: biskup (którego władyką zowią) Cypryan i wojewodowie, na zamku będący, z tem się odkazując, że raczej wolą zginąć, aniżeli dostać się w moc nieprzyjacielską. Usiłowali nawet przedtem ogień pod prochy podłożyć i zamek, siebie i całą osadę wysadzić w powietrze; przeszkodzili jednak żołnierze. Otóż, gdy teraz zamysł ich udaremniła wspólna wszystkich obawa, zamknęli się w cerkwi św. Zofii, oświadczając, że tylko gwałtem stamtąd wyprowadzić się dadzą. Król, zatrzymawszy posłów, posłał po władykę i wojewodów. Przychodzą i oddają królowi swoim obyczajem czołobitność....

Nazajutrz pragnął król przedewszystkiem odprawić nabożeństwo, aby za otrzymane zwycięstwo Panu Bogu złożyć dzięki. Lecz, nie mogąc wjechać na zamek z powodu nieznośnej woni, rozchodzącej się od

gęsto leżących trupów, których dotychczas Moskwa nie pogrzebała, każe wyprowadzić dotąd na zamku zostających Moskali; równocześnie wyznacza straż, która ich miała bronić od swawoli żołnierskiej.... Przestrzegał król jaknajpilniej, ażeby się Moskwie jaka krzywda nie działa od żołnierzy; kiedy więc pewien towarzysz kilku z nich począł obdzierać, spodziewając się, że w tak licznym tłumie nikt tego nie zobaczy, przyskoczył do niego król, przypatrujący się właśnie schodzącym z zamku Moskalom, i zajechał go buzdyganem. Czyn ten zjednał mu niemałe uwielbienie u nieprzyjaciół, tem bardziej podziwiających łaskawość i sumienność królewską, że w ciężkiej swej niewoli o takich cnotach nie słyszeli wcale.

W obrębie zamku znajdowano poszarpane ciała naszych żołnierzy, których Moskale dopadli byli w chwili, kiedy ci — rzecz, w tak wielkim niedostatku żywności i wszystkich potrzeb nieunikniona — po ogrodach, leżących pod ostrogiem Strzeleckim, zbierali zioła, aby głód zaspokoić; zawlókłszy ich do zamku, w najokropniejszy sposób rozszarpywali na sztuki. Zauważono, że nad Niemcami zwłaszcza pastwili się okrutnie: wsadzali ich do kotłów, pod którymi palił się ogień, i, nalawszy wody po kolana, gotowali żywcem; wiązali im ręce w tył powrozem i, ponacinawszy wzdłuż brzuch i całe ciało w gęstych odstępach, najohydniej darli z nich pasy. Dyszeli więc zemstą żołnierze. Król jednak, uważając, że słowa, raz danego nieprzyjacielowi, łamać nie wolno, dwie roty przydał tym na obronę, którzy wracali do Moskwy. Nazajutrz odprawiono uroczyste nabożeństwo w obozie.

Charakterystyka Stefana Batorego. Natura uposażyła króla Stefana we wszystkie przymioty ciała i duszy: rzekłbyś, że chciała stworzyć w nim wzór rzadkiej na tym świecie doskonałości. W postawie, w twarzy, w mowie był uosobieniem majestatu; a jednocześnie miał w sobie jakąś dziewiczą delikatność i prostotę oraz tak wielką ludzkość, że przy całej swojej godności królewskiej i powadze majestatycznej, jaką zachowywał wobec wszystkich, wdawał się z nawiedzającymi go w najpoufalsze rozmowy, a bojaźliwszych sam niejednokrotnie ku sobie ośmielał. To też nie wiedzieć, czy go się ludzie więcej bali, czy kochali. Katolikiem był wielce gorliwym, o czem świadczy choćby jego testament, w którym, zwracając się w obliczu śmierci do synowca swego Zygmunta, księcia siedmiogrodzkiego, zaleca mu w najgorętszych słowach opiekę nad religią katolicką i nad kollegium jezuickiem, które był dla nawracania Aryan siedmiogrodzkich do życia powołał. Nie sprzeniewierzył się jednak swemu poglądowi, że wszelkich sekciarzy należy raczej tolerować, polecając ich Bogu i czasowi, niż prześladować. Wiedzę posiadał olbrzymią, a zawdzięczał ją po części praktycznemu obznajmieniu się ze sprawami Węgrów, Turków, Niemców, Włochów, nadewszystko jednak — czytaniu historyków; najulubieńszym jego historykiem był Cezar, z którym się też nigdy nie rozstawał. Wymownym był bardzo (ze wszystkimi rozmawiał po łacinie), a każde słowo jego taką miało powagę, że uchodziło niemal

za wyrocznię. Gdzie wiedział, że ma prawo i słuszność za sobą, tam nigdy nie ustępował. Wielki miłośnik prawdy, jak sam nigdy się z nią nie mijał, tak innym łatwo wierzył. W oczach niektórych uchodził za człowieka, nadto skłonnego do gniewu i okrucieństwa (zwłaszcza, póki był jeszcze księciem siedmiogrodzkim). Lecz ja twierdzę, że nie było chyba człowieka, któryby tak łatwo odpuszczał krzywdy i tak szybko zapominał o nich; długo za to pamiętał wyświadczone sobie dobrodziejstwa, nawet najmniejszą usługę, i niejednokrotnie obsypywał dobrodziejstwy tych, którzy już dawno zapomnieli, że mu się kiedyś przysłużyli, i bynajmniej nagrody nie oczekiwali. O pomnożenie majątku wielce dbały, uchodził zwykle za zbyt oszczędnego; jakoż był oszczędnym, ale, kiedy było potrzeba, umiał być nie tylko szczodrym, ale i wspaniałym . . . . .

. . . .

Na sejmie toruńskim (1576) posłowie ziemscy, i to ci, którzy rej wśród szlachty wodzili, zamęczali króla Stefana, by zdał sprawę ze wszystkich swych czynności, a szczególniej z zabranych skarbów (po Zygmuncie Auguście). Król, nieprzyzwyczajony do takiej wolności, która mu się raczej swawolą być zdała, zapłonął gniewem. I niechaj mi wolno będzie przytoczyć słowa, które mu się wówczas z ust wyrwały, jako przykład właściwej mu wymowy: „Nie w chlewie, lecz wolnym człowiekiem jam się urodził, i, zanim do tej ziemi przybyłem, nie brakło mi jedzenia, ani odzienia; wolność swą kocham i będę jej strzegł. Z woli bożej wyście mnie królem swym obrali, na wasze to prośby i nalegania tu przybyłem, wyście mi koronę na skronie włożyli; jestem więc królem waszym, ale nie glinianym i nie malowanym (*non fictus neque pictus*); chcę królować i nie ścierpię, by mi ktokolwiek grał po nosie! Bądźcie sobie stróżami swej wolności: na to zgoda; ale nie pozwolę, byście byli moimi i moich senatorów pedagogami; strzeżcie sobie swej wolności, ale od swawoli — wara!"

§ 48. Jedną z najznamienniejszych cech literatury naszej wieku złotego jest mądry i szlachetny duch obywatelski, który bije z pism i Reja i Modrzewskiego i Górnickiego i Kochanowskiego i Klonowicza. Wszyscy, sami kochając Polskę, chcą wpoić jej miłość w serca współbraci, wskazują im właściwą drogę do służby ojczyźnie, piętnują prywatę, uczą, upominają, karcą, proszą, zaklinają, grożą. Nie pomagało nic: za panowania Zygmunta III wzrastała prywata, szerzyła się swawola, rosła niezgoda, wzmagała się anarchia. Wtedy to ukazał się w Polsce człowiek, kochający ją tak płomiennie, cierpiący nad tem, co się w niej działo, tak strasznie i lękający się o jej przyszłość tak silnie, jak nikt w XVI wieku, człowiek czysty, jak łza, a nie tylko święty czynami i sercem, ale i wielki rozumem, który postanowił raz jeszcze zakląć naród do poprawy i miłości ojczyzny — *w imię Boga*. Człowiekiem tym był *ksiądz, największy kaznodzieja polski wszystkich wieków i jeden z największych na całym świecie, mieszczanin*, **Piotr Skarga** (1536—1612), *autor nieśmiertelnych Kazań sejmowych*.

Skarga urodził się w Grójcu (o sześć mil od Warszawy). Wcześnie osierocony przez rodziców, wychowywał się pod opieką starszego brata; uczył się w szkole miejscowej, a potem w akademii krakowskiej. Po ukończeniu nauk osiadł w Warszawie, jako kierownik (rektor) szkoły parafialnej. Ale niebawem opuścił Warszawę. Jędrzej Tęczyński, wojewoda krakowski, wziął go na swój dwór i powierzył mu wychowanie swego syna, z którym po pewnym czasie pojechał Skarga do Wiednia. Dopiero po powrocie do kraju, idąc za głosem serca, przyjął święcenia kapłańskie. Teraz to zaczęła się jego działalność społeczna, naprzód we Lwowie, gdzie zajaśniał zarówno kazaniami, jak świętymi czynami miłosierdzia względem chorych, ubogich i więźniów; a jednocześnie przystąpił do czynu, który poczytywał za jeden z najgłówniejszych swych obowiązków: do nawracania na katolicyzm protestantów. Lecz kapłaństwo świeckie nie na długo mu wystarczyło: postanowił wstąpić do zakonu, którego zadaniem było właśnie utrwalanie katolicyzmu; wyjechał więc (1568) do Rzymu i wstąpił do zakonu jezuitów. Na rok przed śmiercią Zygmunta Augusta powrócił do Polski i na nowo rozpoczął swą działalność, tylko już bez porównania szerszą. Po krótkim pobycie w Pułtusku i Jarosławiu, przybył do Wilna, gdzie, obok czynów miłości chrześcijańskiej, wnet zasłynął niebywałą przedtem w Polsce potęgą wymowy, która całe tłumy do kościołów ściągała; wielu innowierców skłonił do przyjęcia wiary katolickiej, a w ich liczbie synów gorliwego kalwina, Mikołaja Radziwiłła Czarnego, oraz sześćdziesięciu siedmiu ministrów protestanckich; niedarmo nazywano go *tyranem dusz ludzkich.* A nie tylko słowem, lecz i piórem walczył z protestantami, ogłaszając szereg pism w obronie nauki katolickiej. Nawoływał i Rusinów, by powrócili na łono Kościoła katolickiego, — w znakomitem dziele: *O jedności Kościoła Bożego*, którem utorował drogę unii brzeskiej. Kiedy Batory podniósł szkołę jezuicką do godności akademii (1578), on był jej pierwszym rektorem; jednocześnie, na wezwanie króla, który go wyróżniał szczególnymi względami, zakładał i urządzał szkoły jezuickie w świeżo odzyskanym Połocku i w Inflantach.

Po jedenastoletnim pobycie na Litwie przełożeni odwołali go do Krakowa (1584). Tutaj, pomiędzy innymi czynami, założył Bractwo miłosierdzia oraz Bank pobożny, którego zadaniem było wyrywać biedaków ze szpon lichwiarzy.

Tymczasem umarł Batory. Na tron wstąpił Zygmunt III (1587), którego jeszcze w Szwecyi dochodziły wieści o wymowie i świętości Skargi; to też już w styczniu r. 1588 powołał go na kaznodzieję nadwornego, które to obowiązki pełnił Skarga przez lat dwadzieścia trzy, naprzód w Krakowie, potem w Warszawie, dokąd król Zygmunt przeniósł stolicę. Teraz dopiero stanął Skarga na szczycie sławy, teraz dopiero wystąpił on, jako *„poseł, ale nie z jednego powiatu"*, jako poseł, nie przez ludzi wybrany, lecz posłany przez Boga, od którego, jak sam mówi, objawienia nie miał, ale miał poselstwo do narodu, aby go nawoływać do poprawy. I spełnił je: na nabożeństwach sejmowych, t. j. na nabożeństwach, odprawianych w dzień otwarcia i zamknięcia sejmu oraz w każ-

dą niedzielę i święto podczas trwania jego obrad, miewał wobec króla, jego rodziny i dworu, wobec senatorów i posłów kazania, w których z niesłychaną nigdy jeszcze w Polsce odwagą cywilną piętnował grzechy narodu względem matki-ojczyzny, wzywał do pokuty i upamiętania, przepowiadał w słowach, pełnych grozy, upadek Polski, jeśli się naród nie poprawi; nie pominął ani jednego sejmu: jak świadczy kaznodzieja XVII wieku, Birkowski, „osiemnaście sejmów walnych oświecał kazaniami swemi". Nie dosyć na tem. Jeździł na synod brzeski (1596), którego był duszą i na którym przy jego współudziale stanęła unia religijna. Kiedy zaś wybuchł rokosz Zebrzydowskiego, usiłował buntowników pogodzić z królem. A czynów miłosierdzia, dokonanych na stanowisku kaznodziei królewskiego, nikt nie zliczy! Zakładał po miastach Bractwa miłosierdzia, przytułki dla żebraków i szpitale, był ojcem biednych i nieszczęśliwych; o sobie tylko nie pamiętał.

Wreszcie w r. 1611 siedemdziesięciopięcioletni starzec, zmęczony pracą, zapragnął spokoju; więc prosił króla, by go zwolnił od obowiązków, „prosił—jak mówi Birkowski—aby winy jego były mu odpuszczone; lamentował, iż był sługą niepożytecznym na tem miejscu, którego się być niegodnym w głos opowiadał; uczynił to kazanie, które było, jako pieśń łabęciowa, z takim afektem, iż król Jegomość i dwór jego i drudzy słuchacze łzami się zalewali". Opuścił Skarga Warszawę i osiadł w Krakowie, gdzie dnia 27 Września r. 1612 świętego żywota dokonał. Pochowany w kościele ś. Piotra.

Całe życie Skargi było jedną wielką służbą Bogu i ojczyźnie, pełnioną z zupełnem zaparciem się siebie: z miłości Boga i miłości Polski wypłynęły wszystkie jego pisma i wszystkie jego czyny. A były w nim te dwa uczucia nierozłączne, bo on wręcz nie rozumiał, jak Polak może kochać Boga, nie kochając Polski, i jak może kochać Polskę, nie kochając Boga; *ideał kapłana połączył się w Skardze w jedną nierozerwalną całość z ideałem patryoty*. Podobnie jak Modrzewski, szczęście swej ukochanej ojczyzny upatrywał w pełnieniu woli bożej, objawionej przez Jezusa Chrystusa, a ponieważ święcie wierzył, że jedyną prawdziwą drogą, wiodącą do tego celu, jest religia katolicka, więc gorliwie pracował nad tem, by cała Polska była krajem katolickim: oto dlaczego zwalczał i nawracał innowierców mową i pismem. *Z początku był fanatykiem:* był zdania, że innowierców należy „penować" (t. j. karać), jako zbrodniarzy, *ale z biegiem lat*, w miarę dojrzewania umysłu i serca, które się wzdrygało przed wszelkim gwałtem i krzywdą, *głosił zupełnie inny pogląd*, — *że nie wolno nikogo za wiarę prześladować*, że nie gwałtem ewangelików nawracać należy, ale apostolstwem Chrystusowem, — „uprzejmością i przyjemnem towarzystwem i posługami sąsiedzkiemi,... a *nawięcej dobrymi naszymi cnót świętych katolickich przykłady*, abyśmy świecili miedzy nimi, jako gwiazdy w ciemności".

Poczytując krzewienie katolicyzmu za posłannictwo Polski, był głęboko przekonany, że Rzeczpospolita powinna ściśle przyłączyć do siebie ziemie ruskie pod skrzydłami swej wiary, korony i cywilizacyi: stąd jego dzieło *O jedności Kościoła Bożego*, stąd jego współudział w zawarciu unii brzeskiej, stąd pismo: *Synod brzeski i jego obrona*. Jednem słowem, *Skarga to, obok Hozyusza, największy szermierz katolicyzmu w Polsce XVI wieku.*

Ale rozumiał Skarga, że wiara bez uczynków jest martwa, że, jeśli Polska ma być krzewicielką wiary, musi się moralnie odrodzić. Z tego przeświadczenia wypłynął *największy czyn jego: praca nad umoralnieniem Polski;* tej to pracy poświęcił wszystkie nieprzebrane zasoby swego mądrego umysłu i świętego serca i pełnił ją czynem i przykładem, słowem i piórem. W tym właśnie celu opracował *Żywoty Świętych* (1579), należące do najpoczytniejszych książek polskich, liczące już dwadzieścia kilka wydań (z tych jedno — w 50000 egzemplarzach); do tego samego celu zmierzają wszystkie jego kazania. A pragnąc, żeby Polska była nie tylko społeczeństwem, ale i państwem chrześcijańskiem, starał się umoralniać nie tylko szare tłumy, nie tylko prostaczków, nie tylko żołnierzy (dla których ułożył zbiór prześlicznych modlitw i rozmyślań pobożnych), ale i tych, którzy rządzili państwem: króla i jego rodzinę, dostojników, senatorów, posłów, słowem — wszystkich „bogów ziemskich". Nie wskórał nic: naród się nie poprawił, ale to nie Skargi wina! On spełnił swoje powołanie; i, jako patryota, jeden z największych, jakich miała kiedykolwiek Polska, jako nauczyciel, jeden z najmędrszych i najszlachetniejszych, jacy Polskę uczyli, i nakoniec, jako prorok natchniony, który przepowiedział upadek ojczyzny i wszystkie nasze nieszczęścia i bóle porozbiorowe, — jest Skarga postacią niezwykłej wielkości; odegrał on w Polsce taką samą rolę, jak prorocy w Izraelu.

A w historyi literatury polskiej jakie jego stanowisko? Takie, przedewszystkiem, że *jest największym kaznodzieją polskim*—i przez potęgę natchnienia i przez jasność wykładu i przez umiejętność kołatania do serc ludzkich i przez *niezrównanej piękności język i styl*: Skarga, jak się pięknie wyraził przyjaciel Mickiewicza, Stefan Witwicki (autor *Wieczorów pielgrzyma* i *Ołtarzyka polskiego*) to „cudotwórca języka polskiego i jego przemożny pan", to *największy prozaik i stylista niepodległej Polski*, który poznał nawskroś ducha mowy ojczystej, wszystkie jej nieprzebrane skarby miał zawsze na zawołanie, który nadto *umiał połączyć sztukę* (widoczną zwłaszcza w mistrzowskiej budowie okresów) *z niesłychaną ani przedtem, ani potem prostotą wysłowienia.*

§ 49. Z pośród licznych i różnorodnych pism Skargi wysuwają się na samo czoło, zarówno swoją ilością, jak i pięknością, k a z a n i a, a więc *Kazania na niedziele i święta*, w których Skar-

ga jasno i przystępnie wykłada odpowiednie urywki ewangelii i zasady moralności chrześcijańskiej wogóle, a patryotycznej w szczególności; *Kazania o siedmi sakramentach*, które, zdaniem znawców, należą do najlepszzych dzieł literatury teologicznej, nie tylko polskiej, ale i powszechnej; *Kazania przygodne*, t. j. kazania, wygłoszone z powodu różnych okoliczności, jako to: *Pobudki na modlitwy 40 godzin* (jedne z najpiękniejszych), *Kazania pogrzebowe* (np. na pogrzebie Anny Jagiellonki), *Kazania dziękczynne czyli tryumfalne* (np. z powodu zwycięstwa pod Kirchholmem r. 1605) i wreszcie **Kazania sejmowe**, największe arcydzieło Skargi, najwspanialszy pomnik jego natchnionej wymowy, mądrości i miłości ojczyzny.

Wszystkich *Kazań sejmowych* nie znamy: znamy tylko te, które Skarga wypowiedział na nabożeństwach (w kościele św. Jana) podczas sejmu warszawskiego w roku 1597 i które w tymże roku drukiem ogłosił. Jest ich osiem.

Kazanie pierwsze, wygłoszone „na początku sejmu, przy św. mszy sejmowej“, mówi „*o mądrości potrzebnej do rady*“, t. j. do naprawy Rzeczypospolitej. Przewodnią myślą tego kazania, pełnego majestatycznej powagi i namaszczenia, jest, że, ponieważ moralność narodu to jedna z najsilniejszych podstaw szczęścia i potęgi państwa, więc ci, którzy rządzą narodem, powinni sami być moralni,— tem więcej, że prawdziwą, najwyższą, „niebieską“ mądrość, potrzebną do sprawowania rządów na pożytek i ku szczęściu narodu, ten tylko od Boga otrzyma, kto cnotliwy; wprawdzie i zły człowiek może być mądrym, ale będzie to mądrość fałszywa, „bydlęca, dyabelska, ziemska“, która nie wyjdzie narodowi na pożytek i, prędzej czy później, będzie jego przekleństwem. Myśl to nie tylko szlachetna, ale i prawdziwa: czystość moralna wywiera dobroczynny wpływ na rozwój umysłu i rozszerza jego widnokręgi, a niemoralność osłabia go i oślepia; stąd człowiek zły p r a w d z i w i e mądrym być nie może.

Kazanie drugie, o miłości ku ojczyźnie, obok ósmego najpiękniejsze, chwyta za serce swą rzewnością. Na początku mówi Skarga, że nie tylko „domy i familie“, ale całe państwa upadają, bo i one podlegają chorobom; dowodem — Polska, która ciężko zapadła, i to nie na jedną, ale na sześć chorób: „Pierwsza jest nieżyczliwość ludzka ku Rzeczypospolitej i chciwość domowego łakomstwa; druga — niezgody i roztyrki sąsiedzkie; trzecia — naruszenie religiej katolickiej i przysada heretyckiej zarazy; czwarta — dostojności królewskiej i władzej osłabienie; piąta — prawa niesprawiedliwe; szósta — grzechy i złości jawne, które się przeciw Panu Bogu podniosły i pomsty od Niego wołają“. Kazanie drugie poświęca Skarga chorobie pierwszej, t. j. „nieżyczliwości ludzkiej ku Rzeczypospolitej“. płynącej z „chciwości domowego łakomstwa“ (egoizmu). Ale nasamprzód, aby lepiej uwydatnić, na czem ta nieżyczliwość polega, mówi o życzliwości, t. j. o miłości ojczyzny. A mówi

tak pięknie i mądrze, tak rzewnie uczy słuchaczów, że patryotyzm jest nie tylko *świętym obowiązkiem człowieka, jako płynący z Chrystusowego przykazania miłości*, ale i korzyścią; tak rozumnie wyjaśnia, *dlaczego, za co i jak* mamy kochać ojczyznę: że i dziś jeszcze, kiedy przeszło trzy wieki minęło od wygłoszenia *Kazań sejmowych*, kazanie o miłości ojczyzny jest najlepszem wyjaśnieniem i uzasadnieniem patryotyzmu. A kochając własną ojczyznę nad życie, nigdzie nie jest Skarga szowinistą: on wie i rozumie, że inne narody także mają i kochają swą ojczyznę, i przytacza różne przykłady z historyi obcej, biblijnej, greckiej i rzymskiej, stawiając je Polakom za wzór. Na brak miłości ojczyzny skarżyli się wszyscy wogóle pisarze nasi XVI wieku; ale nikt, nawet Modrzewski, nie skarżył się tak silnie i boleśnie, i nikt z taką śmiałością nie napiętnował go, jak Skarga. On jeden jedyny w XVI wieku domagał się, aby miłość ojczyzny była *bezinteresowną*, aby każdy obywatel kochał ją dla niej samej—nawet wtedy, gdy ona go skrzywdzi albo mu za wierną służbę nie zapłaci; on jeden tak jasno zrozumiał, że magnaci polscy, „cieśniąc i kurcząc“ miłość ojczyzny „w swoich domach i pojedynkowych pożytkach“, t. j. dbając nie o szczęście Polski, lecz o potęgę swych domów i rodów, wtrącają ojczyznę w przepaść; on jeden jedyny wreszcie ośmielił się rzucić tym magnatom straszne słowo, że ich serca są — *złodziejskie!* Wogóle kazanie o miłości ojczyzny to korona całej naszej literatury patryotycznej XVI stulecia.

W kazaniu trzeciem, o zgodzie domowej, poświęconem drugiej chorobie Rzeczypospolitej, t. j. „niezgodom i roztyrkom sąsiedzkim“, tłumaczy Skarga, dlaczego dzieci jednej i tej samej ojczyzny powinny się zgadzać: dlatego, że łączą ich różne „łańcuchy i związki“. A są te łańcuchy dwojakie. Po pierwsze, religijne: powinniśmy się zgadzać, bo tak wszystkim Chrystus kazał; „jeśliśmy uczniowie Jego, jeśliśmy chrześcijanie, jeśliśmy z Jego chrztu jednego urodzeni, jeśliśmy jedną męką Jego i krwią Jego okupieni jeśli w Chrystusa wierzym, jeśli Go za pana i głowę naszę znamy, jako wierna czeladka jego, jeśli do dziedzictwa Jego spólnie należym, jeśli skarbów jego domu i dostatków zażywamy, jeśli pod Jego obroną i cieniem odpoczywać chcemy, —targać tych łańcuchów tak możnych nie możem, zgadzać się i w jedności żyć i o sobie w zgodzie radzić musim“. Po drugie, wiążą nas łańcuchy świeckie: „Macie jednego pana i króla, jedne prawa i wolności, jedne sądy i trybunały, jedne sejmy koronne, jednę spólną matkę, ojczyznę miłą, jedno ciało, z rozmaitych narodów i języków skupione i spojone i dawno zrosłe: jakoż się wadzić, dzielić tem i niezgadzać możecie?“ A jednak zgody nie było, — tam nawet, gdzie najwięcej o nią dbać należało: n a s e j m a c h, które przecie całem państwem rządziły. Otóż widok niezgody wogóle, a niezgody na sejmach w szczególności, obudził w sercu Skargi okropny lęk o przyszłość

Polski; i stanęła przed nim ta przyszłość, straszna, jak śmierć, przyszłość, która dziś, dla nas, jest okropną teraźniejszością: bo Skarga wszystko przewidział; i dlatego to w całej literaturze staropolskiej niema nic, coby sprawiało silniejsze wrażenie, jak owo *proroctwo upadku Polski* i niedoli porozbiorowej, jak owe słowa: „Nastąpi postronny nieprzyjaciel“... Po tym wybuchu rozpaczy patryotycznej powraca Skarga do niezgody i wyjaśnia jej przyczyny, upatrując je głównie w *charakterze Polaków, którzy są zazdrośni, podejrzliwi, pyszni i hardzi, a stąd niekarni, lekceważący sobie wszelką władzę i powagę, nawet królewską.* Kończy się to kazanie (jak zresztą wszystkie) modlitwą — o dar zgody i miłości: „Boże, miłośniku i fundatorze zgody i jedności! Spraw serca tych starszych naszych, aby wszyscy byli, jako mąż jeden, jednej myśli i rady na dobro Kościoła i ludu Twego! Spuść im ducha zgody i miłości, aby jeden drugiemu ustępował i jeden drugiego ciężary znosił i *dla dobrego pospolitego krzywdy swoje ojczyźnie darował!* Niech modlitwa Twoja, którąś Ojca za nami prosił, abyśmy byli jedno, swój skutek weźmie; abyśmy, rozkazania Twego o spólnej miłości i pokoju słuchając, pociechę sejmów tych odnieśli! Przez mękę i śmierć drogą Twoję, który z Ojcem i z Duchem Świętym królujesz na wieki. Amen“.

Myślą przewodnią *kazań czwartego i piątego*, poświęconych trzeciej chorobie Rzeczypospolitej, t. j. „naruszeniu religiej katolickiej“, jest, że reformacya jest klęską dla Polski, powiększa bowiem i pogłębia niezgodę, że więc cała Polska powinna powrócić do dawnej jedności katolickiej, zarówno dlatego, że wiara katolicka jest jedyną prawdziwą, jak i dlatego, że bez niej państwo potężnem być nie może. Ze wszystkich kazań sejmowych te dwa najmniej posiadają siły i piękności.

W *kazaniu szóstem*, „o monarchiej i królestwie“, mówi Skarga o czwartej, bardzo ciężkiej, chorobie Polski: o „dostojności królewskiej i władzej osłabieniu“. Kazanie to należy do najznakomitszych utworów literatury politycznej XVI wieku. Dowodzi w niem Skarga, że najlepszą postacią rządu jest jedynowładztwo, ale nie *absolutum dominium*, t. j. nie samowładztwo: najlepszem państwem jest takie, w którem rządzi jeden król, ale przy pomocy mądrej rady, utworzonej z przedstawicieli narodu; pomimo że w takiem państwie król nie ma i nie powinien mieć nieograniczonej, despotycznej władzy nad poddanymi, jednak poddani winni mu szacunek i posłuszeństwo, — nie tak, jak w Polsce, gdzie z biegiem czasu szlachta, rozzuchwalona coraz to nowymi przywilejami, przestała szanować i słuchać króla, aż wreszcie powiedział sobie szlachcic: „Urodziłem się wolnym ślachcicem, nie boję się nikogoż, i króla samęgo!“ Tak pojęta wolność, którą Skarga nazywa „piekielną“, prowadzi do anarchii, anarchia zaś to prosta droga do upadku państwa. Zresztą, mówi mądrze Skarga, ta wolność,

którą się tak chlubi szlachta polska, jest pozorną tylko, w istocie bowiem szlachta jest w niewoli u *królików*, t. j. magnatów, którzy robią, co chcą, „a szlachta, w prostocie nie wiedząc, co się dzieje, przyzwala i wrzaskiem wszytko odprawuje"; ci zaś *„królikowie, z sobą się wadząc i jeden drugiemu zajrząc, wszytko nogami wzgórę obrócą, wszytko wam zepsują i was pogubią"*. Historya Polski XVII wieku, pełna zdrad i rokoszów, oraz konfederacya targowicka są okropnem stwierdzeniem prawdy tych słów. Kazanie szóste to najmędrsza krytyka „złotej", a raczej „piekielnej" wolności i najlepszy dowód rozumu politycznego Skargi

W *kazaniu siódmem*, o prawach niesprawiedliwych, które stanowią piątą chorobę Polski, Skarga rozwija tę samą myśl, którą tak pięknie i mądrze uzasadnił już Modrzewski w dziele *O naprawie Rzeczypospolitej*, że bez praw sprawiedliwych nie może być prawdziwej wolności i że się bez nich żadne państwo ostać nie może; poczem mówi o prawach niesprawiedliwych, do których, pomiędzy innemi, zalicza prawo o mężobójstwie i to, które pozwala panu sądzić i krzywdzić chłopa; żąda, jak Modrzewski, wolności osobistej dla chłopa i zniesienia sądów patrymonialnych (§ 30). O zupełnem jednak równouprawnieniu wszystkich warstw społecznych nie mówi; owszem, jego zdaniem stany powinny pozostać tak, jak są; pod tym względem nie wzniósł się nad przesądy swego wieku, tak samo, jak Modrzewski; co nie przeszkadza, że ustęp o ucisku ludu w tem kazaniu to jedno z najpiękniejszych i najwymowniejszych słów, jakie w dawnej Polsce wypowiedziano w obronie ludu.

W *kazaniu ósmem, o niekarności grzechów jawnych*, t. j. o szóstej chorobie Rzeczypospolitej, olbrzymi talent kaznodziejski Skargi wzniósł się tak wysoko, jak w żadnem innem. Kazanie o miłości ojczyzny ujmuje swą serdecznością, kazanie o zgodzie domowej przeraża strasznem proroctwem, kazanie o monarchii zadziwia mądrością: ale ani jedno z nich nie ma w sobie takiego ognia, takiego natchnienia i takiej grozy. Matejko, tworząc swój nieśmiertelny obraz, przedstawiający kazanie sejmowe Skargi, w tem właśnie kazaniu czerpał nie tylko swój pomysł, ale i swe natchnienie. Skupiły się tutaj wszystkie uczucia patryotyczne Skargi: i miłość ojczyzny i święte oburzenie na jej złych synów i okropny lęk o jej przyszłość i nadzieja, że może się jeszcze Pan Bóg zmiłuje nad Polską. Wszystko, czem zgrzeszyła Polska XVI wieku, wszystko, cokolwiek wytykali jej najmędrsi ludzie tego stulecia, dostało się pod surowy, ale sprawiedliwy sąd Skargi, który rzucił w oczy posłom i senatorom, jako przedstawicielom narodu, wszystkie „grzechy jawne", wołające o pomstę do Boga, a jednak popełniane—bezkarnie, a więc, obok grzechów przeciwko Kościołowi, cały szereg zbrodni względem matki-ojczyzny i społeczeństwa: brak sprawiedliwego i szybkiego wymiaru sprawiedliwości, mężobójstwa, „krew abo pot żywych poddanych i kmiotków" (*„jako ziarna pod młyń-*

skim kamieniem, tak ci kmiotkowie pod pany swymi"), „lichwy i złe nabywania majętności", zbytki, brak miłości ojczyzny, kradzież dobra pospolitego, wyzyskiwanie sierot przez złych opiekunów... A po tym strasznym rachunku sumienia, Skarga, posługując się głównie piorunującemi słowami proroków biblijnych, wydaje na Polskę wyrok—upadku, który spotka ją niechybnie, jeśli się nie upamięta i nie poprawi: więc modlitwą, aby Bóg zmiłował się nad Polską i dał jej dobrą wolę i siły do poprawy, kończy się to wspaniałe kazanie.

Taka jest treść *Kazań sejmowych*, w których skupiło się wszystko, co tylko było mądrego, wzniosłego i szlachetnego w naszej literaturze patryotycznej XVI wieku. Niestety, ani upamiętania, ani poprawy nie oglądał Skarga. To też wołał żałośnie do Boga: „Nie wiem, czem się dzieje, iż nie pomaga im poselstwo Twoje i wołanie moje; do pokuty rzadki bardzo powstaje; twarda rola strudziła wołu starego, a pracy na niej w dobrem żniwie nie znać; chytre ryby, od sieci Twojej uciekając, poimać się nie dają".

Jak głos Modrzewskiego i tylu innych szlachetnych nauczycieli, tak i głos Skargi był głosem wołającego na puszczy: na życie nie wywarły *Kazania Sejmowe* najmniejszego wpływu, — Polska toczyła się w przepaść, póki się wreszcie w nią nie stoczyła. Ale w historyi literatury polskiej pozostaną *Kazania Sejmowe* na wieki, jako największe arcydzieło wymowy kaznodziejskiej w Polsce i jedno z największych na całym świecie; jako nieprześcigniony wzór odwagi obywatelskiej; jako najsilniejszy w Polsce XVI wieku głos, nawołujący w imię Boga do ratowania ojczyzny; jako wspaniały pomnik mądrości i miłości ojczyzny jednego z najlepszych jej synów, który, jak Mickiewicz, kochał i cierpiał za miliony.

Kazanie drugie o miłości ku ojczyźnie (w skróceniu). Dwoje przedniejsze rozkazania, umierając, Pan Jezus, Bóg i Pan nasz, zostawić nam swoim testamentem raczył: jedno, abyśmy się spólnie miłowali; drugie, abyśmy pokój miedzy sobą i zgodę świętą zachowali. Jedno z drugiego pochodzi i płynie: miłość rodzi zgodę, a bez zgody miłość być nie może. Miłość ku bliźnim, im jest szersza, tem jest lepsza. Dobrze miłować sąsiada; lepiej wszytki, którzy w mieście jednem są, a pogotowiu[1] jeszcze lepiej wszytki obywatele królestwa tego, gdy im dobrego co czynim abo dla nich co cierpiem. Także dobra zgoda i pokój miedzy pospolitym ludem; ale lepsza miedzy pany, którzy ludźmi rządzą abo o nich radzą; a nalepsza miedzy królmi, którzy wszytkiemu światu pokój zgodą swoją przynoszą. Do tej szerokiej i przestronej miłości przywodzić się macie, przezacni panowie, którzyście tu na to się zja-

[1] Tem więcej, zwłaszcza.

chali, abyście o tem myślili i radzili, jakoby lud wszytek nie ginął, a wasza ku Rzeczypospolitej miłość gorąca i szczera pokazać się mogła.

Przykład tej szerokiej i przestronej miłości postawił nam, uczniom swoim, na sobie Pan Zbawiciel i Mistrz nasz, gdy wszytkim i kupom onym wielkim ludzi dobrodziejstwa czynił: „Ujrzawszy — mówi ewangelista — lud wielki, użalił się nad nim, bo byli strapieni i leżący w chorobach, jako owce, nie mające pasterza“; i wnet je leczył, karmił i nauczał. A jeszcze więtszą miłość pokazał, gdy zdrowie i żywot swój dał nie za jedno królestwo, ale za wszytki na świecie ludzie, chcąc, aby każdy, kto weń wierzy, nie ginął, ale miał żywot wieczny.

Taką miłością ku ludziom abo Rzeczypospolitej zapalać się macie wy, którzy o dobrem pospolitem radzicie, wy, które Pismo bogami zowie: bo nic tak własnego Panu Bogu nie jest, jako ludziom wszytkim dobrze czynić; i, kto taki jest, boskie naśladowanie i obraz na sobie nosi . . .

Słusznie też do was mówić tak mam, przezacni obmyślacze dobra pospolitego: wszytkiej tej Korony, to jest ludzi i dusz, ile ich jest w Polszcze, w Litwie, w Rusi, w Prusach, w Żmodzi, w Inflanciech, oczy do was obracają i ręce do was podnoszą, mówiąc, jako i oni Egipcyanie do Józefa: „Zdrowie nasze w ręku waszych! Wejrzycie na nas, abyśmy nie ginęli i w domowej niesprawiedliwości i w pogańskiej niewoli. Wyście ojcowie naszy i opiekunowie, a my sieroty i dzieciny wasze! Wyście, jako matki i mamki nasze: jeśli nas odbieżycie, a źle o nas radzić będziecie, my poginiem, i sami zginiecie! Wyście rozumy i głowy nasze: my, jako proste dzieci, na wasze się obmyślanie spuszczamy, i Pan Bóg wam myślić o nas rozkazał! Wyście, jako góry, z których rzeki i zdroje wytryskają: a my, jako pola, które się onemi rzekami polewają i chłodzą“. „Góry — jako psalm mówi — przyjmujcie ludkom pokój, i, pagórki, spuszczajcie im sprawiedliwość!“ Was Pan Bóg podniósł na wysokie urzędy — nie dla was, abyście sami swoich pożytków pilnowali; ale dla ludu, który wam Pan Bóg powierzył, abyście nam sprawiedliwość i pokój, który od Pana Boga bierzecie, spuszczali!

Toć są głosy i wołania ich do was! Zmiłujcież się nad nimi! Miłujcie ojczyznę tę swoję i Hieruzalem swoje, to jest Koronę tę i Rzeczpospolitą, a mówcie tak z serca z Dawidem: „Jeśli cię zapomnię, ojczyzno miła moja i Jeruzalem moje, niech zapomnię prawice ręki swojej! Niech język mój przyschnie do ust moich, jeśli pomnieć na cię nie będę, a jeśli cię na czele wszytkich pociech moich nie położę!“ O, jakie zaklinanie, którem się wiązać macie, abyście nic sobie tak miłego, tak wesołego nie mieli, jako dobro Jerozolimy swojej, to jest Rzeczypospolitej i ojczyzny swojej! . . .

Jako namilejszej matki swej miłować i onej czcić nie macie, która was urodziła i wychowała, nadała [1], wyniosła? Bóg matkę czcić rozkazał. Przeklęty, kto zasmuca matkę swoję! A która jest pierwsza i zasłużeńsza matka, jako ojczyzna, od której imię macie i wszytko, co macie, od niej jest? która gniazdem jest matek wszytkich i powinowactw wszytkich i komorą dóbr waszych wszytkich? „Jeruzalem, matka nasza — mówi apostoł — nad wszytki matki czci i uszanowania godna“.

Rozmyślcie, jakie od tej matki, od Korony i Rzeczypospolitej tej, dobrodziejstwa i upominki macie.

Ona wam wiary ś. katolickiej, przez którą do wiecznej ojczyzny przychodzicie, dochowała i Chrystusa, zbawienie wasze, i Jego ewangelią przyniosła...

Ta matka, ojczyzna namilsza, wszczepiła wam i dochowała stan i majestat królewski, który jest zatrzymanim i ozdobą wszytkich dóbr i sławy waszej, iż król po królu do tego czasu nie ustał, iż dostojność ich dobrze obwarowana jest, iż po dziś dzień patrzycie na pany i króle swoje, pomazańce boże, i z ich się ozdoby i możności uweselacie...

Ta matka skupiła wam do jednego ciała Rzeczypospolitej tak szerokie i zacne narody, rozszerzyła państwo swe od morza do morza i sąsiadom was straszliwe poczyniła, iż oburzyć się na was nie śmieją.

Ta miła matka podała wam złotą wolność, iż tyranom nie służycie, jedno bogobojnym panom i królom, które sobie sami obieracie, których moc, prawy okreszona [2], żadnego wam bezprawia nie czyni, żadnego i od postronnych panów i od swoich uciśnienia nie cierpicie. Samiście tylo sobie tyranami, gdy praw nie wykonywacie, a od sprawiedliwości fałszywą wolnością, abo raczej swowolnością, przeszkody sami sobie czynicie. Tureckiego i moskiewskiego państwa obywatele, patrzcie, jakie uciśnienie i tyranią cierpią! Nie taka to ojczyzna wasza: matką wam jest, a nie macochą! Na ręku was swoich nosi, a krzywdy żadnej cierpieć nie dopuści. Sami sobie szkodzicie i jeden nad drugim tyranią podnosicie, praw nie egzekwując, a moc pańską tam, gdzie nie potrzeba, krócąc. Z strony matki niemasz nic, w czembyście się żałować na nię mieli, — chyba sami na się!

Patrzcie, do jakich dostatków i bogactw i wczasów ta was matka przywiodła, a jako was ozłociła i nadała, iż pieniędzy macie dosyć, dostatek żywności, szaty tak kosztowne, sług takie gromady, koni, wozów, takie koszty, dochody pieniężne wszędzie pomnożone. Sama tylo matka mało ma!... Pierwej rzadki miał piwo w domę: a teraz winem piwnice wasze woniają; pierwej samodziałki boki nasze pokrywały: a teraz aksamity i jedwabie; pierwej proste

[1] Nadać = wzbogacić. [2] okresić = określić, ograniczyć.

rydwany i rzadkie, częstsze siodła miasto poduszek: a teraz złote kolebki i karety; pierwej proste potrawy: a teraz ptaki i kapłony; pierwej jedna misa wszytkim: a teraz półmisków kiladziesiąt. O, namilsza matko! już zbytkują dzieci twoje, źle tych dostatków używają, na grzechy, na utraty, na próżności. „A ja co winna? — mówi — mają rozum, mogą tych darów bożych używać na kościoły i chwałę bożą, na obrony i zamki i inne na zły czas gotowości i do zbawienia przysługi; ja niewinna, iżem w dawaniu matką; oni winni, co mię nie słuchają, a dobroci mojej i boskich darów źle używają".

Taż miła matka dała wam taki pokój, jakiego wiele królestw nie mają, za którym napełniły się komory wasze i rozszerzyły się pożytki wasze...

Macie od tejże ojczyzny do tego czasu sławę wojenną, która się tych wieków nawięcej za szczęśliwem panów i królów waszych panowaniem podniosła. Rodzi wam ta matka mężne i mądre i szczęśliwe hetmany, mocne i nieustraszone rycerstwo i lud taki, na który się nieprzyjaciele oglądają.

Taż matka namilsza uczyniła wam sławę u wszytkiego chrześcijaństwa i u pogaństwa, iż od zachodu i wschodu zacnemi poselstwy uczczony król i pan wasz wielką wam u postronnych powagę i mniemanie czyni.

Cóż wam więcej uczynić mogła? Czemuż jej serdecznie miłować i onę w całości zatrzymawać i dla zdrowia jej wszytkiego tracić, gdy tego jest potrzeba, nie macie? Onę miłując, sami siebie miłujecie, a nie utracicie; onej nie życząc i wiary nie dochowując, sami siebie zdradzacie. Miłujecie pożytki swoje pojedynkowe, a pospolite burzycie — i mnimacie, abyście dobrze sobie czynili i życzyli? Nie tak jest, ale jako Pan rzekł: „Kto zdrowie swoje miłuje, traci je; a kto je utraca, najduje je". Gdy okręt tonie, a wiatry go przewracają, głupi tłomoczki i skrzynki swoje opatruje i na nich leży, a do obrony okrętu nie idzie; i mnima, że się sam miłuje, a on się sam gubi. Bo, gdy okręt obrony nie ma, i on ze wszytkiem, co zebrał, utonąć musi. A gdy swemi skrzynkami i majętnością, którą ma w okręcie, pogardzi, a z innymi się do obrony okrętu uda, swego wszytkiego zapomniawszy, dopiero swe wszytko pozyskał i sam zdrowie swoje zachował. Ten namilszy okręt ojczyzny naszej wszytkich nas niesie, wszytko w nim mamy, co mamy. Gdy się z okrętem źle dzieje, gdy dziur jego nie zatykamy, gdy wody z niego nie wylewamy, gdy się o zatrzymanie jego nie staramy, gdy dla bezpieczności jego wszytkiem, co w domu jest, nie pogardzamy,—zatonie, i z nim my sami poginiemy!

W tym okręcie macie syny, dzieci, żony, imienia, skarby i wszytko, w czem się kochacie; w tym tak wiele dusz jest, ile ich to królestwo i państwa przyłączone mają. Nie dajcie im tonąć, a zmiłujcie się nad krwią swoją, nad ludem i bracią swoją; nie tylo

majętnością ale i zdrowim im usługujcie wy, którzyście je pod swój rząd i opiekę wzięli...

O, wielmożni panowie! o, ziemscy bogowie! miejcie wspaniałe i szerokie serce na dobre braci swojej i narodów swoich, wszytkich dusz, które to królestwo z swemi państwy w sobie zamyka! Nie cieśnicie ani kurczcie miłości w swoich domach i pojedynkowych pożytkach! nie zamykajcie jej w komorach i skarbnicach swoich! Niech się na lud wszytek z was, gór wysokich, jako rzeka w równe pola, wylewa!...

Są drudzy, co mówią: „Co mnie po królestwie i Rzeczypospolitej, kiedy się ja mam źle, a tego nie mam, czego pragnę?" To złodziejskie serce, które z szkodą drugich chce być bogate! Rób sobie niestatku, a Pana Boga proś o potrzeby swe, a przestaj na swym stanie, a nie bądź utratnikiem i próżnującym, a dla siebie jednego tysiąc tysięcy ludzi braciej swojej nie gub! Boże! aby się takich, jako monstrów jakich, mało najdowało, którzy sroższej, niżli bestye, nieludzkości i krwie rozlania pełni są!

Takich podobno więcej, którzy służyć Rzeczypospolitej nie chcą, gdy się pożytku swego nie spodziewają, abo gdy im za to król nie płaci. Ci są dziwnie głupi, którzy nie widzą, iż cnota nie patrzy na zapłatę, jedno na swoję przystojność; nie widzą, iżby tak nikt nigdy dobrym nie był; nie widzą, iż tak wiele nie tylo u króla, ale i monarchy świata wszytkiego, bogactwa niemasz, aby każdemu dobry jego uczynek mógł płacić. Sam tak możny i bogaty Pan Bóg jest, do którego zapłatę naszę odkładać mamy. I tego nie widzą, iż u króla i u innych dobrego mniemania o cnocie swej mieć nie mogą, gdy co cnotliwego z najmu czynią. Bo pomyśli pan: „Owo ma Rzeczpospolita gotowego zdrajcę, byle kto miał gotowe pieniądze, bo, jeśli za dobry postępek chce pieniędzy, pewnie się i na zły utargować da". Nakoniec, nikt za to zapłaty nie czeka, iż sam sobie dobrze czyni, bo to samo hojną mu jest zapłatą. Kto ojczyźnie służy, sam sobie służy, bo w niej jego wszytko się dobre, jako się rzekło, zamyka. Nikt nie mówi: „Płać mi, iż swego zdrowia i domu swego, żony i dziatek moich bronię". Sama obrona zapłatą tobie jest: czegóż się upominasz? Gdy jesz, pijesz, śpisz, zdrowie swoje opatrujesz, izali za to zapłaty chcesz?

Ma być zasługom zapłata, ale cnota nie ma być najemna, ale sprawiedliwa i skłonna do tego, co Pan Bóg i zakon Jego i dobry rozum każe. Może-ć się i na zapłatę obejrzeć, ale niebieską naprzód, a potem na tę doczesną. Lecz wszytka się myśl z początku sadzić na tem w swojem przedsięwzięciu nie ma. Jeśli Pan Bóg płacić ma i tu, na świecie, chce, królewskie serce obróci abo skądinąd mu nagrodę poda; jeśli nie chce, dosyć mam na zapłacie po śmierci; i sam dobry uczynek, gdy się przez nas komu, a zwłaszcza wszytkim, dobrze czyni, ma swoję serdeczną zapłatę i pociechę wnętrzną wielką...

Zaprawże was Pan Bóg w wielką miłość ku braciej waszej i wszytkim obywatelom Korony tej, abyście o nich uprzejmie i szczerze, nic swego nie pragnąc, radzili, na samego tylo Pana Boga i na ludzki pożytek patrząc. Boże! spuśćże wam szeroką i głęboką miłość ku braciej waszej i ku namilszej matce waszej, ojczyźnie świętej, abyście jej i ludowi swemu i samem zdrowim, swoich pożytków zapomniawszy, służyć szczęśliwie mogli. Przez Jezusa Chrystusa, Pana naszego. Amen.

Z kazania trzeciego, o zgodzie domowej. Nastąpi postronny nieprzyjaciel, jąwszy się za waszę niezgodę, i mówić będzie: „Rozdzieliło się serce ich,—teraz poginą. I czasu, tak dobrego do waszego złego, a na swoje tyraństwo pogodnego, nie omieszka. Czeka na to ten, co wam źle życzy, i będzie mówił: „*Euge*, *euge*![1] Teraz je pożerajmy, teraz pośliznęła się noga ich, odjąć się nam nie mogą“! I ta niezgoda przywiedzie na nas niewolą, w której wolności wasze utoną i w śmiech się obrócą, i będzie, jako mówi prorok, „sługa równo z panem, niewolnica równa z panią swoją, i kapłan z ludem, i bogaty z ubogim, i ten, co kupił imienie[2], równy z tym, co przedał“! Bo wszyscy z domy i zdrowim swojem w nieprzyjacielskiej ręce stękać będą, poddani tym, którzy ich nienawidzą. Ziemie i księstwa wielkie, które się z Koroną zjednoczyły i w jedno ciało zrosły, odpadną i rozerwać się dla waszej niezgody muszą, przy której teraz potężna być może ręka i moc wasza i nieprzyjaciołom straszliwa. Odbieżą was, jako chałupki przy jabłkach, gdy owoce pozbierają, którą lada wiatr rozwieje. I będziecie, jako wdowa osierociała, wy, coście drugie narody rządzili, i będziecie ku pośmiechu i urąganiu nieprzyjaciołom swoim. Język swój, w którym samym to królestwo miedzy wielkiemi onemi słowieńskiemi wolne zostało, i naród swój pogubicie i ostatki tego narodu, tak starego i po świecie szeroko rozkwitnionego, potracicie i w obcy się naród, który was nienawidzi, obrócicie, jako się inszym przydało. Będziecie nie tylo bez pana krwie swojej i bez wybierania jego, ale też bez ojczyzny i królestwa swego, wygnańcy wszędzie nędzni, wzgardzeni, ubodzy, włóczęgowie, które popychać nogami tam, gdzie was pierwej ważono, będą. Gdzie się na taką drugą ojczyznę zdobędziecie, w którejbyście taką sławę, takie dostatki, pieniądze, skarby i ozdobności i rozkoszy mieć mogli? Urodzi-li się wam i synom waszym taka druga matka? Jako tę stracicie, już o drugiej nie myśleć! „Będziecie nieprzyjaciołom waszym służyli — jako Pismo św. przegraża — w głodzie, w pragnieniu, w obnażeniu i we wszytkim niedostatku, i włożą jarzmo żelazne na szyje wasze—przeto, iżeście nie służyli Panu Bogu swemu w weselu i w radości serdecznej, gdyście mieli dostatek wszyt-

[1] Nuże, nuże! [2] majątek.

kiego", i dla dostatku ze wszeteczeństwa waszego gardziliście kapłanem i królem i innem przełożeństwem, wolnością się Belialską [1] pokrywając, a jarzma wdzięcznego Chrystusowego i posłuszeństwa nosić nie chcąc. Do takich utrat i przeklęctwa pewnie was ta wasza niezgoda i roztyrki domowe przyprawią!

Z kazania szóstego, o monarchii. Dobre *absolutum dominium* [2], i nad nie lepszego rządu nigdy być nie może, — ale u samego Pana Boga, który nigdy pobłądzić i złym być i tyranem nie może. Dobre panowanie, nikomu niepodległe, — przy świętym, dobrym, mądrym i pobożnym monarsze, któremu prawem jest bojaźń boża, sądową stolicą mądrość boska i sprawiedliwość i potężna egzekucya do karania i darowania; mocą jego jest, po Panu Bogu, dobry żołnierz i bogate pieniądze. Lecz niewiele takich: wszytkichby, jako mówią, na jednym pierścieniu wyrysował. Dlategoż do monarchy i króla przykłada ludzki rozum radę i prawa, krócąc i okreszając moc jego, a pomagając rozumowi jego, aby nie pobłądził, a złym się tyranem nie zstawał. Nie taką monarchią chwalimy, jaka jest u Turków, Tatar i Moskwy, która ma bezprawne panowanie, ale taką, która prawy sprawiedliwemi i radą mądrą podparta jest i moc swoję ustawami pobożnemi umiarkowaną i okreszoną ma; jaka była u ludu onego izraelskiego, gdzie królom rozkazano, aby prawa bożego księgi, od kapłanów podane, sobie wypisali i wedle nich lud boży sprawowali, bojąc się Pana Boga swego i miłując lud Jego, do ich opieki poruczony.

Taka była od początku, zwłaszcza po przyjętej wierze Chrystusowej, ta monarchia polska... Pokazują to statuta wasze i przysięgi senatorów i marszałków i innych urzędników, w jakiej czci, i w onej po Bogu nawyższej, przodkowie waszy królewski stan mieć chcieli i uważali... Potem z miłości ku poddanym, za wysługą i dobrem zachowaniem ich, nadali królowie ludziom rycerskim, prze męstwo ich i życzliwość, wolności od podatków, od podwód, od zagranicznych wojen i od innych, które były *in absoluto dominio* [3], ciężarów. Które wolności dalej się pod *interregna* [4] wytargowały i rozszerzyły i tak się wysoko podniosły, iż wpadły w wielką pychę i nieposłuszeństwo i lekkie królewskiego majestatu uważenie i praw dobrych podeptanie, iż się ono słowo u Joba św. rzeć o nich może: „Mąż lekki w pychę się podnosi i, jako źrebię u osła, mniema, że się wolnym urodził". I stąd ony słowa bystre i głupie: „Urodziłem się wolnym ślachcicem, nie boję się nikogoż, i króla samego, który mi nic nad prawo uczynić nie może". I któż się tak wolnym rodzi, żeby nikogoż się bać nie miał? I syn królewski bać się ojca i pedagogów musi, i sam król Boga

[1] Belialski = dyabelski. [2] władza nieograniczona. [3] w panowaniu nieograniczonem. [4] bezkrólewia.

się boi i praw Jego przestępować nie śmie, a tej wolności nie ma, aby się zwierzchności boskiej nie bał. I patrzmy, jako na takie harde śmieszna wolność padła. Mówi: „Króla się nie boję“, a przed sąsiadem ucieka i drży, który go w tej wolności na dom najeżdża i zabija i majętność wyłupi, o czem na każdy czas słyszym.

O głupi przepychu! jako się króla nie boisz, którego się Pan Bóg bać rozkazał? „Bój się, synu miły, Pana Boga i króla!“ I drugie mówi: „Jako ryk lwi, tak gniew królewski: kto go gniewa, grzeszy na duszę swoję“; i apostoł miecza się królewskiego bać każe. Cóż to za bezpieczeństwo, abo raczej za wszeteczeństwo? Za którem to idzie, iż, kto chce, królowi łaje, o nim szemrze, jego się pedagogiem czyni i zelżywie go wspomina. Jeśli to z prawa jakiego pisanego abo statutu idzie, przeklęte takie prawo, i taka wolność piekielna na bluźnienie Boga i króla...

Ale wiem, iż wżdy prawa tak złego nie macie, chyba onego na tę taką swowolność nakręcacie, iż mię nie może poimać, aż prawem przekonanego, iż mię sądzić nie może, aż na sejmie. I dlategoż taką sobie wolność do lekkiego uważania królewskiego majestatu brać mamy? i, co z dobroci i łaski ludziom onym, którzy je barzo, jako bogi swe, czcili, królowie pozwolili, to my na jego zelżenie obracać mamy? także tej wolności używać się godzi na wszytkie grzechy i na podeptanie praw wszytkich i sprawiedliwości i na tyraństwa sąsiedzkie i na zelżenie mocy królewskiej? Nie na to dana jest, i, jeśli jej wy źle używacie, słusznie ją Pan Bóg od was odejmie, iż się wam w ciężką niewolą (obroń, Boże!) obróci!

O trzech wolnościach dobrych wiemy, czwartej się, jako szatańskiej, zarzekamy. Ś w i ę t a wolność jest: grzechom i czartu nie służyć, a tyraństwa piekielnego uchodzić. „Kto czyni grzech — mówi Pan — niewolnikiem jest u grzechu“. Oby się o tę wolność starali owi wolni, co pełni są mężobójstwa, nieczystości, łupiestwa, lichwy, zdrady, a mówią: „Ja wolny!“ O, niewolniku dyabelski, czuj o niewolej swojej, a wychodź z mocy szatańskiej, w której szlachecka wolność pomocy-ć żadnej nie da! Druga wolność jest d o b r a: obcym panom i pogańskim królom nie służyć ani im podlegać, jedno swoim abo od nas obranym. Tę wolność macie z łaski Bożej i na niej przestajcie, dziękując za nię Panu Bogu. Trzecia też z ł o t a wolność: nie mieć tyrana ani takiemu królowi służyć, któryby nas, jako chciał, prawa nie patrząc, sądził, zabijał i majętności nasze brał i czynił, co mu się podoba, na Boga się i na sprawiedliwość nie oglądając. Tę wolność macie z łaski bożej. Bo daje wam Pan Bóg króle pobożne i święte, którzy nie tylo nic tyrańskiego nie czynią, ale i codzień więcej prawom i przystojnym wolnościam waszym dogadzają i do nich przyczyniają... Bądźcie tej wolności złotej wdzięczni, a na niej przestajcie, a za nię Panu Bogu dziękujcie! A onej czwartej, p i e k i e l n e j, Boże, nas uchowaj!... Dyabelska wolność jest: bez prawa, bez urzę-

du żyć, na zwierzchność nie dbać, mędrszemu i starszemu nie ustąpić, wolność mieć do grzechu, do zabijania i wydzierania.

Z kazania siódmego, o prawach niesprawiedliwych. Dotknąćby i onego złego prawa, którem kmiecie i wolne ludki, Polaki i wierne chrześcijany, poddane ubogie,—niewolnikami czynią, jakoby.... kupieni abo na wojnie sprawiedliwej poimani byli. I czynią z nimi drudzy, co chcą, na majętności i na zdrowiu i gardle, żadnej im obrony i *forum*[1] żadnego o krzywdy ich, drugdy nieznośne, nie dając i na nich *supremum dominium*[2], na które się sami wzdrygamy, stawiąc. Co jeśli się godzi i jeśli to prawo takie ma jaką odrobinę sprawiedliwości, spytaćby praw i obyczajów wszytkiego świata chrześcijańskiego, duchownych i świeckich. Jeśli nie kupni ani poimańcy, jeśli Polacy tejże krwie, nie Turcy ani Tatarzy, jeśli chrześcijanie: czemuż w tej niewolej stękają? Czemu ich nie jako niewolników, ale jako najemników używać nie mamy? Na twej rolej siedzi, a źle-ć się zachowa, spądź go z swej roli, a wrodzonej i chrześcijańskiej wolności mu nie bierz i nad jego zdrowiem i żywotem panem się nawyższym sam bez sędziego nie czyń! Starzy chrześcijanie, którzy za pogaństwa niewolniki kupne mieli, wszytkim wolność dawali, jako braciej w Chrystusie, gdy się świętym chrztem z niewolej dyabelskiej wyzwalali: a my wierne i święte chrześcijany, Polaki tegoż narodu, którzy nigdy niewolnikami nie byli, bez żadnego prawa mocą zniewalamy i, jako okupione bydło, gdy dla swej nędze uciekać muszą, pozywamy i, gdy żywności swej indzie[3], ubodzy i znędzeni, szukają, okup na nich, jako Turcy za więźnie, wyciągamy. Czego we wszytkiem chrześcijaństwie nie słychać. Acz wiem, iż tego nie wszyscy u nas czynią, ale według złego i dzikiego jakiegoś, a niesprawiedliwego prawa czynić na swoje potępienie (uchowaj, Boże!) mogą. Jakoż się z takiem prawem wszytkiego na świecie chrześcijaństwa nie wstydzić? Jako się o taką tyrańską krzywdę na oczy boskie ukazać? Jako się nie bać, aby nad nami na pomstę od Boga poganie takiej mocy i *absolutum dominium* nie używali?

Z kazania ósmego, o niekarności grzechów jawnych. Cóż mam z tobą czynić, nieszczęśliwe królestwo? Kto tu na was, ze wszech stron królestwa zebrane, i na głowy ludu patrzy i wasze obyczaje i sprawy widzi, domyślać się może, jakie niezbożności i grzechy po wszytkiej Koronie panują.

Bych był Izajaszem, chodziłbych boso i na poły nagi, wołając na was, rozkoszniki i rozkosznice, przestępniki i przestępnice zakonu bożego: „Tak was złupią i tak łyskać łystami[4] będziecie,

---

[1] sąd, sprawiedliwość. [2] najwyższa władza (pana nad chłopem). [3] gdzieindziej. [4] łyst = łydka.

gdy nieprzyjaciele na głowy wasze przywiedzie Pan Bóg i w taką was sromotę poda! I będzie wam złość wasza, jako mur porysowany wysoki, który, gdy się nie spodziejecie, upadnie, i jako garncarska flasza, mocno uderzona, z której się nie najdzie skorupka na noszenie trochy ognia i na poczerpnienie trochy wody z dołku". Ustawicznie się mury Rzeczypospolitej waszej rysują, a wy mówicie: „Nic, nic, nierządem stoi Polska!“ Lecz gdy się nie spodziejecie, upadnie i was wszytkich potłucze!

Bych był Jeremiaszem, wziąłbych pęta na nogi i okowy i łańcuch na szyję i wołałbych na was grzeszne, jako on wołał: „Tak spętają pany i pożoną [1], jako barany, w cudze strony“. I ukazałbych zbutwiałą i zgnojoną suknią, którą trząsnąwszy, gdyby się w perzyny rozleciała, mówiłbych do was: „Tak się popsuje i w niwecz obróci i w dym a w perzynę pójdzie chwała wasza i wszytki dostatki i majętności wasze!“ I, wziąwszy garniec gliniany, a zwoławszy was wszytkich, uderzyłbych go mocno o ścianę w oczach waszych, mówiąc: „Tak was pogruchocę—mówi Pan Bóg—jako ten garniec, którego skorupki spoić się i naprawić nie mogą!“

Bych był Ezechielem, ogoliwszy głowę i brodę, włosybych na trzy części rozdzielił. I spaliłbych jednę część, a drugąbych posiekał, a trzeciąbych na wiatr puścił i wołałbych na was: „Jedni z was poginiecie głodem, drudzy mieczem, a trzeci się po świecie rozproszycie“. I nie wychodziłbych z mieszkania mego drzwiami ani oknem, alebych ścianę przekopał, w rzeczy [2] uciekając, i wołałbych na was: „Tak się z wami zstanie, żadne was zamki i twierdze nie obronią, wszytki nieprzyjaciel wywróci i was pogubi!“....

Bójcie się wżdy tych pogróżek! Ja-ć objawienia osobliwego od Pana Boga o was i o zgubie waszej nie mam, ale poselstwo do was mam od Pana Boga i mam to poruczenie, abych wam złości wasze ukazował i pomstę na nie, jeśli ich nie oddalicie, opowiadał...

Daje nam Pismo ś. znać, iż jedne są pogróżki boskie, które się odmienić mogą, gdy ludzie pokutują a wypraszają się z gniewu boskiego... Drugie są pogrożenia Pańskie, które się nie iszczą rychło, ale aż na potomstwie i synach grzeszących i ojców złych naśladujących... Trzecie pogróżki są, które żadnej odmiany mieć nie mogą: gdy widzi Pan Bóg, iż się ludzie do pokuty nie udadzą ani skłonią, tedy czyni na zgubę ich nieodmienny swój dekret.

Z jakiemiż pogróżkami posłał mię do was Pan Bóg, przezacni panowie moi? Jeśli mię spytacie: „Z pierwszemi, czy z wtóremi, czy z trzeciemi?“, ja odpowiem: „Nie wiem!“, to tylo wiem, iż jedna z tych trzech was nie minie. A ja wam, namilszym bra-

[1] czasownik *gnać* odmieniał się tak: żonę, żeniesz, żenie, żeniemy, żeniecie, żoną. [2] w rzeczy=nibyto.

tom moim, i ludowi memu i ojczyźnie miłej mojej — pierwszej życzę: aby wam Pan Bóg tak groził, jakoby wam dał pomoc do powstania i pokuty na odmianę dekretów i pogróżek swoich, abyśmy nie ginęli, ale, się przestraszywszy, do ubłagania gniewu Pańskiego wszytko serce i myśli obrócili.

Tyś, Panie, rzekł: „Mówić będę przeciw narodowi i królestwu, abych je wykorzenił, skaził i rozproszył; lecz, jeśli naród on pokutować będzie, opuszczając złość swoję, ja też odmienię to złe, którem umyślił uczynić im“. Umie Pan Bóg odmienić wyroki swoje, jeśli my odmienim złe życie nasze. Pokutujmyż, a wracajmy się do Pana Boga naszego, a On sam uleczy, jako począł, zrani serca nasze prawą za grzechy nasze skruchą i samże one rany zleczy, jako mówi prorok: „Ożywi nas i po dwu dniu i trzeciego dnia wzbudzi nas“. Pierwszy dzień niech będzie żałości i skruchy prawej i spowiedzi grzechów naszych; drugi — poprawy i nagrody wszelakiej, do pokuty prawej potrzebnej, a trzeci dzień usprawiedliwienia naszego. „A któż Tobie podobny, Panie, w dobroci i miłosierdziu? Ty znosisz nieprawości i mijasz grzech tych ostatków ludu Twego chrześcijańskiego na północy i dziedzictwa Twego. Nie rozpuścisz już dalej gniewu Twego, bo się Ty w miłosierdziu kochasz, obrócisz się do nas i zmiłujesz się nad nami i złożysz z nas złości nasze i wrzucisz w głębokość morską wszytki grzechy nasze, uiścisz się nam w prawdzie Twojej“ — dla namilszego Syna Twego, Jezusa Chrystusa, i niewinnego rozlania krwie i śmierci Jego, który z Tobą i z Duchem Świętym króluje Bóg jeden na wieki. Amen.

Z przedmowy do Kazań na niedziele i święta. *Najaśniejszemu i Niezwyciężonemu Monarsze, Zygmuntowi trzeciemu, z łaski Bożej Królowi Polskiemu i Szwedzkiemu, Wielkiemu Książęciu Litewskiemu etc. Łaska i pokój od Pana i Boga naszego, Jezusa Chrystusa.*

Już sobie podrobiwszy, Najaśniejszy Miłościwy Królu Panie mój, po dwu i trzydziestu lat rzemiesła mego kaznodziejskiego tą trochę podłej pracej w zostawieniu pisma, nauki, którąm w imię Chrystusowe rozsiewał, — zamykam wiek mój i dni te złe i krótkie drogi mojej. Zwątlony i, jako Samuel prorok mówi, zstarzały i zasiwiały, niedługo ustanę. Czas mi na pokój: czeka mię komórka w domu ubogich ojców moich [1], do której rychło gość on niebywały z czeladką swoją, z niemocami i boleściami zakołace. Boże, daj mi się śmiele odezwać i drzwiczki otworzyć i z ochotą mówić: „Witaj, spodziewany gościu! Czekałem cię w teskności żywota tego i kłopotach jego; chałupka ta pogniła i błotem ulepiona, którą obalisz, obrócić się ma w dom, nie ręką budowany i wieczny; duszy wrota do pokoju otworzysz, a nad ciałem krótką pociechę

[1] t. j. jezuitów.

gdy nieprzyjaciele na głowy wasze przywiedzie Pan Bóg i w taką was sromotę poda! I będzie wam złość wasza, jako mur porysowany wysoki, który, gdy się nie spodziejecie, upadnie, i jako garncarska flasza, mocno uderzona, z której się nie najdzie skorupka na noszenie trochy ognia i na poczerpnienie trochy wody z dołku". Ustawicznie się mury Rzeczypospolitej waszej rysują, a wy mówicie: „Nic, nic, nierządem stoi Polska!" Lecz gdy się nie spodziejecie, upadnie i was wszytkich potłucze!

Bych był Jeremiaszem, wziąłbych pęta na nogi i okowy i łańcuch na szyję i wołałbych na was grzeszne, jako on wołał: „Tak spętają pany i pożoną[1], jako barany, w cudze strony". I ukazałbych zbutwiałą i zgnojoną suknią, którą trząsnąwszy, gdyby się w perzyny rozleciała, mówiłbych do was: „Tak się popsuje i w niwecz obróci i w dym a w perzynę pójdzie chwała wasza i wszytki dostatki i majętności wasze!" I, wziąwszy garniec gliniany, a zwoławszy was wszytkich, uderzyłbych go mocno o ścianę w oczach waszych, mówiąc: „Tak was pogruchocę—mówi Pan Bóg—jako ten garniec, którego skorupki spoić się i naprawić nie mogą!"

Bych był Ezechielem, ogoliwszy głowę i brodę, włosybych na trzy części rozdzielił. I spaliłbych jednę część, a drugąbych posiekał, a trzeciąbych na wiatr puścił i wołałbych na was: „Jedni z was poginiecie głodem, drudzy mieczem, a trzeci się po świecie rozproszycie". I nie wychodziłbych z mieszkania mego drzwiami ani oknem, alebych ścianę przekopał, w rzeczy[2] uciekając, i wołałbych na was: „Tak się z wami zstanie, żadne was zamki i twierdze nie obronią, wszytki nieprzyjaciel wywróci i was pogubi!"....

Bójcie się wżdy tych pogróżek! Ja-ć objawienia osobliwego od Pana Boga o was i o zgubie waszej nie mam, ale poselstwo do was mam od Pana Boga i mam to poruczenie, abych wam złości wasze ukazował i pomstę na nie, jeśli ich nie oddalicie, opowiadał...

Daje nam Pismo ś. znać, iż jedne są pogróżki boskie, które się odmienić mogą, gdy ludzie pokutują a wypraszają się z gniewu boskiego... Drugie są pogrożenia Pańskie, które się nie iszczą rychło, ale aż na potomstwie i synach grzeszących i ojców złych naśladujących... Trzecie pogróżki są, które żadnej odmiany miec nie mogą: gdy widzi Pan Bóg, iż się ludzie do pokuty nie udadzą ani skłonią, tedy czyni na zgubę ich nieodmienny swój dekret.

Z jakiemiż pogróżkami posłał mię do was Pan Bóg, przezacni panowie moi? Jeśli mię spytacie: „Z pierwszemi, czy z wtóremi, czy z trzeciemi?", ja odpowiem: „Nie wiem!", to tylo wiem, iż jedna z tych trzech was nie minie. A ja wam, namilszym bra-

---

[1] czasownik *gnać* odmieniał się tak: żonę, żeniesz, żenie, żeniemy, żeniecie, żoną. [2] w rzeczy=nibyto.

tom moim, i ludowi memu i ojczyźnie miłej mojej — pierwszej życzę: aby wam Pan Bóg tak groził, jakoby wam dał pomoc do powstania i pokuty na odmianę dekretów i pogróżek swoich, abyśmy nie ginęli, ale, się przestraszywszy, do ubłagania gniewu Pańskiego wszytko serce i myśli obrócili.

Tyś, Panie, rzekł: „Mówić będę przeciw narodowi i królestwu, abych je wykorzenił, skaził i rozproszył; lecz, jeśli naród on pokutować będzie, opuszczając złość swoję, ja też odmienię to złe, którem umyślił uczynić im". Umie Pan Bóg odmienić wyroki swoje, jeśli my odmienim złe życie nasze. Pokutujmyż, a wracajmy się do Pana Boga naszego, a On sam uleczy, jako począł, zrani serca nasze prawą za grzechy nasze skruchą i samże one rany zleczy, jako mówi prorok: „Ożywi nas i po dwu dniu i trzeciego dnia wzbudzi nas". Pierwszy dzień niech będzie żałości i skruchy prawej i spowiedzi grzechów naszych; drugi — poprawy i nagrody wszelakiej, do pokuty prawej potrzebnej, a trzeci dzień usprawiedliwienia naszego. „A któż Tobie podobny, Panie, w dobroci i miłosierdziu? Ty znosisz nieprawości i mijasz grzech tych ostatków ludu Twego chrześcijańskiego na północy i dziedzictwa Twego. Nie rozpuścisz już dalej gniewu Twego, bo się Ty w miłosierdziu kochasz, obrócisz się do nas i zmiłujesz się nad nami i złożysz z nas złości nasze i wrzucisz w głębokość morską wszytki grzechy nasze, uiścisz się nam w prawdzie Twojej" — dla namilszego Syna Twego, Jezusa Chrystusa, i niewinnego rozlania krwie i śmierci Jego, który z Tobą i z Duchem Świętym króluje Bóg jeden na wieki. Amen.

Z przedmowy do Kazań na niedziele i święta. *Najaśniejszemu i Niezwyciężonemu Monarsze, Zygmuntowi trzeciemu, z łaski Bożej Królowi Polskiemu i Szwedzkiemu, Wielkiemu Książęciu Litewskiemu etc. Łaska i pokój od Pana i Boga naszego, Jezusa Chrystusa.*

Już sobie podrobiwszy, Najaśniejszy Miłościwy Królu Panie mój, po dwu i trzydziestu lat rzemiesła mego kaznodziejskiego tą trochę podłej pracej w zostawieniu pisma, nauki, którąm w imię Chrystusowe rozsiewał, — zamykam wiek mój i dni te złe i krótkie drogi mojej. Zwątlony i, jako Samuel prorok mówi, zstarzały i zasiwiały, niedługo ustanę. Czas mi na pokój: czeka mię komórka w domu ubogich ojców moich [1], do której rychło gość on niebywały z czeladką swoją, z niemocami i boleściami zakołace. Boże, daj mi się śmiele odezwać i drzwiczki otworzyć i z ochotą mówić: „Witaj, spodziewany gościu! Czekałem cię w teskności żywota tego i kłopotach jego; chałupka ta pogniła i błotem ulepiona, którą obalisz, obrócić się ma w dom, nie ręką budowany i wieczny; duszy wrota do pokoju otworzysz, a nad ciałem krótką pociechę

[1] t. j. jezuitów.

mieć będziesz!“ Boże, daj takie serce mieć na onę godzinę i mnie i każdemu wiernemu!

Myślę, jako się sprawię[1] Chrystusowi, Panu i Bogu memu, który mię na tę swoję robotę posłał i talenty swymi, wedle małej siłeczki mojej, nadał i opatrzył. Gdy spyta: „Coś mi zrobił, wiele i jakicheś mi pożytków przyczynił?“, — a ja z czem się postawię, co ukażę? Zawstydziwszy się i przestraszywszy, rzeknę:

„Panie! Posłałeś mię do domu królewskiego, do Zygmunta trzeciego, pana dwu wielkich królestw, do domu i do senatu i do rycerstwa i sług i poddanych jego. Nauczałem i upominał pana swego, pomazańca Twego, na którym nawięcej należało[2], od Ciebie i Twojem Boskiem Imieniem: aby Ciebie znał, Boga swego, któryś go wyniósł i głową nad tak wielkimi i szerokimi narody postawił i w ręce jego dałeś takie państwa i nieprzeliczony poczet ludu Twego, któryś Twoją krwią odkupił; aby sobie mądrości i rozumu prosić u Ciebie i nabywać staranim pilnem na tak trudne i ciężkie rządzenie miał; aby się w bojaźni Twojej i we wszytkiej pobożności utwierdził i kochał, służbę świętą Twoję i chwałę rozmnażał, kościołom Twoim i wierze świętej obronę wszelaką i wysługę czynił, wedle praw Twoich panował, sprawiedliwości i karności nie odstępował, miłość uprzejmą[3] ku poddanym i ku prawom ich zachował i prace żadnej i czujności w obmyślaniu dobra pospolitego i obrony a zachowania w całości Korony wszytkiej nie żałował; aby się w mądrych i bogobojnych kochał i rady ich używał, pochlebstwa się strzegł, w próżnowanie się i w rozkoszy nie wdawał, duchowne i świeckie urzędniki i sprawce ramienia swego pobożne i dobre wszędzie stawił i inemi, wedle prawa Twego i wolej Boskiej Twojej, drogami chodził. I obiecowałem mu od Ciebie, Jezu Chryste, mocną rękę Twoję nad nim i powodzenie wszytkiego, coby począł“.

„I do rady i do senatu jego i do rycerstwa jego i do domu i do sług jego, i na sejmach i zjazdach odprawowałem, Panie Zbawicielu, poselstwo Twoje: upominałem, aby obie matce swoje, Kościół boży i ojczyznę, w jednym końcu złączone, wiernie i uprzejmie miłowali; aby ich kacerstwy nie rozróżniali a niezgody miedzy nie nie siali, którą się obiedwie zabijają; aby wierną radę dawali, na samo się dobre pospolite oglądając, a domy i prywaty swoje dla niego radzi tracąc, gdyby tego potrzeba; aby pany króle swoje na wzór przodków swoich wiernie czcili i onym posłuszeństwo oddawali i o ich się niecześć gniewali i szemrania się wszelakiego o nich strzegli; aby uprzejmość i całość serca miedzy sobą zachowali; aby wolnością swoją nie ginęli, a niewolej obcych panów na się nie przywodzili. Wołałem na nie, Panie, aby na niewierność, mężo-

---

[1] sprawić się = zdać sprawę. [2] należeć = zależeć. [3] uprzejmy = szczery.

bójstwa, lichwy, wydzierania, najazdy i inne srogie grzechy — lepsze prawa i prędszą sprawiedliwość naleźli, a zmazaną krwią i krzywdami kościołów i ubogich i uciążeniem poddanych ziemię swoję oczyściali; aby hardości, zbytków i próżnych utrat w jedwabiach i winie i rozkoszach zaniechali, a dostatek swój na obronę Rzeczypospolitej i ojczyzny miłej na ubogie i na kościoły obracali. Groziłem im, jakoś rozkazał, gniewem Twoim, zgubą i pożarciem ich od nieprzyjaciół i spustoszenim i przeniesienim królestwa ich do innych narodów; ukazowałem, jako pogański miecz nad nimi wisi, który sąsiedzkie zdrowia i majętności pożera, aby się przykłady srogości Twej ukazali, a o więtszych grzechach swoich, które tejże sprawiedliwości nie ujdą, myślili i z nich powstawali“.

„Cóżem dalej czynić miał, mój Panie? Uprzejmiem i z serca nawrócenia i poprawy ich i zbawienia ich pragnął: Ty wiesz, i radbych na to zdrowie ważył, abych na dobre ich i ojczyzny ich patrzył. Miłować-em chciał cześć Twoję i pożytki Twoje, aby praca i wylanie drogiej Krwie Twojej na nich nie ginęło.“

„Nie wiem, czem się dzieje, iż nie pomaga im poselstwo Twoje i wołanie moje: do pokuty rzadki bardzo powstaje. Twarda rola strudziła wołu starego, a pracy na niej w dobrem żniwie nie znać; chytre ryby, od sieci Twej uciekając, poimać się nie dają. Mówić z prorokiem Micheaszem muszę: «Niestety mnie, na złym czas trafił, na jesień, w której jagody już pozbierano, a rzadko się co naleźć może, jako gruszki po otrzęsieniu i kłosy po żniwie». Zebrane są z tego królestwa one słodkie jagody — mężowie oni nabożni, mądrzy, mężni i potężni, cnót i poczciwości i ojczyzny wielcy miłośnicy, którzy i upadku Korony wesprzeć mogli“.

„Niemasz dostałych jagód, mało pociechy! Łakomstwo, hardość, łupiestwo, zdrada, niestatek wszytkich opanował; niesprawiedliwość i nieprawda górę wzięła; lichwy i złupienie dóbr pospolitych nastąpiło; „zginął święty“ z ziemie, i prostego a uprzejmego miedzy ludźmi nie naleźć; jeden drugiego krwie pragnie: mąż brata swego na śmierć łowi. Złość w ręku swoich dobrocią zowią; panowie wszytko mówią: «Daj, daj!»; sędziowie zapłaty i darów czekają; możni przewodzić myśli swoje chcą. Nalepszy miedzy nimi przedsię kole, jako cierznie z płotu. Jedni nas, fałszywi sami, fałszywymi proroki zowią, choć jawne od Ciebie, Pana naszego, świadectwa mamy. Drudzy słuchają, a nie czynią, wiarę mają katolicką, a ręce heretyckie. Drugim słowo Twoje jest za śpiewanie i muzykę, po której się słuchaniu nic nie zawiąże: chwalą kazania, a żywota swego nie poprawują“.

„Któż winien, Panie? Straszliwe sądy są Twoje: ze mnie może być przyczyna!... Abo bojaźnią, abo niedbalstwem, abo nieumiejętnością psuję żniwo Twoje? Któż się Ciebie nie przelęknie, Panie? Kto się wyliczy i przed Tobą usprawiedliwi? Kto się nie prze-

straszy na liczbie[1] z sługami Twymi? Jeśli świecki mędrzec, na złego ucznia patrząc, mistrza jego bić i karać kazał: a cóż Ty, sprawiedliwszy nad wszytki ludzie, czynić z nami będziesz, gdy tak złe słuchacze nasze widzisz? Lecz, Panie, przyjmi wymówkę posłańca Twego, jakoś sam powiedział: «Jeśli stróż na wieży wołać będzie: „Oto idzie nieprzyjaciel!", a ludzie się nie przestrzegą, sami sobie winni zostaną, a stróż wolny, bez karania będzie!» Uczyńże mię wolnym, Panie, bom-ci wołał na nie i przestrzegał ich i Tobiem codzień ofiary za nie czynił, i modlitwa moja i pokłon mój nigdy za nie przed Tobą nie ustał. Otom i na tych kartach pisanie zostawił, znaki robótki małej mojej. Proszę, — i ze mną i z tymi, co mię słuchają, nie wchodź w sąd, ale zwyczaju i natury swojej używaj nad nami. «Nie dla nas», ale dla samego siebie, jakoś u proroka rzekł, «dla chwały wielkiej Imienia Twego», uczyń z nami przymierze wieczne, a nie przestaj nam dobrze czynić! Daj bojaźń Twoję w serca nasze, abyśmy Cię nigdy nie odstępowali, a czyniąc nam dobrze, miej pociechę i wesele swoje z nas! «Daj nowe serce i nowego ducha, a oddal kamienne, a daj mięsiste serce», a spraw to, abyśmy chodzili w rozkazaniu Twojem, abyśmy ludem Twoim nigdy być nie przestali, a Ty Bogiem naszym zawżdy zostawał!"

---

[1] Liczba = porachunek.

LITERATURA WIEKU XVII.

ROZDZIAŁ V.

Wiek XVII.

Zanikanie mądrości i piękna.

§ 50. Literatura nasza w wieku XVII nie utrzymała się na tym wysokim poziomie, na jaki się wzniosła w stuleciu XVI: posiada wprawdzie utwory, tak piękne, jak *Sielanki* Szymonowicza, *Lament* Starowolskiego i *Psalmodya* Kochowskiego, tak niepospolite, jak *Wojna Chocimska* Potockiego i *Pamiętniki* Paska, — a jednak jest od literatury wieku złotego bez porównania niższa, traci bowiem stopniowo to, co w stuleciu XVI było główną jej ozdobą i chwałą: mądrość i szlachetność treści oraz piękno formy. Ten zaś *upadek literatury tłumaczy się upadkiem oświaty.* W wieku XVI oświata była nie tylko wysoka, ale i szeroka: nie tylko szlachta, ale i mieszczanie garnęli się do nauki, uczyli się nawet i chłopi, czego najpiękniejszym dowodem—Janicki (§ 18). Teraz chłopi, coraz to silniej uciskani, nie biorą udziału w życiu umysłowem Polski, a miasta, coraz to więcej upadające, — o wiele mniejszy, niż dawniej. Szlachta zaś uczy się wprawdzie, ale już nie tak, jak dawniej, i nie zagranicą, jak w XVI stuleciu, ale głównie w domu. W domu zaś mnożyły się szkoły, lecz nie odpowiadały swemu zadaniu, bo ani nie rozwijały umysłu, ani nie kształciły charakteru.

Najgorliwiej krzątali się około oświaty *jezuici*, których sprowadził był do Polski Hozyusz (jeszcze za Zygmunta Augusta)—dla walki z reformacyą. Za najskuteczniejszą broń do tej walki poczytywali jezuici oświatę, zakładali więc szkoły w Koronie i na Litwie i szybko umieli sobie zjednać zaufanie ogółu, który chętniej oddawał dzieci do szkół jezuickich, niż do akademickich, te bowiem wraz z akademią upadały coraz niżej. Czegóż uczyli jezuici? Głównie troszczyli się o to, aby uczniowie

byli prawowiernymi katolikami: osiągali ten cel w zupełności, ale jednocześnie zatruwali serca duchem fanatyzmu, nietolerancyi, nienawiści względem wszystkiego, co niekatolickie; a i umysłów nie rozwijali, owszem, ogłupiali je raczej, bo, poza religią i dewocyą, uczyli wyłącznie prawie łaciny: znajomość gramatyki łacińskiej (według osławionego podręcznika hiszpańskiego jezuity Alwara) i kilku autorów rzymskich (mocno okrojonych), rozmowy i dysputy łacińskie i wygłaszanie mów po łacinie — oto główny zakres nauki jezuickiej. Zresztą nie tylko jezuickiej: *wszystkie szkoły, zakonne i niezakonne, były takie same*, we wszystkich chodziło głównie o prawowierność katolicką i łacinę. Nie krzewiły więc szkoły rzetelnej oświaty, i wychodziła z nich młodzież z ciasnym poglądem na Boga, świat i ludzi: wierzyła, że Bóg jest tak dobry, iż nie dopuści upadku Polski, bo nie rozumiała, że Bóg wtedy tylko ludziom pomaga, kiedy oni sami sobie pomagają; myślała, że, kto umie paplać po łacinie (a jaka to była łacina, Boże się zmiłuj), ten już rozumy całego świata pojadł; wynosiła ze szkoły nienawiść ku „heretykom", a nadto miała przewrotny pogląd na t. zw. równość szlachecką, głoszący, że, ponieważ szlachcic szlachcicowi równy, więc szlachcic nie ma obowiązku słuchać szlachcica, choćby ten był wojewodą: przecie szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie, a i królem, dzięki zasadzie obieralności, każdy szlachetnie urodzony może zostać. I jakże wobec tego szlachcic miał szanować władzę?

Lecz opłakany stan szkolnictwa to nie jedyna przyczyna upadku oświaty, a zatem i literatury: przecie i w XVI w. szkoły krajowe nie stały wysoko, a jednak dlaczego społeczeństwo było oświecone? Dlatego, po pierwsze, że oświecać się miało ochotę, a po drugie, że sprzyjało temu samo życie, polityczne i religijne (§ 22). W w. XVII tymczasem ochota do nauki znikła, życie zaś płynęło inaczej, smutniej.

Dawniej rwała się szlachta do oświaty i rozumiała, że bez niej nie wywalczy sobie tego, do czego dążyła: wolności politycznej. Celu dopięła: złota wolność, okupiona niewolą chłopów, upadkiem miast, uszczupleniem władzy i powagi królewskiej, stała się rzeczywistością; więc po co i na co wysilać sobie głowę nad naprawą Rzeczypospolitej, kiedy lepiej już być nie może? pozostaje jedno: dopilnować, aby wszystko zostało po staremu, aby złota wolność nie uciekła! Że ona wprost do niewoli prowadzi, tego nie rozumiała szlachta; że jest nierządem, rozumiała, ale uwierzyła w potworną zasadę: „*Nierządem stoi Polska*". To też dzieje wewnętrzne Polski XVII w. to dzieje nierządu. Rokosz Zebrzydowskiego (1606—7) do reszty osłabił władzę i powagę królewską. Magnaci coraz to więcej „kurczyli miłość ojczyzny w swoich domach i pojedynkowych pożytkach": kurczyli ją i ci, co za Zygmunta III prowadzili na własną rękę wojny z Moskwą i Wołoszą, i Jeremi Wi-

śniowiecki, który samowolnie zerwał rozejm z Kozakami, i stokroć gorsi od nich jawni zdrajcy: Hieronim Radziejowski, Krzysztof Opaliński i Janusz Radziwiłł, i najgorszy z nich wszystkich, Jerzy Lubomirski. A szlachta dała się za nos wodzić tym i innym „królikom", którzy bałamucili ją, przekładając, że największym wrogiem złotej wolności jest król. To też, jak ognia, bała się szlachta wszelkich pomysłów i zamiarów królewskich, a unicestwić je było nietrudno wobec zasady jednomyślności sejmowej; ta zaś w r. 1651 przybrała postać *liberum veto*, które wprawdzie nigdy nie było prawem, ale stało się obowiązującym zwyczajem, a nadto było w mniemaniu szlachty najpewniejszą rękojmią złotej wolności; wobec tego o naprawie Rzeczypospolitej nie mogło być mowy: w drugiej połowie XVII w. zerwano siedemnaście sejmów! Straszne ciosy, godzące w Polskę—wojny kozackie, moskiewskie, szwedzkie—otrzeźwiły szlachtę, ale tylko na chwilę: zaczęła już myśleć o naprawie skołatanej ojczyzny, ale zamiary te unicestwił rokosz Lubomirskiego, rokosz, w którym brały udział całe tłumy szlacheckie — nie ze złej woli, lecz w przekonaniu, że walczą w obronie wolności. Niemniej dobitnie świadczy o zupełnem ogłupieniu politycznem szlachty wyniesienie na tron takiej nicości, jaką był Michał Wiśniowiecki. Świetne zwycięstwa Sobieskiego - hetmana pod Chocimem i Sobieskiego - króla pod Wiedniem nie ocaliły Polski od upadku: były to już ostatnie błyski zachodzącego słońca; Rzeczpospolita leciała w przepaść — nie dla braku męstwa, ale dla nierządu.

Jak życie polityczne, tak i religijne smutny przedstawia widok. Katolicyzm zwyciężył już w ostatniej ćwierci XVI stulecia, a jednym z objawów jego zwycięstwa staje się *nietolerancya*. Zygmunt III był fanatykiem, nie uszanował konfederacyi warszawskiej z r. 1573, zapewniającej dysydentom swobodę wyznania i równouprawnienie polityczne: na burzenie kościołów ewangelickich przez sfanatyzowane tłumy spoglądał przez szpary i, jak mógł, tak nie dopuszczał protestantów i kalwinów do urzędu. Ze szczególną jednak zawziętością zwrócono się przeciwko aryanom; za Jana Kazimierza zapadła na sejmie haniebna uchwała (1658), wydalająca aryan z granic Polski. Względem unitów i dyzunitów (t. j. tych prawosławnych, którzy nie przyjęli unii brzeskiej z r. 1596) także nie było tolerancyi, skoro np. ani biskupom unickim, ani archijerejom prawosławnym nie pozwolono zasiadać w senacie; ta zaś nietolerancya w połączeniu z uciskiem ludu na Rusi doprowadziła do straszliwych wojen kozackich. Wreszcie nietolerancya doszła do tego, że szlachcicowi Łyszczyńskiemu wytoczono proces o ateizm, i sejm skazał go na spalenie żywcem (1689). Współcześnie z zanikiem tolerancyi religijnej i z wzrastającem ogłupieniem politycznem szlachty nikła wolność myśli i słowa wogóle: z jednej strony duchowieństwo tępiło pisma, które, jego zdaniem, sprzeciwiały się nauce Kościoła i zasadom moralności, i wydawało tak zwane *in-*

deksy (spisy) *książek zakazanych*, a z drugiej szlachta coraz to krzywiej patrzała na śmiałków, którzy się odważali dowodzić, że złota wolność prowadzi Polskę do zguby. Krzywo patrzeli na takich śmiałków i jezuici, czego jaskrawym dowodem jest np. to, że, kiedy w r. 1610 Skarga wydawał na nowo swoje *Kazania sejmowe*, nie pozwolili mu na przedruk kazania o monarchii, w którem złotą wolność nazywa piekielną.

Tak więc w w. XVII zanikły te dwa czynniki, które w XVI były tak potężnemi pobudkami i dźwigniami oświaty. Zadowolona z siebie i złotej wolności, nie przeczuwająca nieszczęścia, przekonana, że „jakoś to będzie“,—straciła szlachta ochotę do nauki: uczyła się wprawdzie, ale głównie dlatego, że taki był już zwyczaj, że tak wypadało...; tego zaś, że postęp umysłowy jest jednym z głównych warunków potęgi narodu i państwa, już nie rozumiała. W wieku XVI uniwersytety zagraniczne roiły się od Polaków: teraz młodzież szlachecka nie myśli o kształceniu się zagranicą; zagranicę wyjeżdżają prawie wyłącznie magnaci, i to nie tyle dla nauki, ile raczej dla przetarcia się po świecie, ogół zaś szlachty najczęściej poprzestawał na tem, co dom dawał, nieczuły na to, co się na szerokim świecie działo. Nieuniknionem zaś następstwem tego zadomowienia było *zerwanie związku pomiędzy umysłowością zachodnio-europejską a polską, które było dla Polski straszliwszą jeszcze klęską, aniżeli wojny kozackie:* Europa zachodnia z Anglią i Francyą na czele szła naprzód, Polska stała w miejscu, a w drugiej połowie XVII w. i w pierwszej XVIII cofała się nawet; po stu latach dopiero zaczęła Europę gonić, ale już nie dogoniła, podobna do owego lekkomyślnego zająca z bajki, który spał sobie spokojnie, a kiedy się ocknął, to nie dogonił nawet... żółwia.

§ 51. „Taki wieszcz, jaki słuchacz“, mówi Mickiewicz: taka literatura, jaka oświata. Społeczeństwo było ciemne i traciło upodobanie w książkach mądrych i poważnych, to też ukazywało się ich coraz to mniej. I teraz nie brakło wprawdzie ludzi, którzy, zdając sobie sprawę, na co się zanosi, cięli szlachcie gorzką prawdę w oczy (np. Starowolski, Opaliński); ale w drugiej połowie XVII w. takich ludzi było już mało, a nadto, ludzie ci widząc, że ogół zatyka sobie uszy na słowa prawdy i że wogóle nie lubi rzeczy poważnych, nie ogłaszali swoich pism drukiem; takim np. był Wacław Potocki. Otóż *jest to niezmiernie ciekawy* (a zarazem smutny) *objaw umysłowości polskiej XVII wieku, że najpiękniejsze utwory literatury często spoczywały w rękopismach*, w druku zaś ukazują się dopiero w XIX i w XX wieku, dzięki gorliwości uczonych badaczów. Tak np. Zbigniew Morsztyn, aryanin, napisał po wypędzeniu aryan z Polski rzewną *Pieśń w ucisku:*

Obrońco uciśnionych, Boże litościwy!
Usłysz krzyk sierot Twoich, usłysz płacz rzewliwy!

Ciężka krzywda, o Boże! Ty na Twojej ziemi
Wszystkich cierpisz; Twe słońce promieńmi jasnymi
Złych i dobrych oświeca, Twój deszcz kropi ziemię
Złych i dobrych pospołu, a tu ludzkie plemię,
Samo na się zajadłe ciężko, następuje
Na swych bliźnich i z Twojej ziemie ich ruguje,
Którąś przestronną stworzył, a my nie możemy
W niej żyć, choć, że i dla nas stworzona jest, wiemy.
Ty, zdawszy rządy królom, wielowładny Panie,
Nad sercem i sumnieniem ludzkiem panowanie
Sameś sobie zostawił, aleć się wdzierają
W Twe prawa i gwałtem je ludzie odbierają...

Jedna to z najdrogocenniejszych perełek liryki staropolskiej, ale drukiem ogłoszono ją dopiero za naszych czasów,—w w. XVII szlachta oburzałaby się z pewnością na „heretyka", który śmiał się za „heretykami" ujmować. I takich przykładów możnaby przytoczyć mnóstwo; a tak szlachetne uczucia i mądre myśli musiały się ukrywać i tym sposobem nie mogły oddziaływać na opinię publiczną.

Coraz częściej zato ukazywały się *stare powieści średniowieczne*, o Aleksandrze Wielkim, o siedmiu mędrcach (§ 20), o pięknej Meluzynie i t. p., oraz *powieści nowe, fantastyczne*, po większej części przerabiane lub tłumaczone z literatury obcej, wierszem i prozą, plotące troje niewidy, pełne dziwacznych pomysłów i banialuk, np. o królewnie Banialuce albo o „Strasznym bohaterze", który bywał na bankietach u „Neptuna, boga morskiego", i u „Marsa, boga wojennego", śniadanie jadał u „pana Słońca", z którym był „w bardzo dobrej przyjaźni i konfidencyej wielkiej", a raz nawet „na chrzcinach Jowiszowych kumem Saturna został".

Ukazywało się również co niemiara *panegiryków*, t. j. wierszydeł i mów pochwalnych, polskich i łacińskich, wygłaszanych przez księży i nieksięży na chrzcinach i pogrzebach, na zaręczynach i weselach, przy uroczystych wjazdach króla i dostojników do miast, słowem, przy każdej sposobności; wynoszono pod niebiosa nieboszczyków, choćby ci żadnej zasługi nie położyli, wielbiono ich cnoty, choćby nawet byli wierutnymi łotrami; palono kadzidła na cześć żywych, i odurzali się niemi szlachta i magnaci, coraz to więcej z siebie zadowoleni, tem więcej spragnieni pochwał i pochlebstwa, im mniej na nie zasługiwali. Ten wstrętny i ogłupiający zwyczaj wtargnął nawet do wymowy sejmowej: pochlebiano sobie nawzajem, zamiast radzić o ratowaniu ojczyzny. Wprawdzie panegiryki istniały już w w. XVI, ale było ich stosunkowo mało: w XVII tymczasem zachwaściły literaturę tak dalece, że mniej więcej siódma jej część na nie odpada.

Lecz lwią część literatury XVII w. stanowią *pisma religijne*

ascetyczne: żywoty świętych, modlitewniki, pobożne ćwiczenia i rozmyślania, wiersze na cześć Matki Boskiej i świętych oraz całe stosy kazań, które często bywały albo tak mądre, że słuchacze ich nie rozumieli, albo tak niemądre, że, zamiast budować słuchaczów, bawiły ich tylko lub gorszyły. Jako przykład, może służyć kazanie dominikanina Jacka Mijakowskiego p. t. *Kokosz za kolędę dana* (1638). Ulatywał z kaznodziejstwa XVII w. mądry i szlachetny duch obywatelski, który ożywiał kazania Skargi: kaznodzieje oburzają się wprawdzie po dawnemu na zepsucie obyczajów, na pijaństwo i zbytki, na ucisk ludu wiejskiego, ale jednocześnie schlebiają często szlachcie i uczą ją, że ze wszystkich narodów Pan Bóg najbardziej umiłował sobie Polskę, że Najświętsza Panna opiekuje się szczególniej Polską, jako jej królowa, której się można najlepiej przypodobać, bijąc Turków i „heretyków", bo oni „Przenajświętszej Panience dyzgusta czynią". A naród wierzył tym bredniom, wierzył, że jest narodem wybranym, że rząd polski jest najlepszym na całym świecie. I jak nie miał wierzyć, kiedy w tem przekonaniu utwierdzali go i pisarze świeccy, taki Fredro np., który dowodził, że Polska póty będzie potężna, póki istnieje *liberum veto!* Otóż *obniżanie się poziomu myśli, zanikanie mądrości i ducha obywatelskiego to pierwsza główna cecha literatury naszej XVII stulecia*, *cecha treści.*

A drugą, cechą formy, jest zanikanie piękna (t. j. zepsucie smaku estetycznego), co tłumaczy się również upadkiem rzetelnej oświaty, mianowicie humanizmu, który w w. XVI był głównem źródłem piękna naszej literatury (§ 23). Wprawdzie w szkołach czytuje się po dawnemu autorów rzymskich, językiem wykładowym jest po dawnemu łacina, więc jej znajomość jest wśród szlachty równie powszechna, a nawet powszechniejsza, niż dawniej: cóż z tego, kiedy, w miarę zanikania ochoty do nauki, mija i ten zapał do starożytności, jakim się odznaczali nasi humaniści XVI w., i znajomość literatury rzymskiej staje się coraz to powierzchowniejszą, a greckiej nie zna już prawie nikt. Na początku XVII w. byli jeszcze prawdziwi humaniści, którzy znali wybornie literaturę starożytną i wyrabiali sobie na niej poczucie piękna (takim był nadewszystko Szymonowicz), ale później już ich niema. Na zepsucie smaku estetycznego wpłynął nadto przykład literatury włoskiej, która zaczęła się psuć już w drugiej połowie XVI stulecia, a którą znali i naśladowali pisarze z możnych rodów, często bawiący zagranicą, poczęści zaś i pisarze ze szlachty, przebywający na dworach możnowładców.

Upadek smaku estetycznego uwydatnił się, pomiędzy innemi, w tem, że coraz to więcej zanikało poczucie różnicy pomiędzy prozą a poezyą: są np. pisarze, którzy, nie rozumiejąc, że nie każdy przedmiot nadaje się do poezyi, piszą rozprawy polityczne albo dzieła historyczne wierszem, w tem miłem złudzeniu, że to

poezya. Lecz najważniejszym objawem zanikania piękna formy jest *zepsucie stylu*. Jedni bowiem pisarze, mało wykształceni, zatracili poczucie różnicy między mową potoczną a stylem literackim, a ponieważ mowa potoczna przeciętnego szlachcica nie grzeszyła (i nie grzeszy) elegancyą, więc i w piśmie nie stronili bynajmniej od wyrażeń nadto pospolitych, często rubasznych, jeszcze rubaszniejszych od wyrażeń Reja. Inni zaś pisarze, bardziej wykształceni, wpadli w drugą ostateczność: unikali, jak ognia, wyrażeń zwyczajnych, naturalnych, a uganiali się za sztucznemi, *omawiającemi każdą rzecz*, innemi słowy, pisali stylem nadto kwiecistym i przez to nienaturalnym, czasami wręcz śmiesznym; jest to tak zwany *styl barokowy*, cechujący osobliwie wymowę i poezyę XVII w. Zamiast np. „człowiek cnotliwy“, pisano: „ekonom męki Jezusowej“ albo „niebieskiej sławy faktor“; zam. „oczy“ — „okna ciała, przez które dusza łzami się pokazuje“; zam. „Lwów“—„Leonowe mury“. Ulubionym środkiem do upiększania stylu była zwłaszcza mitologia starożytna; był to środek, odziedziczony wprawdzie po stuleciu XVI, ale w XVII przebierano w jego używaniu wszelką miarę; nie pisano np. „wojny polskie“, tylko „Sarmackiego Marsa krwawe dzieje“ albo „tumulty Marsowe“; zamiast „pokój zakrólował“, pisano: „Otchnął Mars popędliwy, i wściekłe Gorgony pod się padalcorode wtuliły ogony“ i t. p. Same już tytuły książek, zwłaszcza panegiryków i zbiorów poezyi, rażą swą nienaturalnością, np.: *Trąby żałości* (t. j. mowa pogrzebowa); *Pallas ochotna na akt małżeński* (t. j. mowa weselna); *Prowiant duchowy na drogi kalwaryjskie*; *Purpura zbawienna, kaznodziejskim stylem ufryzowana; Dyalog albo komedya męki Jezusowej w siedmiu scenach* (t. j. w siedmiu kazaniach); *Ogród, ale nie plewiony, bróg, ale, co snop, to inszego zboża, kram rozlicznego chwastu* (t. j. wiersze różne) i t. p.

A jak styl, tak i język uległ zepsuciu: już w w. XVI zaczął się zwyczaj przeplatania mowy polskiej wyrazami i całemi zdaniami łacińskiemi (§ 22); w XVII w. tak zwane *makaronizmy* utrwaliły się i zagęściły niepomiernie zarówno w mowie potocznej, jak i w niektórych gałęziach prozy (w panegirykach i wogóle w wymowie świeckiej, w broszurach politycznych, w listach, w pamiętnikach); poezya i wymowa kościelna są po większej części od nich wolne. Oprócz makaronizmów, szpecono mowę ojczystą innymi jeszcze wyrazami cudzoziemskimi, zwłaszcza włoskimi. Wogóle język literacki XVII w. pod względem czystości, piękności i szlachetności równać się nawet nie może z językiem Górnickiego, Skargi i Kochanowskiego. Przewyższa go za to dosadnością zwrotów oraz bogactwem słownika; jest mniej literacki, bo często rubaszny, ale za to daje nam doskonałe pojęcie o żywej mowie ówczesnej; takim jest zwłaszcza język Paska.

A jak język literatury XVII w. jest zwierciadłem żywej mo-

wy, tak sama *literatura jest* w tem stuleciu wierniejszem, dokładniejszem *zwierciadłem życia społeczeństwa*, aniżeli była niem w wieku XVI, kiedy to pisarze kreślili wprawdzie obrazki, wprost z życia wzięte (zwłaszcza Rej), ale daleko częściej, przejęci szlachetnym duchem obywatelskim, uczyli, jakiem życie *być powinno*, t. j. występowali, jako nauczyciele swego społeczeństwa. Wprawdzie i wśród pisarzów w XVII nie braknie nauczycieli (np. Starowolski), ale o wiele więcej, niż dawniej, jest pisarzów takich, którzy opisują życie narodowe, nie jakiem ono być powinno, ale *jakiem rzeczywiście było*: stąd satyra, poezya obyczajowa i wogóle epiczna jest bez porównania bogatsza; w wieku XVI nawet Kochanowski, chociaż tak gorąco pragnął wyśpiewać życie narodu (§ 38), nie zdobył się jednak na większy poemat epiczny: teraz zaś ukazuje się mnóstwo drobnych wierszy i ogromnych poematów o wypadkach dziejowych, zwłaszcza o wojnach z Turkami, Kozakami, Szwedami i Moskwą; ta *epika*, której ozdobą jest *Wojna chocimska* Potockiego, stanowi chwałę poezyi XVII w. Nie dosyć na tem. Ponieważ ogół społeczeństwa myśli daleko więcej o sobie, niż o ojczyźnie, więc i literatura, tracąc charakter obywatelski, nabiera coraz to więcej charakteru osobistego: o sobie, o swych własnych uczuciach i przygodach pisze się teraz daleko więcej, niż dawniej; stąd z jednej strony bardzo bujnie rozwija się *liryka*, zwłaszcza miłosna i religijna, a z drugiej pozostaje całe mnóstwo *pamiętników*, na których czele stoją znakomite pamiętniki Paska. Tak więc *literatura XVII w., mądrością i pięknem od literatury wieku złotego bez porównania niższa, jest jednak od niej różnorodniejsza, a nadto posiada niemałe znaczenie obyczajowe*: jak w zwierciadle, odbiło się w niej życie owoczesnej Polski (prawie wyłącznie szlacheckiej), nie tylko publiczne, ale i domowe, ze wszystkiemi swemi wadami i zaletami; nadewszystko odzwierciedlił się w niej *duch pobożności i religijności*, skażony, na nieszczęście, bigoteryą, fanatyzmem i nietolerancyą, oraz wspaniały *duch rycerski*, który, mimo wszystko, wstępował w naród tylekroć, ilekroć ojczyzna była w niebezpieczeństwie: są wprawdzie w historyi naszej XVII wieku Piławce i Kamieniec, ale są także dwa Chocimy, Częstochowa i Wiedeń.

Kazanie p. t. Kokosz za kolędę dana (*w skróceniu*). Ubogi kmiotek, kiedy przed panem swym stawa, aby mu powinny i poddany pokłon oddał lubo sobie załogę [1]) i ratunek wyjednał, parę kur pod pachą, a w garści miskę glinianą jajek przynosi: wie dobrze, choć prostak, że *munera placant hominesque deosque* [2]), że, mówię, lada upomineczek czasem więcej u pana sprawi, niż okazała i słuszna petycya, poważnemi racyami podparta; dlatego też pocztę [3], lubo tak drobną, ale nie drobnym afektem panu swemu ofiaruje... Stawam i ja dnia dzisiejszego przed tobą naprzód,

---

[1] załoga = zapomoga. [2] podarki jednają ludzi i bogów. [3] poczta = poczetne, podarek.

Mci X. Archipresbiter [1]), pasterzu kościoła tego, ze wszystkiem kapłaństwem twojem. Stawam i przed tobą, M. P. Burmistrzu, ze wszystkimi kolegami twoimi. Stawam przed każdym z was osobna, PP. Krakowianie i Krakowianki i wszyscy inszy zacni audytorowie. Jakoż? Jako ubogi wasz kmiotek i rolnik,... abym wam wszytkim zwyczajną a doroczną przy pokłonie oddał daninę, biernią [2]) i kolędę:... wziąwszy kokosz pod pachę, wszytkim wam ofiarować ją będę po kolędzie. Nażyczyła mi jej ewangelia dzisiejsza, w której się sam Chrystus Pan przyrównywa do kokoszy, a synagogę żydowską do kurcząt. *Quoties volui congregare filios tuos, quemadmodum gallina congregat pullos suos sub alas, et noluisti* [3]). Ptak domowy wprawdzie, ale dziwnie pożyteczny i w gospodarstwie potrzebny; zaczem rozumiem, że nią żaden nie wzgardzi, bo przy niej wiele zdrowych a potrzebnych nauczyć się może obyczajów. Pana Boga zatem prośmy, aby nas przez tę godzineczkę za kurcząątka pod skrzydła łaski swojej niebieskiej przyjął, bo inaczej ona drapieżna kania z krajów piekielnych i mnie do mówienia i wam do słuchania przeszkadzać będzie...

Naprzód tedy J. M. X. Archipresbiterowi... i wszytkiemu duchowieństwu... daję za kolędę *gallinam ruspantem* — kokoszkę, co rada grzebie. A to czemu? Abyście się od niej, kapłani moi, nauczyli *contemptum temporalium* — gardzić marnością świata tego. Widzieliście, kiedy kokoszka grzebie? Rzecz podziwienia godna: grzebiąc, nie ku sobie, ale wszystko za się odpycha, zarówno barłóg z pośladem, czyste ziarno z pszenicą za się odmiatywa i, jakoby w niczem smaku nie miała, jakoby się jej nic nie podobało, ku sobie nigdy, a od siebie zawsze odrzuca. Podobno to kapłanom na przykład takiego obyczaju niemych kokoszek natura nauczyła, abowiem między wielą cnót, które kapłana zdobią, i ta niepoślednia, ... kiedy od siebie odrzuca rozkoszy, stroje, bogactwa, dostatki i insze wszystkie *vanitates mundi* [4])... Panowie szlachta! A wy jaką kokoszkę radzibyście mieli po kolędzie?... Daję wam... kokoszkę na grzędzie. Rzecze kto: „Dać to było białymgłowom, ojcze, bo to pospolita, że, kiedy się pan rozfuryuje abo też rozum w kuflu utopi, to pani smyk z kurami na grzędę". O, bywa-ć to! ale jednak co inszegom ja białymgłowom nagotował: wy bierzcie, co dają! Kokoszka, siedząca na grzędzie, ma wielką cnotę a prawie [5]) szlachcie przyzwoitą. Na najwyższem miejscu w domu siada ta kokoszka, bo aż pod dachem, pod strzechą kędyś wysoko; a przecie, choć górno siada, nikogo sobie lekce nie waży, nikogo nie kontemnuje [6]), nie znieważy ani gospodarza, ani gospodyniej, ani czeladki, ani kucharek, i owszem, zlazłszy z grzędy, każdemu z drogi ustąpi;... co większa, w nocy kiedy na grzędzie siedzi, nikogo nie inkomoduje ani się ozwie całą noc. Kuraszek przecię ma swój obyczaj: spać nie da, pieje raz, drugi i trzeci, gra hejnał [7]) słońcu na dzień dobry,... bu-

[1] arcykapłan. [2] biernia = dań, podatek. [3] Ilekroć chciałem zgromadzić syny twoje, jako kokosz kurczęta swoje pod skrzydła zgromadza, a nie chciałaś (słowa z ewangelii św. Mateusza). [4] marności świata. [5] zupełnie, prawdziwie. [6] kontemnować = pogardzać. [7] pieśń poranna.

dzi do roboty parobki, kucharki, ba, i gospodynią: ale kokoszka spokojna całą noc się nie ozwie,—cnoty, właśnie szlachcie potrzebne. Krew szlachecka w Koronie polskiej najwyższe trzyma miejsce: przyznawam; najwyżej godna siedzieć: prawda; przodkuje zacnością, urodzeniem i zasługą przodków swoich: prawda; godna stołków senatorskich, infuł biskupich, buław hetmańskich, lasek marszałkowskich i inszych honorów koronnych: prawda! Ale, panowie moi, trzeba przy tej grzędzie cnoty kokoszej: bo, kiedy cię natura i urodzenie wysoko posadziło, a ty jeszcze nadto chcesz nos wyżej nosić, niż gębę, każdego sobie lekceważysz, kontemnujesz, bałtą [1]) grozisz, znieważasz wszystkich, ni [2]) twój kogut, w nocy inkomodujesz; kiedy się to przed tobą żaden wysiedzieć nie może, ani kupiec w sklepie, ani mieszczanin w kamienicy, ani ubogi chłopek w chałupie: ach! niepomału to szpeci twoję przystojność szlachecką!... Niech nie będzie krzywda panom studentom: i wam, panowie młodzi, daruję po kolędzie kokoszkę. Wiecie jaką? *Gallinam singultantem* — kokoszkę z pypciem. Kiedy kokoszce pypeć uroście, o, jako jej z tem źle, jako jej z tem plugawo! wszytko parska, pryska, jeść nie może, chudnie tak długo, aż jej pypeć zedrą. Boże mój! jeśli kto sposobniejszy do pypcia jako młodzieniaszek! A jeszcze im dwojakie więc rady pypcie rosną: jedne szkolne, drugie piekielne. Kiedy się owo młodzieniaszek imie wszetecznych słóweczek, jużeż źle około niego: pypeć na języku piekielny; .. kiedy owo młodzieniaszek piosneczki lada jakie rad śpiewa, jużeż na języku pypeć; kiedy też klnie, czarty wspomina, złorzeczy, a i to nie kokoszy, a dyabelski pypeć... Krom piekielnych cierpią więc też i szkolne pypcie młodzieniaszkowie. Wiecie które? *Solecismus*, *barbarismus*, *polonismus* [3]): złe to pypcie w szkole, plugawa przywara! A, Matko Boża, toć to z takim pypciem sprośnie w mowie!... Miał też Mojżesz jakiś pypcik, defekcik jakiś na języku;... a jakoż uleczono ten język schorzały? *Virga, virga* [4])—to grunt!... Panięta moje, dobreż to i zdrowe ziółko na szkolne pypcie ta *virga*:jeśli Mojżesza w doźrzałym wieku uleczyła, a cóż was w młodości! Trochę-ć bywa ta recepta przykra, ale jednak pożyteczna: jak miotełka z pierza i z prochu poleruje szatę, tak ta święta *virga*, upewniam w tem, że-ć wypoleruje rozum i dowcip!... Bawić się nie będę z wami, panienki, bo mi tego zakazuje zakon i reguła, ale wam dam za kolędę kokoszkę dla zabawy. Wiecież jaką? Owę, co w kojcu siada:... najlepsza z panienką do kojca, niechaj siedzi w domu!... Ach! Boże, cóż rozumieć o owych panienkach, co w domu, jak na szydłach, co je pięty świerzbią, kiedy nie obieżą ulic, kościołów i rynku, co na matkę lamentują, że ich i tam i sam nie wiedzie, co owo ustawnie szyje wyciągają z okna, jak zięba z klatki... W kojcu, panienki moje, w kojcu wam najlepiej!...

Kończę kazanie moje przysłowiem włoskiem: *La vivanda vera è l'affetto e la ciera* [5])—nie to, mówi Włoch, co mi na nim kilka pół-

[1] bałta = topór. [2] niczem, jak. [3] solecyzm, barbaryzm, polonizm (w rozmowach i wypracowaniach łacińskich). [4] rózga. [5] prawdziwa uczta to uprzejmość i mina (wesoła).

misków dadzą, ale to bankiet, kiedy mi by namniej dadzą z dobrym afektem i twarzą: bo cóż mi to za smak, że mi kto postawi bażanta na półmisku, kiedy widzę kozła na czele! Co za k rzeczy, kiedy mi, jeść dawszy, dmucha, choć już ostygło, marszczy się, choć nie kwaśno! Przy prawdziwym bankiecie nie ma człowiek upatrować, co dają, ale z jaką twarzą i ochotą i sercem. Toż i ja *pro ultimo* [1] mówię: małąm rzecz darował—jednę kokoszkę, ale dobrym afektem, uprzejmem sercem; przyjmicież za wdzięczne, a za mię, jako i ja za was, Pana Boga proście. Amen.

§ 52. *Najznakomitszym poetą wieku XVII jest uszlachcony mieszczanin lwowski, autor najpiękniejszych w literaturze polskiej sielanek*, **Szymon Szymonowicz** (1558 — 1629). Nie tylko młodość, ale i większa część jego życia przypada jeszcze na wiek XVI, kiedy to literatura i oświata w innych, pomyślniejszych rozwijała się warunkach. Więc garnął się Szymonowicz do nauki, nie poprzestał na ukończeniu akademii krakowskiej, lecz przez czas dłuższy przebywał zagranicą, oddając się głównie swoim ulubionym studyom nad językiem greckim i łacińskim oraz literaturą starożytną: *był to znakomity humanista, ostatni już wielki humanista polski.* A prócz nabytej wiedzy, posiadał przyrodzony talent poetycki i niepospolity zmysł piękna: podobnie jak Kochanowski, *jest to poeta z bożej łaski.* I dla niego poezya była nie rzemiosłem, nie zabawą, ale potrzebą serca i źródłem największego szczęścia na tej ziemi: „Muzy, nadobne Muzy!... Naszczęśliwszy, kto z wami do śmierci wiek trawi!“ A jak Kochanowski „sobie śpiewał a Muzom“, tak i on, jak mówi, „nie chciał się popisować u gminu podłego“, tem więcej, że wiedział, iż gmin prawdziwej poezyi zrozumieć ani odczuć nie potrafi, zwłaszcza w czasach, kiedy upada rzetelna oświata i psuje się smak estetyczny; bo Szymonowicz zdawał sobie jasno sprawę z tego, że się obniża w Polsce poziom poezyi i skarżył się na to żałośnie: „Jakie dzieje, takie pienie;... wszystko się pomyka na dół! Zginęli dawni dobrzy kantorowie [2], a miasto nich, leda kto muzykiem się zowie; i pieśni marne jakieś, nastrzępione słówki [3], bez rzeczy“ [4]. On tymczasem wymagał od poezyi nie tylko piękna, ale i poważnej treści, pragnął, aby poezya była „uczona“, t. j. zarówno kunsztowna, oparta na znajomości zasad sztuki, jak ucząca i umoralniająca ludzi. Taką też jest jego własna poezya: piękność łączy się w niej z poważną myślą i czystością uczuć; on nie podzielał poglądu Kochanowskiego, że „ma być stateczny sam poeta,—rym czasem ujdzie i wszeteczny“ (§ 37); jego zdaniem, nie tylko sam poeta powinien być czysty, ale czysta, moralna powinna być i jego poezya: we wszystkich swych

[1] na zakończenie. [2] kantor = śpiewak. [3] słówkami. [4] t. j. bez poważnej treści.

utworach jest Szymonowicz humanistą, a zarazem jest poważnym myślicielem, przejętym głęboko ideją moralności chrześcijańskiej.

Rozkochany w literaturze starożytnej, na niej się, jak Kochanowski, wzorował. Zaczął od poezyi łacińskich: pisał poematy, tragedye, ale nadewszystko uprawiał poezyę okolicznościową, mianowicie *ody*, które zachwycały humanistów europejskich i zjednały mu wśród nich imię Pindara polskiego, a jednocześnie roznosiły po świecie sławę imienia polskiego: bo nie o sobie śpiewał Szymonowicz, ale o wielkich wojownikach polskich i ich świetnych czynach, np. o tryumfach wojennych przyjaciela swego, hetmana Zamojskiego, któremu wychowywał syna (Tomasza) i dopomagał do wyszukania profesorów dla akademii zamojskiej.

Lecz nie poezye łacińskie zapewniają Szymonowiczowi nieśmiertelne stanowisko w literaturze polskiej, tylko polskie *sielanki* (1614). Dwaj byli znakomici sielankopisarze w starożytności: grecki—Teokrytes i rzymski—Wirgiliusz; pierwszy kreślił drobne obrazki z życia pasterzy, rybaków, rolników, mieszczan, a są to obrazki po większej części *realistyczne*, t. j. odtwarzające życie prostych ludzi, jakiem ono było w rzeczywistości; sielanki Wirgiliusza tymczasem są po większej części *konwencyonalne*: występują w nich ludzie nibyto prości (pasterze), ale ci prości ludzie myślą, czują i mówią tak, jakgdyby byli ludźmi wykształconymi i dobrze wychowanymi; bo też pod postacią tych pasterzy kryją się dworzanie cesarza Augusta, a wśród nich sam Wirgiliusz. Szymonowicz znał doskonale obydwu sielankopisarzów starożytnych; pierwszeństwo oddawał Teokrytesowi, lecz tłumaczył, przerabiał albo naśladował obydwu: więc jedne z jego sielanek są konwencyonalne, inne — realistyczne.

W pierwszych występują pasterze, którzy, pasąc owce, kozy i krowy, rozmawiają o swych przygodach, kłopotach, myślach i uczuciach (zwłaszcza o miłości ku pasterkom), a dla rozrywki śpiewają sobie piosnki. Ci pasterze—to Rusini z nad brzegów Puru (w okolicach Zamościa, w których Szymonowicz dzierżawił wioski od Zamojskiego), ale noszą imiona starożytne (Dafnis, Menalkas, Licydas i t. d.); są to pozornie ludzie prości, w istocie wykształceni, skoro rozmawiają np. o Orfeuszu albo o upadku prawdziwej poezyi w Polsce. Pomimo jednak tej nienaturalności są te sielanki bardzo piękne; odznaczają się i żywem odczuciem piękności natury kraju polskiego i pięknym wierszem i prześlicznym, czarującym swą prostotą językiem; a niemałą ich ozdobę stanowią owe piosnki, które śpiewają pasterze; prawda, że większa ich część to tłumaczenie lub przeróbka pieśni sielankopisarzów starożytnych, ale są i piosnki oryginalne, np.

Skowroneczku! Już śniegi na polach nie leżą,
Już do morza rzekami pienistemi bieżą;

A tyś rad i ku niebu wzgórę polatujesz
I garłeczkiem krzykliwem wdzięcznie przepierujesz [1]);
Bo, skoro wiosna role rozległe ogrzeje,
Skoro łąki kwiatkami pięknymi odzieje,
Wynikną i robaczki z ziemie rozmaite,
A ty potrawki będziesz miał z nich znamienite.
Jaskółeczko! Jużeś się na świat ukazała?
Jużeś ożyła? Jużeś z wody wyleciała?
Za tobą i słoneczko cieplejsze dogrzewa.
Narodzi ono tobie muszek niezliczonych,
Ty ich będziesz łapała po polach przestronych;
Będziesz łapała i do gniazdeczka nosiła,
Boś je sobie pod naszą strzechą ulepiła.

Lecz większą wartość posiadają te sielanki, w których Szymanowicz, idąc za przykładem Teokrytesa, odtwarzał szczegóły z rzeczywistego życia; a dwie z pośród nich, *Kołacze* i *Żeńcy*, obydwie nawskroś oryginalne, to najpiękniejsze sielanki w całej poezyi polskiej.

Kołacze — to wdzięczny obrazek z życia dworku szlacheckiego, do którego przybywa panicz urodziwy, by pannę domową zaślubić. Są tu rysy czysto rodzime, np. sroczka, która krzekce na płocie, panna młoda, rozpuszczająca warkocze, kołacze na uczcie weselnej. Lecz główną wartość nadaje sielance *piękność i prawda, z jaką wyraził poeta uczucia* i tych panien, które witają panicza, i panny młodej, której przy ślubie „łza za łzą płynie po obliczu“, a która przy uczcie „nie wzniesie oka“, i pana młodego, który z taką odwagą polował na dziki, a który blednie na widok stuły.

Żeńcy — to smutny, ale prawdziwy obrazek z życia ludu. Wśród skwaru słonecznego żną zboże dziewczyny, a dwie z nich, wesoła Pietrucha i smutna Oluchna, rozmawiają nie o Orfeuszu, ale o rzeczach, o jakich proste dziewczyny wiejskie naprawdę rozmawiać mogły, a więc o staroście (ekonomie) bez serca, o jego gospodyni-jędzy i t. p.; a i sposób rozmowy jest naturalny: nie cofa się nawet poeta przed wyrazami rubasznymi, aby tem dokładniej prawdę odtworzyć; uroku sielance dodaje prześliczna pieśń o słoneczku, którą śpiewa Pietrucha, by ułagodzić gniewnego starostę. Ten zaś starosta z batem w ręku, znęcający się nad Maruszką, to także, niestety, postać, wzięta nie z fantazyi, tylko z życia. Otóż w *Żeńcach* Szymonowicz staje w obronie ludu: sielanka ta jest nie tylko arcydziełem poezyi, ale i protestem szlachetnego i myślącego człowieka przeciwko niedoli ludu.

[1] przepierować = ćwierkać, śpiewać.

Bo, jak poezye łacińskie, tak i polskie sielanki Szymonowicza są „uczone“: i tutaj uczy i umoralnia poeta czytelników i w tym to celu nie szczędzi im uwag, pełnych mądrości, np. „Kto Bogu dufa a pracuje, do ostatniej starości nędze nie uczuje“; „Praca—skarb napewniejszy“; „*Na Boga, by na osła,—na Niego wkładamy, co sami dobrowolnie sobie zadziałamy; Bóg za szyję nie ciągnie: że kto drogi zmyli, Bóg nie winien: tam każdy padnie, gdzie się chyli*“. Wogóle Szymonowicz to, jak Kochanowski, nie tylko znakomity poeta, ale i zacny, chrześcijański myśliciel.

Kołacze. *Panny.* Sroczka krzekce na płocie,—będą goście nowi:
Sroczka czasem omyli, czasem prawdę powie.
Gdzie gościom w domu rado, sroczce zawsze wierzą
I nie każą się kwapić kucharzom z wieczerzą.
Sroczko! umiesz ty mówić? Powiedz: gdzieś latała?
Z którejeś strony goście jadące widziała?
Sroczka krzekce na płocie: pannie się raduje
Serduszko, bo miłego przyjaciela czuje.
Jedzie z swoją drużyną panic urodziwy,
Panic z dalekiej strony; pod nim koń chodziwy [1]),
Koń łysy, białonogi, rząd na nim ze złota.
Panno! gotuj się witać: już wjeżdża we wrota.
Już z koni pozsiadali, wszystko się po dworze
Rozśmiało, jako niebo od wesołej zorze!
Witamy cię, panicze, dawno pożądany!
Czeka cię upominek, tobie obiecany,
Obiecany od Boga i od domu tego;
Po obietnicę trzeba wsiadać na rączego:
A ty się gdzieś zabawiasz! Już nam nie stawało
Oczu, wyglądając cię; winieneś nie mało
Sam sobie, a pogonić trudno i godziny! [2])
Cobyś rzekł, gdyby to był otrzymał kto iny?
Bardzoś się ubezpieczył! Czyli tak urodzie
Dufasz swojej? Kto dufa nawiętszej pogodzie,
Deszcz go zlewa; nie trzeba spać i w pewnej rzeczy:
I Bóg nie dźwignie, kto się sam nie ma na pieczy.
Często zazdrość o tobie złe powieści siała,
Ale cnota zazdrości wiary nie dawała.
Trudno stateczność ruszyć; niechaj zły wiatr wieje,
Jako chce, przedsię ona nie traci nadzieje.
Kędyś się nam zabawiał? mój panicze drogi!
Serce przez [3]) ciebie mdlało, i te piękne progi

---

[1] wytrzymały w biegu. [2] czasu minionego nawet o godzinę nie cofniesz. [3] bez.

Pustkami się widziały. Czyliś na jelenie
Z myślistwem jeździł? wami, wami, leśne cienie!
Świadczymy, jakośmy wam częstokroć łajały,
Jako często zabawy wasze przeklinały.
Lubo sroga Dyjana w surowej karności
Drużynę swoję chowa, ale przy gładkości
Trudna przestroga! Były insze obawiania,
Bo i harap[1]) ma swoje przykre dojeżdżania,
I od płochego zwierza urośnie nowina.
Jeszcze po dziś dzień płacze swego Adonina[2])
Wenus żałosna: „Ach, ach! młodzieńcze ubogi!
„Jako cię dzikiej świnie ząb uranił srogi!“
I tyś, drugi młodzieńcze, w uściech naszych bywał;
Nazbyteś, ach, nędzniku, w lesiech przemieszkiwał;
Daleko cię nieszczęsne łowy unosiły,
Aż cię nakoniec łają[3]) właściwą[4]) skarmiły[5]).
Pełna jest trwogi miłość i w każdy kąt ucha
Przykłada; raz ją bojaźń, raz cieszy otucha.
Czyli cię krotofile jakie zabawiały?
Nam tu bez ciebie ani dzień widział się biały,
Ani słoneczko jasne. Komuż do wesela
Przyjść może, gdzie miłego niemasz przyjaciela?
Czyli nie każdy serce ma jednakie? czyli
Co z oczu, to i z myśli? a czasem omyli
Oko jasne. O tobie tego nie trzymamy,
I owszem się pociechy wszelkiej spodziewamy.
Sokół wysoko buja, a bujawszy siła,
Jedno mu drzewko, jedna mu gałązka miła.
Młodość przestrono patrzy i daleko strzela
Z myślami, aż Bóg nawet każdego oddziela[6])
Własną cząstką; kto na niej przestawa spokojnie,
Wszystkiego ma dostatek, wszystkiego ma hojnie.
I ty myśli uspokój, mój panicze drogi!
Nie darmo cię tu przyniósł twój koń białonogi.
Pryskał[7]) we wrota wchodząc: znać, żeśmy-ć tu radzi,
Radziśmy wszyscy tobie i twojej czeladzi.
Już i matka i panna witać cię wychodzi;
Poprzedź ich ręką: tobie poprzedzić się godzi;
I czołem nizko uderz; jest dla czego czołem
Uderzyć; a nie chciej sieść za gościnnym stołem,
Aż otrzymasz, co pragniesz. Wszystko z czasem płynie,—
Co ma być jutro, niechaj będzie w tej godzinie.

---

[1] polowanie konno. [2] Adonin, Adonis — młodzieniec, którego dzik zabił na polowaniu ku rozpaczy Wenery. [3] łaja, złaja = gromada psów. [4] właściwy = własny. [5] aż ci się nakoniec sprzykrzyło ciągle polować. [6] oddzielać (od siebie) = obdzielać (kogo). [7] pryskać = parskać.

I ty, matko, nie zwłaczaj, czyń, coś umyśliła:
Żadna rzecz się nie kończy, gdzie rozmysłów siła.
Panno! czas już rozpuścić warkocze rozwite,
Czas oblec szaty, takiej sprawie przyzwoite.
Strójcie pannę do ślubu, sąsiady życzliwe!
Ślub święty jest, i wasze prace świętobliwe;
Wszak też wam tę przysługę przedtem oddawano,
Toż i za matek waszych w obyczaju miano.
Kapłanie! gotuj stułę!.. Zbladłeś nam, panicze!
Ba! i pannie łza za łzą płynie przez oblicze.
Przelękłeś się, panicze! — bojaźń ta od Boga:
Szczęście tam bywa, kędy bywa taka trwoga.
Nie płacz, panno! bo rzeką, że płaczesz z radości,
Pomyśli ktoś i gorzej, bo siła zazdrości.
Nie pierwsza ty od matki wychodzisz z opieki!
Aboś chciała na łonie jej mieszkać na wieki?
I ona przy matce swej nie wiecznie mieszkała,
I tyś się nie dla tego tak tu wychowała.
Jużeście w stadle świętem! Wszyscy wam dajemy
Na szczęście i miłego życia winszujemy:
Bodajeście długi wiek z sobą pomieszkali,
Bodajeście wszelakich pociech doczekali!
Potrawy postawiono: do stołu siadajcie,
W pośrodku miejsce pannie z panem młodym dajcie!
Im-ci z sobą być; tak więc dwa szczepy zielone
Stoją w nadobnym sadu pospołu sadzone.
Panna nie wzniesie oka: serduszko w niej taje,
A pan młody długiemu obiadowi łaje.
Niech kucharze potrawy dziwne wymyślają,
Niechaj win rozmaitych hojno nalewają:
Kołacze grunt wszystkiemu, a może rzec śmiele,
Bez kołaczy jakoby nie było wesele.
Laską w próg uderzono: już kołacze dają,
A przed kołaczmi panie nadobnie śpiewają
I taniec prędki wiodą i kleszczą rękami:
Zabawmy oczy tańcem, a uszy pieśniami!...

Żeńcy. *Oluchna.* Już południe przychodzi, a my jeszcze żniemy!
(w skróceniu) Czy tego chce urzędnik, że tu pomdlejemy?
Głodnemu, jako żywo, syty nie wygodzi!
On nad nami z maczugą, pokrząkając, chodzi,
A nie wie, jako ciężko z sierpem po zagonie
Ciągnąć się; oraczowi insza [1], insza wronie:

[1] insza rzecz.

Chociaj i oracz chodzi za pługiem i wrona,
Inszy sierp w ręce, insza maczuga toczona.
Pietrucha. Nie gadaj głosem, aby nie usłyszał tego!
Albo nie widzisz bicza za pasem u niego?
Prędko nas nim namaca! Zły frymark [1])—za słowa
Bicz na grzbiecie, a jam nań nie bardzo gotowa.
Lepiej złego nie drażnić: ja go albo chwalę,
Albo mu pochlebuję—i tak grzbiet mam w cale.
I teraz mu zaśpiewam, acz mi nie wesoło:
Nie smaczno idą pieśni, gdy się poci czoło!

Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego!
Nie jesteś ty zwyczajów starosty naszego!
Ty wstajesz, kiedy twój czas: jemu zda się mało,
Chciałby on, żebyś ty od północy wstawało;
Ty bieżysz do południa zawsze twoim torem:
A onby chciał ożenić południe z wieczorem...

Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego!
Nie jesteś ty zwyczajów starosty naszego!
Ty dzień po dniu prowadzisz, aż długi rok minie:
A on wszystko porobić chce w jednej godzinie;
Ty czasem pieczesz, czasem wionąć wietrzykowi
Pozwolisz i naszemu dogadzasz znojowi:
A on zawsze: „Pożynaj! nie postawaj!“ woła,
Nie pomnąc, że przy sierpie trój pot idzie z czoła...

Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego!
Nie jesteś ty zwyczajów starosty naszego,
Ciebie czasem pochmurne obłoki zasłonią,
Ale ich prędko wiatry pogodne rozgonią:
A naszemu staroście nie patrz w oczy śmiele, —
Zawsze u niego chmura i kozieł na czele;
Ty rosę hojną dajesz po ranu, wstawając,
I drugą także dajesz wieczór, zapadając:
U nas post do wieczora zawsze od zarania, —
Nie pytaj podwieczorku, nie pytaj śniadania!

Starosto! Nie będziesz ty słoneczkiem na niebie!
Ni panienka, ni wdowa nie pójdzie za ciebie:
Wszędzie cię, bo nas bijasz, wszędzie osławimy,
Babę, boś tego godzien, babę-ć naraimy,
Babę o czterech zębach! Miło będzie na cię
Patrzyć, gdy przy niej siędziesz, jako w majestacie,
A ona cię nadobnie będzie całowała,
Jakoby cię też żaba chropawa lizała!
Oluchna. Szczęście twoje, że odszedł starosta na stronę:
Wzięłabyś była pewnie na buty czerwone

[1] handel zamienny, zamiana.

Albo na grzbiet upstrzony za to winszowanie!
Słyszysz, jakie Maruszce daje tam śniadanie?
A słaba jest nieboga: dziś trzeci dzień wstała
Z choroby, a przedsię ją na żniwo wygnała
Niebaczna gospodyni. Takci służba umie! [1])
Rzadko czeladnikowi kto dziś wyrozumie.
Patrz, jako ją katuje: za głowę się jęła
Nieboga; przez łeb ją ciął, krwią się oblinęła;
Podobno mu coś rzekła; każdemu też rada
Domowi. Takto bywa, gdy kto siła gada!
Dobrze mieć, jako mówią, język za zębami:
I my mu dajmy pokój, choć żartuje z nami.
Żart pański stoi za gniew i w gniew się obraca:
Ty go słówkiem, a on cię korbaczem [2]) namaca.
Pietrucha. Dobrze radzisz. Mnie się on, widzę, nie przeciwi,
Ale lepszy z nim pokój. Co się często krzywi,
Złomić się może, — przyjdzie jedna zła godzina,
A częstokroć przyczyną bywa nieprzyczyna.
Dobry on bardzo człowiek, by go nie psowała
Domowa swacha: ta go właśnie osiodłała
I rządzi nim, jako chce, a on się jej daje
Za nos wodzić; podczas [3]) mu ledwie nie nałaje.
Na kogo ona chrap ma, może i od niego
Spodziewać się, że go co potka niesmacznego.
Więc mu nie wierzy, — to już zawsze fasoł [4]) w domu,
I przemówić do niego nie wolno nikomu.
Oluchna. To prawda. Niedawnośmy len w dworze czosały;
On stał nad nami; tam się z nim coś rozmawiały
Dwie komornice; ona kędyś podsłuchała
Za ścianą, jako jędza, do nas przybieżała,
Ni z tego, ni z owego poczęła bić one
Komornice; sam zaraz ustąpił na stronę;
Potem wszystkim łajała, drugie rozegnała,
Nam, cośmy pozostały, jeść przedsię nie dała.
Pietrucha. By też co było, coby ludźmi nazwać słusza [5]),—
Ale też siostra nasza — także w ciele dusza!
A już jej brózdy dobrze lice przeorały
I przez włosy gęsto się przebija śron biały;
A przedsię wymuskać się, przedsię z pstrocinami
Czepczyk na głowie, przedsię fartuch z forbotami. [6])
Naśmieszniejsza, gdy owo chce się pieścić z mową;
Świni krząkać, a babie przystoi trząść głową!...

---

[1] t. j. takto postępuje zła służba panów (gospodyni i starosta). [2] korbacz = bicz. [3] czasem. [4] kłótnia, burda, zamieszanie. [5] żebyż to jeszcze ta gospodyni była jakąś ważną osobą! [6] forbot = koronka.

Oluchna. Co mi za gospodyni! Jako żywo krowy
Ręką swą nie doiła; gadać o tem słowy
Tylko umie, a stroić po domu fasoły.
Kucharkom łajać! Z pustej nie wyjdzie stodoły,
Jedno sowa! Ogórki wczora kwasić chciała:
Tak to robiła, że się wszystka czeladź śmiała!
A w karczmie albo w tańcu ptak jej nie doleci,
Gdy podołek [1]) rozpuści, wymiecie i śmieci!...
Pietrucha. Ale starosta do nas znowu przystępuje,
Kwaśno patrzy, z nahajką do nas się gotuje.
Zaśpiewam ja mu przedsię, — rad on pieśni słucha.
Patrzy na nas i stanął i nadkłada ucha.
Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego!
Naucz swych obyczajów starostę naszego!
Ty piękny dzień promieńmi swoimi oświecasz
I wzajem księżycowi noc ciemną polecasz;
Jako ty bez pomocy nie żyjesz na niebie,
Niechaj i nasz starosta przykład bierze z ciebie:
Na niebie wszystkie rzeczy dobrze są zrządzone;
Księżyc u ciebie żoną: niech on też ma żonę!
Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego!
Naucz swych obyczajów starostę naszego!
Gdy ty na niebo wchodzisz, gwiazdy ustępują,
Gdy księżyc wschodzi, z nim się gwiazdy ukazują.
Siła gospodarz włada, siła w domu czyni:
Ale czeladka lepiej słucha gospodyni.
Niechaj ma żonę: będzie się domu trzymała
Czeladka, nie będzie się często odmieniała;
I nam do dwora będą otworzone wrota, —
Wszystkich do siebie wabi przyjemna ochota.
Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego!
Naucz swych obyczajów starostę naszego!
Ty nas ogrzewasz, ty nam wszystko z nieba dajesz,
Bez ciebie noc, z tobą dzień jasny, gdy ty wstajesz:
Niech i on na nas zawsze patrzy jasnem okiem,
Niech nas z pola w czas puszcza, nie z ostatnim mrokiem!
Starosta. Pietrucho! Prawieś mi się sianem wykręciła!
Ta nahajka mocno się na twój grzbiet groziła.
Kładźcie sierpy, kupami do jedła siadajcie,
W kupach jedzcie, po chróstach się nie rozchadzajcie!

§ 53. Oprócz Szymonowicza, poezya nasza pierwszej połowy XVII w. posiada jednego jeszcze wielkiego artystę; jest nim *jezuita* **Maciej Sarbiewski** (1595 — 1640) z Mazowsza, *najznakomitszy ze*

[1] kraj sukni.

wszystkich poetów polsko-łacińskich, *Horacy polski*, *autor kunsztownych ód łacińskich*, które cieszyły się ogromnym rozgłosem w całej Europie zachodniej. Nie odrazu jednak stał się Sarbiewski artystą. W młodości, będąc jeszcze nauczycielem szkół jezuickich w Krożach i Wilnie, pisywał niesmaczne panegiryki na cześć dobrodziejów swego zakonu, jak np. *panegiryk łaciński na cześć Jana Karola Chodkiewicza* (1619), fundatora szkoły jezuickiej w Krożach. Opowiada poeta, że do Apollona przybiegła Gracya i jęła mu wyrzucać, że jeszcze nie pomyślał o unieśmiertelnieniu sławy Chodkiewicza; zawstydzony Apollon pośpieszył do gryfa, „wodza ptaków pierzastych i zwierząt dzikich“ (Chodkiewicz miał gryfa w herbie), z prośbą, aby rozkazał podwładnym sobie ptakom znosić skarby na pomnik dla wielkiego wojownika i dobrodzieja jezuitów; minął tydzień; Apollon, bawiąc w Krożach(!), patrzy i oczom nie wierzy: pod wodzą gryfa lecą ptaki, niosąc złoto, srebro, spiż, drogie kamienie, marmur; niebawem przybiega Kalliopa i przy pomocy Czci, Sławy i Odwagi buduje pomnik; słońce bieg swój wstrzymało, aby na wieczór robota mogła być skończona; jakoż pod wieczór stanęły nie jeden, ale całe trzy pomniki! Takie to dziwaczne utwory pisywał za młodu Sarbiewski. Lecz, na szczęście, zaszedł zwrot w jego twórczości: jezuici wysłali go na dalszą naukę do Rzymu, i tutaj to, pod wpływem gorliwych studyów nad poezyą starożytną, talent jego nie tylko rozwinął się, ale i wyszlachetniał do niepoznania. Za mistrza obrał sobie Sarbiewski Horacego: na wzór jego ód pisał swoje ody (wydane po raz pierwszy w r. 1625), które okryły go wszechświatową sławą i dały mu imię *Horacego chrześcijańskiego*, ich duch bowiem jest nawskroś chrześcijański, chociaż posługiwania się mitologią pogańską nie wyrzekł się poeta, nazywając np. morze — Neptunem, księżyc — Dyaną, słońce — Febem i t. d. Pięknie, ale niedokładnie przełożył ody Sarbiewskiego Syrokomla.

Ich treść jest różnorodna. Jedne są *panegiryczne*: wielbi np. Sarbiewski papieża Urbana VIII, wynosząc pod niebiosa jego cnoty, zasługi, wiersze i wróżąc mu szczęście wiekuiste w niebie. Inne są *religijne*,— na cześć Matki Boskiej, Jezusa i świętych; z tych najpiękniejszą jest *Oda do Dziewicy Matki*:

Gdy bez Dzieciny oglądam Cię, Panno,
Dziwię się Twojej urodzie:
Zda mi się, widzę jutrzenkę zaranną
W różowych falach na wschodzie.
Gdy zasię widzę Matkę i Pacholę,
To — księżyc w północnych cieniach,
Co złotolity blask na swojem czole
Bierze w słonecznych promieniach.
Gdy zaś Twe Dziecię, o Matko i Pani,
Tulisz rękami do łona,
Jasnaś, jak słońce, co niebom hetmani
W pośrodku gwiazd miliona.

Są i *ody polityczne.* Sarbiewski bolał głęboko nad niewolą narodów chrześcijańskich, jęczących pod jarzmem tureckiem, więc wzywał panujących, aby raz przecie wypędzili Turka z Europy:

Słyszycie? jęczenie nad Istrem [1] zawrzasło:
To dziki Muzułman zatrąbił na rogu,
Aż Alpy z westchnieniem odbiły to hasło:
To wyzew do walki i ludom i Bogu!

Lecz książętom i rycerzom europejskim nie pilno było do walki z Księżycem, i ta ich obojętność względem nieszczęśliwych braci-chrześcijan oburzała Sarbiewskiego: bolesne, silne, pełne zgryźliwej ironii są jego skargi na zniewieściałość i gnuśność, na zanik ducha rycerskiego i męstwa w narodach europejskich:

Napróżno, zimą siadłszy przy kominie,
Cieszyć się będziem uczonymi gwary,
Że Turczyn padnie, że marnie zaginie,
Że zniży k ziemi swe harde sztandary.
Pójdziemyż walczyć!—ale z jakim mieczem?
Broń nasza — cacko, jeno oczy pieści!
Zaiste! Karku wrogom nie rozsieczem,
Gdy miecz złocony, złoto w rękojeści!...
Ozdobny oręż znak to jest złowrogi:
On nic nie zdziała, nic nie zabezpiecza;
Nawet gdy chmurą następują wrogi,
Rycerz się cofnie, bo... mu szkoda miecza...
Na co nam serca? I na co nam miecze?
Więc je przedajmy: ustroim się pięknie
I weźmiem złoto! Gmin „Cześć wam!“ wyrzecze,
Bo gmin ma uszy, gdzie złoto zabrzęknie!...
Szczerze, serdecznie gmin się nam pokłoni,
Padnie na klęczki, kiedy złoto widzi;
Lecz zniknie złoto ze spodlonej dłoni,—
A gmin nas popchnie, zelży i zawstydzi!

Zniewieściałej Europie przeciwstawia Sarbiewski rycerską Polskę, która piersią własną broni chrześcijan przed dziczą turecką; bohaterska wojna chocimska z r. 1621 natchnęła go do napisania *ody patryotycznej p. t. O znamienitem zwycięstwie Polaków nad Osmanem, cesarzem tureckim*: rolnik mołdawski, wyorawszy raz na polu chocimskiem szyszaki i pancerze, przypomina sobie, że kiedyś własnemi oczami patrzał tutaj na bitwę straszliwą, i śpiewa o niej pieśń, wielbiąc nieustraszoną odwagę rycerstwa polskiego.

[1] Ister = Dunaj.

Wszystkie te i inne ody dowodzą, że ich autor był niepospolitym artystą; jest w nich sztuka i świetna wymowa; czego natomiast po większej części nie posiadają, to gorącego uczucia: zazwyczaj wieje z nich chłód. To też większą wartość posiadają te ody, w których poeta wypowiada nie uczucia swoje, ale myśli—o świecie, o człowieku, o jego życiu i obowiązkach, o cnocie,—słowem, *ody refleksyjne*, przypominające pieśni refleksyjne Kochanowskiego (§ 40); ta jednak wielka zachodzi między dwoma poetami różnica, że, kiedy Kochanowski, człowiek świecki, nie żywił bynajmniej pogardy do tego świata, nie stronił od wesołego towarzystwa, nie tęsknił do lepszego życia, Sarbiewski, ksiądz i zakonnik, świat ziemski poczytuje za marność, uciech życiowych unika, szukając samotności, aby się módz bez przeszkody oddawać pobożnym rozmyślaniom, i tęskni do lepszego, wiekuistego życia: pod tym względem podobny jest do Szarzyńskiego (§ 44); najpiękniej wypowiedział tę swoją tęsknotę w *Westchnieniu do ojczyzny niebieskiej*:

Ojczyzna niebios wzrok mój zachwyca,
 Tło firmamentu bogate
I młodociany promień księżyca
 I gwiazdek światło iskrzate.
Światło za światłem miga wesoło,
 Kręgiem tanecznym się waży,
Lampa przy lampie stoi wesoło
 U świętych niebios na straży.
Przykute oczy moje do nieba
 Błądzą, jak goście w tem kole.
Długoż mi jeszcze, długo potrzeba
 Tułać się w ziemskim padole?
Otwórz sie, grobie! otwórz się, głuchy!
 Legnę w tobie bez popłochu:
Zrzucę cielesnych kajdan łańcuchy,
 Strząsnę proch mojego prochu.
Zbędę się mego brzemienia w ciele,
 Zbędę się bólu, zgnilizny
I ducha mego lotem wystrzelę
 Do niebios, do swej ojczyzny!

Oprócz tęsknoty do nieba poezyę refleksyjną Sarbiewskiego cechuje *żywe poczucie piękna natury*, np. w *Odzie do Pawła Kozłowskiego*, w której wzywa poeta przyjaciela, aby porzucił „Palladowe prace“ (t. j. książki) i śpieszył za miasto, by się pięknymi widokami nasycać:

Już dawno ciepłym wiosny oddechem
Wionął na pola wietrzyk majowy,
W krasę wiosenną stroją się łąki,
 Łąki kwieciste, dąbrowy.

Wilia, zasłana statkami z zbożem,
Przez bujne łany cicho się toczy,
A tu, w pobliżu, płynie ze wzgórza
Śpiew ptasząt gwarny, uroczy.
Tam znów pastuszek siadł na kurhanie,
Chwycił fujarkę, dumki wygrywa;
A wiatr na Wilii w żagle uderzył,—
Wioślarz odpoczął i śpiewa...
Na szczyt Łukiszek [1] pójdziem zielony!
Dęby wyniosłe dźwiga na skroniach
I słucha z góry szumu potoków,
Co wartko krążą po błoniach.
Stamtąd ze szczytu, stamtąd z wysoka
Ujrzymy całe Wilno przed nami,
Wilię ujrzymy, co wkoło Wilna
Krętemi płynie wodami. .
I to zamczysko Gedyminowe,
Co na potężnych piętrzy się stokach,
Kapitol Litwy, te baszty, wieże,
Co dumnie toną w obłokach [2].

Piękna natura nie tylko zachwyca poetę, ale go rozmarza: otóż ta *marzycielskość* to zupełnie nowy rys w naszej poezyi, najpiękniej zaś uwydatniła się w ślicznym utworze p. t. *Silviludia (Zabawy leśne)*. Król Władysław IV polował raz w lasach pod Birsztanami (w powiecie trockim); Sarbiewski, jako kaznodzieja nadworny króla, towarzyszył mu w tych „zabawach leśnych", które pobudziły go właśnie do napisania utworu. Właściwie mówiąc, jest to panegiryk na cześć króla: poeta wzywa naturę, by pomagała do polowania królowi i jego dworzanom, zwraca się do wiatru, by orzeźwiał skronie królewskie, do jeziora, by szelestem fal swoich sławę królewską po kraju roznosiło, t. p.; ale w tym panegiryku ślicznie wypowiedział poeta swój zachwyt nad naturą, na którą umiał patrzeć, jak prawdziwy artysta: on wie np., że łąka jest piękna, ale że jeszcze piękniejsza jest wtedy, gdy się rosą srebrzy; żywo odczuwa urok nocy księżycowej i t. d. Ten zaś zachwyt nad pięknem stworzenia budzi w nim uwielbienie ku Stwórcy i rodzi tęsknotę, by jak najprędzej pójść do Niego: „Prędkoż Cię, prędkoż ujrzę w Twoim majestacie? Kiedyż się biedny grzesznik, kiedyż się doczeka oko w oko spojrzeć na Cię?" Co za szkoda, że Sarbiewski po polsku nie pisał!

Do rosy [2]. O roso poranna, miluchna, urocza!
Z jasnego opadasz niebiosów przezrocza
I kwiaty drobniuchne, Listeczki miękuchne
Okrywasz, ubierasz oczkami:

---

[1] Łukiszki — przedmieście Wilna. [2] Przekład księdza Piątkiewicza.

Rozlana po łące w tysiącznych kropelkach,
W zielonem traw morzu, w kwiecistych muszelkach
Przyświecasz do słońca perłami.
O mleko ty śnieżne złocistej jutrzenki!
Jutrzenka swe piersi, złotawe swe pęki
Do drobnych usteczek Kwiatuszków-dziateczek
Troskliwie przytula, jak matka;
A kwiaty dokoła na wargach rumianych
Zawisły przy piersiach jutrzenki różanych,
I wonna się karmi gromadka.
O roso z ogrodów zorzanych błękitu!
Jak czujny ogrodnik, raniutko co świtu
Srebrnymi dzbanuszki Polewasz kwiatuszki,
Odwilżasz ich usta spragnione.
Jutrzenki wschodzącej deszczyku ty cichy,
Kropelki wy drobne, na kwiatów kielichy
Ze skroni niebiosów zronione!
O nocy gasnącej urocze gwiazdeczki,
Kryształki rosiste, niebieskie roseczki,
O gwiazdki świetlane, Po polach rozsiane,
O gwiazdy, o perły, o rosy!
O łezki kwiatuszków, co płaczą nad ranem
Nad nocy-rodziny żałobnym kurhanem,
I ciche ślą skargi w niebiosy!
Hej, roso poranna! Ślad błędnej zwierzyny,
Co rankiem po trawach wracała w gęstwiny,
Zdradź wiernie przed nami: Pewnymi szlakami
W lesiste zaprowadź pomrocza!
Do zwierza kryjówek przez kręte manowce
Po śladach, po tropach wiedź strzelce i łowce!
O roso poranna, urocza!

§ 54. W tym samym roku, w którym umarł Szymonowicz, (1629), zgasł, podczas studyów w Krakowie, w dwudziestej pierwszej wiośnie życia inny utalentowany poeta, również *mieszczanin lwowski*, **Szymon Zimorowicz**, *autor wdzięcznych pieśni miłosnych p. t. Roxolanki*, które wyszły dopiero w lat dwadzieścia pięć po jego zgonie (1654). Śmierć przedwczesna nie pozwoliła dojrzeć jego niepospolitemu talentowi, który się szybko rozwijał i uszlachetniał pod wpływem poezyi Kochanowskiego i Szymonowicza oraz poetów starożytnych; ale i ta malutka spuścizna, którą po sobie zostawił, jest tak piękna, że zapewnia mu bardzo zaszczytne stanowisko w dziejach naszej dawnej liryki: *Roxolanki*, niektóre przynajmniej, to najwdzięczniejsze pieśni miłosne, jakie wydała poezya staropolska, — wdzięczniejszych sam nawet Kochanowski nie wyśpiewał. Jak w *Sobótce* Kochanowskiego panny z Czarnolasu, tak w utworze

Zimorowicza r o k s o l a n k i, t. j. panny z Rusi Czerwonej, a nadto i chłopcy, śpiewają pieśni: a jest tych pieśni nie dwanaście, jak w *Sobótce*, ale sześćdziesiąt dziewięć; wszystkie opiewają jedno i to samo uczucie: miłość, a pomimo to ich treść nie jest jednostajna, bo każda dziewczyna i każdy chłopiec inaczej kocha, inaczej tęskni, inaczej się raduje, inaczej smuci; *ani jeden poeta staropolski nie umiał wyrazić tylu rozmaitych odcieni uczuć młodziutkiego zakochanego serca, co Szymon Zimorowicz.* Zwłaszcza piękne i rozmaite są pieśni panien. Oto np. jedna, Licydyna, wyznaje swoim przyjaciółkom nibyto bardzo żałośnie, że „serce jej zginęło", ale w istocie nie posiada się z radości, bo jej ukochany chłopak znalazł i przytulił do siebie jej stratę. Za to inna, Cicerina, jest naprawdę smutna: widziała z okieneczka, jak ukochany przechodził, ale ani zajrzał do niej! Inna znów, Majoranna, nie kocha jeszcze nikogo, ale ma do tego serdeczną ochotę, byleby tylko znalazł się chłopiec, któryby chciał ją wziąć, a tu, jak na złość, nikt nie chce, pomimo że ona jest przecie i dorodna i posażna i zgrabna. Ale najwięcej wdzięku ma pieśń Bohymnii, świadcząca, że Zimorowicz żywo odczuwał piękność natury: śniegi zamieniają się już w „rzeki wrone", las pokrywa się liśćmi, słowik „gardłeczkiem młodą wiosnę wita", „zezula w głośnym gaju huka"; słowem, cała natura budzi się ze snu zimowego, — więc i w sercu dziewczyny budzi się nadzieja, że ukochany wróci.

Niektóre pomysły zapożyczył Zimorowicz z poetów starożytnych (zwłaszcza z Owidyusza), ale nie brak pieśni zupełnie oryginalnych; są i takie, które powstały prawdopodobnie pod wpływem pieśni *ludowych*. Główną zaletę *Roxolanek*, oprócz muzykalności wiersza i wielkiej rozmaitości zwrotek, stanowi *wdzięk młodzieńczy*, a więc prostota, naturalność i swoboda. Ale są i wyjątki: z n i e k t ó r y c h pieśni odrazu poznać, że Zimorowicz to poeta już nie XVI, ale XVII wieku, są w nich bowiem nietylko poszczególne wyrażenia (np. „gmach serdeczny" zam. serce), ale i całe pomysły nadto sztuczne, nienaturalne; jedna np. panna, śpiewa, że nie zdoła przybyć do ukochanego przez morze łez swoich, „bo wiatr mego wzdychania tak poburzył wody, i żal mój takie wzbudził niepogody, że, niżeli na drugą nadziei mej stronę przyjadę, we łzach własnych, nieszczęsna, utonę". Tak więc w poezyi Zimorowicza są już objawy psucia się smaku estetycznego.

Majoranna. Jużem z pieluch wyrosła I lat panieńskich doszła,
Już mam z potrzebę[1] wzrostu I urody poprostu,—
A nie wiem przecie, Kto mię na świecie Przyjmie w małżeńskie [stadło.
Umiem potrefić włosy I warkocz zapleść w kosy,

[1] tyle, ile potrzeb...

Kłaniam się barzo snadno I tańcuję układno.—
A cóż po tem, Kiedy żadnemu W serce się nie wkradło!
Mam pogotowiu wiano, Posag mi zawiązano.
Obiecali wesele Sprawić mi przyjaciele,—
Ale to fraszka, Gdy młodzieniaszka Nie mam, dziewka stroskana!
Bowiem niczem są szaty, Także posag bogaty,
Lada co obyczaje, Kiedy mi nie dostaje
Ukochanego, Obiecanego Przyjaciela i pana.

Bohymnia. Patrzaj, jak ogniem niebieskim dotknione
Przemijają się śniegi w rzeki wrone:
Kędy po lodzie wóz przejechał brzegi,
Naładowane pływają komiegi[1].
Dąbrowa, nocnej napojona rosy,
Ogołocone z drzew rozwija włosy;
Słowik w selinach[2], gdy zorza zakwita,
Gardłeczkiem ranem[3] młodą wiosnę wita.
Już i zezula w głośnym gaju huka,
Z radości kora na drzewach się puka,
Same fijołki głowy wynarzają[4]
Z ziemie, a na dni piękne poglądają.
A któż, podobny do martwych kamieni,
Kłopotów w piękną radość nie odmieni,
Zwłaszcza w tej chwili, gdy same godziny
Niosą wdzięcznego wesela przyczyny?
A tak przybywaj co prędzej, mój luby!
Bowiem dla ciebie samego me śluby
Chowam gotowe, a prócz ciebie zasię
Nie mam wesela w najweselszym czasie.

Daniło. Czemu narzekają smutno moje strony[5],
Czemu żałobliwie kwili flet pieszczony?
Dla ciebie, nadobna Halino, Dla ciebie, kochana dziewczyno!
Miasto lubych pieśni, miasto słodkiej lutnie,
Muszę ciężko wzdychać, lamentując smutnie:
Niemasz cię, nadobna Halino, Niemasz cię, kochana dziewczyno!
Kędy teraz oczy są powabne twoje,
Z których miłość codzień wypuszczała roje?
Niemasz cię, nadobna Halino, Niemasz cię, kochana dziewczyno!
Już-że to zagasły ust twych ognie żywe,
Któremiś paliła serca natarczywe?
Niemasz cię, nadobna Halino, Niemasz cię, kochana dziewczyno!

---

[1] komiega = statek do splawiania zboża, galar. [2] selina, szelina = gaj. [3] rany = poranny, mlody. [4] wynarzać = wynurzać. [5] strona = struna.

Próżno mój ogródek fijołki pachnące,
Próżno mój różaniec rozwija swe pącze:
Niemasz cię, nadobna Halino, Niemasz cię, kochana dziewczyno!
Gdyby mię Kupido odział swemi póry,
Żebym mógł polecieć przez lasy, przez góry
Do ciebie, nadobna Halino, Do ciebie, kochana dziewczyno!
Najmniejbym się nie bał skrzydłami pospieszyć,
Abym mógł raz oczy tobą me pocieszyć;
Kędyś jest, nadobna Halino, Kędyś jest, kochana dziewczyno?
Lecz próżno cię moje szukają powieki,
Której nie obaczą pod słońcem na wieki;
Dobranoc, nadobna Halino, dobranoc, kochana dziewczyno!

§ 55. Jak poezya, tak i wymowa kaznodziejska w początkach XVII w. posiada jeszcze wybitnych przedstawicieli. Najwybitniejszym jest *dominikanin* **Fabian Birkowski** (1566—1636), rodem ze Lwowa, wychowaniec i profesor akademii krakowskiej, kaznodzieja nadworny królewicza Władysława i towarzysz jego wypraw wojennych. *Jeden to z najznakomitszych kaznodziejów dawnej Polski*, chociaż ze Skargą (którego znał i ubóstwiał i na którego pogrzebie wygłosił serdeczne kazanie) równać się nawet nie może: nie posiadał ani jego powagi i namaszczenia, ani nadewszystko jego rozumu, a stąd, chociaż ojczyznę kochał całą siłą swego gorącego, namiętnego serca, nie miał tak szerokich, jak Skarga, poglądów na jej sprawy. I pod względem piękności kazania jego są bez porównania niższe: noszą już na sobie wyraźne ślady *zepsutego smaku*, co widać już choćby z samych tytułów, np. *Kwiaty koron królewskich nieśmiertelne abo pamięć Najaśniejszego Monarchy Zygmunta III... także pamięć Najaśniejszej Paniej Konstancyej;* język bywa często zbyt pospolity, czasem nawet rubaszny; są i niestosowne anegdoty (dla urozmaicenia wykładu) oraz różne zabawne koncepty; tak np. porównywa Birkowski ś. Szczepana z kogutem, mówiąc, że, jak kogut straszy lwy (!), tak ś. Szczepan straszył złych ludzi; tłumaczy słuchaczom, dlaczego wściekły pies boi się wody i dlaczego kobieta nie ma rozumu; opowiada, że nosorożec, choć srogi, boi się młodej panny, „która, gdy wybieży, przyjmuje go na ręce, a ten, srogość wszelaką złożywszy, głowę skłania i tak, uśpiony, jako baranek, pojmany bywa“, i t. p.

A pomimo to wszystko posiadają kazania Birkowskiego prawdziwy wdzięk: jest w nich i bujna fantazya i uczucie gorące i duch obywatelski; ale główną tajemnicą ich wdzięku jest ożywiający je *duch religijno-rycerski*, ten duch, który mieszkał w piersiach najszlachetniejszych synów owczesnej Polski, Żółkiewskiego np. albo Chodkiewicza. Skarga był kapłanem-obywatelem: Birkowski-kapłanem-rycerzem. Skarga przemawiał do posłów i senatorów, których obowiązkiem było bronić ojczyzny rozumem: Birkowski—do rycerstwa, które broniło jej własną piersią. A jak Skarga miał się za posła bożego, któremu sam Bóg rozkazał gromić „bogów ziemskich“, tak Birkowski mówił, że jest „kolegą bożym w robocie około

zbawienia", „aby wołał i opowiadał rycerstwu ich grzechy". Bo za najpiękniejszą „robotę około zbawienia", za najświętsze powołanie Polaka poczytywał właśnie służbę rycerską; wierzył, że walczący z Turkami „żołnierze do metryki wybranych Pańskich są wpisani", że dusza poległego rycerza idzie prosto do nieba, bo nie może być większej zasługi przed Bogiem, jak poledz w obronie wiary i ojczyzny. To też, w *kazaniach pogrzebowych*, wielbił Birkowski walecznych rycerzy polskich, jako to Jana Karola Chodkiewicza, który siwą głowę w obozie chocimskim położył, Bartłomieja Nowodworskiego, który męstwem swojem nie tylko w Polsce, ale we Francyi i w Afryce, zajaśniał, Stefana Chmieleckiego, którego imieniem matki tatarskie małe dzieci straszyły.

Lecz i do żywych rycerzy przemawiał Birkowski—w *kazanich obozowych*, ucząc ich, jakimi być mają, aby i sławę doczesną i koronę niebieską pozyskać, a jednocześnie gromiąc surowo ich grzechy: nieposłuszeństwo, zniewieściałość, pychę, ździerstwo ubogich.

Ale najznamienniejsze są *kazania tryumfalne*, wygłaszane z powodu zwycięstwa albo na wieść o śmierci którego z wrogów Polski, jako to: *Kantymir basza porażony*, *Dziękowanie za zwycięstwo chocimskie*, *Nagrobek Osmanowi* (sułtanowi tureckiemu, zamordowanemu przez zbuntowanych janczarów w roku 1622); jest w nich i fantazya w opisie bitew i zapał rycerski i gorąca wdzięczność ku Bogu, a nadewszystko jest szalona, niemal dzika, radość z tryumfu ojczyzny a klęski wroga, któremu bez litości, prawie z okrucieństwem urąga Birkowski.

Bo, jeśli silną była w sercu tego człowieka miłość Boga i Polski, to równie silną i namiętną — nienawiść ku wrogom Kościoła i ojczyzny, zwłaszcza ku Turkom, tym „zbójcom niecnotliwym", „psom", co nie umierają, ale „zdychają, jak świnie", i wierzą w Mahometa, „syna dyabelskiego". Nie cierpiał Birkowski i protestantów i, mówiąc o nich, nie przebierał w wyrażeniach, nazywając np. Lutra „plugawcem śmierdzącym". Ale i swoich, Polaków i katolików, nie oszczędzał; owszem, ciął im gorzką prawdę w oczy, oburzając się np. na „panów odrzychłopskich", t. j. uciskających lud. Od rycerza bowiem żądał nie tylko odwagi i męstwa, ale miłości Boga i bliźniego: rycerz Birkowskiego to waleczny patryota i zarazem dobry chrześcijanin.

Kazanie p. t. Nagrobek Osmanowi (*w skróceniu*). Kędyż on Osman, który na to był tak rok [1] przyszedł na granice Polski i rozwiódł się był obozami swoimi od rzeki Prutu aż do Dniestru, od zamku chocimskiego aż do Kamieńca, na to, aby dusze, krwią Chrystusową odkupione, miasto bierni [2] i poboru, wybierał w Koronie polskiej i w wielkiem księstwie litewskiem? Zwiódł był na to wielkie wojsko z Europy, z Azyej, z Afryki; o więtszem myślił naprzez rok [3]. Ci wszyscy na to byli sprowadzeni, aby wydarli Chrystusowi Panu dziedzictwo jego;... na syny koronne chciał położyć pobór brzydki, bezecny bisurman, aby drogiemi du-

[1] przeszłego roku. [2] biernia=danina, podatek. [3] na następny rok.

szami opłacali zdrowie swoje; aby się turczyły, aby się Chrystusa zapierały, aby cnót chrześcijańskich zaniechały, a jęły się wszetecznictw tureckich, zbrodni mahometańskich. Dziękujemy Tobie, Chryste Jezu, iżeś zniósł z karków naszych tego brzydkiego poborcę... Gdy Faraona Bóg w morzu topił, „tańcowały góry, jako barankowie“, mówi Pismo św.; gdy Juliana Apostatę Bóg włócznią swą zabił, morze tańcowało, jako niektórzy historycy piszą, wydzierało się z brzegów swoich i oświadczało radości swoje, które miało, gdy okrutnego tyrana piekło pożarło: toż ja mówię o weselu wszystkiego chrześcijaństwa, nawet i pogaństwa, jako się weselili wszyscy, gdyś ty jeden ginął!...

„Piekło—mówi... Ezajasz św.—pod tobą zatrwożyło się, zwłaszcza gdyś do niego przychodził; tobie kwoli wzbudziło olbrzymy swoje: wszytkie książęta ziemi porwały się z krzeseł swoich, wszyscy panowie narodów; wszyscy-ć odpowiedzą i rzeką tobie: »I ty zraniony jesteś, jako i my, nam podobny stałeś się! zwleczona jest do piekła hardość twoja, upadł trup twój, pod tobą pościel będzie mól, a kołdra twoja będą robacy!«“. Spodziewałeś się podobno witania innego, Osmanie, aniż kiedy miał Nabuchodonozor w piekle: nie potkało cię insze od niego, boś nie robił na lepsze! Przestawaj na takiem, jakiem cię opatrzono teraz i jakiego cnota twoja godna była! Zwiódł cię, jako wszytkich pobratymców twoich, bezecny Mahomet! Spodziewałeś się raju, a w nim rzek czterech: jednej—miodem, drugiej — mlekiem, trzeciej—winem, czwartej wodą płynącej: i jednej z tych teraz nie masz! Masz jednę, która za wszytkie stoi: rzekę ognia i siarki pełną! Tą pragnienie swoje, tyranie, nasyć! nie godzieneś lepszej!... Spodziewałeś się, według obietnice Alkoranu, pałaców i budynków od pereł i od złota: nie dla bisurmanów takie mieszkania gotuje Bóg, ale dla wiernych chrześcijan swych!... Spodziewałeś się bankietów po śmierci przepysznych, fazyanów[1] i ptaków innych smacznych, fruktów wszelakich, któreś miał wolą zbierać, leżąc, pod pięknemi drzewy: masz lichotę i masz ptaki, jakicheś godzien: owe sępy i harpie piekielne, które cię ustawicznie, jako Prometeusza bezbożnego, kłują! masz frukty ogniste, których przełknąć trudno, które gardziel twój dawić będą na wieki!...

Pókiś żył na ziemi, trwogiś puszczał na ziemi, a teraz zatrwożyłeś umarłych w piekle! Ale niedługo tej trwogi było: olbrzymy swoje ruszyło piekło, aby-ć drogę zaszli i witali nowego gościa swego. Porwali się wszyscy do jednego z krzeseł ognistych oni twoi Machmetowie, Selimowie, Solimanowie, Amuratowie i witali cię onemi słowy: „I tyś zraniony, jako i my? i tyś przyszedł do piekła, jako i my? A ona duma twoja kędy, gdyś pod Chocimem niedawno z Karakasem twoim stanął? I Karakas twój, od ciebie łzami polany, dawno między nami i drudzy, ale i ty za nimi, jako widzimy, prędkoś się pokwapił na te miejsca mąk wiecznych!“...

Twoje słowa nagęstsze były: „Zabij! zamorduj!“ Gdy gaurów[2], Kozaków nie stawało, zabijałeś więźniów swoich; sameś nawet w ciągnieniu

[1] fazyan=bażant. [2] gaur, giaur=niewierny (tak mahometanie nazywają chrześcijan).

pod Chocim jednego rotmistrza kozackiego związanego rękoma swojemi ustrzelił, zaprawiając się w katowskie rzemiosło, które związanych bije... Jako wiele poginęło więźniów na rozkazanie twoje! Jako wiele głów zleciało z onej góry przy Chocimie dla uciech katowskich oczu twoich! Ubogie wieśniaki z włości psi tatarscy zaganiali do obozu jego, iżeby od niego pieniądze brali, Kozaki ich przezywali: kazał ich okrutnie mordować, aby krwią niewinną napasł tylo okrutne oczy swoje! Gdy się przez Dunaj przeprawił, przywiedziono mu 40 Kozaków, których na Czarnem morzu było zatopiono: kazał łódź, na której most budowano, obrać jednę miasto klatki i wszytkie one Kozaki wetkać i smołą oblać i, zapaliwszy, po rzece puścić, krotofile sobie czyniąc z śmierci haniebnej więźniów swoich. I miałże długo taki żyć na tym świecie, który tak okrutny?...

Za takie okrucieństwa nizko padł ten Lucyfer, pod powrozy katowskie, cięciwami, jako siatką, przykryty ten ptak, który tak wysoko latał! Latał wysoko ten ptak: na samo niebo chciał wlecieć, Krakowa mu się chciało i kościoła na zamku, Stanisława i Wacława świętych!... Kościoły nasze myślił w swoje meczety... obrócić; chciał po kościołach świętych męczenników, wyznawców szkapami swojemi tańcować; chciał nam obrazy i ołtarze z kościołów brzydki ten poganin wyrzucić i kwoli kalwinistom bezecnym Ofiarę Przenaświętszą do szczętu znieść! Nie pocieszył go Bóg w tęm, co myślił: widzimy w cale kościoły, akademią i szkoły mądrości nietykane, gwiazdy niebieskie, to jest święte Pańskie, w swojej dostojności...

Chciałeś wstąpić na wysokość obłoków i być podobnym Nawyższemu: prostaku Osmanie! nie twoje to dzieło po obłokach skakać! Przyjdzie Ten, który cię już osądził wedle dusze, który karety swoje na obłokach zatoczył, i ukaże się między nimi, gdy sądzić wszytkich będzie i wedle dusze i wedle ciała. Obaczy Go wszelkie oko—i twoje, Osmanie, nieprzyjacielu boży i ukrzyżowanego Chrystusa! Wtenczas zapłaci-ć ze wszytkimi powiatami ziemie, wtenczas poznasz, jaki to Pan, który takie woźniki [1] z obłoków sprząga, który kładzie obłoki wstępem swoim, który chodzi po skrzydłach wiatrów! Niżej, Osmanie! wysokie to karoce na cię!...

Już cię niosą do grobu, do grobu, w którym tak rok udawiony od rąk twoich brat rodzony leży. Wszyscy do lewka zdechłego bieżą, wszyscy zazierają i mówią: „A tenże to mąż (młokos!), który zamącił ziemią, który zatrząsł królestwy, który położył w pustynie okrąg ziemie i miasta jego zepsował i więźniom jego nie otworzył więzienia? Tenże to Osman, który po czterykroć sto tysięcy ludzi do boju gotowego wyprowadził był pod Chocim? Tenże to, który chana tatarskiego z ośmiądziesiąt tysięcy z sobą przywiódł, aby, jako ogar jaki z lasów, ubogie kmiotki wyganiał i wygnane zabijał?“...

Zawyj, Porto turecka—mówi do ciebie prorok—zawyj i zawołaj, miasto carogrodzkie: „Obalony Osman przeklęty, okrutny! Przyszedł dym od Akwilonu [2], gniewy przyszły janczarskie i spahiów [3]—dla Akwilonu, dla

[1] rumaki powozowe. [2] Akwilon=północ, Polska. [3] spahia=pan turecki.

Polaków, dla obozów koronnych nie wziętych, dla mów jego takich ladajakich («Nie żołnierze, ale babym miał pod Chocimem, którzy nie umieli Lachów wziąć!»): nie uszedł-ci dymów tych, zakwasiły mu oczy łakome, gardło bezecne, głupiomówne i harde i okrutne zatłumiły kwasem swoim!"

Połóżmy mu... ten wierszyk na grobie: „Dla tego, iż «Pan grunty założył Syonu i w Nim nadzieję będą mieć ubodzy ludu», —powstał Pan Bóg i skarał okrutnego tyrana Osmana, aby potem pogaństwo wiedziało, iż Pan Bóg o chrześcijanach ma pieczą swoję i staranie ojcowskie!" Ojcze wszelakiego miłosierdzia, bądź pochwalon na wieki! Amen.

§ 56. *Sielanki* Szymonowicza i *Roxolanki* Zimorowicza dowodzą, że tradycya pięknej poezyi XVI wieku nie odrazu zaginęła w XVII. Nie odrazu też ulotniła się z literatury mądrość i szlachetność myśli: widać to z pism *kanonika krakowskiego*, **Szymona Starowolskiego** (ur. s. w końcu w. XVI, um. 1656). Nie posiadał on ani nadzwyczajnych zdolności, ani wybitnego talentu; miał za to dużo rozumu i wykształcenia: party żądzą wiedzy, nie poprzestał na szkołach krajowych, ale trzykrotnie wyjeżdżał zagranicę, skąd przywoził z sobą coraz nowe zapasy nauki; miał nadto dobrą wolę i zacne serce, które krwawiło się na widok nieszczęść ojczyzny; to też *wśród pisarzów XVII stulecia był patryotą najgorętszym i jednym z najrozumniejszych* (chociaż i on, jak tylu innych, wierzył i uczył, że Polska jest narodem wybranym).

Pisał prawie o wszystkiem — dzieła religijne, moralne, polityczne, historyczne i t. d.: *był to pierwszy u nas encyklopedysta czyli polihistor*. Dla obcych pisał po łacinie, dla swoich —po polsku.

Wiedząc, że zagranicą mało co o literaturze polskiej wiedzą, ułożył dla cudzoziemców dwa dziełka: jedno — o sławnych pisarzach polskich wogóle, drugie— o sławnych mówcach. Obznajmiał cudzoziemców i z geografią Polski i z jej rządem, napisał dla nich rzecz o słynnych wojownikach polskich; a kiedy jakiś podły Niemiec ogłosił pismo, będące stekiem niegodziwych oszczerstw przeciwko Polsce, Starowolski dał mu ostrą a rzetelną odprawę. Słowem, *w pismach łacińskich występuje, jako Polak, dbały o godność narodową i dobrą sławę Polski na świecie.*

W pismach polskich jest zacnym nauczycielem własnego narodu, to obznajmiając go z tem, co się w Turcyi dzieje, to ucząc go moralności chrześcijańskiej, to śmiało mówiąc mu prawdę w oczy i wskazując środki do poprawy moralnej i naprawy państwa — w imię miłości Boga i ojczyzny (przez co przypomina Modrzewskiego i Skargę). Tak np. w piśmie *Prawy rycerz* (1648) ubolewa nad upadkiem prawdziwego rycerstwa w Polsce; prawdziwy rycerz powinien, jego zdaniem, *bezinteresownie* służyć ojczyźnie, bronić wiary, pracować na dobrą sławę, słowem być takim, jakimi niegdyś byli uczestnicy wypraw krzyżowych. W innem dziele jaskrawo maluje zdzierstwa, jakich dopuszczają się żołnierze polscy,

którzy przepijają żołd, a potem żyją cudzą krzywdą, łupiąc ubogich włościan; jeszcze w innem wzywa Polaków, aby raz przecie załatwili się z dziczą tatarską, i t. d. i t. d.

Większość swoich poglądów i rad skupił w obszernej rozprawie p. t. *Reformacya obyczajów Polskich* (1645). Jest to bardzo szczegółowy rachunek sumienia polskiego, coś w rodzaju *Kazań sejmowych* Skargi, tylko bez ich piękności i potęgi. Pod pewnym względem nie wznosi się tu autor ponad przesądy swego czasu: twierdzi np., że szlachcic, dbały o dobrą sławę, nie powinien się trudnić handlem; albo np., jako fanatyk, ubolewa, że „nie usłyszy teraz, kogoby o bluźnierstwo i niewiarę na ogień skazano, kogoby o czary, *publice*[1] spalono". Ale w innych wielu poglądach jest wyższy ponad ogół szlachty. Mniejsza o to, że wyrzuca jej pychę i niezgodę, zbytki i pijaństwo, życie nad stan i t. d.; ważniejszą jest rzeczą, że nie boi się mówić, iż złota wolność jest klęską dla państwa i krzywdą dla ubogich: „U nas iż wszystko wszystkim wolno, dlatego zawsze uboższy jest niewolnikiem możniejszego, który go krzywdzi, despektuje, najeżdża..., czego pod Turczynem żaden basza najuboższemu kmiotkowi czynić nie może, bo szyja w tem[2];... Moskwa, gdy im mówiono,... aby się z naszym narodem złączyli i... z nami spólnie swobody i wolności miłej zażywali, odpowiedzieli świątobliwej pamięci księdzu Zadzikowi: «Nie choczem, panie biskupie, waszej wolności, derżyte ją sobie, bo u nas jeden tylko car, co naszem horłem i majętnościami dysponuje, a u was co bojar, to tyran»!". Nie waha się również Starowolski wyrzucać szlachcie ucisku chłopów i zdzierstw, popełnianych przez starostów, „którzy, co wiedzieć, jakich ciężarów, robocizn i podatków nie wkładają na ubogie poddane królewskie", oraz przez panów, „którzy, podróżą z gromadnymi orszakami czyniąc, nie płacą w gospodach, a ich gwardye niekarne, przez wsi albo miasteczka jadąc, co jeno po drodze potkają, porwą: gęś, kurę, barana, ser, masło, kiełbasy, chusty i wszelakie naczynia domowe, chłopu do komory wpadłszy". Nie zapomina i o upadku rzetelnej oświaty, stwierdzając tę smutną prawdę, że ludzi uczonych przestano szanować w Polsce XVII w.: „My, grubi Sarmatowie, nie znając się na... drogich perłach nauk..., filozofią błazeństwem, a filozofy i wszystkie ludzie uczone żakami, bikami[3],... a ludzi dobrych, cnotliwych błaznami nazywamy". Nie poprzestaje jednak autor na wytykaniu wad i grzechów, ale podaje szereg pomysłów do naprawy państwa: sądownictwa, wojska, finansów i t. d. Lecz, jak niegdyś Modrzewski, tak i Starowolski wątpił, czy go naród posłucha, dlatego też lękał się o przyszłość ojczyzny: „Czego się lepszego nad Rzymiany i pograniczne narody spodziewać mamy? Nic zapewnie inszego, jeno takiegoż upadku i takiejże zguby ojczyzny, jako i insze naro-

[1] publicznie. [2] bo życiem zapłaci. [3] bik=drągal, próżniak.

dy, co przed wieki sławą, męstwem, bogactwy, rozumem i szerokością panowania słynęły... Co rok, to gorzej: uciski wielkie, niezmierne zdzierstwa, łupiestwa, rozbójstwa, mężobójstwa, potwarzy, krzywoprzysięstwa, gwałty, najazdy". Ale pocieszał się Starowolski wiarą w miłosierdzie boże, które jednak wówczas dopiero na Polskę spłynie, kiedy się ona poprawi: „My, którzy *confidimus in Domino* [1],... mamy tę nadzieję, że, gdziebyśmy się jeno poprawić umyślili,... tedyby nie wzgardził pokorą naszą Ociec miłosierny, ale owszem na wszytkiemby nam hojnie błogosławił i dał dobre lata, pokój, zgodę, miłość i zwycięstwo z nieprzyjaciół Kościoła swojego świętego".

Ale nadzieja się nie ziściła, i, zamiast „dobrych lat", przyszły lata okropne: wybuchły wojny kozackie, a potem szwedzkie. I dożył Starowolski tego upokorzenia, że króla szwedzkiego, Karola Gustawa, musiał oprowadzać, jako kanonik krakowski, po podziemiach Wawelu; stanąwszy przy grobowcu Łokietka, odezwał się do Karola: „Ten-ci jest król polski, którego losy przeciwne potrzykroć tron opuszczać zmuszały, wrócił nań jednak i królem naszym umarł"; „Wierzę — odparł Karol — ale za to wasz Jan Kazimierz, któregom orężem swoim z tronu spędził, już nań z pewnością nie wróci!"; a na to Starowolski: „*Fortuna variabilis, Deus mirabilis*" [2]. W rok niespełna powrócił Jan Kazimierz do Krakowa!.

Uczucia swoje i myśli z owej strasznej epoki, kiedy to Polska, zdawało się, już już kona, wypowiedział Starowolski w krótkiej, ale bardzo pięknej, napisanej prozą, ale pełnej poezyi elegii patryotycznej p. t. *Lament utrapionej Matki, Korony polskiej, już już konającej, na syny wyrodne, złośliwe i nie dbające na Rodzicielkę swoję*. Nieszczęsna Matka-Polska, czując, że już umiera, gorzko wyrzuca swym synom wyrodnym, że czarną niewdzięcznością odpłacili jej te hojne dobrodziejstwa, jakiemi ona ich obsypała; i za to pokarał ich Pan Bóg wojną i niewolą moskiewską, szwedzką, tatarską. Lecz w sercu Matki żal długo trwać nie może: ona kocha swoje dzieci, choć wyrodne, więc składa żal z serca i, jakby zapominając o nieprawości swych synów, pyta żałośnie Boga, za co ich tak pokarał; poczem uderza w modlitwę błagalną—o miłosierdzie. A na tę modlitwę daje Pan Bóg odpowiedź, że zmiłuje się nad Polską, ale wtedy dopiero, kiedy „wysmaży wszytkie nieprawości tego ludu złośliwego, że nie zostanie, jeno brant [3] cnoty samej chrześcijańskiej". I oto wstępuje otucha w serce Matki: już nie rozpacza, nie jęczy, ufna w miłosierdzie Boga i w poprawę niedobrych, ale nieszczęśliwych, dzieci. Z wyjątkiem *Kazań Sejmowych* Skargi (których *Lament* jest poczęści naśladowaniem), w całej literaturze staropolskiej niema utworu, w którymby miłość ojczyzny

[1] ufamy w Panu. [2] Fortuna zmienna, Bóg cudowny. [3] wytopiony z rudy, czysty metal.

przemówiła z taką rzewnością i z tak rozdzierającym smutkiem; tylko szlachetne i kochające serce może się zdobyć na tak bolesny jęk.

Lament utrapionej Matki *(w skróceniu).* Nieszczęsna matka, schodzę z tego świata, nie rozrządziwszy dziatek moich! Umieram w boleściach i frasunkach, nie dawszy błogosławieństwa złośliwym synom moim! Kończę naznaczony z nieba kres wieku mojego, nie mając, ktoby mi z potomków moich ręką łaskawą zawarł oczy, w słup idące, przy skonaniu, ktoby po wyjściu ducha mojego zaniósł mię do grobu, jako matkę, żałobliwie zapłakawszy, i, ludzką pobożnością wzruszony, rzucił bryłkę ziemie do grobu mojego, abo ktoby, wspomniawszy na wdzięczność, żem tak wielu niegdy zacnych synów spłodziła, mogiłę nade mną, jako nad Wandą królewwną, abo rękawkę [1], jako nad Krakusem królem, na wieczną potomnym czasom pamiątkę usypał i napisał, piramidę jaką zacną abo kolumną marmurową wystawiwszy:

Tu Polska leży, złością wyrodków zgubiona,
Przy niej i złota wolność oraz pogrzebiona;
W tymże dole i święta katolicka wiara
Zakopana i cnota przodków naszych stara.
Obłuda i niestworność, swawola zbyteczna,
Pycha, nieposłuszeństwo i chciwość wszeteczna
Wszytkich stanów ludzi i herezyje sprośne,
A przytem opresyje żołnierskie nieznośne —
Utrapioną ojczyznę gwałtem umorzyły,
Jaszczurcze — pry [2] — potomstwo matkę swą zabiły.
Ty, co przemijasz tędy, czytelniku miły,
Jeśli cnotę miłujesz, proszę, tej mogiły
Nie mijaj bez wiernych łez, westchnienia gorzkiego,
A użal się serdecznie upadku mojego.

Uboga albowiem matka, *filios enutrivi et exaltavi, ipsi autem spreverunt me* [3]: Wychowałam syny koronne w dostatkach i obfitości wszelkiego dobra: a oni lekce sobie poważyli żyzność moję. Porównałam je godnością szlachcica ze wszytkimi tytułatami [4] pogranicznymi: a oni, wzgardziwszy rycerską dostojnością, książęce i margrabskie nazwiska kupować sobie u postronnych panów poczęli. Obdarzyłam je wolnością taką, jakiej okolicznych narodów najwyższych tytułów panowie nie mają: a oni, ją nizacz sobie mając, niemieckich rządów jarzmo na szyję swoję zaciągnęli. Oświeciłam ich wiarą świętą powszechną katolicką: a oni poszli sobie szukać nowych sektarzów opinii, nauką apostolską wzgardziwszy...

---

[1] rękawka=kopiec, usypany rękami. [2] prawi, mówi. [3] Wychowałam syny i wywyższyłam, a oni mię wzgardzili (słowa Izajasza). [4] tytułat=posiadający tytuł (dostojność).

Wystawiłam im szkołę w mieście stołecznem, aby się w niej wszelkich nauk wyzwolonych, wszelkich cnót, doskonałości i wszelkiej pobożności chrześcijańskiej ćwiczyli: a oni, królewską akademią wzgardziwszy, do Wittemberku, do Lipska, do Lejdy i do Genewy się udali, gdzie wszelakiej niebożności, swejwoli, chytrości i obłudy nauczyli się.

Założyłam im ćwiczenie rycerskie na Ukrainie, wojsko kwarciane postanowiwszy: a oni, zaniedbawszy męstwa sławnych przodków swoich, nie pod namiotami w polu, ale po miasteczkach, w izbach i chłodnikach [1] lata swoje trawili... Coście się czynili [2] bohaterami, to, usłyszawszy tylko o nieprzyjacielu, zostajecie tchórzami, a ujźrzawszy go przed sobą, ręce opuściwszy, zaraz z placu uciekać będziecie... Nie będziecie mogli ręku podnieść na nieprzyjaciela i broni nie będziecie mogli dobyć na niego, żeście ubogich chłopków niemi bili niewinnie i siekli w domach ich okna, stoły, skoble i kłódki do komór... Będziecie się zbiegać do gromady, zapomniawszy się od strachu, pytając sąsiad sąsiada, przyjaciel przyjaciela: „Dla Boga! Co się dzieje? czemu się nie możem oprzeć nieprzyjacielowi? czemuśmy tak pobledli od strachu, lubo jeszcze daleko jest od nas?“...

Obciążaliście poddane wasze gorzej, niżli egipską niewolą: ponoście ją teraz sami, mając panami cudzoziemców nad sobą; i co się każdy z was czynił królem nad poddanymi swoimi, to teraz znajcie króla nad sobą, który będzie umiał ochełznać swąwolą waszę, *absolute* [3] rozkazując;... i coście w purpurach się nosili, abyście knechtom jego trzewiki robili; coście się stroili w tabiny [4] ze złotem, abyście smołę palili i pod wagą oddawali z wiosek waszych; a małżonki wasze, co, się w klejnoty ustroiwszy i bławaty różne, ni o czem, jeno o delicyach, o zbytkach wszelakich myśliły, to teraz piechocie pończoszki robić muszą i oddawać je pod liczbą, jako czyjej wiosce na kartce naznaczą... Jedni pójdą w niewolą do Moskwy, do Szwecyej, do Tatar, a drudzy na wygnaniu w nędzy i w zniewadze od sromoty pomrą,—tak księża, jako i świeccy, tak szlachta, jako i mieszczanie, jako też i chłopkowie... Nikt się przed karaniem Pańskiem nie umknie, nikt się bez szkody i utrapienia nie najdzie, tak senator, jako i biskup, tak zakonik, jako i kupiec, tak Żyd, jako i heretyk, tak arendarz, jako i pan dziedziczny, tak żebrak, jako i rolnik, tak rzemieśnik, jako i przekupień... Rozproszą się, jako mrówki, Lachowie moi—po Śląsku, po Węgrzech, po Wołoszech, po Siedmigrodzkiej ziemi, a ziemia ich pójdzie na szarpaninę różnym narodom... „Bo ja—powiada Pan przez Jeremiasza—przywiodę na nich wszytko złe z północka i plagę nieznośną, że nie chcą opuścić złych nałogów swoich!“... Jak skoro obaczą

[1] chłodnik = miejsce zacienione, altana. [2] czynić=udawać. [3] nieograniczenie. [4] tabina=kitajka jedwabna.

nieprzyjaciela następującego, zaraz się polękają wszyscy, straci serce i król i senatorowie jego, stracą śmiałość i żołnierze i pospólstwo, zgłupieją od strachu kapłani, umilkną kaznodzieje, nikt do do męstwa nie pobudzi obywatelów, nikt do obrony ojczyzny nie zwabi synów koronnych, nikt do pokuty za grzechy nie napomni,— opuszczą ręce wszyscy i tak jeno będą oczekiwać plagi, od Boga naznaczonej, nic o sobie nie radząc.

Co się też właśnie stało... i tak nam Ruś odjęto, Litwę opanowano, Mazowsze, Prusy i Polskę wszytkę pod jarzmo niewolej wzięto, a my się przecię poprawić nie chcemy i nieprzyjacielowi odjąć się nie myślemy, lubo nas rabują, pustoszą i zabijają, jako bydło nieme... Długo nam Pan Bóg folgował, a nie chcieliśmy się obaczyć... „Oczekiwałem — mówi Pan przez Izajasza — aby też Polska obaczyła się i czyniła sąd i sprawiedliwość na swoich sejmach, trybunałach, grodach i ziemstwach, alić, miasto poprawy, co dzień, to większą niesprawiedliwość, większe ukrzywdzenie ubogich, których płacz przebijał do mnie niebiosa“...

Cóż wżdy, Panie, synowie moi tak złego uczynili, żeś ich dał na pośmiewisko narodom wszytkim, żeś ich dał pod jarzmo tak odległemu nieprzyjacielowi, o którym ledwie kiedy słychać było na świecie?... Pobudziłeś na nas wszytkie sąsiady nasze do wojny, wszytkie okoliczne narody naśmiewają się teraz z synów przezacnej niegdyś Korony polskiej, którzy straszni bywali wszytkim pogranicznym sąsiadom, nawet i odległym pogańskim monarchiom!... Widzisz, Panie, jako bluźnierskie narody, heretyckie, odszczepieńskie i bisurmańskie, pogwałcili Kościoły Twoje, pomordowali kapłany Twoje, pozabijali tysiącami sług Twoich, w wierze świętej katolickiej trwających...

Odpuść nieprawości ich, jako Bóg miłosierny!... Wspomni na miłosierdzie Twoje nieskończone, a oddal tę plagę od narodu Twego wybranego!... Wspomni na prostotę starych Polaków onych, którzy w szczerości serca mandatów Twoich świętych przestrzegali, którzy od przyjęcia wiary katolickiej zawsze się za Kościół Twój Święty i za wszytko chrześcijaństwo pogańskim narodom zastawiali!... Niech oczy nasze widzą zemstę niewinnie rozlanej krwie wybranych sług Twoich od krzywoprzysięgłych sąsiadów naszych! Niechaj ciężki płacz i wzdychanie pobranych w niewolą córek i synów koronnych przeniknie boskie uszy Twoje, że w tem zagniewaniu Twojem na Polskę wspomnisz na miłosierdzie Twoje, jako Ociec łaskawy i dobrotliwy, — abym ja, utrapiona matka, po karaniu dziatek moich wysławiała przed światem wszytkim, *quantas ostendisti mihi tribulationes multas et malas et conversus vivificasti me et de abyssis terrae iterum reduxisti me* [1]...

---

[1] Jako wielkie uczyniłeś mi uciski mnogie i złe, a nawróciwszy się, ożywiłeś mię i z przepaści ziemskich zasię wywiodłeś mię (Psalm 70)

Jakoż już miałam zginąć, Polska, dla nieprawości potomków moich, a Tyś mię, Boże, wyrwał wszechmocną ręką swoją z przepaści śmierci. Podałeś mię sąsiadom moim nielitościwym: Sudermanowi, Moskwicinowi, Tatarzynowi i rebelizującemu[1] Kozakowi, ale na skaranie tylko, nie na zgubę, na wykorzenienie zbytków i swejwoli dziatek moich, ale nie zatracenie i wyniszczenie imienia polskiego...

Odpowiada Pańskiem imieniem... psalmista święty i mówi· „Sąsiadów twoich krzywoprzysięgłych, którzy powstali na cię o Sarmacya niezwyciężona, rozproszy Bóg zastępów wielmożną, ręką swoją;... skarze i buntowników kozackich i zdrajców ojczyzny wszytkich wyniszczy:... ale pierwej skarze złości synów twoich swawolnych“... Mówi przez Izajasza Pan: „Nie zlituję się, Korono polska, nad tobą, aż się pierwej zemszczę despektu[2] mojego, żeście mandata moje znieważyli, aż wyniszczę tych wszytkich, którzy Kościół mój sprofanowali, aż wysmażę wszytkie nieprawości tego ludu złośliwego, że nie zostanie, jeno brant cnoty samej chrześcijańskiej. Dopiero wam przywrócę przełożonych ludzi sprawiedliwych i pobożnych, jacy bywali za przodków waszych; dopiero dam senatorów mądrych, poważnych, jakicheście za starych wieków miewali; dam i pokój pożądany, którymeście gardzili pierwej, i tron pomazańca waszego utwierdzę;... będą się rebelizanci lękać twarzy jego, i zdradliwi poddani, którzy go nienawidzili, nie będą śmieli ukazać się przed majestat jego; poganie będą się strachać imienia jego, i wszyscy obliczni[3] nieprzyjaciele jego będą rzucać bronie i chorągwie swoje pod nogi jego: abowiem wszechmocna ręka moja będzie przy nim zawsze obecna, i zastępy moje niebieskie będą stawały na posiłek w każdym boju, gdy się kto targnie na niego. Ale pierwej omyjcie łzami nieprawości wasze, upokórzcie się przed majestatem moim, żałujcie za grzechy, pokutujcie, żyjcie poczciwie!“...

Ratuj nas sam, Boże, Zbawicielu nasz, w tych utrapieniach naszych, abowiem próżno się mamy spodziewać ratunku z Rakus, próżno i ze Francyej, mało nas wesprą i włoskie obietnice i kumanie się z Perekopem, nic nie pomogą Wołosza, Węgry i Siedmigrodzianie, byśmy ich najbarziej prosili, bo się oni teraz cieszą z nieszczęścia naszego, jako i wszyscy inszy pograniczni! W samym tylko Bogu nadzieja a w pokucie świętej, do której gdy się z szczerego serca udamy,... z nieba otrzymamy posiłki, z nieba dadzą nam męstwo, śmiałość, siły i serce nieustraszone, że, jakeśmy teraz po te lata sromotnie uciekali dla grzechów naszych, tak, za pomocą Najwyższego, gdy się poprawiemy w cnocie, będą przed garstką naszych uciekały niezliczone hufce nieprzyjaciół naszych...

---

[1] rebelizujący = powstańczy. [2] despekt = zniewaga. [3] obliczny = obecny.

Obrońco nasz niezwyciężony, Chryste Zbawicielu, wejźrzy na pokorę ludu Twojego utrapionego, którzy wszytkę ufność swoję i nadzieję w Tobie pokładają, że, przyjąwszy płaczliwe modlitwy nasze, wyrwiesz nas z paszczęki nieprzyjaciół naszych! Wejźrzy i na pomazańca Twojego, KAZIMIERZA, króla naszego, który do Ciebie samego ucieka się o ratunek!...

A że jesteś, Panie, z natury twojej boskiej *patiens et multum misericors*[1], proszę, uboga matka Polska, już już konająca, przepuść grzechy dziatkom moim, zewsząd utrapionym, a gniew Twój boski wylej na pogany niewierne, na heretyki złośliwe, na schizmatyki uporczywe!... A syny tej zacnej Korony, po rozmaitych krainach rozproszone, zgromadziwszy do ich ojczyzny, pokojem pożądanym racz miłosiernie opatrzyć i błogosławieństwem Twojem niebieskiem!..

§ 57. Smutniejsze jeszcze świadectwo, niż Starowolski w *Reformacyi obyczajów*, wystawił swemu społeczeństwu magnat wielkopolski, wojewoda poznański, smutnej pamięci **Krzysztof Opaliński** (1610 — 1656), *najznakomitszy satyryk XVII w.* Był to człowiek wykształcony (uczył się zagranicą), rozumny, zdolny, nie pozbawiony nawet szlachetnych popędów: cóż z tego, kiedy zaślepiały go szalona pycha magnacka i duma szatańska, silniejsze od głosu sumienia i miłości ojczyzny, i one to popchnęły go naprzód do wichrzycielstwa, potem zaś do jawnej zdrady: mając osobistą urazę do Władysława IV, haniebnie go szkalował, a urażony na Jana Kazimierza, że go o radę nie pyta, wichrzył w obozie pod Beresteczkiem; wreszcie, kiedy Radziejowski naprowadził Szwedów na Polskę, wydał Wielkopolskę w ich ręce i podpisał kapitulacyę pod Ujściem.

Wybitne stanowisko w literaturze zapewniają mu pisane białym wierszem *Satyry albo przestrogi* (1650). Poezyi niema tu ani na lekarstwo, wiersz — lichy, język — nie tylko pospolity, ale rubaszny, czasem nawet plugawy, upstrzony makaronizmami (które pan wojewoda innym wytykał). Miał za to Opaliński dar spostrzegawczy, czasem — siłę oburzenia oraz dowcip złośliwy (ale rubaszny), a nadewszystko miał wcale niepospolity rozum polityczny, to też jasno zdawał sobie sprawę z anarchii w Polsce; miał wreszcie i odwagę cywilną (bardzo naturalnie: on, który się ani Boga, ani dyabła nie bał, jakże się miał ludzi lękać!) i nie wahał się piętnować nawet najdroższego skarbu szlachty — złotej wolności.

Treść satyr jest bogata. Nie oszczędził autor nikogo: ani króla, ani hetmanów i innych dostojników, ani szlachty, ani duchowieństwa. Złe wychowanie dzieci, opłakany stan szkół, ciemnota

[1] cierpliwy a wielce miłosierny (Psalm 144).

duchowieństwa; zepsucie obyczajów, życie nad stan, pijaństwo, oziębłość w prawdziwem nabożeństwie obok dewocyi, brak miłosierdzia dla ubogich; nieposzanowanie władzy króla, „który Polakom nigdy nie wygodzi"; bezsilność praw wskutek słabości władzy wykonawczej; niekarność wojskowa i brak fortec pogranicznych; przedajność urzędników (zwłaszcza sędziów); pustki w skarbie i t. d.; słowem — okropna anarchia; nadto upadek miast, przemysłu, handlu oraz straszny ucisk chłopów: oto treść satyr, które składają się na ponury, rozpaczliwy obraz ówczesnej Polski. Czasem wprawdzie przesadza Opaliński, jakby chcąc zohydzić własną ojczyznę, mówiąc np., że wszyscy rycerze wobozie, a wszyscy posłowie i senatorowie w sejmie są pijani, albo np., że na dworze Władysława IV trzeba się mieć na baczności przy obiedzie, aby wraz z potrawą arszeniku nie połknąć: ale, po większej części, satyry mówią, niestety, prawdę—bolesną, upokarzającą, ale prawdę.

Z poszczególnych satyr wyróżniają się przedewszystkiem te, które charakteryzują stan wychowania i oświaty. W satyrze *Na złe ćwiczenie i rozpusuną edukacyą młodzi* opisuje autor tryb wychowania bogatego panicza: w dzieciństwie pieszczą go, „papinkami karmią: uchowaj, Boże, inszej potrawy dzieciątku, tylko co się na *ątko* zwykło terminować[1], jako to: gołębiątko, kurczątko, cielątko"; „po różnych przymówkach i krewnych i przyjaciół" posyła ojciec swego gagatka do szkoły, „przykazawszy surowie i pedagogowi i tym, którzy są przy nim, aby długo sypiał, aby rózga na ciałku jego nigdy nie postała". „Rośnie Jaś, jak cielątko, będzie wołek z niego"! W szkołach nie nauczy się niczego, ale rodzice unoszą się nad jego uczonością i dla dokończenia edukacyi wysyłają go zagranicę, gdzie czasu nie traci: nauczy się grać, śpiewać, tańczyć, „*à la mode* chodzić, stroić i wszystko czynić po francusku"; po powrocie „już mu i Polska śmierdzi i wszystko w niej gani; o Francyi powiada, o damach, baletach, nic nie umie, tylko łgać a udawać rzeczy; w zwierciedle ustawicznie, ni tam małpa jaka, muszcze się, goli brodę i dwa razy na dzień;... prezumpcyi[2] nazbyt, którą ma o sobie, że grzeczny, że uczony, że wszyscy błaznowie, tylko sam nie".

Surową, ale słuszną krytyką szkół krajowych jest satyra *Na tych, co się sobie mądrymi i uczonymi zdadzą:* „Chłopca przez siedm lat bawią samą gramatyką, którą, jako papuga, trzepie bezrozumnie"; za najwyższą mądrość uczą go poczytywać „*macaronice* mówić"; prócz łaciny, liznął jeszcze trochę tego i owego i przechwala się:

. . . . „Umiem wszystko!
„Naprzód jestem astrolog: piszę minucyje,
„Znam i wiem bardzo dobrze, co *ephemerides*[3]

---

[1] kończyć. [2] prezumpcya=zarozumiałość. [3] minucye, ephemerides—kalendarze astrologiczne.

„Jestem przytem *orator*, jakiego tu niema
„Kraj ten, ba, wszytka Polska. Umiem oracyje
„Pisać z inszych złożone szumnych oratorów...
„Jurysta ze mnie szumny: czytałem *ius* [1] w szkołach!“
Hala, hala! Dosyć-ci! Byś jednę rzecz dobrze
Z tych umiał, mógłbyś się tem, miły, kontentować:
Ale pono u ciebie — jakoż tak jest właśnie —
Ex omnibus aliquid et ex toto nihil: [2]
Taka w tobie nauka, taka twoja mądrość,
Mój miły astrologu, miły oratorze,
Filozofie, jurysto, medyku *et nihil!* [3]
Pódź jeno do obcych ziem: nauczysz się, co to
Człowiek uczony albo nadto człowiek mądry.
Tu, u was, gdy kto sobie łaciną pomaże
Gębę, zaraz uczony, zaraz człowiek godny.
Nie dziw, że *inter caecos monoculus rex est* [4]...

Złośliwym dowcipem odznacza się satyra *Na teraźniejsze w różnych zakonach obyczaje.* Zarzuca tu autor zakonnikom, że nie zachowują ślubów posłuszeństwa, ubóstwa i czystości obyczajów; gniewa się, że mnichów w Polsce jest za dużo (niechby szli do krajów zamorskich nawracać pogan!), ubolewa nad upadkiem kaznodziejstwa: „Teraz, miasto nauk duchownych, powiadają bajki jakieś albo historyje żartowne i nie wiem co tylko; błaznują czyli każą, trudno i rozeznać; ot, uszy tylko bawią, a gdy na kazanie przyjedziesz, stanie-ć za jednę szczyrą krotofilę“. Wejdzie mnich na ambonę „odmie się, jak półtora nieszczęścia,... uformuje postawę i cerę [5], jakoby trzeciego dnia gadał z Panem Bogiem“; wreszcie zaczyna się kazanie. We wstępie jest wszystko, czego dusza zapragnie: i zodyak niebieski i astrologia i cytaty z różnych uczonych,— „kleju, dla Boga, kleju do tego kazania!“ Następuje część pierwsza, „część niepospolita, słuchaczom niepojęta, kaznodziei skryta“: a są w niej bezsensowne koncepty i dykteryjki oraz cytaty z historyka (!!) Pindara, z poety rzymskiego (!!) Demostenesa i t. d. Teraz ma się zacząć część druga, ale autor woła: „Przebóg! Nie zabijaj! Dosyć było drew w pierwszej! Stój tak, stój dla Boga!“

Z satyr, wymierzonych przeciwko anarchii, jedną z najlepszych jest *Na ogołocone ściany w obronę*, t. j. na bezbronność granic Rzeczypospolitej (wskutek braku fortec i wojska). Słusznie mówi Opaliński, że chyba tylko jakimś cudem Polska jeszcze istnieje; trywialny, ale trafny jest pomysł, że

---

[1] prawo. [2] ze wszystkiego coś, a z całości nic. [3] i nic. [4] pomiędzy ślepymi i jednooki jest królem (na bezrybiu i rak ryba). [5] cera=mina.

Zgoła tak sobie z nami Bóg więc zwykł poczynać,
Jako który pan z błaznem. Gdy błazna opadną
Chłopięta, jeden go w zad uszczypnie, drugi go
Zakole, gdzie najgorzej; błazen się opędza
I wrzeszczy raz, drugi raz; cierpliwie pan słucha,
Aż też, gdy chłopcy błazna nazbyt obracają
I nie dadzą wypocząć, pocznie wrzeszczeć, gębę
Aż po uszy rozdarłszy, że się też naprzykrzy
Panu onem wrzeszczeniem: dopieroż zawoła
Na chłopcy: „Chłopcy, ciszej! długoż tego będzie?“
A chłopcy — w kierz, odbiegą błazna i igrania.
Tak pan Bóg czasem czeka, aż nieprzyjaciele
Do woli się ucieszą, zewsząd obracając
Mizerną naszę Polskę. Dopiero gdy nazbyt
Naprzykrzą się i onej i Jemu samemu,
Zawoła: „Ciszej, Turcy! ciszej, Tatarowie!“
A Turcy — w kierz i oraz inszy bisurmańcy.
Opatrzność zgoła boża nad nami, Polaki!...

Ale i Bóg przestanie wreszcie pomagać tym, którzy, spuszczając się na Opatrzność, sami sobie nie pomagają: „nierządem Polska stoi i— nierządem zginie!“

Lecz najsilniejszą i najboleśniejszą jest satyra *Na ciężary i opresyą chłopską w Polszcze* — jaskrawy obraz ucisku ludu wiejskiego.

Na ciężary i opresyą chłopską w Polszcze.

Rozumiem, że Bóg Polski za nico nie karze
Więcej, jak za poddanych srogą opresyją
I gorzej, niż niewolą, — jakoby chłop nie był
Bliźnim nie tylko twoim, ale i człowiekiem.
Serce się oraz lęka, skóra drży, wspomniawszy
Na tę niewolą, która cięższa, niż pogańska.
A! dla Boga, Polacy! czyście oszaleli?
Wszystko dobro, dostatek, żywność, wszystkie zbiory
Z waszych macie poddanych; ich ręce was karmią:
Przecię się tak okrutnie z nimi obchodzicie?
Wielbłąd — tak powiadają — nad siły nie nosi
I, kiedy go najuczą, że przeładowanym
Być się poczuje, zaraz tamże się położy
I wstać nie chce. Opak tu: bo nad przyrodzone
I boskie prawa chłopek wytrzymać to musi,
Co mu pan na ramiona włoży, by miał zdyszeć!
Łają i kaznodzieje, łają spowiednicy,
Piekłem grożą; nic na tem! Sami to biskupi
Przez swoich ekonomów czynią i prałatów,
A bodaj i nie więcej! Ma szlachcic ubogi
Zasłonę, kiedy widzi, że przedniejszy grzeszą!

Naprzód, jakie ciężary w samych robociznach!
Gdzie bywało dwadzieścia kmieci albo więcej,
Tam ich ośm abo dziesięć, a przecię to zrobić
Każą dziesiąci, co ich dwadzieścia robiło!
Gdzie przedtem wychodziło ludzi po jednemu
Z domu, potem i po dwu, po trzech i po czterech,
Gdzie dwa dni albo i trzy robili w tygodniu, —
Teraz nie mają czasem wolnego żadnego.
Gdzie wolny szynk piw bywał, zwłaszcza w księżych dobrach,
Teraz i to odjęto, i pić każą piwo,
Któremby same trzeba dyjabły truć w piekle!
Rzeczesz: „Ale mam dziatki, mam i różne spezy!“ [1]
Wszytko to złych duch weźmie i zbiory i ciebie
I dzieci; bo taki zbiór nie zwykł bywać trwały!
Nie wspominam zaś zdzierstwa, które z chłopów czynisz!
Powiedzą słudzy, czeladź: „Chłop tu jest bogaty,
Ma bydła, owiec, inszych dobytków niemało“.
—„Znidzie się to na kuchnią!“ — Zrodził mu się jęczmień,
Pszenica, — „i ta dobra na piwo dla gości!“
Zgromadził też, nieborak, grosz jeden i drugi, —
„I ten się na wydatki znidzie!“ Szyją buty
Chudzinie. O przyczynkę nie trudno! Winują
Stem, drugiem grzywien chłopa, ledwie że i dusze
Nie wydrą z niego! Czemu? że jest najbogatszy!
O drugim zaś powiedzą: „Ma roli dostatek
„I dobrej“. — „Znidzie się to na folwark: wziąć mu ją!
„Ba, i wszystkich pozrzucać z ról, a folwark tamże
„Założyć!“ — Stanie się to w jednymże tygodniu.
Płaczą chudziny ociec, matka, dzieci, wszyscy,
Do nieba tylko krwawe skargi posyłając
I tam żądając zemsty, która, nie leniwa,
Jeśli nie na tym, tedy onym następuje
Świecie, kędy oddadzą sowicie złem za złe.
A my przecię nie dbamy, bo baczyć nie chcemy,
Co się z nami po śmierci dziać będzie, ani też
Piekła widziemy, ani o niem pamiętamy!
Ale spyta kto: „Jużeś wszytko wypowiedział?“
Stu gąb i stu języków — i to jeszcze mało —
Potrzebaby na słuszne chłopskich opresyi
Wyrażenie. Jeszcze mam kilka ich powiedzieć.
Kiedy wiosna nastąpi, a deszcz ustał w maju,
Czarownice przyczyną! Zdechł wół jeden, drugi,
Albo tam co z przychowków,—czarownice winą!
Każą tedy niewinną babę wziąć i męczyć,

[1] speza=wydatek.

Aż ich z piętnaście wyda! Ciągnie kat i pali,
Aż powie i powoła wszytkie, co ich we wsi;
A baba, dziw, że pana z panią nie powoła,
Którychby raczej spalić za to, że niewinne
Męczyć i tracić każą swoich bez przyczyny!
I tak nie będzie we wsi trzydzieści człowieka,
A piętnaście pogłowia spalą! Co, dla Boga,
Za przyczyna? Pan chory i niema wskórania,
Schnie, i dzieci mu często umierają w domu;
Jakoby i suchoty i śmierć przyrodzone
Nie były i zesłane od Boga samego!
Nie wspomnię, jacy w takim sądzie zasiadają:
Chłopstwo głupie, ławnicy, albo i ci, którzy
Przyczynkę jaką mają na niewinnych chłopków!
Ale azaż nowina i nie z tej przyczyny
Męczyć ludzi? Urzędnik da chłopa obiesić, [1]
O czem nawet pan nie wie. Ale cóż wżdy zrobił?
Ukradłże co, czy zabił? jestże świadek jaki?
Żadna o głowę ludzką zwłoka nie jest długa:
Wżdy poczekaj i uczyń wprzód inkwizycyją! [2]
„Na co inkwizycyja? Chłop to i poddany!"
— To poddany nie człowiek? — „Ej nie, daj mi pokój!
„Wiem, co czynię!" Znajdzie się drugi, co piątnuje,
Co bije do umoru, co w tarasie [3] zgnoi,
Co rózgami siec każe, jako dzieci w szkole,
Sędziwych i poczciwych starców bez przyczyny!
Będzie czasem stąd pretekst, że nie piją w karczmie,
Choć złe, choć kwaśne piwko, choć się wszem złym godzi.
Powiem, bo też zamilczeć trudno. Gdym raz jachał
Przez pewne wsi, kazałem piwa wynieść z karczmy.
Wyniesiono. Spytam się: „Takież u was piwo
„Zawsze bywa?" Powiedzą: „I sto razy gorsze,
„A przecię je pić musim, bo pan karczmarzowi
„Oddaje pewną liczbę beczek do tygodnia,
„Za które karczmarz musi oddać mu pieniądze,
„Lub wypijem, lubo nie! Karczmarz zaś dochodzi
„Na nas straty, dobrze to wprzód obrachowawszy,
„Wiele rozmiarów przyjdzie na każdego chłopa.
„Jeśli w karczmie nie będzie, zaniosą do domu
„One piwa rozmiary! Pij, choć złe, a nie chcesz,
„Wylej choć świniom, przecię zapłać karczmarzowi!"
Toż i z owsem i z mąką i z solą, z śledziami
Czynią, którymi chłopy coraz zarzucają!

---

[1] obwiesić. [2] inkwizycya = śledztwo. [3] taras = więzienie.

O, sroga opresyja, nigdzie nie widziana!
Chłopka takim przyciskać ciężarem, który to
Księdzu, Rzeczpospolitej, panu, żołnierzowi,
Urzędnikom, pisarzom, klechom, sługom pańskim,
Hajdukom i kozakom, dzieciom swym i żenie
Dawać musi ustawnie z ubogiego szpłachcia! [1]
Drą go w mieście i w karczmie, we dworze, w kościele
Ledwie że nie ze skóry, a przecie pociągać!
Włodarze sami, o mój Boże, co więc czynią
I jako z chudzinami często wymyślają!
Czemu? bo tak pan kazał: pana trzeba słuchać!
I te-ć to opresyje onych dawnych wieków,
Po wypędzeniu Ryksy drapieżnej i z synem
Kazimirzem, sprawiły, że się wszytko było
Poddaństwo zbuntowało na swe własne pany;
Stądże musieli pierzchać i kryć się po lasach
I po różnych pustyniach, tak księża, biskupi,
Jako i kasztelani i wojewodowie,
Gdy ich chłopi szukali, dochodząc krzywd swoich!
Też ciężary Pawluków, Muchów, Nalewajków,
Buntowników i teraz krwawej nabawiły
Wojny i srogiej hańby ojczyznę, ba, mało,
Nie ostatniej już zguby, gdy Bóg to *flagellum* [2]
Przez chłopy zesłał na nas, karząc oczywiście
Wprzód klęską i więzieniem hetmanów, a potem
Brzydką i desperacką ucieczką [3], nakoniec
Sromotnym i zelżywym pokojem ojczyznę!
Per quae bowiem *quis peccat*, *per eadem* także
Punitur [4]. Doznaliśmy, ach! doznali tego!
Zamykam, jakom zaczął: że Bóg Polskę karze
Najwięcej za poddanych, ba, i karać będzie,
Jeżeli się, Polaku, nie obaczysz kiedy!

§ 58. Satyrykiem był i brat Krzysztofa Opalińskiego, *marszałek nadworny*, **Łukasz Opaliński** (1612 — 1662), rozumem i nauką bratu nie ustępujący, a przewyższający go znacznie wartością moralną: i on wprawdzie wichrzył przeciwko królowi (na sejmie r. 1638), ale potem opamiętał się i był wiernym sługą Rzeczypospolitej. Z kilku pism jego dwa zwłaszcza zasługują na uwagę: broszura polityczna i satyra.

Broszura, upstrzona makaronizmami, ale bardzo mądra, najmędrsza ze wszystkich pism politycznych XVII w. wyszła bezimiennie p. t. *Rozmowa plebana z ziemianinem* (1641). Do ziemianina przychodzi w odwiedziny pleban, i obydwaj boleją nad tem, że się w Polsce coraz to

---

[1] szpłacheć = kawałek roli. [2] bicz, chłosta. [3] pod Piławcami. [4] czem kto grzeszy, tem będzie ukarany.

gorzej dzieje. Pleban, przez którego usta przemawia sam autor, tłumaczy ziemianinowi, że *główną przyczyną anarchii jest słabość władzy królewskiej, a więc jej wzmocnienie jest głównym środkiem ratunku Polski*: „Jako zepsowania Rzeczypospolitej jedna jest przyczyna, że się daleko od pierwszego ustanowienia oddaliła, tak naprawa nie może być insza, gdy się do niego powróci, t. j. pod władzą więtszą i panowanie królów, *którego teraz cień i godność władzy próżna*". Tej prawdy nikt od czasów Skargi nie zrozumiał i nie wypowiedział tak jasno, jak Ł. Opaliński. Ale, naturalnie, ziemianin oburza się na to: „Nie chcę, nie chcę tej poprawy! Wolę zwyczajny nasz nierząd, byle przy wolności... Rzeczpospolita nasza żadną miarą nie da się do tego przywieść, aby w swobodach swych jakie ubliżenie ponosić miała". Pleban, widząc, że głupiego szlachcica nie przekona, wypowiada pogląd już umiarkowańszy, ale także bardzo mądry: jeżeli główną władzę w Polsce ma sejm, to niechże przynajmniej ten sejm odbywa się porządnie, z planem i ładem! Nie dosyć na tem: radzi pleban (chociaż trochę nieśmiało), aby odebrać sejmikom prawo unieważniania uchwał sejmowych, bo inaczej sejm nie będzie miał powagi ani znaczenia. Rady to najmędrsze, najgłębsze w całej literaturze XVII w.!

Ale ich nie usłuchano: w lat jedenaście po ukazaniu się tej broszury nastąpiło pierwsze *liberum veto*. Napiętnował je Ł. Opaliński w satyrze, pisanej naprzemiany prozą i wierszem, a wydanej także bezimiennie, p. t. *Coś nowego, pisanego Roku tysiąc sześćsetnego Pięćdziesiątego wtórego. Drukowano w Koziej Głowie, Kiedy miesiąc był na nowie, Kosztem zaś pana jednego Z bractwa Pilawieckiego; A drukarnię zaś zakryto, Boby drukarza zabito*. Może nie mylił się autor: możeby zabito drukarza, gdyby go znano, a i autorowi, gdyby nazwiska swego nie ukrył, może nie uszłaby na sucho ta satyra, rąbiąca szlachcie w oczy cierpką prawdę. Mniejsza o to, że Opaliński szydzi niemiłosiernie z głupich akademików krakowskich i ciemnych zakonników, że bez litości ośmiesza długie a głupie mowy sejmowe; nawet o to mniejsza, że drwi z tych, co uchodzą za szlachciców, nie mając do tego prawa: ważniejszą jest rzeczą, że ostro napada na wolność szlachecką i jej źrenicę — *liberum veto*:

. . . . Na sejmie każdemu
Wolno zgubić ojczyznę! — Jakoż to? — Bo wolno
Nie pozwolić obrony, nie dać mówić o niej,
Nad dobrem pospolitem mścić się swej urazy,
Pretekstem prawa swojej dochodzić prywaty,
Sejm zawieszać; nakoniec wolno i rozerwać,
Zwłaszcza, gdy całość wszystka Rzeczypospolitej
W dyskrecyi jednego jest *posła z Upity*!...

Lecz najciekawszą część satyry stanowi sarkastyczny opis ucieczki z pod Pilawiec w r. 1648, kiedy to przeszło 200000 wojska polskiego

uciekło na wieść, że Chmielnickiemu przyszedł na pomoc Tuhaj-bej, powitany przez hetmana kozackiego strzałami armatnimi. Bez litości piętnuje autor tę sromotę, krwawo szydząc z jej winowajców i uczestników:

Nowa sromota i nienagrodzona
Hańba Polakom! Ziemia opuszczona
Wszej Ukrainy, w której chłop nasz hardy
Panuje, pełen i gniewu i wzgardy.....

Zawołano: „Tatarowie!“
Aż moi w nogi panowie!
I, kopije porzuciwszy
I ledwie szabel dobywszy,
Wszyscy prawie tył podali...
Wszystkim hałas daje puchu [1],
Właśnie tak, jako gdy: hu! hu!
Zwykle na wilki wołają,
Gdy przede psy uciekają!
Za nowym regimentarze
Wodzem, z nimi komisarze,
Jadą śpieszno i panowie,
Waleczni bohaterowie!
Jedzie rycerstwo co żywo,
Niemcy, dragoni — nie dziwo? —
Gonią wodzów, pułkowników,
Rotmistrzów i poruczników.
Uchodząc, siła szeptali
Do siebie, bowiem mniemali,
Że za nami Tatarowie:
Jak się to głosem ozowie,
Trwoga, bojaźń i strach srogi
Przyprawia skrzydła do nogi.
Ktoby krzyknął: hałła! hałła,
Duszaby go odbieżała...
Nie cięży brzuch ani sadło;
Choć się cały dzień nie jadło
Ani spało przez dwie nocy,
Dosyć jest sił, dosyć mocy!...
I ten zasię panicz chudy...
Pędzi skoczno albo leci,
A za nimi, kłusząc [2], trzeci
Mówi: „Ręka nas dotknęła
„Pańska i rozum odjęła!“
Takto więc zawsze mówimy
Kiedy co sami pokpimy.

§ 59. Na nieszczęście nie posłuchała szlachta ani zacnych rad Starowolskiego, ani mądrych przestróg Opalińskich. Do serca przypadł jej inny pisarz, marszałek owego nieszczęsnego sejmu roku 1652, *obrońca złotej wolności i liberum veto, kasztelan lwowski i wojewoda podolski*, **Andrzej Maksymilian Fredro** (1621 — 1679). Dziwny to człowiek: miał zdolność i bystrość umysłu i dar spostrzegawczy i niemałe wykształcenie; miał i serce szlachetne, gorąco ojczyznę kochające: podczas wojen kozackich własnym kosztem wystawił dwie chorągwie; cóż z tego, kiedy nie posiadał równowagi umysłowej: w jego *pismach łacińskich*, obok myśli zacnych i rozumnych, są poglądy tak głupie, jakgdyby ich autor był waryatem, i tak potworne, jakgdyby ich autor był zdrajcą ojczyzny. Dowodzi np. Fredo, że tron obieralny jest lepszy od dziedzicznego: przecie, jeśli król jest dobry, to po jego śmierci naród i tak syna jego obierze; o tem, że bezkrólewie jest klęską dla państwa, Fredro zapomina. Lecz są myśli jeszcze głupsze: *liberum veto* jest błogo-

[1] t j. wszyscy, słysząc huk armat, poczuli się tak lekkimi (do ucieczki), jak puch. [2] kłusać=kłusować.

sławieństwem dla Polski, ono to bowiem sprawia, że głupia większość nie rozkazuje mądrej mniejszości (!!); nie przyszło Fredrze jakoś na myśl, że dzięki *liberum veto* głupia albo podła mniejszość rozkazuje mądrej albo szlachetnej większości! Ale szczytem tych absurdów jest pogląd, że Polska póty będzie potężna, póki nie będzie miała fortec, póki będzie istniało *liberum veto*, póki skarb będzie świecił pustkami i t. d. Trudno uwierzyć, żeby takie brednie głosił człowiek o zdrowych zmysłach! *Dzieła polityczne Fredry są świetnym wyrazem i dowodem ogłupienia politycznego szlachty XVII w.*

Po polsku napisał Fredro jedno tylko dzieło, krótkie, ale niepospolite: *Przysłowia mów potocznych* (1658). Pisze w przedmowie, że są te przysłowia „na przysługę polskiego języka wypisane, polską własnością brzmiące, w niewielu kartach, jako w małej bryle funt dobrego złota". Ma słuszność. Jego przysłowia są naprawdę przysługą dla języka polskiego, bo autor, wielki miłośnik mowy ojczystej. władał nią pysznie, cieszył się jej bogactwem i karcił tych, co ją pstrzyli makaronizmami. Są dalej te przysłowia „uwagą głębokie", często w małej bryle zawierają funt złota: w krótkich, jędrnych zdaniach nieraz mieszczą myśl głęboką, bo Fredro znał dobrze świat i ludzi. Oto przykłady: „Wielkie rzeczy zamilknieniem najlepiej się mówią". — „Najlepiej o Bogu mówi, kto nie mówi, lecz podziwieniem dokłada". — „Cóż po tem wiedzieć, co się w Rzymie działo, a nie wiedzieć, co się dzieje doma?" — „Nie wskrzesi racya zguby". — „Własne rzeczy afektem, nie rozumem się sądzą". — „Spokojna myśl — najlepsze ludzkie szczęście". — „Łatwiej o dyskurs, aniżeli o rzecz". — „Z swojem na czoło, z cudzem do kąta, choć dobre". — „Odległością opinia roście". — „Prawdy a żartów, jako soli, zażywać, bo prędko przesolisz". — „O pracy a o nędzy najsmaczniejszy dyskurs, póki jej kto nie pokosztuje". — „Wielka jest różność umieć samemu co, a umieć tegoż nauczyć kogo".

Te i inne jeszcze przysłowia stosują się do wszystkich wogóle ludzi i narodów; ale są i „polską własnością brzmiące", t. j. takie, które stosują się przedewszystkiem do nas, np.: „Większa niewola, gdzie się wszystko wszystkim godzi, niżeli gdzie nic nikomu": tutaj ma Fredro na myśli naszą złotą wolność. „Na jednego kara, a postrach na wszystkich": w Polsce nawet zbrodnia uchodziła często bezkarnie, więc nie było postrachu. „Są, którzy Rzeczpospolitą w kieszeni chowają, — rzeczono na tych, u których pospolite dobro tak dalece w cenie, jako ich własna zasięga kieszenia": jest to doskonała charakterystyka prywaty polskiej. „Kto mówi: «Nierządem Polska stoi», sam ma nierząd w głowie": święta prawda, ale sam Fredro, dowodząc użyteczności *liberum veto*, uczył, że nierządem Polska stoi, a zatem...

Ale nie wszystkie przysłowia, „polską własnością brzmiące", są mądre; mówi np. Fredro: „Którzy Polacy Polskę ganią, tacy ją najprędzej zagubią: kto co gani, tego nie kocha; czego nie kocha, o to nie dba". Nieprawda: Skarga kochał Polskę, jak nikt za jego czasów, a ganił ją tak surowo, jak nikt! W tem przysłowiu (a i w wielu innych) Fredro jest nauczycielem fałszywego, głupiego patryotyzmu!

§ 60. Wielu pisarzów pierwszej połowy XVII w. wzoruje się jeszcze na literaturze wieku złotego: Szymonowicz np. piękność swego języka zawdzięcza po części Kochanowskiemu; *Roxolanki* Zimorowicza są w pomyśle swoim naśladowaniem *Sobótki* Kochanowskiego; Starowolski bardzo często powtarza myśli Modrzewskiego i Skargi. Lecz jednocześnie, także *już w pierwszej połowie XVII w., są pisarze, którzy szukają nowych dróg dla swej twórczości i wzorują się na literaturze narodów romańskich, zwłaszcza na włoskiej*. Te zaś literatury już w XVI stuleciu posiadały całe mnóstwo poematów i powieści rycersko-fantastycznych. Z poematów najznakomitsze są dwa, obydwa włoskie: *Orland szalony* Ariosta i *Jerozolima Wyzwolona* Tassa; treścią pierwszego są różne przygody fantastyczne rycerza, który oszalał z miłości; treścią drugiego — pierwsza wyprawa krzyżowa pod wodzą Gotfryda de Bouillon. Obydwa te poematy przełożył na język polski bratanek Jana z Czarnolasu, **Piotr Kochanowski** (1566—1620); *Orland szalony* pozostał w rękopiśmie (w całości ogłoszono go dopiero r. 1905), natomiast *Goffred abo Jeruzalem wyzwolona* doczekał się już w XVII w. trzech wydań (pierwsze 1618). Przekłady te, dokonane na wzór oryginału oktawami, chociaż tu i owdzie niekoniecznie wierne, są śliczne, zwłaszcza przekład *Jerozolimy*. A jej treść— walki chrześcijan z Saracenami, życie obozowe, niebezpieczeństwa i trudy wojenne, a nadto miłość rycerzy, np. miłość bohaterskiego chrześcijanina Tankreda ku pogance, cudownie pięknej i walecznej Kloryndzie—ta treść była nowością dla czytelnika polskiego, rozbudzała w nim fantazyę, otwierając przed nią świat nieznany a uroczy. To też Piotr Kochanowski, choć tylko tłumacz, położył niemałe zasługi w historyi poezyi polskiej: pod wpływem przełożonej przez niego *Jerozolimy* powstawały w wieku XVII samodzielne poematy epiczne, opiewające życie rycerskie; ślady jej wpływu są widoczne jeszcze w *Grażynie* Mickiewicza.

Zawitały do nas z zagranicy i powieści fantastyczne—o królewwnach zaczarowanych, o królewiczach błędnych, o awanturach nadzwyczajnych. Do najpoczytniejszych należała przerobiona z francuskiego powieść wierszowana **Hieronima Morsztyna** p. t. *Historye ucieszne o zacnej królewnie Banialuce* (na początku w. XVII), pełna przygód tak dziwacznych, że aż imię bohaterki poszło w przysłowie: „pleść banialuki“ znaczy to samo, co „pleść koszałki-opałki“.

Jakiś królewicz zabłądził w lesie na polowaniu, aż ujrzał pałac wspaniały; chociaż strzegły go lew i niedźwiedź, dostał się jakoś królewicz wraz z giermkiem do wnętrza, ale nie zastał nikogo. Niebawem powraca z wycieczki właścicielka pałacu, urocza Banialuka: zrazu nie posiada się ze złości na widok nieproszonego gościa, ale wkrótce potem „gniew swój opuściła i na jego twarz gładką ochotniej patrzyła“, poczem opowiada królewiczowi swoje dzieje: przed rokiem, po śmierci obojga rodziców,

uczyniła ślub, że przez całe trzy lata nie będzie patrzała „na insze ludzie, tylko na swój fraucymer"; więc opuściła strony rodzinne i zamieszkała w tym oto pałacu. Tymczasem zastawiono ucztę: „tu dzika zwierzyna, owdzie się z misy kurzy tłusta cielęcina, sam jarząbek w rosole, indyk do podlewy"; podczas uczty „żądło gładkości" królewicza tak „nielitościwie zraniło" Banialukę, „że jakoby siedziała we mdłości", i nawzajem „żądło gładkości" Banialuki zraniło królewicza. Ale czas wracać do domu: na pożegnanie królewna daje królewiczowi połowę pierścienia na znak, że za nikogo innego za mąż nie wyjdzie. Królewicz wraca do domu, ale codzień Banialukę odwiedza. Aż dowiedziała się o wszystkiem jakaś królewna, która już dawno królewicza kochała, i ślubuje zemstę: jej ochmistrzyni-czarownica wręcza giermkowi królewicza zaczarowane jabłko z rozkazem, aby, gdy znów do pałacu Banialuki z królewiczem pojedzie, dał mu je zjeść. Królewicz zjadł i zemdlał: nadbiega Banialuka, naciera „pachniącemi ziółkami" pulsy, wodą „zakrapia uschły język jego", — wszystko na nic; nie pomogły ani „całowania", ani „milusieńkie przytulania": królewicz leży, jak nieżywy, zrozpaczona Banialuka odjeżdża. Dopiero po jej odjeździe wytrzeźwiał królewicz i powrócił do domu. Nazajutrz było jeszcze gorzej: królewicz znowu przyjechał, znowu zjadł jabłko, i „większe go dziś, niż wczora, boleści objęły,... jęczał, leżąc, i mruczał i zgrzytał zębami, pianą parskał i brzydko wywracał oczami". Zbolała Banialuka, myśląc, że to Bóg ją karze za złamanie ślubu, opuszcza pałac i powraca w swe strony rodzinne; nagle „piorun rozpalony uderzył na on pałac,... gromy straszne trzaskały, wichry popędliwe czynią znagła ruiny w pałacu straszliwe". Huk piorunu obudził królewicza; teraz dopiero domyślił się on zdrady giermka, zabił go, poczem powędrował w świat szukać Banialuki. Idzie do do świętego pustelnika i pyta, czy nie wie, gdzie królewna; pustelnik nie wie, zwołuje wszystkie zwierzęta, którym panuje,—nie wiedzą. Królewicz idzie do drugiego pustelnika, jeszcze świętszego, który rozkazuje ptakom. Zlatują się ptaki:

Struś *krzyczał*, żóraw *strukał*, a pawy *wrzeszczały*,
Feniks *się śmiał*, bociany nosem *klekotały*,
Bażant *piał*, a bąk *bączał*, *kraczą* ślepowrony...
Plegotały kaweczki, sroki *szczegotały*...
Sowy *huczały*, puszczki z puhaczem *wołały*,
Drop *ksykał*, głuszec *puchał*, dudkowie *dudały*,
Grały cietrzewie, a ich cieciórki *kokały*...
Ciurkał dzięcioł, wróbel *świerkał*, *strzykały* chróściele,
Słowiczek *lamentował*, a pardwa *kokciele*...
Psykali czyżykowie, kwiczoły *piskały*,
Drozdy *skrzypią*, a żołny niemiło *skrzeczały*,
Zięba *cin-cin*, sikora *ta-ra-ra* przydaje,
Strzyżyk *ci-ci*, a więcej głosu mu nie staje.

Ale i ptaki nic nie wiedzą. Królewicz idzie do trzeciego pustelnika, już najświętszego, który rozkazuje wiatrom: wiatry wiedziały, i jeden

z nich zanosi królewicza do królestwa Banialuki. Tu w tajemnicy godzi się królewicz na ogrodnika w pobliżu zamku Banialuki. Kiedy czas żałoby po rodzicach Banialuki minął, zjeżdżają się rycerze na turnieje: kto zwycięży, ten rękę królewny otrzyma. Zwycięża, naturalnie, królewicz, ale nie wyjawia jeszcze, kto jest, tylko zawija ową połowę pierścienia w papier i każe wręczyć obecnej na turniejach królewnie. Kończy się na weselu: królewicz obejmuje państwo Banialuki, obiecując swym poddanym, że uszanuje wszystkie ich wolności, — niby król polski, zaprzysięgający *pacta conventa*.

§ 61. Z poetów, którzy się wzorowali na poezyi włoskiej i francuskiej, największy talent posiadał *poeta miłości*, **Andrzej Morsztyn** z sandomierskiego (ur. około r. 1613, zm. 1693), wielki bywalec, który zjeździł całą niemal Europę zachodnią, dworzanin Władysława IV i Jana Kazimierza, gładki dworak i ulubieniec królowej Maryi Ludwiki (żonaty z jej damą dworską, Katarzyną Gordon, Angielką), podskarbi wielki koronny, zręczny, giętki i czynny dyplomata; człowiek wykształcony i doświadczony, posiadający niemały rozum polityczny, bystro przewidujący skutki anarchii, słabości władzy królewskiej i obieralności tronu, pragnący też przekształcić państwo polskie na wzór potężnej i rządnej Francyi, w której dziedziczny król posiadał władzę nieograniczoną; ale człowiek bardzo lichy, intrygant i niemal zdrajca ojczyzny, skoro wichrzył przeciw królowi Michałowi, zamiast którego byłby wolał widzieć na tronie Kondeusza, a potem, za Sobieskiego, przekupiony przez Ludwika XIV, starał się unicestwić zamiar zawarcia przymierza Polski z Francyą; nie dziw, że się go ojczyzna wyparła, że na stare lata musiał Morsztyn uchodzić z Polski, aby kości na obcej ziemi złożyć.

Pochłonięty sprawami publicznemi, Morsztyn dorywczo tylko mógł się poezyi poświęcać; w jednym wierszyku mówi, że „sobie w domu gędził, aby zły humor odpędził", t. j. przyznaje się, że *poezyę poczytywał jedynie za rozrywkę*. A szkoda, bo *talent miał niemały, chociaż niesamodzielny, — nie twórczy, tylko przetwórczy*: znając i lubiąc poezyę rzymską, nadewszystko jednak włoską i francuską, bądź tłumaczył jej utwory, bądź przerabiał, bądź naśladował; drukiem swych poezyi nie ogłaszał, wiedząc, że nie pozna się na nich ogół, nie znający literatury obcej i nie lubiący cudzoziemczyzny, że podobać się mogą jedynie garstce panów i dworzan królewskich; ci bowiem zasmakowali w cudzoziemczyźnie—za przewodem Władysława IV, który, dzięki odbytym w młodości podróżom po Europie, polubił obyczaje obce (przepadał np. za operą włoską), a więcej jeszcze za przewodem królowej Maryi Ludwiki, księżniczki francuskiej, od której przyjazdu zaczął się szerzyć u nas wpływ cywilizacyi francuskiej (obejmując jednak zrazu tylko najwyższe warstwy społeczeństwa). Otóż *poezya Morsztyna ma charakter dworski, cudzoziemski*, jest owocem wpływów obcych, poczęści francuskich, a głównie włoskich.

Jako dworzanin i wierny sługa królowej Maryi Ludwiki, kobiety rozumnej, dążącej do wzmocnienia władzy królewskiej w Polsce, Mor-

sztyn popierał jej zamiary nie tylko czynem, ale i piórem: przetłumaczył wierszem znakomitą tragedyę Corneilles'a *Cid*, która obfituje w sentencye moralne i przestrogi, zalecające, pomiędzy innemi, wierność i nieograniczone posłuszeństwo królowi; *pierwsza to tragedya francuska, przełożona na język polski*—wcale udatnie; odegrano ją na dworze królewskim podczas sejmu (1661).

O królowej i jej mądrych planach nie zapomniał Morsztyn i w powieści poetycznej, p. t. *Psyche* (ogłoszonej drukiem dopiero w końcu XVII w.). Pewien król miał trzy córki, z których najmłodsza, Psyche, była tak cudownie piękna, że ludzie przestali czcić nieśmiertelną Wenerę, woląc składać hołdy śmiertelnej Psysze. Zawrzała gniewem bogini i uknuła zemstę, której wykonanie pragnie powierzyć synowi swemu, Amorowi; szuka go więc po różnych krajach, ale znaleźć nie może, ani nawet przypuszczając, że Amor bawi sobie najspokojniej... w Warszawie, na dworze Maryi Ludwiki. Znalazła go wreszcie Wenera i rozkazuje mu wynosić się z Polski, lecieć do Psychy i zranić jej serce strzałą miłości ku „brzydkiemu chłopu". Ale stało się inaczej: ujrzawszy Psychę, rozkochał się w niej Amor i wziął ją za żonę — pod warunkiem, że nigdy nie będzie się starała dowiedzieć, kogo ma za męża. Lecz, podmówiona przez siostry zazdrosne, dowiedziała się, i Amor zagniewany porzucił ją. Zrozpaczona Psyche szuka Amora po świecie, ścigana przez Wenerę, aż nakoniec, opadając z sił, „myszka trafiła do łapki": sama oddaje się w ręce Wenerze. Ta znęca się nad nią okrutnie: „w złotych warkoczy gęstwinę niemiłosierne zapuściwszy palce, ciągnie z pośmiechem zbieganą dziewczynę przez dworzec, przez drzwi, przez progowe walce"; „potem, zmieszawszy zboża i nasienia różnego, kupę niebodze odmierzy i rozkazuje, żeby bez mruczenia w osobne kupki, a w kilka pacierzy, wszystkich zrobiła równe podzielenia, pierwej niżli się wróci od wieczerzy"; spełnia Psyche tę robotę—przy pomocy dobrych mrówek (które, naturalnie, Amor posłał jej na pomoc). Poczem przynosi wełny złocistej z dzikich, straszliwych baranów, przy pomocy trzciny, „natchnionej własnym duchem Kupidyna", która radzi jej, by czekała, póki barany nie zasną: „wtenczas po krzakach zbieraj wełnę, którą tam zostawiają, trąc się o nie skórą". Wreszcie z nurtów rzeki, której „źródła w piekle się schowały", przynosi wody—przy pomocy orła, który, „wydarłszy jej flaszkę w swe pazury, wzbija się od niej aż na sam wierzch góry i tam, śmiertelną napełniwszy wodą, oddaje nazad zupełne naczynie". Ale Wenerze jeszcze mało: Psyche musi iść do piekła, aby przynieść od Prozerpiny „bielidła, którem się piękną Plutonowi czyni". Idąc za radą gadającej wieży piekielnej, i to zadanie spełnia Psyche: wraca z puszką, ale zdjęta „białogłowskim ciekawym humorem", nie wytrzymała, otworzyła puszkę i—padła bez zmysłów. Ocucił ją Amor, który już dawno złożył gniew z serca, i, zmiękczywszy prośbami serce Wenery, wyznał swą miłość Jowiszowi, Jowisz, „pogłaskawszy synaczka pod brodę", do reszty ugłaskał Wenerę która „chętnie przyjmuje Psychę za synową".

Powieść ta, osnuta na jednem z najpiękniejszych podań greckich, nie jest oryginalna: jej główne źródło stanowi utwór poety włoskiego, Mariniego, którego Morsztyn to przerabiał, to tłumaczył. Oryginalnym jest tylko ustęp o dworze Maryi Ludwiki, której nie szczędzi poeta pochwał: „Przewyższa wielką fortunę umysłem, umysł rozumem, rozum wszelką cnotą; jako nad bajką i pięknym wymysłem, zdziwi się przyszły wiek nad jej robotą, nad zdrową radą, nad mieszkiem nieścisłym, gdy między stany stwierdza zgodę złotą albo zachęca na nieprzyjacioły, albo funduje szpitale, kościoły... *Chce za żywota*, łaską dzięków godną, *wczesnie opatrzyć królem te dziedziny, lecz i w tem Polskę znajduje niezgodną. Nie wal na prawo, o Polaku, winy: chciwość, niesłowność, praktyki i płonne nadzieje w zguby pędzą cię nieschronne*".

Najchętniej pisywał Morsztyn wierszyki drobne, jako to zagadki, epigramaty, komplementy dla dam dworskich, oraz dowcipne, ale często swawolne fraszki; głównie jednak opiewał miłość, jak to widać z dwu zbiorów jego poezyi, które w rękopiśmie podarował na pamiątkę dwu swoim znajomym Zbiór pierwszy, ofiarowany koniuszemu koronnemu, Aleksandrowi Lubomirskiemu, ma dziwaczny tytuł: *Kanikuła albo psia gwiazda* (1647); zawarte tu poezye pisał Morsztyn z nudów, kiedy bawił raz w stepach naddnieprzańskich podczas „kanikuły", t. j. podczas strasznych upałów letnich, kiedy to w nocy świeci na niebie kanikuła, t. j. psia gwiazda. Zbiór zaś drugi, podarowany Łukaszowi Opalińskiemu (§ 58), ma napis *Lutnia* (1661), ponieważ tak właśnie zatytułował swoje poezye ulubiony poeta Morsztyna, Marini. Otóż na obydwa te zbiory składają się przeważnie *wiersze miłosne*. A są one zupełnie inne od pieśni miłosnych Kochanowskiego (§ 40) i od *Roxolanek* Zimorowicza (§ 54): te są zazwyczaj naturalne, proste, szczere i przez to tak miłe; wprawdzie i Morsztyn, kiedy chciał, umiał wypowiadać swoje uczucia w sposób naturalny i wdzięczny, ale najczęściej silił się na dziwaczne, wyszukane pomysły i na styl nadto kwiecisty, chodziło mu bowiem nie tyle o szczery, ile o wymowny wyraz uczucia, o popisanie się swojem mistrzostwem w pisaniu wierszy. Tej zaś sztuki nauczył się głównie od Mariniego. Wiersze jego roją się od takich metafor, jak np. „Oczy twe nie są oczy, ale słońca", „Usta twe nie są usta, lecz koral rumiany", „Oczy — serca mego zwierciadła, gwiazdy nieba miłosnego"; od takich porównań, jak np. porównanie zakochanego z jedwabnicą, z drzewem wilgotnem, syczącem w ogniu, z trupem i t. p.; zapewnia poeta, że z miłości mdleje, kona albo że się rozsypuje w popiół; dziwi się, że „w płaczu żyje, wśród ognia pałając", a więcej jeszcze dziwi się, jakim cudem żyje, kiedy już nie ma serca, bo ono nie do niego należy, i t. d. Wszystko to wyszukane, nienaturalne, nie polskie, tylko obce; ale sztuka jest, i to niemała; *jak Marini w poezyi włoskiej, tak Morsztyn w polskiej jest najwybitniejszym i najzdolniejszym przedstawicielem stylu kwiecistego, barokowego* (§ 51), *jest mistrzem (wirtuozem) wyszukanej formy, autorem najzręczniejszych sonetów w całej poezyi staropolskiej, a do tego mistrzem języka polskiego.*

Jedwabnica. Patrz, Kasiu, jako, gdy ciepła panują,
Jedwabną przędzę robaczkowie snują,
Jak żyją liściem, jak, gęste osnowy
Puszczając, domek gotują grobowy:
To ja tak właśnie robię bez przestania
I kręcę głową z mroka do zarania;
Liściem się karmię, niepewny nadzieje,
Które twej wietrzyk niełaski rozwieje;
Z myśli i z żądze nawinąwszy przędzę,
Różne z niej nici dowcipem swym pędzę;
I w tem dumaniu tak się bardzo topię,
Że trunę sobie kuję i grób kopię;
Potem, jak i on, co z pracą zbuduję,
Samże to zgryzę, samże to popsuję.

Łzy. Jako drzewo surowe, na ogień włożone,
Sapi naprzód i dmucha; potem, otoczone
Nieprzyjacielem wkoło, przez kryjome oczy
Wszystkę wilgotność z siebie i wszystek sok toczy;
Nakoniec, kiedy mu już obrony nie staje,
W wągiel gore, a potem w szczery popiół taje:
Tak ja, opanowany będąc twą miłością,
Wzdychałem naprzód, srogą ściśniony tęsknością;
Potem sobie i łzami serce ulżywało;
Teraz, gdy mi obojga tego już nie stało,
Tleję w wągiel, a jeśli nie pojźrzysz wesołem
Okiem, w małej się chwili rozsypię popiołem!...

Do trupa. *(sonet).* Leżysz zabity: i ja też zabity;
Ty — strzałą śmierci: ja — strzałą miłości;
Ty – krwie: ja w sobie nie mam rumianości,
Ty — jawne świece: ja mam płomień skryty;
Tyś na twarz suknem żałobnem nakryty:
Jam zawarł zmysły w okropnej ciemności;
Ty masz związane ręce: ja, wolności
Zbywszy, mam rozum łańcuchem powity.
Ty jednak milczysz: a mój język kwili;
Ty nic nie czujesz: ja cierpię ból srodze;
Ty, jak lód: a jam w piekielnej śrzeżodze;
Ty się rozsypiesz prochem w małej chwili:
Ja się nie mogę, stawszy się żywiołem
Wiecznych mych ogniów, rozsypać popiołem.

Cuda miłości. *(Sonet).* Przebóg! Jak żyję, serca już nie mając?
Nie żyjąc, jako ogień w sobie czuję?
Jeśli tym ogniem sam się w sobie psuję,
Czemuż go pieszczę, tak się w nim kochając?

Tak w płaczu żyję, wśród ognia pałając!
Czemu wysuszyć ogniem nie probuję
Płaczu? czemu, jak z ogniem, postępuję,
Że go nie gaszę, w płaczu opływając?
Ponieważ wszystkie w oczach u dziewczyny
Pociechy, czemuż muszę od nich stronić?
Czemuż zaś na te narażam się oczy?
Cuda te czyni miłość: jej to czyny,
Którym ktoby chciał rozumem się bronić,
Ten prędzej w sidło z rozumem swym wskoczy!

O swej pannie. Biały i polerowny jest marmur z Karary,
Białe mleko, przysłane w sitowiu z koszary,
Biały łabędź i białem okrywa się piórem,
Biała perła, nie częstym zażywana sznurem,
Biały śnieg, świeżo padły, nogą nie deptany,
Biały kwiat lilijowy, na świeżo zerwany:
Ale bielsza mej panny płeć twarzy i szyje,
Niż marmur, mleko, łabędź, perła, śnieg, lilije.

Niestatek. Oczy są ogień, czoło jest zwierciadłem,
Włos — złotem, perłą — ząb, płeć — mlekiem zsiadłem,
Usta — koralem, purpurą — jagody,
Póki mi, panno, dotrzymujesz zgody.
Jak się zwadzimy, jagody są trądem,
Usta — czeluścią, płeć — blejwasem bladym,
Ząb — słupią[1] kością, włosy — pajęczyną,
Czoło — maglownią, a oczy — perzyną!

Niestatek. Prędzej kto wiatr w wór zamknie, prędzej i promieni
Słonecznych drobne kęski wżenie[2] do kieszeni;
Prędzej morze burzliwe prośbą uspokoi;
Prędzej zamknie w garść świat ten, tak wielki, jak stoi;...
Prędzej, płacząc nad Etną, łzami ją zaleje;
Prędzej niemy zaśpiewa, a ten. co szaleje,
Co mądrego przemówi; prędzej stała będzie
Fortuna, i śmierć z śmiechem w jednym domu siędzie;
Prędzej poeta prawdę powie, niż sen płonny;
Prędzej i aniołowi płacz nie będzie plonny;
Prędzej słońce na nocleg skryje się w jaskini;
W więzieniu będzie pokój, ludzie — na pustyni;
Prędzej nam zginie rozum i ustaną słowa, —
Niżli będzie stateczną która białogłowa!

[1] słupi = trupi. [2] 3 osoba l. pojed. od *wegnać*.

§ 62. Chwałę poezyi XVII wieku stanowi bogata *epika historyczna.* Już w początkach tego stulecia ukazują się opowiadania i pamiętniki wierszowane o różnych wypadkach, później zaś, pod wyraźnym wpływem *Jerozolimy Wyzwolonej* Tassa w przekładzie Piotra Kochanowskiego (§ 60), powstają obszerne (czasem ogromne) poematy, czyli, właściwiej mówiąc, wierszowane kroniki, opiewające to poszczególne zdarzenia dziejowe, to całe współczesne dzieje Polski. Wyróżnił się na tem polu Wielkopolaniu **Samuel Twardowski** (ur. około r. 1600, um. 1660), ziemianin, rycerz i poeta. Wyższego wykształcenia nie otrzymał: poprzestał na ukończeniu szkoły jezuickiej; ale, mając umysł z natury ciekawy, lubił czytać książki: znał literaturę ojczystą XVI wieku i współczesną, znał poetów i historyków rzymskich, rozumiał prawdopodobnie i po włosku. Ale głównem źródłem jego wiadomości była nie tyle nauka, ile samo życie: przechodził on bowiem najrozmaitsze koleje, bywał na wozie i pod wozem, gospodarował to na zachodnich, to na wschodnich krańcach Rzeczypospolitej; przebywał na dworach magnatów, którym się wysługiwał i pochlebiał; z Krzysztofem Zbaraskim, koniuszym koronnym, jeździł do Konstantynopola, towarzyszył również, jak się zdaje, królewiczowi Władysławowi w jego podróżach zagranicznych; brał udział w wojnach z Moskwą Turkami, Kozakami i Tatarami, ale, kiedy Szwedzi przyszli do Polski, dał się obałamucić magnatom i stanął po stronie najeźdźców—w jak najlepszej zresztą myśli—będąc przekonany, że król szwedzki porządek w Polsce przywróci. Pokazuje się więc, że Twardowski, chociaż szczerze kochał ojczyznę, nie miał jasnego pojęcia, jak ją kochać trzeba: i przez to jest typem przeciętnego szlachcica XVII w., chociaż skądinąd był wyższy od ogółu szlachty, skoro zdawał sobie sprawę z anarchii i w pismach swoich śmiało jej objawy piętnował.

Jako poeta, był wielce ceniony przez współczesnych, którzy nazywali go Wirgiliuszem polskim. W istocie nie umywał się do Wirgiliusza; posiadał niezaprzeczony talent, i to zarówno epiczny, jak liryczny: czasem (zwłaszcza w młodych latach) umiał to, co na własne oczy widział, opisać żywo, to zaś, co własnem sercem odczuł, wypowiedzieć wcale wdzięcznie, niekiedy z siłą. Ale te chwile szczęśliwe były, niestety, rzadkie: już w szkołach zabito Twardowskiemu klina w głowę, że poezya tylko wtedy jest poezyą, kiedy obfituje w szumne wyrażenia i porównania, kiedy, jak on sam mawiał, jest „zwierzchu ocukrowana attyckimi kanary“ (słodyczami), t. j. upiększona mitologią i ozdobami, wziętemi z poezyi starożytnej. Otóż tego klina nie wybił sobie Twardowski do śmierci: „cukrował“ swoją poezyę wtedy zwłaszcza, kiedy chciał być uroczystym, a ponieważ uroczystym chciał być zwykle, stąd *jest on typowym wyobrazicielem napuszonego stylu w poezyi, co nie przeszkadza, że przez treść swoją jest to poezya bardzo ciekawa i wielce różnorodna.*

Niektóre utwory Twardowskiego świadczą, że nie zerwał on z tradycyą poezyi wieku złotego: rozumiał, że największym poetą polskim jest Kochanowski, i naśladował go w *Trenach*, napisanych po śmierci „wdzięcznej dzieciny, jedynaczki swojej“, Maryanny, w których ból rodzicielski przemówił rzewnie i serdecznie. A na wzór *Satyra* Kochanowskiego (§ 38) napisał Twardowski swojego Satyra: *Satyr na twarz Rzeczypospolitej* (1540). W Beskidach, w budzie drewnianej, mieszka już od lat przeszło tysiąca Satyr, to też pamięta jeszcze owe czasy, kiedy się Wanda uganiała za jeleniami i turami, a i to pamięta, że dawniej dobrze się działo w Polsce. A teraz? Strach mówić, bo kto mówi Polakom prawdę w oczy, ten „jak po ogniu i po brzytwach chodzi“. Ale trudno,—mówić trzeba! Więc narzeka Satyr na pijaństwo, stroje wykwintne i wogóle na zbytki szlachty; oburza się na szlachcianki, że strojami rujnują mężów, że córki źle chowają, nie strzegąc ich od złego przykładu; gniewa się zwłaszcza na żony-rzędziochy, trzęsące domem i trzymające mężów pod pantoflem; księżom zarzuca chciwość i skąpstwo. Lecz surowiej jeszcze sądzi Satyr życie publiczne. Zarzuca szlachcie brak miłości ojczyzny, skarży się na długie i czcze gadaniny podczas obrad sejmowych, na zrywanie sejmów (a zrywano je i przed Sicińskim), na zdzierstwa, jakich się żołnierze po wsiach dopuszczają, na łapownictwo urzędników. Opisując życie dworskie i ubolewając nad zcudzoziemczeniem dworu królewskiego, doskonale charakteryzuje dworaków, pochlebiających panu: „Nabożny, — więc i trzech mszy słuchać z nim w kościele; myśliwy, — to ni o czem przed nim dyskurować, tylko o psiech; gniewa się, — więc go nie hamować, owszem, zaraz zabijać; a huczy i pije, — to pić także!“ Lecz *najsilniej chłoszcze Satyr przedajność sądów*, zwłaszcza trybunału lubelskiego: kto chce sprawę wygrać, ten musi posłać sędziom „to wódek, to piotrkowskich krupek na złocistych miednicach;“ „drugim podrzucają konwie srebrne i czary, a choć się gniewają i chcą w rzeczy (niby to) wyrzucać, przecię pod oknami rzadko gdzie ich znajdują;“ nie dosyć na tem: trzeba sędziom ucztę wyprawić, trzeba się płaszczyć przed nimi, zapominając o własnej godności. Z godną uznania bezstronnością mówi Twardowski, że, „gdyby czasem nie Lutrzy oparli się sami, snadźby wszystek trybunał wzgórę stał nogami“, t. j., gdyby nie było wśród sędziów kilku uczciwych protestantów, trybunał byłby licha wart. Równie śmiało karci Twardowski szlachtę, że, bojąc się o swoją złotą wolnośc, nie pozwala królowi na reformy: „*Król począł co nalepiej, — zda się, że ku szkodzie i urazie wolności, którą sobie mamy za źrzenicę;...* jeszcze w Auguście Zygmuncie królów polskich powaga i słowo ustało święte i nieodmienne“. Wogóle *Satyr Twardowskiego to jedna z najlepszych i najśmielszych satyr XVII w.*

A jednak dziwna rzecz: ten sam człowiek, który tak ostro ciął społeczeństwu prawdę w oczy, był jednocześnie niesmacznym *panegirystą*, wynosząc w napuszonych wierszydłach pod niebiosa Władysława IV i tych magnatów, którym się wysługiwał, aby sobie i nadal ich łaski zaskarbić! Te panegiryki, tak znamienne dla literatury XVII w. (§ 51), to drugi prąd twórczości Twardowskiego.

A trzecim są *utwory powieściowe*, pisane pod wpływem poezyi romańskiej. Był niegdyś Twardowski obecny na przedstawieniu opery włoskiej w Warszawie, na dworze królewskim; opera tak mu się podobała, że przerobił jej libretto, i w ten sposób powstała jego udramatyzowana sielanka miłosna p. t. *Dafnis w drzewo bobkowe przemieniła się*, pisana—na wzór *Jerozolimy Wyzwolonej* Piotra Kochanowskiego (§ 60)—dźwięczną oktawą. Osnowa sielanki (wzięta z Owidyusza) jest następująca. Apollon, uwielbiany przez pasterzy za to, że zabił straszliwego smoka, który szerzył spustoszenie w całej okolicy, wzbija się w pychę i szydzi z Kupidyna, że, kiedy ten strzał swoich „na płeć miękką i ludzi lekkie używa", on, Apollon, zabił swą strzałą okrutnego potwora. Wenera, mszcząc się zniewagi, wyrządzonej jej synowi, każe mu zranić Apollona strzałą miłości: jakoż Apollon, rozkochany w towarzyszce Dyany, uroczej Dafnie, goni ją przez las gęsty i już ma dogonić, kiedy Dyana, na prośbę błagalną Dafny, zamienia ją w drzewo bobkowe (laurowe). Zrozpaczony Apollon ślubuje, że odtąd z liści laurowych wić będzie wieńce dla zwycięzców. Są w tym utworze prawdziwie poetyczne ustępy; pięknie zwłaszcza umiał Twardowski wyrazić uczucia rozkochanego Apollona i trwożliwej Dafny. Oto np. żale i zapały Apollona, kiedy mu się Dafne ukazała i znikła:

Dotąd przyjść jeszcze nie mogę do siebie,
Jakom tak wdzięczne utracił widzenie:
Ledwie tak wznidzie Jutrzenka na niebie,
Że pochmurzony Oryjon [1] ją zżenie.
Ja, który widzę w nagłębszym Erebie [2],
Który wszelakie oświecam stworzenie,
Lasem okryte i pustynią ciemną, —
Dafnis się jedna utai przede mną?
    Pójdę jej szukać, by mi w Kaledony [3]
    Przepadła same i hercyńskie gaje [4],
    Skalistą Atho [5] i ostre Edony [6],
    Wieczna gdzie zima, wieczny śnieg nie taje,—
    Pójdę, nie swymi wiatrami niesiony,
    Póki mi ducha, póki głosu staje.
    A ty, świadoma mego niepokoja,
    Nie opuszczaj mię, cytro wdzięczna moja!...
O! pójdę za nią przez ognie, przez miecze,
Sam [7], gdzie Kaukazus dziki nie mieszkany!
Niech ją pod ziemię skryje Prozerpina:
Nie zniknie Dafnis nigdy Apollina!...

---

[1] Oryon—myśliwy z Beocyi, ukochany przez Jutrzenkę (Eos); gwiazda na niebie północnem. [2] Ereb—świat podziemny. [3] choćby. [4] Kaledony—okolice miasta Kalidon w Etolii. [4] las hercyński — pasmo górskie na północ od Dunaju. [5] góra w Macedonii. [6] okolice góry Edon w Tracyi [7] tam.

Uroku sielance dodaje jeszcze tło, na jakiem umieścił ją poeta, — piękna natura, mianowicie bujny las, porosły w modrzewie, jodły i dęby, „w ciemnym gdzie liściu gżegżołki kukają". Mieszkają w tych lasach pasterze i pasterki; ich miłość wcale wdzięcznie wyraził Twardowsk zwłaszcza Korydona i Filidy, która tak wymawia ukochanemu jego czai niewdzięczność:

Nie był mój nigdy z twoim porównany
 W kochaniu afekt, o zmienniku srogi!
Pomnisz? wiem, pomnisz: ledwie dzień wstał rany,
 Aż ja małdrzyki tobie i pierogi
I, co najsłodszej zebrawszy śmiotany,
 W spore pod wieczór nalała trzynogi.
O co gdy się więc matka kłopotała,
 Tom ja na czeladź, to kotki składała.

Dafnis to najpiękniejsza sielanka miłosna w poezyi staropolskiej, napisana w jednej ze szczęśliwych chwil Twardowskiego.

Ani się nawet równać z nią nie może powieść wierszem, którą Twardowski napisał, jak się zdaje, pod koniec życia, p. t. *Nadobna Paskwalina, z hiszpańskiego w polski przemieniona ubiór*. Utwór to rozwlekły, dziwaczny, ale bardzo znamienny przez tę naukę moralną, jaką autor pragnął wpoić w serca czytelników, zwłaszcza kobiet. Rzecz dzieje się w Portugalii za czasów Filipa II. Wenera, wygnana przez Turków z Cypru, przeniosła się do Lizbony i zamieszkała we wspaniałym pałacu; w temże mieście mieszka cudownie piękna, ale płocha, zarozumiała, rozkochana w strojach i zabawach panna Paskwalina, w której się młodzi na zabój kochają; dumna ze składanych sobie hołdów i pochlebstw, uwierzyła, że jest piękniejsza nie tylko od Heleny i Meluzyny, ale i od samej Wenery. Tego Wenera ścierpieć nie mogła: rozkazuje Kupidynowi zranić serce dziewczyny strzałą miłości ku Oliwerowi. Zakochała się Paskwalina w Oliwerze i wyznaje mu w liście swą miłość. Lecz Oliwer, kochający swoją narzeczoną, Kornelię, gardzi afektem Paskwaliny i pokazuje jej list Kornelii; ta zaś „roztrzęsie po mieście wszytkiem zaraz, co każdej wrodzona niewieście, że nic taić nie może i jedna przed drugą, coś mając z świegotliwą spólnego papugą: choćby nawet sygnetem usta swej Junonie Jowisz zapieczętował, ona to wyzionie". Upokorzona Paskwalina, za radą swej piastunki, składa pychę z serca i puszcza się w pobożną pielgrzymkę: odbywa pokutę naprzód w klasztorze Minerwy (!), potem w klasztorze Junony (!). Po drodze doświadcza różnych przygód. Raz zabłądziła do Apollona, który prosił ją „trochę posiedzieć" i częstował „polędwicą jelenią" (pociechy na swój smutek po stracie Dafny Apollon szuka w grze na lutni i w czytaniu „ksiąg niebieskich w kosztownej oprawie"). Innym razem, przechodząc przez łąkę, ujrzała na niej Kupidyna, śpiącego, „jakoby zarżniony" (bo zmęczył się świeżo odbytą podróżą do Ameryki): przyskoczyła, porwała jego łuk i „złamie go we troje", porwała strzały i „w drobne wióry zdruzgoce". Po odbyciu pokuty Paskwalina wraca

do Lizbony, gdzie z okna swego pałacu pokazuje „wszytkiemu zgarnionemu miastu“ potrzaskaną „armatę“ (łuk) Kupidyna. Wenera ze wstydu ścieka, Kupidyn wiesza się z rozpaczy, a Paskwalina swój pałac, brzmiący niegdyś wesołą muzyką, „na klasztor reformuje i kosztowny wzbudzi przy nim kościół; tamże z wielkim tryumfem te porozpinała łupy Kupidynowe na pamiątkę wieczną, a sama, w swem zawzięciu będąc już stateczną, grono Westy bogini dziewic zgromadziła i, zamknąwszy, spół się im ksienią poświęciła, czem więcej już daleko, niż słynąć z gładkości, w wielkiej sławie dożyła i świątobliwości“. Sens moralny jest ten, że „panienki“ powinny kochać się nie w „powierzchnej ozdobie“, ale w cichej i świątobliwej pracy, innemi słowy, że uroda i wogóle rozkosze tego świata są marnością, że prawdziwą wartość ma tylko służba boża, a najlepiej służyć Bogu — w klasztorze: oto środek do moralnego odrodzenia społeczeństwa. Zachęca więc Twardowski czytelników do życia ascetycznego, i z tego to właśnie względu jego *Paskwalina* jest utworem wysoce znamiennym, jako objaw wzrostu pobożności i ascezy klasztornej w XVII w. Jest również *Paskwalina* wymownym objawem zepsutego smaku: Twardowski był przekonany, że prawdziwa poezya nie może się obyć bez pierwiastków starożytnych (bogów pogańskich i t. d.), wprowadził je więc nawet do utworu, którego myśl przewodnia jest chrześcijańska: przecie świat starożytny nie znał ascetyzmu; tymczasem w powieści Twardowskiego Apollon czytuje książki pobożne, Junona, Minerwa i Westa mają swoje klasztory i t. d.; przez tę właśnie mieszaninę pierwiastków pogańskich i chrześcijańskich *Paskwalina* jest typowym utworem literatury XVII w.

§ 63. Miano Wirgiliusza polskiego zjednały Twardowskiemu trzy ogromne *poematy historyczne*: *Przeważna legacya Krzysztofa Zbaraskiego* (1633), *Władysław IV* (1649) i *Wojna domowa z Kozaki i Tatary, Moskwą, potem Szwedami i z Węgry* (1681); pierwszy obejmuje przeszło 7000 wierszy; drugi—przeszło 11000, trzeci przeszło—17000. Poematy te mają dwie wspólne cechy. Po pierwsze, są to, właściwie mówiąc, wcale nie poematy, tylko *kroniki rymowane*, w których autor, mając przed sobą notatki prozaiczne (własne albo cudze), przerabiał je wierszem, nie zmieniając ich układu, t. j. opisując zdarzenia historyczne w porządku ściśle chronologicznym, z roku na rok, z miesiąca na miesiąc, z dnia na dzień, czasem nawet dzieląc jeszcze dzień na ranek, południe i wieczór. Wymysłu poetycznego, własnej fantazyi autora poematy te, jak przystało na kroniki, nie posiadają prawie zupełnie: „prawdę pisać jest moja intencya“, mówi Twardowski, ale dodaje: „jednak nie bez gracyi i zwyczajnych poetyckich przysad“. Otóż te „przysady“ (dodatki), które, zdaniem autora, nadają „gracyę“ poezyi, to druga główna cecha trzech poematów. A jest tych „przysad“ całe mnóstwo, np. tak zwane inwokacye: wzorem poetów starożytnych zwraca się Twardowski do Muz („panien z Helikonu“, „Jowiszo-

wych cór"), by go „duchem napuszyły swoim" albo żeby jego „piersiami poruszyły", to znów prosi Apollona, żeby mu „boki napuszył". Jakoż poczuł się poeta napuszonym: więc Boga np. nazywa „hetmanem empirejskich zastępów"; zamiast powiedzieć: „przy blasku księżyca", mówi: „pod świecącą Lucyną", zamiast „słońce pogodnie wzeszło": „już wdzięcznemi Lucyfer przeglądał oczoma i konie faetońskie puhały nozdrzoma płomień hiperyjoński w karze (wozie) złotokołej, pogodę i dzień niosąc nadzwyczaj wesoły"; szum wód dnieprowych opisuje tak: „Słyszeć tam niezmierny tumult wód spadających i chrapliwe Lerny i Charybdy i Scylle, strasznie bełkocące, i na dnie Palemony, okropnie wyjące" i t. p. Księcia Zbaraskiego nazywa autor Scypionem, Wiśniowieckiego — Achillesem i t. d., słowem owe „przysady" polegają głównie na posługiwaniu się mitologią i historyą starożytną. Na szczęście, są całe ustępy, wolne od „przysad", i te mają bez porównania więcej „gracyi" i świadczą, że Twardowski, mimo wszystko, posiadał prawdziwy talent epiczny.

Dowodzi tego zwłaszcza najlepszy z trzech poematów: *Przeważna Legacya.* Zaczyna się od panegiryku na cześć rodu książąt Zbaraskich, który pod niebiosa wynosi Twardowski, sługa księcia Krzysztofa, mówiąc, że na ocean cnót jego świątobliwych w miałkiej się puszcza łodzi; poczem opowiada o wojnach z Turkami, mianowicie o bitwie pod Cecorą i o wojnie chocimskiej, po której stanął pokój; ale warunki pokoju muszą być zatwierdzone przez sułtana, — i w tym to właśnie celu własnym kosztem jedzie do Konstantynopola Krzysztof Zbaraski, namówiony przez „wesołego Merkuryusza". Otóż w orszaku książęcym był i nasz poeta, który notował sobie pilnie wszystko, co widział, a po powrocie do domu „wierszem ojczystym illustrował". Opisuje więc naprzód podróż do Turcyi przez Mołdawię i kraje słowiańskie, których bujna natura bardzo mu się podobała, brzegi Dunaju np., „gdzie po wdzięcznej trawie gęsi i białopióre pasą się żórawie, krzyk i lament łabęci echo w cieniu sporzy,... brzegi bluszcz bujne snuje, z tej i owej strony smakiem nadoskonalsze żółcą się melony"; nie zapomniał wspomnieć i o obyczajach Bułgarów, którzy „pośród wsi wesołej, ująwszy się społem, rej corocznych prażników pięknem toczą kołem, ci pląszą, ci w fujary i dzingi brząkają, a młodzi i dziewoje w takt im napiewają". Nareszcie przybywa poselstwo do Konstantynopola: ze wszelkimi szczegółami opisuje poeta pobyt posłów w stolicy tureckiej, posłuchania u wezyra i sułtana, niegodziwe intrygi, wszczęte przez nikczemnego wezyra Dziurdziego, który nie chciał pokoju i godził nawet na życie Zbaraskiego; ale Bóg, który „z turmy Daniela i, co było trudniej, z odbieżanej Józefa wywindował studni", wywindował z niebezpieczeństwa i nabożnego posła polskiego: pokój stanął, za co książę „tu sławę wieczną, w niebie ma koronę". Równie szczegółowo opisuje Twardowski Konstantynopol, jego oko-

lice i obyczaje tureckie: wspaniałe budowle i place; sobór ś. Zofii („sama jakby stała nie na ziemi machina, filaru nie mając, a tylko na odległych ścianach się wspierając“); ogród zoologiczny sułtana, „w cieniu gdzie chowani lwi, lamparci, tygryse,... widziem mrówki indyjskie i przy jednym słupie żółwia afrykańskiego w niezbitej skorupie i, czem się Nil chlubi, ichneumona, który płód krokodylów gubi“); nabożeństwa, obrządki, zabobony, podania (a nawet przysłowia) tureckie; psy i koty, włóczące się po ulicach; wspaniałe brzegi Bosforu: „jeśli ludziom natura w czem dogodzić chciała, wszystko to, jako na sznur jeden, tu zebrała“; pomimo to „milsze nam w domu szołdry (szynki) i ciepłe kominy. aniż w raju tutejszym grana (granaty) i cytryny“, —i t. d. Wreszcie—powrót do domu: Zbaraski, okryty chwałą, przybywa do Warszawy, gdzie „panu swemu uczyni relacyą“, poczem „ważniejszy nad Etnę ciężar z plec złożywszy, pełen sławy, do swej się wróci Końskiej Woli“; niebawem „srogie siostry (Parki) ostatniej przędze mu dowiły“, ale „póki Arktur pożenie[1] złote gwiazdy swoje, z ust ludzkich nie wynidzie sławne imię twoje“. Wogóle poemat odznacza się niesmacznym panegiryzmem, ale poza tem posiada niemałą wartość, jako *jeden z najciekawszych i najżywszych opisów podróży w literaturze staropolskiej* (szkoda tylko, że napisany wierszem).

Rozumienie Turków o winie. Mahomet na weselu.

Tak wierzą, że, by namniej wina ukusili,
Toż karanie w otchłani na to zasłużyli.
Jakoby o nawięcej: przetoż, gdy skosztują,
Do samego upadu piją i hoczują[2];
Czem już grzech popełniwszy, tak im snadź o mało,
Jako i wiele, cierpieć: to, co się przebrało
Nad miarę i baczenie, za zysk sobie mają,
Że w pijaństwie do woli swem się nakochają.
Jakiby jednak skrupuł, a zwłaszcza przystarszy,
O to mieli, dwu widzim: oni, głowy wsparłszy,
Ręce sobie załomią i oczy wywrócą,
A swoim obyczajem żałobliwie nucą:
„O duszo! duszo moja! tyś, jak kryształ, czysta!
„Oto cię czeka ogień i kaźń wiekuista.
„Wynidź abo gdzie ustąp w ostatni kąt ciała,
„Żebyś się tak napojem brzydkim nie zmazała“.
Podobnych tym lamentów jeszcze nie skończeli,
Gdy, na dół się chynąwszy, z drugimi posnęli.
Czemuby jednak swoim tak zakazał wina
Bisurmanom Mahomet, mienią, — ta przyczyna:
Gdy zmierzał po Arabach ziem i krajów wiele,
Trafił w drodze na jedno przypadkiem wesele;

[1] 3-cia osoba l. pojed. od *pognać*. [2] hoczować=hulać, dokazywać.

Gdzie młodzi nowożenie zaproszą go z sobą,
Żeby on ich ozdobił swoją akt osobą.
Idzie rad. Przy obiedzie nie bawi się niczem,
Tylko się przypatruje gestom godowniczym...
Potrzeźwiu milczą wszyscy; jako jednak w głowie
Wino mózgu zagrzeje, i wtem się ozowie
Muzyka: wnet do lepszej pobudzą się woli,
Wyprawiwszy co młodszych w tańce i kaproli [1],
Nu, w chęci i ofiary: ten przytem umiera,
On wzajem (gdzieby można) serce mu otwiera;
Już z sobą się kumają, już spólnie darują,
A rube[2] do dna czary za zdrowie gruntują.
Zdadzą się [3] prorokowi one ich zaloty,
A coby za przyczyna takiej w nich ochoty,
Pyta się. Powiedzą mu, że wino sprawuje,
Kogo wdzięczną jagodą swoją zafarbuje.
Muszczowi [4] tedy temu hojnie błogosławi,
Że tak ludzi jednoczy i z uciechą bawi.
Wszakże, jako pod wieczór lepiej się nachylą,
Ucieszą go dopiro nową krotofilą:
Gdy jeden, zawadziwszy drugiego, tam trąci,
Wnet wszytkim po zastolu [5] we łbie się zamąci.
Nu, wija [6] do szarszunów! [7] Pełno krwie i trwogi,
Że, nierząd obaczywszy, i Mahomet w nogi!
Kiedy zaś po wczorajszym trecie [8] i igrzysku
Przypatrzy się onemu rano poboisku, —
Ci nosy odbieżane zbierają i zęby,
Owi gardła haftują i przecięte gęby, —
Tedy, tej komedyej widzi gdy nie inną
Ansę [9] i okazyją, macicę klnie winną,
Pierwej ją poświęciwszy, — że za jej powodem
Taka złość między ludzkim dzieje się narodem.
I odtąd wino w Turczech (gdzie inszy warunek
Byłby na ich swawolą!) — za przeklęty trunek.

Najbardziej napuszonym jest poemat *Władysław IV*. „Króla powiem wielkiego w wojnie i w pokoju, pióra do sarmackiego pociągnąwszy stroju i Minerwy ojczystej. Precz baśni i owe nadludzkie w Meończyku (Homerze) chwały Achillowe: nie stare tu Miceny, nie przyśnione Troje, ale słońce dzisiejsze tchną wnętrzności moje!... O, zaprawdę, otwiera wielkie mi się morze do chwał jego niezmiernych! Lecz, niż się zapuszczę w tę to przepaść głębo-

[1] kaprol, kapryol = skok. [2] ruby = gruby, wielki. [3] zdać się = udać się, podobać się. [4] muszcz = moszcz, sok, wyciśnięty z jagód winnych. [5] zastole = miejsce za stołem. [6] dalejże! [7] szarszun = sabla. [8] tret = treta, tertes, hałas, zamieszanie. [9] ansa = powód.

ką, żagiel na dół spuszczę i lekkuczko *od pierwszej popłynę młodości aż do portu dzisiejszej jego dożrzałości*". Wychowanie królewicza (które się odbywało przy pomocy Marsa, Bellony, Minerwy i Muz); stosunki i wojny z Moskwą (Maryna Mniszchówna, dwaj samozwańcy, oblężenie Smoleńska, bitwa pod Kluszynem, obiór Władysława IV na cara i t. d.) aż do zawarcia rozejmu w Dywilinie (1618); wyprawy mołdawskie (przy sposobności — historya Mołdawii od XIV wieku!) i wojny tureckie (Cecora i Chocim); podróż królewicza po Niemczech, Belgii i Włoszech; wojna z Gustawem Adolfem, zakończona rozejmem w Altmark (1629); śmierć i pogrzeb Zygmunta III; elekcya; koronacya Władysława; świetne poselstwo Ossolińskiego do papieża z wiadomością o wstąpieniu na tron nowego króla; wreszcie trzy wojny w pierwszych trzech latach panowania Władysława IV: z Moskwą, Turkami i Szwedami — oto treść poematu, który, krótko mówiąc, jest *wierszowaną historyą Polski od młodości Władysława aż do pokoju polanowskiego* (1634) *i rozejmu sztumdorfskiego* (1635). A wszystko to opowiedziane bardzo szczegółowo, zwłaszcza bitwy i oblężenia miast oraz rozmaite uroczystości i pompy dworskie, jak np. przedstawienie teatralne, dane we Florencyi na cześć królewicza, audyencya i uczta u papieża, który przypuścił królewicza do ucałowania swych „nóg błogosławionych"; pogrzeb Zygmunta III, koronacya Władysława i t. d. Panegiryzm względem obu królów przechodzi wszelką miarę: na pogrzebie Zygmunta III „konie same, żałośnie poryżając nieraz, w tych ciężarach grube łzy z oczu upuszczały"; Władysław IV jest „więtszy nad Aleksandra", „szczęśliwszy nad Augusta", „łaskawszy nad Trajana", „dobrotliwszy nad Tyta"; „owo, jako na jednę kiedyś się tam beli nieśmiertelni bogowie Pandorę złożeli, także jemu, co w sobie kosztownego miała natura, przed inszymi razem wszytko dała". Ale jednocześnie bije z poematu miłość ojczyzny, duma narodowa i radość z odniesionych zwycięstw, zwłaszcza nad Moskwą, której autor serdecznie nie lubi, to też nie pomija żadnej sposobności, aby ją w jak najgorszem świetle przedstawić, zarzucając jej „przyrodzone obłudy", opisując szczegółowo jej okrutne znęcanie się nad więźniami polskimi i t. d. Nie cierpi i Szwedów, „morskich tych szewluchów, śmierdzących śledziami". Wogóle, zdaniem Twardowskiego, wszystkie państwa i narody są „nierówno podlejsze" od Polski: przekonanie to było u nas, niestety, powszechne w XVII w.

Śmierć Żółkiewskiego pod Cecorą.

Sam Żółkiewski, zginioną widząc rzecz na oko,
Jako zwierz, osaczony w puszczy gdzie głęboko,
Gdy z ostępów, zrozumie, że już nie uciecze,
Na wszytkie się naraża żelaza i miecze,
Żeby nie żyć co prędzej: tak i ów przyśpiesza
Sobie fatum, gdy miedzy pułki się zamiesza

I, gdzie gniew, gdzie potrzebę samę widzi walną,
Oną czyni aż dotąd ręką tryjumfalną,
Póki z bronią pospołu i ta nie ucięta.
A na wiek swój nie pomnąc, tylko to pamięta,
Czem dobrego hetmana kiedyś zalecono,
Że, stojąc, ma umierać. Aż i postrzelono
Konia pod nim, na stronę kinąwszy którego,
Czeka śmierci. Dodawa żołnierz mu drugiego:
„Hej! Dzień już ostateczny! I w ręku poganie
„Mają obóz! Ubiegaj, ubiegaj, hetmanie!
„I nie dopuść, żeby ten odnieść miała w tobie
„Żal ojczyzna“! Na co ów: „Już ty radź o sobie
„I uchodź, gdzie rozumiesz; mnie, że tak zrządziło
„Szczęście moje, umrzeć mi na tym placu miało
„Z żołnierzami moimi! Ciebie, jeśli cało
„BÓG stąd kiedy wyniesie, co ze mną się stało,
„Opowiedz senatowi, żem nad jego rady
„Nic nie czynił, chroniąc się z tem pogaństwem zwady
„Do ducha ostatniego. A niech Lwów co prędzej
„I Kamieniec opatrzą, niż serca tem więcej
„Dostanie nieprzyjaciel i, zwycięstwem srogi,
„Przez mię dziś zawalone te przestąpi progi.
„Ja niech już tu zostawam, a wolę, niż w domu
„Swej się potem sprawować niewinności komu“!
Wtem, nieznany — z drugimi, końmi porażony
I gradem strzał pogańskich poległ zarzucony...
I ten-ci to zabój nasz, ta Cecorska beła,
Jaka nigdy, rozprawa! Której dotąd fali
Dałem żagle, bo którzyżby ją opisali
Tak krótko Orfeowie? który styl ścieńczony
I jednem wymówieły słowem ją Lakony?

Koronacya Władysława.

. . . . Prymas z przedniejszymi
Biskupy i opaty, w uroczyste swoje
Ozdób pontyfikalnych zubierani stroje,
Przychodzą do pałacu z niezwykłą ochotą,
Gdzie w płaszcz i dalmatykę ubranego złotą,
Albę i rękawice i uhaftowaną
Drogo obuw z obiema marszałki zastaną,
Skąd go, błogosławioną pokropiwszy wodą,
Do wielkiego zarazem kościoła powiodą.
Czterej zwłaszcza co wyższy wprzód wojewodowie,
Którzy tych tu klejnotów wieczni są stróżowie,
Niosą sceptrum [1], jabłko, miecz i szczero koronę
Dyjamenty błyszczącą . . . .

[1] berło

Toż przyszedłszy przed ołtarz, gdzie owe to złożą
Sprzęty drogie, osobę arcybiskup bożą
Na się wziąwszy, gdy i tu oddanej przysięgi
Wspomni mu kondycyje, z kosztownej się księgi
Modląc nad nim, żeby to skutkiem ziścił samym,
Co usty ofiarował, pomaże balsamem
Głowę mu uniżoną i ostry do boku
Miecz przypasze. Dopiero, jakoby w obłoku
Niebieskim ochyniony, i postać na sobie
Miał nie ludzką. Skronie wtem obłapiwszy obie,
Drogą włożył koronę, w prawą rękę przytem
Poda sceptrum, a w lewą z jabłkiem złotolitem
Wszytkiej świat Sarmacyi. W którym tak ubierze,
Przy Naświętszej nie wznosząc z ziemie się Ofierze,
Chleb i wino podawał ofiarującemu . . . . .
Aż nakoniec, który beł po prawej w tym stronie
Kosztownie podniesiony, usiędzie na tronie,
Gdzie już jurysdykcyją wielką swą funduje
I mieczem poświęconym kilku ich pasuje
Zasłużonych rycerzów, przy rozliczno-brzmiącej
Na trzy chóry muzyce i Bellonie, grzmiącej
Owże tryjumfalny hymn, że[1] doprowadzony
Do pałacu, gdzie obiad, wielkim sporządzony
Dostatkiem dla senatu i posłów znaczniejszych,
Drogie kurzeł potrawy, a swych dorodniejszych
Dobył Bachus tokajów z lestrygońskich[2] dzbanów,
Z aplauzy[3] wesołymi pospolitych stanów,
Póki dzień, spracowany czyny tak wielkimi,
Nie zapadł w Hesperyi z woźnikami swymi.
Aż jako z oceanu ochynął się znowu,
Żeby się tej pociechy wszytkiemu Krakowu
Pożądanej dostało, król zjeżdża na rynek
Słuchać mieszczan przysięgi. Tu co za uczynek
Miasta beł tak zacnego i wylany wszytek
Na niezmierne ochoty aż rozrzutny zbytek,
Muzo! porusz piersi swych, gdy, jako szeroki
Ambit[4] jego, usłane bruki i rynsztoki
Czerwieniały szarłatem; tryjumfalne brony,
Nardy[5] i pachniącymi szczero szkordyjony[5]
Natknione, zakwitały, a po ich podwojach
Ogromne wiktoryje[6] w tureckich zawojach,
Wieszając się trąbiły, z temi zaś zuchwale
Pacholęta marsowe w suremki swe małe

[1] aż, dopóki nie. [2] lestrygoński = sycylijski. [3] aplauz = poklask. [4] obejście. [5] nard (spikanard), szkordyon—wonne rośliny. [6] przebrani za boginie zwycięstwa.

Certowały, dumając[1], z jakim Osman żalem
Zjeżdżał z pola i co tu z okutym Moskalem
Za igraszkę Fortuna pod Warszawą miała,
Kiedy czołgającego z bracią swą widziała
Przed naszym Majestatem, a tam obranemu,
Klęcząc twardo na ziemi, elektowi swemu
Czołem bił Septemtryjon[2]. . . . .

W *Wojnie*, pisanej stylem znacznie mniej napuszonym, opowiedział Twardowski *dwanaście lat dziejów polskich* (1648—1660), od nieszczęsnej bitwy korsuńskiej aż do pokoju w Oliwie, t. j. owe okropne czasy, kiedy ustawiczne wojny z Kozakami, z Moskwą, ze Szwedami, z Rakoczym ledwie o śmierć nie przyprawiły Rzeczypospolitej, – te same czasy, na których tle bujna fantazya Sienkiewicza wysnuła *Ogniem i Mieczem* i *Potop*. *Nigdy jeszcze przedtem literatura polska nie zdobyła się na utwór, w którymby współczesne życie polskie (zwłaszcza obozowe) odbiło się tak dokładnie*, jak w tym najdłuższym poemacie Twardowskiego. Zresztą opowiadanie nie jest równomierne: tak np. obronie Częstochowy poświęca autor zaledwie kilka wierszy, kiedy „różne świątobliwe fatygi“ rycerzy, oblężonych w Zbarażu, opisuje bardzo szczegółowo; wogóle najszczegółowiej i najlepiej opowiedział wojny kozackie (ponieważ sam w nich walczył). Panegiryzmu nie wyzbył się i tutaj, obsypując pochwałami Jana Kazimierza, który „więcej uczynił“, niż Herkules, i księcia Jeremiego, który „jakoby się był drugim Anibalem urodził“. Na szczęście panegiryzmu w *Wojnie* jest o wiele mniej, niż we *Władysławie IV*, i nie panegiryzm stanowi jej cechę wybitną, ale zupełnie co innego. Oto *autor raz w raz przerywa swą opowieść o wypadkach historycznych i wypowiada swe własne uczucia, uwagi i rozmyślania, najczęściej bardzo smutne.* Płacze więc nad ojczyzną, że ją wróg pustoszy, że Chmielnicki-krokodyl, „spólną Matkę nie inaczej, jako pies, podpadłszy“, „szarpie jej nietykane po Wisłę wnętrzności“; ale silniej jeszcze boleje, że jej rodzone dzieci nie kochają, skoro żałują pieniędzy na jej obronę; oto np. na sejmie r. 1648 „pieniądze jedni, drudzy srebra i stoły swe ofiarowali, przecież, kiedy do czego, wszyscy nic nie dali“; hańby pilawieckiej nie może Twardowski przeboleć, „bowiem tam zginęło męstwo polskie wrodzone, które więc słynęło przed inszymi narody za Herkulesowe gdzieś Kolumny“. Najczęściej jednak wyrzeka na pospolite ruszenie, na kłótnie i zbytki w obozie, na niedołęstwo zarządu wojskowego, na niewypłacanie żołdu żołnierzom i wogóle na brak ładu i karności w wojsku: „doma Aleksandry za stołem bijemy, a na wojnę bez prochu i lontów idziemy“; „luboby Swięty zstąpił z nieba i z gruntu ojczyzna wstawała i tuż, przed i za nimi,

[1] certować z kim, dumając=śpiewać z kim naprzemiany dumy. [2] północ.

gorzeć zewsząd miała, z obozu się nie ruszą, aż im wprzód zapłacą“. A jest takich narzekań tyle, że, razem wzięte, tworzą zupełną, drobiazgową *satyrę na całe życie obozowe*. Nie dosyć na tem. Przy zdarzonej sposobności piętnuje Twardowski ,złotą wolność, mówiąc np., żeśmy „wolność tę nieszczęśliwą subtelniej strugali, przestrugali na koniec“; nie zapomina także o napiętnowaniu *liberum veto* (chociaż nazwiska Sicińskiego nie wymienia). A wobec świadomości grzechów własnej ojczyzny niejednokrotnie przestrzega rodaków, że to nie fatum jakieś, ale własne winy ściągają na Polskę nieszczęścia: „Na karanie z nieba próżno już narzekamy, które w swej skrytości lubo psuje, jako mól, nasze w nas wnętrzności, przecież jednak nie wszytko na fata składajmy, ale sami cokolwiek sobie też przyznajmy, żeśmy męstwo wyzuli, że się bić nie chcemy!“ „Nie skarżmy na fata, bo sami w nie wpadamy, gdy jedna prywata wszytko w nas przemoże!“ Tak więc *Wojna* jest nie tylko obrazem dwunastoletnich wojen, ale i odzwierciedleniem, dobrego serca i zdrowego rozsądku autora.

Szturm do Zbaraża . . . . Dzień był Lipca tedy
1649 Dziewiętnasty, Saturnów [1], pokażą się kiedy
Nad późnym już wieczorem do szturmu zrządzone
Nowe jakieś machiny, które, wyrobione
Z tramów [2] grubych, na wałkach nizkich się toczyły,
A ludźmi i armatą opatrzone były;
Przy nich społem wysokie do wałów drabiny
I cepy i osęki i wszelaki inny
Aparament szturmowy. Więc, gdy się dziwują
Nasi tym manijerom, owi je windują,
Czołgiem się podmykając pod same okopy
Niesłychanym uporem. A zaraz w te tropy,
Skąd kozacki komonik [3], stąd uderzy w czoło
Horda srogim nawałem, że wszytek około
Świat zasłonią. Nawet już w pochylonym zmierzchu
Fala i deszcz gwałtowny, rzuciwszy się zwierzchu,
Twarz tę sprawi, jakoby samo się zmówiło
Niebo na nich. I znowu źle haniebnie było!
    Znowu, radzić nie mogąc takiemu gwałtowi,
Wodzowie ryterować chcą się ku zamkowi,
Aż wtem z bronią dobytą Wiśniowiecki stanie:
„Hej! Kto z miejsca się ruszy, albo tu zostanie,
„Albo mię wprzód podepce! Przebóg! nie dawajmy
„Pociechy tym hultajom, a tu umierajmy!“
Zaczem, gdzie gniew i śmiałe serce w nim rozbada,
Przebrawszy się, z Dymitrem z okopów wypada

[1] t. j. poniedziałek. [2] tram=belka. [3] komonik, komunik=hufiec konny.

Nakształt gromu jakiego albo błyskawice,
Której dostać nie mogą śmiertelne źrzenice.
Tamże zaraz, niż[1] owe przytoczone szturmy
(A niezmierne koło nich nacisną się hurmy
Chłopstwa wyuzdanego) pod wałem rozpostrą,—
On, przypadłszy w obłoku, zawinie się z ostrą
Po nich szablą i—jako grad niebieski, który,
Lodami się szczyrymi urywając z góry,
Zboże ze pnia wyścina i potopem spławi
Pole wszytko—takową ruinę w nich sprawi.
A co większa, że, który zrazu deszcz przeszkodą,
Tenże wnet pożądaną i wielką wygodą
Stał się naszym: bo, kiedy nie mogą w tym kale
Chłopi szturmów ratować, porzucą je cale,
Które zaraz ciurowie, porywając głownie
I kagańce smolane, zapalą cudownie
Ze wszytkich podziwieniem. Skąd dopiero wstanie
Sroższa wrzawa, kiedy im w posiełku poganie
Nie tylko już z okrzykiem zwykłym przypadają,
Ale samiż z Kozaki spół się narażają,
Czerń przed sobą parując[2]; i, choć ich tak biją,
Że trup równo z wałami, przecię, zda się, żyją,
I że tego howadu[3] nigdy nie ubywa.
Zaczem też i Podczaszy[4] z Sieniawskim przybywa,
Pałaszami błyskając, i drudzy, swych rzeczy
Poprawiwszy, dopiero bieżą ku odsieczy,
Ale, gdy już tę burzą lekko ustawając[5]
I książęcia potkają nazad powracając[6]
Z wielką sławą i duchem (jeszcze mu gniew z broni
I krew żywa pluszczała),—wrócą się i oni,
A co jego stanęło męstwo bez wątpienia,
Dank przyznają i tedy swego mu zbawienia.

Sejm rozerwany (1652). . . . . Jako kto budynek
Stawi wielki, wydając prospekty na rynek
Świetne jego, podniesie altany i banie,
Szczyty, ganki, kopuły, aż, kiedy nie stanie
Albo mu materyjej, albo w fundamencie
Swoim źle posadzony, w krótkim się momencie
Na sztuki i popioły drobne zruinuje:
Także i tu mało co więcej się zbuduje;
Bo, wszytek czas na próżnych wymowach strawiwszy
I swarach i prywatach, a nic nie sprawiwszy,

[1] zanim. [2] parować=odbijać, wypychać. [3] howad=owad. [4] Mikołaj Ostroróg. [5] ustawającą. [6] powracającego.

Kiedy było gotowe w senacie przed panem
Czytać konstytucyje i, kto wżdy hetmanem,
Konkludować nakoniec, niżli dzień się schyli,
Przez sektarskie fakcyje na tajemnej Scyli
Rozbita ta machina—tylkoż dla jednego
Posła głosu! O! tak-li—bez względu żadnego
Na to wszytko, cokolwiek zawierasz w swem łonie,
Zdrowia, fanty, ozdoby i zronione skronie
Wdzięcznym szronem i żywych i umarłych oraz
Pociechy nieskończone—przepadać masz coraz,
Ojczyzno nieszczęśliwa, że, chcąc mieć inaczej,
Rzecze kto: *Nie pozwalam*? Życzyłbym ci raczej
(Z żalu-li to wymówię?) wielkich tych wolności
Nieco skrócić! Zaczembyś w swojej dojźrzałości
Rady prędsze i głowę spokojniejszą miała,
Gdybyś ani niewoli zupełnej nie znała,
Ani całej swobody . . . . . .

§ 64. Talent epiczny posiadał i **Bartłomiej Zimorowicz** (1597—1673), autor *Sielanek ruskich* (starszy brat Szymona Zimorowicza, § 54). Był to człowiek bardzo zacny i ogromnie energiczny; własną pracą dorobił się dość znacznego majątku, a własną zasługą osiągnął w swojem ukochanem mieście rodzinnem, Lwowie, i szacunek powszechny i godność burmistrza, na którem to stanowisku przyczynił się do uratowania miasta, obleganego przez Turków w r. 1672. Różnorodne przeciwności i nieszczęścia (śmierć czworga dzieci, trzykrotne wdowieństwo, napady Kozaków na Lwów i in.) nie osłabiły hartu jego duszy: pracował w pocie czoła i kształcił się do śmierci, bo, chociaż ukończył tylko szkołę średnią, ale wiedzy i nauki był wielce chciwy. Od młodości miał żyłkę do pisania wierszy: układał więc fraszki, wiersze miłosne, drobne poemaciki epiczne, napisał wierszowany paszkwil na Lutra, którego, jako fanatyczny katolik, serdecznie nienawidził, tworzył piękne hymny religijne, a na starość zabrał się do pisania historyi Lwowa (po łacinie).

Lecz najcelniejszym jego utworem są *Sielanki ruskie*, pisane w różnych czasach, a wydane dopiero w ostatnich latach panowania Jana Kazimierza (1663). Oprócz poetów starożytnych (zwłaszcza Owidyusza), naśladował w nich poeta Szymonowicza, do czego się sam przyznaje, mówiąc, że szedł „Symonidowym niedostępnym śladem, bywszy jego i ziomkiem i blizkim sąsiadem“, i dodając z całą skromnością, że mistrzowi nie dorównał. Powiedział prawdę. Sam już styl *Sielanek ruskich* nosi na sobie wyraźne ślady zepsucia; są w nim takie barokowe wyrażenia, jak np. „przybytek miłego dowcipu“ (zam. głowa), „tabor anielski“ (zam. niebo); nie brak i wyrazów rubasznych, np. „paskudzić“ „blazgonić“ (t. j. pleść głupstwa); jest i takie np. omówienie: „Jeszcze czujna jutrzenka po nocnej kąpieli wczasowała spotniałe członki na pościeli, zaledwie co na ziemię, upragnioną rosy, wycisnęła rękoma z utrefionej kosy“

(t. j. słońce jeszcze nie wzeszło). Nadto sielanki są rozwlekłe, nie mają ani wdzięku, ani prostoty Szymonowicza, a choć nie brak ustępów żywych, pięknych, *pięknej całości niema ani jednej.* Ruskiemi nazwał swe sielanki Zimorowicz dlatego, że występują w nich pasterze z Rusi Czerwonej, mianowicie z okolic Lwowa, którzy rozmiawiają z sobą (posługując się czasem wyrazami ruskimi) o swoich uczuciach i upodobaniach, zajęciach i przygodach, śpiewają pieśni i t. d. Po większej części są to *sielanki konwencyonalne*: pasterze rozmawiają np. o Kupidynie i Hymeneuszu, o Wenerze i Adonisie, słowem, o tem, o czem pasterze pojęcia nie mają; ale bo też pod tymi pasterzami kryją się dobrzy znajomi Zimorowicza, mieszczanie lwowscy, a niejednokrotnie pasterzem jest on sam. Taką np. jest jedna z lepszych sielanek, *Trużenicy*: schodzą się trzej pasterze: Miłosz, Leszko i Samujło; Miłosz (sam poeta) wyrzeka gorzko, że stracił czworo ukochanych dzieci, poddał się jednak z pokorą niezbadadym wyrokom Opatrzności, pocieszając się myślą, że jego dzieci mieszkają w niebie, „kędy dzień ani wiosna wieczna nie ustaje, gdzie z barankiem niewinnym nasze niewinnięta odprawują wesoło nieskończone święta; że tedy dzieci nasze tę otchłań przebrnęły, że u portu fortunnej krainy stanęły,... nie lepiejże za niemi do wieczności śpieszyć, niżeli tu na krótki z niemi się czas cieszyć?“ W dalszym ciągu rozmowa schodzi na Lwów i jego okolice, które Miłosz opisuje z niekłamanem uczuciem przywiązania do swego gniazda; na górze pod miastem zamierza on, za radą i przy pomocy przyjaciół, zbudować kościołek na pamiątkę dzieci. Poczem rozmowa się zmienia: Leszko i Samujło proszą Miłosza, by im co zaśpiewał; ten obiecuje, ale odkłada na jutro, a tymczasem opowiada im o początkach swojej twórczości poetyckiej.

Ale najciekawsze są *dwie sielanki, osnute na tle historycznem*: *Kozaczyzna* i *Burda ruska*. Stanowią one jakby jedną całość, obydwie bowiem są odzwierciedleniem tych okropnych wspomnień, jakie w pamięci mieszczan lwowskich pozostawił po sobie napad Kozaków w r. 1648, w czasie bezkrólewia po śmierci Władysława IV. Dorosz, Ostafi i Wojdyłło opowiadają sobie o szturmie dziczy kozackiej do cerkwi ś. Jura, o bohaterskiej obronie Lwowa, o spustoszeniu miasta i okolic; opowiadanie to wcale żywe, proste, bez owych „poetyckich przysad“ Twardowskiego, a przez swoją prawdę (realizm) przejmujące, wręcz straszne; rozumie się, że pasterze nie szczędzą Kozakom gniewu i obelg, co jednak nie przeszkadza, że jeden z nich (przez którego usta przemiawia sam poeta) z chwalebną bezstronnością przyznaje, że wojny kozackie wywołali sami Polacy swą niesprawiedliwością względem chłopów ukraińskich. Obydwie sielanki są najlepszym dowodem talentu epicznego Bartłomieja Zimorowicza.

Z sielanki „Kozaczyzna“.

Jako przyszłą nawałność żeglarzom na morzu
Gwiazdy opowiadają, tak na Zaporożu
Burdę kozacką, gdy się zaczynała właśnie,
Wiele praktyk[1] domowych wróżyło nam jaśnie:

[1] praktyka=wieszczba.

Nie było żadnej nocy (śmiele to rzec mogę),
Którejby nie trąbili kundysi na trwogę;
Nie było dnia, żeby weń stare wrony wieszcze
Nie miały krakać rano; a co powiem jeszcze,
Żadnego roku wilcy większemi kupami
Nie wili się naszemi między koszarami [1].
Nawet się z domowemi spąchawszy [2] sobaki,
Szkody w trzodach czynili. Azaż to nie znaki
Unii niezwyczajnej, która biesa z Krzyżem
Pobratała, Krym dziki zjednoczywszy z Niżem?
Nuż, gdy najwięcej chmielu w zapustne ostatki
Zażywaliśmy, azaż w tenże czas na klatki
Wiejskie i na pałace pańskie z wschodniej strony
Szturmowny wiatr i wicher, wypadłszy, szalony,
Odzierając poszycia, łupiąc domy z dachów,
Prędko następujących nie był wieszczkiem strachów?
Lecz, kogo Bóg pokarać chce, zdrową mu radę
Odbiera! Też ja miałem na rozumie wadę:
Nie pokładałem sobie w pamięci tych wróżek
Ani obawiałem się niebieskich przegróżek.
Aż kiedy jednym razem zza Dniepru wypadła
Z trzaskiem i błyskawicą straszna chmura nagła;
Kiedy przed jej potopem i kamiennym gradem,
Kędy kto mógł uciekał: dopiero ich śladem,
Nie dowierzając bagnom ani trzęsawicy,
Umknąłem z domem wszystkim do ruskiej stolicy.
Tam *proskurnica* [3] cerkwie krotoszyńskiej [4] w bramie,
Pocobym się tak cisnął usilnie, spyta mię.
Gdym powiedział: „Kącika poszukać niewieście“, —
„Nie osiedzisz się — rzecze — nieboraku, w mieście:
„Jako zdzierżą potęgę mury ladajakie,
„Której nie mogły wojska wydołać trojakie?
„Płacz mi nie daje mówić, ale miasto zginie
„I ktokolwiek się wtenczas żyjący nawinie!
„Raczej, iż są Kozacy jednej z nami wiary,
„Jednegoż zażywamy chrzestu i Ofiary,
„Do katedry *władyczej* [5] Świętojurskiej radzę
„Uchodzić wam; i sama tam się wyprowadzę:
„Przecieć i na krew swoję i mirrę *władyczą*
„I na świątnicę będą mieć wzgląd męczenniczą“.
Co ja słysząc i widząc ludzie rodu mego
Z miasta, jako z okrętu. już już tonącego,

[1] koszary=zagrody (na owce). [2] spąchać się=zwąchać się. [3] kobieta, wypiekająca chleb, potrzebny do Sakramentu Ołtarza. [4] Krotoszyn — wieś pod Lwowem. [5] władyka=biskup.

Wynoszące sprzęty swe i różne tłumoki,
Ustąpiłem na górę z żoną bez odwłoki.
Alem trafił pod samę rynnę z deszczu; bowiem
Nazajutrz po wtargnieniu (że, co prawda, powiem)
Tatarowie z Kozaki, jako gęsta chmura,
Naprzód na cmentarz wpadłszy do świętego Jura,
Kilka tysięcy ludzi, którzy tam uciekli,
W ocemgnieniu pobili i na śmierć posiekli;
Niektórych powiązali Tatarzy w surowce.
Tak, kiedy kupa wilków wpadnie między owce,
Żadnej całej nie puszczą; abo, gdy jastrzębie
Ze wszystkich stron uderzą na stado gołębie,
Choć się z strachu tęgiego przyczają do ziemi,
Przecie wszystkich poszarpią pazurami swymi:
Tak tu najmniejsza dusza śmierci abo łyków
Nie uszła suchą nogą jawnych rozbójników.
Bałuch [1] ogromny z wrzasku, lamentów i pisku
Umierających, jako na pobojowisku!
Tu dzieci, tu niewiasty, tu leżą tułowy,
Tu pomieszane w kupę walają się głowy;
Wozów liczba bezmierna już pozakowanych,
Tamże niemało widać skrzyń porabowanych.
Bacząc my to (a było nas nad tysiąc więcej),
W cerkwi drzwi zamknęliśmy drągami co prędzej,
Rozumiejąc, że nas dom boży z onej toni
Swojem poszanowaniem od szwanku obroni.
Lecz prędko nas otucha oszukała błaha,
Bowiem do cerkwi wszystka przypadłszy *wataha* [2]
Z czterech stron poczęła łamać oraz mury;
Jedni z nich lud gromadny strzelali przez dziury,
Drudzy tłukli ciężkimi furtę taranami [3],
Niektóry dziurawili ściany kilofami [4];
Insi, przebiwszy zwierzchne młotami sklepienie,
Spuszczali na gęsty lud orklowe [5] kamienie,
Aż niektórzy ze strachu napoły pomarli!
Aż kiedy się oprawcy drzwiami do nich wdarli,
Przesieczy [6] siekierkami przez nacisk on srogi
I przez ciała czynili martwe sobie drogi.
Tamże jeden drugiego dusił w tym hałasie,
Jeden drugiego krwią swą napawał w tej prasie,
Że niezadługo cerkiew pospołu z przytworem [7]
Krwawą sadzawką, ciepłem stała się jeziorem.

---

[1] wrzawa. [2] wataha = czereda, kupa, gromada. [3] taran=okuta belka dębowa do rozbijania murów. [4] kilof=młot do rozbijania murów [5] orkiel, orcel = kamień nieciosany, łom. [6] przesiecz = droga przesieczona. [7] przytwór=kruchta, przedsionek.

Dopiero, jako snopie[1] biorąc z wiejskiej kupy,
Przerzucali na stronę obnażone trupy.
I tak gołe za nogi na podwórze wlekli;
Jeśli duszę zataił który, znowu siekli.
Jako w tym żona z dziećmi zginęła nierządzie,
Nie będę wiedział pewnie, aż na bożym sądzie!
Ja przez ten czas, w maclochu[2] nieznacznie zakryty,
Siedziałem za obrazem świętego Mikity.
Zrazu, widząc te mordy, serce we mnie drżało,
A potem, jako kamień, od żalu zdrętwiało,
Żem dalej nie mógł patrzeć. Dopiero pojźrzałem,
Kiedy *ihumen*[3] głosem zawołał niemałym:
„Hej! *Probo[illegible]i, Chrystyjane!*“ Temu *horylicą*[4]
Polawszy plesz[5] na głowie, przypalali świecą,
Żeby wyśpiewał, kędy stare *ryze*[6] schował
Abo srebro. On z nimi o wierze rokował;
Lecz mu jeden powiedział: „*Bateńku horoszy!*
„*Nie choczem twojij wiry łysze ditczych hroszy!*“
Insi ustawnie *hałaj*, *bre gaur* wołali,
Żeby się Tatarami, nie Rusią, być zdali.
Takowe wyprawiwszy do południa sztuki,
Ci odjechali, graty powiązawszy w juki.
Po nich zaraz nadeszli z rydlami kopacze
I nad pierwszych trzy razy ciekawsi badacze.
Ci, już kruszcu szukając, otworzyli groby,
Ruszyli wszystkie truny[7] i zgniłe osoby,
Z których zdzierali ropą obewrzałe szmaty
I zaraz się dzielili zbutwiałymi płaty.
Naostatek, wołając: „*Proszczaj światyj Juru!*“,
Oberwali na ziemię obraz jego z muru,
Większe tablice, rąbiąc, jako drwa, łupali,
Aż mię też w skałubinie[8] onej wymacali.
Natychmiast, żegnając się, krzykną: „*Buch, ne mara!*“
Ja na to: „Ej, *czołowik*, ta i wasza wiara!“
„Ale masz *denhy* lackie!“ Skoro to wyrzekli,
Jako mysz, z onej jamy za łeb mię wywlekli
I obrali do naga; jedni za kaletę,
Drudzy za trzos, aże w nim naleźli monetę.
„Ho, ho, ho! — krzyknęli — ty, *mużyku*, kozackie
„Nieprzyjaciele nosisz z sobą, zdrajce lackie!
„Gardłowa to jest sprawa i nieladajaka,
„Ale, żeś chrześcijanin, a nie Lach-*sobaka*,

[1] snopie—*rzeczownik zbiorowy*=snopy. [2] macloch = nisza. [3] ihumen, igumen=przełożony klasztoru. [4] horylica=gorzałka. [5] plesz=tonsura, łysina. [6] ryza=szata duchownego. [7] truna=trumna. [8] skałubina=nisza.

„Czynią ci atamani łaskę (dziękuj Bogu!),
„Aby-ć trochę czupryny przycięto na progu".
Już mię jeden z siekierą do progu przywodził,
Aż się we drzwiach Tatarzyn z trafunku nagodził;
Ten, opończę kilijską[1] z kostrubatych[2] sierci[3]
Dawszy im, wybawił mię od zabitej śmierci[4].
Sam na smyczy, jako psa, prowadził do koszu,
Kędym com przez pół roku ucierpiał, Doroszu,
Nie spisałbyś wszystkiego na wołowej skórze!...

§ 65. *Najznakomitszym epikiem XVII w. i wogóle jednym z najznakomitszych poetów niepodległej Polski jest autor „Wojny Chocimskiej", Małopolanin* **Wacław Potocki** (1625—1696) z Woli Łużeńskiej (w powiecie bieckim), *aryanin*. Wyższego wykształcenia nie otrzymał: za granicą nigdy noga jego nie postała, do akademii zaś krakowskiej, jako aryanin, wstąpić nie mógł; może nawet szkół średnich nigdy nie oglądał; a jednak, dzięki wrodzonym zdolnościom, starannemu wychowaniu w domu rodzicielskim oraz własnej pracy i ochocie do kształcenia się, która go do samej śmierci nie opuszczała, należał Potocki do najświatlejszych i najrozumniejszych ludzi swojego czasu. W siedemnastym roku życia służył wojskowo, lecz później ani razu miecza do boku nie przypasał i pędził ciche i spokojne życie na roli, rozkochany w swojem gospodarstwie, w poezyi i w życiu rodzinnem. Ale szczęście niedługo trwało: w roku 1658 zapadła uchwała, wydalająca aryan z granic Polski; wówczas to Potocki przeszedł na katolicyzm, ale żona aryanką pozostała, i to było dla Potockiego źródłem ustawicznej troski i trwogi: musiał żonę ukrywać, dopóki i ona wreszcie katolicyzmu nie przyjęła. Lecz nie sądzono mu już było zaznać szczęścia na tej ziemi: starszy syn poszedł na wojnę turecką i nie wrócił; za synem poszła córka, za córką młodszy syn (także na wojnie tureckiej), a wreszcie umarła ukochana żona. Pozostała mu tylko synowa, która miłością swą i przywiązaniem słodziła nieszczęśliwemu starcowi ostatnie lata życia i zamknęła mu oczy.

Literatura staropolska nie wiele posiada postaci tak wyjątkowo miłych, jak Potocki. Był to człowiek łagodny i dobroduszny, otwarty i szczery, gościnny, uprzejmy i chętny do usług, pod powłoką szorstkości i rubasznego humoru kryjący dobre, złote serce polskie, tkliwą miłością kochające żonę i dzieci; religijnym był do szpiku kości i w nieszczęściach swoich poddawał się pokornie niezbadanym wyrokom bożym; ojczyznę kochał całem swojem sercem: nie szczędził dla niej kosztów (raz np., jak sam sobie świadczy, „kilkadziesiąt człeka na Szwedy, herbu swego okrywszy ich płat-

---

[1] kilijski = cylicyjski, z Cylicyi (w Azyi Mniejszej). [2] kostrubaty, kostropaty = szorstki. [3] sierć = sierść. [4] zabita śmierć = zamordowanie.

kiem, stawił własnym kosztem"); synów wychował na rycerzy; z dumą i radością rozpamiętywał świetną, rycerską przeszłość swojej ukochanej Polski, jako przedmurza chrześcijaństwa, płakał łzami bólu nad jej późniejszem nieszczęściem i łzami wstydu nad jej późniejszą hańbą (Pilawce i traktat w Buczaczu, 1672), trwożył się, drżał, a nawet rozpaczał na myśl o jej przyszłości; tradycyę narodową i obyczaje staropolskie szanował i kochał aż do niechęci, a nawet do nienawiści cudzoziemczyzny; do swego kawałka ziemi, odziedziczonego po ojcach, a nie mniej do swego szlacheckiego gniazda i herbu gorąco był przywiązany. Jednem słowem, *Potocki to przepyszny typ Polonusa* (*t. j. Polaka-szlachcica starej daty*), *wyborne wcielenie sarmatyzmu* (*t. j. dawnej polskości*),—*ale w dobrem, dodatniem znaczeniu tego wyrazu.* Bo od ogółu szlacheckiego był Potocki znacznie wyższy, zarówno sercem, jak rozumem. Kiedy ogół szlachty miał fałszywe i przewrotne pojęcia o służbie bożej, mniemając, że prawdziwy katolik powinien nienawidzić innowierców, Potocki, wychowany w zasadach właściwej aryanom tolerancyi religijnej, był szlachetnym tolerantem; przeszedł później na katolicyzm, nie tyle z przekonania, ile dlatego, że nie mógł pogodzić się z myślą opuszczenia swojej ukochanej ziemi rodzinnej, że nie chciał, jak mówi, „stradać doczesnej ojczyzny"; z czasem stał się katolikiem gorliwym i z głębi serca wołał do Boga: „Pasterzu święty, i jam z Twej owczarnie za inszym wodzem obłądził się marnie": ale duchem fanatyzmu nie przejął się już nigdy, bo rozumiał, że albo głupotą, albo zbrodnią jest gwałtem narzucać komukolwiek przekonania religijne, że „ani sam Bóg potrzebuje, żeby z musu Mu człowiek służył", że „w tej chce umierać wierze człowiek, w której rodził się na świat, jakby wiara szła z natury". A jak religijnością, tak i patryotyzmem był Potocki wyższy od braci-szlachty: gorąca miłość Polski nie zamykała mu oczu na jej grzechy i wady; on nigdy nie wierzył, że „Polska nierządem stoi", przeciwnie, rozumiał, że Polska nierządem ginie; główne zaś źródło nierządu upatrywał nie tylko w *liberum veto*, ale i w słabości władzy królewskiej oraz w obieralności króla, dlatego też *przemawiał* niejednokrotnie — jeden z bardzo niewielu — *za dziedzicznością tronu.* I w poglądach społecznych nie był Potocki tak ciasny, jak inni; podzielał wprawdzie niedorzeczny pogląd, że „rzemiesło nieładnie z szlachectwem się zgodzi"; podrwiwał sobie ze świeżo upieczonego szlachcica, który niedawno jeszcze „pieprz ważył funtem", a teraz herbem się przechwala; wierzył również, że chłopi „z natury" są „sprawieni do ziemi i do pługa", że nawet wykształcony chłop zawsze pozostanie chłopem, bo „niepodobna przerobić psa na rysia"; słowem, i on, jak wszyscy za jego czasów, poczytywał szlachcica za jakieś osobliwe stworzenie: ale, ceniąc szlachectwo i herb, domagał się od szlachcica szlachectwa duszy, którego najwspanialszym wyrazem jest służba rycer-

ska w obronie matki-ojczyzny: „Niechaj syn koronny mocno temu wierzy, że, chociaż nie szynkuje i łokciem nie mierzy, jeśli nie będzie wojny w młodem lecie służył,... szlachcicem być nie może i szczycić się herbem, nie synem bywszy matce, lecz podłym pasierbem;... niechaj się żaden nie waży honoru napierać, aż się pierwej za matkę nauczy umierać".

Poezya była mu (jak Kochanowskiemu i Szymonowiczowi) *potrzebą duszy*; to też nie wojenka i nie gospodarstwo, ale poezya stanowiła główny jego zawód. A talent posiadał ogromny. Wyobraźnia jego nie była wprawdzie bujna, ale za to niezwykle żywa, to znaczy, że sam pomysłów do swoich dzieł poetyckich nie tworzył, tylko brał je gotowe—bądź z tego, co przeczytał (mianowicie z książek łacińskich), bądź z tego, co sam widział i przeżył (podobnie, jak Twardowski); ale te pomysły już sam uzupełniał i bardzo żywo wyrażał. Uczucie miał szczere, silne, głębokie i wypowiadał je często z niepospolitą siłą. Posiadał nadto *nadzwyczajną łatwość rymowania, a w posługiwaniu się mową ojczystą był prawdziwym mocarzem: pod względem bogactwa wyrazów, dobitności języka, zamaszystości i żywości rodzimego, szczeropolskiego stylu nie dorównał mu ani jeden z dawnych poetów.* Miał wreszcie przymiot, bardzo w Polsce rzadki,—niezmierną pracowitość: utwory swoje poprawiał i przerabiał i raz i drugi i trzeci.

Przy całym jednak swoim talencie, miłości poezyi i pracowitości, *nie był Potocki artystą*; gdyby nim był, kto wie, możebyśmy dzisiaj czcili w nim największego poetę staropolskiego! Na nieszczęście, żyjąc w wieku stopniowego zanikania w Polsce dobrego smaku, nie znając nadto współczesnej poezyi włoskiej i francuskiej, nie posiadał znajomości zasad prawdziwej sztuki (której brak jedynie geniusz zastąpić może), nie miał należycie wyrobionego poczucia piękna: rozumiał wprawdzie, że makaronizmy są, „jakby w słomianej strzesze blachą łatał dziury"; rozumiał równie, że „sentencya... im jest zwięźlejsza i piórem i usty, im krótsza, tem większe ma w uszu ludzkich gusty"; ale nie unikał wyrazów zbyt pospolitych, rubasznych i nie ustrzegł się pomysłów dziwacznych i tematów, już nietylko nie pięknych, ale często wstrętnych i plugawych. A do tego nie miał pojęcia o budowie utworów poezyi, mianowicie większych, t. j. nie umiał stworzyć pięknej całości. Wogóle *poezya Potockiego to dziwna mieszanina piękności (czasem nawet wzniosłości) z brzydotą*, zdrowych ziarn z pośladem i plewami, których on od ziarna nie odróżniał. Te ziarna jednak są tak liczne i często tak piękne, że byłoby krzyczącą niesprawiedliwością odmówić Potockiemu miana znakomitego poety.

A jest to poeta tak nawskroś, tak typowo polski, jak ani jeden z dawnych naszych autorów; w poezyi jego odbiło się, jak w zwierciadle, całe życie Polski XVII w., jej klęski i tryumfy, jej duch religijny i rycerski, jej wady i przymioty, jej charakter i obyczaje do-

mowe, słowem całe życie polityczne, wojskowe, religijne i obyczajowe; a zwierciadło to tak dokładne, że, gdybyśmy nawet nie posiadali innych źródeł do poznania Polski XVII w., poznalibyśmy ją z poezyi Potockiego aż do najdrobniejszych szczegółów. Wogóle, *jako malarzowi* życia polskiego, nie dorównał Potockiemu ani jeden z poetów niepodległej Polski, nie wyjmując Reja; i na tem to polega jego wyjątkowe stanowisko w dziejach naszej dawnej literatury. Niedosyć na tem. Ponieważ Potocki był wyższy nad ogół swego społeczeństwa, stąd jest on nie tylko malarzem życia polskiego, ale jednocześnie (podobnie, jak Rej) jego sędzią, *jest znakomitym satyrykiem*, którego uwagi nie uszedł ani jeden grzech przeciwko Bogu, ojczyźnie i bliźniemu: ani fanatyzm i nietolerancya religijna, ani prywata i anarchia polityczna, ani ucisk chłopów. A satyra to inna zupełnie, szlachetniejsza od satyry Krzysztofa Opalińskiego (§ 57): przemawia w niej nie gniew, nie niechęć ku społeczeństwu, ale głęboki smutek zacnego człowieka, który, widząc, co się w jego ojczyźnie dzieje, łamał ręce i rwał włosy—z rozpaczy patryotycznej.

. Spuścizna poetycka Potockiego jest olbrzymia: obejmuje co najmniej 300000 wierszy, to znaczy, że ani jeden poeta polski nawet się mierzyć z nim nie może pod względem płodności. Ale po większej części nie ogłaszał Potocki drukiem swych utworów, wiedząc, że niema już w Polsce wolności słowa: „Zawarto wszelki sposób do mówienia: jakoż i pismo wyniść ma na ludzkie oczy? abo go spalą, abo mól w kącie roztoczy! choćby i wyszło, tyle ogłosu uczyni, co drumka (bąk) abo mucha w hirkańskiej pustyni". Dopiero w czasach nowszych poznano i oceniono należycie poezyę Potockiego. A poezya to wielce różnorodna.

Najznaczniejszą jej część stanowią *wiersze i poematy religijne* (np. poemat o męce krzyżowej Zbawiciela), znamienne, jako wyraz gorącej wiary i serdecznej skruchy poety, ale zresztą nie posiadające większej wartości.

Ciekawsze są *powieści wierszowane*, napoły fantastyczne, napoły historyczne, jako to o nadzwyczajnych przygodach mężnego Syloreta, o Judycie, o cnotliwej Rzymiance Wirginii, o bohaterskiej walce Hollandyi z Hiszpanią. Powieści to nie oryginalne: ich źródłem są pisarze starożytni i nowocześni, których prozę łacińską Potocki przerabiał na wiersz polski. Najciekawszą ze wszystkich jest *Argenida* (drukowana 1597) obejmująca przeszło 22000 wierszy; główną treść tej powieści, pełnej najrozmaitszych awantur na ziemi i na morzu, stanowi walka rycerskich królewiczów z całego świata o rękę królewny sycylijskiej, Argenidy, i, co za tem idzie, o królestwo sycylijskie. I ta powieść nie jest wprawdzie oryginalna (przerobił ją Potocki z łacińskiego romansu politycznego Szkota Barclaya), ale, nie mówiąc już o pięknym języku i płynnym wierszu, pełno w niej własnych dodatków i poglądów poety, który, dopatrując

się podobieństwa pomiędzy szarpaną przez wrogów Sycylią a nierządną Polską, szarpaną przez nikczemnych magnatów i przez głupi motłoch szlachecki, wymownie piętnuje anarchię polską: rządy sejmikowe, słabość władzy królewskiej i zasadę wolnej elekcyi.

Rząd zły, gdy pospólstwo wszystko opieka się Rzecząpospolitą.

W tumulcież[1] się kto zdrowej ma spodziewać rady?
Gdzie tysiąc głów, a każda z swojem zdaniem jedzie,
Tysiąc razem języków, właśnie po obiedzie,
Każdy wrzeszczy co gardła, choć go nikt nie słucha,
A każdy co inszego; drudzy—do obucha!
Wszyscy swoje osobne interesa mają;
Ci—prywatnym faworem[2], drudzy narabiają
Nienawiścią, i, kogo gdzie afekt pociąga,
Zapomniawszy publiki, tam się sam zaprząga.
Krewności obowiązki, bankiety i wina,
Największa na sejmikach zawsze mieszanina!
A ty chwalisz taki rząd? i wolnością zowiesz
Oczywistą niewolą? a na to co powiesz,
Gdy na takich sejmikach, jak bydło przy żłobie,
Do rządu całej ziemie obierają sobie
Możniejszych senatorów? . . . .
. . . Godnych zarzuciwszy, takich w krzesła tkają,
Którzy rozumu mało, cnoty nic nie mają!
I chwalisz mi taki rząd Pospolitej Rzeczy,
Gdzie wszytko na możniejszych zawisnęło pieczy?
Wstyd mię za cię, że się tak w swym dyskursie mieszasz,
Jednego króla ganiąc, na dziesięć rozgrzeszasz!
Pytam: kędy większy plac i miejsce swobodzie,
Gdzie jeden, czy gdzie dziesięć panuje w narodzie?

Wolna elekcya.

. . . Póki dawnych państwo ojcowiców plemię,
Choć obrane, rządziło, syn wstępował w strzemię
Rodzicielskie; i przyznam, że ptak białopióry
Całego prawie świata przenosił Arktury.[3]
Zbytki wprzód, ambicyja do tego obrzydła
Wypierzywać oboje poczęła mu skrzydła...
Bo tam, jako skoro się król ze światem pożegna,
Otwierają swejwoli wrota *interregna*:
Gdzie kto duższy, ten lepszy! Nuż kaptury owe!
I dotąd stoją one kaptury bezgłowe!
Aż przyjdzie elekcyja, kędy hurmem bieżą
Konkurenci i w sztuki Koronę porzeżą!
Jednych obietnicami, drugich gotowizną

---

[1] tumult=zamieszanie. [2] fawor=łaska, poparcie. [3] Arktury=gwiazdy północne, kraje północne.

Korumpują [1], a trzeci, ledwo kość oblizną,
Ledwie ją na bankiecie winem spłucze mocnem,
Aż swym głosem każdemu gotów być pomocnym,
Aż się każdy o kreskę, byle z obcym zgodzi,
Bowiem się mu swojego i wspomnieć nie godzi...
Co się stąd krwie rozlało! co po dziś dzień leje!
Jakowa szarpanina! Niech czyta kto dzieje
Tych ziemic utrapionych, przyzna, że sto razy
Więcej na pospolitą Rzecz przypada skazy,
Prędsza zguba daleko tedy państwa goni,
Niż kiedy u dziecięcia korona na skroni.

§ 66. Najpiękniejszy dział poezyi Potockiego stanowi *poezya historyczna*, a na jej czele stoi obszerny poemat (rapsod) rycerski, obejmujący blizko 12000 wierszy p. t. *Wojna Chocimska* (wykończony r. 1670, ogłoszony drukiem dopiero 1850), *najpiękniejszy utwór poezyi epicznej w literaturze niepodległej Polski.* Przyświecała Potockiemu przy pisaniu tego poematu ta sama gwiazda przewodnia, co Mickiewiczowi przy pisaniu *Konrada Wallenroda*: i on, jak Mickiewicz, chciał „własne ognie przelać w piersi słuchaczów i wskrzesić postaci zmarłej przeszłości", i on pragnął „strzelać brzmiącemi słowy do serca spółbraci", żeby ci, „kiedy ich piosnka ojczysta poruszy, uczuli w sobie dawne serca bicie, uczuli w sobie dawną wielkość duszy i chwilę jednę tak górnie przeżyli, jak ich przodkowie niegdyś całe życie". Innemi słowy, Potocki, z całego serca bolejąc nad tem, że spółbracia zatracają ducha rycerskiego, że nie kochają wiary i ojczyzny tak gorąco, jak ich przodkowie, że wogóle są gorsi od swych ojców, postanowił przypomnieć im dla nauki cnotę i męstwo dawnych rycerzów; *chciał wpoić w ich serca tę wiarę, że, póki nie odrodzą się moralnie, póki nie staną się na nowo rycerzami-obywatelami, których świętym obowiązkiem jest walka z pogaństwem w obronie własnej ojczyzny i całego chrześcijaństwa,—dopóty Bóg nie będzie Polsce błogosławił.* Oto przewodnia myśl *Wojny chocimskiej*, która więc jest pobudką patryotyczną do męstwa i innych cnót rycersko-obywatelskich oraz do wiary, że sam Bóg z pośród narodów europejskich wybrał i przeznaczył Polskę na przedmurze chrześcijaństwa.

Za treść swej „piosnki ojczystej" wziął Potocki jeden z najwspanialszych czynów dawnej Polski—wojnę chocimską r. 1621, kiedy to 65000 wojska, składającego się z Polaków pod dowództwem Jana Karola Chodkiewicza i Kozaków zaporoskich pod wodzą Sahajdacznego, przez ciąg czterech tygodni z nadludzkiem męstwem i nadludzką wytrwałością zwycięsko odpierało wściekłe szturmy 400000 Turków pod wodzą pysznego Osmana; w chwili

[1] korumpować=przekupywać.

zawierania pokoju w obozie polskim pozostała jedna jedyna beczka prochu!!

Twórczej fantazyi niewiele się znajdzie w *Wojnie Chocimskiej*: jest to (podobnie, jak poematy Twardowskiego) upoetyzowana historya (kronika) wojny,—napisana głównie na podstawie łacińskich pamiętników Jakuba Sobieskiego (ojca króla Jana); od siebie dodał poeta wstęp, kilka szczegółów, przekazanych przez tradycyę, kilka pięknych opisów natury. A pomimo to jest *Wojna Chocimska* dziełem niepospolitej wartości.

W żadnym innym utworze poezyi staropolskiej nie odbił się tak wyraziście charakter rycerzów polskich, w żadnym innym nie przemówiły tak pięknie ich męstwo i religijność,—owe dwa nierozłączne z sobą znamiona dawnych Polaków, walczących z bisurmanem. Przed bitwą „wspierają“ ci bohaterowie chocimscy „świętym obrokiem swoje dusze“, „chwalą Boga ze wszech sił i z pięci zmysłów“, a potem lecą w ogień, „jak na wesele albo na taniec“, z wiarą, że służą nietylko matce-ojczyźnie, ale Bogu i Najświętszej Pannie, że sam Bóg im za to nagrodę obmyśli, dając im na tym świecie nieśmiertelną sławę, a na tamtym „indygenat niebieski“ (t. j. szlachectwo w niebie). Tacy to są ludzie w poemacie Potockiego,— i sędziwy Chodkiewicz i Stanisław Lubomirski (który po śmierci Chodkiewicza naczelne dowództwo objął) i Jan Lipski, „stary rotmistrz usarskiej drużyny, czteroma dorodnymi otoczony syny“, i Zienowicz, kasztelan połocki, i Sahajdaczny. ataman kozacki, i wszyscy.

Chodkiewiczowi „Mars z oczu bije“, a „choć starość go przygniata, serca wielkością sił ciała nadpłata“; on ma jedną tylko „prywatę“: „życzyłby, nim ostatnie przyjdzie oczy zmrużyć, Bogu się i kochanej ojczyźnie przysłużyć“; kiedy mu donoszą, że pyszny Osman zapowiedział, iż obiad w polskim obozie jeść będzie, on na to: „Tylko niechaj nie mieszka, niech nie kwasi grochu,—będzie bigos gorący z ołowiu i prochu“. Lubomirski jest młody, pełen fantazyi rycerskiej, a jednocześnie „godzien pochwały z roztropności“; kiedy wezyr turecki żąda, „aby Polacy ich cesarza wiecznym haraczem ubłagali“, odpowiada: „Rychlej mu włosy spadną z opleśniałej brody, niż go takie na tem miejscu potkają gody;... jeśli nie tchórz, tu, na blizkiem błoniu, jeśli chce, pieszo, jeśli— czekam go—na koniu, na ostrą-li kopiją, na pałasz-li goły“. Jan Lipski, który „pięćdziesiąt lat bez mała... chustem lał krew za miłą ojczyznę“, któremu „już żadnej rany—chybaby przez bliznę— ani szabla turecka, ani szwedzka kula, łuk tatarski i oszczep grubego Moskula... z przodu zadać nie mogła“, poległ na polu chwały, „jak Leonidas drugi“. Umarł i Zienowicz—od „dwudziestu kilku ran, ciętych i sztychowych“, ale przed śmiercią, w ostatniej bitwie, „siekł, kogo mógł, z potem krew pijący na poły, i uciekli poganie, a on między trupem tak gęstym stał, sparłszy się na pa-

łaszu słupem, w tureckiej krwi po kostki". Sahajdaczny, który już zdawna wsławił się męstwem, pokazał się i pod Chocimem, jako dobry syn ojczyzny, której dotrzymał wiary, „rzadkiej w kozackim narodzie", z trupów tureckich „groble robił" i w „jusze tureckiej się kąpał".

Lecz w *Wojnie Chocimskiej* są nietylko wskrzeszone „postaci zmarłej przeszłości", ale i „własne ognie", własne uczucia poety, który nie umiał i nie chciał taić się z niemi przed czytelnikiem. Więc wypowiada swoją własną mocną *wiarę, że rycerzami chocimskimi opiekował się sam Bóg*, który „przez mdłe ręce nasze krwią pogańską żelazne napawa pałasze", który „każe Michałowi, co dyabła wysadził, żeby o rzeczach polskich pod Chocimem radził"; „wodzowie i boży hetmani święte mają anioły, którzy niewidziani w takowych raziech zdrowe dyktują im rady". Nie kryje się Potocki i ze swoją *miłością ojczyzny, która przemawia, to jako duma patryotyczna, to jako smutek patryotyczny.*

Dumny jest poeta i nie posiada się z radości na myśl, że „takie przedtem rodziła Sarmacya syny"; „rzekłbyś, że to ci wstali z Bolesławem z trumny, co żelazne po końcach ojczystych kolumny stawiali". To też nietylko kocha, ale i czci tych rycerzów poeta i, kiedy się oni w ogień rzucają, woła: „O, chwalebna ochoto! o, kochana młodzi!" Kiedy opowiada, jak się Osman znęca nad jeńcami polskimi, dodaje od siebie, że ci biedacy „kończą śmiertelność, ale onymże zawodem w niebie żyć poczynają, gdzie ich ani głodem, ani żelazem więcej śmierć już nie namaca, a na ziemi żaden wiek sławy ich nie skraca". Jak Malczewski w *Maryi* uwielbia rycerzów polskich, rannych w boju z Tatarami, i woła: „Chodź, do stalowych piersi twój kaftan wełniany przyciśnij z wdzięcznem sercem i całuj ich rany!", — tak i Potocki rany swoich bohaterów chocimskich czci, jako świętość, i pociesza rannego wojownika, że rana jego to najwspanialszy podarek, jaki ojciec może dzieciom do domu przywieźć: „Żadne-ć-by jarmarki takiego specyału, choćbyś wszystkie fraszki zakupił, objechawszy Paryż i Damaszki, nie dały, jako gdybyś za miłą ojczyznę podjętą na swem ciele synom przyniósł bliznę". Kiedy umiera sędziwy Chodkiewicz, serce się poecie krwawi i wybucha jękiem: „Hetmanie mój złoty! przecześ, przecz zostawujesz zaczęte roboty?". A kiedy umiera Zienowicz, woła poeta: „Nie umiera, nie w wiecznym śmierć go mroku kryje: nie da mu cnota umrzeć, która wiecznie żyje!".

Ze zgryźliwością natomiast i ironią odzywa się Potocki o tych wyrodkach, co się prochu boją, co radziby porzucić obóz i powrócić do domu, o perfumowanych „galantomach", którym „wojna mierźnie": tacy, mówi poeta, są „Bogu obrzydli i światu szkaradzi". Z ironią również odzywa sie o królewiczu Władysławie, który rozchorował się w obozie i nie wielką miał ochotę „przesiąść się z żół-

wia na konia“, oraz o Zygmuncie III, o którym chodziły plotki po obozie chocimskim, że, kiedy rycerstwo polskie krew za ojczyznę przelewa, on sobie najspokojniej w świecie poluje na zające pod Lwowem; to też szydzi z króla Potocki, mówiąc, że mu „psie gony milsze, niż sława dobra, niż całość Korony“; wogóle nie lubił poeta Wazów, jako cudzoziemców, bo król-cudzoziemiec to „kaczka, wodząca kurczęta“. Ale najsilniej piętnuje w *Wojnie Chocimskiej* spółczesne sobie pokolenie, które, jego zdaniem, nie warto rzemyka u obuwia rozwiązać bohaterom chocimskim, bo zniewieściało, bo zatraciło ducha rycerskiego, bo oddaje się tylko wygodom i zbytkom, nie myśląc o matce-ojczyźnie; otóż ta świadomość przepełnia szlachetnym bólem patryotycznym serce poety, który też raz po raz przeciwstawia dzisiejszych „pigmejczyków“ (karłów) dawnym olbrzymom; tym sposobem *Wojna chocimska jest nietylko obrazem dawnego bohaterstwa, ale i bolesną satyrą patryotyczną na współczesnych*, płynącą wprost z serca kochającego syna ojczyzny, który, jak prześlicznie mówi, pióre swe „omoczył we łzie orła białopiórego“.

O Turkach nie może Potocki mówić z zimną krwią, nie cierpi ich bowiem z całej duszy, nazywa ich okrutnikami, łotrami, głupcami. Pohulał sobie zwłaszcza nad Osmanem, o którym zawsze wyrazi się pogardliwie, nienawistnie lub szyderczo: Osman „skacze, jak głupi“, na tronie „siedzi, jak bałwan, jakby sztukę balku złoconego postawił kto na katafalku“; „trzy dni nie jadł, prócz że swą zjadłą pianę chlipał, a ciało sam na sobie kąsał, targał, szczypał“. Zwłaszcza szydzi Potocki z pychy głupiego sułtana, któremu zachciało się „swój miesiąc naszego orła odziać pierzem“, który, idąc na wojnę, obiecywał swemu dworzaninowi, że zrobi go „dożywotnym baszą na Krakowie“, a który ostatecznie musiał zmykać, jak pies z podtulonym ogonem.

Jednem słowem, poemat jest nawskroś przesiąknięty własnem uczuciem autora—jego wiarą w Opatrzność, jego duchem rycerskim, jego miłością ojczyzny, jego nienawiścią względem zaklętych wrogów Polski i chrześcijaństwa. *I ta właśnie uczuciowość, ten duch poety stanowi główną piękność Wojny chocimskiej.* Wprawdzie i w *Wojnie* Twardowskiego są własne uczucia i poglądy autora: ale Potocki umiał je wypowiedzieć bez porównania silniej i piękniej; *Wojna* Twardowskiego jest przedewszystkiem rymowaną opowieścią o wypadkach dziejowych: *Wojna chocimska* to przedewszystkiem pobudka rycerska; Twardowski upatruje odrodzenie moralne narodu w życiu ascetycznem (§ 62): Potocki—w życiu rycerskiem. A jak duchem i nastrojem, tak językiem i stylem jest *Wojna chocimska* utworem bez porównania lepszym od napuszonych poematów Twardowskiego: wprawdzie i Potocki użyje czasem takiego wyrażenia, jak np. „Już Tytan na pół nieba wygnał kwadrygi“ (zam. o południu), lecz wogóle język jest może szorstki,

czasem rubaszny, ale jędrny, dobitny, malowniczy, dostrojony do przedmiotu, –pachnący siarką i prochem.

Inwokacya.

Wprzód niżli sarmackiego Marsa krwawe dzieje
Potomnym wiekom Muza na papier wyleje,
Niż durnego Turczyna propozyt[1] szkarady[2]
Pisać poczną w pamiętne Polakom przykłady,
Który, z nimi zuchwale mir zrzuciwszy stary,
Chciał ich przykryć haraczem z Węgry i Bułgary,—
Boże, którego nieba, ziemie, morza chwalą,
Co tak mdłem piórem, jako władniesz groźną stalą,
Co się mścisz nad ostatnim domu tego węgłem,
Gdzie kto usty przysięga sercem nieprzysięgłem[3],—
Ciebie proszę, abyś to, co ku Twojej wdzięce[4]
W tem królestwie śmiertelne chcą wspominać ręce,
Szczęścić raczył! Boć to jest dzieło Twej prawice—
Hardych tyranów dumy wywracać na nice,
Mieszać pysznych i z błotem górne równać myśli
Przez tych, którzy swą siłą od Ciebie zawiśli!

Potęga turecka.

Zabielały się góry i dniestrowe brzegi:
Rzekłby kto, że na ziemię świeże spadły śniegi,
Skoro Turcy stanęli, skoro swoje w loty
Okiem nieprzemierzone rozbili namioty...
Skoro Osman zobaczył nasze szańce z góry,
Jako lew, krwie pragnący, wyciąga pazury,
Jeży grzywę, po bokach maca się ogonem,
Jeżeli żubra w polu obaczy przestronem:
Chce się i on zaraz bić, zaraz chce na nasze
Wsieść obozy, hetmany zwoławszy i basze,
Każe wojska szykować, choć już i niesprawą[5]
Dla pola cieśniejszego, iść na nas obławą.
Kto mu wspomni nie w polskim wieczerzą obozie,
Choć najwierniejszy sługa, będzie na powrozie;
Tedy, o tak haniebnej usłyszawszy karze,
Biednego ognia składać nie śmieli kucharze...
Teraz, gdy Osman każe, lub zysk, lubo strata,
Walą się wojska, idzie i groźna armata,
Strasznie się bisurmańskich z góry garną roje,
A białe, jako gęsi, migocą zawoje.
Janczar-aga[6] we środku, ustrzmiwszy[7] w puch pawi,
Ogniste swoje pułki na czele postawi;

[1] zamiar. [2] szkaradny. [3] t. j. kto krzywoprzysięga. [4] wdzięka = dzięka. [5] nie w porządku należytym (z powodu ciasnoty). [6] dowódca janczarów. [7] ustrzmić (się) = ustrzępić się.

Sam, dosiadłszy białego Arabina grzbieta,
Jako między gwiazdami iskrzy się kometa,
W barwistym złotogłowie pod żórawią wiechą,
Buńczuk nad nim z miesiącem, otomańską cechą...
W prawo i w lewo janczar [1] na widoku stały
Nieznane oczom naszym dotąd specyjały:
Straszne słonie, co trąby okrom mają kielców;
Każdy swą wieżę dźwiga, każda wieża strzelców
Po trzydziestu zawiera; tak, gdzie tylko chodzą
Rozdrażnione bestyje, nieprzyjaciół szkodzą.
Konne wojska po skrzydłach, wyniósłszy swe dzidy,
Patrzą, rychło się do nich sunie giaur gidy [2]...
Wszyscy siedzą, od złota, od rzędów, od pukli
(I nie jako na wojnę daleką) wysmukli;
Nie widziałeś kirysów, nie widział pancerzy:
Każdy się złotogłowi, jedwabi i pierzy;
Ogromne skrzydła sępie, forgi [3], kity, czuby
Trzęsą się im nade łby. A ono nie tu-by
Te prezentować cienie i nikłe ozdoby,
Kiedy wróble takiemi straszą z prosa boby [4].
Wszytko znieśli, wszytko to dziś na się włożyli,
Z czego świat przez lat tyle zdarli i złupili...
W tymże obłoku stali Murzyni cudowni;
Jako się błyszczy iskra w opalonej głowni,
Tak i tym z warg napuchłych, z czerniejszej nad szmelce [5]
Paszczeki bielsze, niż śnieg, wyglądały kielce.
Tu się w szerokobiałej na wierzchu koszuli
Po polach Mamalucy przestronych rozsuli,
Jakoby przy łabęciach kto postawił kruki!
A gęste się nad nimi wieszają buńczuki.
Tamże wszytkie narody, które, jako sznuru,
Długiego się z obu stron trzymają Tauru,...
Toż Wołosza z Multany, co przedtem sąsiedzi,
Dziś nam nieprzyjaciele. Tam się wszytka scedzi
Zgraja ona niezmierna, niezliczona gęstwa,
Z której Polska ma świadka, póki świata, męstwa.
Cóż pisać o armacie? gdy samemi działy
Obóz swój osnowali za szańce, za wały,
Z takim grzmotem, że ledwie podobny do wiary:
Sam to przyznał Chodkiewicz, wódz i żołnierz stary,
Który, jak się Marsowym począł bawić cechem,
Nigdy tak wielkich, nigdy z tak ogromnem echem
Sztuk ognistych nie widział, które ziemię z gruntów
Trzęsły, rzygając kule o sześćdziesiąt funtów...

---

[1] drugi przyp. l. mn. [2] obmierzły. [3] pióropusze. [4] bobo=straszydło.
[5] szmelc = emalia.

Drą się trąby i surmy i w tyle i w przedzie,
Ale po lepszych w Wilnie tańcują niedźwiedzie!
Takie wilcy w gromniczny czas, mrozem przejęty,
Takie wydają świnie zawarte koncenty [1]!
Łagodną symfoniją tak ślusarz pilnikiem,
Tak osieł swoim cieszy ludzkie ucho rykiem!...
Przyznałby mi to pewnie Febus złotowłosy,
Że, jako rozpostarto nad ziemią niebiosy,
Jako on dawno snuje swojej sfery wydział,
Takiej liczby stad i trzód w gromadzie nie widział!
Mułów naprzód i osłów z różnymi ciężary,
Potem cielców ćma sroga, zaprzężonych w kary [2],
Nuż tak straszna armata, gdzie i po stu wołów
Jednę sztukę ciągnęło! Cóż kule? cóż ołów?
Wszytko to swym taborem, jako się już rzekło,
Kilka mil za wojskami powoli się wlekło.
Porożyste bawoły, barany i kozły,
Krowy, których cielęta na wozach się wiozły...
Nuż maży [3], które rzeczy, potrzebne do żydła [4],
Wiozły, co miały w jarzmach roboczego bydła,...
Gdzie faryna [5] i sorbet i kawa, co spumy [6]
Trawi w człeku, i we pstrych farfurach perfumy.
Tak się Osman opatrzył prowijantem sporym,
Bojąc się, żeby Polska pospołu go z dworem
Głodem nie umorzyła! Czyli słyszał, że tu
Ryż się nie rodzi, niemasz kawy i sorbetu?
Niegdyś a dzisiaj. Chleb a piwo—to żywioł; tłuste mięso z chrzanem,
Gdy zdrowie jest, bez pieprzu, bez cymentu [7].—panem!
Jakoż, byśmy się chcieli rozgarnąć w tej mierze,
A na wieki z tem wszytkiem uczynić przymierze [8],
Czego nam niebo i ta ziemia, co nas rodzi,
Nie dała, dłużejbyśmy—i starzy i młodzi—
Żyli, i każdyby z nas trzech Węgrów przesiedział!..
Nie znanoż dawniej pieprzu, kanaru [9], cymentu,
Apetyt był każdemu miasto kondymentu [10];
Patrzmyż też, co za ludzi miały tamte wieki,
Którzy nam tę ojczyznę dali do opieki!
Ale, że ich mały ślad i tylko w żelezie,
Ledwie że nie z nogami drugi dzisia wlezie
W szyszak przodka swojego, puklerza nie dźwignie,
Pod mieczem, jako wyżeł, do ziemie się przygnie,
Ledwieby i ostrogę uniósł na ramieniu,
A jako w wczesnem [11] krześle usiędzie w strzemieniu...

---

[1] koncent = harmonia, zespół. [2] kara = wóz. [3] maża = wóz łubiany. [4] żydło = sposób do życia, żywność. [5] mąka. [6] spuma = piana, szumowiny. [7] cyment = cynamon. [8] zawrzeć rozejm, zawieszenie broni (wziąć rozbrat). [9] kanar = słodycz. [10] kondyment = przyprawa. [11] wczesny = wygodny.

Przebóg! Cóż nas w tak drobne przerobiło mrówki?
Zbytkami nieszczęsnymi, łakomemi gardły
Samiśmy się w Pigmejów postrzygli i karły!
Co żywo, na nas jeździ, i wszyscy nas lubią,
Wszyscy nas, jako własne gąski swoje, skubią!...
Jest co widzieć w Krakowie, kiedy na trzy zbyty
Drogimi poobija ściany aksamity,
Ubrawszy ono łoże nakształt katafalku
Śród pokoju postawi od samego balku [1];
Wkoło fraszki rozliczne, od szkła i kamieni:
Tem pompa większa, im się która drożej ceni.
Chorągiewby zaciągnął za każde z tych cacek
I, z większą stokroć sławą, choć przynajmniej znaczek
Wyprawił w Ukrainę, gdzie, jako doroczy
Haracz, lud chrześcijański pies pogański troczy...
. . . Żaden z królów polskich, aże do trzeciego
Zygmunta, nie miał pompy, nie miał fastu [2] tego,
Jaki dziś ma starosta! Cóż o senatorze
Rozumieć? w jakiej bucie żyje i splendorze!
Nie łóżko, nie łabęcie mchy, nie miękkie szaty
Przodki nasze a stare zdobiło Sarmaty:
Ziemia—łóżko, barłóg—mech, falandysz [3] od festu [4],
Zwyczajnie karazyi albo też breklestu [5]
Na kurty zażywano! Co więcej, obok cię
Posadził, choć-eś oszył safijanem łokcie,
Największy pan: gdzie cnota rycerska nas braci,
Ani złotogłów, ani tam aksamit płaci...
Patrzcież na świątobliwe ojców swych obrazy,
Które. dokąd świat stoi, nie uznają skazy!
Patrzcie, a kinąwszy cień marnych ozdób płony,
Ich się imcie przykładem sarmackiej Bellony:
Bo ci, nie mając chleba królewskiego bułki,
Nierzkąc [6] roty usarskie, lecz stawiali pułki
Nie szarków, nie Rusnaczków, owych skotopasów,—
Żołnierza ćwiczonego: Węgrów, Szwedów, Sasów,
Co się rodził w obozie, we krwi go kąpała,
A trzaskiem muszkietowym matka usypiała,
Co mu nie zadrży czoło, choć w ogniu, choć w kurzu,
Za którego piersiami staniesz, jak w zamurzu!

Mowa Chodkiewicza do rycerstwa.

Ani mnie ust natura formowała z miodu,
Ani też tam oracyj trzeba i wywodu,

---

[1] balk = belka, pułap. [2] fast=pycha. [3] cienkie sukno zagraniczne. [4] fest = święto. [5] karazya, breklest—proste sukno grube. [6] nie mówiąc już, nietylko.

Gdzie Bóg, ojczyzna i pan[1] swoje składy święte
W archiwie piersi waszych chowają zamknięte;
Dziś wam się Bóg swej chwały, dziś ołtarzów zwierza,
Nowego, które stwierdził krwią własną, przymierza,...
Wam ojczyzna, rodzice, krewne, dzieci małe,
Płeć niewojenną, dziewki oddaje dojźrałe;...
Wam ubogich poddanych chrześcijańskie gminy,
Ojczyste naostatek ściany i kominy
Pokazuje zdaleka Matka utrapiona,
Pod wasze się z tem wszytkiem dziś kryje ramiona!
Do was obie wyciąga ręce wolność złota!
Niech się sam w swych poganin obierzach[2] umota!
W te ręce król ozdoby swej dostojnej skroni,
Kiedy mu hardy Osman śmie posiągnąć do niej,
Porucza, z których je ma; nadzieje nie traci,
Że tyran posiężnego[3] sowicie przypłaci.
Ja uniżone Bogu czynię dzięki, że mi
Dał żyć na nizkiej do dnia dzisiejszego ziemi,
Dał na tem stanąć miejscu, skąd jeżeli żywo
Wrócę, czeka mnie żyzne wiecznej sławy żniwo;
Jeśli też tu Bóg schyłki wieku mego scedzi,
I to zysk liczę, gdy mnie nie doma sąsiedzi,
Lecz tak wiele chrześcijan pod tureckiem niebem
I moje martwe kości ozdobi pogrzebem!
Więc, o kawalerowie, w których serce żywe
I krew igra, przyczyny mając sprawiedliwe
Tak koniecznej potrzeby, Litwa i Polanie,
Osiądźcie Turkom karki i nastąpcie na nie!
Niechaj was to nie stracha, niech oczu nie mydli,
Że się poganin upstrzy, uzłoci, uskrzydli.
Namioty, słonie, muły, wielbłądy i osły—
To nie bije; stąd serca przodkom waszym rosły
Do szczęśliwych tryjumfów: i mięso i pierze
Lubią sławę i złoto przy sławie żołnierze.
Mało co tam wojennych: dziady, kupce, Żydy,
Martauze[4] postroili i dali im dzidy;
Co człek, to tam rzemieślnik: cień ich tylko ma tu
Osman,—każdy zostawił serce u warstatu!...
Tedy do tak nikczemnej, marnej szewskiej smoły
Sarmatów będę równał?—naród, który z szkoły
Marsowej pierwsze przodki, stare dziady liczy?
Który wprzód w szabli, niżli w zagonach, dziedziczy?
Którym Chrobry Bolesław, gdy Rusina zeprze,
Żelazne za granicę postawił na Dnieprze,

[1] t. j. król. [2] obierz=sieć, sidło. [3] posiężne—opłata od tego, po co kto sięga. [4] martauz=kradnący i zaprzedający ludzi w niewolę.

Gdy Niemca, co w fortecach i w swej ufał strzelbie,
Takież kazał kolumny kopać i na Elbie?...
Dobądźmy na dzisiejszy dzień chowanej broni,
A skoro hasło JEZUS po wojsku zadzwoni,
Nie szczędząc bisurmańskiej nikczemnej posoki,
Odbierzmy należyte szablom swym obroki!
Jeżeli się kto boi, jeśli ufa w nogi,
Niech patrzy na bystry Dniestr, tatarskie załogi,
(O czem wątpię!) a mężnym bohaterska cnota
Niechaj do wiecznej sławy pootwiera wrota!
A Ty, o wielki Boże! który jednem słowem
Wodzisz wojsk milijony, przeto obozowym
Panem się słusznie zowiesz, Ty sadzasz na trony,
Ty królom z głów niewdzięcznych odbierasz korony,—
Pokaż swoję moc w naszej niedołędze[1] lichej,
Zepchni nieprzyjacioły swoje dzisia z pychy.
Oni-ć liczbie tak wielkiej, wozom, koniom, a my
W Tobie tylko, jedyny Boże nasz, ufamy.
Racz podrzeć wielkich grzechów naszych katalogi,
Weź im serca, a nam daj! pokrusz im ostrogi!
Niech się im łuki łomią, niech ich szabla stępie!
Daj cześć swemu imieniu w tym ludzi zastępie!

Szturm Turków do obozu kozackiego.

Ledwo się słońce jęło nad ziemię podnosić,
Każe (Osman) wychodzić wojsku szturm ogłosić
Do kozackich taborów, lub zysk, lubo strata:
Tak mu pomsta, tak mu gniew serce w piersiach płata,
Choćby wszytkim Turkom być dzisiaj na przedpieklu,
Byle dobyć Kozaków. . . . .
„Idźcież—rzecze—wielkiego świata króciciele,
„Wytnijcie i z korzeniem to szkodliwe ziele,
„Idźcie śmiele! Ja na was będę patrzył zblizka,
„A kto najpierwszy wpadnie do tych psów łożyska,
„Dziś weźmie Sylistryją; a kto drugi po nim,
„Juki złota z ubranym daruję mu koniem;
„Tak aż do dziesiątego: każdy swej odwagi
„I męstwa należyte odniesie posagi“.
Kiedy się do wygranej hardy Turczyn bierze,
Sześćdziesiąt dział burzących przeciwko kwaterze
Kozackiej wyrychtuje. . . . .
Widzi dobrze Chodkiewicz, na co Turczyn godzi,
Więc w pole sześć usarskich chorągwi wywodzi,
Kędy i sam w tysiącu swojego wyboru
Czołem do kozackiego obróci taboru,

[1] niedołęga=niedołężność, bieda.

A oraz i lisowskie z szańcu ruszy roty;
Tak stał w miejscu, czekając Marsowej roboty...
Wtem Osman niecierpliwy każe palić działa:
Zaćmił słońce gęsty dym, ziemia z gruntu grzmiała,
Rozlegają się góry i przyległe lasy
Niewytrzymanym trzaskiem, strasznymi hałasy.
Tak twierdzą (jam tam nie był), że z onego grzmotu
Kilka ptaków na ziemię spadło, zbywszy lotu;
Dzieli się Dniestr na dwoje, że mógł każdy snadnie
Obaczyć mokry piasek i kamyki na dnie...
Grom słuch odjął, a oddech — siarczyste otręby,
Wzrok — dym, że sobie ludzie palce kładli w gęby.
Twierdził to i Chodkiewicz, że, jak począł zmłodu
Wojnę służyć, takiego huku, dymu, smrodu
Nie uznał, jakim nas dziś głuszy, ślepi, dusi,
Kiedy się żwawy Osman o Kozaków kusi.
Tylko też [1] było szkody z owej srogiej burze!
Bowiem ci, w swoich szańcach siedząc, jako w murze,
Tak szkaradą kul gęstwą, która się tam zwali,
Jednego tylko z swoich junaków stradali.
A skoro kilka godzin bez wszelkiego skutku
Grzmi Osman, każe się swym zmykać [2] pomalutku:
„Jeśli się tam jeszcze kto morduje z tym światem,
„Dorżnąć go, a te działa wszytkie z aparatem
„Wprowadzić do taboru, wygnać niedobitki,
„A tak podciąć giaurom twardoustym łydki!"
Już umilknęły działa, już nie ryczą smocy [3],
Kiedy tyran zajadły wszytkie wywrze mocy,
Żeby, obóz kozacki ze czterech stron prawie
Obegnawszy, w tak strasznej wziąć go mógł kurzawie.
Dopieroż Turcy wałem ruszą z góry ku nam,
Tusząc, że się Kozacy, tak gęstym piorunam
Oprzeć nie mogąc, albo zginęli do nogi,
Albo swoich taborów opuścili progi...
Długo leżą Kozacy. Jako więc zwykł łowiec
Na lisa i wilk, kiedy widzi stado owiec,
Nie pierwej ten wypada, tamten zmyka z smyczy [4],
Aż się zbliżą, aż będą pewni swej zdobyczy:
Tak Kozacy, swego się trzymając fortelu,
Nie pierwej się objawią, dokąd im na celu
Nie stanie nieprzyjaciel; toż mu ogień w oczy
I z dział i z ręcznej strzelby sypą, a z uboczy

[1] tyle też tylko [2] zmykać się=zewrzeć się, skupić szeregi. [3] wielkie armaty. [4] t. j. spuszcza psa ze smyczy.

Zawadzi w nich Chodkiewicz i, o gole brzuchy
Skruszywszy drzewa [1], sroższej doda zawieruchy,
Gdy, dobywszy pałaszów, jako lew z przemoru [2],
Pierwszego bisurmanom przygasza humoru.
Zapomni się pogaństwo i strasznie się zdziwi,
Że Kozacy strzelają i są jeszcze żywi,
Że ich wszystkich burzące nie pogniotły działa;
Smutnie przeto zawywszy swoje *hałła*! *hałła*,
Skoro ci jeszcze do nich wysypą się gradem,
Naprzód im czoła strachem podchodziły bladym,
Potem, kiedy Chodkiewicz wsiędzie na ich roje,
Ze łby im ostrą szablą zdejmuje zawoje,—
Zwątpiwszy o posiłkach, zwyczajnego toru
Dzierżąc się, uciekali do swego toboru!
Nie pomoże Mahomet i carska powaga,
Gdy śmierć chwyta za gardło, gdy się serce trwaga...
Targa włosy na głowie, gryzie sobie palce
Zjadły Osman, żurzy się [3] na swoje ospalce,
Już nie wierzy, żeby był Mahomet na niebie,
I swych i nieprzyjaciół i znowu klnie siebie!
Potem, się zapomniawszy, kiwa tylko głową,
Kiedy Turcy, osobą gardząc cesarzową,
O jego się tak blizko ocierając strzemię,
Uciekają; nakoniec, pięścią tłukąc w ciemię
Od gniewu, i samemu przyjdzie się rozgrzeszyć,
Przyjdzie i nieprzyjaciół, niestetyż, rozśmieszyć,
A uchyliwszy onej prześwietnej grandece [4],
Uciec z pola! . . . .
Ale, póki w polu stał, jeszcze się wstydali,
Jeszcze się jakkolwiek [5] Turcy opierali;
Skoro uciekł, skoro się do namiotu schował,
Wszytkich w drogę rozgrzeszył i licencyjował [6].

Zakończenie. Tobie, Tobie, Monarcho szerokiego świata,
Acz-ci cię żadna potkać nie może odpłata,...
Niesiemy hołd powinny i wieczne trybuty!
Pełne usta Twej chwały i serce—pokuty!
Tobie w piersiach, podniósłszy tryjumfalne palmy,
Święty pean przez hymny głosimy i psalmy!
Twoja to wiktoryja, Twój fest, Twoje dziwy,
Że Turczyn, który, samym strachem końskiej grzywy

[1] włócznie. [2] przemór = straszny głód. [3] żurzyć się = gniewać się. [4] grandeca = wielkość, powaga, majestat. [5] jako tako. [6] licencyować = pozwolić (na ucieczkę—własnym przykładem).

Wielkie kruszył fortece i narody gładził,
Pierwszy raz, jako kosa o kamień, zawadził
O szczyptę Twoich ludzi, których wzgardził przodem
I zamierzać nad nimi śmiał zwycięstwo głodem!...
Twojej to, Twojej dzieło wszechmogącej ręki,
Za co-ć wszyscy pokorne oddajemy dzięki,
Ofiarę-ć na czystych serc kładziemy ognisko,
Żeśmy na łup poganom, na urągowisko
Pokrytym[1] przyjaciołom i naszym sąsiadom
Nie przyszli: wszakeś serca człowieczego świadom[2].
Chciejże, wszechmocny Stwórco wszytkich rzeczy, zdarzyć,
Aby pokój, któryś nam dziś raczył skojarzyć,
W tej Koronie wiekował ku Twej chwale świętej,
A z nas grzechu wszelakie wykorzeń ponęty!
Pobożność, mądrość, miłość i insze pożytki
Rozmnóż Świętego Ducha! A przemierzłe zbytki—
Wstręt[3] na niebie i ziemi (byle zaś nie w gniewie!)
Do żywota—niech z nas Twa prawica wyplewie!
Daj w ojczystej swobodzie, w rządzie, dobrej sile
Wyżyć tej śmiertelności zamierzone chwile!

§ 67. Prócz utworów większych, pozostawił po sobie Potocki nieprzebrane mnóstwo drobnych, które pisywał od młodu aż do późnej starości. Większą ich część zgromadził w dwu olbrzymich zbiorach, obejmujących przeszło 100,000 wierszy. Pierwszy zatytułował: *Moralia* (przypowieści) *abo rzeczy do obyczajów, nauk i przestróg w każdym stanie żywota ludzkiego*; a drugi: *Ogród, ale nieplewiony, bróg, ale, co snop, to inszego zboża, kram rozlicznego gatunku.* Ten dziwaczny tytuł drugiego zbioru jest bardzo odpowiedni dla obydwu wiązanek: obydwie są rzeczywiście kramami rozlicznego gatunku — dobrego i złego; obydwie są ogrodami niewyplewionymi, autor bowiem nie przeznaczał ich do druku; obydwie wreszcie są snopami różnego zboża, bo ich treść jest bardzo rozmaita.

A więc naprzód są tu krótkie *anegdotki* (dykteryjki) — w rodzaju tych, jakie pisywał Rej (§ 25). Anegdotki to zwykle niewybredne, a często bardzo swawolne, tak dalece, że autor (jak sam żartobliwie mówi) spowiadał się z nich, jak z grzechu, i postanowił je spalić, jeden bowiem ksiądz groził mu za nie czyścem, a drugi nawet piekłem! Ale nie spalił i tym sposobem pozostawił po sobie ciekawe świadectwo obyczajowe (chociaż bardzo nieobyczajne), mianowicie świadectwo rubasznego humoru ówczesnej szlachty.

---

[1] pokryty=obłudny. [2] t. j. Ty, Boże, wiesz, jakie to zamysły mieli nasi wrogowie. [3] wstręt=przeszkoda.

Lecz nie brak dykteryjek zupełnie niewinnych, a naprawdę zabawnych.

Oprócz anegdotek pełno w *Ogrodzie* i *Moraliach* opowiadań dłuższych, mianowicie *obrazków rodzajowych* z życia szlachty, zwłaszcza towarzyskiego. Za przykład może służyć opowiadanie „Prośba przyjacielska stanie za rozbój"—doskonała charakterystyka jednego z głównych rysów obyczajowości staropolskiej, mianowicie gościnności, która często bywała prawdziwem utrapieniem dla gościa, kiedy gospodarz w żaden sposób nie chciał go wypuścić z domu. Ale czasem i gospodarz miał za swoje, — gdy nawiedził go nudny gość i ani myślał się wynosić, nie widząc, czy też udając, że nie widzi, jak się gospodarz niecierpliwi. Raz np., opowiada Potocki, dano mu znać, że przyjechał jakiś gość nieznany; poeta przyjmuje go gościnnie, daje mu jeść i pić, myśląc, że pojedzie sobie niebawem; ale gość się nie śpieszy, popija wódkę i skarży się na złą drogę; podano obiad, gość najadł się i wciąż gada; gospodarz skarży się na nawał roboty, a gość zaczyna mu opowiadać o bitwie pod Wiedniem; słońce zaszło,—gość siedzi i gada; gospodarz zaczyna odmawiać pacierze, — nie pomaga nic; wreszcie gospodarz, zrozpaczony, wybiera się w drogę „przy dobrej nocy" i pozbywa się nakoniec natręta. I takich obrazków jest całe mnóstwo, a odzwieciedlają się w nich obyczaje szlacheckie tak wiernie i dokładnie, jak w ani jednym zresztą utworze poezyi staropolskiej.

W kościele gwizdać. „Łżesz!", chłopu w karczmie rzekł chłop. A na tejże ławie
Siedząc ksiądz: „Azaż to mówią tak plugawie?
„Jakoż, kiedy nieprawda, tylko—rzecze—gwiźni:
„Tak wszetecznych słów słuchać nie powinien bliźni".
Wrychle potem ksiądz kazał: „Kiedy Pan Bóg z błota
„Stworzył człeka zdrowego, postawił u płota,
„Żeby usechł; jako się chytry szatan skradzie,
„Ospy, odry i różnych wrzodów weń nakładzie".
A tu chłop, znający się na tej robociźnie,
W ławce siedząc z drugimi, co ma pary, gwiźnie.
Tu ksiądz: „Cóż? czy nieprawda?" — „Tylko, ojcze, rzekę,
„Kiedy człeka nie było, któż grodził pasiekę?"
Stąd-ci miejsce przypowieść staroświecka ściele:
Dajże pokój, nauczę gwizdać cię w kościele!

Wet za wet. Ktoś, przyniósłszy w zanadrzu cytrynę umyśnie,
Dając królowi, prosi o starostwo Wiśnie[1];
A król, że żył starosta, odpowie, jak z proce:
„Bardzo słuszna owocem nagradzać owoce:

[1] Wiśnia, Wisznia=Sądowa Wisznia (w powiecie mościskim).

„Jednak, że Wiśnie niemasz, natenczas się figą
„Kontentujcie!" Zrozumiał i poszedł za dygą[1].

Nienadana ceremonia.

Spragnąwszy, król Kazimierz, goniąc zwierza w boru,
Wstąpił do szlacheckiego, chcąc się napić, dworu.
Rad był szlachcic ubogi, że go Pan nawiedził:
Skoro z bębna[2] ostatek piwa w szkleńcę scedził,
Przyniesie mu do konia. A król: „Pijcież!—mówi—
„Wszak zawsze kredensować[3] należy królowi".
Skosztowawszy, ów znowu z ukłonem mu poda.
„Wypijcież do dna—rzecze—tak niesie ta moda".
Wypił ów do kropelki. „Każcież nalać teraz!"
Szlachcic, złożywszy ręce: „Przysiągłbym i nieraz,
„Choćby pod sercem było, choćby szczerozłote,
„Dałbym. gdybym miał; widzisz wszak moję ochotę".
Śmieją się wszyscy, a król, zostawszy na koszu:
„Nie trzebaż ceremoniej zażywać w Mazoszu!"

Biało? biało.

„Młynarzu, są tu ryby?"—„Są, panie łaskawy!"
„Ejże, podobno niemasz?"—„Próżne stoją stawy".

Posłuszny chłopiec.

Często pan mawiał, chcąc to chłopcu w głowę wlepić:
„Jak tylko *w gębę wezmę*, zaraz mi się chce pić"...
Trafiło się, że mu ktoś, nim uchylił gęby,
Straszny wyciął policzek, aż się zwinął w kłęby.
A chłopiec leci z piwem.—„Cóż mi po niem, człecze?"
„Wżdy waćpan zawżdy pijesz, *wziąwszy w gębę*",—rzecze.
„Przepadnij choć do piekła z twojem piwem, dyable!
„Raczej mi daj na pomstę co najrychlej szablę!"

Golono, strzyżono.

Idący gdzieś mąż z żoną po ławie[4] przez wodę,
Ujrzą chłopa bez brody, co ongi miał brodę.
„Ba, wej[5], jak się nasz sąsiad wygolił",—mąż powie.
A żona: „Wżdyć to ostrzygł, oto znać po głowie!"
Znowu ten: „Ba, ogolił." Owa: „Ostrzygł",—rzecze.
Tak długo między nimi było owej sprzecze,
Aż z słowa przyszło do rąk, aż ją zepchnął z ławy.
Już tonie, już się baba napiła Rudawy,
Już i z głową pod wodą baba łowi śliże[6],
Przecie palcami, rękę ukazawszy, strzyże.
Gdy się o tej sąsiedzi dowiedzą przygodzie,
Bieżą na dziw, a widząc, że przeciwko wodzie

---

[1] dygnąwszy, ukłoniwszy się. [2] bęben = dzban, butel. [3] kredencować, służyć (nalewać puhar). [4] ława=kładka. [5] patrz! [6] śliż=mała rybka (płotka).

Mąż jej szuka, a ci w śmiech. On też rzecze: „Szkoda
„Dziwić się: wszytko, prawda, na dół niesie woda,
„Lecz niewiasta, tak sprzeczna we wszystkiem z natury,
„I po śmierci, rozumiem, płynęła do góry“.

Z Kmiotki panna służebna.

Szlachcionka jedna, panny nie miawszy służebnej,
Kmiotkę, w lnianą koszulę ubrawszy ze zgrzebny [1],
Bierze z sobą w gościnę. Ale wprzód napomni,
Żeby jak najprzystojniej, wszytko jak najskromniej
Czyniła, co jej każą; waszmościała wszytkim
I odwykała wiejskim obyczajom brzydkim:
Mianowicie u stołu patrzyła, jeśli ją
Posadzą, jako panny jedzą, jako piją;
Milczeć; spyta kto,—cicho odpowiedzieć, słuchać!
Na łyżkę całą gębą po wiejsku nie dmuchać,
Nie rządzić, nie przestawiać, żeby nie znać na niej!
Ręce założyć, skoro na nię pojrzy pani!
Pokrajawszy, na nożu w gębę kłaść z talerza!
Uczy tańca wielbłąda i wilka pacierza [2].
Siedzą panie. W niezwykłej stoi czuba [3] szacie
Przed niemi, aż się hałas jakiś stał w komnacie.
Prosi jej gospodyni, nie żałując prace,
Żeby zajrzała, kto tam tak barzo kołace;
A ta z nizkim ukłonem: „Jegomość pan kurek
„Stłukł pannę maglownicę, wleciawszy na murek“.
Śmiejąc się, gospodyni: „Daj zdrowie Ichmościom!
„Wielcem rada w domu swym niebywałym gościom“.
Stąd przypowieść: *Pan Kurek z Panną Maglownicą*,
Kiedy się waszmościają pachołek z woźnicą.
A że już skończę bajkę z przypowieścią społu,
Posadzono też czubę z inszymi do stołu.
Był na półmisku kapłon pieczony; wziąwszy ta
Kolano, z apetytu zębami go chwyta,
Ciągnie garścią, jako pies, przystąpiwszy nogą:
W tym razie pojrzy pani twarzą na nię srogą;
A moja czuba ręce, jako jej kazano,
Wskok złoży, zostawiwszy w paszczęce kolano.
Wszyscy w śmiech, pani tylko od wstydu nie zgore:
„Nie wezmęż ja cię, drągu, w gościnę powtóre!“
Dano kaszę na koniec; jeść się jej chce srodze,
Aż owa: „Dmą-ć haw [4]—głosem zawoła—gospodze!
„Będę ja też!“—„Dmi! bodaj rozpukła! Do bydła
„Nie do ludzi, świni, maszkaro obrzydła!

---

[1] zgrzebna=płótno grube. [2] t. j. cała ta nauka miała taki skutek, jak gdyby kto uczył wielbłąda tańczyć, a wilka modlić się. [3] czubatka (t. j. owa dziewka). [4] tu.

„Prawiem-ci się uczciła [1], od wideł, od gnoju
„W panieńskim koczkodona, czopa wożąc stroju!
„Niechaj wszytkie ziemianki mną się karzą dzisia,
„Że pstre cynki [2] kondysa nie przerobią w rysia!

Prośba przyjacielska stanie za rozbój.

Do omycia w kościele pierworodnej winy
Przyjaciel i krewny mój prosił mię na krzciny.
Że prośba przyjacielska gorsza od rozboju,
Choć i starość i zdrowie swego chce pokoju,
Nie mogąc się wymówić, obojga uchylę [3].
Jadę w niepogodny dzień, złą drogą, o milę;
Z kościoła, choć już słońce z południa się kłoni,
Po długiej na krótkim dniu, do wsi, ceremonii...
Mrok pada. Nie chcą naprzód puścić mię z zastola;
Jeszcze były poważne białogłowy ze mną:
W domu dziś być koniecznie, choćby przez noc ciemną.
Klękam, przysięgam, że już wina nie mam gdzie lać;
Stać na nogach nie mogę, pijana i czeladź;
Oknem trudno wyskoczyć, a izba zamknięta,
I tego tylko czekam, że każe kłaść pęta.
Przecież, jakbym co ukradł, gospodarską zrzędę
Przełomiwszy, ucieknę i w karetę wsiędę:
I tu pić! Końmi ruszyć nie widzę sposobu,
Kiedy ją z kielichami zalegą z stron obu.
Wylazłszy, idę pieszo o kiju za wrota:
Toż wino, taż muzyka, taż i tam ochota!
Nie gorzej na praszczętach [4], odbierając plagi,
Przez rózgi przepuszczony dragon biega nagi;
I nie pierwej się wydrę z tak gorącej łaźni,
Aż i palca nie widać. Gdzie w srogiej bojaźni
Wleczemy się omacką, w srogim strachu, żeby
Szyj, rąk, nóg nie połamać przez dzikie werteby [5].
Stangret—ślepy, forytarz [6]— drogi niewiadomy:
Chybiwszy jej, od samej zaraz zbłądził bromy [7].
Wysiadamy, gdzie konni namacają dołek,
Aż naprzód spadł pod koła pijany pachołek,
W którym wszytka nadzieja, aż—woźnica z kozła!
Nikt nie postrzegł, i długo za końmi się wiozła
Kareta sama, póki tego sługa któryś,
Czy trzeźwiejszy, niż owi, nie obaczy foryś.
Stoimy. Konni w różne strony się rozbiegą,
Nim po świetle z daleka chałupy postrzegą.

---

[1] a tom się urządziła! [2] cynek=cętka. [3] t. j. nie zwracam już uwagi ani na starość, ani na zdrowie. [4] praszczęta=rózgi do bicia, pręty; męka. [5] werteba=manowiec. [6] foryś. [7] broma=brama.

Toż sprowadziwszy chłopów, nie bez munsztułuku [1],
Dochrapiemy się domu prawie na bałuku [2],
Nabrawszy—za zgubionych siłę rzeczy—błota.
Taki-ć pożytek zbytnia przynosi ochota!

Lecz nie tylko do poznania obyczajowości szlachty polskiej są drobne wiersze Potockiego nieocenionym skarbem: poznajemy z nich w najdrobniejszych szczegółach własne życie poety, który opowiada drobiazgowo o swoim trybie życia, o swojem gospodarstwie, o swoich kłopotach i t. d.; *ani jeden z poetów staropolskich nie pozostawił po sobie tylu osobistych zwierzeń, co Potocki.* Przedmiotem zaś tych zwierzeń są nie tylko jego własne sprawy, ale i sprawy całej Polski, które go zawsze żywo obchodziły: stąd wypłynął cały szereg *satyr i elegii patryotycznych;* i w tych to właśnie utworach najpiękniej przemówiły rozum Potockiego i jego szlachetne, kochające ojczyznę serce. Wszystkie współczesne nieszczęścia Polski, czy to hańba pilawiecka, czy traktat buczacki, odbiły się tutaj bolesnem echem. Żali się Potocki, że wróg na wszystkie strony szarpie potężną niegdyś Rzeczpospolitą, że „ten płaszcz, przez Bolesławów z różnych płatów tkany, rozporą i rozbiorą każdy do swej ściany“; wyrzeka gorzko na anarchię i złotą wolność, która do zguby popycha Polskę: „Apetytem wolności zbytniej oślepieni, lecą w ubóstwo, lezą w niewolę, szaleni“. Sejmiki i sejmy nie zbawią, nie mogą zbawić Polski: „Dla pijatyki większa nas połowica jeździ na sejmiki; kto trąbi, karmi, poi,... królem może zostać“; „jakoż zabiegać, kiedy rwą sejm po sejmie? kogo chce skarać, wprzód mu Bóg rozum odejmie!“ Jedynym ratunkiem dla Polski byłaby *silna władza dziedzicznego króla*; ale cóż, kiedy tego nie rozumie szlachta, która „na majestat się, jako pies na kamień miece“,—„szczyre głowy kapustne w ludzkiej maszkaradzie“; „wspomnisz im dziedzicznego, żeby nie obierać coraz nowego króla, raczej chcą umierać!“

Oprócz anarchii, piętnuje Potocki ucisk chłopów—tak silnie, jak nikt za jego czasów: „Nie jeden się też wiesi: woli na powrozie, niż mrzeć od bicia albo w gąsiorze (w dybach) na mrozie“. Jak śmiesz—woła poeta do okrutnego pana—chodzić do kościoła, „pełne oczy krwie, pełne krzyku mając uszy? hycel psa do jednego razu bije w mieście, jemu trzeba tysiąca, mało kijów dwieście—na człeka, na bliźniego, co mu winien tyle, że mu go wolno zabić“; przecie chłopi są „bliźnimi, bo są ludzie, wedle apostoła, bracią, jednego z nami członkami Kościoła! czemuż się katolicy dziś na to odważą—swoją handlować bracią pogańską przedażą, z bydłem wraz inwentując (t. j. zapisując do inwentarza) katolików kmieci, gdzie mu wszystko, począwszy od żony, od dzieci, dusze nawet

[1] munsztułuk = podarek. [2] na czworakach.

wolno wziąć z gardła!" Nie ukrywa Potocki i tej gorzkiej prawdy, że nie tylko ludzie świeccy, ale i księża uciskali i obdzierali chłopów: „Samże ksiądz na śmiertelnej pościeli przy chorym pisarzem testamentu, sam egzekutorem; choć więcej nie zostało, tylko jedna krowa, niech dzieci głodem pomrą, — na kościół połowa! Trzeba naprzód zapłacić temu, kto zadzwoni, ziemię kupić na grób, choć ksiądz nic nie ma do niej: drożej, jeśli w kościele abo przy ołtarzu, taniej, jeśli pod niebem będzie na cmentarzu!"

Wogóle Potocki—w myśl swojej zasady: „Podobnoć na się księży Ichmości obrażę, ale więcej ojczyzny, niż ich, łaskę ważę"— nie oszczędza duchowieństwa, wyrzucając mu chciwość grosza, niemoralne życie i ciemnotę, bo rozumiał, że co innego religia i wiara, a co innego słudzy Kościoła, którzy, jako ludzie, muszą być ułomni. Jako człowiek głęboko religijny, brak wiary poczytywał za nieszczęście i źródło niemoralności: „wszystkie grzechy z pokrytym dziś do Polskiej weszły ateizmem"; ale odróżniał prawdziwą religijność od fałszywej, istotę wiary—od jej pozorów, pobożność—od nabożnisiostwa:

Miłość boska złotym jest do nieba powrozem,
Wiara i cnota—końmi, grzech—błotem, człek—wozem...
Wszystkie wymysły ludzkie, powierzchowne fochy—
Łykiem, mizernem łykiem są z lipowej sochy:
Niech się dyscyplinuje, niech trudzi, niech suszy,
Niechaj od stopy złoci obrazy po uszy,
Niech dźwiga relikwije worem, niech je liże,
Świec stem tysięcy stawia, czci drewniane krzyże,—
Jeśli w grzechowem błocie wóz uwiązł i konie,
Łyka to,—serdecznejby liny trzeba po nie!...

Ale co najwięcej bolało Potockiego, to *nietolerancya religijna*, którą słusznie poczytywał za jedno z największych nieszczęść Polski.

Kto mocniejszy, ten lepszy.

„Temu nieborakowi wsi wzięły kaduki[1]".
Czemuż to?—„Bo źle wierzył".—Takowej nauki
W żadnem piśmiem nie czytał; onby sam dla siebie
Co najlepiej chciał wierzyć, żeby mógł być w niebie.
„Z Kościołem trzeba wierzyć bez wszelkiego swaru!"
Wżdyć wiara jest dar boży: anuż tego daru
Temu nieborakowi nie chciał Bóg dać? To mu
Wioskę wziąć? to go wygnać na tułactwo z domu?
Nie jedenże katolik nie wierzy z Kościołem,—
Czemuż mu wsi nie biorą z Aryjany społem?
„Każdy wierzy, w co Kościół, chyba, że nie czyni".

[1] t. j. temu nieborakowi skonfiskowano wieś (prawem kaduka, t. j. jakby właściciel umarł, nie pozostawiwszy po sobie spadkobiercy; kaduk= prawo dziedziczenia takich dóbr).

To taki gorzej, niżli Aryjan, przewini!
„Przeczże ten nabożeństwa dla wsi nie odmienił?“
Bo drożej, niżeli wieś, swoję wiarę cenił!
Na cóż mu ją wydzierać gwałtem chcą ci sędzie,
Kiedy on mocno ufa, że w niej zbawion będzie?
Toć już Bóg nie dla sądu, lecz przyjdzie dla kary,
Kiedy Go uprzedzają, sądząc ludzie z wiary.
Jeśli, jako o rozbój albo insze brzydy
O wiarę karzą, czemuż opuścili Żydy?
„Bo się nam okupują!“ Pewnie-ć tymi, co są
W Polszcze pieniądzmi,—inszych do Polskiej nie niosą.
A kędyż sprawiedliwość za pieniądzmi chodzi?
Godne prawo nagany, ani się to godzi!
A o naszej co mówią Aryjani wierze?
„To, co my o ich: że w niej nie ważne pacierze“.
Czemuż my ich, nie oni z ojczyzny nas ruszą?
Wżdy szlachta: o równą się z nami wolność kuszą!
„Bo nas więcej, niżli ich!“ Już teraz pomału
Przychodzę do rozumu: lis ze lwem do działu!
Nie, żeby oni jaką zasłużyli winę,
Tylko, że słabszy, przeto z nimi za drabinę!
Bać się, żebyśmy, karząc złą wiarę w ich zborze,
Bardziej nie utwierdzili tym sądem w errorze [1]:
Rzadko kiedy gwałtowna rada dobra bywa;
Nie wadziło poczekać z tem plewidłem żniwa.
I kalwini-ć nie wierzą kościelnej nauki:
Czemuż na nich takiejże nie zażyjem sztuki?
„I ci w Polszcze nie wieczni: skoro się przerzedzą,
„Upewniam, że Angliją z Holendry nawiedzą!“

Jeden to z najlepszych drobnych utworów Potockiego, jedna z najboleśniejszych satyr w całej poezyi staropolskiej, a zarazem najpiękniejsze w całej literaturze XVII w. słowo, wypowiedziane w obronie wolności wiary i sumienia.

Wszystkie swoje smutki patryotyczne zebrał Potocki w satyrze p. t. *Czuj! Stary pies szczeka.*

Stary pies—gospodarzu! czuj o sobie—szczeka:
Dosypiasz-li,—szkoda cię, ba, zginienie czeka!
Podkopują złodzieje, zbójcy na przemiany,
Do komór domu twego rozbierają ściany.
Porwi się, biały orle! radź o sobie, Lachu!

Tymi zaś złodziejami i zbójcami, którzy kradną komorę (t. j. Polskę) są nietylko źli sąsiedzi, szarpiący granice Rzeczypospolitej, ale

[1] error=błąd.

i domowi: panowie i urzędnicy, ciemiężący chłopa; chciwi i niemoralni księża; mieszczanie, wstydzący się swego pochodzenia i gwałtem wdzierający się w szeregi szlacheckie; kupcy, wywożący z biednej Polski srebro za granicę; żołnierze, obdzierający kmiotka; sędziowie niesprawiedliwi i krzywoprzysiężni: na nich to wszystkich szczeka stary pies, t. j. sędziwy poeta; ale cóż z tego, kiedy

Darmo szczeka stary pies: to będzie miał zyskiem,
Że mu się wręcz abo też dostanie pociskiem.
Śpią wszyscy na obiedwie uszy, jako w lesie,
Nikt nie wyjdzie, nie wyjrzy: pies szczeka, wiatr niesie!...

Jeszcze silniej przemówił ból patryotyczny Potockiego, spotęgowany świadomością, że Polska leci w przepaść bezdenną, bo zatyka sobie uszy na głos ostrzeżenia, w rozdzierającej skardze p. t. *Niechaj śpi pijany*:

Śpi świat pijany... Dyabeł na warcie, żeby nikt nie budził, stoi,
Grozi palcem zdaleka, psów nawet popoi,
Żeby spali. Nie szczeka żaden na katedrze
Abo niezrozumiałym głosem! Chce-li pyska
Uchylić który, chleba po kawałku ciska.
Niechżeby który krzyknął, jako ogar w borze,—
„Heretyk! Zamurować na śmierć go w klasztorze
„Abo ściąć, abo spalić! Jak smaczny sen światu
„Przerywać! niech paszczęki swej sprawi się katu!“

Niema w tej skardze żadnej przesady: życie swoje narażał ten, kto ośmielał się budzić szlachtę, śpiącą snem złotej wolności; mianem heretyka albo zdrajcy piętnowano tego, kto śmiał przemawiać za tolerancyą religijną albo za reformą polityczną. Prawdziwie, jakiś dyabeł stał w Polsce przy końcu XVII w. na warcie, nie pozwalając szczekać „starym psom“—mądrym i wiernym stróżom Rzeczypospolitej, których było coraz to mniej, a do których należał Wacław Potocki! To już nie smutek, to rozpacz odezwała się w tej skardze,—rozpacz patryotyczna stojącego nad grobem starca, który, widząc, że „gore Polska, gore dom,... już dach spadł, ściany lecą“, nie potrzebował być prorokiem, aby wróżyć, że Polska „nierządem zginie, rozlezie się abo miedzy sąsiadów rozpłynie“, i tę już tylką jedną miał pociechę:

I ci szczęśliwi, których pcha starość do dołów,
Że nie obaczą miłej ojczyzny popiołów...

§ 68. Mniej talentu od Potockiego, ale więcej wdzięku i poczucia piękna posiadał *najznakomitszy liryk drugiej połowy XVII w.*

autor „Psalmodyi polskiej", Sandomierzanin, **Wespazyan Kochowski** (1633—1700). Poprzestał na ukończeniu szkół średnich, skąd wyniósł znajomość łaciny oraz poezyi, mitologii i historyi starożytnej; (zresztą zbyt biegłym starożytnikiem nie był, skoro nie odróżniał np. Peryklesa od Temistoklesa, a Herkulesa od Hanibala). Ale więcej, niż szkołom, zawdzięczał (podobnie, jak Twardowski) samemu życiu: przez cały „lat dziesiątek władał kopią", walczył z Kozakami (pod Beresteczkiem) i Szwedami; później zamienił szablę na lemiesz i gospodarował naprzód w sandomierskiem, później w krakowskiem, otoczony powszechną przyjaźnią; ale, kiedy Jan III szedł pod Wiedeń, znowu miecz do boku przypasał, aby walczyć w obronie Europy i chrześcijaństwa. Bo grała w nim mocno krew rycerska, która się jednak dziwnie godziła z przyrodzoną dobrocią i pogodą ducha. Ojczyznę kochał gorąco: chętnie krew dla niej przelewał, radował się z jej tryumfów, opłakiwał klęski; biadał nad rozrywaniem sejmów, co nie przeszkadzało, że i on, jak tylu innych, poczytywał *liberum veto* za „balsam", za „dyament kosztowny wolności", byleby tylko nie posługiwać się nim dla prywaty; tego, że *liberum veto* jest bezwzględnie szkodliwe, nie rozumiał. Wogóle nie rozróżniał jasno sprawy publicznej od prywaty, skoro, idąc za owczym pędem, uwierzył w Lubomirskiego, jako w zbawiciela Polski, i nietylko stanął po stronie magnata, ale cały poemat w jego obronie napisał, chociaż sumienie ostrzegało go, że Lubomirski walczy przeciwko „Zwierzchności najwyższej i pomazańcowi bożemu". Dumny był także Kochowski — z obieralnego tronu w Polsce. Słowem *był to patryota gorący, ale nie głęboki* i pod tym względem od Potockiego bez porównania niższy. *Religijnym był nawskroś*, po staropolsku, nabożnym aż do dewocyi. Całem sercem kochał Boga, wierzył ślepo w Opatrzność, miał szczególne nabożeństwo do Najświętszej Panny, jako do Królowej Polski; wierzył w cudowne uzdrowienia, wielbił cudowne obrazy; wierzył, że wizerunek Chrystusa może płakać krwawemi łzami, że Matka Boska uratowała mu życie, kiedy raz, kąpiąc się w Pilicy, już już miał tonąć. Silna wiara w Opatrzność bożą nie ustrzegła go jednak od różnych zabobonów (wierzył np., że co lat siedem musi się zdarzyć w życiu narodu jakiś ważny wypadek), a do tego (inaczej, jak Potocki!) *był fanatykiem i nietolerantem*; poczytując różnowierstwo za główną przyczynę nieszczęść Polski, nie cierpiał protestantów, nadewszystko zaś aryan, z których wypędzenia serdecznie się cieszył, nie szczędząc im zelżywych przezwisk, nazywając ich „ojczyzny wieczną hańbą", „ciemnemi z przedpiekla sowami", „wnukami Belzebuba", „lucyperowymi siestrzeńcami" i t. p. Tę niechęć względem różnowierców podzielał Kochowski z całem niemal społeczeństwem ówczesnem. I wogóle przez rodzaj swego patryotyzmu i religijności, przez swą pogodę ducha, przez to dalej, że w jednej osobie był rycerzem i ziemianinem, przywiązanym do

kawałka roli i rozkochanym w powabach życia wiejskiego, jest Kochowski postacią typową, w której się odzwierciedlają poglądy i uczucia przeciętnego szlachcica, z tem jednak zastrzeżeniem, że dobre strony natury polskiej miały w nim przewagę nad złemi: nie był on np. tak kłótliwy, nie procesował się tak zawzięcie o byle co, jak większość ówczesnej szlachty. Wogóle jest Kochowski postacią bardzo miłą, o głowie nieszerokiej, ale o dobrem, czułem, miękkiem, jak wosk, sercu.

Jako poeta, cieszył się niemałem uznaniem współczesnych, którzy nazywali go Kochanowskim swego czasu. Współcześni przesadzili: miał Kochowski niewątpliwie talent, mianowicie liryczny; uprawiał te same mniej więcej rodzaje poezyi, co Kochanowski (którego bardzo wysoko cenił i „hetmanam poetów polskich" nazywał): pieśni patryotyczne, religijne, refleksyjne, fraszki wesołe i poważne, psalmy, treny; jak Kochanowski, tak i on opiewał rozkosze życia wiejskiego; i on miał poczucie piękna i miłą szczerość uczucia; i on umiał przyoblekać swe pomysły w odpowiednią formę: wszystko to prawda, ale i to prawda, że te zalety posiadał w bez porównania mniejszym stopniu, niż Kochanowski, że talent miał prawdziwy, ale, w porównaniu z talentem Kochanowskiego, maleńki; a zmysłu piękna posiadał nie dosyć, aby się uchronić od nienaturalnego często szyku wyrazów, od słów zbyt pospolitych lub też od wyrażeń wyszukanych (św. Józefa np. nazywa Słowa wcielonego komisarzem!); szpeci również jego poezyę zbyt częste posługiwanie się mitologią. Z tem wszystkiem posiada jego poezya niezaprzeczony *wdzięk*, tak rzadki w XVII stuleciu, i wśród współczesnych sobie liryków zajmuje Kochowski miejsce naczelne; jego pieśni nie są tak kunsztowne, jak wiersze Andrzeja Morsztyna (§ 61), ale za to szczersze, naturalniejsze i przez to właśnie piękniejsze.

Pieśni te, pisane po części na wzór Horacego, odznaczające się wielką różnorodnością strofy i wiersza, wyszły pod tytułem *Niepróżnujące próżnowanie* (1674), co znaczy: wczasy poetyckie, t. j. wiersze, pisane w chwilach, wolnych od zajęć obowiązkowych. Są tu naprzód *pieśni religijne*—owoc szczerej i głębokiej wiary poety. Najudatniejszą jest *Ucieczka Korony polskiej do N. P. Maryi*, znamienna, jako wyraz tej czci, jaką otaczał Matkę Boską nie tylko poeta, ale wogóle naród polski, który Ją sobie za Królową Niebieską obrał.

Dużo jest *pieśni patryotycznych*; ich przedmiotem są niemal wszystkie ważniejsze współczesne wypadki dziejowe, począwszy od śmierci Władysława IV aż do elekcyi Sobieskiego, które napełniały serce poety to radością, to (daleko częściej) smutkiem, a więc: hańba pilawiecka, klęska korsuńska, zwycięstwo pod Beresteczkiem, wojny szwedzkie, tryumfy hetmana Sobieskiego i t. d. Jedną z najlepszych jest pieśń p. t. *Dawna kanneńska odnowiona*, pełna smutku patryotycznego i oburzenia na ucieczkę z pod Pilawiec, któ-

rą poczytywał poeta za równie dotkliwą klęskę dla Polski, jaką dla Rzymu była straszna bitwa pod Kannami, zapominając jednak o tem, że bitwa kanneńska była klęską, lecz nie hańbą, jak Pilawce; ale pieśń jest piękna, miejscami nawet silna, a zawiera w sobie bolesną skargę na zniewieściałość, na ucisk ubogich, na zbytki obozowe, na samochwalstwo.

I inne grzechy swego społeczeństwa śmiało piętnował Kochowski, miotając np. *Przekleństwo na synów koronnych, sejmy zrywających:* „Bodaj źle zginął, bodaj zabit marnie, kto dla prywaty swej sejmy rozrywa! Niech głowa jego przepada niekarnie, niech wymazany z ksiąg żywota bywa! Żyw-li też, niech go nieszczęście ogarnie, a sztuki chleba niechaj mu ubywa! Niż MATKA zginie, niechaj zły syn pierwu, zwierzom potrawę dawszy z swego ścierwu“!

Miłe są *pieśni sielskie,* w których poeta to unosi się nad pięknością swoich stron rodzinnych, nad „miłemi gór świętokrzyskich kniejami, na których wiecznie liść się zielenieje“; to opiewa powaby wiosny, która „wszytkiemu czołem, ona śniegi zbiera i na przemarzłej ziemi ona rozpościera różne kwiatków szpalery:... sam się róża czerwieni rumieńcem purpury, w drugim krzaku zaś biała na słoneczne przyjście, przyjemną czyniąc wonią, swe rozwija liście“; to wyraża swoją radość i zadowolenie z gospodarstwa na kawałku ziemi, nie wielkim wprawdzie, ale własnym i urodzajnym; to opisuje zajęcia i rozrywki wiejskie, zwłaszcza ulubione dawnym Polakom *Myślistwo*, i t. p.

Najwięcej jednak talentu widać w *pieśniach wesołych, żartobliwych*, będących wyrazem pogody ducha poety, który przepadał za życiem towarzyskiem i wesołością i, jak się sam przyznaje, wolał taniec od wojny: „Weselsza chwila widzieć Achila w tańcu z Bryzeidą, niż gdy z Parysem kryci kirysem za łeb mściwo idą“; przy wesołej uczcie, w gronie przyjaciół, nie lubił myśleć o rzeczach poważnych: „Fraszka mądre Muzy; to grunt, co frasunek przerwie: puhar jaki duży!... A chociażem człek ubogi, gdy między puhary, sam mi krymski chan nie srogi z swoimi Tatary! Chociaż leży tam pod Wilnem Moskal o tej dobie, wnetże mu ja będę silnym, jak podpiję sobie! Iże Szwedzi, twierdzą naszy, wysiedli pod Rygę: ja, przy pełnej siadłszy flaszy, pokażę im figę“! Tak to opiewa Kochowski uczty i tańce, żartuje sobie z towarzyszów, prawi komplementy kobietom, ale tylko młodym i pięknym: starych i brzydkich nie lubi, tych zwłaszcza, które, pragnąc się odmłodzić i upiększyć, malują sobie twarz i czernią brwi; z takich szydzi niemiłosiernie: „Twoja-li to twarz, czyli kobyla? Niech mię uroda ta nie omyla! Twaž to postawa? twojeż to lice, czy w dziesiąci lat młodej źrebice?... Brwiczki przyprawne — przyjemna sztuka! — ale tak wdzięczna, jak u borsuka! Nos, jako siekacz, a płeć tej barwy, jako malarze malują larwy! Ząbki z hebanu —

wiedz, który kędy! — nadpustoszały obadwa rzędy; ten defekt tając, wargi zatyka i już nie mówi, leć cale krzyka"! Żartobliwie również mówi poeta o swojej miłości; w pieśni np. *Melancholia* nie bardzo się smuci, że dostał odkosza: nie będzie ta, będzie inna; a w pełnej wdzięku pieśni *Zielone* zaręcza, że swoją ukochaną Marysię (żonę, Maryannę z Misiowskich) wygrał w zielone; jedna to z perełek liryki staropolskiej.

Wesołość poety odbiła się i we *Fraszkach* (1674). Są tam wprawdzie, jak wśród fraszek Kochanowskiego, wierszyki poważne, ale śmiech, żart, lekka złośliwość przeważają. Żartuje sobie np. ...a z Mazurów: oto raz ukąsił Mazura wąż jadowity, i cóż? Ma...ył zdrów, a wąż zdechł, i t. p. Jak fraszki Kochanowskiego ...dbiciem wesołych zabaw poety w Krakowie (§ 37), tak we ...szkach Kochowskiego odbiło się wesołe życie towarzyskie w sandomierskiem, tem weselsze, że Kochowski umiał sąsiadów swoich zabawić—właśnie swojemi fraszkami; udatniejszych, z wyjątkiem fraszek Kochanowskiego, poezya staropolska nie zna.

...aczka Korony polskiej do N. P. Maryi.

Jak się owo dziecko bierze Rozkwilone do macierze,
Kiedy, swawolne, bojąc się chabiny [1],
Gniewnemu ojcu czyni przeprosiny;
Więc do matki ręce wznosi I ratunku od niej prosi,
Pod nię się tuli, jej zakrywa szatą,
Aż je pojedna z rozgniewanym tatą:
Polsko moja, w tak złej toni Któż cię dźwignie, kto obroni?
Skąd ci tak wcześne suppecyje [2] przydą,
Któraż cię Pallas zasłoni egidą?
Apollo swej bronił Troi, Mars przy Rzymie mocno stoi,
Jupiter swymi opiekał się Greki,
Jako wierzyły dawno błędne wieki:
A my dokąd, bliższi zguby, Udamy się z swymi śluby,
Kiedy Niebieski Ociec rozgniewany
Przypuścił gorsze Szwedy, niż pogany?
Pódźmy Boskiej prosić Matki, Aza [3] Polski te ostatki
Pożarte wydrze z łakomej paszczeki
I nie da zginąć Sarmatom na wieki.
Pokaż się nam Matką, Pani! Prosim, upadli poddani:
Broń nas zaszczytem [4], o Królowa, czułym,—
Tym Cię na wieki Polska czci tytułem!
Ukój Ojca w gniewie srogim, Przeproś winy nam, ubogim,
Aby pamiątka w polskiem była państwie:
Nie zginie, kto jest w Maryjej poddaństwie.

---

[1] chabina = rózga. [2] posiłki, pomoc. [3] może, a nuż. [4] zaszczyt= ...oń, obrona.

Dawna kanneńska odnowiona r. 1648. *(w skróceniu).*

Nie łaj, nie fukaj, który chcesz, ojczyzny
By w niepamięć szły mniej uczciwe blizny!
Nie klniej, nie złorzecz! Jako chwalne dzieła,
Tak trzeba, hańba by pamiętna była!...
Jako od wieku Polska tu osiadła,
Na nię takowa obelga nie padła:
Umierać raczej poczciwie woleli
Polacy, niżby z placu zbiegać mieli!
Wspomnieć Chojnicką, wspomnieć Bukowinę,
Rzadką niesławy w kronikach nowinę:
Choć nieprzyjaciel otrzymał zwycięstwo,
Krwią je swą płacił przez Polaków męstwo...
Na nim[1] nie droga ode złota gaza,
Leć od rzemienia tylko a żelaza,
Na panu serdak z prostej tkany wełny,
Suchar a woda—bańkiet mu zupełny.
W ciągnieniu się nań nie poskarży chłopek,
Na podwodę mu nie wzięto świerzopek[2],
W stacyjej[3] sierot nędznych nie ciemięży,
Na sumnieniu mu ludzki płacz nie cięży.
Za wami zasię skwierk[4] ubogich bieży,
Pełniście zdzierstwa, pełniście grabieży...
Bo pocoście wy do obozu przyszli?
Snadź dla bańkietów, biesiad, dobrej myśli!
Poranek gnuśny, a wieczór pijany:
Także to Kozak będzie zwojowany?
Szańców nie sypią, nie ćwiczą piechoty,
W pole na monstrę nie wynidą roty.
To kunszt—harcować pod wieczór wesoły
I Chmielnickiego wojować za stoły![5]
Ospałe straże, rzadko kiedy rady,
Leć i te raptem, bo długie obiady
Wszytek czas wezmą: gorące pasztety
I genueńskie od kanarów[6] wety!
Potem, w okropne jak naleją czary
Mocnych cekubów[7], pstrykniem na Tatary,
Lub tej od wina śmiałości nawykniem,
Iże Kozaków kańczugami wytniem!...

Myślistwo.

Wstawajcie, bracia, bo już słońce wstaje, Nam pogodę piękną daje;
Konie dawno posiodłane, Łowczy otrąbił na szczwaczów wsiadane...
To byt na świecie, byt nieporównany—Być jednym z cechu Dyjany;
I, jeżeli nie myśliwy, To nie jest żywot na świecie szczęśliwy!

---

[1] t. j. na starożytnym Polaku. [2] świerzopa=klacz. [3] stacya=postój. [4] pisk, jęk. [5] za stołami. [6] kanar=słodycz. [7] cekuby=wina włoskie.

Jako niezwykłej uciechy przybywa! Łowczy: *Pojedź!* wytrębywa; *Pódź za nim!* myśliwczyk krzyczy; Ogary w sforach, a charty na smyczy.

Tam, gdzie objezna knieja [1], z nimi staje, Wywiera ogarów zgraje, A szczwacze, pełni nadzieje, Z postrzemiennymi [2] jadą wkoło knieje.

Nie tak łabęcie głośno na Strymonie [3] Nucą przy ostatnim zgonie, Erytrejskie [4] nie tak dzwony Wdzięczne, jako krzyk psi nieutulony.

Fraszka w Narbonie [5] organy misterne, Głosy wydając niezmierne: Gdy ogarzy skulą [6] w lesie, Daleko huczniej echo odgłos niesie!

Już się na liszkę otrąbił i wilka W trąbę łowczy razy kilka; Idą psi; *pądu!* [7] on krzyczy, Żeby pilnować pewnej już zdobyczy.

Ha! ha! po lesie, wszedłszy, się rozlega: Już sam [8] bury wilk wybiega, A ten zraził zwierza marnie, Leć nań przesmykiem dwie wypadły sarnie.

Na tego wypadł dzik impetem wściekłem I rozciął mu charcicę kłem, Aleć przecię za tę szkodę Położon kulą: zwierzyna w nagrodę!

Skończywszy dzieło, w kupę obłów znoszą, Zaraz jedni zwierz patroszą, Ci zaciekłe psy strębują, Wszyscy wesoły tryjumf odprawują.

Nie tak Herkules, kiedy nemejskiego Zabił mężnie lwa srogiego, Ani Meleager, dzika Mężnym obłowem ucieszon, wykrzyka,

Jak oni chwalą, jako skromny zając; Drugi, chartom swym dank dając, Anatomizuje [9] sobie Wilka, o jego rokując wątrobie.

Temu wwiązana chytra liszka w troki Konia szczypie mu za boki, Ów sarny na wozie kładzie, Ten skok [10] podziela ogarów gromadzie.

Dopieroż, kiedy myśliwa drużyna W domu siędzie u komina, Tryjumfują wszyscy bardziej, Niżli kiedy Rzym wzięli Longobardzi.

Wtem z rożnów niosą dziczyzny okroje I z piwnice wtąż [11] napoje; Jak zamroczą łeb kieliszki, Samiż pojedzą i wilki i liszki.

Zielone.

Maj wesoły nam nastaje,
Zielenią się sady, gaje,
Wiosna zimie gnuśnej łaje,
A zielone w rękę daje.
Zakwitły piękne dziardyny [12],
Zgoła wszytek świat, jak iny;
Ogrodów Flora bogini
W oczach ludzkich cuda czyni.
Patrz, jako jawór wyniosły
Już gęstym liściem porosły;
Kochaneczek wawrzyn Feba,
Ma odzieży, co potrzeba.
Jabłoń w porosłe gałęzi
Sama siebie kryjąc więzi;
Na cytryny, gruszki, wiśnie
Gęsty przez gwałt list się ciśnie.
I wszytek rodzaj skołożrzy [13],
Wierzchołka z pniaku nie dożrzy.
Wraz, wzgardzone swym niepłodem,
Zielenią się wierzby przodem.
Więc z nich zrywam latorośle,
Te *Marynie* pięknej poślę:
Zielonem się niech zabawi,
A niech słuszny zakład stawi.

---

[1] knieja, którą objechać trzeba. [2] pies przywiązany do strzemienia. [3] Strymon — rzeka w Tracyi. [4] Erythrae — miasto w Azyi Mniejszej ze świątyniami Herkulesa i Ateny. [5] Narbona — miasto w Gallii. [6] skuleć = skomleć. [7] okrzyk na psa. [8] tu. [9] anatomizować = rozbierać, ćwiertować. [10] skok = noga zajęcza. [11] znów. [12] dziardyn = ogród. [13] wczesny.

Ta gra tem się prawem chlubi:
Komu zwiędnie, kto je zgubi
Lub go zbędzie inszym kształtem,
Opłaca zakład ryczałtem [1].
Więc ja stawiam łańcuch złoty
W grochowe ziarnka roboty,
Choć nie kanak, nie halzbanty [2], —
Na jakiem się zdobył fanty.
A zaś moja stawi dama
Już nie kruszec—siebie sama!
Droższy zakład jej osoby,
Niż złoto węgierskiej próby.

Przyjmie prawo—i gałązki
Pięknemi zwięzuje wstążki;
Pokrowczyk z skóry wierzbowej
Kładzie, by nie wiądł list płowy.
Gdy już długo na nie schodzę
I podejść ją we grze chodzę,...
„Dobry dzień, panno! Zielone?“
Ta trze snem oczy zmorzone.
Ja znowu: „*Maryś*! Zielone?
„Darmo się przysz [3], bo stracone!“
Potem się sama przyznała,
A w zakładzie fawor [4] dała.

O tych wierszach.
Jako na dworach pańskich, choć się różnie rodzą
Słudzy, przecie w jednakiej wszyscy barwie chodzą:
Będą Słowacy, Włoszy, Węgrowie i Niemcy,
Wszyscy pana jednego, chociaż cudzoziemcy:
Tak i ja, jak z autora którego wiersz zarwę,
Za swój go już mam własny, jeno mu dam barwę.

Daremna.
Jak wiatr mierzyć, czas gonić, groch na ścianę miotać
Próżna: tak o to, co się nie wróci, kłopotać.

Pamięć walecznemu wojewodzie.
Umarłych próżno płakać, próżno i żałować,
Których sława pod niebo zwykła wylatować;
Lecz, stratę uważywszy, słuszna przy twym grobie,
Cny Czarniecki, wypłakać Polsce oczy obie.

Staroświecka moda.
W kościele bądź nabożny, a pokorny w szkole,
W polu bitny, w grze wesół, żartowny przy stole.

Komuś.
Mówisz, żeś błazna widział, czegoś zdawna żądał:
Pono u cyrulika, kiedyś się przeglądał!...

Tak ma być.
Czemu łuskę z ryb skrobią? Mniemam, temu pono,
Że, gdyby pierze miały, toby je skubiono!...

Kolęda pannom.
Wenus na żółwiu stoi. Na co? Łatwo wiedzieć:
Że panna nie ma biegać, ale w domu siedzieć.

O panach Mazurach.
Komar, niż żądłem utnie, brzęczy koło uszu;
Tegoż i Mazurowie, widzę, animuszu:
Pierwej się swarzą, niż się biją, z tej przyczyny:
Lepsza, niż się kwadrans bić, swarzyć trzy godziny.

---

[1] ogółem, hurtem, t. j. przegrywa cały zakład. [2] kanak, halzbant = naszyjnik. [3] przeć się = zapierać się, przeczyć. [4] fawor = życzliwość miłość.

Do nowego szlachcica.

Mówisz: „Król mi szlachectwo konserwował“,—to ty
Szlachectwo twe od króla masz, a nie od cnoty?

Na obraz Scewoli.

Pali rękę Scewola dla ojczyzny: a my
I w zimną wodę onej włożyć się wzdrygamy.
Nie cierpieć nic, czynić nic — własne polskie dziło;
Bodajże się o takim Polaku nie śniło!

O Samuelu Twardowskim.

Tyle powinna Polska Wielka Twardowskiemu,
Ile mnie moja Mała, poecie małemu.
Trudno winić fortuny los niesfałszowany:
Wielkiej — wielki poeta, Małej mały dany.

§ 69. Z biegiem czasu Kochowski, chociaż nie tracił przyrodzonej pogody ducha, stawał się jednak człowiekiem coraz to poważniejszym; poniechał żartobliwych pieśni i fraszek i uprawiał jedynie poezyę poważną, głównie religijną: napisał całe mnóstwo pobożnych wierszy na cześć Chrystusa i Najświętszej Panny, lecz one nie posiadają wartości, chociaż są bardzo znamienne, jako świadectwo wzrastającej w Polsce XVII w. pobożności. Pracował nadto nad historyą ojczystą: jego *kronika* (łacińska), w której opowiedział dzieje od śmierci Władysława IV aż do zgonu króla Michała, jest przez swoją szczegółowość i dokładność bardzo cennem źródłem do poznania tych czasów, a przez naiwne sądy autora i brak wyrobionego zdania o wypadkach współczesnych (np. o rokoszu Lubomirskiego) jest doskonałym wyrazem przeciętnej opinii szlacheckiej.

Lecz nie tylko na polu prozy łacińskiej chlubnie zaznaczył się Kochowski w latach starości. Miłość Boga i miłość ojczyzny zawsze należały, należą i należeć będą nie tylko do najpiękniejszych, ale i do najsilniejszych pierwiastków natchnienia poetyckiego: otóż dwa te uczucia, które mieszkały w sercu Kochowskiego już w młodości, na starość coraz to wzrastały, zlewając się w jedną nierozerwalną całość, i one to natchnęły go do wyśpiewania trzydziestu sześciu podniosłych, pisanych — na wzór psałterza Dawidowego—majestatyczną prozą biblijną, psalmów, które ogłosił drukiem p. t. *Psalmodya polska, za dobrodziejstwa boskie dziękująca* (1695). *Jeden to z najpiękniejszych utworów całej poezyi staropolskiej*, wspaniała ozdoba poezyi religijno-patryotycznej XVII stulecia, a zarazem śliczny pomnik serca człowieka, który, choć zawsze był dobry i szlachetny, ale na starość jeszcze bardziej szlachetniał, do tego stopnia, że nawet dla innowierców miał tylko słowa gorzkiego wyrzutu, ale już nie nienawiści i nie przekleństwa, jak dawniej.

Psalmodya to serdeczna spowiedź starca, który, stojąc nad grobem, zapatrzył się w niebo, tam posyłał wszystkie swoje myśli

i pragnienia, stamtąd tylko oczekiwał zbawienia dla siebie i szczęścia dla swej ukochanej Polski. Są w *Psalmodyi* dwie grupy psalmów, z których jedną można nazwać *osobisto-religijną*, a drugą *patryotyczno-religijną*. W psalmach pierwszej grupy rozmyśla poeta nad mądrością, wielkością i wszechmocą Boga, który, sam odwieczny, stworzył świat z niczego; korzy się całem sercem przed Jego majestatem, ze skruchą wyznaje przed Nim wszystkie swoje grzechy; prosi Go o śmierć pobożną; dziękuje Mu za hojne dobrodziejstwa, któremi go nad zasługę obsypać raczył, a więc za to, że się nigdy zbrodni nie dopuścił, że ubóstwa w życiu nie zaznał, że po długiem oczekiwaniu doczekał się upragnionego syna, że się po śmierci żony pocieszył.

Przedmiotem psalmów patryotyczno-religijnych są rozmyślania poety już nie nad sobą samym i nie nad swojem życiem, ale nad Polską i jej dziejami. Kochowski mocno wierzy, że Polska jest „winnicą Chrystusową", że *Polacy to naród wybrany przez Boga*, naród, którym się Bóg szczególnie opiekował i opiekuje, nagradzając go za to, że przez całe wieki dotrzymywał wiary Jego nauce, że nawet, łącząc się z Litwą i wzywając na tron Jagiełłę, wolał „poddać się w obcą rękę, żeby tylko przyczynić poddaństwa Chrystusowi". Czasem wprawdzie Bóg ciężko doświadczał Polskę, ale w gniewie swoim nie był zapalczywy. Oto za Jana Kazimierza straszliwe nieszczęścia spadły na Polskę: „z królewskiej dyademy wypadł kosztowny kamień, i potem sama korona z głowy naszej zrzucona; zaraz się nagle zaćmiło słońce estymy (t. j. sławy) Polski, i ona, uwielmożona dopiero tak wielu narodów pani, grubą się odziała żałobą": „gdyśmy zaś do Boga w tych paroksyzmach się obrócili, nie tylko miłościwie nas wysłuchał, ale też nieodwłocznie stał się pomocnikiem naszym; przez wojnę ukarał, przez wojnę pocieszył, kiedyśmy wszytkich nieprzyjaciół startych przed sobą widzieli". Ale większą jeszczą wdzięcznością względem Boga natchnęło poetę świetne zwycięstwo wiedeńskie, przez które Polska, jak mówi, jest Dawidem narodów; kiedy król Jan wyrusza na wyprawę, poeta mu błogosławi i modli się do Boga, by pomagał rycerstwu polskiemu; a kiedy Turcy poszli w rozsypkę, nie posiada się z radości i uderza w ton tryumfalny—we wspaniałym psalmie dwudziestym szóstym.

Myśl, że Polska to naród wybrany, nie jest pomysłem Kochowskiego (głoszono ją już przed nim, np. Starowolski w *Lamencie*, § 56); ale Kochowski wypowiada ją silniej i dobitniej, przez co jest poprzednikiem Brodzińskiego, Mickiewicza i Krasińskiego, których zdaniem Bóg powołał Polskę do umoralnienia, a zatem do uszczęśliwienia, całej ludzkości. Ale jest pomiędzy poglądami Kochowskiego a poetów XIX w. ogromna różnica: po pierwsze, Kochowski nie mówi wyraźnie, do czego Bóg Polskę powołał; a po drugie (co ważniejsza), kiedy poeci XIX w. poczytywali Polskę za

niewinną ofiarę za grzechy świata, Kochowskiego nie zaślepiła miłość ojczyzny. Wprawdzie raz pyta żałośnie (podobnie, jak Starowolski): „Cóż, prze Bóg, zawiniła (Polska), że tak sromotną odnosi plagę?“ i odpowiada: „Sekret samemu niebu wiadomy“. Ale sekret był wiadomy i poecie: on miał oczy otwarte na winy, na ciężkie winy, swej ojczyzny i nie wahał się ich szczerze i surowo napiętnować. Niegodziwe wichrzycielstwa podczas elekcyi; rozrywanie sejmów dla prywaty; brak sprawiedliwości: „sędziowie odstąpili ścieżek prawdy, a udawszy się za mizernym wziątkiem, wspak wywrócili sprawiedliwość“ (takiego sędziego „ze skóry obłupić, a krzesło nią obiwszy, syn na niem niech usiędzie!“); „rada i senat—cymbał głośny i spiża brzęcząca,... mówią, żeby swoje (t. j. prywatę) przewieść“; „rycerstwo znikczemniało, męża walecznego nie pytaj“; „kto sfałszował monetę? kto podatki nienależycie zbiera i *tą krwią, z ubogich wyciśnioną, siebie i dom swój bogaci?*“: oto są grzechy Polski, oto za co Pan Bóg ją karze. Polska więc cierpi za swoje własne winy; Bóg jest miłosierny, przebaczy jej zatem wszystko, ale wtedy dopiero, gdy się Polska poprawi. Oto myśl przewodnia *Psalmodyi*, zupełnie ta sama, co *Lamentu* Starowolskiego.

Psalm 11. Na mieszania i rozrywania sejmów. Rzekł niesprawiedliwy sam w sobie, aby grzeszył, a zmrużywszy oczy, nie chciał się oglądać na bojaźń bożą. — Nie chciał zrozumieć przewrotności umysłu swego ani uważał, że w zgubie ojczyzny i samemu zginąć przyjdzie. — I tak zdradliwie mówił przeciwko Matce własnej, a gorszy pasierba, piersi te lżył, które go ukarmiły. — Głowa jego nie myśliła o dobru pospolitem, ale, żeby się dobrze mieć, by i złe czyniąc; a nienasycona podwyższenia chciwość nie chciała się obejrzeć na prawo przystojności. — Ojczyzna w uściech i obrona jej, a w sercu kończyste żądło, jak węda u hipokryty. — Stąd uczynił się rzecznikiem wrzkomo na obronę dobra pospolitego, a pod pokrywką publiki tai zawziętość sejmu rozerwania, mówiąc skrycie sam w sobie: „Cóż mi za to pieczołowanie o Ojczyźnie, kiedy inszą drogą pomogę sobie do dobrego mienia? Droga cnoty przykra, nagroda zasług niepewna, wdzięczność za odwagi omyla; a gdy występków nie karzą, grzeszyłby, ktoby dobrze czynił!“ — I tak udaje się przeciwną od gościńca ścieżką, a między sobie podobnymi rozsiewa ducha przeciwieństwa. — Ród jaszczurczy i właściwe Judasza pokolenie! Bo i ten, Pana w rękę całując, dla błahego kwestu [1] ojczyznę własną przedaje. — Psia natura, która węchem pożywienia śledzi, a znalazłszy, na plugawem ścierwie opada! — Widzisz to, BOŻE, czuły wolności naszej stróżu, i grozisz pomstą zdrajcy, któryś tego balsamu wolności przez *Nie pozwalam* w truciznę obracać nie kazał—... Upadną, upadną ci,

[1] kwest = zysk.

którzy Ojczyźnie źle służą, a plemię cnotliwego na to miejsce dziedziczyć będzie! — ... Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi św. etc.

Psalm 14. Korona polska uwziętość [1] na się nieprzyjaciół wylicza. Panie! Czemuż się namnożyło tych, co mię trapią, a bez dania okazyej codzień mi nieprzyjaciół przybywa? — Blizcy moi i nieprzyjaciele przeciwko mnie zbliżający się stoją. — Cytra moja obróciła się w smutek, napój mój w truciznę, kiedy z przyjaźni sąsiedzkiej widzę na zgubę odpowiedź i nieubłagane zajątrzenie. — Jeżelim przymierza nie strzymała, umowę złamała albo na zdradzie komu była, sama się sądzę, że sama tę zawziętość ponoszę. — Ale, jeżelim cudzego nie pragnęła, pokoju nie wzruszała, do wojny nie dała okazyej, czemużby mię te stosy [2] potykać miały? — Ty wiesz, mój Panie, żem spokojny żywot i zgodne obejście z każdym zawsze kochała, a za to mię teraz te kłótnie zewsząd ogarnęły, gdy oto swywolny Zaporożec, potargawszy obowiązki poddaństwa, z krymskiem pogaństwem nastąpili na mnie uciążliwie, oraz upatrzył w nieszczęściu mojem czas przedtem ode mnie gromiony Moskal i nie chciał zaspać pogody [3] w odbieraniu zawojowanych derewni.— Poszła za wiatrem i borealna [4] Szwecya, a w temże zamieszaniu łatwiejszego probowała połowu. — Aż też honorowany ode mnie Transylwańczyk, przeważywszy się przez Krępak, bez opowiedzenia wojny kraje mi pustoszył. — Wszyscy ci mówili i urągali wszetecznie: „Nie ma Polska zbawienia w Bogu swoim“. — A ono Ty, Panie, jesteś obrońca mój i puklerz nieprzebity, siła moja, która, chociaż poniży, znowu podniesie głowę moję. — Bo cóż wskórali i co za korzyść odnieśli, którzy się na zgubę moję sforcowali? [5] Mało co mię umartwiwszy, sami w oczach moich marnie przepadli. — Rozmarzył chmielny trunek ukrainnego Spartaka [6], że i Rzymowi groził. Kędyż jest? Wycięto drzewo, usechł pniak, pokruszyły się gałęzie! — Kędyż jest Ukraina, która po trzykroć stotysięcy ludu schyzmatyckiego wyprawiła na wojnę, a teraz i na zupełną sotnią zdobyć się nie może? — ... Boś Ty, Panie mój, wygubił wszytkie, przeciwiające mi się bez przyczyny, i pokruszyłeś zęby grzeszników. — Ufam, i dalej że mię z paszczęki żarłoka wybawisz, a nad ludem swoim pokażesz miłosierdzie swoje. — Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi św. etc.

Psalm 26. Pienie wdzięczności za zwycięstwo wiedeńskie. BOŻE! Cośmy uszyma naszemi słyszeli, co nam Ojcowie nasi powiadali, tego się teraz oczy ludu Twego z pociechą napatrzyły. — Dzieło mocy Twej, któreś za dni ich uczynił z Faraonem, — toż i teraz nieskrócona w cudach ani osłabiała w potędze wykonała ręka Twoja. — Ręka Twoja, Panie, nie ludzka, pogany starła; przed nią pyszny Asur sromotnie uciekał, który w hardości serca na zgubę

[1] zawżiętość. [2] stós = cios. [3] pogoda = sposobność. [4] borealny = północny. [5] sforcować się = wysilać się, sprzysięgać się. [6] ukrainny Spartak—Chmielnicki.

naszę przyszedł. — Z nim gruby Edomczyk w lot bieżał, a oba, strachem zjęci, z bystrego Dunaju wodami na wyścigi lecieli. — Nie obejrzał się Part, który w odwodzie potyczkę daje, ani Bisurmanin wspomniał, że się wnukiem bożym nazywa. — Wydarł miecze z rąk ich Zwycięzca, w Imieniu Twojem silniejszy; prysnęły łuki, i strzały z kołczana posypały się po ziemi. — Patrzało na hardość ich wschodzące słońce, a toż na odwieczerzu widziało sromotnie rozgromionych. — Wstydził się miesiąc piątna swego, a żeby sromotę zakrył, nie chciał świecić w nocy uciekającym. — Nie pomógł w trwodze fałszywy prorok, ani częste umywanie nie oczyściło wszetecznych z grzechu. — Leżeli w polu, jako bycy tłuści po rzezi, a plugawe ścierwy kazał Zwycięzca ziemią nakryć z politowania. — Jeńcy w zatrzymaniu żywi zostali, a miecz po zwycięstwie ochłodnął, w pochwy włożony. — Tyś tak kazał, BOŻE nasz, cuda czyniący, aby, którzy po cudze zdrowie przyszli, swojem nałożyli; aby chleb od gęby niewinnym wydzierający nie pożyli go, a słabszy z mocniejszego zagarnął łupy. — Mało trzy dni było do zbierania korzyści; brali nie tylko żołnierze odbieżane korzyści, ale i dzieci małe z pospolitym gminem. — One pyszne w Sydonie czy w Dziarbecie złotem tkane namioty, odbieżane, stały, jako buda w sadzie, w której jabłek pilnowano. — Konie ich poosiadał mocniejszy, dzidy ich o nichże skruszył i kulami do grzbietu uciekających strzelał. — Przepadli wszyscy purpuraci ich, którzy mówili: „Posiądźmy ziemię chrześcijańską!“ — Zginął wezyr niemęsko, powrozem uduszony, a onemu kościołów Pańskich burzycielowi niedługo w skronię młotem Jachel gwóźdź wbiła. — I stało się im tak, jako Madyanitom i jako Jabinowi u rzeki Cisson. — Położyłeś ich, Panie, jako koło na odwrocie; i, jako źdźbło przed wiatrem, tak pyszni zniknęli. — Jako ogień, który pali lasy, nikomu nie przepuszczając, tak napełniona jest twarz ich sromotą.— Stąd niech poznają, że Pan imię Twoje, o JEHOWA, boś się wielmożnie wsławił, konia i jeźdzca wrzuciwszy w morze. — Ten-ci jest Pan, którego wielbić trzeba: BÓG Ojców naszych, którego wywyższać będziem. — Pan, jako mąż waleczny, tryumfujący, Imię Jego, przed którem wojska i wozy faraonowe w Czerwonem morzu na dnie zostały. — Prawica Twoja, Panie, za nas wojowała; ręka Twoja, Najwyższy, nieprzyjaciół zbiła, a w mocy Twojej, o Wszechmocny, poraziłeś przeciwniki nasze! — Któż podobny Tobie między mocarzami, Panie? tak wielmożny w potędze, jako straszny i chwalebny i czyniący dziwy! — Nie nam tedy, Panie, podłemu gminowi, ale Imieniowi Twemu świętemu, które cudowne jest, niech będzie od nas chwała, wdzięczność i poszanowanie na nieprzeżyte wieki! Amen.

§ 70. Jak chwałę poezyi XVII w. stanowi epika, tak chwałę prozy — *pamiętniki*. Najlepsze pozostawił po sobie szlachcic

z rawskiego **Jan Pasek** (ur. s. około r. 1630, um. 1701), wychowaniec szkół jezuickich. W młodym wieku zaciągnął się do wojska, jako towarzysz pancerny chorągwi Stefana Czarnieckiego; bił się z wojskami Rakoczego, brał udział w wyprawie do Danii oraz w wojnie z Moskwą (1661); do rokoszu Lubomirskiego nie należał i w bitwie pod Mątwami walczył w szeregach królewskich. Po kilku latach służby wojskowej osiadł na roli, w krakowskiem, gospodarował, jeździł ze zbożem do Gdańska, polował, procesował się z sąsiadami, tłukł się po sejmach i sejmikach, po weselach i pogrzebach, awanturował się, hulał i pił na zabój.

Bo też był to człowiek żywy i ruchliwy, porywczy i gwałtowny, w gorącej kąpany wodzie; wesoły, jowialny, gadatliwy, pełny animuszu rycerskiego i fantazyi, ale o głowie ciasnej i o sercu małem; pieniacz, chciwy grosza i procesujący się o byle co po całych latach, choćby o jedną głupią krowę; dotego pijak, awanturnik, zawadyaka, kłótnik. Wogóle *jest Pasek postacią lichą, a (niestety!) typową, bo skupiającą w sobie prawie wszystkie ujemne cechy ówczesnej szlachty; jest doskonałym przedstawicielem sarmatyzmu w ujemnem znaczeniu tego wyrazu*, jak Potocki—w dodatniem (§ 65).

Religijnym był bardzo, ale religijność to taka, o jakiej mówi przysłowie: „Modli się pod figurą, a nosi dyabła za skórą“. Wierzył Pasek, że bez woli bożej włos mu z głowy nie spadnie, że Bóg jest tak dobry, iż szlachcicowi polskiemu pomaga nawet do pojedynków; wierzył, że, kiedy raz, upiwszy się, jak bela, zapadł w ciężką gorączkę, umarłby z pewnością, gdyby nie pomoc ś. Antoniego; ale i w to wierzył, że, kiedy się koń potknie, będzie nieszczęście, a cóż dopiero, kiedy się kometa ogoniasta na niebie ukaże! Modlitwy odmawiał pilnie, śpiewał godzinki; w niebezpieczeństwie „oddawał się boskiej i Jego Najświętszej Matki protekcyi“; w zmartwieniach, kiedy tylko „ścisnął nóżki Panu Jezusowi, którego nosił na obrazie z Najświętszą Panną, to zaraz, jako plastr przyłożył“; uczęszczał przykładnie do kościoła, spowiadał się, odbywał pielgrzymki do Częstochowy; postu, zwłaszcza w wigilię święta Matki Boskiej, nie złamałby za nic w świecie: cóż z tego, kiedy ta pobożność i religijność dziwnie się jakoś godziła z czynami wręcz haniebnymi! Mniejsza o to, że się Pasek często upijał (mówił sobie, że taka to już moda w Polsce); i o to mniejsza, że się pojedynkował przy każdej sposobności i urządzał zajazdy na cudze domy (i to było modą w Polsce): to wszystko jeszcze fraszka w porównaniu z innemi sprawkami. Raz dano mu znać, że jacyś ludzie polują na jego gruntach: zaczaił się, dopadł, powalił myśliwych na ziemię, związał, skopał, zbił, wreszcie zmusił jednego ze schwytanych do zjedzenia na surowo upolowanego zająca. Wogóle względem tych, co mu wchodzili w drogę był nieludzki i okrutny, zwłaszcza dla swoich poddanych. Raz np. skatował chłopa, zarzucił mu powróz na szyję, przytroczył go do konia, zaciągnął do miasta

i wrzucił do lochu, przez cały tydzień morząc go głodem; innym razem kazał siec rózgami kowala, zakuł go w kajdany i wraz z nieletnim synem wtrącił do więzienia; albo jeszcze, podejrzewając o coś karbowego, wziął go na tortury i t. p.

Już to wogóle miłością bliźniego ani drażliwością sumienia nie odznaczał się. Nie grzeszył i tkliwością uczuć. W Danii zakochała się w nim na śmierć (jeśli tylko Pasek nie kłamie, bo to mu się zdarza bardzo często) jakaś piękna Dunka, która i jemu „jakoby kajdany włożyła na serce"; chciał pozostać w Danii, chciał się żenić, ale nie pozostał, nie ożenił się, wrócił do domu i... po drodze zapomniał. Po powrocie z Danii znajomi swatali go odrazu z dwiema pannami, Radoszowską i Śladkowską; on „tych rzeczy słuchał właśnie, jako kiedy owo na dwa chóry muzyka gra: i ta pięknie, i ta pięknie, bardziej mu się jednak serce chwytało Śladkowskiej", bo, chociaż złe języki mówiły, że panna jest „zła, jako jaszczurka, i bez mała nie podpija", ale wiedział, że ma siedemdziesiąt tysięcy posagu oraz wioskę, na której „nie tylko pszenica, ale cebula w polu na każdym zagonie, gdzie ją wsiejesz, urodzi się". Ostatecznie jednak pojął w małżeństwo nie pannę Śladkowską, tylko starą babę, panią Annę Łącką, wdowę, szczęśliwą matkę pięciorga aniołków, liczącą sobie czterdzieści sześć wiosen, ale gospodarną i majętną. Dzieci nie miał, co przypisywał czarom.

Ojczyznę kochał Pasek — po swojemu. Polskę poczytywał za naród wybrany, którym się szczególnie opiekują Bóg i Jego aniołowie. Na narody obce patrzał z góry: Szwedzi to, jego zdaniem, „naród świński", Moskwa — „naród jaszczurczy", Niemcy— lutry, a zatem „psy". Ale osobliwie nie nawidził Pasek Francuzów, bawiących na dworze Maryi Ludwiki, jak nie cierpiał ich cały wogóle motłoch szlachecki, drżący na samą myśl, że król pod ich wpływem gotów pomyśleć o ukróceniu złotej wolności i o tronie dziedzicznym. Jakoż myśleli o tem nie tylko oboje królestwo, ale i całe stronnictwo „francuskie", do którego, pomiędzy innymi, należał prymas Prażmowski. Otóż Pasek nienawidził, jak całego stronnictwa, tak szczególniej prymasa, z którego kalectwa szydził, którego nazywał ślepcem jednookim, któremu po śmierci nawet nie darował: „Prażmowski snem śmiertelnym zawarł oko, bo nie miał, tylko jedno, które siła widziało i siła złego robiło". Bo po co i na co, myślał sobie Pasek, reformować Polskę, kiedy w niej poczciwej szlachcie tak dobrze, jak u Pana Boga za piecem? To też cieszył się serdecznie, kiedy po abdykacyi Jana Kazimierza obrano, wbrew stronnictwu francuskiemu, „Piasta" — Wiśniowieckiego, i szczegółowo opisał w swych pamiętnikach ten tryumf szlachty, tę bezmyślną elekcyę, podczas której szlachta znieważyła senatorów, co Paska w pyszny humor wprawiło, chociaż raczej płakać, aniżeli śmiać się należało! Wogóle patryotyzm Paska był, co się nazywa, zaściankowy, jego poglądy polityczne rozpaczliwie ciasne. W prostocie ducha wierzył, że, byleby tylko Polska broniła się od

sąsiadów, wszystko iść będzie, jak po maśle. Jakoż sam mężnie bronił ojczyzny, nie szczędząc dla niej własnej krwi: w bitwach walczył, jak lew, zwłaszcza, gdy uniosły go zapał i fantazya rycerska oraz... nadzieja łupu, bo o tem nie zapominał nigdy (podobnie, jak Rzędzian z *Ogniem i mieczem*), w myśl swojej zasady: „Nie żal i skóry szczerze nadstawić, kiedy wiem, że, zwyciężywszy, będzie za co plasterek kupić i czem ranę zawiązać“. Poczucie honoru rycerskiego miał niewątpliwie, i ono to dwukrotnie ocaliło go od zdrady: miał duszną ochotę przyłączyć się i do „Związku Święconego“ (który zawiązano z powodu niewypłacania żołdu na wojnie z Moskwą r. 1661) i do rokoszu Lubomirskiego, bo tu i tam dopatrywał się dla siebie korzyści; ale ostatecznie poczucie honoru przemogło, i dochował wierności królowi. Służyć jednak królowi i ojczyźnie bezinteresownie nie chciał za nic w świecie i upominał się ustawicznie, by mu za służbę publiczną płacono. Czasem też sam zapłatę sobie obmyślał. Raz np. polecono mu wyruszyć na granicę państwa moskiewskiego, aby przeprowadzić jadących do Warszawy dla zawarcia pokoju posłów moskiewskich; Pasek chętnie podjął się tej misyi, bo wiedział, że to rzecz zyskowna: jakoż po drodze wymuszał pieniądze od mieszczan, którzy mu się okupywać musieli, by długo w miastach z posłami gospodą nie stał,—i zebrał sobie sporo grosików, do czego się sam otwarcie przyznaje: „Posłów prowadząc, wziąłem 17 000“.

Głosił Pasek piękną zasadę: „Nie wiem, jakoby się ten miał nazwać synem ojczyzny, ktoby dla swojej prywaty publicznych jej miał zapomnieć interesów“; ale czynem zasady tej bynajmniej nie stwierdzał. Raz posłał go Jan Kazimierz z pilnym listem do Czarnieckiego, ale Pasek nie śpieszył się: wstąpił sobie po drodze do znajomych i całe dwa tygodnie hulał i pił. Innym razem, gdy go pomówiono o udział w Związku Święconym, oburzony do żywego niesłusznem posądzeniem, zawołał: „Przed niebem i ziemią *protestor* (protestuję się) w krzywdzie mojej i tego, com dla ojczyzny uczynił, szczerem żałuję sercem!“ Mówić tak może ten tylko, kto kocha więcej siebie, niż ojczyznę.

Takim to człowiekiem był Pasek. Ujmuje on nas swoją fantazyą rycerską, walecznością, poczuciem honoru, swoją żywością i wesołością; w towarzystwie, przy kieliszku, był to z pewnością jeden z najsympatyczniejszych ludzi na świecie, umiejący każdego rozweselić „gębą i konceptem“: ale pod względem moralnym był figurą marną, a jako Polak, jako obywatel, nie mający należytego pojęcia o obowiązkach względem ojczyzny i nie chcący służyć jej bezinteresownie, był jednostką raczej szkodliwą, niż pożyteczną,—jak ogół ciemnej szlachty współczesnej.

Otóż ten lichy człowiek jest autorem najlepszych w całej literaturze staropolskiej *Pamiętników* (wydanych dopiero w r. 1836), obejmujących lata 1656 — 1688. Ze spraw publicznych opowie-

dział Pasek prawie wyłącznie te tylko, w których sam brał udział lub na które patrzał własnemi oczami, a więc wyprawę duńską, wojnę na Litwie z wojskami Chowańskiego (bitwy pod Lachowiczami i nad rzeką Basią), Związek Święcony i rokosz Lubomirskiego, elekcyę Wiśniowieckiego, konfederacyę gołąbską; z wypadków, w których udziału nie brał, najszczegółowiej opisał odsiecz Wiednia. Pozatem opowiada głównie o swojej własnej doli i niedoli, na obczyźnie i w kraju, czasu wojny i pokoju; bitwy i sejmiki, burdy i pojedynki, przyjaźni, kłótnie, konkury i wesele, stosunki sąsiedzkie i rodzinne, uczty i zjazdy, kłopoty gospodarskie i tarapaty sądowe, myślistwo (ukochana wydra, którą z bólem serca podarował Janowi III), słowem *całe życie szlachcica-rycerza, szlachcica-obywatela i szlachcica-ziemianina — oto co stanowi treść i zarazem ogromną wartość pamiętników Paska, jako przepysznego źródła do poznania obyczajowości i charakteru szlachcica polskiego*; *pod tym względem ani jeden utwór prozy polskiej XVII w. równać się z nimi nie może*; miał słuszność Mickiewicz, mówiąc, że to nie pamiętniki, tylko *romans historyczny*. Nie dosyć na tem. *Pamiętniki Paska to przepyszny okaz żywej mowy polskiej XVII w., niezrównane arcydzieło stylu gawędziarskiego.* Mistrz z Paska nad mistrzami nietylko w rąbaniu ręką, ale i w obracaniu językiem: rękę wyćwiczył sobie w bitwach i pojedynkach, a język—przy butelkach i gąsiorach, w wesołem gronie znajomych i przyjaciół, którym chętnie opowiadał o swoich „okazyach“, „koloryzując“ je często, t. j. kłamiąc, jak najęty, i tak, jak opowiadał, przekazał piórem potomności. Tak żywo i barwnie, tak naturalnie i zamaszyście, z takim humorem, błaznowatym, ale szczerym i naprawdę ogromnie zabawnym,—nie umiał opowiadać nikt, chyba—jeden tylko Zagłoba. *Literatura staropolska nie zna lepszego gawędziarza i większego humorysty.*

Bitwa pod Lachowiczami. (1660). Skoro się trochę rozwidniło, zaraz przez munsztuk[1] kazano trąbić wsiadanego. Ruszyło się wojsko, żebyśmy, Pana Boga wziąwszy na pomoc, wcześnie tę zaczęli igraszkę. Idąc tedy, każdy swoje odprawował nabożeństwo; śpiewano godzinki; kapelani, na koniach jadąc, słuchali spowiedzi; każdy się dysponował, żeby był jak najgotowszy na śmierć. Przyszedłszy tedy o pół mile od Połonki, stanęło wojsko do szyku. Szykował swoje Czarniecki, Sapieha też swoje... Szliśmy tedy szykiem, i, dopiero *in prospectu*[2] nieprzyjaciela stanąwszy, chcieli tego wodzowie, żeby był nieprzyjaciel wyszedł do nas za przeprawę; aleć, jak poszło do nich nasze trzy regimenty, zaraz ich wystrzelali z tej strony i wyparowali za rzekę. Poczęto tedy bić z armat z tamtej strony i rażono naszych; towarzysza jednego, podle mnie

[1] munsztuk = otwór narzędzia dętego, który się do ust przykłada.
[2] w obliczu.

stojącego, jak uderzyła kula w łeb konia, aże ogonem wyleciała, towarzysz poleciał do góry od kulbaki wyżej, niżli na trzy łokcie, a nic mu. Gdzie tedy szło lewe skrzydło i korpus, to tam mieli ciężką przeprawę, gdzie zaś nasze prawe skrzydło, tośmy mieli błota, jak przez siedmioro stajań i lepiej, że miejscem koń zapadał po tebinki[1]; miejscem uszedł po wierzchu, tylko się tak owe chwasty zrosłe zaginały, jako pierzyna... My się tu z owego błota dobywamy, a tu już bitwa potężna na lewem skrzydle. Był tedy *directe*[2] przeciwko naszej przeprawie folwark oparkaniony; spodziewając się Moskwa, że to tam nasi będą szczęścia probowali, zasadzili tam kilkaset piechoty i cztery działka. Nie pokazowali się nam wtenczas, aż kiedy my się wybijali z tego błota do twardego lądu, wysunęła się piechota. Kiedy poczną ognia dawać, kiedy poczną parzyć z dział, jako grad, kule lecą; padło naszych dużo, drudzy postrzelani. Ale przecie wszytkim impetem poszliśmy na nich, bośmy widzieli, że trzeba było ledwie nie wszystkim ginąć, gdybyśmy mieli tył podać, ale jużeśmy tak oślep w ogień leźli, żeśmy się tak z nimi zmieszali, jako ziarno z sieczką, bo już trudno było inaczej. Okrutna tedy stała się rzeźba[3] w owej gęstwinie, a najgorsze były berdysze. Kwadrans jednak nie wyszedł od owego zmieszania, wycięliśmy ich, że i jeden nie uszedł, bo w szczerem polu; powiadano, że ich było stu. Z naszych też kto legł, kto co otrzymał, musiał cierpieć; pode mną konia gniadego postrzelono w pierś, cięto berdyszem w łeb i drugi raz w kolano... Przesiadłem się tedy natenczas na mego myszkę[4], kazawszy pachołkowi, co na nim siedział, wędrować nazad za przeprawę, aleć mnie niezadługo dogonił na lepszym koniu, niżeli ja siedział, zdobycznym. Docinamy tedy owę piechotę, a Trubecki leci, ordynowany owym na sukurs z dziesięcią chorągwi bojarów dumnych[5] i z trzema tysięcy rajtaryi. Stanęliśmy tedy tyłem do owych, a frontem do nieprzyjaciela. Wpadają na nas tak, jakoby zjeść; wytrzymaliśmy, bośmy musieli. Kiedy widzimy, że nas gnietą w owe błota, zewrzemy się z nimi potężnie. Rajtarya wydali ogień do nas gęsto, nasi zaś rzadko kto strzelił, bośmy już powystrzelali na owę piechotę, a nabić znowu było niepodobna, bo czas nie pozwolił... Tak tylko tedy szablami ten tego, ten też tego w bożą godzinę, bo i owym jużeśmy też przygrzewali mocno, żeby nie nabijali strzelby. A po staremu rzeczy już nam nie tak twardo szły, choć to na nas z gotowym ogniem przypadli. Przemagaliśmy się tedy właśnie, kiedy owo dwaj w zapasy chodzą, ten tego, ten też tego nachylając. Trubecki, jako cygan, uwija się na szpakowatym kałmuku. Leci trupów gęsto, aż kiedy ich chorągwi na ziemi leżało ze sześć. Trubeckiego towarzysz starosty dobrzyńskiego jak ciął w łeb, aż

[1] tebinki — sznury skórzane przy siodle (dla ozdoby). [2] wprost. [3] rzeź. [4] myszka = koń myszaty. [5] dumny = zasiadający w Dumie.

mu kołpak spadł; zaraz go dwaj porwali pod ręce i poprowadzili. Dopiero hosudarowie w nogi do szyków, my też po nich! Wparowaliśmy ich, siekąc, aż między samo wojsko. Padło ich tedy na placu z połowa. A tu, jako w garcu, już się samo *corpus*[1] potyka. Litwa na lewem skrzydle także nie próżnują, ale przecie nie tak na nich, jako na nas, najlepsze siły obracają, bo ich już lekceważyli. Obróciły się tedy niektóre pułki świeże i to na odwrót znowu poszły. A wtem wojewoda, zobaczywszy nasze chorągwie już w tyle szyków nieprzyjacielskich, posłał do Sapiehy: dla Boga, żeby wszystkiemi siłami natrzeć i rozrywać Moskwę, bo pułk królewski zgubiemy. A tu też już Moskwa mieszają się, kręcą się, właśnie kiedy owo źle komu za stołem siedzieć. Już było znać po nich trwogę. Ci też, co ich na nas obrócono, biją się już nie z ochotą. Poskoczą do nas, to znowu od nas; a wtem natrze na nich *corpus* potężnie. Husarskie chorągwie skoczyły, my też tu z tyłu uderzemy na nich. Jużeśmy trochę mieli czasu i do nabicia strzelby, a wtem Moskwa w nogi! Wszystko wojsko wtedy na nas uciekało; bijże teraz, który się podoba! wybieraj: to piękny, to jeszcze piękniejszy!

Napadł na mnie jakiś patryarcha z żółtą brodą, srogi chłop. Zajadę go; złoży do mnie pistolet, szabla złocista na tymblaku. Jam rozumiał, że wystrzelony miał, a straszy nim; przytnę śmiele, strzelił. A ja też tymże impetem ciąłem go w ramię; czuję się, że mi nic od owego strzelania. Po nim! Domogłem się[2] go, znowu w oko zajadę, bo jakoś ciężko uciekał, choć na dobrym koniu, czy też miał jaki szwank, czy też był ociężały jakiś. Tnę go przez czoło. Dopieroż zawoła: *Pożałuj*! Szablę mi podaje, a z konia leci. Jeno co szablę odbiorę, aż ucieka na płowym bachmacie w rządziku złocistym jakiś młokos w atłasowym papużym żupanie; prochowniczka na nim na śrebrnym łańcuszku. Sunę do niego, przejadę mu. Młodziusieńki chłopiec, gładki, a *chrest*[3] oprawny trzyma w ręku, a płacze: *Pożałuj dla Chrysta Spasa, dla Preczystoj Bohorodycy, dla Mikoły Cudotworca*. Żal mi go się uczyniło, a widziałem, że wielkie kupy Moskwy i z tej strony i z tej bieżały prosto na mnie; obawiałem się, żeby mię nie ogarnęły: nie chciałem się bawić koło niego, zabijać mi też żal go było, na owę jego gorącą rozpamiętywając modlitwę. Wziąłem mu tylko ów *chrest* z ręku, a wyciąłem go płazą przez plecy: *Utikaj, ditczy synu*! Kiedy to chłopię skoczy, podniósłszy ręce do góry, z oczu zginął w lot!... *Chrest* wziąłem mu piękny bardzo; było na oprawie ze dwadzieścia czerwonych złotych. Nie zabawiłem się koło owego smarkacza i pacierza jednego. Skoczę do owego brodofiasza[4], aż on już nago leży, a konia prowadzi towarzysz; mówię do niego: „Jam

---

[1] korpus (środek wojska). [2] domódz (się) = dogonić. [3] krzyż. [4] brodofiasz = brodacz.

nieprzyjaciela z konia zwalił, a ty go bierzesz? dawaj go sam, bo tego nabicia na ciebie odżałuję, com go na nieprzyjaciela nagotował“. Nie bardzo się też i sprzeczał Wołoszyn, bo widział, że do mnie ten Moskal strzelił i jam go zwalił z konia. Oddał mi tedy owego konia ślicznego, który był nie moskiewski, ale z tych ruskich koni, czerwono-gniady, rosły; żal mi go było rzucać. Czeladnika żadnego niemasz, nie było go komu oddać; aż napadłem na znajomego pachołka: „Weźmij ode mnie tego konia, a dam ci dziesięć talerów, jak mi go wyprowadzisz; albo, jak się zjedziesz z którym z mojej czeladzi, oddaj go“. Wziął tedy, a jam skoczył, gdzie się okrutnie zwarli Moskwa z naszymi...

Przerzedziło się już znacznie lewe moskiewskie skrzydło i samo *corpus*, a tu prawe skrzydło moskiewskie, które się z naszem potykało lewem, dopiero poczyna uciekać. Znowu takaż gęstwa uczyniła się; dosyć na tem: tu jednego gonisz, a drugi tudzież nad karkiem stoi z szablą; tego docinasz, a drugi, jak zając, pod smycz leci; trzeba było mieć głowę, jako na śrubach i przed się i za się oglądać się, bo, kiedy się nieostrożnie zabawił koło jednego, to zaś owi *fugientes*[1] z tyłu siekli naszych, pomijając...

Ucieka jeden na ślicznym koniu, rząd bogaty, złocisty, husarską modą, suknie jedwabne, kołpak haftowany, bogaty; przebiegą go co żywo, z tej i z tej strony, ja go najbliżej. Rozumiejąc, że sam Chowański, wołam: „Stój, nie bój się! Będziesz miał *pożałowanie*!“ Już trochę począł wytrzymować koniowi, spojrzy na mnie z boku: nie zdałem mu się do tej konfidencyi, żem był w starym kontuszu; nie ufał mi, rozumiejąc, że jaki pachołek, hołota, których się oni najbardziej boją, mówiąc, że u takich żadnej nie znajdzie dyskrecyi... Ale obaczył daleko towarzysza naszego, tylko że w czerwonej sukni, w karmazynowym wytartym kontuszu i na takiej szkapie, żeby go był i do sądnego dnia nie dogonił; ale *supponebat*[2], że to ktoś znaczny, prosto do niego bieżał. Z tych, co mu przebiegali, strzelił do niego towarzysz; chybił. Postaremu on, jako oczy wybrał, leci do niego; skonfundował się, kręci się na szkapie, aż, kiedy obaczył, że mi oddaje szablę i pistolety, hebanem i srebrem oprawne, woła: *Pożałuj*! Wziąłem go żywcem. Chowański sam, już w ucieczce dwa razy w łeb cięty, uszedł; piechota zaś wszystka, mało co naruszona, oprócz owych kilkuset, na razie wyciętych, została żywcem, a było ich 18000. Poszli tedy do blizkiej brzeziny i zasiecz uczynili. Otoczono ich tedy dokoła armatą i piechotą, bo obrzednia[3] była owa brzezina. Dawano do nich ognia z dział, że na wylot kule przechodziły i na tę i na tę stronę, a potem, jak ich to zdebilitowano[4] z armaty, dopiero ze wszystkich stron uderzano na nich, w pień wycięto. Trudno też

---

[1] uciekający. [2] przypuszczał. [3] obrzedni = rzadkawy. [4] zdebilitować = osłabić.

krwie ludzkie w kupie widzieć, jako tam było, bo lud gęsto bardzo stał i tak ginął, że trup na trupie padł, a dotego owa brzezina na pagórku była, to tak krew lała się strumieniem, właśnie jak owo po walnym deszczu woda.

Elekcya Wiśniowieckiego (1669). Gromadzą się województwa dobrym porządkiem, każde u siebie w domu, a potem ruszyły się ku Warszawie, Ja, żem się w krakowskiem ożenił, jużem też tam z nimi był pod chorągwią krakowskiego powiatu... Poszliśmy tedy pod Wyśmierzyce i tam staliśmy więcej, niżeli tydzień; potem pod Warszawą *primis diebus Iunii*[1] stanęliśmy. Potem, jak zza rękawa wysypały się województwa, wojska wielkie, poczty pańskie, piechoty, zgoła ludzi bardzo pięknych i wiele. Sam Radziwiłł Bogusław miał z sobą ludzi z 8000, bardzo pięknych... Opuścił tedy uszy arcybiskup, powątpiewając w swojej intencyi, ale postaremu nie ustaje w dopinaniu i ma nadzieję. Aleć jak się kołowanie zaczęło, różni różnie sądzą: ten będzie królem, ten będzie, a o tem nikt nie wspomni, którego sam Bóg przejrzał... Francuskie *subiecta*, jako zhukane, *laborant* skrycie[2], ale nejburskie i lotaryńskie jawnie[3]; o polskim zaś konkurencie i wzmianki żadnej niemasz. Tam dają, darują, sypią, leją, częstują, obiecują: ten nikomu nic nie daje ani obiecuje, ani o to prosi, a przecie odnosi. Kiedy już było po kilku sesyach i po odebranej od posłów cudzoziemskich legacyi i po deklarowanej każdego posła za swego pana dla Rzeczypospolitej uczynności, najbardziej nam przypadł do serca Lotaryńszczyk *ex ratione*[4], że to pan wojenny i młody...

Nazajutrz[5] pozjeżdżali się do szopy; okryły wojska pole. Dopiero różni różne dają sentencye, ten tego, ten zaś inszego chwaląc. Ozwie się jeden szlachcic z województwa łęczyckiego, którzy zaraz nad kołem stali na koniach: „Nie odzywajcie się, Kondeuszowie, bo tu będą kule koło łba latały!“ Senator jeden odpowiedział mu coś *crude*[6]. Kiedy to poczną ognia dawać, senatorowie z miejsc w nogi, między karety, to pod krzesła! Rozruch, tumult! Zaraz insze chorągwie skoczyły w drugą stronę piechotę potrącać, deptać, piechota w rozsypkę. Obstąpiono *circumcirca*[7] koło. Kiedy to poczęto egzorty[8] prawić: „Zdrajcy, wytniemy was, nie wypuścimy was stąd! Darmo mieszacie Rzeczpospolitą, inszych senatorów *constituemus*[9]; *ex gremio*[10] sobie króla obierzemy, jakiego nam Pan Bóg poda do serca!“—Tak-ci skończyła się owa sesya tragicznem widowiskiem. Starszyzna przecie powyjmowali każdy

[1] w pierwszych dniach czerwca. [2] t. j. stronnictwo francuskie, jako zahukane (znienawidzone) pracuje skrycie. [3] kandydatami byli książęta: francuski, lotaryński i neuburski. [4] ze względu. [5] d. 17 czerwca. [6] surowo. [7] ze wszystkich stron. [8] egzorta=przemowa. [9] ustanowimy. [10] z własnego łona.

swoich, obróciły się chorągwie w pole, a panowie biskupowie, senatorowie powyłazili zpod krzeseł, zpod karet wpół ledwie żywi i pojechali do gospód, drudzy też, co w polu stali, do namiotów.

Nazajutrz sesya nie była, bo się panowie po utrząśnieniu smarowali olejki i hyacynty pili po przestrachu. Województwa też w pole nie wychodziły, ale stały w obozie. Posyłają województwa 19 *Iunii*[1] do arcybiskupa, żeby wyjechał na sesyą i zagaił według prawa *continuationem operis*[2]. Odpowiedział, że „nie wyjadę, bo nie jestem *securus*[3] zdrowia, i insi panowie senatorowie nie wyjadą". Posłano znowu, że już wojska pomykają się ku szopie: „Kto cnotliwy i senator i kto chce, niech z nami wyjedzie: obierzemy sobie pana; kto nie wyjedzie, będziemy go mieli za zdrajcę ojczyzny, i, jaka stąd będzie konsekwencya, niech się domyśli!" Stanęły tedy województwa nie dalej, jak o pół ćwierci mile od szopy. Już tedy senatorowie nie do szopy zjeżdżali się, ale do nas. Nasz kasztelan krakowski, Warszycki, i insi senatorowie przyjechali do nas. Dopieroż w radę *de praeteritis*[4], co się komu podoba ten postępek. Pan[5] krakowski rzecze: „Imię Jego święte" (bo to jego przysłowie), „chwalę ja ten postępek; w tem się ma pokazać polska *generositas*[6], że to króla powinna obierać wszystka *nobilitas, non certus numerus personarum*[7]. Nie mam ja o to urazy, lubo mi kule świstały nad głową, bo wiem, że to u każdego szlachcica *haeret in pectore*[8] ta *malevolentia*[9] ludzi, która się już wszystkiemu światu ogłosiła; i owszem, jeżeli pożyję, na tem będę stał, aby sejmy odprawowały się na koniach, bo inaczej nie upilnują nam posłowie tych naszych wolności, których antecesorowie[10] nasi krwawo nabyli"... Przysyłają wtem do nas Wielkopolacy: „Cóż z tem mamy czynić, ponieważ o nas nie dbają panowie senatorowie?" Odpowiedzieliśmy i zaraz swoich posłaliśmy posłów, że „my mamy swoich senatorów, ruszamy się do szopy i będziemy o sobie radzić". *Ad locum electionis*[11] ruszyły się i stanęły województwa. O! kiedy to się z Warszawy karety wysypią! jedni ryścią, drudzy nacwał, do koła co żywo!... A potem arcybiskup przyjechał, obaczywszy, że się nie kłaniają i przepraszać nie myślą za wczorajsze napsztykanie[12]. Zasiedli tedy, ale już *non tam numerose*[13], jako przedtem, bo, kto bardzo tchórz, to ten uczynił się chorym, obawiając się takiego drugiego albo gorszego huczku, a drudzy też i prawdziwie w chorobę powpadali z przelęknienia, albo też brzuch tłusty utrząsnął się. O jednym powiedali, że padł przez dyszel, uciekając, ledwie szyje nie złamał, i jego właśni hajducy ledwie go z ziemie podnieśli i na nogach postawili. Zasiadł-

---

[1] czerwca. [2] dalszy ciąg czynności. [3] pewny. [4] o tem, co zaszło. [5] kasztelan. [6] wielkoduszność. [7] szlachta, nie zaś pewna ilość osób. [8] tkwi w sercu. [9] nieżyczliwość. [10] przodkowie. [11] na miejsce elekcyi. [12] nawymyślanie. [13] nie tak licznie.

szy w kole, siedzą, jakoby z choroby powstali, nic nie mówiąc żaden do żadnego. Ozwie się ktoś tam z kupy: „Mości panowie! Nie na próżnowanieśmy tu przyjechali: milcząc a patrząc na siebie, nic tu nie sprawimy. Ponieważ ksiądz Jegomość z Prażmowa funkcyi, urzędowi swemu należytej, nie czyni dosyć, więc prosimy JMości pana kasztelana krakowskiego, jako pierwszego *in regno*[1] senatora, aby nam był dyrektorem; wszakże też to nie papieża obierają: możemy się obejść i bez księdza!" Dopiero się arcybiskup porwie: „A, moi mości panowie, pókom ja żyw, w tych wszystkich okazyach, *quae sunt mei muneris*[2], ojczyźnie i każdemu z WMM. Panów *specialiter*[3] służyć *non desinam*[4]... WMM. Panowie mianujcie, który się z tak wielu zacnych podoba konkurentów, a ja, starszy brat i sługa WMM. Panów, do gotowego". Brali insi głosy *pro et contra*[5]; my też już zacinamy się *rationibus*[6]: „Ja tego", „Ja też tego życzę", „Mnie się podoba ten", „Mnie też ten", „Racya tego taka, tu też taka". To się agituje, a Wielkopolacy już krzyczą: *Vivat rex*![7] Skoczy od nas kilku, na kogo wołają; przynieśli nowinę, że na Lotaryńczyka. W łęczyckiem województwie znowu i w brzeskokujawskiem *intulerunt*[8] to, że „nam nie trzeba bogatego pana, bo on będzie bogatym, zostawszy królem polskim; nie trzeba nam z inszymi kolligowanego[9] monarchami, bo to jest *periculum libertatis*[10], ale nam trzeba *virum fortem, virum bellicosum*[11]: gdybyśmy mieli Czarnieckiego, pewnieby był usiadł na tronie; że go nam Bóg wziął, obierzmy jego ucznia, obierzmy Polanowskiego". To się agituje, ja *per curiositatem*[12] skoczyłem do Sandomierzanów, którzy najbliżej nas stali, aż tam trafiłem na tę materyą, że życzą sobie *de sanguine gentis*[13] i mówią: „Niewieleby nam trzeba szukać króla: mamy go między sobą! Wspomniawszy na cnotę i poczciwość, przeciwko ojczyźnie wielkie *merita*[14] księcia ś. p. Jeremiego Wiśniowieckiego, słusznaby rzecz zawdzięczyć to jego *posteritati*[15]. Owo jest książę Jegomość Michał; czemuż go nie mamy mianować? alboż nie z dawnych wielkich książąt familii, alboż niegodzien korony?" A on siedzi między szlachtą pokorniusieńki, skurczył się, nic nie mówi. Skoczę ja znowu do swoich i powiedam: „Mości Panowie, już w kilku województwach zanosi się na Piasta". Spyta mię pan krakowski: „A na któregoż?" Powiedam, że „na Polanowskiego, a tu na Wiśniowieckiego". A tymczasem hukną w sandomierskiem: *Vivat Piast!* Dębicki podkomorzy ciska czapkę do góry, wrzeszczy na wszystek głos: *Vivat Piast! vivat rex Michael!* A tu też nasi Krakowianie: *Vivat Piast!* Rozbieży się od nas kilku między woje-

[1] w królestwie. [2] które należą do mego urzędu. [3] w szczególności. [4] nie przestanę. [5] za i przeciw. [6] kłócimy się, podając przyczyny. [7] niech żyje król. [8] wnieśli, odezwali się. [9] kolligowany = spokrewniony. [10] niebezpieczeństwo dla wolności. [11] męża dzielnego, męża walecznego. [12] przez ciekawość. [13] z krwi narodu. [14] zasługi. [15] potomstwu.

wództwa inne z musztułukiem [1], wołając: *Vivat Piast!* Łęczycanie i Kujawianie, rozumiejąc, że na ich Polanowskiego, poczęli zaraz też wołać; insze województwa też. Wrócę się nazad do swoich, a tu go już biorą pod ręce i biorą go do koła. Starszyzna nasza krakowska *negat, contradicit* [2], bo od inszych pieniędzy dużo nabrali i obietnice mieli wielkie, osobliwie Pisarski i Lipski, mówiąc: „Dla Boga! co czynimy? czy nas szaleństwo ogarnęło? Stójmy! tak nie może to być!“ Pan krakowski już od nas odstąpił, bo to jego był krewny, tam jest przy nominacyi. Inszych senatorów idzie *obviam* [3] wiele; jedni powtarzają, drudzy też milczą. Rzecze do mnie Pisarski (bo też on mię przecie miał w powadze): „Mości panie bracie, co w tym terminie rozumiesz?“ Odpowiem: „To rozumiem, co mi Bóg do serca podał: *Vivat rex Michael!*“ Potem zaraz wyjadę z szeregu, skoczę za Sandomierzanami; co żywo, za mną, że i chorążowie z chorągwiami musieli, a Pisarski, czapką tylko o łeb uderzywszy, pojechał na stronę. Wprowadziliśmy go tedy do koła szczęśliwie. Tam dopiero *gratulationes* [4], tam dopiero pociecha dobrych, a smutek złych. Czynił-ci arcybiskup te ceremonie, co do jego urzędu należały,... ale z jakiem sercem, z jaką ochotą! Właśnie, kiedy owo wilka zaprzęgą do pługa i każą mu gwałtem orać... Nazajutrz zaraz był król kilka milionów droższy: tak wiele mu nadano podarunków, karet, cugów, obiciów, śreber i różnych splendorów.

Konkury, oświadczyny i ślub (1667). Pan Jędrzej Remiszowski, mając za sobą Paskównę, siostrę moję stryjeczną, jako zwyczajnie swój swemu, począł mi raić rodzoną swoję, Remiszowską z domu. Stanisława Remiszowskiego córkę. i namawiał mię, żeby jechać w Krakowskie poznać się *tantummodo* [5], a potem dopiero, jeżeli się będzie zdała ta okazya, o dalszych terminach *consulere* [6]... Przyjechaliśmy tedy do Olszówki *ipso die festi Beatissimae Mariae Virginis* [7], zażywszy nabożeństwa u obrazu cudownego N. Panny. Przyjechaliśmy tedy bez muzyki, żeby się to nie znaczyło, że w komendy [8]; aleć, uznawszy szczerą inklinacyą [9], i strona gospodarza poczęła się przymawiać o muzykę; posłałem dopiero do Wodzisławia, wnet ich przyprowadzono. Dopieroż w taniec. Pyta mię wuj: „Cóż ci się podobała ta wdowa?“ Odpowiedziałem: „Bardzo mi się jej serce chwyciło; gdyby można mówić z nią dziś i wyrozumieć, jakim mi jest przyjacielem!“ Odpowie wuj: „Mówić z nią dziś nie jest moda, bo to pierwszy dzień; ale, co o przyjaźń, już ja zrozumiał, że-ć jest przyjacielem, bo ja białogłowę zaraz rozumiem, kogo upodoba, choćby do niego i słowa nie mówiła; możesz tu nie

---

[1] musztułuk = dobra nowina. [2] nie chce, sprzeciwia się. [3] naprzeciwko. [4] powinszowania. [5] tylko. [6] pomyśleć. [7] w sam dzień święta N. P. M. [8] w konkury. [9] inklinacya = skłonność.

powątpiewać w tej okazyi; jeżeli-ć się samemu podoba, pewnie cię, widzę, nie minie. Jakoż i gardzić nie masz czem: białogłowa poczciwa, gospodyni dobra, w domu porządek i dostatek wszelki; te wioski, co to trzyma, prawda jest, że to jest arenda, ale ona ma pieniądze i na Smogorzowie dożywocie... Ponieważ ci tu Pan Bóg skłonił serce, Jego to jest święta w tem wola, a ja jutro, da Pan Bóg, traktować o tem będę". Po tych rozmowach poszedłem do tańca z nią, a przetańczywszy, usiadłem też z nią zaraz obok. Już mi się przecie podobała była i, że to zmłodu bywała gładka, mnie się też i natenczas widziała młodą, i nigdybym nie rzekł, żeby miała te lata, czegom potem doszedł: w czterdziestu sześć za mnie szła, a ja *supponebam* [1], że nie ma nad trzydzieści lat... Mówię do niej te słowa: „Moja Mości Pani! Damie w domu WMM. Pani prezentuję się komplimentem, ale tylko za rekwizycyą [2] JMości Pana rodzonego WMM. Pani wstąpiłem na czas krótki kłaniać się WMM Pani; aleć tak mi się tu upodobała pasza, żebym za jednę strawę przyjął służbę do gód [3], a za dobrem ukontentowaniem i na dalsze nie wymówiłbym się czasy. Jeżeliby na cokolwiek przygodziła się usługa moja WMM. Pani, sam się dobrowolnie z tą odzywam ochotą. Bo, krwawemi Marsa nasyciwszy się zabawami, już też potrzebniejszą ku starości radbym odmienił szarżą [4], to jest uczyć się ekonomiki [5] przy dobrej jakiej gospodyni, przystawszy za parobka albo, jako tu zowią, poganiacza. WMM. Pani! Jeżeli nie masz kompletu sług sobie potrzebnych, a ja w kompucie [6] życzliwych zmieścić się mogę, jeżeli moją do swojej usługi gardzić nie będziesz ochotą czyli akceptować [7], racz się rekoligować [8]; o zasługach zaś w żadną nie wchodzę kontrowersyą [9], aż wprzód od WMM. Pani usłyszę, jaką ta moja do przysługi WMM. Pani opowiedziana ochota przyjęta będzie wdzięcznością".

Odpowiada mi tedy tak: „Mój Mości Panie! Prawdać to, że tu u nas, w tym kraju, sług od gód tylko przyjmują, a kto zaś po ś. Janie służbę obejmuje, już ten zasług nie może wziąć zupełnych, tylko co każe dyskrecya. Ale to ma się rozumieć o podlejszych tylko sługach; poważniejszy zaś sługa kiedy przystaje, już się z nim nie jednamy do gód, ale do tego czasu, o którym przystaje. Jednak ja z WMM. Panem w ten kontrakt nie chcę się wdawać, wiedząc, że WMM. Pan, jako człowiek rycerski, wielkim nauczyłeś się żyć żołdem. Ja zaś, uboga szlachcianka, mogłabym się nie zdobyć na taką zapłatę. Ale tak radabym ja wiedziała WMM. wolą, czembyś się kontentował, a ja zaś, obaczywszy, jeżeli temu wystarczyć będę mogła, deklaruję WMM. Panu, i jutra nie czekając".

---

[1] przypuszczałem. [2] na żądanie. [3] do nowego roku. [4] szarża = godność, urząd. [5] ekonomika = nauka gospodarstwa. [6] komput = poczet. [7] przyjmować. [8] namyślić się. [9] spór.

Ja znowu mówię: „Moja Mościa Pani! Wielka mię tu od WMM. Pani potkała przymówka, ale nie tylko mnie, ale i cały stan rycerski, kiedy WMM. Pani mizerny żołd nasz, za który trzeba krwie i życia każdej godziny nie żałować, to jest czterdzieści, a najwięcej sześćdziesiąt złotych, wielkim mianować raczysz żołdem. To WMM. Pani racz wiedzieć, że, gdyby żołnierze z tego kontenci byli żołdu, każdy i sam do zgrzybiałej starości pewniebym go nie odstępował; ale, ponieważ tamtę rzucam dla teraźniejszej szarżą, WMM. Pani życzliwe ofiarując usługi, to snadź, że pożądanego spodziewam się żołdu, o który z WMM. Panią w targ wchodzić nie chcę, ale puszczam się na respekt i tę, w której nie powątpiewam, dyskrecyą, czekając łaskawej od WMM. Pani deklaracyi".

Odpowie ona: „Mój Mości Panie! Dyć to każdy, a i sam WMM. Pan podobno tak czynisz, że, kiedy sługę przyjmiesz, sam z nim wręcz mówisz i opowiadasz mu przyszłej jego usługi powinności i kondycye, żeby wiedział, jako panu służyć i jakiej się też za swoje usługi spodziewać wdzięczności. Więc tedy i mnie podobno to ujdzie, choś sama przez się rozmówię się w tem z WMM. Panem oraz i deklaruję, jeżeli WMM. Pan tego afektu jest, to i dziś jeszcze, jeżeli też dla wielkiej powagi, to już do jutra".

Na co znowu mówię tak: „Nie damską, ale kawalerską WMM. Pani przyznać w tem muszę uwagę i rozsądek, kiedy WMM. Pani tę obserwujesz rzetelność, którąż i moja zawsze rada widzi fantazya, żeby w każdym terminie dobrze umyśloną prędkiem słowem deklarować intencyą, a to druga, że wdzięczniejsza jest zawsze z ust pańskich, niżeli przez kanclerzów, awizacya[1], której ja, jakakolwiek mię potka, jako pożądanego od Boga wyglądam musztułuku[2], jeżeli pocieszna, podziękuję, jeżeli przeciwna, za złe mieć nie będę, bo snadź, że niebieska nie inaczej każe ordynacya".

Mówi ona na to: „Zdobić to nikogo nie może, kto szczerą przyjaźń jawną oddaje niewdzięcznością. I ja musiałabym w tem mieć sumnienia skrupuł, gdybym, widząc WMM. Pana afekt szczery, nie miała go podobnym oddawać afektem. I, jeżeli w tem jest dobrego sługi stateczna wola i umysł, znajdzie tu pana i miejsce; zasługi zaś, że są na dyskrecyi dane, dlategoż osobliwszego mogą spodziewać się respektu."

Dopiero ja podziękowałem. Wypisować, co się przy afektach mówiło, siłaby. A potem — miałem wyrostka Dzięgielowskiego, co grał na skrzypcach i śpiewał ładnie — kazałem mu zaśpiewać: „Niech komu nadzieja ściele Różnych fortun na myśl wiele; Ja już będę tryumfował, Kiedym szczęśliwie stargował". Domyślili się, co się dzieje, po tej pieśni. Przyszedł do nas brat jej rodzony: „Wierę[3], siostrzyczko, a godziłoż się to, nie radząc

[1] oznajmienie. [2] musztułuk = nagroda. [3] zaprawdę.

się nas? Ale dobrze i tak, chwała Bogu!" Ona się omawia [1], że tu nic niemasz, tylko że pieśń śpiewają taką, jaki ma w sobie tekst, a oni już wmawiają gwałtem, że „jużeś deklarowała", piją za zdrowie: *vivat!* Pierścień jej obaczywszy u mnie na palcu, temże bardziej potem tańcować, podpijać, jak to bywa! Już tedy bez wszelkiej ceremonii poczęliśmy z sobą mówić *de tempore* [2]. Ona powiedziała: „Choćby i jutro, gdyby nie piątek". Ja jednak, podziękowawszy za deklaracyą skutku prędkiego, mówię: „Moja Mościa Pani! Ja mam rodziców, bez których błogosławieństwa odmieniać stanu nie mogę, bo takie mam od nich przykazanie. Z łaski WMM. Pani dosyć mi się stało, kiedy mam słowo, którego rozumiem, że mi WMM. Pani dotrzymać raczysz; ja też pewnie takim nie myślę być niestatkiem, a w ostatku niech będzie to słowo na papierze; ja za dwie niedzieli tę drogę objadę, wolą rodziców uczyniwszy, krewnych też tu cokolwiek z sobą sprowadziwszy, będę kłaniał WMM. Pani i o efekt danego słowa prosił". — „Żadnym sposobem toby być nie mogło, ale zaraz żeby było, jeżeli ma co być".

Już tedy i pan brat Jerzy *accessit* [3] do tej rady, namawia, prosi, żeby nie odwłóczyć, obiecuje wielkie uczynności, zapisy. Jak mi tedy poczęli oboje głowę mozolić brat z siostrą: „Jeno koniecznie, żeby to w niedzielę było, dalej nie odwłóczyć; pobłogosławią tobie rodzice i potem, a jeszcze to ważniejsze, kiedy obojgu błogosławić będą",—już mi też i żal było owej kobiety, widząc jej wielki afekt i mówię: „Życzysz WMM. Pani, żeby tak było?" Odpowie: „Życzę, Bóg widzi, bo ani wiem, czemu mi Bóg do ciebie skłonił serce". Dopiero deklarowałem: „Niechże tak będzie, jak jest wola boska i wola wasza!"

W niedzielę... poszliśmy tedy do ołtarza, zagrano *Veni Creator*, wzięliśmy potem ślub.

---

[1] omawiać się = wymawiać się. [2] o czasie (ślubu). [3] przyłączył się.

LITERATURA WIEKU XVIII.

ROZDZIAŁ VI.

Czasy saskie.

Zdziczenie literatury — początki odrodzenia.

§ 71. W całej historyi Polski niema okropniejszej, bardziej upokarzającej epoki, jak czasy panowania dwu Sasów, Augusta II i jego syna, Augusta III. Już w wieku XVII było źle, już tryumfowały anarchia i złota wolność, ale przynajmniej gospodarzami Polski byli Polacy, a jeśli chcieli gospodarować cudzoziemcy, to zrywał się naród i wyganiał ich z domu. W wieku XVIII—inaczej. Mniejsza o to, że na tronie polskim zasiadali dwaj cudzoziemcy: i Batory był cudzoziemcem, ale Batory pokochał Polskę i dbał o nią, jak o rodzoną ojczyznę; tymczasem August II Polski nie kochał, August III zaś nawet nie mógł jej kochać, jako istota bez serca i bez mózgu. Bądź co bądź byli to królowie polscy, nie obcy; stokroć gorszą jest rzeczą, że nie oni gospodarowali, tylko obcy królowie, którzy rządzili się w Polsce, jak głodne gęsi w stodole, zwalczając wszelki opór podstępem, groźbą lub orężem. Karol XII, król szwedzki, złożył z tronu Augusta II i wprowadził nań Stanisława Leszczyńskiego, a Piotr Wielki, car rosyjski, złożył z tronu Leszczyńskiego i przywrócił go Augustowi; po śmierci Augusta II obrano Augusta III—pod naciskiem wojsk rosyjskich. Podobnej hańby nigdy jeszcze nie zaznała Polska, i ona, o której względy niegdyś ubiegała się Europa, teraz stała się jej pośmiewiskiem. O naprawie zaś Rzeczypospolitej nawet mowy być nie mogło: przecie naprawić ją mogły tylko sejmy, a sejmy zrywano za pieniądze cudzoziemskie: za Augusta II zerwano sejmów siedemnaście, a za jego następcy nie doszedł do skutku ani jeden sejm zwyczajny! Zresztą o naprawie nie myślano: społeczeństwo miało wprawdzie oczy, ale nie widziało i podawnemu twierdziło, że „Polska nierządem stoi“, z tym jeszcze

dodatkiem, że nietylko nierząd, ale i słabość Polski jest jej siłą, bo słabej Polski potrzebują sąsiedzi, a tego, kogo się potrzebuje, oszczędza się przecie!... Ogłupienie polityczne szlachty doszło do szczytu! Jednostki tylko nie podzielały tych potwornych poglądów, widziały, na co się zanosi, i chciały ratować Rzeczpospolitą, ale, wobec ogłupienia ogółu i bezsilności sejmów, na razie nic sprawić nie mogły; a kiedy wreszcie, za panowania Stanisława Augusta, mogły, kiedy ogół przejrzał, a sejmy odzyskiwały siłę, — było już za późno: nie pozwolili na ratunek sąsiedzi.

Ogłupieniu politycznemu towarzyszył straszliwy upadek moralny społeczeństwa, nieodłączny od ciemnoty. Rozpusta i zbytki doszły do zastraszających rozmiarów, — „za króla Sasa, jedz, pij i popuszczaj pasa“; miłość ojczyzny skurczyła się zupełnie w „domach i pojedynkowych pożytkach“ (przed czem ostrzegał niegdyś Skarga, § 49); łapownictwo senatorów, posłów, sędziów, urzędników stało się chlebem powszednim; religijność, krzewiona po kościołach, szkołach i domach przez ciemne i niemoralne duchowieństwo, wyradzała się, schodziła coraz to wyłączniej na bezduszną dewocyę, na posty i dyscyplinowanie się, na pielgrzymki, na koronowanie cudownych obrazów Matki Boskiej, na uczęszczanie do kościołów —nie dla prawdziwego nabożeństwa, tylko dla zwyczaju lub dla ciekawości. Resztki tolerancyi religijnej zanikły; sprawdziły się obawy Potockiego (§ 67): z aryanami załatwiono się już w wieku XVII, teraz wzięto się do wszystkich wogóle innowierców, których prześladowano, usuwano z izby poselskiej, nie dopuszczano do urzędów: nie poszła w las nauka jezuicka, nie darmo uczyli księża, że Bóg za to tylko Polskę karze, iż cierpi u siebie protestantów.

Co i jak działo się w Polsce, o tem najlepsze dają pojęcie pamiętniki kasztelana brzeskiego *Marcina Matuszewicza*, spisane za Augusta III; odsłaniają nam one w całej nagości okropną zgniliznę polityczną, umysłową, moralną i religijną społeczeństwa w pierwszej połowie XVIII w. Autor, sam człowiek nikczemny, bez Boga w sercu, do tego stopnia zatracił (czy zapił) sumienie i wszelki zmysł moralny, że o prywacie szlachty, o zrywaniu sejmów, o przedajności sędziów, o rozpuście, o pijaństwie i t. d. opowiada z takim spokojem (czasem nawet z uśmiechem), jakby o rzeczach nietylko najzwyklejszych, ale zupełnie godziwych, które nikogo razić nie powinny: Ze zdziwieniem np. opowiada Matuszewicz, że mieszka w Polsce jeden szczególniejszy magnat (Jan Klemens Branicki), chyba niespełna rozumu, skoro... nie chce tykać pieniędzy zagranicznych!

Literatura czasów saskich jest wiernym obrazem społeczeństwa: *społeczeństwo zdziczało, więc zdziczała i literatura, tracąc doszczętnie mądrą myśl i zmysł piękna.* Książki poważniejsze ukazują się niezmiernie rzadko. Do tych wyjątków należy olbrzymie

dzieło jezuity *Kaspra Niesieckiego* p. t. *Korona polska*, najobszerniejszy w literaturze staropolskiej herbarz, zawierający w sobie starannie zebrane wiadomości historyczne o rodach szlacheckich, a przez to będący ważnem źródłem do biografii wybitnych postaci. Nie to jednak dzieło jest miarą umysłowości czasów saskich; najlepiej charakteryzuje ich ciemnotę księga ks. *Benedykta Chmielowskiego* pod szumnym tytułem: *Nowe Ateny albo Akademia, wszelkiej scyencyi (wiedzy) pełna, na różne tytuły, jak na classes (klasy) podzielona, mądrym dla memoryału, idyotom dla nauki, politykom dla praktyki, melancholikom dla rozrywki erygowana (wzniesiona)*. Co zawiera w sobie ta księga, o tem poucza ciąg dalszy tytułu: „O Bogu, bożków mnóstwie, słów pięknych wyborze, kwestyi cudnych wiele, o Sybillów zbiorze, o zwierzu, rybach, ptakach, o matematyce, o cudach świata, ludzi rządach, polityce, o językach i drzewach, o żywiołach, wierze, hieroglifikach, gadkach, narodów manierze; co kraj który ma w sobie dziwnych ciekawości, cały świat opisany z gruntu w słów krótkości“. Jestto więc *encyklopedya* — zbiór wiadomości z zakresu teologii, historyi, geografii, polityki, matematyki, zoologii, botaniki, mineralogii i t. d. Pomiędzy innemi, autor odsłania czytelnikowi różne „osobliwe sekrety“, np. skuteczne lekarstwo na ból zębów: „Kość wyjąć z uda żaby, tą kością zębów się dotykać, przestaną boleć“. „Oko jaskółcze włożywszy do pościeli czyjej, sen mu odbierzesz... dobry sposób na śpiochów“. Jak grad odwrócić? „Chmurze gradowej pokazać wielkie zwierciadło i przeciwko niej wystawić, — kędy inędy obróci się“. Ciekawe są również wskazówki dla szlachcica, wybierającego się za granicę: powinien on, jeśli nie chce „z ojczyzny swojej wyjechać ciołkiem, a powrócić wołem“, przypatrywać się bacznie temu wszystkiemu, co się w obcych krajach dzieje, a więc, pomiędzy innemi, zwiedzać rozmaite osobliwości, zwłaszcza kościoły i kaplice, aby wiedzieć, „których tam Świętych deponowane relikwie, jakie obrazy, cuda“; a jest tego za granicą co nie miara; w jednem np. mieście włoskiem „jest wielkiego waloru (wartości) skarb, t. j. pierścień Królowej nieba i ziemi, którym ś. Józefowi zaślubiona była“; gdzie indziej znów „jest za szkłem sukienka Matki Najświętszej, kominek, na którym Chrystusowi Panu, sobie i Józefowi ś. jeść gotowała, jest i miseczka gliniana, z której karmiła“. Zanim się z domu wyruszy, trzeba przystąpić do spowiedzi i „wziąć sobie za przewodniczkę Matkę Najświętszą, idącą do Egiptu, ś. Rafała, ś. Trzech Królów, ś. Expedita za patronów“. Wogóle dzieło Chmielowskiego jest przesiąknięte duchem religijności — i fanatyzmu: autor radzi np. Polakom, aby „tak z innymi uczynić heretykami, jak z aryanami uczynili, a jeśli nie można, tedy pod jarzmem praw duchownych i świeckich ich utrzymać należy“. Bardzo znamienne są poglądy polityczne Chmielowskiego: „brylant nieoszacowany Korony polskiej—wolność złota“; „drugi dyamentowy fundament wolności polskiej — *libera regum electio*“ (wolny obiór królów); „trzeci fun-

dament—*liberum veto*, gdyż to wolne mówienie na sejmikach i sejmach jest matką i duchem wolności, jest niekonającej ojczyzny znak, gdy jeszcze gada". I o języku ojczystym nie zapomniał uczony autor: jego zdaniem, szanujący się pisarz, a zwłaszcza mówca, powinien gęsto przetykać mowę rodzinną makaronizmami i wogóle wyrazami cudzoziemskimi, bo te są od polskich „polityczniejniejsze"; niepolityczne np. są takie wyrazy, jak *przeciwnik*, *donosiciel*, *uczeń*, *prostak*, *widok*, polityczne natomiast: *adwersarz*, *delator*, *dyscypuł*, *symplak*, *theatrum*. „Czyliż to jest gładko: *Zalecam się WPana baczności?* Ładniej podobno: *Rekomenduję mię WPana respektowi*". A tak pod każdym „Nowe Ateny" Chmielowskiego są książką wysoce znamienną, dają bowiem wyborne pojęcie o upadku zarówno zdrowej myśli, jak poczucia piękna.

Takiemi to bredniami karmił się umysł społeczeństwa za Sasów. Ale najulubieńszym pokarmem były bezmyślne i nadęte *panegiryki*, których ukazywała się moc nieprzebrana, *pisma religijne i ascetyczne* oraz *kazania*, w których często bezmyślność walczy o lepsze z dzikością smaku estetycznego. Jako przykład, mogą służyć kazania jezuity *Franciszka Kowalickiego*, który (jak to było powszechnym wówczas zwyczajem) raz po raz przeplata nauki moralne dykteryjkami i historyjkami, ubliżającemi powadze kazalnicy; prawi np., że „w Monachium na weselu książęcia bawarskiego pasztet dano, w pasztecie karła, który po odkrytym pasztecie z szpadą wyskoczył, między półmiskami tańcował z śmiechem gości zgromadzonych". Dla zbudowania słuchaczów opowiadał im Kowalicki, że np. „na błoniach poznańskich pokazały się dwie Przenajświętsze Hostye w jasności na powietrzu (od Żydów pokłute tam wyrzucone były); gromadne bydląt trzody na kolana padły, głowami o ziemię biły i swoje *Te Deum* mruczliwym rykiem śpiewały" i t. p.

Ulubionemi książkami do czytania były również *kalendarze*, bez których szlachcic obejść się nie mógł i którym zawdzięczał często całą niemal swoją wiedzę, dowiadując się z nich nie tylko o tem, co się dzieje na świecie i w Polsce, kto jaki urząd piastuje, gdzie i kiedy będzie jarmark i t. d., ale i o tem jeszcze, jaki wpływ wywierają planety na życie ludzkie, które dni będą feralne, które pogodne, a które pochmurne i dżdżyste, „jak daleko jest do piekła", „z której strony świat jest okrąglejszy", „czemu podziemne ludzie, do nas nogami chodzący, nie patrzą na niebo" i t. p.

Jak proza, tak i poezya czasów saskich jest obrazem nędzy i rozpaczy. Rozwlekłe *wiersze historyczne* (polskie i łacińskie) oraz *powieści fantastyczne* są po większej części równie niezdarne, jak *poezya religijna:* wierszowane legendy, żywoty świętych i t. p. Jak bardzo zdziczała poezya, o tem dać mogą pojęcie *Uwagi o śmierci niechybnej*, dziwoląg wierszowany na temat, że każdy umrzeć musi; autorem jest podobno jezuita *Józef Baka*. Oto próbka.

Młodym uwaga.

Cny młodziku, Migdaliku,
Czerstwy rydzu, Ślepowidzu!
Kwiat mdleje, Więdnieje...
Śliczny Jasiu, Mowny szpasiu,
Mój słowiku, Będzie zyku;
Szpaczkujesz, Nie czujesz:
Śmierć, jak kot, Wpadnie w lot!
Aza nie wiesz, Że śmierć, jak jeż,
Ma swe głogi, w szpilkach rogi?
Ukoli Dowoli,
Aż jękniesz i pękniesz...
Czy ty głuszec, czy ty wrona.
Dusznych sępów chwyci szpona.
Twa główka Makówka
W swawoli Nie boli;
Tobie w głowie skoki, tany,
Charty, żarty na przemiany:
Śmierć kroczy, Utroczy,
Jak ptaszka,—
Nie fraszka!
W ślepą babkę gdy śmierć skacze,
O, czy jeden młodzik skacze?!

§ 72. Na szczęście *wśród tych straszliwych ciemności zaczynają, już za Sasów, migotać światełka.* Magnaci zwłaszcza, górujący oświatą i ogładą ponad ciemnym motłochem szlacheckim, posiadający mniejszą lub większą znajomość tego, co się działo zagranicą, zdawali sobie sprawę z upadku oświaty i ze zdziczenia literatury w Polsce. Takim był przedewszystkiem biskup kijowski, *Józef Andrzej Załuski*, nieudolny wprawdzie, a nawet śmieszny, jako wierszopis, ale, jako krzewiciel światła, mąż ogromnej zasługi: rozkochany do namiętności w nauce, zwłaszcza w dziejach literatury ojczystej, i w książkach, zgromadził olbrzymią, składającą się przeszło z 200 000 tomów, bibliotekę (której katalog ułożył— wierszem!) i w roku 1748 oddał ją na użytek publiczny (w Warszawie), a później (1763) podarował ją na własność Rzeczypospolitej. Obecnie cały ten księgozbiór znajduje się w Petersburgu, wywieziony tam z rozkazu Katarzyny.

Inny magnat, hetman polny koronny, *Wacław Rzewuski*, człowiek prawy i zacny, znał literaturę francuską i naśladował jej utwory, pisząc tragedye na wzór Kornela i Rasyna, a komedye na wzór Moliera; jeden to z pierwszych pisarzów polskich XVIII w., którzy wzorowali się na literaturze francuskiej, przyczyniając się przez to do uszlachetnienia smaku estetycznego. Wywieziony wraz z Sołtykiem i Załuskim do Kaługi z rozkazu Repnina (1767), pisał Rzewuski na wygnaniu *Psalmy pokutne*, poprzedzone przedmową— *Do kochanej ojczyzny:*

W okropnych czasach, w pośrodku dni smutnych,
Bierz się, Ojczyzno, do psalmów pokutnych,
A gdy cię gniewny Bóg chłosta swym biczem,
Płacz, jęcz, upadaj przed Jego obliczem.

Wszak Bóg, jak ociec, gdy dziecię swe otnie,
Cieszy je potem i głaszcze stokrotnie:
Po srogich klęskach, po morze, po bitwie
Da Bóg szczęśliwy los Polszcze i Litwie.

Mnie w pięcioletniej przeciągu niewoli
Nie ma niedola, ale twoja boli;
Niech mój surowszy los będzie,—twój miększy!
Niech me nieszczęście,—twe szczęście się zwiększy!

Wychowanie na dworach magnackich było bez porównania staranniejsze, niż we dworkach szlacheckich; nauki pobierali nie tylko chłopcy, ale i dziewczęta: prócz gospodarstwa, uczono je historyi, geografii, muzyki, rysunków, tańca, a nadto języków obcych, zwłaszcza francuskiego (czasem nawet łaciny). Otóż pod wpływem tej oświaty rozszerzał się nieco widnokrąg umysłowy kobiet z domów wielkopańskich, a jednocześnie budziła się w nich ochota do pióra: stąd *literatura czasów saskich posiada cały szereg autorek, a z tych najznakomitszą jest* **Elżbieta Drużbacka** z Wielkopolski (ur. około r. 1695, zm. 1765), uboga szlachcianka, która jednak przez czas dłuższy przebywała na różnych dworach wielkopańskich i dzięki temu poduczyła się trochę i przetarła między ludźmi. Jako poetka, cieszyła się niemałem uznaniem współczesnych; cenił ją wysoko sam Ignacy Krasicki, który chwalił jej „moc i dzielność umysłu“, „żywość imaginacyi i wdzięk wyrazów“; inni posuwali się jeszcze dalej, nazywając ją Minerwą i „dziesiątą Muzą“. Minerwą Drużbacka nie była; posiadała wprawdzie, jak na owe opłakane czasy, dość znaczne wykształcenie: znała Pismo święte, umiała trochę historyi i mitologii, posiadała język francuski, z którego przetłumaczyła nawet kilka poezyi; rozsądku miała tyle, że nie wierzyła już ani w upiory, ani w opętanych przez dyabła, że rozumiała, iż ciemnota jest dla narodu klęską, a oświata dobrodziejstwem, to też wielbiła biskupa Załuskiego, jako założyciela biblioteki publicznej, ale gruntownie nie umiała nic, a wyjątkowym rozumem ani bystrością umysłu nie grzeszyła wcale, owszem grzeszyła naiwnością. Nie była też ani dziesiątą, ani wogóle żadną Muzą: pewien przyrodzony talent miała niewątpliwie, ale, wskutek braku gruntowniejszego wykształcenia, nie zdołała, nie mogła go należycie rozwinąć i uszlachetnić; jej uczucie nie było ani gorące, ani głębokie, a fantazya, chociaż ciągle coś roiła, nie była wcale bujna; poczucie piękna wreszcie, urobione nie na poetach wieku złotego, ale na poezyi w. XVII, także nie było zbyt wielkie, czego dowodzą, prócz wyrażeń rubasznych i trywialnych, same już tytuły jej poematów, np. *Forteca, od Boga wystawiona, pięcią bram zamknięta, to jest dusza ludzka z pięcią zmysłami.* Pochwały więc współczesnych są przesadne, ale stwierdzają prawdę znanego przysłowia: „Na bezrybiu i rak ryba“. Rzeczywiście: w porównaniu z dziwolągami wierszowanymi czasów saskich poezye, a raczej wiersze, Drużbackiej posiadają pewien wdzięk, a to głównie przez szczerość autorki, która, ulegając powszechnemu zepsuciu smaku, pisała często nienaturalnie, ale umyślnie na nienatural-

ność się nie sadziła: stąd jej styl nie jest wprawdzie wykwintny, ale też nie napuszony, a często nawet posiada miłą prostotę: słusznie powiedział jeden z pisarzów XVIII wieku, że *Drużbącka „przyczyniła się do ożywienia gustu w poezyi"*, *i na tem właśnie polega jej stanowisko w historyi literatury: jej wiersze są już zapowiedzią lepszych czasów.* Ujmują nas także w Drużbackiej skromność, poczciwość, dobra wola i miłość ojczyzny: jeżeli pisała wiersze, to głównie dlatego, że pragnęła, aby one, jak sama mówi, „zawstydziły mylne mniemania o tych, co w Polszcze mięszkają, że damy tylko kądziel, męże woły znają". O rozgłos nie chodziło jej zupełnie: to też sama nie ogłaszała swych utworów drukiem; wyręczył ją biskup Załuski, który wybrał z jej poezyi, co lepsze, i wydał p. t. *Zbiór rytmów* (1752).

Owocem pobożności Drużbackiej (która zamieszkała pod koniec życia w klasztorze) są *wiersze i poematy religijne*, np. o królu Dawidzie, o Maryi Magdalenie, o dyabłach, szturmujących do owej „fortecy, piącią bram zamkniętej", i t. d. Utwory te nie posiadają wartości.

O wiele lepsze są wierszowane *powieści fantastyczne*, zwłaszcza *Fabuła o książęciu Adolfie.* Adolf jest dziedzicem „Roksolanii" (tak nazywa Drużbacka Białą Ruś); kraj to dziki i barbarzyński, co nie przeszkadza, że młody książę jest tak wykształcony, iż „akademia w nim miała mięszkanie", pragnie więc wyszukać sobie równie cywilizowaną małżonkę. Los mu sprzyja: raz, na polowaniu, zabłąkał się w puszczy i podczas burzy natrafił na jakąś jaskinię, która, jak się okazało, była „stolicą Eola", boga wiatrów. Jeden z wiatrów, Zefir, opowiada Adolfowi, że istnieje gdzieś na świecie jakaś wyspa szczęśliwości, gdzie panuje cudownej piękności bogini. Na prośbę Adolfa zanosi go Zefir na ową wyspę; roślinność tu wspaniała: cytryny, pomarańcze, kasztany, cyprysy, rozmaryny, róże, fijołki. Paw wskazuje Adolfowi drogę do pałacu „przepysznej struktury": „gdzie ma być kamień, tam dyament siedzi, szmaragd z rubinem w tafle układane, nie widać nigdzie żelaza ni miedzi, wszystko na szczerem złocie osadzane; okna ż kryształów, co je w skałach kopią, drzwi hebanowe, jak zwierciadła czyste,... nakoniec, ktoby chciał opisać piórem tę doskonałość, co zamyka w sobie, z zdumienia stačby się musiał marmurem". Z okna pałacu wychyla się przez okno jakaś „młodziuchna panna" i spuszcza na ziemię koszyk, w który „ładna ogrodniczka" nakłada kwiatów; Adolf, otulony w „płaszcz niewidomy", „wskoczył na koszyk, kwiatami usłany"; „ciągnie kosz dama sznurowany wstęgą, ciężar niezwykły z fatygą winduje". Dostał się więc Adolf do pałacu i pojął za małżonkę jego właścicielkę, cudownej piękności boginię. Po trzystu latach szczęśliwego pożycia (które mu się wydały trzema tygodniami), zatęskniwszy do ojczyzny, zanosi prośbę do bogini, by mu pozwoliła odwiedzić

kraj rodzinny; bogini, wydąsawszy się, zezwala. Wyjechał Adolf, ale po drodze spotkał jakiegoś starca (imieniem Czas), który go udusił. Stąd płynie sens moralny, że „nikt, póki żywy, nie bywa niezmiennie szczęśliwy“, taką to już bowiem naturę ma człowiek, że nie może ze szczęścia korzystać, że, chociaż mu dobrze, „polepszenia szuka“.

Wogóle prawie wszystkie utwory Drużbackiej mają na celu zbudowanie czytelnika, i ze wszystkich sama autorka wyprowadza naukę moralną. Ten cel pouczający widoczny jest np. w *poemacie opisowym*, p. t. *Opisanie czterech części roku*, który należy do najudatniejszych utworów Drużbackiej, a którego myśl przewodnią wypowiada zaraz na wstępie:

Bogdajżeś przepadł w piekło z ateistą,
Ty, który mówisz, że Bóg nie jest Panem
Ni Stwórcą rzeczy! A któż oczywistą
Machinę świata oblał oceanem?
Kto słońce, miesiąc, planety w swym biegu
Komenderował, kto gwiazdy w szeregu?
Powiedz: kto słońcu wschód ranny naznaczył?
Kto czas wieczorny w zachodzie zamierzył?
Kto księżyc pełny w części przeinaczył?
Kto osiom mile gwiazdecznym wymierzył?
Kto mleczną drogę, kto czystą jutrzenkę,
Kto w świetną przybrał firmament sukienkę?

Tak więc prawidłowość „machiny świata“ oraz piękność stworzenia przekonywa człowieka, że jest Bóg, który to wszystko stworzył: i tę właśnie wiarę pragnie wpoić autorka w serca swoich czytelników, oburzając się na tych, co w istnienie Stwórcy nie wierzą. W tym celu opisuje kolejno piękności natury na wiosnę, w lecie, na jesieni, w zimie, a przy sposobności—i zajęcia ludzkie w każdej porze roku. Utwór ten jest nowością w poezyi naszej, jako *pierwszy poemat opisowy*, miejscami nie pozbawiony wdzięku, np. w opisie wiosny:

Zielone lasy w cieniach rozmaitych
Z pięknych kolorów liberyje mają:
Insze na brzozach, insze w gajach krytych,
Insze na drzewkach nizkich gust wydają,
Insze na buku, grabinie i sośnie,
Insze na dębie, który sto lat rośnie...
Ptasząt rozlicznych głosy słychać w gajach,
Te gniazdo ścielą, te miejsca szukają,
Te już spokojne, co siedzą na jajach,
Te zaś, choć ślepe, z domków wyglądają:

Temu miód niesie, muszkę, temu mrówkę,
To pyszczkiem prosi, to nachyla główkę...
Tu słowik wdzięczne przemiany w swym głosie
Posyła echu, które chętnie niesie
Przyjemny koncert porankowej rosie:
Słychać go w łozach, słychać w ciemnym lesie;
A gdzie strumyczek, szemrząc, płynie wązki,
Pleszcze skrzydełka, skoczywszy z gałązki.

Lecz *najlepszymi utworami Drużbackiej są satyry*, bądź rozproszone po powieściach fantastycznych, w których Drużbacka, na wzór romansów Potockiego (§ 65), przeplata opowiadanie różnemi uwagami, bądź stanowiące utwory samoistne. W satyrach gniewa się autorka na zbyt światowe życie zamożnego duchowieństwa, na młodzież, polującą na posagi, lecz nadewszystko napada na różne wady i zdrożności dworów wielkopańskich, którym się własnemi oczami przyglądała, jakoto na nieszczerość i przesadną grzeczność, na plotkarstwo i obmowy, a zwłaszcza na rozluźnienie obyczajów. Najudatniejszą jest satyra p. t. *Skargi kilku dam, w spólnej kompanii będących, dla jakich racyi z mężami swoimi żyć nie chcą*, będąca ciekawem świadectwem obyczajowem, a wymierzona przeciwko rozwodom, w dawnej Polsce rzadkim, lecz w XVIII wieku coraz to częstszym.

W pewnym ogrodzie, pomiędzy szpalery
W czas ranny chodząc, szeptałam pacierze;
Słucham ciekawie, że jakieś afery
Sekretne mają damy przy kwaterze;
Siedząc na darniu w figurę kanapy,
Coraz z tabakier zażywają rapy [1].
Nadstawiam ucha przez grabiny gęste,
Liście mnie swoim zasłoniło cieniem;
Widzę łzy z oczu, a wzdychania częste
Uważam i mam litość nad stworzeniem
Płci mojej: ledwie wraz z niemi nie kwilę,
Nie wiedząc, że to płaczą krododyle.
Pierwsza zaczyna żal do męża prawić,
Że „jak smok siedzi na łańcuchu w domu;
„Nic nie dba, bym się czem miała zabawić,
„Sługi nie pytaj,zagrać niemasz komu,
„Ani takiego, żeby mnie zrozumiał,
„W mądrych dyskursach rezonować umiał.
„Jakże tu mięszkać z takim domatorem,
„Co tylko wołom karmnym krzyżów maca,

[1] rapa=gatunek tabaki.

„Zboże na targi wyprawuje worem?
„Prostych to osób z taką zrzędą praca!
„Kafy [1] w mym domu nie znajdzie trzech ziarnek,
„Piwa mi z serem zagrzać każe garnek!“
Druga głos bierze: „Ach! miła sąsiadko!
„Więcej ja cierpię z moim skąpcem męki:
„Kaszki na wieczór nagotuje rzadko,
„Kluczy zza pasa nie da mi do ręki.
„Muszek, wstąg, szpilek z marsem [2] kiedy kupi,—
„Jak z nim żyć, kiedy i skąpy i głupi?“
Od trzeciej skarga zachodzi osoby,
Mówiąc: „Fraszka to, godna śmiechu sprawa!
„Mnieby zapłakać, gdy nie znam, co roby [3],
„Sejmów nie widzę, nie wiem, gdzie Warszawa:
„Choćby mi boków nastursano [4] w ciżbie,
„Bylem z raz była w Senatorskiej Izbie!
„Nie wiem, co jest bal, assamble, reduty:
„Mój mnie jegomość osadził przy kurach;
„Paź do ogona ma łatane buty,
„O blondynowych [5] nie chce garniturach
„Wiedzieć, żebym je mieć mogła na modę.
„Otóż z tych racyi z gapiem się rozwiodę!“
. . . .
Ostatnia mówi: „Jam się w wachlarzyku
„Pięknym kochała, gdzie minijatura
„Postać Kupida, niby w ołtarzyku,
„Wstawiła, co mu dać mogła natura,
„Wszystko wyraźne w tak subtelnej sztuce
„Było... A resztę dla żalu ukrócę!
„Mój Satyr, wziąwszy wachlarz w grube ręce,
„Jak jął wachlować, niby kowal miechem,
„Nie uważając na członki chłopięce, —
„Rozumiał, że to z pachołkiem Wojciechem
„Za pasy chodzi, — złamał kość słoniową.
„Rura!... Za rurę osądził wołową!
„Ja, pełna będąc cholery i żalu,
„Odjeżdżam z domu, porzuciwszy dzieci;
„Na pożegnaniu powiem mu: «Brutalu!
«Już z tobą żyję rok dziesiąty trzeci,—
«Dłużej nie myślę, intencyi nie kryję:
«Wiedz, w jakiej cenie są galanteryje!»
. . . .

[1] kafa=kawa. [2] mars=mina groźna, niechętna, ponura. [3] roba=suknia. [4] stursać=szturkać, szturgać. [5] blondyna=cienka koronka z jedwabiu surowego.

Milczałam dotąd, chcąc sekret zachować
Dla wstydu, żem też i ja białogłową;
Odtąd zaczynam mężatki rachować,
Zamiast pięć panien głupich, co je zową
W ewangelii, że w lampach nie miały
Oleju, od drzwi precz odejść musiały.

. . . .

Jeśli dla racyi, wyżej wyrażonych,
Kochane panie, szukacie rozwodu,
Nie miejcie za złe, że was, rozpuszczonych
W swywoli, sądzę: polskiemu narodu
Krzywdę czynicie, z siebie—śmiechy, żarty;
Honor wasz płacze, że goły, wytarty!
Czy słuszna, żeby Rzym, nuncyjaturę,
Konsystorz kłócić niegodziwą sprawą?
Bóg dobry, iże piorunową chmurę
Nie ześle, w piekło nie wyprawi nawą [1];
Przyjdzie kres, kiedy z życiem was rozwiedzie:
Będzie wiedziała każda, dokąd jedzie!...

§ 73. Jak poezye Rzewuskiego i Drużbackiej są niejako zapowiedzią odradzania się piękna, tak ukazują się, już pod koniec panowania Augusta II, pisma prozą, będące już nie tylko zapowiedzią, ale objawem i dowodem odradzania się mądrości myśli. Tak np. jakiś pisarz, którego nazwiska nie znamy, bo je zataił, wydał broszurkę p. t. *Rozmowa Polaka z Francuzem:* Francuz usiłuje przekonać Polaka, że *liberum veto* jest szkodliwe i że tron dziedziczny jest lepszy, niż obieralny. Inny autor, wojewoda ruski, *Jan Stanisław Jabłonowski*, ogłosił pisemko p. t. *Skrupuł bez skrupułu*, w którem bez żadnego skrupułu odsłonił różne grzechy, jakich się Polacy bez skrupułu dopuszczają, jako to: kłamstwo i plotkarstwo; kradzież grosza publicznego, przekupstwa, nadużywanie *liberum veto*, próżniactwo, brak miłości ojczyzny i godności w wojsku i t. d. Słowem, jest ta książeczka bolesnym, ale zasłużonym rachunkiem sumienia narodowego. Tak więc nie brakło już ludzi, którzy zdawali sobie jasno sprawę z tego, co się w Polsce dzieje.

A niebawem znaleźli się i tacy, którzy nie tylko widzieli złe, ale myśleli już o środkach zapobiegawczych, o lekarstwach. Takim lekarzem był, pomiędzy innymi, człowiek małej energii, ale dużego rozumu i rozległej wiedzy, znacznego doświadczenia i złotego serca, szlachetny i mądry patryota, *król* **Stanisław Leszczyński** (1677—1766), który, pozbawiony tronu polskiego, długo tułał

[1] nawa = łódź (którą Charon przewozi dusze umarłych przez Styks).

się po swiecie, mieszkał to w Lunewilu, jako książę Lotaryngii, to we Francyi, jako teść króla Ludwika XV, a nigdy i nigdzie o kraju rodzinnym nie zapomniał. Za granicą poznał urządzenia państwowe różnych krajów, przestawał też wiele z uczonymi ludźmi, znającymi się na sprawach państwa i piszącymi o nich, i coraz to jaśniej rozumiał, że, w porównaniu z innemi państwami, w Polsce dzieje się źle; więc pragnął ratować ojczyznę, pragnął wskazać jej drogę do naprawy i w tym to celu napisał najznakomitsze swe dzieło, p. t. *Głos wolny, wolność ubezpieczający*, które naprzód obiegło Polskę w odpisach, a potem ukazało się w druku (1749). Tego, że Polskę trzeba gruntownie przekształcić, zaprowadzić w niej tron dziedziczny, znieść *liberum veto* i t. d., nie rozumiał Leszczyński; a zresztą może i rozumiał, tylko nie chciał umyślnie swoich poglądów otwarcie wypowiadać, bo, znając swój naród, bojący się jak ognia, wszelkich nowości, wiedział, że projekty gruntownych zmian żadnego nie odniosą skutku: przecie szlachcicowi polskiemu nie tak łatwo było ćwieka z głowy wybić, że *liberum veto* jest nieodzownym warunkiem istnienia Polski. Oto dlaczego Leszczyński jest w swych projektach nieśmiały, a raczej ostrożny. Tak np. nie mówi, że trzeba znieść ze szczętem *liberum veto*, tylko radzi ograniczyć je, o ile możności: jeżeli np. na sejmie zapadła jaka uchwała, to, choćby potem sejm zerwano, ta uchwała powinna już obowiązywać. O zniesieniu wolnej elekcyi nie myśli nawet Leszczyński: owszem kocha ją i podziwia, jako największy przywilej na świecie; ale, po pierwsze, doradza, by króla obierał nie cały naród szlachecki, lecz sejm—z pośród kandydatów, obranych na sejmikach, a po drugie, domaga się, aby cudzoziemców na tron nie powoływać. Najwięcej jednak światła na rozum i szlachetność Leszczyńskiego rzuca to, co mówi o chłopach. Chociaż chłopi są wzgardą powszechną okryci, nie godzi się i nie wolno ich lekceważyć: przecie oni są karmicielami i podporą całego państwa, „oni ciężar podatków znoszą, oni wojska rekrutują, oni nas naostatek we wszystkich pracach zastępują, tak dalece, że, gdyby chłopstwa nie było, musielibyśmy się sami stać rolnikami, i, jeżeli, kogo wynosząc, mówiemy: pan z panów, słuszniejby mówić: pan z chłopów!“ A za to wszystko jakąż mają chłopi nagrodę? taką, że jęczą w niewoli u panów, co jest bezprawiem i pogwałceniem prawa bożego: „Nie wiem, jakiem sumnieniem w państwie chrześcijańskiem lud pospolity traktujemy, jako niewolników, nie kontentując się tem, że są poddani;... Pan Bóg człowiekowi *sine distinctione* (bez różnicy) kondycyi (stanu) dał wolność: jakiem prawem mu ją może kto odbierać?“ Nie dosyć na tem: niewola chłopów jest niepowetowaną szkodą dla państwa, bo niewola tłumi chęć do pracy i zmniejsza jej wydajność: „Jako wolność *excitat generositatem animi* (pobudza siłę ducha), tak niewola *generat* (rodzi) gnuśną nikczemność, która się wydaje

w prostocie naszego pospólstwa, nie myśli bowiem przy swojej biedzie sposobić się do żadnej industryi w ekonomii (przemyślności w gospodarstwie), ani do żadnych kunsztów w rzemiesłach; pracując ustawicznie pod kijem, nie robi nic z ochotą, będąc zwłaszcza pewien, że i to, coby zarobił, nie jego; i, choćby który miał z natury jakie talenta, nie ma ani serca, ani czasu zażyć ich...; w każdej akcyi przy wolności znajduje się ochota, przy ochocie emulacya (współzawodnictwo), przy emulacyi doskonałość; dlatego też nie mamy ani manufaktur, bogacących państwo, ani rzemiosł rozmaitych do powszechnego zażywania i wygody życia; trzeba to wszystko z cudzych krajów sprowadzić, siebie ubożąc". Z tego zaś wyprowadza Leszczyński wniosek, że, *nie znosząc poddaństwa chłopów, trzeba przynajmniej znieść ich niewolę*, t.j. znieść prawo o przykuciu chłopa do ziemi, dać mu na własność kawałek gruntu, z którego panu będzie czynsz płacił, oraz pozwolić mu odwoływać się od sądu pańskiego do sądów wyższych. Jeden to z najmędrszych i najszlachetniejszych pomysłów literatury europejskiej w pierwszej połowie XVIII w. Prawda, że już dawno domagał się tego samego Modrzewski (§ 30), ale wielka myśl jego poszła w zapomnienie, to też niemałą jest zasługą Leszczyńskiego, że ją przypomniał.

§ 74. Aby jednak odradzająca się, dzięki rozumnym jednostkom, mądrość literatury mogła wywrzeć wpływ na życi społeczeństwa, należało przedewszystkiem wyrwać je z ciemnoty, której głównem źródłem był opłakany stan oświaty; innemi słowy, ze wszystkich potrzeb ówczesnej Polski najbardziej palącą była *reforma oświaty*; bez niej nawet mowy być nie mogło o ratunku Polski, już nie tylko jako państwa, ale jako społeczeństwa i narodu. Otóż, na szczęście, znalazł się człowiek, który to zrozumiał, który o reformie oświaty nie tylko pomyślał, ale i sam jej częściowo dokonał; to też złotemi zgłoskami zapisało się w dziejach naszych imię tego człowieka, jako jednego z największych ludzi, jakich miała Polska, jako jednego z jej duchów opiekuńczych. Był nim *ksiądz* **Stanisław Konarski**, *pijar*, urodzony w Żarczycach Większych w województwie sandomierskiem (1700—1773), *reformator oświaty*, *reformator smaku estetycznego*, *autor znakomitego dzieła „O skutecznym rad sposobie"*, *wymierzonego przeciwko liberum veto*. Jego olbrzymie zasługi uczcili już współcześni: król Stanisław August kazał bić na jego cześć medale z krótkim, ale wymownym napisem: *Sapere auso*, t. j. *Temu, co się ośmielił być mądrym*; bo Konarski nie tylko sam był mądry, ale ośmielił się innych mądrości uczyć, i ta jego śmiałość wydała błogosławione owoce.

Mądrość zaś swoją zawdzięczał Konarski nie tylko przyrodzonym zdolnościom i wrodzonej trzeźwości umysłu, lecz i własnej usilnej pracy: nie poprzestał na ukończeniu szkół pijarskich w kraju (któ-

re były równie liche, jak jezuickie), ale wyjechał za granicę i uczył się całe cztery lata w Rzymie, a dwa w Paryżu; za granicą dopiero rozjaśniło mu się w głowie, a jednocześnie serce ścisnęło mu się na myśl, jak bardzo nieszczęśliwa jest jego ojczyzna, nie mająca ani oświaty rzetelnej, ani rządu dobrego. A ponieważ kochał ojczyznę całą siłą swej wspaniałej duszy, więc już zagranicą przysiągł sobie, że będzie ją ratował. I przysięgi dotrzymał, miał bowiem nie tylko wielki rozum i serce gorące, ale nadto tak rzadką, tak wyjątkową w Polsce *żelazną wolę. Konarski to nie tylko człowiek mądry i zacnego serca, ale i człowiek czynu*, dążący do celu krokiem wolnym, ale śmiałym i pewnym, nie zrażający się żadnemi trudnościami, zbrojny w mądrą, świętą zasadę, którą wypowiedział w słowach: „*Aleć i grzech jest wielki i nigdy nie godzi się desperować*". A w czynach swoich nie myślał o sobie: on, pochodzący ze starożytnego i znakomitego rodu, stłumił w sobie odziedziczoną po przodkach ambicyę, nie piął się do zaszczytów, trzykrotnie nie przyjął ofiarowanego sobie biskupstwa i wogóle nie tylko o nagrodę, ale nawet o wdzięczność ludzką się nie dobijał, w przekonaniu, że ten, kto wiernie służy ojczyźnie, nie pokłada żadnych zasług, tylko spłaca jej zaciągnięty dług. Oto jego własne słowa: „Sprawiedliwości nie chcę! Nikt mi nic nie winien: uczyniłem, co byłem uczynić powinien; czyż słusznie o nagrodę taki się odzywa, który tylko powinność swoję wykonywa? *Niemasz zasług: to, co my zowiemy zasługi, są tylko ku ojczyźnie wypłacone długi.* Ojczyzna nic nam nie jest winna: Ona—Pani, my—Jej więźnie, Jej sługi, Jej obowiązani... Jej więc wolno krwi, ozdób, fortun naszych zażyć, my powinniśmy dla Niej wszystko z życiem ważyć, nie żebyśmy się od Niej dopominać nowych wdzięczności lub dzięk mieli, lub nagród jakowych". Takim to człowiekiem był Konarski,—jeden z najszlachetniejszych ludzi i największych patryotów, jakich kiedykolwiek słońce na ziemi polskiej oglądało.

Pierwszym „długiem", spłaconym przez Konarskiego ojczyźnie, jest *reforma szkół pijarskich, a pośrednio oświaty polskiej wogóle.* W Rzymie uczył się Konarski we wzorowej szkole (w t. zw. Kolegium Nazareńskiem), a w Paryżu pilnie badał zarówno szkolnictwo, jak naukę o wychowaniu, która miała wówczas we Francyi wybitnych przedstawicieli. Otóż na wzór szkół włoskich i francuskich zreformował szkoły pijarskie w Polsce, a miał możność po temu, piastując godność prowincyała (zwierzchnika) pijarów polskich. Zaczął od Warszawy. *W pamiętnym dla oświaty polskiej roku 1740 otworzył Konarski w Warszawie swoje Collegium nobilium* (kolegium szlacheckie) — szkołę i konwikt (pensyonat) dla szlachty, tylko dla szlachty, i to przeważnie z możnych rodów; miała więc szkoła charakter arystokratyczny, ale Konarski wiedział, co robi: reformę oświaty poczytywał za wstęp i środek do reformy państwa, a państwo, przy ówczesnym ustroju politycznym Polski, mogła

reformować tylko szlachta, nadewszystko z możnych rodów. I nie zawiódł się Konarski: wychowańcem jego szkoły był, pomiędzy innymi, Ignacy Potocki, jeden z głównych twórców Konstytucyi 3 Maja!

Wielka reforma Konarskiego polega tak na rozszerzeniu zakresu nauki szkolnej, jak na ulepszeniu sposobu (metody) nauczania. Dawna szkoła uczyła prawie wyłącznie religii, teologii wraz ze scholastyką (§ 7), a nadewszystko łaciny. Konarski pozostawił, naturalnie, naukę religii, pozostawił i teologię, ale nie pozwolił na zamęczanie umysłów młodzieńczych zbyt zawiłemi zagadnieniami; scholastykę natomiast usunął i wprowadził do szkoły *nową naukę o świecie*, tworzoną przez najznakomitszych, nie średniowiecznych, tylko nowoczesnych myślicieli angielskich, francuskich i niemieckich; a ponieważ ta nowa nauka o świecie opierała się już nie tylko na samem rozumowaniu, ale i na naukach przyrodniczych (a zatem na doświadczeniu), więc i *nauk przyrodniczych* (zwłaszcza fizyki) uczono w szkole Konarskiego. Łacina pozostała po dawnemu i głównym przedmiotem i językiem wykładowym; ale uczono jej lepiej, według nowych podręczników, a nadto ograniczono jej rolę, jako języka wykładowego: początkowo uczyła się młodzież po polsku, a po łacinie wówczas dopiero, kiedy tym językiem należycie owładnęła; przy takiej metodzie rozwój umysłowy ucznia był zupełnie możliwy, kiedy tymczasem dawniej uczeń bezmyślnie kuł lekcye na pamięć, nie rozumiejąc języka. Nie dosyć na tem. Wraz z nauką łaciny odbywała się *nauka języka ojczystego*; nie stanowiła ona wprawdzie samoistnego przedmiotu, ale, bądź co bądź, uczyła się młodzież gramatyki polskiej równolegle z łacińską, pisała obok wypracowań łacińskich polskie, czytała prócz pisarzów rzymskich autorów polskich: Górnickiego (§ 32), Kochanowskiego, Skargę, Twardowskiego (§ 62), Potockiego (§ 65) i innych. Baczną uwagę zwrócił również Konarski na naukę *geografii i historyi* (powszechnej i ojczystej), *naukę prawa* i *matematykę*. Ale to jeszcze nie wszystko. Rozumiał Konarski, że jednem z największych nieszczęść Polski jest zerwanie związku z umysłowością zachodnio europejską (§ 50): aby go napowrót nawiązać, zaprowadził do szkoły *naukę języków obcych, zwłaszcza francuskiego*, i tym sposobem umożliwił młodzieży poznanie literatury i wogóle cywilizacyi francuskiej, która wówczas (wraz z angielską) stała na czele cywilizacyi całej Europy.

Lecz *nietylko umysły, ale i serca młodzieży kształcono w szkole*: wpajano w uczniów uczucia miłości Boga, człowieka i ojczyzny, zasady moralności wogóle, a patryotycznej w szczególności, wykorzeniając te zwłaszcza wady, któremi grzeszyło ówczesne społeczeństwo polskie, jakoto: prywatę, lekceważenie władzy i praw, butę szlachecką, dumę względem niższych, próżniactwo, życie nad stan. Bo Konarski wyznawał rozumną zasadę: *Szkoła nie dla szko-*

ły, lecz dla życia, wychowywał więc młodzież na dobrych ludzi i dobrych Polaków.

W tym samym zupełnie duchu reformował Konarski inne szkoły pijarskie, za przykładem zaś pijarów poszli jezuici i inni zakonnicy; tym sposobem po całej Polsce zaczęła się powoli rozpowszechniać rzetelna oświata. I to jego pierwsza, wielka, nieśmiertelna zasługa.

A druga, pozostająca w ścisłym związku z pierwszą, jest *reforma smaku estetycznego*. Teoretycznie zwalczał zły smak, mianowicie zepsucie stylu, w piśmie łacińskiem p. t. *O poprawie wad wymowy* (*De emendandis eloquentiae vitiis*, 1741), w której poddał surowej krytyce różne rodzaje zepsutej wymowy, jakie się w literaturze polskiej utrwaliły, zwłaszcza p a n e g i r y k i, nie oszczędzając swoich własnych młodzieńczych utworów, uderzając na ich styl barokowy (§ 54) i wogóle na wszystko, co sztuczne i nienaturalne; tej zepsutej wymowie przeciwstawia wymowę wieku złotego i wykazuje, że najpiękniejszą zaletą stylu jest prostota i naturalność oraz czystość języka; *wypowiedział więc Konarski walkę napuszonemu stylowi i makaranizmom*. Praktycznie zaś przyczynił się do odrodzenia smaku estetycznego już przez to jedno, że wprowadził do szkół czytanie i objaśnianie znakomitych autorów wieku złotego. Nie dosyć na tem. Istniał w szkołach zwyczaj (wprowadzony jeszcze przez jezuitów w w. XVI), że uczniowie podczas mięsopustu grywali pod kierunkiem nauczycieli teatr amatorski zarówno dla rozrywki, jak dla zbudowania, sztuki bowiem szkolne miały dążność bądź religijną, bądź wogóle moralną (a często panegiryczną— dla uczczenia jakiej znakomitej osobistości, np. dobrodzieja szkoły); otóż przez ciąg wieku XVII i te sztuki, jak cała literatura, uległy skażeniu smaku, a czasem nie posiadały sensu. Konarski pierwszy temu zaradził: uczniowie *Collegium nobilium* grywali sztuki francuskie (Kornela, Rasyna, Woltera) w przekładzie polskim samego Konarskiego, i tym sposobem szerzyła się znajomość pięknej literatury francuskiej, a jednocześnie uszlachetniał się w młodzieży zmysł piękna. A nie poprzestając na przekładach, napisał Konarski dla teatru szkolnego sztukę własną wierszem p. t. *Tragedya Epaminondy* (1756), *która jest pierwszą w literaturze naszej oryginalną tragedyą, napisaną na wzór tragedyi francuskich*, *Cid* bowiem Andrzeja Morsztyna jest tylko przekładem z Kornela (§ 61), a tragedye Wacława Rzewuskiego (§ 72) powstały nieco później. Zresztą *Tragedya Epaminondy* jest utworem słabym, ale odznacza się prostotą języka i mądrą myślą przewodnią. Bohaterem tragedyi jest znakomity, nad życie kochający ojczyznę, wódz tebański Epaminondas, który w wojnie z Lacedemończykami s a m o w o l n i e, w b r e w p r a w u, przedłuża sobie termin sprawowania naczelnego dowództwa nad wojskami o całe cztery miesiące: on wie wprawdzie, że za to grozi mu kara śmierci, ale i to wie, że, gdyby dowództwo prze-

szło w ręce nowych, niedoświadczonych wodzów, wojna byłaby przegrana; po świetnem zwycięstwie nad Lacedemończykami (w bitwie pod Leuktrą r. 371) wraca do ojczyzny i oddaje się w ręce sprawiedliwości; oskarżyciele, ludzie zawistni, ciemni i przewrotni, trzymając się ściśle litery prawa, żądają, by go śmiercią ukarano, ale nie pozwala na to lud tebański, wdzięczny mu za ocalenie ojczyzny. Jakaż więc jest myśl przewodnia sztuki? Taka, że, chociaż prawa należy szanować, ale *„prawo, choćby najświętsze, prawem być przestaje, kiedy szczęściu ojczyzny przeciwnem się staje“*. Innemi słowy, pragnął Konarski wpoić za pomocą swej tragedyi w umysły młodego pokolenia to przekonanie, że wszelkie prawo, choćby poczytywano je nawet za świętość narodową, jeżeli jest dla państwa szkodliwe lub zgubne, powinno być zniesione.

A cóż ogół szlachty polskiej poczytywał za największą świętość narodową? Złotą wolność i jej „źrenicę“ — *liberum veto*. Otóż Konarski postanowił przekonać szlachtę, że *liberum veto* jest „szczęściu ojczyzny przeciwne“. I ta *walka z liberum veto stanowi trzeci wiekopomny czyn jego*. Pomyślał o niej po raz pierwszy w roku 1732, kiedy to na sejmie August II miał rozdawać buławy hetmańskie; ale sejm nie doszedł do skutku: zerwano go, jeszcze przed obiorem marszałka, za powodem Potockich, którzy przy rozdawnictwie buław mieli być pominięci. Przerażony i oburzony tem bezprawiem, już wtedy powiedział sobie Konarski, że spisze swoje uwagi „nad nędznymi naszymi sejmami“ i ogłosi je drukiem „za Pana Boga łaską i pomocą“. Ale nie śpieszył się, wiedząc, że głos jego długo jeszcze, wobec ciemnoty społeczeństwa, będzie głosem wołającego na puszczy; dopiero po latach blizko trzydziestu, kiedy widział, że jego reforma oświaty zaczyna już wydawać owoce, poważył się ogłosić drukiem swoje dzieło *O skutecznym rad sposobie*, wydając naprzód część pierwszą (1760), a po niej, w rocznych odstępach, części dalsze: drugą (1761), trzecią (1762) i czwartą (1763). Główne myśli tego dzieła są następujące.

W Polsce panuje straszliwa anarchia i okropny upadek moralny: „Trybunały i sądy niesprawiedliwe i często bez wstydu przedajne, krzywoprzysięstwo..., obrócone już prawie w nałóg i w naturę...; wojska zbyt mało...; bojaźń jakaś, lichość umysłów i podłość generalna opanowała wszystko...; interesów prywatnych, ambicyi, emulacyi, łakomstwa taka moc jest, iż zda się, iż w nas pamięć o Rzeczypospolitej i ojczyźnie wygasła, jakby każdy obywatel kraju o niczem więcej myśleć nie powinien, tylko, żeby jemu dobrze było, choćby wszyscy zginęli...; skarb koronny od wielu miastek cudzoziemskich publicznej kasy uboższy i gorzej rządzony...; handle w kraju cale upadłe..., poddaństwa niezmierne ubóstwo..., miast i miasteczek ruina...; opresye od sąsiadów nieznośne, zewsząd granic uszczerbki i gwałty...; w domach własnych bezpieczeństwo fortun, żon i życia od domowych i od obcych najazdów

i kup swawolnych stracone; nieugaszone między panami niesnaski; elekcye urzędów, posłów, sędziów tak zakłócone i niepodobne, że chyba ukradkiem z wielką wszystkich praw wiolencyą (pogwałceniem) udać się gdzie mogą; sejmy, sejmiki niegodziwie bez ustanku rwane, że od 70 lat jeden tylko ordynaryjny sejm rachować się może...; niesława, hańba, słabość, sromota, upadek na wszystkiem całego narodu... Rozpacze wielkie po całym kraju, że już nigdy lepiej nie będzie i być nie może". Jednem słowem, „Rzeczpospolita jest, jak dom albo stary i wielki okręt, ale dawno lub nieopatrzony, lub zwierzchu tylko gdzieniegdzie łatany, do ruiny zaś i zniszczenia dążący, jeżeli gruntownie zreparowany nie będzie". Są wprawdzie tacy, których zdaniem naprawa okrętu byłaby jego zgubą, bo przecie „Polska nierządem i nieporządkiem stoi". „Trzeba być — mówi na to Konarski — nad wyrażenie wszelkie niczemnego rozumu, trzeba naprzód postradać cale naturalnego rozsądku, trzeba być srogiego nad takiemi ojczyzny nieszczęściami serca, nad które być większe nie mogą, trzeba być tej Matki wyrodkiem, ktoby takim wierzył maksymom". Nie, nie stoi Polska, ale ginie nierządem, a jeżeli tak, to trzeba ją na gwałt naprawiać. Ale od czego zacząć naprawę? Od tego oczywiście, bez czego o naprawie mowy być nie może. A bez czego naprawa jest niemożliwa? Bez sejmu, bo tylko sejm może ją podjąć: „gdy sejmy niszczeją, wszystko niszczeć musi i niszczeje; co w ciele dusza, to są w Rzeczypospolitej sejmy, co ciało bez duszy, to Rzeczpospolita bez sejmów". Tymczasem sejmy nie dochodzą do skutku, bo je zrywają. A więc, żeby naprawić Polskę, trzeba nasamprzód pomyśleć o tem, aby sejmy dochodziły do skutku, t. j. *o skutecznym rad sposobie*. Myślą o tem, mówi Konarski, różni i różne podają sposoby; jedni np. radzą, aby nie wolno było zrywać sejmów „z prywatnej przyczyny", tylko „z publicznych racyi"; a na to Konarski: Głupstwo! „Żaden jeszcze sejm nie był nigdy zerwany z interesu ojczyzny, ale zawsze z prywatnych interesów i partyi, powleczonych dobra ojczystego kolorem". Wogóle wszystkie sposoby, jakie różni wymyślają na to, by sejmy dochodziły do skutku, są albo wręcz głupie, albo połowiczne, „nie w cel, lecz koło celu biją"—„są to jak śmiertelnie choremu liczne a nieskuteczne lekarstwa, póki się na własne przeciw tej chorobie i na prawdziwe nie trafi"; jeden jest tylko skuteczny sposób — nie pozwolić na sejmów zrywanie, które „większy i cięższy grzech jest, niż największe kryminały w świecie: rabowania, palenia, świętokradztwa, zabójstwa, bo ten, co sejmy rwie, wszystkim szkodzi, kraj cały przyprowadza do klęski, miliony ludzi bez rządu nieszczęśliwymi czyni; jest grzech, który zemsty woła na osobę i pokolenie takiego od sprawiedliwego Boga". Aby zaś nie pozwolić na ten grzech, trzeba usunąć możliwość jego popełniania, to jest *znieść raz na zawsze, na sejmach zarówno, jak na sejmikach, libe-*

rum veto, tem więcej, że ono nie jest i nigdy a nigdy nie było prawem, tylko „wprowadzonym zwyczajem“. A skąd powstał ten zwyczaj? Stąd, że już w w. XVI obowiązywała obrady sejmowe zasada jednomyślności, t. j. zasada, że te tylko uchwały są ważne, na które się *wszyscy* posłowie zgodzą; *liberum veto* nie jest niczem innem, tylko parodyą tej zasady. A zasada to fałszywa i zgubna, ludzie bowiem są ludźmi i nie mogą się zawsze na jedno zgodzić; a jeżeli tak, to *wraz z liberum veto należy znieść zasadę jednomyślności i wprowadzić zamiast niej zasadę rozstrzygania wszystkich spraw większością głosów*—na wzór innych krajów zachodnio-europejskich.

Całe więc dowodzenie Konarskiego możnaby streścić tak: *Polska ginie nierządem, a zatem, żeby nie zginęła, potrzebuje rządu; rządu bez sejmów być nie może, bo tylko one rządzą Polską, a zatem sejmy muszą dochodzić do skutku; póki istnieje liberum veto, sejmy do skutku dochodzić nie mogą, a zatem trzeba znieść liberum veto.* Wszystko to tak proste, że, zdawałoby się, nie potrzebuje dowodzenia, bo chyba tylko człowiek, obrany z rozumu, może wątpić, że państwo bez rządu ostać się nie może. Otóż to właśnie, że ogół społeczeństwa owoczesnego był obrany z rozumu, skoro wierzył w potworną zasadę: „Polska nierządem stoi“, a *liberum veto* poczytywał za najwyższą mądrość. Wiedział o tem doskonale Konarski i dlatego to uzasadnieniu prawdy, jasnej, jak słońce, poświęcił aż całą książkę w czterech obszernych częściach, umyślnie powtarzając każdą niemal myśl raz, drugi i trzeci (bo, jak mówi, „i milion razy toż samo nie zawadzi i trzeba powtórzyć“) i każdą myśl szczegółowo uzasadniając zapomocą rozumowania; a rozumowanie jego jest nie tylko logiczne, ale i niezwykle jasne i przystępne, jak przystało na książkę, przeznaczoną dla dorosłych... dzieci, a do tego poparte całym szeregiem faktów historycznych; tak np. wykłada Konarski historyę wszystkich zerwanych sejmów polskich, aby przekonać czytelnika, że wszystkie zerwano dla prywaty i ze szkodą dla kraju; opisuje też szczegółowo ustrój państwowy krajów zachodnio-europejskich, w których wszystkie sprawy w parlamencie rozstrzygają się większością głosów. Lecz nie tylko do rozumu, ale i do serca czytelników umie przemawiać, to uderzając w ich miłość własną i ambicyę, to odwołując się do ich miłości ojczyzny, to oburzając się, to grożąc. Wogóle *pod względem logiczności rozumowania, gruntowności, jasności i przystępności wykładu oraz umiejętności przemawiania do czytelników, dzieło Konarskiego nie ma sobie równego w całej literaturze politycznej niepodległej Polski.* To też zrobiło swoje: przekonało, jeżeli nie wszystkich, to bardzo wielu, że *liberum veto* jest zgubą dla Polski i zbrodnią, i wogóle przyczyniło się niemało do uleczenia społeczeństwa ze ślepoty. A tak *nietylko na polu szkoły i literatury, ale i na polu mądrości*

politycznej jest Konarski poprzednikiem, a po części sprawcą tego odrodzenia duchowego, które przypada na czasy Stanisłwa Augusta.

Do nieczytelnika, to jest do tego, który tej nie chce czytać książki. Azali raczysz te słów kilka przeczytać? O to cię więc, nieczytelniku, ile mogę, upraszam, abyś ni źle, ni dobrze o tej książce nie mówił, jeżeli czytać jej nie chcesz, a czytać do końca samego. Mogęż o co sprawiedliwszego cię prosić? Bo jakże masz sądzić o rzeczy, którejeś dobrze i pilnie nie zważył? Ta się więc książka czytelników nie stracha, ale się nieczytelników obawia. Jeżeli zaś przemożesz na sobie, abyś ją całą cierpliwie przeczytał, natenczas feruj na nię dekret[1], jaki ci się podoba. Ufam rozsądkowi i sprawiedliwości twojej, ufam twej ku ojczyźnie miłości. Niech ci Bóg da zdrowie!

Relacya[2] prawdziwa, jakim sposobem i z jakiej przyczyny sejm warszawski r. 1732 był zerwany. Był to sejm trzeci, na konkurencyi do buław rwany przed marszałka elekcyą; bo, ponieważ, według prawa, po obranym marszałku dystrybuta[3] powinna nastąpić wakansów, tym trzeba było nie dopuszczać marszałka elekcyi, którzy z rozdania buław być nie mogli kontenci. Przyjaciel tedy mój, człek godny (bo go nie wymieniam), ...bijąc się w piersi, taką czynił mi relacyą, którą słowami jego i ja, choć nadto potocznemi, uczynię.

«Już się cale po kilku niedzielach sejmu zaniosło na marszał-«ka elekcyą i już stanąć miała zapewne nazajutrz, ci więc, którzy «rozdania buław, komu król chciał, nie chcieli, zjachali się na ra-«dę, po której, włożywszy mi w kieszenie po pięćset czerwonych «złotych, obligowali[4] mnie, abym szukał między posłami i znalazł «koniecznie, któryby sejm ten podjął się zerwać i nie dopuścić «obrania marszałka. Noc całą po Nowym Świecie, po Solcu, po «Wielopolu, po Nalewkach, po Pradze zjeździłem; nikt lepiej, jak «ja natenczas, esencyi warszawskiego nie skosztował błota: po naj-«błotniejszych ulicach, kącikach i chatkach *capax subiectum*[5] szu-«kałem, któryby się tak wielkiego mógł podjąć dzieła. Mówiłem «przeszło ze trzydziestą, którzy mi się zdawali potrzebniejszymi, «posłami, dawałem czerwonych złotych tysiąc, którem z kieszeni «chciał liczyć: asekurowałem[6] aż do trzech tysięcy czerwonych «złotych, bom miał plenipotencyą na to, że je za dwie godziny do-«liczę. Cnota niepotrzebna tych Ichmościów i nadto poczciwości «(jak mi się natenczas zdawało) do desperacyi mnie przyprowadza-«ła; klałem ich, łajałem, beształem. Piąta godzina zrana bije, bie-«gnę do cudownej *Crucifixi*[7] kaplicy, daję taler na mszą świętą,

[1] ferować dekret = wydawać sąd. [2] sprawozdanie. [3] rozdawanie. [4] obligować=zobowiązywać. [5] odpowiedniej osobistości. [6] asekurować=ubezpieczać, obiecywać. [7] Ukrzyżowanego.

«aby mi niebiosa pobłogosławiły znaleźć aby jednego poczciwego, «któryby wziął pieniądze i ten sejm kaduczny[1] zerwał. Bardzo mo«dliłem się gorąco: szło mi o punkt honoru i o mój kredyt; wie«dzieli, że mam przyjaciół,—pokazałoby się było, żem nic nie wart. «Jeszcze trzy godziny nabłąkałem się po błotach, pot się leje ze «mnie, jeszcze z kilkunastą posłami mówię, ofiaruję, perswaduję, «płaczę, aby mieli nade mną kompasyą[2], a sejm ten który z nich «podjął się zerwać. Darmo! Począłem skarżyć się na moje nie«szczęsne wyroki. Pół do dziesiątej bije. O, ja nieszczęśliwy! jużże «ten sejm przeklęty dojdzie! jużże stanie marszałek! Gdym był «znowu przed Farą, w takowych rozpaczach postrzegam wysmu«kłego panicza; para za nim czeladzi; zda mi się, żem go widział «w Izbie. A do tego wszyscy mi się natenczas zdawali posłami. «Pytam się z komplementem, czy poseł. Odpowiada: „Do usług «WMć Pana, poseł“. — „Przepraszam najuniżeniej, bom dosyć wi«dział *summam activitatem*[3] w Izbie WMMć. Pana, alem teraz tak «zakłócony, tak zmęczony, że sam pojąć się i, co gadam, nie mogę. «Proszę tu, do Kamzeta, poślę po gdańską wódeczkę“.—Weszliśmy... «Niosą gdańską cynamonkę ze złotem. Zapijamy po kieliszku kie«liszek, zaczynam perorę[4]: „Idzie o zgubę ojczyzny, idzie o salwo«wanie[5] nas wszystkich etc., trzeba ten sejm niegodziwy i niebez«pieczny koniecznie zerwać; niemasz człeka, któryby tej nie widział «potrzeby, ale bojaźń jakaś wszystkich obleciała posłów. Ja «w WMMci Pana fizyognomii, za pierwszym razem, jakem tylko miał «honor widzieć go w Izbie, w oczach i na jego czole coś heroiczne«go postrzegłem i przysięgam, że mi ta myśl o WMMci Panu przy«padła: ten będzie Achillesem, ten jeden może swego czasu w naj«większej potrzebie salwować ojczyznę“. Widziałem, że mój jego«mość to moje proroctwo z dobrą gracyą przyjął. „To pewna—od«powiedział — że mi na sercu nie zbywa“! I rwał się do fordy«mentu[6]. — „Niemasz czasu — mówię — oto moment zbawienia «ojczyzny, już się sesya podobno zaczyna: zmiłuj się nad tą Matką «strapioną i poczciwymi wszystkimi! Za fatygę WMMci Panu, ile «musisz się podobno od tumultu[7] schronić, *in omnem casum*[8], ja«ką chcesz sumę, mam przy sobie; a jeżeli mało, mam plenipoten«cyą, na ile zechcesz“. Nie pyszny pachołek i dosyć tani, lubo skó«ra na mnie drżała, jak on tu sumą kilku tysięcy czerwieńców za«brzęknie! Ale galantom poczciwy tak mi mówi krótko: „To praw«da, że czasu niemasz, lecz panowie obiecują wiele, aby chudego «pachołka narazić, a potem, jak mówiemy, każą wyszczwać albo «wypchnąć z pokoju. Ja sam widzę rzetelnie nieuchybną[9] potrze-

[1] dyabelski. przeklęty. [2] kompasya=współczucie. [3] ogromną ruchliwość. [4] perora = przemowa. [5] salwować = zbawiać. [6] fordyment = kord za pasem. [7] tnmult=zamieszanie. [8] na wszelki wypadek. [9] nieuchybny= nieodzowny.

«bę i stotysięcy racyi tego sejmu zerwania, ale potem, wiesz WMć «Pan, co za sekwele[1] idą za takim azardem[2]". Przerywam: «„Pięćdziesiąt nas, a ja zaraz na czole z nimi w tyle WMci Panu «z gotowemi szablami będziemy: nie masz cale czego się obawiać, «piekłu samemu z garła WMci Pana wydrzemy"! — „To dobrze — «mówi — ale, jeżeli mi WMć Pan tu zaraz trzechset czerwonych «złotych nie wyliczysz, nic z niczego nie będzie". Tu jakby mnie «niebieska ogarnęła jasność: „A, dobrodzieju! — wykrzyknę — «a, salwatorze ojczyzny! a, podporo i filarze wolności! a, panie «mój!"... Nagle, do kieszeni siągnąwszy, cztery mi się razem wy«mknęły ładunki, co zaraz mój kochanek bystrooki postrzegł; tru«dno cofnąć się było: „Nę, nę — mówię — ojcze ojczyzny i dobro«dzieju mój! nę i więcej, warteś milionów kroćstatysięcy za tak «piękną odwagę!" I dałem mu czerwonych złotych czterysta. Tyl«ko ładunki rozerwał, żeby widział, że nie miedź, i w kieszenie «wsypał, a przysiągłszy mi na etc. i na wszystkę swoję poczciwość «i na cnotę, że sejm ten bezbożny zerwie i nie dopuści marszałka, «on do Izby pobiegł, a ja mojej ekspedycyi raport sunąłem się «uczynić. Aż on mnie znowu pod Zygmuntem zaziajały napada. «Włosy na mnie stanęły i zmartwiałem cały. O, nieszczęście mo«je, jużże po wszystkiem! Aż on mnie do ucha mówi: „A jakąż dam «racyą protestacyi mojej?" — „A, Mci Panie bracie, sto tysięcy ra«cyi! wszak sam mówiłeś, że widzisz wielką tego sejmu zerwania «potrzebę"! A mnie samemu tymczasem nic na pamięć przyjść «nie mogło naprędce. Uderzyłem się w ciemię, i przyszła mi «jak może być najcelniejsza i najsprawiedliwsza racya. Więc, «nie bawiąc, mówię: „Mów WMć Pan tak: ponieważ prawo każe «na pierwszym dniu marszałka obrać, a my już, przeciw oczywi«stemu prawu, kilka niedziel na tej trawiemy elekcyi, zatem, *solenis«sime*[3] o zgwałcenie prawa tego protestując się, wychodzę. Repeto«wał[4] mój mołojec kilka razy me słowa, ale nigdy nie mógł trafić «do końca i powiedział, że „to jest przydłuższa oracya, trzebaby ją «skrócić". Takem musiał swego dyscypuła[5] blizko do pana Roj«kiewicza prowadzić i tam tę tak straszliwą cycerońską mowę mu«siałem mu napisać etc.»

Dalszą opuszczam relacyą: wszak pomniemy, że ten sejm na tej racyi i protestacyi był w czasach naszych zerwany.

Co to jest mala consiliorum forma[6], gdzie o jednym nietykanym i strasznym bałwanie tudzież o drugiem bożyszczu, i czy szlachectwo i wolność być może bez niego? Początek wszystkich nieszczęść i złego, że rady nie mamy. Rady nie mamy, że nie dochodzą sejmy

---

[1] sekwela = następstwo. [2] azard (hazard) = odważny czyn. [3] najsolenniej, najuroczyściej. [4] repetować = powtarzać. [5] dyscypuł = uczeń. [6] zła rad (sejmów) forma.

i dochodzić nie mogą. Sejmy nie dochodzą i dochodzić nie mogą... nie dla zapamiętania[1] i złości ludzkiej, bo nacya nasza nie jest gorsza od inszych, które były i są, państw i Rzeczypospolitych, w których, gdyby była takaż rad forma, jak u nas, niewątpliwie tożby się samo działo, co u nas. Sejmy nie dochodzą nie tak dla fakcyi[2] i prywat panów, bo i ci nie gorsi i nie bardziej interesowani są, jak we wszystkich Rzeczachpospolitych i krajach panowie, a tam się nie zrywają rady... Sejmy nie dochodzą nie tak dla fakcyi i postronnych potencyi[3], bo te, lubo czasem niemało psują, ale my sami im sposób psowania sejmów naszych daliśmy. Sejmy nie dochodzą nie dla niestarania się o sejmy czy dworu[4], czy panów, bo to, gdyby było największe, mało albo nic... przy takiej sejmów formie dokaże. Sejmy nie dochodzą nie dla dyffidencyi[5] jakich między Majestatem i wolnością, boć naostatek domowa to między ojcem i dziećmi sprawa: może król znaleźć sposoby skonwinkowania[6] zawsze Rzeczypospolitej, że jej dobrze życzy, i Rzeczpospolita—skonwinkowania Pana, że mu jest życzliwa i wierna. Te wszystkie i tym podobne, które rwania sejmów dawać zwykliśmy, przyczyny mogą zawsze niezmiernie i będą zatrudniać sejmy, ale rwaćby sejmów, gdybyśmy je należycie zordynowali[7], nie mogły. Sejmy tedy nie dochodzą i dochodzić nie mogą ze złej wewnętrznie rad formy.

Co to zaś jest ta zła wewnętrznie obrad naszych forma? Było takie za bałwochwalczych jeszcze czasów (jak piszą) stare, bardzo wielkie i rozłożyste, bogom, osobliwie bożyszczu, nazwanem Perkun, poświęcone pod Wilnem drzewo, i taka była przeciw temu *idolum*[8] religia i o niem opinia, iż, ktoby ważył się rękę lub siekierę na to drzewo podnieść, i on sam i z całą familią i ze swojem miał zniszczeć potomstwem. Jak się zaś chrześcijańska w Litwie wiara szerzyć poczęła, długi czas, jeszcze i za chrześcijan, na ów dąb starożytny nikt się nie śmiał odważyć. Naostatek, wiarą dobrą wsparty, kapłan jeden bałwanu tego, tak od wszystkich czczonego, między chrześcijanami więcej cierpieć nie mogąc, porwawszy siekierę, jeden, drugi, dziesiąty i setne ciosy dał staremu dębowi. Lud, to widząc, do siekier się rzucił i pracy dopomógł, bałwan się obalił i, z wielką ludu chrześcijańskiego radością i śmiechem zrąbany i zapalony, w popiół się obrócił, a za to nikomu żadnego nie stało się nieszczęścia, wszyscy zdrowi i w całości zostali...

W oczach i u nas jest teraz każdemu drugie, nie tak starożytne, bożyszcze, o którem taż sama opinia, że, kto pierwszy na niego się miotnie, i sam ze swojem zginie zapewne plemieniem. Aleć przykładem heroicznym tej chrześcijańskiej Litwy odważyć

---

[1] zapamiętanie=zapamiętałość. [2] fakcya = stronnictwo, konszachty, spiski. [3] potencya=mocarstwo, państwo. [4] t. j. dworu królewskiego. [5] dyffidencya = nieufność. [6] skonwinkować = przekonać. [7] zordynować=uporządkować. [8] bałwan.

się raz na to straszne *idolum* i z dobrą wiarą sprobować nie wadzi, czy można bez swojej zguby dać mu dobry cios, gdyby można, i cale śmiertelny... Ale mówmy wyraźniej.

Za skaranie boskie... poczytać potrzeba, że powszechnie nacya... dała się powoli przez zwyczaj wciągnąć w tę opinią, że to jakiś osobliwszy jest szlachectwa przywilej i najdroższy ze wszystkich klejnotów—*moc rwać sejmy i publiczne obrady.* Jest wprawdzie tysiącami... godnych panów i szlachty, którzy nikczemność tego przywileju, a ruinę przezeń ojczyzny doskonale widzą, ale publicznie przeciw niemu odezwać się nie ważą, bo jest wiele takowych, co mniemają, iż jużby było po szlachectwie polskiem, gdyby szlachcic nie miał mocy zerwania sejmiku i sejmu. Jeżeli to prawda, toć takim sposobem od początku Polski aż do Jana Kazimierza, to jest do roku 1652, musielibyśmy w narodzie naszym nie mieć żadnego prawdziwego szlachcica, bo do tego tam czasu nikt jeszcze o tym szlachectwa przywileju nie wiedział, żeby szlachcic jeden i każdy miał moc zupełną zerwania sejmów; dopiero Siciński odkrył ten nieszczęśliwy szlachectwa zaszczyt!...

Czy nie widziemy, że to chimera jest tylko, którą nam obcy ludzie i nienawistni sąsiedzi i niektórzy podobno nasi możniejsi panowie wbijają, prywatę swoję nad publiczny przekładający interes, perswadując nam, że coś tak wielkiego sobie na tym przywileju, od przodków naszych nieznanym, zakładamy? Potencye obce i niektórzy z nas samych mają swe interesa własne, które chcą czyli na Rzeczypospolitej, czyli na królu wymusić, aby dobremu naszej przeszkodzić ojczyzny. Ci to są, którzy nam ten klejnot rwania sejmów tak wysoko szacują; ci są, którzy — przez nasze usta szlacheckie — publiczne u nas różnymi pretekstami tamują i w niwecz obracają rady;... im to jest dla każdego szlachcica polskiego przywilej rwania sejmów potrzebny, aby swoje łatwiej przez tylu posłów wyrabiać, czy nasze psować interesa mogli, ale szlachcicowi żadnemu, ale szlacheckiemu naszemu cale nie jest potrzebny stanowi, ani niezliczonym d o b r y m panom polskim...

Wątpić nie trzeba, iż szlachecki stan cały, dopieroż mądry senat, łatwo sobie wyperswaduje, że, kiedy ten, przed kil blizko stem u przodków naszych niesłychany, przywilej ojczyznę tak gubi, a im cale jest niepotrzebny, toć dla ojczyzny sakryfikować[1] go trzeba. Ale tu cała jest trudność — niektórych z panów, mających w tem nie żaden publiczny, ale swój własny interes, od utrzymywania tego przywileju odwrócić tudzież obcych, potajemnych nieprzyjaciół naszych. Lecz to nie są niezwyciężone trudności, kiedy senat, szlachecki stan żadne swoje, a wielkie ojczyzny w tem dobro postrzeże, kiedy i uzna, że z tego nieszczęśliwego źrzódła wszystkie na naród spływają nieszczęścia.

[1] poświęcić.

A jakże nie z tego jednego źrzódła? O czem tu zdrowym wątpić rozumem? na co palcem noc pokazywać w północy albo dzień w samo południe? Stać bez rady niepodobna królestwu; rady na sejmach zawisły; sejmy się ustawicznie rwą... Cóż zaś rwie sejmy? Moc w każdego dobrego i złego ręku, zwyczajowem bezprawiem wprowadzona, rwania sejmów i obrad. Nie idę dalej, słów darmo nie psuję To nas jedno rujnuje, to gubi, to jedno nie da nam nigdy przyjść do rządu i ładu.

Aby poprawić złą rad formę, zważyć wprzód trzeba, że rzecz nigdy niepodobna jest, aby zawsze i aby wszyscy zgodzić się mogli na jedno w interesach Rzeczypospolitej. Gdyby ludzie... zawsze rozumieli jedno, zawsze zgodzili się na jedno wszyscy,... toby ludzie być ludźmi przestali. Taka bowiem jednomyślność i zgoda jest cale nad ludzką naturę. Z jednej strony albowiem... ludzie na świecie o wszystkiem między sobą dysputują i według pozoru, jak im się rzeczy zdają, nie jak w sobie są, różnemi o nich zdaniami między sobą walczą. Z drugiej zaś strony ludzie — z przyrodzenia swego i z różności czy temperamentów, czy rozmów, czy własnych ich inklinacyi[1], jednych drugim przeciwnych, czy z edukacyi i prewencyi[2], osobliwie zaś z własnego interesu i prywatnego dobra, — tak są różnych między sobą zdań, woli i opinii, żeby to był niepojęty cud, gdyby zawsze a zawsze w wielkiej liczbie na jedno się zgodzili. Nie o wielkiego ludzi zgromadzenia, ale o dwuch tylko osób zgodę jak jest trudno, mamy to od Chrystusa Pana upewnienie, gdy tak powiedział, że, „jeżeli dwuch na świecie się zgodzą, cuda czynić i góry przenosić będą, wszystko im się na ich prośbę stanie...“ A my chcemy, żeby na sejmie kilkuset albo kilka tysięcy ludzi różnych rozumów, różnych charakterów, a osobliwie różnych i przeciwnych interesów, na jedno się zawsze koniecznie zgodzili! Nie jest to imaginacya, niepodobna do praktyki? Podobnaż to jest, aby całe królestwo, stan cały szlachecki jednostajnie zawsze myślał we wszystkiem? Bo, niż w Warszawie jaka się prawem ustanowi rzecz, niż na sejmie interes rezolwowany[3] będzie, trzeba teraz wprzód, aby się wszystkie sejmiki, wszystkie województwa, wszystka szlachta na to, co na sejmie skonkludowane[4] ma być, jednostajnie zgodzili. A cóż to za cudotworne państwo! cóż za błogosławieni ludzie! cóż to za anieli! cóż to za niebo!... Gdyby na sejmikach i sejmach wszyscy jedno zawsze myśleli, na jedno się zgadzali, żaden swego nie miał uporu przy przeciwnej racyi, cóżby nam braknęło, abyśmy ojczyznę naszę niebem nazwać nie mogli, w któremby tak anielskie, nadnaturalne to znajdowało się między wszystkimi pożycie?

---

[1] inklinacya=skłonność. [2] prewencya=uprzedzenie. [3] rezolwować=rozwiązać, załatwiać. [4] skonkludować=postanowić, uchwalić.

A jeżeli to być nie może —jak być cale naturalnie nie może, i podobniej słońce głosem ludzkim drugi raz cofnąć, niż żeby kilkanaście lub kilkadziesiąt tysięcy zawsze we wszystkich interesach i okolicznościach tę niebian błogosławionych zgodę i jednakowe zawsze o wszystkich interesach ojczystych mieli zdanie — jeżeli to, mówię, jest niepodobieństwo nad niepodobieństwa wszystkie, cóż to za kara boska, cóż to za przepuszczenie z nieba na cały naród, że nasz rząd cały, stałość i całe szczęście Rzeczypospolitej, nasze życia i fortuny na tej jednej *jednomyślenia* wszystkich chimerze... zakładamy?...

Dystyngwujmy[1] tu więc w Bogu naszym wszechmogącym moc boską, jak ją dystyngwują mędrcy, na moc ordynaryjną[2], którą światem według natury, jemu danej, rządzi, i na moc ekstraordynaryjną[3], którą nie tylko wszystko nad rzeczy przyrodzenie może, ale i świat sam i naturę jednem zniszczyć może skinieniem. Bóg sam tedy (śmiele mówić mogę) mocą swoją ordynaryjną, którą światem rządzi, tego uczynić nie może, aby wszyscy ludzie zawsze byli zdania jednego i jednej woli; bo, ponieważ każdemu dał wolność, toć wolne oraz każdemu dał zdanie; musiałby więc wprzód znieść ludziom wrodzoną ich własność, niżby ich do jednostajnego zawsze, bez nadwrodzonego cudu, przyprowadził chcenia. Może to, ale cudem wszechmocności swojej, nie, jakom rzekł, ordynaryjną mocą. Co więc Bóg sam nie może zrobić ordynaryjną mocą, to my na każdym sejmie ordynaryjnym i sejmiku dokazać, Polacy, chcemy? Czyż chcemy, żeby Bóg nadnaturalnie z nami czynił zawsze cuda, ile razy na nasze zjeżdżamy się rady?... Czy trzeba, żeby Bóg nas, Polaków, inaczej, a inaczej wszystkie inne państwa i Rzeczypospolite rządził,... żeby coś więcej z nami, jak z aniołami, uczynił, którzy po kreacyi swojej w oczach boskich na jedno zgodzić się nie mogli?...

Jeżeli zaś rzecze mi kto: „A wszakże tyle sejmów i sejmików przecięż doszło, toć się wszyscy na jedno zgodzili“,—odpowiadam, że naprzód nie mówiłem ja dotąd, aby *nigdy* trafić się nie mogło, że się wielu na co zgodzą, bo się to i trafia: lecz moja ta prawda jest, że to rzecz niepodobna jest, *aby zawsze wszyscy na każdą, by najlepszą, rzecz na każdym zgodzili się sejmie.* Ale to samo dochodzenie tak mało sejmów i sejmików pokazuje jawnie, że ludzi wielu, lub insze zdania, lub przeciwne interesa mających, *zawsze na każdą rzecz zgodzić się* i mieć jednego zdania, jednej woli nie mogą; inaczej gdyby było, toby *wszystkie* dochodziły sejmiki i sejmy...

Panowie polscy! Raczcie to zważyć, czyli godzi się, aby dla prywat waszych utrzymywać nacyą w tym tak szkodliwym i niebez-

---

[1] dystyngwować=rozróżniać, rozkładać. [2] ordynaryjny=zwyczajny. [3] ekstraordynaryjny = nadzwyczajny.

piecznym błędzie, żeby perswadować szlachcie..., aby się tak upierali i tak w ludzkiej naturze niepodobnej rzeczy na swoich domagali się radach, t. j. aby tej zawsze przecudownej jednomyślności we wszystkiem wyciągali[1] po sobie, która być *zawsze* naturalnie nie może?... Trzeba wielkiego zapamiętania na ojczyznę, zaćmienia interesem prywatnym, ktoby... nie życzył nacyi skonwinkować[2] ją o niepodobieństwie w radach tej cale nadnaturalnej i nadludzkiej *zawsze wszystkich* harmonii, dla której sejmów rwania daje się pretekst i rady żadne dochodzić u nas żadną miarą nie mogą. Tę zaś sobie dobrze wyperswadowawszy prawdę, że ta niebieska zgoda między ludźmi niepodobna jest, gdy po ludzku radzić na sejmach zaczniemy, po ludzku będą stawać sejmy.

---

[1] wyciągać=wymagać. [2] przekonać.

ROZDZIAŁ VI.

Czasy Stanisława Augusta.

Wiek oświecony. Odrodzenie mądrości i piękna.

§ 75. Święte hasło Konarskiego: „Aleć i grzech jest wielki i nigdy nie godzi się desperować o Rzeczypospolitej“ nie przebrzmiało bez echa, a jego błogosławiona działalność na polu myśli politycznej i oświaty nie poszła na marne: co tylko było w Polsce dzielnego i mądrego, nie desperowało, ale rzuciło się do ratowania ojczyzny. Ratunek podupadłego państwa i ratunek zdziczałego moralnie i umysłowo społeczeństwa—oto dwa główne hasła, przyświecające za panowania ostatniego króla polskiego działalności rozumnych i szlachetnych jednostek.

Lecz uratować Polski, jako państwa, pomimo największych wysiłków, które się wzmogły zwłaszcza po pierwszym rozbiorze, już nie zdołano: przeszkody, zarówno wewnątrz, jak i zewnątrz kraju, były nie do pokonania. Na tronie polskim zasiadł człowiek zdolny i światły, rozumiejący doskonale potrzebę reformy i pragnący jej szczerze, ale tak słaby i chwiejny, tak pozbawiony godności królewskiej i osobistej, zmysłu moralnego, silnej woli i wogóle hartu duszy, że, nie będąc z natury bynajmniej podłym, owszem raczej szlachetnym, dopuszczał się czynów haniebnych. Taki król nie mógł się cieszyć ani miłością, ani szacunkiem, ani zaufaniem społeczeństwa, tem więcej, że ogół nie mógł mu zapomnieć, że jest nie królewskim synem, ale jakimś tam stolnikiem litewskim, zawdzięczającym tron Piastów i Jagiellonów nie świetności przodków i nie własnym zasługom i nie woli narodu, tylko zbiegowi okoliczności, własnym wdziękom i obcej przemocy. Potężną przeszkodą do uratowania państwa była i ciemnota ogółu, któremu się dopiero po pierwszym rozbiorze zaczynały powoli otwierać oczy, który z trudem i żalem wyrzekał się wiekowych przesądów politycznych i przywilejów szlacheckich—owych klejnotów złotej wolności: *liberum veto* i wolnej

elekcyi. Obok ciemnoty była i podłość—podłość magnatów, którzy kochali nie ojczyznę, tylko siebie, którzy też za pieniądze zaprzedawali ją wrogowi. A wróg nie spał: dopuszczał się gwałtów, sypał pieniędzmi, groził wojną, poduszczał braci przeciwko braciom, poddanych przeciwko królowi, byleby tylko nie pozwolić nam ratować tonącej ojczyzny, a wszystko to — pod pozorem jej dobra i wolności. I ta właśnie przemoc, ta nie mająca sobie równej w dziejach całego świata polityka (zdrada Prus!) — to główna, najsilniejsza przeszkoda, której pokonać nie było można. Bo z przeszkodami wewnętrznemi uporano się koniec końcem—na sejmie czteroletnim: Konstytucya 3 maja—to zwycięstwo mądrości nad ciemnotą, szlachetności i patryotyzmu nad podłością i prywatą, to zarazem świadectwo, jakie Polska wystawiła sobie przed Bogiem i ludźmi, że mogłaby istnieć nadal, jako niepodległe państwo, że więc jej upadek nie był samobójstwem!.. Konstytucya 3 maja oraz powstanie Kościuszki ocaliły honor państwa, narodu i imienia polskiego.

Jeżeli się tedy reforma polityczna powiodła, ale tylko teoretycznie, jeżeli nie ocaliła państwa, to reforma d u c h o w a nietylko się powiodła, ale wydała trwałe owoce: ocaliła naród! Dokonano zaś tej reformy, wstępując w ślady Konarskiego, t. j. krzewiąc i ulepszając oświatę. Niemałą zasługę pod tym względem położył król, który, urzeczywistniając myśl Adama Czartoryskiego, generała ziem podolskich, założył w Warszawie *Szkołę rycerską*; jestto *pierwsza świecka, pierwsza państwowa szkoła w Polsce*; uczono w niej nietylko wojskowości, ale i miłości ojczyzny, to też jej wychowańcy wykształcili się nietylko na dobrych oficerów, ale i na gorących patryotów: tutajto pobierali nauki Kościuszko, Niemcewicz, Fiszer, Mokronowski i inni bojownicy wolności.

Lecz epoką w historyi oświaty polskiej jest rok 1773, kiedyto papież Klemens XIV skasował nareszcie zakon jezuitów: wraz z zakonem przestały istnieć i szkoły jezuickie; trzeba je było zastąpić nowemi. I oto *szkolnictwem, które się dawniej znajdowało w rękach duchowieństwa, teraz zajęło się państwo*: na tym samym przeklętej pamięci sejmie (1773), który, pod laską zdrajcy Ponińskiego, podpisał pierwszy rozbiór Polski, stworzono instytucyę, która odegrała błogosławioną rolę w historyi narodu polskiego: podkanclerzy litewski, Joachim Chreptowicz, wystąpił z wnioskiem, aby w s z y s t k i e wogóle szkoły sekularyzować, t. j. odebrać zarząd nad niemi duchowieństwu, a oddać go państwu, poświęcając na ich utrzymanie część funduszów pojezuickich; wniosek przyjęto, i tym sposobem powstało *pierwsze na całym świecie ministeryum oświaty*: *Komisya Edukacyjna* — instytucya, która miała najwyższą władzę nad wszystkiemi szkołami i wogóle nad całem wychowaniem publicznem we wszystkich ziemiach polskich, ocalałych od pierwszego rozbioru. A sprawowała tę władzę znakomicie, bo też jej członkami byli (pomiędzy innymi) tacy ludzie, jak Andrzej

Zamojski, Ignacy Potocki, Adam Czartoryski, Hugo Kołłątaj, Julian Niemcewicz, ks. *Grzegorz Piramowicz* (były jezuita), najznakomitszy pedagog polski XVIII w. Przyświecała Komisyi mądra zasada Konarskiego: „Przez reformę wychowania do odrodzenia ojczyzny"; reformowała więc Komisya szkoły w tym samym wogóle duchu mądrości, moralności i patryotyzmu, co Konarski, tylko że byłato reforma i śmielsza i bez porównania szersza: śmielsza, bo, kierując się słuszną zasadą, że „umiejętność języka polskiego jest sama przez się dla Polaka celem nauki jego", a łacina—tylko „środkiem i drogą", *wprowadziła Komisya do wszystkich szkół język ojczysty, jako wykładowy*; szersza zaś — nietylko dlatego, że objęła wszystkie szkoły, niższe i wyższe, ale i dlatego, że ogarnęła wszystkie warstwy społeczeństwa w myśl zasady: „Nie całość jednego stanu, ale całość narodu całego jest prawem najwyższem". Zajęła się więc Komisya wychowaniem zarówno mężczyzn, jak kobiet (po raz pierwszy w Polsce!); wprawdzie własnych szkół żeńskich nie zdołała założyć, ale organizowała pensyonaty prywatne, w których uczono religii i moralności, języka polskiego, arytmetyki, geografii i historyi (zwłaszcza ojczystej). Zajęła się również (znów po raz pierwszy w Polsce!) oświatą ludu, bo rozumiała, że (jak opiewa jej ustawa) „niemasz innego sposobu wyprowadzenia ludu z ciemności i błędu, z pochodzących najwięcej z tego źrzódła wad i występków, jako nowe pokolenia zaraz w początkach ich życia oświecać, drogę im cnoty ukazywać, a czynną edukacyą serca do zamiłowania powinności ukształcać i do wykonywania obowiązków samym skutkiem i zwyczajem wprawiać". Uczono więc w szkołach ludowych (parafialnych) religii, obyczajności, czytania i pisania, rachunków, a nadto udzielano różnych wiadomości praktycznych, np. o miarach i wagach, o gospodarstwie. Wogóle bowiem zadaniem szkół Komisyi było, obok ukształcenia umysłów i uszlachetnienia serc, wychowanie praktyczne. Dlategoto i w szkołach średnich (t. zw. wydziałowych i podwydziałowych) uczono nietylko religii i nauki moralnej (z której nie wyłączano „obowiązków politycznych,... będąc bowiem wszyscy synami ojczyzny i związku pospolitego społecznikami, wszystkim też wiedzieć należy, czego po nich wyciąga powinność takiego stanu"), języków, historyi i geografii, matematyki i nauk przyrodniczych, ale nadto: prawa, rolnictwa, ogrodnictwa, miernictwa; nie zaniedbywano też hygieny, ze względu, że „zdrowie jest rzeczą najdroższą i najpotrzebniejszą na świecie". Przystąpiła wreszcie Komisya do reformy akademii wileńskiej i krakowskiej. Warto pamiętać, że reformatorem akademii krakowskiej był ks. *Hugo Kołłątaj*, który wypędził z niej scholastykę, a wprowadził prawdziwą naukę; i byłato uroczysta chwila, kiedy (r. 1781) znakomity uczony, *Jan Śniadecki*, wygłosił w akademii publiczną pochwałę Kopernika (który dawniej za „heretyka" uchodził), i to już popolsku, nie połacinie!

Pomimo przeszkód, jakie napotykała w swej działalności Komisya (zwłaszcza ze strony byłych jezuitów i ciemnej szlachty, która lamentowała np., że łacina przestaje być językiem wykładowym), dokonała wielkiego dzieła: zreformowane przez nią szkoły, szerząc rzetelną oświatę, były potężną dźwignią duchowego odradzania się narodu, które też, zapoczęte jeszcze przez Konarskiego, szybko postępowało za St. Augusta, a po upadku Polski nietylko, że nie utknęło, ale szło dalej i wspaniałe zaczęło wydawać owoce (zwłaszcza w literaturze). Pięknie i słusznie powiedział Kazimierz Brodziński, że „*Komisya Edukacyjna była kotwicą, która okręt ojczyzny nad przepaścią utrzymała*".

§ 76. *Lecz była jeszcze inna potężna dźwignia oświaty, a zatem i odrodzenia duchowego narodu: zreformowana, mądra i szlachetna literatura. Dokonano zaś tej reformy przy pomocy literatury (i wogóle umysłowości) francuskiej.*

Francya owoczesna stała na czele umysłowości europejskiej, chociaż nie ona, tylko Anglia, stworzyła nowe prądy życia umysłowego, które były dalszym ciągiem prądów, wytworzonych przez humanizm. Już humanizm (a później reformacya) wypowiedział walkę różnym powagom (§ 9); w wieku XVII walka ta przybiera corazto ostrzejszy charakter: uczeni angielscy przestają np. wierzyć w prawdy religii objawionej, głoszone przez Kościół, i usiłują własnym rozumem wyjaśnić zagadki świata. Wogóle, *zamiast ślepej wiary, zaczynają się samodzielne badania, oparte na rozumowaniu i doświadczeniu, oraz krytyka tego wszystkiego, co dawniej poczytywano za bezwzględną prawdę. Ten prąd umysłowości nazywa się racyonalizmem* — od wyrazu łacińskiego *ratio*: rozum; to tylko bowiem poczytywano za prawdę, do czego dojść może rozum o własnych siłach. A więc np. racyonalizm nie odrzucał wiary w Boga, ale odrzucał naukę kościelną o Bogu, jako o Istocie jednej we trzech osobach, rządzącej bezpośrednio światem i ludźmi; głosił naukę, że Bóg raz na zawsze stworzył prawa, rządzące światem, a więc sam nie potrzebuje rządzić nim ciągle i bezpośrednio; nauka ta nazywa się *deizmem*. Nie odrzucał zasad moralności chrześcijańskiej, ale dowodził, że rozum ludzki o własnych siłach, bez Objawienia, może dojść do tych samych prawd moralnych. Tak więc jedną z cech racyonalizmu angielskiego jest *krytyka religii objawionej*. Drugą cechą jest *krytyka pojęć politycznych i społecznych*. Dawniej wierzono, że władza królewska pochodzi od Boga: racyonalizm uczył, że to nieprawda, że panujący zawdzięcza swą władzę jedynie dobrowolnej umowie z narodem, a jeżeli tak, to naród ma prawo wymagać odpowiedzialności za rządy; uczono nadto, że jedna warstwa społeczna nie powinna posiadać większych praw od innej, domagano się równouprawnienia powszechnego, *upominano się o prawa człowieka*. Inną cechą racyonalizmu angielskiego jest *walka z ciemnotą wogóle*, lenistwem umysłowem i wstecznictwem, np. z poglą-

dem, że wszystko jest dobre i mądre, co stare i dawne, z różnego rodzaju przesądami i zabobonami.

Racyonalizm angielski już na początku XVIII wieku zaczął się krzewić we Francyi i na gruncie francuskim dochodził często do krańcowości. Deizm np. zamieniał się na ateizm, na zupełną niewiarę w Boga, w nieśmiertelność, a nawet w samo istnienie duszy. Wolter, jeden z najznakomitszych i najrozgłośniejszych w całej Europie pisarzów francuskich XVIII stulecia, wierzył wprawdzie w Boga, ale odmawiał Mu wszechmocy, a objawioną religię poczytywał za zabobon, za głupstwo i oszustwo, popełnione przez Kościół; ulubioną i prawie jedyną jego bronią w burzeniu tradycyi i powag były drwiny, śmiech, sarkazm, często niegodziwe szyderstwo. Inni posuwali się jeszcze dalej, zaprzeczając istnieniu Boga i pierwiastku duchowego w człowieku, dowodząc nawet, że wiara w jednego Boga jest zła i szkodliwa, i t. p. I krytyka pojęć politycznych doszła we Francyi do ostateczności: powstał pogląd, że, jeśli panujący zawdzięcza swą władzę dobrowolnej umowie z narodem, to naród ma prawo nietylko żądać od niego odpowiedzialności, ale wymówić mu miejsce, t. j. złożyć go z tronu, a nawet pozbawić go życia, co też zrobiono podczas rewolucyi. Tak więc racyonalizm francuski (jak niegdyś humanizm włoski, § 9) podkopywał zasady religii i moralności chrześcijańskiej. Wogóle (jak wszystko na świecie) miał racyonalizm swoje złe strony; ale miał i dobre: upominając się o prawa dla człowieka, bez względu na jego ród, majątek i zajęcie, uzasadniając i rozpowszechniając ideję wolności, sprawiedliwości i równości społecznej, stał się racyonalizm potężną dźwignią postępu społecznego w duchu demokratycznym; a wielbiąc rozum, jako najwyższą potęgę człowieka, głosząc hasła oświaty, nauki i krytycyzmu, domagając się wolności sumienia, słowa i druku, burząc odwieczne przesądy i zabobony, był potężnym czynnikiem postępu umysłowego ludzkości. To też słusznie wiek XVIII nazwano *wiekiem oświeconym.*

Do Polski cywilizacya francuska zaczyna napływać już w wieku XVII, od czasów Władysława IV, ogarniając jednak zrazu tylko dwory wielkopańskie (§ 61); za Sasów jej napływ staje się corazto silniejszym i szerszym (§ 72 i 74); dopiero jednak czasy St. Augusta są dla Polski wiekiem oświeconym. Dzięki corazto częstszym wyjazdom młodzieży polskiej do Francyi (oraz napływowi do Polski nauczycieli-Francuzów), szerzy się znajomość języka francuskiego, a wraz z nią—znajomość literatury francuskiej; ukazują się przekłady dzieł francuskich, corazto głośniej rozbrzmiewają hasła racyonalizmu, corazto częściej słychać, że rozum to potęga, że największą klęską Polski jest ciemnota, że więc „trzeba się uczyć, upłynął wiek złoty!“ Otóż *krzewicielką haseł oświaty i postępu staje się literatura.*

Na jej rozkwit wpłynął w znacznej mierze sam St. August

który, rozumiejąc, że literatura jest potęgą, bo urabia opinię publiczną, wystąpił nietylko jako mecenas (opiekun) literatów i uczonych, zachęcając ich do pisania słowem, podarunkami i pieniędzmi, ale nadto jako ich kierownik. Co czwartek odbywały się u króla uczty *(obiady czwartkowe)*, na których rozmawiano o różnych ważnych sprawach, literackich, naukowych, społecznych, politycznych, a wśród rozmowy zwracał król uwagę swych gości na ten lub ów przedmiot, który w literaturze poruszyć należało, np. na potrzebę równouprawnienia mieszczan ze szlachtą; za inicyatywą to króla powstało jedno z najznakomitszych dzieł literatury polskiej XVIII w.: *Historya narodu polskiego* Naruszewicza. Nie dosyć na tem. W r. 1765 otworzył król w Warszawie (na placu Krasińskich) *pierwszy teatr publiczny*, który się niemało przyczyniał do krzewienia oświaty, a to przez ośmieszające wstecznictwo i ciemnotę komedye satyryczne. Miała więc literatura stanisławowska pewien ścisły, określony kierunek: pisarze już nie błąkają się samopas, jak to było w wieku XVII, ale, jak żołnierze, zwartą ławą kroczą ku wyraźnie wytkniętemu celowi: ku oświecaniu społeczeństwa.

Czegoż uczyli pisarze stanisławowscy? Jak pisarze francuscy, tak i oni wypowiedzieli, w imię rozumu i postępu, wojnę przeszłości: ciemnocie i wstecznictwu; ale u nas walka ta nie doszła do takich ostateczności, jak we Francyi; ateizm np. był u nas rzadkiem zjawiskiem. Racyonalizm polski był umiarkowany; jak Komisya Edukacyjna, reformując szkoły, „szła środkiem pomiędzy ślepem do starych obyczajów przywiązaniem a niebezpiecznem nowości chwytaniem“, tak literatura umiała zachować rozumną miarę w walce z przeszłością: głosiła hasła postępowe, ale okazywała należny szacunek tradycyi, o ile jej pierwiastki nie były złe albo głupie, a przynajmniej nie szkodliwe, pierwiastki zaś szkodliwe starała się wykorzeniać, wydając walkę t. zw. sarmatyzmowi (w ujemnem tego słowa znaczeniu, § 70). A więc, pod względem religijnym, walczyli pisarze stanisławowscy z dewocyą, obłudą religijną, z zabobonami, fanatyzmem i nietolerancyą; pod względem społecznym — z przekonaniem o nierówności ludzi, z przywilejami szlacheckimi, z pychą rodową, z uciskiem ludu wiejskiego i upośledzeniem mieszczan; pod względem politycznym — z prywatą i nierządem (np. z *liberum veto*, tronem obieralnym i t. d.); pod względem naukowym — z nieuctwem, łatwowiernością, brakiem krytycyzmu (np. z wiarą w istnienie Wandy, Lecha, Popiela, z zamiłowaniem do bezsensownych powieści fantastycznych i t. p.); w zakresie obyczajów — z niechlujstwem, pijaństwem, zawadyactwem (junactwem), manią pochlebstwa (panegiryzmem). Z drugiej zaś strony walczono z „wiekiem zepsutym“, a więc z mędrkowaniem w rzeczach religijnych, blagą i zarozumiałością, rozpustą i karciarstwem i wogóle z rozluźnieniem obyczajów, z niemoralnością, słowem z ujemnemi stronami płynącej do Polski cywilizacyi francuskiej. Krótko mó-

wiąc, usiłowano odrodzić i przekształcić naród zarówno pod względem umysłowym, jak moralnym, zarówno politycznym, jak społecznym. I ta właśnie *dążność do uczenia i reformowania, do skierowania narodu na drogę prawdziwego, bo nietylko umysłowego, ale i moralnego, postępu stanowi główną cechę i główną zasługę naszej literatury stanisławowskiej*. Była ona mądrą i szlachetną mistrzynią życia, odzyskała tego ducha obywatelskości i patryotyzmu, jakim jaśniała literatura wieku złotego; i, jak w wieku złotym Modrzewski, Kochanowski, Skarga, tak w wieku oświeconym Naruszewicz, Krasicki, Kołłątaj, Staszyc są nietylko znakomitymi pisarzami, ale szlachetnymi nauczycielami swego narodu.

§ 77. *A jak odzyskała literatura mądrość treści, tak odzyskała i piękno formy, co zawdzięcza znów wpływowi literatury francuskiej*. Ta bowiem nie utraciła, jak polska, w wieku XVII piękności formy; przeciwnie, wiek XVII był dla niej wiekiem złotym, o czem wymownie świadczą tacy prozaicy, jak dwaj myśliciele: Descartes (Kartezyusz) i Paskal, dwaj kaznodzieje i moraliści: Bossuet i Fénelon, tacy poeci, jak dwaj tragicy: Kornel i Rasyn, wielki komedyopisarz Molier, znakomity bajkopisarz Lafontaine. Piękność zaś swoją zawdzięcza literatura francuska XVII w. głównie pilnym studyom nad autorami starożytnymi, a stąd Francuzi nazwali ją *klasyczną*, cudzoziemcy zaś—*pseudo-klasyczną* (t. j. nieprawdziwie, fałszywie klasyczną), ze względu, że wielu pisarzów francuskich (zwłaszcza drugorzędnych) nie umiało dobrze naśladować wzorów starożytnych, naśladując je zbyt niewolniczo, w mniemaniu, że, aby pisać pięknie, wystarczy ściśle przestrzegać tych przepisów pisania, jakie przekazała potomności literatura starożytna (np. Horacy). W drugiej połowie XVII wieku jeden z poetów francuskich, satyryk Boalo (Boileau), napisał wierszem dziełko p. t. *L'art poétique* (sztuka poetycka), poświęcone właśnie wykładowi przepisów, których, jego zdaniem, powinien słuchać poeta. Niektóre z nich są bardzo słuszne i do sądnego dnia powinny obowiązywać piszących, jak ten zwłaszcza, że język winien się odznaczać czystością, a styl— szlachetną prostotą, naturalnością i jasnością („Gdy nad pojęciem sensu potrzeba się trudzić, czytelnik takim wierszem zaczyna się nudzić"); ale niesłuszny jest np. pogląd, że poeta winien, jak ognia, unikać wyrazów pospolitych, często bowiem wyraz pospolity (byleby nie nadto pospolity, plugawy) maluje rzecz tak obrazowo, że go innym zastąpić nie można; przesadne unikanie wyrażeń pospolitych jest prostą drogą do nienaturalności stylu, przed którą przecie Boalo przestrzegał! Poezya powinna, jego zdaniem, naśladować „naturę", t. j. rzeczywistość, lecz nie każdą, ale tylko cywilizowaną; a więc np. przedmiotem, najgodniejszym poezyi, będzie życie królów, dworzan, bohaterów i wogóle ludzi niepospolitych, nie żyjących na łonie natury, ale ucywilizowanych; natomiast życie ludzi pospolitych (np. ludu wiejskiego) nie nadaje się

do poezyi (bo taki przedmiot będzie „nudny“!) Nałożył więc Boalo pęta na treść poezyi francuskiej, która, rozwijając się w myśl jego przepisów, przez długi czas była zwierciadłem życia jednej tylko warstwy społecznej (zwłaszcza dworu króla Ludwika XIV), a nie życia całego narodu. Ten właśnie *rozbrat z życiem ogółu stanowi wybitną cechę klasycyzmu francuskiego.* Nie dosyć na tem: i na ducha poezyi nałożył Boalo pęta; wymaga wprawdzie od poety natchnienia i ciepłego uczucia, któreby czytelnika „ogrzewało i wzruszało“, ale za główne zalety poezyi poczytuje rozum i zdrowy rozsądek (*la raison et le bon sens*), bo zadaniem poezyi jest nietylko bawić, ale jednocześnie uczyć, więc do rozumu przemawiać powinna; ideałem poezyi jest, aby była piękną prozą: znaczy to tyle, co wyrzucić z poezyi uczucie i fantazyę, bez których przecie niema poezyi!! Nakoniec i formę poezyi pragnął Boalo zakuć w kajdany: poeta, jego zdaniem, powinien pod względem formy naśladować arcydzieła starożytne, bo nic piękniejszego nikt nigdy nie wymyśli; dla każdego rodzaju poezyi są osobne prawidła, od których nie wolno ani na krok odstępować; w tragedyi i komedyi np. powinno się przestrzegać t. zw. trzech jedności: miejsca (nie wolno zmieniać dekoracyi!), czasu (wypadek, stanowiący treść sztuki, nie może trwać dłużej nad 24 godziny!) i akcyi (sztuka powinna stanowić jednolitą całość); wymaganie jedności akcyi jest zupełnie słuszne, ale dwa pierwsze wymagania nie mają sensu.

Cała ta teorya poezyi (rozwinięta i uzupełniona w XVIII w. przez innego pisarza francuskiego, Batteux) popełniła jeden wielki grzech: prawdą jest, że poetę obowiązują pewne ogólne i niezmienne zasady sztuki (t. zw. zasady estetyczne), ale nie wolno narzucać mu drobnostkowych prawideł, choćby one były ukute na podstawie poezyi tak pięknej, jak grecka i rzymska: przecie nie wszystko, co było dobre dla poezyi starożytnej, jest dobre dla nowoczesnej (np. mitologia, którą także zalecał Boalo!); przecie nie wolno wymagać od poety, żeby był tylko naśladowcą, żeby dobrowolnie krępował swobodę własnego uczucia i własnej fantazyi i wogóle twórczości. Ale to wszystko zrozumiano dopiero później, — w drugiej połowie XVIII wieku i w XIX; tymczasem zaś klasyczna poezya francuska i jej teorya cieszyły się w całej Europie powagą i wziętością: wszystkie literatury europejskie naśladowały francuską i tym sposobem wszystkie mają swój okres pseudoklasyczny.

U nas już za Sasów naśladowano poetów francuskich (np. Rzewuski, § 72), ale dopiero za St. Augusta naśladownictwo to staje się powszechnem. Więc i u nas Boalo uchodził za powagę, chociaż nie wierzono mu tak ślepo, jak we Francyi: jego poemat o poezyi przetłumaczył, a raczej przerobił, *Franciszek Dmochowski* p. t. *Sztuka rymotwórcza* (1788), ale nie we wszystkiem się z nim zgadzał; tak np. słusznie twierdził, że wymaganie jedności

czasu i miejsca w dramacie jest nieuzasadnione, a co większa, rozumiał, że nie wszystko jest „doskonałe z każdej miary, co pisze starożytność", że wogóle poeta nie powinien się trzymać dawnej sztuki, „jak pijany płota", bo „sztuka, wzięta z przykładów, ścieśnia ludzkie dzieła;... górny geniusz, lotne rozpuściwszy skrzydła, za nieprzestępne sztuki wyleci prawidła; pójdzie, gdzie zapęd myśli niesie go wysoki, *nowe* stworzy rodzaje, *nowe* da widoki;... godni naśladowania dawni autorowie, oni są nasze wzory, oni sztuk twórcowie, z ich dzieł się urodziła dla nas trudna sztuka: lecz *maż-li to być grzechem, że nowych dróg szuka geniusz twórczy, nie chcąc gościńcem iść bitym?*" Większość jednak pisarzów stanisławowskich poszła bitym gościńcem: satyrycy naśladowali Horacego, Boala, Woltera, komedyopisarze—Moliera, bajkopisarze—Lafontaine'a i t. d. Lecz naśladownictwo to nie było niewolnicze i wydało piękne owoce: za przykładem Francuzów nasi pisarze troszczą się pilnie o piękność stylu, nadewszystko zaś o *czystość języka.* Wogóle *literatura francuska odegrała u nas w XVIII w. rolę równie doniosłą i pożyteczną, jak w XVI—starożytna*: ona to przyczyniła się do odrodzenia nietylko mądrości myśli, ale i piękna formy. Najlepszem świadectwem odrodzenia pięknej formy są poezye Krasickiego i Trembeckiego, *Historya narodu polskiego* Naruszewicza i pisma Kołłątaja. Wprawdzie nie wzniosła się literatura w wieku oświeconym na tak wysoki poziom, na jakim stała w wieku złotym; wprawdzie najznakomitszy poeta tych czasów, Krasicki, nie wart Kochanowskiemu rzemyka u obuwia rozwiązać: ale w każdym razie jestto literatura, godna narodu cywilizowanego, europejskiego, wymownie świadcząca, że Polska nawiązała na nowo zerwany w wieku XVII związek z umysłowością i sztuką Europy zachodniej.

Czego jednak brakuje, na ogół biorąc, naszej literaturze wieku oświeconego, to gorącego uczucia, serdecznego ciepła; poezye Krasickiego np. są piękne, rozumne, ale uczucia w nich niewiele. Ale i pod tym względem zachodzi już zmiana na lepsze: *w literaturze budzi się serce*—pod wpływem samego życia: konfederacya barska, ten ostatni, może nieszczęsny, ale wspaniały w swojej odruchowości, poryw szlacheckiej Polski; a potem pierwszy rozbiór kraju, haniebny czyn Ponińskiego i bohaterstwo Rejtana; jeszcze później sejm czteroletni z Konstytucyą 3 maja, konfederacya targowicka, drugi i trzeci rozbiór i powstanie Kościuszki: to wszystko musiało przyśpieszać bicie serca polskiego, napełniając je z jednej strony niepokojem, smutkiem, upokorzeniem, rozpaczą, a z drugiej... nadzieją i wiarą w miłosierdzie boże. Obydwa te uczucia, patryotyczne i religijne, odzywają się w *pieśniach konfederatów barskich.* Pieśni to (nie wiedzieć przez kogo ułożone) nie wykwintne, czasem nawet rubaszne, proste, czasem naiwne, ale dlatego właśnie tak miłe, piękne miłością nieszczęśliwej ojczyzny, rozrzewniające wiarą w Boga, w pomoc Najświętszej Panny, jako Królowej Koro-

ny polskiej, i Świętych polskich, pełne wiary w zwycięstwo dobrej sprawy i w świetną przyszłość Polski. Wiara ta dźwięczy najsilniej w *Proroctwie księdza Marka:*

. . . .
Z tak strasznych wojen będzie tortur wiele,
Miecz krwi niewinnej obficie wyleje,
Wiele niewinnych marnie zginie braci,
Wstyd, poświęcony Bogu, panna straci,
Kapłan z ofiarą przy ołtarzu lęże,
W toż licho z mnichem zakonnika sprzęże.
Cna góra, złotem otoczona kołem,
Niech ufa w Bogu, nizko bije czołem,
Bowiem najbliższą będzie strasznej burzy;
Dym ją z innemi zarówno okurzy.
Kościoły z ozdób obdarte zostaną,
Dni zgoła wszystkie płaczliwe się staną.
Lecz się Najwyższy tej krzywdy użali:
Na nich się samych to nieszczęście zwali!
Więc czyń twojemu wieczne dzięki Bogu,
Bo On im przytrze wyniosłego rogu,
A ty, jak feniks z popiołów, powstaniesz,
Całej Europy ozdobą się staniesz!...

Im dalej w czas, tem częściej i silniej odzywa się w literaturze już nie sam rozum, ale i serce, np. w niektórych satyrach Krasickiego i Naruszewicza, w pieśniach religijno-patryotycznych Karpińskiego i Kniaźnina, w paszkwilach Zabłockiego, w poezyach Niemcewicza, w mowach, wygłaszanych na sejmie czteroletnim, w *Bardzie polskim* Czartoryskiego, a nadewszystko w przepojonych miłością ojczyzny, krwią i łzami pisanych pismach Staszyca.

Obok tej uczuciowości prawdziwej, szczerej, gorącej, płynącej z miłości Boga i ojczyzny, ukazuje się w literaturze polskiej wieku oświeconego nieznana dawnym Polakom uczuciowość fałszywa, nieszczera, mdła, jednem słowem, *czułostkowość czyli sentymentalizm*, t. j. pieszczenie się z własnem uczuciem, np. podziwianie własnych łez, własnego nieszczęścia i t. p. Twórcą tego nowego prądu w literaturze europejskiej jest znakomity pisarz francuski, Russo (Rousseau), który, na równi z Wolterem, wywarł znaczny wpływ na literaturę i wogóle na umysłowość polską. Inaczej, jak Wolter, przemawiał Russo w pismach swoich (pisanych prozą, ale będących poezyą) nadewszystko do serca, bo też sam miał serce miękkie i wrażliwe, chociaż, prawdę mówiąc, kochał tylko samego siebie i podziwiał się zawsze i wszędzie; inaczej, jak Wolter, wiedział i rozumiał, że serce jest od rozumu nie mniejszą potęgą i że ono także ma swoje prawa i swoje prawdy,—że wierzy,

t. j. uznaje za prawdę to nawet, czego rozum nie dowiedzie; kochał naturę, zachwycał się nią i upajał, miotał natomiast gromy na cywilizacyę, twierdząc, że ona to, jako wytwór rozumu, nie serca, jest główną przyczyną nieszczęść ludzkich, że, póki ludzie żyli na łonie natury i nie znali cywilizacyi, byli nietylko szczęśliwsi, ale i lepsi (co jest, nazywając rzecz po imieniu, wierutną brednią). Otóż sentymentalizm w poezyi polskiej powstał właśnie pod wpływem Russa (oraz jego naśladowców i wielbicieli); jego najznamienniejszym objawem są pieśni miłosne, a zwłaszcza *tkliwe sielanki pasterskie* (Karpińskiego i Kniaźnina): występują w nich pasterze i pasterki o sercach tak czułych, że ciągle wzdychają, tęsknią, kwilą, płaczą, jęczą, a wszystko to z miłości nietylko ku sobie i ku pięknej naturze, ale i ku owcom i baranom. Takie sielanki sentymentalne były modne w całej Europie; miały one być obrazem rzeczywistości, miały odtwarzać tak wielbione przez Russa szczęście prostego ludu na łonie natury, a w istocie są parodyą rzeczywistości, bo ci pasterze sielankowi do pasterzy prawdziwych są tak podobni, jak pięść do nosa.

Lecz, oprócz tej fałszywej (manierowanej) ludowości, ukazuje się w literaturze europejskiej XVIII w., mianowicie w angielskiej i niemieckiej, ludowość prawdziwa: uczeni ogłaszają zbiory pieśni ludowych, a poeci je naśladują. Otóż i u nas, już w XVIII w., są *utwory, odtwarzające życie ludu* bez przymieszki czułostkowości i nienaturalności, mniej więcej zgodnie z prawdą, trafiają się i *pieśni, wzorowane na pieśniach ludowych.* Lecz ten pierwiastek ludowy w literaturze naszej XVIII w. jest jeszcze bardzo słaby, zaledwie daje znaki życia; bądźcobądź już jest; z czasem, w w. XIX, ten zwrot ku ludowości oraz wciąż wzrastające pod wpływem wypadków uczucie patryotyczne przyczynią się do wspaniałego rozkwitu poezyi.

Tak więc *literatura nasza wieku oświeconego, z jednej strony, odzyskując mądrość i piękno, odkupiła niejako winy, popełnione przez zdziczałą literaturę czasów saskich, i stała się dźwignią odrodzenia duchowego narodu, a z drugiej, przez wzmagające się w niej uczucie patryotyczne i kiełkujący pierwiastek ludowości, zawiera w sobie zarodki przyszłego rozkwitu.*

§ 78. Ważną rolę w historyi oświaty i literatury stanisławowskiej odegrały *czasopisma.* Pierwsze polskie pismo peryodyczne powstało jeszcze za Jana Kazimierza: w r. 1661 zaczął się ukazywać w Krakowie *Merkuryusz*[1] *polski ordynaryjny, dzieje wszystkiego świata w sobie zawierający dla informacyi pospolitej.* Ale rozkwit czasopism przypada dopiero na panowanie St. Augusta, kiedyto było ich ogółem w Polsce blizko 90 (blizko 60 — w samej Warszawie). Oprócz politycznych, naukowych i in., wychodziły, za przykładem Anglii i Francyi,

[1] t. j. goniec.

t. zw. *czasopisma moralne*, których głównym celem było szerzenie w społeczeństwie cywilizacyi wogóle i walka z ciemnotą. Na ich czele kroczył *Monitor*[1], którego redaktorem był *jezuita* **Franciszek Bohomolec** z Białej Rusi (1720—1784), człowiek światły (kształcił się w Rzymie) i zacny, a jednocześnie bardzo wesoły,—on to jest autorem *Kurdesza*[2], znanej powszechnie piosnki przy kielichu („Każ przynieść wina, mój Grzegorzu miły, bodaj się troski nigdy nam nie śniły, niech i Anulka tu zasiędzie z nami! Kurdesz, Kurdesz nad Kurdeszami!“ i t. d.). Postać to wielce zasłużona. Jako nauczyciel szkoły jezuickiej w Warszawie, przekształcał w niej pilnie sposób nauczania — za przykładem Konarskiego; i on więc, dbały o czystość mowy rodzinnej, wypowiedział walkę makaronizmom, wydawał dla młodzieży dawnych historyków i poetów polskich. Troszczył się także, podobnie jak Konarski, o odpowiedni dobór utworów dramatycznych dla teatru szkolnego i w tym celu sam napisał, przerabiając i skracając sztuki włoskie i francuskie (zwłaszcza Moliera), szereg *komedyjek szkolnych*, w których ośmieszał ciemnotę i karcił niemoralność.

A kiedy król otworzył w Warszawie teatr publiczny (§ 76), Bohomolec przez długi czas zasilał jego repertuar, pisząc „*komedye na teatrum*“, w których naśladował głównie Moliera. Sztuki to słabe, często naiwne, ale bądźcobądź są to *pierwsze komedye polskie*, na to imię zasługujące, a szanowne przez rozumną dążność obywatelską, autor bowiem zawsze pragnął w nich czegoś nauczyć i coś ośmieszyć, mniemając, że „ten jest jedyny cel komedyi, aby, żartując z tego, co jest naganne, odrażało drugich od tego umysły; która komedya do tego nie zmierza, nie może się nazwać komedyą“.

Żartuje więc np. Bohomolec z nagannych przesądów szlacheckich—w *Małżeństwie z kalendarza* (1766). Główną postacią tej komedyi jest przesądny szlachcic Staruszkiewicz, który swój rozum zawdzięcza głównie jakiemuś staremu kalendarzowi i odwiecznemu sennikowi; który za ludzi poczytuje tylko szlachtę, i to polską szlachtę, bo cudzoziemiec, jego zdaniem, nie może być prawdziwym szlachcicem; wogóle nie cierpi Staruszkiewicz cudzoziemców i piorunuje na nich, że Polskę gubią i ogłupiają: dosyć powiedzieć, że „snom już wierzyć nie chcą“! Wobec tego nie chce zezwolić na małżeństwo córki swej, Elizy, z Ernestem, cudzoziemcem, chociaż wiernym sługą Rzeczypospolitej, pragnąc ją wydać za Marnotrawskiego, który jest wprawdzie głupi, jak but, ale Polak i szlachcic, — i to natychmiast: „Patrz — mówi do córki — co o dniu dzisiejszym kalendarz pisze: dziś dobrze jest brać ślub, kto chce mieć małżeństwo pomyślne i dzieci piękne; widzisz, drugiego dnia w całym kalendarzu nie znajdziesz!“ W tem postanowieniu umacnia go jeszcze sen: „śniło mi się niedawno, jakby do mojej owieczki dwuch wilków się skradało“, dobry i zły; to jasne, jak słońce: owieczką jest Eliza, wilkiem dobrym Marnotrawski, złym Ernest! Dopiero, gdy się okazuje, że Marnotrawski to hultaj, wy-

[1] dosłownie: upominacz. [2] kurdesz = piosnka przy kieliszku (także: braterstwo, przyjaźń).

rozumiał Staruszkiewicz, że dobrym wilkiem jest Ernest, i oddaje mu uszczęśliwioną córkę. Ośmieszając przesądy szlacheckie, jednocześnie występuje Bohomolec w tej komedyi w obronie mieszczan.

Za chłopami zaś ujmuje się w komedyi *Pan Dobry* (1767), w której poucza, że „nie może chłop panu sprzyjać, jeśli go pan krzywdzi“, że „niesprawiedliwość panów jest matką tej nienawiści, którą poddani ku nim miewają“. Oto pan Hałaśnicki, „człowiek na utrapienie drugich urodzony“, jest tyranem dla służby i chłopów: „ustawiczne hałasy, łajania, przekleństwa, bicie, mordowanie“; tymczasem pan Dobrotliwski jest dla chłopów „więcej, niż ojcem“, „w smutku cieszy, w potrzebie ratuje, w chorobie nawiedza i wszelkie każe czynić wygody“; to też Hałaśnickiego chłopi nienawidzą, Dobrotliwskiego ubóstwiają i, kiedy się syn jego żeni, składają się dla państwa młodych na podarunek; przynoszą go w imieniu całej gromady Wawrek i Maciek, który tak do pana przemawia: „Stach, sąsiad mój, *powróciwsy* z *Warsawy*, powiedział nam, że *pąn* starosta, syn Wpana, ma się *zenić*; skoro to *gruchnęło* po wsi *nasej*, taka radość... powstała, żeśmy i o robocie i o sobie samych zapomnieli; *Bartos nas* stary, to widząc, zawołał: «Ej, dziatki! uczyńmy *składankę* na wesele *nasego panica*!»“ A Wawrek, ujrzawszy pannę młodą, woła: „*Przysiągsy, ładna, kiedy owo lilija*“! A tak *wyprowadza Bohomolec na scenę lud wiejski*—Mazurów i każe im przemawiać ich własnym, ludowym językiem.

Lecz największą zasługą Bohomolca jest wydawnictwo *Monitora*. Pismo to, którego współpracownikami byli najznakomitsi pisarze XVIII w. (np. Konarski i Krasicki), przez całe dwadzieścia lat (1765—1784) krzewiło oświatę w duchu *umiarkowanego postępu*; przyświecało mu w tej pracy obywatelskiej piękne hasło: „Jeżeli umrzeć za ojczyznę rzecz słodka, cóż pożądańszego być może, jak ż y ć dla niej“? Z jednej strony, stał *Monitor* na straży religii, moralności, rozumnego poszanowania przeszłości; ale, z drugiej, ganił lub ośmieszał wszystko, cokolwiek w przeszłości było złego, a więc prywatę, wyłączność szlachecką, ucisk chłopów, przesądy i zabobony, wstręt do poważnych książek i wogóle — ciemnotę. Równie rozumne stanowisko zajął *Monitor* względem nowych prądów: z jednej strony namawiał do podjęcia reform politycznych i społecznych, upominał się o prawa dla mieszczan i ludu i wogóle walczył o prawa człowieka, zachęcał do nauki, streszczał francuskie książki pedagogiczne, aby nauczyć, jak dzieci wychowywać należy, wykładał zasady sztuki, słowem — krzewił oświatę; ale, z drugiej strony, karcił zepsucie obyczajów i bezmyślne małpowanie francuszczyzny, ośmieszał złotą młodzież, fircyków i karciarzy, blagierów, mędrków i niedowiarków, próżniaków i darmozjadów; nie darował i kobietom, zwłaszcza „żonom modnym“, wyszydzając ich wstręt do pracy, zamiłowanie do zabaw, strojów i plotek, przewracanie oczami i t. d. Nie przeoczył *Monitor* ani jednej potrzeby społeczeństwa polskiego, nie pominął ani jednej wady, słowem, odegrał niezmiernie doniosłą rolę w cywilizowaniu narodu. O wszystkiem zaś pisał to poważnie, to żartobliwie, a zawsze przystępnie i powabnie, posługując się to rozprawką popularną, to satyrą, to powiastką, to listem, nibyto nadesłanym

do redakcyi, i t. d.; tej *lekkości tonu* nie znała nasza dawniejsza literatura: artykuły *Monitora* to *pierwsze felietony polskie*. Oto próbka (której autorem jest sam Bohomolec).

Z Monitora na R. P. 1768. Nro XVIII. d. 3 Marca. Wiedząc, iż niniejszych czasów najchętniej nowiny czytają, postanowiłem dla przysługi moich czytelników donosić im niektóre ciekawości. Zaczynam.

Z Warszawy. Niedawnymi czasy hajduk jakiegoś pana, stargowawszy u chłopa furę siana za zł. 10 i złożywszy je w wozowni, nie zapłacił więcej, jak tylko zł. 8. Chłop dopomina się reszty z pokorą, upewnia go, iż to siano było pańskie, a zatem musiałby mu (t. j. panu) swoimi pieniędzmi tę resztę dołożyć; hajduk nie uważa nic na to: wypycha chłop[a] z wózkiem próżnym na ulicę. Chłop biedny nie przestaje dopraszać si[ę] swego; hajduk każe mu milczeć i kijem grozi. Zbiegło się pospólstwo na ten hałas i słucha owego chłopka, ze łzami krzywdę swoję przekładającego. Nie podobało się to imci panu hajdukowi, ile gdy widział, że lud chłopa stronę utrzymywał; przetoż, sądząc przez to swój honor obrażony, zbił mocno kijem swego nieprzyjaciela i z tryumfem zszedł z placu. Wszyscy ludzie są tego rozumienia, iż się to stało bez woli pańskiej, jeśli ów pan miał cokolwiek więcej sprawiedliwości nad swego hajduka. Jakoż to pewna rzecz, że pan nie musi o tem wiedzieć, ponieważ się to stało o godzinie dziewiątej, o której on jeszcze łóżkiem zwykł się bawić.

Jejmość pani Pieścicka ciężko na zdrowiu zapadła. Przyczyną jej choroby była śmierć niespodziana Szarmantki, która pomienionej pani największą w całym jej dworze była faworytką: z nią jadała, z nią kawę piła, z nią sypiała, z nią wizyty oddawała, z nią i na nabożeństwo do kościoła jeździła. Już drugi raz tej pani krew puszczono, a poprawy zdrowia nie widać. Pomieniona Szarmantka była rodem z Bononii, żyła lat 9, wzrostu była małego, maści białej, ale na jednem uszku czarność się przebijała; umiała służyć, tańcować, warować i szczekać. Powiadają, iż przyczyną jej śmierci była służąca, która ją śpiącą nagle obudziła; za tę nieostrożność pomieniona służąca dobrze jest skarana i odprawiona.

Podaje się do wiadomości, iż za bardzo mierną cenę, to jest z[a] czerw. zł. 200, znajduje się do przedania papuga bardzo piękna, któr[a] umie kilkanaście słów pofrancusku; ktoby ją chciał nabyć, niech się uda do kamienicy niedaleko szpitala, w którym jest 12 ubogich, nie mających więcej na dzień na wyżywienie całego zgromadzenia, jak złotych dwa.

§ 79. Jednym z najgłówniejszych warunków postępu i odrodzenia narodu jest znajomość dziejów ojczystych; tymczasem nie posiadał jej ogół społeczeństwa, co nie przeszkadzało, że się lubił na przeszłość powoływać, wtedy zwłaszcza, kiedy była mowa o reformach: „Niech dyabli porwą reformy! póki wszystko było postaremu, Polska była potężna, a zatem i teraz wszystko postaremu niech pozostanie!" — oto jak rozumował przeciętny szlachcic. Ale, jak było postaremu, o tem pojęcia nie miał i dziwił się albo oburzał, gdy mu kto mówił, że np. w starożytnej Polsce nie szlachta, tylko król rządził państwem i że wtedy właśnie Polska była

potężna. Nie rozróżniał także prawdy od fałszu i ślepo wierzył we wszystko, co nabajali o dziejach bajecznych dawni kronikarze, zwłaszcza Kadłubek (§ 2). Ogromną też zasługę, nietylko naukową, ale i społeczną, położył człowiek, który przeszłość narodową wystawił we właściwem świetle. Człowiekiem tym był *biskup smoleński*, **Adam Naruszewicz**, (1733—1796), *jezuita*, rodem z Pińska. Pochodził ze znakomitego, lecz zubożałego rodu; otóż, party ambicyą, mając (jak mówi) „wrodzoną miłość sławy", pragnął ród swój podźwignąć i uświetnić. Okoliczności mu sprzyjały: po ukończeniu studyów za granicą, po zwiedzeniu Francyi, Włoch i Niemiec, osiadł w Warszawie i tutaj pozyskał sobie nietylko względy i uznanie, ale i przyjaźń króla, któremu się wysługiwał i pochlebiał, z którego też ręki niejedno dobrodziejstwo i niejeden zaszczyt na „kochanego Narucha" spłynął. Ale, oprócz ambicyi „podobania się kochającemu i krzewiącemu nauki panu" (do którego się naprawdę szczerze przywiązał), miał inną jeszcze, prawdziwie piękną: oto, będąc gorącym patryotą, patrząc ze smutkiem i z wrodzoną sobie zgryźliwością na nieszczęścia ojczyzny, której jedyne zbawienie widział w zerwaniu z anarchią, złotą wolnością i ciemnotą, pragnął służyć krajowi, nie lękając się pracy; nie byłto bowiem, jak słusznie sam sobie świadczy, „tego gatunku człowiek, ażeby, ująwszy się raz oburącz pługa, folgować sobie umiał". Jakoż nie folgował sobie i w pocie czoła służył ojczyźnie „czytaniem, rozmyślaniem i piórem".

Z początku poświęcił pióro swe poezyi, ale na tem polu nie bardzo mu się wiodło i wieść się nie mogło, bo *nie posiadał ani fantazyi, ani natchnienia, ani wogóle talentu poetyckiego*, lecz o tem nie wiedział zapewne; a zresztą podzielał powszechne wówczas mniemanie, że się każdy może stać poetą, byleby tylko miał wykształcenie, znajomość pięknych wzorów i „prawideł" poezyi. To zaś wszystko posiadał Naruszewicz: kształcił się bez ustanku, znał poezyę starożytną i francuską, a co do prawideł poezyi, sam wykładał poetykę w szkołach jezuickich. I jakże tu nie marzyć o laurach poetyckich? Więc tłumaczył wierszem Horacego i Anakreonta, poprawiał i gładził wiersze króla (któremu się także zachciało być poetą); a i własnym dowcipem płodził bajki, sielanki, nadewszystko zaś *szumne i górnolotne ody*. Takie też to i ody: miały być gorące, a są zimne, miały być uroczyste, a są napuszone i nienaturalne; roją się od ciężkoukutych przymiotników (np. *bystropromienny*, *ciężkopłodny*, *dzikośmieszny*, *smutnowrogi*), od zwrotów zawiłych, od bóstw starożytnych; słowem, jest tam może wszystko, z wyjątkiem poezyi. Ich treścią są głównie kadzidła na cześć St. Augusta; raz np. porównywa króla, zwiedzającego szkołę, z Tytanem (słońcem), udzielającym swych promieni Arktom (krajom północnym); innym razem zaręcza, że w dniu urodzin króla „Styczeń wodokowy nad bieg przyrodni

zelżył gniew surowy". O stylu tych ód może dać pojęcie początek *Dytyrambu z powodu zupełnego ozdrowienia Jego Królewskiej Mości*: „O, ty, co, wiecznie krążąc wkoło płodnej ziemi, otaczasz ląd i wody lejcy ognistymi, a nieupracowany tocząc wieki ruchem, rzeźwisz gnuśne żywioły wszystkożywnym duchem, migni, o złote słońce, dzielniejszym promykiem! Niech twe bystre dzianety, rączym sprzęgłe szykiem, promienne zjeżą grzywy, a trakt gwiazdolity lotniejszemi, dzień niosąc, przemierzą kopyty". Z pewnością Naruszewicz nie wątpił, że to bardzo śliczne! Nie wątpili o tem i współcześni, i uchodził Naruszewicz za słowika, za natchnionego poetę, a jedną z pieśni jego („Królu, któryś naród oświecił, męstwo, cnotę, honor w nim wzniecił") śpiewała na wycieczkach młodzież szkolna.

Nierównie większą wartość mają *Satyry* (1778). Chłoszcze tu Naruszewicz, z jednej strony, sarmatyzm, jakoto nierząd, pychę rodową i mniemanie, że herb stanowi o wartości człowieka, panegiryzm i pieczeniarstwo (zwłaszcza na dworach magnackich), dewocyę i obłudę religijną, nadewszystko zaś ciemnotę; a z drugiej strony—niemoralność, wolnomyślność religijną, marnotrawstwo, karciarstwo, zepsucie kobiet. Dowcipu w satyrach niewiele, wdzięku ani na lekarstwo, jest zato wcale silna, złośliwa *ironia*, a niekiedy i szczere, głębokie *oburzenie* zacnego obywatela i zgryźliwego człowieka na „wiek zepsuty"; jest nadto *wyrazista, dosadna charakterystyka postaci* (typów satyrycznych) np. nabożnisia: „A ówże g r y z i p a c i e r z, wilk w baraniej skórze, co kościanemi gałki pobija na sznurze! Już na wszystkich obrazach polizał pokosty, podziurawił łysiną cerkiewne pomosty, co się boi przestąpić krzyżyka ze słomy, a on sam łgarz i pieniacz i zdzierca łakomy;... czyliż się za świętego nie udaje człeka, że każdego oczerni, każdego oszczeka?" Jeszcze dosadniej opisuje Naruszewicz „fircyka", t. j. modnego kawalera; posiada on całe mnóstwo zalet: jest „najpierwszym woźnym bogini Świegotki", t. j. plotkarzem; jest pyszałkiem, który „corazto w oczy swoją mitrą chluśnie" i przechwala się starożytnością swego rodu, „pawim się zalecając, jak kawka, ogonem"; jest obrzydliwym pochlebcą, wkradającym się w łaski kobiet; wreszcie jest próżniakiem i głupcem skończonym: „Fircyk, utrefiony cudnie, — legać mu tylko w betach [1], nim minie południe, albo latać, czy błoto, czy kurz na ulicy, jeśli który nie mignie kornet [2] z kamienicy, aby tam, bies wie jakie, mowy rozpościerał, a słuchającym gęby tęskliwe rozdzierał; a przecie tak bezwstydną dumą upojony, że, choć mu się w mózgowni lęgną ślepowrony, choć ledwie trafi, biedny, sens z głowy wyłatać, choć mu kozom ogony, nie rymom, zaplatać, choć mu wierzgać u fary na pniu między żaki, — bierze pracownych piórek dzieła na przetaki

[1] bety=pierzyny. [2] czepek kobiecy.

i tonem prawodawczym swoje głupstwo zdobi, ganiąc w drugim, czego sam nie zna i nie zrobi". Już to wogóle wybrednością stylu nie grzeszy Naruszewicz, ale zato czasem zdobywa się na niepospolitą jędrność—np. w tej krótkiej, ale przepysznej charakterystyce nierówności społecznej: „*W Polsce złota wolność pewnych reguł strzeże: chłopa na pal, panu nic, szlachcica na wieże*", albo w tym bolesnym, rozpaczliwym okrzyku: „*Wszystkich chwalim, iż dobrzy, i świeccy i księża, jednak giniem bez skarbu, rządu i oręża!*"

Z ośmiu satyr Naruszewicza najlepszą (i jedną z najlepszych w całej literaturze staropolskiej) jest *Chudy literat*, doskonała charakterystyka ciemnoty ogółu, bojącego się, jak dyabeł święconej wody, książek poważnych, ciemnoty, której skutkiem musiała być „chudość" (ubóstwo) literatów, zarabiających piórem na życie.

Chudy literat.

— A cóż to, mój uczony chudy mości panie?
Już to temu dwa roki, jak w jednym żupanie
I w jednej kurcie widzę literackie boki!
Sława twoja okryła ziemię i obłoki,
Że cię miały w kolebce Muzy mlekiem poić:
A z niej, widzę, że trudno i sukni wykroić.
Nie pytam, jak tam twój stół i mieszkanie ma się:
Podobno przy gnojowym blizko gdzieś Parnasie
Apollo ci swym duchem czczy żołądek puszy;
Szeląga nie masz w wacku [1], a długów po uszy.
Z tem wszystkiem pod pismami twemi prasy jęczą;
Ledwo cię pochwałami ludzie nie zamęczą,
Żeś ozdoba narodu, pszczółka, pełna plonu
Cukrowego, pieszczota, oczko Helikonu,
Kwiatek, perła, kanarek, słońce polskiej ziemi. —
— Przestań mię, miły bracie, szarpać żarty swymi.
Mam dosyć ukarania; wszystkom stracił marnie,
Żem się na mecenasy spuścił i drukarnie.
Te ostatni grosz za druk z kalety wygonią,
Tamci dość nagrodzili, kiedy się pokłonią.
Niepokupny dziś rozum: trzeba wszystko strawić,
Kto go chce na papierze przed światem objawić.
Pełno skarg, że się gnuśny Polak pisać leni,
A niemasz, ktoby ściągnął rękę do kieszeni,
Niemasz owych skutecznych ze złota pobudek;
Więcej szalbierz zyskuje albo lada dudek,
Co pankom nadskakiwa lub co śmiesznie powie:
Bo on za swe rzemiosło podarunki łowi,

[1] wacek = sakiewka.

A ty, biedny, swe pisma, opłaciwszy druki,
Albo spal, albo rozdaj gdzie miedzy nieuki,
Żeby z nich mogła Imość, gdy przyjedzie Jacek
Ze szkoły, czem podłożyć z rodzynkami placek.
Wolałbym się był lepiej bawić maryjaszem:
Chodziłbym, jak pan Pamfil [1], — z oprawnym pałaszem;
Kołpakby mi łysinę soboli nakrywał,
A ryś zpod brandebury [2] bujny połyskiwał.
To mi to kunszt zyskowny! Często w jednej chwili
Człowiek się pod pieniędzmi ledwie nie uchyli,
A czego nie wypisze przez rok ni wyczyta,
Jedna mu da fortunę w kartach faworyta!
Mój zaś bożek, Apollo, za usługi krwawe
Dał mi w nagrodę szkapsko, Pegaza, włogawe [3],
Który nie z jednym pono, jak się często zdarza,
Na popas do świętego zabłądził Łazarza.
Ostatnie to rzemiosło, co, prócz sławy kęsa,
Nic nie daje autorom—ni chleba, ni mięsa,
I żyć każe sposobem prawdziwie uczonym:
Wodę łykać, a wiatrem żyć z chamaleonem [4].
Gdybyć to kupowano księgi, toby przecie
Człowiek jaką łachmanę zawiesił na grzbiecie!...
Lecz w naszym kraju jeszcze ten dzień nie zawitał,
Żeby kto w domu pisma pożyteczne czytał.
Jeden drugiego gani, że czas darmo trawi;
Mówi szlachcic: „Czemu ksiądz księgą się nie bawi?
„Jemu każe powinność na to się wysilać,
„By nauką i pismem zdrowem lud zasilać...
„Alboż mu to o żonce z dziećmi myślić trzeba“?
A ksiądz: „Toć szlachcic sobie sam nie robi chleba:
„Sto pługów na jednego pasibrzucha ryje;
„Pewnie się on za dobro pospolite bije?
„Nie uziębnie na mrozie, na deszczu nie zmoknie:
„Siedzi w zimie przy ogniu, a w lecie przy oknie,
„Gadając z panem Żydem, kto w karczmie nocował,
„Wiele śledzi wyprzedał, wódki wyszynkował...
„Mógłby też co przeczytać, a z odętym pyskiem
„Nie być tylko szlachcicem herbem i nazwiskiem,
„Osobliwie, że mu się nie chce panem bratem
„Być prostym, ale posłem albo deputatem;
„Nie pięknie to, że sędzia nie zna prawa wcale,
„Chociaż jaśnie wielmożnym bywa w trybunale;

[1] wyżnik żołędny (walet treflowy). [2] brandebura = suknia zwierzchnia. [3] włogawy = kulawy (na tylne nogi). [4] chamaleon = kameleon (który, według podań średniowiecznych, żyje tylko powietrzem).

„Ani ów poseł z wielką przyjeżdża zaletą,
„Co tylko na podatki głośne ryknie *veto*!“
Tak się oni spierają; postaremu przecie
I ten i ów nie wiedzą nic o bożym świecie.
Każdy mówi, iż nie ma czasu do czytania,
Każdy się swą zabawką od książki zasłania:
Chłop ma co robić w polu, a rzemieślnik w mieście;
Mnich zabawny [1] swym chórem lub chodzi po kweście;
Ksiądz... lecz ja nie chcę z takiem państwem mieć poswarki;
Kupiec łokcia pilnuje lub zwiedza jarmarki;
Palestrant gmerze w kartach, co je strzygą mole;
Szlachcic pali tabakę lub łyka przy stole;
Dworaczek piętą wierci; żołnierz myśli, kędy
Karmnik [2] z wieprzem, ser w koszu, a z kurami grzędy;
Pan suszy mózg nad tuzem [3] i wymyśla mody;
Kobieta u zwierciadła, póki służy młody
Wiek, siedzi, a gdy starsze przywędrują lata,
Cudzą sławę nabożnym językiem umiata;
Stary duma, jak mu grosz jeden sto urodzi;
Młokos wiatry ugania i białą płeć zwodzi.
A z tej liczby zabawnych, można mówić śmiele,
Chłopi tylko a kupcy są obywatele.
Słyszałem ja, gdy pewny szlachcic do Warszawy
Przybył dla pewnej ze swym proboszczem rozprawy,
Który go za wytyczne [4] wyklął z kazalnicy,
Ujrzał sklepik z księgami na Farskiej ulicy;
Dziad je jakiś przedawał. Spytał na przechodzie:
„A nie wyszło też jakie dzieło w nowej modzie,
„Bym je zawiózł dla dzieci? Dobrze to nawiasem
„I samemu przy piwku co poczytać czasem;
„Teraz jest świat uczony; daj, Boże, poczciwy
„Żeby był, a poprzestał już wyrabiać dziwy!“
—„Mam—odpowie staruszek—i różnych i wiele:
„Są *Kazania* na święta i wszystkie niedziele.“ —
„Zachowajcie dla księży, mój bracie, boć lepiej
„Z karty dobrze powiedzieć, niż co drugi klepi,
„Dyabeł wie co, z pamięci na święconem drzewie,
„A tego, co powiada, sam i słuchacz nie wie.“
—„Mam wydanego teraz niedawno *Tacyta*.“ —
„Niech go sobie sam miły pan autor przeczyta,
„Niemasz tam nic śmiesznego: to pisarz pogański!“
—„Więc waćpan racz dla śmiechu kupić *Sejm szatański*[5].“—

---

[1] zajęty. [2] chlewek. [3] tuz = as. [4] wytyczne = dziesięcina. [5] „Sejm szatański“ — satyra 17 wieku, której treść podaje autor niżej.

„To pewnie po radomskiej co nastąpił radzie?“ [1]
— „Ej, nie! Tu, w czarnej siedząc Lucyper gromadzie,
„Słucha biesów, aby mu rachunek oddali:
„Wiele ludzi po świecie pooszukiwali,
„Wiele niewierny patron [2] spraw wygra niesłusznych,
„Wiele ktoś nawyłudza złotówek zadusznych,
„Wiele łez pan wyciśnie z poddanych okrutny,
„Wiele biesów naliczy szuler bałamutny,
„Wiele plotek po mniszkach, próżności po damach,
„Obietnicy u panów, a łgarstwa po kramach.“ —
„To coś bardzo strasznego...“ — „Owóż arcyśliczna
„Książka, co tytuł *Przyjaźń* ma *patryjotyczna* [3].“ —
„Musi to być szalbierstwo: teraz patryjotą
„Ten tylko, co do siebie zewsząd garnie złoto;
„Miłość dobra ojczyzny w księgach tylko stoi;
„Każdy się w sobie kocha i o siebie boi,
„Żeby mu kordon [4] jakiej nie zagarnął wioski,
„Waląc wreszcie na króla i winy i troski.“
—„Są wiersze.“—„To błazeństwo!“—„Są też *Polskie dzieje.*“—
„Bodajbyście wisieli na haku, złodzieje,
„Żeście, w wieczne swój naród podając pośmiechy,
„Powyrzucali z kronik i Wendy i Lechy!“
—„A o gospodarstwie też będzie wziąć co wola?“—
„I bez książek pszenicę rodzi moja rola!“
—„To o rządzie Europy?“ — „A mnie bies co po tem,
„Jakim się cudze sprawy wiją kołowrotem!
„Ja wiem, że u nas sejmik będzie na Gromnicę,
„A jarmark na Łucyją, świętą męczennicę!
„Nie baj, miły staruszku; trzeba dla mej pani
„Dryjakwi [5], co od Złotej noszą Węgrzy Bani [6]:
„Dwa razy tylko była mi w Warszawie, alić
„Nie może, biedna, spazmów od siebie oddalić.“
—„Takie rzeczy w aptekach.“ — „Więc przecie, mój bracie,
„Drukowane jej w sklepie opisanie macie.“
—„Cóż więcej?“—„Kalendarza!“—„A jakiego?“—„Coby
„Uczył, czy będą u nas i jakie chorcby
„W tym roku, jeśli pokój, czy będziem mieć wojnę,
„Czy głód, czy urodzaje obaczymy hojne?“
—„Jest mały kalendarzyk.“—„Ten?... to zdrajca, który
„Poodzierał szlacheckie nazwiska ze skóry,

---

[1] radomska rada=konfederacya radomska; mowa tu o sejmie z r. 1767-8 upamiętnionym porwaniem senatorów przez Repnina. [2] adwokat. [3] „Przyjaźń patryotyczna“ — książka A. Kamińskiego o miłości ojczyzny. [4] kordon — linia wojska na granicy; mowa tu o kordonach pruskich, austryackich i rosyjskich (po pierwszym rozbiorze). [5] dryakiew—lekarstwo. [6] Złota Bania—miejscowość na Węgrzech.

„Co nigdy nie napisał (aż mię serce boli!),
„Lubom za przywilejem wendeński podstoli [1].
„Będę się, chyba że mię śmierć ze świata zdejmie,
„Publicznie protestował za wzgardę na sejmie,
„By mi go zerwać przyszło!..“ Tak po targu sprzecznym,
Dawszy tynfa [2] rudego z mieczem obosiecznym,
Poniósł biblijotekę na ładunek głowy:
Receptę do dryakwi i kalendarz nowy!..
Owóż masz literata! Nie jeden to taki,
Co woli w domu czytać szpargał ladajaki
Lub zbijać tylko grosze, by je pan syn stracił,
Niż gdyby rozum pięknem czytaniem zbogacił.
Więc, jako też kto czyta, tak potym i prawi:
Pali Euksyn [2], na piaskach papierowe stawi
Okręty; bohatyrów na powietrzne sadzi
Wozy i przez obłoki gryfami prowadzi;
Zamienia ludzi, w wilcze przyodziawszy skóry;
Nosi baby na Łyse przez kominy góry;
Widzi Abla z Kaimem na miesięcznej zorze
I solone Syreny prowadzi przez morze...

§ 80. Swoje nieśmiertelne stanowisko w dziejach literatury i wogóle umysłowości polskiej zawdzięcza Naruszewicz *Historyi narodu polskiego.*

Rozmiłowany w nauce historycznej, opracował krótki podręcznik historyi starożytnej, a co ważniejsza, przełożył na język ojczysty pisma najznakomitszego historyka rzymskiego, Tacyta. Otóż król, znając zamiłowanie Naruszewicza do historyi, a nadto jego uczoność i nadzwyczajną pracowitość, umyślił sobie nakłonić go do napisania historyi ojczystej. Raz, na obiedzie czwartkowym, wyraził St. August życzenie, aby uczeni polscy opracowali życiorysy znakomitych, godnych naśladowania dawnych Polaków; życzenie to spełniło się poczęści: niebawem opracowano życiorysy Jana Zamojskiego, Stefana Czarnieckiego, Jerzego Ossolińskiego i in., lecz najlepszy, znakomity, życiorys wyszedł z pod pióra Naruszewicza: jego *Historya Jana Karola Chodkiewicza* (ogłoszona drukiem dopiero w r. 1781) jest najlepszą monografią historyczną w literaturze staropolskiej. Lecz królowi to nie wystarczało: w r. 1774 wezwał Naruszewicza do opracowania całości historyi

[1] Od pokoju w Oliwie miasto Wenden (w Inflantach) przestało należeć do Polski; a stąd godność „podstolego wendeńskiego“ była już tylko tytularna, i dlatego to pominął ją w spisie urzędników ów kalendarz.
[2] tynf — moneta. [2] Euksyn = morze Czarne; mowa tu o bezsensownych powieściach fantastycznych.

ojczystej. Naruszewicz, zawsze do pracy skory, nie odmówił: uciekł z Warszawy w swoje strony rodzinne, zamknął się na cztery spusty i przystąpił do dzieła „w krwawym pocie czoła, z ofiarą zdrowia i wolności", „dla nauki i pożytku spółziomków". Z drukiem się nie śpieszył, bo rozumiał, że na pośpiechu straci wartość dzieła; pragnąc zaś przekonać króla, który się niecierpliwił i naglił, by drukować, że nie próżnuje, posłał mu wiersz, p. t. *Głos umarłych* (1778). Wymowniejszego dowodu pracy złożyć nie mógł: jestto bowiem owoc sumiennych badań i głębokich rozmyślań nad przeszłością Polski, rozmyślań zacnego patryoty, który, rozumiejąc, że, przyczyn nieszczęść ojczyzny szukać trzeba nie w „obcych uciskach", tylko we własnych winach, nie wahał się tej bolesnej prawdy wypowiedzieć, słusznie upatrując źródło nieszczęścia Polski w *osłabieniu silnej niegdyś władzy monarchicznej* oraz w płynących stąd anarchii, złotej wolności, rządach sejmikowych i egoizmie stanowym szlachty (z krzywdą chłopów i mieszczan); nie wahał się również napiętnować jednej z wad naszego charakteru narodowego: niewdzięczności,— czarnej niewdzięczności wobec własnych królów-dobroczyńców. Szkoda tylko, że i tutaj nie wyzbył się Naruszewicz panegiryzmu względem St. Augusta, któremu wróży, że przyjdzie chwila, kiedy go naród nazwie ojcem ojczyzny!!! Ale pozatem jest *Głos umarłych* utworem prawdziwie pięknym, jest jedynym wierszem Naruszewicza, wznoszącym się do godności prawdziwej poezyi, a to przez podniosłość tonu i powagę formy, przez wspaniałą jędrność stylu (zwłaszcza w strofie: „Ociec król"), a nadewszystko przez głębokość i siłę, szczerość i rzewność uczucia patryotycznego, jakie biją z tej bolesnej skargi, włożonej w usta królów polskich, którzy i po śmierci „patrzą na ziemne zwysoka mieszkańce", — na swoje nieszczęśliwe dzieci. *Głos umarłych* to najpiękniejsza poezya patryotyczna w całej literaturze naszej XVIII w.

Głos umarłych.

Z kwiecistych posad helikońskiej góry
Miedzy zamierzchłe wtrącony cyprysy,
Gdy mchem porosłe przeglądam marmury,
Nad zatartymi jękając napisy, —
Lat waszych niemem świadectwem, królowie! —
Taki się z mogił głos do mnie ozowie:
„Ty, co narodu mego piszesz dzieła
„I z umarłymi mieć rozumiesz sprawę!
„Nie tak nas twardym snem Kloto[1] ujęła,
„Zwlókłszy widzialną słabych ciał podstawę,
„Byśmy część lepszą życia utracili:
„Żyliśmy, żyjem i będziemy żyli.

---

[1] Kloto, Lachesis, Atropos — trzy Parki.

„W wiecznego kręgu osadzeni świata,
„Patrzym na ziemne zwysoka mieszkańce;
„Głos żalów waszych i tu nas dolata,
„Gdzie, nieprzebyte usypawszy szańce
„Twórca na oddział błędu i istoty,
„Nam dał doznawać, wam dociekać cnoty.
„Czegoż się błędny uskarżasz narodzie,
„Zwalając los twój na obce uciski?
„Szukaj nieszczęścia w twej własnej swobodzie
„I bolej na jej opłakane zyski!
„Żaden kraj cudzej potęgi nie zwabił,
„Który sam siebie pierwej nie osłabił.
„Stargawszy węzeł pokoju i zgody,
„Niegdyś w najwyższej władzy osadzony,
„Rozbiegliście się, jako liche trzody,
„Bez wodza, rządu, rady i obrony.
„Ostygło dobra publicznego serce,
„Albo pochlebce, alboście oszczerce!
„Cóż kiedy niesfor[1] głów tysiąca zrobił?
„Wiążąc bezczynne monarchów ramiona,
„Zdzierał publiczność, swe prywaty zdobił,
„Szerzył ze starostw dziedziczne imiona,
„A pod pozorem wolności mniemanej
„Określał[2] króle, rozmnażał tyrany.
„W niczem ojczyzna dotąd nie urosła,
„Jako się członki rozprzęgły od głowy:
„Stracił kmieć przemysł, upadły rzemiosła,
„Włożyła w pochwy Temis[3] miecz surowy;
„Kapłan dla zbioru, pan został dla zwady,
„Król dla pozoru, żołnierz dla parady.
„Święte Jagiełłów i Piastowe zbiory,
„Na pastwę dumy nikczemnie zmienione,
„Gnuśne próżniaków uzłociły dwory
„Albo w stołowych zbytkach ponurzone;
„Zginęły z królów odarte łupieże,
„Wiatr ich roznosi i zamki i wieże.
„Zbrojnych zastępów ogromne szeregi
„Pod jednem berłem ledwo kto policzy;
„Drżały przed nimi oba morza brzegi,
„Gdzie im Dniepr z Wisłą pławi swe zdobyczy,
„Dziś ni rycerstwa, ni wojennej sławy,
„Chociaż się liczne podniosły buławy.
„Pod jednej matki skrzydła rozpostarte
„Sierocych piskląt garnie się drużyna,

[1] niesforność, niezgoda. [2] określać=ograniczać. [3] bogini sprawiedliwości.

„Gdy na nie orlik, pazury otwarte
„Z góry podnosząc, uderzać zaczyna;
„Wyście ją z piórek obnażyli marnie:
„Czemże was w trwodze ta matka ogarnie?
„Niemasz pod słońcem, jak świat stoi światem,
„Gdzieby się w rządzie większe działy cuda.
„Pocóż królewskim błyskać Majestatem,
„Jeśli bezczynna w nim tylko obłuda?
„Po co ich szukać, łożąc kosztów wiele,
„Jeśli królowie są nieprzyjaciele?
„Ociec król — czemuż dziecię mu nie wierzy?
„Pan — cóż poddaństwo w hołdzie mu oddawa?
„Wódz jest najwyższy — czemuż bez żołnierzy?
„Sędzia — gdzież w jego ręku miecz i prawa?
„Nędznaż to ziemia, dzika i szalona,
„Gdzie same tylko w rządzących imiona!
„O! błędna trzodo herbownej gołoty [1],
„Co, na twe chytre patrząc przewodniki [2],
„Nie znasz, jak z twojej żartują prostoty,
„Klejąc, zrywając przedajne sejmiki!
„Dla swych cię oni prywat używają:
„Ty chcesz wolności — a oni ją mają!
„Dziedzicznych swobód twierdzę i obronę
„Za kielich trunku, ukłon bałamutny,
„Wybierasz posły jaśnie oświecone,
„Wrzeszcząc do chrypki na rząd absolutny.
„Nie tobie oni twoją łowią wędą:
„Ty pługiem orać — oni tobą będą!
„Kto tylko wielkim żył na waszym tronie,
„Musiał za pasy chodzić z niewdzięczniki;
„Zwano go ojcem, ale już po zgonie,
„W martwych popiołach miedzy nieboszczyki!
„Wasz to obyczaj cierń w życia przeciągu
„Kłaść im na głowy, kwiat aż na posągu.
„Dzielny Łokietek, co Polskę zjednoczył,
„Trzykroć ojczystą musiał rzucać ziemię;
„I, choć sto grodów murami otoczył,
„Choć dzikie w kluby [3] praw osadził plemię,
„Złość i Wielkiego Kazimierza przecie
„Czarnemi farby ośmiła na świecie.
„Tęsknił Jagiełło nieraz w tej koronie;
„Syn [4] jej nie pragnął, zwlekając czas długi;
„Zygmunt choć mówił, że śmiało na łonie

[1] herbowna gołota (hołota) = szlachta. [2] t. j. na magnatów. [3] kluba, kluby = karby, porządek. [4] Kazimierz Jagiellończyk.

„Poddanych spocznie za liczne usługi,
„Targnęliście się po dwakroć nań, dzicy,
„Buntem we Lwowie [1], a kulą w stolicy [2].
„Któż twe policzy przykrości, Stefanie,
„O ty, północnej siły mężny gromie?
„Kto trudy twoje, Kazimierzu Janie?
„Los cię przymusił umrzeć w obcym domie;
„Uratowałeś ojczyznę w złej toni:
„Twoi się na Cię porwali do broni [3]!
„I Ty, choć pędzisz wiek w troskach i pracy,
„Znosząc win cudzych ciężar, Stanisławie!
„Pewnie Ci wdzięczni zostają Polacy,
„Że im królujesz mądrze i łaskawie?
„Oto Ci codzień, w samej wieku wiośnie,
„Z smutku na głowie śnieżny włos urośnie.
„Tyś ciągłej rady duchem rząd ocucił,
„Co, śpiąc dwa roki, ocknął się i zasnął;
„Za twym powodem lustr nauk powrócił, —
„Już on był prawie w barbarzyństwie zgasnął;
„Łagodzisz wrzawy, wprowadzasz porządki,
„Targasz zawisne na kraj losów wątki.
„Za miłość wierną króla-patryjoty,
„Wie świat, coś cierpiał od wzięcia korony;
„Więcej w Twem sercu utaiły cnoty
„I do dobroci umysł urodzony.
„Nie wzdychasz na twe i szwanki i szkody:
„Bardziej cię bolą ojczyste przygody.
„Czekaj tej słodkiej, lecz późnej zapłaty,
„Kiedy Twe zwłoki zimny głaz przywali;
„Zapłacze naród Twej w czasie utraty —
„Cnota dopiero po zgonie się chwali —
„I, żeś był Ojcem swej Ojczyzny, powie!“
Na tem się ziemny głos zakończył słowie.

Nareszcie, w lat sześć po rozpoczęciu pracy, wydał Naruszewicz tom pierwszy swej *Historyi narodu polskiego od przyjęcia chrześcijaństwa* (1780), a w sześć lat później (1786) ukazał się tom szósty i, niestety, ostatni, doprowadzony tylko do ślubu Jagiełły z Jadwigą. (Tom wstępny, obejmujący dzieje Słowiańszczyzny i Polski przedchrześcijańskiej wydano dopiero po śmierci autora, w r. 1824).

Jeszcze przed rozpoczęciem pracy złożył Naruszewicz królowi memoryał, w którym wypowiedział swoje poglądy na zadania historyka i historyi; jego zdaniem, dzieło historyczne posiadać win-

[1] wojna kokosza. [2] r. 1523 w Krakowie strzelił ktoś do Zygmunta Starego. [3] rokosz Lubomirskiego.

no cztery główne przymioty: „zebranie rzeczy pilne“, „rozłożenie łatwe i porządne“, „krytykę mądrą“ oraz „ozdobienie gładkością pióra powabne“, t. j. styl „gładki, wspaniały, płynny i poważny“.

Warunek pierwszy wypełnił Naruszewicz świetnie: „zebranie rzeczy“ jest tak pilne, jakiego nie było w Polsce od czasów Długosza (§ 8). Jak Długosz, tak i on zgromadził wszystkie możliwe źródła dziejowe: nietylko dawne kroniki i opracowania, drukowane i rękopiśmienne, polskie i niepolskie, ale i dokumenty — „zapleśniałe po archiwach i bibliotekach papierów stosy“; nie pominął nawet źródeł, na pozór mniej ważnych, np. opowieści o cudownych obrazach, słusznie mówiąc, że „i w tych pobożnych ramotach wielkie i ważne do oświaty ciemnych w historyi zakątów znaleźć można dowody“. Bo rozumiał Naruszewicz, on pierwszy w Polsce (nauczył się tego od Woltera), że historyk winien badać nietylko sprawy państwa, ale i cywilizacyę, obyczaje i charakter narodu, i że na historyę składają się nietylko dzieje zewnętrzne, ale i wewnętrzne: „Jako ciała ludzkie, istotą duchowną ożywione, przez wewnętrzne i zewnętrzne niemocy, które je słabią, mają osobliwsze jakieś przymioty, jedne od drugich, w głosie i ustach, spojrzeniu, chodzie, rozróżniające: tak wszystkie narody... mają właściwe krajom swoim przydatki; mówię tu o krajowych obyczajach, o charakterach wieków i ludzi, które nie są tak pospolitą materyą, aby historyk... nie miał dotknąć tej powierzchownej cechy, częstokroć grunt i skłonności wewnętrzne narodów wyrażającej; do objaśnienia tego punktu służyć mu powinno to wszystko, cokolwiek do obrządków i ceremonii, tak świeckich, jako duchownych, przynależy; takie są opisania inwestytur, ustanowienia trybunału, wjazdów publicznych na magistratury, koronacyi królów,.. ślubów, pogrzebów, igrzysk,.. mody w sukniach, pojazdach, dworach i budowaniu, do czego starożytne nawet obrazy, rzeźby i malowidła pomocą być mogą... Nie dosyć na tem historykowi wypisać, co Polacy i jakim sposobem zdobyli, jeśli w ciągu powieści swojej nie ukaże, jak swój nabytek w kwitnącym stanie utrzymywali lub go niedbalstwem i nierządem słabili i utracili: moc oręża, spadki dziedziczne, unie i inkorporacye rozszerzają granice królestwa, mądre prawodawstwo, rząd wewnętrzny, handel, rolnictwo, rękodzieła i nauki krzewią one, zdobią, bogacą i zasilają. Do doskonałego tej tak głównej historyi części ułożenia należy pracującemu około niej mieć zebrane wszystkie prawa narodowe...; a że, po osłabieniu w narodzie naszym władzy monarchicznej, zupełnej za Piastów, a tchnącej jeszcze jakokolwiek za Jagiellonów, źródłem lagislacyi (prawodawstwa) krajowej zostały sejmy, należy mieć wszystkie onych dyaryusze (dzienniki)... A co się tycze nauk, wiedzieć ma pisarz szczególne opisy, przywileje, powinności akademii, szkół, far, życia, dzieła i nadgrody ludzi uczonych, wprowadzenie i nadawanie duchowieństwa, z powołania swojego dla nauki i oświecenia ziomków, dobroczynnością

królow, miast i prywatnych obywatelów utrzymywanego; skądby mógł poznać, jako u nas nauki, rękodzieła, przemysł, porządek, bogactwa wzrost brały lub słabły i upadały.“ *Tak szerokiego poglądu na zakres historyi nie miał u nas nikt przed Naruszewiczem*, bo też pogląd ten stworzyła dopiero nauka wieku oświeconego.

Z warunkiem drugim, z „rozłożeniem łatwem i porządnem“, nie umiał dać sobie rady Naruszewicz: jak Długosz, tak i on opowiada o wypadkach historycznych z roku na rok, a więc *układ jest przestarzały, kronikarski* i przez to wcale nie „łatwy“, owszem utrudniający czytelnikowi wyrozumienie ciągłości przyczynowej wypadków; a nie jest i „porządny“, skoro wiadomości o dziejach wewnętrznych umieścił autor nie w samym toku wykładu, ale w osobnych przypiskach (np. o organizacyi Kościoła w Polsce, o żupach solnych, o wojskowości, o rządzie i t. d.).

Z trzeciego zato zadania wywiązał się Naruszewicz, jak należy: w jego *Historyi* jest „krytyka mądra“, i ona to właśnie stanowi najznamienniejszą cechę i zarazem najwyższą zaletę dzieła. Na czemże polega ta „krytyka mądra?“ Na tem przedewszystkiem, że historyk winien „wyśledzić przyczyny, oceniać skutki“: „mało na tem, że kto wygrał bitwę, jeżeli nie wiem, z jakich powodów wojnę zaczął, jakiemi drogami prowadził, co za zysk wzięła wygrana.“ Otóż tej zasady pilnie przestrzega Naruszewicz, zapatrując się na dzieje, jako na jeden ciągły łańcuch przyczyn i skutków; innemi słowy, jego *Historya* jest pragmatyczna. Ale to nie wystarcza: głównem zadaniem krytyki jest rozróżnianie „pozoru od prawdy“. Wiedział o tem wprawdzie już Długosz, ale cóż z tego, kiedy, jako człowiek średniowieczny, był nadto łatwowierny, wierząc np. ślepo baśniom o Popielu, Krakusie, Wandzie i t. p. Naruszewicz, jako syn wieku oświeconego, już nie wierzył; wiedział, że „nie wszystko to prawda, co starzy napisali“, rozumiał, że, „jak czysta woda, odchodząc coraz dalej od swego źrzódła, przylewem obcych ścieków traci swą barwę, smak i istotę, traciła prawda w zamącaniu swojem z baśniami pewność pierwiastkową; wprowadzone z czasem pisma ugruntowały tem bardziej powagą pisarzów gminne podania; trudno już więc było co mówić przeciwko Lechowi, Wandzie i Popielom: niejeden się dąsał, zasłaniając się, jak tarczą, tradycyą antenatów a powagą Kadłubka; potrzeba było atoli odważyć się na tę pracę“. Otóż on się pierwszy na to odważył, on pierwszy poczytywał Kadłubka za bajarza, to też drwił sobie i z niego i z jego „przypiewków nadprzyrodzonych“, nazywając je „głośnemi trąbami, donoszącemi o fałszu całej powieści;“ historya Wandy np. byłaby jego zdaniem „piękną nader do bajecznego jakiego romansu albo do tragedyi materyą“, ale nie do nauki; więc *wyrzucił dzieje bajeczne*, w przekonaniu, że dopiero „Ziemowita panowanie na pewności historycznej gruntować można.“

W tym swoim krytycyzmie posunął się Naruszewicz jeszcze da-

lej. Wierzył w Opatrzność i sprawiedliwość boską, która „występki ściga i karze“, ale i w to wierzył, że Bóg, stwarzając świat, stworzył i niewzruszone prawa, które rządzą zarówno naturą, jak ludźmi, a jeżeli tak, to różne wypadki, które się wydają ludziom cudami, nie są nadprzyrodzone, bo się dadzą wyjaśnić właśnie owemi prawami, których znajomość zwiększa się z postępem wiedzy ludzkiej. Opowiada Długosz, że w r. 1241, gdy Tatarzy oblegali Wrocław, pewien zakonnik „modlitwą swoją uwolnił miasto od oblężenia: kiedy bowiem oddawał się modlitwom, słup ognisty z nieba spuścił się na jego głowę i miasto z całą jego okolicą cudownym blaskiem oświecił; to zjawisko takim strachem zdjęło Tatarów, że uciekli“. I Naruszewicz mówi o tym słupie, ale dodaje: „Badacze natury i jej tajemnic, twórczą ręką na użytki ludzkie sporządzanych, przypisują to zorzy północnej, której się dzicz lekkowierna ulękła, jako wpływów na ziemny okrąg nadpowietrznych nieświadoma, a Opatrzność też na prośby sługi swojego zrządzić mogła, że ten *przyrodzenia skutek* stał się okrutnych umysłów kaźnią i rozgromem.“ Wogóle o wszelkich cudach mówi Naruszewicz nietylko ostrożnie, ale czasem z wyraźnym odcieniem niewiary albo niechęci, pisząc np.: „Wspomina Długosz o cudownem przez św. Stanisława wskrzeszeniu Piotrowina; dawniejsi od Długosza kronikarze o tem zamilczeli;“ „cuda, zdarzone po śmierci męczennika, uwieńczyły cnoty jego i pamięć w potomności“: ale, ponieważ cuda te są „od pisarzów narodowych i obcych po stokroć w druk podane“, więc poco i naco o nich mówić? Po zabójstwie biskupa, opowiada Naruszewicz, papież odsądził Bolesława od korony; czyn ten nazywa bez ogródki *bezprawnym*, dodając, że wogóle mieszanie się papieżów do spraw politycznych było „nieszczęśliwością, równie dla narodów, jak dla samej stolicy apostolskiej, szkodliwą“. Za ten właściwy wiekowi oświeconemu krytycyzm względem tradycyi i Kościoła uchodził Naruszewicz w oczach wielu za bezbożnika i bluźniercę.

Lecz historyk powinien, zdaniem Naruszewicza, rozróżniać nietylko prawdę od pozoru, ale i dobre od złego, „aby, powiadając, co się działo, oświecał razem czytającego, jeśli się to dobrze, lub przeciwnie dobru pospolitemu działo“. Z tego prawa historyka do wydawania własnego *sądu* o wypadkach korzysta Naruszewicz, jak i gdzie może, pragnął bowiem oświecać swych czytelników, nauczyć ich mianowicie *mądrości politycznej*. Poucza więc ich przy sposobności, że „duma możniejszych i uciemiężenie gminu przez nich,“ które były „od wieków fatalną narodu naszego przywarą,“ są dla państwa źródłem okropnych nieszczęść; że nie mniejszem nieszczęściem jest „swoboda albo raczej swywola anarchiczna“, „wierzganie na rząd i wszelką zwierzchność“; że „źródłem istoty i szczęśliwości narodów“ jest posłuszeństwo prawom. Ale *za główny warunek potęgi państwa poczytuje silną władzę królewską i tron*

dziedziczny, tron obieralny bowiem pociąga za sobą bezkrólewia, te zaś są zawsze „hasłem do rozruchów i szkód krajowych;“ z tego to stanowiska wydaje sąd o dziejach Polski, wielbi więc Bolesława Chrobrego, którego dzielność, jak mówi, zamieniła nierząd w monarchię; przypomina, że po śmierci Bolesława Krzywoustego „z osłabieniem rządu monarchicznego, dały się czuć natychmiast nieszczęśliwe podziału skutki;“ chwali Przemysława, który „ojczyznę podźwignął, wlewając w jej rozszarpane ciało ducha rządu, jedności i subordynacyi pod jednem berłem;“ za to samo nazywa Łokietka „jednym z największych królów na świecie;“ przywileje koszyckie poczytuje za nieszczęście, od nich bowiem poczęły się rządy możnowładcze z uszczerbkiem władzy królewskiej. Otóż ten *monarchizm* Naruszewicza i krytyka anarchii stanowią główną dążność (tendencyę) i jakby myśl przewodnią całej jego *Historyi*: pragnął on wpoić w społeczeństwo przekonanie, że nieodzownym środkiem do ratowania tonącej ojczyzny jest wzmocnienie władzy królewskiej i zaprowadzenie dziedziczności tronu.

Nakoniec, co do warunku czwartego, wypełnił go Naruszewicz doskonale: jego dzieło posiada naprawdę „ozdobienie gładkością pióra powabne“, styl bowiem, choć nie jest „wspaniały“, ale jest gładki a jasny, płynny a prosty, a nadto odznacza się powagą, godną dzieła naukowego.

Wogóle *Historya narodu polskiego* jest dziełem ogromnej wartości, jest najznakomitszym pomnikiem polskiej literatury naukowej wieku oświeconego, jest u nas *pierwszą od czasu Długosza historyą Polski, stojącą na wysokości współczesnej nauki europejskiej;* a przez myśl przewodnią, przez dążność do podźwignięcia ojczyzny z nierządu, jest nadto rozumnym i szlachetnym *czynem* mądrego i zacnego patryoty.

O Leszku III. Leszka III dziejopisowie nasi umieszczają na tronie polskim, synem Leszka II czynią. Najpierwszy z nich o nim Kadłubek, zwyczajem swoim niedokładne plotący baśnie, pisał. Mówi on,... iż Juliusza Cezara we trzech stoczonych bitwach zwalczył, Krassa u Partów o klęskę i całego wojska zniszczenie przyprawił, samemu zaś złoto roztopione w gardło lał, mówiąc: „Żądałeś złota, pijże je!“ Takie nakoniec sny i baśnie, czyniąc go królem Getów, Partów i za Partami leżących krajów, plecie, iż choć w części nieznajomość krajów i narodów, przezeń okazaną, dowieść należy: za Getów albowiem poczytuje Prusaków, za Partów — Ruś!... Pisze o wojnach Leszka III z Juliuszem, o małżeństwie jego z Julią, rzymskiego dyktatora córką, założeniu od niej Julina czyli Lublina: co tak oczywistym jest fałszem, że go i zbijać nie należy. Juliusz Cezar nigdy Elby rzeki, owszem i następni po nim cesarze rzymscy, lubo z Germanami wojowali, nie przeszli; dalekoż bardziej, aby ze Słowianami kiedy wojowali! Nie było też za Juliusza ani

Polaków, ani Słowianów, a córka jego Julia komu była poślubioną, rzymskie dzieje świadczą.

Bezkrólewie po śmierci Mieszka II. Rok 1035 i 1036. Zostawiony bez rządu i głowy naród, nie mając ani zachętu do cnoty, ani powściągu od swywoli, otworzył smutne dla ludzkiej społeczności w okropnej anarchii widowisko. Póki była w domu Ryksa, lękali się nieco możniejsi jej surowości. Prywatne zajścia i dumne możniejszych zamiary ukrywały się tylko popularnem naówczas na bezprawia dworskie sarkaniem, a uciążliwość poddanych,.. nadgradzając się przynajmniej wnętrznym pokojem, mniej znaczną krajowi szkodę przyniosła. Odjazd królowej z dziedzicem tronu, uchyliwszy zupełnie pastwę zapalonemu na przemoc dworską pożarowi, obrócił go na własnych ziomków. Były już zdawna wrzucone pod gnuśnym Mieczysława rządem przyszłej domowej wojny nasiona. Przewidział one Bolesław Chrobry: następca ich nie zatłumił. Utworzyły się dwie przeciwne strony: jedna, królowej i Niemcom przychylna dla zysku i faworów, mianowicie młodzi; druga, ze starszych, nienawisna im dla zazdrości. Obfici w dobra i majątki hrabiowie, osobliwie, którzy albo wojskami przywodzili, albo straż zamków królewskich trzymali, chcieli być udzielnymi na wzór Niemców. Pogranicznych wspierała nadzieja pomocy dla sąsiadów: Rusinów, Prusów, Jadźwingów i innego barbarzyństwa. Uciemiężone chłopstwo czekało tylko pory i wodza na zemszczenie się srogiego od dziedziców jarzma. Zwolniałe w przykładnem życiu duchowieństwo, a bogatymi od królów i prywatnych pomnożone w dobrach i dziesięcinach dochodami, znajdowało wzgardę i niechęć z obelgi. A tak w powszechnem owem stanów i ludzi bez rządu zamieszaniu poczęła się okropna scena od wzajemnych miedzy możniejszymi najazdów i bitew. Im kto w potęgę, przyjaciół i zuchwałość większy, tem liczniejsze zgromadziwszy ludzi swywolnych kupy, napadał na cudze osiadłości, wyganiał z domu dziedziców, a gdy ci, broniąc swego, albo wet za wet oddając, w podobne opatrują się łotrów drużyny, stawały w polu przeciwko sobie wojska gromadne i na wzajemną zagładę krwawe wydawały potyczki.

Pomnożyła domową nieszczęśliwość chłopska na panów rebelia. Pamiętni na przeszłe od niektórych uciemiężenia, kmiecie, jedni przez zemstę, drudzy, zuchwalszych przykładem i niejakąś powszechną zarazą ozionieni, porzuciwszy pługi, udali się na rzeźbę uciążliwych dziedziców. Opanowali pańskie domy, zabijali dzieci i żony, w nich pozostałe, a gdy im to bez kary uchodziło, urosłszy przez łączenie się z sobą okolicznej czerni w liczne wojsko i hersztów sobie porobiwszy, zbrojnym panom stawić pole odważyli się. Jeśli się im udało zwyciężyć, natychmiast, wyrżnąwszy pojmanych lub w stan poddański i niewolniczy obróciwszy, dobra ich i mająt-

ki miedzy siebie rozrywali, a których pokonać orężem nie mogli, podpałami dworów lub innem jakiem złoczyństwem nad nimi zemsty szukali. Wielu było, którzy, pamiętając na dawne bałwochwalstwo, powracali do pogaństwa, że, w niem żyjąc, większą sobie wolność do wszelkiego rodzaju zbrodni, mianowicie zaś do łupienia kościołów, bogom swoim przeciwnych, być rozumieli. Zagęściły się wszędy rozboje, kradzieże i mężobójstwa. Nie były bezpieczne same świątynie od łupiestwa, a biskupi i kapłani od mordów, z których wielu żelazem gardła dali; drugich żywcem kamieńmi przywalano, inni w lasach kryć się musieli. Wiele miast, wiosek i dworów rozhukana swywola w perzynę obróciła, że w krótkim czasie ledwo nie cała Polska ogromną została pustynią... Bunt chłopski po śmierci Mieczysława powstał z uciemiężenia i niewoli; prywatnych przewinienia i złe używanie mocy przyniosły klęskę publiczną.

Z okoliczności tego buntu zdaje mi się namienić krótko, skąd ta miedzy ludźmi nierówność, a zatem i w Polszcze naszej stan poddaństwa niewolniczy wziął początek. Natura ludzka uczyniła wszystkich równymi co do istoty; atoli w pierwiastkach samych, podzieliwszy nierównie miedzy tychże ludzi dary przyrodzone, rzuciła w nich zaraz przyszłej podległości bujne nasiona, kiedy, jednych zdobiąc znakomitszymi rozumem lub ciała przymiotami, drugich upośledzając, tamtym przodkować i rządzić, tym słuchać i podlegać rozkazała. Stąd pierwszy początek nierówności naturalnej za tych nawet złotymi nazwanych wieków, kiedy ludzki naród, w ściślejszych jeszcze płodności granicach zamknięty, pod ojcowskim najstarszych głów familii zostawał rządem. Za wzmożeniem się społeczności ludzkiej, gdy nastąpiła chciwość własności osobistej, jednych większa silność ciała, przemysł, trefunek, szczęśliwość, nabyta pracą i dowcipem, drugich niepomyślne powodzenia, własnem niedołęstwem sprawione, naczyniły miedzy ludźmi wiele bogaczów i ubogich, dziedziców i poddanych. A tak ci, co w ojcowskim rządzie podlegali sobie pobratersku, nierówni tylko w przyrodzonych ciała i duszy przymiotach, tak potem, dla przemocy, bogactw lub innych przypadkowych darów, w rządzie cywilnym stali się służebnie podległymi. Nastąpiły z pomnożeniem się ludu podziały ziemi miedzy uformowanymi narodami; stanęli na czele narodów królowie i książęta; chciwość większego nabytku, dawniej prywatnym tylko znajoma, przeniosła się do narodów i monarchów. Powstały miedzy nimi srogie bitwy, zjawiło się prawo drapieżne wojny, a zabrani w bojach lub najechani w dziedzinach własnych mieszkańcy już nietylko, dla nierówności przymiotów i trefunkowych darów, podległymi, ale dla niezdolnej oprzeć się gwałtowi mocy, stali się okrutnych zwycięzców podłymi niewolnikami. I te to są najgłówniejsze źrzódła, z których najprzód nierówność naturalna, potem cywilna, nakoniec wojenna (a ta najgorsza) wypłynąwszy, wprawiła ludzi w poddaństwo i niewolę. Sło-

wianie, ojcowie nasi, naród, obyczajem drugich, błędny. a rozprzestrzenienia się i wojny chciwy, mając na oku dwa tylko założone cele: zdobycz ustawiczną z cudzego, a uprawę roli na własnem, byli sami żołnierzami; a większą nierównie część obywatelów najechanych od siebie krajów do pługa poświęciwszy, tymże postrachem oręża, którym sąsiadów gromili, utrzymywali w uciążliwej około uprawy gruntów pracy i poddaństwie. Powszechne w narodach wojowniczych mniemanie, że zaszczyt szlachectwa i swobody zawisł na szabli, a zapocone znojem rolniczym dłonie podłości i niewolstwa nosiły znamię, sprawiło w Słowianach pogardę wieśniaczego gminu. A tak, napadając na obce państwa, zabierając pojmańców i włościanów bezbronnych, nowem jeszcze zwycięstwa prawem pomnożyli liczbę niewolników, którymi wsie swoje i grunta osadzili. Powoli gmin ten nieorężny, bez mocy, obyczajów i oświecenia, zapomniał na prerogatywy ludzkiej równości, a przechodząc w dziedzictwie od jednego do drugiego pana, już i przekonanym został, że się do niewoli urodził. Za przykładem przodków Słowian idąc, potomkowie ich Polacy, zwyczaje ich, długoletnią praktyką w prawo obrócone, ze krwią i dziedzictwem wzięte, dotąd utrzymujemy.

Śmierć i charakterystyka Władysława Łokietka. Wróciwszy się do Krakowa w jesieni (1332), słabieć na zdrowiu i upadać na siłach począł, nie wstając już z łóżka aż do zgonu, w chorobie dopełniając obowiązków chrześcijanina i króla, gdy się już blizkim śmierci być widział, zawoławszy do siebie Heliasza dominikana, męża cnotliwego, spowiedź przed nim uczynił i należyte sakramenta z błogosławieństwem papieskiem pobożnie przyjął. Potem w obecności Spicimira, kasztelana krakowskiego, i Jarosława archidyakona, dawszy nauki synowi, stosowne do jego stanu przyszłego i potrzeb królestwa, oraz poleciwszy go zgromadzonym licznie obywatelom koronnym, spokojnie życia dokonał w zamku krakowskim w Niedzielę trzecią w post, a d. 2 Marca, wieku swojego 73 roku (1333). Pogrzebiony w kościele katedralnym, gdzie dotąd nagrobek jego widzieć. Wieść niesie, iż ciało zmarłego, wystawione na widok, przez wiele dni, nim pogrzeb nastąpił, nieskażone leżało. Panował po swojej koronacyi lat trzynaście. Wiek młodszy i swobodniejsza, mianowicie w wyższych stanach, ułomność naraziła go na wiele nagannych postępków. Grunt duszy szlachetnej ugładził z czasem te przywary; liczne przeciwności nauczyły go być dobrym i zahartowały cnotę cierpliwością. Żaden monarcha tyle nie zniósł, żaden go statkiem nie przewyższył. Wychowany i zrosły na wojnach, w obozach osiwiał, z obozu prawie do grobu poszedł. Hojny, roztropny, przystępny, niemściwy, wyrównał przymiotami ludzkości walecznemu sercu, które, acz w drobnym nader ciała obrębie zamknione, jednym go z największych w świecie królów uczyniło.

§ 81. Skarży się „chudy literat“ Naruszewicza, że „w naszym kraju jeszcze ten dzień nie zawitał, żeby kto w domu pisma pożyteczne czytał“. Niebawem skarga ta przestała być prawdą: ukazał się pisarz, który o pożytecznych rzeczach pisał tak jasno, a zarazem tak powabnie, jak nie pisano w Polsce od czasów Kochanowskiego i Górnickiego (§ 32); pisarz, który wdziękiem swego pióra oczarował i zmusił do czytania wszystkich; wierszy jego uczono się na pamięć, a niektóre jego wyrażenia przetrwały do dziś dnia, jako przysłowia lub zwroty potoczne, np.: „Trzeba się uczyć, upłynął wiek złoty“; „Dla was jestto igraszką, nam idzie o życie“; „Winszuję, ale nie zazdroszczę“; „Wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły“. Autorem tym jest *najznakomitszy bajkopisarz i satyryk polski, krzewiciel światła i odrodziciel piękna w literaturze naszej, książę biskup warmiński* (a później, od r. 1795, arcybiskup gnieźnieński), **Ignacy Krasicki**, urodzony w Dubiecku nad Sanem (1735—1801). Od dziecka odznaczał się zdolnościami i ochotą do nauki; to też rodzice, pochodzący oboje ze znakomitych, ale majątkowo podupadłych rodów, przeznaczyli go na księdza, nie tyle ku chwale bożej, ile w nadziei, że z czasem, osiągnąwszy wysokie i zyskowne godności kościelne, nietylko podźwignie majątkowo liczną rodzinę, ale i cały ród świetnością okryje. I tak się stało. Zaledwie ukończył Krasicki nauki (na dworze wielkopańskim i w szkołach jezuickich), a wnet posypały się nań różne godności — dzięki poparciu możnych przyjaciół, na których temu dziecku szczęścia nigdy nie zbywało. Ale bo też był to mistrz nad mistrzami w jednaniu sobie ludzi — swą przyrodzoną łagodnością i dobrocią, swą uprzejmością i galanteryą, swym złotym humorem i dowcipem, swą piękną powierzchownością wreszcie: czarnemi, błyszczącemi oczami i ustami, z których rzadko kiedy schodził uśmiech, na poły złośliwy, na poły łagodny. Nie dziw, że nietylko rodzina, dla której był najlepszym synem i najczulszym bratem, ale i obcy ludzie kochali się w nim na zabój; nosił go na rękach i król, tem więcej, że wiele go węzłów z nim łączyło: i ogłada towarzyska i wykształcenie i miłość nauki i subtelny zmysł estetyczny i... słaby charakter. Otóż ze wszystkich przyjaciół Krasickiego najgorliwiej jego karyerą zajął się St. August: mianował go swoim kapelanem, kazał mu wygłosić kazanie podczas koronacyi, potem zrobił go prezydentem trybunału lubelskiego, a wkrótce, pragnąc go mieć przy swoim boku, w senacie, — biskupem warmińskim (w trzydziestym drugim roku życia!). Marzenie rodziców się ziściło! Bóg niewielką miał z biskupa chwałę, bo Krasicki, nie mając powołania do stanu duchownego, lichym był pasterzem, ale rodzina miała chwałę ogromną: książę biskup warmiński uświetnił ród swój tak bardzo, jak ani jeden z jego przodków, — lecz nie tyle swoją mitrą biskupią, ile nieśmiertelną zasługą, jaką dla całej ojczyzny położył.

A zasłużył się Krasicki ojczyźnie, nie jako mąż czynu, i nie

żeby jej całe swoje serce oddał. Gdzie tam! Mężem czynu nie był nigdy; w sprawach politycznych, chociaż go król gwałtem do nich ciągnął, żadnej roli nie odegrał i odegrać nie chciał, bo polityki nie cierpiał, raz, że nie czuł się do niej powołanym, a drugi raz, że wiedział, iż działalność polityczna mąci człowiekowi pogodę ducha, nie pozwala mu zażywać wygody i swobody, a te kochał i cenił po nad wszystko. Bo, mimo wszystkie swe przymioty, był to, nazywając rzecz po imieniu, samolub i ogromny wygodnicki, który bał się, jak ognia, wszelkich kłopotów, który lubił zato pasyami, jak sam powiada, „jeść dobrze, pić smaczno i bawić się w dobranem towarzystwie"; pioruny biły w ojczyznę, świat się do góry nogami przewracał,—on nie tracił wrodzonej pogody ducha, która stanowi najznamienniejszą cechę jego usposobienia; zawsze wesoły, uśmiechnięty, powtarzał swoją ulubioną maksymę Kochanowskiego: „Niech drudzy za łby chodzą, a ja się dziwuję". Kiedy wskutek pierwszego rozbioru Polski Warmia przeszła pod panowanie pruskie, kiedy więc i on przestał być obywatelem Rzeczypospolitej, i wtedy nawet nie zakrwawiło mu się serce: pogodził się z losem, nie zaprotestował moralną powagą biskupa przeciwko bezprawiu, owszem wraz ze swą kapitułą złożył hołd Fryderykowi Wielkiemu; w swej rezydencyi biskupiej, w Heilsbergu, podawnemu bawił się i hulał, oddawał się z tym samym, co dawniej, zapałem ogrodnictwu, za którem przepadał, podawnemu zaciągał długi na stare wina i smakołyki, którymi częstował swoich gości—oficerów i dostojników pruskich. W Warszawie bywać przestał, bywał za to w Berlinie i Poczdamie, na dworze swego nowego monarchy, z którym był w jaknajlepszej kompanii, bo i jego swym wdziękiem oczarował; nazywał go „staruszkiem wesołym, miłym, grzecznym"; raz, pisze do brata, „siedzieliśmy cztery godziny u stołu; tak się dziadunio rozkomosił i mnie tak rozchichotał, żeśmy się śmiali, jak dzieci, i naopowiadaliśmy sobie bajek z półtorej kopy". Aż smutno pomyśleć! Podczas sejmu czteroletniego wpadł do Warszawy, ale nie zapalił się do jego pracy patryotycznej, owszem, nie wierząc w jej skuteczność, ledwie sobie z niej nie żartował; dla uczczenia pierwszej rocznicy ustawy majowej napisał hymn, ale zimny, jak lód; podczas powstania Kościuszki nawoływał naród do ratowania honoru i ojczyzny: „Nuże, cnotliwa czeladko! albo gińmy wszyscy, albo bądźmy wolnymi!", ale był to zapał nieszczery: nie wierzył Krasicki w powodzenie powstania, co go jednak o smutek, a cóż dopiero o rozpacz, nie przyprawiło: „My jednakże będziemy weseli na złość temu wszystkiemu, co się dziać będzie".

Takim to człowiekiem był książę biskup warmiński: przy niepospolitych zaletach umysłu, miał serce dobre, ale nie gorące, niezdolne ani do radości nadmiernej, ani do smutku głębokiego, ani tem więcej do poświęcenia; pod tym względem jest Krasicki nie-

odrodnem dzieckiem wieku oświeconego, wieku rozsądku, ale nie serca, rozumu, ale nie cnoty. A jednak byłoby wielką niesprawiedliwością mówić, że Krasicki nie kochał ojczyzny; kochał ją w miarę sił swoich: nie mógł jej dać gorącego serca, bo go nie miał, dał jej to, co miał: *rozum i talent*; a te pozwoliły mu spełnić wielki *czyn patryotyczny: są nim jego pisma, w których ukazuje się Krasicki, po pierwsze, jako mądry i zacny nauczyciel narodu, a po drugie, jako utalentowany pisarz, jako artysta, który przywrócił literaturze ojczystej piękno formy.*

Jego spuścizna literacka jest bogata i niezmiernie rozmaita: artykuły dziennikarskie, felietony i rozprawki moralne, społeczne, estetyczne i t. p.; małe powiastki i duże powieści; encyklopedya powszechna, pierwsza poważna w Polsce (p. t. *Zbiór potrzebniejszych wiadomości*), i, także pierwsza w Polsce, historya poezyi powszechnej (*O rymotwórstwie i rymotwórcach*); opisy podróży i pisma historyczne; komedye i bajki; satyry i listy poetyckie; drobne wiersze; poematy żartobliwe i poemat bohaterski (*Wojna Chocimska*),—słowem nie było niemal rodzaju, któregoby on nie uprawiał, jak nie było rzeczy, którąby się nie zajął jego ciekawy i zdolny, żywy i lotny umysł. A zawsze i wszędzie przyświecała mu jedna myśl przewodnia: oświecać swój naród; nie miał ambicyi odgrywania roli politycznej, miał ogromną i szlachetną ambicyę krzewienia oświaty; i słusznie dziękował mu St. August: „Lubo przemocą losu oderwany jesteś od ojczyzny, wkorzeniona miłość ku niej i chęć być jej użytecznym dyktuje ci książki“. Pod tym względem *był Krasicki patryotą*, był jednym z najzasłużeńszych obywateli ziemi polskiej. I czegoż on uczył? Tego przedewszystkiem, że oświata jest błogosławieństwem, a ciemnota, „dzikość“, — klęską dla narodu: ona to, „jak pożar, gdziekolwiek swą moc rozpościera, wszędzie niszczy, pustoszy, trawi i pożera: fanatyzm jej towarzysz, czujny na wzburzenie; punkt honoru nieprawy, płoche uprzedzenie, zazdrość, zemsta, ślepota nadchodzą w przydatek“; „stąd liczne błędów mnóstwo, co państwo zgubiło, stąd ono sławne hasło: Niech będzie, jak było“. Więc zachęcał do oświaty, a ośmieszał wiekowe przesądy i uprzedzenia i wogóle wszelkie objawy sarmatyzmu. Lecz przez dzikość pojmował nietylko ciemnotę, ale i niemoralność, więc uczył nietylko rozumu, ale i cnoty, bo „gdzie cnota w pogardzie, tam naród upadnie“. A ponieważ był przekonany, że niema cnoty i moralności bez wiary i religii, która „gruntem jest wszystkiego“, więc głosił zasadę: „Źle jest nadto dowierzać, gorzej nic nie wierzyć“, gromił niedowiarstwo i mędrkowanie w rzeczach wiary: „*Wierz, nie szperaj*!“. Bo, nie będąc sam zbyt żarliwym w wierze, ani zbyt gorliwym sługą Kościoła, był jednak wierzącym chrześcijaninem i rozumiał, że niedowiarstwo podkopuje moralność, zwłaszcza w ludziach ciemnych, a i to rozumiał, że Kościół, któremu, jak pisał, „straż nieskazitelna wyroków bo-

żych do skończenia wieków jest poruczona", jest nietylko, jako źródło wiary chrześcijańskiej, podstawą moralności, ale i ostoją narodowości; stąd drugie hasło: „*Nie oddzielajmy Kościoła od ojczyzny*". Ale od fanatyzmu był daleki, owszem głosił tolerancyę, a istotę Kościoła odróżniał od jego sług, wśród których, jak to wśród ludzi, są dobrzy, ale są i źli: dobrych chwalił, złych ganił.

Nie dosyć na tem. Kochał Krasicki tradycyę narodową, ale jej miłość umiał połączyć z przekonaniem o konieczności postępu moralnego i umysłowego; więc oburzał się na nieludzkość panów względem czeladzi i chłopów; gromił szlachtę, co to mówiła o chłopie: „Urodzony do jarzma, trzeba, żeby jarzmo znał, inaczej się rozbryka, i, jeżeli go batóg nie nawróci, szubienica chyba reszty dokaże"; przypominał, że, „jeśli jest jaka między ludźmi różnica, sama ją tylko cnota sprawuje"; chłostał anarchię i swawolę, prywatę i zdradę, nieposzanowanie władzy i osoby królewskiej; nawoływał do stworzenia silnego rządu, do zgody i jedności narodu z królem, słowem—do miłości ojczyzny i jej ratowania. A kiedy upadła Polska, on był jednym z pierwszych, którzy, rozumiejąc, że jeszcze nie wszystko zginęło, przestrzegali ludzi przed rozpaczą („*Podła rzecz rozpaczać!*") i wskazywali im, jako niezawodny środek ocalenia narodowości, *pracę kulturalną*. Oto czego uczył Krasicki. A ta jego nauka nie szła w las, bo go ludzie czytali tak chciwie, jak nikogo, i to zarówno w oświeconej Warszawie, jak na ciemnym partykularzu: *Krasicki to nietylko najznakomitszy, ale i najpopularniejszy pisarz XVIII w.*; miał słuszność król, pisząc do niego: „Jeśli gust do czytania po wsiach rozszerzył się, przyznać trzeba sprawiedliwie, że Waszej Książęcej Mości dziełom ledwie nie najbardziej dziękować za to potrzeba". I to jego pierwsza nieśmiertelna zasługa: szerzenie światła w narodzie.

Lecz jest i druga, nie mniejsza, na której się także poznał St. August, posyłając Krasickiemu biust gipsowy Kochanowskiego, „jako wskrzesicielowi jego dzieł". Wprawdzie, jako poeta, Krasicki równać się z Kochanowskim nie może, nie miał bowiem tego, co on, talentu, nie mówiąc już o powadze, namaszczeniu i wzniosłości autora *Psałterza* i *Trenów*: ale, *nie będąc poetą z bożej łaski, był z bożej łaski artystą*, miał wrodzone poczucie piękna, które się rozwinęło i ukształciło na literaturze francuskiej (jak zmysł estetyczny Kochanowskiego – na literaturze starożytnej). Nie znaleźć w poezyi Krasickiego gorącego uczucia ani wyjątkowo głębokiej myśli: ale piękna, często wykwintna forma, ale prawdziwy wdzięk jest; zamiast gorącego uczucia—niepospolity dowcip i subtelna ironia, zamiast głębokich myśli — rozum i zdrowy rozsądek; styl niezbyt obrazowy, ale gładki i szlachetny, a nadewszystko jasny; a do tego ujmująca prostota i naturalność, miła lekkość i swoboda,— „tok leciuchny" (jak mówi Mickiewicz), „styl podobny do śpiewu,

do szczebiotania ptasiego, przytem pełen wykończenia i precyzyi prozy francuskiej": oto główne zalety zarówno poezyi, jak prozy Krasickiego, wznoszące go do godności *wzorowego pisarza*, jednego z najznakomitszych stylistów polskich. Oto dlaczego, o całe niebo od Jana z Czarnolasu niższy, jest jednak Krasicki naprawdę wskrzesicielem jego dzieł: on to dopiero przywrócił poezyi polskiej piękno formy, które niegdyś dał jej Kochanowski, a które, niknąc stopniowo, ulotniło się z niej doszczętnie w czasach saskich; a przez to nietylko podniósł ją na nowo do godności poezyi europejskiej, ale nadto utorował jej drogę do tych wyżyn, na które się wzbiła w wieku XIX.

§ 82. Swą działalność literacką rozpoczął Krasicki od artykułów, felietonów, powiastek i satyr prozą, drukowanych w *Monitorze* (§ 72). W innem czasopiśmie warszawskiem ogłosił krótki wierszyk, który mu zjednał ogromny rozgłos; jestto ośmiowiersz p. t. *Hymn do miłości ojczyzny* (1774):

Święta miłości kochanej ojczyzny!
Czują cię tylko umysły poczciwe;
Dla ciebie zjadłe smakują trucizny,
Dla ciebie więzy, pęta niezelżywe;
Kształcisz kalectwo przez chwalebne blizny,
Gnieździsz w umyśle rozkoszy prawdziwe.
Byle cię można wspomódz, byle wspierać,
Nie żal żyć w nędzy, nie żal i umierać!

Przez długie lata hymn ten był na ustach wszystkich; śpiewali go codziennie uczniowie Szkoły rycerskiej (§ 75), i jeszcze w XIX w. drukowano go w podręcznikach szkolnych do nauki mowy ojczystej. Słowacki, który się na bajkach Krasickiego uczył czytać, nazwał go najpiękniejszą ze wszystkich jego bajek.

Po utworach drobnych przyszła kolej na większe.

Pierwszym jest *Myszejda* (1775), poemat fantastyczno-żartobliwy, pisany na wzór Ariosta (§ 60). W Kruszwicy panuje król Popiel, zniewieściały pijak, „w dziwactwie swojem niestateczny": naprzód kochał myszy, którym się też dobrze działo w jego państwie, ale później „Mruczysław kotek został faworytem", i biedne myszy muszą uciekać. Chronią się do Gniezna, gdzie w klasztorze, „wpośród serów, szynek i ozorów", zastępujących mnichom książki, „król mysz, Gryzomir, przebywał spokojnie". Na wieść o prześladowaniu myszy kruszwickich, Gryzomir zwołuje radę, ale na radzie myszy pokłóciły się ze szczurami, i nic nie uchwalono. Wówczas Gryzomir posyła za granicę o pomoc i zwołuje ruszenie pospolite; posiłki nadciągają, wybucha wojna: w walnej bitwie koty pod wodzą Mruczysława zadają myszom i szczurom straszliwą klęskę: Gryzomir „sam do ucieczki najpierwszym przykładem; skoro król uciekł,

wszyscy za nim w nogi". Lecz to dopiero początek wojny: nieszczęście chciało, że w bitwie poległ Filuś, ukochany kotek córki Popiela, Duchny; bólu jej nic, nawet wspaniały pogrzeb kociaka, utulić nie może, „lecz żal o zemście myślić nie przeszkadza": błaga ojca, żeby „cały rodzaj myszy wykorzenił". Popiel zwołuje radę senatorów, na której po wielu kłótniach stanęło na tem, że „niech pan to robi, co mu się podoba". Pan „śmieje się w duchu z kota straty", ale, ponieważ „my rządzim światem, a nami kobiety", więc Duchna wygrała sprawę: „wojnę formalną myszom ogłoszono". Tymczasem Gryzomir w ucieczce swojej dostał się wśród nocy do jakiejś lepianki i wpadł w łapkę; nagle „wchodzi dziwotwór, baba przestarzała, zsiniałe usta, twarz zmarszczona cała, oczy zapadłe we łbie jej się świecą, półtora tylko zęba w gębie miała". Szczur zdrętwiał, lecz baba udobruchała się, darowała mu życie, a nadto obiecała swą pomoc i łaskę; poczem oboje siadają na łopatę i myk przez komin. Po drodze „król myszów, aby nie zaginął marnie, przedarł się jakoś do babiej latarnie" i z głodu zaczął obrabiać świeczkę łojową; świeczka zgasła, baba puściła latarnię, która wraz z „wpół umarłym" szczurem spadła nad ranem... na grób Filusia; i oto szczur dostał się w ręce dyszącej zemstą Duchny. Ale czarownica wybawiła go z niewoli, poczem Gryzomir, zgromadziwszy przy pomocy baby liczne wojska zagraniczne, powrócił do ojczyzny i pobił koty na głowę; Mruczysław poległ, a Popiel uciekł na wyspę, ale go myszy dopadły i zjadły.

Jak we wszystkich swych utworach, tak i w *Myszejdzie* miał Krasicki na myśli cel podwójny: chciał zabawić, ale zarazem nauczyć, jego bowiem zdaniem, poezya powinna zawsze mieścić w sobie jakiś sens moralny, a stąd ten tylko poeta odpowiada swemu zadaniu, „który wdzięk wraz z pożytkiem złączył". Otóż w *Myszejdzie* jest i wdzięk i pożytek. Wdzięk głównie polega na tem, że poemat jest zabawny, mianowicie „heroi-komiczny", co znaczy dosłownie: bohatersko-śmieszny: o myszach, szczurach i kotach, o ich wojnach, radach i przygodach mówi autor tonem poważnym, jakgdyby to byli bohaterowie z epopei. Zresztą, jako poezya, *Myszejda* nie posiada wielkiej wartości: jest rozwlekła, a dotego, jak dla nas przynajmniej, zamało śmieszna, chociaż współcześni mieli z niej wielką uciechę. Lecz mieli i „pożytek", naukę, poemat bowiem obfituje nietylko w sentencye moralne i spostrzeżenia życiowe, ale i w ustępy satyryczne. Tak np. opis rady szczurów i myszy jest satyryczną aluzyą (przytykiem) do kłótliwych sejmów polskich, mianowicie do kłótni senatu z izbą poselską: „Zgiełk powstał wielki, gdy przyszło wotować (głosować), która ma strona głos pierwszy podnosić; orator szczurów przedsięwziął probować, że oni mają pierwsze zdania głosić: «Do nas należy wszystko rezolwować, prawa stanowić dobre, a złe znosić; i, jeśli cierpiem mysz stowarzyszenie, w większej być od nich powinniśmy cenie». Nie w moc szczególną, lecz w wielość znaczniejsze, myszy brać prymu nie chcą sobie dawać: «Lubo się zdajem być w postaci mniejsze, nie stąd o zdaniu trzeba rozeznawać,— rzekły —a kiedy o rzeczy ważniejsze zachodzi sprawa, natenczas poznawać każdemu można będzie, która strona

lepiej w rozsądek, w dzielność obdarzona.» Wzmaga się hałas, zamiast rady—wrzawa; Gryzomir ledwo usiedzi na tronie, powagę swoję nadaremnie wdawa: każdy, jak żeby przysiągł swojej stronie; nakoniec z miejsca pierwszego powstawa: «Ratujcie — woła — ojczyznę przy zgonie!» Krzyknęli: «Niechaj ginie wolność przeszła!» I tak się rada senatu rozeszła". Napis na grobie Filusia jest satyrą na wierszydła panegiryczne i t. d. I takich aluzyi — co niemiara, a ośmiesza w nich Krasicki różne wady społeczeństwa, wyrzuca mu gnuśność, kłótliwość, brak miłości ojczyzny, składanie odpowiedzialności za wszystkie swe nieszczęścia na króla i t. d. W samym nawet wyborze przedmiotu tkwi satyra: przecie społeczeństwo tak bardzo poważało Kadłubka (§ 79), a tutaj przyszedł Krasicki i ośmielił się ośmieszać i te „dziwy" o Popielu i myszach, które „wielki Kadłubek pierwszy objawił w pocie swego czoła", i jego samego, ale nadewszystko ciemne społeczeństwo, które mu wierzyło! Wogóle *Myszejda jest satyrą na ciemnotę i wstecznictwo.*

Pogrzeb Filusia.

Idą porządkiem szykowane roty,
Wszyscy w ponurej i smutnej postaci.
Najpierwsze w marszu idą dzikie koty,
Wyborne czoło od innych współbraci.
Sztandar niósł jeden przedziwnej roboty;
Nieboszczykowscy za tym koligaci,
W żałobne flory[1] ich łapki uwite,
Ostre pazury wciągnione i skryte . . .
        Niesie Minetka obróż centkowaną,
        Hektorek — grzebień ze słoniowej kości,
        Irys — kołderkę, złotem haftowaną,
        Bebe — manelki[2] dziwnej wspaniałości,
        Miledy — czarkę, wewnątrz wyzłacaną,
        Z której zwykł jadać i częstować gości.
        Sprzęty szacowne od łapek i szyje,
        Już was kochany Filuś nie użyje!
Leżą na złotych marach położone
Ulubionego faworyta zwłoki;
Po wszystkich stronach kwiaty rozrzucone,
A całun mary okrywa szeroki;
Bujają w puchu członeczki pieszczone,
Dym się z kadzidła wznosi pod obłoki;
Niosą trunienkę[3] nakształt kolebeczki
Najukochańsze księżniczki małpeczki.
        Już się do stosu zwłoki znamienite
        Zbliżyły; w kiry przybrani rycerze,
        Cyfry z posępnych cyprysów uwite.
        Mruczysław długie zaczyna pacierze,

[1] flor = kir. [2] manelka = bransoletka. [3] trunienka = trumienka.

Dalej obrządki czyni należyte,
A w drżące łapki gdy pochodnią bierze,
I stos i Filuś spłonęły pospołu;
Garstka się tylko została popiołu.
Smutne ostatki wybornego kota
Skrzętnie przytomni do kupy zbierają;
A że największych wielbień godna cnota,
Wszyscy Filusia pochwały śpiewają.
Już sporządzona puszka szczerozłota,
W niej resztę drogich popiołów składają.
Gmach zaraz stanął wyborny w strukturze,
A taki napis ryty na marmurze:
„Tu leży Filuś, swej pani kochanie,
„Ten, co w przymiotach przeszedł wszytkie koty.
„Ucieszne jego i miłe igranie,
„Skoki przyjemne, uprzejme pieszczoty
„Nic nie pomogły: smutne narzekanie
„Zostawił tylko i wieść swojej cnoty.
„Chwalebną, prawda, lecz śmiertelną bliznę
„Poniósł za naród i miłą ojczyznę.
„Płaczcie tak wielki zaszczyt utracony
„I wspólną waszą ozdobę, zwierzątka!
„Dziatki młodziuchne, owdowiałe żony,
„Płaczcie, sieroty teraz, niebożątka!
„Niewcześnie Filuś ze świata sprzątniony;
„Przecięła nagle pasmo życia Prządka.
„Koło mogiłki kto tylko przebieży,
„Westchnij: tu Filuś najmilejszy leży!“
Nieutulona Duchna rzewnie szlocha,
Lecz żal o zemście myślić nie przeszkadza:
Płeć ta, z pozoru choć zdaje się płocha,
Przecież, kiedy jej cokolwiek zawadza,
Tak nienawidzi zbytecznie, jak kocha.
Nie zna, co wiara, we wszystkiem przesadza,
Staje się zdradna, okrutna lub podła,
Byle, co zechce, do skutku przywiodła.
Przebacz, płci piękna, zbyt śmiałym wyrazom!
Nasz obowiązek wam zawżdy dogadzać.
Macie nas swoim podległych rozkazom,
Lecz respekt prawdzie nie może przeszkadzać;
Powolność każe przepuszczać urazom;
Chwalić defekta jest więcej, niż zdradzać.
Jeśli was prawda niemiła obchodzi,
Mówcie, że zmyślać poetom się godzi!
Niedosyć na tem, że gardłem skarani
Myszego wojska wszystkie niewolniki;

Nie dość, że, będąc z ojczyzny wygnani,
Świat żałosnymi napełniają krzyki:
Nieutulona w żalach swoich pani
Ustawne ojcu podaje supliki,[1]
Żeby się w zemście powziętej nie lenił
I cały rodzaj myszy wykorzenił.
Obstaje[2] takim prośbom państwa rada,
Twierdząc, iż płochość sławę królów maże.
Insza myśl jednak w Popielu osiada:
Ci myszy bronią, on je gubić każe.
Gdzie miętkie serce, tam rozum nie nada:
Czegóż płeć piękna kiedy nie dokaże?
Mimo tak wielkie płci naszej zalety,
My rządzim światem, a nami kobiety.

§ 83. Satyrą na ciemnotę, lecz nie całego społeczeństwa, tylko mnichów jedynie, jest również napisany na podobieństwo poetów francuskich i włoskich poemat żartobliwy: *Monachomachia czyli Wojna mnichów* (1778). Ani Kościoła, ani religii nie zaczepił tutaj Krasicki, wystąpił tylko przeciwko klasztorom, a raczej nie klasztorom, tylko przeciwko zakonnikom, i to bynajmniej nie wszystkim: wiedział doskonale, że niektóre zakony, zwłaszcza pijarów, dobrze się Bogu i ojczyźnie zasługują, ale że są i takie, które wiodą żywot gnuśny i próżniaczy, które nadto siedzą po same uszy w ciemnocie średniowiecznej; otóż *Monachomachia* jest właśnie satyrą na takich „świętych próżniaków“: na ich próżniactwo, pijaństwo, plotkarstwo, zanik prawdziwego ducha religijnego, pychę, zabobonność, a nadewszystko na bezmyślność i straszliwe nieuctwo. Tak śmiałej i jawnej (bo ogłoszonej drukiem) satyry na duchowieństwo nie znała poezya polska od czasów reformacyi i humanizmu.

Od *Myszejdy* jest *Monachomachia* utworem znacznie lepszym; i ona wprawdzie jest nieco rozwlekła, ale nierównie zabawniejsza, nie pozbawiona prawdziwego dowcipu i humoru. „W mieście, którego nazwiska nie powiem, było trzy karczmy, bram cztery ułomki, klasztorów — dziewięć i... gdzieniegdzie domki; w tej zawalonej ziemiańskiej stolicy wielebne głupstwo od wieków siedziało“. Przez długie lata nic nie mąciło spokoju „świętym próżniakom“, ale nakoniec pozazdrościła go im jędza niezgody, która też, przelatując kiedyś w nocy nad miastem, wznieciła jakiś rozruch w klasztorze dominikańskim. „Wtenczas, nie mogąc znieść tego rozruchu, ojciec Hilary obudzić się raczył; wtenczas ksiądz przeor, porwawszy się z puchu, pierwszy raz w życiu jutrzenkę zobaczył; klął ociec doktór czułość swego słuchu, wstał i widokiem swym ojców uraczył; i, co się rzadko w zgromadzeniu zdarza, pędem niezwykłym wpadł do refektarza. Na taki widok zbiegłe braci trzody pod rzędem kufli garncowych uklękły; biegli ojcowie za mistrzem w zawody; ten, strachem zdjęty

[1] suplika = prośba. [2] obstawać = sprzeciwiać się.

i srodze przelękły, wprzód otarł z potu mięsiste jagody, siadł, — ławy pod nim dublowane jękły — siadł, strząsnął mycką, kaptura poprawił i tak wspaniałe wyroki objawił: «Bracia najmilsi! Ach! cóż się to dzieje? cóż to za rozruch u nas niesłychany? czy do piwnicy wkradli się złodzieje? czy wyschły kufle, gęsiory i dzbany? Mówcie!... cóżkolwiekbądź, srodze boleję; trzeba wam wrócić pokój pożądany!» Wtem się zakrztusił, jęknął, łzami zalał; przeor tymczasem pełny kubek nalał". Napił się ojciec doktór „raz, drugi i trzeci, . . . odkrząchnął żwawo, niby się uśmiechnął, przymrużył oczył, nadął się i kichnął". Za przykładem ojca doktora pokrzepili się i inni, i odrazu rozjaśniło się im w głowach: odgadli, że przyczyną rozruchu jest zazdrość karmelitów, których też postanawiają wyzwać na dysputę, poczem wrócili do łóżek. Tymczasem i w klasztorze karmelitów coś niedobrze słychać: oto jeden z ojców „wychodził słuchać świątobliwe plotki, gdy (myśląc, kto wie, czy o Panu Bogu?) zgubił pantofel i upadł na progu"; jako człek uczony, „fatalną wróżbę w tej przygodzie znaczy": jakoż niebawem przychodzą do klasztoru posłowie dominikańscy i wyzywają karmelitów na dysputę. Ci kłócą się i wrzeszczą, ale nakoniec przystają na dysputę; „wtem brat Kleofas na obiad zadzwonił: wypadli wszyscy, jakby ich kto gonił". Po obiedzie znowu w radę: jeden radzi, by zmierzyć się z dominikanami na kufle, lecz inny odradza, bo „pijemy dobrze, ale lepiej oni"; staje na tem, że odbędzie się uczona dysputa: „trzeba się uczyć, upłynął wiek złoty"; odnaleziono gdzieś w starym lamusie starą bibliotekę, i ojcowie na gwałt zaczynają się uczyć. Kiedy się nauczyli, „schodzą się mędrce, i biali i szarzy, czarni, kafowi, w trzewikach i bosi; rumiana dzielność błyszczy się na twarzy, tuman mądrości nad łbami się wznosi"; po napuszonej i bezsensownej mowie, wygłoszonej przez jednego z ojców, zaczyna się dysputa naprzód na słowa, ale niebawem na inną broń:

Bitwa.

Wpada Hyjacynt,—nowa postać rzeczy:
Miejsce dysputy zastał placem wojny;
Jeden drugiego rani i kaleczy!
Dostał po uchu nasz rycerz spokojny:
Widzi, że skromność już nie ubezpieczy;
Więc, dzielny w męstwo, w oddawaniu hojny,
Jak się zawinął i z boku i z góry,
Za jednym razem urwał dwa kaptury.
Lecą sandały i trepki i pasy,
Wrzawa powszechna przeraża i głuszy.
Zdrętwiał Hyjacynt na takie hałasy,
Chciałby uniknąć bitwy z całej duszy,
A przeklinając nieszczęśliwe czasy,
Resztę kaptura nasadził na uszy,
Już się wymykał, . . . wtem kuflem od wina
Legł z sławnej ręki ojca Zefiryna.
Ryknął Gaudenty, jak lew rozjuszony,
Gdy Hyjacynta na ziemi zobaczył;

Nową więc złością znagła zapalony,
Żadnemu z ojców, z braci nie przebaczył:
Padł i mecenas, z krzesłem przewrócony,
Definitora za kaptur zahaczył;
Łukasz, raniony, zwinął się w trzy kłęby,
Stracił Kleofas ostatnie dwa zęby.
Coraz się mnożą i krzyki i wrzaski,
Hałas powstaje i wrzawa, aż zgroza!
Ojciec Remigi, sążnisty a płaski,
Używa żwawo zgrzebnego [1] powroza;
Wziął w łeb Kapistran obręczem od faski,
Dydak półgarncem ranił Synifroza,
Skacze Regulat do oczów, jak żmija,
Longin się z rożnem walecznie uwija.
Już był wyciskał talerze i szklanki,
Pękły i kufle na łbach hartowanych, —
Porwał natychmiast książkę zza firanki:
Wojsko afektów zarekrutowanych [2],
Nią się zakłada, pędzi poza szranki
Rycerzów, długą bitwą zmordowanych.
Tak niegdyś sławny mocarz z Palestyny [3]
Oślą paszczęką gromił Filistyny.
Widzi to Rajmund, ozdoba Karmelu,
Widzi w tryumfie syna Dominika,
Wyjeżdża na harc i wpada wśród wielu,
Godnego sobie szuka przeciwnika.
Rafał z nim obok: „Ratuj, przyjacielu!“
Rzekł. Seraficzna w tym punkcie kronika
Padła nań z góry: legł i ręką kiwnął,
Dwa razy jęknął, cztery razy ziewnął.
Zapłakał Rafał, a mądry po szkodzie,
Wtenczas błąd poznał, że wróżkom nie wierzył;
Dotrzymał jednak kroku na odwodzie,
A gdy Gaudenty na niego się mierzył
Z mokrem kropidłem w poświęconej wodzie,
Oczy mu zalał, trzonkiem w łeb uderzył:
Nie spodziewając się takowej wanny,
Stanął Gaudenty i mokry i ranny.
Otrząsł się wkrótce, a nabrawszy duchu,
Wdwójnasób czyny heroiczne mnożył.
Ojcze Barnabo! Lepiej było w puchu!
Pocoś szedł w wojnę? pocoś się tak srożył?
I ty, Pafnucy, ległeś w tym rozruchu!
I ty, Gerwazy, słusznieś się zatrwożył!

[1] zgrzebny = konopny. [2] tytuł książki nabożnej. [3] Samson.

Nikt go nie wstrzyma w zemście przedsięwziętej,
Na waszą zgubę odetchnął Gaudenty.

Nie wiedzieć, na czemby się ta bitwa skończyła, gdyby nie mądry prałat, który, „biorąc w głąb rzeczy przez swój wielki rozum, rozkazał przynieść *vitrum gloriosum*“, t. j. sławny puhar; „zadziwił oczy widokiem ozdobnym: śklni się w nim kruszec srebrno-pozłacany; wiele pomieścić trunku był sposobnym, miara oznacza: był to dzban nad dzbany! rzeźba wyborna na górze, a z boku wyryte były cztery części roku“. „Pasą się oczy wspaniałym widokiem, już zapomnieli o bitwie i radzie,... krzyknęli: zgoda!“ ... „Za czyje zdrowie pili w takiej porze? Nie wiem, lecz, gdybym znajdował się z nimi, piłbym za twoje, szacowny przeorze, za twoje, który czyny chwalebnymi jesteś i mistrzem i ojcem w klasztorze i dajesz poznać przykłady twoimi, jak umysł prawy zdrożności unika: *cnota, nie odzież czyni zakonnika.* Czytaj i pozwól, niech czytają twoi, niech się z nich każdy niewinnie rozśmieje; żaden nagany sobie nie przyswoi; nikt się nie zgorszy, mam pewną nadzieję: prawdziwa cnota krytyk się nie boi, niechaj występek jęczy i boleje. Winien odwołać, kto zmyśla zuchwale: przeczytaj, osądź! nie pochwalisz,—spalę!“

Omylił się Krasicki, jeżeli myślał, że nikt się nie zgorszy. *Monachomachia* wywarła nieopisane wrażenie: jedni boki zrywali ze śmiechu i zacierali ręce z radości, że się „klechom“ dostało, ale inni nie posiadali się z oburzenia: jakto? biskup i takie rzeczy pisze? ależ to heretyk, bezbożnik, bluźnierca, „ateusz, piekła zarażony jadem! niechaj go hańba ogarnie wieczysta!“; niektórzy nawet byli pewn', że go już ogarnęła: jakaś pobożna „panna Anna na rozstajnej drodze widziała w piekle jęczącego srodze“. I oto biskup musiał się usprawiedliwiać (w poemacie *Antimonachomachia*), że mu się nawet nie śniło ani bluźnić, ani „kłaść zakonności w równej szali z wiarą“; ale *Monachomachii* nie spalił, zarzutów swych przeciwko „świętym próżniakom“ nie cofnął, owszem jeszcze im dosolił, wierny swej zasadzie: „Szanujmy mądrych, przykładnych, chwalebnych, śmiejmy się z głupich, choć i przewielebnych!“

§ 84. Za najskuteczniejszy środek przeciwko ciemnocie poczytywał Krasicki dobre wychowanie, które też, jak mówi, „najistotniejszym jest rodziców obowiązkiem i być powinno jedną z pierwszych usilności całego kraju“, a którego celem jest przysposobić wychowańca na „człowieka prawego, obywatela zdatnego, chrześcijanina przykładnego“. W tym to duchu właśnie wychowywała młodzież szkolną Komisya Edukacyjna; natomiast wychowanie domowe, które ciemna szlachta, nie ufając Komisyi (§ 75), przekładała nad szkolne, odbywało się w duchu zacofanego sarmatyzmu; biadała też na nie literatura, a jeden z satyryków, ks. *Gracyan Piotrowski*, wyraził się nawet, że „domowa edukacya“ i jej skutki „gubią Polskę gorzej, niżli miecze, niżli nieprzyjacielskie ognie i najazdy“. Otóż i Krasicki, zawsze czujny na potrzeby

kulturalne społeczeństwa, przemówił w tej niesłychanie doniosłej sprawie—w powieści: *Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki* (1776). Powieść ma postać pamiętnika: Doświadczyński sam o swoich przypadkach opowiada.

„Urodziłem się w domu uczciwym, szlacheckim... Nim zacznę mówić o mojem wychowaniu, nie od rzeczy zda mi się namienić cokolwiek o tych, od których życie powziąłem, to jest, poprostu, o moim ojcu i o mojej matce. Ociec mój, po stopniach skarbnik, wojski, miecznik, łowczy, cześnik, podstoli, sześćdziesiątoletnie ziemi swojej i województwa usługi, a ustawiczne na sejmiki elekcyjne i gospodarskie peregrynacye, przy kresie życia szczęśliwie nadgrodzone i ukoronowane zobaczył: został stolnikiem. Do tego nawet stopnia konsyderacyi[1] już był przyszedł, że go podano ostatnim kandydatem do podsędkostwa; ale przeciwna cnocie fortuna nie pozwoliła dojść do tego stopnia; prędko się jednak uspokoił zwyczajną nieszczęśliwym refleksyą nad marnościami świata tego. Dopomogła takowej rezolucyi[2] nader szczęśliwa natura: był albowiem z tego rodzaju ludzi, których to pospolicie nazywają: dobra dusza. Nic on o tem nie wiedział, co robili Grecy i Rzymianie, i, jeżeli co zasłyszał o Czechu i Lechu, to chyba w parafii na kazaniu. Co mu powiedział niegdyś jego ociec (a jak starzy twierdzili, jeszcze lepsza dusza, niż on), to też samo on nam ustawicznie powiadał; tak dalece, iż u nas nietylko wieś, ale i sposoby mówienia i myślenia były dziedziczne. Wreszcie był to człowiek rzetelny, szczery, przyjacielski i, choć nie umiał cnót definiować[3], umiał je pełnić. Z tej jednak nieumiejętności definiowania pochodziło, iż się był względem ludzkości nieco pomylił: rozumiał albowiem, iż dobrze w dom gościa przyjąć jest toż samo, co się z nim upić. Stąd poszło, że się i inwentarz zmiejszył, i zdrowie nadwerężyło; znosił jednak pedogrę sercem heroicznem, i, kiedy mu czasem pofolgowała, często natenczas powtarzał, iż miło cierpieć dla kochanej ojczyzny".

„Matka moja, z dzieciństwa wychowana na wsi, dla odpustu chyba nawiedzała pobliższe miasta: skąd każdy łatwo wnieść sobie może, że jej na wielu teraźniejszych talentach brakło. Nie obchodziło ją to bynajmniej, i, gdy raz strofowana była od jednego modnego kawalera, iż zdawała się mieć zbyt surowe maksymy i dzikość niejaką, obrażającą oczy wielkiego świata, rzekła mu w szczerości ducha, że woli prostacką cnotę, niż grzeczne występki".

„Pierwsze lata niemowlęctwa mojego przepędzone były w orszaku niewiast; niedobrze jeszcze artykulowane[4] słowa tłumaczyły

---

[1] konsyderacya = poważanie. [2] rezolucya = postanowienie, pogodzenie się z losem. [3] określać. [4] artykulować = wymawiać.

piastunki i niańki za dziwnie roztropne odpowiedzi: te z niesłychaną skwapliwością zaraz opowiadano matce mojej, która zwyczajnie od tego punktu zaczynała dyskursa w każdem posiedzeniu. Potakiwali, ziewając, sąsiedzi, a niejeden byłby może nakoniec i zasnął, gdyby nie budził ich ociec częstymi kielichy. Orzeźwieni naówczas wynurzali koleją obfite życzenia, aprekacye[1] i proroctwa, a mój ociec płakał".

„W dalszym czasów przeciągu nieraz mi na myśl przychodziły zdrożności pierwiastkowej edukacyi, i zastanawiałem się nad tem, jak jest rzecz zła i szkodliwa, w niemowlęcym nawet wieku, poruczać dzieci osobom, nie mającym żadnego oświecenia. Tkwią mi do tego czasu w głowie bajki i straszne powieści, których em się aż nadto nasłuchał; i częstokroć, mimo rozumną konwikcyą[2], muszę się z sobą pasować, żebym gusłom i zabobonom nie wierzył lub wykorzenił bojaźń jakowąś i wstręt, gdy zostaję bez światła albo na osobności. Nadto wkradał się nieznacznie gust obmowy; słysząc albowiem, jako każdego z dworskich obyczaje niewiasty krytykowały, te zaś powieści mile przyjmowane przed starszymi bywały,—wziąłem to sobie za punkt pozyskania łaski matki lub ochmistrzyni, cokolwiek też przed niemi na drugich mówić; a gdy brakło okazyi, udawać się musiałem do kłamstwa. Uważałem i to, że, jak wieczorne rozmowy były zwyczajnie o upiorach, czarownicach i strachach, tak ranne o snach; jedna drugiej z kobiet opowiedała, co się jej śniło: a z ich tłumaczeń i wróżek nauczyłem się, iż, gdy się komu ogień marzy, gościa się w dom spodziewać trzeba; a gdy ząb wypadnie, zapewne natenczas ktoś z krewnych umrze."

„Tak do lat siedmiu przebywszy w domu, trafiło się, iż przyjechał do nas brat matki mojej, człowiek, urzędem, nauką i wiadomością świata znamienity. Przypatrowałem się pilnie wujowi memu tem bardziej, iż widziałem, że go rodzice moi bardzo szanowali; dziwowałem się, iż, dwa dni u nas siedząc, jeszcze się był nie upił; księdzu lektorowi, mówiącemu o upiorach, wierzyć nie chciał. To mi wstręt do niego zaczęło czynić, iż się ze mną nie tak, jak drudzy, bawił; a co najgorsza, zapędzoną w pochwały moją matkę niepomału, mnie zaś niezmiernie zmieszał, gdy się spytał, czy ja umiem czytać, pisać i inne wiekowi przyzwoite mam wiadomości".

„Pierwszy raz obiły się o moje uszy natenczas takowe słowa. Matka z początku chciała o czem inszem dyskurs[3] zacząć, ale, gdy coraz bardziej nalegał, rzekła natenczas, i ledwo nie słowo w słowo jej dyskurs pamiętam: «Podobno się zdziwisz, braciszku, gdy ci powiem szczerze, że nasz Mikołajek dotąd ani pisać, ani czytać nie umie; ale nie będziesz nas z mężem moim winował, gdy ci opo-

---

[1] aprekacya=prośba do Boga. [2] konwikcya = przekonanie. [3] dyskurs = rozmowa.

wiem przyczyny, dla których nie chcieliśmy się spieszyć z jego nauką. Najprzód dziecię jest delikatne, słabe, mogłaby mu zaszkudzić zbytnia sedentarya[1], którą i nad alamentarzem mieć trzeba; potym, jak sam waćpan widzisz, niezmiernie jest bojaźliwe; gdybyśmy mu dyrektora[2] dali, straciłoby fantazyą, ta zaś, raz stracona, powetować się nie może; trudno też znaleźć doskonałego takiego człowieka, jakiegobyśmy chcieli mieć do jego edukacyi; a nakoniec, już to ostatnia rzecz, jak mówią, młode źrzebię łamać». «Dobrze mówisz, moja panno,—odezwał się jegomość – świętej pamięci nieboszczyk mój ociec, (Panie, świeć nad duszą jego!) toż samo o mnie mówił; ale jednakowo, kiedy jegomość tak mówi, podobno lepiej dać Mikołajka do szkół. Opatrzy z łaski swojej i miejsce i człowieka, a tymczasem wypijmy za zdrowie jegomości mojego mościwego pana i kochanego dobrodzieja!»"

„Z jaką radością moją, a może i matki, odjechał nazajutrz ten wspólny nasz nieprzyjaciel, wyrazić trudno; jednak jego dyskurs zostawił w umyśle ojcowskim fatalną impresyą[3]: coraz mowę zaczynał o szkołach, nawet kupiono alamentarz i tablicę do pisania. Bolało to niezmiernie matkę; jednak, jako była bogobojna, gdy jej w tem uczyniono skrupuł, że mnie na zgubę moją pieści, uczyniła zapewne najheroiczniejszą w życiu swojem ofiarę, gdy zezwoliła na to, abym był wysłany do szkół publicznych... Po długich utarczkach, troskach, pożegnaniach, błogosławieństwach, nakoniec w rzewliwym płaczu do szkół wyprawiony zostałem... Oddalałem się pierwszy raz od obecności rodziców, od pieszczot matki, od pochlebstw domowników; najbardziej jednak, jak zapamiętam, przerażał mnie cel, dla którego wysłany byłem: nauka. Nie mogłem ją mianować dobrem, bo mi nią grożono i obiecowano za karę; wnosiłem więc sobie, iż nie może być, tylko przykra i dolegliwa"...

„W wigilią wyjazdu zawołany do ojca z panem dyrektorem, byłem świadkiem instrukcyi, onemu danej: najprzód, zlawszy na niego władzę swoją rodzicielską, zaklinał na wszystkie obowiązki, aby nie folgował; wchodził w wielkie pochwały plag, zdobył się podobno natenczas pierwszy raz na cytacye, powtarzając owe wiersze z alamentarza: „Rószczką Duch Ś. dziateczki bić radzi" etc.; nakoniec dał mu w ręce kańczuczek, prawda, że mały i cienki, ale jakem sam potem sprobował, bardzo boleśny. Gdyśmy już z izby wychodzili, właśnie jak gdyby najpotrzebniejszej rzeczy zapomniał, uchyliwszy drzwi, zawołał na pana dyrektora: «Bijże, bo ja ci za to płacę!» Co się ze mną działo, jakem truchlał, drżał, płakał, dorozumieć się każdy może. Pobiegłem natychmiast do matki i wszystko, co się działo, nie bez rzewnego płaczu opowiedziałem. Kazała więc zawołać dyrektora i w krótkości słów dała mu do wy-

---

[1] ciągłe siedzenie. [2] dyrektor = młody gumerner (z pośród uczniów klas wyższych). [3] impresya = wrażenie.

rozumienia, iż, jeżeli się tknie dziecięcia, i służbę straci i skórą odpowie. Pocieszyło mnie to trochę, i zaraz nazajutrz puściliśmy się w drogę, którąm ja prawie całą przejęczał, pan dyrektor przemyślał, podobno na tem, kogo miał słuchać, czy pana, czy pani".

„Przyjechaliśmy bez żadnego przypadku, przyjęci z wielką radością. Pierwiastki szkolne szły trybem zwyczajnym. Pojętność miałem wielką, ale wstręt od nauk jeszcze większy. Pan dyrektor, pamiętniejszy na groźby pani, niż rozkaz pana, obchodził się zrazu ze mną dyskretnie, ale, wziąwszy sam w swojej szkole plagi od profesora, pełen zapalczywości, lubom był niewinien, oddał mi tylo dwoje. Od tego czasu czynił kolejno zadosyć obowiązkom rodziców moich: pieścił, gdzie nie było potrzeba, bił, kiedy nie należało. Wziąwszy nakoniec w dzień swoich imienin parę sukien od matki w podarunku, napisał przez pierwszą pocztę rodzicom, że imć pan Mikołaj czasu swego w nauce samego nawet Herkulesa przejdzie".

Lecz szkół Doświadczyński nie skończył: „Jużem dochodził lat szesnastu, gdym odebrał wiadomość o śmierci ojca i zaraz rozkaz powracania do domu". I oto znów zaczęła się edukacya domowa — pod kierunkiem Francuza, przybłędy i oszusta, pana markiza Damona, który, chociaż był w sąsiedztwie kamerdynerem, „przecież, jak powiadał, uczynił to był umyślnie, chcąc ukryć wielkość imienia swojego: inaczej, poznany, byłby w odpowiedzi (pod sądem) za zabicie w pojedynku pod samym bokiem królewskim w Wersalu pierwszego prezydenta parlamentu francuskiego". „Gdy go matka moja usilnie prosiła, aby nam awantury swoje opowiedział, z początku wielki od tego wstręt pokazował, ale uproszony nakoniec (nie bez wielu poprzedzających darowizn) odkrył nam ledwo nie najjaśniejsze urodzenie swoje, przypadki ledwo słychane na morzu i na lądzie, awantury miłośne, niektóre pomyślne, niektóre z złym sukcesem; ta zaś najfatalniejsza, która go nakoniec przywiodła do owego pojedynku z pierwszym prezydentem parlamentu; kończył powieść, zaklinając n wszystkie obowiązki, aby gó nie wyda vać: gdy się albowiem odkrył, życie jego zostawało w ręku naszych, a już się nawet dowiedział o tem od pewnego podufałego przyjaciela książęcia, iż król francuski pisał do naszego z prośbą, aby go wszędzie po Polszcze szukano". Swój program pedagogiczny streścił pan Damon w tych słowach: „Szkolna nauka żakom tylko przystoi, zacnego zaś panięcia dowcip, regułami zacieśniony, na toby się tylko przydał, żeby go palcem po Paryżu wskazowano... Edukacya dobra zaczyna się od nabierania prezencyi i fantazyi, ciągnie się i kontynuuje probowaniem wspaniałości umysłu, kończy się zaś doświadczeniem sentymentów serca... Nauka kawalerska zawisła na konwersacyi z równymi sobie; nie będziesz więc waszmość pan miewał inszych lekcyi nad ustawiczną ze mną konsersacyą: z niej i wiadomości rzeczy będziesz nabierał

i w sentymentach kawalerskich będziesz się ćwiczył". Nauczył się więc Doświadczyński paplać po francusku, pochłaniał romanse francuskie i pod ich wpływem postąpił w „sentymentach kawalerskich": zakochał się w wychowanicy matki, Juliannie, chciał ją poślubić, ale matka słyszeć o tem nie chciała, bo Julianna nie miała majątku. Więc Juliannę zapakowano do klasztoru, a synalka wyprawiono „do jednego z najcelniejszych królestwa miast", oczywiście w towarzystwie pana markiza.

I oto zaczyna pan Mikołaj żyć: hula i gra w karty, póki się nie zgrywa do nitki; markiz, okradłszy swego pupila, czmycha, a pupil powraca do matki i „przez cały miesiąc wiedzie życie przykładne". Lecz jad, wsączony w duszę przez Damona, robi swoje: Doświadczyński tęskni do życia, więc jedzie do Warszawy i upada coraz niżej — w otoczeniu pijaków, hulaków i mędrków, którzy uczyli go np., że filozofem zostać bardzo łatwo: „Chwal tylko, co drudzy ganią! myśl, jako chcesz, byleby osobliwie! kiedyniekiedy z religii zażartuj! decyduj śmiele, a gadaj głośno!" Wtem umiera matka: Doświadczyński jest już panem swojej osoby i majątku, więc hula, ... się zmieści, wreszcie wybiera się zagranicę.

Lecz na razie musi jechać do Lublina, do trybunału, aby prowadzić proces z sąsiadem, którego za namową swego plenipotenta wygnał był z folwarku. Aby wygrać sprawę, trzeba było naprzód ująć sobie sędziów; zaczęły się więc „pracowite wizyty do każdego w szczególności z jaśnie wielmożnych". A właśnie przypadały imieniny jednego z nich: „Ten jaśnie wielmożny Jan, w Piotrkowie Ewangelista, był teraz w Lublinie Chrzcicielem" (t. j. w Piotrkowie obchodził imieniny na ś. Jana Ewangelistę, a w Lublinie na ś. Jana Chrzciciela). „*In gratiam* (z powodu) tak wielkiej gali dawał bal mój adwersarz (przeciwnik): żeby się nie dać nietylko w sprawie, ale i w szczodrobliwości przezwyciężyć, kareta moja francuska z szorem mosiężnym wyzłacanym przeniosła się zaraz do wozowni jaśnie wielmożnego solenizanta, i nie bez skutku, uczułem albowiem nazajutrz dowód łaski jego: idąc na wschody ratuszowe, wsparł się na mnie, i miałem honor dźwigać go do samej izby sądowej".

Z kolei trzeba było zjednać sobie adwokatów: „Zeszło się do mnie dziesięciu poważnych i okazałych mecenasów... Postawiono kilka flasz na stole... Szły rzęsiste kielichy, gdy jeden z ichmościów pracowitszych odezwał się do mnie: „Mości dobrodzieju! sprawa sprawy nie tamuje: przystąpmy do czytania sprawy! przy czytaniu dokumentów, gdy nam którego braknie, kielich to miejsce zastąpi... Zgoda, zgoda!, zawołali wszyscy... Zaczął plenipotent mój informować ich o sprawie. Każdy z mecenasów notował sobie potrzebniejsze okoliczności". Wtem „młodzieniec jeden, wykwintnie ubrany, wchodzi z trzaskiem do pokoju; za nim kozaczek z zaplecionym czerwoną wstążką sełedcem (warkoczykiem) i poko-

jowiec w zielonych sukniach z kordelasem, strzelca nadwornego podobno reprezentujący; tych jeszcze poprzedził wyżeł młody rozhukany, który, rozumiejąc podobno, że jedzą u stolika, wspiął się nań łapami we wszystkim pędzie i kielich duży wywrócił pełen wina, wszystkie papiery moje zlał i notata ichmościów patronów, a co gorsza, kilka pięknych kontuszów i żupanów winem tem splamił. Prędko mi poszepnął plenipotent do ucha, abym tego młodzieńca jaknajgrzeczniej przyjął, «bo to siestrzeniec rodzony JW. Prezydenta, ma już deklarowaną (obiecaną) chorągiew; ten ma zwyczaj, a bardziej zlecenie, pod tytułem ćwiczenia się w prawie, przysłuchiwać się konferencyom». Przywitawszy więc z należytem uszanowaniem pożądanego gościa, podałem na kolej zdrowie JW. wuja... Potem, za pozwoleniem gościa, który żądał także przysłuchać się sprawie, zasiedliśmy do kontynuowania informacyi. Wprawdzie ten młodzieniec więcej się psem swoim bawił, jak słuchaniem sprawy: świstał, kazał warować, czapkę rzucaną podać, i, lubo to czyniło dystrakcyą słuchaczom, chwaliliśmy psa i pana, a tymczasem skończyła się informacya".

Wreszcie wygrał Doświadczyński sprawę — przy pomocy sfałszowanych dokumentów, poczem, zaciągnąwszy dług, wyjechał do Paryża, zatrzymując się tu i owdzie po drodze, np. w Kolonii, gdzie „był w katedrze na odpuście i całował głowy śś. Kaspra, Majchra i Baltazara". W Paryżu zapoznał się z „hrabią" Fickiewiczem, oszustem, i wspólnie „ułożyli *dla honoru narodu polskiego* (!) wszelkimi sposobami o to się starać, żeby i w guście i w magnificencyi (przepychu) przepisać (przewyższyć) kawalerów tamecznych". Jakoż okrył Doświadczyński chwałą imię polskie: „Wspaniała moja rozrzutność uczyniła mnie sławnym po całym Paryżu; nająłem mały domek na przedmieściu, z pięknym ogrodem, a że wpodle miał takiż domek marszałek jeden francuski, tak mój wymeblowałem kształtnie, iż przezwyciężyłem dotąd niezwyciężonego sąsiada". Nakoniec, przepuściwszy przy pomocy Fickiewicza, którego długi musiał spłacać, prawie wszystko, co miał, z ostatkiem grosza i z duszą, już do cna zepsutą, uciekł Doświadczyński przed wierzycielami do Amsterdamu, a stąd pożeglował do Batawii. Lecz nie dopłynął: wybuchła burza, i „wpędzony na skały okręt rozbił się z nieznośnym trzaskiem". „Co się ze mną naówczas stało, opowiedzieć tego nie umiem; to wiem, iż, ocuciwszy się niejako, znalazłem się wśrzód morza; zalany falami, opojony morską wodą, zacząłem dobywać ostatnich sił; szczęściem zachwyciłem dość sporą deszczkę, porwałem ją i takem mocno trzymał, iż mimo ustawiczne fluktami (bałwanami) rzucania, na pół żywy wyniesiony byłem na piasek lądowy". I na tem kończy się część pierwsza powieści, najlepsza i najciekawsza.

W drugiej opowiada Doświadczyński o swoim pobycie na wyspie Nipu, na którą go fale wyrzuciły. Ustrój społeczeństwa

nipuańskiego jest patryarchalny: „niemasz żadnej innej zwierzchności politycznej, prócz naturalnej rodziców nad dziećmi"; zresztą wszyscy są równi: są wprawdzie „panowie" i „czeladź", ale „nie znać było najmniejszej podłości w czeladzi: panowie nie patrzyli się na nich surowem okiem, dopieroż kar bolesnych albo obelżywych podobieństwa nawet nie postrzegłem". Miast ani żadnych instytucyi państwowych, jakoto wojska, sądów, skarbu i t. d., niema, bo wogóle niema państwa,—jest tylko społeczeństwo. Co do religii, wierzą Nipuańczycy w jednego Boga, który „jest żrzódłem wszystkiej istności, początkiem wszystkiego dobra": ale Kościoła nie mają. Trudnią się rolnictwem: każdy gospodarz ma dom, pole i ogród, „wszystko pod równym wymiarem"; nie znając żadnych kruszców, „zażywają do narzędzi rolniczych ości ryb wielkich, które morze częstokroć na brzeg wyrzuca; te tak zaostrzają tarciem jednych o drugie, iż i drzewa niemi obrabiać i zboże żąć mogą". Czytać ani pisać nie umieją, bo liter i książek nie znają, mają zato składne i wdzięczne pieśni oraz powieści o wielkich przodkach. Są bardzo moralni: pielęgnują wstrzemięźliwość (mięsa nie jadają), szanują rodziców, kochają tradycyę, nie kłamią, nie kradną, nie zdradzają, nie pochlebiają. Takim to ludziom przypatrywał się Doświadczyński, czasami „odchodząc prawie od siebie z radości i zadziwienia". Lecz musiał i pracować (po raz pierwszy w życiu), jako parobek u gospodarza imieniem Xaoo, i ta „praca, która z początku zdawała mi się nieznośna, stała się z czasem zabawą przyjemną; spazmy, wapory (wyziewy), rumatyzmy, z których mnie nie mogły wyprowadzić wody salcerskie i karlsbadzkie, ustąpiły dobrowolnie z rzęsistym potem; apetyt, który soczystymi bulionami musiał wzbudzać i krzepić z początku mój kucharz Chrystyan, Niemiec, dalej imć pan Sosancourt, Francuz, sam się powrócił; a rzepa po pracy lepiej smakowała, niż przedtem podlaskie kuropatwy; w niedostatku zwierciadła, gdym się w wodzie przezierał, postrzegłem płeć moją, prawda, przyczernioną, ale twarz pełną i rumieniec żywy; sen smaczny, a nieprzerwany orzeźwiał strudzone dzienną robotą członki, a czerstwość samą się pracą pomnażała". Słowem *odrodził się Doświadczyński fizycznie. A po części i umysłowo*, słuchał bowiem „z gustem niewypowiedzianym" długich kazań mądrego Xaoo na temat cnoty i moralności, miłości ojczyzny i języka ojczystego, szkodliwości podróży zagranicznych i t. p.

Trzy lata z górą mieszkał Doświadczyński wśród Nipuańczyków; a choć mu czas szybko płynął, tęsknił do kraju, bo „prawdę powiedzieli starzy, iż słodki dym ojczyzny". Więc, znalazłszy raz na brzegu łódkę z jakiegoś rozbitego okrętu, wskoczył i puścił się na morze, nie przeczuwając, że, zanim ujrzy dym ojczyzny, czekają go jeszcze różne przygody.

O tych „awanturach" opowiada księga trzecia i ostatnia.

Czegoż nie doświadczył Doświadczyński! jęczał w niewoli u hiszpańskiego handlarza niewolników, męczył się w kopalniach w Potosi (w Ameryce południowej), w Hiszpanii dostał się do więzienia, a nawet do szpitala waryatów! Lecz w tej twardej szkole życia *odrodził się moralnie*: w Paryżu szukał towarzystwa już nie Fickiewiczów, ale „mędrców niedumnych, bogaczów niewyniosłych, panów przystępnych, bogobojnych, bez żółci, rycerzów bez samochwalstwa“. Zaprzyjaźnił się z pewnym margrabią, który go namówił, by wracał do ojczyzny i pracował dla niej. Jakoż powrócił do swej wsi rodzinnej, do Szumina, i oto „w przeciągu lat dziesięciu dworak w Warszawie, w Paryżu galant, oracz w Nipu, niewolnik w Potosi, szalony w Sewilli, został w Szuminie filozofem“. „Za punkt największy gospodarstwa wziął sobie szczęśliwość swoich poddanych“; a pragnąc pozyskać szersze pole dla swej pracy obywatelskiej, zaczął się ubiegać o godność poselską. „Przyjechawszy do miasta stołecznego, chciałem iść jak najprzyzwoitszemi drogami do dostąpienia poselstwa; wyśmiali dzikość moją sąsiedzi, gdy się dowiedzieli, żem tylko jednego kucharza z sobą przywiózł, a gdy ich wieść doszła, żem nie więcej miał z sobą nad dwa antały wina, sam imć pan podkomorzy wręcz zdecydował, iż o mojem poselstwie nie tuszy; kupiłem więc czemprędzej w pobliższym klasztorze wina wybornego beczek kilka; kucharzów użyczyli sąsiedzi; że zaś było pieniędzy dostatkiem, poszło wszystko i prędko i dobrze“: mimo niechętnych, którzy patrzyli krzywo na Doświadczyńskiego, że „jeździł po rozum za granicę“, że więc wszystko będzie teraz „po modnemu, po francusku, po niemiecku, dyabli wiedzą po jakiemu“, obrano go na posła, pod warunkiem, że się na sejmie dopominać będzie o reparacyę ratusza lubelskiego i piotrkowskiego. o sumy neapolitańskie, o otwarcie gór w Olkuszu i o starania około kanonizacyi dwu błogosławionych. Pojechał więc pan Mikołaj do Warszawy, ale cóż, kiedy na trzeci dzień sejm zerwano! Więc wrócił na wieś i ponownie wziął się do cichej pracy na roli, a „pierwszy podobno z całej okolicy przeświadczony będąc, że poddani byli ludźmi, przyłożył do tego starania, aby ile możności uczynić ich stan znośniejszym“. Niebawem, podczas podróży na Litwę, spotkał Juliannę (która zdążyła już nietylko opuścić klasztor i wyjść zamąż, ale i owdowieć), ożenił się z nią, żył szczęśliwie i doczekał się synów i wnuków.

Taka jest treść powieści. A jej dążność i myśl przewodnia? Chciał Krasicki, po pierwsze, dać *obraz satyryczny wychowania domowego*, powtóre, chciał uwydatnić *opłakane jego skutki*, pokazać, jaką drogą dochodzi się do utraty czasu, majątku i honoru; gdyby Doświadczyńskiego inaczej wychowano, byłby odrazu pracował na pożytek i chwałę ojczyzny; słowem *Doświadczyński to ofiara złego wychowania, a stąd myśl przewodnia powieści: trzeba dobrze wychowywać młodzież*!

Lecz, jak zawsze, tak i tutaj chciał Krasicki nietylko uczyć, ale i bawić, więc napisał nie rozprawę, tylko powieść. A trzeba wiedzieć, że za jego czasów powieść w Europie zachodniej była już bogata i różnorodna: były powieści wychowawcze, t. j. uczące, jak trzeba albo jak nie trzeba wychowywać (np. *Przygody Telemaka* przez Fenelona, § 77) i wogóle powieści dydaktyczne (np. słynny *Robinson Kruzoe* Anglika Defoe); były obyczajowe, odzwierciedlające obyczaje i wogóle rzeczywiste życie narodu; były i takie, których treść wypełniały nadzwyczajne przygody na lądzie i na morzu; były wreszcie tak zwane *utopie*, t. j. opisy krain, nigdzie nie istniejących, wymarzonych, które wyobraźnia, niezadowolona z rzeczywistości, zaludniała ludźmi, lepszymi i szczęśliwszymi od ludzi prawdziwych, szczęśliwszymi głównie dlatego, że się obchodzą bez cywilizacyi, że żyją na łonie natury. (O takiem to społeczeństwie bredził w XVIII w. Russo, § 77, a za nim inni, zapominając, że bez cywilizacyi byłoby jeszcze gorzej na świecie, że bezwzględne szczęście człowieka pierwotnego jest wierutną bajką, że modne podówczas hasło powrotu ludzkości na łono natury jest szkodliwym dla postępu absurdem). Wobec tej różnorodności literatury powieściowej zagranicą, literatura polska miała jedynie liche powieści fantastyczne, miana powieści niegodne. Otóż *Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki to pierwsza powieść polska*, godna tego imienia. Jest to mianowicie, ze względu na dążność i myśl przewodnią, *powieść wychowawcza*. Nie dosyć na tem: Krasicki chciał odrazu kilka srok za ogon złapać, chciał za jednym zamachem dać literaturze ojczystej wszystkie znane podówczas rodzaje powieści: opowiadanie o wychowaniu Doświadczyńskiego, o trybunale lubelskim, o sejmiku — to *powieść obyczajowa*; jego pobyt na wyspie Nipu — to *utopia*, a jego przygody w Paryżu, w Ameryce i Hiszpanii—to *powieść awanturnicza* (*le roman des aventures*, jak nazywają takie powieści Francuzi). Lecz nie wszystkie mają jednakową wartość: opowiadanie o awanturach pana Mikołaja jest słabe, gdyż Krasicki nie miał bujnej fantazyi; dla tej samej przyczyny słaba jest i utopia, a do tego kłócąca się okropnie z dążnością wychowawczą powieści: przecie autor chciał zachęcać czytelników do oświaty i cywilizacyi, a nie do „dzikości"!! Ale zato powieść obyczajowa jest od początku do końca utworem znakomitym, jako obraz satyryczny współczesnych obyczajów, tryskający życiem i prawdą.

§ 85. Wiek oświecony, krzewiąc oświatę, niósł jednak z sobą niewiarę i zgorszenie moralne (§ 76), a te poczytywał Krasicki za niemniejszą, owszem za większą klęskę od ciemnoty: „*Bądź raczej cnotliwym nieukiem, niż mądrym, a bezbożnym*!... Chcemy nasz stan, stan kraju ustanowić trwały, odmieńmy obyczaje, a jąwszy się pracy, *niech będą dobrzy, a będą szczęśliwi Polacy*"! Przerażony zaś smutną teraźniejszością, ulatywał myślą w daleką

przeszłość, w której nie widział wprawdzie „wieku oświeconego“ z jego nauką i ogładą, ale w której upatrywał zato wiarę i cnotliwy obyczaj staropolski. W tym to duchu pisał swoje *Satyry* (1779), *wymierzone nie przeciwko sarmatyzmowi, ale głównie przeciwko „światowi zepsutemu“*, t. j. ujemnym stronom wieku oświeconego.

Satyr jest dwadzieścia dwie. Na czele znajduje się satyra *Do króla*: nie *na* króla, tylko *do* króla; nie króla bowiem gromi Krasicki (przeciwnie, chwali go tak zręcznie, jak nikt w XVIII w.), ale społeczeństwo, które nie chciało darować stolnikowi litewskiemu jego wyniesienia, które też obrzucało go szeregiem zarzutów, często błahych i głupich. Otóż Krasicki powtarza je dosłownie i ośmiesza: „Jesteś królem, a czemu nie królewskim synem?... Jesteś królem, a byłeś przedtem mościpanem! To grzech nieodpuszczony!... *Tyś królem, czemu nie ja?*.... Oto młodyś jeszcze!“... Od siebie zaś dodaje dwa jeszcze nibyto zarzuty, w istocie dwie pochwały: 1) zanadto jesteś człowiekiem, boś zbyt łagodny; pamiętaj, że „król nie człowiek“; „poco tobie przyjaciół? niech cię wielbią słudzy! chcesz, aby cię kochali? niech się raczej boją! cóżeś zyskał dobrocią, łagodnością twoją? zdzieraj, a będziesz możnym! gnęb, a będziesz wielkim!“; 2) „Księgi lubisz i w ludziach kochasz się uczonych? i to źle! porzuć mędrków zabałamuconych! żaden się naród księgą w moc nie przysposobił: mądry przedysputował, ale głupi pobił“. Wogóle cała satyra jest arcydziełem subtelnej ironii i niezrównanej, dworskiej zręczności: ironii względem społeczeństwa, które suchej nitki na St. Auguście nie zostawiało, nie umiejąc i nie chcąc ocenić jego rzetelnych zasług około oświaty, a zręczności — w pochwałach dla króla, którego cenił Krasicki właśnie za te zasługi. Roi się literatura stanisławowska od niesmacznych wierszydeł dworackich, ale ze smakiem pochwalił króla jeden jedyny Krasicki.

Poza satyrą *Do króla*, na poły polityczną, wszystkie inne są obyczajowe, a pisane pod pięknem hasłem: „*Satyra prawdę mówi, względów się wyrzeka: wielbi urząd, czci króla, lecz sądzi człowieka*“, to znaczy, że nigdy nie są paszkwilami, ale *karcą lub ośmieszają ułomności ludzkie wogóle, a społeczeństwa polskiego w szczególności.* Cała Warszawa w swojem zepsuciu obyczajowem przesuwa się przed oczami czytelnika: dworacy i pieczeniarze, filuci i obłudnicy, pijacy i rozpustnicy, karciarze i utracyusze, martnotrawcy i sknery, dusigrosze i lichwiarze, głupcy i mędrki, łapownicy i złodzieje, karyerowicze i zdrajcy, złota młodzież i żony modne: oto *galerya typów satyrycznych* Krasickiego. A wszystkie skreślone może nie tak d o s a d n i e, jak w satyrach Naruszewicza (§ 79), ale też bez rubaszności, ze smakiem i sztuką. Oto obłudnik np.: „Paweł trzech mszów słuchał, zmówił cztery różańce, na gromnice dmuchał, wpisał się w wszystkie bractwa, dwie godziny klęczał, krzywił się,

szeptał, mrugał i wzdychał i jęczał, a pieniądze dał w lichwę.... Krzyw się, mrugaj, bij czołem, klęcz, szeptaj i dmuchaj, zmów różańców bez liku, bez liku mszów słuchaj,—jeśliś zdrajca, obłudnik, darmo kunsztu szukasz: możesz ludzi omamić, Boga nie oszukasz!"

Lecz nietylko charakteryzować, ale i opowiadać umie Krasicki: do najlepszych satyr należą mające postać rozmowy, a jednocześnie będące powiastkami, opowiadaniami o jakiemś zdarzeniu. Taką postać ma wprawdzie i *Chudy literat* Naruszewicza, ale w satyrach Krasickiego i rozmowa i opowiadanie są nieskończenie żywsze, np. w powszechnie znanem *Pijaństwie*, w którem pijak, opowiedziawszy przyjacielowi, jak się onegdaj upił „dla imienin żony", a wczoraj, klin klinem wybijając, upił się także i „wziął w łeb butelką",—z pokorą słucha perory poto, aby na pytanie: „Gdzież idziesz?" odpowiedzieć: „Napiję się wódki!"... Lecz arcydziełem powiastki satyrycznej jest *Żona modna*, — przepyszny obrazek obyczajowy, przedziwnie uwydatniający kilka rysow przeciwieństwa dwu światów, które się z sobą długo zrozumieć nie mogły: dawnego, staropolskiego, i nowego, wytworzonego przez napływającą do Polski obyczajowość francuską; świat pierwszy uosabia poczciwy hreczkosiej, „wpisany w bractwo braci żałujących", t. j. osiodłany wnet po ślubie przez swoją magnifikę, a drugi—„żona modna", sentymentalna, sfrancuziała gąska warszawska z przewróconym łbem, przewracająca też mężowi do góry nogami i dom staroświecki i ogród staropolski.

Ulubioną bronią satyryczną Krasickiego jest *śmiech*: humor, dowcip i ironia, nie zgryźliwa, jak ironia Naruszewicza, tylko wesoła i pogodna. Ale nie zawsze: czasem ironia jest smutna i bolesna, czasem nawet wybucha Krasicki *oburzeniem*, nie mogąc, przy całej swej pogodzie ducha, patrzeć zimnem okiem na bezkarność zbrodni, na zdrajców i złodziejów ojczyzny, którzy (jak np. Poniński), zamiast gryźć ziemię w lochach albo wisieć, siedzieli sobie spokojnie w domu. Tych napiętnował Krasicki w satyrze *Wziętość*: „Mały złodziej wart chłosty; lecz ten, co kraj zdradza, lubo tyle za sobą hańb, sromot sprowadza, iż owe sławne sosny z nadbrzeża Pilicy jeszcze małe do składu jego szubienicy, przecie filut, wisielec, na co patrzyć zgroza, wstęgi nosi na szyi, co warta powroza". I dodaje z bolesną ironią: „Chciałbym i ja też urość: cóż, kiedy nie kradnę!".... Oburzeniem wybucha Krasicki i względem panów-tyranów, „co dom czynią katownią, a na płacz nieczuli, z wnętrzności się człowieczych ku sługom wyzuli" (w satyrze *Pan nie wart sługi*). Ale najpiękniej przemówiło oburzenie Krasickiego w satyrze *Świat zepsuty*, będącej ogólną charakterystyką niemoralności wieku oświeconego, przepełnionej serdecznem uczuciem bólu patryotycznego; satyra ta, godna miana satyry lirycznej, to śliczne świadectwo uczciwego serca autora.

I wogóle *Satyry są arcydziełem Krasickiego:* tutaj to jego talent zajaśniał w pełnym swoim blasku, i, jeżeli gdzie, to tutaj jest autor artystą z bożej łaski, jest mistrzem wykwintnej, a lekkiej formy. *Satyry Krasickiego to korona naszej poezyi stanisławowskiej, to zarazem najpiękniejsze satyry polskie i jedne z najpiękniejszych na świecie.*

Świat zepsuty. *(w skróceniu)*

Wolno szaleć młodzieży, wolno starym zwodzić,
Wolno się na czas żenić, wolno i rozwodzić,
Godzi się kraść Ojczyznę łatwą i powolną:
A mnie sarkać na takie bezprawia nie wolno?
Niech się miota złość na cię i chytrość bezczelna,—
Ty mów prawdę, mów śmiało, satyro rzetelna!
Gdzieżeś, cnoto? gdzieś, prawdo? gdzieście się podziały?
Tuście niegdyś najmilsze przytulenie miały.
Czciły was dobre nasze ojcy i pradziady,
A synowie, co w bite wstąpać mieli ślady,
Szydząc z świętej poczciwych swych przodków prostoty,
Za blask czczego poloru zamienili cnoty.
Słów aż nadto, a same matactwa i łgarstwa;
Wstręt ustał, a jawnego sprosność niedowiarstwa
Śmie się targać na święte wiary tajemnice:
Jad się szerzy, a źrzódło biorąc od stolice,
Grozi dalszą zarazą. Pełno ksiąg bezbożnych,
Pełno mistrzów zuchwałych, pełno uczniów zdrożnych;
A jeśli się gdzie cnota i pobożność mieści,
Wyśmiewa ją zuchwałość, nawet w płci niewieściej;
Wszędzie nierząd, rozpusta, występki szkaradne!
Gdzieżeście, o matrony święte i przykładne?
Gdzieżeście ludzie prawi? przystojna młodzieży?
Oślep tłuszcza bezbożna w otchłań zbytków bieży.
Co zysk podły skojarzył, to płochość rozprzęże:
Wzgardziły jarzmem cnoty i żony i męże,
Zapamiętałe dzieci rodziców się wstydzą,
Wadzą się przyjaciele, bracia nienawidzą . . .
Duchy przodków, nadgrody cnót co używacie!
Na wasze gniazdo okiem jeżeli rzucacie,
Jeśli odgłos dzieł naszych was kiedy doleci,
Czyż możecie z nas poznać, żeśmy wasze dzieci?
Jesteśmy, ale z gruntu skażeni, wyrodni,
Jesteśmy, alež tego nazwiska niegodni!
To co oni honorem, poczciwością zwali,
My prostotą ochrzcili; więc, co szacowali,
My tem gardziem, a grzeczność przenosząc nad cnotę,
Dzieci złe, psujem ojców poczciwych robotę . . .

Płodzie, szacownych ojców noszący nazwiska!
Zewsząd cię zasłużona dolegliwość ściska,
Sameś sprawcą twych losów: zdrożne obyczaje,
Krnąbrność, nierząd, rozpusta, zbytki gubią kraje.
Próżno się stan mniemaną potęgą nasrożył,
Który na gruncie cnoty rządów nie założył;
Próżno sobie podchlebia: ten, co niegdyś słynął,
Rzym cnotliwy — zwyciężał, Rzym występny — zginął;
Nie Goty i Alany do szczętu go zniosły:
Zbrodnie, klęsk poprzedniczki i upadków posły, —
Te go w jarzmo wprawiły! Skoro w cnocie stygnął,
Upadł — i już się więcej odtąd nie podźwignął.
Był czas, kiedy błąd ślepy nierządem się chlubił:
Ten nas nierząd, o bracia, pokonał i zgubił,
Ten nas cudzym w łup oddał: z nas się złe zaczęło;
Dzień jeden nieszczęśliwy zniszczył wieków dzieło.
Padnie słaby i lęże — wzmoże się wspaniały:
Rozpacz — podział nikczemnych!... Wzmagają się wały,
Grozi burza, grzmi niebo: okręt nie zatonie,
Majtki, zgodne z żeglarzem, gdy staną w obronie;
A choć beśpieczniej okręt opuścić i płynąć,
Poczciwiej być w okręcie, ocalić lub zginąć!

Żona modna. — A ponieważ dostałeś, coś tak drogo cenił,
Winszuję, panie Pietrze, żeś się już ożenił.
— Bóg zapłać! — Cóż to znaczy? Ozięble dziękujesz;
Albożto szczęścia swego jeszcze nie pojmujesz?
Czyliż się już sprzykrzyły małżeńskie ogniwa?
— Nie ze wszystkiem, luboć to zazwyczaj tak bywa;
Pierwsze czasy cukrowe. — Toś pewnie w goryczy?
— Jeszczeć!...—Bracie, trzymaj więc, coś dostał w zdobyczy,
Trzymaj skromnie, cierpliwie, a milcz tak, jak drudzy,
Co to swoich małżonek uniżeni słudzy,
Z tytułu ichmościowie, dla oka dobrani,
A jejmość tylko w domu rządczyna i pani.
Pewnie może i twoja? — Ma talenta śliczne:
Wziąłem po niej w posagu cztery wsie dziedziczne;
Piękna, grzeczna, rozumna. — Tem lepiej! — Tem gorzej!
Wszystko to na złe wyszło i zgubi mnie wsporzej;
Piękność, talent wielkie są zaszczyty niewieście:
Cóż po tem, kiedy była wychowana w mieście!...
— Albożto miasto psuje? — A! któż wątpić może!
Bogdaj to żonka ze wsi! — A z miasta? — Broń Boże!
— Źlem tuszył, skorom moją pierwszy raz obaczył;
Ale, żem to, co postrzegł, na dobre tłumaczył,
Wdawszy się już, a nie chcąc dla damy ohydy,

Wiejski Tyrsys wzdychałem do mojej Filidy.[1]
Dziwne były jej giesta i misterne wdzięki,
A nim przyszło do ślubu i dania mi ręki,
Szliśmy drogą romansów: a czym się uśmiechał,
Czym się skarżył, czy milczał, czy mówił, czy wzdychał,
Widziałem, żem niedobrze udawał aktora:
Modna Filis gardziła sercem domatora.
I ja byłbym nią wzgardził; ale punkt honoru,
A czego mi najbardziej żal, ponęta zbioru:
Owe wioski, co z memi graniczą dziedziczne, —
Te mnie zwiodły, wprawiły w te okowy śliczne.
    Przyszło do intercyzy.[2] Punkt pierwszy: że w mieście
Jejmość, przy doskonałej francuskiej niewieście,
Co lepiej (bo Francuzka) potrafi ratować,
Będzie mieszkać, ilekroć trafi się chorować.
Punkt drugi: chociaż zdrowa czas na wsi przesiedzi,
Co zima jednak miasto stołeczne odwiedzi.
Punkt trzeci: będzie miała swój ekwipaż własny.
Punkt czwarty: dom się najmie wygodny, nie ciasny,
To jest: apartamenta paradne dla gości,
Jeden z tyłu dla męża, z przodu dla jejmości.
Punkt piąty: a, broń Boże! zląkłem się! — A czego?
— Trafia się, rzekli krewni, że z zdania wspólnego
Albo się węzeł przerwie, albo się rozłączy.
— Jaki węzeł? — Małżeński.—Rzekłem: ten śmierć kończy!
Rozśmieli się z wieśniackiej przytomni prostoty.
I tak, płacąc wolnością niewczesne zaloty,
Po zwyczajnych obrządkach, rzecz poprzedzających,
Jestem wpisany w bractwo braci żałujących ! . . .
Wyjeżdżamy do domu; jejmość w złych humorach:
„Czem pojedziem?“ — Karetą. — „A nie na resorach?“
Dalejż ja po resory. Szczęściem kasztelanic,
Co karetę angielską sprowadził z zagranic,
Zgrał się co do szeląga. Kupiłem. Czas siadać.
Jejmość słaba: więc podróż musiemy odkładać.
Zdrowsza jejmość: zajeżdża angielska kareta;
Siada jejmość, a przy niej suczka faworyta.
Kładą skrzynki, skrzyneczki, woreczki i paczki:
Te od wódek pachnących, tamte od tabaczki,
Niosą pudło kornetów[3], jakiś kosz na fanty;
W jednej klatce kanarek, co śpiewa kuranty,
W drugiej sroka; dla ptaków jedzenie w garnuszku;
Dalej kotka z kocięty i mysz na łańcuszku.

---

[1] Tyrsys, Filida—postaci, występujące w sielankach sentymentalnych (§ 77). [2] intercyza=umowa przedślubna. [3] kornet=czepek.

Chcę siadać, — niemasz miejsca: żeby nie zwlec drogi,
Wziąłem klatkę pod pachę, a suczkę na nogi.
Wyjeżdżamy szczęśliwie. Jejmość siedzi smutna,
Ja milczę, sroka tylko wrzeszczy rezolutna.
Przerwała jejmość myśli: — „Masz waćpan kucharza?“
Mam, moje serce. — „A pfe! koncept z kalendarza:
«Moje serce!» Proszę się tych prostactw oduczyć!“
Zamilkłem; trudno mówić, a dopieroż mruczeć!
Więc milczę. Jejmość znowu o kucharza pyta:
— Mam, mościa dobrodziejko.—„Masz waćpan stangreta?“—
Wszak nas wiezie.—„To furman! Trzeba od parady
„Mieć inszego. Kucharza dla jakiej sąsiady
„Możesz wacpan ustąpić“. —Dobry!— „Skąd?“ — Poddany.
— „To musi być zapewne nieoszacowany!
„Musi dobrze przypiekać reczuszki, łazanki,
„Do gustu pani wojskiej, panny podstolanki!
„Ustąp go waćpan, przyjmą pana Matyjasza,
„Może go i ksiądz pleban użyć do kiermasza.
„A pasztetnik?“—Umiał-ci i pasztety robić. . . .
— „Wierz mi waćpan: jeżeli mamy się sposobić
„Do uczciwego życia, weźże ludzi zgodnych,
„Kucharzy-cudzoziemców, pasztetników modnych!
„Trzeba i cukiernika. Serwis zwierciadlany
„Masz waćpan i figurki piękne z porcelany?“
— Nie mam. — „Jak to być może? Ale już rozumiem
„I, lubo jeszcze trybu wiejskiego nie umiem,
„Domyślam się: na wety zastawiają półki,
„Tam w pięknych piramidach krajanki, gomółki,
„Tatarskie ziele w cukrze, imbier chiński w miodzie;
„Zaś ku większej pociesze razem i wygodzie,
„W ładunkach bibułowych kmin kandyzowany,[1]
„A na wierzchu toruński piernik pozłacany.
„Szkoda mówić: to pięknie, wybornie i grzecznie!
„Ale wybacz mi waćpan, że się stawię sprzecznie:
„Jam niegodna tych parad, takiej wspaniałości.“ —
Zmilczałem, wolno było żartować jejmości.
Wjeżdżamy już we wrota: spojrzała z karety:
— „A pfe, mospanie! Parkan! Czemu nie sztakiety?“ —
Wysiadła, a z nią suczka i kotka i myszka.
Odepchnęła starego szafarza Franciszka:
Łzy mu w oczach stanęły, jam westchnął. W drzwi wchodzi:
— To nasz ksiądz pleban.—„Kłaniam!“—Zmarszczył się [dobrodziej.
— „Gdzie sala?“ —· Tu jadamy.—„Kto widział tak jadać?

[1] kandyzować=przysmażać w cukrze, lukrować.

„Mała izba: czterdziestu nie może tu siadać!“ —
Aż się wezdrgnął Franciszek, skoro to wyrzekła,
A klucznica natychmiast ze strachu uciekła.
Jam został. Idziem dalej. — Tu pokój sypialny. —
„A pokój do bawienia?“ — Tam, gdzie i jadalny.
— „To być nigdy nie może! A gabinet?“ — Dalej;
Ten będzie dla waćpani, a tu będziem spali.
— „Spali? proszę, mospanie, do swoich pokojów!
„Ja muszę mieć osobne od spania, od strojów,
„Od książek, od muzyki, od zabaw prywatnych,
„Dla panien pokojowych, dla służebnic płatnych.
„A ogród?“ — Są kwatery z bukszpanu, ligustru!
— „Wyrzucić! Niepotrzeba przydatniego lustru![1]
„To niemczyzna! Niech będą z cyprysów gaiki,
„Mruczące po kamyczkach gdzieniegdzie strumyki,
„Tu kiosk, a tu meczecik, holenderskie wanny,
„Tu domek pustelnika, tam kościół Dyjanny, —
„Wszystko jak od niechcenia, jakby od igraszki.
„Belwederek maleńki, klateczki na ptaszki,
„A tu słowik miłośnie szczebioce do ucha,
„Synogarlica jęczy, a gołąbek grucha;
„A ja sobie rozmyślam pomiędzy cyprysy
„Nad nieszczęściem Pameli[2] albo Heloisy.[3]“
Uciekłem, jak się jejmość rozpoczęła zżymać:
Już też więcej nie mogłem tych bajek wytrzymać.
Uciekłem. Jejmość w rządy: pełno w domu wrzawy,
Trzy sztafety w tygodniu poszło do Warszawy;
W dwa tygodnie już domu i poznać nie można!
Jejmość, w planty[4] obfita, a w dziełach przemożna,
Z stołowej izby balki wyrzuciwszy stare,
Dała sufit, a na nim Wenery ofiarę.
Już alkowa złocona w sypialnym pokoju,
Gipsem wymarmurzony gabinet od stroju,
Poszły słojki z apteczki, poszły konfitury;
A nowem dziełem kunsztu i architektury,
Z półek szafy mahoni, w nich książek bez liku,
A wszystko po francusku; globus na stoliku,
Buduar śklni się złotem, pełno porcelany,
Stoliki marmurowe, zwierciadlane ściany . . .
Zgoła przeszedł mój domek warszawskie pałace,
A ja w kącie, nieborak, jak płaczę, tak płaczę.
To mniejsza! Lecz gdy hurmem zjechali się goście,
Wykwintne kawalery i modne imoście,

---

[1] lustr = blask, połysk, ozdoba. [2] Pamela—bohaterka powieści sentymentalnej pisarza angielskiego, Richardsona. [3] Heloiza—bohaterka powieści Russa. [4] planta=zamiar, pomysł.

Bal, maski, trąby, kotły, gromadna muzyka:
Pan szambelan za zdrowie jejmości wykrzyka,
Pan adjutant wypija moje stare wino,
A jejmość, w kącie siedząc z panią starościną,
Kiedy się ja uwijam, jako jaki sługa,
Coraz na mnie pogląda, śmieje się i mruga.
Po wieczerzy fejerwerk; goście patrzą z sali:
Wpadł szmermel między gumna, stodoła się pali!
Ja wybiegam, ja gaszę, ratuję i płaczę,
A tu brzmią coraz głośniej na wiwat trębacze.
Powracam zmordowany od pogorzeliska,
Nowe żarty, przymówki, nowe pośmiewiska.
Siedzą goście, a coraz więcej ich przybywa.
Przekładam zbytni ekspens: jejmość zapalczywa
Z swojemi czterma wsiami odzywa się dwornie.[1]
— I osiem nie wystarczy! — przekładam pokornie.
— „To się wróćmy do miasta!" — Zezwoliłem: jedziem;
Już tu od kilku niedziel zbytkujem i siedziem;
Już . . . ale dobrze mi tak, choć frasunek bodzie:
Cóż mam czynić? próżny żal, jak mówią, po szkodzie!

§ 86. Posiadając umysł trzeźwy, daleki od marzycielstwa i niezdolny do zapału, niebardzo wierzył Krasicki, zwłaszcza po pierwszym rozbiorze, żeby można było uratować Polskę, jako państwo; lecz o możliwości uratowania narodu nie wątpił, bo wierzył w jego nieprzebrane siły żywotne; a pragnąc pouczyć naród, jak ma pracować dla ojczyzny, choćby ona nawet niepodległość utracić miała, napisał powieść p. t. *Pan Podstoli*, której tylko dwie pierwsze części ukazały się w druku za jego życia (1778 i 1784), a trzecia dopiero po śmierci (1803). Zaczyna się powieść tak:

„Gdym był raz w drodze około czasów żniwowych, trafiło mi się przejeżdżać przez wieś osiadłą i budowną. Widząc w niej karczmę porządną, lubo jeszcze było daleko do zachodu słońca, zajechałem tam na nocleg, a gdym się gospodarza pytał, kto tej wsi dziedzicem, odpowiedział mi: «Pan Podstoli». «Kto tę karczmę zbudował?» — «Pan Podstoli.» — «Kto tak dobrą groblę usypał?» — «Pan Podstoli». — «Kto most na rzece zmurował?» — «Pan Podstoli». Zgoła kościół, dwór, folwark, śpichlerz, browar, chałupy nawet — wszystko to było dziełem jednego człowieka, a ten był pan Podstoli. Zdjęła mnie niezmierna ciekawość poznać go; bałem się być natrętem, ale mnie karczmarz upewnił, iż pan Podstoli rad był każdemu w swoim domu. Już było po zachodzie słońca, a wieczór piękny, gdy, przechadzając się po grobli, postrzegłem idącego ku sobie człowieka w żupanie białym,

[1] wyniośle.

miał pas rzemienny, na głowie obszerny kapelusz z słomy, w ręku kij prosty. Gdy się zbliżał, a postrzegłem twarz poważną, rumieniec czerstwy, wąs siwy, domyśliłem się, iż to musiał być pan Podstoli. Przystąpiliśmy ku sobie, i po pierwszem przywitaniu rzekłem, iż przypadkowe, jako mniemam, pana tutejszej wsi spotkanie, nader jest pożądaną dla mnie okolicznością; «nie mogę albowiem przed waćpanem zataić —rzekłem dalej—podziwienia z tego wszystkiego, co tu widzę; tem zaś bardziej to podziwienie zwiększyłem, gdym się dowiedział, iż wszystko jest skutkiem waćpana industryi (przemyślności) i pracy». Podziękował za dobrą opinią, przyjął pochwałę bez fałszywego wstrętu, a żeśmy byli niedaleko wrót, zaprosił do dworu".

„Obszerny dziedziniec płot, z kołów wielkich sporządzony, otaczał; ten zewsząd obsadzony był wybujałemi do góry wierzbami, na śrzodku cztery lipy rozłożyste stały, pod każdą z darnia siedzenie, w śrzodku stół kamienny. Po prawej ręce była porządna oficyna kuchenna z izbami, jakem miarkował, dla czeladzi; po lewej szły stajnie, wozownie, na boku murowany lamus (skład) z żelaznemi u okien kratami i okiennicami, naprzeciwko niego śpichlerz. Dwór sam był z drzewa na dobrem i znacznie od ziemi wzniesionem podmurowaniu. Weszliśmy do izby; na śrzodku stał stół, dywanem tureckim okryty, kredens był przy drzwiach, tacami, puharami, dzbanami srebrnymi i złocistymi ozdobny, naprzeciwko drzwi wisiał portret króla Jana. W drugiej izbie, niemniej przystojnej, zastaliśmy jejmość nad krosienkami; haftowała, jakem się potem dowiedział, tuwalnią (obrus) do kościoła. Wstała natychmiast z krzesła i przywitała mnie; obróciła się potem do męża i, wziąwszy go za rękę z tym wdzięcznym uśmiechem, którego moda nauczyć nie może, rzekła, iż dzieci ze szkół dziś na noc przyjadą. Dano znać wkrótce o ich przybyciu; weszły do izby razem z dyrektorem; starszy nie mógł mieć więcej nad lat szesnaście, młodszy rokiem różnił się w wieku od starszego. Nastąpiła niezabawem wieczerza, siedli gospodarstwo, dzieci, dyrektor i ja, panna służebna, matrona jakaś podeszła i dwuch ojców reformatów. Podczas stołu były dyskursa (rozmowy), jak zwyczajnie przy pierwszem poznaniu obojętne. Gdyśmy wstali, rzekł do mnie gospodarz, iż zachowywał dawny zwyczaj modlić się po wieczerzy z czeladką; poszliśmy więc do kaplicy i, po skończonych litaniach gdyśmy się wrócili nazad, bawiliśmy się dyskursami do godziny dziesiątej, o której odprowadził mnie gospodarz do mojej stancyi. Zastałem pokoiki dwa, małe, ale przystojne i czyste; na żadnej wygodzie nie brakowało. Przed odejściem prosił mnie pan Podstoli, abym, jeżeli interesu pilnego nie miał, chciał nieco wypocząć i odetchnąć w jego domu, zostawując zupełnie woli mojej czas bawienia. Interes, dla którego wybrałem się w drogę, nie był gwałtowny, dom—taki, jakiegom dawno pragnął; dałem się więc użyć (namówić) łatwo i obiecałem, iż kilka dni zabawię".

Ale nie kilka dni, tylko kilka tygodni zabawił autor u pana Podstolego—poto, aby, powróciwszy do siebie, znów go odwiedzić; pan Podstoli, nie chcąc być dłużnym, przyjeżdża do autora, poczem ten odwiedza go raz jeszcze. To i cała treść powieści, a raczej nie treść, tylko dopiero ramy, w które oprawił autor treść niezmiernie bogatą, opowiadając wszystko, cokolwiek widział i słyszał w podróży i w domu pana Podstolego. A widział i słyszał mnóstwo: zwiedził cały dom i całe gospodarstwo pana Podstolego oraz chałupy jego włościan; poznał jego domowników, dzieci i żonę, która pracuje od świtu do nocy, ucząc córki, lecząc włościan, „odwiedzając krowy, gęsi, kaczki, kury, zwierzęta nawet, niegodne wspomnienia pięknej damy“; poznał zacnego księdza plebana oraz sąsiadów i sąsiadki pana Podstolego; jeździł po okolicznych wsiach i miasteczkach, gdzie spotykały go różne przygody; był na imieninach pani podstoliny i na weselu panny podstolanki i t. d. Ale nadewszystko nagadał się za wszystkie czasy z panem Podstolim i nasłuchał się od niego wielu mądrych i ciekawych rzeczy: o Kościele i religii, o cnocie i moralności, o obowiązkach Polaka względem ojczyzny, pana względem służby i chłopów, rodziców względem dzieci, proboszcza względem parafian, o wychowaniu szkolnem i domowem, o gospodarstwie, ogrodnictwie, budownictwie, handlu i przemyśle, o naukach i literaturze, o kawie, tabace i tytuniu i t. d., —i wszystko to w powieści swej powtórzył, pragnąc „wystawieniem dobrego przykładu użyczyć innym tego zbudowania, które sam uczuł“: *pan Podstoli bowiem to ideał ziemianina-obywatela*, to „człowiek poczciwy“ XVIII wieku, z tą jednak wielką różnicą, że o obowiązkach względem ojczyzny ma pojęcie nierównie szersze, aniżeli szlachcic Reja (§ 27). Wprawdzie i on unika służby publicznej tak samo, jak „człowiek poczciwy“, ale nie dlatego, żeby nie chciał poświęcić ojczyźnie swego „wolnego żywota“, ale przeto, że, nie wierząc (podobnie jak Krasicki) w możność uratowania państwa polskiego, poczytuje za główny swój obowiązek patryotyczny nie działalność polityczną, ale pracę społeczną, bo „nie samą tylko radą lub orężem służyć krajowi można: czuły obywatel stara się, jak może i w czem może, być użytecznym ojczyźnie swojej“.

W czemże jest pan Podstoli użyteczny ojczyźnie? W tem przedewszystkiem, że, jako zabiegły i zdolny gospodarz, dbały o dobrobyt nietylko własny, ale i swoich włościan, pomnaża bogactwo materyalne ojczyzny; w tem dalej, że, jako dobry chrześcijanin, jako rozumny i światły człowiek, jako idealny mąż i ojciec, wzorowo chowający dzieci, jako łagodny i sprawiedliwy pan dla służby i chłopów, świeci przykładem całej okolicy i tym sposobem pomnaża moralne i umysłowe zasoby swego kraju. A zawsze i wszędzie, we wszystkich swych czynach i słowach, w poglądach i upodobaniach, umie zachować rozumny, złoty środek pomiędzy wyma-

ganiami nowych czasów a miłością i poszanowaniem przeszłości. Na karcie tytułowej powieści wypisał Krasicki słowa: *Moribus antiquis*, t. j. dawnym obyczajem, pragnąc wpoić w czytelników miłość tradycyi i zarazem przekonać ich, że miłość przeszłości narodowej, o ile nie jest zaślepiona, wcale do postępu nie przeszkadza, owszem jest jego niezbędnym warunkiem i potężną dźwignią. I miał zupełną słuszność Krasicki, bez miłości bowiem tradycyi niema patryotyzmu, a bez patryotyzmu niema i być nie może prawdziwego postępu.

Z jednej więc strony jest pan Podstoli gorącym zwolennikiem i wymownym obrońcą tradycyi narodowej. Nasamprzód—pod względem religijnym: wierząc głęboko we wszystko, co Kościół do wierzenia podaje, pełni gorliwie wszystkie praktyki religijne, uczęszcza z całą rodziną do kościoła, słucha kazania, zachowuje posty i broni ich użyteczności, „zachowuje dawny ojców zwyczaj modlić się po wieczerzy z czeladką"; w podróży, „nie wstydząc się chwalebnych zwyczajów ojców naszych", którzy „wszystko od Pana Boga zaczynali", śpiewa psalm *Kto się w opiekę poda Panu swemu*; „zwyczaj był ściśle zachowany w domu pana Podstolego, iż i przed stołem i po stole modlitwę każdy pocichu czynił, gdy zaś był duchowny, dawał błogosławieństwo". „Między wielu nieszczęściami—mówi pan Podstoli—które nam teraźniejsze czasy przyniosły, to za największe sądzę, iżeśmy się uchylili od śladów poczciwych przodków naszych; cześć Pana Boga jawnie nietylko w kościele, ale w domu, w drodze i na każdem miejscu była rzeczą powszechną; teraz, gdy się kto starodawnych pobożnych zwyczajów trzyma, uznany jest za świętoszka". Lecz nietylko zanik religijności, ale wogóle odstępstwo od obyczaju staropolskiego poczytuje pan Podstoli za nieszczęście, z pogardy bowiem dawnych obyczajów „pomału rośnie obojętność, a nakoniec i wzgarda własnego kraju". Więc broni np. stroju staropolskiego, a nie cierpi peruk i fraków, broni i tańców staropolskich, a nie lubi francuskich, „nadto wymyślnych, wykwintnych" i „tak trudnych do wykonania, iż trzeba się ich pracowicie uczyć, a czasu szkoda", i t. p. Wogóle jest pan Podstoli zdania, że, „im się bardziej państwo ku zgubie nachyla, tem częściej obywatelom powtarzać należy: *Moribus antiquis*".

Przy całem jednak poszanowaniu dla tradycyi nie jest pan Podstoli „ślepym uwielbiaczem starożytności", bo rozumie, że nie wszystko, co stare, dobre, że „tak przedtem bywało lub nie bywało—jest powieścią, ale nie racyą". Więc, chociaż mówi raz, że mu „bolesno, iż się i w małych rzeczach od toru ojców naszych oddalamy", ale sam oddala się od nich często. „Ojcowie nasi nie kochali się w ogrodach, nie idzie za tem, żeby ogrodów mieć nie trzeba; *ślepe naśladownictwo bydlęcym jest przymiotem*": więc jest pan Podstoli zawołanym ogrodnikiem; ojcowie nasi

upijali się: on nie stroni od kieliszka, ale się nie upija; ojcowie przebierali często miarę w gościnności, więżąc gwałtem gości u siebie: on jest bardzo gościnny, ale nikogo nie gwałci; ojcowie kochali się w szumnych tytułach, adresując np. listy: „Wielmożnemu Jegomości Panu Cześnikowiczowi MWMościwemu Panu i Kochanemu Bratu“: on śmieje się z manii tytułów (chociaż woli daleko takie adresy, niż: *à Monsieur Monsieur*, słusznie mówiąc, że „Mości Pan“ znaczy akuratnie tyle samo, co *Monsieur*) i t. d. Lecz nietylko w małych, ale i w dużych rzeczach często oddala się pan Podstoli od toru swoich ojców. Przedewszystkiem jestto człowiek wykształcony, nie tak, jak jego przodkowie, którzy poprzestawali na czytaniu senników i kalendarzy; on tymczasem ma w domu bogatą bibliotekę, w której znajdują się najznakomitsi autorowie polscy, a wśród nich „nieśmiertelny Kopernik“. Nie żywi też tego wstrętu, co jego przodkowie, do cudzoziemczyzny, bo wie, że pod wielu względami cudzoziemcy przewyższają Polaków; więc np., choć sam po francusku nie umie, ale dzieci tego języka uczyć każe, a do majątku swego sprowadza uzdolnionego młynarza-Niemca, nie bacząc na zgorszenie i drwiny sąsiadów, którzy mówili: „Poczekajcie tylko jesieni, zobaczycie, jak ten dziwacki młyn i z młynarzem Niemcem popłynie do Frankfortu; nie poprawi polskiego gospodarstwa niemiecki koncept; lepsze nasze Maćki, Bartosze za kilka złotych i szczupłą ordynaryą, niż te Frydrychy, których złocić potrzeba!“ Najlepiej jednak postępowość pana Podstolego uwydatnia się w jego stosunku do służby i włościan. Ze służbą obchodzi się po ludzku, „nieuczciwemi słowy, miną pogardzającą, tyrańskiemi męczarniami jarzma ich nie powiększa“. Nie dosyć na tem: „Gdy u mnie kilkanaście lat wiernie który z czeladzi służył, *wyzwalam go od jarzma służebniczego*, *nadaję grunt*, *wystawiam dom*, *naznaczam dożywotnią*, *a proporcyonalną do stanu jego*, *pensyą*“. I z włościanami postępuje zupełnie inaczej, jak jego przodkowie: nie obdziera ich, ale, przeciwnie, troszczy się o ich dobrobyt, materyalny zarówno, jak moralny, budując im nowe chałupy, wykorzeniając wsród nich nałóg pijaństwa, zakładając własnym kosztem szkółkę dla dzieci włościańskich i t. d. Co więcej, poddaństwo chłopów nazywa pan Podstoli „zastarzałą nieprawością“; ale jest przeciwnikiem natychmiastowego zniesienia poddaństwa i gniewa się na „modnych mędrków“, którzy się tego domagają: „Chcą im nadawać wolność, a nie przysposabiają ich wprzód do tego, iżby z nadanej wolności korzystać mogli; swoboda u dzikich jest miecz w ręku szalonego“. Do wielkiego dzieła wyzwolenia włościan trzeba stopniowo przygotować grunt: ulżyć mianowicie włościanom ,,ciężaru jarzma, który dźwigają“, oraz oświecać ich, inaczej bowiem nigdy nie wyjdą z ,,dzikości“. Jak zawsze, tak i tutaj jest pan Podstoli umiarkowany, poczytując nagłe przewroty za niebezpieczne i szkodliwe.

Ale i tak niejeden z przodków pana Podstolego z pewnością ażby się w grobie przewrócił, gdyby słyszał, jakie to herezye ich wywyrodny potomek wygaduje.

Takiego to człowieka stawiał Krasicki współobywatelom za wzór do naśladowania: bądźcie takimi, jak on, kochajcie tradycyę narodową, ale jednocześnie kroczcie drogą umiarkowanego postępu, poprawiając i przekształcając to, co w tradycyi jest niemądrego, albo złego, a naród polski nigdy nie zginie!

Lecz, jak w *Żywocie* Reja, tak i w *Panu Podstolim* jest nietylko ideał, ale i rzeczywistość: oprócz idealnej i papierowej (jak zwykle ideały w powieściach) postaci pana Podstolego, są w powieści ludzie prawdziwi, z krwią i kośćmi: gospodarze i myśliwi; pieniacze i krzykacze trybunalscy; zawadyaki i hulaki; urzędnicy i dostojnicy okoliczni; zwolennicy obyczajów staroświeckich i wielbiciele nowych, francuskich, nie brak i kobiet: staroświeckich matron i modnych, sfrancuziałych elegantek; słowem przed oczami czytelnika przewija się cały rój postaci i typów obojga płci, różnego wieku i różnego gatunku, żywcem z rzeczywistości wziętych, scharakteryzowanych czasem krótko, ale zawsze wyraziście. Oto np. jakiś szlachcic, przez którego wieś autor przejeżdżał, mówi tylko kilka słów, ale tych dosyć, aby poznać, co to za jeden: „Ś. p. ojciec, dziad, a może i pradziad mój, bom go nie znał, tu się porodzili, tu całe życie swoje przepędzili, tu pomarli, a każdy z nich, tak jak ja, ledwo umiał sylabizować i tyle tylko piórem robić, żeby jako tako podpisać się, kiedy się Żydowi daje kontrakt na arendę; zdrowi byli i długo żyli, i ja jestem zdrów z łaski Pana Boga; będą i moje dzieci zdrowe bez szkoły; nie dam ja ich tam, bo im się głowy pozawracają, i możeby mnie potem wypędzili; a choćby i nie wypędzili, to niedobrze, kiedy dzieci mają więcej rozumu, niż rodzice. Dajże mi waćpan pokój (mówi do księdza): wszak ja dziesięcinę punktualnie daję, a kto wie, czy nie więcej, niżby się waćpanu należało; każecie się uczyć, a powiadacie na ambonie: błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem ich jest królestwo niebieskie". Paradna jest i ciotka pana Podstolego, co to, dowiedziawszy się, że siostrzeniec buduje nowy dom, w tej chwili do niego przyfruwa (choć mieszka o trzydzieści mil) i prosi „ze łzami, żebym nie rozwalał domu, w którym nasi rodzice, dziadowie, pradziadowie mieszkali, w którym się i ona urodziła i jam wychował. Któż wie — rzekła—jakie będzie założenie nowego? W sąsiedzkich dworach zawżdy coś przeszkadza: w tym, z łaski bożej, raz tylko nieboszczka matka, i to w dobry sposób, widziała duszę nieboszczyka pana Wawrzyńca, który zginął pod Wiedniem; dano zaraz na trycezymę (mszę), pobenedykowali (pobłogosławili) ojcowie reformaci, i odtąd się już nic więcej nie pokazywało. O starym folwarku ja nic nie mówię: sam waćpan może pamiętasz, że go nieboszczyk mój brat musiał kazać zrzucić dla ustawicznych przeszkód. W la-

musie, chwała Bogu, że nikt nie mieszka zawżdy się tam odzywało; nieraz stróże widzieli Niemca na dachu, i, kiedym ja była z mojemi siostrami jeszcze u rodziców, żeby nam złote góry dawano, żadnaby tam nie poszła, zwłaszcza pod wieczór". A jak doskonałe są charakterystyki różnorodnych ludzi, tak świetne są całe *obrazki rodzajowe*, w których ci ludzie występują; do najlepszych należy przyjazd pana sędziego z rodziną do domu pana Podstolego, ale zwłaszcza przyjazd sfrancuziałego kasztelanica z „żokiejsem". Lecz to jeszcze nie wszystko: gospodarstwo i dom pana Podstolego to opisy idealne, ale, oprócz nich, pełno w powieści opisów realistycznych, jakoto opisy złych dróg, zepsutych grobli, dziurawych mostów, zapuszczonych pól, brudnych karczem, podupadłych miasteczek, dworów i dworków szlacheckich, „gdzie się ustawicznie w kuchni kurzy", i t. d. Krótko mówiąc, *Pan Podstoli to powieść nietylko dydaktyczna, ale i obyczajowa, to zwierciadło ziemiańskiej Polski XVIII w.* Krasicki ukazuje się tutaj, nietylko jako jeden z najszlachetniejszych nauczycieli swego narodu, ale i jako znakomity malarz życia polskiego oraz wyborny znawca charakteru i obyczaju polskiego.

Zabobonne wróżby przy zaręczynach; uwagi nad zabobonami w ogólności. „Muszę też waćpanu powiedzieć — mówił pan Podstoli — co mi się samemu przytrafiło podczas zaręczyn moich. Przyjęto mnie dobrze, dano deklaracyą[1], czas zaręczyn za dni kilka był wyznaczony. Przyszedł dzień wyznaczony; poszliśmy do stołu, i uważałem, iż przy drugiem zastawieniu potraw matka żony mojej niezmiernie była pomieszana, kazała kucharza zawołać, coś mu szeptała do ucha, i znać było, że go łajała. Nie obeszło mnie to bynajmniej, nie wchodziłem przeto w zgadnienie przyczyn tych trosków. Wstaliśmy od stołu, a gdy przyszło do samych zaręczyn, ojciec, oddając mi pierścień, upuścił go na ziemię. Matka mojej żony w płacz, sąsiadki dopomogły. Przyszło nakoniec do tego, iż z zbytniego rozrzewnienia omdlała, i ledwie się jej dotrzeźwiono. Nie wiedziałem zrazu, jakiej przyczynie tę mdłość przypisać, ale mnie wywiódł z błędu przyszły mój teść; przybliżywszy się albowiem do mnie, rzekł: «Niech to waszmośćpana nie obchodzi, co widzisz; pomieszanie i słabość mojej żony skutkiem są gusłów; lubo ona sama wie, jaka jest płochość tych zabobonów, powziętej jednak zmłodu prewencyi[2] zwyciężyć żadnym sposobem nie może; ja z mojej strony, widząc w tej mierze wszystkie usiłowania moje nadaremne, przestałem na tem, że jej żałuję, kiedy poprawić nie mogłem. Przyczyna pierwszego pomieszania u stołu ta była, iż przed waszmośćpanem postawiono gęś z czarnym sosem: u niej to fatalny prognostyk; powiększył się nieskończenie, gdym ja przy zaręczynach pierścionek upuścił; niechże jeszcze pod wieczór-

[1] deklaracya=przyrzeczenie, słowo. [2] prewencya=uprzedzenie.

świeca zgaśnie, wpadnie w rozpacz i gotowa się rozchorować». Szczęściem świeca nie zgasła, jam żony dostał, i mimo złe wróżki pobłogosławił nam Pan Bóg".

„Słabość ta wierzenia gusłom tak jest przeciwna zdrowemu rozumowi, iż ledwoby można sądzić o jej istności, gdyby inaczej codzienne widoki nie przyświadczały... Są, którzy drżą na sól rozsypaną albo łyżkę, wywróconą do góry, albo nóż, położony na krzyż z widelcami, co się boją, gdy im zając drogę przebieży, gdy świeca zgaśnie albo sowa zakrzyczy. Cóż dopiero mówić o spotkaniu ciał umarłych, gdy je do grobu niosą? albo o krzywdzie, która się czyni świętym niewiniątkom, gdy dzień ich uroczystości uczynili fatalnym i, każdy poniedziałek zowiąc dniem Młodziankowym, ani weń z domu wyjeżdżać, ani weń żadnej roboty czynić nie chcą? Należą do nich i ci, którzy się w trzynastej liczbie Judasza boją.

Podróż: obraz wsi, do której zajechał autor na nocleg; jej stan nędzny, karczma nieporządna; zwyczajny stan dóbr sierot, postępowanie opiekunów. Każdy siedzący sam jeden w powozie myślami się bawi; dodają większej sposobności ku myśleniu coraz inne widoki: najcelniejsze w tej mierze trzyma miejsce to, co nas wprzód najżywiej ująć mogło. Wszystko więc natężenie myśli moich zmierzało ku temu, com widział i com słyszał w domu, z którego wyjechałem (t. j. od pana Podstolego). W tych słodkich przypominaniach strawiłem godzin kilka i, gdy już zmierzchać poczynało, stanąłem na nocleg o mil ośm od domu pana Podstolego. Wjeżdżając w wieś, ściśnione miałem boleścią serce, patrząc na domy, a raczej na szałasze mizernych mieszkańców: słomą pokryte były, a to pokrycie takowe, iż ani od śniegu w zimie, ani od deszczu w lecie bronić mogło; kominy nie wznosiły się nad dach; a po sczerniałej ku brzegom słomie, znać było, iż dym ustawiczny nieszczęśliwych mieszkańców zaślepiał i dusił. Dziecka wynędzniałe, wpół nagie tuliły się około domu, ze wszech stron wklęsłego w ziemię błotnistą. Grobla że świeżo przerwana była, domyślałem się po naprawie albo raczej zarzuceniu ziemi, wstrzymanej gdzieniegdzie cienkimi palami drzewa nadpróchniałego. Młyn był o jednem kole, i ledwo się obracało dla złego umiarkowania spadku wody; most, na kilku kijach wsparty, trząsł się pod powozem, a skorom w wieś samą wjechał, lubo czasy były dość suche, wpadłem w kałużę głęboką, z której ledwo mnie konie wydźwignąć mogły.

Zajechałem przed karczmę, której nie możnaby było rozeznać od innych lepianek, gdyby wrót wielkich nie miała sień albo raczej stajnia: tem się tylko od podwórza różniła, iż była niby przykryta dachem. Nie bez przyczyny dodaję to *niby:* słoma albowiem po większej części z krokwiów była zdarta, tak dalece, iż gwiazdy z sieni wygodnie można było liczyć. Wyszedł naprzeciw mnie

z kagankiem w skorupie gospodarz, Żyd, ledwo nagość gałganami okrywający. Do izby wniść nie można było dla błota, musiałem więc czekać na dworze, póki deszczki kawałka wpół zgniłej nie wyszukał: po tej dopiero przeszedłem do miejsca, gdzie miałem nocować. Jakie zaś było to miejsce, niech nikt nie rozumie, iż rzecz powiększam, odwołuję się albowiem na doświadczenie każdego, który w naszym kraju podróże odprawiał. Drzwi najprzód tak były nizkie, iż, lubom się ledwo nie pół zgiął, wszedłem z guzem na czole. Podłogi żadnej nie było, a gęsi, koło drzwi siedzące, spoczywały w maleńkiej, wilgocią sporządzonej, kałuży; kojce, pełne kaczek, otaczały piec gliniany, za którym świeżo urodzone cielę miało swoję stajenkę. Okienek w izbie było dwa: jedno wpół gontami przezroczystymi zabite, drugie bez trzech szyb, ale słomą zatkane. Stało w kącie łóżko, barłogiem przytrząśnione, od któregom z pierwszego wejrzenia z wstrętem oczy zwrócił. Dziecka wpół nagie siedziały na kojcach, a jedno kołysało niedawno urodzonego; tego płacz ustawiczny, świerczów wrzask, gęsi i kaczek gęganie, cielęcia ryk, dzieci gospodarza krzyczenia i zwady i jeszcze oprócz tego rozmarzonych gorzałką kilku chłopów hałasy do tego mnie przywiodły, iż, lubo noc, ile w jesieni, prawie była mroźna, wolałem się poddać w niebezpieczeństwo kataru lub przeziębienia, śpiąc w odkrytej kolasce, niżeli się dusić w smrodliwej i pełnej dymu żydowskiej izbie.

Kazałem zawołać gospodarza i spytałem, czyja to była wieś tak mizerna i nieporządna.—„Zwyczajnie, sierocińska“, odpowiedział. Pytałem się, gdzie dwór.—„Był—rzekł—ale po śmierci nieboszczyka pana zgorzał, i odtąd nowego nie postawiono; folwark, kilku słupami podparty wywrócił się był przeszłego roku; natychmiast pan opiekun kazał chłopa jednego z chałupy wypędzić i tam podstarościego osadził“. — Dowiedziałem się dalej, iż pięć jeszcze wsi do tej majętności należało, a wszystkie w podobnym stanie. Pan opiekun raz w rok przyjeżdżał: rachunków wysłuchawszy podstarościego, z pieniędzmi wracał, a że dobra jego własne o granicę z sierocińskiemi były, bydło co najlepsze do jego folwarku pozapędzano; z lasów stodoły i gumna bardzo porządne sobie wystawił, nawet drzewa owocowe z ogrodu do siebie przeniósł; że zaś na przyszły rok wyjść miały dzieci z opieki, za prace, koszta i zabiegi znaczne do ich substancyi[1] miał pretensye. — Żyd, lubo mizerny i ubogi, dość mi się zdawał oświecony. Wypytywałem się go więc o wszystkiem, i, ile miarkować można było, zdawało mi się, iż ów miły pan opiekun miał wolą przyłączyć sierocińską majętność do swoich. Jakoż już do tego uczynił był niektóre kroki: zostało się po śmierci rodziców córek dwie i syn; z tych jedną Panu Bogu w zakonie poślubił, drugą pomimo jej wolą za swego syna wydał,

[1] substancya = majątek.

a brata trzymając w kancelaryi, coraz mu za kartami[1] pieniędzy użyczał, intraty[2] albowiem, jak twierdził, ledwo wystarczały na reparacyą dóbr.

Przybycie kasztelanica; jego pojazd i służący; rozmowa o jego przypadkach; bitwa; uwagi stąd pana Podstolego; chustka na szyi. Jużeśmy mieli do stołu siadać, gdy dano znać, iż goście jadą. Wpadł na dziedziniec z wielkim pędem i trzaskaniem powtórzonem huzar, za nim równie pędząca, przewyższająca wysokość sztachetów dworu mojego kolasa; i, gdy zza powozu posuwistym lotem wyskoczył młody chłopiec, tak go bystrość skoku uniosła, iż, nie mogąc się utrzymać na nogach, padł na ganek i ledwo mnie nie wywrócił. Huzar natychmiast spuścił stopień nakształt drabinki, z której gdy zszedł imć pan kasztelanic, zaczął komplement, przepraszając za eturderyą[3] *żokiejsa* swego. Zaprowadziłem gościa natychmiast do izby stołowej, i zasiadł wraz z nami miejsce, dla siebie przygotowane.

Pierwszy dyskurs pana kasztelanica stosowany był do jego podróży, i, zastanawiając się nad złemi drogami, a chwaląc francuskie proste, brukowane, osadzone drzewami, ubite, pełne zawsze przejeżdżających, na tem skończył, iż na to są sporządzone, iżby każdy w domu siedział. — „Jeżeli ten był zamiar przodków naszych—rzekł pan Podstoli—chwalisz ich waćpan, mości panie kasztelanicu!“ — „Ganię ich, chociaż szacuję, bo z nich pochodzę“, odpowiedział kasztelanic. — „Więc nie szacowałbyś ich waćpan—rzekł pan Podstoli—żebyś od nich nie pochodził? Możeby nagana mniej była sprawiedliwa, ale wzgląd na poprzedników szacowny, bo rzadki“.

Opowiedział zatem przypadki podróży swojej, a między innymi ten ledwo nienajwiększy, iż, choć sam się powoził, *wiski*, roboty najprzedniejszego rzemieślnika w Londynie, tak w lesie o korzeń zawadził, iż tylko co się nie wywrócił. — „Byłbyś waćpan spadł z wysoka,—rzekł pan Podstoli — a takie spadki bardzo niebezpieczne; żeby zabieżeć takowym przypadkom, bo, jak ja miarkuję, iż angielskie drzewa korzeni nie mają albo bardzo cienkie, nie możnażbyto więc trochę zniżyć tych kolasek?“ — „*Wisków?*“ przerwał pan kasztelanic. —„Tak jest, *wisków:*—rzekł pan Podstoli — z przeproszeniem waćpana, mnie się zdaje, iż one są trochę nadto wysokie“.—„Ale lekko noszą“, rzekł kasztelanic.—„Czyli nie dlatego, że latają?—rzekł pan Podstoli—bo to prawda, że bardzo się wzbijają w górę; pomiarkował ja to, kiedyś waćpan przyjechał: wyżej siedziałeś, niż ganek jegomościn, a waćpana chłopiec...“—„*Żokiejs?*“ przerwał kasztelanic. — „Tak jest, *żokiejs;*—rzekł pan Pod-

[1] karta=rewers. [2] intrata=dochód. [3] eturderya=roztrzepanie, nierozwaga.

stoli —ten tedy waćpana *żokiejs*, wiesz to waćpan, iżby się był bardzo potłukł, gdyby był padł na kamienie; ale musiał się on podobno w Anglii uczyć, jakto spadać należy: bo, kiedy oni tak wysokie powozy robią, to muszą razem dawać sposoby, a zatem uczyć, jakto do nich wchodzić, jakto na nich siedzieć i jakto przeszkadzać, żeby się nie wywróciły, a gdy się wywracają, jak się zachować, żeby się nie potłuc; a szkoda byłaby tego *żokiesa* waćpana, bo to młode dziecię i ładnie ubrane, ale podobno trochę kuso, a u nas czasem chłodno. Może gorąco we Francyi albo Anglii, bo ja tam nie byłem: ale tu pewnieby nasze *żokiesy* przeziębły, gdybyśmy im nie dali kożuszków na zimę, a przynajmniej sukienek trochę dłuższych; co nie wątpię, że i waćpan temu Angielczykowi albo Francuzowi uczynisz, jak zima przyjdzie". — „On z mojej wsi", rzekł pan kasztelanic. — „Pojętny chłopiec,—rzekł pan Podstoli— kiedy tak dobrze z powozu, jak Francuz i Angielczyk, skakać umie; prawda, że się potknął, ale się to trafia i tym, co na sznurze tańcują".

W dalszym ciągu dyskursu zaczął opowiadać pan kasztelanic przypadki podróży swojej w cudzych krajach tak wielkie, iż wielokrotnie w największem niebezpieczeństwie życia zostawał, osobliwie gdy dla nasycenia ciekawości swojej, aby widział potykające się wojska, wmieszał się wśród bijących. — „Zapewne — rzekł pan Podstoli—iż niebezpieczno mieszać się w bitwę, zwłaszcza, gdy żadna potrzeba do tego nie wiedzie. Można i zdaleka ciekawość nasycić; gdyby albowiem jaka kula, nie ostrzeżona, iż waćpan tylko tam byłeś dla zabawy, niegrzecznie zawadziła o waćpana, nie mielibyśmy byli sposobności słyszeć o tak wielkiej batalii, jak nam się teraz zdarza. Trafia się niekiedy, iż bijący się opowiadają bitwy swoje, ale te zawsze podległe wątpliwości: jeżeli albowiem byli w liczbie pobitych, zmniejszają klęskę; jeżeli zwyciężyli, unoszą się w pochwałach. Cóżkolwiekbądź, jeśli się waćpanu przytrafi jeszcze być w podobnych okolicznościach, racz usłuchać mojej rady, a patrzyć się na bijących zdaleka, ale tak zdaleka, aby armatna kula waćpana nie doszła. Najlepiej byłoby stanąć wówczas na górze wysokiej, a gdyby jej nie było, wniść na dzwonnicę; ale, jeżeliby tej brakło, naówczas dać pokój tym, co się biją, a powieść zostawić gazetom! Kiedy to jeszcze dwuch za łby pójdą, może trzeci między nich się wmieszać, żeby ich pogodził: ale się i to nie udaje, bo czasem i guza złapie i bijących się nie rozwadzi. Wracając się teraz do batalii, ja tak sądzę, iż można i zdaleka jej się przypatrzyć albo, i nie widziawszy, wiedzieć, co na niej zaszło".

Nie pomogły zbawienne rady opowiadaczowi: z batalii przyszło do szturmu, nakoniec rzecz wytoczyła się na morze, a gdy coraz się imćpan kasztelanic zwłaszcza starem winem, które przy końcu obiadu postawiono, zasilał, uważając, że się już miał ku czwartemu kieliszkowi, rzekł pan Podstoli: „To wino stare, mocne,

boję się, iżby inflamacyi[1] nie powiększyło". Gdy upewnił pan kasztelanic, iż go gardło nie boli: „Przepraszam za moję troskliwość,— rzekł—ale, widząc pod chustką ręcznikiem obwiązaną szyję, rozumiałem, iż byłeś chory". — „Tak teraz noszą we Francyi", rzekł pan kasztelanic. — „Nie mam ja na to co powiedzieć,"—odpowiedział pan Podstoli—jednakże, jeżeli się godzi co mówić przeciw modzie, mnieby się zdało, iż, chociaż ma ona skądinąd wielkie swoje zaszczyty, inaczejbyś albowiem waćpan nie chciał z siebie czynić dziwowiska, z tem wszystkiem nie jest wygodna, zwłaszcza w lecie. Podczas zimy i ja, kiedy jadę na koniu albo sankami, zawijam kark po francusku, alebym się w lecie udusił". — Odjechał pan kasztelanic, a gdyśmy ku wieczorowi przechadzali się po ogrodzie, dziękowałem panu Podstolemu za jego z nim rozmowę, w której przy żarcie była nauka.

§ 87. Do potomności przeszedł Krasicki nadewszystko, jako *najznakomitszy bajkopisarz polski*, jako autor *Bajek i przypowieści* (1779) i *Bajek nowych* (1802). Ich treść jest zapożyczona (z bajek indyjskich, greckich, rzymskich, francuskich, niemieckich), ale opracowana oryginalnie.

„Bajki wam niosę, posłuchajcie, *dzieci!*", mówi autor; lecz w istocie niósł je nie dzieciom, tylko *ludziom dorosłym*, pragnąc ich, jak zawsze, uczyć. Podzielał on pogląd Kochanowskiego, że „wszystko się dziwnie plecie na tym tu biednym świecie, a ktoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić, i zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić": znał Krasicki doskonale biedny świat, więc wiedział, że ludzie, chociaż tak przechwalają się swoim rozumem i tak piękne głoszą hasła miłości bliźniego i wogóle cnoty, czynami jednak zadają kłam swym poglądom; wiedział, że wśród ludzi więcej jest głupoty, zarozumialstwa i pychy, niż rozumu, więcej chciwości, niż umiarkowania, więcej pozorów, niż istotnej wartości; że na świecie najczęściej panuje siła przed prawem, a spryt przed cnotą; że jeden wyzyskuje drugiego, zwłaszcza głupszego i słabszego od siebie. Dlaczego się wszystko tak dziwnie plecie, tego nie chciał Krasicki rozumem dochodzić, ani też płakał nad światem i nie złorzeczył mu, że się tak plecie: on tylko stwierdzał, że tak jest naprawdę. Otóż *stwierdzeniem tej smutnej rzeczywistości są właśnie jego bajki*. A stąd pochodzą dwie ich cechy znamienne: po pierwsze, uwydatnia się w nich *ujemna* strona życia ludzkiego i natury ludzkiej, innemi słowy, bajki mają *charakter satyryczny*, co zaznaczył sam autor w dowcipnym *Wstępie do bajek*; i, podrugie, płynie z nich nietyle nauka moralna, ile *praktyczne przepisy mądrości życiowej*: poprzestawania na swojem, umiarkowania, wstrzemięźliwości, a nadewszystko *zdrowego rozsądku i ostrożności.*

---

[1] inflamacya = zapalenie.

Trzecią znamienną cechę bajek stanowi ich *charakter nie narodowy, ale ogólnoludzki, wiekuisty*, to znaczy, że zarówno zawarte w nich opowiadanie, jak płynąca z niego przestroga, stosuje się do wszystkich narodów i do wszystkich czasów; np. bajka *Przyjaciele* stosuje się wprawdzie doskonale do Polski XVIII w., która „wśród serdecznych przyjaciół" zginęła, ale zawiera w sobie, niestety, i prawdę ogólną, tę mianowicie, że ludzie są samolubni, że dla nieszczęścia mają współczucie czasem w sercach, częściej w słowach, ale rzadko albo nigdy w czynach. Lecz jest jedna bajka, która, choć także ma charakter ogólnoludzki (boć każdy człowiek płacze w niewoli), przemawia jednak nadewszystko do serca polskiego: to smutne *Ptaszki w klatce*, prześliczna bajka liryczna, napisana wyraźnie z powodu pierwszego rozbioru Polski, kiedy Krasicki przestał być obywatelem Rzeczypospolitej.

Ogólnoludzki charakter bajek Krasickiego zapewnia im trwałą, niespożytą wartość treści. Lecz niespożytą wartość posiada i forma. Ta jest inna w *Bajkach i przypowieściach*, a inna w *Bajkach nowych*; pierwsze, pisane wierszem jednostajnym, trzynastozgłoskowym, są krótkie: przeważają sześcio- i czterowierszowe; wśród drugich, pisanych po większej części wierszem różnym, mieszanym (od czternastu do dwu zgłosek), przeważają dłuższe, po dziesięć, dwanaście, osiemnaście wierszy, a niektóre liczą ich nawet po kilkadziesiąt. Wartością jedne drugim nie ustępują, jedne i drugie są znakomite; ale, kiedy piękność dłuższych (*Bajek nowych*) polega głównie na wdzięcznej swobodzie i ujmującej lekkości opowiadania, krótsze (*Bajki i przypowieści*) wręcz zdumiewają swą nadzwyczajną, niesłychaną u nas przed Krasickim, *treściwością i zwięzłością*, bez najmniejszej ujmy dla iście klasycznej *jasności i prostoty oraz przejrzystości sensu moralnego*, który narzuca się umysłowi czytelnikowi nawet wtedy, kiedy go autor od siebie nie wypowiada; pod tym względem *króciutkie bajki Krasickiego to skończone arcydzieła*: są bajki piękniejsze, bardziej obrazowe (np. Lafontaine'a, Kryłowa, Trembeckiego, Mickiewicza), ale doskonalszych zwięzłością niema.

Wstęp do bajek. Był młody, który życie wstrzemięźliwie pędził;
Był stary, który nigdy nie łajał, nie zrzędził;
Był bogacz, który zbiorów potrzebnym udzielał;
Był autor, co się z cudzej sławy rozweselał;
Był celnik, który nie kradł; szewc, który nie pijał;
Żołnierz, co się nie chwalił; łotr, co nie rozbijał;
Był minister rzetelny, o sobie nie myślał;
Był nakoniec poeta, co nigdy nie zmyślał.
A cóżto jest za bajka? wszystko to być może!
Prawda! Jednakże ja to między bajki włożę...

Ptaszki w klatce. „Czegoż płaczesz?—staremu mówił czyżyk młody—
„Masz teraz lepsze w klatce, niż w polu, wygody.“
—„Tyś w niej zrodzon — rzekł stary — przeto ci wybaczę:
—„Jam był wolny, dziś w klatce; i dlatego płaczę.“

Filozof. Zaufany filozof w zdaniach przedsięwziętych
Nie wierzył w Pana Boga, śmiał się z wszystkich świętych.
Przyszła słabość. Aż mędrzec, co firmament mierzył,
Nietylko w Pana Boga, i w upiory wierzył.

Owieczka i pasterz. Strzygąc pasterz owieczkę, nad tem się rozwodził,
Jak wiele prac ponosi, żeby jej dogodził.
Że milczała: „Niewdzięczna!“—żwawie ją ofuknie.
Więc rzekła: „Bóg ci zapłać!... a z czego te suknie?“

Dewotka. Dewotce służebnica w czemsiś przewiniła
Właśnie natenczas, kiedy pacierze kończyła;
Obróciwszy się przeto z gniewem do dziewczyny,
Mówiąc właśnie te słowa: „I odpuść nam winy,
Jako i my odpuszczamy“, biła bez litości.
Uchowaj, Panie Boże, takiej pobożności!

Jagnię i Wilcy. Zawżdy znajdzie przyczynę, kto zdobyczy pragnie.
Dwuch wilków jedno w lesie nadybali jagnię;
Już go mieli rozerwać. Rzekło: „Jakiem prawem?“
— „Smacznyś, słaby i w lesie!“ Zjedli niezabawem.

Przyjaciel. „Uciekam się—rzekł Damon—Aryście, do ciebie:
„Ratuj mnie, przyjacielu, w ostatniej potrzebie!
„Kocham piękną Irenę; rodzice i ona
„Jeszcze na moje prośby nie jest nakłoniona.“
Aryst na to: „Wiesz dobrze, wybrany wśród wielu,
„Jak tobie z duszy sprzyjam, miły przyjacielu:
„Pójdę do nich za tobą.“ Jakoż się nie lenił:
Poszedł, poznał Irenę i—sam się ożenił. . .

Pan i pies. Pies szczekał na złodzieja, całą noc się trudził:
Obili go nazajutrz, że pana obudził.
Spał smaczno drugiej nocy, złodzieja nie czekał;
Ten dom skradł: psa obili za to, że nie szczekał.

Chłop i cielę. Nie sztuka zabić,—dobrze zabić sztuka:
Z bajki nauka.
Szedł chłop na jarmark, ciągnąc cielę na powrozie.
W lesie, w wąwozie,

W nocy burza napadła, a gdy wiatry świszczą,
Wśród ciemności postrzegł wilka po oczach, co błyszczą.
Więc do pałki! Jak jął machać, nie myślawszy wiele,
Zamiast wilka, który uciekł, zabił swoje cielę.
Trafia się to i nie w lesie, panowie doktorzy!
Leki—pałka, wilk—choroba, a cielęta—chorzy.

Przyjaciele.

Zajączek jeden młody, Korzystając z swobody,
Pasł się trawką, ziółkami w polu i ogrodzie,
Z każdym w zgodzie.
A że był bardzo grzeczny, rozkoszny i miły,
Bardzo go tam zwierzęta lubiły.
I on też, używając wszystkiego z weselem,
Wszystkich był przyjacielem.
Raz, gdy wyszedł w świtaniu i bujał po łące, Słyszy przerażające
Głosy trąb, psów szczekania, trzask wielki po lesie.
Stanął—słucha—dziwuje się. . .
A gdy się coraz zbliżał ów hałas, wrzask srogi, Zając w nogi.
Spojrzy się poza siebie, aż dwa psy i strzelce. Strwożon wielce,
Przecięż wypadł na drogę, od psów się oddalił.
Spotkał konia, prosi go, iżby się użalił:
„Weź mnie na grzbiet i unieś!“ Koń na to: „Nie mogę,
„Ale od innych pewną będziesz miał załogę.“
Jakoż wół się nadarzył: „Ratuj, przyjacielu!“
Wół na to: „Takich, jak ja, zapewne nie wielu
„Znajdziesz, ale poczekaj i ukryj się w trawie:
„Jałowica mnie czeka, niedługo zabawię;
„A tymczasem masz kozła, co ci dopomoże“.
Kozieł: „Żal mi cię, nieboże,
Ale ci grzbietu nie dam: twardy, nie dogodzi!
„Oto wełniasta owca niedaleko chodzi:
„Będzie ci miękko siedzieć“... Owca rzecze:
„Ja nie przeczę, Ale, choć cię uniosę pomiędzy manowce,
„Psy dogonią i zjedzą zająca i owcę;
„Udaj się do cielęcia, które się tu pasie.“
— „Jak ja ciebie mam wziąć na się,
„Kiedy starsi nie wzięli“,—cielę na to rzekło I uciekło.
Gdy więc wszystkie sposoby ratunku upadły,
Wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły.

§ 88. *Doskonałością wiersza, wytwornością stylu, bogactwem języka i wogóle sztuką przewyższył nietylko Krasickiego, ale i wszystkich współczesnych sobie poetów*, szambelan królewski, **Stanisław Trembecki**, z ziemi płockiej (ur. około r. 1735, um. 1812). Postać to niezmiernie ciekawa, ale strasznie licha: rozum duży, talent ogromny, serce nikczemne. On sam takie sobie wystawia świa-

dectwo: „Byłem jeden z najzuchwalszych burdów, jeden z najognistszych pijaków, jeden z najzapamiętalszych miłośników, jeden z najpiękniejszych graczów.“ Skądinąd wiadomo, że nie skłamał; we Francyi np., gdzie przez czas dłuższy wycierał kąty różnych salonów, podobno i królewskich, zasłynął burdami i pojedynkami, których miał coś trzydzieści, a wszystkie o kobiety. Dopiero w późniejszym wieku, kiedy życie hulaszcze zjadło ojcowiznę i zdrowie, ustatkował się i wziął na wstrzemięźliwość: nie pijał już wina, nie jadał mięsa (skąd król przezywał go żartobliwie Pitagorasem) i dożył sędziwej starości. Ale zatrutego serca nic już wskrzesić nie zdołało. Lubiąc życie wystawne, brnął w długi, a nie mając z czego ich płacić, łasił się, jak pies, królowi, którego zamęczał żebraniną to o pieniądze, to o zyskowne posady: zachciewało mu się piastować godność to posła na sejm, to rektora uniwersytetu wileńskiego, miał nawet oskomę na infułę biskupią i klął się przed królem, „iż nietylko szanuje wszystkie prawdy, które Kościół ś. do wierzenia podaje, ale też o żadnej z nich nigdy w życiu nie wątpił“. Kłamstwo bezczelne! On żartował sobie z Objawienia, mówiąc ironicznie, że „niektórzy za grunt wiary po świecie roznieśli, co się kiedyś przyśniło Józefowi cieśli“. Nie Syn cieśli był mu Bogiem, tylko Wolter, któremu, jak pisał, „wszystko wolno“: „on jest wyższy ponad prawo“(!!). Kościół, jego zdaniem, to instytucya, stworzona przez zgraję podłych oszustów i samolubnych wyzyskiwaczy: „Mgła nas niewiadomości zaćmiła obrzydła: pasterze ją mnożyli dla pożytku z bydła; tak zwykł czynić w zwierzęcej nauczyciel szkole: chcąc mieć ucznia posłusznym, oczy mu wykole“; i dopiero „wiek osiemnasty ze wszech religii wygładza, co się z danym od Boga rozumem nie zgadza“. Sam bez Boga w sercu, drwił sobie Trembecki z gorącej wiary innych, np. z uniesień religijnych konfederatów barskich: „Młódek bez doświadczenia i lękliwych starek zwodziciel, wśród stolicy uwija się Marek; przed niedołężną tłuszczą prorokiem się mieni, oko ma w niebie, rękę w bliźniego kieszeni, uchodzi mu bez kary łudzić tak bezwstydnie; z tych przyczyn, wyznam szczerze, Warszawa mi brzydnie“.

Przechwalał się Trembecki, że „serca zawsze polskiego nic mi nie odmieni“. I znów — kłamał bezczelnie, albo też nie zdawał sobie już sprawy, że przestał czuć po polsku. Czy to małpując Woltera, czy też podlizując się królowi, wynosił pod niebiosa „Minerwę, którą świat pod imieniem wielbi Katarzyny“: „Wyznaje cała ziemia, że w monarchiń rzędzie nad nią większej nie było i nigdy nie będzie! Wtedy najfortunniejszą uczułem godzinę, kiedym tę ujrzał Panią, przepłynąwszy Dźwinę; noszę wiecznie w umyśle jej konterfekt żywy; niech ją raz jeszcze widzę, już umrę szczęśliwy!“ Wielbił także Potemkina i Repnina. Był sługą konfederacyi targowickiej, jako cenzor sztuk teatralnych i książek, sprowadzanych zza granicy. Po trzecim rozbiorze po-

wlókł się za St. Augustem do Petersburga i fagasował mu do śmierci; a po zgonie króla zamieszkał w Tulczynie, u pokrewnego sobie podłą duszą Szczęsnego Potockiego, wielbił jego cnoty i wołał: „Niechaj tu za dni naszych nie nadchodzi pora, gdy ma zniknąć ozdoba ziomków i podpora! Opatrzność, która ludziom wielkich ludzi skąpi, czem równem szkodę tylą nieprędko zastąpi.“ Z upadkiem Polski pogodził się lekkiem sercem, był nawet dumny, że jest poddanym rosyjskim, i wynosił pod niebiosa Aleksandra I: „Wielki monarcha, losy dany nam szczęsnymi, skinieniem zdolny ruszać część największą ziemi, nie dość, że doskonali marsowe rzemiosło, które imię Rosyi między gwiazdy wzniosło: któryż dziś lud i których silna królów ręka *naszych* nie pragnie sprzyjań, gniewów się nie lęka!“

Lecz, jeśli kłamał Trembecki, kiedy mówił, że potrzebą jego serca jest wierzyć w Boga i kochać Polskę, to nie minął się tak dalece z prawdą, kiedy pisał do króla, że potrzebą jego umysłu jest ciągle się kształcić: „Byłem jeden z najobszerniejszych czytelników“; „w przeciągu kilku miesięcy tyle podobno przeczytałem, ile się żadnemu z żyjących w równej porze nie zdarzyło“. Tak było rzeczywiście. Pochłaniał Trembecki najrozmaitsze książki, w nabywaniu coraz nowych wiadomości znajdując rozkosz prawdziwą; zaciekawiały go medycyna i hygiena, fizyka i botanika, geografia i archeologia, filozofia i historya, obyczaje i języki: „wszystko — pisał — w moje wchodzi cele, nad tem wszystkiem zosobna piszę i jedno drugiemu zawadza“. Ale w tem sęk właśnie: jedno drugiemu zawadzało! Pragnął Trembecki posiąść wszystkie nauki, nie posiadł gruntownie żadnej: *był to typowy dyletant.* Nie wziął do serca własnej rady, jaką dał raz jakiemuś niefortunnemu kaznodziei: „Szewcze, patrzaj kopyta! niech krawiec nie zmierza mieszać się w należące czyny do kanclerza! Jeżeli się duchowni zechcą flintą bawić, nawzajem my pójdziemy msze za nich odprawić; a inni, korzystając z naszego przykładu, wyjdą także z obrębów i nie będzie ładu“. Otóż Trembecki, pragnąc umieć wszystko, nie patrzał kopyta: zaniedbywał swój talent poetycki, — tem więcej, że o sławę poetycką nie dbał zupełnie: często nie przyznawał się nawet do ojcostwa swoich utworów i mydlił czytelnikom oczy rozmaitymi pseudonimami. Jedyny swój większy utwór (poemat opisowy p. t. *Sofiówka*) napisał już w starości, poza tem zaś rozpraszał swój talent na rzeczy drobne.

A szkoda, wielka szkoda, bo talent był naprawdę ogromny, ukształcony nietylko na poezyi francuskiej, jak talent Krasickiego, ale i na starożytnej, której duchem przejął się Trembecki tak mocno, jak nikt ze współczesnych, oraz na poezyi polskiej XVI w., zwłasza na Kochanowskim. *Główną zaletą poezyi Trembeckiego jest wspaniała, prawdziwie klasyczna forma:* doskonały wiersz, nietylko gładki, ale i dźwięczny; styl, nietylko wytworny, wypie-

szczony, ale i niezmiernie obrazowy, ujmujący to żywością i lekkością, to nieznaną Krasickiemu siłą męską i śmiałością, a czasami tchnący powagą, godną Jana z Czarnolasu. Są wprawdzie w stylu Trembeckiego wyrażenia, które dziś rażą, mianowicie wyszukane omówienia, trącące stylem barokowym XVII w. (§ 51), np. *na powietrzu mieszczone śpiże*, zam. *dzwony*; *znak skończenia naszego*, zam. *krzyż*; *Lechowy świat*, zam. *Polska*: ale, po pierwsze, używa ich Trembecki tam tylko, gdzie chce być uroczystym, a po drugie, są omówienia udatne i bardzo śmiałe, np. *wyzywać kły wieków*, zam. *urągać czasowi*. Prócz piękności wiersza i stylu — *mistrzostwo w posługiwaniu się nieprzebranymi skarbami języka ojczystego*, „samowolna, ale szczęśliwa nad mową władza" (jak się wyraził Mickiewicz). Rozumiał doskonale Trembecki, że źródłem ożywczem dla języka literackiego jest żywy język ludowy; więc badał go pilnie, ułożył nawet w gwarze mazurskiej pieśń, którą zaśpiewali królowi Krakowiacy w dwudziestą czwartą rocznicę jego koronacyi: ...„Poto przybyli ci Krakowianie, by Was *zocyli*, królu i panie!... Nikt Was nie gani, *kuzdy* Was sławi, *zeście* kochani, *zeście* łaskawi. *Pieknie* pod Wami bydło *sie* pasie, w polu z Jonkami pląsają Kasie... Chcecie nam, wiemy, *zycia przydłuzyć*, Wam *tez* będziemy tem *zyciem słuzyć*... *Cy* we *cce* chwile, *cy* przy napitku, *zyjcie* lat tyle, ile dziur w sitku". Otóż wyrazami gminnymi często posługiwał się Trembecki w swojej poezyi, zwłaszcza w bajkach, np. *chyc*, *dyrdać*, *poszkapić*, *koś* (konik), *tatłać się* i in. Rozkochany w języku staropolskim, powoływał do życia zapomniane wyrazy, np. *duższy*, *miąższy*, *sędzioł* (szron), *czarny korzeń* (rżysko), *żywięta* (zwierzęta). Tworzył udatnie nowe wyrazy, to też niektóre pozyskały sobie prawo obywatelstwa, np. *żyjątko*. Wogóle język Trembeckiego jest niezmiernie bogaty, bogatszy, żywszy i dobitniejszy, niż niezbyt obrazowy język Krasickiego (§ 81).

Piękną formą poezyi Trembeckiego zachwycał się Mickiewicz; naśladował w pierwszych swych utworach jego styl, napisał doskonałe objaśnienia do *Sofiówki*, na wzór jego bajek pisał swoje, a w *Panu Tadeuszu* wiersze: „Wy, klasyczne Tyburu spadające wody i straszne Pauzylipu skaliste wydroże", są niemal żywcem wzięte z *Sofiówki*. Swój zaś sąd o Trembeckim, jako o mistrzu formy, zamknął Mickiewicz w słowach: „*Był prawdziwym Grekiem z czasów Peryklesa albo Łacinnikiem z epoki Augusta; Słowianie z jego dzieł mogą mieć dokładne wyobrażenie o stylu starożytnych*".

Z utworów Trembeckiego na szczególne wyróżnienie zasługują bajki, listy poetyckie i wiersze polityczne.

Bajek (1776) napisał Trembecki zaledwie kilka, ale zato *są one najpiękniejszemi bajkami w poezyi polskiej*. Niby to tłumaczy Trembecki Lafontaine'a („Zdrojowicza", jak go żartobliwie nazywał), w rzeczywistości jednak są jego bajki utworami oryginalnymi, a to nie

tyle przez rozmaite własne dodatki autora, ile przez nawskroś oryginalny styl. Krasickiemu idzie głównie o sens moralny: Trembeckiemu—o samą bajkę, o piękne i żywe opowiadanie; stąd Krasicki usiłuje być jaknajzwięźlejszym, pomija więc wszystko, co się nie przyczynia do uwydatnienia morału: Trembecki z lubością kreśli wszystkie szczegóły, potrzebne czy to do uwypuklenia charakteru zwierzęcia lub osoby, czy też do pełnego rozwinięcia pomysłu. (Aby to zrozumieć, wystarczy porównać bajkę Krasickiego *Jagnię i wilcy*, § 87, z bajką Trembeckiego *Wilk i baranek*). Obydwaj poeci dopięli swoich celów, ale, kiedy bajki Krasickiego są arcydziełami zwięzłości, bajki Trembeckiego są arcydziełami żywego opowiadania, a nadewszystko wyrazistej charakterystyki, np. w bajce *Myszka, kot i kogut*, w której się przepysznie odzwierciedlają, pod postacią młodej myszki, właściwe wiekowi dziecięcemu naiwność i niedoświadczenie. A styl bajek Trembeckiego jest takiem arcydziełem obrazowości i zarazem prostoty, jakiego próżno szukać w całej poezyi polskiej przed Trembeckim. Bajek piękniejszych nie pisał sam Mickiewicz.

Myszka, Kot i kogut.

Coby to była za szkoda!
O kąsek nie zginęła jedna myszka młoda,
Szczera, prosta, niewinna; przypadek ją zbawił.
To, co ona swej matce, ja wam będę prawił.
„Rzuciwszy naszych pieczarów głębiny,
„Dopadłam jednej zielonej równiny,
„*Dyrdając*, jako szczurek, kiedy sadło śledzi;
„Patrzę, aliści dwoje *żywiąt* siedzi:
„Jeden z nich trochę dalej z milczeniem przystojnem,
„Łagodny i uniżony;
„Drugi zaś zdał mi się być burdą niespokojnym:
„W żółtym bucie z ostrogą chodził napuszony,
„Ogon zadarty do góry, ślniącemi błyskotał pióry,
„Głos przeraźliwy, na łbie mięsa kawał,
„Jakby go kto powykrawał.
„Ręce miał, któremi się sam po bokach *śmigał*
„Albo na powietrze dźwigał.
„Ja, lubo z łaski boskiej dosyć jestem śmiała,
„Ażem mu srodze *naklena*,
„Bo mię z strachu *drżączka wziena*,
„Jak się wziął tłuc z *tartasem* obrzydły *krzykała*;
„Uciekłam tedy do jamy.
„Bez niego byłabym się z zwierzątkiem poznała,
„Co kożuszek z ogonkiem ma tak, jak my mamy.
„Minka jego nie nadęta, I, choć ma bystre *ślipięta*,
„Dziwnie mi się z skromnego wejźrzenia podobał.
„Jak nasze, taką samą robotę ma uszka.

„Coś go w nie ukąsiło, bo się łapką skrobał,
„*Mój duszka*!
„Szłam go *poiskać*, lecz mi zabronił ten drugi
„Tej przyjacielskiej usługi,
„Kiedy nagłego narobił kłopotu,
„Krzyknąwszy na mnie z fukiem: kto to tu, kto to tu?"
— „Stój—rzecze matka—córko moja luba!
„Aż mrowie przechodzi po mnie:
„Wiesz-li, jak się ten zowie, co tak siedział skromnie?
„Kot bestyja, narodu naszego zaguba!
„Ten drugi był to kogut; groźba jego pusta,
„I przyjdą może te czasy,
„Że z jego ciała będziem jeść frykasy,
A zaś kot nas może *schrusta*!
„Strzeż się tego skromnisia, proszę cię jedynie,
„I tę zdrową maksymę w swej pamięci zapisz:
„Nie sądź nikogo po minie, Bo się w sądzeniu *poszkapisz*".—

Wilk i baranek. Racyja możniejszego zawdy lepsza bywa.
Zaraz wam tego dowiodę!
Gdzie bieży krynica żywa,
Poszło jagniątko *chlipać* sobie wodę.
Wilk, tam naczczo nadszedłszy, szukając napaści,
Rzekł do *baraniego syna*:—„I któż to zaśmielił waści,
„Że się tak ważysz mącić mój napitek?
„Nie ujdzie ci bez kary tak bezecna wina".—
Baranek odpowiada, drżąc z bojaźni wszytek:
„Ach, panie dobrodzieju! racz sądzić w tej sprawie
„Łaskawie:
„Obacz, że, niżej ciebie, niżej stojąc zdroju,
„Nie mogę mącić pańskiego napoju."
— „Cóż! jeszcze mi zadajesz kłamstwo w żywe oczy?
„Poczekaj, *języku smoczy*!
„I tak rok-eś mię zelżył paskudnemi słowy!" —
„*Cysiam*[1] jeszcze... i na tom poprzysiądz gotowy,
„Że mnie przeszłego roku nie było na świecie."
— „Czy ty, czy twój brat, czy który twój krewny,
„Dość, że tego jestem pewny, Że wy mi honor szarpiecie:
„Psy, pasterze i z waszą archandyją[2] całą
„Szczekacie na mnie, gdzie tylko możecie:
„Muszę tedy wziąć zemstę okazałą."
Po tej skończonej perorze
Łapes, jak swego, i zębami porze.

---

[1] cysiać = ssać. [2] archandya, archandrya = gawiedź, zgraja.

W *listach poetyckich* Trembecki, przemawiając do swoich znajomych, to udziela im różnych rad, płynących z jego poglądów na różne sprawy (zwłaszcza polityczne), to oświadcza im swoje przywiązanie i uwielbienie. A więc np. w liście do Krasickiego zachęca go, aby przemówił za przymierzem Polski z Rosyą, bo czas już, aby się te dwa narody pogodziły i połączyły: „Pomnieć się godzi, iż Rusin z jednych z nami początków pochodzi: jedna krew, jeden język, taż natura twarda, taż śmiałość niewzruszona i śmierci pogarda... Niech w gruzie starych ruin niepamięć zawali klęski, któreśmy wzajem i wzięli i dali! My, odtąd przyjaźń tego utrzymując brata, łatwo reszty potędze oprzemy się świata!" W liście do biskupa kujawskiego, Rybińskiego, daje mu piękną przestrogę: „Pomnij, że, niż kapłanem, wprzód byłeś Polakiem!", i zaklina go, aby się rządził zasadami szlachetnej tolerancyi religijnej. W pochwałach i komplementach jest Trembecki mistrzem: „mam ja serce z żelaza, lecz ty masz z magnesu", — pisze do jakiejś uroczej Irydy. Ale czasem przebiera w pochwałach miarę i wpada w niesmaczną przesadę. Ma słuszność, kiedy mówi do Krasickiego: „A cnej pisania sztuki z dowcipem i gustem tyś pierwsze dał przykłady pod naszym Augustem"; ale na ironię raczej zakrawa pochwała: „Z ciebie miał Kościół polski podporę niezmierną, z ciebie senat ozdobę i król radę wierną" (!!). Lecz i te kadzidła bledną wobec tych, jakiemi okurza Trembecki króla — w wierszu *Na dzień siódmy Września, w rocznicę elekcyi króla Stanisława Augusta*. „Prawdo, jedyna prawdo, kieruj moje pióro!"—woła poeta, ale kłamie, bo nie miłość prawdy, tylko nizkie pochlebstwo podyktowało mu taką np. pochwałę: „Skłonności jego pierwsze i wiek nader młody wydały w nim do berła zdatności dowody; czuł swe losy wspaniałe i, zaraz z pieluszek, wyższe zabawki kochał świeży geniuszek", i t. p. Ale szczytem wszystkiego są słowa: „Jedno miał takie serce Bóg, drugie dał tobie" (!!). Poza tem wiersz ten świadczy o rozumie Trembeckiego, zawiera w sobie mianowicie świetną charakterystykę wiekowej anarchii i nieszczęść narodu, których główne źródło słusznie upatruje autor w słabości władzy królewskiej („Kto prawej najwyższości winną łamie wiarę, ciężką prędzej lub później uczuć musi karę").

Lecz najwymowniejszem świadectwem i rozumu i talentu Trembeckiego są *wiersze polityczne, pisane podczas sejmu czteroletniego*, a popierające politykę królewską, mądrze ostrzegające przed przymierzem z Prusakami i wogóle pełne trzeźwości politycznej. Szlachetnością i siłą wysłowienia oraz powagą tonu, jakiejby się sam Kochanowski nie powstydził, odznacza się zwłaszcza wspaniały wiersz *Do moich współziomków*, pełny głębokiego zrozumienia niezwykłej ważności chwili dziejowej i ogromnej odpowiedzialności zgromadzonych dla ratowania ojczyzny posłów.

Do moich współziomków (*w skróceniu*).

Mądry Polak po szkodzie,—już były te szkody!
Dziś na nas obrócony wzrok mają narody:
Lub nas rządnych, przezornych, czynnych świat pochwali,
Lub nad chcącymi zguby nikt się nie użali!
Nigdy dobrańszych posłów nie miała Warszawa;
Ich cel—ojczyzny dobro, ich nadgroda—sława!
Ale, jeśli na sporach czas wycieńczą marnie,
Jeśli wzgląd osobisty serca ich ogarnie,
Jeśli granic obrony silnej nie wyznaczą,
Jeśli jeszcze i tacy na swe zyski baczą,
Jeśli ta góra wielka śmieszną myszkę zlegnie[1]:
Już mnie o szczęściu Polski nadzieja odbiegnie.
Kto pragnie pospolite opatrzyć pożytki,
Nieprzyzwoite smutnym niech wytępi zbytki!
Gną się stoły pod srebrem, w galonach lokaje,
Tłoczą nam sok Bachusa Hotentotów kraje, . . .
A bracia nieobronni w srogiej jęczą doli,
Wolność nasza na obcej gruntuje się woli.
Ojczyzna uszczerbiona! O sławo! po tobie
W najgrubszejby nam chodzić przystało żałobie!
Niech wzgardza obywatel te kosztowne szaty,
Te zgraje służebników, ten pozór bogaty! . . .
Nieludzko nas odarli opiekuni srodzy:
Nie udajmy bogaczów, kiedyśmy ubodzy!
Jedni frantostwem, drudzy przez użycie wiosła,
Inni dostatki ciągną z handlu i rzemiosła:
My, na środku żelaznej wychowani ziemi,
Umiemy kuć oręże, zręcznie władać niemi.
Można z żelazem w ręku zniżyć krytych złotem,
Więcej krwią w roku nabyć, niż ci w sto lat—potem.
Póki u młodych orląt dziób jest niedojrzały,
Póty ich baczny ojciec nie puszcza ze skały;
Ale, gdy jego dziatwie z kończącą się wiosną
Dłuższe pióra stężeją i szpony odrosną,
Sam ich uczy lot śmiały czynić nad obłoki,
Niebezpieczeństwem gardzić, rzucać się na smoki.
Póki nas oszpecały gnuśność, zdania gminne,
Obrzydliwe pijaństwo, przesądy dziecinne,—
Wpośród mocarstw ogromnych zamknięci, jak w matni,
Do dania im odporu nie byliśmy zdatni.
August raczył powszechniej światło rozprowadzić
I myśleć nas nauczył i po trzeźwu radzić.

---

[1] Zlegnąć=wydać na świat. Było już w starożytności przysłowie „Rodzą góry, rodzi się śmieszna mysz"; po polsku: z wielkiej chmury mały deszcz.

I ta jest między nami najdzielniejsza młodzież,
Co nosiła wojenną jego szkoły odzież.
Tworzy nam w sercach siłę, do męstwa zachęca,
Do obrony ojczyzny nadgrodami znęca.
Jak poważa w rycerskie wstępujących ślady,
Pamiętne na Kraszewskim znaliśmy przykłady:
Ni go zasługa inna, ni go przymiot zdobił,
Za rękę dla ojczyzny król go możnym zrobił[1].
Kiedy się już pomyślne zbliżają nadzieje,
Obraz nam dają wojny marsowe turnieje[2]:
Jeśli na tych igrzyskach publiczne przyklaski
I królewskie zyskali przodkujący łaski,
Cóż dopiero za chwałę każdy czynny zyska,
Gdy będziemy ołtarze bronić i ogniska!
Ku broni kierowany żeby duch nie stygnął,
August naszego posąg bohatera dźwignął.
Między starożytnymi archiwów zaszczyty,
Stał obraz Aleksandra, przez Lizypa ryty;
Gdy w jego rozważaniu Cezar się zatopił,
Szlachetnie-zawistnemi lice łzami skropił.
Bogdaj podobna zawiść w nas była widziana!
Idźmy ten uczcić posąg walecznego Jana,
A przed nim na dobyte przysiążmy pałasze
Za niepodległość kraju łożyć gardła nasze! . . .

Dziwnie jakoś brzmią te słowa w ustach Trembeckiego: on, dworak i rozpustnik, budzi w narodzie ducha rycerskiego, on, wielbiciel Katarzyny II i przyjaciel targowiczanina Potockiego, nawołuje do walki w obronie ojczyzny! Wszystko to komedya, ale odegrana świetnie, łudząca pozorami szczerego uczucia miłości ojczyzny.

Osiadłszy na stare lata w Tulczynie u Szczęsnego Potockiego, Trembecki, pragnąc się przypodchlebić magnatowi, utworzył na wzór *Ogrodów* poety francuskiego Delila, poemat opisowy p. t. *Sofiówka, w sposobie topograficznym opisana wierszem przez Jana Nepomucena Czyżewicza* (1806). Wykończył go już po śmierci magnata, więc rękopism ofiarował jego synowi, Jarosławowi, który piastował godność marszałka dworu rosyjskiego. Treść poematu stanowi opis Zofiówki, t. j. wspaniałego parku, który Szczęsny Potocki założył w malowniczej dolinie pod Humaniem dla swej żony, Greczynki Zofii, słynącej nadzwyczajną urodą. Po apostrofie do Ukrainy i krótkim zarysie historyi tej żyznej krainy, którą dopiero Katarzyna II zrobiła tem, „czem być powinna“, Trembecki, spa-

[1] generał Kraszewski, regimentarz wielkopolski, stoczył bitwę z Prusakami, wkraczającymi w granice polskie dla dokonania pierwszego rozbioru. [2] ćwiczenia wojskowe uczniów szkoły rycerskiej (§ 75).

liwszy jeszcze kadzidło na cześć Potockiego, przystępuje do rzeczy. Opowiada, że sam Kupidyn kazał Potockiemu zamienić „niezgrabne jary“ w „rozkoszne sady“, poczem opisuje wszystkie dziwy i cuda Zofiówki, a więc gaiki, groty, skały, strumyki, kaskady, kanały podziemne, wysepki, gmachy i pomniki, raz w raz przerywając opis to podaniem starożytnem o Peleusie i Tetydzie, to pochwałą czystej wody źródlanej, a naganą wina, to panegirykiem dla cesarza Aleksandra I, to wykładem nauki myśliciela greckiego, Epikura, o życiu, to wreszcie obrzydliwemi pochlebstwami dla Potockiego. Kończy się poemat dworskim komplementem dla Zofii. Niepospolita wartość *Sofiówki* polega jedynie na wytwornym stylu i doskonałym wierszu.

Ukraina.

Miła oku, a licznym rozżywiona płodem,
Witaj, kraino, mlekiem płynąca i miodem!
W twych łąkach wiatronogów rżące mnóstwo hasa,
Rozroślejsze czabany[1] twe błonie wypasa.
Baran, którego twoje utuczyły zioła,—
Ciężary chwostu jego nosić muszą koła[2].
Nasiona, twych wierzone bujności zagonów,
Pomnożeniem dochodzą babilońskich plonów.
Czernią się żyzne role, lecz bryły tej ziemi
Krwią przemokły, stłuszczone ciały podartemi.
Dotąd jeszcze wieśniaczą grunt sochą rozjęty
Zebce słoniów i perskie wykazuje szczęty[3].
W tych gonitwach, od obcych we śrzodku poznany[4],
Szesnaście[5] potem razy kraj odmienił pany;
W nim najsroższe z Azyją potyczki Europy,
W nim z szlachtą wielokrotnie łamały się chłopy.
Przeszły więc niwy w stepy, a trawy bez kosy
Pokrewne Pitonowi[6] mnożyła połosy[7].
W leciech niższych[8] otwartej acz nie było wojny,
Utrapiał Ukrainę pokój niespokojny:
To siczowe[9] nachody, to Taurykiej Ordy
Zdradne zawsze nad karkiem strzały, spisy, kordy. . . .
Katarzyna, przez czyny nieśmiertelna swoje,
Gdy zniosła Zaporoża i Krymu rozboje,
Odtąd dopiero każdy swojej pewien właści[10],
Pod zbrojnem żyje prawem, wolny od napaści;
Wygnała barbarzyństwo, rzeczy postać inna,
I obfita ziemica jest, czem być powinna.

---

[1] czaban = wół rosły. [2] Mickiewicz objaśnia: „W głębszych stepach ukraińskich znajduje się gatunek baranów wielkich, którym gospodarze dla ulżenia ciężaru ogony na kołach uwiązywać zwykli“. [3] szczęty = szczątki; ma tu autor na myśli wojny Persów ze Scytami. [4] t. j. zdobyty od obcych, którzy się aż do środka przedarli. [5] t. j. kilkanaście. [6] Piton— straszliwy wąż, zabity przez Apollona. [7] połos=wąż ogromny. [8] w t. j. w czasach późniejszych. [9] siczowy = kozacki. [10] właść = własność.

Pójdę tam, gdzie gwałtownym rzeka lecąc szumem,
Gdy słuch zaprząta brzękiem i wejźrzenie bawi,
Zbyt ściśnionemu sercu jakąś ulgę sprawi.
Dostatek, moc przemysłu i sztuka rzemiosła
Bliższe wody ściągnęła, złączyła, podniosła;
Z nich kanały, fontanny, z nich obrusy szklane
Płyną, skaczą i błyszczą, pod wagą rozlane.
Ale przemogła inne ogromna kaskada,
Którą od siebie większa Kamionka wypada[1].
Rozściełać się, nurkować czy piąć się na głazy,
Wzięte posłuszna Nimfa[2] dopełnia rozkazy
I, mimo praw swej równi[3], służąc do igrzyska,
Albo ryje otchłanie, albo w obłok tryska.

Zakończenie. Kto gajów Tuskulańskich[4] smakował ochłody,
Kto uwieńczał Tyburu[5] spadające wody,
Kto straszne Pauzylipu[6] przebywał wydroże,
Jeszcze i Sofijówce zadziwiać się może
I wyzna, jeśli szczerość usty jego włada:
„Czem tamte w częściach słyną, ta razem posiada!"
Ważąc pracy niezmierność i zdobienia liczne,
Rzekną później: „Było to dzieło monarchiczne!"
Lecz to miejsce, Sofijo, więcej zdobisz sama,
Podobniejsza niebiankom, niż córkom Adama:
Ciebie tu spuścił Olimp, chcąc trudy nagrodzić
I chcąc takiego męża ważne troski słodzić.
Godne są w jego domu wiek utwierdzać złoty
Twe wdzięki, twe piękności, twe łagodne cnoty.
A póki między rodem ludzkim raczysz gościć,
Pół świata czcić cię będzie, drugie pół zazdrościć!

§ 89. Otworzony przez króla w r. 1765 teatr publiczny w Warszawie (§ 76) musiał ożywczo wpłynąć na twórczość dramatyczną, która dawniej, przed St. Augustem, właśnie wskutek braku stałego teatru, rozwijała się niezmiernie słabo. Ze wszystkich zaś rodzajów poezyi dramatycznej najbujniej rozwinęła się komedya, mianowicie *komedya satyryczna*, która, jak w całej Europie, tak i u nas służyła w XVIII w. za ulubioną broń do walki z ciemnotą i niemoralnością. Oprócz Bohomolca (§ 78) uprawiali komedyę satyryczną i Krasicki i Trembecki (który z właściwym sobie

[1] Mickiewicz objaśnia: „Rzeczka Kamionka rozszerzonem korytem spada w kształcie kaskady, jest więc przy ujściu większą od siebie, od swego zwyczajnego koryta". [2] t. j. woda. [3] równia = równowaga. [4] Tusculum (dziś Frascatti) — miasteczko pod Rzymem. [5] Tybur — dziś Tivoli. [6] Pauzylip — góra niedaleko Neapolu.

talentem przetłumaczył jedną z komedyi Woltera) i książę *Adam Czartoryski*, generał ziem podolskich. Zdaniem Czartoryskiego, komedya posiada niemałą doniosłość wychowawczą, bo, „pobudzając nas do śmiechu, zakłada sobie poprawić w nas defekta, które wystawia;... może obyczaje w nas polepszyć, zwabić do cnoty, od niecnoty odrazić,... uczynić kogo lepszym obywatelem, człekiem lepszym w cywilnych i prywatnych względach; czego napominania przyjacielskie, duchowne nauki, czytanie ksiąg moralnych dokonać nie mogły, często dokazały widowiska". Przywiązując do komedyi satyrycznych tak doniosłe znaczenie kształcące i umoralniające, pragnął książę generał, aby literatura polska posiadała ich jak najwięcej; zachęcał więc do ich pisania literatów, doradzając im, aby tłumaczyli czyli raczej przerabiali sztuki francuskie, ale tak, aby „osoby wszelkie miały podobieństwo z tym narodem, dla którego się pisze". Otóż komedya polska XVIII w. rozwijała się pod tem właśnie hasłem: tłumaczono albo przerabiano komedye francuskie. Największe zasługi na tem polu położył *chudy literat warszawski*, **Franciszek Zabłocki** z Wołynia (1754—1821), *najznakomitszy komedyopisarz polski XVIII w.* Czystością charakteru i gorącą miłością ojczyzny zapisał się wdzięcznie w pamięci potomnych. Po ukończeniu szkół pijarskich wstąpił do zakonu jezuitów; ale po trzech latach rozmyślił się, nowicyatu nie skończył, zamienił habit na żupan i osiadł w Warszawie, gdzie pracował, jako protokulista Komisyi Edukacyjnej, dorabiając na kawałek chleba piórem, jako literat, u którego, „oprócz smyka, niema w worku ni fenika". Bieda nieraz świeciła mu w oczy, ale on wolał mrzeć głód i sam sobie ubranie łatać, niż prosić ludzi o pomoc, bo za hardy był na to; szczycił się względami i Czartoryskiego, w którego domu częstym bywał gościem, i króla, który go na obiady czwartkowe zapraszał, ale się im nie naprzykrzał i nie pochlebiał, jak Naruszewicz albo Trembecki; a jeżeli ich chwalił, to dlatego, że księcia generała serdecznie pokochał i szczerze uwielbiał, jako zacnego obywatela i patryotę, a królowi był wdzięczny i za zachętę do pisania i nadewszystko za krzewienie oświaty w kraju. Z losu swego był zupełnie zadowolony: „Nie mam ja w swojej chatce obicia, drogich kryształów, marmuru, złota: ale mam zato spokojność życia, którą mi jedna przyjaźń i cnota". Mimo różnych kłopotów i tarapatów pieniężnych, nie tracił dobrego humoru (podobny w tem do Syrokomli), lubił i pożartować i pohulać i potańczyć (chociaż „hasał, jak sroka spętana"), a czasem, kiedy do kieszeni „zawinęła flota", lubił się nawet wystroić szykownie. Ale przyrodzona wesołość nie przeszkadzała mu (jak Syrokomli) gorzko płakać nad niedolą ludzką: „Podejdźmy pod ten pałac, gdzie tłum karet stoi: co za piękna muzyka! co za ognie żywe! jakże piękny lamp orszak wzniosłą bramę stroi! tu pan musi prowadzić życie dość szczęśliwe. Idźmy dalej! Dla Boga, co za widok smutny! pod murem bez

ratunku ubogi umiera! ach! jak tu przełożonych niedozór okrutny: dlatego, że nic nie miał, nie mógł mieć felczera?“ A jak ubogiego bliźniego, tak i ubogą ojczyznę całem sercem kochał Zabłocki: wymownem w tym względzie świadectwem jest ten smutek głęboki, jaki mu szarpał duszę po utracie niepodległości kraju i który go skłonił do odbycia studyów teologicznych i wyświęcenia się na księdza; żył jeszcze lat dwadzieścia pięć, ale smutek był mu już nieodstępnym towarzyszem.

Gorący patryotyzm Zabłockiego z całą siłą przemówił w jego *satyrach i paszkwilach politycznych, pisanych podczas sejmu czteroletniego.* Jak wszyscy patryoci, tak i Zabłocki z radością i otuchą powitał sejm czteroletni; lecz, kiedy się przekonał, że wśród jego uczestników nie brak wprawdzie ludzi mądrych i szlachetnych, ale są także głupcy, nikczemnicy i zdrajcy, wybuchnął przeciwko nim oburzeniem, a pragnąc, aby ich znienawidzili wszyscy, aby l zie nie dawali im posłuchu, rozrzucał na nich po mieście paszkwile bezimienne własnego pióra: „Jestem teraz w robocie pisania żywotów wszystkich naszych łajdaków, szelmów i huncwotów. Jeśli mi w chęci mojej Bóg pobłogosławi, to dzieło, spodziewam się, ciekawych zabawi. Przezacna powszechności! Życz mi w tem wytrwania, do czego miłość mojej ojczyzny mnie skłania; ja zaś wtenczas skuteczną pochlubię się pracą, gdy się z wstydu choć jeden obwiesi ladaco..... Przezacna powszechności! Nie sądź mnie zoilem[1]! Wiem, że paszkwil nie zdobi uczciwego pióra: ale, kiedy ich całe życie jest paszkwilem, na które się prawdziwie otrząsa natura, kiedy widocznie idą na ojczyzny zgubę,—ostrzegać choć paszkwilem mam sobie za chlubę!“ I miał zupełną słuszność Zabłocki, miał się prawo chlubić swymi paszkwilami, bo one płynęły z gorącej miłości ojczyzny, ze świętego gniewu na jej zdrajców; i dlatego właśnie są te paszkwile tak strasznie zjadliwe, dlatego wszystko nazywają po imieniu: podłość podłością, zdradę zdradą, głupotę głupotą. Z największą furyą napadał Zabłocki na hetmana Branickiego, przyszłego targowiczanina, nazywając go po imieniu, t. j. hulaką, hydrą, potworem, łajdakiem; a kiedy rozwścieczony hetman kazał szukać śmiałka, obiecując sutą nagrodę za jego znalezienie, odpowiedział mu Zabłocki tak:

Zdrajco własnej ojczyzny, nie godzien tej ziemi,
Którą tak świętokradzko depcesz z poczciwemi!
Ty, krwie czystej Polaka niesyty rarogu!
Przysięgam mej ojczyźnie i mych ojców Bogu,
Że twą głowę mieć muszę, a to nie za złoto,
Ale męstwem, odwagą i Polaków cnotą!

---

[1] zoil=niesprawiedliwy, stronniczy, zazdrosny krytyk.

Straszydło! Jak śmiesz rękę cnotliwego cenić,
Rękę, która cię chciała w Polaka odmienić?
Nie lękam ja się zdrady: Polak mnie nie zdradzi:
Co tylko było zdrajców, to z twojej czeladzi!
Lecz, żeby ci mniej zadać w dociekaniu pracy,
Wiedz, jako są szlachetni i mężni Polacy.
Powiem ci sam, kto jestem, lecz nie wprzódy, aże
Sprawiedliwy miecz w serce zbójcze twoje wrażę!

Potężne cięgi dostali również i ci wstecznicy, którzy pragnęli, aby wszystko w Polsce pozostało po staremu, którzy w książkach swoich dowodzili np., że wolna elekcya jest błogosławieństwem dla Polski, że więc zaprowadzenie tronu dziedzicznego byłoby dla niej zgubne; takim był pomiędzy innymi hetman Seweryn Rzewuski (także przyszły targowiczanin), któremu też dał Zabłocki rzetelną odprawę w sarkastycznym wierszu, p. t. *Ioannes Sarcasmus* (t. j. Jan Sarkazm): „O wy, stróże wolności! o ojce ojczyzny! Miałeś słuszność, hetmanie! ona cię przywiodła, jak wielbić bezkrólewia, fortun waszych źrzódła; gdyby nie bezkrólewia, te dla was jarmarki, na których za tron starostw robicie frymarki, jeszczebyś i ty, co się dziś nazywasz panem, musiał dobrze zapocić nad dziadowskim łanem; jeszczebyś umiał cenić zaszczyt chleba drogi: na chlebie to tak wierzgasz, chleb to ci dał rogi!" Jeszcze mocniej dostało się innemu przeciwnikowi reform, Wojciechowi Turskiemu, głupiemu krzykaczowi, któremu rewolucya francuska zabiła w twardy łeb ćwieka, że zbawieniem dla Polski jest anarchia polityczna i społeczna; słusznie odsyła go Zabłocki do... czubków: „Tam za to, żeś zły i że w gębie nie masz smaku, dadzą ci pięćset rózeg, dobranych bez braku; a że i głupstwo ze złą połączyłeś wolą, osadzą cię za kratą i głowę ogolą!"

W całej satyrze staropolskiej niema nic, coby serdeczną siłą oburzenia i jadowitą złośliwością szyderstwa paszkwilom Zabłockiego dorównać mogło, coby się nawet do nich zbliżało: dopiero Mickiewicz w wierszach, dodanych do trzeciej części *Dziadów*, prześcignął Zabłockiego żrącą i palącą goryczą swej mowy.

§ **90.** Ale stanowisko swoje w historyi literatury polskiej zawdzięcza Zabłocki nadewszystko swoim komedyom. Nic od nich jednak zaczął: z początku pisywał ody (na wzór Naruszewicza, § 79), bajki, satyry obyczajowe, sielanki, pieśni miłosne; rwał się i do epiki bohaterskiej, ale „nigdy temu nie sprostał, a zamiast Alcyda (Herkulesa), lutnia grała, jak na złość, miłostki Kupida"; zresztą „poco wspominać lata, dawnością zatarte? patrzmy raczej w czem *teraz* prosto, w czem co krzywo"; i oto „nie wiem, skąd mi się pisać komedye wzięło". A napisał ich mnóstwo, coś z górą sześćdziesiąt, prozą i wierszem; są tu i opery komiczne i farsy czyli

krotochwile (dramaty „śmieszno-płaczliwo-sowizdrzalskie“) i sztuki fantastyczne i wreszcie właściwe komedye, nadewszystko satyryczne; wszystkie zasiliły znakomicie repertuar teatru warszawskiego, i to ich pierwsza zasługa.

Lecz nietylko w historyi teatru polskiego, ale i w historyi naszej poezyi dramatycznej położył Zabłocki ogromne zasługi. Nad zasługę nazwano go ojcem komedyi polskiej, to bowiem imię zaszczytne powinno przypaść w udziale Bohomolcowi, jako autorowi pierwszych komedyi, na to miano zasługujących (§ 78); ale prawdą jest zato, że *nikt u nas przed Fredrą lepszych komedyi nie pisał* i że nikt w XVIII w. nie przyczynił się w takim stopniu, jak Zabłocki, do wywalczenia dla komedyi polskiej wybitnego, i to nietylko czasowego, ale już *niewzruszonego* stanowiska; *jego dopiero sztuki stanowią mocny fundament, na którym następcy już nieprzerwanie mogli budować i rzeczywiście zbudowali* (*zwłaszcza dzięki Fredrze*) *gmach narodowej komedyi polskiej.*

Tej ogromnej zasługi Zabłockiego nie zmniejsza bynajmniej ta okoliczność, że *jego komedye są bądź przekładami, bądź przeróbkami komedyi francuskich*: Moliera i jego dobrych zarówno, jak złych uczniów, i że, co za tem idzie, nietylko pomysły główne, ale i drugorzędne, nietylko sam przebieg akcyi, ale wogóle wszystkie sposoby jej wdrożenia, rozwinięcia i rozwiązania (słowem cała tak zwana technika dramatyczna) są własnością nie Zabłockiego, tylko komedyopisarzów francuskich. A więc np. t. zw. jedności dramatycznych (§ 77) przestrzega Zabłocki pilnie; nie usuwa pomysłów, zabawnych wprawdzie, ale zbyt naiwnych, czasem wręcz nieprawdopodobnych; tu należą np. nieporozumienia (t. zw. *qui pro quo*), oparte na przebieraniu się jednej osoby za drugą, na udawaniu, że się nie widzi czegoś, co się ma pod nosem, lub że się czegoś nie słyszy, coby nawet pień usłyszał, i t. p. Do tych pomysłów nieprawdopodobnych należy i ten jeszcze, w owoczesnej komedyi francuskiej pospolity i ulubiony, że na przebieg akcyi największy wpływ ma dwoje (albo i więcej) sprytnych i przebiegłych służących, którzy nietylko pomagają swoim państwu do spełnienia ich życzeń i zamiarów (ułatwiając np. dwojgu młodym spotkanie się poza oczami rodziców), ale nadto każą im tak tańczyć, jak oni zagrają, tną im prawdę w oczy i wycinają bury; a państwo słuchają tego wszystkiego cierpliwie, często ze stulonemi uszami, bo wiedzą, że bez pomocy służących nawet kichnąć nie potrafią, a wierzą im tak, że się im zwierzają z najgłębszych tajemnic osobistych lub rodzinnych. Otóż wszystko to razem wzięte—francuskie, nie polskie.

Ale i cóż z tego, kiedy na wszystkiem umiał Zabłocki wycisnąć piętno własnej oryginalności i — polskości! Słusznie mówi Brodziński, że, „choćby treść była wzięta z obcego języka, choćby charaktery i układ dzieła mniej na uwagę zasługiwały, dla języka samego będzie Zabłocki zawsze jednym z najszacowniejszych

naszych pisarzów". Rzeczywiście. Nie mówiąc już o płynnym wierszu i o nieznanej dawniej, a później uświęconej przez Słowackiego, *śmiałości rymów* (np. we łbie—kiełbie; to mi — Bartłomiéj; kto? ja?—moja; biedą—*credo*; ze sto—*del resto*, t. j. zresztą)—język Zabłockiego jest mistrzowski, nie tak wprawdzie wykwintny, jak Trembeckiego, ale ogromnie jędrny i dosadny, a nadewszystko *szczeropolski*, rojący się od rodzimych, energicznych zwrotów, np.: „dziedzicem jestem tylko w niebie" (t. j. goły jestem, jak święty turecki); „utopić kogo w łyżce wody"; „wyciąć kominka" albo „nogi zadrzeć", albo jeszcze „na kwaśne piwo pójść do Abrahama" (umrzeć); „zalęgły mu się we łbie ślepowrony" (t. j. głupi, jak stołowe nogi); „smalić cholewki do panny Reginki"; „zaraz uderzę, jak w dym, do mej Kasi"; „dziewczyna, jak malina" i t. d. Chętnie również posługuje się Zabłocki przysłowiami, bo „tak w prostackim, jak w grzecznym są przysłowia świecie", np.: „potrzebny, jak bies w Częstochowie"; „tłucze się, jak Marek po piekle"; „rządzi się w domu, jak szara gęś po niebie"; „komu się zmiele, komu skrupi"; „gdzie dyabeł nie może, tam nasadzi babę"; „wspomniała babka lata, kiedy była panną"; „nie będziesz bił kobiety, siądzie ci na głowie", i t. d.

Nie dosyć na tem. Zarówno w tłumaczeniu, jak w przerabianiu komedyi francuskich Zabłocki nie zapomina nigdy, że pisze dla teatru polskiego i dla publiczności polskiej: jak niegdyś Górnicki spolszczył dworzanina włoskiego i przeniósł go z Urbino pod Kraków (§ 32), tak i Zabłocki, posłuszny zasadzie Czartoryskiego, że osoby komedyi powinny „mieć podobieństwo z tym narodem, dla którego się pisze", *spolszczał komedye francuskie* tak zgrabnie i umiejętnie, że trzeba było dopiero mozolnych badań, aby wykazać, że ta lub owa komedya jest przekładem lub przeróbką z francuskiego. Oto np. w komedyi *Fircyk w zalotach* (1781) rzecz dzieje się we wsi p o l s k i e j, dokąd z W a r s z a w y przyjeżdża do znajomego swego, Arysta, młody s t a r o ś c i c, F i r c y k, t. j. modny kawaler w a r s z a w s k i (ze swym służącym Ś w i s t a k i e m), aby się ubiegać o rękę ciepłej wdówki, pani p o d s t o l i n y. Otóż utwór ten jest nieco rozszerzonem tłumaczeniem komedyi francuskiej (*Le petit-maître amoureux* Romagnési'ego), w której z Paryża przybywa do Lizymona markiz Damon (ze służącym Arlequinem) i stara się o rękę pani Araminty. Przekład jest tak doskonale dostrojony de stosunków polskich, że wygląda na sztukę oryginalną, z życia p o l s k i e g o wziętą; a dokonał tego Zabłocki nietylko przez zamianę francuskich i m i o n własnych na polskie (Paryża na Warszawę, Damona na Fircyka i t. d.), ale nadewszystko przez zamianę ż y c i a francuskiego (ludzi i stosunków) na polskie, a to bądź pomijając różne szczegóły, bądź też dodając o d s i e b i e szczegóły nowe, oryginałowi francuskiemu nie znane. W komedyi francuskiej np. Damon pyta Lizymona: „Lizymonie, nie masz ty

czasem jakiej wdówki do najęcia, jakiej staruszki zamożnej, dzierżawczyni bogatej? Muszę na gwałt pieniędzy skądsiś wytrzasnąć: oto mól, co mnie gryzie; no, poszukajmy! pomóż mi, bo ja nie widzę nic takiego ani w Fauxbourg, ani w Marais; a ty?“ „I ja nic“, odpowiada Lizymon. A na to Damon: „Ach, ty zakuta głowo! żeby też w tym wieku przeklętym nie można było znaleźć pieniędzy! To pyszne! Ale czekaj-no, czekaj, przypominam sobie jakąś niebogę, ona mnie ubóstwiać będzie! Pożycz mi tylko sto lujdorów: ona ci odda“. A oto jak wygląda ta rozmowa w przeróbce Zabłockiego:

Fircyk. Czy nie wiesz czasem jakiej wdówki do najęcia?
Mniejsza o to, czy stara, czy młoda, garbata,
Prosta, chroma, czy ślepa, byleby bogata!
Aryst. Jednoby się znalazło. Wybierz sobie którą:
Mamy tu babsko ślepe, lat sześćdziesiąt z górą:
Wszak ci takiej potrzeba?
Fircyk. Ma-ż funduszu wiele?
Aryst. Już lat kilka w szpitalu siedzi przy kościele:
Fundusz dobry i pewny, jeszcze *Firlejowski*[1]:
Baby mówią pacierze, pleban trzyma wioski.
Fircyk. Idźże waść do stu katów, nie praw mi ambai[2]!
Ja chcę baby bogatej, on mi ślepą rai!—
Ciężkież to teraz czasy,—serce człeka boli!—
Kiedy ludzie żyć dobrze umieliby,—goli!
Źle w Polszcze, zewsząd bieda: minery[3] olkuskie
Zalane, żupy wpadły w kordony rakuskie[4],
Zboże tanie, cło drogie; ociec znów mój—sknera,
Stary, jak kruk, nie daje nic i nie umiera . . .
Przecie się niezła człeku upiekłaby grzanka:
Mógłbym jeszcze z rok szumieć i grać rolę panka;
Potembym się ożenił z jaką ciepłą babą,
Notandum[5] z babą starą, z babą dobrze słabą.
Ale cóż! bab do dyabła,—ładuj niemi bryki! —
Są i bogate: cóż stąd? zdrowe, gdyby byki!
Jeszczeby mię trup który mógł przeżyć, do licha!
Niejeden szczep zielony w starym pniu usycha.
Ale co też ja darmo trudzę sobie głowę!
Przypomniałem: znam jedną, cud piękności, wdowę.
Nieźleby się koło niej zawinąć nareście!
Pożycz mi, przyjacielu, dukatów ze dwieście!

---

[1] t. j. zapisany jeszcze w wieku XVI przez prymasa Henryka Firleja, który hojną ręką wspierał ubogich. [2] ambaje = głupstwa. [3] kopalnie. [4] austryackie (po pierwszym rozbiorze). [5] = notabene (t. j. uważ sobie dobrze.

W komedyi *Zabobonnik* (1781), będącej przerobionem tłumaczeniem komedyi francuskiej *Le superstitieux* (tegoż Romagnésie'go), a ośmieszającej zabobony, Zabłocki nietylko przerabia Chryzanta na Anzelma, Walentyna na Frantowicza, a Frontyna na Filutowicza, ale, co ważniejsza, dodaje do charakterystyki zabobonnika różne szczegóły, jakich w oryginale francuskim niema, czysto rodzime, polskie: „U niego nic z przypadku, lecz każde zdarzenie albo dyabeł nasyła, albo przeznaczenie; *psy*, *kruki*, *wrony*, *sowy*, *puhacze i sroki* — wszystko są posły z piekła lub z nieba proroki, i, co nas drugich światło rozumu przekona, jego *wycie psów*, *sowa*, *nietoperz lub wrona*". Tym sposobem stworzył Zabłocki postać zabobonnika polskiego. I takich przykładów możnaby przytoczyć mnóstwo.

Otóż, pomimo zależności Zabłockiego od wzorów francuskich, jego komedye, dzięki właśnie takim przeróbkom i uzupełnieniom, *są wiernym obrazem satyrycznym społeczeństwa polskiego XVIII wieku.* Bronią satyry Zabłockiego jest daleko częściej wesoły śmiech, niż złośliwa ironia, a jej przedmiotem — zupełnie to samo, co pism Krasickiego, z jednej strony rozluźnienie obyczajów, a z drugiej — ciemnota (sarmatyzm). Chłoszcze więc Zabłocki wolnomyślność religijną, mówiąc, że w nadprzyrodzone rzeczy Bóg „każe tylko wierzyć, nie zaś się nad ich określeniem szerzyć śmiertelnym ludziom"; a ponieważ gniazdem wolnomyślności religijnej i niemoralności była Warszawa, więc raz po raz sprawia jej Zabłocki cięgi: ośmiesza np. rozbawionych fircyków warszawskich, którzy myślą jedynie o sobie, a zapominają o kraju („Arwan tam dyabłu swój kraj, skoro ja się bawię!"); narzeka, że „w tej Warszawie przeklętej sama w młodzi rozpusta, same wiercipięty", że „marnem słowem jest honor i cnota", że „dyabła schwycisz za rogi, gdyś mniemał anioła"; krótko mówiąc, Warszawa to istny „Babilon": „Wszystko idzie na nice, wszystko na łeb z góry;... w młodych chłopcach rozpusty dalekie zapędy, w panienkach mała skromność, małe na wstyd względy; małżeństwa kojarzone łakomstwem, niewiary wzajemnej pełne;... przyjaciele niewierni: stołów parazyci, wielbiciele fortuny póty, póki świeci; słudzy nienawidzący swych panów, panowie nieużyci, niewdzięczni, nierzetelni w słowie; z dzieci często hultaje, zbrodnie, pałogłówce, często też i z rodziców srodzy prześladowce; w niższych podłość bez miary, w wyższych fum bez granic: ci na tych patrzą zyzem, ci tych mają za nic".

Ale więcej jeszcze, niż niemoralność postępowej Warszawy, raził Zabłockiego sarmatyzm zacofanej prowincyi, zwłaszcza zaułków i zaścianków, zamieszkanych przez drobną szlachtę, której ciemnota i nieobyczajność, zawadyactwo i warcholstwo, samowola i lekceważenie prawa przybierały tak wielkie rozmiary, że myślano nawet o jej usunięciu od życia publicznego, zanim się nie podniesie

wśród niej oświata i nie polepszy stan ekonomiczny. Przeciwko tej to szlachcie zaściankowej wymierzył Zabłocki najznakomitszą i zarazem najoryginalniejszą ze swych komedyi, — *Sarmatyzm* (1784); wprawdzie i jej p o m y s ł (kłótnia dwu rodzin, zakończona szczęśliwie małżeństwem dwojga młodych) wziął autor ze źródła francuskieg ,ale opracował go już po swojemu, osadzając w zapożyczonych ramach obraz, wzięty bezpośrednio z własnych postrzeżeń, bezpośrednio z życia polskiego; to też ani jedna jego komedya nie jest tak narodową, jak ta.

Rzecz dzieje się „we wsi Piekiełku, w powiecie burdeckim"(!). W zaścianku tym, gdzie „z rozumem człowieka szukać na nasienie", mieszkają pomiędzy innymi: Marek Guronos, „dumny i kłótliwy szlachcic, domator", (który, zapewne przez cześć dla nieortograficznej tradycyi, pisze nazwisko swoje przez *u*, chociaż wywodzi je od Góry i Nosowa) i Jan Chrzciciel Żugota, „w podobnym Guronosa charakterze". Ci dwaj „odwieczni Sarmaci" kłócą się z sobą już od dawien dawna. I jak się nie mają kłócić, kiedy pani Żugocina ośmiela się panią Ryksę Guronosową „podsiadać" w kościele (t. j. zasiadać na wyższem od niej miejscu)! Guronos nie może puścić płazem tak straszliwej zniewagi,—tem więcej, że się boi, jak ognia, swojej połowicy: bo Ryksa to „lucyper-baba", trzymająca krótko swego „Marusia", którego „capem starym" nazywa, a dotego niewiasta trunkowa, zakrapiająca się obficie żytniówką i miodem. O zgodzie z Żugotami Ryksa nawet słyszeć nie chce i grozi małżonkowi, nie mniej ani więcej, tylko kulą w łeb, jeśli się o pojednaniu pomyśleć ośmieli; a ta groźba to nie przelewki, bo z rusznicy strzela pani Guronosowa celnie i chętnie (raz chciała nawet trupem położyć... satyrę, będąc pewna, że to jakaś złośliwa białogłowa!). Ale jest jeszcze inny powód kłótni pomiędzy Guronosem a Żugotą, taki sam, mniej więcej, co pomiędzy Cześnikiem a Rejentem w *Zemście* Fredry. Oto przed laty Żugota, sąsiadujący o płot z Guronosem, przywłaszczył sobie prawem kaduka kawałek jego gruntu; sprawa toczyła się i w ziemstwie i w grodzie, ale jej rozstrzygnąć nie umiano, więc kłótnia trwa wciąż. Napróżno Skarbimir, „szlachcic rozsądny, dawniej trybunalczyk", usiłuje, w imieniu pana podkomorzego, cieszącego się wielkim szacunkiem całego zaścianka (jak w *Panu Tadeuszu*), pojednać zwaśnione strony: Guronos postanawia urządzić na Żugotę z a j a z d, do czego podjudza go jeszcze jego krewny Burzywój (bardzo podobny do Papkina z *Zemsty*), stary wyga, wyjadacz i pijaczyna, „burda zajazdowy", „twarz pełna brózd, winogronów, szyszek", pozornie zuch, a w istocie tchórzem podszyty, mający „nóg lepszy charakter, jak duszy", więcej ufający w „inkluzy" (amulety) swojej szabli, niżeli w jej ostrze. On to zwozi do domu Guronosa całe fury potrzebnej do urządzenia zajazdu „brudnej hołoty" szlacheckiej, która, jak szara gęś po niebie, rządzi się w ubogim, krytym wpół gon-

tami, wpół słomą, domu Guronosa, a zwłaszcza w jego ubogiej kuchni, w której psy z głodu zdychają; krzyczą ci rycerze, „jak krupne baby zza straganów“, zarzynają, jak swoje, „to woły, barany, cielęta, to drób biedny“ (jak w *Panu Tadeuszu*); „kuchnia zawsze w trzasku i rozgardyaszu, jak gdyby na odpuście, jakby na kiermaszu“, „klamki, zawiasy, kłódki, zamki, skoble, haki, wszystko poutrącane“; „jeden kwiczy pod ławą, drugi w kącie wyje; trzeci, gdy swych przeciwnych przez sen na harc wzywa, czwarty, marząc, że najazd, zza pieca się zrywa, dopokąd usłużniejszy traf jakiejś krawędzi lub progu, gdy się ten tłok ku sobie rozpędzi, wszystkiej wraz nie obali, wszystkiej nie uraczy, kogo krwią, kogo sińcem, tłuszczy hajdamaczej“. Wreszcie wybucha walka, w której zresztą ci hołysze nie biorą jakoś udziału: biją się natomiast chłopi Żugoty z chłopami Guronosa ze swoimi wójtami na czele; ci krzyczą, że posiadłości ich pana sięgają po rów, tamci, że — po miedzę. Nagle na polu walki ukazuje się Skarbimir z rejentem Widymusem, i udaje im się nakoniec, choć jeszcze nie bez trudu, pogodzić Guronosa z Żugotą, do czego przyczynia się nadto miłość wzajemna Radomira, syna Guronosa, i Anieli Żugocianki. Ojcowie podają sobie ręce i zezwalają na małżeństwo dzieci, a i Ryksa (podchmielona, jak zawsze) nie odmawia swego błogosławieństwa, bo „tak się podobało znać niebu, od nieba wszystko poczynać, z niebem wszystko kończyć trzeba“, — podobnie jak Rejent w *Zemście* błogosławi Wacławowi i Klarze, mówiąc: „Niech się dzieje wola nieba, z nią się zawsze zgadzać trzeba“. A jak Papkin zwraca się do Cześnika: „Teraz wzywam waszmość pana, każ nam przynieść roztruchana“, tak Burzywój woła do Guronosa: „Gospodarzu, dajcież tam czy miodu, czy wina“, i wszystko się kończy wesoło i szczęśliwie przy okrzykach: „Kochajmy się!“

Oto główny wątek *Sarmatyzmu*—z pominięciem licznych epizodów, których jest w komedyi za wiele, co się też niekorzystnie odbija na jej budowie. Wogóle, jako dzieło sztuki, jest *Sarmatyzm* utworem, dalekim od doskonałości, ale, jako satyra, jest utworem znakomitym. A tę wysoką wartość nadaje mu głównie wyborna, dosadna charakterystyka szlachty zaściankowej, o której, przez usta Skarbimira, autor taki sąd wydaje: „Jakby horda tatarska te wieśniaki! Co słowo, do korda! Obywatele tacy nie gorsi-ż od dziczy: Besarabów, Nogajów, Zaporoża, Siczy? Głupstwo samo i upór! Panie! nie karz-że mię, ale to dyabłów raczej, nie ludzi jest plemię! Serca tak pojątrzone, tak miałkie rozumy, tak mało szlachetności, a tak wiele dumy!“ Najpełniejszem zaś wcieleniem tego dzikiego sarmatyzmu jest w komedyi Guronos, postać typowa, bo skupiająca w sobie wszystkie ujemne strony owoczesnej szlachty zaściankowej: straszliwą ciemnotę i bezdenną pychę rodową, warcholstwo i pieniactwo, kłótliwość i upór, fałszywe pojęcie o równości szlacheckiej i płynące stąd nieposzanowanie władzy obok przesadnej

uniżoności towarzyskiej względem jej przedstawicieli, lekceważenie prawa i wreszcie (na co Zabłocki szczególny kładzie nacisk) nieludzkość, okrucieństwo nawet, względem chłopów, których ciemna szlachta poczytywała nie za ludzi, tylko za bydło robocze, za potomków Chama, stworzonych przez Boga jedynie na to, aby pracowali na szlachcica. Za najlżejsze przewinienie bez najmniejszej litości karze Guronos swoich chłopów: „A, chamy! a, siermięgi! na koła, na pale!... Po trzysta kijów w dymie!... Niechaj znają chamy, że, mogąc na śmierć, w dymie ich tylko wieszamy!“ Kiedy Burzywój oberwał od chłopów kijem po grzbiecie i kiedy się skarży na tę zniewagę, Guronos pociesza go, że chłop, jako nie-człowiek, nie może szlachcica znieważyć: „Lecz psów wycie w czem szkodzi jasności księżyca? toż jest niemal i chłop, gdy pobije szlachcica!“... Wogóle *Sarmatyzm Zabłockiego to w całej literaturze XVIII w. najostrzejsza satyra na sarmatyzm.*

Ale, na szczęście, nie wszyscy w tej komedyi są tacy, jak Guronos i Ryksa, Żugota i Borzywój. Obok starych są i młodzi, inni od starych, lepsi i rozsądniejsi: nietylko wychowana w klasztorze Aniela, która, że to się trochę po świecie przetarła (trzy miesiące bawiła w Lublinie), chętnie czytuje książki, bo rozumie, że, „jak duchy dźwigają ciało z paraliża, tak czytanie i z ludźmi rozsądnymi liga zdrętwiałe, ciężkie dusze w wyższą sferę dźwiga“, — ale i Radomir, który z bólem serca patrzy na dzikość starszych, bo wychowywał się w Warszawie, gdzie nabrał rozumu i poloru, a nie zatracił uczciwości. Otóż, chłoszcząc biczem satyry pokolenie stare, Zabłocki przeciwstawia mu pokolenie młode, które korzystało już z dobrodziejstw rzetelnej oświaty, po którem się też autor spodziewał bardzo wiele: kiedy, przy końcu komedyi, Ryksa wznosi toast: „Kochajmy się!“, Skarbimir mówi: „To, to narodową Polaków starych było cnotą; ona przewodniczyła ich męstwu, ich radom; czas późny starł ją, nowym dawszy miejsce wadom; lecz je przemilczam, abym serc tkliwych nie ranił; *chcę się raczej spodziewać (niebo, ziść nadzieję!), że nam zamierzchłe światło aliż rozjaśnieje*“. I właśnie przez takie zakończenie (przypominające znowu *Zemstę* Fredry: „Zgoda, zgoda! tak jest, zgoda! a Bóg wtedy rękę poda!“) *Sarmatyzm* jest nietylko satyrą na Polskę starą, ale i pobudką patryotyczną, aby młodzież, krocząc drogą postępu, ale zarazem kochając to, co w przeszłości na ukochanie zasługuje, budowała, z Bogiem w sercu, Polskę młodą.

Akt pierwszy, scena pierwsza *(Guronos, Skarbimir).*

Gur. Jakem Guronos, szlachcic, jak z dziadów podczaszy,
Wkrótce dam znać Żugocie, że mnie nie zje w kaszy.
Dom mój miałby pierwszeństwo dać jego domowi?
Mnie dyabli wezmą, albo tego, kto tak mówi!

Skarb. Ależ . . .
Gur. Niech każdy odda, co przystoi komu!
Ja pytam: ta impreza[1] skąd Żugotów domu?
Kościół, mówią, dla wszystkich: nie zawsze, nie wszędzie!
Czemuż prosty kanona[2] klerus[3] nie podsiędzie?
Wszystko ma swoje szczeble: jest dalej, jest bliżej.
Niechże, kto wart, wespnie się, kto niewart, niech zniży!
Przecież żona Żugoty (o co z nami zwada)
Zawsze mi moję jejmość w kościele podsiada.
Skarb. Czyż? . . .
Gur. Trzeba, abyśmy się lepiej zrozumieli.
Co stanowi lustr[4] domu? Dawność parenteli[5]!
Co znowu jej dowodzi? Metryki, herbarze,
Mauzolea[6], kroniki, statut, inwentarze[7]!
Daj sobie pracę: czytaj! Wszędzie ciągła sława
Domowi Guronosów dank[8] winny przyznawa.
Nie setnem, nie tysiącznem dowiodę to licem!
Skarb. Któż wątpi? Jesteś waćpan, jak trzeba, szlachcicem,
Masz świetne antenaty[9], jasne ich wywody:
Lecz w czem to do sąsiedzkiej ma zawadzać zgody?
Czemu nie zważyć przyczyn?
Gur. Otóżto, sąsiedzie,
W tem kozera: kto z nas krwie świetniejszej dowiedzie,
Ten pierwszy!
Skarb. Dom waćpana w zacne ludzie plenny,
Staroświecki. . .
Gur. Dodajmy: dom wielki, wojenny,
A co najrzadsza, równie z kądzieli, jak z miecza!
Skarb. Wszystko to dawną jego świetność zabezpiecza.
Gur. Jeżeli sławne w Rzymie imię Fabijuszów,
I naszych nam niemało Tatarzyn wziął uszów:
Nie pomnę, w którym roku, lecz rzecz oczywista,
Że w tej klęsce poległo Guronosów trzysta!
Skarb. Słyszałem tyle razy od waćpana...
Gur. To mi
Dom! Szczęściem został jeszcze Guronos Bartłomiej,
Gdyż był *lactans* [10] w kolebce. Dorósłszy lat pory —
Po naszym Sędziwojów wonczas dom był wtóry
I już schodził [11] — otóż w nim wziął *sociam vitae* [12]
Dobrosławę-Gertrudę-Jadwigę-Brygitę,

---

[1] impreza = zamysł (zuchwały). [2] kanon = kanonik. [3] kler (*clerus*) = duchowieństwo; prosty klerus = kleryk. [4] blask, świetność. [5] parentela = powinowactwo, pochodzenie. [6] mauzoleum = grobowiec. [7] inwentarz = spis. [8] hołd, pierwszeństwo. [9] antenat = przodek. [10] ssący mleko. [11] schodzić=wygasać. [12] za towarzyszkę życia.

Ostatnią z Sędziwojów, herbu *Koziegłowy*:
Alluzya, jak wiemy z kroniki domowéj,
Twardych rogów do Marsa, a koziej osady
Do dziedzicznej domowi Sędziwojów swady.

Skarb. I to słyszałem.

Gur. Otóż z tego Bartłomieja
I Brygity gasnąca dwuch domów nadzieja
Wskrzesiła się na Mieszku, jedynym ich synie,
Który Mieszek, pojąwszy Gryszkę na Myślinie,
Spłodził Andrzeja, Marka, Jana, Matyjasza,
Protazego, Łukasza i Matatyjasza,
Z których jeden był tylko *sterilis* [1]: Protazy.

Skarb. I tom miał honor słyszeć mało tysiąc razy,
Pocóż . . . ?

Gur. Aby się tamta dowiedziała strona,
Że dom mój nie wyleciał sroce zpod ogona
I że pani Żugota . . .

Skarb. Może mniej roztropna. . .

Gur. Z tych Andrzej pierworodny wziął Różę z Konopna . . .

Skarb. Zacny mój podczaszycu! Wiem, w jakiej jest cenie
I w jakiej być powinno domów pochodzenie;
Wiem, że i wasze z wieków brały wzrost olbrzymi:
Lecz, gdy, zdrobniawszy, ledwie dziś są dojrzanymi,
Gdy nas małych i wielkich nędza równie ściska,
Co z tego przodkowania? Rzecz do pośmiewiska!

Gur. Mój dom, ale nie nasze! Proszę do kościołów
Na popis monumentów, grabsztynów [2], mauzołów [3]!
Proszę do przywilejów!

Skarb. Jabym zaś radniejszy [4]
Wziąć na różnicę rozum, nad wszystko dawniejszy,
By przez te śmiechu godne domów waszych wojny
Nie cierpiał cały powiat nasz, dotąd spokojny,
Ile kiedy [5], nieszczęściem, drobiazg naszej braci,
Nawykły służyć dumie, co swe zyski płaci,
Nie omieszka, jak nieraz, z małej dość iskierki
Wzniecić pożar ogólny, rokosze, rozterki.
Przystałożby to na dom waćpana, tak stary,
Sławny jasyrem wziętych uszu przez Tatary,
Ażebyś, je wetując w pokoleniu setnym,
Równą klęskę gotował swojskim i szlachetnym?

Gur. Krwie niczyjej nie chciałbym.

---

[1] bezdzietny. [2] grabsztyn = kamień grobowy. [3] mauzoł = mauzoleum. [4] jabym zaś wolał. [5] ile że, ponieważ.

Skarb. Przecież . . .
Gur. Przecież, przecież
Próżno swe waszeć jeśpan[1] terefery pleciesz!
Jeden jest dla Żugoty środek: mieć się skromniéj!
A nie, to ten kord-cenzor *mores*[2] mu przypomni.
Skarb. Więc rada przyjacielska? . . .
Gur. Przyjaciel i rada —
Ten kord, co nie, jak waćpan, bije, choć nie gada!
Skarb. A prawo na najazdy?
Gur. Oj, gdyby to nie te
Bałamutnie[3], te prawa! *Bassamteremtete*[4]!
Do tysiącset kop dyabłów, albo jeszcze gorzej!
Skarb. Miałem honor już mówić: jeśpan podkomorzy
Tyle się tem zasmuca, wstydzi, gniewa wreście. . . .
Gur. Czy dla nas podkomorzy to, co burmistrz w mieście?
Czy mnie na ratusz wsadzi? Szlachcic na zagrodzie . . .
Skarb. Wiem to, że dawniej równym bywał wojewodzie;
Ależ pan podkomorzy nie *imperative*[5],
Lecz jak braterskie radzi, jak serce życzliwe,
Naszym się opiekując szczególniej powiatem,
Ex quo[6] jest przodkującym, starszym z braci bratem;
Pisał do mnie dwa razy (znać w nadzieję łaski
Waszeć jeśpana dla mnie), bym wszedł w te niesnaski,
Bym starał się ich zjednać, dając znać w przypisie,
Że już o tem stolica i wie i gorszy się.
Wiadomo waszećpanu, jednakże u Dworu
Takie burdy . . . .
Gur. Burdaż to interes honoru?
To mnie będzie lada kto szarpał, krzywdził, a ja
Mam płakać, unižać się zwyczajem mazgaja?
Skarb. Toż to jest rzecz honoru, aby z fraszki lada
Brat brata zbrojno, sąsiad nachodził sąsiada?
Ażeby chlubne męstwa miał czynić popisy
Przez szczerby, drugim dane, lub przyjęte krysy?
Gur. Otóż to polityzmy, to grzeczności nasze,
Modne rozumowania, sensa! Na pałasze,
Dobrodzieju! to rozum był w dawnym Sarmacie!
Teraz tylko piszecie, pięknie rozprawiacie,
A gdy przyjdzie krzyżową w razie machnąć sztuką,
Stary, popraw! A! żaki z rozumem, z nauką!

---

[1] acan. [2] *mores* = obyczaje, moralność; przypomnieć komu *mores* = nauczyć kogo rozumu. [3] bałamutnia = bałamuctwo. [4] przekleństwo węgierskie. [5] rozkazująco. [6] odkąd.

Akt pierwszy, scena trzecia. *(Guronos, Skarbimir).*

Gur. . . . . Być nie może,
Bym i najmniejszy jaki krok zrobił do zgody.
Ante omnia[1], widzisz waćpan te ogrody?
Ten się nazywa Nosów, ten zaś drugi Góra;
Pytam: skąd się ta wzięła ich nomenklatura[2]?
Nie widocznaż, żeśmy się od nich mianowali?
Że tak jest, mam dowody *in originali*[3].
Przecież się w nie Żugota wkradł *iure caduco*[4]!
Patrz waćpan: te dwa łany z tą niziny sztuką
W mojem były imieniu, dziś je ma Żugota:
Oto mi i ten kawał wziął z tę stronę płota!
Ale ja dzisiaj jeszcze, zegnawszy gromadę,
Na przywłaszczoną przezeń dziedzinę najadę;
Dopiero się, jak dwa lwy, schwytamy za barki,
Kto lepiej utnie kordem, kto utnie z janczarki[5]!
Skarb. Nie przystałożby zgodą?
Gur. Tak, tak, zgodą! właśnie!
Skarb. Wreszcie prawem . . .
Gur. A niech mnie jasny piorun trzaśnie!
Wolałbym mieć nareszcie z dyabłem do czynienia,
Jak z ludźmi (Panie, odpuść!) prawnego sumnienia[6]:
Niechaj będzie interes mój nie wiem, jak czysty,
Wartogłowy, cygany, bezbożne jurysty
Z gruntu mi go przerobią, wywrócą na nice!
Niechże się jeszcze wdadzą intrygi kobiece,—
Dobrodzieju! wodzi mnie strona, skrycie wsparta,
Od szatana do dyabła, od dyabła do czarta.
Dziad zacznie, wiek się ciągną intrygi pieniacze,
Nim je w drugim czwartego stopnia wnuk opłacze.
A mnie to naco? Arwan prawo wszystkim katóm[7]!
Ten pałasz—to mój proces, sąd i *ultimatum*[8].
Skarb. Piękneż skutki: niesława, wieża, basaronki[9]!
Gur. Niechaj winny dla mojej będzie respekt żonki!
Niech mi moje oddadzą łąki, lasy, pola:
Wtenczas pójdzie do prawa, czyja będzie wola!
Ale, póki nie . . .
Skarb. Dzikie zda się być żądanie!
Gur. Chyba waćpan dzik jesteś, mój wielce mospanie!
Alboż i to daruję? Ongi moje konie

---

[1] przedewszystkiem. [2] nazwanie. [3] w oryginale. [4] prawem kaduka. [5] janczarka = strzelba janczarska. [6] t. j. z prawnikami. [7] niech prawo wszyscy kaci porwą! [8] ostatnie słowo (ostatnia instancya). [9] basaronek, basarunek=wynagrodzenie za krzywdę (indemnizacya).

Z fornalki połapawszy na wspólnym wygonie,
Nie jak szlachcic, ale jak rostrucharz[1], konował[2],
Jednemu grzywę ostrzygł, dwuch poanglizował[3].
Lecz suszyć nie chcę więcej głowy. Na te baje,
Powtarzane już nieraz, flegmy mi nie staje,
I cały się zapalam. Bądź zdrów. (*Odchodzi*).

Akt piąty, scena dziesiąta: *Guronos*, *Burzywój*, *Skarbimir*, *Rejent*; *wchodzi Żugota*.

Skarb. Gościa pożądanego!
Żug. (*kłania się nizko*). Najniższy, najniższy!
Skarb. Nie wspominając przyczyn waszmościów niechęci...
Wszystko się trafić może...
Żug. Ludzieśmy, nie święci!
Skarb. Tkliwość, niezrozumienie, podszepty, złość, plotki,
Zdarza się, że nam trują pokój życia słodki.
Przyjaźń, obaczenie się, na własne wzgląd szkody,
Czas nakoniec—stęsknionych przywodzą do zgody.
Gur. Jak mądrze, pięknie mówi!
Burz. (*cicho*) Lecz niezrozumianie
I coś górno!
Żug. (*do rejenta*) Marmuru, cedru godne zdanie!
Skarb. Jemość pan podkomorzy z wiadomego względu
Braterstwa, uprzejmości, z pierwszeństwa urzędu,
Ex quo nobilitatis princeps dux [4] tej ziemi,
Zasmucony wieściami, coraz zwiększonemi...
Żug. Znamy my duszę tego pana popularną [5]!
Ale też nie na płonną rolą rzuca ziarno.
Skarb. Owoż pan podkomorzy, przyjmując najsmutniej
Tę wieść zdawna trwających we wsi naszej kłótni,
Ile że ona, biorąc polot coraz sporszy,
Lekko myślących bawi, a rozsądnych gorszy,
Co się nie tak w pamięci ludzkiej łatwo zatrze,
Bo już nią i Warszawę bawią na teatrze...
Burz. Co? gdzie? jak?
Gur. Czy podobna?
Żug. To wcale nic po tem!
Jakżeżto?
Skarb. Komedyją napisano o tem!
Burz. Wujaszku, gdybym wiedział, kto to pisze o tem...
Gur. Studenty, mój siostrzeńcze, pacholęta, żaki!

---

[1] handlarz, kupczący końmi (niem. Rosstaüscher). [2] partacz leczący konie. [3] podciął ogony. [4] odkąd jest wodzem naczelnym szlachty. [5] popularny=życzliwy dla wszystkich.

Burz. Lecz w Warszawie, gdzie tyle...
Gur. W Warszawie, jak wszędzie,
Czy myślisz, że rozumny głupich bawić będzie?
Burz. Lecz gdzie uczciwość cudzą zabawiać się sławą...
Gur. Otóż tak jest! Idźże się bij z całą Warszawą!
Skarb. Najlepiej poprawmy się!
Burz. Żeby ta szkarada...
Rej. Skoro się odmienimy, wstyd na nas nie pada!
Skarb. Owoż pan podkomorzy jeśpana rejenta
I mnie...
Żug. Znamy waćpanów wielkie sentymenta
Obywatelstwa...
Skarb. Prosił, abym *referenter* [1]
Do ich woli...
Gur. Mamy się zawsze *reverenter* [2]...
Skarb. Podawszy zgodne pierwej do tego projekta...
Gur. Takie dystyngwowane...
Żug. *Excelsa subiecta* [3]!
Skarb. Gdy wzajemnym dogodzą chęciom waszećpanów...
Żug. *Iudica nos, Domine!* [4]
Gur. Pisz wyroki, stanów!
Skarb. Mości panie rejencie, nim się sąd nasz zbierze,
Aby myśl wyrozumieć ichmościów w tej mierze,
Proszę przeczytać projekt, co w sobie zawiera!
Rej. *Feria*... [5].
Skarb. Opuść waćpan!
Gur. *Anno* [6]...
Skarb. *Et cetera.*
Rej. Między ichmość panami: Chrzcicielem Żugotą
A...
Gur. *Protestor* [7]! Rzecz cała rozbija się o to:
Ja pierwszy mam być!
Skarb. Zaraz!
Żug. Skąd te przywileje?
Skąd to prawo?
Gur. (*junacko*) Pokażę!
Rej. Mości Dobrodzieje!...
Skarb. Wszystkim się tu dogadza, lecz sens nieskończony!
Rej. Między panem Żugotą Janem z jednej strony,
A znów na odwrót, między jegomością panem
Markiem Guronos z jednej, a Żugotą Janem
Z drugiej strony, czyniącym, stroną i powodem...

---

[1] stosownie. [2] z uszanowaniem (dla pana podkomorzego). [3] tak górne (dostojne) osoby! [4] sądź nas, Panie! [5] dnia. [6] roku. [7] protestuję!

Skarb. Już więc każdy z waćpanów i wierzchem i spodem.
Burz. Trudno mówić, zwrot piękny, szczęśliwego pióra!
Z jakich form te subjekta wylewa natura?
Bo to chytrze i mądrze, dowcipnie i składnie,—
Jak kot: rzuć go łbem z góry, on na nogi spadnie.
Pan Widymus niepróżno w szkołach zjadał kaszę.
Gur. Za cóż te *vices* [1] mają mieć imiona nasze?
Żug. Tak jest, jak być powinno!
Gur. Mylisz się, mój panie!
Żug. Skądże to waszećpana domu przodkowanie?
Gur. Skąd? Skąd nie waszećpana: z naszych zasług źrzódła!
Żug. A mojaż to krew ma być, mówisz waszmość, podła?
Czy nie ma swych pamiątek?
Gur. Od dwu, a najwięcéj
Lat trzech set...
Żug. Wasz ma pewnie parę set tysięcy?
Szkoda, że tej dawności archiwa przepadły
Wtenczas, kiedy Popiela króla myszy zjadły.
Burz. Wujaszku, nie znoś!
Gur. (*junacko*) Co? jak?
Żug. To! tak!
Gur. Słuchajże, ty!
Żug. Ty sam ty! ty!
Burz. (*przyskakując*). Rozumiesz?
Żug. (*odskakując*). Burdy! szarapety[2]!
Nauczę was!
Rej. Panowie!...
Gur. Kto to burda?
Burz. Kto to
Szarapeta? Komu to śmiesz mówić, gołoto?
Skarb. Panowie! po tak pięknych krokach do przyjaźni...
Gur. Niechaj mię nie rozjątrza!
Żug. Niechaj mnie nie draźni!
Burz. Niechaj mnie nie przezywa!
Skarb. Jeśpan podkomorzy...
Gur. On mi też serce wiąże.
Żug. On mój rankor [3] morzy.
Gur. (*do Skarbimira*). Przez te szczególnie względy...
Żug. Jeśli co uczynię,
Nie z innego, lecz z tego powodu jedynie.
Burz. Anibym ja darował, lecz, że oba z wujem
I osobę kochamy i urząd szanujem,
Krócimy nasze przeto i zemstę i męstwo.

---

[1] kolej, następstwo. [2] szarapeta=obdartus, gołota. [3] rankor=uraza.

Skarb. Tak krócić namiętności—największe zwycięstwo!
A gdy to szczególniejszy bierze powód z względu
Kochania dla osoby, a czci dla urzędu,
Niechże dla dopełnienia tak wielkiej dlań łaski
Padną odtąd ofiarą domów ich niesnaski!
Niech się nierozerwanej zwiąże węzeł zgody!
Nadto i inne jeszcze wdajmy w to powody:
Waszmość pan piękną córkę, jegomość ma syna,—
Niechże przyjaźni dzieło miłość ich poczyna!

§ 91. Odrębne stanowisko wśród poetów stanisławowskich zajmuje *„śpiewak Justyny"* **Franciszek Karpiński** (1741 — 1825) z Pokucia: kiedy prawie wszyscy współcześni mu poeci, pragnąc uczyć swój naród i poczytując poezyę za bardzo skuteczny środek po temu, są dydaktykami i satyrykami, *on jest lirykiem i już od współczesnych otrzymał miano poety serca*; inni piszą nie o sobie, tylko o społeczeństwie, o jego przeszłości lub teraźniejszości, o jego wadach i potrzebach: on pisze głównie o samym sobie, czy to w poezyi, czy w *Pamiętnikach.* Popularność miał ogromną, że aż mu się w głowie przewróciło: święcie uwierzył, że jest niezwykłym człowiekiem, chociaż w istocie był człowiekiem bardzo przeciętnym, a przez rozrzewniającą w swojej naiwności zarozumiałość bardzo zabawnym. Miał on zresztą pewne słuszne powody do dumy: oto wzniósł się znacznie ponad otoczenie, z którego wyszedł. Rodzice jego byli to ludzie ciemni, jak ogół ubogiej, szaraczkowej szlachty; matka czytać nie umiała, ojciec umiał, ale czytał tylko na książce do nabożeństwa i kalendarzu; syn tymczasem miał już mądrość książkową, bo ukończył nietylko szkoły, ale i akademię jezuicką we Lwowie, jeździł nawet do Wiednia, umiał po łacinie i po francusku (czytywał z upodobaniem Russa); a że później, po ukończeniu nauk, nie z jednego pieca chleb jadał, że był i palestrantem i dzierżawcą i gospodarzem i sekretarzem księcia Czartoryskiego, jako marszałka trybunału litewskiego, i nauczycielem na dworach możnych panów, więc mu i na mądrości życiowej nie zbywało.

W jakiem otoczeniu Karpiński wzrastał, o tem szczegółowo i zajmująco opowiada w *Pamiętnikach.* „Ojciec nasz słyszał, jak ś. Józef z obrazu swego, który był w izbie wymówił to słowo: «Cnota»; widział w Wigilią Bożego Narodzenia, także po północy, Najświętszą Pannę na niebie, w żółtym robronie; widział upiora, pokazywał nam wielu włóczących się, opętanych od dyabła; powiadał wiele historyi o zaczarowanych ludziach i urodzajach, o zapisujących się dyabłom, o czarownicach i babach, na Łysą Górę na ożogu kominem wylatających, również jak o lunatykach, którzy, kiedy przypadkiem na nich promień księżyca uderzył w nocy przez szczelinę, przez sen przez tę szczelinę po promieniu księżyca nadwór wychodzili; wierzył ślepo przepowiedniom, pod jakim planetą

kto się urodził, równie i przepowiedniom kalendarza, a cyganki, włóczące się i wróżące z rąk, z oczu, z fasolów, na stół rzuconych, albo z wosku roztopionego i wylanego na wodę, najchętniej w dom przyjmował." Otóż Karpiński śmiał się później z tych wszystkich zabobonów. Lecz żywa wiara religijna, wszczepiona w jego serce przez rodziców, pozostała mu do śmierci, tem więcej, że poczytywał ją nietylko za potrzebę serca, ale i za obowiązek patryotyczny: „Kochając ojczyznę swoją, kochać nam trzeba razem i religią, bo już to tysiącznym doświadczono przykładem, że tam, gdzie te dwie warowne twierdze, miłości ojczyzny i wiary, stoją, nieprzyjaciel z tej strony napaść nie może". Więc surowo gromił wyznawców „czarnego deistwa" (t. j. deizmu, § 76), że odmawiają Bogu sprawowania rządów nad światem i ludźmi, sam wierząc głęboko, że bez woli Boga „na ziemię nie padnie mizerny wróbel, i na głowach włosy On porachował". Ale z drugiej strony gromił i fanatyzm religijny, słusznie go poczytując za wstyd i nieszczęście dla ludzkości: „Krzyż w jednej ręce, żelazo ma w drugiej, zasłonił oczy, pozatykał uszy;... gdzie tylko przeszedł, krwią ludzką spluskany; dojdziesz go czarnym zostawionym śladem; lubi kaleki, śmierć, nędzę i rany, pije łzy cudze, tuczy się swym jadem". Wogóle Karpiński, umiejąc się ustrzedz od skrajności nauki wieku oświeconego (§ 76), stał się pod jej wpływem człowiekiem wcale rozsądnym.

Z tem wszystkiem miał o swym rozumie zbyt pochlebne mniemanie, co widać choćby z tego protekcyonalnego, niemal lekceważącego tonu, z jakim się odzywa w *Pamiętnikach* o takim np. Piramowiczu (§ 75), do którego się rozumem nawet nie umywał. A już wprost zabawną jest jego zarozumiałość, kiedy przypisuje sobie wielki rozum polityczny, kiedy bez zająknienia obwieszcza światu, że przymierze polsko-pruskie stanęło dzięki... jakimś jego listom, które napisał był w przeddzień wielkiego sejmu i rozesłał znajomym mężom stanu!! W rzeczywistości znał się na polityce, jak wilk na gwiazdach albo krowa na kompasie, skoro np. był przekonany, iż Marya Teresa „do rozbioru Polski z drugiemi dwoma mocarstwami przystąpiła" dlatego jedynie, że chciała uskromić swawolę magnatów polskich!...

Miłym, a nawet ślicznym rysem charakteru Karpińskiego jest jego pietyzm synowski dla ojca, co na tem większe uznanie zasługuje, że go ojciec nie pieścił, owszem chował w staropolskiej grozie. „Kiedy zmłocek w stodole naszej nożyk swój prosty na progu położył, a jam go ukradkiem schwytał, postrzeżony potem od ojca mojego, żem nim coś strugał, i spytany, skądbym go wziął, do zwyczajnego wykrętu, żem go znalazł, udałem się; zwołani domowi wszyscy i spytani, czyjby był nożyk; kiedy się zmłocek do niego przyznał, dodając, że ja byłem przy tem w stodole, gdy on ten swój nożyk na progu położył,—kazał naprzód ojciec mój, abym

padł do nóg wieśniakowi i przeprosił go, żem go tą moją kradzieżą zmartwił; rozumiałem, że się już na tem mojem upokorzeniu skończyło, ale kazano przynieść rózgę, i surowy ojciec temuż samemu zmłockowi kazał mi dziesięć rózeg wyliczyć, nad którym stał z laską, ażeby w biciu mnie nie folgował; wziął potem sam rózgę i za wstyd swój (jak powiadał) jeszcze mi dziesięć rózeg swoją ręką przyczynił, a po skończeniu rękę sobie, która karała, całować kazał"... „Po skończonym dwuletnim kursie filozofii przyjechałem na wakacye do brata i rodziców. Mieliśmy zawsze największe dla matki naszej, a najbardziej dla ojca groźnego, uszanowanie: nie można było w przytomności jego siedzieć, stanąć do niego tyłem, a nawet o ścianę, stojąc przed nim, oprzeć się. Pamiętałem zawsze to wszystko i chętnie sobie przykrość zadawałem, bylebym ojca nie obraził. Chodził raz starzec po izbie, a ja, z kimści rozmawiając, wszystkie wspomniane ostrożności zachowałem względem ojca, kiedy razem, przystąpiwszy do mnie, ciężki mi on wyciął policzek i znowu po izbie, jak przedtem, przechodził. Kryminałem byłoby spytać się, zaco to; w milczeniu skromnem, z oczyma, w ziemię spuszczonemi, czekałem końca; wtem ojciec mój rzucił mi się na ramiona i mówić ze łzami począł: «Synu mój! ja symplak (prostak), bo czytać tylko i ledwo co napisać umiem, a ty już filozof; doświadczałem cię tylko, jak też przyjmiesz policzek od ojca twego; ale, kiedyś ty skromny i pokorny, kiedy mnie w starości mojej szanujesz» — wtem ukląkł w pośrodku izby i, podniósłszy ręce do góry, — «Boże Abrahama, Izaaka i Jakuba! pobłogosław to dziecię moje, niech żyje długo, zdrowo i szczęśliwie!» Padłem mu do nóg, rozrzewniony i wzruszony mową jego, zapomniawszy nawet o policzku, który odebrałem, a on, klęczący do klęczącego, mówił rozrzewniony: «Synu mój! szanuj ludzi, a będziesz szanowany; ten policzek, który odebrałeś od ojca, niech będzie ostatni, który ci w życiu dany, a gdyby kiedy do tego komu obcemu przyszło, żeby cię tak skrzywdzić miał, krew tylko nieprzyjaciela twego wzgardę takową zmazać może!»"..

Pełną czci i miłości pamięć o tym „groźnym ojcu" przechował Karpiński na zawsze; w *Pamiętnikach* kilkakrotnie wyraża mu swą wdzięczność, że go nauczył chodzić drogą prawdy i cnoty, i dodaje, że on z tej drogi nie zboczył. Prawda, że zbrodni nie popełnił, ale też i cnotliwością tak dalece nie grzeszył. Ojczyznę kochał po swojemu, płakał nad jej nieszczęściami, ale, nie mając nic a nic hartu duszy, załamywał ręce i doradzał szukać „litości cudzej"—w sercu cesarzowej Katarzyny, bo ta, „mogąc wszystko, nie zechce źle zrobić; ona, jak matka w żalu, rózgę spali, jeśli jej przyszło dziecię swoje pobić; najsłodszemi ją przemianami wzrusza to litość serca, to wspaniała dusza! Tam się udajcie!... Ona wam góry poniża wyniosłe, honoru pokaże wam pole i sławy szlaki odkryje zarosłe! Tak ratując się wspaniałością rzadką, stanie się nową matki wa-

szej matką!“ Po upadku Polski oburzał się na tych rodaków, którzy w Grodnie, na balu, wyprawionym przez Repnina, „najweselej ten dzień w tańcach, jak gdyby za najlepszych czasów, przepędzili“; ale sam napisał na cześć Repnina pieśń pochwalną...

Wogóle, jak o rozumie, tak i o sercu swojem miał Karpiński wyobrażenie nadto pochlebne. „Na niesprawiedliwości ludzkie oburzałem się, chociażby nie mnie były wyrządzone, na nędzę ludzką, osobliwie biednych, tkliwy; i tę tkliwość za zasługę sobie nie poczytuję, bo serce takie wziąłem od natury, że z płaczącym nieszczęśliwym łatwo mi płakać przychodzi“. Rzeczywiście łzy przychodziły mu na zawołanie, co się jednak tłumaczy nie tyle dobrocią i szlachetnością (jak mniemał), ile wielką *wrażliwością* jego natury; a nadto łzy sprawiały mu przyjemność, bo go utwierdzały w mniemaniu, że ma serce bardzo czułe, więc nawet szukał sposobności, aby je wylewać, jak się do tego sam przyznał w pieśni *Tęskność do kraju*: „Kiedy mną tęskność rządziła, szedłem nad brzegi Dunaju (t. j. do Wiednia): odludność mię tam pędziła i *chęć wzdychania do kraju.* Cichości, siostro tęsknoty! Ja nie wiem, czem ty mię bawisz, to wiem, że serce mi krwawisz: *ja przecię lubię twe groty!...*“ Krótko mówiąc, miał Karpiński serce nie czułe, tylko *czułostkowe*, to znaczy, że się lubił pieścić ze swemi uczuciami i myślami: *sentymentalizm*, przez który przypomina Russa (§ 77), *to znamienna cecha jego charakteru.* Do uczuć prawdziwie głębokich i bezinteresownych nie był zdolny, nawet względem kobiety: w młodości pokochał pierwszą swoją miłością ubogą panienkę, Maryannę Brösselównę; uczucie było szczere, ale wcale nie głębokie: „I ona we mnie kochała się, ale nakoniec, kiedy jej zyskowne trafiło się zamęście,... a ja, ubogi, wziąwszy tę szanowną pannę, chybabym z nią na służbę poszedł, ze łzami oświadczyłem jej, ażeby za mego rywala poszła; w początkach łzami mi tylko odpowiadała, a potem rzecze: «Ja się dla ciebie prząść nauczę i grzędę kopać będę»; jużem się do niej wracał i byłbym tego nie żałował, ale jej i moi przyjaciele przemogli, *którzy mi zyskowniejsze chcieli obmyślić małżeństwo*“ (!). Już to na wszelkiego rodzaju zyski „czułe“ serce Karpińskiego było naprawdę niezmiernie czułe; był to bowiem trochę samolub, wyrachowany, łakomy na rozgłos, a więcej jeszcze na grosz, a stąd, chociaż nibyto o godność osobistą wielce dbały, jednak polecający się przy każdej sposobności pamięci króla i magnatów, w przeświadczeniu, że nikt więcej od niego na nagrodę nie zasłużył; a że ta go jakoś mijała, więc wpadał w zły humor, roztkliwiał się nad swojem ubóstwem (którego nigdy nie zaznał), dąsał się i złościł, miał żal do świata i ludzi, możeby się mścił nawet, gdyby tylko mógł, — podobny do złoszczącego się i tupiącego nóżkami dziecka, kiedy mu, zamiast dać ciastko, którego się napierało, pokazano figę. Bo też, przy ca-

łej swojej mądrości i cnotliwości, któremi się tak chełpił, był całe życie dzieciakiem, — i dlatego zasługuje na pobłażanie.

W historyi literatury polskiej zajmuje Karpiński stanowisko wybitne, jako utalentowany liryk i jako jeden ze zwiastunów nowych prądów poezyi. On to, jeżeli nie pierwszy, to jeden z pierwszych, zaprotestował (w rozprawie *O wymowie w prozie albo wierszu*, 1782) przeciwko zalecanemu przez poetykę francuską (§ 77) posługiwaniu się mitologią w poezyi i szydził z poetów, którzy się nią posługiwali: „Zaszły śluby małżeństwa jakiego, — już zaraz wszystkich bogów i bogiń poeta w nikczemnych wierszach swoich na wesele zaprosił: już mu gra Apollo na lutni, Muzy śpiewają, i Merkury coś bredzi nie do rzeczy; umarł kto, idą Plutony, Prozerpiny. Parki; wojskowy kto, — już on Marsa albo Bellony synem... Poco tych Muz, tych Apollinów w naszych wzywamy poezyach, o których próżności aż nadto przeświadczeni jesteśmy? A tym jeszcze sposobem odbiegamy od jednej z pomiędzy własności tak poezyi, jako i pisma każdego, — ażeby powszechnie rozumiane były". Nie dosyć na tem. Rozumiał Karpiński, że są wprawdzie wymagania, które każdego wogóle piszącego, a więc i poetę, obowiązywać powinny (np. wymaganie jasności); ale, żeby się poeta miał w twórczości swojej krępować jakiemiś narzuconemi sobie a niewzruszonemi prawidłami, przeciwko temu protestował, bardzo słusznie rozumując, że są przecie poeci, którzy owych prawideł nie znają, jednak piszą pięknie i „pójdą do nieśmiertelności"; — a dlaczego? dlatego, że mają „czułe serce", t. j. natchnienie, wrodzony talent, który się może i powinien kształcić i uszlachetniać, ale którego żadne reguły stworzyć ani zastąpić nie mogą. Innemi słowy, wypowiedział Karpiński *hasło swobody twórczości*, a co za tem idzie, *i jej oryginalności*, mądrze mówiąc, że „ślepe naśladowanie autorów znakiem jest niedowierzania siłom naszym, a podobno zagrodą wzrostu wymowy" (t. j. poezyi i wogóle literatury), „która, jak woda, ażeby zdrowa była, z wolnością płynąć lubi; naśladowanie zaś, trzymając ucznia przy wzorze jego, gnuśnieć mu na miejscu każe, wtenczas kiedy *honor i pożytek narodowi zapewne nie kopie, ale same zrobić mogą oryginały*". I właśnie przez to hasło swobody i oryginalności twórczej jest Karpiński zwiastunem nowych prądów poezyi, jest poprzednikiem naszych poetów XIX wieku, którzy honor i pożytek swemu narodowi zrobili nie kopiami wzorów starożytnych i francuskich, ale oryginałami.

A jak w teoryi, tak i twórczości poetyckiej przyświecało Karpińskiemu to samo hasło: wprawdzie nie wszystkie jego utwory są od naśladownictwa wolne, ale nie brak i takich, w których Karpiński (jak mówi Mickiewicz) „nie zapatruje się na żaden wzór, nie przybiera żadnego systemu, śpiewa, jak ptaszek, wydaje, co ma w duszy, wylewa swoje uczucia"; i te właśnie utwory są najlepsze ze wszystkich. Prawda, że głębi myśli, ognia serca, górnego po-

lotu niema w nich ani na lekarstwo; sam poeta wiedział o tem dobrze („A mnie mój ciężar trzyma na nizinie, próżno się w górę podnoszę“) i wydawał też swoje poezye pod skromnym tytułem *Zabawk* (1780); ale posiadają zato przymiot, tak rzadki w rozumnej, ale chłodnej poezyi wieku oświeconego, — szczerość i serdeczność, żywość i ciepło uczucia, słowem *prawdziwy liryzm, płynący nie z głowy, ale z serca, a dotego prostotę formy, często i melodyjność wiersza*

§ 92. „Czułe serce“ Karpińskiego przemówiło wymownie w *pieśniach miłosnych*, tych zwłaszcza, które powstały pod wpływem pierwszej jego miłości — ku „Justynie“ (t. j. Maryannie Brösselównie). Najwcześniejszą, a zarazem najpiękniejszą, ze wszystkich (i jedną z najpiękniejszych w całej miłosnej liryce staropolskiej) jest pieśń *Do Justyny, tęskność na wiosnę*, przypominająca w pomyśle swoim pieśń Bohymnii Szymona Zimorowicza (§ 55), a wyrażająca z prawdziwym wdziękiem tęsknotę miłosną młodego, zakochanego serca, które się zrywa do nowego życia na wiosnę, kiedy i natura cała nowem życiem żyć poczyna.

Już tyle razy słońce wracało I blaskiem swoim dzień szczyci:
A memu światłu cóż to się stało, Że mi dotychczas nie świeci?
Już się i zboże do góry wzbiło I ledwie nie kłos chce wydać,
Całe się pole zazieleniło: Mojej ptaszyny nie widać...
Już słowik w sadzie zaczął swe pieśni, Gaj mu się cały odzywa,
Kłócą powietrze ptaszkowie leśni, A mój mi ptaszek nie śpiewa...
Już tyle kwiatów ziemia wydała Po onegdajszej powodzi,
W różne się barwy łąka przybrała: A mój mi kwiatek nie schodzi...
O wiosno! pókiż będę cię prosił, Gospodarz zewsząd stroskany?
Użem dość ziemię łzami urosił: Wróć mi urodzaj kochany!

Nic równie wdzięcznego nie napisze Karpiński już nigdy. Ulegając panującej wówczas, a wprowadzonej przez Russa modzie roztkliwiania się nad rzekomem szczęściem prostych ludzi na łonie natury, opiewał najczęściej miłość swoją nie w pieśniach, bezpośrednio z serca płynących, tylko w *sentymentalnych sielankach pasterskich.* Występują w nich pasterze i pasterki (Korydon, Filon, Medon; Palmira, Laura, Lindora i t. p.) o sercach straszliwie czułych: rozstając się z sobą, ronią łzy obfite, boleść zalega im serca, a tęskność — głowy, niekiedy nawet mdleją z żałości. Imiona swoich ukochanych pasterek wycinają pasterze na korze drzewnej, a czasem i na kijach. Aby się przypodobać pasterkom, łapią dla nich motyle, a pasterki chowają je parami w klatkach, karmią je ze swych „białych“ dłoni, a nie dokuczają im nigdy, bo serca mają tak czułe, że widok zabitej muchy przyprawia je o ból bezmierny. Pasterze i pasterki kochają piękną naturę: wzruszają ich zwłaszcza łączki zielone, strumyczki szemrzące i „pieszczony głos ptaszęcy“;

nawzajem i natura jest dla nich bardzo czuła: kiedy raz Palmira wyznała miłość Korydonowi, natura o mało nie zwaryowała ze szczęścia: natychmiast odmłodniała łąka, rozkwitły róże i zakwiliły ptaszęta; a kiedy innym razem inna Palmira „ubłociła przy źródle swoją śliczną nogę“, „nazajutrz kwiatem brzeg cały usłany tam, gdzie białemi klękała kolany“. Pasterze, oprócz pasterek, a pasterki, oprócz pasterzy, kochają jeszcze okropnie swoje owieczki i baranki, które pasą, gładzą, pieszczą i nazywają „duszami swoich dusz“. Oto mniej więcej, jak wygląda ten świat „pasterski“, z życiem prawdziwych pasterzy i pasterek mało mający wspólnego, będący raczej maskaradą, aniżeli wiernym obrazem rzeczywistości. *Sielanki Karpińskiego to najznamienniejszy w poezyi stanisławowskiej objaw modnego w całej Europie prądu: sentymentalizmu i fałszywej ludowości* (§ 77). Zachwycali się niemi współcześni, a i potomni długo jeszcze je śpiewali, zwłaszcza *Laurę i Filona*.

L. Już miesiąc zeszedł, psy się uśpiły, I coś tam klaszcze za borem:
Pewnie mię czeka mój Filon miły Pod umówionym jaworem.
Nie będę sobie warkocz trefiła, Tylko włos zwiążę splątany,
Bobym się bardziej jeszcze spóźniła, A mój tam tęskni kochany.
Wezmę z koszykiem maliny moje I tę pleciankę różową:
Maliny będziem jedli oboje, Wieniec mu włożę na głowę.
Prowadź mię teraz, miłości śmiała! Gdybyś mi skrzydła przypięła,
Żebym najprędzej bór przeleciała, Potem Filona ścisnęła!
Oto już jawor... Niemasz miłego! Widzę, że jestem zdradzona:
On z przywiązania żartuje mego, — Kocham zmiennika Filona!...
Filonie! Wtenczas, kiedym nie znała Jeszcze miłości szalonej,
Pierwszy raz-em ją w twoich zdybała Oczach i mowie pieszczonej...
Ale któż zgadnie, przypadek jaki Dotąd zatrzymał Filona?
Może on dla mnie zawsze jednaki, Możem ja próżno strwożona?
Lepiej mu na tym naszym jaworze Koszyk i wieniec zawieszę:
Jutro paść będzie trzodę przy borze,—Znajdzie: jakże go pocieszę!...
Wianku różany! gdym cię splatała, Krwiąm cię rąk moich skropiła,
Bom twe najmocniej węzły spajała I z robotąm się kwapiła.
Teraz bądź świadkiem mojej rozpaczy I razem naucz Filona,
Jako w kochaniu nic nie wybaczy Prawdziwa miłość wzgardzona!
Tłukę o drzewo koszyk mój miły, Rwę wieniec, którym splatała:
Te z nich kawałki będą świadczyły, Żem z nim na wieki zerwała!

Kiedy w chróścinie Filon schroniony Wybiegł do Laury spłakanej,
Już był o drzewo koszyk stłuczony, Wieniec różowy stargany.

F. O popędliwa! o ja niebaczny! Lauro!... Poczekaj!... dwa słowa!
Może występek mój nie tak znaczny, Może zbyt kara surowa:
Jam tu przed dobrą stanął godziną, Długo na ciebie klaskałem;
Gdyś nadchodziła, między chróściną Naumyślnie się schowałem,
Chcąc tajemnice twoje wybadać, Co o mnie będziesz mówiła,

A stąd szczęśliwość moją układać; Ale czekałem zbyt siła...
Oto masz ten kij: po nim znamiona Niebieskie gładko rzezane.
W górze zobaczysz nasze imiona, Obłędnym węzłem związane.
Cóżem zawinił, byś mię gubiła Przez twój postępek tak srogi?
Czyliż dlatego, żeś ty zbłądziła, Ma ginąć Filon ubogi?...
L. Dajmy już pokój troskom i zrzędzie: Ja cię niewinnym znajduję;
Teraz mój Filon droższy mi będzie, Bo mię już więcej kosztuje.
F. Teraz mi Laura za wszystko stanie, Wszystkim pasterkom przodkuje,
I do gniewu ją wzrusza kochanie I dla miłości daruje.
L. Jedna się Dorys wyłączyć miała, Jej pierwsze miejsce naznaczę;
Na to wspomnienie drżę zawsze cała, Cóż, kiedy cię z nią obaczę!
F. Dla twego, Lauro, przypodobania Przyrzekam ci to na głowę:
Chronić się będę z nią widywania, W żadną nie wnidę rozmowę.
L. Czemże nagrodzę za te ofiary? Nie mam, prócz serca wiernego:
Jedne ci zawsze przynoszę dary, Przyjmij, jako co nowego!
F. Któżby dla ciebie nie zerwal węzły Przyjaźni, co mię nęciły?
W twej pięknej twarzy wszystkie uwięzły Nadzieje moje i siły.
L. Ja mam mieć z płaczu po twarzy smugi, Ale, jak mi się nadarzy
Spleść i ułożyć warkocz mój długi, Mówią, że mi to do twarzy...
F. O światło moje wpośród tej nocy, Zagrodo mego spokoja!
Ty jeszcze nie wiesz o twojej mocy, A ja czuję ją, o moja!
L. Czyż w każdym roku taka z kochania, Jak w osiemnastym, mozoła?
Jeśli w tem niemasz pofolgowania, Jak człek miłości wydoła?...
Filonie! widzisz wschodzące zorze? Już to drugi raz kur pieje!
Trochę przydługo bawię na dworze... Już matka wstała,... truchleję...
Miesiącu! już ja idę do domu! Jeśliby kiedy z Dorydą
Filon tak trawił noc pokryjomu, Nie świeć, niech na nich dżdże idą!

Bez porównania większą wartość od wszystkich sielanek, razem wziętych, posiada elegia *Powrót z Warszawy na wieś* (1784), wyraz tego rozgoryczenia, w jakiem po czteroletniej nieobecności wrócił Karpiński w swoje strony rodzinne: oto był sekretarzem Czartoryskiego, uczył młodego księcia Sanguszkę, bywał na obiadach czwartkowych, wzruszał serca swemi sielankami, — więc za to wszystko spodziewał się sutej nagrody, a tu tymczasem wrócił do „domu ubogiego“ z pustemi rękami. Na domiar nieszczęścia licho przyniosło mu na kark siostrę z kilkorgiem dzieci, która była pewna, że brat Krezusem powrócił! I jakże tu nie biadać, jak nie złorzeczyć ludziom, że wielkiego człowieka skrzywdzili? Więc płacze wielki człowiek i zawodzi i, zapominając o swojej wielkości, odgraża się, jak dzieciak: kiedy tak, to nie będę grzeczny! nie warto być cnotliwym, nie warto w pocie czoła pracować, kiedy cnota i praca są „niepopłatne“! Bo tę właśnie myśl nietrudno wyczytać między wierszami elegii, chociaż się autor zastrzega, że cnocie i prawdzie człowiek powinien służyć bezinteresownie. I oto wyszło szydło z worka,—załapał się biedny Karpiński strasznie: chciał się przedstawić za nieszczęśliwą ofiarę cnoty, a pokazał się takim, ja-

kim naprawdę był: małym człowieczkiem! I właśnie na tej mimowolnej szczerości, z jaką się Karpiński scharakteryzował, na prawdzie uczucia polega wdzięk jego elegii; w żadnym innym utworze nie ukazała się w takim blasku — jego śmieszna drażliwość i naiwność dziecięca.

Otóż mój dom ubogi! Też lepione ściany,
Też okna różnoszybne, piec niepolewany
I nizka strzecha moja! Wszystko tak, jak było,
Tylko się ku starości więcej pochyliło!
Szczęśliwy, kto na małym udziale przebywa!
Spokojny, siadł przy stole wiejskiego warzywa:
Z swej obory ma mięso, z ogrodu jarzynę,
Z domu napój i wierną przy boku drużynę!
Obym ja był tak dawniej myślił, oszukany,
I w ukrytym gdzie kącie żył raczej nieznany,
Gdzieby o mnie w powiecie nawet nie wspomniano
I tylko mię sąsiadem dobrym nazywano!
Bym się żywił z krwawego rąk moich wyrobku,
Żył na świecie bez wieści, umarł bez nagrobku!
Com zyskał, że, rzuciwszy ubogie zagrody,
Chciałem, nie opatrzony, płynąć przeciw wody
I, widząc na me oczy, jak drudzy tonęli,
Jam sobie myślił: „Oni płynąć nie umieli“?
Com zyskał, na wysokie pańskie pnąc się progi,
Gdzie, po ślizkich ich stopniach obrażając nogi,
Nic się z moim lepszego nie zrobiło stanem,
Prócz marnego wspomnienia, że gadałem z panem?
Kiedy mię ojciec stary żegnał przy swym zgonie:
„Idź — mówił — synu, na świat! w jakiej będziesz stronie,
„Pamiętaj, że na prawdzie nikt nigdy nie traci!
„Zostawiam cię ubogim: prawda cię zbogaci.“
Słuchałem cię, ojcze mój, goszcząc między pany:
Tak-em pisał lub mówił, jak był przekonany.
Nie brałem sobie za cel ludzkie głosić winy,
A jeślim kogo chwalił, nigdy bez przyczyny.
Cóżem zyskał, pochlebstwem nie służąc nikomu?
Otom wrócił uboższym, niż wyjechał z domu.
Nie przeto, święta Cnoto, porzucić cię trzeba,
Ze wieku dzisiejszego nic nie dajesz chleba,
Choćby mi jeszcze wolniej miało szczęście pociec;
Bo i z prawdą pięknie jest, i tak kazał ociec.
Trzeba wyznać, jak było, że mi coś dawano,
Ale wszystkie godziny życia kupić chciano,
Żebym, wieczny niewolnik, nosił jarzmo czyje,
Żył cały komuś, a sam zapomniał, że żyję;
A wreszcie mi nadzieją szafowano szczodrze.
Nikomum źle nie zrobił, ani mnie nikt dobrze!

Nadziejo! czyż ja ciebie w złotej chciał mieć szacie,
Żeby oczy pospólstwo obracało na cię?
Żebym słynął majątkiem? drugimi pomiatał?
Nie o tom ja pod drzwiami Fortuny kołatał.
Jedna wioska do śmierci, jeden dóm wygodny,
Gdziebym jadł nie z wymysłem, ale wstał niegłodny,
Gdziebym się nie usuwał nikomu do zgonu,
Swym pługiem zoranego pilnował zagonu!
Spokojny będąc na tem, co stan mierny niesie,
Siałbym sobie na dole,—niech kto inny pnie się!
W tym zamiarze praca mię całe życie tłoczy,
Nad książkami straciłem i zdrowie i oczy,
Nad książkami, które ja, co gębie odjąłem,
Może zbytecznym na mnie nakładem ściągnąłem.
Cóż mi książki oddały? Jak niewierna niwa,
Co zgubiła nadzieję rolnikowi żniwa,
Po wieku mego wiosny niewróconej szkodzie,
Nachylony ku zimie, zostałem o głodzie.
Za lat Symonidesów [1] albo Kochanowskich
Może znalazłbym sobie Zamojskich, Myszkowskich [2],
Przy którychbym wygodnie wieku mego użył
I pismem pożytecznem narodowi służył.
Dziś zabierz mi kto księgi, ten sprzęt nieszczęśliwy,
Do których mię przywiązał nałóg uporczywy,
I, co mi będzie lepiej w ubóstwie usłużne,
Zamieniaj na motyki i żelaza płużne!
Porzucę nad pismami myśli kłopotliwe,
A serce niech mi tylko zostanie dotkliwe,
Żebym się mógł nad losem biedniejszych litować
I przy pracy miał sposób bliźniego ratować!
Maryjo, siostro moja! jakżeś się kwapiła!
Prawieś wraz z mym powrotem i ty tu przybyła!
Czego, stojąc w tym kącie z twarzą wyniszczoną,
Otoczona dziatkami, nieszczęśliwa żono,
Poglądasz mi na ręce, rychło jakim datkiem,
Wesprę cię już goniącą majątku ostatkiem?
Nędza was, jak popadła, tak statecznie gniecie:
I tyś także, jak widzę, prawdą szła na świecie!
Opłakana rodzino! Wy myślicie, ślepi:
„On był między panami, i nam będzie lepiej"?
Byłem—i byłbym pewnie panom na coś zdatny:
To wiem; a tego nie wiem, za com niepopłatny!
Stało się! Nie mam swojej, kopmy cudzą grzędę!
Podeprzeć tę lepiankę, jeszcze w niej przebędę!

---

[1] Symonides = Szymonowicz (§ 52). [2] Myszkowski — biskup i podkanclerzy w XVI w., mecenas, przyjaciel Jana Kochanowskiego.

Z pieśni religijnych Karpińskiego trzy do dziś dnia przetrwały (i zapewne całe wieki jeszcze przetrwają) w ustach i sercach polskich. — pieśń poranna: *Kiedy ranne wstają zorze*, wieczorna: *Wszystkie nasze dzienne sprawy*, i kolęda: *Bóg się rodzi, moc truchleje.* Wszystkie są wyrazem żywej wiary poety w Boga i w Jego opatrzne rządy nad światem. Ta sama wiara dźwięczy i w niektórych *pieśniach patryotycznych.* Są one jednym z objawów wzrastającej w literaturze stanisławowskiej uczuciowości, już prawdziwej, nie fałszywej (§ 77), mianowicie tego bólu patryotycznego, który wzbierał w sercach polskich pod wpływem nieszczęść, bijących w ojczyznę. Tu należy np. pieśń *O nieszczęściach ojczyzny i rzezi humańskiej*, pełna wiary, że się Bóg nad Polską zmiłuje.

Pieszczone dzieci gdy rozgniewały Ojca, i gdzież się spodzieją?
Stojąc pod drzwiami, płaczą dzień cały: Kołatać we drzwi nie śmieją!
A lud zuchwały, przechodząc blizko, Słowem zelżywem je szpeci,
Czyniąc z nich sobie urągowisko, Że Ojciec wygnał swe dzieci.
Ale Ty, Boże, który zdaleka Patrzysz na serce wygnanych,
Ulitowany nędzą człowieka, Pocieszysz znowu stroskanych!
Już do Twych uszu przyjść miały głosy Krwie, co lud przelał zażarty,
I wiara Twoja poniosła ciosy I Kościół z ozdób odarty.
Wspomnij przynajmniej na Twe Ołtarze, Przy których my stać przyrzekli!
Nie karz! Wszak zdawna nikt tych nie karze, Co do Ołtarza uciekli.
Złóż nas Twą bronią, której zamachem Rozsądzasz między wojskami,
A nieprzyjaciel pierzchnie ze strachem, Widząc, żeś jeszcze Ty z nami.

Po pierwszym rozbiorze napisał Karpiński *Pieśń dziada sokalskiego w kordonie cesarskim*, „którą to pieśń — jak pisze w *Pamiętnikach* — w samej rzeczy dziadowi sokalskiemu, chodzącemu z lirą, przy której śpiewywał, na jednę nutę z jego żałosnych pieśni skomponowaną, do śpiewania oddałem, zaco on biedny potem od Niemców ucierpiał“.

Śladem bieda przyszła, śladem
Za zbytkami, za nieładem!
Długo nad granicą stała,
Wolności się dotknąć bała.
Wolności się dotknąć bała,
Bo ją dawno szanowała.
Wolności niebieckie dziecko!
Ułowiono cię zdradziecko;
W klatkę cię mocno zatknięto,
Bujnych skrzydełek przycięto.

Przedtem u jednego stołu
Król z poddanym jadł pospołu,
Jak ojciec dzieci, przyjmował,
Jak swych przyjaciół, częstował.
Dziś mu u stołu klękają,
Kości z psiętami zbierają.
Głowę, kiedyś w kraju drogą,
Służka pański trąca nogą!...
Pochlebcy go otaczają,
Palcem biednego stykają,
„Ot—mówią—kość polizuje,
„Dawnej wolności żałuje“.

Pieśń ta, będąca wyrazem nie tyle bólu patryotycznego, ile goryczy, i z tego jeszcze względu zasługuje na uwagę, że jest napisana *na nutę ludową*. (Dwie inne jeszcze pieśni ludowe utworzył Karpiński: *Mazurek* i *Pieśń mazurska*, obydwie bardzo udatne).

Widok smutnej teraźniejszości, z natury rzeczy, rodził w sercach polskich bolesną tęsknotę do czasów dawnych, kiedy to Polska należała do najpotężniejszych państw na świecie. Otóż i to uczucie odzywa się w pieśniach Karpińskiego, np. w *Dumie*: „Gdzie się podziały szczęśliwe lata naszej chwały, kiedy się do nas korony świata ubijały, kiedy Czech, Węgrzyn, Wołoch, Prus hardy poddaje się, i od północy Moskwicin twardy berło niesie?“ Z tego to *zwrotu do przeszłości* (który się z czasem, w wieku XIX, stanie bardzo znamienną cechą naszej poezyi) wypłynęła pieśń, nazwana przez Mickiewicza „jedną z najpiękniejszych ballad polskich, najprostszą, najnaturalniejszą“: *Duma Lukierdy*. Nie jestto jednak ballada, tylko rzewna i smętna *dumka*, włożona w usta nieszczęsnej Lukierdy, córki jednego z książąt „syrbskich“ (słowiańskich), a żony księcia wielkopolskiego, Przemysława Pogrobowca. Jak opowiada Długosz, Przemysław dręczył swą żonę i męczył, póki wreszcie jego słudzy, chcąc mu się przypodobać, nie zamordowali księżny i dodaje Długosz, że jeszcze za jego czasów lud śpiewał pieśń o tem, jak Lukierda, „przeczuwając, że ją mąż zgładzić myśli ze świata, błagała go ze łzami i zaklinała, żeby niewieście i małżonce swojej nie odbierał życia, ale, pomny na Boga i na uczciwość tak książęcą, jako i małżeńską, pozwolił jej wrócić do ojczystego domu choć w jednej koszuli“. Otóż Karpiński, uderzony tem podaniem i obdarzony żywą wyobraźnią, która mu pozwalała patrzeć nietylko we własne, ale i w cudze serca, wyśpiewał *Dumę Lukierdy*.

Powiejcie, wiatry, od wschodu!
Z wami do mojego rodu
Poślę skargę, obciążoną
Miłością moją skrzywdzoną.
Smutna matka w dłoń uderzy,
Nieszczęściu zaraz uwierzy,
Przyśle mi braty-obrońce
I łuków syrbskich tysiące.
Powiejcie, wiatry, od wschodu!
Z wami do mojego rodu
Poślę skargę, obciążoną
Miłością moją skrwawioną.
Ale stójcie, Syrby mężne!
Hamujcie razy potężne!
Choć mię Przemysław chce zgubić,
Ja go jeszcze wolę lubić;
Ja się tylko żalę na to,
Że moje upływa lato,
Że mię mej młodości zbawił;
Onby się może poprawił!
Powiejcie, wiatry, od wschodu!
Z wami do mojego rodu
Poślę skargę, obciążoną
Miłością moją skrwawioną.
Szczęśliwsza wiejska dziewico,
Której miłość tajemnicą,
Nie zna jeszcze serca pana,
I ty, co kochasz, kochana!
Ja, króla możnego żona,
Kochając go, pogardzona, —
Gdy mi dojmie rozpacz sroga,
Bluźniąc, klnę siebie i Boga.

Powiejcie, wiatry, od wschodu!
Z wami do mojego rodu
Poślę skargę, obciążoną
Miłością moją skrzywdzoną.
Czego błyszczysz, złoto marne?
Wszystko w oczach moich czarne:
Ten lud, przede mną schylony,
I te Przemysława trony.
Obejrzyj się, mężu twardy!
Jeden uśmiech, a mniej wzgardy,
Wróci szczęściu postać własną,
Da wszystkiemu barwę jasną!
Powiejcie, wiatry, od wschodu!
Z wami do mojego rodu
Poślę skargę, obciążoną
Miłością moją skrzywdzoną.
Ale on nieubłagany!...
Pójdę do matki kochanéj,
Pójdę choć w jednej koszuli:
Ona mię w smutku utuli.
Przechodząc lasów tajniki,
Może litościwszy, dziki
Zwierz mi życia nie uszkodzi,
Na które srogi mąż godzi.
Powiejcie, wiatry, od wschodu!
Z wami do mojego rodu
Poślę skargę, obciążoną
Miłością moją skrzywdzoną.
Gdzież mię ślepa miłość niesie?
Ona mię zbłąka po lesie,
Fałszywe ścieżki poradzi
I tu mię nazad sprowadzi,
Żebym zgon mój nieszczęśliwy
Widziała, jak popędliwy
Uderzy hartowną strzałą,
W serce, które go kochało!
Powiejcie, wiatry, od wschodu!
Z wami do mojego rodu
Poślę skargę, obciążoną
Miłością moją skrzywdzoną.

Konstytucyę 3 Maja uczcił Karpiński w dwuch pieśniach (*Rzucajmy kwiat po drodze!* i *Boże! Twoi ludzie przyszli)*, pełnych wesela i radości, nadziei i dumy patryotycznej oraz wdzięczności ku Bogu. Ale nadzieja zawiodła: przyszła konfederacya targowicka, za nią drugi, a niebawem trzeci rozbiór Polski. Wówczas to, po trzecim rozbiorze, napisał Karpiński elegię p. t. *Żale Sarmaty nad grobem Zygmunta Augusta* (1796); utwór to najpiękniejszy ze wszystkich jego utworów patryotycznych, chwytający za serce szczerością i rzewnością uczucia, ale wręcz przygnębiający swoją beznadziejnością i rozpaczliwą rezygnacyą, aż nadto wyraźnie świadczący, że hartu duszy nie było w tym człowieku ani źdźbła. A dotego brzmi w tej elegii jeden fałszywy ton: wolno było Karpińskiemu składać na grobie ojczyzny „wesołość, nadzieję i tę lutnią biednę“, ale nie miał prawa składać na nim szabli — dlatego poprostu, że jej nigdy w swem życiu nie nosił!

Żale Sarmaty.

Ty śpisz, Zygmuncie, a twoi sąsiedzi
Do twego domu goście przyjechali!...
Ty śpisz, a czeladź przyjęciem się biedzi
Tych, co cię czcili, co ci hołdowali!...
Gorzkie wspomnienia, gdy szczęście przeminie!
Czemuż i pamięć o nich nie zaginie?
Nie zostawiłeś syna na stolicy
Przez jakieś na nas Boga rozgniewanie,

Któregoby wnuk dziś po swej granicy
Rozrzucał postrach i uszanowanie!
Po tobie poszła na handel korona,
Tron poniżony, i rada stępiona!
Ojczyzno moja, nakońcuś upadła,
Zamożna kiedyś i w sławę i w siłę!...
Ta, co od morza aż do morza władła,
Kawałka ziemi nie ma na mogiłę...
Jakże ten wielki trup do żalu wzrusza!
W tem ciele była milijonów dusza...
Patrzcie! Matczyne jakieś leży dziécię,
W wyniosłych piersiach głęboka mu rana,
Którą ślachetne wychodziło życie;
On nie uciekał, bo zprzodu zadana!
Jeszcze znać w twarzy, jak jest zemsty chciwy,
Zdaje się gniewać: za co, nieszczęśliwy?
A tam poczciwość, Kościół, wstyd zgwałcony,
Pożarem całe spłonęły osady,
W dom gorejący właściciel wrzucony,
Pierwej mu wszystkie zrabowawszy składy.
Wszędzie zajadłość ogniem, śmiercią ciska,
Gdzie pojźrzysz, — rozpacz, trupy, zgorzeliska!...
Po tych rozbojach jedni, zniechęceni,
Pod nieznajome rozbiegli się nieba;
Drudzy, ostatnią nędzą przyciśnieni,
W swych kiedyś domach dzisiaj żebrzą chleba;
Insi, rozdani na Moskwę i Niemce,
Na roli ojców płaczą, cudzoziemce!...
Wy, co, domowe opłakawszy klęski,
Poszliście naród ratować niewdzięczny!
W tylu przygodach wasz oręż zwycięski
Pokazał światu, że i Polak zręczny!
Cóż przynieśliście z powrotem w swą stronę?
Ubóstwo, blizny, nadzieje zwiedzione!...
Oto krwią piękna ziemia utłuszczona
Konia i jeźdzca dzikiego wytucza,
A głodne dzieci matka przymuszona
Panującego języka naucza...
Tak jest, jak twardy wyrok jakiś kazał:
Inszych popisał, a Polskę wymazał!...
Wisło! Nie Polak z ciebie wodę pije!
Jego się nawet zacierają ślady,
On dziś przed swojem imieniem się kryje,
Które tak możne wsławiły pradziady...
Już białym Orłom i bratniej Pogoni
Świat się, przed laty nawykły, nie skłoni!...

Zygmuncie! Przy twoim grobie,
Gdy nam już wiatr nie powieje,
Składam niezdatną w tej dobie
Szablę, wesołość, nadzieję
I tę lutnią biednę...
Oto mój sprzęt cały!
Łzy mi tylko jedne
Zostały...

Z pism prozaicznych Karpińskiego największą wartość posiadają *Pamiętniki*, pisane już pod koniec życia (wydane dopiero w r. 1844). Znaczenie ich w historyi literatury polskiej polega na tem, że są nietylko opowieścią o życiu autora, ale i *obrazem jego duszy*: autor opowiada nietylko o tem, co się za jego czasów w Polsce działo i co sam robił, ale i o tem, co czuł i co myślał. Otóż, jeśli Mickiewicz słusznie nazwał pamiętniki Paska romansem historycznym (§ 70), to *Pamiętniki* Karpińskiego możnaby od biedy nazwać *romansem psychologicznym*, pierwszym w Polsce. Oto np. ustęp, w którym autor opisuje walkę, jaka się raz w jego duszy toczyła: „Będąc ubogim, a widząc zyskowny stan jurystów (prawników), wkrótce po skończeniu teologii do palestry udałem się. Umiejąc nieźle język łaciński, w którym expedycye (akta) sądowe wychodziły, jeszczem roku na tej drodze nie doszedł, już znany byłem ze zręczności i dokładności pisywania pozwów albo manifestów, co mi zazdrości w innych młodych kolegach moich narobiło. Jam nie dbał o zazdrość, kiedy mimo niej gęste mi złotówki przychodziły. Raz szlachcic, potrzebny pozwu, kiedy mi krótko sprawę swoją opowiedział i papiery, do niej potrzebne, pokazał, postrzegłem, że sprawę miał najgorszą i chyba tylko wykrętami mógłby ją wygrać. Kiedym mu to przekładał, a on mi kilkanaście czerwonych złotych na pozew tylko oddaje, byleby podstępnym i mogącym sąd ułudzić sposobem był napisany, uwiedziony zyskiem, wziąłem pieniądze i zrobiłem, jak szlachcic żądał. Po krótkiej złota pociesze przyszła zgryzota. Ojcze mój! jakże to wiele razy w życiu mojem, chociaż już cię nie miałem, ty mnie jeszcze prowadziłeś! Gorzko wspomniałem ostatnie przed zgonem słowa jego: «Franciszek niech idzie prawdą na świecie!» Takaż to prawda, pomyślałem sobie, zgubić podstępem niewinnego przeciwnika, któremu pozew napisałem? Cóż mi on będzie winien, że nietylko jego, ale i dzieci jego w ubóstwie zostawię? Albo, jeżeli jeszcze podstępne pisanie moje odkryje się, jakże ja iść zacząłem przy pierwszym moim wstępie na świat? Takie myśli codziennie mnie trapiły aż do przyjścia kadencyi sądowej, na który czas i szlachcic, któremu pozew pisałem, i pozwany stawili się. Wtenczas mojemu zwodzicielowi pieniądze powróciłem, upominając, ażeby się z przeciwnikiem swoim bez prawowania zgodził: inaczej sam mu szkodzić mogę, choćbym i sobie razem zaszkodził; szlachta się, jakem żądał, pogodzili, a ja, bojąc się tej ślizgiej drogi, zwłaszcza kiedy i inszymi sposobami na chleb zarobić można, po roku porzuciłem palestrę."

§ **93.** Drugim utalentowanym lirykiem XVIII w. jest **Franciszek Kniaźnin** z Białej Rusi (1750—1807), wychowaniec jezuitów, dworzanin i sekretarz księcia generała ziem podolskich, nauczyciel jego dzieci i poeta nadworny, wierny sługa i przyjaciel całego domu Czartoryskich. Poglądami na poezyę i rodzajem twórczości podobny jest do Karpińskiego: i on za najistotniejszy warunek poezyi kładł „czułość", którą nazywał to „darem niebios", to „sprężyną serca i ducha"; i jemu już ciążyły krępujące twórczość prawidła poetyki francuskiej: „nie wiem, jeśli geniusz poety potrzebuje prawideł jakich nad jedno żywe uczucie wzbogaconej imaginacyi, którą *smak i natura kieruje*" (chociaż, będąc mniej od Karpińskiego śmiałym, często się jeszcze posługiwał mitologią); i on wreszcie, jak Karpiński, chętnie pisywał sentymentalne sielanki pasterskie i śpiewał pieśni miłosne, patryotyczne i religijne.

Miał Kniaźnin poczucie piękna, wykształcone na poezyi francuskiej i włoskiej, ale głównie na starożytnej (jeden to już z ostatnich poetów naszych, uprawiających, oprócz poezyi polskiej, łacińską); o piękność formy, zwłaszcza o muzykalność wiersza, był wielce dbały (dbalszy od Karpińskiego) i cierpliwie przysiadywał fałdów nad wygładzaniem i poprawianiem swoich utworów; posiadał niewątpliwie i talent poetycki, ale mniejszy od Karpińskiego: jego poezye są gładkie i bardzo miłe, ale pozbawione już nietylko siły (której nie posiadał i Karpiński), ale zwykle nawet żywości uczucia, często mdłe, a dotego nużące swoją jednostajnością; a stąd wystarcza poznać kilka utworów Kniaźnina, aby wyrobić sobie pojęcie o wszystkich. Ale zato *jest poezya Kniaźnina* (inaczej, jak Karpińskiego) *zwierciadłem czystej i jasnej, pięknej i szlachetnej duszy*, i to właśnie stanowi jej największy wdzięk. Bo też, jako człowiek, przerasta on o całe niebo „śpiewaka Justyny": i on wprawdzie nie odznaczał się ani umysłem bystrym, ani rozumem głębokim, ale też nie miał o sobie wysokiego wyobrażenia, nie przechwalał się i nie chełpił, przeciwnie: był skromny i cichy, nieśmiały i potulny, jak dziecko; hartu duszy nie miał, ale serce miał złote, naprawdę bardzo tkliwe i czułe, miękkie, jak wosk; o sobie nie myślał, chciwości grosza ani wygórowanej miłości własnej nie znał, kochał gorąco Boga, kochał ojczyznę, i, kiedy upadło powstanie Kościuszki, chwycił go taki ból, że dostał — pomieszania zmysłów...

Poezya Kniaźnina jest ściśle związana z jego pobytem na dworze Czartoryskich, zwłaszcza z pobytem w Puławach, które, obok dworu królewskiego w Warszawie, były, w ostatniej ćwierci XVIII w., drugiem ogniskiem polskiego życia literackiego; bawil tutaj i Zabłocki i Karpiński i Niemcewicz i niejeden uczon a wszyscy znajdowali nietylko gościnność, ale i podnietę oraz p moc do pracy. Otóż twórczość Kniaźnina jest jakby odbicie życia w Puławach.

Znaczna część jego *Poezyi* (1787—8) ma charakter *okolicznościowy*: każdy wypadek w Puławach, np. puszczenie w powietrze balonu z biednym kotem w łódce (który spadł i skonał); każda uroczystość familijna: imieniny, urodziny, wesele, — wszystko to dostarczało mu pomysłu i treści czy to do pieśni i ód, czy nawet do większych utworów. Jest więc Kniaźnin poetą dworskim; ale nie jest poetą-dworakiem (jak Trembecki, § 88): on nie pochlebiał, nie kadził, o nic dla siebie nie prosił, a jeżeli chwalił, to szczerze, bo do księcia generała i całej jego rodziny był serdecznie przywiązany. A do księżniczki Maryi Czartoryskiej (przyszłej księżny Wirtemberskiej) żywił nawet coś więcej, niż przywiązanie: pokochał ją, jak wieść niesie, głęboko, a że o małżeństwie z nią z pewnością ani nawet pomyślał, stąd cichy smutek znamionuje jego *pieśni miłosne*, np. pieśń *Dwie lipy*, w której miał może na myśli siebie i swoją ukochaną:

Oto dwie lipy zielone
Ze dwuch się brzegów witają,
Jedna ku drugiej skłonione,
Gałęźmi siebie tykają.

Doczegóż rozdział im sprawił
Okrutny odmęt tej rzeki?
Skłonność im tylko zostawił,
Lecz się nie złączą na wieki!

Tak mówił Koryl zbłąkany,
O wiernej myśląc Izmenie,
I z najskrytszej w sercu rany
Głębokie wydał westchnienie.

Ale nie w pieśniach miłosnych najpiękniej przemówiła dusza Kniaźnina, tylko w *utworach patryotycznych*. A źródłem ich natchnienia, obok jego własnego serca, jest poczęści znowu dom Czartoryskich, — patryotyzm księcia generała i księżny Izabelli (z Flemingów) i wogóle ten duch obywatelski, który ożywiał całe Puławy i, w miarę nowych nieszczęść ojczyzny, potęgował się i szlachetniał. Z polecenia księżny Izabelli pisywał Kniaźnin dla teatru dworskiego w Puławach obrazki dramatyczne; otóż jeden z nich, *Matka Spartanka*, po kilkakroć grany w teatrze puławskim przez samą księżnę i jej rodzinę, jest, ze względu na dążność swoją, pobudką patryotyczną: Kniaźnin chciał pokazać, jak w Sparcie „oboja płeć tchnęła szlachetnej duchem wolności i jak każdy wiek dążył do męstwa i chwały swego narodu“, aby i serca polskie tym samym duchem natchnąć i zagrzać do czynu.

Spartanka Teona wyprawia syna na bój z Tebanami i sama zbroi go w szyszak, miecz i tarczę, mówiąc: „Otóż i tarcza: z tą powróć lub na tej! Staw się, jak ten lew, jak się ociec stawił, tobie ją w świętem dziedzictwie zostawił! Jużeś uzbrojon: idź teraz z honorem, gdzie bóg odwagi powiedzie swym torem! Idź i to pokaż, czego twa krew warta, czego ja pragnę i co każe Sparta
Pędzi Likanor na bój, a niebawem przybiega z pola bitwy helota

i zwiastuje Teonie wieść radosną, że zwycięstwo przechyla się już na stronę Sparty i że Likanor uwija się w boju, „jako błyskawica; gdzie zręczna jego zamachnie prawica, pękają tarcze i włócznie i miecze, temu kark utnie, tego pchnie, tam siecze, śmierć rozrzucając pomiędzy Tebany“. Teona nie posiada się z radości i dumy, kiedy nagle wbiega Likanor, pomieszany i smutny: oto Tebańczycy biorą górę, jego zaś wysłano, by posiłki sprowadził. A na to Teona: „Ciebie wysłali? toś jeno wart tego, żebyś był wieścią nieszczęścia naszego? Nogi masz tylko, nie serce? O wstydzie! Sparto! ku tejże ty przyszłaś ohydzie, że się na synach ojcowie zdradzili?... Jakto! wy chcecie, by się za was bili?“ Dotknięty boleśnie wyrzutami matki, wybiega Likanor, powraca na pole bitwy i, „jak siły natężył, moc nieprzyjaciół stłumił i zwyciężył“. I teraz dopiero Teona uznaje go za syna, siostra—za brata, a narzeczona—za narzeczonego. Po mieście rozlegają się pieśni radosne i modlitwy dziękczynne.

Jako utwór dramatyczny, niewielką posiada wartość *Matka Spartanka*, ale piękna jest swoim duchem rycerskim i patryotycznym, bijącym z każdego niemal wiersza; wszyscy tam myślą o ratowaniu zagrożonej ojczyzny, do boju rwą się nawet dzieci z bratem Likanora, Klitonem, na czele, który woła: „Czemużem ja to później się urodził? Czemuż to lata moje sił do serca nie dały? Niech mi podadzą zbroję, i ja chcę szukać chwały!“; a jedna z matek na wieść, że jej syn poległ, nie z rozpaczą, ale z dumą i radością woła: „Moim on był synem!“ Budziła więc sztuka Kniaźnina miłość ojczyzny i ducha rycerskiego, to też słusznie cieszyła się rozgłosem.

Lecz opiewał Kniaźnin uczucia nietylko Matki-Spartanki, ale i Matki-Polki: jak Teoną, kiedy wyprawia syna na bój, dwa sprzeczne miotają uczucia, „rozkosz i trwoga“, — rozkosz na myśl, że się syn nieśmiertelną chwałą okryje, a trwoga, że go może hańba czeka, — tak i *Matka Obywatelka*, siedząc nad kołyską ukochanego dziecka, pieści się nadzieją, że cały kraj będzie podziwiał czyny bohaterskie jej syna, ale tuż potem drży na myśl, że syn wyrośnie może na zdrajcę ojczyzny. Jedna to z najwdzięczniejszych pieśni Kniaźnina. A i swoje własne uczucia patryotyczne śpiewał poeta czy to w poważnej, najpiękniejszej ze wszystkich, odzie *Do Ojczyzny*, w której, jak w pieśniach Karpińskiego, dźwięczy tęskny żal za świetną przeszłością Polski i bolesny niepokój o jej przyszłość; czy w udatnej odzie *Do wąsów*, nibyto żartobliwej, a w istocie poważnej, bo odzwierciedlającej smutek poety na widok zarzucania obyczaju staropolskiego; czy też w *pieśniach liryczno-opisowych*, np. w pieśni *Poranek*, gdzie widok pięknego poranku, świtającego „po srogiej burzy“, rodzi w sercu poety nieśmiałą nadzieję, że i dla udręczonej Polski poranek zaświta: „Obyś tak mojej błysnął ojczyźnie!... Ty, co po zimie prowadzisz wiosnę, którego ranek ten świe-

ci, rozkwieć nam znowu myśli radosne, natchnij nadzieją Twe dzieci!“ O wiele głośniej słychać nadzieję w pieśni, napisanej z powodu otwarcia sejmu czteroletniego, a będącej pobudką patryotyczną *Do Zgody*: „Błyśnij, o zgodo żądana, i okaż chlubę twej sprawy, unoś się, sławą trzymana, ponad murami Warszawy! Całości wspólnej i szczęścia powodem Złącz naród z królem i króla z narodem! Sercami władaj i głosy wśród wybranego tych koła, którym zleciwszy swe losy, Ojczyzna dzisiaj tak woła: «Synowie! Odtąd z wdzięcznością wspominać albo was będę na wieki przeklinać!»“. I później jeszcze, nawet po drugim rozbiorze, nadzieja nie opuszczała serca Kniaźnina: kiedy wybuchło powstanie Kościuszki, wierzył jeszcze, że „ziemia znów będzie zielona, po klęskach i srogim trudzie odżyją ludzie!... Bóg szalę trzyma, Bóg żywy, Bóg sprawiedliwy!“

Matka obywatelka.

Śpij, moje złoto! — śpiewała,
Kołysząc matka swe dziecię —
Śpij, moja nadziejo cała!
Moje ty życie!
Usnęło: słabe niebożę
Dosyć się, dosyć spłakało;
Po płaczu lepiej też może
Będzie mi spało!
Dziecię! O, wieleż to biedy
Matczyna znieść musi głowa,
Nim się pociecha jej kiedy
Z ciebie wychowa!
Wieleż ja z czasem odbiorę
Miłej mi za to wdzięczności,
Gdy z ciebie uznam podporę
Mojej starości;
Gdy więc i sercem i głową
Nie dasz przodkować nikomu,
Przydając coraz cześć nową
Dla twego domu;
Gdy się kraj cały zdumiewać
Nad każdym twej cnoty czynem,
A sława będzie mi śpiewać,
Żeś moim synem!
Któż wie, co jeszcze być może?
Ach! sztylet serce przenika. .
Poczwara jakaś (o Boże!)
Staje mi dzika:
Może to nikczemnik jaki,
Co ma swe imię znieważyć
Lub na postępek wszelaki
Niecnoty zażyć?
Wstydu on mego przyczyna
A może i śmierci jeszcze,
Gdy ujrzę niewdzięcznym syna,
Którego pieszczę?
Ojczyzny zdrajca i zbrodzień,
Może krew braci rozleje?...
Ach! serca mego niegodzien!
Cała truchleję!...
Tażby nadgroda i ta mi
Pociecha z ciebie być miała?...
— Rzekła i oczy swe łzami
Gorzko zalała. —

Do ojczyzny.

Kędyż te słupy, te granice twarde,
Które nasz Chrobry oznaczał żelazem?
Tenże to naród cary wiązał harde,
Gromiąc i orły i księżyce razem?

Myż to, Polacy, owych mężów plemię,
Co nam krwią swoją kupili tę ziemię?
O wielkie dusze, których tu nie zliczę!
Jeśli z swej na nas poglądacie chwały,
Zacni Tarnowscy, mężni Chodkiewicze!
Nacóż przykłady nam wasze zostały?
Takeśmy podli, że was bierze trwoga
Błagać za nami zwróconego BOGA!
Cokolwiek świętej po was jeszcze sławy
Nam się zostało (o bezczelna zbrodni!),
Gładzim do szczętu sromotnemi sprawy,
Wspomnienia nawet waszego niegodni.
Zdradzając braci i wolność i chwałę,
Cóż poczną serca, hańbą odrętwiałe?
OJCZYZNO! Nacóż nam przeszyte mieczem
Piersi otwierasz? My nie twoje dzieci!
Straciwszy czułość, tam kajdany wleczem,
Gdzie pędzi przemoc lub mamona świeci:
Oto na sam brzęk i krótki blask złota
Troskliwym uchem czatuje niecnota.
Skądkolwiek chytra zabłyśnie intryga,
Leci tam nędza i co urwać pragnie;
Chełpi się zdrada, że ją gwałt podźwiga,
Klaszcze mu podłość i kark jarzmu nagnie.
Jakże się z twojej wydźwigniesz ruiny,
MATKO, takimi otoczona syny?

Do wąsów.

Ozdobo twarzy, wąsy pokrętne!
Powstaje na was ród zniewieściały,
Dworują sobie dziewczęta wstrętne,
Od dawnej Polek dalekie chwały.
Gdy pałasz cudze mierzył granice,
A wzrok marsowy sercami władał,
Ujmując wtenczas oczy kobiece,
Bożek miłości na wąsach siadał.
Gdy szli na popis rycerze nasi,
A męstwem tchnęła twarz okazała,
Maryna, patrząc, szepnęła Basi:
„Za ten wąs czarny życiebym dała!“
Gdy nasz Czarnecki słynął żelazem
I dla ojczyzny krew swą poświęcał,
Wszystkie go Polki wielbiły razem,
A on tymczasem wąsa pokręcał.
JANA trzeciego gdy Wiedeń sławił,
Głos był powszechny miedzy Niemkami:

„Oto król polski, co nas wybawił!
„Jakże mu pięknie z tymi wąsami!“
Smutne w narodzie dzisiaj odmiany:
Rycerską twarzą Nice się brzydzi,
A dla niej Dorant, wódkami zlany,
I z wąsa razem i z męstwa szydzi.
Kogo wstyd matki, ojców i braci,
Niech się z swojego kraju natrząsa:
Ja zaś, z ojczystej chlubny postaci,
Żem jeszcze Polak, pokręcę wąsa!

§ **94.** Jeden jeszcze pierwiastek natchnień poetyckich Kniaźnina pozostaje w ścisłym związku z jego długoletnim pobytem na dworze Czartoryskich, mianowicie *pierwiastek ludowy*. Począwszy od komedyi Bohomolca *Pan Dobry* (§ 78), ludowość ukazuje się raz po raz w naszej poezyi XVIII w., pod wpływem nietylko literackiej mody sielankowej, ale i wzrastającego wciąż zainteresowania się dolą ludu wiejskiego. Otóż Czartoryscy, zarówno August, wojewoda ruski, jak i syn jego, Adam Kazimierz, generał ziem podolskich, wyróżniali się swoją dbałością o dobrobyt włościan, a i księżna Izabella otaczała ich opieką, nietylko nawiedzając osobiście chaty wiejskie w Puławach i niosąc im pomoc materyalną, ale i każąc uczyć dzieci włościańskie. (Z czasem sama napisze, ona pierwsza, popularną historyę ojczystą dla ludu, p. t. *Pielgrzym w Dobromilu*, 1818). Nie dziw, że się i Kniaźnin zainteresował życiem ludu, które przemawiać musiało zarówno do jego dobrego, czułego serca, jak i do wyobraźni. Rozumie się, że i on uległ modzie sielankowej — tem więcej, że uległa jej księżna Izabella, która się lubiła bawić w marzenia o szczęściu ludzi prostych na łonie natury i urządzała maskarady sielankowe, polegające na przebieraniu się za pasterzy i pasterki, na budowaniu chatek w parkach i ogrodach i t. p. Nie brak więc wśród utworów Kniaźnina pieśni i sielanek sentymentalnych „w rodzaju pasterskim“, nie brak różnych Filonów i Elwir, czulących się i wzdychających, jak w sielankach Karpińskiego. Ale wśród tej fałszywej ludowości co raz, to trafi się jakiś szczegół, wzięty z rzeczywistego życia: to wyrażenie ludowe, to rys obyczajowy, to piosenka, przypominająca rytmem lub treścią piosenkę ludową, np. „Kukaweczka kuka nad zieloną gruszką, a moje serduszko tobie, Basiu, puka“; albo jeszcze: „Ot ja Kozak Zacharenko, z banduroju wesołenko, nihda w żytiu nie zapłaczu: huczu, kryczu, hram i skaczu“. Nie dosyć na tem. Jest jeden cały utwór, i to większy, który z fałszywą ludowością nie ma nic wspólnego: jest on naprawdę odzwierciedleniem życia ludu prostego, mianowicie Cyganów: utworem tym to udramatyzowana trzyaktowa sielanka p. t. *Cyganie* (1787), najlepsza ze wszystkiego, co kiedykolwiek Kniaźnin napisał; a jej pomysł zawdzięcza poeta,

jak sam świadczy, nie komu innemu, tylko księżnie Czartoryskiej: jej to „twórczy wynalazek pierwsze tu podał rysy i ukazał interes sztuki, szczęśliwemi zaś myślami czucia i tkliwości dodała rozprzestrzenić się mogącej imaginacyi.“

Rzecz dzieje się „w taborze cygańskim pod szatrami (namiotami), w lesie, niedaleko wsi pani Mieleszkowej“. A treść sztuki podał sam Kniaźnin w słowach następujących: „Jawnuta Cyganka, i wróżyć dobrze i leczyć umiejąca, w czasie zaboru“ (1772) „przeszedłszy z Pokucia wgłąb Polski, gdy we wsi jednej wstępuje do chaty, nikogo tam nie znajdując, tylko dwoje niemowląt opuszczonych, zabrała je z sobą i zaszła z niemi na Podole; powziąwszy do nich przywiązanie, za własne ich tam wychowuje dzieci; dziewczynie dała imię Chicha, a chłopcu Dżęga. Po rozmaitej tam i owdzie (jak to Cyganom nie nowina) wędrówce, trafiło się, że w kilkanaście potem lat z niemi do tejże samej wsi, skąd wzięte były, przy taborze cygańskim przeniosła się. W przeciągu niejakim pobycia tu swojego poznaje ich rodziców, Szymona i Jewę, w starości, biednych i bez żadnego wsparcia, tudzież postrzega i miłość Chichy ze Stachem, wójta synem; tknięta pobudką litości, odkrywa tajemnicę: wraca te dzieci rodzicom strapionym i własnemuż ich powołaniu; a tak całe razem uszczęśliwia rodzeństwo“.

Nie na tej treści jednak (przypominającej w jednym szczególe, w zniknięciu małych dzieci podczas zawieruchy politycznej, *Wiesława* Brodzińskiego), nie na bajce sielanki Kniaźnina polega jej niepospolita wartość i znaczenie w historyi poezyi polskiej, ale na wdzięcznej prostocie formy i na p r a w d z i e w odtworzeniu życia: bo zarówno ogólna charakterystyka Cyganów, ponad wszystko ceniących wolność, prowadzących żywot koczowniczy i żyjących z kradzieży, jak różne szczegóły z ich obyczajowości, są prawdziwe. Oto np. trzy pierwsze sceny pierwszego aktu.

Scena pierwsza. *Cyganie i cyganki (w taborze przy ognisku).*

Wszyscy. Ach! za nami zawsze nędza! Od wsi do wsi nas popędza!
Ej, chłodno i głodno! Choć i głodno i chłodno,
Ale żyjem swobodno!
Moryga. Czy wójt jaki, czy starosta, Drze nas jeden, drugi chłosta.
Ej, chłodno i głodno i t. d.
Dżęga. Ni ja Żydem, ni ja Lachem, Las mnie domem, niebo dachem.
Ej, chłodno i głodno i t. d.
Jawnuta. Drew przyrzućcie do ogniska: I mnie zimno boki ściska.
Ej, chłodno i głodno i t. d.
Chicha. Cóż my mamy? ot te szatry, Które grodzą cztery wiatry!
Ej, chłodno i głodno i t. d.
Wszyscy. Byle na dziś było chleba, Czegoż więcej nam potrzeba?
Ej, chłodno i głodno i t. d.

Dzęga. Swobodno żyjem i nie znamy pana:
To prawda; ale co za stan Cygana?
Żeby kradł tylko i zato batogiem
Macał go szlachcic, a baba ożogiem?
Matko! ty widzisz, co było i będzie:
Czy też był kiedy Cygan na urzędzie,
Sędzią, naprzykład, albo ekonomem,
Któryby sobie cudzym rządził domem?
Możebym i ja był do tego zdolny!
Jawnuta. Alboż nie dosyć, żeś wolny?
Jeszcze to na nas kara bardzo mała
Za pierwszych ojców. Co za myśl zuchwała!
Niechaj nas Pan Bóg od podobnej strzeże!
Oni-ć to mieli tę budować wieżę,
Wysoką wieżę, po której z tronu
Chciał iść do nieba król Babilonu.
Ale Bóg takiej nie przepuścił dumie:
(O płochy ludzki rozumie!)
Kiedy już gwiazdy zdziwione postrzegły,
Że, bliżąc ku nim kamienie i cegły,
Lud wyniesiony po gzymsach się wieszał,
Bóg na nich błysnął i języki zmieszał:
Rozsypało się w gruzy owe dzieło;
Cóż tam lecących na łeb poginęło!
Kto się naonczas z karkiem nie pożegnał,
Postrach tę resztę po świecie rozegnał.
Otóż stąd ród nasz, otóż to Cyganie!
Moryga. Jawnuto mądra! O, jakżeś wysoka
I w tem, co kędyś tam widzisz, głęboka!
Miej od nas uszanowanie!
Ty, jak orlica: my, jak nocne sowy...
Skąd ci nauka i moc tej wymowy?
Jawnuta. O dzieci moje! mało ja znam jeszcze;
Ta, co umiała grad ściągać i deszcze,
Swej mi światłości trochę użyczyła;
Nad nią nie było na całe Pokucie!
Dziś tylko grób jej nad skałą przy Prucie.
Hababo moja, staruszko miła!
O, gdybyś dłużej nam żyła,
Możebym wstrzymać i te mogła gońce,
Którymi jeżdżą i księżyc i słońce! (*tu słychać szelest*)
Chicha. Owoż i nasi. Dobry znak! coś niosą,
Trudno też głodnym żyć rosą.

Scena druga. *Ciż sami i gromada innych: Rudio, Rypało, Gnus etc.*

Rudio. Bywaj nam zdrowa, o szczęśliwa nocy!
Jam ukradł cielę przy twojej pomocy.

Wszyscy. A to jak?
Rudio. Ot, jak? Byłaby i krowa,
By trochę moja nie podrwiła głowa.
Już był ten powróz namówił jej rogi,
Już była ze mną gotowa do drogi, —
Czy mi czart nadał te wrota?
Skrzypnęły: nuż kundel szczekać!
Aż baba z kijem: „A tuś niecnota!“
Cóż czynić miałem? Uciekać!
Więc cielę na grzbiet i dalej w nogi!
Tymczasem krówka została,
Krówka dojna, krówka biała!
Żal mi jej było, niebogi,
Jak za cielęciem i za mną ryczała.
Ano zjeść dyabła sobace i babie!
Jeszcze ja ją tutaj zwabię.
Moryga. Nim krowa nasze powiększy wesele,
Tymczasem dobre i cielę.
A tobie, bracie Rypało,
Co się tej nocy dostało?
Rypało. Kopa tych guzów, panie miłościwy!
Dziś miesiąc dla mnie świecił nieszczęśliwy.
Ja-ć to się byłem do lamusa wdrapał:
I pies nie poczuł i stróż sobie chrapał.
Tam się przy krokwiach trzymając drabiny,
Jużem na plecach miał połeć słoniny.
Spojrzę, aż wiszą na żerdzi dwa kąpie [1];
Sięgając po nie, na kraj deski stąpię,
Ta się zważyła: buch razem z drabiny!
Z deską do licha i z połciem słoniny
Zleciałem na łeb; ażebym nie skłamał,
Podobnom tego coś karku nadłamał.
1 z Cyganek. Ach, prawda! trochę skręciło waszeci.
Dzęga. Odkręci mu się, jak drugi raz zleci.
Rypało. Gdy tak leżałem bez duszy,
Aż dyabeł kogoś tam wzruszy:
Nuż mię okładać, nuż cucić!
Wskrzesił. Nie wiedząc, gdzie się obrócić,
Ledwie do ciasnej trafiłem dziury,
Gdzie może tylko przebiegały szczury:
Batog mię wcisnął. Tym ja dalej gnany
I ze wsi całej psami oszczekany,
Anim co widział, ni słyszał,
Aż poza chróstem oddyszał,
Jak zając szczwany.

---

[1] kąp = szynka.

Dżęga. I tak Rypało wyszedł na hamana [1].
Ho, ho! brak tobie rąk i nóg Cygana.
2 Cyganka. Alboż to każdy tak dobrze, jak Dżęga,
Drapie nogami, a rękami sięga?
Jawnuta. Trafi się czasem, choć to dobrze łowi,
Upuścić wróbla samemu kotowi.
Moryga. By nie te guzy, coś kopę ich dostał,
Tenby cię zaraz basałyk [2] wychłostał.
A wy?
3 Cyganka. Ot rondel i dwie patelnie.
4 Cyganka. A u mnie młot i kowadło.
5 Cyganka. Jam jedną zrabował kielnię [3]:
Ot chleb i sery i sadło.
Dżęga. Toż my to dzisiaj użyjem!
6 Cygan. A ja Lejbinej szynkarce
Ukradłem miodu trzy garce.
Dżęga. To się i napijem!
Moryga. No, jakożkolwiek! Oddać to szafarce!
A ty, Gnus? cóż to? nie żyjesz?
Czego się za drugich kryjesz?
Ta łapa, co się po kudłach skrobie,
Źle, jako widzę, posłużyła tobie.
Gnus. Daruj! Zdeptałem całą noc marnie:
Wszystkie zamknięte były spiżarnie,
Wszystkie lamusy, wszystkie obory, —
Kłódki wszędzie i zapory.
Ot, jenom od psów uciekał
To sporym krokiem, to kłusem,
Ażem i świtu doczekał.
Panie! zmiłuj się nad Gnusem!
Moryga. Bracia, do pletni! a ty do tańca!...
Zagrać na drumli smagańca!
Ty zaś, Rypało z nahajem [4],
Weźno kij swoim zwyczajem!

(Gdy Gnus smagańca tańczy, tymczasem między Stachem zza kulisy a Chichą i Dżęgą intryga zachodzi; słowa ich wychodzą w przerwach muzyki przy lekkiem graniu na drumli.)

Scena trzecia (Ciż sami i Stach za kulisą) (*Muzyka*)

Rypało. Kij ten wodził już niedźwiedzie.
Moryga. Teraz ciebie, Gnusa, wiedzie.
Cyganie z pletniami. Niech ta prosta Uczy chłosta! (*dwa razy*)
Gnus. Och, daleko jeszcze do sta...
Stach (zza kulisy). Jak zorza, świeci moja piękna Chicha!

---

[1] haman = potwór. [2] bicz z kulą ołowianą na końcu. [3] kielnia = skrzynka na wozie. [4] nahaj = bizun.

Dzęga (*do Chichy*).	Siostro! Stach na cię i mruga i wzdycha.
(*Muzyka*) *Rypało.*	Nuże, tańcuj, nie ustawaj!
Moryga.	A drugiemu tył podawaj!
Cyganie z pletniami.	Niech ta prosta Uczy chłosta! (*dwa razy*)
Gnus.	Och! daleko jeszcze do sta...
Stach (*zza kulisy*).	Jakby ją tutaj na stronę sprowadzić?
Chicha (*do Dzęgi*).	Bracie mój miły! chciej temu zaradzić!
(*Muzyka*) *Rypało.*	Nuże! teraz na kij siadać!
Moryga.	A naucz się dobrze kradać!
Cyganie z pletniami.	Niech ta prosta Uczy chłosta! (*dwa razy*)
Gnus.	A dalekoż jeszcze do sta?
Dzęga (*do Chichy*).	Coby tu począć?... No, ja w to poradzę:
	Oto na jarmark wszystkich wyprowadzę.
(*Muzyka*) *Rypało.*	Nuże! teraz przez kij skakać!
Moryga.	Wara stękać! wara płakać!
Cyganie z pletniami.	Niech ta prosta Uczy chłosta! (*dwa razy*)
Gnus.	Wytańczyłem już i do sta!
Stach (*zza kulisy*).	Jawnuta, widzę, patrzy na nią z boku,
	Strzeże swej córki, jak źrenicy w oku...

Otóż cały ten opis „smagańca“ — kary za niezręczność w kradzieży — jest zgodny z rzeczywistością; tak np. śpiew Rypały: „Nuże tańcuj, nie ustawaj, a drugiemu tył podawaj!“ — jest przekładem piosnki cygańskiej, śpiewanej przy smagańcu przez starszego Cygana: „Ne kheł mangi mauszły wawreski, dujo me tut marawa bułeski“. A i w dalszych scenach są szczegóły, wzięte wprost z życia, np. w scenie, w której chłopi przychodzą do Jawnuty, by im wróżyła, i dziwią się jej mądrości: „Ach, jakże ona zgadła, ale jak, ale jak!“ Wszystko to Kniaźnin na własne oczy widział i, jak widział, tak opisał.

Lecz nie koniec na tem. Szukał Kniaźnin treści do poezyi nietylko w życiu ludu, ale i w *podaniach ludowych*, *on pierwszy wśród poetów XVIII wieku:* oto, gdy raz jego przyjaciel, uczony lekarz i botanik, Paweł Czempiński, wybierał się w góry karpackie, Kniaźnin napisał do niego żartobliwy list poetycki p. t. *Babia góra*, w którym go przestrzega, żeby się miał w górach na baczności, bo się tam przecie straszne rzeczy dzieją; i opisuje te straszne rzeczy według podań ludowych o czarownicach i o Twardowskim, innemi słowy opisuje *świat fantastyczny* — tak, jak go później, w wieku XIX, opisywać będą t. zw. romantycy w swoich balladach, np. Mickiewicz w balladzie *To lubię*.

Wogóle *jest Kniaźnin, obok Karpińskiego, poprzednikiem i zwiastunem nowych prądów poezyi, a to nietylko, jak Karpiński, przez uczuciowość swojej liryki (zwłaszcza patryotycznej), ale i przez pierwiastek ludowy, ukazujący się w jego poezyi bez porównania sil-*

niej i obficiej, niż u autora Pieśni dziada sokalskiego. I na tem właśnie polega stanowisko Kniaźnina w historyi poezyi naszej.

Babia góra. Do Pawła Czempińskiego, gdy objeżdżał góry krakowskie.

Trwoga warszawskie gubi dziewczęta! Ta pierś wzdychaniem obrywa,
Płacz tej nabrzmiałe skrwawił oczęta, Ta na twą pamięć omdlewa,
Ta już umarła!... Nie tak się bały, Gdyś w obce kraje wędrował,
Choć innym niosłeś krok twój niestały, Serceś im przecię zachował.
Lecz teraz grożą krępackie[1] kmochy[2]: niechże cię niebo uchowa!
Ach! nacóż tobie, zuchwalcze płochy, Podróż do tego Krakowa?
Kędyż tam jesteś? Na Babiej górze! Słońce zza chmury zapada,
Krwawią się nieba na nocną burzę, Wicher się z Tatrów zakrada.
Ale ty, widzę, drwisz z naszej wiary I gardzisz radą przyjaźni;
Nie wierząc w dyabły, upiory, czary, Śmiejesz się z ojców bojaźni.
Dokąd lat młodych niesiesz powaby? Nazbyt swej ufasz nauce:
Jeszcze ty nie znasz, co to te baby! Uległ niejeden ich sztuce!
Już dziesięć wieków, jak Polska stoi: Wiedmy dotychczas tam były;
Szczęśliwy, kto się bał ich i boi: Śmiałego zawsze zgubiły.
Niejeden pielgrzym czynił przysięgę, Jako ich straszne wyroki:
Widziano z ludzi, przez ich potęgę, Żmije, ropuchy i sroki;
Lub, jeśli który młodzik się ważył Krok tam posunąć zuchwały,
Przymus go dzikiej pastwie obnażył, A one kwiat krwi wyssały.
Przebóg! co słyszę? Powietrze świszczy, Wzjeżone włosy powstają,
Wrzawa straszydeł huczy i piszczy, Miotły, latarnie spadają.
Ucichło; ale nad ów zgiełk srogi Sroższe to jeszcze milczenie;
Księżyc zza dębów, pełniąc swe rogi, Blade przeciera promienie.
Nie tak kropidła pocisk mistyczny Złe duchy w ciele zatrudzi,
Ani tak szarpnie drut elektryczny Za jednem tknięciem sto ludzi,
Jak one razem, ujrzawszy ciebie, Mocą ciśnione nieznaną,
Sądziły swoję przepaść w Erebie, Że tam, skąd wyszły, zostaną[3].
Aż siadłszy jedna z nich na łopacie: „O głupie siostry! — zawoła —
„Szpiega wy swoich tu ofiar macie, Zrywa znajome nam zioła.
„Twardowski jeno mógł one zrywać Przeszłemi dawno czasami;
„Wolnoć mu było tu niegdyś bywać, Ale on sprawę miał z nami.
„Ano jak w nasze wszedł tajemnice Ten obcy śmiałek i młody?
„Doznasz, co możem, czarnoksiężnice, Doznasz twej na złe urody!"
Rzekła i zgrzytnie; tu zapał dziki Sprosne im twarze rozżega,
Chwytają smolnie[4], widła, motyki I już, już lecą na szpiega.
Strach owej wyspy przede mną staje, Gdzie był Ulisses zawinął,
Kwiczeć musiały tam ludzi zgraje; Roztropny, przecie nie zginął[5].

[1] Krępak = Karpaty. [2] kmocha = kuma (wiedźma). [3] t. j. zostaną same — myślały, że nikt nigdy nie ośmieli się zajrzeć do ich siedliska, skrytego, jak przepaść Erebu (piekła). [4] smolnia = smolna głownia. [5] czarownica Cyrce zamieniła towarzyszów Ulissesa (Odyseusza) w świnie; on, dzięki roztropności swej, ocalał.

Straszy mię bardziej Chirona[1] postać: Czary zapewne to były;
Że człeku przyszło półbykiem zostać, Tesalskie zioła sprawiły.
Umknij się żywo czarnej godzinie! Truchleją twe przyjaciółki:
Nie tak Centuary ni Cyrcy świnie, Jako im straszne wilkołki.
Wracając nam się tu, do stolicy, W nadgrodę mojej pamięci,
Urwij po drodze garść czemierzycy[2], Bo mi się we łbie coś kręci.

§ 95. Na ostatnie lata niepodległości Polski, zwłaszcza na epokę sejmu czteroletniego, przypada świetny rozkwit *literatury politycznej*, na którą się składają zarówno duże książki i traktaty, jak małe broszury i świstki ulotne, oraz mowy sejmowe. Przez mądrość swoją i miłość ojczyzny jest ta literatura wspaniałą ozdobą naszego piśmiennictwa wieku oświeconego, jest nadto niezbitym dowodem, a jednocześnie potężnym czynnikiem odrodzenia mądrości politycznej w społeczeństwie. Że *liberum veto* jest klęską dla Polski i zbrodnią wobec ojczyzny, —tę prawdę zrozumiano już dzięki Konarskiemu (§ 74): teraz chodziło o to, aby zrozumiano, że klęską jest i tron obieralny i skarb pusty i brak potężnej armii i upośledzenie mieszczan i chłopów: przekonać o tem społeczeństwo, zachęcić je do podjęcia reformy i wskazać mu do niej drogę,—oto jakie zadanie miała nasza literatura polityczna i publicystyka. I spełniła je uczciwie: dowodem tego—Konstytucya 3 maja, która jest owocem mądrości i patryotyzmu nietylko mężów stanu, ale—w znacznej części— i pisarzów, którzy pismami swemi rozbudzili w sercach miłość ojczyzny, a w umysły wpoili przekonanie o konieczności reformy. Na czele tych pisarzów stoją Staszyc i Kołłątaj.

Ksiądz **Stanisław Staszyc**, *mieszczanin* wielkopolski, urodzony w Pile (1755 — 1826) *to jedna z najpiękniejszych postaci, jakie wydała Polska przez wszystkie wieki swojego istnienia, jedno z najszlachetniejszych i najgorętszych serc, jakie kiedykolwiek na ziemi polskiej biły, jeden z najlepszych i najzasłużeńszych jej synów*, godny stanąć obok Modrzewskiego, Skargi i Konarskiego: Modrzewskiemu nie ustępował szlachetnem sercem, Skardze—płomiennym patryotyzmem, Konarskiemu — mądrością, a zwłaszcza siłą woli. Rozległością zaś i wszechstronnością wiedzy oraz jej namiętną, gorączkową żądzą nie dorównał Staszycowi nikt w dawnej i nikt we współczesnej mu Polsce, a w Polsce późniejszej—bardzo niewielu. W młodym wieku, za radą światłego ojca, wyjechał zagranicę, kształcił się w uniwersytetach niemieckich i francuskich, zwiedził Niemcy, Szwajcaryę, Francyę, Anglię, Hollandyę, później, już w wieku dojrzałym, — Włochy, a ziemię rodzinną poznał i zjeździł tak

---

[1] Chiron — jeden z Centaurów, sławny lekarz i mędrzec mityczny, wychowawca Achillesa. [2] czemierzyca = ciemierzyca — roślina z rodziny liliowatych (lekarstwo na szaleństwo).

dokładnie i z taką miłością, jak nikt za jego czasów. Ulubionym przedmiotem jego studyów były nauki przyrodnicze: fizyka, historya naturalna i umiłowana ponad wszystko geologia. Ale to mu nie wystarczało: z nie mniejszym zapałem oddawał się filozofii, naukom politycznym i społecznym, historyi rodzaju ludzkiego w najszerszem znaczeniu tego wyrazu, a więc historyi umysłowości i cywilizacyi, religii i obyczajów, państw i społeczeństw. Słowem, Staszyc to jeden z największych erudytów nietylko polskich, ale i europejskich; mało kto na świecie całym wziął tak gorąco do serca zasadę starożytną: „Jestem człowiekiem, i obchodzi mnie wszystko, co ludzkie". Posiadając tak rozległą, tak olbrzymią wiedzę, nie wszystko, oczywiście, czego się nauczył, mógł Staszyc gruntownie przemyśleć, tem więcej, że była to natura niesłychanie żywa i wrażliwa, gorączkowa i zapalna: kiedy go olśniła jakaś myśl własna czy obca (np. Russa, którego był gorącym wielbicielem), brał ją na wiarę, nie spostrzegając się często, że ona jest w niezgodzie z jego własną, dawniej nabytą, myślą: a stąd w pismach jego, obok myśli naprawdę głębokich (a zawsze szlachetnych), trafiają się rażące sprzeczności.

Jak ogół uczonych i myślicieli wieku oświeconego, tak i Staszyc wierzył, że nauka i oświata, rozwijając się i rozpowszechniając, dadzą wreszcie ludzkości zupełne szczęście na tej ziemi, bo za główne źródło nieszczęścia poczytywał ciemnotę; wogóle miał mocną, a nawet ślepą, niemal bałwochwalczą, wiarę w postęp, którego też był najgorliwszym, najgorętszym rzecznikiem, i odzywał się z pewnem politowaniem o tych ludziach, „którzy, jak bobry, śladem swoich ojców zawsze jedno budują i zawsze jedno myślą", albo też, „nie umiejąc myśleć, lękają się, gdy drudzy myślą". On tymczasem wolał rzeczy nowe od starych, a myśleć nie obawiał się nigdy: był to, co się nazywa, *człowiek wolnomyślny*. Lecz ta wolnomyślność była źródłem jednej z jego tragedyi duchowych.

Był dzieckiem, kiedy matka przeznaczyła go na księdza: „Matka — pisze w swej autobiografii — była pełna ludzkości, nadzwyczajnie do swych dzieci przywiązana, mająca wiele religii, ale z nią i przesądy; tej jej miłości, jako najmłodszemu z dzieci, i tych jej religijnych uprzedzeń stało się skutkiem od dzieciństwa przeznaczenie mnie do stanu duchownego: w dzieciństwie zdrowie moje było słabe, — miłość ku mnie matki i przesąd skłoniły ją, że uczyniła ślub Bogu, iż od dzieciństwa w poświęconej Mu sukience wychowany będę; dopełniła swe śluby: w takiej odzieży od dzieciństwa byłem wychowany, a przez wzajemną miłość ku tej najlepszej z matek, rosnąc, wchodziłem w jej czucia, w wszystkie nieustannie wskazywane mi życzenia, bym zachował stan duchowny, w którym mnie Bogu poświęciła". Otóż Staszyc obiecał matce, że spełni jej życzenie, że zostanie księdzem,—tem więcej, że w latach

młodości poczytywał religię katolicką za „jedyną prawdziwą“ (jak to sam wyraźnie zaświadcza w swoim dzienniku podróży zagranicznej); o Wolterze mówił z ironią i goryczą, że, „pełen chwały i hańby, jak żył, tak i umarł, wedle teraźniejszej i filozoficznej mody, bez pokuty i świętych Sakramentów“. Więc, po powrocie z zagranicy, przyjął święcenia kapłańskie: widocznie, że albo jeszcze wierzył, albo, choć się już chwiał w wierze, ale sądził, że z czasem dawną żywą wiarę odzyska. Tymczasem stało się inaczej: im dalej w czas, tem się bardziej od religii objawionej oddalał; szanował ją wprawdzie, rozumiał, że często człowiek, utraciwszy wiarę, traci i moralność, że „z wolnego myślenia pochodzi wolne czyli raczej rozwiozłe życie“; zalecał nawet praktyki religijne i radził wydać prawo, nakazujące lekarzom, „aby się żadnej choroby nie podejmowali, dopokąd chory spowiedzi nie odprawi“: ale sam już nie wierzył i coraz to się więcej umacniał w poglądzie, głoszonym przez pisarzów francuskich, że Kościół to krzewiciel ciemnoty, przesądów, zabobonów i fanatyzmu; teologii nie cierpiał, teologów nazywał ironicznie „bogomędrcami“, księży — „zabobondawcami“, a fanatyków—„wściekłobożcami“. I na tem właśnie polega *pierwsza tragedya jego życia*: był księdzem, a nie wierzył... Miał trzy drogi do wyboru: albo zrzucić sutannę (jak to za jego czasów niejeden duchowny zrobił), albo pozostać księdzem i spełniać obowiązki kapłańskie, udając, że się wierzy, albo wreszcie pozostać księdzem, ale obowiązków kapłańskich nie pełnić. Sutanny nie zrzucił, bo nie chciał być powodem zgorszenia; udawać nie chciał— i nie umiał: więc pozostał księdzem, ale ani obrządków kościelnych, ani wogóle obowiązków kapłańskich (z wyjątkiem kazań, jakie podobno wygłaszał niekiedy dla ludu wiejskiego) nie pełnił: za czysty, za szlachetny był na to, aby, nie wierząc, udawać, że wierzy, aby oszukiwać Pana Boga, ludzi i samego siebie. I w tej swojej wolnomyślności wytrwał do końca życia: przed śmiercią nawet wyspowiadać się nie chciał, mówiąc, że „nie potrzebuje gadać ze sługą, kiedy lada chwila rozmówi się z Panem“.

Mylili się jednak i krzywdzili Staszyca ci, co go pomawiali o bezbożność: on nie wierzył w dogmaty religii katolickiej, ale bezbożnikiem nie był nigdy; w Boga wierzył całem sercem,—wierzył nietylko w Jego istnienie, jak deiści, ale i w Jego Opatrzność: „*Stwórca świata założył drogi, któremi wszystko biegnąć musi do zamierzenia Jego*“; za jedyną zaś drogę, wiodącą ludzi do zamierzeń bożych, poczytywał świętą naukę Jezusa Chrystusa, — naukę miłości człowieka: „Jaki zamiar Stwórcy w człowieku na tym świecie? co najpewniej gruntuje szczęście stałe człowieka? Tylko miłość bliźnich, ziszczana przez dobre czyny, jest szczęściem dla ludzi. Tylko ten postępuje najlepiej do celu swojego Stwórcy, kto przez ciąg swojego życia poprawi los, powiększy szczęśliwość drugich ludzi; ten zaś, kto przez swoje życie poprawi i udoskonali

los współczesnych lub całych plemion następnych, ten dopełnia całkowicie swojego przeznaczenia, jakie Najwyższe Jestestwo w jego stworzeniu założyło". A nie były te słowa pustym dźwiękiem! Dla siebie skąpy, hojną dłonią wspierał Staszyc bliźnich, był prawdziwym ojcem dla chorych i ubogich, szczególną opieką i troskliwością otaczając lud wiejski; dosyć powiedzieć, że, dorobiwszy się znacznego majątku, nabył rozległe dobra (hrubieszowskie) i podzielił je między włościan—z prawem własności.

Miłość zaś bliźniego połączyła się w jego sercu i czynach we wspaniałą całość z miłością ojczyzny; Staszyc to jeden z najgorętszych patryotów, jakich miała Polska. Wygłosił kiedyś zasadę, że głównym celem wychowania narodowego „być powinna użyteczność obywatela", że „*dziecię, które najpierwszy raz otwiera swoje oczy, nic innego widzieć nie powinno nad ojczyznę, dla której samej tylko zamknąć je niekiedyś obowiązek będzie miało*". Tej własnej zasadzie służył wiernie: „najżywszą miłość" kraju wyssał, jak sam mówi, z piersi matki, nosił ją w sercu przez całe swoje życie i oczy zamknął dla ojczyzny. Kochał ją całym żarem swego namiętnego serca, a kochał w niej nietylko bratnie plemię polskie, ale i *ziemię* polską; *on pierwszy w literaturze naszej wypowiedział z taką siłą uczucia przywiązanie do ziemi, do natury polskiej*, która mu się milszą, piękniejszą od obcej być zdawała: „Nie umiałbym wytłumaczyć mego czucia powodu i wiem, że nie każdy mi uwierzy, przecież ja opowiem, co rzeczywiście moja dusza czuła, chociażby to moich zmysłów omamieniem było. Polskiego oddech powietrza zdawał mi się wolniejszym, i wiatr stamtąd niósł w sobie coś miłego; niebo nad tym krajem było czystsze i jaśniejsze, drzewa i łąki zieleńsze... Rzecz większą uważałem: ptastwo, z południa na północ przenosząc się, dopokąd nad innymi krajami leci, bojaźliwe i posępne bywa, ani z wesołością śpiewać, ani nawet żałości świerkocić nie śmie, boi się piórkiem szelestu uczynić: skoro na polskiej stawa granicy, natychmiast krzyczy wesoło; śmielej całemi robiąc skrzydłami, głośny po powietrzu turgot sprawuje i tam dopiero swoje miłosne świerki zaczyna". Dźwignąć i uszczęśliwić tę ziemię ukochaną, złożyć jej w ofierze wszystkie nieprzebrane skarby swojej przebogatej natury—i serce kochające i wiedzę rozległą i wolę żelazną,—oto główne przykazanie i główna treść całego życia Staszyca, a zarazem—jego *druga tragedya*: chciał służyć matce-ojczyźnie ten jej najlepszy syn, a ona wzgardziła jego służbą, bo matką była tylko dla szlachty, dla mieszczan zaś i chłopów — macochą. A Staszyc urodził się przecie mieszczaninem: „Przy wstępie moim na świat znalazłem... przed sobą zapory nieprzestępne w każdym stanie: w duchownym, wojskowym i cywilnym;... zrodzony z tak zacnych i tak cnotliwych rodziców,... przecież wszędzie wstydzić się musiałem swego urodzenia, wszędzie je znalazłem okryte wzgardą, odrzucone od czci, od urzędów, od ziemi". Później dopiero, już

w Polsce porozbiorowej, nie będzie się potrzebował wstydzić swego urodzenia, — pole służby publicznej stanie mu otworem: to też z młodzieńczym zapałem rzuci się do niej i na każdem niemal polu pracy narodowej — i nauki i wychowania publicznego i rolnictwa i przemysłu — położy nieśmiertelne zasługi, stwierdzając prawdę własnej świętej zasady, wypowiedzianej po upadku Polski: „*Paść może i naród wielki, zniszczeć nie może, tylko nikczemny!*“ Ale tymczasem, w Polsce jeszcze niepodległej, nie mógł się, mimo serdecznej chęci, zaprządz do służby publicznej. Pracował zato dla ojczyzny — piórem: na widok bijących w nią nieszczęść, które mu serce krwawiły, oraz pod wpływem jednego z najzacniejszych i najmędrszych patryotów polskich XVIII w., Andrzeja Zamojskiego, w którego domu był nauczycielem, jął Staszyc rozmyślać nad sposobami uratowania Polski od upadku. Owocem tych rozmyślań są dwa znakomite dzieła, które wywarły nieopisane wrażenie, jedno, ogłoszone na lat trzy przed rozpoczęciem wielkiego sejmu, a drugie, już podczas jego obrad: *Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego* (1785) i *Przestrogi dla Polski* (1790). Tym to właśnie pismom zawdzięcza Staszyc swoje nieśmiertelne stanowisko w historyi literatury polskiej.

Nie odznaczają się one ani porządnym układem treści, ani piękną formą: przeciwnie, pisane są bezładnie, co więcej, jedna myśl przeczy czasem drugiej, styl jest często zaniedbany i niejasny, czasem pozbawiony prostoty i sztucznie uroczysty (deklamacyjny), język zaś często niepoprawny i dziwaczny. Wszystko to prawda: ale i to prawda, że w całej literaturze niepodległej Polski niewiele jest pism, tak mądrych i szlachetnych, i niema ani jednego, w któremby uczucie patryotyczne przemówiło z większą siłą i ogniem.

Myślą przewodnią pism Staszyca jest zupełnie to samo, co wypowie później Mickiewicz w tych mądrych i ślicznych słowach *Ody do młodości*: „Razem, młodzi przyjaciele! *W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele!*“ To jest: nikomu nie wolno uganiać się za swojem osobistem szczęściem, o ile ono jest sprzeczne ze szczęściem całego społeczeństwa; albo inaczej: każdy człowiek powinien poczytywać za szczęście dla siebie tylko to, co jest szczęściem dla całego społeczeństwa, a za nieszczęście to wszystko, co jest dla społeczeństwa nieszczęściem. Bo „*społeczność* — mówi Staszyc — *jest jedną moralną istnością, której członkami są obywatele*“, a nietylko członkami, ale i własnością, a stąd „*zostać obywatelem jest wyzuć się czyli oddać swoją wolę i swoją moc osobistą towarzystwu całemu*“ i uwierzyć, że na tem właśnie polega największe i jedyne prawdziwe szczęście jednostki, do którego dążyć może i powinna. Aby jednak społeczeństwo stanowiło naprawdę „jedną moralną istność“, do tego potrzebny jest odpowiedni rząd, — *państwo*. Na państwo zapatruje się Staszyc podobnie, jak Modrzewski (§ 30):

jak jednostka, tak i *państwo jest własnością, jest sługą społeczeństwa*, a ta służba polega na tem, że państwo powinno zapewnić społeczeństwu warunki, potrzebne do osiągnięcia powszechnego szczęścia: oto jedyne zadanie i cały sens państwa! I jakież to warunki? Pierwszym jest, oczywiście, urobić duszę każdego obywatela tak, aby właśnie uwierzył, że jego szczęściem jest „użyteczność dla towarzystwa", że *„nikt do niewoli, ale każdy rodzi się do posłuszeństwa"*. Urobić zaś duszę człowieka można tylko w młodości („A ze słabością łamać uczmy się za młodu!", mówi Mickiewicz), a to zapomocą wychowania; otóż wychowanie w duchu obywatelskim, narodowym, to pierwszy warunek szczęścia społeczeństwa, a zatem pierwsze zadanie państwa: „Każda edukacya krajowa tylko się pod strażą rządu utrzymuje". To zadanie państwo polskie już spełniło, tworząc ministeryum oświaty, t. j. Komisyę Edukacyjną (§ 75), której się też Staszyc nachwalić nie może: „Niech tylko czuły naród pracę, cnotę i prawdziwą, bo niepłatną, ojczyzny miłość zasiadających w tej Komisyi obywatelów bierze za przykład i z wdzięcznością uwielbia. Tych mężów, jeżeli brzydka przemoc jeszcze przynajmniej tak oddychać nieszczęśliwej Rzeczypospolitej pozwoli,—tych mężów szczęśliwsza od nas potomność, jako pierwszych swojej szczęśliwości stworzycielów, z uszanowaniem czcić i wspominać będzie". Żąda jednak Staszyc, aby się nietylko wychowanie publiczne, ale i prywatne, odbywało pod ścisłym dozorem Komisyi.

Natomiast nie spełniła Polska dwu innych warunków, niezbędnych do szczęścia społeczeństwa; a są nimi, po pierwsze, potęga, a po drugie, sprawiedliwość państwa.

Polska musi być państwem potężnem, bo inaczej do reszty rozszarpią ją sąsiedzi, aby zaś być potężnem państwem, musi mieć dobry i silny rząd. Za najlepszą postać rządu poczytywał Staszyc ustrój republikański; państw monarchicznych nie cierpiał z całej duszy, poczytując panujących za nieprzyjaciół wolności i wrogów rodzaju ludzkiego; ale, z drugiej strony, rozumiał, że, ponieważ Polska jest „obtoczona despotycznymi krajami", więc i ona musi być także państwem monarchicznem; inaczej, jeżeli się nie przystosuje do współczesnych „związków politycznych", zginie, jak Bóg w niebie, bo „rzecz niepodobna w pośrodku ognia nie być parzonym". I oto swoje ideały republikańskie składa Staszyc na ołtarzu zdrowego rozsądku i miłości ojczyzny: „Większego złego chroniąc się, obieraj mniejsze!"; „pierwej naród, potem swobody! pierwej życie, potem wygoda!" Słowem, Polska powinna pozostać królestwem, ale *król powinien być nie obieralny, tylko dziedziczny*: „Ustanowienie następstwa tronu utwierdzi na długo Rzeczypospolitej trwałość". Szkoda jednak, że temu dziedzicznemu królowi Staszyc nie przyznaje, właściwie mówiąc, żadnej władzy, bo odbiera mu nawet władzę mianowania urzędników i senatorów, którzy,

jego zdaniem, powinni być obieralni. Całą zaś władzę prawodawczą i wykonawczą oddaje Staszyc sejmowi, ale nie zbierającemu się raz na dwa lata, tylko „sejmowi nieustannemu, t. j. zawsze do zwołania gotowemu“, na którym „głosów większość prawa stanowić powinna“.

Lecz ani tron dziedziczny, ani silny rząd nie ocalą Polski, póki nie będzie miała stałej i potężnej armii, liczącej sto, a choćby i dwieście tysięcy żołnierza; ale, aby módz utrzymać tak wielką armię, trzeba pieniędzy, a tymczasem skarb polski pustkami świeci: trzeba więc powiększyć dochody państwowe, a ponieważ ich głównem źródłem są podatki, więc *„żaden stan, żaden obywatel od podatku wyjętym być nie powinien“*; to znaczy, że podatki powinni płacić nietylko chłopi i mieszczanie, ale i szlachta: Staszyc jest pierwszym, który się tak śmiało i jasno domaga powszechnego opodatkowania, przed nim bowiem mówiono o tem zaledwie półgębkiem. Ale nie dosyć na tem. Żeby można było, rozumuje Staszyc, wystawić tak ogromną armię i powiększyć dochody państwowe, potrzebna, jest oczywiście, jaknajliczniejsza ludność i, co na jedno wychodzi, jak największy jej dobrobyt, to tylko bowiem państwo „ma ludność wielką, składa podatek wielki, które ma urodzaje wielkie“. A kiedy ziemia będzie miała „urodzaje wielkie“? Tylko wtedy, „gdy się koło niej praca powiększy“. A kiedy się praca powiększy? Odpowiada Staszyc: „Ci ludzie tylko więcej pracować będą, gdy wszyscy zdatnymi do nabycia *własności* zostaną“. I oto żąda Staszyc *uwłaszczenia włościan* i wogóle *równouprawnienia wszystkich warstw społecznych*, wskrzeszając tym sposobem wielką myśl Modrzewskiego. Równouprawnienie—oto środek do urzeczywistnienia przez państwo drugiego warunku, niezbędnego do szczęścia społeczeństwa: sprawiedliwości, która jest z potęgą państwa nierozłączna. I słusznie nazwano Staszyca *patryarchą demokracyi polskiej*, bo nikt przed nim . jasno i gruntownie nie dowiódł, że szlachta jest nie narodem, ale tylko jedną jego częścią, tylko jednym stanem; że naród, jako całość (jako „jedną moralną istność“) tworzą dopiero wszystkie jego warstwy, jako części, tak ściśle z sobą spojone, iż nieszczęście jednej jest nieszczęściem każdej innej i zarazem nieszczęściem całości, a szczęście jednej jest szczęściem każdej innej i zarazem szczęściem całości. „Wniosek oczywisty: że, cokolwiek inne stany uczynią dla stanu rolniczego, to uczynią dla kraju; kiedykolwiek wieśniaka dostatki powiększą, zawsze oni w r a z z k r a j e m staną się majętniejszymi, bogatszymi i swobodniejszymi; gdziekolwiek rolnik zhańbiony, tego kraju szlachcic w pogardzie; gdzie rolnik niewolnikiem, tego kraju szlachcic musi być cudzym sługą“. Więc „ratuj się szlachto! nie potrzeba, abyś traciła swoje swobody i wolność, ale potrzeba, abyś swoje prawa upowszechniła, abyś powiększyła liczbę obywateli swobodnych i wolnych!“ „Bez odmiany poddaństwa rolnika doczesne

są wszystkie inne w Rzeczypospolitej odmiany"; „jakiekolwiek poczynicie w Rzeczypospolitej ułożenia, jakiekolwiek porobicie w jej rządzie poprawy, jeżeli tej fundamentalnej ustawy nierządu feodalnego nie wzruszycie, będą to tylko odmiany powierzchowne; przedłużą, ale nie odwrócą od narodu tej nieszczęśliwej epoki, tego powszechnego zburzenia, w którem nas ogarnie wewnętrzny albo zewnętrzny despotyzm". *Trzeba więc znieść poddaństwo chłopa*, a więc pańszczyznę i sądy patrymonialne, dać mu grunt na własność *z prawem dziedzictwa*, pozwolić mu się przesiedlać z miejsca na miejsce, — jednem słowem zrobić go wolnym obywatelem kraju: a wówczas chłop będzie miał za co pokochać ojczyznę, będzie jej wiernym synem! I to jest największe, najmędrsze, najszlachetniejsze słowo Staszyca i całej literatury polskiej XVIII wieku!

Zupełnego równouprawnienia chłopów nie domaga się Staszyc (podobnie jak Modrzewski): ani jednem słowem nie wspomina o tem, że i chłopi powinni mieć swoich posłów w sejmie i piastować urzędy; niewątpliwie, pragnął tego z całej duszy, ale wiedział doskonale, że takie żądanie byłoby jeszcze przedwczesne — i dla chłopów, którzy po całych wiekach niewoli i ciemnoty nie byli jeszcze zdolni do życia politycznego, i dla szlachty, któraby z pewnością ryknęła na to z oburzenia.

Śmielej poczyna sobie Staszyc z mieszczanami: trzeba nietylko przywrócić im prawo nabywania ziemi, ale nadto dopuścić ich do piastowania godności (duchownych, cywilnych i wojskowych) i do wysyłania swoich posłów na sejm, którzyby zasiadali w jednej Izbie z posłami szlacheckimi, — a wówczas dopiero „miasta i szlachta będą jednym narodem".

Te są główne myśli Staszyca. Na szczęście, głos jego nie był głosem wołającego na puszczy (jak w XVI wieku głos Modrzewskiego): nie ulega najmniejszej wątpliwości, że jego pisma utorowały drogę uchwałom sejmu czteroletniego, które są nie zupełnem, niestety, ale częściowem urzeczywistnieniem jego mądrych i szlachetnych projektów reformy. Ale bo też umiał Staszyc przekonywać,—przemawiać nietylko do rozumu, lecz i do wyobraźni, do serca, do sumienia; słowem umiał wstrząsnąć całą duszą polską — tak potężnie, jak nikt w całej literaturze niepodległej Polski, nie wyłączając samego Skargi! Aby oddziałać na wyobraźnię czytelnika, Staszyc kładzie mu przed oczy obrazy, których treścią jest to okropna nędza chłopa polskiego, to dokonana pod obcą przemocą elekcya Stanisława Augusta, to przeklętej pamięci sejm roku 1773 pod laską zdrajcy Ponińskiego, krótko mówiąc — wszystkie nieszczęścia i grzechy Polski; opisuje też chętnie (za przykładem Russa) swoje wizye, które miał nibyto we śnie albo i na jawie, a których treścią są znowu nieszczęścia ojczyzny, zwłaszcza upośledzenie włościan. Aby przemówić do serca, to prosi Staszyc i błaga, to upomina i zaklina, to grozi i gromi, to zawstydza i stra-

szy; i śmiało powiedzieć można, że, jak Skarga w wieku XVI, tak on w XVIII był *tyranem dusz ludzkich.* Poprawnością języka, pięknością stylu i wogóle sztuką, Staszyc nawet się równać ze Skargą nie może, ale przewyższa go, jeśli nie potęgą, to namiętnością i gwałtownością uczucia. Miłość ojczyzny wyraził Skarga w swoich *Kazaniach sejmowych* piękniej, majestatyczniej, Starowolski w swoim *Lamencie* (§ 56)—rzewniej, ale ani jeden, ani drugi nie wyraził jej z taką wręcz żywiołową gwałtownością uczucia, z takim ogromem straszliwego bólu patryotycznego, upokorzenia i wstydu na widok jej upadku i świętego oburzenia na jej zdrajców. Z większą siłą przemówiła miłość nieszczęśliwej ojczyzny—dopiero w poezyi Mickiewicza. A jak Skardze w wieku XVI, tak Staszycowi w XVIII nikt nie dorównał *odwagą cywilną*: nikt nie ośmielił się z taką, już nie bezprzykładną śmiałością, ale z szaloną furyą napaść na tych, o których Skarga mówił, że mają „złodziejskie serca." — na magnatów; akt oskarżenia przeciwko możnowładcom jest, zapewne, zbyt namiętny, bo czyni ich odpowiedzialnymi za wszystkie nieszczęścia Polski (jakgdyby i szlachta nie była za nie odpowiedzialna!): ale w swojej odwadze i namiętności jest wprost niezrównany, nie mówiąc już o tem, że zawiera w sobie dużo, bardzo dużo prawdy! A obok tego ustępu godzien stanąć inny, także wspaniały, pisany krwią i łzami, — obraz niedoli chłopskiej, ten najwymowniejszy, najpiękniejszy, najgorętszy wyraz uczucia polskiego XVIII wieku, wznoszący się do godności prawdziwej poezyi serca. I, jeżeli kto w XVIII w. zasługuje na to, aby nosić miano *poety serca,* to nie Karpiński, nie Kniaźnin, tylko jeden jedyny Staszyc.

Obraz niedoli chłopskiej. Jakiż to wspaniały widok! W zgromadzeniu, z samego wybioru obywatelów złożonem, które o uszczęśliwieniu milionów ludzi radzi, widzieć króla na tronie, po którego prawicy leży księga prawa! Taka wielkość, pierwszy raz widziana, przeraziła mię: przed takim tronem głęboko uszanowaniem przejęty, stanąłem zdaleka w gminie ludu różnego. Jak spracowanego długą drogą podróżnika z gór biegnących strumieni mruczenie albo bliższych drzew liścia szelest miłym snem usypia, tak mnie, rażonego wspaniałością tronu, wolne tłumu ludzi ruszanie się i ciche po tem całem mnóstwie gwary w zamyślenie schwyciły... Usłyszałem z tyłu głos, który mi przerwał dalsze myśli: człowiek w odzieży ubogiej, jego twarz ukazywała z nieszczęśliwością niewinność; nie był on dziełem sztucznej edukacyi, nie miał nauk, ale był człowiekiem natury: miał czułość. Ten z nieśmiałością zapytał mi się, ktoby w tem zgromadzeniu był królem. W tej ciekawości zaspokojony, prosił dalej, coby ta kopa ksiąg przy królu znaczyła. „Są to księgi,—odpowiedziałem — którym wszyscy naszą wolność i szczęśliwość winniśmy;... są to prawa, które dają nam wszystkim życie, majątek i sławę". Na te słowa rzuciły się łzy z oczu czło-

wieka owego. Przeraziło mię to. Pytałem się ciekawie tego zmartwienia przyczyny. Westchnął i w te odezwał się słowa: „Ach! nie wszystkim te prawa zapewniają majątek i życie! W tej wielkiej kopie ksiąg tylko kilka tysięcy obywatelów znajduje sprawiedliwość, miliony tegoż kraju mieszkańców żadnego w nich nie mają ratunku! Z miliona tych nieszczęśliwych i ja jestem. Zachowałem przykazania boskie, żyłem według świętej religii mojej prawideł, nie wyrzuca mi sumnienie, abym kiedykolwiek skrzywdził bliźniego... Chociaż czułem okrutny los poddaństwa mojego, przecież, sądząc go być Opatrzności zrządzeniem, w dzień pracowałem wiernie panu, pracowałem i po nocach dla wyżywienia żony i dzieci... Pociągano mię nad powinność do robocizny, wypędzano do najcięższej pracy, w drogi najgorsze, gdzie siebie i cały mój dorobek zniszczyłem. Nie mogłem się uskarżyć nikomu, gdyż mi nikt sprawiedliwości uczynić nie mógł, tylko pan... Miałem trzech synów; z tych średni, widząc, iż ledwie jeden nadzieję mieć może objęcia roli po mojej śmierci, a drudzy bez ziemi i bez chleba żyć będą musieli, i krajowi i sobie nieużyteczni,—nic mi nie powiedziawszy, odszedł; jakom się potem dowiedział, uczył się rzemiosła. Po oddaleniu się jego z domu, pan, surową karą mi grożąc, jeżeli mu syna nie przystawię, owszem zaraz do więzienia osadziwszy, nie wypuścił mię, dopokąd mu kilkaset złotych za własnego syna nie zapłaciłem. Wkrótce potem, sądząc mię być bogatym i spodziewając się więcej u mnie pieniędzy, kazał mię znowu wziąć do kłody i trzymał dopóty, dopokąd mu syna nie powrócę. Gdy wołałem o sprawiedliwość, przypominając, że go już drogo opłaciłem, pan nazwał ten żal mój zuchwałością; zaraz kazał mi wszystko z domu pozabierać, a okrutnie mię skatowawszy, w kajdany zakutego wrzucono do chlewa. Wydobyłem się z tego lochu, uciekając z nieszczęśliwem życiem: czuję aż nadto, iż dla mnie w kraju niemasz sprawiedliwości... Tylko ten, który mnie krzywdzi, tylko mój tyran być może moim sędzią! W tych prawach mego stanu człowiek nie znajduje więcej od bydła obrony! Król nawet nie może być ojcem nas wszystkich!“

Tu przerwałem mu, nie mogąc dalej wstrzymać mej czułości. Złorzekłem barbarzyństwo kraju, a nie mogąc bliźniemu poradzić, tem tkliwiej czułem nieszczęście jego. W tym jednym przykładzie zdawało mi się widzieć nieskończone krzywdy miliona rolników. Stanęły mi łzy w oczach... Nagle spostrzegłem przed bramą mnóstwo ludzi, z których każdy trzymał w ręku papiery... W jednych ręku taki był napis: „Cztery miliony pięćkroć sto tysięcy najużyteczniejszych mieszkańców, których chociaż stan rozróżniać od ludzi zdaje się, przecięż nam religia odkrywa jednaki z innymi ludźmi początek, ucząc, że wszyscy od jednego Ojca pochodzimy, że każdy inny człowiek jest naszym bliźnim,—więc na miłość bliźniego zaklinamy, prosząc nie o co innego, tylko, aby równą z każdym innym człowiekiem sprawiedliwość mieliśmy; aby

ten, kto nas krzywdzić może, nie był w własnej sprawie i stroną i sędzią."

U drugich widziałem ten wyraz: „Milion kilkadziesiąt tysięcy kobiet, które w krótkim czasie wdwójnasób kraj zaludnią, jeżeli, podług praw boskich, nie pańska wola, ale własna ich wola ślub małżeństwa ważnym uczyni, jeżeli jednej wsi granice nie będą dla nich człowieczeństwa granicą."

U innych czytałem: „Milion czterykroć sto tysięcy ludzi młodych, jeszcze dwudziestu lat nie mających, przyrzeka w lat kilka liczne Rzeczypospolitej wojsko, obiecuje powiększyć krajowe bogactwa, oszczędzić te miliony, które cudzoziemskim fabrykantom bez powrotu kraj wypłaca, jeżeli, zamiast uporczywej i namiętnością omamionej dziedzica woli, prawo wróci im wolność naturalną pracowania koło swej żywności wszelkimi, pozwolonymi w kraju, sposoby i uczenia się, według każdego chęci i zdatności, różnych fabryk i rzemiosł; jeżeli nie jedna wieś, ale cały kraj będzie ich krajem."

Wpośród tego tłumu słychać było tu i owdzie przeraźliwy rozpaczających płacz i jęk, wołanie do nieba o pomstę uczynionej im krzywdy i przeklęstwo okrutnej niesprawiedliwości. Przybiegłem do jednego z nich i zapytałem się, co cierpiał. „Krzywdę od samego prawa," rzekł z zapamiętałością, rzucając mi kartę. Podniosłem ją. To zawierała w sobie: „Jestem syn poczciwego ojca i dobrego obywatela. Rodzice dali mi wychowanie, stosowne do tego majątku, który, przy ciężkiej a sprawiedliwej pracy, całe życie dla mnie zbierali i który, jako syn, dziedziczyć miałem. Przebrzydłe łakomstwo odkryło po śmierci ojca mego, że nie był szlachcicem. Nagle ja utraciłem wszystko, zostałem się bez sposobu do życia; ciężką pracę ojca mego, tę najsprawiedliwszą własność moją, obcy człowiek bezsumienny zagrabił." Oddałem mu czem prędzej kartę. Nie mogąc znieść tego niesprawiedliwości obrazu, uciekłem, abym zgubił z oczu te nieszczęsne gwałtu ofiary.

Gdym już nikogo nie widział, rzekłem sam do siebie: „Jakież to praw straszydło! Niewola, gwałt, bezżeństwo, publiczne cudzego majątku odzierstwo, prawem upoważnione! Takie barbarzyństwo w ośmnastym wieku! Rzeczpospolita z takiemi prawami... czyliż długo utrzymywać się sądzi?"

. . . .

Pięć części narodu polskiego stoi mi przed oczyma. Widzę miliony stworzeń, z których jedne wpół nago chodzą, drugie skórą albo ostrą siermięgą okryte, wszystkie wyschłe, znędzniałe, obrosłe, zakopciałe; oczy głęboko w głowie zapadłe, dychawicznemi piersiami bezustannie robią; posępne, zadurzałe i głupie; mało czują i mało myślą,—to ich największą szczęśliwością; ledwie w nich dostrzedz można duszę rozumną. Ich zwierzchna postać z pierwszego wejrzenia więcej podobieństwa okazuje do zwierza, niżeli do człowieka.

Chłop — ostatniej wzgardy nazwisko mają. Tych żywnością jest chleb z śrótu, a przez ćwierć roku samo zielsko, napojem — woda i paląca wnętrzności wódka; tych pomieszczeniem są lochy czyli trochę nad ziemię wyniesione szałasze; słońce tam nie ma przystępu, są tylko zapchane smrodem i tym dobrotliwym dymem, który, aby podobno mniej na swoją nędzę patrzali, zbawia ich światła, aby mniej cierpieli, i w dzień, i w nocy dusząc, ukraca ich życie mizerne, a najwięcej w niemowlęcym wieku zabija. W tej smrodu i dymu ciemnicy dzienną pracą strudzony gospodarz na zgniłym spoczywa barłogu; obok niego śpi mała, a naga dziatwa na tem samem legowisku, na którem krowa z cielęciem stoi i świnia z prosiętami leży... Dobrzy Polacy! Oto rozkosz tej części ludzi, od której los waszej Rzeczypospolitej zawisł! Oto człowiek, który nas żywi! oto stan rolnika w Polszcze!...

Tu, kiedy sobie pomyślę, żem Polakiem, wstyd mię dalej mówić; kiedy sobie przypomnę, żem człowiekiem, porywa mię rozpacz i zgroza!... W pośrzodku chrześcijan takie okrucieństwo!... Tyrani, bluźniercy! Nie lękacież się, iż spełni się nakoniec miara nieprawości waszych?... Jeżeli Bóg jest sprawiedliwy, nie może być w oczach Jego zbrodni, większej nad zbrodnię waszą! Macież wy miłość Ojczyzny? Nie obywatelami, ale nieprzyjaciołami Polski jesteście! Więcej szkodzicie temu krajowi, niżeli szkodzili Szwedzi, Niemcy, Turcy i Tatarzy! Tych okrucieństwo padało na niektórych i skończyło się w lat kilka: wasze okrucieństwo trapi nietylko żyjących, ale nadto kładzie przeszkodę wieczną do podobieństwa, aby Polska mogła z sławą powstać... Upamiętajcie się! Nie bierzcie na złe cierpliwości Nieba! Czas poprawy! Czas ludzkości! Oddajcie człowieka Bogu! Oddajcie człowiekowi prawo: „Niechaj rośnie i mnoży się!“ Widzę straszne nieszczęście nad głowy waszemi. A gdy kocham Polskę, a gdy zapomnieć nie mogę, że rodziłem się Polakiem, jakby ten kraj uratować, myślę ustawicznie!...

Przezacne Duchowieństwo! Ty jesteś tłumaczem tych praw, które Bóg każdemu człowiekowi oddał, które mają człowieka zbliżyć do człowieka, nie czynić go uciemiężycielem ludzkości albo nieprzyjacielem plemienia ludzkiego. KOCHAJ TWOJEGO BLIŹNIEGO, JAKO SIEBIE SAMEGO, A BOGA NAD WSZYSTKO: oto duch tej najświętszej nauki, którą sam Bóg przyniósł z nieba i złożył w ręku waszych. On przy niej dał się męczyć i umarł. Macie przykład! Jeżeliście wiernymi uczniami Jego, w ogłaszaniu tej prawdy nic was fałszywymi czynić nie powinno, ani bogactwa, ani godności, ani śmierć sama! Mówcież więc do Polaków, że ten nie jest chrześcijaninem, ten nie żyje podług nauki Zbawiciela swojego, kto z jakiejkolwiek przyczyny zaprzecza drugiemu człowiekowi sprawiedliwość, małżeństwo, wolność przyrodzoną i własność! Jeżeli nauczacie inaczej, nie uczniami CHRYSTUSA, ale zdrajcami rodzaju ludzkiego jesteście! Jeżeli pod najświętszem imieniem

JEZUSA, łakomcy, oszczercy, dumni, usprawiedliwiacie niewolę,— oto słuchajcie i zadrżyjcie: Spadnie niewinna krew ZBAWICIELA Człowieka na głowy wasze i potępi was!...

Kończę do was, najużyteczniejsi w kraju Nauczyciele Edukacyi publicznej, którym Rzeczpospolita powierzyła to, co ma najdroższego: niewinny szczep takiego obywatelstwa, które ma dokończyć dzieła zbawienia Polski!... Te prawdy... wpajajcie w miękkie serca jeszcze cnotliwej młodzieży, tej to jedynej nadziei kochanej Ojczyzny naszej! Niechaj dzieci znają obowiązki człowieka!... Dajcie im poznać, że obojętną uczyniło Europę na rozbiór naszego kraju — przez nieprzyjaciół naszych opisanie szlachty, jako tyranów ludzi! Dajcie im czytać tę ohydę Polaków w pismach Fryderyka II! I przydawajcie zaraz, że nie usprawiedliwi się szlachta polska w Europie, nie nabierze swojego szacunku i świetności, tylko, gdy odda sprawiedliwość rolnikowi a złączy się z miastami! Róbcie z młodzieży szlacheckiej i z miejskiej jeden naród! Niszczcie między nimi niechęć! Zakrzewiajcie wzajemną miłość! Dajcie im równie uczuć, że, gdy się wspólnie trzymać będą, Polska zostanie wolną, mocną i sławną! Powtarzajcie im często to wielkie cnotliwego Rzymianina zdanie: Nie całość jednego stanu, ale całość narodu całego jest prawem najwyższem!

Magnaci. Powiem, kto mojej Ojczyźnie szkodził: z samych panów zguba Polski!... Kto na sejmikach uczy obywatela zdrady, podstępów, podłości, gwałtu? kto niewinną szlach[illegible] najpoczciwiej i najszczerzej swojej Ojczyźnie życzącą, oszukuje, przekupuje i rozpija? Panowie! Kto od wieku robił nieczynną władzę prawodawczą, rwał sejmy? Panowie! Kto sądowe magistratury zamienił w targowisko sprawiedliwości albo w plac pijaństwa, przekupstwa, przemocy? Panowie! Kto koronę przedawał? Panowie! Kto koronę kupował? Panowie! Kto wojska obce do kraju wprowadził? Panowie!... Tak jest! Panowie przyprowadzili kochaną Ojczyznę do tego stopnia upadku, słabości i wzgardy, z której ją dzisiaj z taką trudnością dla przeszkody tychże panów sama szlachta dźwiga!...

Wtenczas, kiedy cudzoziemiec rozciągał nad wszystkimi Polakami i nad nimi samymi niewolę; kiedy rzucał na naród wieczną ohydę; kiedy szarpał na sztuki Ojczyznę: oni jeszcze w swojej zaciętości ku sobie niespokoją się, nie łączą się z sobą, owszem wewnętrznie cieszą się z gwałtu, który ich przeciwników do reszty niszczy. Żaden z panów nie ruszył się z ofiarą swojego majątku i życia na obronę ginącej Rzeczypospolitej. Jedni, którzy dopokąd z Ojczyzny zyskiwać można było, zebrali znaczne dostatki, używali ich spokojnie w zaciszu, równie jakby w najszczęśliwszym czasie Polski. Okazują najlepiej, czem są panowie, te przy rozbiorze kraju od nich wyrzeczone słowa: „Niech się dzieje z krajem, co chce: ja to wiem, iż zawsze w mojej wsi będę wójtem!“ Inni zaś widzą, że przy roz-

boju Ojczyzny łatwo bogacić się z jej łupów, sami nadarzają się cudzoziemcom za narzędzie do prędszego uskutecznienia gwałtów; ukazują im sposoby do pozorniejszych formalności; za pensye, za własne Rzeczypospolitej dobra, bez zapewnienia jakiegoż dalszego losu Ojczyźnie i tej niewinnej szlachcie, którą zdradzili, tylko po zabezpieczeniu swoich osobistych losów i swoich osobistych nadgród niewolę milionów ludzi podpisali najpierwsi. Szlachcic zaś, który dotąd był łudzony, dopokąd był potrzebny, gdy szedł pod jarzmo, opuszczony przez panów, którzy tyle lat usilnie nad nim pracowali, aby mu odebrać rozum i duszę, zapomniał w ostatniej potrzebie Ojczyzny, że miał szablę w pochwie.

Ale nad rozbiór kraju gorsze złe panowie wyrządzili Polakom: zatracili narodowy charakter. Szlachcic z nieustraszonego stał się na wszystko lękliwym, z wyniosłego podłym, z urodzonego do wolności już dojrzałym do najcięższej niewoli: świadkiem tego zabory; stracił to hasło, którego naruszenie w wszystkich jedno czucie budzić powinno; bez wyobrażenia sprawiedliwości, największa nieprawość w nim krwi nie burzy; czyli to gwałt prawu, czyli posłuszeństwo prawu, równy w jego umyśle skutek sprawują; sława narodu, miłość Ojczyzny nie zapala go do ofiar, nie ma stałości ducha, na wszystko się zastrasza, już nie czuje, iż milsza śmierć, niż niewola podła. Tak jest: zatracili panowie właściwy naszemu narodowi umysł!

Charakter narodu okazuje się najlepiej w publicznym gwałcie, w niebezpieczeństwie Ojczyzny i w karaniu jawnych zbrodni krajowych. Sławny naród polski w podobnych razach: nie brakuje ich w dziejach jego!...

Po owym niesłychanym gwałcie, kiedy zpośród stolicy, podczas sejmu, wzięto czterech najcnotliwszych senatorów, nazajutrz sejmujący o zwyczajnej godzinie zeszli się na sesyą. Nikt nawet głosu nie zabrał o tak niesłychanym wszystkich praw zdeptaniu! Owszem, prócz jednego męża cnoty i stałości, Andrzeja Zamojskiego, natenczas kanclerza, wszyscy razem ministrowie, senatorowie i wszyscy posłowie, jak gdyby w niczem naruszoną nie była udzielność narodu, tenże sejm kończyli.

Ale już wre krew we mnie! Cóż to za rok polski (1773), którego dni nie różnią się od nocy! Zbrodniami i nieczułością Polaków napełnione godziny jego! Czyliż mogła ziemia polska wydać tak czarną poczwarę? I nie byłoż żadnego Polaka, któryby z tego straszydła wcześnie był oswobodził Ojczyznę?... Ten nie kocha kraju, kto, czytając to, nie zapali się publiczną zemstą!...

Człowiek prawdziwie miedzianego czoła (Poniński), w tem życiu jeszcze, a już piekielnej duszy poczwara, oświadcza przed znikczemnioną publicznością, że już jest sejm pod konfederacyą, gdy się jeszcze sejm nie zaczął, że jest obrany marszałkiem od narodu, gdy jeszcze narodu nie było, że już wykonał przysięgę przed posłami, gdy jeszcze ani posła być nie mogło.

Pierwszego dnia sejmu, gdy już zgromadzili się obywatele do Izby poselskiej, wchodzi tam Poniński. W zgromadzeniu blizko tysiąca osób stawa na pośrodku Izby. Bierze kij prosty w rękę, podnosi go w górę i woła: „Jestem waszym marszałkiem! rozchodźcie się, a jutro o godzinie ósmej przyjdziecie!“ Prawda, że na to zuchwalstwo zbladło wielu Polaków: ale nie miał żaden tyle duszy, aby w miejscu zuchwalstwo ukarał; owszem, jeden tylko Rejtan nie dopuścił gwałcicielowi prawa wstępu do miejsca prawa. Wyszedł z Izby zdrajca Polaków. Polacy, zamiast tem ściślejszego związania się z sobą, zamiast wykrzyknięcia z jednomyślnością marszałka, zamiast tem prędszego, skuteczniejszego radzenia, jakby od takiego nieprzyjaciela Ojczyznę uwolnić, — wszyscy Polacy z wielką spokojnością wyszli.

Dnia drugiego, gdy się znowu obywatele zgromadzili, Poniński stawa we drzwiach tylko i, prostym kijem o próg uderzywszy, nakazuje narodowi, aby się zaraz rozszedł, a jutro o tejże godzinie zgromadził. Natychmiast ruszają się wszyscy posłowie, jak gdyby bez Ponińskiego ani rozumy, ani woli nie mieli! Wychodzą z Izby. Jeden poczciwy Rejtan krzyczy, woła, zaklina ich na miłość Ojczyzny, na miłość ich własną, na honor narodu, aby sobie samym nie czynili tej krzywdy, aby nie gubili Ojczyzny, aby tem usilniej, tem nieodstępniej radzili, im oczywiściej odkrywa się kraju niebezpieczeństwo. Ale już natenczas nie czuł szlachcic: już w nim przez długą panów nieprawość tak znikczemniony był umysł, iż, kto się poważył, mógł bezpiecznie deptać po karku jego.

Stąpił Poniński dalej: zdrajca kraju, czyni się publicznym łupiezcą i tyranem jego. Wieleż to zbrodni zawiera w sobie dzień 2 Kwietnia 1773! Zastanawiam się nad dziejami wszystkich krajów: nie znajduję w żadnym takiego dnia, w którymby tyle razem złoczyństwa jeden człowiek połączył i w którymby jakikolwiek lud do tego stopnia swoją nikczemność okazał. Najpierwej obtacza swój dom... wartą. Potem zagrabia pod swoją moc skarb publiczny. Dalej każe sobie przysięgać Komisyi wojsk Rzeczypospolitej. Z huzarami pruskimi najeżdża domy partykularnych i wymusza konfederacyi podpis. Z tąż obcego żołnierstwa czeredą wpada do grodu; podaje akt konfederacyi, przez siebie tajemnie z nieprzyjaciołami Ojczyzny ułożony, do ksiąg publicznych; wzbraniającym się przyjąć go urzędnikom przytomnem żołdactwem pograża. Aby żadnego przeciwko temuż aktowi zażalenia odbierać w grodzie nie ważono się, surowo zakazuje. Nareszcie twardy człowiek temu udzielnemu narodowi, tak dla niego powolnemu, tak cierpliwemu, wyrządza ostatnią zniewagę: rozkazuje jednemu z swoich rozesłańców, aby poszedł do Izby poselskiej i zapowiedział narodowi imieniem jego, że mu przykazuje zaraz się rozejść.

Jaka boleść tu ściska serce moje, gdy sobie przypominam, że urodziłem się Polakiem! Szlachta ulękła się więcej groźby śmierci,

niżeli sromotnej hańby! Ohyda rodu naszego! Większa część posłów, za odebraniem takiego rozkazu, rusza natychmiast z miejsc nie na ściganie i ukaranie zuchwalcy, ale posłuszna, z spokojnością garnie się ku drzwiom. Jeden Rejtan... Tak jest, jeden tylko poczciwy Rejtan znowu woła, zaklina i krzyczy na wszystkich, aby pamiętali, aby nie opuszczali nieszczęśliwej Polski. A gdy głuchy był na głos męstwa już zepsuty Polak, cnotliwy Rejtan rzuca się w progu pod nogi nieczułych braci. Tam, jęcząc, krzyczy: ZDEPCZCIE MNIE, KALECZCIE MNIE, KIEDY OJCZYZNĘ GNĘBICIE!... Ani ten widok cnoty nie wrócił dzielności duszom Polaków... Największe złoczyńce, największe tyrany wzruszały się na świętość cnoty: Poniński, dla którego już u ludzi nic świętego nie było, który z wolności, z prawa, z narodu, z religii, z przysięgi i z BOGA pośmiewisko sobie czynił, — zamiast zastanowienia się w swoim ślepym zapędzie na taki widok cnoty w człowieku, wpada owszem w największą wściekłość, składa sam, z swojej osoby, sąd: wydziera Polszcze ostatniego cnotliwego Polaka, poczciwego Rejtana, konfiskuje dobra, ogłasza praw obrońcę nieprzyjacielem Ojczyzny; niecnota, rzuca infamią na cnotę. Cóżto? Ani *tu* jeszcze nie znalazł się w całej Polszcze choć jeden przynajmniej taki obywatel, który, jeżeli nie Ojczyzny, to przynajmniej cnoty mszcząc się, nie utopił miecza w tak marnem sercu? Nie!...

Czyliż ten naród ma charakter, w którym jeden człowiek potrafił wypełnić tyle zbrodni bezkarnie, więcej powiem: w którym taki publiczny złoczyńca nietylko nie zginął, ale bawił się w kraju, żył lat 15 poważany, zasiadał w senacie?!... I gdzież tu jeszcze charakter Polaków?!... Trzeba koniecznie z powstawaniem naszem podnieść upadły charakter narodu! Ten zniszczyli w szlachcie panowie, bo nigdy panowie ani do swojej Ojczyzny, ani do szlachty przywiązanymi nie byli...

Panowie!... Wasza duma, wasze łakomstwo, wasze niezgody i wspólne zawiści do tej niedoli przyprowadziły Ojczyznę! Przez zniewagę praw, przez zgwałconą w wszystkich sądach sprawiedliwość zniszczyliście w szlachcie wyniosłość ducha, męstwo, odwagę, stałość w przedsięwzięciu i miłość wolności, zatraciliście własny Polaków charakter, nadając szlachcie podłość, wszystkiego bojaźń i na bezprawie i niesprawiedliwość zupełną nieczułość! Czas upamiętania waszego! Czas, abyście wrócili prawu dzielność!... Starajcie się, nie mogąc już nadać duszy tym, którzy się z wami postarzeli, abyście tej duszy nie kazili w młodzieży!... W młodzieży nadzieja Polski: strzeżmy się, aby nie kazić tej drogiej nadziei!... Nie utrzymujcie bardziej waszej familii, niżeli Rzeczypospolitej!...

Ja z tych powodów uczyniłem do was tę przemowę, aby, przekonawszy was, jak wieleście Polszcze szkodzili, nakłoniłem, żebyście to jej nadgrodzić starali się!... Pamiętajcie, abyście nie skrzywdzili tego sławnego sejmu!...

§ 96. Charakterem i wartością moralną od Staszyca o całe niebo niższy, rozumem politycznym prześcignął go *ksiądz* **Hugo Kołłątaj** (1750—1812), urodzony w sandomierskiem (pochodzący z dawnej szlachty smoleńskiej), *najznakomitszy ze wszystkich pisarzów politycznych niepodległej Polski i jeden z najznakomitszych polskich mężów stanu, właściwy twórca Konstytucyi 3 maja*. I on, jak Staszyc, posiadał rozległą wiedzę, mianowicie w zakresie nauk historycznych, społecznych i politycznych, ale przewyższał go nietylko zdolnościami, ale nadewszystko logicznością i trzeźwością umysłu oraz znajomością spraw państwa. I on był gorliwym zwolennikiem postępu, i on wierzył w potęgę wiedzy, ale, nie mając w swoim charakterze ani źdźbła marzycielskości, a i gorącością serca bynajmniej nie grzesząc, nigdy się w myślach swoich zbyt daleko nie zapędzał, nie cierpiał marzycieli, którzy, jak mówił ironicznie, „romansami zapalają sobie głowy“, nie dał się nikomu (nawet Russowi) na plewy złapać, ceniąc tylko takie myśli, które się urzeczywistnić dadzą, a pomysły, choćby najpiękniejsze i najszlachetniejsze, ale nie praktyczne, t. j. właśnie owe „romanse“, odrzucał bez żadnego wysiłku umysłu i bez żadnej ofiary serca. Krótko mówiąc, był to *umysł niezwykle praktyczny* (i przez to wręcz wyjątkowy w Polsce), ostrożny, wyrachowany i — chłodny. Kołłątaj to nie marzyciel, ale trzeźwy myśliciel, nie tyle teoretyk, ile przedewszystkiem mąż czynu. Do czynu zaś parła go po części miłość ojczyzny, ale więcej chciwość mienia i zaszczytów, a najwięcej namiętna, szalona *ambicya* odegrania wybitnej roli politycznej; i słusznie powiedziano o nim, że, gdyby był pewny, iż z pomocą dyabła wdrapie się wysoko, toby mu bez wahania duszę swoją zapisał. Do celu dążył cierpliwie, wytrwale, ze śmiałością, posuniętą aż do zuchwałości, nie przebierając w środkach; jeżeli został księdzem, to nie dla służby bożej, ale jedynie dla karyery publicznej. I dopiął celu: historya jego życia to część historyi całej Polski XVIII stulecia!

W młodym jeszcze wieku, wkrótce po powrocie z zagranicy (gdzie się po ukończeniu akademii krakowskiej lat kilka kształcił), rozpoczął swoją działalność, — zrazu na polu oświaty: był jednym z najczynniejszych i najzasłużeńszych pracowników Komisyi Edukacyjnej, z której ramienia wyjechał do Krakowa dla dokonania reformy akademii i świetnie się z tego zadania wywiązał: w podupadły, zwyrodniały, pogrążony w mrokach średniowieczczyzny uniwersytet wlał nowe życie, podniósł go do godności instytucyi naukowej, który to charakter ze szczętem zatracił był uniwersytet w wieku XVII.

Ale ten czyn znakomity nie zaspokoił ambicyi Kołłątaja: marzył o działalności politycznej. Jakoż, mianowany referendarzem litewskim, mógł ją rozpocząć. Poznali się na jego nadzwyczajnych zdolnościach i referendarz koronny, Stanisław Mała-

chowski, przyszły marszałek wielkiego sejmu, i Ignacy Potocki i inni, więc dopuścili go do swych obrad nad wielką reformą polityczną i społeczną, której miał dokonać nadchodzący sejm; z doradcy stał się wkrótce Kołłątaj nietylko kierownikiem i przywódcą tych narad, ale i twórcą programu naprawy Rzeczypospolitej, który wyłuszczył i uzasadnił w swojem znakomitem piśmie: *Do Stanisława Małachowskiego anonima listów kilka*; pismo to, narówni z dziełami Staszyca, wywarło ogromny wpływ na umysły i przygotowało je do podjęcia wielkiej reformy. A kiedy się zaczął sejm wielki, Kołłątaj, chociaż z początku bezpośredniego udziału w jego obradach nie brał, wpływał na nie pośrednio, był bowiem duszą stronnictwa patryotycznego i w dalszym ciągu oddziaływał na opinię publiczną, a to za pomocą pism i broszur politycznych, nietylko własnych, ale i cudzych, wychodzących z t. zw. *Kuźnicy Kołłątajowskiej*, t. j. pisanych pod jego kierunkiem i natchnieniem przez jego stronników politycznych. On to jest autorem owego wspaniałego memoryału, który mieszczanie złożyli królowi; za jego to głównie sprawą otrzymali mieszczanie prawa w pamiętnym dniu 18 kwietnia r. 1790; on to kierował czynnościami Deputacyi, wysadzonej z łona wielkiego sejmu do ułożenia formy rządu. I dlatego to on jest właściwym twórcą naszej wiekopomnej Konstytucyi! Wreszcie, po ogłoszeniu Konstytucyi, spełniły się jego marzenia: został podkanclerzym koronnym, ministrem, i odtąd już bezpośrednio wpływał na obrady sejmowe. A i w późniejszych wypadkach odegrał rolę wybitną: podczas powstania Kościuszki był nietylko ministrem skarbu, ale i duszą rządu powstańczego (wraz z Ign. Potockim i Wawrzeckim). Ale też na tem skończyła się jego karyera. Uwięziony przez rząd austryacki, lat kilka męczył się w więzieniu, a później, wypuszczony na wolność, już nigdy nie odegrał wybitniejszej roli politycznej: pragnął wprawdzie całą duszą swoją wypłynąć na wierzch w Księstwie Warszawskiem, ale mu ludzie nie dali. A dlaczego? Dlatego, że się poznano nakoniec na jego charakterze, że nie chciano mu zapomnieć wygórowanej ambicyi, mściwości, nieprzebierania w środkach, bezwzględności w postępowaniu z ludźmi, których wyzyskiwał, wyciskał, jak cytrynę, a potem, gdy mu już byli niepotrzebni, odrzucał, szkalował i deptał. A ta bezczynność przymusowa w ostatnich latach życia była mu męką straszliwą; szarpał się i szamotał, jak ptak w klatce, usiłował pogodzić się z losem,—daremnie: ambicya, zazdrość na widok dawnych towarzyszów, pracujących dla dobra ogólnego, pamięć dawnego stanowiska, energia i namiętna żądza czynu, miłość ojczyzny, a nadewszystko świadomość olbrzymich zdolności, idących na marne: słowem, cała jego dusza nie mogła i nie umiała się zdobyć na rezygnacyę. A do tego sprawdziło się na nim przysłowie: „Poniósł wilk owce, ponieśli i wilka“: mściwi i zazdrośni ludzie szarpali jego sławę, odsądzali go od czci i wiary,

oskarżali go Bóg wie nie o co, że np., uciekając z Warszawy w dzień szturmu Pragi, ukradł i uwiózł z sobą grosz publiczny i jakieś kosztowności. Co do grosza publicznego — to fałsz niegodziwy; co do kosztowności—to rzecz niedowiedziona. Niestety, inne oskarżenia były po części słuszne: jako członek rządu powstańczego, intrygował Kołłątaj przeciwko Kościuszce, a odpowiedzialność za krwawe czyny, jakich widownią była podczas powstania Warszawa d. 9 maja i 28 czerwca, na niego po części spada,—o tyle, że, mając w ręku władzę, nie zapobiegł im, opętany myślą terroru rewolucyi francuskiej. I jeszcze jeden grzech, dawniejszy. Oto, wyjeżdżając z Warszawy zagranicę po zawiązaniu konfederacyi targowickiej, złożył Kołłątaj na ręce jednego ze swych zaufanych piśmienną obietnicę, że przystąpi do konfederacyi, jeżeli targowiczanie nie pozbawią go podkanclerstwa i zwrócą mu skonfiskowany majątek. Uczynił wprawdzie ten krok w nadziei, że, jako członek rządu targowickiego, będzie mógł bronić Konstytucyi 3 maja i nie pozwolić na jej upadek; jestto niewątpliwie okoliczność łagodząca; ale aż strach, aż zgroza pomyśleć: twórca Konstytucyi chciał być targowiczaninem, a jeżeli nie był, to jedynie dlatego, że targowiczanie nim wzgardzili! Człowiek, tak wielki rozumem i wolą, a tak mały sercem! Litość bierze porównywać go z czystym, jak łza, Staszycem! Tej plamy, tego nieszczęsnego akcesu do Targowicy, nie zmyje z niego nigdy nikt ani nic.

Ale też nigdy nikt ani nic nie odbierze mu tych wielkich zasług, jakie dla ojczyzny położył, jako reformator uniwersytetu krakowskiego i twórca Konstytucyi 3 maja, i nikt ani nic nie strąci go z tego stanowiska, jakie wywalczył sobie w historyi literatury polskiej i polskiej myśli politycznej. *Pisma Kołłątaja to nietylko zakończenie, ale zarazem korona literatury politycznej niepodległej Polski*, — tej bogatej, mądrej i szlachetnej literatury, która, stworzona w wieku XV przez Ostroroga (§ 10), posiada takich przedstawicieli, jak w wieku XVI Modrzewski (§ 30), Górnicki (§ 33) i Skarga, w XVII—Starowolski (§ 56) i Łukasz Opaliński (§ 58), w XVIII—Leszczyński (§ 73), Konarski (§ 74) i Staszyc. Tych wszystkich przewyższa Kołłątaj nietylko trzeźwością i rozumem politycznym, ale i tem jeszcze, że on jeden jedyny zdobył się na z u p e ł n y program naprawy Rzeczypospolitej, że on jeden jedyny objął nietylko całość, ale i szczegóły reformy. Nie dosyć na tem: *jest Kołłątaj nietylko znakomitym mężem stanu, ale równie znakomitym p i s a r z e m, jednym z najznakomitszych prozaików staropolskich wogóle, a najznakomitszym w XVIII wieku*, a to zarówno przez jasność i przejrzystość wykładu (chociaż i on, jak niemal wszyscy pisarze XVIII w., wpada niekiedy w rozwlekłość), jak przez wytworność stylu i wogóle piękno formy.

Na czele pism politycznych Kołłątaja stoją owe *Listy anonima*, t. j. listy, pisane niby tylko do Małachowskiego (począwszy od

1 Sierpnia r. 1788, a więc jeszcze przed rozpoczęciem sejmu, aż do 19 Grudnia, kiedy to obrady sejmowe były już w pełnym biegu), ale przeznaczone dla wszystkich, bo ogłoszone (bezimiennie, jak pisma Staszyca) drukiem (1788). Tutaj to właśnie Kołłątaj, rozumiejąc, że „stojemy nad przepaścią, od której zwrócić się należy bez żadnego ociągania się“, bo „teraz jest chwila albo nigdy zrobić dobrze Ojczyźnie,“ — w niezrównany sposób uzasadnił potrzebę reformy i szczegółowo wyjaśnił, na czem ona polegać powinna i jak jej dokonać można i trzeba. Ogólny charakter reformy najlepiej on sam określił, nazywając ją *„łagodną rewolucyą“*: jako człowiek mądry, praktyczny, a nadto znający, jak mało kto, swój przywiązany do tradycyi i wogóle niechętny nowościom naród, nie zrywał bezwzględnie i raptownie z przeszłością, owszem poczytywał ją mądrze za podstawę, na której dopiero coś nowego zbudować można: *„Chcąc wystawić nową zupełnie budowę, nie należy bynajmniej pogardzać dawnym materyałem, który nie przeto jest zły, że się stara popsuła machina.“* I miał nadzieję Kołłątaj, że tą drogą, jedyną uczciwą i najlepiej do celu wiodącą, odrodzi się i ocaleje państwo polskie, że naród polski „łagodną rewolucyą potrafi stanąć na pierwszym powagi stopniu i, udoskonaliwszy formę wolnego rządu *bez przymusu, bez postrachu*, takowe napisze prawa, któreby były przykładem dla obcych narodów i zatarły hańbę, którą do dziś dnia okryci jesteśmy.“

A jakaż to hańba? Nie jedna, ale dwie! Pierwszą jest brak rządu; bo i czemże jest Polska? „Nie jest monarchią, bo ta się z domem Jagiellońskim skończyła; król nie może nic bez narodu. Nie jest Rzecząpospolitą, bo ta reprezentuje się tylko co dwa lata przez sześć niedziel. Czemże jest, proszę? Oto lichą, niedołężną machiną, której ani jeden popychać nie może, ani wszyscy popychać nie chcą, a jeden zawsze zastanowić[1] zdoła“. „Ojczyzna nasza niczem dotąd nie jest, tylko austeryą[2], wygodną lub niewygodną, podług zdarzeń i ślepego trafu“. „Co to za wolność, co to za rząd, któremu tylko co dwa roki na sześć niedziel głowę przyprawiają, który, jeśli chce być czynnym, musi się buntować przeciw własnej konstytucyi, bo każda konfederacya nic innego nie jest, jak rokosz przeciwko prawom.“ A druga hańba Polski polega na tem, że niektóre jej prawa „najdują się w sporze z prawami natury, a że jaśniej powiem, — z prawami boskiemi“; tem zaś podeptaniem praw natury i praw boskich jest upośledzenie mieszczaństwa i ludu wiejskiego.

Domaga się zatem dla Polski Kołłątaj, podobnie jak Staszyc, *potęgi i sprawiedliwości*. Wogóle pomysły jego są w z a s a d z i e te same, co Staszyca, bo też obydwaj należeli całą duszą do stronnictwa patryotycznego.

---

[1] t. j. zatrzymać (zapomocą *liberum veto*). [2] austerya=karczma, oberża.

I on więc pragnie, aby się Polska raz przecie ośmieliła „być narodem“ (t. j. aby stanowiła, jak mówił Staszyc, „jedną moralną istność“); i on żąda, aby w tym właśnie duchu wychowywała młodzież Komisya Edukacyjna, i poczytuje za jedno z najgłówniejszych jej zadań „wytworzenie jedności przekonań politycznych;“ i on się domaga tronu dziedzicznego, sejmu nieustannego czyli gotowego, zniesienia *liberum veto*, powszechnego opodatkowania wszystkich, posiadających jakąś własność, i t. d.

Ale są i różnice, i to zarówno w sposobie wygłaszania i uzasadniania pomysłów, jak w samych pomysłach. Staszyc nie dba o dobry rozkład treści swoich pism: Kołłątaj troszczy się pilnie o porządek i wogóle o jasność. Staszyc, ten poeta serca, nadewszystko do serca trafia, porywa, wstrząsa, słowem w z r u s z a: Kołłątaj, człowiek chłodnego serca, ale zato wyjątkowo jasnej i otwartej głowy, przemawia nadewszystko do rozumu, zniewala sobie czytelnika głównie mądrymi dowodami i logicznem rozumowaniem, słowem p r z e k o n y w a. Staszyc, jako myśliciel, zastanawia się chętnie nad sprawami ogólnemi; zanim np. powie o wychowaniu, będzie się rozwodził szczegółowo nad naturą ludzką wogóle; zanim doradzi, aby Polska zaprowadziła dziedzictwo tronu, będzie się długo rozpisywał o królach wogóle: Kołłątaj tymczasem, jako człowiek praktyczny, nie lubi się bawić w filozofię, chowając ją dla siebie, więc nie zaczyna każdej sprawy od Adama i Ewy, ale przystępuje odrazu do właściwego przedmiotu.

A i w samych pomysłach jest Kołłątaj od Staszyca praktyczniejszy. Staszyc np. pozbawia króla władzy: Kołłątaj (po pewnem wahaniu) przyznaje mu władzę, może nie wielką, ale istotną (np. prawo mianowania senatorów i „dozoru nad wszystkimi urzędami wykonawczymi“), słusznie mówiąc: „Cóż król będzie znaczył, gdy mu nic bez narodu czynić nie wolno?“ Staszyc w zapale swoim radby wystawić 100 000 wojska, a choćby i więcej: trzeźwy Kołłątaj — tylko 60 000, bo wie, że więcej Polska nie wytrzyma: „Lubo nasz kraj dziś jeszcze obszernością swoją przewyższa królestwo francuskie, nie zapominajmy się jednak, że bardzo nierychło przy najlepszym rządzie potrafilibyśmy zrównać ludnością, przemysłem, obfitością, a zatem bogactwem, daleko mniejszym od Francyi narodom.“ Albo jeszcze. Staszyc oddaje sejmowi władzę nietylko prawodawczą, ale i wykonawczą, a jako zapalony demokrata, dopuszcza do przedstawicielstwa w sejmie c a ł ą szlachtę i mieszczan: Kołłątaj tymczasem, bardzo mądrze, powierza sejmowi *tylko* prawodawstwo, składając władzę wykonawczą w ręce komisyi (t. j. ministeryów), a przy całym swoim demokratyzmie usuwa od przedstawicielstwa w sejmie ubogą i ciemną szlachtę zaściankową; i słusznie: ładnieby wyglądał w sejmie taki np. Guronos albo Żugota (§ 90)! „Cóż, proszę—mówi Kołłątaj—w rządowej machinie takowy szlachcic? Stan jego poniżony zajmować powinien całą troskliwość o liche wyży-

wienie, a dowcip obracać się musi do polepszenia bytu i ułatwienia najbliżej uciskających go potrzeb. Co za krzywda stanie się tak ubogiemu szlachcicowi? Zostawiony przy zupełnej wolności, może używać siły i rozumu na wydobycie siebie zpod niedostatku i ubóstwa, może, stopniami idąc, przyjść do większego majątku, pomnożyć swoję własność gruntową przynajmniej do $7^1/_2$ włók, a wtenczas, gdy już o swoim chlebie wyżywić się potrafi i przystojną dzieciom edukacyą dać zdoła, wnijdzie do liczby tych, którzy będą składać władzę rządową.“ Domagając się tymczasowego usunięcia zaściankowej szlachty od udziału w prawodawstwie, godził Kołłątaj i w magnatów, (których, podobnie jak Staszyc, nie cierpiał), bo wiedział, że się ich potęga opiera w znacznej części na tej właśnie ciemnej i dzikiej szlachcie, która tak tańczyła, jak oni im zagrali. Co do mieszczan, zgadza się Kołłątaj ze Staszycem, że trzeba im zarówno przywrócić prawo nabywania ziemi, jak dać prawa publiczne, ale (inaczej, jak Staszyc) doradza, aby posłowie mieszczańscy nie zasiadali w sejmie wraz z posłami szlacheckimi, ale tworzyli osobną Izbę. (Ten projekt jest niekoniecznie praktyczny, bo dwie Izby, różniące się *stanem*, ustawicznieby się kłóciły).

Do najpiękniejszych miejsc *Listów anonima* należą te, w których Kołłątaj wymownie przekonywa szlachtę, że w imię miłości Boga, ojczyzny i człowieka, sprawiedliwości i własnego interesu, powinna znieść poddaństwo chłopa, dając mu prawo własności dziedzicznej i wogóle osobistą wolność (zupełnie tak samo, jak Staszyc). Wspaniale mówi Kołłątaj: „Wszyscy, ile nas tylko ziemia polska nosi, bez żadnego wyjątku ubogiego i bogatego, jesteśmy poddani Rzeczypospolitej; ona ma najwyższą nad nami władzę... Przez jakież uprzedzenie najlichszego żebraka od tej najwyższej wyjąć możemy władzy? przez jakąż zuchwałość możemy sobie przywłaszczać nad ubogim rolnikiem udzielne i niepodległe panowanie?... Prawdo, najlitościwszy nieba darze! jeżeli kiedykolwiek przemieszkiwanie twoje między ludźmi gruntowało szczęście narodów, zstąp dzisiaj do serc wolnych Polaków, oświeć ich rozum i natchnij wspaniałem do wolności przywiązaniem! Niech ta ziemia, którą Opatrzna ręka wolności ludzkiej przeznaczyła, nie cierpi więcej w łonie swojem najlichszego niewolnika! Niech najbogatszy i okryty wielkością obywatel odda hołd powszechny Opatrzności, szanując ludzkość w najuboższym rolniku! Niech się aby raz na tem pozna, że cała jego okazałość i zbytki są darem nędznej wieśniaka ręki, że cała jego wspaniałość ubogiego ludu świetnieje potem!... Oddajmy to, cośmy mu świętokradzko wydarli, w czemeśmy prawo boskie i ludzkie zgwałcili, to jest oddajmy mu wolność i jego osoby i jego rąk!... Rolnik, stawszy się w tej ziemi człowiekiem wolnym, nazwałby ją dopiero ojczyzną, a błogosławiąc Najwyższą Opatrzność, rzekłby dzieciom: «Pracujmy, pomnażajmy żywności! «Oto panowie nasi przypomnieli sobie, żeśmy ludzie, oto nas nie-

«tylko obarczyli nowymi uciskami i podatkami, ale nadto wrócili «nam wolność i sprawiedliwość! A kiedy własność osoby i dorobków «naszych jest nam zabezpieczona, praca nasza, zasilona ochotą i ra«dością, powinna się im sowicie wywdzięczać; pomnażajmy im bo«gactw i dostatków, nadstawmy życia własnego na obronę granic «i całości tego państwa, w którem, swobodnie dziedzicom służąc, «naszej osoby i naszej własności pewni jesteśmy!»“.

Kiedy dnia 10 lutego r. 1790 wyznaczono na wielkim sejmie Deputacyę do ułożenia projektu reformy Polski, Kołłątaj wszystkie swoje pomysły, uzasadnione w *Listach anonima*, streścił, zgromadził w jedną kształtną i systematyczną całość i nadał im postać gotowych projektów do praw: tak powstało jego znakomite dzieło p. t. *Prawo polityczne narodu polskiego* (1790), które jest właśnie najzupełniejszym i najlepszym projektem naprawy Rzeczypospolitej, na jaki się Polska przez całe wieki zdobyła, jest najistotniejszą treścią i najwspanialszym owocem polskiego rozumu politycznego XVIII wieku, bo jest podstawą Konstytucyi 3 maja. A poprzedził Kołłątaj to swoje dzieło wspaniałą przemową *Do Prześwietnej Deputacyi*, w której raz jeszcze zaklął naród do podjęcia reformy, nadewszystko do nadania praw mieszczanom i chłopom; *ta przemowa to najpiękniejsze ze wszystkich pism Kołłątaja, to zarazem największe arcydzieło wymowy politycznej sejmu czteroletniego i całej prozy polskiej wieku XVIII*.

Jako właściwy twórca Konstytucyi 3 maja, nie dziw, że się do niej Kołłątaj, jak ojciec do dziecka, przywiązał; więc, kiedy ją najjaśniejsza konfederacya targowicka zamordowała, kiedy nastąpił drugi rozbiór Polski, kiedy się z różnych stron posypały oskarżenia przeciwko sejmowi czteroletniemu, wystąpił Kołłątaj z obroną swego dziecka ukochanego—w dziele, napisanem wraz z Ignacym Potockim i Franciszkiem Dmochowskim (§ 77), p. t. *O ustanowieniu i upadku Konstytucyi polskiej 3 maja* (1793). Jestto historya sejmu czteroletniego i zarazem jego obrona, poczęści stronnicza, bo zwalająca niemal całą odpowiedzialność na króla, na którego pioruny ciska Kołłątaj, że przystąpił do Targowicy (a sam to co?), i przemilczająca błędy stronnictwa patryotycznego, — niemniej przeto wspaniała przez to, że daje Polsce świadectwo przed Bogiem i ludźmi, iż, wszystko, co dla swego zbawienia uczynić mogła, uczyniła, że odwołuje się do sprawiedliwości bożej i do „sądu czulszej i sprawiedliwszej potomności“: „Zguba narodu, dopełniona w tym momencie, kiedy on nabył prawa do najlepszych nadziei i kiedy najrozsądniejsze przedsięwziął środki do zbliżenia szczęścia powszechnego, — zwracać zapewne na siebie będzie przyszłych wieków uwagę. Potępiona dotąd niesłusznie Polska, jako siedlisko barbarzyństwa i depcącej prawa ludzkie feudalności, pokazała w ustawach sejmu konstytucyjnego, iż w prawdziwem oświeceniu, rozsądnem prawodawstwie, uczuciu i szanowaniu praw ludzkich naj-

światlejszym w Europie narodem wyrównywa... Musiałeś upaść, nieszczęśliwy narodzie!... Zachowuj wdzięcznie pamięć czynów sejmu konstytucyjnego, który zgon twój przez szlachetne usiłowania rozumu, cnoty i prawdziwej miłości ojczyzny, uzacnił!... Ale nie rozpaczaj jeszcze zupełnie o losie twoim!... Uważaj Konstytucyą 3 maja, jak ostatnią wolą konającej ojczyzny! zachowywaj uczucia braterstwa względem ludu miejskiego, sprawiedliwość najściślejszą względem ludu wiejskiego! Tym sposobem najgodniej się zemścisz, przygotujesz zmianę losu przyszłych pokoleń i uskutecznisz głęboką przestrogę filozofa genewеńskiego (Russa), tak upominającego naród polski: «*Polacy! jeżeli przeszkodzić nie zdołacie, aby was nie pożarli sąsiedzi, starajcie się, aby was strawić nie mogli!*».“

Wielkie te słowa (stanowiące zakończenie dzieła) to naprawdę jakby ostatnia wola konającej Polski, to jakby testament naszej Matki-ojczyzny, to zarazem nasze święte przykazanie narodowe: nie mogliśmy ocalić niepodległości państwa, możemy i powinniśmy zachować naszą narodowość!

Do Prześwietnej Deputacyi dla ułożenia projektu Konstytucyi rządu polskiego, od sejmu wyznaczonej *(w skróceniu)*. Uiściły się życzenia całego narodu: już jest wyznaczona Deputacya do napisania Konstytucyi rządu naszego, która będzie sławną epoką kończącego się XVIII wieku, jeżeli nam przywróci rząd dobry, jeżeli człowieka wróci człowiekowi, jeżeli prawa własności osobistej, ruchomej i gruntowej każdemu upewni, jeżeli człowieka wyjmie od ludzi, a podda prawu, jeżeli prawo wydobędzie z prawdziwych jego źrzódeł, to jest sprawiedliwości naturalnej, jeżeli nakoniec cały naród ubeśpieczy od przemocy wewnętrznej i obcej. Tego to wyciąga po was cała powszechność, zacni mężowie! Podjęliście się dla narodu najistotniejszej usługi, dzieła, które wam ma zjednać w odległej potomności błogosławieństwo ludzi, co tę wolną ziemię posiadać będą...

Tak szlachetna posługa dla swej Ojczyzny powinna podnieść dusze wasze nad wszystkie przeszkody; powinna je złączyć z Prawdą, z temto przedwiecznem bóstwem, z którego litościwych rąk cała natura nieodmienne dla siebie zyskała prawa. Wy macie być tłumaczami świętych jego ustaw, wy macie przepisać sobie za prawidło działań waszych prawdę, a z tą, jak z zapaloną pochodnią, szukać praw człowieka, praw społeczności, praw narodu waszego! Nie obawiajcie się żadnych w dziele przedsięwziętem trudności! Prawda, gdy ją szczerze narodowi pokazywać będziecie, jestto ten święty ogień, który natychmiast i do rozumu i do serca ludzkiego przenika. Niemasz mocy, którаby się jej oprzeć na zawsze zdołała, pierzcha przed nią obłuda i przesąd, a tyle tylko nad nieszczęśliwym dokazuje ludem, ile przed nim prawdę ukryć zdoła. Nasiona wyroków tego świętego bóstwa znajdują się w sercu każdego czło-

wieka i, aby miały wzrost przyzwoity, nie trzeba na to gwałtownego przymusu, nie trzeba miecza i przelewu krwi ludzkiej; dość jest, aby człowiek wrócił się do siebie samego, ażeby rozważył swoje potrzeby, a natychmiast pozna i prawa, sobie należyte, i te, które drugim winien, i te, na których zależy sprawiedliwość, i te, które są owocem dobroczynności. Nie lękam się przeto o człowieka i jego społeczność, ale zastanawiam się nad wami samymi, mężowie wybrani! Staje mi albowiem przed oczyma los tych, którzy kiedyżkolwiek chcieli być prawodawcami ludu...

Prawodawca prawdy nie potrzebował nigdy uzbrajać się przeciwko człowiekowi, dla którego uszczęśliwienia pisał prawa, przeciwnym wcale idąc sposobem: nie lud, którego pragnął uszczęśliwienia, lecz siebie na prześladowanie i na tysiączne wystawiał pociski. Wyższy nad siebie samego, pogardzający srogością i obłudą tyrana, potrafił uszczęśliwić ludzi i ich potomność; lecz tak świętego i prawie boskiego dzieła inaczej uskutecznić nie zdołał, tylko ofiarą siebie samego. Tą drogą szedł w Europie Sokrates, nauczyciel obyczajów ludzkich, tą CHRYSTUS w Azyi, Bohatyr prawdy, Prawodawca i Zbawiciel całego świata! Uległ człowiek pod obłudą i zemstą zabobonu greckiego, ale filozofia jego stała się nauką wszystkich oświeconych narodów. Umarł na krzyżu Zbawiciel ludzi, lecz Ewangelia Jego stała się nauką wszystkich narodów, regułą obyczajów, wzorem praw; ale krzyż Jego zdobi dotąd korony i ołtarze. Takie są nadgrody prawodawców prawdy! temi drogami przechodzi ona do serc ludzkich! Niemasz gwałtu, niemasz siły, niemasz przebiegłości w rozumie, któraby się jej na zawsze oprzeć zdołała!...

Mężowie wybrani! Oto jest wzór dla was, oto jest droga, którą do nieśmiertelności imiona wasze odniesione być mają! Macież w sobie tyle męstwa? czujecież w sobie tyle odwagi, abyście być mogli godnymi podać prawdę narodowi polskiemu? Nie oglądajcie się na spółczesnych! Nie tento zepsuty wiek ma błogosławić imiona wasze: wy owszem macie wydać walkę uprzedzeniu i obłudzie, wy macie przywrócić sprawiedliwość,... a zatem wy winniście zupełnie przygotować się przeciw potwarzy, nienawiści i zemście, które interes prywatny, zepsucie serc ludzkich, znarowiona zuchwałość przeciw wam wywierać zechce. Nie lękajcie się bynajmniej, że prawa wasze wzgardzone lub odrzucone zostaną! Prawda mieć będzie swych zwolenników: rozejdą się oni po całym narodzie, zaniosą ją pod strzechę uciśnionego i wzgardzonego człowieka; czas dokaże reszty! Do was należy nie odstępować Prawdy ani myślić o tem, jakiemi drogami to święte bóstwo panować zacznie nad całą narodu powszechnością. Ufam przeto, że w przepisie praw waszych nie będzie miała miejsca ani chytra obłuda, ani podła bojaźń, ani tem bardziej niesprawiedliwość, na prywatne korzyści względna. Czło-

wiek i jego beśpieczeństwo, *obywatel* i jego szczęśliwość, *ojczyzna* i jej całość—będą jedynem prawidłem robót waszych.

Ale roztropność, najszlachetniejszy rozumu ludzkiego przymiot,... zastanawiać was podobno będzie nad tem, iż jeszcze nie przyszła pora, ażeby w całej zupełności odkryć można prawdę narodowi polskiemu. Lecz taż sama roztropność nigdy tak rozpacznych myśli przypuszczać nie dozwala: jej wysługa w prawodawstwie potrzebna jest tylko do wynalezienia sposobu, jak ma być prawda ludziom podana, nie zaś do tego, aby ją przed nimi do czasu taić lub przez wzgląd na uprzedzenia łamać prawa sprawiedliwości i ludzkości. Niemasz czasu ani względu na czas, w którymby się godziło prawa człowieka gwałcić lub zgwałconych nie powrócić! Nie może się nazwać ten naród swobodnym, gdzie człowiek jest nieszczęśliwym; nie może być ten kraj wolnym, gdzie człowiek jest niewolnikiem! Żadne więc prawodawstwo nie powinno przemilczać praw człowieka, żadna społeczność nie może robić ofiary z ludzi dla ludzi! Takowa roztropność alboby się nazywała niesprawiedliwością, albo bojaźnią! Mówić albowiem, że lud nieoświecony nie może mieć w całości praw sobie wróconych, jest mówić przeciwko regułom roztropności i słuszności... Ktokolwiek na nieoświeconego człowieka jarzmo niewoli wkładać usiłuje, niech się wróci do serca swego, niech pomyśli, że, gdyby przypadek jego samego w liczbie pospólstwa umieścił, pozwoliłżeby na odjęcie praw sobie przyrodzonych? na odjęcie beśpieczeństwa swej osoby i swego majątku? Alboż możemy mówić, że stan szlachecki, któremu nietylko wolność, ale nawet i równość w rządzie prawa polskie zabeśpieczyły, jest powszechnie oświecony?... Takowa więc roztropność, która praw ludzkich człowiekowi wrócić nie chce dlatego, iż nie jest oświeconym, byłaby równie srogą i niesprawiedliwą, jak owa, któraby wydzierała ubogiemu szlachcicowi swobodę obywatelską dla tych samych przyczyn.

Nie sama, prawda, Polska tej dopuszcza się niesprawiedliwości:... wyspy francuskie, osady holenderskie i angielskie obchodzą się w sroższy nierównie sposób z Murzynami, tymi to nieszczęśliwymi dwuch części świata obywatelami, w których łzach skropione produkta służą wykwintnym Europejczykom za przysmak i wygodę. Lecz możnaż niesprawiedliwością innych krajów i zadawnionem uprzedzeniem usprawiedliwiać gwałt prawu natury?...

Cóż to jest poddany czyjejkolwiek włości? jak go uważać należy w porządku przyrodzenia, względem którego równymi wszystkich mieć chciała Opatrzność? Czy biały, czy czarny niewolnik, czy pod przemocą niesprawiedliwego prawa, czy pod łańcuchami jęczy,—*człowiek* jest i w niczem od nas się nie różni!...

Nędza ludzi rośnie w stosunku do ich niewoli; Rzeczpospolita nie cierpi panowania szczególnego ludzi; w monarchii jest tylko jeden panujący, lecz w arystokracyi feudalnej każdy prawie chłop

ma osobnego despotę. Jakiegoż u nas pragniemy rządu? chcemyż prawdziwej Rzeczypospolitej czy możnowładztwa? chcemyż Polszcze wrócić wolność, czy tylko niektórym familiom, nad resztą niewolników panującym? Uczyńmy, co chcemy: sama natura pomści się na nas tak widocznej niesprawiedliwości! Pospólstwo będzie naówczas, jak jest dotąd, rzeczą dziedziców, lecz szlachta będzie niezawodnie pospólstwem, a te same sofizmata, których naprzeciw własnemu sercu używamy dzisiaj dla przytłumienia głosu prawdy, służyć będą chciwym sąsiadom do uczynienia nas niewolnikami. Rzekną oni: „Polacy są narodem barbarzyńskim, nie „umieją się między sobą zgodzić, nie umieją być prawu posłuszni, „nie umieją dla siebie ustanowić pewnej konstytucyi rządu, pra„gną wolności, a nie znają się na niej, są despotami nad pospól„stwem, a nie chcą nad sobą żadnego znosić panowania· pijaństwo, „przekupstwo, podłość, zemsta, lekkomyślność rządzi ich obrada„mi. A zatem nie warci są tej wolności, którą posiadają“... Tak przykre zarzuty znajdują się w dziełach Fryderyka II, króla pruskiego, w Berlinie wydanych roku 1788. Zdanie tak wielkiego króla świadkiem jest, jaką o nas mają opinią obce mocarstwa, i tej opinii nic poprawić nie może, tylko oddana sprawiedliwość ludziom przez dobrą konstytucyą rządu ...

Płci piękna i wy, matki wolnych Polaków!... Nędza uciśnionego ludu stawia się przed waszemi oczyma! Ratujcie ją, nakłońcie do litości i sprawiedliwości serca prawodawców! niech jak najrychlej zmażą tę wstydliwą hańbę w prawach naszych! niech przyczynią jak najprędzej obywatelów, a tem samem i obrońców, tej nieszczęśliwej Ojczyźnie! niech przez oddanie sprawiedliwości uciśnionemu ludowi przebłagają groźne nad nami niebo!

Lecz nie lepiejże naprzód oświecić pospólstwo, aby go przysposobić roztropnie do przyjęcia świętego wolności daru? Nie lepiej, odpowiadam: owszem byłby to najsroższy prawodawca, któryby oczekiwał oświecenia ludu dla powrócenia mu wolności. Niemasz nic straszniejszego w naturze ludzkiej, jak oświecony niewolnik: czuje on wtenczas cały ciężar niesprawiedliwości, który go uciska, a nie myśląc o niczem więcej, jako o przywróceniu sobie praw przyrodzonych, obraca do tego cały rozum, aby się mógł zemścić na tym, który dziedzictwo jego dotąd niesprawiedliwie posiadał, zapala swe serce, aby się zdobyć mogło na najsroższe sposoby zemsty. Niechaj nikogo nie zadziwia okrucieństwo ludu, o którem albo się nam czytać, albo słyszeć zdarzyło, bo płód, którego ojcem jest ucisk, a matką niewola, musi przechodzić jadem i srogością wszystko to, cokolwiek na umyśle wystawić sobie możemy drapieżnego i zabijającego. Spieszmyż się wrócić ludziom, co im natura ubeśpieczyła; oświeceni, sami sobie odbierą, a nie oświeceni, będą narzędziem obłudnika i despoty do wydarcia swobód naszych; im mniej zaradzić temu w dzisiejszej rewolucyi ze-

chcemy, tem pewniejszymi być możemy, że albo my, albo nasze potomstwo stanie się ofiarą rozpaczy i zemsty ludu. Niech każdy rozważy postać narodu polskiego za Mieczysława II, za Jana Kazimierza, za dni naszych! Srogość miecza przytłumi tylko wkorzenioną w pospólstwo niechęć, lecz jej nigdy ugasić nie zdoła. Im skromniejszy, im w głębszem milczeniu westchnienia swoje podnosi ku niebu niewolnik, tem okrutniejsze gnieździ w swem sercu uczucia, aby przy zdarzonej porze wywarł całą swą srogość na nieprawego swej wolności uzurpatora...

Nie łudźmy się wzrastającą siłą wojska naszego! Któż na tem zyskał, że rolników do szczętu wytępiał? co warta nasza ziemia bez pracowitej ich ręki? co znaczyć będą nasze bogactwa—przy wytępionej ludności? Gdyby ojcowie nasi poddali się byli wyrokom prawdy, gdyby traktat hadziacki (1658) i prawa ludzi w całości zachowane zostały, Ukraina po obie strony Dniepru byłaby dotąd własnością Rzeczypospolitej, a religia dyzunicka byłaby narzędziem przysposobienia innych słowiańskich narodów pod słodkie wolności panowanie.

Ale nie na tem dosyć: roztropność woła na nas, abyśmy, ubeśpieczywszy ludzi, upewnili prawa wszystkich właścicielów ziemi. Dziwujemy się nędzy miast naszych, nie mamy żadnego, któreby kwitnącym stanem równać się mogło z obcemi. Czemuż? Bo właściciel ziemi miejskiej nic nie znaczy w rządzie naszym, tak jak rolnik w prawach człowieka!... Ktoby mi to dał, ażeby każdy nieuprzedzonym umysłem chciał rozebrać tak wielkie pożytki z przyłączenia do rządu krajowego rzeczonego stanu (t. j. mieszczan)! Jakażby radość nie opanowała natychmiast serca tych obywatelów! jaka wdzięczność nie łączyłaby ich najściślej z nami!... jak wiele gorliwości, jak wiele dałoby się widzieć heroizmów!... Zgoła nowy lud dałby nową Rzeczypospolitej siłę, a my przez sprawiedliwe prawodawstwa wyroki zasłużylibyśmy na powszechne całej Europy uwielbienie, rzucilibyśmy postrach na nieprawych wolności naszej ciemiężycielów, zachęcilibyśmy z odległych krajów przyjaciół wolności, którzy, nie wiedząc, gdzie się przed uciskiem schronić, idą za morze do ziemi Franklina i Waszyngtona. Każdy starałby się Polskę mieć swoją ojczyzną!...

Polacy! Ośmielcie się aby raz być narodem, a narodem prawdziwie wolnym! Rząd dzisiejszy jest przyczyną, iż nas postronni do obcej przyrównali hordy, która gwałtownym napływem dawnych podbiła sobie mieszkańców. Czemże się, w samej rzeczy, różniemy od Saracenów, Grecyą i brzegi Afryki posiadających? Naród Mahometa nie jestto naród tych krajów, nad którymi panuje; bo tam mała tylko liczba Turków podzieliła między siebie dawną Grecyą, i ta jedynie między nimi a nami zachodzi różnica, że u nich jeden despota Muzułmanowi, co i Grekowi, rozkazuje, u nas zaś sto tysięcy szlacheckich familii składa naród arystokra-

tyczno-feudalny, resztę milionów ludzi za obcych mając niewolników. Jeżeli zaś chcemy, abyśmy byli jednym narodem, potrzeba koniecznie, żebyśmy byli wszyscy zupełnie wolnymi, pod panowaniem praw dobrych, dla całego ludu jednych...

Mężowie wybrani i wy, prawodawcy wolnego narodu! Zastanówcie się ze drżeniem i bojaźnią nad stanem nieszczęśliwej ziemi, której mieszkańcy od niespamiętanych czasów ponoszą ucisk i nędzę! Łzy ich nie znają ani końca, ani odpoczynku; niepewność losu odstręcza ich od dbałości na własne zarobki, od przywiązania do swego potomstwa, na które spoglądają, jako na ofiarę niesprawiedliwości i przemocy; pijaństwo jest dla nich zasłoną, z nieba prawie użyczoną, aby nie widzieli przestraszającej nędzy, w której ich niesprawiedliwość rządu pogrążyła. Nie zwrócicież ku nim nigdy oczów? nie będzież nigdy sprawiedliwość przemieszkiwać w tym nieszczęśliwym narodzie? nie zechcemyż ani sobie ani ludzkości dobrze uczynić? Myślcie, jak chcecie, ulegajcie uprzedzeniom, oglądajcie się na wasze u niesprawiedliwych znaczenie: ja śmiało powiem, iż dłużej jest rzeczą niepodobną, abyśmy się spuszczać mogli na protunkową[1] reformę. Znamy aż nadto skutki tych niedołężnych odmian, które tyle razy kraj zburzyć i zniszczyć, ale go nigdy uszczęśliwić nie potrafiły. Piąty raz za dzisiejszego panowania bierzemy się do poprawy rządu[2]; piąty raz nas samych łudzić będziemy, jeżeli się nie weźmiemy do gruntu, jeżeli nie będziemy odważnymi poddać się panowaniu Prawdy! Oto jest pora najszlachetniejsza użycia w narodzie waszego kredytu! oto jest sposobność doświadczenia dzielności rozumu i woli waszej! teraz jest czas, jeżeli chcecie prawdziwego dobra ojczyzny waszej lub jeżeli go do skutku przywieść zdołacie! Bojaźń i podłe oglądanie się, aby przyszłość uskuteczniła to, co wy dziś czujecie, zda się tylko na przyprawienie całej narodu powszechności o nowy upadek; rozpacz zastąpi jej miejsce, rozpacz najokrutniejsza w swych skutkach, a czego prawa władza porządnie i sprawiedliwie ułożyć nie zechce, to zaślepiona zemsta bez porządku, bez względu na cały polityczny układ do skutku przywieść może. Ślepy Samson, obalając gmach cały, siebie, prawda, na zgubę wystawił, ale gruzy, na głowę jego padające, całą przywaliły powszechność!

§ 97. Na literaturę polityczną sejmu czteroletniego składają się nietylko pisma prozaiczne, ale i utwory poetyczne (a przynajmniej wierszowane), i nigdy jeszcze w Polsce poezya nie była tak silną i skuteczną bronią do oddziaływania na opinię publiczną,

[1] protunkowy = tymczasowy. [2] w r. 1776 usiłowano znieść *liberum veto*; w r. 1775 powstała Rada Nieustająca; w r. 1780 odrzucono statut Andrzeja Zamojskiego; w r. 1789 zniesiono Radę Nieustającą.

jak podczas sejmu czteroletniego. Jedni poeci budzili w społeczeństwie ducha patryotycznego i zachęcali sejmujące stany do godnego wywiązania się ze swych obowiązków; inni ośmieszali albo piętnowali opieszałość, wstecznictwo, prywatę; inni wreszcie targali się na mądrość i cnotę, załatwiając z tym albo z owym swoje osobiste rachunki. Krążyło więc po Warszawie całe mnóstwo utworów wierszowanych (najczęściej bezimiennych), jakoto ód i odezw patryotycznych (np. wiersz Trembeckiego *Do moich współziomków*, § 88) oraz ciętych epigramatów i uszczypliwych wierszyków, satyr i paszkwilów. Nie wszystkie, naturalnie, paszkwile wypłynęły z miłości ojczyzny i ze świętego oburzenia na jej synów wyrodnych: Zabłocki (§ 89) był wyjątkiem; najczęściej dyktowała je niechęć i złość osobista albo też chęć popisania się złośliwym językiem i tanim dowcipem; i słusznie oburzał się na takich „poetów“ Trembecki w doskonałej *Satyrze przeciw paszkwilom*: „Co was dziś do pisania złych wierszy zapala, godni wieszczkowie Jasnej Góry i Sokala[1]? Złość czy zemsta? Bo mogę powiedzieć zawczasu, że was rządca mądrego nie zagrzał Parnasu[2], ni Muzy słodkiej Safo, ni Horacyjusza, ale raczej Belzebub albo podła dusza. Czem[3] szabli nie weźmiecie w rękę zamiast pióra, kiedy wam odmówiła darów swych natura?... Albo powiększcie talent, dotąd jeszcze słaby, a nie skrzeczcie tak głośno, Helikonu żaby!... Uczcie się wprzód poznawać własności człowieka, niźli się wasza nad nim rozciągnie opieka, i raczcie go malować częściej z prawej strony, nie sięgając w nim nigdy wad przez wszystkie tony: są to znaki wściekłości i mózgu choroby czernić węglem złej sławy najpierwsze osoby!“ Krążyło też po Warszawie podczas sejmu mnóstwo zagadek wierszowanych, np.: „Biskup przystojny, mówca zabawny, kursor[4] wyborny, gracz w wista sławny, intrygant zręczny, podszyty cnotą, króla i naród odda za złoto“. Zagadka powiedziała prawdę: zaprzedał niebawem ojczyznę biskup inflancki, Józef Kossakowski, przyszły targowiczanin. Takie zagadki układano na wszystkich uczestników wielkiego sejmu: na króla, biskupów, ministrów, wojewodów, hetmanów, posłów. Nie zawsze jednak ganiły te wierszyki, czasem chwaliły, np.: „Dobrze myśli, mało mówi, podobien jest strumykowi, w kilku słowiech wiele znaczy; niech się każdy tak tłumaczy“. W zupełności zasłużył sobie na tę pochwałę *poseł inflancki, jeden z najrozumniejszych mówców sejmu czteroletniego i jeden z najwybitniejszych przedstawicieli jego poezyi politycznej, wierny towarzysz, przyjaciel i powiernik Kościuszki*, **Julian Niemcewicz** (1757—1841), urodzony w Skokach na Litwie (o milę od Brześcia).

Rozkwit jego działalności literackiej przypada dopiero na czasy

---

[1] t. j. warci miana „poetów“ częstochowskich albo dziadów sokalskich, klecących liche rymy na odpustach i jarmarkach. [2] t. j. Apollon. [3] czemu. [4] biegun, biegacz.

porozbiorowe, kiedy to ukażą się, pomiędzy innemi, jego słynne *Śpiewy historyczne* (1818); ale i w literaturze niepodległej Polski chlubnie się już zaznaczył Niemcewicz, jako autor komedyi *Powrót posła* i innych *utworów patryotycznych*. Bo gorący patryotyzm to najznamienniejsza i zarazem najpiękniejsza jego cecha, i jako człowieka i jako pisarza. „Nie każdy naród — jak się pięknie wyraził Stefan Witwicki (§ 48)—i nie w każdej bytu swego epoce może podobnych mężów pokazać, mężów, w których tak się skupia i wciela całe jego życie, iż stają się jakby *uosobionym narodem*; *jednym z takich ojców, przez których Opatrzność błogosławi narodowi, takim wcielonym narodem, Człowiekiem-Polską był Niemcewicz*“. Był zaś Niemcewicz Człowiekiem-Polską nietylko dlatego, że przez lat kilkadziesiąt brał czynny udział we wszystkich wypadkach, stanowiących najistotniejszą treść naszej historyi, począwszy od sejmu czteroletniego aż do tułactwa na obczyźnie po roku 1831, ale nadewszystko dlatego, że całe jego życie od—kolebki niemal aż do deski grobowej — to jeden wspaniały poemat miłości, poświęcenia i cierpienia dla Polski. Ukochał ją, będąc małem dzieckiem, bo miał rozumnych i zacnych rodziców, którzy wpoili w jego serce zarówno miłość tradycyi narodowej, jak ból nad bijącemi w ojczyznę nieszczęściami i głębokie poczucie świętości obowiązku służenia jej ze wszystkich sił swoich. Kilkoletni pobyt w Szkole Rycerskiej rozwinął jeszcze i utrwalił w jego duszy te uczucia, a dalszą szkołą patryotyzmu była mu przyjaźń z rodziną Czartoryskich; jako adjutant księcia generała ziem podolskich, odbywał z nim liczne podróże po kraju i całem sercem pokochał ziemię rodzinną, jej bogactwa, jej piękności, jej przeszłość. A nie wyziębiły tej miłości długie podróże zagraniczne — po Anglii, Francyi, Niemczech, Włoszech — przeciwnie wzmocniły ją jeszcze: widok potęgi politycznej obcych krajów i ich wysokiej cywilizacyi (zwłaszcza Anglii) napełnił serce Niemcewicza bólem na myśl o słabości i ubóstwie własnej ojczyzny, ten zaś ból był mu podnietą do pracy patryotycznej. Na jej widowni wystąpił po raz pierwszy podczas sejmu czteroletniego, jako poseł inflancki; należał całą duszą do stronnictwa patryotycznego i wierzył mocno w możność ratowania Polski, wierzył, że, „jeśli dziś rzeczy polskich nie podniesiemy, nie okoliczności, ale nas samych będzie to winą, na nas spadną łzy i cierpienia pozostałych po domach braci, na nas narzekania następnych wieków, a dręczące sumnienia jędze wyrzucać nam będą przez resztę dni naszych i dzisiejszą opieszałość i przyszłe nieszczęścia“. Na sesyach sejmowych zabierał głos kilkakrotnie: przemawiał za uprawnieniem mieszczaństwa i ludu, za dziedzicznością tronu, w obronie Komisyi Edukacyjnej i w innych jeszcze sprawach, a mówił zawsze doskonale przygotowany, z planem i ładem, jasno i rozumnie, bez czczych frazesów, zato z głębokiem przekonaniem i z sercem. A nietylko słowem, ale i piórem popierał pracę sejmową: pomiędzy innemi,

założył i wydawał wraz z Tadeuszem Mostowskim (kasztelanem raciąskim) i Józefem Weyssenhoffem (posłem inflanckim) *Gazetę narodową i obcą*,—pierwsze polskie czasopismo polityczne. Po przystąpieniu króla do Targowicy wyjechał Niemcewicz wraz z innymi patryotami zagranicę, ale, kiedy wybuchło powstanie Kościuszki, powrócił, był adjutantem i sekretarzem Naczelnika, walczył pod Szczekocinami, a w nieszczęsnej bitwie maciejowickiej, ranny, dostał się do niewoli. Zawieziony wraz z Kościuszką i innymi bohaterami do Petersburga, przez dwa lata męczył się w lochach twierdzy petropawłowskiej; po śmierci Katarzyny wypuszczony na wolność przez cesarza Pawła, wyjechał do Ameryki. nie chcąc opuszczać chorego i zbolałego Kościuszki. Ale po latach powróci do kraju, osiądzie w Warszawie i z młodzieńczym zapałem będzie pracował dla ojczyzny; a kiedy wybuchnie powstanie r. 1830, podejmie się, ósmy już krzyżyk dźwigając na barkach, poselstwa do Anglii, póki nakoniec nie osiedli się na wychodźctwie w Paryżu i nie dokona swego męczeńskiego, a niepokalanego żywota, — żywota, który prawdziwie był „arką przymierza między dawnemi i młodszemi laty",—między Polską niepodległą, za którą walczył, a porozbiorową, w której przez lata całe „stał na straży narodowego pamiątek Kościoła" ten rycerz bez trwogi i zmazy.

„Wcześnie — pisze Niemcewicz — obudził się we mnie smak do poezyi: w szesnastym roku napisałem poemat *Wojna kobiet*... Od tego czasu zacząłem bazgrać wiersze, i nałóg ten nie opuścił mię przez lat z górą sześćdziesiąt,... dyabełek poezyi kusił mię zawsze". Pisywał więc drobne wierszyki, ody, listy poetyckie, tłumaczył poezye Woltera i powieści francuskie, póki wreszcie nie natrafił na drogę, odpowiednią zarówno swemu poglądowi na poezyę, jako na środek do n a u c z a n i a, jak swemu *talentowi satyrycznemu*. Z drogi tej nie zboczył już do śmierci: jego poezya ma charakter dydaktyczno-satyryczny, uczy mianowicie miłości ojczyzny, a piętnuje lub ośmiesza wszystko, co się tylko z miłością ojczyzny nie zgadza. *Duch obywatelski, tendencya patryotyczna, to najznamienniejsza cecha wszystkich wogóle pism Niemcewicza.* Nie był on nigdy — mówi Mickiewicz — „poetą sztukmistrzem, nigdy nie pisał dla zabawy swych czytelników, nigdy nie składał ofiar sztuce; sztuka nie była jego bożyszczem; *był on przedewszystkiem i jedynie Polakiem*; dzieła swoje brał za narzędzia do walczenia z nieprzyjaciółmi Polski;... *jeżeli wszystko, co się pisze z natchnienia chwilowych okoliczności, co jest przeznaczone do wywarcia wpływu naprędce, godzi się nazwać pamfletem, można powiedzieć, że Niemcewicz nie pisał nic innego, tylko pamflety*, że był największym ze wszystkich znanych pamflecistów, zawsze przywiązanym do tej samej sprawy, zawsze jednako miłującym ojczyznę, a zawziętym na jej nieprzyjaciół, nigdy nie przestawał on stawać w jej obronie i nigdy nie darował jej wrogom politycznym, moralnym i literackim". Otóż głów-

nem źródłem natchnienia dla poezyi Niemcewicza był w XVIII wieku sejm czteroletni: pragnąc urabiać opinię publiczną, naprędce pisał pamflety, czyto pod postacią *bajek*, zawierających w sobie alluzye do współczesnych wypadków, czy też *dum*, np. o Żółkiewskim, któremi budził miłość sławnej przeszłości (a które później wejdą w skład *Śpiewów historycznych*).

Lecz najznakomitszym pamfletem patryotycznym Niemcewicza z czasów sejmu czteroletniego jest *Powrót posła* (1790), *najoryginalniejsza komedya polska XVIII wieku i zarazem pierwsza polska komedya polityczna*. Przez długi czas budziła ona nieopisany entuzyazm w Warszawie (po raz pierwszy wystawiono ją w styczniu roku 1791), wcale nie dlatego, żeby za doskonałą komedyę uchodzić mogła, ale dlatego, że była sztuką w całem znaczeniu tego wyrazu a k t u a l n ą (na czasie), bo poruszała sprawę najżywotniejszą i najświętszą ze wszystkich podówczas w Polsce żywotnych i świętych, sprawę ratowania ojczyzny, toczącą się na sejmie, którego obrady przeniósł Niemcewicz (w ogólnym zarysie) z zamku królewskiego na scenę.

Pozornie osią, około której obraca się akcya komedyi, jest nie sprawa publiczna, tylko prywatna, mianowicie miłość dwojga młodych, miłość z przeszkodami. Rzecz dzieje się na wsi, w domu państwa podkomorstwa, na jesieni roku 1790, podczas limity (przerwy) sejmowej, kiedy to, w oczekiwaniu nowych wyborów uzupełniających, dawniej obrani posłowie rozjechali się do domów. Otóż państwo podkomorstwo z biciem serca wyczekują „powrotu posła“, którym jest ich własny syn, Walery; z biciem serca wyczekuje go i panna Teresa, córka pana starosty Gadulskiego z pierwszego małżeństwa, która, wychowując się po śmierci matki u państwa podkomorstwa, dzieckiem jeszcze pokochała ich syna, a teraz niepokoi się, czy czasem Walery, bawiąc tak długo w Warszawie, nie zapomniał o niej, czy ją po dawnemu kocha. Obawy okazują się płonne,—wraca Walery, ten sam, co zawsze. Lecz teraz dopiero zaczynają się piętrzyć „przeszkody zawzięte“. O serce, a raczej o posag Teresy, ubiega się głupi fircyk warszawski, Szarmancki; wprawdzie Teresa nie cierpi go z całej duszy, ale wie, że nie ona rozporządza swą ręką, tylko jej surowy ojciec; ojciec zaś przyobiecał był wprawdzie kiedyś państwu podkomorstwu, że wyda Teresę za Walerego, ale teraz nie chce o tem słyszeć, raz, że Walery należy do stronnictwa patryotycznego, którego on nienawidzi, a drugi raz, że Walery, jako człowiek niezamożny, będzie się z pewnością upominał o posag, którego on nie ma najmniejszej ochoty dawać: bo chociaż ma pełną kieszeń, ale w kieszeni węża. Nie dosyć na tem. I macocha Teresy, pani starościna, „żona modna“, trzymająca męża pod pantoflem, kobieta w gruncie rzeczy niezła, ale ciężko głupia, nie chce zezwolić na małżeństwo Teresy z Walerym: przecie Walery to „sensat“ (jak nazywano ironicznie ludzi poważnych,

uczonych), który może wprawdzie „mowy pisać, prawo zacytować“, ale nie umie czule wzdychać; więc Teresa odda rękę Szarmanckiemu, bo ten umie „się atandrysować i jęczeć“. Starosta, zapewniony przez żonę, że Szarmancki nie będzie żądał posagu, „zawczasu już ściska kochanego zięcia“ i chce „wesele dziś jeszcze odprawić“. Ale cóż, kiedy kochany zięć ani myśli iść do ołtarza, póki nie będzie „wiedział na piśmie, nie słowy, jak wielki będzie posag i czyli gotowy“. Wówczas oburzony starosta zezwala na małżeństwo Teresy z Walerym, bo ten naprawdę ani grosza posagu nie chce; a i pani starościna, „*voyant de plus près*[1] tak czułe kochanie“, nie odmawia swego błogosławieństwa.

Nie ta osnowa, oczywiście, stanowi o znaczeniu i wartości *Powrotu posła*, bo też nie o nią Niemcewiczowi chodziło, ale zupełnie o co innego. „Ma to do siebie umysł czytelnika, — czytamy w przedmowie — iż łatwiej daleko i uwagę swą zwraca i korzyści odbiera z rzeczy, które pod postacią rozrywki uczą go i bawią, niż z takich, które, surowym i nauczycielskim przepowiedziane tonem, umysł jego bez odpoczynku wysilają i dręczą“. Otóż osnowa (i wogóle forma), komedyi była dla Niemcewicza jedynie środkiem do nauki, bo „sztuki teatralne — jak mówi — mają za cel poprawę obyczajów“, a „w kraju wolnym, gdzie każdy obywatel składa cząstkę powszechnego rządu, *nietylko prywatnego życia obyczaje, ale zdrożne względem całości krajowej opinie prostować należy*“. Zdrożne zaś względem całości krajowej opinie rozlegały się często podczas sejmu czteroletniego: wygłaszało je stronnictwo staroszlacheckie, wsteczne, bądź słowem — na obradach sejmowych, bądź piórem—w książkach i broszurach, sprzeciwiając się, wbrew stronnictwu patryotycznemu, wszelkim gruntownym reformom, zezwalając co najwyżej na niektóre drobne, powierzchowne zmiany. Tę właśnie *walkę dwu stronnictw, która stanowi całą niemal treść działalności wielkiego sejmu, zobrazował Niemcewicz w swojej komedyi, wystawiając w pięknem świetle patryotów, a ośmieszając wsteczników*, aby, jak mówi, „wyszydzić ostatek zakorzenionych przesądów“.

Przedstawicielami stronnictwa patryotycznego są w komedyi podkomorzy i Walery. Obydwaj są szlachetni i rozumni, hołdują zasadzie, że „dom zawsze ustępować powinien krajowi“, cieszą się całem sercem z działalności wielkiego sejmu, rozumieją potrzebę reform nietylko politycznych (np. zniesienia tronu obieralnego), ale i społecznych: pan podkomorzy w radosny dzień zaręczyn swego syna ze starościanką obdarza wszystkich swoich chłopów wolnością (podobnie jak pan Tadeusz w poemacie Mickiewicza, kiedy się zaręczył z Zosią). Krótko mówiąc, podkomorzy i Walery to uosobienia wszelkich rozumów i wszystkich cnót, zarówno rodzinnych, jak patryotycznych. Szkoda tylko, że, jak pan Pod-

[1] widząc zblizka.

stoli Krasickiego, są to doskonałości papierowe, bo ani w postać ojca, ani w postać syna nie umiał Niemcewicz tchnąć życia.

Bez porównania lepiej udała mu się postać przedstawiciela stronnictwa staroszlacheckiego,—pana starosty, który się nie darmo nazywa Gadulski: „Jak zaczął to o sejmie, to o wojnach bajać, ze wszystkimi się sprzeczać, wszystkich kłócić, łajać, gęba się nie zamknęła przez całą wieczerzę; powywracał butelki, szklanki i talerze; naostatek, chociaż mu nikt nie odpowiadał, on jednak, zaperzony, jak gadał, tak gadał; i dopiero, jak postrzegł, że już wszyscy spali, że świece gasły, przecież, mrucząc, wyszedł z sali i na schodach dokończył ostatka swej mowy“. Otóż w tych mowach pana starosty odzwierciedla się przepysznie jego charakter, zwłaszcza jego ciasny, zakuty łeb staroszlachecki, w którym się pomieścić nie może, aby Rzeczpospolita potrzebowała jakiejkolwiek reformy: przecie wszystko, co stare, to mądre, a wszystko, co nowe, to głupie! „Bóg wie, co porobiły sejmujące stany: dlaczego ten rząd, poco te wszystkie odmiany? Alboż źle było dotąd? a nasi przodkowie nie mieliż to rozumu i oleju w głowie? Byliśmy potężnymi pod ich ustawami: jakto Polak szczęśliwie żył pod Augustami! co to za dwory, jakie trybunały huczne, co za paradne sejmy, jakie wojsko juczne! Człek jadł, pił, nic nie robił, i suto w kieszeni! Dziś się wszystko zmieniło i bardziej się zmieni: zepsuli wszystko, tknąć się śmieli okrutnicy *liberum veto*, tej to wolności źrzenicy!! *(płacze)* Przedtem bez żadnych intryg, bez najmniejszej zdrady jeden poseł mógł wstrzymać sejmowe obrady, jeden ojczyzny całej trzymał w ręku wagę: powiedział *Nie pozwalam!* i uciekł na Pragę! Cóż mu kto zrobił? jeszcze za tak przedni wniosek miał promocye i dostał czasem kilka wiosek; dzisiaj co kto dostanie? nowomodne głowy chcą robić jakieś straże, jakiś sejm gotowy [1],—czyste do despotyzmu otwierają pole!“... „Czyliż się to z rozumem może zgodzić zdrowym, żeby poseł w urzędzie był dwa lata trwale? Sejm powinien być tylko o ś. Michale, nie więcej, jak sześć niedziel: *tak przedtem bywało!*“... „Jakże też można mieć tak dzikie zdania i przez sukcesyą naród chcieć jarzmem uciskać? W tym przypadku pytam się: *co kto może zyskać?* Król dziś umrze, nazajutrz syn po nim nastaje, wszystko się w spokojności, jak wprzódy zostaje, wszystko cicho, i nikt się nikomu nie skłoni; w elekcyi każdy swego kandydata broni, wszyscy na koń wsiadają i, podług zwyczaju, zaraz panowie partye formują; ten mówi do mnie z miną rubasznie-przyjemną: «Kochany panie Pietrze! proszę, bądź Waść

---

[1] Sejm sześciotygodniowy zamierzano zamienić na sejm gotowy, któryby można było zwołać każdego czasu w razie potrzeby—z posłów, obranych na przeciąg czasu nie sześciotygodniowy, ale dwuletni; w czasie niesejmowym miała pomagać królowi do wykonania uchwał sejmowych straż, złożona z dwunastu członków, a wybierana przez sejm na dwa lata.

ze mną![1] Między nami, tę wioskę weź niby w dzierżawę!»; drugi, żebym był za nim, puszcza mi zastawę, ten daje sumę,—i tak człek się zapomoże! Prawda, z tego wszystkiego przyjść do czubów może, i tak było po śmierci Augusta wtórego: ci bili Sasów, owi bili Leszczyńskiego, palili sobie wioski: no, i cóż to szkodzi? obce wojsko, jak wkroczy, to wszystko pogodzi (!!!); potem amnestya, panom buławy, urzędy, szlachcie dadzą wójtostwa, obietnice, względy, — niebyłoż to tak dobrze?" Kiedy pan podkomorzy nadaje włościan swoich wolnością, pan starosta, oczywiście, nie posiada się z oburzenia: „Potrzebne to rzeczy? do czego to znów przypiąć to ich uwolnienie? to tylko Waćpan robisz dla drugich zgorszenie!"

Oto są „zdrożne względem całości krajowej opinie", które niemiłosiernie ośmiesza Niemcewicz, wkładając je w usta pana starosty; aby zaś już do reszty dobić w opinii publicznej stronnictwo staroszlacheckie, zrobił z pana starosty nietylko skończonego głupca i wstecznika, ale nadto pijaka i niedołęgę, skąpca i chciwca, słowem odsądził go od czci i wiary. To też, jak *Sarmatyzm* Zabłockiego (§ 90) jest, dzięki postaci Guronosa, najostrzejszą w literaturze XVIII w. satyrą na sarmatyzm w życiu domowem, tak *Powrót posła Niemcewicza jest, dzięki postaci pana starosty, najostrzejszą satyrą na sarmatyzm w życiu publicznem*, jest jakby ostatniem słowem w tej walce przeciwko wstecznictwu i nierozumowi politycznemu, którą jeszcze w wieku XVI rozpoczął Górnicki w swojej *Rozmowie Polaka z Włochem* (§ 33).

Ale i o „prywatnego życia obyczajach" nie zapomniał Niemcewicz, piętnując ich rozluźnienie pod wpływem cudzoziemczyzny: Szarmancki mianowicie to doskonały przedstawiciel napoły zcudzoziemczałej i na sprawy ojczyzny zupełnie obojętnej „złotej młodzieży" warszawskiej; to typ „fircyka", „lwa salonowego", którego główną specyalnością jest próżniactwo i rozpusta, zabawa i polowanie — nietylko na zwierzęta, ale głównie na posażne panny. W osobie zaś pani starościny (także na poły sfrancuziałej) ośmieszył Niemcewicz „żony modne" z ich sentymentalizmem i pozowaniem na poetyczne istoty, z ich zdumiewającą zdolnością do omdlewania i spazmów na każde zawołanie, z ich przewróconemi głowami i sercami. Ze wszystkich postaci *Powrotu posła* te dwie, chociaż potrosze skarykaturowane, posiadają najwięcej prawdziwego k o m i z m u, i one to głównie nadają komedyi wartość artystyczną. A jak postać starosty ma swoje przeciwieństwo w postaci podkomorzego, tak przeciwieństwem Szarmanckiego

---

[1] Jak pisze sam Niemcewicz w *Pamiętnikach czasów moich* Branicki na sejmie r. 1775 obstawał „w rubasznej mowie" za utrzymaniem dawnej kawaleryi, złożonej z samej majętnej szlachty: „Nie wielebym ufał—wykrzykiwał — tej z chłopstwa złożonej piechocie, lecz wszystkiego dokażę, kiedy, obróciwszy się do szlachty, do chorągwi poważnych, zawołam: Panie Piotrze, panie Pawle! hejże, bracia, za mną!"

i starościny są Walery i podkomorzyna· pragnął Niemcewicz uwydatnić przeciwieństwo dwu światów polskich, zarówno w zakresie życia publicznego, jak obyczajowego, i zamiar swój spełnił znakomicie.

Akt drugi, scena siódma. *Szarmancki i Starościna.*

S-na. *Quel ton*[1]! Pocóż tak krzyczał[2] sposobem nieznośnym?
Szarm. Nie wiem, skąd mu się wzięło być ze mną zazdrośnym.
S-na. *C'est assez drôle*[3], prawdziwie: to on kochać umie?
Szarm. A, skąd znowu? On tego wcale nie rozumie!
Jego rzecz mowy pisać, prawo zacytować;
Lecz tej tkliwej czułości nie umie pojmować,
Tych rzutów serc do siebie, tego rozrzewnienia...
S-na. Tych łez słodkich, tych nocy bezsennie trawienia...
Szarm. Bezsennie? On noc całą chrapie, jak zabity!
S-na. Ach! bo mu serca ogień nie pali ukryty
Ni okrutne *suwniry*[4]. (*płacze*)
Szarm. Te łzy, te rozpacze
Porzuć, proszę, bo ja się prawdziwie rozpłaczę!
S-na. *Comme vous êtes bon, honnête*[5]! jak masz duszę tkliwę!
Ty jeden cieszyć możesz serca nieszczęśliwe.
Szarm. Wszystkiego mi się zwierzyć możesz poufale;
Zdawna widzę, że smutek, ciężkie jakieś żale
Struły życie Waćpani: ustawnieś stroskana.
S-na. Twarz Waćpana otwarta, dyskrecya tak znana
Ufność we mnie wzbudzają: wszystko mu odkryję;
Widzisz, w jakich *supirach*[6] i tęsknocie żyję.
Une perte cruelle[7], o Boże! W kwiecie mej młodości
Kochałam szambelana, cud doskonałości!
Quelle figure et quels talents[8]! jak cudnie walcował!
Jakie fraki, halsztuki! ach, jak się fryzował!
Ja, co zawsze nad względy miłość mą przekładam,
Mimo rodziców, chciałam z nim uciec od *madam*,
Złączyć się z mym *idolem*[9], kiedy Parki srogie
Przecięły nożyczkami dni jego tak drogie. (*płacze*).
Szarm. O żale! o rozpacze! o dniu nader smutny!
S-na. Nie wiesz jeszcze przez jaki przypadek okrutny! (*wyjmuje z kieszeni pulares atłasowy i z niego papier*).
Oto wierszopis jeden, znany z swej czułości,
Podał go rymy swymi do nieśmiertelności.
Ja nie mam siły sama mówić o tej zgubie.
Szarm. Przeczytam, bo ja bardzo smutne wiersze lubię. (*czyta*).

---

[1] jaki ton! [2] Walery. [3] to dosyć zabawne. [4] wspomnienia (*souvenir*). [5] jakżeś pan dobry, poczciwy! [6] supir (*soupir*) = westchnienie. [7] okrutna strata. [8] coza figura i coza talenty! [9] idol (*idole*) = bóstwo.

Elegia na śmierć Szambelana.

„Płaczcie, małe Amorki! płaczcie, Alcyjony[1]!
„Szambelan już nie żyje, szambelan zgubiony;
„A z nim zniknęły wdzięki, młodość i rozkosze.
„Uciszcie się, Zefiry! Zgon jego ja głoszę“.

S-na. Jak to czule pisano! O gorzkie wspomnienie!

Szarm. „Febus, dnia tego mgliste rzucając promienie,
„Ojciec wiecznej światłości, czynów naszych świadek,
„Zapłakany przeglądał nieszczęsny przypadek“.

S-na. Ach! czemuś go nie przestrzegł, mieszkający w niebie,
O ty nielitościwy, o okrutny Febie!?

Szarm. „Gdy szambelan do butów srebrne przypiął kolce
„I przed ganek zajechać kazał karyjolce,
„Wskoczył na powóz świetny i wprędce podane
„Chwycił, jak od niechcenia, lejce, srebrem tkane,
„I bicz angielski, giętki, długi, trzaskający;
„Tak, podobny do bogów, w powozie stojący,
„Przelatywał ulice wśrzód przepysznych gmachów,
„Sięgając prawie głową latarni i dachów.
„Leciał. Bystre bieguny, nieścignione okiem,
„Okrywały go gęstym kurzawy obłokiem.
„Zbiegały się do okna panny i mężatki
„Widzieć ten cel swych życzeń, widzieć ten cud rzadki.
„Szczęśliwa, którą spostrzegł i uchylił głowy!
„Już był biegu swojego dopełniał połowy,
„Kiedy o ostry kamień koło rozpędzone
„Uderza, pęka, — powóz, schylony na stronę,
„Wyrzuca szambelana: pada i umiera!
„Napróżno zbroczonego stangryt z krwie ociera:
„Już nie żył. Taka była srogich bogów wola!
„Amorki, duszę jego w elizejskie pola
„Przeniósłszy, postawiły między Adonisem,
„Dydoną, Eurydyką i pięknym Parysem.
„Równie świeży, jak róża, żył tyle, co ona.
„O strato równie ciężka, jak nienadgrodzona!
„Nigdy więcej na świecie drugi nie powstanie
„Równie piękny młodzieniec, jak ty, szambelanie!
„W cóż się teraz obrócą piękne twoje sprzączki,
„Konie, fraki, łańcuszki i złote obrączki?
„Ach! w cóż się twoja czuła kochanka obróci?
„Smutek, żałość i rozpacz życia jej ukróci.
„Fatalna karyjolko! Ja będę przeklinał
„Dzień nieszczęsny, gdzie Dangiel robić się zaczynał.

---

[1] zimorodki; według podania greckiego, Alcyona, gdy utonął w morzu jej mąż, Ceyx, rzuciła się w morze; Zeus zamienił czułą parę w zimorodki.

„Płaczcie, małe Amorki! płaczcie, Alcyjony!
„Szambelan już nie żyje, szambelan zgubiony“.
Ach, co za czułe wiersze! żal mi serce ściska,
I, chociaż ten przypadek nie tyka mię zblizka,
Smutny będę przez tydzień.
S-na. Ja zaś całe życie
W *plentach*[1] i gorzkich żalach trawić będę skrycie.
O vous ombre chérie[2]! (*płacze*).
Szarm. Czemuż nieba zagniewane
Złączyć nie pozwoliły serca tak dobrane?
S-na. Tą śmiercią omylona w najtkliwszym wyborze,
Le reste de mes jours[3] chciałam przepędzić w klasztorze
I zostać bernardynką! Rodziców rozkazy
Nowe sercu mojemu przyczyniły razy,
Łącząc mię *malgré moi*[5] z dziwacznym człowiekiem,
Co się nie zgadza ze mną ni gustem, ni wiekiem,
Który nawet wyrazów moich nie rozumie,
Co się *attandrysować*[5] ni jęczeć nie umie;
I, kiedy ja w najtkliwszem jestem rozkwileniu,
On przychodzi mi gadać o życie, jęczmieniu,
O fryjorze[6] do Gdańska.
Szarm. A, to rzecz nieznośna!
I cierpi na to dusza prawdziwie miłosna!
Delikatnej czułości Waćpaniś jest wzorem.
Ach! czemuż Staróścianka nie idzie jej torem?
S-na. Jakże panna Teresa Waćpana znajduje?
Szarm. Kocha mię, ale tego nie dość pokazuje;
Podkomorzyc ją także pono bałamuci.
S-na. Bądź Waćpan pewien, że się konkurencya skróci;
En vain[7] podkomorzyna krząta się i swata:
Córki naszej nie damy nigdy za sensata[8].
Szarm. Zamiast romansów, w których czułość i zabawa,
Onby jej kazał czytać *volumina*[9] prawa.
S-na. Zanudziłby ją na śmierć; tego nie ścierpiemy; —
I ja i mąż mój nawet Waćpana życzemy.
Szarm. (*klękając z zmyślonym zapałem*).
„Wszechmocne nieba, coście dały jedną duszę,
„Bym nieszczęsnej czułości ponosił katusze,
„Dajcie drugą, bym znieść mógł rozkosz niepojętę“!
S-na. Ach! wszak to słowa, z *Nowej Heloisy*[10] wzięte!
Jak szczęsliwieś przytoczył! Takiego kochanka
En vérité[11] nie warta zimna starościanka.

---

[1] plenta (*plainte*) = skarga. [2] o ty cieniu drogi! [3] resztę moich dni. [4] wbrew mej woli. [5] rozczulać (*attendrir*). [6] fryjor = wiosenne spławianie zboża. [7] daremnie. [8] sensat=człowiek uczony, nadto poważny. [9] tomy. [10] romans Russa. [11] zaprawdę.

Mais bientôt [1] ma tu nadejść mąż mój uprzykrzony.
Chcę z nim pomówić. Waćpan bądź już zapewniony
Że koniec położemy jego czułej męce,
Że Teresa już jego.

Szarm. W Waćpani ja ręce
Składam me losy, czucia i ogień ukryty. (*odchodzi*)

Akt pierwszy, scena ósma. *Starościna sama.*

O ciel [2]! Co to będzie za mąż wyśmienity!
Je suis fière de mon choix [3] i wielbię niebiosy.
Zaraz mu starościanka musi dać swe włosy:
W czułych *tandresach* [4] słodkie te serca daniny
Więcej są warte, niż te głupie zaręczyny.
(*po chwili zamyślenia*).
Ils sont passés pour moi [5] te chwile miłośne,
Zostały się cyprysy i ciernie nieznośne.
Dni moje pełne smutku i pełne żałoby.
Z tobą ja, Jungu [6]! mieszkać będę między groby.
(*dobywa „Nocy" Junga i czyta, przerywa czytanie i woła*)
O Jungu! twoja córka, twa córka kochana
Nigdy nie była warta mego szambelana!

Akt pierwszy, scena dziewiąta. *Starościna i Starosta.*

S-ta. Cóż się Waćpani dzieje? Myślałem, że gore,
Albo że które w domu zemdlało lub chore.
Skądże te krzyki?

S-na. *Mon coeur* [7]! źle się trochę czuję:
Głowa mię boli, jakiś *frisson* [8] mię przejmuje.

S-ta. Jaki u licha fryson? Ciało pewnie zdrowe,
Lecz te dyabelskie książki bałamucą głowę:
Te was przenoszą w jakieś dziwaczne krainy
I każą płakać, wzdychać, choć niema przyczyny.
Nie w takiem matki nasze bałamuctwie żyły:
Przędły, piekły pierniki lub w krosienkach szyły;
Były przytem wesołe, szczęśliwe i zdrowe:
Nie durzyły im głowy dymy romansowe.

S-na. (*płacze*) Chcieć Waćpanu dogodzić jest rzecz, widzę, próżna;
Kiedy się nie podobam, to się rozwieść można.

S-ta. (*na boku*) Tam do kata, gdyby iść chciała do rozwodu,
Utraciłbym połowę rocznego dochodu;
To nie żart! Żonę taką trzeba *menażować* [9].
(*do starościny, śmiejąc się i biorąc ją za rękę*)

---

[1] lecz wkrótce. [3] o nieba! [3] jestem dumna ze swego wyboru. [4] tandresa (*tendresse*)= czułość. [5] przeszły dla mnie. [6] Edward Young—poeta angielski XVIII w., autor poematu *Noce*, w którym opłakał śmierć żony i dzieci. [7] moje serce! [8] dreszcz. [9] oszczędzać, szanować.

Nie, robaczku! ja tylko chciałem tak żartować,
To się ciebie nie tyczy, bądź uspokojoną!
Ach! drugiej takiej żony nie znalazłbym pono.
Nie rozdzielim się nigdy! Lecz czemuż, tak biedna,
Nie chcesz się czem rozerwać? siedzisz sama jedna?

S-na. Lubię sobie przez okno patrzeć na naturę.
Szarmancki robił ze mną maleńką lekturę;
Tout à fait garçon brave [1] i pełen *tandresy*,
Vraiment [2] bardziej nad innych wart panny Teresy:
Nie *refiuzuj* [3] mu dłużej!

S-ta. Trudno trochę człeku
Wybrać między młodzieżą zepsutego wieku.
Mamy dwuch konkurentów (każdego ktoś swata):
Potrzeba wziąć za zięcia trzpiota lub sensata.
Przyznam się, wolę tego, co już jest swym panem:
Nie będę się przynajmniej zatrudniał ich stanem;
Lecz sensat bez majątku, bez dóbr i pieniędzy,
Morałami swoimi nie opędzi nędzy,
Nowy przyczyni zachód, wydatek i troski;
Trzeba zaraz dać posag lub wypuścić wioski;
Ja zaś, niech się jak kto chce śmieje i urąga,
Ja za życia mojego nie dam i szeląga.
Niechaj się sam jegomość fortuny dorabia!

S-na. *Votre argent* [4] Szarmanckiego zapewne nie zwabia:
Au dessus des trésors [5], nad drogie kamienie
Woli *regard* [6] Teresy albo jej westchnienie.

S-ta. I jakże? to o posag przykrzyć się nie będzie?

S-na. *Jamais* [7]! On sobie w małej *kabance* [8] osiędzie,
Na zielonym *ryważu* [9] jasnego strumyka,
Słuchać będzie z Teresą tkliwego słowika.
A quoi bon les richesses [10]? W cichej *solitudzie* [11]
Żyć będą, nie zważając, co powiedzą ludzie.
Des fruits, du lait [12] — to ich będzie pożywienie,
Łzy radosnym napojem, pokarmem westchnienie.

S-ta. Jeżeli tylko takie mieć będą zabawy,
Jeśli się będą tuczyć takiemi potrawy,
To pewnie w krótkim czasie oboje wychudną,
I gościom u ichmościów będzie bardzo nudno.
Lecz powiedz szczerze: to on posagu nie żąda?

S-na. *Parole d'honneur* [13], wcale się na to nie ogląda:
Nie myśli o posagu, gdy kto kocha szczerze.

---

[1] chłopiec, co się nazywa, dzielny. [2] prawdziwie. [3] refiuzować (*refuser*) = odmawiać. [4] twoje pieniądze. [5] więcej nad skarby. [6] spojrzenie [7] nigdy. [8] kabanka (*cabane*) = chatka. [9] ryważ (*rivage*) = brzeg. [10] nacóż bogactwa? [11] solituda (*solitude*) = samotność, ustronie. [12] owoce, mleko [13] słowo honoru.

S-ta. To dobrze, niechże sobie córkę moją bierze.
Ja nic mu dać nie mogę, choć te wszystkie swaty
Rozumieją, że jestem okrutnie bogaty;
Ja atoli nic nie mam: nie takie to czasy!
Grunta pojałowiały, spustoszały lasy,
I w polu tego roku zupełnie chybiło:
Po nizinach wymokło, na wzgórkach spaliło;
Siana i źdźbła nie będzie, to samo z jarzyną;
Cieszyłem się przynajmniej cokolwiek oźminą,
Alić się dowiaduję z listów ekonoma,
Że i te nieumłotne,—sama tylko słoma...
Na przyszły rok nie myślić nawet o fryjorze.
S-na. *Mon coeur*! ty jesteś pono w niedobrym humorze...
Mam cię prosić o łaskę. (*głaszcze go pod brodę*)
S-ta. Powiedz tylko śmiele,
Powiedz, me życie, mój ty kochany aniele!
S-na. Oto przeciw kabanki, coś mi dał w *boskiecie*[1],
Gdzie sobie przesiaduję na wiosnę i w lecie,
Jest karczma z młynem, a w niej szynkuje Żyd brzydki.
S-ta. Cóż, że nie piękny, ale mam z niego użytki:
Z karczmy tej dwa tysiące płaci mi arendy.
S-na. *Eh*! *vous me sacrifierez*[2] tak maleńkie względy;
Znieś karczmę: prospektowi czyni mi zawadę,
A gdzie młyn, pozwól, niech ja zrobię tam kaskadę.
Ach! co za delicyje wśrzód tych wód mruczenia,
Wśrzód kwiatów słodkie będę przywodzić wspomnienia.
A *berżerek*[3], zdaleka smutnie grając sobie,
Będzie wdzięków dodawał przy wieczornej dobie.
S-ta. Jak też Waćpani możesz takich rzeczy prosić?
Mam znów Żyda wypędzać, młyn i karczmę znosić,
Żeby zasadzać kwiaty i robić kaskady?!
S-na. *Toujours je vois en vous*[4] twardej duszy ślady:
Nie znasz się na tej tkliwej czułości—o Boże!—
Co się to bardziej czuje, jak powiedzieć może.
Wszak posag mój wystarczy pono na kaskadę...
Si vous êtes si cruel[5], to ja precz odjadę.
S-ta. Pozwól Waćpani, niechaj pomówię wprzód z Żydem,
Może się to ułoży...
S-na. To dla mnie jest wstydem,
Że tego na Waćpanu wyprosić nie mogę.
(*rzuca się na krzesło i omdlewa*)
Je suis mal, je me meurs[6].
S-ta. (*krzyczy*) Ratujcie niebogę!
(*przybiega Agatka i lokaj, dają jej wąchać wódkę i ratują*)

---

[1] boskiet (*bosquet*) = gaik. [2] ech! ty mi poświęcisz. [3] pastuszek (*berger*). [4] podawnemu widzę w tobie. [5] jeżeliś tak okrutny. [6] źle mi, umieram!

Trzeba prędko zapobiedz tej nagłej chorobie.
(krzyczy do ucha)
Jutro Żyda wypędzę i kaskadę zrobię!
Niechaj się uspokoi me drogie serduszko!...
Nie przychodzi do siebie: nieście ją na łóżko!
(wynoszą starościnę z krzesłem)

§ 98. Przy końcu komedyi *Powrót posła* wypowiedział Niemcewicz przez usta podkomorzego swoje własne serdeczne marzenie: „Bodajbyśmy, wraz dzieląc pomyślne godziny między słodkiem staraniem krewnym i domowi a tem, co się należy własnemu krajowi, cnotliwie wszyscy w zgodzie i jedności żyli i na szczęście ojczyzny i dzieci patrzyli!“ Marzenie to zdawało się ziszczać: w kilka miesięcy po pierwszem przedstawieniu komedyi stanęła Konstytucya 3 maja; Polacy, jak pisze Niemcewicz, „potargali pęta, zmazali hańbę, stali się narodem; Europa czyn ich z zadziwieniem i poklaskiem przyjęła, naród zaprzysiągł być rządnym i niepodległym albo zginąć; nie było przykładu powszechniejszej zgody i jedności, nie można jej było dosyć uwielbić, nie można było ani dość gorących do Boga słać modłów, ani dosyć żywej podawać się radości“. Dla uczczenia pierwszej rocznicy Konstytucyi napisał Niemcewicz dramat historyczny *Kazimierz Wielki* (1792). Utwór to bardzo słaby, pisany na gwałt, ale niemałe na widzach wywarł wrażenie przez to samo głównie, co i *Powrót Posła*, t. j. przez swoją aktualność. Autor bowiem, dopatrując się pomiędzy czasami Kazimierza Wielkiego a St. Augusta, pomiędzy Statutem Wiślickim a Konstytucyą 3 maja, podobieństwa, wziął je za „materyą dramy“; nie chodziło mu bynajmniej o odtworzenie ducha epoki Kazimierza Wielkiego ani o Statut Wiślicki, ale o przystosowanie treści dramatu do chwili współczesnej, o apoteozę Konstytucyi 3 maja. A publiczność doskonale tę intencyę zrozumiała, i raz po raz rozlegały się w sali teatralnej grzmiące oklaski. Ogromne wrażenie musiało np. wywrzeć kończące dramat słowa Kazimierza W.: „Niechże ten dzień będzie hasłem powszechnej narodu radości! niech Polacy w najpóźniejszych wiekach obchodzą go, jak pamiątkę szczęśliwej ustawy sejmu wiślickiego!“— (t. j. 3 maja)—„niech pamiętają, że tą ustawą położyli koniec wstydowi, klęskom i długim cierpieniom i że tej winni są szczęście, spokojność i niepodległość swoją“. Szczególniej jednak wspaniałą była chwila, kiedy Kazimierz W. przemówił ze sceny w te słowa: „Ustawy wiślickie zbawienne są; poznał je naród i nadwerężyć ich nie dopuści, a jeśliby zdrajca jaki znalazł się, któryby z obcą mocą chciał zadawać blizny ojczyźnie, która go urodziła i karmiła, wtenczas ja, choć stary, choć z siwą już głową, stanę na czele poczciwych Polaków i albo trupem padnę, albo zostawię Polskę niepodległą, świetną i poważaną!“ Nagle powstał St. August, wychylił się z loży i zawołał: „Stanę i wystawię się!“ A sala zatrzęsła się od grzmotu oklasków.

Na nieszczęście, nie stanął i nie wystawił się St. August w obronie Konstytucyi: przyłączył się do Targowicy. Ta najhaniebniejsza hańba

dziejach dawnej Polski, ten „bólów ból“ odbił się w sercu Niemcewicza echem straszliwego oburzenia, którego wyrazem są jego dwa złośliwe paszkwile na targowiczan. Pierwszy — *Forma prawdziwego wolnego rządu przez konfederacyą targowicką ułożona* (1792) — jest parodyą (nie odbiegającą zresztą tak dalece od rzeczywistości) nikczemnych odezw targowiczan, wywracających, nibyto w imię dobra ojczyzny i wolności narodu, wielkie dzieło „spisku warszawskiego“ t. j. „głupiej i szalonej Konstytucyi 3 maja“. (!!) Oto np. artykuł o miastach i mieszczanach: „Nieszczęśliwe skutki okazują się już z nadanych praw stanowi miejskiemu przez spisek warszawski; miasta te zaczynają się murować, obcy do nich przybywać, a nawet w niektórych miejscach nieznane dotąd fabryki i rękodzieła zaprowadzać; mieszczanie wraz z szlachtą za panie bracie chcą kraju swego bronić i ofiarę składać. Przeto, tak fatalnemu zgorszeniu kładąc wieczną zaporę, wszystkie przywileje, miastom przez spisek warszawski nadane, kasujemy“. Artykuł o chłopach: „Żaden chłop człowiekiem nie ma być nazwany, ale panowie będą ich używać, jak koni i wołów“. Artykuł o sejmie: „...Idąc przykładem ojców naszych, wolno będzie zerwać sejm przy obraniu marszałka; ...wszystko *unanimitate*[1] ma być traktowane i *liberum veto*, jako źrzenica wolności, troskliwie piastowane; prawdziwa bowiem wolność zależy na tem, aby jeden mógł tamować wolę wszystkich“.

Ale złośliwszym jeszcze jest paszkwil drugi: *Fragment Biblie Targowickiej. Księgi Szczęsnowe* (1792); jestto trawestacya kilku początkowych rozdziałów Starego Testamentu *(Ksiąg Rodzaju)*, — i na tem właśnie polega piekielna złośliwość pomysłu Niemcewicza: jak Bóg przez sześć dni stwarzał świat, tak „naród i wszystko, co w nim dziś jest, przez sześć dni tworzy Szczęsny“ (Potocki). Oto np. dzień drugi stworzenia: „I rzekł Szczęsny: Niech wszelki rząd i wszelka sprawiedliwość ustaną, niech szlachcic posłuszny będzie panom, a miasta niech się znowu pogrążą w ubóstwie i ciemności; to, co wybrani od współziomków swych ludzie postanowili, niech będzie zbrodnią i spiskiem, a to, co ja rozkażę, niech będzie prawem! Rzekł też Szczęsny: Niech drukarnie przestaną drukować, a ludzie niech przestaną mówić, czytać, pisać i myśleć! I nazwał to Szczęsny w o l n o ś c i ą“.

Rozdział III. Szczęsny opowiada ród i początek swój i całe plemię swe od początku aż do końca. I rzekł Szczęsny: Żebyście wiedzieli, kto ja jestem i ci, którzy ze mną przedsięwzięli to osobliwe odrodzenie Polski, powiem wam, że ja ród mój wiodę od tych pysznych aniołów, którzy nawet Boga, Twórcę swego, uznawać nad sobą nie chcieli i zbuntowali się przeciw Niemu. Większa część tych aniołów wraz do piekłów wtrącona była, kilku z nich zostało na ziemi i rozeszli się po różnych krainach, i od nich pochodzą wszyscy burzyciele i wichrzyciele ziemi tej. I w Polszcze został się z nich jeden, i od niego pochodzi Sieciech, wojewoda krakowski, który za Bolesława Krzywoustego zdradził swe ziomki

[1] jednomyślnością.

i uciekł z placu bitwy, a król przysłał mu kądziel; i prządł lat osiemdziesiąt... i pogardzon był i umarł. Z Sieciecha w dalszych pokoleniach zjawił się Szamotulski, wojewoda poznański; ten, zdradziwszy ojczyznę sw przeszedł do Krzyżaków i był potem rozsiekan i umarł. A z biodrów Sieciecha wyszedł później Gliński, który podniósł bunt przeciw Zygmuntowi I i chciał się ogłosić wielkim księciem litewskim i przeszedł do Moskwy i żył lat pięćdziesiąt i wyłupiono mu oczy i umarł. A potomkowie Glińskiego spłodzili Radziejowskiego, który Szwedów sprowadził na Polskę i wiele złego broił i żył lat sześćdziesiąt... I życie jego było pełne zgryzot, a wszyscy stronili od niego, i był pogardzan i umarł. I weszła dusza Radziejowskiego w Chmielnickiego, Doroszeńkę i Niczaję i rozmnożyła się, a z nich, dla bliskości miejsca, w Ponińskiego, we mnie, Szczęsnego, i w Branickiego i Rzewuskiego i Kossakowskiego. I pojąłem żonę, ...i wydała liczne plemię, które wami rządzić będzie".

Inny charakter ma wiersz Niemcewicza *Na hersztów Targowickich* (1792): i tutaj jest oburzenie, szczere, silne, nie wybucha już jednak krwawem szyderstwem, jak w paszkwilach, ale przemawia z powagą i smutkiem; a oprócz oburzenia względem zdrajców, jest tu jakiś żal do ojczyzny, że ich nie pokarała, ale nadewszystko jest ból głęboki na myśl, że targowiczanie unicestwili całą pracę wielkiego sejmu; broni się poeta przed zwątpieniem, jak może, chciałby uwierzyć, że to niepodobna przecie, aby Bóg „miał nas zostawić w wiecznym ucisku i wstydzie": ale ta wiara w miłosierdzie jest jakoś słaba,—zwątpienie przemaga. Te same uczucia wypowiedział Niemcewicz w najpiękniejszym swoim utworze patryotycznym XVIII wieku,—w napisanej już po drugim rozbiorze elegii *Wiosna* (1793); tylko że ból patryotyczny przemawia tu rzewniej, smutek—ciszej, ze spokojem bolesnym, ale nie rozpaczliwym, jak to widać z pięknego zakończenia, godnego wielkiej duszy Niemcewicza.

Na hersztów targowickich (*w skróceniu.*)

Jakże? kiedy, z pogardą i wstydu i prawa
Spisek zdrajców na własną Ojczyznę powstawa,...
Gdy szerzy dziką zemstę i mordy bezkarne,
Naród w milczeniu patrzy na mordy tak czarne?...
I nie znajdzie się ręka Bruta lub Scewoli,
Coby nas uwolniła z tak ciężkiej niewoli?
Więc, gdy Polak, zbyt dobry, sztyletem się brzydzi,
Niechaj, czyny ich głosząc, światu ich ohydzi,
Niechaj powie, że zgubili Ojczyznę kochaną!...
Głosicie wolność, równość: ja prześladowanie
I nie wolność, lecz kilku widzę panowanie...
Porzuć, Szczęsny, szyderstwo! Połączać z uciskiem
Sejm prawy, zbiór cnotliwych śmiesz nazywać spiskiem?
Ty, coś, zgwałcenia wszystkich praw jawnym dowodem,
Samotrzeć w Targowicy nazwał się narodem,
Ty śmiesz bunty zadawać? Jakże? Lud zebrany,
Co haniebne nad sobą potargał kajdany,

Co, jedynie zajęty miłością ojczyzny,
Zniósł błędy, wskrzesił prawdę, uleczył swe blizny, —
Ten sejm winien u ciebie? Ach! nie tak osądzi
Publiczność i potomność, co nigdy nie błądzi...
Ta powie kiedyś: „Był sejm, z cnotliwych złożony,
„Co przywiódł do świetności kraj długo zhańbiony,...
„Który rozsądną równość między ludźmi wrócił
„I źrzódło nieszczęsc Polski: pychę możnych, skrócił.
„Lecz byli zdrajcy, co kraj zburzyli szczęśliwy:
„Był Szczęsny, był Rzewuski, Branecki zdradliwy
„I Kossakowskich chytre i zwodnicze plemię;
„Ci zgubili na zawsze tę nieszczęsną ziemię..!
Lecz, jeśli panujecie i mieczem i trwogą,
Wiedzcie: tryjumfy wasze długie być nie mogą;
Wkrótce zapalczywości i gniewu zasłona
Spadnie — i stanie w oczach Ojczyzna zgubiona...
Natenczas wlec się będą dni wasze w tęsknotach,
Nie znając, co sny słodkie; w okropnych ciemnotach
Poległych ziomków cienie stać będą przed wami
I zadanemi przez was przerażać ranami.
Wpośrzód przeklęctw rodaków do grobu zstąpicie,
Lecz straconego szczęścia Polsce nie wrócicie!

. . . .

Lecz trudno, by Bóg, który rządzi przeznaczeniem,
Bóg, co nas dźwignął swojem potężnem ramieniem,
Miał nas zostawić w wiecznym ucisku i wstydzie, —
Może pora szczęśliwa dla Polaków przyjdzie!
Trudno, by ten dzień wielki, gdzie świętym obchodem,
Boże! król w Twem obliczu łączył się z narodem,
By ten dzień, Panie, w którym przybytek Twój święty
Lud, Tobą i Ojczyzną jedynie zajęty,
Napełniał, gdzie przez szczere i radosne pienia
Składał Ci, Boże, za Twe dary dziękczynienia;
Gdzie strzedz wolnych swych ustaw zaprzysiągł przez śluby,—
By dzień ten dniem się stać miał krzywoprzysięstw, zguby!
Jeśli zaś w gniewieś wyrzekł, Boże władogromy,
Że szczęście nasze przejdzie, jako sen znikomy,...
Wtenczas któż znieść potrafi tylu klęsek brzemię?
Cnotliwy rzuci z smutkiem tę zgnębioną ziemię,
A widząc szczęścia Polski zgubione nadzieje,
Nad zhańbioną ojczyzną rzewne łzy wyleje,
Pójdzie, gdzie niepodległym być się jeszcze godzi
I gdzie nad ludźmi pycha kilku nie przewodzi.

Wiosna. (*w skróceniu*)

Tchnąca przyjemną wonią, z majowym porankiem
Przyszła wiosna, kwiecistym ozdobiona wiankiem;

Przyszła wesoła, a gdy lube jej spojrzenie
Wzbudza rozkosz i całe cieszy przyrodzenie,
Gdy ziemia, przyodziana ozdobnemi szaty,
Pyszni się nowem liściem [1] i świeżymi kwiaty:
Szczęśliwy, kto, nie znając ni smutku, ni męki,
Wesołem okiem patrzy na te lube wdzięki!
Lecz ten, co stracił wszystko, co nie ma Ojczyzny,
Co czasem niezatarte w sercu nosi blizny,
Dla tego, co nadziei stracił promyk słaby,
Czarną krepą okryte te wdzięczne powaby!
O Ojczyzno! Dla Ciebie już słońce pogodne
Nie wznijdzie, bo już obcy i ziomki odrodne,
Słodkich nadziei pierwsze zgasiwszy promienie,
Zepchnęli Cię bezbożnie w straszne grobów cienie...
Ojczyzno! Gdyby jeszcze można Cię ratować,
Któżby, kiedy Ty giniesz, chciał życie zachować?
Czemuż nieba nie raczą bohatera wskazać,
Coby śmiał kraj uwolnić i wstyd jego zmazać?...
Gdy zgon Twój opłakujesz, przykryta żałobą,
Któreż cnotliwe serce nie westchnie nad Tobą?
Któż wam hołdu nie odda, wy, dusze wspaniałe [2],
Co, w kluby rządu wziąwszy bezprawia zuchwałe,
Zmieniając hańbę kraju w pomyślniejsze bycie,
Poświęcali Ojczyźnie majątki i życie?
Nie zginą prawa wasze z powszechnym upadkiem:
Będą cnoty i świateł waszych wiecznym świadkiem;
I będzie miał czem Polak potwarców rumienić:
Dowiódł, że chciał być rządnym i umiał się cenić.
Może niejeden dzisiaj z tych ludzi cnotliwych
Stał się ofiarą gwałtu i przewodzeń mściwych?
Może rycerz, którego nieskażone dłonie
Miecz wzniosły raz ostatni w Ojczyzny obronie,
Dziś, w srogiej żyjąc nędzy, okryty bliznami,
Jęczy nad swem kalectwem i Polski stratami?
Jęczy, ale w uciskach ulga mu zostaje,
Ulga, której występny nigdy nie doznaje:
Na nieskażone serce wspomniawszy i cnoty,
Pozna, że lżejsza nędza, niżeli zgryzoty,
I, gdy śmierć przyjdzie, zamknie powieki spokojnie.
Ale ci, co Ojczyznę najechali zbrojnie,
Co, zgubiwszy swe ziomki wyniosłością hardą,
Kryją się w gmachach obcych przed świata pogardą,—

[1] liście — rzeczownik zbiorowy rodzaju nijakiego. [2] patryoci sejmu czteroletniego.

Mimo świetne bogactwa i majątek drogi,
Gorzkie będzie ich życie i śmierć pełna trwogi!...[1]
Jak ciężko Polskę obcem imieniem nazywać!
Jak ciężko słodkie związki natury rozrywać!
Brat bratu stał się cudzym; co mówię, o zbrodnie!
Gdy zawiść wśród mocarzów rzuci swe pochodnie,
Kiedy ludem zabranym wojny zaczną toczyć,
Ziomek we krwi współziomka oręż będzie broczyć.
Ach! niech mię wprzód mogiła i cyprys żałobny
Przykryją, niżbym patrzał na widok podobny!
O lutni moja! Był czas, gdzie twoimi tony
Nuciłaś dawny blask, mej Ojczyźnie wrócony:
Dziś, dotknięta ostatni raz od drżącej ręki,
Już nie jej głosisz sławę, ale smutne jęki,
I kryć się przed okrutnym musisz przeciwnikiem,
I dźwięk twój wkrótce obcym stanie się językiem!
Chyba starzec w ustroniu, ciesząc swą siwiznę,
Wnukom wspominać będzie dawną ich Ojczyznę...
Ale może wojownik ziemię krwią zrumienić,
Wywracać grody, postać narodów odmienić:
Stanie się strasznym zdradą i siłą oręża,
Świat zburzy, lecz nie zegnie cnotliwego męża!

§ 99. Jak upadek Konstytucyi 3 maja i drugi rozbiór Polski, tak upadek powstania Kościuszki i ostateczna utrata niepodległości odbiły się w poezyi współczesnej echem smutku i bólu; *Żale Sarmaty* Karpińskiego nie są jego jedynym wyrazem: mniej może poetycznie, ale silniej przemówił ból patryotyczny w elegii, a raczej w obszernym (liczącym pięćset sześćdziesiąt wierszy) poemacie elegijnym p. t. *Bard polski.* Poemat ten, napisany na wiosnę roku 1795 (a więc już po traktacie podziałowym pomiędzy Austryą a Rosyą, ale przed traktatem pomiędzy Rosyą a Prusami), przez pół wieku niemal spoczywał w rękopisie; drukiem ogłosił go dopiero na krótko przed śmiercią Niemcewicz (1840) w jednem z czasopism polskich w Paryżu. W swej pięknej przedmowie nie wymienia Niemcewicz nazwiska autora poematu, mówiąc tylko tak: „Jestto dzieło Polaka w pierwszym naówczas kwiecie młodości; Opatrzność obdarzyła go wyniosłą duszą i rzewnem sercem; całe jego późniejsze życie było ciągłą poezyą czynów i cierpień“. Miał słuszność Niemcewicz: całe późniejsze życie autora *Barda polskiego* było naprawdę ciągłą poezyą czynów i cierpień, jest nim bowiem *syn księcia generała ziem podolskich*, **Adam Jerzy Czartoryski** (1770—1861), uczestnik powstania kościuszkowskiego, późniejszy przyjaciel cesarza Aleksandra I i rosyjski minister spraw zagranicznych, reformator

[1] targowiczanie.

szkół polskich na Litwie i na Rusi, prezes rządu tymczasowego w czasie powstania r. 1830, a wreszcie emigrant, zmarły na ziemi francuskiej. W latach młodości uprawiał Czartoryski poezyę, chociaż wybitniejszego talentu poetyckiego nie posiadał; to też Niemcewicz, oddając do druku *Barda polskiego*, dokonał w nim różnych zmian (oczywiście, za zgodą autora): nietylko poprawił język, styl i wiersz, ale nadto podzielił utwór na części, wykreślił kilkadziesiąt wierszy, które za najsłabsze uznawał, natomiast dodał sto kilkadziesiąt wierszy własnych. Na tych wszystkich zmianach i dodatkach niemało zyskał poemat pod względem artystycznym; ale i bez nich, tak nawet, jak wyszedł zpod ręki i z serca Czartoryskiego, jest *Bard polski*, mimo niezbyt wykwintnej formy, utworem niemałej wartości zarówno przez treść swoją, jak przez bijące z niej uczucie gorące i szlachetne.

Jak w *Boskiej Komedyi* Danta autor z Wirgiliuszem odbywa wędrówkę po piekle, tak w poemacie Czartoryskiego autor w towarzystwie barda, który go nauczył kochać pieśń i ojczyznę, wędruje po ziemi polskiej, wylewając łzy nad jej nieszczęściem:

. . . . O Ziemio kochana!
Jakiż okropny widok, jakaż sroga zmiana!
O Ziemio! jam Cię widział, kiedyś zakwitnęła,
Gdy Twoja ludzi wszystkich powabność ujęła:
Ojczyste siadła [1] rzucał mieszkaniec daleki
Ród pracowny i mienie oddać Ci na wieki [2].
Kędyż Twoje wesołe, te zdobne osady?
Stadami pyszne łąki, owocami sady?
Kędyż są kłosem bujnym pozłocone żniwa,
Których to obfitości głos narodów wzywa?
Gdzie spojrzę, spustoszenie okropne i srogie
Zżarło, co tylko ludziom na ziemi jest drogie...
Nigdzie pożycia śladu, wzrok nigdzie nie spocznie;
Z gruzów, napół skopconych, wymknięty ubocznie
Dym tylko błękit niebios kłębami przerywa;
Tam, owdzie smutna stoi w nagiem polu śliwa.
Pusto; zabite okna, gdzie zostaje chata,
Przez które rolnik witał roboczego brata.
Las, zewsząd osępiały, wyziera zdaleka,
Dokąd drżący mieszkaniec z swem życiem ucieka.

Na widok spustoszonej ziemi przypomina sobie autor wszystko, co się na niej świeżo działo, a więc powstanie Kościuszki, tego „męża świętego“, który, „ziomków chwałą i szczęściem zajęty, —

[1] siedliska. [2] za sejmu czteroletniego zaczęło napływać do Polski mnóstwo osadników niemieckich.

umysł się jego boski z człowiectwa wyzuje — snu i pokarmu nie zna, za wszystkich pracuje"; i wzywa autor barda, aby „zabrzmiał o pięknym zawodzie", aby wyśpiewał i Racławice, „sławne kosami", gdzie „prawych kmieci szczątek leci na działa, na ostrza sterczące, i pierwsze wolne wykrzykną zwycięstwo", i „krwawe" Szczekociny i „Krupczyc trupem zasłane zagony"; „ach! odwróć od tej strony twoje smutne oczy: Maciejowic nieszczęsny tam widok zaskoczy; doły, pagórki, zgrzęzłej każda zmiana roli inną-ć ofiarę wspomni śmierci lub niedoli". Wszystkie te wspomnienia potęgują jeszcze smutek autora. Nagle spotykają wędrownicy dziewczynę biedną, nieszczęśliwą, która się skarży boleśnie na swoją niedolę:

„O żale, których powódź świat cały zaléwa,
„Przybądźcie wszystkie! mocy macie mało:
„Serce bez życia teraz was wyzywa,—
„Już waszej całej srogości doznało!
„Czemu się owa za nieszczęsną mniema,
„Że ni schronienia, ni ojczyzny nie ma?
„A tamta czemu, osuta w żałobie,
„Usiadła we łzach na rodziców grobie?
„Ty jęczysz, która z dni twoich poranka
„Straciłaś serce, straciłaś kochanka:
„A jaż się teraz czem nazwę, co jedna
„Wszystko to razem utraciłam, biedna?
„Żale, zgryzoty! już się was nie boję:
„Niczem się już nie zmartwię, niczem nie ukoję.
„O, na Twoje stworzenia, miłosierny Boże,
„Cóż tu Ciebie uczynić tak okrutnym może?
„Jam Ciebie tak gorąco, tak szczerze prosiła:
„Czyż Tobie co ta ziemia w świecie przewiniła?
„Jedno dla niej skinienie czyż Tobie wadziło?
„Jednem jedynie wdzięk jej, szczęścieby odżyło!
„Patrzałam, jak dom płonął i miłe zagrody,
„Kędy się mój szczęśliwie przesuwał wiek młody.
„Nie was ja płaczę, złotej mierności dostatki,
„Lecz wasza strata sroższej jest przyczyną:
„Straty i ojca i kochanej matki.
„Żal ich i nędza w swe płachty zawiną,
„I próżno się siliły te nieszczęsne dłonie
„Wstrzymać głód nieużyty, ulżyć w ciężkim zgonie.
„Nieraz pierwsze po zmierzchu chłodne wiatru wienie
„Przynosi ich żałosne nade mną jęczenie!...
„I mój młodzieniec, zawsze mną zajęty,
„Chociaż srogą ode mnie wiecznością przecięty,
„Lekkiem mżeniem powieki byle się zlepiły,

„Wnet mię odwiedza i wszędy znachodzi.
„Całą mą istność ogarnie cień miły,
„Tęskność moję niby słodzi.
„Lecz czasem ran tysiącem rażą go morderce:
„Każdą ja czuję, każda moje krwawi serce.
O pomoc do mnie, zdaje mi się, woła;
„Lecę... wstrzymują... dobiegam... upada...
„Swego się kwiatu trzyma listek mały,
„Mech się czepia wkoło skały:
„Lube me związki wszystkie rozerwane,
„I samotna na wielkiej ziemi pozostanę".
Tak mówiąc, listki i mech, co skubała,
Składa znowu, żałując, że ich rozłączała...

W dalszej wędrówce autor i bard spotykają młodzieńca, który rozpacza na myśl, że, wzrósłszy w wolności, resztę życia przepędzi pod obcem panowaniem; „zaco z braćmi na polu chwały nie zginąłem? zszedłbym do grobu z cnotą i nadzieją społem, że się mój naród szczęścia raz jeszcze doczeka"! Lecz silniejszą jeszcze jest rozpacz starca, którego spotykają pod samą Warszawą wędrowcy, a który opowiada im wszystko, co widział i co przeżył podczas szturmu i zdobycia Pragi przez wojska rosyjskie: oto w ten dzień okropny stracił nietylko syna i córkę, ale i — wiarę w Opatrzność boską. Autor, przerażony tem wstrząsającem opowiadadaniem, modli się, aby nadzieja nigdy serc polskich nie opuszczała, poczem wraz z bardem składa swoją lutnię w mogiłę, „jakby na ojczyzny grobie; tu zostań! chyba odżyć dozwolą jej losy,—wtedy razem świetniejsze odżyją twe głosy". Kończy się poemat sześciowierszowem *Pożegnaniem*:

Żegnamy Ciebie, Ziemio ulubiona!
Mus nas okrutny spędza z Twego łona.
Drżącemi usty dotknijmy powłoki
Poległych braci! O święte wy cienie!
Bądź nas gdziekolwiek powiodą wyroki,
Niech wasze nami kieruje westchnienie!

Pożegnanie to z ziemią rodzinną, jak zresztą cały poemat, jest wyrazem własnych uczuć Czartoryskiego, który pieśń tę wyśpiewał w Grodnie, po drodze do Petersburga, dokąd jechał (wraz z bratem Konstantym), jako zakładnik.

W historyi literatury polskiej zajmuje *Bard polski* stanowisko wybitne, nietylko przez to, że jest w poezyi XVIII wieku jedyną w i ę k s z ą pieśnią bólu patryotycznego, ale i przez to, że *w zarodku zawiera już w sobie te uczucia i myśli, które rozwinie i spotęguje nasza wielka poezya patryotyczna XIX wieku*: miłość ziemi rodzinnej

i jej wielkiej przeszłości, ból nad jej nieszczęściami, płynący z tego bólu żal do Boga, a nawet zwątpienie o Jego Opatrzności i sprawiedliwości, oraz pogląd (fałszywy), że Polska jest niewinna i zupełnie nieodpowiedzialna za te klęski, jakie na nią spadły. Z tego to względu *Bard polski* Czartoryskiego jest łącznikiem pomiędzy poezyą dawną a nową, jest jakby słupem granicznym pomiędzy literaturą niepodległej Polski a Polski porozbiorowej.

ZAKOŃCZENIE.

§ 100. *„A jeśli komu droga otwarta do nieba,—tym, co służą ojczyźnie.“* Jeżeli prawdę powiedział Kochanowski, jeżeli zasługi, położone dla ojczyzny, otwierają drogę do nieba, to ogromna większość pisarzów naszych, których dzieła tworzą literaturę niepodległej Polski, dawno już cieszy się „rajskim przebytem“ — w tej samej krainie, w której polskie serce Kochanowskiego widziało Piastów i Jagiellonów, w krainie, gdzie

> ani ciemne mgły dochodzą,
> Ani śnieg, ani zimne grady szkodzą:
> Wieczna pogoda, dzień na wszytki strony
> Trwanieskończony;

bo oni wiernie służyli ojczyźnie — piórem, „omoczonem we łzie orła białopiórego“, bo Matce swojej za to, że ich „urodziła i wychowała, nadała, wyniosła“, złożyli w hołdzie czci i wdzięczności piękną, mądrą, szlachetną, chrześcijańską i patryotyczną literaturę—taką, na jaką, prócz nas, nie zdobył się ani jeden „cny naród słowiański“, nie wyjmując naszych nauczycieli, Czechów, których dogoniliśmy i przegonili już w drugiej połowie XVI stulecia.

Nie dogoniliśmy zato naszych nauczycieli zachodnio-europejskich.

W wieku XVI wprawdzie dotrzymywaliśmy im jako tako kroku, ale później cofaliśmy się przez całe półtora wieku i dopiero w drugiej połowie XVIII stulecia zaczęliśmy ich gonić na nowo, tylko że oni czekać na nas nie chcieli. Wogóle literatura staropolska nie wzniosła się, nawet w wieku złotym, na te wyżyny, na jakie się wzbiły wielkie literatury zachodnio-europejskie: włosku w wiekach XIV, XV i XVI, francuska—w XVII i XVIII, angielska—w XVI i XVII, niemiecka — w XVIII. Prawda, że (nie mówiąc już o Koperniku, którego zazdroszczą nam wszystkie narody,

a którego Niemcy chcą nam nawet ukraść) są w literaturze niepodległej Polski wielkie, znakomite nazwiska: Kochanowski, jako autor *Trenów*, to najznakomitszy liryk XVI w. nietylko w Polsce, ale w całej Europie; arcydzieła, równego *Kazaniom sejmowym* Skargi, nie posiada wymowa kaznodziejska całej nowoczesnej Europy chrześcijańskiej; a tacy pisarze, jak Długosz, Modrzewski, Szymonowicz, Krasicki, Staszyc, Kołłątaj, nie przynieśliby wstydu żadnej literaturze, owszem każdej, choćby najbogatszej w talenty, rozumy i serca, byliby zaszczytem i ozdobą.

Tak, to wszystko prawda. Ale połóżmy rękę na sercu i odpowiedzmy bezstronnie: czy wydała niepodległa Polska takich pisarzów, jeśli już nawet nie tak genialnych, jak Dante, Szekspir, Milton, Molier, Goethe i Szyler, to przynajmniej tak znakomitych, jak Ariosto i Tasso, jak Kornel i Rasyn, a choćby takich, jak Erazm z Roterdamu, Wolter, Russo (żeby już innych nie wyliczać)? Nie! Wielkość literatury naszej przypada dopiero na czasy porozbiorowe, wielkość da jej dopiero Mickiewicz; literatura zaś niepodległej Polski jest bogata, piękna, rozumna, moralnie czysta, ale wielką, pomimo Kochanowskiego i Skargi, Modrzewskiego i Staszyca, nazwać jej nie można, nie dlatego, że wzrosła pod cudzą opieką, ale że i nadal bez cudzej opieki obejść się nie mogła,—rozwijając się nie w niewolniczej wprawdzie, ale w ścisłej zależności od literatur obcych: zarówno rzymskiej i greckiej, jak czeskiej, włoskiej i francuskiej. Nie była więc literatura staropolska samodzielna w formie, a często i w treści; swój wiek złoty zawdzięcza głównie Włochom; w wieku XVII zaczęła gardzić obcą pomocą i... zatracała stopniowo piękno i mądrość, póki w czasach saskich nie zatraciła ich niemal doszczętnie; a jeżeli za Stanisława Augusta dźwignęła się z upadku i wzniosła wysoko, to znów — przy obcej pomocy, francuskiej.

A jednak, pomimo zależności od wzorów obcych, jest literatura staropolska literaturą narodową: odbiły się w niej, jak w zwierciadle, duch i charakter narodu (głównie szlachty) w swoim rozwoju historycznym, i wogóle odbiło się w niej życie polskie, zarówno w swoich pierwiastkach i czynach dodatnich, jak ujemnych, zarówno w dobrej, jak w złej doli.

Ale nie dosyć na tem. Literatura w niepodległej Polsce była nietylko zwierciadłem życia, ale i jego mądrą i uczciwą mistrzynią: usiłowała je podnieść na swoje wyżyny — na wyżyny ideału chrześcijańskiego wogóle, a patryotycznego w szczególności, nie psuła i nie gorszyła narodu, ale pragnęła go poprawić i uszlachetnić, wpajając w serca miłość Boga i ojczyzny. Trafiały się naturalnie wyjątki: Orzechowski, Fredro, pisarze polityczni z obozu staroszlacheckiego na sejmie czteroletnim byli złymi nauczycielami narodu; byli i tacy, którzy obcym bogom stawiali ołtarze; były nawet całe epoki, w których, jeżeli ze szczętem nie zanikał, to wkażdym

razie wypaczał się albo karlał duch rzetelnego chrześcijaństwa i rozumnego patryotyzmu, schodząc na bagniste niziny fanatyzmu religijnego i szowinizmu narodowego. Ale ogromna większość pisarzów staropolskich, — poczynając od Kadłubka, który głosił, że „szlachcicem jest ten tylko, kogo uszlachciła własna cnota“, i że miłość ojczyzny powinna być „mocna, jak śmierć“, aż do Niemcewicza, który uczył, że „dom zawsze ustępować powinien krajowi“, — nie sprzeniewierzyła się w pismach swoich ani świętej nauce Jezusa Chrystusa, ani „świętej miłości kochanej ojczyzny“. Otóż ten duch chrześcijańsko-patryotyczny, ta wierna służba obywatelska — to najwybitniejsza cecha literatury niepodległej Polski (zarówno prozy, jak poezyi, która nietylko „sobie śpiewała a Muzom“, ale nadewszystko ojczyźnie), to zarazem jej największa piękność, jej najwspanialsza ozdoba i—jej wyższość nad literaturą cudzoziemską.

A niechaj narodowie wżdy postronni znają,
Iż Polacy nie gęsi, iż swój język mają!

„Ponieważ wszytkie wszytkich ludzi miłości jedna ojczyzna w sobie zamyka, tedyć onę nad wszytko trzeba przekładać i wszytkie prace dla niej mężnie i śmiele podejmować“.

Służmy poczciwej sławie, a jako kto może,
Niech ku pożytku dobra spólnego pomoże!

„Jako namilejszej Matki swej miłować i onej czcić nie macie, która was urodziła i wychowała, nadała, wyniosła? Bóg Matkę czcić rozkazał. Przeklęty, kto zasmuca Matkę swoję! A która jest pierwsza i zasłużeńsza Matka, jako ojczyzna?“

Żadne-ć-by jarmarki
Takiego specyjału, choćbyś wszystkie fraszki
Zakupił, objechawszy Paryż i Damaszki,
Nie dały, jako gdybyś za miłą ojczyznę
Podjętą na swem ciele synom przyniósł bliznę.

Niemasz zasług: te, co my zowiemy zasługi,
Są tylko ku ojczyźnie wypłacone długi.
Ojczyzna nic nam nie jest winna: ona pani,
My jej sługi, jej więźnie, jej obowiązani.

Okręt nie zatonie,
Majtki, zgodne z żeglarzem, gdy staną w obronie,
A choć beśpieczniej okręt opuścić i płynąć,
Poczciwiej być w okręcie, ocalić lub zginąć.

„Społeczność jest jedną moralną istnością, której członkami są obywatele; zostać obywatelem jest wyzuć się czyli oddać swoją wolę i swoją moc osobistą towarzystwu całemu“.

Oto jakie hasła przyświecały najznakomitszym pisarzom staropolskim, oto jakie prawdy pragnęli oni wpajać w serca czytelników. A nie są to wcale oderwane frazesy, któreby się przypadkowo do ich pism zaplątały: to najgłębsza treść ich duszy, najistotniejsza cecha ich twórczości.

Na nieszczęście naród nie posłuchał swoich mądrych i zacnych nauczycieli: słowo ich było mu „za śpiewanie i muzykę, po której się słuchaniu nic nie zawiąże“. „Chwalili, a żywota swego nie poprawiali“. Pomiędzy literaturą a życiem panował rozbrat zupełny, — ale to już nie literatury wina! Ona uczciwie pełniła służbę obywatelską, „jako mogła, ku pożytku dobra spólnego pomagała“ i nakoniec doczekała się tego, że nie była już tylko „za śpiewanie i muzykę“: za Stanisława Augusta nie było już rozbratu pomiędzy życiem a literaturą, rzucono się do ratowania tonącego okrętu— — za późno...

Ale literatura i wtedy nie załamała rąk: „Aleć i grzech jest wielki i nigdy nie godzi się desperować o Rzeczypospolitej“. „Rozpacz—podział nikczemnych“. I, jeżeli straszliwe proroctwo Skargi spełniło się tylko w połowie, jeżeli wolności nasze „utonęły i w śmiech się obróciły“, ale nie zginął język i nie zginął naród,— to zasługa nietylko Komisyi Edukacyjnej, ale i literatury, która była tak potężnym czynnikiem naszego odrodzenia duchowego.

A kiedy zatonął okręt, wzbiła się literatura na takie wyżyny, jakich nigdy za czasów niepodległości nie dosięgła, odegrała w życiu narodu tak wielką rolę, jak nigdzie indziej na świecie, i stwierdziła w całym blasku i świetności prawdę słów Brodzińskiego: „*Literatura każdego narodu jest jego moralnym bytem, bezpieczną w swoich granicach, żadnemu zniszczeniu niepodległą*“.

SPIS RZECZY.

Kop.

60. **Kosiakiewicz W.** Sarna.—Literatura mojej żony. — Nabożeństwo majowe. 8
61. **Sewer.** Łusia Burlak. . . . 10
62. „ Wiosna 10
63. „ Dola 8
64. **Dygasiński A** Co się dzieje w gniazdach 8
65. **Sieroszewski W.** Kulisi . . . 10
66. „ „ W ofierze bogom 8
67. **Sieroszewski W.** Bokser (Uang-Ming-Tse) . . . . ,
68. **Kaczkowski Z.** Bitwa o chorążankę. 10
69. **Prus Bol.** Cienie. — Z legend dawnego Egiptu.—W górach 6
70. **Konopnicka M.** Wojciech Zapała 5
71. „ „ W Winiarskim lesie. 5
72. **Konopnicka M.** Urbanowa . . 5
73. „ „ Miłosierdzie gminy 8
74. **Lenartowicz T.** Wybór poezyi. 8
75. **Kondratowicz L.** (Wł. Syrokomla). Wybór poezyi . . 10
76. **Kondratowicz L.** Janko Cmentarnik 6
77. **Hoffmanowa Klem.** Dziennik Franciszki Krasińskiej . . 20
78. **Hoffmanowa Klem.** Listy Elżbiety Rzeczyckiej 15

Kop.

79. **Czerneda M.** (Bierzyński). Niepłakany 6
80. **Czerneda M.** Kancelista . . . 6
81. **Kraszewski J. I.** Żywot i przygody Imci Pana Józefa z Gozda Hrabi Gozdzkiego — Pan Starosta Kaniowski . . . 10
82. **Kraszewski J. I.** Jak się dawniej pisało 6
83. **Kraszewski J. I.** Psiarek . . . 6
84. **Wilczyński Ad.** Przykładna kara
85. **Chodźko Ign.** Samowar . . .
86. „ „ Domek mojego dziadka. — Śmierć mojego dziadka . . . .
87. **Chodźko Ign.** Boruny . . . .
88. **Górski K. M.** Biblioman . . .
89. **Lenartowicz T.** Zachwycenie . 4
90. **Korzeniowski J.** Karpaccy górale . . . .
91. **Kondratowicz L.** (Wł. Syrokomla). Ułas . . . . . .
92. **Kondratowicz L.** Kęs chleba .
93. „ „ Jan Dęboróg.
94. „ „ Trenzlowe. — Spowiedź P. Korsaka. . .
95. **Kondratowicz L.** Wielki czwartek. . . . .
96. **Asnyk Adam.** Wybór poezyi .
97. **Ujejski K.** Wybór poezyi . . 8
98. **Pol Wincenty.** Pieśń o ziemi . 8
99. **Wasilewski Edm.** Wybór poezyi
100. **Zaleski J. B.** Wybór poezyi .

Wybór pisarzów polskich dla domu i szkoły ze wstępem i objaśnieniami pod kierunkiem *Br. Chlebowskiego, Ign. Chrzanowskiego H. Gallego, G. Korbuta i K. Króla.*

Kop.

1 **Kochanowski J.** Treny, oprac. Br. Chlebowski 15
2. **Mickiewicz Ad.** Grażyna Powieść litewska, opr. H. Galle 15
3. **Kochanowski J.** Odprawa posłów greckich, oprac. Br. Chlebowski 15
4. **Mickiewicz Ad.** Konrad Wallenrod, powieść historyczna z dziejów litewskich i pruskich, oprac. H. Galle . . . 20
5. **Brodziński A.** Wiesław, oprac. H. Galle. 15
6. **Skarga P.** Kazania sejmowe (Wybór) oprac. Ig. Chrzanowski 20

Kop.

7. **Mickiewicz Ad.** Dziady część II i IV tudzież fragmenty pośmiertne, oprac. Br. Chlebowski 20
8. **Krasiński Z.** Nie-Boska komedya, oprac H. Galle . . 20
9. **Pol W.** Mohort. Rapsod rycerski, oprac. K. Król . . 25
10. **Malczewski Ant.** Marya, powieść ukraińska, opr. G. Korbut . 20
11. **Słowacki J.** Lilla Weneda, tragedya w 5 aktach. Grób Agamemnona, opr. Br. Chlebowski 30
12. **Krasiński Z.** Irydion, opr. H. Galle 40
13. **Niemcewicz J. U.** Powrót posła, oprac. K. Król . . . . .

Dalsze tomiki w druku:

Wydawnictwa Gebethnera i Wolffa.

Brückner A. Dzieje literatury polskiej w zarysie. Wyd. II, 2 tomy . .		5 —
	W oprawie płóciennej	6 50
	W półskórek	7 —
Chmielowski Piotr Dr. Obraz literatury polskiej w streszczeniach i celniejszych wyjątkach, 3 duże tomy		8 —
	W oprawie płóciennej	10 —
	W półskórek	11 —
Każdy tom oddz. bez opr.		3 —
Gostomski Walery. Historya literatury powszechnej w zarysie. 2 tomy .		5 —
	W oprawie płóciennej	6 —
	W półskórek	6 60

Pomnikowe Wydawnictwo

WIEK XIX

Sto lat myśli polskiej

Życiorysy, streszczenia i wyjątki

POD REDAKCYĄ:

BRONISŁAWA CHLEBOWSKIEGO, IGNACEGO CHRZANOWSKIEGO, HENRYKA GALLEGO, GABRYELA KORBUTA, STANISŁAWA KRZEMIŃSKIEGO.

W dwunastu tomach wielkiej 8-ki.

Wydawnictwo zawrze treść ducha polskiego z całego wieku, cały dorobek umysłowy narodu, wszystko, co naród ten czuł i co myślał. Obok życiorysów autorów, opracowanych na podstawie najnowszych źródeł, oraz wyczerpującej bibliografii, po raz pierwszy zebranej, podane są tu streszczenia dzieł i urywki najcharakterystyczniejsze, składające się na całkowity obraz człowieka i pisarza.

Dzieło niezbędne dla każdego nauczyciela, kształcącej się młodzieży, młodych pracowników na niwie przeszłości ojczystej, każdego wreszcie Polaka, pragnącego zachować ciągłość tradycyi dziejowej.

Treść. Tom I — II Epoka przedromantyczna 1801 — 1821.
„ III — VIII „ romantyczna 1822 — 1863.
„ IX — XII „ poromantyczna 1864 — 1900.

Dotychczas wyszły:

Tom I, II i III-i cena każdego rb. 1 kop. 80, w ozdobnej oprawie rb. 2 kop. 50.
Tom IV w druku.